

Jonathan Littell

ŁASKAWE



Jonathan Littell
ŁASKAWE

PRZEŁOŻYŁA
Magdalena
Kamińska-Maurugeon



WYDAWNICTWO LITERACKIE

Umarŧym

Toccata

Bracia śmiertelnicy, pozwólcie, że opowiem wam, jak było. Nie jestem twoim bratem, powie mi na to któryś z was, i nie chcę o niczym wiedzieć. I będzie miał rację, bo to jest straszna historia, straszna, lecz budująca, prawdziwa baśń z morałem, możecie mi wierzyć. Pewnie wyda się wam przydługa, w końcu wydarzyło się naprawdę wiele, ale może akurat zbyt się nie spieszycie, może, szczęśliwie, macie właśnie czas. Zresztą was też ona dotyczy, sami zobaczycie. Nie, nie chcę was do niczego przekonywać, ostatecznie wasze poglądy to wasza rzecz. Bo jeśli po tylu latach w ogóle zdecydowałem się pisać, to po to, by zrobić z tym porządek dla siebie samego, nie dla was. Latami pełzam tuż przy ziemi jak gąsienica, czekam, aż pojawi się ten wspaniały i delikatny motyl, którego noszę w sobie. Czas upływa, ja się nie przepoczwarzam, pozostaję larwą — przygnębiająca konstatacja, i cóż z tym mogę zrobić? Samobójstwo, rzecz jasna, jest pewną możliwością. Ale, prawdę mówiąc, samobójstwo niezbyt mnie pociąga. Oczywiście, długo o tym rozmyślałem i gdybym się jednak zdecydował, zrobiłbym tak: położyłbym sobie granat na sercu i odszedł w jaskrawym wybuchu radości. Mały, kulisty granat; wyjąłbym delikatnie zawleczkę, a potem puścił łyżkę, uśmiechając się do metalicznego szczęku sprężyny, który byłby zapewne ostatnim usłyszonym przeze mnie dźwiękiem, nie licząc rezonujących w uszach uderzeń mojego serca. A potem nareszcie szczęście, a już na pewno spokój... i ściany biura przyozdobione strzępami mojego ciała. Tym niech się martwią sprzątaczkę, w końcu po to tu są, trudno, taki ich los. Lecz, jak mówiłem, nie pociąga mnie samobójstwo. Sam zresztą nie wiem dlaczego, być może, kierowany jakąś starą filozoficzną moralnością, wmawiam sobie, że w końcu nie jesteśmy tutaj dla zabawy. No to w takim razie po co?

Nic nie przychodzi mi do głowy. Może żyjemy po to, by zabijać czas, zanim on nas zabije? W takim wypadku pisanie w wolnych chwilach jest zajęciem równie dobrym jak każde inne. Nie żebym tych wolnych chwil miał jakoś przesadnie dużo, jestem człowiekiem zajęтым. Posiadam, jak to mówią, rodzinę i pracę, czyli zobowiązania — to wszystko zajmuje mi sporo czasu, niewiele go zostaje na spisywanie wspomnień. Tym bardziej, że mam tych wspomnień, rzekłbym, bez liku. Istna ze mnie fabryka wspomnień. Mógłbym spędzić życie na wytwarzaniu wspomnień, chociaż teraz płacą mi raczej za wytwarzanie koronek. Właściwie równie dobrze mógłbym nie pisać. W końcu to nie żaden obowiązek. Od czasów wojny zachowuję dyskrecję: dzięki Bogu nigdy nie czułem

potrzeby pisania pamiętników, jak niektórzy moi dawni koledzy, ani po to, by się usprawiedliwiać, bo nie muszę się z niczego tłumaczyć, ani też dla pieniędzy, bo i tak zarabiam dość dobrze. Kiedyś — byłem akurat w Niemczech, w podróży służbowej — rozmawiałem z dyrektorem dużej firmy bieliźniarskiej, któremu chciałem zaoferować koronki. Zostałem mu polecony przez dawnych przyjaciół; bez zbędnych pytań obaj wiedzieliśmy więc, czego się trzymać we wzajemnych relacjach. Zakończywszy rozmowę, która miała zresztą pozytywny przebieg, dyrektor wstał, sięgnął do biblioteczki i dał mi książkę. Były to pośmiertnie wydane wspomnienia Hansa Franka, generalnego gubernatora w Polsce. Nosiły tytuł *W obliczu szubienicy*. „Dostałem list od wdowy, wyjaśnił mój rozmówca. Własnym sumptem wydała rękopis, który Frank zredagował już po procesie, i teraz sprzedaje książkę, żeby utrzymać dzieci. Wyobraża pan sobie, do czego to doszło? Wdowa po generalnym gubernatorze. Zamówiłem u niej dwadzieścia egzemplarzy, na prezenty. Zaproponowałem też wszystkim moim kierownikom działów, żeby kupili po jednym. Przesłała mi wzruszający list z podziękowaniami. Znał go pan?” Zapewniłem, że nie, ale książkę przeczytam z zainteresowaniem. Tak naprawdę spotkałem go kiedyś w przelocie, opowiem wam później, jeżeli tylko wystarczy mi odwagi albo cierpliwości. Wtedy jednak mówienie o tym nie miało żadnego sensu. Książka, nawiasem mówiąc, była bardzo niedobra, bezładna, utrzymana w płaczliwym tonie, pełna kuriozalnej religijnej hipokryzji. Moje zapiski, być może, też będą bezładne i słabe, ale postaram się, żeby pozostały zrozumiałe, a niezależnie od wszystkiego mogę was zapewnić, że do samego końca będą wolne od wszelkiej skruchy. Nie żałuję niczego: taką miałem pracę i już. Co do moich rodzinnych historii, które też może tutaj przytoczę, to są one wyłącznie moją sprawą, a jeśli chodzi o całą resztę, pod sam koniec bez wątpienia przekroczyłem pewne granice, ale wtedy nie byłem już sobą, wszystko mi się mieszało, zresztą świat wokół walił się w gruzy, nie ja jeden traciłem zmysły, przyznajcie sami. Nie piszę również z myślą o przyszłej wdowie i utrzymaniu dzieci — jestem w stanie zaspokoić ich potrzeby. Jeżeli w ogóle zdecydowałem się pisać, to raczej dla zabicia czasu, a także, kto wie?, po to, by rzucić światło na jedną lub dwie sprawy, niejasne dla was, a być może i dla mnie samego. Poza tym myślę, że dobrze mi to robi. To prawda, nastrój mam raczej podły. Pewnie z powodu zatwardzenia. Przygnębiający i bolesny problem, nawiasem mówiąc, dla mnie zupełna nowość, bo kiedyś było całkiem odwrotnie. Przez długie lata musiałem chodzić do toalety trzy, cztery razy dziennie — teraz byłbym szczęśliwy,

gdybym mógł to robić choćby raz w tygodniu. Jestem skazany na lewatywy, procedurę skrajnie nieprzyjemną, ale za to skuteczną. Wybaczcie, że zdradzam tak przykre szczegóły: mogę się chyba trochę pożalić. Zresztą, jeżeli to was szokuje, radzę nie czytać dalej. Nie jestem Hansem Frankiem, nie bawię się w ceregiele. Chcę być precyzyjny w miarę własnych możliwości. Pomimo dziwactw, a miałem ich naprawdę wiele, nadal należę do osób, które twierdzą, że tak właściwie to człowiek potrzebuje do życia tylko powietrza, jedzenia, picia i wydalania, no i poszukiwania prawdy. Cała reszta jest nadobowiązkowa.

Jakiś czas temu żona przyniosła do domu czarnego kota — może chciała sprawić mi przyjemność. Oczywiście, nie spytała mnie wcześniej o zdanie. Przeczuwała chyba, że z miejsca bym się nie zgodził, fakt dokonany dawał większą pewność. Gdyby musiała go oddać, wnuki zaczęłyby zaraz płakać i tak dalej. Ale ten kot naprawdę był bardzo niesympatyczny. Gdy próbowałem go pogłaskać, żeby okazać swoją dobrą wolę, uciekał, siadał na parapecie i wlepił we mnie żółte ślepia. Drapał mnie, gdy chciałem wziąć go na rękę. Za to w nocy, zwinięty w kłębek, zalegał mi na piersi jak dławiąca masa, a ja śniłem, że umieram, że się duszę, przysypany stosem kamieni. Z moimi wspomnieniami było podobnie. Za pierwszym razem, gdy postanowiłem je spisać, wziąłem urlop. I to był chyba błąd. Wszystko zdawało się układać jak trzeba: kupiłem i przeczytałem sporo książek na interesujący mnie temat, aby odświeżyć pamięć, rozpisałem organigramy, ustaliłem szczegółową chronologię i tym podobne sprawy. Ale na urlopie nagle zacząłem mieć czas i dopadło mnie myślenie. W dodatku była jesień, brudny, szary deszcz ogołacał drzewa, powoli pogrążałem się w obawach. Uświadomiłem sobie, że myślenie nie jest niczym dobrym.

Mogłem się tego spodziewać. W opinii kolegów z pracy jestem człowiekiem spokojnym, zrównoważonym i rozsądnym. Tak, jestem spokojny, ale bardzo często, w ciągu dnia, moja głowa nagle zaczyna głucho huczeć, niczym piec krematoryjny. Rozmawiam, dyskutuję, podejmuję decyzje jak każdy, ale gdzieś przy barze, nad szklanką nagle, zaczynam wyobrażać sobie człowieka, który wchodzi z karabinem i otwiera ogień; w kinie albo w teatrze widzę, jak odbezpieczony granat toczy się pod rządami foteli; na placu publicznym, w świąteczny dzień, obserwuję eksplozję pojazdu wypełnionego amunicją, spokojne popołudnie zmienia się w jatkę, krew płynie po bruku, strzępy ciał kleją się do murów albo wylatują w powietrze i wpadają przez okna do talerzy z

niedzielną zupą, słyszę krzyki, jęki ludzi, których wyszarpane przez wybuch kończyny są jak odnóża owadów wyrwane przez ciekawskiego chłopaka, i słyszę tępe milczenie ocalałych, tę dziwną, wwiercającą się w uszy ciszę, zapowiedź długotrwałego strachu. Spokojny? Tak, zachowuję spokój, cokolwiek się zdarzy, nie pokazuję po sobie niczego, jestem milczący, niewzruszony jak nieme fasady miast dotkniętych klęską, jak staruszkowie na ławce w parku, przykuci do swych lasek i orderów, jak twarze nigdy nie odnalezionych topielców, tuż pod powierzchnią wody. Nie byłbym zdolny przerwać tego porażającego spokoju, nawet gdybym chciał. Nie jestem z tych, co awanturują się z byle powodu. A jednak to ciąży także i mnie. Obrazy, które opisałem, wcale nie są w tym wszystkim najgorsze; takie wizje nawiedzały mnie już dawno, chyba jeszcze w dzieciństwie, w każdym razie dużo wcześniej, zanim sam znalazłem się w centrum kaźni. W tym sensie wojna była tylko ich urzeczywistnieniem, a ja przyzwyczaiałem się do owych krótkich scenariuszy, sądzę, że trafnie komentują marność tego świata. Natomiast tym, co okazało się trudne i ciężkie, było zajmowanie się wyłącznie myśleniem. Zastanówcie się: o czym wy myślicie w ciągu dnia? O niewielu sprawach tak naprawdę. Stworzenie racjonalnej klasyfikacji waszych codziennych myśli byłoby łatwym zadaniem: myśli praktyczne lub mechaniczne, planowanie działań i czasu (przykład: wstawić wodę na kawę przed umyciem zębów, ale grzanki przyrządzić potem, bo będą gotowe szybciej), problemy w pracy, trudności finansowe, kłopoty domowe, fantazje seksualne. Oszczędzę wam szczegółów. Przy kolacji człowiek patrzy na starzejącą się twarz żony, która, to fakt, podnieca go o wiele mniej niż kochanka, ale pod każdym innym względem jest w porządku — cóż, takie jest życie — i zagaja na temat ostatniego kryzysu w rządzie. Akurat kryzys w rządzie obchodzi go tyle co nic, ale o czym tu rozmawiać? Pominąwszy myśli tego typu, zostaje niewiele, chyba każdy się ze mną zgodzi. Przytrafiają się, rzecz jasna, także inne chwile. Nieoczekiwanie pomiędzy dwie reklamy proszku do prania wciska się jakieś przedwojenne tango, powiedzmy *Violetta*, i oto powraca nocny plusk rzeki, lampiony tancbudy, lekka woń potu na skórze uszczęśliwionej kobiety; gdzieś, w bramie parku, uśmiechnięta twarz dziecka przywodzi komuś na myśl uśmiech syna z czasu, gdy stawiał pierwsze kroki; albo, na ulicy, promień słońca przebija się przez chmury i oświetla duże liście i białawy pień platanu. I nagle — wspomnienie własnego dzieciństwa, szkolne podwórko, zabawa w wojnę przy akompaniamencie okrzyków przerażenia i radości. Miewacie ludzkie myśli. Lecz to są rzadkie chwile.

Jeżeli człowiek zaniecha pracy, zwykłych czynności, codziennej bieganiny, żeby poważnie poświęcić się jednej tylko myśli, dzieje się coś odwrotnego. Wkrótce wszystko powraca, brudną i ciemną falą. Nocami sny burzą się, rozciągają, mnożą, a w głowie, po przebudzeniu, zostaje cierpki i wilgotny osad, który rozpuszcza się jeszcze długo potem. Zrozumcie: nie o poczucie winy, nie o wyrzuty sumienia tu chodzi. One zapewne istnieją, nie będę zaprzeczał, ale myślę, że to jest bardziej złożone. Nawet ktoś, kto nie był na wojnie i nie musiał zabijać, będzie doświadczał tego, o czym tutaj mówię. Powracają złośliwości, tchórzostwo i fałsz, nieprzyjemności, które dotyczą wszystkich. Nic dziwnego, że człowiek wynalazł pracę, alkohol, rozmowy o niczym. Nie dziwi ogromny sukces telewizji. Krótko mówiąc, szybko dałem sobie spokój z tym nieszczęsnym urlopem, tak było lepiej. Miałem wystarczająco dużo czasu na pisaninę, w porze obiadu albo wieczorem, po wyjściu sekretarek.

Chwila przerwy na wymioty i jestem z powrotem. To kolejna z moich małych przypadłości: zdarza mi się zwracać posiłki, czasem natychmiast, czasem trochę później, bez powodu, ot tak. Stary problem, mam to od wojny, zaczęło się jakoś jesienią, dokładnie w czterdziestym pierwszym, na Ukrainie, chyba w Kijowie, chociaż może i w Żytomierzu. O tym też na pewno opowiem. Tak czy inaczej przywykłem przez te wszystkie lata; myję zęby, łykam kieliszek alkoholu i podejmuję przerwana czynność. Wróćmy do moich wspomnień. Kupiłem kilka szkolnych zeszytów, duży format, mała kratka — trzymam je w biurku, w szufladzie zamykanej na klucz. Wcześniej sporządzałem ołówkiem notatki na fiszkach z brystolu, także w małą kratkę, ale teraz postanowiłem przepisać to wszystko za jednym zamachem. Po co to robię, nie wiem. Bo przecież nie dla potomności. Gdybym zmarł nagle, dajmy na to, na atak serca albo zator w mózgu, i gdyby moje sekretarki wzięły klucz i otworzyły tę szufladę, doznałyby, biedaczki, ciężkiego szoku, moja żona zresztą też: same fiszki wystarczyłyby aż nadto. Musiałyby to wszystko spalić, żeby uniknąć skandalu. Mnie tam obojętne, i tak bym już nie żył. Koniec końców, to nie dla was piszę, chociaż do was się zwracam.

Mój gabinet jest dobrym miejscem do pisania, duży, skromny, spokojny. Białe ściany, prawie bez dekoracji, gablota na próbki, a w głębi wielkie okno, przez które z góry widać całą produkcję. Pomimo podwójnego oszklenia dociera tu do mnie bezustanny stukot koronkarek Leaversa. Gdy chcę trochę pomyśleć, wstaję od biurka i podchodzę do szyby, patrzę na rzędy krosien u mych stóp, na pewne i precyzyjne ruchy tkaczy. Daję się

ukołysać. Czasem idę powłóczyć się między maszynami. Sala jest ciemna, zabrudzone okienka pomalowano na niebiesko, bo koronka jest delikatna, nie znosi światła dziennego, i ten niebieski półmrok koi mój umysł. Lubię zapomnieć się przez chwilę w monotonnym, rytmicznym biciu, które dominuje nad przestrzenią, w tych metalicznych uderzeniach na dwa, tak natarczywych. Krosna zawsze robią na mnie duże wrażenie. Są żeliwne, pomalowane na zielono, a każde waży dziesięć ton. Niektóre są bardzo stare, nie produkuje się ich już od dawna, części zamienne każę robić na zamówienie; po wojnie elektryczność zastąpiła napęd parowy, ale mechanizmy pozostały nietknięte. Nie podchodzę zbyt blisko, nie chcę się pobrudzić: wszystkie ruchome części muszą być stale smarowane, ale olej, naturalnie, zrujnowałby koronkę, dlatego używamy grafitu, sproszkowanego ołowiu, którym tkacz bez przerwy przesypuje elementy w ruchu, potrząsając pończochą niczym kadzielnicą. Koronka wysuwa się z krosien uczerniona, pył pokrywa ściany, sufit, maszyny i ludzi, którzy ich doglądają. Chociaż rzadko dotykam tych wielkich maszyn, znam się na nich bardzo dobrze. Pierwsze angielskie krosna tiulowe, zazdrośnie strzeżony sekret, zostały przemycone do Francji zaraz po wojnach napoleońskich przez robotników, którym udało się uniknąć opłat celnych. Mieszkaniec Lyonu, Jacquard, przystosował je do produkcji koronek, wprowadzając perforowane karty, od których zależy wzór. Nawoje na dole podają osnowę, w samym sercu krosna, na czółenku sankowym, ciśnie się pięć tysięcy cewek — to jest *dusza*. Dalej *catch-bar* przytrzymuje i wprawia w ruch owo czółenka, przy akompaniamencie głośnych, hipnotycznych uderzeń, w przód i w tył. Nici, podnoszone z boków przez utwierdzone w ołowiu miedziane *combs* (grzebienie), tworzą sploty według złożonej choreografii, zakodowanej na z górą pięciuset kartach Jacquarda; *gęsia szyjka* odciąga grzebienie, wreszcie wysuwa się koronka, pajęczka, intrygująca pod warstewką grafitu, i powoli nawija się na tamborek, zamocowany na szczycie krosien.

W fabryce panuje ścisła segregacja płciowa: mężczyźni tworzą wzory, perforują karty, nawijają osnowę, doglądają krosien i zarządzają innymi mężczyznami, którzy je obsługują; ich żony i córki ciągle jeszcze pilnują nawojów, są praczkami koronek, cerowaczkami, wyciągaczkami niepotrzebnych nitek i składaczkami. To bardzo silne tradycje. Koronkarze stanowią tutaj swoistą arystokrację wśród proletariatu. Nauka zawodu jest długa, praca misterna; w ubiegłym wieku koronkarze z Calais przyjeżdżali do fabryki powozami, w cylindrach na głowach i byli na „ty” z właścicielem. Czasy się

zmieniły. Wojna zrujnowała ten przemysł, bo czymże było kilka maszyn, pracujących wtedy na potrzeby Niemiec? Trzeba było wszystko zaczynać od zera. Dziś na Północy działa zaledwie kilka setek krosien, przed wojną były ich cztery tysiące. Nie zmienia to faktu, że gdy przyszło ożywienie gospodarcze, koronkarze kupili sobie samochody wcześniej niż wielu burżujów. Ale moi robotnicy nie są ze mną na „ty”. Nie sędzę, by mnie lubili. Nie szkodzi, nie wymagam tego od nich. Poza tym sam też ich nie lubię. Pracujemy razem i tyle. Jeśli pracownik jest sumienny i zaangażowany, a koronka, którą tka na swoim krośnie, wymaga niewielu napraw, to na koniec roku przyznaję mu premię; robotnika, który spóźnia się do pracy albo przychodzi pijany, po prostu karzę. W ten sposób się dogadujemy.

Zastanawiacie się być może, jak trafiłem ostatecznie do koronczarstwa. Handel nie był raczej moim przeznaczeniem. Studiowałem prawo i ekonomię polityczną, zrobiłem doktorat, w Niemczech litery *Dr. jur.* są integralną i legalną częścią mojego nazwiska. Prawda jest niestety taka, że pewne okoliczności trochę przeszkodziły mi w wykorzystywaniu dyplomu po roku 1945. Jeżeli już wszystko chcecie wiedzieć, to prawo też nie było moim przeznaczeniem: jako młodzieniec gorąco pragnąłem studiować literaturę i filozofię. Ale przeszkodzono mi w tym; kolejny smutny epizod mojej rodzinnej opowieści, być może do niego wrócę. Muszę jednak przyznać, że w koronczarstwie prawo przydaje się bardziej niż literatura. Było mniej więcej tak: gdy nareszcie nadszedł kres tego wszystkiego, udało mi się dotrzeć do Francji, gdzie podałem się za Francuza, co nie było zbyt trudne, zważywszy na panujący wtedy chaos; wróciłem wśród deportowanych, nikt mnie o nic specjalnie nie pytał. Po francusku mówiłem perfekcyjnie, a to dlatego, że miałem matkę Francuzkę i w młodości dziesięć lat spędziłem we Francji. Skończyłem tu gimnazjum, liceum i *classes préparatoires*, zrobiłem nawet dwa lata studiów wyższych w *École libre des sciences politiques*, a ponieważ dorastałem na Południu, mogłem dodatkowo przesadnie podkreślać tamtejszy akcent, chociaż i tak nikt nie zwracał na to uwagi — tam był istny burdel; przywitano mnie w Orsay miską zupy i porcją wyzwisk, bo muszę powiedzieć, że nie usiłowałem podawać się za powracającego z deportacji, ale za byłego robotnika obozu pracy przymusowej, a gaulliści niezbyt ich lubili, więc trochę mnie połajali, podobnie jak innych mojego pokroju, po czym puścili — nie było dla nas miejsca w Lutetii, ale za to odzyskaliśmy wolność. Nie zostałem w Paryżu, znałem tu zbyt wielu ludzi, w dodatku nie tych, co trzeba, wyjechałem więc na prowincję, miałem się

różnych zajęć, tu i tam. A potem wszystko się uspokoiło. Szybko zaprzestano egzekucji, nikt już nawet się nie fatygował, żeby wysyłać ludzi do więzień. Wtedy zacząłem szukać jednego z mych dawnych znajomych. Dobrze sobie poradził, bez żadnego uszczerbku przeszedł z jednej administracji do drugiej; jako człowiek zapobiegliwy bardzo dbał, aby nie afiszować się z usługami, które nam wyświadczał. Z początku nie chciał mnie przyjąć, ale gdy wreszcie dotarło do niego, kim jestem, zrozumiał, że właściwie nie ma wyboru. Nie powiem, że było to przyjemne spotkanie, obaj byliśmy wyraźnie zażenowani, skrepowani. Ale dobrze rozumiał, że zależy nam w zasadzie na tym samym: ja chciałem znaleźć pracę, on nie chciał stracić swojej. Miał kuzyna na Północy, byłego handlowca, który otwierał małą fabryczkę na trzy koronkarki Leaversa, odkupione od bankrutującej wdowy. To on mnie zatrudnił, musiałem jeździć i zabiegać o sprzedaż jego koronek. Nienawidziłem tej pracy. W końcu zdołałem go przekonać, że byłbym bardziej przydatny w pracach organizacyjnych. Rzeczywiście, miałem na tym polu znaczne doświadczenie, chociaż raczej nie mogłem się na nie powoływać, podobnie jak na doktorat. Fabryka zaczęła się rozrastać, głównie od lat pięćdziesiątych, kiedy nawiązałem kontakty z Republiką Federalną i zdołałem otworzyć dla nas rynek niemiecki. Mogłem wtedy bez przeszkód wrócić do kraju, wielu moich dawnych kolegów wiodło tam spokojne życie, niektórzy wprawdzie odbyli jakąś krótką karę, ale pozostałych nikt się nie czepiał. Z moim wykształceniem mógłbym odzyskać nazwisko, tytuł, mógłbym się domagać renty kombatanckiej i grupy inwalidzkiej, nikt by się niczego nie dopatrył. Szybko znalazłbym pracę. Ale, myślałem, co mi to da? Prawo było dla mnie równie słabą motywacją jak handel, a ja właśnie zacząłem przekonywać się do koronek, zachwycającego i harmonijnego ludzkiego dzieła. Gdy zakupiliśmy wystarczającą liczbę krosien, mój szef postanowił otworzyć drugą fabrykę i powierzył mi jej dyrekcję. Na tym stanowisku pozostaję do dziś, w oczekiwaniu na emeryturę. Przez ten czas zdążyłem się ożenić — przyznaję, zrobiłem to z niejaką odrazą, ale tu, na Północy, było to raczej konieczne, taki, powiedzmy, sposób na zabezpieczenie majątku. Wybrałem sobie żonę z dobrej rodziny, nawet ładną, taką jak trzeba, i zaraz zmajstrowałem jej dziecko, żeby miała zajęcie. Niestety, urodziła bliźniaki — obciążenie rodzinne, i to z mojej strony — a mnie akurat zdecydowanie wystarczyłby jeden bachor. Szef przyznał mi pożyczkę, kupiłem wygodny dom blisko morza. I w ten oto sposób wsiąknęłam w burżuazję. Zresztą tak było dla mnie najlepiej. Po tym wszystkim, co przeszedłem, potrzebowałem tylko spokoju i regularnego

trybu życia. Moim młodzieńczym marzeniom życie pogruchotało gnaty, a lęków pozbywałem się stopniowo, włóczęc się od krańca do krańca niemieckiej Europy. Wojna poczyniła we mnie wielkie spustoszenia — już tylko gorycz i długotrwały wstyd zgrzytały we mnie jak piasek między zębami. Dlatego tak odpowiadało mi życie według wszelkich społecznych konwencji: wygodne alibi, o którym jednakże często myślałem z ironią, a czasem i z nienawiścią. W tym rytmie życia mam nadzieję dostąpić kiedyś stanu łaski jak Hieronim Nadal i *nie być skłonny ku niczemu, chyba że ku temu, by nie być ku niczemu skłonny*. No proszę, znów wpadam w książkowy ton; to jedna z moich wad. Niestety, ze szkoda dla świętości, nie uwolniłem się całkiem od swoich potrzeb. Czasem jeszcze zdarza mi się uhonorować żonę, sumiennie, z niewielką przyjemnością, ale też bez większego obrzydzenia, po to tylko, by zapewnić sobie spokój w małżeństwie. Jednak, z rzadka, w podróżach służbowych zadaję sobie trud powrotu do dawnych zwyczajów — lecz i to właściwie tylko dla higieny. Te sprawy nie interesują mnie już tak bardzo. Ciało pięknego chłopca czy rzeźba Michała Anioła to jedno i to samo: już mi nie zapiera na ich widok tchu. To zupełnie jak po ciężkiej chorobie, kiedy pokarmy tracą smak: wołowina, kurczak, co za różnica? Jeść trzeba, i tyle. Prawdę mówiąc, niewiele rzeczy wzbudza jeszcze moje zainteresowanie. Może literatura, ale też nie jestem pewien, czy to po prostu przyzwyczajenie. Więc może właśnie po to spisuję te wspomnienia: żeby wzburzyć krew, sprawdzić, czy w ogóle jestem jeszcze zdolny cokolwiek poczuć, czy umiem jeszcze choć trochę cierpieć. Ciekawe ćwiczenie.

Cierpienie — powinienem przecież wiedzieć, czym jest. Wszyscy Europejczycy z mojego pokolenia musieli przez to przejść, ale ja bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że widziałem więcej niż większość. Poza tym ludzie szybko zapominają, stwierdzam to każdego dnia. Nawet ci, którzy tam byli, gdy o tym mówią, używają gotowych myśli i sformułowań. Wystarczy poczytać trochę marnej prozy niemieckich autorów, opisujących walki na Wschodzie: zbutwiały sentymentalizm, martwy, okropny język. Książki Herr Paula Carrella na przykład, autora, który odniósł sukces w ostatnich latach. Tak się składa, że poznałem tego Herr Carrella na Węgrzech, w czasach, gdy nazywał się jeszcze Paul Carl Schmidt i pisał pod egidą swego ministra von Ribbentropa, to, co myślał naprawdę, żywą i efektowną prozą: *Kwestia żydowska nie jest kwestią człowieczeństwa ani religii*. To wyłącznie kwestia higieny politycznej. A teraz szacowny Herr Carrell-Schmidt dokonuje wielkiego wyczynu, publikując cztery mdłe tomy o wojnie

w ZSRR, w których ani razu nie pada słowo *żyd*. Wiem, bo czytałem, było ciężko, ale jestem wytrwały. Nasi francuscy autorzy, cały ten Mabire i jemu podobni, też nie są więcej warci. Podobnie komuniści, mają tylko inny punkt widzenia. Gdzie się podziewają ci, co wyśpiewywali *ostrzcie długie noże na płytach chodnika*? Siedzą cicho albo nie żyją. Reszta gada, mizdrzy się, paprze w jałowym bagnie słów *chwała, honor, bohaterstwo* — jakież to męczące — a tak naprawdę nie mówią nic. Może jestem niesprawiedliwy, ale ośmielam się mieć nadzieję, że mnie rozumiecie. Telewizja bombarduje nas wielkimi liczbami o długich ogonach zer, ale kto z was kiedyś naprawdę pochylił się nad tymi cyframi i zastanowił się, co oznaczają? Kto choć raz spróbował policzyć wszystkich, których zna, albo kiedyś znał, i porównać ten śmieszny wynik z liczbami, które słyszymy w telewizji, z tymi słynnymi *sześcioma* czy też *dwudziestoma milionami*? Pobawmy się w matematykę. Matematyka jest użyteczna, otwiera nowe perspektywy, odświeża umysł. Takie ćwiczenia bywają czasem bardzo pouczające. Poproszę was o chwilę cierpliwości i uwagi. Skupię się tylko na dwóch obszarach, tych, na których odegrałem pewną rolę, jakkolwiek podrzędna by była: to wojna ze Związkiem Radzieckim i program eksterminacji, w naszych dokumentach zwany oficjalnie Ostatecznym Rozwiązaniem kwestii żydowskiej — *Endlösung der Judenfrage*, że zacytuję ten piękny eufemizm. Na frontach zachodnich straty były stosunkowo mniejsze. Moje dane wyjściowe są nieco arbitralne — nie mam wyboru, badacze nie doszli do porozumienia. Jako szacunek strat po stronie radzieckiej przyjmuję tradycyjną liczbę, podaną w 1956 roku przez Chruszczowa: dwadzieścia milionów, ale weźmy pod uwagę, że Reitlinger, renomowany badacz angielski, pisał tylko o dwunastu milionach, i że Erickson, badacz szkocki, równie, a może nawet bardziej renomowany, doliczył się minimum dwudziestu sześciu milionów; tak więc wyraźnie widać, że oficjalne dane sowieckie to niemal połowa obu tych szacunków, z milionowym marginesem błędu. Co do strat niemieckich — wyłącznie w ZSRR, ma się rozumieć — to możemy opierać się na jeszcze bardziej oficjalnej i po niemiecku precyzyjnej liczbie 6 172 373 żołnierzy, ofiar wojny na froncie wschodnim między 22 czerwca 1941 roku a 31 marca 1945 roku. Obliczenia te zaksięgowano w wewnętrznym raporcie OKH (Naczelnego Dowództwa Wojsk), odnalezionym już po wojnie, niemniej obejmują one zabitych (ponad milion), rannych (prawie cztery miliony) i zaginionych (czyli zabitych plus więźniów, plus zabitych więźniów, razem około 1 288 000). Żeby dojść szybko do dwóch milionów zabitych, bo ranni nas tutaj nie interesują, doliczmy

jeszcze mocno przybliżoną liczbę pięćdziesięciu tysięcy z hakiem dodatkowych ofiar z okresu pomiędzy 1 kwietnia a 8 maja 1945 roku, głównie z Berlina, a do tego dodajmy szacunkowy milion cywilów; którzy zginęli podczas nalotów na wschodnie Niemcy i późniejszych migracji ludności, czyli w sumie, dajmy na to, trzy miliony. W kwestii żydowskiej mamy wybór: liczba uświęcona — choć wielu ludzi nie wie, skąd się wzięła — wynosi sześć milionów (Höttl zeznał w Norymberdze, że słyszał ją od Eichmanna, z kolei Wisliceny twierdził, że Eichmann mówił swoim kolegom o pięciu milionach; sam Eichmann, gdy Żydzi mogli wreszcie zadać mu to pytanie osobiście, powiedział, że to było pięć-sześć milionów, ale raczej chyba pięć). Dr Korherr, który opracowywał statystyki dla Reichsführera-SS Heinricha Himmlera, 31 grudnia 1942 roku doliczył się nieco mniej niż dwóch milionów, ale przyznał mi, gdy rozmawiałem z nim w 1943 roku, że jego dane wyjściowe nie były wiarygodne. Wreszcie, bardzo szanowany profesor Hilberg, specjalista w tej dziedzinie, raczej niepodważany o stronnictwo, a już na pewno nie o postawę proniemiecką, pod koniec szczegółowej, dziewiętnastostronicowej analizy podaje liczbę 5 100 000, co z grubsza pokrywa się z opinią nieboszczyka Obersturmbannführera Eichmanna. Przyjmijmy więc wyliczenia profesora Hilberga, co daje nam następujące zestawienie:

Zabici po stronie radzieckiej	20 milionów
Zabici po stronie niemieckiej	3 miliony
Suma pośrednia (Front Wschodni)	23 miliony
<i>Endlösung</i>	5,1 miliona
Razem:	26,6 milionów, zważywszy na to, że 1,5 miliona Żydów zostało już wcześniej zaksięgowanych w rubryce „zabici po stronie radzieckiej” („Obywatele radzieccy, którzy zginęli z rąk germańsko-faszystowskiego najeźdźcy”, jak dyskretnie informuje napis na niezwykłym monumencie w Kijowie.)

A teraz obiecana matematyka. Konflikt zbrojny z ZSRR rozpoczął się 22 czerwca 1941 roku o trzeciej nad ranem, a oficjalnie zakończył 8 maja 1945 roku o godzinie 23.01, co daje nam trzy lata, dziesięć miesięcy, szesnaście dni, dwadzieścia godzin i jedną

minutę, czyli, zaokrąglając, 46,5 miesiąca, 202,42 tygodnia, 1417 dni, 34 004 godziny albo 2 040 241 minut (wliczając tę dodatkową jedną minutę). Przyjmijmy, że program zwany Ostatecznym Rozwiązaniem realizowano w tym samym przedziale czasowym; wcześniej niczego jeszcze nie postanowiono, niczego nie usystematyzowano, straty po stronie żydowskiej były dziełem przypadku. Połączmy teraz obie te kalkulacje: po stronie niemieckiej daje to 64 516 śmiertelnych ofiar miesięcznie, czyli 14 821 zabitych tygodniowo, czyli 2117 zabitych dziennie, 88 zabitych na godzinę i 1,47 zabitego na minutę, średnio w każdej minucie każdej godziny każdego dnia w każdym tygodniu każdego miesiąca każdego roku w ciągu trzech lat, dziesięciu miesięcy, szesnastu dni, dwudziestu godzin i jednej minuty. Po stronie żydowskiej, licząc także Żydów radzieckich, mamy około 109 677 śmiertelnych ofiar miesięcznie, czyli 25 195 zabitych tygodniowo, czyli 3599 zabitych dziennie, czyli 150 zabitych na godzinę, czyli 2,5 zabitego na minutę w okresie jak wyżej. Wreszcie, po stronie radzieckiej daje nam to jakieś 430 108 śmiertelnych ofiar miesięcznie, 98 804 zabitych tygodniowo, 14 114 zabitych dziennie, 588 ofiar na godzinę, albo 9,8 zabitego na minutę, okres jak wyżej. Średnia z łącznej sumy ofiar na polu mojego działania wynosi 572 043 zabitych miesięcznie, 131 410 zabitych tygodniowo, 18 772 zabitych dziennie, 782 zabitych na godzinę i 13,04 zabitych na minutę, w każdej minucie każdej godziny każdego dnia w każdym tygodniu każdego miesiąca każdego roku w danym okresie, wynoszącym, dla przypomnienia, trzy lata, dziesięć miesięcy, szesnaście dni, dwadzieścia godzin i jedną minutę. Ci, co kpili sobie z dodatkowej minuty, faktycznie jakby wstawionej tu ręką skrajnego pedanta, niech uświadomią sobie teraz, że przyniosła ona średnio 13,04 dodatkowych ofiar i niech wyobrażą sobie — jeżeli w ogóle są do tego zdolni — trzynaście osób z własnego otoczenia zabitych w ciągu jednej minuty. Możemy także wyliczyć odstęp między każdą kolejną śmiercią: daje nam to średnio jednego zabitego Niemca co 40,8 sekundy, jednego zabitego Żyda co 24 sekundy i jednego zabitego bolszewika co 6,12 sekundy, czyli średnio jedną ofiarę co 4,6 sekundy, wszystko w wyżej opisanym okresie. Teraz jesteście gotowi, opierając się na tych obliczeniach, sami przeprowadzić podobne, konkretne ćwiczenia na wyobraźnię. Na przykład, z zegarkiem w rękę, policzcie sobie: jeden trup, dwa trupy, trzy trupy... etc. co 4,6 sekundy (albo co 6,12 sekundy, co 24 sekundy czy co 40,8 sekundy, zależnie od preferencji), próbując „ujrzeć” je przed sobą kolejno: jeden, dwa, trzy trupy. Zobaczycie, to niezłe ćwiczenie

medytacyjne. Albo weźcie inną tragedię, bardziej współczesną, taką, która was mocno poruszyła, i zróbcie porównanie. Przykładowo, jeśli jest wśród was Francuz, to może zająć się ową drobną algierską przygodą, tak traumatyczną dla jego rodaków. W ciągu siedmiu lat straciliście tam 25 000 obywateli, wliczając przypadkowe śmierci: odpowiada to (nieco zaniżonej) liczbie zabitych w ciągu jednego dnia i trzynastu godzin na Froncie Wschodnim; albo liczbie ofiar żydowskich z około siedmiu dni. Nie liczę tu, oczywiście, zabitych Algierczyków; ponieważ nie mówicie o nich praktycznie nigdy, ani w książkach, ani w telewizji, nie są oni dla was chyba aż tak ważni. A na każdego z waszych zabitych przypada dziesięć ofiar po stronie algierskiej — wy je uśmierciliście, godny podziwu wysiłek, właściwie porównywalny z naszym. Tu przerwę, choć moglibyśmy jeszcze tak liczyć bardzo długo; namawiam was: kontynuujcie sami, aż do chwili, w której ziemia usunie się wam spod nóg. Ja nie mam takiej potrzeby, od dawna już myśl o śmierci jest mi „bliższa niż arteria mej szyi”, jak mówi piękne zdanie z Koranu. Gdyby kiedykolwiek udało się wam doprowadzić mnie do płaczu, moje łzy byłyby żrące jak kwas.

Z tego wszystkiego płynnie wniosek, pozwólcie, że zacytuję — to będzie ostatni cytat, przyrzekam — tę trafną myśl Sofoklesa: *Najprzedniejszą rzeczą nie żyć*. Schopenhauer zresztą pisał praktycznie tak samo: *Lepiej by było, żeby niczego nie było. Ponieważ na ziemi więcej jest bólu niż radości, wszelka satysfakcja jest tylko przejściowa, tworzy nowe pragnienia i nową rozpacz, a agonía pożeranego zwierzęcia jest największą przyjemnością pożerającego*. Są to — wiem, wiem — aż dwa cytaty, ale idea jedna: to prawda, żyjemy na najgorszym świecie z możliwych. Ale przecież wojna skończona. Wyciągnęliśmy wnioski z tej lekcji, to się więcej nie powtórzy. Jesteście pewni, że wyciągnęliśmy wnioski? Jesteście pewni, że się nie powtórzy? I w ogóle, jesteście pewni, że wojna skończona? W pewnym sensie wojna nie kończy się nigdy, albo też skończy się, kiedy ostatnie dziecko, urodzone w ostatnim dniu walk, dożyje spokojnie własnego pogrzebu, ale nawet wtedy wojna będzie trwać — w głowach jego dzieci, a potem w głowach dzieci tych dzieci, aż do chwili, w której dziedzictwo zblednie, wspomnienia się zatrą, a ból ustanie, chociaż wtedy nikt już nie będzie pamiętał o wojnie od lat, cała ta historia dawno znajdzie miejsce pośród starych legend, które nie nadają się nawet do straszenia dzieci, a już na pewno nie dzieci tych, co zginęli, ani tych, którzy pragnęliby nimi być (tymi, co zginęli, rzecz jasna).

Chyba wiem, co myślicie: to wstrętny człowiek, człowiek zły, po prostu łajdak pod każdym względem, powinien gnić w więzieniu, a nie zamećzać nas tutaj niejasną filozofią na wpół skruszonego byłego faszysty. Co do faszyzmu — nie wrzucamy wszystkiego do jednego worka, a co do mojej odpowiedzialności karnej, to jeszcze wam nic o niej nie opowiadałem; jeśli zaś chodzi o odpowiedzialność moralną, pozwólcie, że podzielę się kilkoma przemyśleniami. Filozofowie polityczni zwykli mawiać, że w czasie wojny obywatel, w każdym razie obywatel płci męskiej, traci jedno ze swoich najbardziej elementarnych praw, czyli prawo do życia, a dzieje się tak od czasów rewolucji francuskiej, kiedy wprowadzono pobór powszechny, zasadę, która współcześnie przyjęła się wszędzie albo prawie wszędzie. Ale rzadko zdarzało im się zauważać, że ten sam obywatel traci jednocześnie jeszcze inne prawo, równie elementarne, a jemu samemu nawet bardziej potrzebne do zachowania tego, co wiąże się z własną opinią o sobie jako o człowieku cywilizowanym: prawo do tego, by nie zabijać. Nikt was nie pyta o zdanie. Człowiek stojący nad zbiorową mogiłą zazwyczaj nie prosił, żeby tam stanąć, tak samo jak człowiek martwy lub konający nie prosił, aby znaleźć się na dnie owej mogiły. Powiecie mi teraz, że zabić żołnierza w walce to nie to samo, co zabić bezbronnego cywila; prawo wojenne zezwala na pierwsze, ale nie na drugie, podobnie zbiorowa moralność. Rzeczywiście, niezły abstrakcyjny argument, ale niestety, w żaden sposób nie przystaje do okoliczności omawianego tu konfliktu. Całkowicie arbitralne rozróżnienie — ustanowione po wojnie, pomiędzy „operacjami militarnymi” z jednej strony, które odpowiadają podobnym działaniom w każdym innym konflikcie zbrojnym, a z drugiej — „okrucieństwami”, dokonywanymi przez mniejszość złożoną z sadystów i zwyrodnialców — jest, i zamierzam tego dowieść, pokrzepiającą fantazją zwycięzców, i to, muszę uściślić, zwycięzców zachodnich, bo Sowieci, na przekór swej retoryce, zawsze rozumieli, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi: Stalin, po maju 1945 i po wykonaniu serii kurtuazyjnych gestów ku uciesze publiki, do upadłego bezkarnie kpił sobie z iluzorycznej „sprawiedliwości”. On chciał siły, konkretnego, niewolników i surowca, żeby wznosić i odbudowywać; na co mu były wyrzuty sumienia, na co lamenty, przecież wiedział tak samo dobrze jak my, że zmarli nie słyszą płaczu, a wyrzutów sumienia nie można włożyć do garnka. Nie powołuję się tu na *Befehlnotstand*, posłuszeństwo rozkazom, cenny argument naszych świetnych niemieckich adwokatów. Wszystko, co robiłem, robiłem z całkowitą znajomością rzeczy, przekonany, że należy to do moich obowiązków i że jest to

konieczne, jakkolwiek nieprzyjemne i nieszczęśliwe by było. Na tym także polega wojna totalna: ktoś taki jak cywil przestaje istnieć i jedyna różnica pomiędzy zagazowanym lub zastrzelonym dzieckiem żydowskim a dzieckiem niemieckim, które zginęło od przypadkowej bomby, polega na użytych środkach; obie te śmierci są jednakowo niepotrzebne, żadna z nich nie skróciła wojny choćby o sekundę, ale w obu przypadkach człowiek lub ludzie, którzy te dzieci zabili, sądzili, że było to sprawiedliwe i konieczne, a skoro się pomylili, to kogo potępiać? To, co mówię, pozostanie prawdziwe, nawet jeśli w sposób sztuczny oddzielimy od wojny działanie, które żydowski adwokat Lemkin nazwał ludobójstwem, chociaż zauważamy, że przynajmniej w naszym stuleciu nie było jeszcze nigdy ludobójstwa bez wojny, że ludobójstwo bez wojny nie istnieje i że, tak jak w wypadku wojny, mamy do czynienia ze zjawiskiem zbiorowym: nowoczesne ludobójstwo jest procesem wymierzonym przeciwko masom, przez masy i dla mas. To także, w omawianym przez nas przypadku, proces uzależniony od wymogów metod przemysłowych. Podobnie jak, według Marksa, robotnik działa w oderwaniu od produktów swojej pracy, w przypadku ludobójstwa albo wojny totalnej w jej nowoczesnym kształcie egzekutor jest wyobcowany w stosunku do efektu swojego działania. To stwierdzenie odnosi się nawet do chwili, w której człowiek przystawia lufę do skroni innego człowieka i naciska spust. Bo przecież ofiarę doprowadzili do niego inni ludzie, o jej śmierci zdecydowali jeszcze jacyś inni, a ten, który strzela, wie, że jest tylko ostatnim ogniwem długiego łańcucha i że nie musi mieć w związku z tym wątpliwości większych niż członek plutonu egzekucyjnego, który w cywilu strzela do kogoś skazanego zgodnie z obowiązującym prawem. Strzelec wie, iż o tym, że strzela, zdecydował przypadek, podobnie jak o tym, że jego towarzysz stoi na warcie, a jeszcze inny prowadzi transporter. W dodatku potem będzie mógł zamienić się miejscami z wartownikiem czy kierowcą. Inny przykład, zaczerpnięty raczej z obfitej literatury historycznej aniżeli z moich własnych doświadczeń: program eksterminacji ludzi głęboko upośledzonych umysłowo, zwany akcją Eutanazja lub T-4, wprowadzony na dwa lata przed Ostatecznym Rozwiązaniem. „Pacjenci”, selekcjonowani w ramach legalnego zarządzenia, byli przyjmowani w placówce przez zawodowe pielęgniarki, które rejestrowały ich i rozbierały, lekarze badali ich i odprowadzali do zamkniętej komory, potem jeden pracownik otwierał gaz, inni sprząтали po wszystkim, policjant wypisywał świadectwa zgonu. Każda z tych osób, przesłuchiwana po wojnie, dziwiła się: „Ja, winny?”.

Pielegniarka nikogo nie zabiła, ona tylko rozbierała i uspokajała chorych, rutyna w jej zawodzie. Lekarz też nie zabijał, po prostu stawiał diagnozę według kryteriów ustalonych przez inną instancję. Pracownik, który odkręcał kurek gazu, choć był najbliżej zbrodni zarówno w czasie, jak i w przestrzeni, pełnił funkcję techniczną pod kontrolą przełożonych i lekarzy. Robotnicy, którzy sprząтали komorę gazową, wykonywali konieczne, a w dodatku odrażające prace dezynfekcyjne. Policjant postępował zgodnie z procedurą, polegającą na stwierdzeniu zgonu i zapisaniu, że doszło do niego bez pogwałcenia obowiązującego prawa. Więc kto jest winny? Wszyscy czy nikt? Dlaczego wina robotnika pracującego przy kurku z gazem miałaby być większa od winy robotnika pracującego w kotłowni, w ogrodzie, przy samochodach? Podobnie rzecz się ma na wszystkich innych polach tego ogromnego przedsięwzięcia. Choćby taki zwrotnicowy na trasie kolei, czy jest winny śmierci Żydów, których pokierował do gazu? To funkcjonariusz publiczny, pracuje w tym zawodzie od dwudziestu lat, nastawia zwrotnice według planu, nie musi wiedzieć, kto jedzie pociągiem. To nie jego wina, że Żydzi są transportowani z punktu A, przez zwrotnicę, którą ustawia, do punktu B, gdzie są zabijani. A przecież zwrotnicowy odgrywa kluczową rolę w procesie eksterminacji: gdyby nie on, pociąg z Żydami nie dotarłby do punktu B. Podobnie funkcjonariusz, który ma obowiązek rekwirowania mieszkań na potrzeby poszkodowanych podczas bombardowań, drukarz, który przygotowuje nakazy deportacji, dostawca betonu albo drutu kolczastego dla SS, podoficer intendent dostarczający benzynę dla Teilkommando SP, i Bóg w niebie, który na to wszystko pozwala. Ma się rozumieć, można dość precyzyjnie wyznaczyć poziomy odpowiedzialności karnej, które umożliwią skazanie jednych i rzucenie innych na pastwę własnych sumień, chociaż niewielu już chyba zostało takich, którzy je w ogóle mają; jest to o tyle prostsze, że tworzy się paragrafy na fakty dokonane, jak w Norymberdze. Ale nawet tam działano bez ładu i składu. Bo dlaczego powieszono Streichera, tego słabowitego garbusa, a złowrogięgo von dem Bacha-Zelewskiego — nie? Dlaczego powieszono mojego dowódcę, Rudolfa Brandta, a jego dowódcę, Wolffa — nie? Dlaczego powieszono ministra Fricka, a jego podwładnego, Stuckarta — nie, pomimo że wykonywał za niego całą robotę? Szczęśliwy człowiek z tego Stuckarta, ręce miał zabrudzone tylko atramentem, nigdy krwią. Podkreślam raz jeszcze: nie usiłuję wam wmówić, że nie jestem winny tego czy tamtego czynu. Jestem winny, wy nie jesteście, to świetnie. Ale przecież musicie umieć powiedzieć sobie, że na moim miejscu robilibyście

to samo. Być może z mniejszą gorliwością, ale może też z mniejszą rozpaczą, niemniej, w ten czy inny sposób — robilibyście to samo. Myślę, że mam prawo przyjąć za fakt potwierdzony przez historię współczesną, iż wszyscy, no, może prawie wszyscy, w danych okolicznościach robiliby to, co im się każe. Wybaczcie, ale marne macie szanse, żeby być wyjątkiem od tej zasady, nie większe niż ja. Jeżeli urodziliście się w kraju lub w epoce, w której nie tylko nikt nie zabija waszych żon i dzieci, lecz także nikt nie każe wam zabijać dzieci i żon innych ludzi, chwalcie Boga i idźcie w pokoju. Ale w głowach niech na zawsze pozostanie wam ta myśl: macie być może więcej szczęścia ode mnie, ale nie jesteście ode mnie lepsi. Bo niebezpiecznie robi się od chwili, w której arogancko pozwolicie sobie na to poczucie. Lubimy przeciwstawiać Państwo, totalitarne lub nie, zwyczajnemu człowiekowi, pluskwie albo trzcinnie. Ale zapominamy przy tym, że Państwo tworzą ludzie, mniej lub bardziej zwyczajni, a każdy ma swoje życie, swoją historię i seria przypadków decyduje o tym, że któregoś dnia jedni znajdą się po dobrej stronie karabinu albo kartki papieru, a inni — po złej. Ta droga bardzo rzadko jest przedmiotem wyboru czy predyspozycji. Ofiary, w zdecydowanej większości, nie były torturowane lub zabijane za swą dobroć, tak jak kaci nie maltretowali ich dlatego, że sami byli źli. Naiwny byłby ten, kto by w to wierzył, wystarczy zetknąć się z jakimkolwiek aparatem biurokracji, choćby z Czerwonym Krzyżem, żeby przekonać się, jak jest. Zresztą Stalin elokwentnie dowiódł prawdziwości moich tez, zamieniając każde pokolenie katów w ofiary następnego pokolenia, co nie zmienia faktu, że katów nie brakowało mu nigdy. Tak więc machina państwowa usypana jest z takiego samego piachu, jaki sama, ziarnko po ziarnku, miazdzy. Istnieje, bo wszyscy, nawet jej własne ofiary, zgadzają się na jej istnienie, i to często do ostatniej minuty życia. Bez Hössów, Eichmannów, Goglidzów, Wyszynskich, ale także bez zwrotnicowych, bez producentów betonu i ministerialnych księgowych taki Stalin czy Hitler byłby tylko bukłakiem przepełnionym bezsilną nienawiścią i grozą. Stwierdzenie, że w znakomitej większości decydenci w procesie eksterminacji nie byli sadystami ani psychopatami, ociera się dziś o banał. Owszem, byli też sadyści i zwyrodnialcy, jak to na wojnie, i dopuścili się bezimiennych okrucieństw, to prawda. Prawdą jest też, że SS mogła bardziej się starać, sprawdzając swoich ludzi, choć i tak robiła to dokładniej, niż się powszechnie sądzi; to nie takie proste, spytajcie francuskich generałów; nieźle się namęczyli w Algierii ze swoimi oficerami — pijakami, gwałcicielami i zabójcami. Ale problem polega na czymś innym. Zwyrodnialcy są i byli, zawsze i wszędzie. Na naszych

spokojnych przedmieściach aż się roi od pedofilów i psychopatów, w naszych noclegowniach pełno jest wściekłych megalomanów i niektórzy rzeczywiście sprawiają problemy, zabijają dwie, trzy, dziesięć, czasem pięćdziesiąt osób — a to samo Państwo, które wcześniej, bez mrugnięcia okiem, posługiwało się nimi w czasie wojny, teraz rozgniała ich, jakby byli opitymi krwią komarami. Tacy chorzy są bez większego znaczenia. Zwyczajni ludzie, z których składa się Państwo — zwłaszcza w niepewnych czasach — oto prawdziwe niebezpieczeństwo. Prawdziwym zagrożeniem dla człowieka jestem ja, jesteście wy. I jeśli nie przekonałem was, lepiej nie czytajcie dalej. Niczego nie zrozumiecie i będziecie się tylko oburzać, bez żadnej korzyści dla siebie i dla mnie.

Tak jak większość ludzi, nigdy nie prosiłem się, by zostać zbrodniarzem. Gdybym mógł, jak już mówiłem, zająłbym się literaturą. Pisałbym, gdybym miał talent, a jeśli nie — to może bym uczył, a w każdym razie żyłbym pośród rzeczy pięknych i spokojnych, najwspanialszych dzieł ludzkiego umysłu. Bo kto, prócz wariatów, z własnej woli wybiera zbrodnię? Poza tym chciałem grać na fortepianie. Kiedyś, podczas koncertu, pochyliła się ku mnie starsza pani: „Jest pan pianistą, prawda?”. — „Niestety, *madame*, nie jestem”, musiałem odpowiedzieć z żalem. I nawet teraz świadomość, że nie gram na fortepianie i nigdy grać nie będę, dławi mnie, czasem bardziej nawet niż wszystkie inne ohydne rzeczy, czarny nurt mojej przeszłości, który mnie niesie przez życie. Dosłownie nie mogę się temu nadziwić. Gdy byłem mały, matka kupiła mi pianino. Na dziewiąte urodziny, o ile dobrze pamiętam. Albo na ósme. W każdym razie zanim jeszcze wyjechaliśmy do Francji, żeby zamieszkać z tym Moreau. Błagałem ją o to od miesięcy. Marzyłem, by zostać pianistą, wielkim pianistą koncertowym, marzyłem, by spod mych palców tryskały katedry dźwięków, lekkich jak bańki mydlane. Ale nie mieliśmy pieniędzy. Nieco wcześniej zostawił nas ojciec, jego konta (jak się później dowiedziałem) były zablokowane, matka musiała sobie radzić sama. Zdobyła jednak pieniądze, nie wiem, jak jej się to udało, musiała oszczędzać albo pożyczyć, może się nawet prostytutuowała, nie wiem, to bez znaczenia. Wiem jedno: żywiła wobec mnie pewne ambicje, chciała pielęgnować moje talenty. I tak, w dzień moich urodzin, zjawiło się u nas pianino, bardzo piękne pianino. Chociaż używane, musiało sporo kosztować. Z początku byłem oczarowany. Zacząłem brać lekcje. Jednak brak postępów szybko ostudził mój zapał i porzuciłem granie. Ćwiczenie gam nie odpowiadało moim fantazjom, byłem taki jak wszystkie dzieci. Matka nigdy nie śmiała wypominać mi niefrasobliwości i lenistwa, ale wyobrażam sobie, jak

bardzo musiała jej doskwierać świadomość zmarnowanych pieniędzy. Pianino stało się siedliskiem kurzu, siostra interesowała się nim mniej więcej tak samo jak ja; zapomniałem o nim i ledwo zauważyłem jego brak, gdy matka je sprzedała, najprawdopodobniej ze stratą. Nigdy naprawdę nie kochałem matki, wręcz ją nienawidziłem, ale na myśl o tym incydencie robi mi się jej żal. Zresztą, jest w tym nieco i jej winy. Gdyby nalegała, gdyby w odpowiednich momentach potrafiła być surowa, mógłbym nauczyć się grać na pianinie i ta umiejętność byłaby moją wielką radością, bezpiecznym schronieniem. Mógłbym grać dla siebie, w domu, to by mi wystarczyło. Oczywiście często słucham muzyki, z wielką przyjemnością, ale to nie to samo, to tylko substytut. Podobnie jak moje męskie miłości; prawda jest taka, i nie rumienię się, gdy ją wyznaję, że chyba bym wolał być kobietą. Niekoniecznie żywą i aktywną, jakąś żoną, matką; nie, nagą kobietą, leżącą na plecach z rozłożonymi nogami, przygniecioną ciężarem męskiego ciała, szczepioną z mężczyzną, penetrowaną przez niego, zatopioną w nim, i zamienioną w bezkresne morze, w którym i on tonie, w którym rozkosz nie ma końca i nie ma początku. Ale nie było mi dane. Zamiast tego zostałem prawnikiem, funkcjonariuszem służb bezpieczeństwa, oficerem SS, a wreszcie dyrektorem fabryki koronek. Smutne, ale cóż począć.

To, co napisałem, jest szczere, lecz prawdą jest również, że kochałem w życiu kobietę. Jedną jedyną, ale za to bardziej niż cokolwiek na świecie. Tylko że ona była tą zakazaną. Jest wielce prawdopodobne, że w moich marzeniach o byciu kobietą, o kobiecym ciele, ciągle szukałem właśnie jej, pragnąłem się do niej zbliżyć, pragnąłem być jak ona, pragnąłem być nią. Faceci, z którymi sypiałem... nigdy nie pokochałem żadnego z nich, ani jednego, wykorzystywałem ich, wykorzystywałem ich ciała, to wszystko. Jej miłość wystarczyłaby mi na całe życie. Nie śmieście się: ta miłość to prawdopodobnie jedyna dobra rzecz, do jakiej byłem zdolny w życiu. Wszystko to, myślicie pewnie, jest dość dziwne jak na oficera Schutzstaffel. Ale niby dlaczego SS-Obersturmbannführer nie może mieć życia wewnętrznego, pragnień, namiętności, jak każdy mężczyzna? Tych, których ciągle jeszcze sądzicie jak kryminalistów, były setki, tysiące, a wśród nich, tak jak pośród wszystkich śmiertelników, byli ludzie zwyczajni, to prawda, ale też i niezwykli, artyści, ludzie kultury, neurotycy, homoseksualiści, mężczyźni zakochani we własnych matkach, i sam nie wiem jacy jeszcze, lecz co z tego? Żaden nie był większym „odmieńcem” niż jakikolwiek inny człowiek w jakimkolwiek innym zawodzie. Istnieją biznesmeni, którzy lubią dobre wino i cygara, biznesmeni opętani żądzą pieniędzy, ale i

biznesmeni, którzy przed wyjściem do pracy wciskają sobie w odbyty wibrator, a ich trzyczęściowe garnitury zakrywają obsceniczne tatuaże. Wydaje się nam to oczywiste, więc dlaczego w SS albo Wehrmachcie nie mogłoby być podobnie? Nasi wojskowi lekarze dużo częściej, niż myślicie, znajdowali damską bieliznę pod rozcinanymi mundurami rannych. Wyznanie, że byłem „inny”, nie znaczy zupełnie nic. Żyłem, miałem pewną przeszłość, obciążającą i przykrą — bywa i tak — ale dawałem sobie z nią radę, jak umiałem. Nadeszła wojna, więc służyłem, rzucony w samo serce okrucieństwa, potworności. Nie zmieniłem się, pozostałem tym samym mężczyzną, moje stare problemy nie znikły, chociaż wojna przysporzyła mi nowych, chociaż cała ta niegodziwość wycisnęła na mnie piętno. Istnieją mężczyźni, dla których wojna, czy choćby zbrodnia, jest rozwiązaniem, ale ja do nich nie należę, dla mnie, jak dla większości ludzi, wojna i zbrodnia są pytaniem, pytaniem bez odpowiedzi — gdy wykrzykujemy je nocą, nikt się nie odzywa. Jedna rzecz pociąga za sobą drugą. Zaczynałem w ramach służby, a potem, pod presją wydarzeń, szybko przekroczyłem te ramy; wszystko to jest ze sobą powiązane, bardzo mocno powiązane: udowodnienie, że nawet bez wojny i tak sięgnąłbym dna, jest niemożliwe. To się mogło stać, ale i nie musiało, może znalazłbym inne rozwiązanie. Nikt tego nie potrafi orzec. Pisał Mistrz Eckhart: *Anioł ku Piektu leci na swym rajskim obłoku*. Zawsze wiedziałem, że prawdziwa jest także odwrotność tego stwierdzenia, że demon leci do Raju w samym środku swego piekielnego obłoku. Nie sądzę jednak, bym to ja był tym demonem. Wszystkie czyny popełniłem w imię pewnych racji — dobrych czy złych, tego nie wiem, ale zawsze były to racje ludzkie. Ci, którzy zabijają, są ludźmi, podobnie jak ci, którzy są zabijani — to jest w tym wszystkim najgorsze. Nigdy nie będziecie mogli powiedzieć: nie zabiję, to niemożliwe; jedyne, co możecie powiedzieć, to: mam nadzieję nie zabijać. Ja też miałem taką nadzieję, chciałem wieść życie dobre i pożyteczne, być jednym z wielu, równy innym ludziom, ja też chciałem dołożyć cegiełkę do wspólnego dzieła. Ale te nadzieje zostały pogrzebane. Posłużono się moją naiwnością do stworzenia czegoś innego, co okazało się złe i chore, *przekroczyłem ciemne wiry* — całe to zło stało się częścią mojego życia, i niczego już nie da się naprawić, nigdy. Słowa też już nie przydają się do niczego, nikną, wsiąkają jak woda w piasek, a piasek wypełnia mi usta. Żyję, robię, co mogę, tak samo jak wszyscy, jestem człowiekiem jak inni, jestem człowiekiem jak wy. Zacznijmy więc, skoro mówię, że jestem taki jak wy!

Almandy I i II

Przez granicę przerzucono pontonowy most. Przy nim, skąpane w szarych wodach Bugu, wynurzały się powykręcane przęsła stalowego mostu, który Sowieci wysadzili w powietrze. Nasi saperzy zbudowali nowy w ciągu jednej nocy, tak mówiono, a niewzruszeni żandarmi polowi, których półkoliste ryngrafy błyszczały w promieniach słońca, kierowali teraz ruchem tak pewnie, jak gdyby ciągle jeszcze byli u siebie. Wehrmacht miał pierwszeństwo, nam kazali poczekać. Patrzyłem na wielką leniwą rzekę, spokojne zagajniki na jej drugim brzegu, tłum na moście. Potem przyszła nasza kolej, a zaraz po drugiej stronie zaczynała się parada wraków radzieckich maszyn: ciężarówki, spalone i pozgniatane, czołgi wypatroszone niczym konserwy, wagony artyleryjskie zwinięte jak płody, poprzewracane, porozrywane, stopione w jeden, nieskończenie długi i zwęglony pas nieregularnych stosów wzdłuż poboczy. W oddali, we wspaniałym letnim słońcu, migotały lasy. Ziemna droga była wyczyszczona, ale pozostały na niej ślady po wybuchach, wielkie plamy oleju, rozrzucone odłamki. A potem wyrosły pierwsze zabudowania Sokala. W centrum miasta, w kilku punktach, spokojnie dogorywał ogień; zwęglone ciała, większość w cywilnych ubraniach, tarasowały część drogi, wplątane w ruiny i gruz. Naprzeciw, w parku, w cieniu drzew stały w równych rzędach białe krzyże z osobliwymi daszkami. Dwóch niemieckich żołnierzy malowało na nich nazwiska. Tu się zatrzymaliśmy, a Blobel razem ze Strehlkiem, naszym intendentem, poszli do kwatery głównej. Słodkawy zapach, trochę mdły, mieszał się z gryzącym dymem. Blobel wrócił dość szybko: „W porządku. Strehlke przygotowuje kwatery. Za mną”.

AOK* umieściła nas w jakiejś szkole. „Przykro mi — tłumaczył się niski intendent w pogniecionym *feldgrau*. Ciągłe jeszcze wszystko tu organizujemy. Ale przysłemy wam racje żywnościowe”. Nasz drugi dowódca, von Radetzki, elegancki Bałt, machnął dłonią w rękawiczce i uśmiechnął się: „Nic nie szkodzi. I tak tu nie zostaniemy”. Nie było łóżek, ale przynieśliśmy ze sobą koce, żołnierze przycupnęli na małych uczniowskich krzeselkach. Było nas pewnie około siedemdziesięciu. Wieczorem rzeczywiście przynieśli nam zupę z kapusty i kartofli, całkiem wystygłą, a do tego surową cebulę i bloki czarnego, lepkiego chleba, który sechł natychmiast po ukrojeniu. Byłem głodny, jadłem go,

* W powieści występują — nie tłumaczone przez autora — nazwy związane z wojskiem, administracją i ideologią III Rzeszy. Słownik najczęściej pojawiających się nazw i pojęć, tabela stopni wojskowych oraz źródła cytatów zostały umieszczone na końcu książki.

maczając w zupie, i zagryzałem cebulą. Von Radetzki zorganizował wartę. Noc minęła spokojnie.

Rano Standartenführer Blobel, nasz dowódca, zwołał Leiterów, żeby pójść z nimi do kwatery głównej. Leiter III, mój bezpośredni przełożony, chciał zostać i napisać raport, więc na swoje miejsce wysłał mnie. Sztab Generalny 6. Armii, AOK 6, któremu podlegaliśmy, zajmował przestronny austro-węgierski gmach o fasadzie pomalowanej na wesoły pomarańcz, osadzony na kolumnach, ozdobiony stiukami, cały w drobnych odpryskach. Przywitał nas jakiś Oberst, najwyraźniej znajomy Blobela: „Generalfeldmarschall pracuje na zewnątrz. Proszę za mną”. Prowadził nas w stronę dużego parku, który ciągnął się od budynku aż po zakole Bugu poniżej. Pod samotnym drzewem maszerował wielkimi krokami mężczyzna w stroju kąpielowym, otoczony brzęczącą zgrają oficerów w poplamionych potem mundurach. Odwrócił się w naszą stronę. „A, Blobel! Dzień dobry, meine Herren!” Zasalutowaliśmy: był to Generalfeldmarschall von Reichenau, naczelny dowódca armii. Jego wypięty i owłosiony tors emanował wprost wigorem; słynny monokl — wciśnięty w tłuszcz, który, kontrastując z umięśnioną sylwetką, zalewał delikatne, pruskie rysy jego twarzy — błyszczał w słońcu, niedorzeczny, niemal śmieszny. Wydając precyzyjne, wręcz drobiazgowo instrukcje, kontynuował swój rwany marsz w tę i z powrotem. Musieliśmy za nim chodzić, było to dość zniechęcające; zderzyłem się z jakimś majorem i nie zrozumiałem zbyt wiele z wywodów dowódcy. W końcu stanął, żeby nas odprawić. „Ach! Jeszcze jedno. Pięć karabinów na Żyda to za dużo. Nie macie tylu ludzi. Dwa karabiny na jednego skazańca wystarczą. Co do bolszewików, jeszcze się zobaczy. Jeżeli to kobiety, to możecie użyć całego plutonu egzekucyjnego”. Blobel zasalutował. „*Zu Befehl*, Herr Generalfeldmarschall”. Von Reichenau stuknął gołymi piętami i wyciągnął ramię: „*Heil Hitler!*”. — „*Heil Hitler!*”, odpowiedzieliśmy chórem i zrobiliśmy w tył zwrot.

Sturmbannführer dr Kehrig, mój przełożony, wysłuchał raportu z kwaśną miną. „Tylko tyle?” — „Nie dosłyszałem wszystkiego, Herr Sturmbannführer”. Naburmuszył się, cały czas przekładając bezmyślnie papiery na biurku. „Nie rozumiem. To w końcu kto nam wydaje rozkazy? Reichenau czy Jeckeln? A Brigadeführer Rasch, gdzie on jest?” — „Nie wiem, Herr Sturmbannführer”. — „Niezbyt dużo pan wie, Obersturmführer. Odmaszerować”.

Na drugi dzień Blobel wezwał wszystkich swoich oficerów. Wcześniej rano dwudziestu żołnierzy wyjechało z Callsenem. „Wysłałem ich do Łucka, razem z Vorkommando. Reszta Kommando podąży za nimi za dzień albo dwa. Chwilowo tam właśnie założymy kwaterę główną. AOK też zostanie przeniesiona do Łucka. Nasze dywizje szybko posuwają się naprzód. Trzeba się wziąć do pracy. Czekamy na Obergruppenführera Jeckelna, który ma nas poinstruować”. Jeckeln, weteran Partii, czterdziestosześcioletek, pełnił funkcję Höhere SS und Poizeiführer na południową Rosję, a więc wszystkie formacje SS w strefie, w tym także nasza, były mu podległe w ten czy inny sposób. Jednak kwestia łańcucha dowódców nie dawała Kehrigowi spokoju: „To znaczy, że jesteśmy pod kontrolą Obergruppenführera?”. — „Z administracyjnego punktu widzenia podlegamy 6. Armii. Ale z punktu widzenia taktyki rozkazy wydaje nam RSHA, za pośrednictwem Gruppenstab, oraz HSSPF. Czy to jasne?” Kehrig pokręcił głową i westchnął: „Nie do końca, ale przypuszczam, że te szczegóły staną się z czasem bardziej zrozumiałe”. Blobel poczerwieniał: „Ale przecież wszystko zostało panu wyjaśnione w Pretzsch, do diabła!”. Kehrig pozostał niewzruszony. „W Pretzsch, Herr Standartenführer, nie wyjaśniono nam absolutnie niczego. Częstoowano nas przemówieniami i kazano nam ćwiczyć. To wszystko. Przypomnę panu, że na spotkanie z Gruppenführerem Heydrichem, w zeszłym tygodniu, przedstawiciele SD nie zostali zaproszeni. Jestem pewien, że były ku temu ważne powody, ale prawda jest taka, że zupełnie nie wiem, co, oprócz pisania raportów o morale i postawie ludzi z Wehrmachtu, powinienem tu robić”. Odwrócił się do Vogta, Leitera IV: „Pan był na tym spotkaniu. Jeżeli więc ktoś objaśni nam nasze obowiązki, to będziemy je wykonywać”. Vogt pukał w stół wiecznym piórem, wyraźnie zażenowany. Blobel przygryzał wewnętrzną stronę policzków i wbijał czarne oczy w jakiś punkt na ścianie. „Dobrze, warknął w końcu. Obergruppenführer będzie tu dziś wieczorem. Jutro wszystko się wyjaśni”.

To niewiele wnoszące spotkanie odbyło się prawdopodobnie 27 czerwca, bo nazajutrz zwołano nas na wystąpienie Obergruppenführera Jeckelna, a według książek, którymi dysponuję, przemówienie to faktycznie miało miejsce dwudziestego ósmego. Jeckeln i Blobel doszli prawdopodobnie do wniosku, że ludzie z Sonderkommando potrzebują ukierunkowania i motywacji; późnym rankiem całe Kommando zebrało się na szkolnym podwórku, żeby wysłuchać HSSPF-a. Jeckeln mówił krótko i treściwie. Nasz obowiązek, jak tłumaczył, polega na zidentyfikowaniu i eliminacji za naszymi liniami

wszelkiego elementu zagrażającego bezpieczeństwu oddziałów. Każdy bolszewik, każdy komisarz ludowy, każdy Żyd i każdy Cygan może w każdej chwili podłożyć dynamit w naszych kwaterach, zacząć mordować naszych ludzi, sprawić, że nasze pociągi będą się wykolejać, albo przekazać wrogowi ważne informacje. Nie powinniśmy czekać, aż zaczną działać, i dopiero wtedy ich karać, musimy uniemożliwić im działania, i to jest nasze zadanie. Nie ma także mowy, że względu na tempo, z jakim postępuje naprzód nasza armia, o budowie obozów i zwózce; każdy podejrzany ma być zabity. Znajdującym się pośród nas pracownikom przypomniał, że ZSRR odmówił podpisania konwencji w Hadze i że, w związku z tym, prawo międzynarodowe regulujące nasze działania na Zachodzie nie ma tu zastosowania. Prawdopodobnie nie obejdzie się bez pomyłek, bez niewinnych ofiar, ale niestety, taka jest wojna: gdy na miasto spadają bomby, giną również cywile. A że będzie to przy okazji przykre, że nasza wrodzona niemiecka wrażliwość i delikatność niejednokrotnie ucierpi, cóż. Wie o tym, będziemy musieli przewycięzać sami siebie, on może nam tylko powtórzyć słowa Führera, które usłyszał od niego osobiście: *Dowódcy są Niemcom winni poświęcenie własnego zwątpienia. Dzięki i Heil Hitler!*. To chociaż było szczere. W Pretzsch w przemówieniach Müllera czy Streckenbacha padały w kółko piękne słowa o potrzebie bycia bezwzględny i bezlitosny, ale poza potwierdzeniem, że owszem, udajemy się do Rosji, słyszeliśmy same ogólniki. Heydrich, w Düben, podczas pożegnalnej parady, byłby może nieco bardziej precyzyjny, ale ledwo zaczął mówić, z nieba spadł rześisty deszcz. Zrezygnował z wystąpienia i pojechał do Berlina. Nasza niepewność nie była więc niczym dziwnym, tym bardziej że niewielu z nas miało jakiegokolwiek doświadczenie operacyjne; ja sam, od czasu wstąpienia do SD, zajmowałem się praktycznie tylko kompilowaniem akt prawnych i nie byłem w tym odosobniony. Kehrig był od kwestii konstytucyjnych, nawet Vogt, Leiter IV, przyszedł z kartoteki. Samego Standartenführera Blobela wyłuskano ze Staatspolizei w Düsseldorfie, pewnie nigdy nie robił nic poza aresztowaniem wyrzutków społeczeństwa, homoseksualistów i może jeszcze jakiegoś komunisty od czasu do czasu. W Pretzsch mówiono, że jest architektem — widocznie nie zrobił kariery. Nie należał do ludzi, których określa się mianem „miły”. Wobec kolegów był agresywny, niemal brutalny. Jego okrągła twarz o krótkim podbródku i odstających uszach wyglądała, jakby zawieszono ją tuż nad kołnierzem munduru, przypominała głowę sępa, a haczykowaty nos tylko pogłębiał to wrażenie. Zawsze gdy przechodziłem obok niego, czułem alkohol, Häfner twierdził, że

próbuję leczyć dyzenterię. Byłem szczęśliwy, że nie muszę mieć z nim do czynienia osobiście, a dr Kehrig, który miał taki obowiązek, wydawał się cierpieć z tego powodu. Sam zresztą też wyglądał, jakby nie był na swoim miejscu. Thomas, jeszcze w Pretzsch, wyjaśnił mi, że większość oficerów rekrutowano w biurach, w których nie byli niezbędni. Przydzielono im z urzędu stopnie SS (w ten sposób ja zostałem SS-Obersturmführerem, odpowiednikiem waszego porucznika), Kehrig, przed miesiącem Oberregierungsrat, czyli doradca w rządzie, wymienił swą wysoką urzędniczą rangę na stopień Sturmbannführera; najwyraźniej trudno mu było przyzwyczać się do nowych epoletów i do nowych funkcji. Podoficerowie i szeregowcy wywodzili się zazwyczaj z niższej klasy średniej, spośród sklepikarzy, buchalterów, handlarzy, takich, co to wstępowali w szeregi SA podczas kryzysu, z nadzieją na pracę, i nigdy już z nich nie wystąpili. Było wśród nich kilku folksdojczów z krajów bałtyckich i z Rusi, ponurych, bezbarwnych, nieobytych z mundurem, których jedyną zaletę stanowiła znajomość rosyjskiego; niektórzy nie umieli sklecić zdania po niemiecku. Von Radetzki, to fakt, wyróżniał się z tej masy: mógł się poszczycić równie dobrą znajomością żargonu burdeli moskiewskich (w Moskwie się urodził), jak i berlińskich, i zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który wie, co robi, nawet gdy akurat nie robił nic. Mówił też trochę po ukraińsku, podobno pracował w branży eksport-import; tak jak ja przyszedł tu z Sicherheitsdienst, służb bezpieczeństwa SS. Przydział do sektora Południe przyprawił go o rozpacz, marzył o Środku, o zwycięskim marszu na Moskwę, o *wycieraniu butów w kobierce Kremla*. Vogt pocieszał go i mówił, że w Kijowie też będzie zabawnie, ale von Radetzki tylko się krzywił: „Ławra jest rzeczywiście wspaniała. Ale poza tym Kijów to zwykła dziura”. Tego samego wieczoru, kiedy Jeckeln wygłosił mowę, otrzymaliśmy rozkaz zebrania rzeczy i przygotowania się do porannego wymarszu. Callsen był gotów nas przyjąć.

Łuck jeszcze płonął, gdy do niego wkraczaliśmy. Wyjechał nam na powitanie łącznik Wehrmachtu i poprowadził nas do kwater; musieliśmy obejść stare miasto i fort, droga była trudna. Kuno Callsen zarekwirował Akademię Muzyczną, przy wielkim placu, u stóp zamku — piękny siedemnastowieczny gmach, skromny, dawny klasztor, sto lat temu służący za więzienie. Callsen czekał na nas na dziedzińcu w towarzystwie kilku żołnierzy. „To bardzo praktyczna placówka, wyjaśniał mi w czasie rozładunku maszyn i rzeczy. W lochach zachowały się cele, wystarczy dorobić zamki, już się tym zająłem”. Jeśli o mnie chodzi, to od więzienia wolałem bibliotekę. Niestety, zbiory składały się

wyłącznie z książek rosyjskich i ukraińskich. Von Radetzki też przechadzał się po budynku, wtykał tu i ówdzie swój bulwiasty nos, strzelał mętными oczyma, z wielkim zainteresowaniem oglądał ozdobne gzymsy; gdy stanął blisko mnie, zwróciłem jego uwagę na fakt, że nie ma tu żadnej polskiej książki. „To dziwne, Herr Sturmbannführer. Nie tak dawno była tu jeszcze Polska”. Von Radetzki wzruszył ramionami: „Chyba się pan domyśla, że stalinowcy wyczyścili wszystko”. — „W ciągu dwóch lat?” — „Dwa lata to wystarczająco dużo czasu. Zwłaszcza w przypadku Akademii Muzycznej”.

Vorkommando było wypchane po brzegi. Wehrmacht zdążył już zatrzymać setki Żydów i przestępców, i teraz my mieliśmy się nimi zająć. Ogień nadal płonął i wydawało się, że sabotażyści go podsycają. No i mieliśmy kłopot ze starym fortem. Dr Kehrig, porządkując papiery, znalazł swojego bedekera, podał mi go ponad rozbebeszonymi skrzyniami i wskazał notatkę: „Zamek Lubart. Widzi pan, zbudował go litewski książę”. Słyszeliśmy, że jego wewnętrzny podwórzec pęka w szwach od zwłok więźniów, NKWD-ziści rozstrzelali wszystkich, zanim się wycofali. Kehrig kazał mi pójść i to obejrzeć. Ogromne mury z czerwonej cegły, wzniesione na umocnionych wałach ziemi i trzy baszty. Wartownicy Wehrmachtu trzymali straż przed bramą, wszedłem dopiero po interwencji oficera Abwehry. „Proszę wybaczyć. Generalfeldmarschall kazał zabezpieczyć miejsce”. — „Oczywiście, rozumiem”. Ohydny fetor wdarł mi się w nozdrza, gdy tylko minąłem bramę. Nie miałem chusteczki, przycisnąłem więc do twarzy rękawiczkę i próbowałem tak oddychać. „Niech pan weźmie to, zaproponował Hauptmann Abwehry, podając kawałek mokrej szmatki. Trochę pomaga”. Rzeczywiście, trochę pomogło, ale nie wystarczyło, chociaż starałem się oddychać ustami, smród i tak wypełniał mój nos, był słodkawy, ciężki, mdły. Przełykałem konwulsyjnie ślinę, żeby nie zwymiotować. „Pierwszy raz?”, spytał spokojnie Hauptmann. Pokiwałem głową. „Przyzwyczai się pan, powiedział. Chociaż może nigdy nie do końca”. Sam był blady, ale nie zakrywał ust. Przeszliśmy długim, sklepionym korytarzem, a potem przez małe podwórko. „Tędy”.

Trupy kłębiły się na dużym wybrukowanym dziedzińcu, w nieuporządkowanych stosach, rozrzuconych to tu, to tam. W powietrzu unosiło się głośnie, niepokojące brzęczenie; tysiące ciężkich niebieskich much roiły się nad ciałami, strugami krwi, bryłami odchodów. Moje oficerki kleiły się do bruku. Zwłoki zaczęły już puchnąć, patrzyłem na zielonkawą i żółtą skórę, twarze zniekształcone jak u pobitych ludzi. Smród był nie do zniesienia; i ten smród, wiedziałem to, był początkiem i końcem wszystkiego,

sam w sobie esencją naszej egzystencji. Ta myśl mnie głęboko poruszyła. Żołnierze Wehrmachtu w maskach gazowych, skupieni w niewielkie grupy, próbowali rozsypać kłębowniska i układać ciała w rzędach; jeden z nich pociągnął zwłoki za ramię, oderwało się i zostało mu w rękach; odrzucił je obojętnym gestem na inny stos. „Jest ich ponad tysiąc, mruknął oficer Abwehry. Wszyscy to Ukraińcy i Polacy, których trzymali w więzieniu od inwazji. Znaleźliśmy kobiety, zdarzają się też dzieci”. Chciałem zamknąć oczy albo zakryć je dłonią, a jednocześnie pragnąłem patrzeć, napatrzeć się do syta i spróbować objąć spojrzeniem tę niepojętą rzecz, tutaj, u moich stóp, to wszystko, dla czego nie ma miejsca w ludzkim umyśle. Poruszony widokiem zwróciłem się do oficera Abwehry: „Czytał pan Platona?”. Popatrzył na mnie zakłopotany: „Co?”. — „Nie, nic takiego”. Odwróciłem się na pięcie i opuściłem plac. W głębi pierwszego podwórka, po lewej, były drzwi, pchnąłem je, zobaczyłem schody. Błądziłem po piętach, pustych korytarzach, aż dotarłem do krętych schodów, prowadzących na szczyt jednej z wież. Na górze wszedłem na drewnianą kładkę przytwierdzoną do muru. Docierał tu zapach spalonego miasta — było to lepsze niż trupy, więc odetchnąłem głęboko, po czym wyjąłem z etui papierosa, zapaliłem. Zdawało mi się, że smród gnijących ciał osiadł mi we wnętrzu nosa, próbowałem pozbyć się go, wypuszczając dym przez nozdrza, ale przyprawiło mnie to tylko o konwulsyjny kaszel. Podziwiałem widoki. W głębi fortu były ogrody, małe warzywniki i kilka drzew owocowych, za murem ciągnęło się miasto i pętla Styru; tutaj nie było dymu, nad polami świeciło słońce. Wypaliłem w spokoju. Potem zszedłem i wróciłem na główny dziedziniec. Oficer Abwehry nadal tam był. Wbił we mnie zaciekawione spojrzenie bez cienia ironii: „Już lepiej?”. — „Tak, dziękuję”. Siliłem się na oficjalny ton: „Nie ma pan precyzyjnych danych liczbowych? Są mi potrzebne do raportu”. — „Jeszcze nie. Jutro, jak sądzę”. — „A narodowości?” — „Mówiłem już: prawdopodobnie Ukraińcy i Polacy. Trudno powiedzieć, większość nie miała przy sobie papierów. To były grupowe egzekucje, widać, że wykonywano je w pośpiechu”. — „Są wśród nich Żydzi?” Spojrzał na mnie zdziwiony: „Oczywiście, że nie. Przecież to zrobili Żydzi”. Skrzywiłem się: „No tak, oczywiście”. Odwrócił się twarzą do trupów i przez chwilę stał, milcząc. „Jedno wielkie gówno”, mruknął w końcu. Zasalutowałem na pożegnanie. Na zewnątrz stała grupka dzieci. Jedno z nich zapytało mnie o coś, ale ja nie rozumiałem jego języka, przeszedłem obok bez słowa i wróciłem do gmachu Akademii Muzycznej, żeby zdać raport Kehrigowi.

Nazajutrz Sonderkommando zabrało się poważnie do roboty. Pluton egzekucyjny pod dowództwem Callsena i Kurta Hansa stracił w ogrodach zamkowych trzystu Żydów i dwudziestu przestępców. Towarzyszyłem dr. Kehrigowi i Sturmbannführerowi Vogtowi, i dzień minął mi na zebraniach przygotowawczych z pełnomocnikiem wywiadu wojskowego 6. Armii, Ic/AO Niemeyerem, oraz kilku jego kolegami, w tym także z Hauptmannem Luleym, którego spotkałem dzień wcześniej w zamku (zajmował się kontrwywiadem). Blobel twierdził, że brakuje ludzi, i chciał, żeby Wehrmacht przekazał nam część swoich, ale Niemeyer był kategoryczny: decyzje w tej kwestii podejmował Generalfeldmarschall wraz z dowódcą sztabu generalnego, Oberstem Heimem. Podczas zebrania, po południu, Luley oświadczył nam głosem pełnym napięcia, że pośród ciał na zamku znaleziono zwłoki dziesięciu niemieckich żołnierzy, okaleczone ze szczególnym okrucieństwem. „Byli związani, mieli obcięte nosy, uszy, języki i genitalia”. Vogt poszedł z nim do zamku i wrócił z dziwnym wyrazem twarzy: „Tak, to prawda, to obrzydliwe, to prawdziwe potwory”. Ta wiadomość wywołała wielkie poruszenie, Blobel zaczął się ciskać na korytarzu, a potem poszedł do Heima. Wieczorem oświadczył nam: „Generalfeldmarschall chce przeprowadzić akcję karną. Jedno mocne uderzenie powinno zniechęcić tych gnoi”. Callsen zdał raport z wykonanych w tym dniu egzekucji. Wszystko odbyło się bez przeszkód, ale metoda narzucona przez von Reichenaua, czyli tylko dwa karabiny na skazańca, miała swoje wady: jeżeli człowiek chciał być pewien celności swojego strzału, musiał trafić raczej w głowę niż w pierś, co nie było zbyt czyste, żołnierzom pryskała na twarze krew i kawałki mózgu, skarżyli się. To wywołało żywą dyskusję. Häfner rzucił: „Zobaczycie, że wszystko skończy się *Genickschuss*, strzałem w kark, tak jak u bolszewików”. Blobel poczerwieniał i mocno walnął pięścią w stół: „Meine Herren! Mówienie o tym w ten sposób jest niedopuszczalne! Nie jesteśmy bolszewikami! Jesteśmy niemieckimi żołnierzami. W służbie *Volk* i Führerowi! Kurwa!”. Odwrócił się do Callsena: „Jeżeli pańscy ludzie są zbyt wrażliwi, niech sobie walną po sznapsie”. A potem do Häfnera: „Tak czy inaczej nie ma mowy o strzelaniu w kark. Nie chcę, żeby żołnierze czuli się osobiście odpowiedzialni. Egzekucje będą odbywać się według metody wojskowej, koniec kropka”.

Następny ranek spędziłem w AOK: po zajęciu miasta zarekwirowaliśmy skrzynie pełne dokumentów, musiałem przejrzeć je razem z tłumaczem, zwłaszcza papiery dotyczące NKWD, i wybrać te, które należało wysłać Sonderkommando do pilnej analizy.

Szukaliśmy przede wszystkim list członków partii komunistycznej, NKWD lub innych organów: wielu, wmieszanych w ludność cywilną, zostało zapewne w mieście i prowadziło działalność szpiegowską albo dywersyjną, należało zidentyfikować ich w trybie natychmiastowym. Około południa wróciłem do Akademii, by skonsultować się z dr. Kehrigiem. Na parterze panowało pewne poruszenie: grupki ludzi dreptały po kątach, wymieniając pełne oburzenia szeptami. Chwyciłem jakiegoś Scharführera za rękaw: „Co się dzieje?”. — „Nie wiem, Herr Obersturmführer. Chyba jest jakiś problem ze Standartenführerem”. — „Gdzie oficerowie?” Wskazał na schody wiodące do naszych kwater. Na piętrze minąłem Kehriga, schodził, mrużąc pod nosem: „Fochy, fochy i tyle”. — „Co się dzieje?”, spytałem go. Rzucił mi ponure spojrzenie, krzyknął: „No, jak my mamy pracować w takich warunkach?!”. I ruszył dalej. Wszedłem kilka stopni wyżej i usłyszałem strzał, brzęk tłuczonego szkła, krzyki. Na piętrze, przed otwartymi drzwiami pokoju Blobela, sterczeli dwaj oficerowie Wehrmachtu w towarzystwie Kurta Hansa. „Co się dzieje?”, spytałem Hansa. Ruchem brody pokazał mi pokój, ręce miał skrzyżowane za plecami. Wszedłem. Blobel siedział na łóżku, w butach, bez bluzy od munduru, i bawił się pistoletem, Callsen stał nad nim, próbując chwycić go za ramię i wycelować pistolet w ścianę; szyba w oknie była rozbita, na podłodze zauważyłem butelkę sznapsa. Blobel był siny, krzyczał coś nieskładnie i pryskał śliną. Häfner wszedł za mną. „Co się tutaj dzieje?” — „Nie wiem, wygląda na to, że Standartenführer ma jakiś atak”. — „Tak. Nie wytrzymał”. Callsen odwrócił się: „A, Obersturmführer. Niech pan przeprosi tych z Wehrmachtu i każe im przyjść później, dobrze?”. Cofnąłem się i wpadłem na Hansa, który wreszcie postanowił wejść. „August, idź po lekarza”, powiedział Callsen do Häfnera. Blobel nie przestawał bełkotać: „To niemożliwe, to niemożliwe, oni są chorzy, zabiję ich”. Dwaj oficerowie Wehrmachtu stali z boku, sztywni i bladzi. „Meine Herren...”, zacząłem. Häfner odepchnął mnie i zbiegł po schodach. Hauptmann zajęczał: „Wasz komendant oszalał! Chciał do nas strzelać!”. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Hans wyszedł i stanął za mną: „Meine Herren, proszę nam wybaczyć. Standartenführer ma atak i posłaliśmy po lekarza. Jesteśmy zmuszeni przełożyć dalszą rozmowę na później”. Z pokoju dobiegał przeraźliwy krzyk Blobela: „Zabiję tych łajdaków, puśćcie mnie!”. Hauptmann wzruszył ramionami: „Jeżeli tak wygląda kadra oficerska SS... Obejdziemy się bez waszej współpracy”. Odwrócił się do swojego kolegi i rozłożył ramiona: „To nie do pomyślenia. Rekrutowali ich chyba w domach wariatów”. Kurt Hans zbladł: „Meine Herren! Honor

SS...”. Teraz i on się jąkał. Odważyłem się mu przerwać: „Proszę posłuchać, nie wiem jeszcze, co się dzieje, ale prawdopodobnie mamy do czynienia z problemem natury zdrowotnej. Hans, niepotrzebnie się unosisz. Meine Herren, tak jak powiedział mój kolega, lepiej będzie, jak w tej chwili zostawicie nas samych”. Hauptmann zmierzył mnie wzrokiem: „Pan to doktor Aue, nieprawdaż? Dobrze, chodźmy”, rzucił do drugiego. Na schodach minęli Speratha, lekarza Sonderkommando, którego prowadził Häfner: „To pan jest lekarzem?”. — „Tak”. — „Niech pan uważa. Do pana pewnie też zechce strzelać”. Odsunąłem się, żeby przepuścić Speratha i Häfnera, po czym wszedłem za nimi do pokoju. Blobel odłożył pistolet na stolik nocny i ochryple przemawiał do Callsena: „Ale chyba sam pan rozumie, że niemożliwy jest odstrzał tylu Żydów! Pług tu potrzeba, pług, musimy ich worać w ziemię!”. Callsen odwrócił się do nas. „August, zajmij się Standartenführerem przez chwilę, dobrze?” Wziął Speratha pod ramię, pociągnął na stronę i szeptał coś do niego w ożywieniu. „O, kurwa!”, zawołał Häfner. Odwróciłem się, mocował się z Blobelem, usiłując chwycić pistolet. „Herr Standartenführer, Herr Standartenführer, niech się pan uspokoi, bardzo pana proszę!”, wykrzyknąłem. Callsen znów przy nim stanął i mówił coś spokojnie. Podszedł Sperath, zmierzył mu puls. Blobel chciał sięgnąć po pistolet, ale Callsen temu zapobiegł. Tym razem odezwał się Sperath: „Proszę posłuchać, Paul, jest pan przemęczony. Będę musiał zrobić panu zastrzyk”. — „Nie! Żadnych zastrzyków!” Ręka Blobela, wyrzucona w powietrze, plasnęła o twarz Callsena. Häfner podniósł butelkę i pokazał mi ją, wzruszywszy ramionami: była prawie pusta. Kurt Hans stał przy drzwiach w milczeniu. Blobel wydawał z siebie zupełnie nieskładne okrzyki: „To tych łajdaków z Wehrmachtu trzeba wystrzelać! Co do jednego!”, a potem znów zapadał w letarg. „August, Obersturmführer, proszę mi pomóc”, rozkazał Callsen. Chwyciliśmy Blobela we trzech za stopy i pod pachami i położyliśmy go na łóżku. Nie bronił się. Callsen zwinął jego bluzę od munduru i wsunął mu pod głowę, Sperath podciągnął mu rękaw i zrobił zastrzyk. Blobel chyba się już trochę uspokoił. Wbijał w sufit wybałuszone oczy, w kącikach ust pieniało mu się nieco śliny, mrucał pod nosem: „Zaorać, zaorać Żydów”. Dyskretnie wsunąłem pistolet do szuflady, wcześniej nikt o tym nie pomyślał. Blobel chyba zasnął. Callsen stanął przy łóżku: „Zawieziemy go do Lublina”. — „Jak to, do Lublina?” — „Tam jest szpital dla takich pacjentów”, wyjaśnił Sperath. — „No, dom wariatów”, walnął z grubej rury Häfner. — „Zamknij się, August”, warknął na niego Callsen. W progu stanął von Radetzki: „Co to za burdel?”. Kurt Hans

postanowił wyjaśnić: „Generalfeldmarschall wydał rozkaz, a Standartenführer zachorował, nie zniósł tego. Chciał strzelać do oficerów Wehrmachtu”. — „Już rano miał gorączkę”, dodał Callsen. W kilku słowach opisał von Radetzkiemu całą sytuację, powiedział też o propozycji Speratha. „Dobrze, uciął von Radetzki, zrobimy tak, jak mówi doktor. Odwiozę go osobiście”. Wydawał się bledszy niż zwykle. „Co do rozkazu Generalfeldmarschalla, zaczęliście się już organizować?” — „Nie, nie zrobiliśmy w tej sprawie niczego”, odrzekł Kurt Hans. — „Rozumiem. Callsen, niech się pan zajmie przygotowaniem. Häfner, pojedzie pan ze mną”. — „Dlaczego ja?”, obruszył się Häfner. — „Bo tak, rzucił zirytowany von Radetzki. I niech pan idzie przygotować opla Standartenführera. Niech pan weźmie kanistry z benzyną na wszelki wypadek”. Häfner nie dawał za wygraną: „A Janssen nie może pojechać?”. — „Nie, Janssen pomoże Callsenowi i Hansowi. Hauptsturmführer, zwrócił się do Callsena, zgadza się pan?” Callsen pokiwał głową w zamyśleniu: „A może lepiej byłoby, gdyby pan został, a ja bym pojechał, Herr Sturmbannführer. Ma pan teraz dowództwo”. Von Radetzki zaprzeczył ruchem głowy: „No właśnie, dlatego myślę, że to ja powinienem z nim jechać”. Callsen nie wyglądał na przekonanego: „Jest pan pewien, że tak będzie lepiej?”. — „Tak, tak. Zresztą, niech się pan nie martwi: Obergruppenführer Jeckeln przyjedzie tu jeszcze dziś ze swoim sztabem generalnym. Większość jego ludzi już tu jest, wracam od nich. On weźmie sprawy w swoje ręce”. — „Dobrze. Bo jeśli o mnie chodzi, to wie pan, *Aktion* o takim zasięgu...”. Von Radetzki wykrzywił wargi w lekkim uśmiechu: „Niech się pan uspokoi. Niech pan idzie do Obergruppenführera i weźmie się za przygotowania: wszystko będzie dobrze, zapewniam pana”.

Godzinę później oficerowie zgromadzili się w wielkiej sali. Von Radetzki i Häfner pojechali już z Blobelem; rzucał się, gdy wsadzali go do opla, Sperath musiał zrobić mu jeszcze jeden zastrzyk, a Häfner w tym czasie trzymał go w mocnym uścisku. Callsen zabrał głos: „Cóż, myślę, że wszyscy wiecie coś niecoś o zaistniałej sytuacji”. Vogt przerwał mu: „A może jednak przypomnimy?”. — „Jeżeli pan sobie życzy. Dziś rano Generalfeldmarschall wydał rozkaz pomszczenia dziesięciu żołnierzy niemieckich, których okaleczone zwłoki znaleziono w fortecy. Rozkazał stracić jednego Żyda w zamian za jedną osobę zamordowaną przez bolszewików, co daje razem ponad tysiąc Żydów. Rozkaz dotarł do Standartenführera i to chyba przyspieszyło atak choroby...” — „Część winy za to ponosi także armia, wszedł mu w słowo Kurt Hans. Mogli mu przysłać kogoś

bardziej taktownego od tamtego Hauptmanna. Zresztą, przekazywanie rozkazu tej wagi przez jakiegoś Hauptmanna to niemal obelga”. — „Trzeba przyznać, że ta historia kładzie się plamą na honorze SS”, skomentował Vogt. — „Proszę posłuchać, odparł surowym tonem Sperath, zupełnie nie w tym rzecz. Mogę wam zagwarantować, że Standartenführer był chory dziś rano, miał wysoką gorączkę. Myślę, że to początek duru brzuszego. Zapewne to choroba przyspieszyła atak”. — „Tak, ale on dużo pił”, zauważył Kehrig. — „To prawda, ośmieliłem się wtrącić, w jego pokoju znaleźliśmy pustą butelkę”. — „Miał problemy z jelitami, odparł Sperath. Myślał, że to mu pomoże”. „Cokolwiek to było, podsumował Vogt, nie mamy pierwszego dowódcy. Drugiego zresztą też nie. Tak nie może być. Proponuję, by do czasu powrotu Sturmbannführera von Radetzkiego, Hauptsturmführer Callsen przejął dowodzenie Sonderkommando”. — „Ale to nie ja jestem tu najwyższy stopniem, zaprotestował Callsen. To przecież pan albo Sturmbannführer Kehrig”. — „Tak, ale my nie jesteśmy oficerami operacyjnymi. Ma pan najdłuższy staż spośród wszystkich szefów Teilkommando”. — „Zgadzam się”, powiedział Kehrig. Callsen, z napięciem malującym się na twarzy, przenosił wzrok z jednego oficera na drugiego, a potem spojrzął na Janssena, który odwrócił się i pokręcił głową. „Ja też się zgadzam, dorzucił Kurt Hans. Hauptsturmführer, dowodzenie należy do pana”. Callsen nie odpowiedział, wzruszył ramionami. „No dobrze. Jak chcecie”. — „Mam pytanie”, odezwał się spokojnie Strehlke, nasz Leiter II. Zwrócił się do Speratha: „Doktorze, według pana, w jakim stanie jest Standartenführer? Możemy liczyć na jego szybki powrót czy raczej nie?”. Sperath wyduł wargi. „Nie wiem. Trudno powiedzieć. Jego problem ma zapewne po części podłoże nerwowe, ale muszą również istnieć przyczyny organiczne. Trzeba będzie zobaczyć, jak się poczuje, gdy spadnie gorączka”. — „Jeżeli dobrze zrozumiałem, chrząknął Vogt, nie wróci od razu”. — „Mało prawdopodobne. Na pewno nie w ciągu najbliższych dni”. — „A może nie wróci już wcale”, wyrwało się Kehrigowi. Na sali zapanowało milczenie. Najwyraźniej łączyła nas wspólna myśl, chociaż nikt nie odważył się wypowiedzieć jej głośno: nie byłoby najgorzej, gdyby Blobel nie wrócił. Żaden z nas nie znał go jeszcze miesiąc temu, a pod jego dowództwem byliśmy niecały tydzień, zdążyliśmy jednak zrozumieć, że praca z nim może okazać się trudna, a nawet przykra. Callsen przerwał milczenie: „Słuchajcie, wszystko ładnie, pięknie, ale musimy wziąć się za planowanie akcji”. — „No tak, właśnie, podjął gwałtownie Kehrig, to jakaś groteska, cała ta historia, nie ma sensu”. — „Co jest

groteską?”, spytał Vogt. — „Te wasze represje! Co to, wojna trzydziestoletnia? A, przede wszystkim, jak chcecie zidentyfikować tysiąc Żydów? W jedną noc?” Postukał się po nosie. „Na oko? Będziecie oglądać im nosy? Mierzyć ich?” — „Rzeczywiście, przyznał Janssen, który dotąd nie odezwał się słowem. To nie będzie łatwe”. — „Häfner ma pewien pomysł”, rzucił krótko Kurt Hans. „Po prostu każemy im zsuwać spodnie”. Kehrigowi puściły hamulce: „No przecież to jest po prostu śmieszne! Postradaliście zmysły czy co? Callsen, niech im pan coś powie”. Callsen był ponury, ale niewzruszony: „Herr Sturmbannführer. Niechże się pan uspokoi. Musi być jakieś rozwiązanie, porozmawiam o tym jeszcze dziś z Obergruppenführerem. Co do samej zasady, to wcale nie podoba mi się ona bardziej niż panu. Ale takie są rozkazy”. Kehrig patrzył na niego, przygryzając wargę; widać było, że próbuje się powstrzymać. „A Brigadeführer Rasch, wybuchnął wreszcie, co on mówi na ten temat? W końcu to nasz bezpośredni przełożony”. — „Właśnie, z nim też jest kłopot. Próbowałem nawiązać z nim kontakt, ale Gruppenstab jest jeszcze w drodze, na to przynajmniej wygląda. Chcę wysłać do Lemberga oficera, który zda mu raport i poprosi o wskazówki”. — „Kogo chciałby pan wysłać?” — „Myślałem o Obersturmführerze Aue. Da pan sobie bez niego radę przez dzień lub dwa?” Kehrig odwrócił się do mnie: „Jak tam pańskie teczki, Obersturmführer?”. — „Przejrzałem już większą część. Potrzeba mi jeszcze kilku godzin, jak sądzę”. Callsen spojrział na zegarek: „Tak czy inaczej dziś już za późno. Nie dotarłby pan przed nocą”. — „Cóż, powziął decyzję Kehrig. W takim razie niech pan skończy wszystko dzisiaj, a jutro o świcie w drogę”. — „Świetnie... Herr Hauptsturmführer, zwróciłem się do Callsena, jakie jest moje zadanie?” — „Proszę zdać Brigadeführerowi relację z zaistniałej sytuacji i problemów komendanta. Niech mu pan przekaze nasze decyzje i poprosi o dalsze wskazówki”. — „A przy okazji, dorzucił Kehrig, proszę się zorientować w lokalnej sytuacji. Podobno jest tam spore zamieszanie, chciałbym wiedzieć, co się dzieje”. — „*Zu Befehl*”.

Potrzebowałem aż czterech żołnierzy, żeby wnieść wyselekcjonowane archiwa do biur SD. Tego wieczoru Kehrig był w okropnym nastroju. „A cóż to, Obersturmführer?!, krzyknął na widok skrzyń. Zdaje się, że miał pan to posegregować!” — „Musiałby pan zobaczyć, co zostawiłem na dole, Herr Sturmbannführer”. — „No, może. Będziemy musieli zatrudnić dodatkowych tłumaczy. Dobrze. Pański samochód jest gotowy do drogi, spyta pan o Höflera. Wyjedźcie wcześniej. A teraz niech pan idzie do Callsena”. Na korytarzu minąłem Untersturmführera Zorna, podoficera podlegającego Häfnerowi. „A,

doktor Aue. Szczęściarz z pana”. — „Dlaczego?” — „Bo pan wyjeżdża. Nas czeka brudna robota”. Pokiwałem głową: „Bez wątpienia. A więc wszystko gotowe?”. — „Nie wiem. Ja mam się zająć tylko kordonem”. Dołączył do nas Janssen i zaczął zrzędzić: „Zorn znowu narzeka”. — „Rozwiązaliście problem?”, spytałem. — „Który?” — „Problem z Żydami. Z dotarciem do nich”. Zaśmiał się sucho: „Ach, to! Okazało się banalnie proste. AOK wydrukuję plakaty: wszyscy Żydzi mają się zebrać jutro rano na głównym placu, w sprawie obowiązkowych robót. Weźmiemy tych, którzy przyjdą”. — „I myśli pan, że będzie ich wystarczająco dużo?” — „Obergruppenführer mówi, że to zawsze działa. A jak nie, to aresztujemy żydowskich przywódców i zagrozimy rozstrzelaniem, jeżeli nie zbiorą wystarczającej liczby”. — „Rozumiem”. — „Och, to jest czyste draństwo, jęczał Zorn. Na szczęście ja mam się zająć tylko kordonem”. — „Ale pan chociaż tu jest, warknął Janssen. Nie jak ta świnia Häfner”. — „To nie jego wina, zaprotestowałem. Chciał zostać. Sturmbannführer uparł się, żeby mu towarzyszył”. — „No właśnie. A jego czemu tu nie ma?” Popatrzył na mnie złowrogo. „Ja też bym się chętnie przejechał do Lublina albo do Lemberga”. Wzruszyłem ramionami i poszedłem poszukać Callsena. Siedział pochylony nad planem miasta, a z nim Vogt i Kurt Hans. „Słucham, Obersturmführer?” — „Pan chciał mnie widzieć”. Callsen doszedł już chyba do siebie, był niemal odprężony. „Powie pan Brigadeführerowi doktorowi Raschowi, że Obergruppenführer Jeckeln przyjął rozkazy armii i przejmuje osobistą kontrolę nad przebiegiem *Aktion*”. Popatrzył na mnie ze spokojem, widać było, że decyzja Jeckelna zdjęła mu z barków spory ciężar. „Potwierdza on także objęcie przeze mnie stanowiska tymczasowego dowódcy, do chwili powrotu Sturmbannführera von Radetzkiego. Chyba że Brigadeführer będzie wolał kogoś innego. Wreszcie, na potrzeby *Aktion* przekazuje nam ukraińskie oddziały pomocnicze i jedną kompanię 9. batalionu rezerwy policji. To wszystko”. Zasalutowałem i wyszedłem bez słowa. W nocy długo nie mogłem zasnąć: myślałem o Żydach, którzy przyjdą jutro. Uważałem tę metodę za bardzo niesprawiedliwą; zostaną ukarani Żydzi pełni dobrej woli i ufności w słowo dane przez Rzeszę, a cała reszta, tchórze, zdrajcy, bolszewicy, zaszyją się w kryjówkach i nikt ich nie znajdzie. Dobrze mówił Zorn, to jest czyste draństwo. Cieszyłem się, że wyjeżdżam do Lemberga (zwanego przez Polaków Lwowem, a przez Ukraińców Lwiwem), podróż zapowiadała się interesująco, ale nie byłem zadowolony, że ominie mnie akcja; uważałem, że to poważny problem, ale że trzeba stawić mu czoło i rozwiązać, choćby we własnym interesie, nie zaś uciekać. Inni, tacy jak Callsen, jak Zorn,

chcieli się jakoś wykręcić, zrzucić z siebie odpowiedzialność; wydawało mi się to nieuczciwe. Jeżeli dopuścilibyśmy się niesprawiedliwości, to musielibyśmy zastanowić się nad nią i zdecydować, czy rzeczywiście była niezbędna i nieunikniona, czy też wynikała wyłącznie z chęci ułatwienia sobie życia, z lenistwa, bezmyślności. To była kwestia dyscypliny. Wiedziałem, że decyzje zostały podjęte na dużo wyższym szczeblu, ale przecież my nie byliśmy automatami, tu nie chodziło tylko o posłuszeństwo rozkazom, lecz o zaangażowanie w ich wypełnienie, a ja byłem wstrząśnięty, pełen wątpliwości. Poczytałem trochę, spałem kilka godzin.

O czwartej rano ubrałem się. Höfler, mój szofer, czekał na mnie w mesie z paskudną kawą. „Mam też chleb i ser, Herr Obersturmführer, gdyby miał pan ochotę”. — „Nie, dziękuję, nie jestem głodny”. Piłem kawę w milczeniu. Höfler przysypiał. Z podwórza nie dochodził żaden odgłos. Przyszedł Popp, żołnierz, który miał mnie eskortować, i zaczął głośno jeść. Wyszedłem na podwórze zapalić papierosa. Niebo było czyste, nad wysoką fasadą dawnego klasztoru błyszcząły gwiazdy, odległe i obojętne w łagodnym białym blasku. Księżycy jakoś nie mogłem dojrzeć. Höfler także wyszedł i zasalutował: „Wszystko gotowe, Herr Obersturmführer”. — „Wziąłeś kanistry z benzyną?” — „Tak, trzy”. Popp stał przy przednich drzwiczkach samochodu, niezgrabny i zadowolony z tego, że ma karabin. Dałem mu znak, żeby usiadł z tyłu. „Zazwyczaj, Herr Obersturmführer, eskorta siada z przodu”. — „Tak, ale ja wolę, żebyś usiadł z tyłu”.

Przejechawszy Styry, Höfler skręcił na południe. Droga była oznakowana tablicami; z mapy wynikało, że mamy przed sobą kilka godzin jazdy. Był piękny poniedziałkowy świt, spokojny, leniwy. Uśpione wioski wydawały się nietknięte przez wojnę, wartownicy na stanowiskach kontrolnych nie robili żadnych trudności. Niebo po lewej zaczynało jaśnieć. Niedługo potem zza drzew wyszło czerwone słońce. Cienkie pasma mgły słały się nisko nad ziemią. Od wsi do wsi ciągnęły się po horyzont wielkie płaskie pola, pocięte kępami zarośli i masywnymi, zadrzewionymi pagórkami. Niebo błękitniało powoli. „Tu musi być dobra gleba”, odezwał się Popp. Nie odpowiedziałem, więc zamilkł. W Radziechowie zrobiliśmy postój na posiłek. Tu już wypalone skorupy pojazdów opancerzonych zalegały na poboczach i w rowach, spopielone chaty odbierały urodę wioskom. Ruch na drodze robił się coraz większy, mijaliśmy długie kolumny ciężarówek, wyładowanych żołnierzami i prowiantem. Niedaleko Lemberga musieliśmy się zatrzymać na rogatkach i przepuścić kolumnę czołgów. Ziemia drżała, kurz unosił się wielkimi

kłębami, brudził szyby, wciskał się we wszystkie szpary. Höfler poczęstował mnie papierosem. Poppa też. Zapalił i skrzywił się: „Te sportnixe'y są do dupy”. — „Nie są najgorsze, odpowiedziałem. Nie ma co wybrzydzać”. Gdy przejechały wszystkie czołgi, podszedł żandarm polowy i pokazał nam na migi, że mamy czekać: „Zaraz będzie następna kolumna”, krzyknął. Wypaliłem i wyrzuciłem niedopałek przez okno. „Popp ma rację, odezwał się nagle Höfler. To piękny kraj. Można by zamieszkać tutaj po wojnie”. — „Przeprowadzisz się tutaj?”, spytałem z uśmiechem. Wzruszył ramionami: „To zależy”. — „Od czego?” — „Od biurokratów. Jeżeli będzie tak jak u nas, to szkoda zachodu”. — „A czym byś się zajmował?” — „Gdybym mógł, Obersturmführer? Otworzyłbym sklepik, jak u siebie. Dobre wyroby tytoniowe, mały bar, a do tego jeszcze warzywa i owoce, zobaczyłbym”. — „I wolałbyś prowadzić to tutaj niż u siebie?” Uderzył mocno w kierownicę: „U siebie musiałem zamknąć interes. Jeszcze w trzydziestym ósmym”. — „Dlaczego?” — „Cóż, sprawka tych drani z konsorcjum, tej Reemtsmy. Wymyślili, że będą zaopatrywać tylko te sklepy, których minimalny roczny dochód wynosi pięć tysięcy marek. W mojej miejscowości mieszka jakieś sześćdziesiąt rodzin, to jak ja mam sprzedać papierosów za pięć tysięcy marek... Co mogłem zrobić, nie ma innego dostawcy. Prowadziłem jedyny sklep tytoniowy w wiosce, wstawiał się za mną nasz Parteiführer, pisał listy do Gauleitera, robiliśmy wszystko co w naszej mocy, i nic. Sprawa trafiła do sądu gospodarczego, przegrałem i musiałem zamknąć sklep. Z samych warzyw trudno było wyżyć. A potem mnie powołali”. — „Więc nie ma już sklepu tytoniowego w twojej wiosce?”, zapytał Popp głucho. — „No, nie, jak widzisz”. — „U nas nigdy takiego nie mieliśmy”. Druga kolumna czołgów była coraz bliżej i ziemia znów mocno zadrżała. Jedna z szyb samochodu, widocznie źle zamocowana, zaczęła szaleńczo dzwonić o ramę. Pokazałem to Höflerowi, a on pokiwał głową. Kolumna była nieskończenie długa: wyglądało na to, że front nadal posuwa się pełną parą naprzód. I wreszcie żandarm polowy dał nam znak, że droga wolna.

W Lembergu panował chaos. Żaden z żołnierzy na stanowiskach kontrolnych nie potrafił wskazać nam drogi do stanowiska dowodzenia Sicherheitspolizei i SD; miasto zostało zajęte dwa dni wcześniej, ale do tej pory nikt chyba nie zadał sobie trudu ustawienia oznaczeń taktycznych. Jechaliśmy jakąś szeroką ulicą, bez konkretnego celu; wychodziła na długi bulwar, przedzielony parkiem i obramowany pastelowymi fasadami, kokieteryjnie ozdobionymi przez białe gzymsy. Ulicami przelewały się tłumy. Między

niemieckimi pojazdami wojskowymi jeździły odkryte ciężarówki, na których powiewały niebiesko-żółte proporce i flagi. Wiozły masy ludzi w cywilu albo w niepełnym umundurowaniu, uzbrojonych w karabiny i pistolety; ludzie krzyczeli, śpiewali, strzelali w powietrze. Na chodnikach i w parku inni ludzie, z bronią albo bez, wiwatowali na ich widok, a niemieccy żołnierze patrzyli na to obojętnym wzrokiem. Wreszcie jakiś Leutnant Luftwaffe wskazał mi stanowisko dowodzenia dywizji, stamtąd wysłano nas do AOK 17. Oficerowie biegali po schodach, wychodzili z gabinetów, trzaskając drzwiami, porozrzucane i podeptane sowieckie dokumenty walały się na korytarzach. W holu stała grupa mężczyzn z niebiesko-żółtymi opaskami na rękawach cywilnych ubrań, mieli strzelby; prowadzili zażartą dyskusję po ukraińsku albo po polsku, nie wiem, z niemieckimi żołnierzami, którzy nosili plakietki z wizerunkiem słowika. Dopadłem młodego majora Abwehry: „Einsatzgruppe B? Przyjechali wczoraj. Zajęli biura NKWD”. — „Które gdzie się znajdują?” Podniósł na mnie zmęczone oczy. „Nie mam bladego pojęcia”. W końcu znalazł jakiegoś podoficera i oddał go do mojej dyspozycji.

Samochody na bulwarze jechały bardzo wolno, aż w pewnym momencie tłum całkowicie zablokował ruch. Wsiadłem z opla sprawdzić, co się dzieje. Ludzie wydzielali się jak szaleni, klaskali; jedni wynosili krzesła z kawiarni albo ustawiali skrzynki i wchodzili na nie, żeby lepiej widzieć; inni sadzali na ramionach dzieci. Z trudem torowałem sobie przejście. Pośród tłumu, wewnątrz wielkiego, pustego kręgu, paradowali mężczyźni przebrani w kostiumy ukradzione z teatru albo muzeum, mieli ekstrawaganckie ubiory, peruki z czasów regencji i kurtę huzara z 1812 roku, togę magistratu z gronostajem, mongolskie zbroje i szkockie tartany, na wpół rzymski, na wpół renesansowy operetkowy strój z krezą; jeden z mężczyzn ubrał się w mundur czerwonej armii konnej Budionnego, a do tego założył cylinder i futrzany kołnierz, wymachiwał długim pistoletem Mausera; wszyscy mieli pałki albo strzelby. U ich stóp klęczeli jacyś mężczyźni i lizali bruk. Od czasu do czasu któryś z przebranych facetów częstował ich kopniakiem albo ciosem kolby. Prawie wszyscy klęczący obficie krwawili. Tłum wokół był jak opętany. Za mną ktoś zagrał chwytliwą melodię na akordeonie. I natychmiast zabrzmiały słowa, śpiewane przez dziesiątki głosów, mężczyzna w kilcie wyjął skądś skrzypce, a ponieważ nie miał smyczka, szarpał struny, jakby to była gitara. Jeden z gapiów pociągnął mnie za rękaw i wrzasnął zapamiętałe: „Żyd, Żyd, kaputt!”. To akurat zdążyłem już zrozumieć. Uwolniłem się stanowczo z jego uścisku i przedarłem z

powrotem przez tłum. W tym czasie Höfler zdążył zawrócić. „Myślę, że można przejechać tędy”, powiedział żołnierz Abwehry, wskazując przecznicę. Szybko pobłądziliśmy. Wreszcie Höfler wpadł na pomysł, żeby zaczepić jakiegoś przechodnia: „NKWD? NKWD?”. — „NKWD *kaputt!*”, radośnie wrzasnął facet. Pokazał nam drogę na migi: okazało się, że kwaterę od AOK dzieliło tylko dwieście metrów, pojechaliśmy w złym kierunku. Odesłałem naszego przewodnika i poszedłem się przedstawić. Jak mnie poinformowano, Rasch był akurat na zebraniu z Leiterami i oficerami armii. Nikt nie wiedział, kiedy będzie mógł mnie przyjąć. Z pomocą przyszedł mi Hauptsturmführer: „Przyjechał pan z Łucka? Wiemy o wszystkim, Brigadeführer rozmawiał przez telefon z Obergruppenführerem Jeckelnem. Ale jestem pewien, że pański raport go zainteresuje”. — „Dobrze. W takim razie zaczekam”. — „Och, nie warto, to potrwa jeszcze co najmniej dwie godziny. Niech pan idzie pospacerować. Polecam zwłaszcza stare miasto”. — „Wśród mieszkańców panuje wielkie poruszenie”, zauważyłem. — „Tak, to prawda. NKWD zamordowało w więzieniach trzy tysiące ludzi, a potem zwało. Poza tym wszyscy galicyjscy i ukraińscy nacjonałiści powychodzili z lasów czy też Bóg wie z jakich innych kryjówek i robią zamieszanie. Nadchodzą ciężkie czasy dla Żydów”. — „A co na to Wehrmacht?” Mrugnął do mnie: „Rozkazy z góry, Obersturmführer. Ludność oczyszcza miasto ze zdrajców i kolaborantów, to nie nasza sprawa. To konflikt wewnętrzny. No, to do zobaczenia”. Zniknął w gabinecie, a ja wyszedłem. Odgłos wystrzałów dochodzący z centrum przypominał mi petardy puszczane podczas kiermaszu. Zostawiłem Höflera i Poppa w samochodzie i ruszyłem pieszo w stronę głównego bułwaru. Pod kolumnadą panowało radosne ożywienie; otwarto na oścież drzwi i okna kawiarni, ludzie pili, krzyczeli, przypadkowi przechodnie ściskali mi dłoń; roześmiany mężczyzna podał kieliszek szampana, który wypilem do dna, i zanim zdążyłem mu go oddać, zniknął. Wmieszani w tłum, jak w karnawale, paradowali mężczyźni wystrojeni w sceniczne kostiumy, niektórzy mieli nawet maski, zabawne, szkaradne, groteskowe. Przeszedłem przez park. Za nim zaczynało się stare miasto, zupełnie różne od austro-węgierskiego bulwaru: stały tu wąskie, późnorenesansowe kamienice, zwieńczone spadzistymi dachami, o kolorowych, lecz wyblakłych fasadach, ozdobionych barokowymi ornamentami z kamienia. Uliczkami chodziło znacznie mniej ludzi. Wystawa jednego z zamkniętych sklepów zaklejona była makabrycznym plakatem: powiększona fotografia zwłok i podpis cyrylicą; umiałem z tego rozszyfrować jedynie słowa „Ukraina” i „Żydy”. Minąłem

piękny i wielki kościół, najprawdopodobniej rzymskokatolicki; był zamknięty i nikt nie otworzył, gdy zapukałem. Z otwartych drzwi któregoś z domów w głębi ulicy dochodził dźwięk tłuczonego szkła, uderzenia, krzyki; dalej leżał martwy Żyd z nosem w rynsztoku. Ubrojeni mężczyźni z niebiesko-żółtymi opaskami na rękawach stali w niewielkich grupach i rozmawiali z cywilami, od czasu do czasu wchodzili do któregoś domu, a wtedy harmider wewnątrz narastał, czasem nawet słychać było wystrzały. Zobaczyłem, jak jakiś człowiek przelatuje przez szybę zamkniętego okna na piętrze — spadł prawie u moich stóp, w deszczu szklanych okruchów, musiałem odskoczyć w tył, żeby i mnie nie dosięgły; usłyszałem wyraźnie suchy trzask jego karku, gdy uderzył o bruk. Mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami i w kaszkiecie wychylił się przez rozbite okno. Na mój widok krzyknął wesoło w niezdarnej niemczyźnie: „Proszę wybaczyć, Herr deutschen Offizier! Nie widziałem pana”. Zaczął narastać we mnie lęk, ominąłem zwłoki i poszedłem dalej bez słowa. Nagle z bramy wysokiej starej dzwonnicy wyskoczył jakiś zarośnięty mężczyzna w habicie; dostrzegł mnie i natychmiast ruszył w moją stronę: „Herr Offizier! Herr Offizier! Niech pan tu podejdzie, bardzo proszę!”. Mówił po niemiecku lepiej niż tamten defenestrator, ale miał dziwny akcent. Niemal siłą wciągnął mnie do środka. Usłyszałem krzyki, dzikie wycie; na dziedzińcu kościoła kilku mężczyzn brutalnie biło leżących na ziemi Żydów, mieli kije i metalowe pręty. Niektóre ciała nie reagowały już na ciosy, inne drżały jeszcze. „Herr Offizier!, krzyczał ksiądz, niech pan coś zrobi, proszę! To jest kościół!” Stałem przy wejściu, nie wiedziałem, co począć; ksiądz usiłował pociągnąć mnie za ramię. Nie wiem, o czym wtedy myślałem. Jeden z Ukraińców zauważył mnie i powiedział coś do swoich towarzyszy, wskazując na mnie ruchem głowy; zawahali się, przestali bić. Ksiądz wyrzucił z siebie potok niezrozumiałych słów, po czym odwrócił się do mnie: „Powiedziałem, że rozkazał im pan przestać. Powiedziałem im, że kościoły to miejsca święte i że są świniami, powiedziałem, że kościoły są pod ochroną Wehrmachtu i że jeśli nie przestaną, będą aresztowani”. „Jestem sam”, odparłem. — „To nie ma znaczenia”, odrzekł ksiądz. Wykrzyczał jeszcze kilka zdań po ukraińsku. Mężczyźni powoli opuścili uniesione pręty. Jeden z nich uraczył mnie wściekłą tyradą. Zrozumiałem z niej trzy słowa: „Stalin”, „Galicja” i „Żydzi”. Inny splunął na zwłoki. Zapadło milczenie, pełne napięcia i niepewności. Ksiądz znów coś wrzasnął; mężczyźni zostawili Żydów, wyszli bez słowa, jeden za drugim, i znikli w głębi ulicy. „Dziękuję, powtarzał ksiądz, dziękuję”. Pobiegł obejrzeć Żydów. Dziedziniec był lekko pochyły, po

jego drugiej stronie, pod dachem pokrytym miedzią, tuż przy kościele, znajdowały się przepiękne krużganki. „Proszę mi pomóc, powiedział ksiądz. Ten człowiek jeszcze żyje”. Chwycił go pod pachami i unióś, ja złapałem go za stopy. Był to młody mężczyzna, prawie bez zarostu. Głowa opadła mu w tył, strużka krwi płynęła po pejsach i znaczyła posadzkę dziedzińca dużymi lśniącymi kroplami. Serce biło mi jak oszalałe: jeszcze nigdy nie niosłem w ten sposób umierającego człowieka. Musieliśmy obejść kościół, ksiądz szedł tyłem i zrzędził po niemiecku: „Najpierw byli bolszewicy, a teraz szaleni Ukraińcy. Czemu wasze wojsko się za to nie weźmie?”. Wielki ostrołuk w głębi otwierał się na dziedziniec i wreszcie drzwi do kościoła. Pomogłem przenieść Żyda przez przedsionek i położyć go na ławce. Ksiądz kogoś zawołał; dwaj mężczyźni, poważni i brodaci jak on, z tym że w garniturach, pojawili się nagle w nawie. Powiedział coś do nich w dziwnym języku, niepodobnym ani do ukraińskiego, ani do rosyjskiego, do polskiego także nie. Wszyscy trzej wyszli razem na dziedziniec. Jeden oddalił się alejką na tyły kościoła, a dwóch od razu poszło do Żydów. „Wysłałem go po lekarza”, wyjaśnił ksiądz. — „Gdzie my w ogóle jesteśmy?”, spytałem. Staął i spojrzał na mnie: „To jest ormiańska katedra”. — „A więc w Lemberggu są także Ormianie?”, zdziwiłem się. Wzruszył ramionami: „O wiele dłużej niż Niemcy i Austriacy”. Z pomocą przyjaciela podniósł jeszcze jednego Żyda, który cicho jęczał. Krew Żydów spływała wolno po płytach pochyłego dziedzińca, aż do krużganków. Dostrzegłem tam wmurowane w ścianę i w posadzkę kamienie nagrobne, pokryte tajemniczymi hieroglifami; było to zapewne pismo ormiańskie. Podeszedłem bliżej. Krew wypełniała wklęsłości liter, wyrźniętych w ułożonych płasko nagrobkach. Odwróciłem się gwałtownie. Poczulem się przygnębiony i wstrząśnięty; zapaliłem papierosa. Pod arkadami było dużo chłodniej. Słońce odbijało się w kałużach świeżej krwi i w wapiennych płytach dziedzińca, opromieniało ciężkie ciała Żydów, ich zgrzebne garnitury, czarne albo brązowe, nasiąkłe krwią. Muchy roiły się nad ich głowami i siadały na ranach. Wrócił ksiądz i przystanął nad nimi. „A zmarli? — rzucił. — Nie możemy tak ich zostawić”. Ale ja nie miałem zamiaru mu pomagać; myśl o dotykaniu ostygłych ciał napawała mnie wstrętem. Zwróciłem się ku bramie, ominąłem zwłoki i wyszedłem na ulicę. Była pusta, bez zastanowienia skręciłem w lewo. Znalazłem się w ślepej uliczce; po jej prawej stronie rozciągał się plac z imponującym barokowym kościołem o rokokowych ornamentach i wysokim kolumnowym portalem; budowlę wieńczyła miedziana kopuła. Wszedłem po schodach do środka. Szerokie sklepienie nawy

spoczywało lekko na cienkich i krętych kolumnach, światło dnia wpadało obficie przez witraże i kładło się na złożonych drewnianych rzeźbach; przez cały kościół ciągnęły się rzędy ciemnych, wypolerowanych ław, całkiem pustych. W ścianie niewielkiego bielonego korytarzyka zauważyłem niskie drzwi ze starego drewna o metalowych okuciach: pchnąłem je, kilka kamiennych schodków prowadziło do szerokiego, niskiego westybulu — światło wpadało tu przez małe okienka. Przeciwległa ściana zastawiona była oszklonymi półkami, pełnymi przedmiotów kultu; niektóre wydały mi się bardzo stare, cudownie wykonane. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu w jednej z gablot dostrzegłem przedmioty żydowskie: zwoje zapisane po hebrajsku, szale modlitewne, stare ryciny przedstawiające Żydów w synagodze. Na hebrajskich księgach widniały niemieckie adresy drukarni: *Lwow, 1884; Lublin, 1853, bei Schmuel Berenstein*. Usłyszałem kroki i podniosłem głowę: siedł ku mnie mnich z tonsurą. Miał na sobie biały habit dominikanów. Zatrzymał się tuż przy mnie: „Dzień dobry, odezwał się po niemiecku. W czym mogę panu pomóc?”. — „Cóż to takiego?” — „Jest pan w klasztorze”. Wskazałem na gabloty: „Nie, mam na myśli to wszystko”. — „To? To nasze muzeum religii. Wszystkie eksponaty pochodzą z regionu. Może pan obejrzeć, jeśli ma pan ochotę. Zazwyczaj prosimy o niewielki datek, ale dziś wstęp jest za darmo”. Odszedł i zniknął bezszelestnie za żelaznymi drzwiami. Nieco dalej, tam, gdzie ujrzałem mnicha, korytarz skręcał pod kątem prostym; znalazłem się w wirydarzu, otoczonym niewielkim murkiem i zamkniętymi oknami, wciśniętymi pomiędzy kolumny. Moją uwagę przykuła długa i niska skrzynka ze szkła. Niewielka, przyczepiona do ściany lampka oświetlała jej wnętrze. Pochyliłem się: spoczywały w niej dwa splecione szkielety, na wpeł przysypane warstwą suchej ziemi. Większy, zapewne mężczyzny, pomimo mylących dużych miedzianych kolczyków ułożonych na czaszce, leżał na plecach; mniejszy, najwyraźniej kobiety, kulił się u jego boku, wtulony w jego ramiona, obie nogi ułożywszy na jego nodze. To było wspaniałe, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Na próżno próbowałem rozszyfrować opis. Od ilu wieków spoczywali tu oboje, spleceni w uścisku? To musiały być bardzo stare szkielety, leżały tu zapewne od najdawniejszych czasów; prawdopodobnie kobieta została złożona w ofierze i spoczęła w grobie u boku zmarłego mężczyzny; wiedziałem, że ten rodzaj ofiary istniał w pierwotnych epokach. Ale takie myślenie nie zdało się tu na nic: pomimo wszystko była to przecież pozycja odpoczynku po akcie miłosnym, pełna wstrząsającej czułości. Pomyślałem o siostrze i poczułem, jak coś łapie mnie za gardło:

ona, widząc to, na pewno by płakała. Wyszedłem z klasztoru, nie spotkałem nikogo. Ruszyłem na drugi koniec placu. Za nim otwierał się następny plac, rozległy, a pośrodku wznosiła się spora budowla z przyklejoną wieżą i kilkoma drzewami dookoła. Wokół placu cisnęły się wąskie domy, bajkowo zdobione, każdy w innym stylu. Za centralnym budynkiem zbierał się tłum ożywionych ludzi. Ominąłem ich i skręciłem w lewo, obszedłem dużą katedrę z kamiennym krzyżem, który trzymał w miłosnym uścisku jakiś anioł, z omdlewającym Mojżeszem z tablicami i zamyślonym świętym w łachmanach po bokach; była tam też czaszka i dwa skrzyżowane piszczele, łudzaco podobne do emblematu na mojej furazerce. Na tyłach katedry, w małej uliczce, wystawiono kilka krzeseł i stołów. Było gorąco, ogarnęło mnie zmęczenie, kawiarenka sprawiała wrażenie opustoszałej, usiadłem. Wyszła dziewczyna i odezwała się do mnie po ukraińsku. „Macie piwo? Piwo?“, spytałem po niemiecku. Pokręciła głową: „Piwa niet”. To akurat rozumiałem. „A kawa? *Kawa?*” — „*Da*”. — „*Woda?*” — „*Da*”. Weszła do kawiarni i wróciła, niosąc szklanekę wody, którą wychyliłem duszkiem. Zaraz też dostałem kawę. Była już posłodzona, więc jej nie wypilem. Zapaliłem papierosa. Przyszła dziewczyna, a na widok pełnej filiżanki odezwała się w kiepskiej niemczyźnie: „*Kawa? Niedobra?*”. — „*Cukier. Niet?*”. — „*Ach*”. Uśmiechnęła się, zabrała kawę i przyniosła drugą. Ta była mocna, gorzka, wypilem ją, paląc. Po prawej, u stóp katedry, stała kaplica cała w płaskorzeźbach, tworzących ciemne pasy, i zasłaniała mi widok na plac. Akurat mijał ją mężczyzna w niemieckim mundurze i przyglądał się uważnie plątaninie rzeźb. Zauważył mnie, skierował się w moją stronę; spojrzałem na jego dystynkcje, wstałem szybko i zasalutowałem. Zasalutował również: „*Dzień dobry! A więc jest pan Niemcem?*”. — „*Tak jest, Herr Hauptmann*”. Wyjął chustkę i przetarł czoło. „*Ach, świetnie. Pozwoli pan, że usiądę?*” — „*Oczywiście, Herr Hauptmann*”. Dziewczyna zjawiła się natychmiast. „*Woli pan kawę z cukrem czy bez? Niczego innego nie mają?*”. — „*Z cukrem poproszę*”. Pokazałem dziewczynie, że ma przynieść jeszcze dwie kawy, z cukrem na spodkach. Usiadłem obok Hauptmanna. Wyciągnął dłoń: „*Hans Koch. Jestem z Abwehrą*”. Też się przedstawiłem. „*Ach, pan z SD? Rzeczywiście, nie zauważyłem plakietki. Świetnie, świetnie...*” Ten Hauptmann był nawet całkiem sympatyczny: pewnie przekroczył nieco pięćdziesiątkę, miał okrągłe okulary i lekko wystający brzuch. Mówił z południowym akcentem, ale nie był to akcent wiedeński. „*Jest pan Austriakiem, prawda, Herr Hauptmann?*” — „*Tak. Ze Styrii. A pan?*” — „*Mój ojciec pochodzi z Pomorza. Ale ja*

urodziłem się w Alzacji. A potem mieszkaliśmy to tu, to tam”. — „No tak, no tak. Spaceruje pan?” — „W pewnym sensie”. Pokiwał głową: „Ja przyjechałem tu na spotkanie. Tu, zaraz obok, niedługo”. — „Spotkanie, Herr Hauptmann?” — „Widzi pan, gdy nas zapraszali, powiedzieli, że to spotkanie kulturalne, ale myślę, że będzie ono raczej polityczne”. Pochylił się ku mnie, jak gdyby chciał mi wyjawić jakiś sekret: „Wyznaczono mnie, bo mam podobno być ekspertem od narodowych kwestii ukraińskich”. — „A jest pan nim?” Odchylił się do tyłu. — „Wcale a wcale! Jestem profesorem teologii. Znam nieco kwestię unicką, to wszystko. Pewnie trafiło na mnie, bo służyłem w armii cesarskiej, byłem Leutnantem podczas Wielkiej Wojny, rozumie pan, i wymyślili, że znam się na problemach ukraińskich; ale ja siedziałem na froncie włoskim, a w dodatku zajmowałem się zaopatrzeniem. Faktem jest, miałem kilku kolegów Chorwatów...” — „Mówi pan po ukraińsku?” — „Ani słowa. Ale mam tłumacza. Pije teraz z facetami z OUN, tam, na placu”. — „OUN?” — „Tak. Wie pan, że rano przejęli władzę? To znaczy, zajęli radio. I proklamowali odrodzenie państwa ukraińskiego, o ile dobrze zrozumiałem. I dlatego właśnie muszę iść na to spotkanie. Słyszałem, że metropolita pobłogosławił nowe państwo. Podobno go o to poprosiliśmy, ale nie jestem za bardzo w temacie”. — „Który metropolita?” — „Unicki, oczywiście. Prawosławni nas nienawidzą. Nienawidzą także Stalina, ale nas nienawidzą bardziej”. Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale brutalnie mi przerwano: jakaś kobieta, tłustawa, prawie naga, w podartych pończochach, wybiegła nagle zza katedry, głośno zawodząc. Wpadła między stoliki, zatoczyła się, przewróciła jeden i łkając, runęła u naszych stóp. Jej biała skóra poznaczona była plamami sińców, ale nie krwawiła zbyt mocno. Za nią, nie spiesząc się, szło dwóch rosnących osiłków z opaskami. Jeden z nich odezwał się do nas złą niemczyzną: „Wybaczenie, Offizieren. *Kein Problem*”. Drugi złapał kobietę za włosy, podniósł i uderzył pięścią w brzuch. Czknęła i zamilkła, z pianą na ustach. Pierwszy dał jej kopniaka w tyłek, pobiegła dalej. Potruchtali za nią ze śmiechem i znikli za kaplicą. Koch zdjął furazerkę i znowu otarł czoło, a ja podniosłem przewrócony stolik. „Prawdziwe dzikusy”, zauważyłem. — „O tak, zgadzam się z panem. Chociaż wy ich chyba popieracie?” — „Nie wydaje mi się, Herr Hauptmann. Ale ja dopiero przyjechałem, nie jestem na bieżąco”. Koch mówił dalej: „W AOK słyszałem, że Sicherheitsdienst kazał drukować plakaty i podżegał tych ludzi. *Aktion Petlura*, tak to nazwali. Wie pan, ten ukraiński przywódca. Zamordował go chyba jakiś Żyd. W dwudziestym szóstym albo dwudziestym siódmym”. — „A widzi pan, jednak jest

pan specjalistą”. — „Och, przeczytałem tylko kilka raportów”. Dziewczyna znów wyszła z kawiarenki. Uśmiechnęła się i dała do zrozumienia, że nie muszę płacić za kawę. I tak zresztą nie miałem miejscowych pieniędzy. Spojrzałem na zegarek: „Proszę mi wybaczyć, Herr Hauptmann. Muszę już iść”. — „Och, bardzo proszę”. Uścisnął mi dłoń: „Powodzenia”.

Wracałem ze starego miasta najkrótszą drogą, z trudem torowałem sobie przejście pośród gęstego tłumu. W Gruppenstab panowało spore ożywienie. Przywitał mnie ten sam oficer: „Ach, to znowu pan”. Wreszcie przyjął mnie Brigadeführer dr Rasch. Uścisnął mi serdecznie dłoń, ale jego masywna twarz pozostała surowa. „Proszę usiąść. Co się przytrafiło Standartenführerowi Blobelowi?” Nie miał czapki, w wypukłym czole odbijało się światło żarówki. Opowiedziałem pokrótce o załamaniu Blobela: „Lekarz twierdzi, że to z powodu gorączki i wyczerpania”. Rasch wydał grube wargi. Pogrzebał w papierach na biurku i wyciągnął jakąś kartkę. „Ic z AOK 6 napisał do mnie skargę w związku z tym zajściem. Podobno Blobel groził oficerom Wehrmachtu”. — „Przesada, Herr Brigadeführer. Rzeczywiście trochę majaczył, mówił coś bez ładu i składu. Ale nie miał nikogo konkretnego na myśli, to z powodu choroby”. — „Dobrze”. Wypytał mnie o kilka innych kwestii, po czym dał znak, że spotkanie zakończone. „Sturmabführer von Radetzki wrócił już do Łucka, zastąpi Standartenführera do czasu jego powrotu do zdrowia. Przygotujemy rozkazy i inne dokumenty. W sprawie noclegu niech się pan skontaktuje z Hartlem z administracji, spróbuje pana gdzieś umieścić”. Wyszedłem i zacząłem szukać biura Leiterra I; jeden z jego adiutantów dał mi bony. Potem zszedłem na dół, poszukać Höflera i Poppa. W holu natknąłem się na Thomasa. „Max!” Klepnął mnie po ramieniu i poczułem, jak ogarnia mnie radość. „Cieszę się, że cię widzę. Co tutaj robisz?” Wyjaśniłem mu. „I zostajesz do jutra? To wspaniale. Idę na kolację z ludźmi z Abwehry, do małej restauracji, podobno świetnej. Pójdiesz z nami. Znaleźli ci nocleg? Żaden luksus, ale przynajmniej dostaniesz czystą pościel. Masz szczęście, że nie było cię tu wczoraj: burdel jakich mało. Czerwoni roznieśli wszystko, zanim zwiali, a Ukraińcy wkroczyli przed nami. Wzięliśmy Żydów do sprzątnięcia, ale trwało to całą wieczność, położyliśmy się dopiero nad ranem”. Umówiłem się z nim w ogrodzie za budynkiem i poszedłem w swoją stronę. Popp chrapał w samochodzie, Höfler grał w karty z policjantami; powiedziałem im, jak się sprawy mają, a potem poszedłem do ogrodu zapalić i poczekać na Thomasa.

Thomas był moim dobrym kolegą, naprawdę cieszyłem się z tego spotkania. Nasza przyjaźń zaczęła się wiele lat wcześniej. W Berlinie często jadaliliśmy razem kolacje, czasem zabierał mnie ze sobą do różnych lokali albo do słynnych kabaretów. Był bon vivantem i umiał sobie radzić w życiu. Zresztą w dużej mierze to właśnie dzięki niemu znalazłem się w Rosji, w każdym razie sugestia wyszła od niego. Wiosną 1939 roku — byłem wtedy świeżo po obronie doktoratu z prawa i właśnie wstąpiłem do SD — dużo rozmawialiśmy o wojnie. Po zajęciu Czech i Moraw Führer skierował wzrok na Danzig; cała trudność polegała na przewidzeniu reakcji Francji i Wielkiej Brytanii. Większość twierdziła, że nie będą ryzykować dla Danzig bardziej niż dla Pragi, ale kraje te były gwarantem zachodniej granicy Polski i zbroiły się najszybciej, jak mogły. Długo rozmawiałem na ten temat z dr. Bestem, moim przełożonym, a także, w pewnym sensie, moim mentorem w SD. Twierdził, że teoretycznie nie musimy bać się wojny, wojna była logicznym wynikiem *Weltanschauung*. Cytując Hegla i Jüngera, argumentował, że Państwo może osiągnąć punkt idealnej jedności tylko w wojnie i dzięki niej: *Jeżeli jednostka jest negacją Państwa, to wojna staje się negacją tejże negacji. Wojna jest momentem absolutnej socjalizacji wspólnotowej egzystencji Narodu*. Ale „góra” miała dużo bardziej prozaiczne zmartwienia. W ministerstwie Ribbentropa, w Abwehrze, w naszym departamencie spraw zagranicznych, każdy oceniał sytuację na swój sposób. Pewnego dnia wezwał mnie *der Chef*, Reinhard Heydrich. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy i podniecenie mieszało się z lękiem, gdy przekraczałem próg jego biura. Skupiony i surowy pochylał się nad stosem raportów, a ja przez kilka minut stałem na baczność, zanim dał mi znak, żebym usiadł. Wreszcie mogłem przyjrzeć mu się z bliska. Oczywiście widywałem go już wcześniej, podczas konferencji oficerów, na korytarzach Prinz-Albrecht-Palais; oglądany z pewnej odległości był ucieleśnieniem wizji nordyckiego *Übermenscha*, natomiast z bliska sprawiał dziwne wrażenie, był trochę bez wyrazu. Doszedłem do wniosku, że to kwestia proporcji: miał nadzwyczaj wysokie i wypukłe czoło, zbyt szerokie usta i za grube wargi w stosunku do wąskiej twarzy; jego ręce wydawały się zbyt długie, były jak uczepione ramion wiotkie wodorosty. Kiedy podniósł na mnie swoje małe, zbyt blisko osadzone oczy, nie mógł skupić ich na jednym punkcie; gdy się wreszcie odezwał, jego głos okazał się zbyt cienki jak na mężczyznę tej postury. Był zaskakująco kobiecy, co budziło we mnie jeszcze większy lęk. Wyrzucał z siebie szybko krótkie, pełne napięcia zdania, prawie nigdy ich nie kończąc. Ale ich sens był

zawsze jasny i zrozumiały. „Mam misję dla pana, doktorze Aue”. Reichsführer nie był usatysfakcjonowany docierającymi do niego raportami na temat zamiarów zachodnich mocarstw. Zażyczył sobie innej oceny, niezależnej od tej, którą prezentowało ministerstwo spraw zagranicznych. Wszyscy wiedzieli, że w krajach tych istnieje silny nurt pacyfistyczny, zwłaszcza w środowiskach nacjonalistycznych i faszystujących, jednak największą trudność sprawiało określenie ich wpływu na posunięcia rządu. „Zdaje się, że zna pan dobrze Paryż. W pańskich dokumentach jest informacja, że był pan związany ze środowiskami skupionymi wokół Action Française. Od tamtego czasu ludzie ci zyskali na znaczeniu”. Próbowałem coś powiedzieć, ale Heydrich nie dał mi dojść do słowa: „To nieważne”. Chciał, żebym pojechał do Paryża i odświeżył dawne znajomości w celu zbadania realnego znaczenia politycznego kręgów pacyfistycznych. Miałem jechać pod pretekstem odpoczynku po skończonych studiach. Naturalnie, miałem też powtarzać wszystkim, którzy chcieli mnie słuchać, że narodowosocjalistyczne Niemcy mają pokojowe intencje wobec Francji. „Pojedzie z panem doktor Hauser. Ale każdy z was będzie składał osobne raporty. Standartenführer Taubert przekaże wam pieniądze i niezbędne dokumenty. Wszystko jasne?” Tak naprawdę czułem się kompletnie zagubiony, ale nie mogłem tego pokazać. „*Zu Befehl, Herr Gruppenführer*”, cóż innego mogłem odpowiedzieć? — „Dobrze. Czekam na pana pod koniec lipca. Odmaszerować”.

Poszedłem spotkać się z Thomasem. Cieszyłem się, że ze mną jedzie. Jako student spędził kilka lat we Francji, mówił doskonale po francusku. „Co jest? Ale masz minę, rzucił mi na powitanie. Powinieneś być szczęśliwy. Misja, powierzono ci misję, to nie byle co”. Nagle dotarło do mnie, że rzeczywiście jest to nie lada szansa. „Zobaczysz. Jeśli się wywiążemy, wiele drzwi stanie przed nami otworem. Wkrótce wszystko ruszy do przodu i zrobi się miejsce dla ludzi, którzy umieją wykorzystać dobry moment”. Poszedł do Schellenberga, który miał opinię głównego doradcy Heydricha w kwestii polityki zagranicznej. Schellenberg szczegółowo opisał mu, czego od nas oczekiwano. „Wystarczy czytać gazety, żeby dowiedzieć się, kto chce wojny, a kto jej nie chce. Dużo trudniejsze jest określenie realnego wpływu jednych i drugich. Zwłaszcza realnego wpływu Żydów. Podobno Führer jest przekonany, że chcą wciągnąć Niemcy w jeszcze jedną wojnę; ale czy Francuzi to wytrzymają? Oto jest pytanie”. Roześmiał się szczerze: „Poza tym w Paryżu można świetnie zjeść! I są tam piękne dziewczyny!”. Misja przebiegła bez przeszkód. Odnalazłem przyjaciół, Roberta Brasillacha, który razem z siostrą Suzanne i

szwagrem Bardeche'em przygotowywał się do objechania z przyczepą całej Hiszpanii, dotarłem do Blonda, Rebateta i innych, mniej znanych, wszystkich moich dawnych kolegów z czasów, gdy robiłem *classes préparatoires* i uczyłem się w *École libre des sciences politiques*. Nocami podchmielony Rebatet prowadził mnie po Dzielnicy Łacińskiej i uczenie objaśniał świeże napisy MANE, TEKEL, FARES na murach Sorbony. Za dnia zabierał mnie czasem do Céline'a, który był już wtedy nadzwyczajnie sławny i opublikował właśnie swój drugi pamflet, zjadliwy i ostry. W korytarzach metra Poulain, przyjaciel Brasillacha, deklamował mi całe fragmenty z dzieł Céline'a: *Nie istnieje coś takiego jak fundamentalna, nieuleczalna nienawiść między Francuzami i Niemcami. Istnieją za to permanentne, zawzięte, żydowsko-brytyjskie machinacje, które z całych sił przeszkadzają Europie w zjednoczeniu, w utworzeniu jednego, wspólnego franko-niemieckiego obszaru, takiego, jak przed rokiem 843. Cały geniusz Judeo-Brytanii polega na umiejętnym prowadzeniu nas od konfliktu do konfliktu, od rzezi do rzezi; z masakr tych wychodzimy regularnie, zawsze, w oplakanyim stanie, zarówno Francuzi, jak i Niemcy, wykrwawieni, zdani całkowicie na łaskę Żydów z The City. Gaxotte i sam Robert, o których „l'Humanité” donosiła, że siedzą w więzieniu, niestrudzenie tłumaczyli wszystkim naokoło, że cała aktualna polityka francuska opiera się na przepowiedniach z książek astrologicznych Trarieux d'Egmonta, któremu udało się przewidzieć dokładną datę podpisania układu monachijskiego. Rząd francuski właśnie oddalił Abetza i innych niemieckich wysłanników, zły znak. Moja opinia interesowała wszystkich: „Od momentu, w którym traktat wersalski trafił do śmietnika Historii, kwestia francuska dla nas nie istnieje. Nikt w Niemczech nie rości pretensji do Alzacji i Lotaryngii. Ale z Polską nie uregulowaliśmy jeszcze wszystkich spraw. Nie rozumiemy, co skłania Francję, żeby się w to mieszać”. Taka była prawda, rząd francuski chciał się w to wmieszać. Ci, którzy nie wierzyli w hipotezę żydowską, potępiali Anglię: „Chcą chronić swoje Imperium. Ta sama polityka od czasów Napoleona: brak jednego kontynentalnego mocarstwa”. Inni byli zdania, że przeciwnie, Anglia przejawia raczej niechęć do interwencji zbrojnej, natomiast francuski sztab generalny, marząc o związkach z Rosją, chce obalić Niemcy, *nim będzie za późno*. Pomimo entuzjastycznego nastawienia moi przyjaciele byli raczej pesymistami: „Francuska prawica płynie z nurtem, powiedział mi Rebatet któreś nocy. To kwestia honoru”. Wyglądało na to, że wszyscy z pewną rezygnacją przyjmują do wiadomości myśl o mającej nadejść, prędzej czy później, wojnie. Prawica wieszała psy na lewicy i Żydach;*

lewica i Żydzi, rzecz jasna, wieszali psy na Niemcach. Thomasa widywałem rzadko. Kiedyś zabrałem go ze sobą do bistro, w którym spotykałem się z ekipą z pisma „Je suis partout”, i przedstawiłem go jako kolegę ze studiów. „To twój Pilades?” — spytał mnie cierpko Brasillach po grecku. „Właśnie tak, odrzekł Thomas w tym samym języku, z melodyjnym wiedeńskim akcentem. A on jest moim Orestesem. Strzeż się potęgi zbrojnej przyjaźni!” Sam nawiązywał kontakty raczej z ludźmi biznesu; podczas gdy ja musiałem zadowalać się winem i makaronem, jedzonym na poddaszach w towarzystwie młodych zapaleńców, on delectował się *foie gras* w najlepszych knajpkach w mieście. „Taubert zapłaci rachunki, śmiał się. Dlaczego miałbym sobie odmawiać?”

Po powrocie do Berlina napisałem raport. Moja ocena sytuacji była pesymistyczna, lecz trzeźwa: francuska prawica jest w większości przeciwna wojnie, ale ma bardzo niewielkie znaczenie polityczne. Rząd, pozostający pod wpływem Żydów i brytyjskiej plutokracji, twierdzi, iż niemiecka ekspansja, nawet ta przeprowadzona w granicach naturalnego *Grossraum*, stanowi zagrożenie dla żywotnych interesów Francji; pójdzie na wojnę nie w imię Polski jako takiej, ale w imię gwarancji, jakie dał Polsce. Przekazałem raport Heydrichowi, na jego prośbę kopię otrzymał ode mnie Werner Best. „Ma pan zapewne rację, tak myślę, powiedział Best. Ale oni chcieliby usłyszeć coś innego”. Wcześniej nie rozmawiałem o moim raporcie z Thomasem; kiedy przedstawiłem mu jego treść, zrobił zdegustowaną minę. „Ty naprawdę nic a nic z tego nie rozumiesz. Można by pomyśleć, że przybywasz z głębokiej Frankonii”. Sam napisał coś dokładnie odwrotnego: że francuscy przemysłowcy sprzeciwiają się wojnie z obawy o eksport, a w związku z tym sprzeciwia się jej także francuska armia, zresztą nie po raz pierwszy; rząd francuski zmięknie, postawiony przed faktem dokonanym. „Ale przecież wiesz dobrze, że wcale tak nie będzie”, zaprotestowałem. — „A co nas obchodzi, jak będzie? W jaki sposób może to nas dotyczyć, ciebie i mnie? Reichsführer chce jednej rzeczy: dać Führerowi pewność, że będzie mógł zająć się Polską tak, jak to zaplanował. Tym, co stanie się potem, będziemy się martwić potem”. Pokręcił głową: „Reichsführer nawet nie zobaczy twojego raportu”.

Oczywiście miał rację. Heydrich nigdy nie odpowiedział na to, co mu wysłałem. Gdy miesiąc później Wehrmacht najechał na Polskę, a Francja i Wielka Brytania wypowiedziały nam wojnę, Thomasa przydzielono do jednej z nowych elitarnych Einsatzgruppen Heydricha, tymczasem ja zostałem w Berlinie, skazany na wegetację. Wkrótce zrozumiałem, że w niekończących się *narodowosocjalistycznych gierkach*

poważnie zblądziłem, źle zinterpretowałem niejednoznaczne sygnały z góry, nie potrafiłem przewidzieć woli Führera. Moje analizy były trafne, a Thomasa — błędne; on został nagrodzony pozazdrosczenia godną pracą z możliwością szybkiego awansu, mnie odsunięto od wszystkiego: warto było się nad tym zastanowić. W ciągu następnych miesięcy stopniowo odkrywałem, że w RSHA, utworzonym w wyniku nieoficjalnej fuzji SP i SD, Best zaczyna tracić na znaczeniu, pomimo że stanął na czele jego dwóch departamentów; natomiast gwiazda Schellenberga z dnia na dzień wschodzi coraz wyżej. Dziwnym zbiegiem okoliczności mniej więcej na początku roku Thomas zaczął częściej spotykać się z Schellenbergiem. Mój przyjaciel miał zadziwiający i nieomylny talent do znajdowania się we właściwym miejscu, ale nie we właściwym czasie, tylko na chwilę przed. W związku z tym sprawiał wrażenie, że jest tu od zawsze i że zmiany w biurokratycznej hierarchii właśnie go dosięgły. Mógłbym dostrzec to wcześniej, gdybym tylko był bardziej uważny. Teraz, jak podejrzewałem, moje nazwisko już na zawsze będzie wiązane z osobą Besta, a więc i z takimi określeniami, jak *biurokrata*, *ograniczony prawnik*, *nie dość aktywny*, *niewystarczająco twardy*. Będę mógł w dalszym ciągu wydawać opinie prawne, do tego też potrzeba ludzi, ale nic poza tym. Rzeczywiście, w czerwcu następnego roku Werner Best odszedł z RSHA, choć przecież przysłużył się do jego powstania bardziej niż ktokolwiek inny. W tamtym czasie starałem się o służbę we Francji; odpowiedziano mi, że bardziej się przydam na miejscu, pracując dla wydziału prawnego. Best był sprytny, miał przyjaciół i protektorów gdzie indziej; już od kilku lat jego publikacje ewoluowały od prawa karnego i konstytucyjnego w stronę prawa międzynarodowego i teorii *Grossraum*, Wielkiej Przestrzeni, którą rozwijał w opozycji do Carla Schmitta, wspólnie z moim dawnym wykładowcą Reinhardem Höhnem i paroma innymi intelektualistami. Zręcznie wykorzystując te atuty, uzyskał wysokie stanowisko w administracji wojskowej we Francji. Ja nie mogłem nawet publikować.

Któregoś dnia, na przepustce, Thomas potwierdził moje domysły: „Mówiłem ci, że zrobiłeś głupstwo. Wszyscy, którzy naprawdę się liczą, są teraz w Polsce”. Dodał, że na razie nie może wiele dla mnie zrobić. Największą gwiazdą był Schellenberg, protegowany Heydricha, a Schellenberg mnie nie lubił, uważał za sztywniaka. Ohlendorf, mój drugi poplecznik, miał tyle kłopotów z utrzymaniem własnej pozycji, że nie mógł się zajmować jeszcze mną. Być może powinienem był szukać pomocy u byłych dyrektorów mojego ojca. Ale w tamtym czasie wszyscy byli dość zajęci.

W końcu, dzięki Thomasowi, coś się jednak ruszyło. Po powrocie z Polski został wysłany do Jugosławii i Grecji, skąd wrócił w randze Hauptsturmführera. Dostał kilka odznaczeń. Teraz nosił już tylko mundur, tak samo świetnie skrojony jak przedtem garnitury. W maju 1941 roku zaprosił mnie na kolację do Horchera, słynnej restauracji przy Lutherstrasse. „Ja stawiam”, oświadczył z szerokim uśmiechem. Zamówił szampana i wypiliśmy za zwycięstwo: „*Sieg Heil!*”. Za zwycięstwa dokonane i te, które nadejdą, dorzucił Thomas i spytał, czy słyszałem o Rosji. „Dotarły do mnie jakieś plotki, przyznałem, ale nic poza tym”. Uśmiechnął się: „Atakujemy. W przyszłym miesiącu”. Urwał, żeby wzmocnić efekt tej wiadomości. „Mój Boże”, wyrwało mi się. „Nie ma Boga. Jest tylko Adolf Hitler, nasz Führer, i niezwyciężona potęga niemieckiej Rzeszy. Zbieramy w tej chwili najliczniejszą armię w historii ludzkości. Zmiażdżymy ich w przeciągu kilku tygodni”. Wypiliśmy. „Posłuchaj, powiedział w końcu. *Der Chef* formuje właśnie kilka Einsatzgruppen, które będą towarzyszyć kompaniom szturmowym Wehrmachtu. Oddziały specjalne, takie jak w Polsce. Mam podstawy sądzić, że z radością powita wszystkich młodych i zdolnych oficerów SS, którzy będą się starać o służbę w jednej z tych Einsatz”. — „Już się kiedyś starałem. O Francję. Odmówiono mi”. — „Tym razem nikt ci nie odmówi”. — „A ty też tam pojedziesz?” Poruszył lekko szampanem w swoim kieliszku. „Oczywiście. Zostałem przydzielony do jednego z Gruppenstabe. Każda grupa będzie kierować kilkoma Kommando. Jestem pewien, że będzie cię można wcisnąć do któregoś z tych Kommandostabe”. — „A do czego właściwie będą służyć te grupy?” Uśmiechnął się: „Mówiłem ci już, do zadań specjalnych. Praca SP i SD, zabezpieczanie oddziałów na tyłach linii, wywiad i te sprawy. No i będą miały oko na żołnierzy. W Polsce bywali dość trudni, myśleli trochę staroświecko, nie chcielibyśmy, żeby się to powtórzyło. Więc jak? Zastanowisz się?”. Chyba was nie dziwi, że nie wahałem się ani chwili? Propozycja Thomasa wydała mi się rozsądna, a nawet ekscytująca. Postawcie się na moim miejscu. Kto przy zdrowych zmysłach mógł sobie wtedy wyobrażać, że wysyła się tam prawników po to, żeby bez procesu mordowali ludzi? Moje poglądy były jasne i szczerze; odpowiedziałem, nie namyślając się długo: „Umieram z nudów w Berlinie. Jeżeli pomożesz mi wstąpić, pojedę”. Thomas znowu się uśmiechnął: „Zawsze wiedziałem, że jesteś w porządku, że można na ciebie liczyć. Zobaczysz, będzie wesoło”. Roześmiałem się radośnie i znów napiliśmy się szampana. W ten właśnie sposób Diabeł powiększa swoje królestwo, nie inaczej.

Ale tego w Lemberggu nie mogłem jeszcze wiedzieć. Zapadał zmierzch, kiedy przyszedł Thomas i wyrwał mnie z zamyślenia. Słyszeliśmy pojedyncze wystrzały od strony bulwaru, lecz było już dużo spokojniej. „Idziemy? Czy wolisz tu zostać i gapić się bez sensu?” — „Co to jest *Aktion Petlura*?”, spytałem go. — „To, co widziałeś na ulicach. Kto ci o tym mówił?” Zignorowałem jego pytanie: „To naprawdę wy rozpoczęliście ten pogrom?”. — „Powiedzmy, że nie staraliśmy się ich powstrzymywać. Przymknęliśmy kilka osób. Ale nie wydaje mi się, żeby Ukraińcy tak bardzo nas potrzebowali. Nie widziałeś plakatów OUN? *Witaliście Stalina kwiatami, my witamy Hitlera waszymi ścietymi głowami*. Sami na to wpadli”. — „Rozumiem. Idziemy pieszo?” — „To niedaleko”. Restauracja znajdowała się przy jednej z uliczek na tyłach bulwaru. Drzwi były zamknięte; kiedy Thomas zapukał, uchylły się, a potem otworzyły na oścież, ukazując ciemne wnętrza, oświetlone płomieniem świecy. „Tylko dla Niemców”, uśmiechnął się Thomas. „A, profesor, dobry wieczór”. Oficerowie Abwehry już tam siedzieli, poza nimi nie było nikogo. Natychmiast rozpoznałem najpotężniejszego, tego, którego pozdrowił Thomas, dystyngowanego, całkiem jeszcze młodego mężczyznę, o ciemnych oczach, błyszczących w owalnej, wygolonej, księżycowej twarzy. Jego jasne włosy były nieco zbyt długie, uniesione po bokach tworzyły napuszony czubek, zupełnie nieżołnierski. Także uściśnąłem mu dłoń: „Profesorze Oberländer, miło pana znów widzieć”. Spojrzał na mnie uważnie: „My się znamy?”. — „Zostaliśmy sobie przedstawieni kilka lat temu, po jednym z pańskich wykładów na Uniwersytecie Berlińskim. Przez doktora Reinharda Höhna, mojego nauczyciela”. — „Ach! Był pan studentem Höhna! Wspaniale”. — „Mój przyjaciel, doktor Aue, jest wschodzącą gwiazdą SD”, wtrącił sprytnie Thomas. — „Wcale mnie to nie dziwi, w końcu wyszedł spod skrzydeł Höhna. Czasem mam wrażenie, że całe SD przeszło przez jego ręce”. Odwrócił się do swojego towarzysza: „Ale, ale, przecież ja wam jeszcze nie przedstawiłem Hauptmanna Webera, mojego adiutanta”. Zauważyłem, że obaj mieli plakietki ze słowikiem, takim, jakiego widziałem po południu na ramionach niektórych żołnierzy. „Proszę wybaczyć moją niewiedzę, ośmieliłem się spytać, gdy usiedliśmy, ale co to za oznaka?” — „To emblemat «Nachtigall», odpowiedział Weber, specjalnego batalionu Abwehry, złożonego z ukraińskich nacjonalistów z Zachodniej Galicji”. — „Profesor Oberländer dowodzi batalionem «Nachtigall». Jesteśmy konkurentami”, wtrącił Thomas. — „Przesadza pan, Hauptsturmführer”. — „Nie tak bardzo. Wy przywieźliście w walizce

Bandere, my Melnyka i komitet berliński”. Dyskusja natychmiast się ożywiła. Przyniesiono nam wino. „Bandera może się przydać”, stwierdził Oberländer. — „Do czego?”, zapytał natychmiast Thomas. Ci faceci są chorzy, rzucają proklamacjami na prawo i lewo, z nikim się nie konsultują”. Podniósł ramię: „*Niepodległość!* Brzmi nieźle”. — „Myśli pan, że Melnyk zrobiłby to lepiej?” — „Melnyk to rozsądny człowiek. Szuka w Europie pomocy, a nie terroru. To polityk, jest gotów na długoterminową współpracę z nami, to daje nam większy wybór”. — „Być może, ale ulica go nie słucha”. — „To narwańcy! Jak się nie uspokoją, weźmiemy ich na muszkę”. Napiliśmy się. Wino było dobre, nieco cierpkie, ale mocne. „Skąd pochodzi?”, zapytał Weber, stukając paznokciem o szklankę. „To? Chyba z Zakarpacia”, powiedział Thomas. „Wie pan, nie odpuszczał Oberländer, OUN stawia opór Sowietom od dziesięciu lat, i to z powodzeniem. Nie byłoby wcale łatwo ich wyeliminować. Lepiej spróbować ich przekonać i skanalizować tę ich energię. A Bandery chociaż posłuchają. Widział się dziś ze Stecką i spotkanie przebiegło pomyślnie”. — „Kto to jest Stecko?”, spytałem. Thomas odpowiedział z ironią: „Jarosław Stecko jest nowym premierem rzekomej niepodległej Ukrainy, której nie uznaliśmy”. — „Jeżeli dobrze to rozegramy, mówił dalej Oberländer, szybko odstąpią od pretensji”. Thomas zareagował dość ostro: „Kto? Bandera? Jest terrorystą i terrorystą zostanie. Ma duszę terrorysty. Zresztą dlatego właśnie ci narwańcy tak go uwielbiają”. Zwrócił się do mnie: „Wiesz, skąd Abwehra wyciągnęła tego Bandere? Z więzienia!”. — „Z Warszawy, uściślił z uśmiechem Oberländer. Rzeczywiście, odbywał karę za zabicie polskiego ministra w trzydziestym czwartym. Ale ja nie widzę w tym nic złego”. Thomas zwrócił się do niego: „Chcę tylko powiedzieć, że jest nieobliczalny. Zobaczysz pan. To fanatyk, marzy o Wielkiej Ukrainie od Karpat po Don. Twierdzi, że jest kolejnym wcieleniem kniazia Dymitra Dońskiego. Melnyk jest przynajmniej realistą. I także ma duże poparcie. Wszyscy zasłużeni bojownicy domagają się go”. — „Tak, właśnie, ale nie młodzi. Poza tym sam pan przyzna, że nie jest zbyt zdeterminowany, jeśli chodzi o kwestię żydowską”. Thomas wzruszył ramionami: „Tym się możemy zająć bez niego. Tak czy inaczej, historycznie rzecz biorąc, OUN nigdy nie była antysemitka. Jeżeli nawet trochę ewoluowali w tym kierunku, to tylko dzięki Stalinowi”. — „To być może prawda, przyznał cicho Weber. Ale istnieje mimo wszystko coś, jakiś intymny związek pomiędzy Żydami a polskimi właścicielami ziemskimi”. Przyniesiono jedzenie: pieczoną kaczkę nadziewaną jabłkami, puree i duszone buraczki. Thomas nałożył nam na talerze. „To jest

wyśmienite”, ocenił Weber. — „Tak, świetne”, zgodził się Oberländer. „To regionalna specjalność?” — „Tak, objaśnił Thomas pomiędzy jednym kęsem a drugim. Kaczkę nacierają majerankiem i czosnkiem. Zwykle podają to razem z zupą z kaczej krwi, ale dziś nie mogli”. — „Przepraszam, wtrąciłem się. Wasz «Nachtigall» jaką przyjął w tym wszystkim pozycję?” Oberländer skończył przeżuwać i wytarł usta, po czym odpowiedział: „Oni to jeszcze co innego. Ruski duch, można powiedzieć. Ideologicznie — a nawet osobiście w przypadku najstarszych — wywodzą się z narodowej formacji wojskowej w starej cesarskiej armii, która nosiła nazwę «Ukraiński Siczowi Strilci». Ukraińscy Strzelcy Siczowi, pojęcie kozackie. Po wojnie zostali tutaj i wielu z nich walczyło pod dowództwem Petlury z czerwonymi, i z nami też trochę, w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Ci z OUN niezbyt ich lubili. To są, w pewnym sensie, raczej zwolennicy autonomii aniżeli niepodległościowcy”. — „Tak samo, zresztą, jak bulbowcy”, dorzucił Weber. Spojrzał na mnie: „W Łucku jeszcze się nie pokazali?”. — „Z tego, co wiem, nie. Czy to też są Ukraińcy?” — „Mieszkańcy Wołynia”, uściślił Oberländer. Grupa samoobrony, która stanęła do walki przeciwko Polakom. Od trzydziestego dziewiątego biją się z Sowietami i nasze porozumienie z nimi mogłoby być interesujące. Ale myślę, że działają raczej w okolicach Równego i trochę wyżej, na bagnach Prypeci”. Wróciliśmy do jedzenia. „Jednego nie rozumiem, odezwał się po chwili Oberländer, celując w nas widelcem. Dlaczego bolszewicy zgnębili Polaków, ale Żydów zostawili w spokoju. Przecież, jak twierdzi Weber, zawsze istniały między nimi związki”. — „Myślę, że odpowiedź jest oczywista, powiedział Thomas. W końcu stalinowski aparat władzy jest zdominowany przez Żydów. Gdy bolszewicy wkroczyli do regionu, zajęli miejsce polskich «panów», ale zachowali przy tym taki sam układ sił, co oznacza, że przy wsparciu Żydów eksploatowali ukraińskie chłopstwo. Stąd sprawiedliwy gniew ludu, który dane jest nam dziś oglądać”. Weber prychnął do wnętrza szklanki, Oberländer zachichotał sucho. „*Sprawiedliwy gniew ludu*. Ależ pan ma sformułowania, Hauptsturmführer”. Rozsiadł się pewniej na krześle i uderzał nożem w krawędź stołu. „Takie rzeczy może pan mówić obserwatorom. Naszym sojusznikom, może nawet Amerykanom. Ale wie pan równie dobrze jak ja, w jaki sposób organizuje się taki gniew”. Thomas uśmiechnął się uprzejmie. „Ale przynajmniej, profesorze, oddaje nam to przysługę, jeśli chodzi o psychologiczne zaangażowanie ludności. Potem będą mogli już tylko przyklaskiwać naszym działaniom”. — „Rzeczywiście, to trzeba przyznać”.

Kelnerka sprzątnęła ze stołu. „Kawy?”, spytał Thomas. — „Chętnie. Ale szybko, wieczorem mamy jeszcze sporo do zrobienia”. Thomas poczęstował wszystkich papierosami, przyniesiono kawę. „Cokolwiek się zdarzy, powiedział Oberländer, pochylając się nad zapalniczką w wyciągniętej dłoni Thomasa, byłbym bardzo zainteresowany przekroczeniem Zbrucza”. — „A to dlaczego?”, spytał Thomas, podsuwając ogień Weberowi. — „Czytał pan moją książkę? Tę o przeludnieniu terenów wiejskich w Polsce?” — „Niestety nie, przykro mi”. Oberländer zwrócił się do mnie: „Ale pan, jako student Höhna, musiał ją chyba przeczytać?”. — „Oczywiście”. — „To dobrze. Więc jeżeli moje teorie są słuszne, to myślę, że kiedy już dotrzemy do rzeczywistej Ukrainy, znajdziemy tam bogate chłopstwo”. — „Jak to?”, zdziwił się Thomas. — „Dzięki polityce Stalina. W ciągu dwunastu lat dwadzieścia pięć milionów rodzinnych gospodarstw przekształciło się w dwieście pięćdziesiąt tysięcy kombinatów rolnych na wielką skalę. Uważam, że rozkułaczenie oraz, przede wszystkim, wielki zaplanowany głód w 1932 roku świadczyły o tym, że starano się znaleźć równowagę pomiędzy dostępną przestrzenią, z której uzyskuje się dobra jadalne, a konsumującą je populacją. Mam powody, by sądzić, że im się udało”. — „A jeżeli ponieśli porażkę?” — „To my odniesiemy sukces”. Weber dał mu znak, a on dokończył kawę. „Meine Herren, mówił, podnosząc się z miejsca i stukając obcasami, dziękuję za wspólny wieczór. Ile jesteśmy winni?” — „Nic, powiedział Thomas, również wstając, to dla mnie przyjemność”. — „W takim razie należy się rewanż”. — „Bardzo chętnie. W Kijowie czy w Moskwie?” Wszyscy się roześmieli i uścisnęli sobie dłonie. „Pozdrowienia dla doktora Rascha, rzucił mi Oberländer. Widywaliśmy się często w Königsbergu. Mam nadzieję, że będzie miał czas, żeby dołączyć do nas któregoś wieczoru”. Mężczyźni wyszli, a Thomas usiadł z powrotem: „Napij się koniaku? Na koszt Grupy”. — „Chętnie”. Thomas zamówił. „Świetnie mówisz po ukraińsku”, zauważyłem. „Och, w Polsce nauczyłem się trochę po polsku, to prawie to samo”. Przyniesiono koniaki, stuknęliśmy się kieliszkami. „Cóż to za insynuacje na temat pogromu?” Thomas nie odpowiedział od razu. Wreszcie się przełamał: „Tylko, zastrzegł, zachowaj to dla siebie. Wiesz, że w Polsce mieliśmy z żołnierzami niemało problemów. Zwłaszcza w kwestii naszych metod specjalnych. Szanowni panowie mieli wątpliwości natury moralnej. Myśleli, że można zjeść ciastko i mieć ciastko. Tym razem powzięliśmy działania prewencyjne, mające zapobiec nieporozumieniom: *der Chef* i Schellenberg wynegocjowali dokładne umowy z

Wehrmachtem, informowano was o tym w Pretzsch”. Kiwnąłem głową, a on mówił dalej: „Jednak pomimo wszystko chcieliśmy uniknąć sytuacji, w której zmieniliby zdanie. W takich wypadkach pogromy mają jedną ważną zaletę: pokazują Wehrmachtowi, że w momencie, gdy SS i Sicherheitspolizei mają związane ręce, to na tyłach rodzi się chaos. Istnieje coś, czym żołnierze brzydzą się bardziej nawet niż *dyshonorem*, jak sami to nazywają, a tym czymś jest bałagan. Jeszcze trzy dni takie jak dziś, a sami przyjdą nas błagać, żebyśmy wykonali naszą robotę: czysto, dyskretnie, skutecznie, bez kłopotów”. — „A Oberländer domyśla się tego wszystkiego?” — „Och, wcale mu to nie przeszkadza. Po prostu chce mieć pewność, że będzie mógł spokojnie knuć swoje małe polityczne intrygi. Chociaż, dorzucił z uśmiechem, jego też będziemy mogli kontrolować, kiedy tylko zechcemy”.

To jednak dziwny chłopak, myślałem, szykując się do snu. Jego cynizm gorszył mnie czasem, choć w gruncie rzeczy uważałem, że jest bardzo ożywczy; jednocześnie wiedziałem, że nie mogę oceniać go po tym, co mówi. Ufałem mu bezgranicznie: w SD był wobec mnie zawsze lojalny, pomagał mi, choć nie prosiłem go o to, i to nawet wtedy, gdy wiedział, że nie mogę się w żaden sposób odwdziaczyć. Kiedyś otwarcie spytałem, dlaczego, a on wybuchnął śmiechem: „Cóż ci mogę odpowiedzieć? Że cię trzymam w rezerwie, bo mam wobec ciebie długoterminowe plany? Lubię cię, to wszystko”. Te słowa poruszyły mnie do głębi, a on pospiesznie dorzucił: „Poza tym mam pewność, że taka niezdara jak ty nigdy mi nie zagrozi. Dobrze i to”. Odegrał pewną rolę w moim wstąpieniu do SD, było to zresztą nasze pierwsze spotkanie; to fakt, doszło do niego w dość szczególnych okolicznościach, ale nie zawsze mamy na to wpływ. Należałem już wtedy od kilku lat do siatki Vertrauensmänner SD, tajnych agentów rozlokowanych we wszystkich sferach niemieckiego życia, w przemyśle, rolnictwie, w aparacie biurokratycznym, na uniwersytetach. Gdy w 1934 roku przybyłem do Kilonii, miałem dość ograniczone środki do życia, i — za radą jednego z dyrektorów mojego ojca — dr. Mandelbroda, zgłosiłem się do SS, dzięki czemu zwolniono mnie z opłaty wpisowego na uniwersytet; wsparł mnie, i szybko zostałem przyjęty. Dwa lata później słuchałem niezwykłego wykładu Ottona Ohlendorfa na temat odchyień w nurcie narodowego socjalizmu; po wykładzie zostałem mu przedstawiony przez Janssenę, mojego profesora ekonomii, który kilka lat wcześniej uczył także jego. Jak się okazało, Ohlendorf słyszał już o mnie od dr. Mandelbroda, który był jego znajomym. Zaczął dość otwarcie zachwalać SD

i z miejsca przyjął mnie jako V-Manna. Praca była prosta: musiałem wysyłać raporty o tym, co mówi ulica, o krążących plotkach, dowcipach, o reakcjach ludzi na poczynania narodowych socjalistów. W Berlinie, jak wyjaśnił mi Ohlendorf, kompilowano raporty tysięcy V-Männer, a następnie SD przekazywała ich syntezę różnym instancjom Partii, co pozwalało im ocenić nastroje panujące w narodzie i w zależności od nich tworzyć politykę. W pewnym sensie to działanie zastępowało wybory. Ohlendorf był jednym z twórców owego systemu i chyba był z tego dumny. Najpierw wydało mi się to ekscytujące — przemowa Ohlendorfa wywarła na mnie duże wrażenie i byłem szczęśliwy, że mogę w tak konkretny sposób uczestniczyć w budowaniu narodowego socjalizmu. Ale w Berlinie Höhn, mój profesor, subtelnie mnie do tego zniechęcał. Był w SD „ojcem chrzestnym” Ohlendorfa i wielu innych, ale odkąd poróżnił się z Reichsführerem, zrezygnował ze służby. Szybko przekonał mnie, że praca na rzecz służb wywiadowczych czy szpiegowskich to romantyczne mrzonki i że czekają mnie zadania dużo bardziej pożyteczne dla Narodu. Pozostałem z Ohlendorfem w kontakcie, ale nie opowiadał mi już zbyt wiele o SD; on także, o czym dowiedziałem się później, miał kłopoty z Reichsführerem. Nadal płaciłem składki w SS i przychodziłem na zbiórki, ale nie wysyłałem już więcej raportów, a wkrótce w ogóle przestałem o tym myśleć. Skupiłem się na doktoracie, pisanie było dość żmudne. Poza tym zapalałem namiętnością do Kanta i pilnie wkuwałem Hegla i idealizm. Zachęcony przez Höhna, chciałem ubiegać się o stanowisko w ministerstwie. Ale muszę wyznać, że powstrzymywało mnie także coś jeszcze innego, a mianowicie sprawy prywatne. W moim tomie Plutarcha podkreśliłem kilka zdań o Alkibiadesie: *W Sparcie więc zewnątrznie był, można powiedzieć: „To nie syn Achillesa, to on sam Achilles” to jakby ktoś, kogo sam Likurg wychował. W rzeczywistości mógłby każdy powiedzieć o jego namiętnościach i postępowaniu: „To wciąż dawna kobieta!”*. Może uśmiechniecie się, czytając to, a może skrzywicie z niesmakiem; teraz jest mi to obojętne. W Berlinie, pomimo wysiłków Gestapo, dostępne było w tamtym czasie wszystko, o czym tylko można zamarzyć w tej branży. Cieszące się dobrą sławą knajpy, takie jak Kleist-Kasino czy Silhouette, nadal były otwarte, a naloty na nie zdarzały się raczej nieczęsto, chyba komuś płacili. Poza tym były pewne miejsca w Tiergarten, blisko Neuer See naprzeciw Dworca Zoo, gdzie nocą Schupo zapuszczali się rzadko; schowani za drzewami wyczekiwali tam *Strichjungen*, męskie prostytutki, albo młodzi, umięśnieni robotnicy z Wedding la Rouge. Na uniwersytecie miałem jeden albo dwa

związki, z konieczności dyskretne i pod każdym względem przelotne; wolałem kochanków z proletariatu, nie lubiłem wdawać się w pogawędki.

Byłem dyskretny, a jednak w końcu wpadłem w tarapaty. Powiniennem był zachować większą czujność, przecież ostrzeżeń nie brakowało. Höhn poprosił mnie — zupełnie niewinnie — o zrecenzowanie książki autorstwa adwokata Rudolfa Klare, *Homoseksualizm i prawo karne*. Ten człowiek o nadzwyczajnej wiedzy stworzył zadziwiająco precyzyjną typologię praktyk oraz opartą na niej klasyfikację przestępstw, poczynawszy *od relacji na odległość lub przyglądania się* (poziom 1) poprzez *przyciskanie obnażonego penisa do wybranej części ciała partnera* (poziom 5) i *rytmiczne pocieranie go między zbliżonymi kolanami, udami lub w zagłębieniu pachy* (poziom 6) aż po *dotykanie penisa językiem, penis w ustach* i wreszcie *penis w odbycie* (kolejno poziomy: 7, 8 i 9). Każdemu poziomowi przestępstwa odpowiadała coraz surowsza kara. Klare z całą pewnością przeszedł przez internat, to było widać jak na dłoni; ale Höhn zapewniał, że minister spraw wewnętrznych i Sicherheitspolizei podchodzą do jego pomysłów bardzo poważnie. Ja uważałem, że to komiczne. Pewnego wiosennego wieczoru — było to w trzydziestym siódmym — znów poszedłem na tyły Neuer See. Obserwowałem cienie wokół drzew, aż wreszcie mój wzrok spotkał się ze wzrokiem młodego chłopaka; wyjąłem papierosa, poprosiłem o ogień, a gdy podniósł zapalniczkę, zamiast pochylić się nad jego dłonią, odsunąłem ją, wyrzuciłem papierosa, chwyciłem chłopaka za kark i pocałowałem w usta, smakując powoli jego oddech. Poszedłem z nim za drzewa, oddaliliśmy się od drogi; krew, jak za każdym razem, pulsowała mi w gardle i w skroniach, oddech stał się charczący i suchy, odpiąłem mu spodnie, ukryłem twarz w cierpkiej woni, mieszaninie zapachu potu, męskiego ciała, moczu i wody kolońskiej, tuliłem się policzkiem do jego skóry, do członka i do miejsca, w którym włoski stawały się gęstsze, lizałem go, brałem do ust, a gdy nie mogłem już wytrzymać, odwróciłem się, nie wypuszczając go z rąk i wbijałem go w siebie, aż nareszcie straciłem poczucie czasu i opuściło mnie przygnębienie. Skończyliśmy, chłopak odszedł szybko, bez słowa. Zdyszany oparłem się o drzewo, poprawiłem ubranie, zapaliłem papierosa i próbowałem opanować drżenie nóg. Gdy już mogłem ruszyć się z miejsca, poszedłem w stronę Landwehr Canal, chciałem przejść mostem, a potem udać się w stronę S-Bahn Zoo. Czułem bezbrzeżną lekkość, nogi same mnie niosły. Na moście Lichtenstein stał człowiek, opierał się o barierkę: znałem go, mieliśmy wspólnych znajomych, nazywał się Hans P. Był bardzo blady, roztrzęsiony, nie

miął krawata; cienka warstwa potu błyszczała na jego zielonkawej twarzy w zimnym świetle latarni. Moja euforia ulotniła się natychmiast. „Co pan tu robi?”, spytałem surowym i niezbyt przyjaznym tonem. „Ach, Aue, to pan”. Jego chichot był nieco histeryczny. „Chce pan wiedzieć?” Spotkanie przybierało coraz bardziej niebezpieczny obrót; stałem jak skamieniały. Kiwnąłem głową. „Chciałem skoczyć, wyjaśnił, przygryzając górną wargę. Ale stchórzyłem. A nawet, mówił dalej, odchylił poję marynarki i pokazał kolbę pistoletu, a nawet przyniosłem ze sobą to”. — „Gdzie pan to znalazł, do diabła?”, spytałem głucho. — „Mój ojciec jest oficerem. Ukradłem mu. Jest naładowany”. Spojrzał na mnie niespokojnie. „Nie zechciałby mi pan pomóc?” Rozejrzałem się: wzdłuż kanału — żywej duszy, przynajmniej w zasięgu mojego wzroku. Powoli wyciągnąłem ramię i wyjąłem pistolet z za jego paska. Wbijał we mnie zafascynowane, nieruchome oczy. Sprawdziłem magazynek: był chyba pełen, więc wsunąłem go w kolbę, wydał suchy trzask. Lewą ręką złapałem faceta gwałtownie za kark, przydusiłem do barierki i przycisnąłem mu lufę do ust. „Otwieraj!, warknąłem. Otwórz usta!” Serce biło mi jak oszalałe, zdawało mi się, że krzyczy, podczas gdy ja siliłem się, żeby mówić szeptem. „Otwieraj!” Wsunąłem mu lufę między zęby. „Tego chcesz? Ssij!” Hans P umierał ze strachu, poczułem nagle kwaśny zapach uryny, spuściłem wzrok: zmoczył spodnie. Wściekłość opuściła mnie natychmiast, w ten sam tajemniczy sposób, w który wcześniej mnie ogarnęła. Wsunąłem mu pistolet z powrotem za pasek i poklepałem go po policzku. „No, już dobrze. Wracaj do domu”. Tak go zostawiłem, przeszedłem na drugą stronę i skręciłem w prawo, wzdłuż kanału. Kilka metrów dalej na mojej drodze wyrosli, zupełnie znikąd, trzej Schupo. „Hej, ty! Co tu robisz? Dokumenty”. — „Jestem studentem. Spaceruję”. — „Dobra, dobra, znamy te spacerki. Tam na moście, to twoja koleżanka?” Wzruszyłem ramionami: „Nie znam go. Dziwnie wyglądał, próbował mi grozić”. Spojrzeli po sobie, dwóch potruchtalo na most; chciałem odejść, ale trzeci chwycił mnie za ramię. Na moście podniósł się tumult, słychać było krzyki, potem strzały. Wrócili Schupo, jeden z nich, siny jak trup, trzymał się za ramię, a krew wypływała mu spomiędzy palców. „Skurwiel. Postrzelił mnie. Ale go załatwiliśmy”. Jego towarzysz rzucił mi pełne złości spojrzenie. „A ty pójdziesz z nami”.

Zaprowadzili mnie na Polizeirevier, komisariat przy Derfflingerstrasse, na rogu Kurfürstenstrasse; tam przysypiający policjant zabrał mi dokumenty, zadał kilka pytań i spisał odpowiedzi na jakimś formularzu, potem odesłał mnie i kazał usiąść na ławce. Dwie

godziny później zaprowadzono mnie naprzeciwko, do Abschnittkommando, centralnego komisariatu dzielnicy Tiergarten. Wepchnięto mnie do pomieszczenia, w którym siedział za stołem jakiś skulony mężczyzna, źle ogolony, ale za to w starannie odprasowanym garniturze. Był z Kripo. „Wdepnął pan w niezłe gównno, młodzieńcze. Pewien człowiek postrzelił policjanta i został zabity. Kto to był? Znał go pan? Widziano pana na moście razem z nim. Co pan tam robił?” Siedząc na ławce, miałem czas na zastanowienie, postanowiłem trzymać się jednej prostej wersji: jestem doktorantem, lubię spacerować nocą, rozmyślałem wtedy nad treścią mojej pracy doktorskiej; wyszedłem z domu na Prenzlauer Berg, włączyłem się trochę na Unter den Linden, potem po Tiergarten, no i szedłem już na S-Bahn, żeby wrócić do domu, a ten człowiek zaczepił mnie na moście, mówił jakieś niezrozumiałe rzeczy, wyglądał tak dziwnie, że się przestraszyłem, sądziłem, że mi grozi, poszedłem dalej i natknąłem się na Schupo, to wszystko. Zadał mi to samo pytanie, co wcześniej policjanci: „Te okolice są znanym miejscem schadzek. Jest pan pewien, że nie był to raczej pański przyjaciel? Jakaś kłótnia kochanków? Schupo twierdzili, że rozmawialiście ze sobą”. Zaprzeczyłem i powtórzyłem swoją historyjkę: jestem doktorantem etc. Trwało to jakiś czas, zadawał pytania brutalnym, twardym tonem, kilka razy próbował mnie sprowokować, ale nie dałem się onieśmielić, wiedziałem, że muszę zachować spokój. Zacząłem odczuwać silne parcie na pęcherz i w końcu spytałem, czy mogę iść do WC. Zarechotał. „Nie. Później”. W końcu machnął ręką. „No, dobrze, panie mecenasie. Niech pan idzie na korytarz i usiądzie. Potem dokończymy”. Wyszedłem z biura i usiadłem przy wejściu. Byłem sam, nie licząc dwóch Schupo i pijaka, śpiącego na ławce. Żarówka migiała od czasu do czasu. Wszystko wokół było czyste, jasne, spokojne. Czekałem.

Minęło kilka godzin, musiałem się zdrzemnąć, niebo w oknach korytarza zaczęło już jaśnieć, gdy wszedł jakiś mężczyzna. Był gustownie ubrany w prążkowany garnitur o eleganckim kroju, miał wykrochmalony kołnierzyk i krawat z perłowszarej dzianiny, w klapie nosił znaczek Partii, a pod pachą ścisnął czarną skórzaną teczkę; kruczycie włosy, gęste, lśniące od brylantyny, były gładko zaczesane do tyłu i chociaż minę miał surową, jego oczy zdawały się śmiać, gdy na mnie patrzył. Szepnął kilka słów dyżurnym Schupo; jeden z nich wyprzedził go na korytarzu i obaj gdzieś znikli. Kilka minut później Schupo wrócił i kiwnął na mnie grubym paluchem: „Hej, ty. Tędy”. Wstałem, przeciągnąłem się, poszedłem za nim, z wielkim trudem powstrzymując potrzebę fizjologiczną. Schupo

wprowadził mnie do pomieszczenia, w którym byłem przesłuchiwany. Inspektora Kripo nie było; na jego miejscu siedział ów młody mężczyzna, jedną rękę w wykrochmalonym mankiecie ułożył na stole, drugą swobodnie przerzucił przez oparcie krzesła. Czarna teczka leżała tuż przy jego łokciu. „Proszę wejść”, powiedział uprzejmie, lecz chłodno. Wskazał mi krzesło przy stole. „Proszę usiąść”. Schupo zamknął za mną drzwi, a ja usiadłem. Słyszałem dobiegający z korytarza stukot podkutych butów policjanta, gdy się oddalał. Elegancki i uprzejmy młody człowiek odezwał się spokojnym głosem, w którym nie do końca przebrzmiały metaliczne tony. „Mój kolega z policji kryminalnej, Halbey, uważa, że podpada pan pod paragraf 175. Podpada pan pod paragraf 175?” Wydawało mi się, że to pytanie jest szczere, więc równie szczerze odpowiedziałem: „Nie”. — „Mnie też się tak wydaje”, powiedział. Popatrzył na mnie i podał mi rękę przez biurko: „Nazywam się Thomas Hauser. Miło mi”. Wychyliłem się, żeby ją uścisnąć. Była mocna, o skórze suchej i gładkiej i idealnie obciętych paznokciach. „Aue. Maximilian Aue”. — „Tak, wiem. Ma pan szczęście, Herr Aue. Kriminalkommissar Halbey wysłał już do Staatspolizei wstępny raport na temat owego niefortunnego zdarzenia i wspomniał w nim o pańskim przypuszczalnym udziale. Kopię przekazał Kriminalratowi Meisingerowi. Wie pan, kto to jest Kriminalrat Meisinger? — „Nie, nie wiem”. — „Kriminalrat Meisinger kieruje Centralnym Biurem Rzeszy do spraw Walki z Homoseksualizmem i Aborcją. Tak więc zajmuje się paragrafem 175. Bardzo nieprzyjemny człowiek. Bawarczyk”. Przerwał na chwilę. „Szczęśliwie dla pana raport Kriminalkommissara Halbeya przeszedł najpierw przez moje biuro. Akurat miałem dyżur. Mogłem zablokować na pewien czas kopię zaadresowaną do Kriminalrata Meisingera”. — „Bardzo miło z pana strony”. „Tak, to prawda. Widzi pan, nasz przyjaciel Kriminalkommissar Halbey sformułował wobec pana pewne podejrzenia. Lecz Kriminalrata Meisingera nie interesują podejrzenia, interesują go fakty. I ma swoje metody, żeby dotrzeć do owych faktów, metody, które Staatspolizei nie zawsze pochwała, ale które zazwyczaj okazują się skuteczne”. Pokręciłem głową: „Proszę posłuchać... Niezbyt dobrze rozumiem, o czym pan mówi. To jakaś pomyłka”. Thomas cmoknął krótko: „Na razie ma pan rację. To wyglądałoby na pomyłkę. Albo raczej, jeśli pan woli, na nieszczęśliwy zbieg okoliczności, zbyt pochopnie zinterpretowany przez gorliwego Kriminalkommissara Halbeya”. Pochyliłem się ku niemu, rozkładając ręce: „Ależ proszę pana, to jakaś bzdura. Jestem studentem, członkiem Partii i SS...”. Przerwał mi: „Wiem, że jest pan członkiem Partii i SS. Świetnie znam profesora Höhna. Wiem

bardzo dobrze, kim pan jest”. Wtedy zrozumiałem: „Ach, jest pan z SD”. Thomas uśmiechnął się przyjaźnie: „Można tak powiedzieć. Zwykle pracuję z doktorem Siksem, zastępcą pańskiego profesora, Höhna. Ale teraz zostałem przesunięty do Staatspolizei, jako asystent doktora Besta, który wspiera *der Chefa* w tworzeniu kadry prawniczej SP”. Już wtedy zauważyłem tę silną emfazę, z jaką wymawiał słowa *der Chef*. „Więc wszyscy w Sicherheitsdienst macie tytuł doktora?”, rzuciłem. Znow się uśmiechnął, szeroko i szczerze: „Prawie”. — „Pan również jest doktorem?” Skinął głową: „Doktorem prawa”. — „Rozumiem”. — „Natomiast *der Chef* nie jest doktorem. Ale jest dużo bardziej inteligentny niż my wszyscy. Posługuje się naszymi talentami, żeby osiągnąć swoje cele”. — „A jakie są jego cele?” Thomas zmarszczył brwi: „Co pan studiuje u Höhna? Ochronę państwa, oczywiście”. Zamilkł. Nie odzywał się przez chwilę, patrzyliśmy na siebie. Zdawał się na coś czekać. Pochylił się i podparł podbródek dłonią. Starannie opiłowanymi paznokciami drugiej ręki stukał w blat stołu. Wreszcie spytał lekko znudzony: „Ochrona państwa pana nie interesuje, Herr Aue?”. Zawahałem się: „Nie jestem doktorem...”. — „Ale wkrótce pan będzie”. Znowu kilka sekund milczenia. „Nie rozumiem, czego pan ode mnie chce”, odezwałem się wreszcie. — „Niczego. Chcę tylko oszczędzić panu niepotrzebnych kłopotów. Wie pan, raporty, które kiedyś sporządzał pan dla SD, zostały natychmiast zauważone. Świetnie napisane, syntetyczne, odwołujące się do idei *Weltanschauung*, którego logika nie pozostawia żadnej wątpliwości. Szkoda, że zaniechał pan tej pracy, ale cóż, pańska sprawa. Jednakże gdy zobaczyłem raport Kriminalkommissara Halbeya, pomyślałem, że narodowy socjalizm poniesie sporą stratę. Zadzwoiłem do doktora Besta, obudziłem go, nawiasem mówiąc, a on zgodził się ze mną i zezwolił, abym przyszedł tu i spróbował namówić Kriminalkommissara Halbeya, by ograniczył swoje przykre działania. Rozumie pan, zostanie wszczęte śledztwo kryminalne, tak jak trzeba, w końcu zabito człowieka. A w dodatku jest także ranny policjant. Przynajmniej powinien pan zostać wezwany w charakterze świadka. Zważywszy na to, że do zajścia doszło w miejscu znanym ze spotkań homoseksualistów, to, choćbym nawet namówił Kriminalkommissara Halbeya do wykazywania się mniejszą gorliwością, sprawa zostanie prędzej czy później przekazana w ręce służb Kriminalrata Meisingera. A wtedy Kriminalrat Meisinger zainteresuje się panem. Zacznie węszyć jak ordynarne zwierzę, jakim jest. I niezależnie od wyników jego poszukiwania zostawią trwałe ślady w pańskich papierach. A tak się składa, że Reichsführer-SS żywi szczególną niechęć do

homoseksualizmu. Boi się homoseksualistów, nienawidzi ich. Twierdzi, że jeden dziedzicznie obciążony homoseksualista może zarazić swoją chorobą dziesiątki młodych chłopców, a wtedy wszyscy ci młodzi ludzie będą straceni dla rasy. Twierdzi także, że «nawróceni na heteroseksualizm» to urodzeni oszuści, którzy wierzą we własne kłamstwa, z czego wysnuwa wniosek o ich umysłowej nieodpowiedzialności, która sprawia, że nie potrafią być lojalni, plotkując z kim popadnie, a to może doprowadzić ich do zdrady. Dlatego też potencjalne zagrożenie, jakie stanowi homoseksualista, nie jest dla Reichsführera jedynie kwestią medyczną, której rozwiązanie zależy od zastosowania terapii, ale także kwestią polityczną, którą powinno się załatwiać przy użyciu metod SP. Całkiem niedawno nawet wyraził się entuzjastycznie o propozycji jednego z naszych najlepszych historyków prawa, profesora i SS-Untersturmführera Eckhardta, którego zapewne pan zna, aby powrócić do starych germańskich zwyczajów topienia zniewieściałych mężczyzn w torfie. Jest to, przyznaję sam, dość skrajne podejście i jakkolwiek jego logika jest niezaprzeczalna, nie wszyscy widzą te sprawy w sposób równie bezkompromisowy. Sam Führer, podobno, pozostaje obojętny na tę kwestię. Ale właśnie to niewielkie zainteresowanie, jakim darzy ów temat, pozostawia pole do popisu Reichsführerowi, który, sięgając do swych przesadnych pomysłów, stara się zdefiniować aktualną politykę. Tak więc gdyby Kriminalrat Meisinger wydał nieprzychylną opinię na pański temat, choćby nawet nie zdołał doprowadzić do skazania pana na mocy artykułów 175 lub 175a kodeksu karnego, to i tak miałby pan spore kłopoty. Mogłoby nawet zdarzyć się tak, gdyby Kriminalrat Meisinger się uparł, że wydano by nakaz prewencyjnego zatrzymania. Byłbym niepokieszony, doktor Best także”. Ledwo go słuchałem, bo znów zacząłem odczuwać potrzebę, dużo silniejszą niż przedtem, ale zareagowałem: „Nie rozumiem, do czego pan zmierza. Czy składa mi pan propozycję?”. — „Propozycję?”, Thomas uniósł brwi. „Ależ, za kogo pan się uważa? Naprawdę myśli pan, że SD musi posuwać się do *szantażu*, żeby przyjąć kogoś w swoje szeregi? Chyba pan tak nie myśli. Nie, mówił dalej z przyjaznym uśmiechem, przyszedłem po prostu, żeby panu pomóc, w duchu koleżeństwa, jak narodowy socjalista narodowemu socjaliście. Naturalnie, dodał, patrząc na mnie drwiąco, domyślamy się, że profesor Höhn ostrzega swoich studentów przed SD, że pewnie trochę pana zniechęcił, a szkoda. Wie pan, że to on mnie przyjmował? Ale przestał się liczyć. Gdyby zmienił pan o nas zdanie, będzie nam bardzo miło. Myślę, że gdyby nasza praca wydała się panu któregoś dnia bardziej interesująca,

doktor Best będzie szczęśliwy, mogąc o tym z panem porozmawiać. Proszę się zastanowić. Nie ma to jednak żadnego związku z tym, co zrobiłem dla pana dzisiaj”. Muszę powiedzieć, że jego postawa, tak szczerza i bezpośrednia, spodobała mi się. Byłem pod wrażeniem prostolinijności, energii i spokojnej pewności, które emanowały z Thomasa. Nie odpowiadało to wcale moim wyobrażeniom na temat SD. Ale Thomas już wstawał. „Wyjdzie pan ze mną. Nikt nie będzie miał obiekcji. Poinformuję Kriminalkommissara Halbeya, że znajdował się pan tam w ramach służby, i na tym koniec. W odpowiednim czasie złoży pan zeznania, które to potwierdzą. Załatwimy to w sposób idealnie cywilizowany”. Słuchając tego, bez przerwy myślałem o toalecie; po spotkaniu Thomas czekał na korytarzu, a ja nareszcie mogłem opróżnić pęcherz. Miałem też chwilę do namysłu; kiedy wyszedłem, właściwie podjąłem decyzję. Na zewnątrz było już jasno. Thomas rozstał się ze mną na Kurfürstenstrasse, ścisnąwszy mi dziarsko dłoń. „Jestem pewien, że wkrótce znów się spotkamy. *Tschüss!*” I tak, z odbytem pełnym spermy, zdecydowałem się wstąpić w szeregi Sicherheitsdienst.

Nazajutrz po kolacji z Oberländerem, zaraz po przebudzeniu, udałem się do Hennickego, dowódcy sztabu generalnego Grupy. „Ach, Obersturmführer Aue. Depesze dla Łucka są prawie gotowe. Niech pan idzie do Brigadeführera. Jest w więzieniu o nazwie Brygidki. Untersturmführer Beck pana zawiezie”. Ten Beck był jeszcze bardzo młody; wyglądał świetnie, lecz sprawiał wrażenie nachmurzonego, jak gdyby tłumiał ukryty gniew. Zasalutował mi, ale potem ledwo się odzywał. Ludzie na ulicach byli jeszcze bardziej wzburzeni niż poprzedniego dnia, chodziły patrole uzbrojonych nacjonalistów, trudno się było poruszać po mieście. Widać było także dużo więcej niemieckich żołnierzy. „Muszę podjechać na dworzec i odebrać przesyłkę, powiedział Beck. Nie będzie miał pan nic przeciwko?” Jego szofer zdążył już dobrze poznać drogę; żeby uniknąć tłumów, wjechał w jedną z przecznic, dalej droga przechodziła w serpentynę na zboczu niewielkiego wzgórza, a wzdłuż niej stały mieszczańskie kamieniczki, nieduże, lecz zamożne. „Piękne miasto”, zauważyłem. — „Nic dziwnego. To przecież w gruncie rzeczy miasto niemieckie”, odrzekł na to Beck. Nie odezwałem się więcej. Pod dworcem zostawił mnie w samochodzie i wmieszał się w tłum. Tramwaje wypuszczały pasażerów, wpuszczały nowych, odjeżdżały. W małym parku po lewej, obojętne na ciżbę wokół, porozkładały się nieliczne rodziny Cyganów, brudnych, śniadych, poubieranych w

pstrokate łachmany. Cyganie kręcili się też koło dworca, ale nie żebrali, nawet dzieci się nie bawiły. Beck wrócił, niosąc małą paczkę. Podążył wzrokiem za moim spojrzeniem i zauważył Cyganów. „Zamiast tracić czas na Żydów, lepiej byśmy się zajęli tymi tu, rzucił z wściekłością. Oni są dużo bardziej niebezpieczni. Pracują dla czerwonych, nie wie pan? Ale z nimi też się policzymy”. Gdy odjeżdżaliśmy z dworca długą ulicą, odezwał się znowu: „Tu obok jest synagoga. Chciałbym ją zobaczyć. Potem pojedziemy do więzienia”. Synagoga kryła się w jednej z bocznych uliczek, po lewej od alei wiodącej do centrum. Dwóch niemieckich żołnierzy trzymało straż przed wejściem. Stara fasada nie wyglądała szczególnie, jedynie gwiazda Dawida na frontonie pozwalała domyślać się charakteru tego miejsca. Nie było ani jednego Żyda. Wszedłem za Beckiem przez małe drzwi. Wielka, wysoka na dwa piętra sala otoczona była u góry galerią, zapewne dla kobiet. Ściany zdobiły piękne obrazy o żywych kolorach, przedstawiające w naiwnym, lecz wyrazistym stylu, wielkiego Lwa Judy pośród żydowskich gwiazd, papug i jaskółek — wszystko gdzieniegdzie podziurawione kulami. Nie było tu ławek, tylko zamocowane na stałe niewielkie krzesła i szkolne stoliki. Beck długo oglądał obrazy, a potem wyszedł. Na ulicy przed więzieniem roilo się od ludzi, tłumy były potworne. Mężczyźni wrzeszczeli, rozhisteryzowane kobiety darły ubrania i rzucały się na ziemię, klęczący Żydzi, pilnowani przez żandarmów polowych, czyścili chodnik; od czasu do czasu jakiś przechodzień częstował ich kopniakiem, poczerwieniały Feldwebel darł się: „*Juden Kaputt*”, a wpatrzeni w niego Ukraińcy klaskali z zachwytem. W bramie więzienia musiałem ustąpić miejsca kolumnie Żydów, którzy w koszulach lub z nagimi torsami, w większości zakrwawieni, pod czujnym okiem niemieckich żołnierzy przenosili nadpsute zwłoki i kładli je na wozy. Stare kobiety w czerni doskakiwały natychmiast do ciał, zawodząc, a potem rzucały się na Żydów i szarpały ich, dopóki jakiś niemiecki żołnierz ich nie odciągnął. Straciłem Becka z oczu, wszedłem na dziedziniec więzienia, a tam — ten sam spektakl. Przerażeni Żydzi ciągnęli trupy albo czyścili bruk przy akompaniamencie wrzasków żołnierzy; niektórzy z nich często wychodzili przed szereg, bili Żydów gołymi dłońmi albo kolbami pistoletów, a tamci krzyczeli, przewracali się, usiłowali wstać, by znów wziąć się do pracy. Inni żołnierze fotografowali zajście, a jeszcze inni, rozbawieni, wykrzykiwali wyzwiska albo słowa zachęty, czasem ten czy ów Żyd tracił siły i więcej nie wstawał — wtedy kilku mężczyzn podbiegało i dobijało go kopniakami, następnie jeden lub dwóch Żydów chwytowało zwłoki za stopy i odciągało na

bok, a reszta myśla po nich bruk. Znalazłem wreszcie jakiegoś esesmana: „Wie pan może, gdzie jest Brigadeführer Rasch?”. — „Powinien być w pomieszczeniach administracyjnych więzienia, tam, widziałem, jak szedł na górę”. Długim korytarzem chodzili w tę i z powrotem żołnierze; panował spokój, ale zielone ściany, zatłuszczone i brudne, były obryzgane krwią, zakrzepłą lub całkiem jeszcze świeżą, w której tkwiły przyklejone kawałki mózgow wymieszane z włosami i fragmentami kości. Na podłodze, tam, gdzie ciągnięto zwłoki, widniały szerokie i gęste smugi, musiałem po nich chodzić. W głębi zobaczyłem Rascha, schodził po schodach w towarzystwie wysokiego Oberführera o pyzatej twarzy i jeszcze kilku oficerów Grupy. Zasalutowałem. „Ach, to pan. Świetnie. Otrzymałem raport von Radetzkiego. Niech pan go poprosi o przybycie tutaj, przy najbliższej okazji. I proszę osobiście zdać Obergruppenführerowi Jeckelnowi relację z przeprowadzonej tutaj *Aktion*. Niech pan szczególnie podkreśli fakt, że inicjatywa wyszła od nacjonalistów i ludności. NKWD i Żydzi zamordowali w Lembergu trzy tysiące osób, więc ludzie się mszczą, normalna sprawa. Kazaliśmy AOK nie ruszać ich przez kilka dni”. — „*Zu Befehl*, Herr Brigadeführer”. Wyszedłem za nimi. Rasch i Oberführer prowadzili ożywioną dyskusję. Od smrodu gnijących ciał na dziedzińcu wyraźnie odcinał się ciężki i dławiący zapach świeżej krwi. Wychodząc, minąłem Żydów, którzy wracali z ulicy pod eskortą; jeden z nich, bardzo młody mężczyzna, łkał gwałtownie, lecz bezgłośnie. Odnalazłem Becka przy samochodzie i wróciliśmy do Gruppenstab. Rozkazałem Höflerowi, żeby przygotował opla i odnalazł Poppa, potem wstąpiłem do Leitera III po depesze i przesyłki. Spytałem też, gdzie jest Thomas, chciałem się z nim pożegnać przed wyjazdem. „Znajdzie go pan w okolicach bulwaru, poinformował mnie ktoś. Niech pan idzie do kawiarni Metropol, przy Sykstuskiej”. Höfler i Popp czekali gotowi na dole. „Jedziemy, Herr Obersturmführer?” — „Tak, ale zatrzymamy się po drodze. Jedź bulwarem”. Z łatwością znalazłem Metropol. Wewnątrz ludzie zbici w grupki prowadzili hałaśliwe rozmowy, niektórzy, pijani, bełkotali, tuż przy barze oficerowie *Rollbahn*, „konwoju zaopatrzeniowego”, pili piwo i komentowali wydarzenia. Znalazłem Thomasa w głębi, siedział z jakimś cywilem, młodym blondynem o pyzatej, niemiłej twarzy. Pili kawę. „Max, cześć! Poznaj, oto Oleg. Człowiek wykształcony i inteligentny”. Oleg wstał i mocno uściśnął mi dłoń; wyglądał na kompletnego idiotę. „Posłuchaj, wyjeżdżam”. Thomas odpowiedział mi po francusku: „To bardzo dobrze. Zresztą niedługo znów się spotkamy. Według planu twój Kommandostab

będzie stacjonował w Żytomierzu, razem z nami”. — „Świetnie”. Przeszedł na niemiecki: „Powodzenia! Nie trać ducha!”. Pozdrowiłem Olega i wyszedłem. Nasze oddziały znajdowały się jeszcze daleko od Żytomierza, ale Thomas mówił to z przekonaniem, musiał być dobrze poinformowany. W drodze powrotnej delektowałem się spokojem galicyjskich wsi. Jechaliśmy powoli, w kurzu kolumn ciężarówek i pojazdów pancernych podążających na front; słońce prześwietlało długie szeregi białych chmur, defilujących po niebie — rozległym cienistym pułapie, wesołym i spokojnym.

Dotarłem do Łucka po południu. Blobel, zdaniem Radetzkiego, miał nie wrócić zbyt szybko, Häfner powiedział nam w tajemnicy, że zostawili go w końcu w zakładzie dla umysłowo chorych z Wehrmachtu. Akcja odwetowa trwała w najlepsze, ale nikt nie miał wielkiej ochoty o niej rozmawiać: „Może pan się uważać za szczęśliwca, że nie musiał pan tutaj być”, szepnął mi Zorn. 6 lipca Sonderkommando, nadal na przodach 6. Armii, przeniosło się do Równego, a potem szybko do Zwiahela czy też Swajgiela, miasta, które Sowieci nazywają Nowogrodem Wołyńskim. Na każdym etapie wyodrębniano Teilkommando, które miały zidentyfikować i aresztować potencjalnych przeciwników i wykonać na nich egzekucje. W większości, trzeba przyznać, byli to Żydzi. Ale strzelaliśmy także do komisarzy i funkcjonariuszy bolszewickiej partii, jak tylko udało nam się na nich trafić, do złodziei, rozbójników, chłopów, którzy ukrywali zbiory, do Cyganów też. Beck byłby zadowolony. Von Radetzki wyjaśnił nam, że powinniśmy myśleć zgodnie z zasadą *obiektywnego zagrożenia*: ponieważ zdemaskowanie każdego winnego z osobna jest fizyczną niemożliwością, należy wyszczególnić społeczno-polityczne kategorie, stanowiące dla nas największe niebezpieczeństwo, i odpowiednio zareagować. W Lembergu nowy Ortskommandant, generał Rentz, powoli, ale skutecznie, zaprowadził porządek i wyciszył zamieszki; pomimo to Einsatzkommando 6, a potem 5, które je zastąpiło, nadal przeprowadzało za miastem egzekucje na setkach ludzi. Zaczęły się też kłopoty z Ukraińcami. 9 lipca krótkie doświadczenie Ukrainy z wolnością brutalnie się zakończyło. SP zatrzymało Bandere i Stećkę i wysłało ich pod eskortą do Krakowa, a ich ludzi rozbrojono. Inni bojownicy OUN-B wszczęli rewoltę, w Drohobyczu otworzyli ogień do naszych oddziałów, zginęło kilku Niemców. Od tej chwili partyzantów Bandery także rozpatrywaliśmy w kategoriach *obiektywnego zagrożenia*; melnykowcy ochoczo pomagali nam do nich docierać i przejmowali administrację lokalną. 11 lipca

Gruppenstab, któremu podlegaliśmy, wymienił oznaczenia z innym, związanym z Grupą Armii Środek; od tej pory nasza Einsatzgruppe była oznaczona literą „C”. Tego samego dnia nasze trzy ople admirał wjechały do Żytomierza na czele kolumny czołgów 6. Armii. Kilka dni później wyznaczono mnie do wzmocnienia tego Vorkommando, w oczekiwaniu na większość ludzi z Naczelnego Dowództwa.

W Zwiahelu krajobraz zmienił się diametralnie. Był tu prawdziwy ukraiński step, po horyzont, pagórkowate, intensywnie uprawiane pole. W łanach pszenicy wędły maki, dojrzewające żyto i jęczmień ciągnęły się kilometrami, w nieskończoność, słoneczniki wyciągały się ku niebu, a ich złociste kwiaty wiernie podążały za słońcem. Tę oszałamiającą perspektywę łamały rzucone gdzieś, jakby przypadkiem, rzędy chat stojących pośród akacji lub w niewielkich zagajnikach pełnych dębów, klonów i jesionów. Wiejskie drogi obsadzone były lipami, nad rzekami pochylały się osiki i wierzby, w miastach, wzdłuż bulwarów, rosły kasztanowce. Nasze mapy były zupełnie do niczego: wyrysowane na nich drogi nie istniały albo okazały się niemal całkiem zatarte; tam, gdzie mapa pokazywała tylko pusty step, nasze patrole odkrywały kołchozy i rozległe pola bawełny, melonów, buraków, zaś mikroskopijne miasteczka zmieniły się w rozwinięte centra przemysłowe. I chociaż Galicja przeszła w nasze ręce niemal nietknięta, wycofująca się Armia Czerwona stosowała tutaj politykę systematycznej destrukcji. Płonęły całe miasteczka i pola, natknęliśmy się na zasypane studnie pełne dynamitu, zaminowane drogi i budynki, w kołchozach zostały drób, bydło i kobiety, mężczyźni odeszli i zabrali konie. W Żytomierzu Rosjanie spalili wszystko, co stało im na drodze; na szczęście, pośród dymiących ruin stały jeszcze ocalałe budynki. Miasto było nadal pod kontrolą Węgrów i Callsen nie posiadał się z gniewu: „Ich oficerowie odnoszą się przyjaźnie do Żydów, jedzą u Żydów kolacje!”. Bohr, także oficer, dolewał oliwy do ognia: „Podobno niektórzy oficerowie sami są Żydami. Wyobrażacie sobie? Sojusznicy Rzeszy! Jak ja im teraz podam rękę!”. Mieszkańcy przyjęli nas dobrze, ale skarżyli się na poczynania Honvédu na terytorium ukraińskim: „Niemcy to nasi historyczni przyjaciele, mówili. A Madziarzy chcą sobie nas przywłaszczyć”. Rosnące napięcie przejawiało się w małych, lecz codziennych incydentach. Kompania pionierów zabiła dwóch Węgrów; jeden z naszych generałów musiał publicznie przeproszać. Ze swojej strony Honvéd utrudniał pracę naszym lokalnym policjantom i Vorkommando musiało, za pośrednictwem

Gruppenstab, złożyć skargę w Naczelnym Dowództwie Grupy Armii, OKHG Południe. Wreszcie 15 lipca Węgrów wydano i AOK 6 weszło do Żytomierza, a za nim nasze Kommando i Gruppenstab C. Wcześniej wysłano mnie jeszcze do Zwiahela jako łącznika. Teilkommandos pod dowództwem Callsena, Hansa i Janssena objęły sektory, które ciągnęły się aż po linię frontu, zablokowaną pod Kijowem. Na południu nasza strefa łączyła się ze strefą Ek 5, trzeba było koordynować operacje, ponieważ każde Teilkommando działało niezależnie. Ja trafiłem do Janssena, w region pomiędzy Zwiahelem i Równem, na granicy z Galicją. Krótkie letnie burze coraz częściej przechodziły w ulewy, zamieniały lessowy kurz, miazgi jak mąka, w lepkie błoto, gęste i czarne, które żołnierze nazywali *buna*. Tworzyły się ogromne bagienne rozlewiska, w których powoli rozkładały się ciała koni i żołnierzy poległych w walkach. Ludzie zapadali na uporczywe biegunki, pojawiły się wszy; samochody grzęzły w błocie i przemieszczały się z trudem. Jako pomoc dla Kommando werbowano licznych ukraińskich asystentów, których żołnierze przysłani z Afryki nazwali askarysami. Płaciliśmy im pieniędzmi z kas miejskich i z funduszy uzyskanych po skonfiskowaniu majątków żydowskich. W większości byli to bulbowcy, ci wołyńscy ekstremiści, o których opowiadał Oberländer (wywodzili swoją nazwę od nazwiska Tarasa Bulby). Po likwidacji OUN-B dano im wybór między niemieckim mundurem i obozem; wielu z nich ukryło się wśród mieszkańców, ale część zaciągnęła się do nas. Bardziej na północ, między Pińskiem, Mozyrem i Olewskiem, Wehrmacht zezwolił na utworzenie „Ukraińskiej Republiki Olewskiej”, kierowanej przez niejakiego Tarasa Borowca, dawniej właściciela kamieniołomów w Kostopolu, upaństwowionych przez bolszewików. Polował on na samotne jednostki Armii Czerwonej i polskich partyzantów, odciążał nasze oddziały, a w zamian za to my tolerowaliśmy jego, ale w Einsatzgruppe podejrzewano, że chroni niebezpieczne elementy OUN-B, tych, których żartobliwie nazywaliśmy „OUN (bolszewicy)”, w przeciwieństwie do „mienszewików” Melnyka. Werbowaliśmy także folksdojczy, których spotykaliśmy w wioskach, i robiliśmy z nich burmistrzów i policjantów. Żydzi właściwie wszędzie skazani byli na roboty przymusowe i zaczynaliśmy systematyczny odstrzał tych, którzy nie pracowali. Ale na ukraińskim brzegu Zbrucza nasze akcje nie przynosiły oczekiwanych rezultatów z winy lokalnej ludności, która nie donosiła nam o migracjach Żydów; a oni korzystali z tego i przemieszczali się bez zezwolenia, kryjąc się po lasach na północy. W związku z tym Brigadeführer Rasch wydał

rozkaz zorganizowania publicznego przemarszu Żydów na egzekucję; na oczach ukraińskich wieśniaków miał paść mit o żydowskiej władzy politycznej. Ale nawet takie działania nie dały chyba pożądanych rezultatów.

Któregoś dnia rano Janssen zaproponował mi, żebym pojechał na akcję. Wiedziałem, to się musiało stać, prędzej czy później, i często o tym myślałem. Mogę szczerze powiedzieć, że stosowane przez nas metody budziły moje wątpliwości, z trudem chwytałem ich logikę. Rozmawiałem kiedyś z żydowskimi więźniami, przyznali, że dla nich od zawsze to, co złe, przychodziło ze wschodu, a to, co dobre, z zachodu; w 1918 roku witali nasze oddziały niczym wyzwolicieli, wybawców, nasi żołnierze zachowali się jak ludzie; po ich odejściu przyszli Ukraińcy Petlury i urządzili im masakrę. Władza bolszewicka głodziła swój lud. A teraz my ich zabijamy. Zabijamy wielu ludzi. Wydawało mi się to wielkim nieszczęściem, choć wiedziałem, że jest nieuniknione i konieczne. Ale nieszczęściu należy stawić czoło, trzeba być gotowym, by temu, co nieuniknione i konieczne, spojrzeć w twarz i przyjąć do wiadomości wynikające z tego konsekwencje — odwracanie wzroku nie jest żadną odpowiedzią. Przyjąłem propozycję Janssena. Akcją dowodził Untersturmführer Nagel, jego adiutant. Wyjechałem ze Zwiahela razem z nim. Poprzedniego dnia padało, ale droga była czysta, jechaliśmy powoli pośród wysokich, zalanych słońcem ścian zieleni, które odgradzały nas od pól. Wioska, nie pamiętam jej nazwy, rozciągała się na brzegu szerokiej rzeki, kilka kilometrów od dawnej sowieckiej granicy. Tutejsza ludność była mieszana, galicyjscy chłopcy mieszkali po jednej stronie, Żydzi po drugiej. Gdy przyjechaliśmy, kordony już stały. Nagel pokazał mi las za wsią: „Tam się to odbywa”. Był zdenerwowany, niepewny, on też prawdopodobnie nikogo jeszcze nie zabił. Na centralnym placu nasi askarysi zbierali już Żydów, dojrzałych mężczyzn i młodzieńców; prowadzili ich w małych grupkach z żydowskich uliczek, czasem bili, zmuszali, żeby uklękli, zostawiali pod okiem Orpo. Było też z nimi kilku Niemców, jeden z nich, Gnauk, bił Żydów batem, żeby szybciej szli. Ale, pominiawszy krzyki, wszystko wokół emanowało spokojem. Nie było gapiów; od czasu do czasu w rogu placu pojawiała się jakieś dziecko, spoglądało na klęczących Żydów i uciekało. „To potrwa jeszcze jakieś pół godziny, tak myślę”, powiedział Nagel. — „Mogę się przejść?”, spytałem. — „Tak, oczywiście. Ale niech pan weźmie ze sobą ordynansa”. Tak nazywał Poppa, który od wyjazdu do Lemberga nie odstępował mnie na krok, przygotowywał mi kwatery i kawę, pastował buty, zanosił do prania mundury, chociaż ja o nic go nie

prosiłem. Udałem się w stronę małych galicyjskich gospodarstw, ku rzece, Popp deptał mi po piętach z karabinem na ramieniu. Domy były tu długie i niskie, drzwi zamknięte na cztery spusty, nie spotkałem po drodze nikogo. U drewnianych wrót, umazanych pospolitą błękitną farbą, tłoczyły się gęsi, około trzydziestu, i gęgały hałaśliwie, czekając, by ktoś je wpuścił. Zostawiłem w tyle ostatnie domy i zszedłem nad rzekę, ale jej brzegi były bagienne, musiałem iść nieco wyżej. Dalej był las. Powietrze drżało od rozdzierającego, obsesyjnego rechotu żab. Trwała pora godowa. Wyżej, na podmokłych polach, pośród kałuż, w których odbijały się promienie słońca, szedł tuzin białych gęsi, tłustych i dumnych, a za nimi wystraszony cielak. Miałem już okazję zwiedzić kilka ukraińskich wiosek: zapamiętałem je jako dużo biedniejsze i bardziej wynędzniałe niż ta, zdążyłem się nawet przestraszyć, że Oberländer będzie musiał patrzeć, jak jego teorie obracają się w proch. Postanowiłem wracać. Przed niebieskimi wrotami nadal tłoczyły się gęsi, dreptały wokół krowy o zażawionych oczach, w których roiły się pozlepiane ropą muchy. Askarysi na placu upychali Żydów w ciężarówkach, pośród krzyków i razów, ale Żydzi nie stawiali oporu. Dwaj Ukraińcy, tuż przede mną, ciągnęli starucha z drewnianą nogą, proteza odpadła, a jego wrzucili bez ładunku i składu do ciężarówki. Nagel gdzieś się zapodział. Złapałem jednego z askarysów i pokazałem mu drewnianą nogę: „Włóż to do ciężarówki razem z nim”. Ukraińiec wzruszył ramionami, chwycił nogę i rzucił za starym. W każdej ciężarówce mieściło się około trzydziestu Żydów; w sumie było ich ze stu pięćdziesięciu, ale mieliśmy tylko trzy ciężarówki, trzeba było jechać na dwie tury. Gdy skończono załadunek, Nagel skinął na mnie, żebym wsiadał do opla — wjechaliśmy w leśną drogę, a ciężarówki za nami. Na skraju lasu stał gotowy kordon. Kazaliśmy rozładować ciężarówkę, a potem Nagel rozkazał wybrać Żydów zdolnych do kopania; reszta miała czekać. Hauptscharführer dokonał selekcji, rozdaliśmy łopaty, Nagel uformował eskortę i grupa weszła do lasu. Ciężarówki odjechały. Patrzyłem na Żydów: ci najbliżej mnie byli bladzi, ale spokojni. Nagel podszedł do mnie i powiedział rozdrażniony, wskazując na Żydów: „To konieczność, rozumie pan? W tej sytuacji cierpienie ludzkie nie powinno mieć żadnej wartości”. — „Tak, ale przecież ma jakąś wartość”. Właśnie tego nie potrafiłem zrozumieć: tej przepaści, absolutnej różnicy pomiędzy łatwością, z jaką można zabijać, a wielkim trudem, z jakim się idzie na śmierć. Dla nas był to kolejny nieprzyjemny dzień pracy, dla nich koniec wszystkiego.

Z lasu dochodziły krzyki. „Co się dzieje?”, spytał Nagel. — „Nie wiem, Herr Untersturmführer, powiedział jeden z podoficerów. Pójdę zobaczyć”. Teraz on znikł w lesie. Niektórzy Żydzi zaczęli chodzić w tę i z powrotem, powłócząc nogami, wbijając oczy w ziemię, w ponurym i tępym milczeniu ludzi czekających na śmierć. Jakiś chłopak, przysiadłszy na piętach, nucił piosenkę i patrzył na mnie z ciekawością; przysunął dwa palce do ust; podałem mu papierosa i zapalki, podziękował z uśmiechem. Na skraju lasu pojawił się podoficer i zawołał: „Znaleźli zbiorową mogiłę, Herr Untersturmführer”. — „Jak to, zbiorową mogiłę?” Nagel poszedł do lasu, ja z nim. Pod drzewami Hauptscharführer bił po twarzy jednego z Żydów i krzyczał: „Wiedziałeś, co? Skurwielu. Czemu nam nie powiedziałeś?”. — „Co tu się dzieje?”, spytał Nagel. Hauptscharführer przestał bić Żyda i odpowiedział: „Niech pan popatrzy, Herr Untersturmführer. Znaleźliśmy zbiorowy grób bolszewików”. Podeszedłem do odkopanego przez Żydów dołu: na dnie słały się zapleśniałe, skurczone trupy, wyglądały niemal jak mumie. „Musieli zostać zabici tej zimy, powiedziałem. Dlatego ciała się nie rozłożyły”. Jeden z żołnierzy stojących na dnie dołu podniósł głowę, „wygląda na to, że każdy dostał kulę w kark, Herr Untersturmführer. To pewnie sprawka NKWD”. Nagel zawołał tłumacza: „Spytaj go, co się tu działo”. Ukraińiec przetłumaczył pytanie i Żyd mu odpowiedział. „Mówi, że bolszewicy aresztowali wielu mężczyzn z tej wioski. Ale oni podobno nie wiedzieli, że zakopano ich tutaj”. — „Nie wiedzieli, gnoje!, wybuchł Hauptscharführer. Sami ich zabili, może nie?!” — „Hauptscharführer, niech się pan uspokoi. Niech pan im każe to zasypać i idźcie kopać gdzie indziej. Tylko zaznaczcie miejsce, na wypadek, gdyby trzeba było przeprowadzić dochodzenie”. Wróciliśmy do kordonu; zjeżdżały się ciężarówki z resztą Żydów. Dwadzieścia minut później przyszedł do nas Hauptscharführer, był cały czerwony. „Znowu trafiliśmy na ciała, Herr Untersturmführer. To niemożliwe, one są chyba w całym lesie”. Nagel zarządził krótką naradę. „W lesie nie ma zbyt wielu prześwitów, zasugerował jakiś podoficer. Dlatego kopimy w tych samych miejscach co oni”. Gdy tak dyskutowali, ja zacząłem przyglądać się swoim palcom, odkrywając stopniowo, że pod paznokciami utkwily długie i bardzo cienkie drzazgi; obmacałem je, były tuż pod skórą, sięgały drugiego knykcia. Dziwna sprawa. Jak się tam dostały? Przecież nic nie czułem.

Zacząłem je delikatnie wyciągać, uważając, żeby nie poleciała krew. Na szczęście wychodziły dość łatwo. Nagel chyba podjął jakąś decyzję: „Dalej też jest las, trochę

niższy. Spróbujemy tam”. — „Poczekam na was tutaj”, powiedziałem. — „Świetnie, Herr Obersturmführer. Przyślę kogoś po pana”. Bardzo uważnie obejrzałem palce. Kilka razy. Wszystko było chyba w porządku. Zostawiłem na chwilę kordon, zszedłem po łagodnym stoku, całym w ziołach i już niemal całkiem wyschniętych kwiatach. Niżej ciągnęły się pola pszenicy, przed złymi urokami chronił je zabity kruk, który nogi i skrzydła miał rozłożone jak na krzyżu. Położyłem się w trawie i spojrzałem w niebo. Zamknąłem oczy.

Przyszedł po mnie Popp. „Są już prawie gotowi, Herr Obersturmführer”. Kordon z Żydami przemieścił się w głąb lasu. Skazańcy czekali pod drzewami, w małych grupkach, niektórzy opierali się o drzewa. Dalej, w lesie, czekał Nagel i jego Ukraińcy. Żydzi, którzy pracowali na dnie długiego na kilka metrów rowu, wyrzucali na nasyp ostatnie łopaty błota. Pochyliłem się: woda wypełniała dół, Żydzi kopali, stojąc po kolana w szlamie. „To nie dół, to pływalnia”, powiedziałem sucho do Nagela. Nie podobała mu się chyba ta uwaga: „A co mamy zrobić, Herr Obersturmführer? Trafiliśmy na wody gruntowe. Im głębiej kopią, tym więcej wody. Jesteśmy za blisko rzeki. No, ale przecież nie będę cały dzień kopał dołów w tym lesie”. Odwrócił się do Hauptscharführera: „Dobrze, wystarczy. Niech wyjdą”. Był blady jak trup. „Pańscy strzelcy są gotowi?”, spytał. Zrozumiałem, że strzelać będą Ukraińcy. „Tak, Herr Untersturmführer”, odpowiedział tamten. Odwrócił się do Dolmetschera i wyjaśnił mu procedurę. Ten przetłumaczył Ukraińcom. Dwudziestu z nich ustawiło się w szeregu nad rowem, pięciu innych chwyciło tych Żydów, którzy wcześniej kopali, całych ubłoconych; kazali im uklęknąć wzdłuż wykopu, tyłem do plutonu. Na rozkaz Hauptscharführera askarysi zdjęli z ramion karabiny i wycelowali lufy w żydowskie karki. Ktoś jednak źle obliczył, powinno być dwóch strzelców na Żyda, a kopało ich piętnastu. Hauptscharführer policzył od nowa, po czym rozkazał Ukraińcom opuścić broń i odstawił pięciu Żydów na bok, do reszty. Kilku z nich recytowało coś szeptem, pewnie modlitwy, ale poza tym nic nie mówili. „Lepiej dołączyć askarysów, zasugerował któryś podoficer. Byłoby szybciej”. Rozgorzała krótka dyskusja. Ukraińców było w sumie tylko dwudziestu pięciu, podoficer zaproponował, żeby dostawić pięciu ludzi Orpo. Hauptscharführer upierał się, że nie należy przerzedzać kordonu. Rozgniewany Nagel uciął krótko: „Zostawcie tak, jak było”. Hauptscharführer wyszczał rozkaz i askarysi podnieśli karabiny. Nagel zrobił krok do przodu. „Na moją komendę...” Głos miał zduszony, z trudem trzymał nerwy na wodzy. „Ognia!” Poszła pierwsza seria, ujrzałem czerwone bryzgi, owiane dymem z luf. Prawie wszyscy zabici polecili do

przodu i upadli nosami w wodę; dwóch pozostało skulonych na brzegu dołu. „Posprzątajcie mi to zaraz i przyprowadźcie następnych”, rozkazał Nagel. Kilku Ukraińców chwyciło martwych Żydów za ramiona i nogi i wrzuciło ich do dołu; wpadli do wody z wielkim pluskiem, krew popłynęła strumieniami z ich roztrzaskanych głów, opryskała buty i zielone mundury Ukraińców. Podeszli dwaj mężczyźni z łopatami i wzięli się do oczyszczania brzegu mogiły, wrzucając grudy zakrwawionej ziemi i białawe kawałki mózgowia tam, gdzie leżeli zabici. Poszedłem popatrzeć: trupy pływały w zmieszanej z błotem wodzie, jedne na brzuchach, inne na plecach, ich brody i nosy wystawały ponad taflę, krew wypływała z ich głów i rozlewała się po powierzchni wody jak cienka warstwa oleju, tyle tylko, że czerwonego, ich białe koszule też już były czerwone, a czerwone cienkie strużki płynęły im po twarzach i wślizgiwały się w zarost. Przyprowadzono drugą grupę, pięciu, którzy kopali, i pięciu innych, ze skraju lasu, i kazano uklęknąć im twarzą do dołu, przy pływających ciałach ich sąsiadów. Jeden z nich odwrócił się twarzą do strzelców, z podniesioną głową, i patrzył na nich w milczeniu. Pomyślałem o tych Ukraińcach. Co skłoniło ich, by tu być? Większość biła się z Polakami, a potem z Sowietami, pewnie marzyli o lepszej przyszłości dla siebie i swoich dzieci, a teraz stoją w lesie, w obcych mundurach i zabijają ludzi, którzy niczego im nie zrobili, bez żadnej zrozumiałej dla nich przyczyny. Co oni mogą o tym myśleć? A przecież, kiedy wydano rozkaz, strzelali, spychali ciała do dołu i przyprowadzali następnych, nie protestowali. Co będą o tym myśleć potem? Na razie strzelali znowu. Słysząc było jęki dochodzące z wnętrza grobu. „Cholera, niektórzy jeszcze żyją”, narzekał Hauptscharführer. — „No to ich dobijcie!”, wydarł się Nagel. Na rozkaz Hauptscharführera dwaj askarysi podeszli bliżej i strzelili do środka. Krzyki nie ustały. Po raz trzeci zaczęli strzelać. Obok nich pozostali Żydzi czyścili brzeg dołu. I znów, z oddali, prowadzono następnych dziesięciu. Dostrzegłem Poppa; wziął całą garść ziemi z wielkiego usypu tuż przy grobie i przyglądał się jej, rozcierał w palcach, włożył nawet odrobinę do ust. „Co jest, Popp?” Podeszedł do mnie. „Niech pan popatrzy na tę ziemię, Herr Obersturmführer. To świetna ziemia. Człowiek mógłby się tu nieźle urządzić”. Żydzi właśnie klękali. „Wyrzuć to, Popp”, powiedziałem. — „Mówili nam, że kiedyś będziemy mogli tu przyjechać. Założyć gospodarstwa. To jest dobry region, to wszystko, co chcę powiedzieć”. — „Zamknij się, Popp”. Askarysi wypuścili kolejną serię. I znów rozzierające krzyki dobiegały z głębi dołu, i jeszcze jęki. „Błagamy was, panowie

Niemcy! Błagamy!” Hauptscharführer kazał ich dobić, ale krzyki nie ustawały, słychać było, jak ludzie miotają się w wodzie. Nagel krzyczał: „Ci wasi ludzie strzelają jak ciule! Niech zejda na dół, do dziury”. — „Ale, Herr Untersturmführer...” — „Kaźcie im zejść!” Hauptscharfuher polecił przetłumaczyć rozkaz. Ukraińcy zaczęli nerwowo gestykulować. „Co oni mówią?”, spytał Nagel. — „Nie chcą zejść, Herr Untersturmführer, wyjaśnił tłumacz. Mówią, że nie ma potrzeby, że mogą strzelać z brzegu”. Nagel był cały czerwony. „Niech zejda!” Hauptscharführer złapał jednego za ramię i pociągnął w stronę wykopu; Ukrainiec stawiał opór. Teraz krzyczeli już wszyscy, po ukraińsku i po niemiecku. Nieopodal czekała następna grupa. W końcu wściekły askarys rzucił broń na ziemię i wskoczył do dołu, poślizgnął się, wpadł między zwłoki i umierających. Jego towarzysz zszedł za nim, podpierając się o ziemię, i pomógł mu wstać. Ukrainiec kłął, pluł, cały był w błocie i we krwi. Hauptscharführer podał mu karabin. Po lewej słychać było wystrzały, krzyki, żołnierze z kordonu strzelali w las: jeden z Żydów wykorzystał zamieszanie i zbiegł. „Dostał?”, zawołał Nagel. — „Nie wiem, Herr Untersturmführer!”, odkrzyknął z daleka któryś z policjantów. „No to idźcie sprawdzić!” Dwaj Żydzi wybiegli niespodziewanie z drugiej strony i Orpo znów zaczęli strzelać. Jeden upadł natychmiast, drugi zniknął w lesie. Nagel wyjął pistolet i machał nim we wszystkie strony, wykrzykując jakieś niezborne rozkazy. Askarys w rowie usiłował przycisnąć lufę swojego karabinu do czoła jednego z rannych Żydów, ale ten pogrążył się w wodzie, jego głowa znikła pod powierzchnią. Ukrainiec strzelił w końcu do skazańca, kula rozerwała szczękę Żyda, ale go nie dobiła, walczył jeszcze, łapał Ukraińca za nogi. „Nagel”, powiedziałem. — „Co?” Miał zaciętą twarz, pistolet wisiał mu bezwładnie w palcach opuszczonej dłoni. — „Pójdę poczekać przy samochodzie”. Z głębi lasu dobiegał odgłos wystrzałów, Orpo szukali zbiegów; rzuciłem przelotnie okiem na palce, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście wyciągnąłem wszystkie drzazgi. Jeden z Żydów stojących nad grobem zapłakał.

Już wkrótce taka amatorszczyzna zdarzała się sporadycznie. Z tygodnia na tydzień oficerowie nabierali doświadczenia, żołnierze przyswajali procedury; jednocześnie widać było, że wszyscy próbują znaleźć dla siebie miejsce w tej historii, rozmyślają o tym, co się dzieje, każdy podchodzi do tego na swój własny sposób. Przy stole, wieczorami, ludzie rozmawiali o akcjach, opowiadali sobie anegdoty, porównywali doświadczenia, niektórzy ze smutkiem, inni z rozbawieniem. Byli też tacy, którzy milczeli, i tych należało

szczególnie pilnować. Mieliśmy już dwa samobójstwa, a którejś nocy jeden żołnierz obudził się i opróżnił magazynek karabinu, celując w sufit — trzeba było go siłą przypiąć do łóżka, omal nie zginął jeden podoficer. Niektórzy zachowywali się brutalnie, niemal sadystycznie, bili skazańców, dręczyli ich przed zabiciem, oficerowie usiłowali kontrolować te nadużycia, ale nie było to łatwe, zdarzały się wyskoki. Nasi ludzie bardzo często fotografowali egzekucje, a potem, w kwaterach, wymieniali zdjęcia na tytoń albo wieszali je na ścianach i każdy, kto chciał, mógł zamówić u nich odbitki. Od tych z wojskowej cenzury wiedzieliśmy, że wielu wysyłało zdjęcia rodzinom w Niemczech, niektórzy robili nawet małe albumy z opisami; zjawisko to niepokoiło zwierzchnictwo, ale wydawało się niemożliwe do opanowania. Sami oficerowie tak robili. Raz, kiedy Żydzi właśnie kopali rów, usłyszałem, jak Bohr nuci pod nosem: „Ziemia jest zimna, ziemia jest słodka, kop w niej dół, Żydku, kop”. Tłumacz przekładał, zszokowało mnie to. Znałem Bohra od pewnego czasu, był normalnym facetem, nie przejawiał jakiejś szczególnej niechęci wobec Żydów, wykonywał swoją pracę jak należy, ale najwyraźniej nie dawało mu to spokoju i wywoływało nieodpowiednie reakcje. Oczywiście prawdziwych antysemitów nie brakowało u nas w Kommando. Taki na przykład Lübbe, także Untersturmführer, przy każdej możliwej okazji złorzeczył Izraelowi tak zajadle, jak gdyby cały światowy judaizm był spiskiem na szeroką skalę, skierowanym przeciw niemu, Lübblemu. Zamęczał tym wszystkich. Ale jego zachowanie na akcjach było dziwne: czasem był brutalny, a czasem, rano, dostawał strasznej biegunki, oświadczał, że jest chory i wysyłał zastępstwo. „Boże, jak ja nienawidzę tej zarazy, mówił, patrząc, jak umierają. Co za obrzydliwa robota”. A gdy spytałem, czy jego przekonania nie pomagają mu lepiej tego znosić, odparł: „Wie pan, to, że jem mięso, nie oznacza, że chciałbym pracować w rzeźni”. Oddalono go zresztą kilka miesięcy później, kiedy dr Thomas, następca Brigadeführera Rascha, przeprowadził czystki w Kommandos. Rosła liczba oficerów, którzy tak jak szeregowcy stawali się trudni do opanowania, wyobrażali sobie, że wolno im teraz robić rzeczy, których robić nie powinni, rzeczy niesłychane, i to była prawdopodobnie normalna reakcja — w pracy takiej jak ta granice zacierają się, rozmywają. Byli też tacy, którzy okradali Żydów, zatrzymywali ich złote zegarki, pierścionki, pieniądze, chociaż wszystko powinno być złożone w Kommandostab, i wysłane do Niemiec. Podczas akcji oficerowie byli zmuszeni patrzeć na ręce Orpo, Waffen-SS, askarysom, sprawdzać, czy niczego nie podbierają. Ale oficerowie też

zatrzymywali różne rzeczy. Poza tym pili, poczucie dyscypliny słabło. Któregoś wieczoru — stacjonowaliśmy właśnie w jakiejś wiosce — Bohr przyprowadził dwie dziewczyny, ukraińskie chłopki, i przyniósł wódkę. On, Zorn i Müller usiedli i pili z dziewczynami, obmacywali je, wkładali im ręce pod spódnicę. Ja leżałem w łóżku, próbowałem czytać. Bohr mnie zawołał: „Niech pan tu do nas przyjdzie i też skorzysta!”. — „Nie, dziękuję”. Jedna dziewczyna była rozchełstana, półnaga, jej galaretowate piersi lekko zwisały. To nieświeże pożądanie, tłuste ciała, wzbudzały we mnie wstręt, ale nie miałem gdzie się podziać. „Nie umie się pan bawić, doktorze”, rzucił Bohr. Patrzyłem na nich, jakbym miał w oczach rentgena: pod warstwą ciała widziałem szkielety; kiedy Zorn obejmował dziewczynę, było to tak, jak gdyby ich kości, oddzielone zaledwie cienką gazą, uderzały o siebie, a gdy się śmiali, twarde zgrzyt wydobywał się z wnętrza ich szczęk i czaszek; jutro będą starzy, dziewczyny obrosną tłuszczem lub, przeciwnie, ich pomarszczona skóra zacznie zwisać z kości, suche i puste piersi opadną jak małe, opróżnione bukłaki, a potem Bohr i Zorn, i te dziewczyny umrą i spoczną w zimnej ziemi, słodkiej ziemi, jak ci skoszeni w kwiecie wieku Żydzi, ich usta wypełni glina i już się nie będą śmiać, więc po cóż ta cała przygnębiająca rozwiąłość? Gdybym zadał to pytanie Zornowi, odpowiedziałby mi zapewne: „Właśnie, trzeba korzystać, zanim zdechniemy, trzeba sobie trochę uprzyjemnić życie”. A ja przecież nie miałem im za złe tej przyjemności, sam też umiałem umilić sobie życie, jeśli tylko przyszła mi na to ochota; mierzył mnie chyba ten ich przeraźliwy brak samoświadomości, to, że w zadziwiający sposób potrafili nie myśleć o niczym, o rzeczach dobrych ani złych, a tylko szli z prądem, zabijali, nie rozumiejąc, dlaczego to robią, i wcale się tym nie martwiąc, obmacywali kobiety, bo były chętne, pili, nie próbując nawet uwolnić się od potrzeb własnych ciał. Oto, czego nie rozumiałem, ale nikt nie wymagał ode mnie zrozumienia.

Na początku sierpnia Sonderkommando przystąpiło do pierwszej czystki w Żytomierzu. Według naszych statystyk przed wojną mieszkało tu trzydzieści tysięcy Żydów, ale większość uciekła z Armią Czerwoną — zostało ich już tylko pięć tysięcy, dziewięć procent całej populacji. Rasch stwierdził, że to i tak za dużo. Generał Reinhardt, który dowodził 99. dywizją, użyczył nam żołnierzy na Durchkammung, piękne niemieckie określenie, którego nie potrafię przetłumaczyć, a które oznacza przeczesywanie terenu. Wszyscy byli nieco nerwowi: 1 sierpnia Galicja została przyłączona do Generalnego

Gubernatorstwa i bataliony „Nachtigall” podniosły bunt, aż po Winnicę i Tyraspol. Trzeba było zidentyfikować oficerów i podoficerów OUN-B we wszystkich naszych grupach posiłkowych, aresztować ich i wysłać razem z oficerami „Nachtigall” do Bandery, do Sachsenhausen. Od tej pory mieliśmy oko na pozostałych, nie wszyscy wyglądali na godnych zaufania. W samym Żytomierzu banderowcy zamordowali dwóch obsadzonych przez nas melnykistowskich funkcjonariuszy. Najpierw podejrzenie padło na komunistów, potem rozstrzelaliśmy wszystkich partyzantów OUN-B, których udało nam się znaleźć. Na szczęście nasze relacje z Wehrmachtem układały się doskonale. Weterani z Polski byli zaskoczeni; w najlepszym wypadku spodziewali się pełnego niechęci porozumienia, a my utrzymywaliśmy ze sztabami generalnymi naprawdę szczere, serdeczne stosunki. Bardzo często to armia inicjowała akcje, zwracała się do nas z prośbą o likwidację Żydów w wioskach, gdzie dochodziło do działań sabotażowych, w ramach trzebienia partyzantów albo z tytułu represji; sami przyprawdzali nam Żydów i Cyganów na egzekucje. Von Roques, dowódca tylnej strefy Grupy Armii Południe, w przypadkach, gdy identyfikacja sabotażystów nie była możliwa, rozkazywał represjonowanie Żydów i Rosjan, ponieważ nie należało arbitralnie potępiać Ukraińców: *Musimy budzić w nich przekonanie, że jesteśmy sprawiedliwi*. Oczywiście nie wszyscy ludzie z Wehrmachtem akceptowali te zasady, zwłaszcza oficerom w starszym wieku brakowało, jak to określał Rasch, zrozumienia. Grupa miała także problemy z pewnymi dowódcami Dulagu, którzy odmawiali dostarczania nam komisarzy i żydowskich więźniów wojennych. Ale von Reichenau, wszyscy to wiedzieli, bronił SP bardzo zaciekle. Czasem jednak zdarzało się, że Wehrmacht uprzedzał nasze działania. Stanowisko dowodzenia jednej z dywizji chciało zatrzymać się w pewnej wiosce, ale brakowało miejsca: „Zostali jeszcze Żydzi”, zasugerował dowódca sztabu generalnego; AOK poparła jego wniosek, musieliśmy rozstrzelać wszystkich Żydów płci męskiej, a kobiety i dzieci zebrać razem w kilku domach, i w ten sposób zwolnić kwatery dla oficerów. W raporcie opisano to jako akcję represyjną. Z kolei inna dywizja posunęła się nawet do tego, że poprosiła nas o zlikwidowanie pacjentów szpitala psychiatrycznego, który chciała zająć. Gruppenstab odpowiedział oburzony, że *ludzie ze Staatspolizei nie są katami na usługach Wehrmachtu*. „Taka akcja nie jest konieczna, nie leży w ogóle w interesie SP. Sami to zróbcie”. (Choć innym razem Rasch kazał rozstrzelać wariatów, bo z placówki odeszły wszystkie salowe i pielęgniarki, i stwierdził, że jeśli chorzy skorzystają z ich nieobecności i puciekają, to

zaczną zagrażać naszemu bezpieczeństwu). Poza tym wszystko wskazywało na to, że takie sytuacje będą coraz częstsze. Z Galicji docierały do nas plotki o nowych metodach; podobno Jeckeln otrzymał znaczące posiłki i zaczął odsiew na dużo większą skalę niż do tej pory. Callsen, po powrocie z misji w Tarnopolu, mówił coś niewyraźnie o jakimś nowym *Ölsardinemanier*, sposobie „na sardynkę”, ale nie chciał niczego uściślać i nie za bardzo wiedzieliśmy, o co mu chodzi. A później wrócił Blobel. Wyzdrowiał i chyba mniej pił, ale pozostał nieprzyjemny. Większość czasu spędzałem teraz w Żytomierzu. Thomas też tu był i widywałem go niemal codziennie. Było bardzo ciepło. W sadach drzewa uginały się pod ciężarem śliwek węgierek i moreli, na poletkach na obrzeżach miasta widać było ciężkie owoce dyni, rzadkie strąki suchej kukurydzy, pojedyncze rzędy słoneczników kwiatami zwisającymi ku ziemi. W wolnym czasie wyjeżdżaliśmy z Thomasem za miasto, pływaliśmy barką po rzece Teterew, kąpaliśmy się. Potem, leżąc pod jabłonią, piliśmy niedobre białe wino z Besarabii, jedząc dojrzałe owoce, które mieliśmy na wyciągnięcie ręki. Wtedy nie było jeszcze partyzantów w regionie, panował spokój. Czasem czytaliśmy na głos ciekawe albo zabawne fragmenty z książek, jak studenci. Thomas wygrzebał skądś broszurę Instytutu Badań Kwestii Żydowskich. „Posłuchaj tej zadziwiającej prozy. Artykuł *Biologia i kolaboracja* niejakiego Charlesa Laville’a. Słuchaj. *Polityka: biologiczna czy nie?* No słuchaj, słuchaj: *Czy chcemy pozostać pospolitą kolonią polipów? Czy też, przeciwnie, chcemy ewoluować w kierunku wyższego stadium organizacji?*” Czytał po francusku ze śpiewnym akcentem. „Odpowiedź: *Związki komórkowe elementów ze skłonnością do uzupełniania się to te, dzięki którym powstawały zwierzęta znajdujące się na wyższych szczeblach ewolucji, i — jako najwyższe stadium — człowiek. Odrzucanie tego, co samo się nam oddaje, byłoby, w pewnym sensie, zbrodnią przeciwko ludzkości, a tym samym — przeciwko biologii*”. Ja czytałem korespondencję Stendhala. Któregoś dnia saperzy zaprosili nas do motorówki. Thomas, już lekko wstawiony, ustawił sobie między kolanami skrzynkę granatów i, ułożywszy się wygodnie na dziobie, wyciągał je, jeden po drugim, odbezpieczał, i leniwie rzucał ponad głowę; rozbryzgi wody, które tworzyły się przy każdym podwodnym wybuchu, ochlapwały nas, saperzy zarzucali sieci i łapali dziesiątki martwych ryb, które wypływały na powierzchnię tuż za motorówką, śmiali się, a ja podziwiałem ich opalone ciała i beztroską młodość. Wieczorem Thomas przychodził czasem do naszej kwatery, żeby posłuchać muzyki. Bohr znalazł gdzieś małego Żyda, sierotę i przygarnął go w

charakterze maskotki; chłopak mył samochody, pastował buty i czyścił broń oficerom, ale przede wszystkim grał na fortepianie niczym młody bóg, lekko, zwinnie, żwawo. „Za taką rękę można wybaczyć mu wszystko, nawet żydostwo”, mawiał Bohr. Kazał mu grać Beethovena i Haydna, ale chłopak, na imię miał Jakow, najbardziej lubił Bacha. Znał chyba wszystkie suity na pamięć, był cudowny. Nawet Blobel go tolerował. Gdy Jakow nie grał, zabawiałem się czasem, kpiąc sobie łagodnie z kolegów, i czytałem im ze Stendhala urywki o klęsce w Rosji. Niektórzy się obruszali: „Tak, Francuzi, być może, to słaby naród. My, Niemcy, to co innego”. — „Oczywiście. Z tym że Rosjanie pozostali Rosjanami”. — „Właśnie, że nie!, pieklił się Blobel. Siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt procent narodów ZSRR jest pochodzenia mongolskiego. To zostało udowodnione. A bolszewicy prowadzili rozmyślną politykę opartą na przemieszaniu rasowym. Podczas Wielkiej Wojny, zgoda, biliśmy się przeciw autentycznym rosyjskim chłopom, i rzeczywiście byli, skubańcy, silni, ale bolszewicy ich zgładzili! Niewielu zostało prawdziwych Rosjan, prawdziwych Słowian. Zresztą, ciągnął dalej bez żadnej logiki, Słowianie są z definicji rasą mieszańców, niewolników. Kundli. Żaden z ich książąt nie był prawdziwym Rosjaninem, zawsze płynęła w nich krew normandzka, mongolska, a potem niemiecka. Nawet ich narodowy wieszcz to czarny *Mischling* i oni to tolerują, to chyba wystarczający dowód...” — „Tak czy inaczej, dorzucał sentencjonalnie Vogt, Bóg jest z Narodem i Ojczyzną Niemiecką. Nie możemy przegrać tej wojny”. — „Bóg?, zaperzał się Blobel, Bóg jest komunistą. Niech no mi tylko stanie na drodze, skończy jak ci jego komisarze”.

Nie, nie bredził. W Czernihowie SP aresztowała przewodniczącą regionalnej „trojki” NKWD i jednego z jego towarzyszy, po czym wysłała ich do Żytomierza. Przesłuchiwany przez Vogta i pomocników, ów sędzia, Wolf Kieper, przyznał się do stracenia ponad tysiąca trzystu pięćdziesięciu osób. Był to Żyd około sześćdziesiątki, komunista od 1905 roku i sędzia ludowy od 1918; drugi, młodszy, Mosze Kogan, też był czekistą i Żydem. Blobel omówił ich przypadek z Raschem i Oberstem Heimem i porozumiał się z nimi w sprawie egzekucji publicznej. Kieper i Kogan stanęli przed sądem wojskowym — zostali skazani na śmierć. Siódmego sierpnia, wczesnie rano, oficerowie Sonderkommando, wspomagani przez Orpo i askarysów, przeprowadzili aresztowania Żydów i zebrali ich na rynku. 6. Armia oddała im do dyspozycji samochód kompanii propagandowej, który jeździł ulicami miasta, ogłaszając przez megafony informację o

egzekucji, po niemiecku i po ukraińsku. Dotarłem na plac późnym rankiem, w towarzystwie Thomasa. Zebrano tu ponad czterystu Żydów i zmuszono ich, by usiedli, z rękoma na karku, wokół wysokiej szubienicy, ustawionej dzień wcześniej przez szoferów Sonderkommando. Oprócz kordonu Waffen-SS były setki gapiów, głównie wojskowych, ale także ludzi z Organisation Todt i NSKK, oraz liczni ukraińscy cywile. Ta widownia wypełniała plac ze wszystkich stron, trudno było utorować sobie wśród niej drogę, jakichś trzydziestu żołnierzy wdrapało się nawet na blaszany dach jednego z pobliskich budynków. Ludzie śmiali się, dowcipkowali, wielu robiło zdjęcia. Blobel stał u stóp szubienicy, razem z Häfnerem, który przyjechał z Białej Cerkwi. Przy żydowskich szeregach stał von Radetzki i judził tłum po ukraińsku: „Może ktoś ma porachunki z tymi Żydami?”, pytał. Jakiś mężczyzna wyszedł z tłumu i kopnął jednego z siedzących, po czym wrócił na miejsce; niektórzy rzucali owoce i zgniłe pomidory. Popatrzyłem na Żydów: mieli poszarzałe twarze, wytrzeszczali przerażone oczy, zastanawiali się, co ich czeka. Było pomiędzy nimi wielu starców, o białych, gęstych brodach, ubranych w brudne kaftany, ale byli też całkiem jeszcze młodzi mężczyźni. Zauważyłem w kordonie kilku Landserów z Wehrmachtu. „Co oni tu robią?”, spytałem Häfnera. — „To ochotnicy. Chcieli pomóc”. Skrzywiłem się. Było też wielu oficerów, ale nie rozpoznałem żadnego z AOK. Podeszedłem bliżej kordonu i spytałem jednego z żołnierzy: „Skąd się tu wzięłeś? Kto ci kazał robić za obstawę?”. Był trochę zbity z tropu. „Gdzie twój zwierzchnik?” — „Nie wiem, Herr Offizier”, odpowiedział, drapiąc się po czole pod czapkę. — „Skąd się tu wzięłeś?”, powtórzyłem. — „Poszedłem rano do getta, ja i kilku innych, Herr Offizier. No i tyle, zaproponowaliśmy pomoc, a pańscy koledzy się zgodzili. Zamówiłem parę skórzanych butów u jednego Żyda i chciałem go znaleźć, zanim... zanim...” To słowo nie mogło przejść mu przez gardło. „Zanim go rozstrzelają, tak?”, rzuciłem gorzko. — „Tak, Herr Offizier”. — „I znalazłeś?” — „Jest tam. Ale nie mogłem z nim porozmawiać”. Wróciłem do Blobela. „Herr Standartenführer, trzeba odesłać żołnierzy z Wehrmachtu. Nie powinni uczestniczyć w *Aktion* bez rozkazu”. — „Niech pan da spokój, Obersturmführer. Dobrze, że są tacy entuzjastyczni. To prawdziwi narodowi socjaliści, też chcą coś z siebie dać”. Wzruszyłem ramionami i wróciłem do Thomasa. Wskazał ruchem brody na tłum: „Powinniśmy sprzedawać bilety, bylibyśmy bogaci”. Zachichotał. „W AOK nazywają to *Exekution-Tourismus*”. Podjechała ciężarówka, już ustawiała się pod szubienicą. Dwaj żołnierze z Waffen-SS wyprowadzili Kiepera i Kogana. Byli w

chłopskich koszulach, ręce mieli związane za plecami. Od dnia aresztowania broda Kiepera zupełnie posiwiała. Szoferzy ułożyli deskę w poprzek skrzyni samochodu, wdrapali się na nią i zaczęli wiązać stryczki. Zauważyłem, że Höfler trzymał się na uboczu, palił, widocznie przygnębiony. Bauer, osobisty szofer Blobela, sprawdzał pętle. Potem na górę wszedł Zorn, a ludzie z Waffen-SS podnieśli obu skazańców. Postawiono ich pod szubienicą i Zorn rozpoczął przemowę. Mówił po ukraińsku, chyba uzasadniał wyrok. Gapie złorzeczyli, gwizdali, Zorn miał trudności z przyciągnięciem uwagi tłumu, parę razy zrobił gest, żeby ich uciszyć, ale nikt na niego nie patrzył. Żołnierze robili zdjęcia, ze śmiechem pokazywali sobie skazańców. Zorn i jeden z Waffen-SS założyli pętle na szyje Żydów. Obaj stali w milczeniu, skupieni. Zorn i reszta zeszli z deski i Bauer włączył silnik. „Wolniej, wolniej!”, krzyczeli Landserzy, fotografując. Ciężarówka pojechała do przodu, mężczyźni usiłowali utrzymać równowagę, zachybotali, najpierw jeden, potem drugi i zawisli, huśtając się w przód i w tył. Kieperowi spodnie opadły do kostek, został w samej koszuli, na dole był nagi, z obrzydzeniem patrzyłem na jego nabrzmiąły członek; ejakulował. „Nix Kultura”, wybełkotał jeden Landser, reszta podniosła krzyk. Na słupach szubienicy Zorn przybijał tablice z wyrokiem; można się było z nich dowiedzieć, że tysiąc trzysta pięćdziesiąt ofiar Kiepera to byli *folksdojcz*e i *Ukraińcy*.

Potem żołnierze z kordonu rozkazali Żydom wstać i iść. Blobel wsiadł do swojego samochodu razem z Hamerem i Zornem, von Radetzki zaproponował, że mnie podwiezie, zabrał też Thomasa. Tłum podążał za Żydami, zgiełk panował potworny. Wszyscy szli za miasto, w stronę miejsca nazywanego *Pferdefriedhof*, końskim cmentarzem. Był tam już wcześniej wykopany rów, z palisadą z belek na chybione kule. Obersturmführer Grafhorst, który dowodził naszą kompanią Waffen-SS, oczekiwał w towarzystwie dwudziestu żołnierzy. Blobel i Häfner zrobili inspekcję rowu, a my czekaliśmy. Miałem chwilę czasu na myślenie. Zastanawiałem się nad sobą, nad związkiem, jaki mógł istnieć pomiędzy moim wcześniejszym życiem — zupełnie zwyczajnym, życiem przeciętnym, ale też, pod pewnymi względami, życiem niezwykłym i niecodziennym, choć ta niecodziennność też bywała czymś zwyczajnym — a tym, co działo się tutaj. Bo musiał przecież istnieć jakiś związek. I tak właśnie było, istniał. Zgoda, nie uczestniczyłem w egzekucjach, nie dowodziłem plutonami, ale to niewiele zmieniało, bo obserwowałem je regularnie, pomagałem w przygotowaniach, a potem pisałem raporty. Z drugiej strony sprawił to

właściwie przypadek, że przydzielono mi Stab, a nie Teilkommando. A gdyby przydzielono mi Teilkommando, to czy mógłbym, ja także, jak Nagel lub Häfner, organizować łapanki, kopanie dołów, ustawiać skazańców, krzyczyć: „Ognia!”? Zapewne tak. Od dzieciństwa ogarnięty byłem pasją poszukiwania absolutu, przekraczania granic — i ta pasja przywiodła mnie nad zbiorowe mogiły na Ukrainie. Zawsze uważałem swoje poglądy za radykalne, a skoro Państwo i Naród poszły drogą radykalizmu i Absolutu, jak mógłbym, właśnie w tym momencie, odwrócić się plecami, powiedzieć „nie” i wybrać ostatecznie komfort burżujskich praw, przeciętne bezpieczeństwo umowy społecznej? To, oczywiście, było niemożliwe. Nawet jeśli radykalizm jest radykalizmem piekielnym, nawet jeśli absolut okazał się złym absolutem, to i tak powinienem — akurat o tym jestem święcie przekonany — pozostać im wierny do samego końca, nie przymykając oczu na nic. Tłum gęstniał i wypełniał cmentarz; zauważyłem nawet żołnierzy w kąpielówkach, było też sporo kobiet i dzieci. Ludzie pili piwo i częstowali się papierosami. Przyglądałem się grupie oficerów ze sztabu głównego: był tam Oberst von Schuler, był Ha i kilku innych. Grafhorst, Kompanieführer, ustawiał swoich ludzi. Teraz strzelano w stosunku jeden do jednego, jeden karabin na jednego Żyda, strzał w pierś na wysokości serca. To często nie wystarczało, żeby zabić, wtedy jeden żołnierz schodził do rowu i dobijał rannych; krzyki wdzierały się w szmer rozmów i gwar tłumu. Häfner, który mniej lub bardziej oficjalnie kierował całą akcją, wrzeszczał. Pomiedzy salwami z tłumu gapiów wychodzili żołnierze i pytali tych z Waffen-SS, czy mogą zająć ich miejsce. Grafhorst nie miał nic przeciwko i jego ludzie oddawali karabiny Landserom, którzy strzelali sobie raz czy dwa, po czym wracali do kolegów. Wszyscy Waffen-SS Grafhorsta byli dość młodzi i od początku egzekucji wykazywali pewien niepokój. Häfner wstał i nawrzeszczał na jednego z nich, bo ten przy każdej serii oddawał karabin ochotnikowi, a sam stawał z boku, biały jak ściana. W dodatku wiele strzałów było chybionych i to rzeczywiście stanowiło problem. Häfner kazał przerwać egzekucję i zaczął po cichu naradzać się z Blobelem oraz dwoma oficerami Wehrmachtu. Nie znałem ich, ale po kolorze naszywek domyśliłem się, że jeden z nich jest sędzią wojskowym, a drugi lekarzem. Potem Häfner poszedł porozmawiać z Grafhorstem. Widziałem, że Grafhorst nie zgadza się z tym, co mówi Häfner, ale nie słyszałem ich słów. Wreszcie Grafhorst przyprowadził nową partię Żydów. Ustawiono ich twarzą do rowu, ale strzelcy Waffen-SS celowali teraz raczej w głowę niż w serce. Rezultat był straszliwy: kawałki czaszek fruwały w powietrzu,

strzelcom na twarzach rozpryskiwały się mózgi. Jeden z wolontariuszy Wehrmachtu wymiotował, a towarzysze naigrawali się z niego. Grafhorst poczerwieniał, obrzucił wyzwiskami Häfnera, po czym odwrócił się do Blobela i znów zaczęli się naradzać. Po raz kolejny zmieniono metodę: Blobel kazał dostawić strzelców, którzy tym razem mieli celować w kark, jak wtedy, w lipcu. Häfner osobiście schodził i dobijał, jeżeli zaszła taka potrzeba.

Wieczorem, po egzekucji, poszedłem z Thomasem do kasyna. Oficerowie z AOK przeżywali wydarzenia całego dnia; zaszalutowali nam kurtuazyjnie, ale czułem, że są zażenowani, spięci z powodu naszej obecności. Thomas włączył się do rozmowy. Usiadłem w łoży, żeby w samotności wypalić papierosa. Po posiłku znów rozgorzały dyskusje. Zauważyłem sędziego wojskowego, tego, który rozmawiał z Blobelem; wyglądał na mocno zdenerwowanego. Podeszedłem i przyłączyłem się do grupy. Oficerowie, z tego, co rozumiałem, nie mieli obiekcji co do samej akcji, lecz co do obecności licznych żołnierzy Wehrmachtu i ich czynnego udziału w egzekucjach. „Co innego, gdyby dostali rozkaz, podkreślał sędzia, ale ten sposób działania jest nie do przyjęcia. To jest hańba dla Wehrmachtu”. — „Co, zaperzył się Thomas, SS może strzelać, a Wehrmacht nie może nawet na to patrzeć?” — „Nie o to chodzi, wcale nie o to chodzi. To kwestia porządku. Tego typu zadania są nieprzyjemne dla wszystkich. Ale tylko ci, którzy otrzymali rozkaz, powinni w nich uczestniczyć. W przeciwnym razie cała wojskowa dyscyplina bierze w łeb”. — „Zgadza się z doktorem Neumannem, wtrącił się Niemeyer, Abwehroffizier. To nie są zawody sportowe. Żołnierze zachowywali się, jakby przyszli na wyścigi”. — „Ale przecież, Herr Oberstleutnant, przypomniałem mu, AOK zgodziła się, żebyśmy przekazali to do wiadomości ogółu. Sami pożyczyciście nam samochód”. — „Nie krytykuję w żadnym wypadku SS, które wykonuje bardzo trudną pracę, odpowiedział Niemeyer nieco obronnym tonem. Rozmawialiśmy o tym przed akcją i doszliśmy do wniosku, że to dobry przykład dla ludności cywilnej, że dobrze będzie, jeżeli ludzie ujrzą na własne oczy, jak rozbijamy władzę Żydów i bolszewików. Ale sprawy poszły nieco za daleko. Wasi żołnierze nie powinni przekazywać broni naszym”. — „A wasi żołnierze, odparł cierpko Thomas, nie powinni ich do tego namawiać”. — „Tak czy inaczej, warknął Neumann, trzeba będzie omówić tę kwestię z Generalfeldmarschallem”.

Wyniknął z tego wszystkiego rozkaz typowy dla von Reichenaua: odnosząc się do naszych *niezbędnych egzekucji wykonywanych na kryminalistach, bolszewikach i elementach zasadniczo żydowskich*, zabraniał żołnierzom 6. Armii obserwacji, fotografowania i uczestniczenia w akcjach *bez rozkazu dowodzącego oficera*. W gruncie rzeczy niewiele to zmieniło, ale Rasch rozkazał nam przenieść akcje poza teren miast i ustawiać wokół kordony, broniące gapiom dostępu. Dyskrecja stała się obowiązkiem. Lecz cóż, pragnienie, by „zobaczyć”, jest czymś bardzo ludzkim. Kartkując swój tom Platona, odnalazłem fragment z *Państwa*, który przypomniał mi się wtedy, na widok trupów w twierdzy w Łucku: *Leontios, syn Aglajona, szedł raz z Pireusu na górę pod zewnętrzną stroną muru północnego i zobaczył trupy leżące koło domu kata. Więc równocześnie i zobaczyć je chciał, i brzydził się, i odwracał, i tak długo walczył ze sobą i zastaniał się, aż jego żądza przemogła i wytrzeszczywszy oczy, przybiegł do tych trupów i powiada: „No, macie teraz, wy moje oczy przekłete, napaście się tym pięknym widokiem”*. Prawdę mówiąc, żołnierze rzadko czuli obrzydzenie Leontiosa, a raczej tylko podobną żądzę, i chyba to właśnie przeszkadzało dowództwu — myśl, że żołnierze mogą czerpać przyjemność z akcji. Bo że wszyscy, którzy w nich uczestniczyli, taką przyjemność czerpali, wydawało mi się oczywiste. Niektórzy całkiem jawnie rozkoszowali się samym aktem, ale tych można było uznać za chorych, powierzyć im inne zadania, a nawet ukarać, gdy już przekraczali wszelkie granice. Inni natomiast, niezależnie od tego, czy uważali pracę za odrażającą, czy też zachowywali obojętność, wykonywali ją z poczucia przymusu i obowiązku, a tym samym cieszyli się na samą myśl, że się poświęcają, że potrafią wywiązać się, pomimo wstrętu i obawy, z tak trudnego zadania: „Ależ zabijanie nie sprawia mi żadnej przyjemności”, mawiali często, czerpiąc jednocześnie przyjemność z własnego posłuszeństwa i odwagi. Naturalnie dowództwo rozpatrywało te kwestie całościowo, a jego reakcje, siłą rzeczy, mogły być tylko bardzo ogólne. Oczywiście *Einzelaktionen*, czyli akcje indywidualne, były słusznie traktowane jak morderstwa i karane. Bertick von Roques ogłosił interpretację rozkazu OKW o dyscyplinie, grożąc karą sześćdziesięciu dni aresztu za *niesubordynację* każdemu żołnierzowi, który strzeli do Żyda z własnej inicjatywy; opowiadano, że w Lembergu jakiś podoficer został skazany na pół roku więzienia za zabójstwo starej Żydówki. Ale im większą skalę przybierały akcje, tym trudniej było wychwycić wszystkie nadużycia. Jedenastego i dwunastego sierpnia Brigadeführer Rasch zebrał w Żytomierzu wszystkich swoich dowódców

Sonderkommando i Einsatzkommando: oprócz Blobela, Hermana z 4b, Shulza z 5. i Kroegera z 6., był tam także Jeckeln. Trzynastego przypadły urodziny Blobela i oficerowie postanowili przygotować dla niego przyjęcie. Przez cały dzień był w jeszcze gorszym nastroju niż zwykle, spędzał długie godziny w samotności, zamknięty w gabinecie. Ja sam byłem dość zajęty, bo właśnie otrzymaliśmy rozkaz od Gruppenführera Müllera, dowódcy Geheime Staatspolizei: mieliśmy gromadzić materiały wizualne dotyczące naszej działalności (fotografie, filmy, afisze, plakaty) w celu późniejszego przekazania ich Führerowi. Poszedłem wynegocjować niewielką sumę u Hartla, administratora Gruppenstab, żeby odkupić od żołnierzy odbitki. Zrazu odmówił, przytaczając zarządzenie Reichsführera, na mocy którego zabraniano członkom Einsatzgruppen odnoszenia jakichkolwiek korzyści z egzekucji; twierdził, że sprzedaż fotografii jest odnoszeniem korzyści. W końcu udało mi się go przekonać, że nie możemy wymagać od ludzi, by z własnej kieszeni opłacali pracę Grupy, i że należy wyłożyć fundusze na wywołanie zdjęć, które chcemy zarchiwizować. Zgodził się, ale pod warunkiem, że będziemy płacić za zdjęcia tylko podoficerom i szeregowcom; oficerowie mieli wywoływać fotografie na własny koszt, jeżeli je robili. Uzyskawszy tę zgodę, spędziłem resztę dnia w barakach na oglądaniu kolekcji żołnierzy i zamawianiu odbitek. Niektórzy byli naprawdę dobrymi fotografami, ale ich prace wywoływały we mnie nieprzyjemne wspomnienia, a jednocześnie nie mogłem od nich oderwać oczu, patrzyłem jak zaklęty. Wieczorem oficerowie zebrali się w mesie, udekorowanej przez Strehlkego i jego adiutantów. Blobel, gdy do nas doszedł, był już wstawiony, miał przekrwione oczy, ale panował nad sobą i rzadko się odzywał. Vogt, jako najstarszy wiekiem oficer, złożył mu życzenia i wznosił toast za jego zdrowie, potem poprosił o przemowę. Blobel zawahał się, ale odstawił kieliszek i zwrócił się do nas, splótnszy ręce za plecami: „Meine Herren! Dziękuję za życzenia. Wiedźcie, że wasze zaufanie jest mi bardzo drogie. Mam do zakomunikowania przykrą wiadomość. Wczoraj HSSPF Russland Süd, Obergruppenführer Jeckeln przekazał nam nowy rozkaz. Ten rozkaz wyszedł bezpośrednio od Reichsführera-SS i jest wyrazem — zwracam waszą uwagę, tak jak on zwrócił moją — osobistej woli Führera”. Mówiąc to, drżał, pomiędzy jednym a drugim zdaniem zagryzał wewnętrzną stronę policzków. „Nasze akcje skierowane przeciwko Żydom będą od tej pory obejmować całą ludność. Bez wyjątków”. Wśród zgromadzonych oficerów zapanowała konsternacja; zaczęli mówić wszyscy jednocześnie. Ponad szmer

wyniósł się pełen niedowierzania głos Callsena: „Wszystkich?”. — „Wszystkich”, potwierdził Blobel. „Ale przecież to niemożliwe”, powiedział Callsen. Właściwie nie mówił, tylko jęczał błagalnie. Ja się nie odzywałem, poczułem, jak od wewnątrz zalewa mnie wielki chłód, o, Boże, myślałem, więc teraz trzeba będzie to robić, słowo się rzekło, trzeba będzie przejść także i przez to. Czułem, jak ogarnia mnie bezgraniczne przerażenie, ale na zewnątrz pozostałem niewzruszony, nikt niczego nie zauważył, mój oddech był równy i spokojny. Callsen nie przestawał protestować: „Ale, Herr Standartenführer, większość z nas ma żony, dzieci. Nie można tego od nas wymagać”. — „Meine Herren, przerwał Blobel ostrym i zarazem zduszonym głosem, chodzi o bezpośredni rozkaz od naszego Führera, Adolfa Hitlera. Jesteśmy narodowymi socjalistami, członkami SS i będziemy mu posłuszni. Proszę zrozumieć: w Niemczech kwestia żydowska mogła zostać rozwiązana całościowo, bez nadużyć i w sposób odpowiadający wymogom humanitaryzmu. Ale podbiwszy Polskę, przejęliśmy trzy miliony dodatkowych Żydów. Nikt nie wie, co z nimi zrobić, gdzie ich umieścić. Tu, w tym ogromnym kraju, gdzie prowadzimy bezlitosną i wyniszczającą wojnę przeciwko stalinowskim hordom, musieliśmy od samego początku podjąć radykalne działania, żeby zapewnić bezpieczeństwo naszym tyłom. Myślę, że każdy z was rozumie konieczność i skuteczność owych działań. Nie mamy wystarczających sił, by przeszukiwać każdą najmniejszą wioskę i jednocześnie prowadzić walkę, i nie możemy pozwolić sobie na pozostawienie przy życiu potencjalnych wrogów, tak podstępnych, tak podłych. W Reichssicherheitshauptamt omawiamy możliwość zebrania, po wygranej wojnie, wszystkich Żydów w jednym dużym rezerwacie na Syberii lub na Północy. Tam mieliby spokój, a i my także. Ale najpierw trzeba wygrać wojnę. Zlikwidowaliśmy już tysiące Żydów, lecz zostały ich jeszcze dziesiątki tysięcy; im dalej posuną się nasze wojska, tym będzie ich więcej. Jeżeli zlikwidujemy mężczyzn, to nikt nie wyżywi ich kobiet i dzieci. Wehrmacht nie ma środków na utrzymanie dziesiątków tysięcy żydowskich samic i ich młodych. Jednocześnie nie możemy pozwolić im umrzeć z głodu; to bolszewickie metody. Objęcie ich naszą akcją, tak jak ich mężów i synów, jest w tych okolicznościach rozwiązaniem najbardziej humanitarnym. Poza tym doświadczenie nauczyło nas, że Żydzi ze Wschodu, bardziej płodni, stanowią źródło ciągłej odnowy sił judeo-bolszewickich, podobnie jak kapitalistyczni plutokraci. Jeżeli pozostawimy przy życiu choćby kilku z nich, owe produkty naturalnej selekcji dadzą początek nowemu szczepowi, jeszcze bardziej

niebezpiecznemu niż aktualne zagrożenie. Z dzisiejszych dzieci żydowskich jutro wyrosną sabotażyści, partyzanci i terroryści”. Oficerowie milczeli przygnębieni; Kehrig, widziałem to, pił kieliszek za kieliszkiem. Nabiegłe krwią oczy Blobela błyszczały zza alkoholowej mgły. „Wszyscy jesteśmy narodowymi socjalistami, ciągnął, esesmanami w służbie naszej Ojczyzny i naszego Führera. Przypominam panom, że *Führerworte haben Gesetzeskraft*, słowo Führera jest prawem. Musicie się oprzeć pokusie humanitaryzmu”. Blobel był mężczyzną niezbyt inteligentnym, zapewne nie on wymyślił te dosadne sformułowania. Ale przecież wierzył w nie i, co ważne, chciał w nie wierzyć, a teraz karmił nimi wszystkich tych, którzy tego potrzebowali, wszystkich, którym mogły do czegoś posłużyć. Dla mnie nie miały one większego znaczenia, wiedziałem, że muszę wypracować własny pogląd. Ale myślałem z trudem, szumiało mi w głowie, ciśnienie nie do zniesienia, chciałem iść spać. Callsen bawił się obrączką, byłem pewien, że bezwiednie; chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. „*Schweinerei*, jedno wielkie świństwo”, mamrotał Häfner i nikt nie zaprzeczał. Blobel wyglądał na wyczerpanego, jak gdyby skończyły mu się wszelkie pomysły, ale wszyscy czuliśmy, że siłą woli trzyma nas w szachu i nie odpuści — siła woli innych ludzi trzymała w szachu jego. W Państwie takim jak nasze wszystkim rozdano role: ty — ofiara, a ty — kat, i nikt nie miał wyboru, nikogo nie pytano o zgodę, bo wszyscy są wymienialni, ofiary i kaci. Wczoraj zabijaliśmy żydowskich mężczyzn, jutro będą to kobiety i dzieci, a pojutrze jeszcze ktoś inny; a i nas, gdy odegramy swoje role, też się wymieni. Niemcy przynajmniej nie likwidują swych katów, przeciwnie, dbają o nich, nie zabijają jak Stalin ze swoją manią czystek; ale to także jest częścią większego planu. Dla Rosjan, podobnie jak dla nas, człowiek sam w sobie jest niczym, Naród, Państwo są wszystkim, i w tym sensie jesteśmy do siebie podobni. Żydzi też mają to silne poczucie wspólnoty, *Volku*: opłakują zmarłych, grzebią ich, jeśli mogą, i odmawiają kadysz, i jak długo zostanie przy życiu choćby jeden z nich, tak długo żyć będzie Izrael. Zapewne dlatego zostali naszymi wrogami numer jeden, są zbyt do nas podobni.

Nie chodziło tutaj o humanitaryzm. Ludzie, rzecz jasna, mogli krytykować nasze akcje, powołując się na wartości religijne, ale ja do takich nie należałem, i w ogóle w SS nie było ich chyba wielu. Mogli też powoływać się na wartości demokratyczne, ale Niemcy już od jakiegoś czasu były dużo dalej niż to, co przywykło się nazywać demokracją. Rozumowanie Blobela nie było takie całkiem nedorzeczne: jeżeli wartością

nadrzędną jest *Volk*, naród, którego jesteśmy częścią, i jeżeli ucieleśnieniem woli *Volku* jest wódz, to rzeczywiście *Führerworte haben Gesetzeskraft*. Lecz dla nas niezbędne było wewnętrzne uporanie się z przyjęciem rozkazów Führera jako niepodważalnej konieczności: ten, kto ugina się pod nimi, bo ma w sobie to pruskie posłuszeństwo, tkwi w nim ów *Knecht*, ów parobek, a nie rozumie ich i nie akceptuje, a więc nie *poddaje się im*, jest zwykłym cielęciem, niewolnikiem, a nie człowiekiem. Żyd, który działał zgodnie z Prawem, czuł, że to Prawo żyje w nim, a im bardziej było ono straszne, twarde, wymagające, tym mocniej je wielbił. Narodowy socjalizm powinien być tym właśnie: żywym Prawem. Zabijanie przerażało nas, reakcje oficerów były na to wystarczającym dowodem, choć nie wszyscy wyciągali wnioski ze swojego zachowania; a ten, kogo zabijanie nie przerażało, zabijanie mężczyzn tak uzbrojonych, jak i bezbronnych, zabijanie tak mężczyzn, jak i kobiet i ich dzieci — ten był tylko zwierzęciem, niegodnym przynależać do ludzkiej wspólnoty. Jednak całkiem możliwe, że to przerażające działanie było konieczne; w takim wypadku należało postępować w zgodzie z ową koniecznością. Nasza propaganda powtarzała nam, że Rosjanie to *Untermenschen*, podludzie, ale ja nie chciałem w to wierzyć. Rozmawiałem z aresztowanymi oficerami, komisarzami i dobrze widziałem, że są ludźmi takimi jak my, ludźmi, którzy chcą dobrze, kochają swoje rodziny i ojczyznę. A mimo to, ci oficerowie, ci komisarze, uśmiercili miliony swoich współobywateli, deportowali kułaków, zagłodzili ukraińskie chłopstwo, represjonowali burżujów oraz politycznych dewiantów i strzelali do nich. Wśród nich byli sadyści i zwyrodnialcy, oczywiście, ale byli też ludzie dobrzy, uczciwi i nieskazitelni, którzy szczerze pragnęli dobra swoich rodaków i całej klasy robotniczej; a jeśli nawet schodzili na złą drogę, to robili to w dobrej wierze. Oni także, w większości, byli przekonani, że to, co robią, jest konieczne, to nie byli szaleńcy, oportuniści i zbrodniarze jak ten Kieper. Także po stronie naszych wrogów człowiek dobry i uczciwy mógł się dopuścić przerażających czynów. Rozkaz, jaki otrzymaliśmy, stawiał nas w obliczu podobnego problemu.

Rano obudziłem się rozbity, z mózgiem oblepionym smutną nienawiścią. Poszedłem do Kehriga i zamknąłem za sobą drzwi do jego gabinetu: „Chciałbym z panem porozmawiać, Herr Sturmbannführer”. — „O czym, Herr Obersturmführer?” — „O *Vernichtungsbefehl*”. Uniósł ptasią głowę i popatrzył na mnie zza szkieł w cienkich

oprawkach: „Nie ma o czym dyskutować, Herr Obersturmführer. Zresztą, ja i tak wyjeżdżam”. Skinął, usiadłem. „Wyjeżdża pan? Jak to?” — „Załatwiłem wszystko z Brigadeführerem Streckenbachem, za pośrednictwem jednego z przyjaciół. Wracam do Berlina”. — „Kiedy?” — „Wkrótce, za kilka dni”. — „A pański następca?” Wzruszył ramionami. „Przyjedzie, kiedy przyjedzie. Chwilowo pan przejmie pałeczkę”. Znow wbił we mnie wzrok. „Gdyby pan także chciał stąd wyjechać, to, wie pan, da się załatwić. W Berlinie mogę porozmawiać o panu ze Streckenbachem, jeżeli pan sobie tego życzy”. — „Dziękuję, Herr Sturmbannführer, ale zostanę”. — „Po co?, spytał gwałtownie. Żeby skończyć jak Häfner albo Hans? Żeby się taplać w tym bagnie?” — „Pan jakoś dotąd wytrzymywał”, powiedziałem cicho. Kehrig zaśmiał się sucho: „Poprosiłem o przeniesienie na początku lipca. Jeszcze w Łucku. Ale wie pan, jak to jest, potrzeba czasu”. — „Będzie mi przykro, gdy pan odjedzie, Herr Sturmbannführer”. — „Mnie nie. To, co chcą tu zrobić, jest pozbawione sensu. I nie ja jeden tak myślę. Schulz z Kommando 5 załamał się, gdy usłyszał *Führerbefehl*. Poprosił o natychmiastowe przeniesienie i Obergruppenführer wyraził zgodę”. — „Być może ma pan rację. Ale jeśli pan wyjedzie, jeśli wyjedzie Oberführer Schulz, jeżeli wyjadą wszyscy przyzwoici oficerowie, to zostaną tu sami rzeźnicy, same męty. Na to nie można się zgodzić”. Skrzywił się, zde gustowany. „A pan myśli, że zostając tutaj, będzie pan mógł coś zmienić? Akurat pan?” Potrząsnął głową. „Nie, doktorze, niech pan posłucha mej rady i wyjedzie stąd. Rzeźnię niech pan zostawi rzeźnikom”. — „Dziękuję, Herr Sturmbannführer”. Uścisnąłem mu dłoń i wyszedłem. Udałem się do Gruppenstab i odszukałem Thomasa. „Kehrig to baba, stwierdził kategorycznie, gdy powtórzyłem mu rozmowę. Schulz zresztą też. Schulza mam na oku od jakiegoś czasu. W Lembergu wypuszczał skazańców, bez zezwolenia. Nawet lepiej, że jedzie, nie potrzebujemy tutaj takich jak on”. Spojrzał na mnie w zamyśleniu: „Oczywiście, straszne jest to, czego od nas wymagają. Ale zobaczysz, damy sobie radę”. Całkowicie spowaźniał. „Ja też nie uważam, że to jest dobre rozwiązanie. To raczej reakcja w trybie nagłym, z powodu wojny. Musimy ją wygrać, i to szybko, potem będziemy mogli dyskutować w spokoju i podejmować przemyślane decyzje. Będziemy mieli czas na wysłuchanie najbardziej skrajnych opinii. Ale podczas wojny to niemożliwe”. — „Myślisz, że to jeszcze długo potrwa? Mieliśmy być w Moskwie w ciągu pięciu tygodni. Minęły dwa miesiące, a my nie zdobyliśmy jeszcze ani Kijowa, ani Leningradu”. — „Trudno powiedzieć. Nie ulega wątpliwości, że

nie doceniliśmy ich potęgi militarnej. Zawsze, gdy myślimy, że ich rezerwy są na wyczerpaniu, rzucają nam świeże dywizje. Ale teraz już chyba naprawdę się kończą. Poza tym decyzja Führera o przysłaniu nam tutaj Guderiana szybko odblokuje nasz front. Armia Środek od początku miesiąca wzięła do niewoli czterysta tysięcy jeńców. A w Humaniu jeszcze ciągle otaczamy dwie armie”.

Wróciłem do Kommando. W mesie Jakow, Żydek Bohra, całkiem sam, grał na fortepianie. Usiadłem na ławce, żeby posłuchać. Grał Mozarta, andante jednej z sonat, a jego gra chwytła mnie za serce, pogłębiała mój smutek. Gdy skończył, spytałem go: „Jakow, znasz Rameau? Couperina?”. — „Nie, Herr Offizier. Co to jest?” — „To jest muzyka francuska. Powinieneś się jej nauczyć. Spróbuję znaleźć dla ciebie partytury”. — „Czy to piękne?” — „To chyba piękniejsze od wszystkiego”. — „Nawet od Bacha?” — Zastanowiłem się: „Niemał tak piękne jak Bach”, przyznałem. Ten Jakow miał dwanaście lat. Mógłby grać, co tylko dusza zapragnie, we wszystkich salach koncertowych Europy. Pochodził z okolic Czerniowiec, dorastał w rodzinie niemieckojęzycznej. Podczas okupacji Bukowiny, w 1940 roku, on i jego rodzina znaleźli się w ZSRR; ojca deportowali Sowieci, matka zginęła w jednym z naszych bombardowań. To był naprawdę piękny chłopiec: pociągła twarz, pełne wargi, czarne włosy w dzikim nieładzie, długie palce pokryte siatką niebieskawych żyłek. Lubili go wszyscy, nawet Lübbe nie traktował go źle. „Herr Offizier?”, zagaił Jakow. Wzrok wbijał w pianino. „Mogę pana o coś zapytać?” — „Oczywiście”. — „To prawda, że zabijecie wszystkich Żydów?” Zamarłem. „Kto ci to powiedział?” — „Wczoraj wieczorem słyszałem, jak Herr Bohr rozmawiał z innymi oficerami. Mówili bardzo głośno”. — „Byli pijani. Nie powinieneś być tego słuchać”. Nie dawał za wygraną, choć oczy miał ciągle spuszczone: „Więc mnie też zabijecie?”. — „Ależ skąd”. Tarłem dłonią o dłoń, starałem się zachować zwykły ton, sprawiać wrażenie rozbawionego. „Czemu niby mielibyśmy cię zabić?” — „Ja też jestem Żydem”. — „Nie szkodzi, ty dla nas pracujesz. Teraz jesteś Hiwi”. Zaczął delikatnie wciskać jeden klawisz, wysoką nutę: „Rosjanie mówili ciągle, że Niemcy są źli. Ale ja tak nie myślę. Ja was lubię”. Nie odezwałem się. „Chce pan, żebym zagrał?” — „Graj”. — „Co mam zagrać?” — „Graj, co chcesz”.

Atmosfera w Kommando stawała się nie do zniesienia; oficerowie byli nerwowi, na wszystko reagowali krzykiem. Callsen i inni rozjechali się do własnych Teilkommandos. Każdy zachowywał swoje opinie dla siebie, ale dobrze widziałem, że nowe zadania

ciężyły ludziom. Kehrig wyjechał pośpiesznie, niemal bez pożegnania. Lübbe często chorował. Teilkommandoführerzy wysyłali z terenu alarmujące raporty o morale swoich oddziałów: zdarzały się depresje, żołnierze płakali, Sperath twierdził, że wielu cierpi na impotencję seksualną. Były problemy z Wehrmachtem: w okolicach Korostenia jeden Hauptscharführer zmusił żydowskie kobiety, żeby się rozebrały, i kazał im biegać nago pod ostrzałem z karabinu maszynowego; sfotografował to, a jego zdjęcia zostały przechwycone przez AOK. W Białej Cerkwi Häfner stał się z oficerem ze sztabu generalnego jednej z dywizji, który zainterweniował, aby powstrzymać egzekucję żydowskich sierot; pojechał tam Blobel i afera dotarła aż do von Reichenaua, który zatwierdził egzekucję i upomniał oficera. Ale zajście wywołało niemałe oburzenie i Häfner nie chciał zlecać tej roboty swoim ludziom, posłużył się askarysami. Inni oficerowie postępowali podobnie. Nadal mieliśmy problemy z OUN-B, a te praktyki pociągały za sobą kolejne problemy, Ukraińcy zaczęli mieć dość, uciekali, a nawet posuwali się do zdrady. Byli tacy, którzy, wręcz przeciwnie, bez szemrania wykonywali egzekucje, ale okradali Żydów bez skrupów, kobiety gwałcili, a dopiero potem zabijali; czasem musieliśmy strzelać do własnych żołnierzy. Następcą Kehriga nie przyjeżdżał i miałem pełne ręce roboty. Pod koniec miesiąca Blobel wysłał mnie do Korostenia. Od „Republiki Olewskiej” na północnym wschodzie trzymaliśmy się z daleka, zgodnie z rozkazem Wehrmachtu, ale i tak mieliśmy dużo pracy w regionie. Za wszystko odpowiedzialny był Kurt Hans. Niezbyt lubiłem Hansa, był niemiły, nieprzewidywalny, on też mnie nie lubił. Ale musieliśmy pracować razem. Metody uległy zmianie, zostały zrjonalizowane, usystematyzowane zgodnie z nowymi wymaganiami. To jednak nie zawsze ułatwiało ludziom robotę. Teraz skazańcy przed egzekucją musieli się rozbierać, ponieważ ich ubrania gromadziliśmy w ramach akcji Pomoc Zimowa i dla repatriantów. W Żytomierzu Blobel zaprezentował nam nową, opracowaną przez Jeckelna metodę zwaną Sardinienpackung, „puszki sardynek”, którą Callsen poznał już wcześniej. W związku ze znaczącym wzrostem liczby skazanych w Galicji, począwszy od lipca, Jeckeln doszedł do wniosku, że rowy zapełniają się zbyt szybko; ciała wpadały byle jak, kłębiły się, traciliśmy przez to sporo miejsca w rowach i czasu na kopanie. Teraz skazani rozbierali się i kładli na brzuchu na dnie dołu, a kilku żołnierzy wymierzało im strzał w tył głowy, z bliska. „Zawsze byłem przeciwny *Genickschuss*, przypomniał nam Blobel, ale teraz nie mamy wyboru”. Po załatwieniu każdej warstwy, jeden oficer sprawdzał, czy wszyscy nie żyją,

następnie przysypywano ciała niewielką ilością ziemi i kolejna grupa kładła się na nich, „na waleta”. Po ułożeniu w ten sposób pięciu lub sześciu warstw, rów zakopywano. Teilkommandoführerzy twierdzili, że żołnierze nie dadzą sobie rady, ale Blobel nie chciał słuchać żadnych obiekcji: „W moim Kommando postępujemy tak, jak każe Obergruppenführer”. Akurat Kurtowi Hansowi zbytnio to nie przeszkadzało, jemu chyba wszystko było obojętne. Byłem świadkiem kilku egzekucji. Nauczyłem się rozróżniać trzy typy temperamentów moich kolegów. Przede wszystkim byli tacy, którzy, nawet jeśli starali się to ukryć, zabijali z rozkoszą; opowiadałem już o nich, to kryminaliści, którzy odnaleźli swą prawdziwą naturę dzięki wojnie. Następnie byli tacy, którzy czuli wstręt, ale zabijali z poczucia obowiązku, starali się pokonać własną odrazę, z miłości do rozkazu. Wreszcie i tacy, którzy traktowali Żydów jak zwierzęta i zabijali ich tak, jak rzeźnicy zabijają krowy, z przyjemnością albo przykrością, zależnie od humoru czy samopoczucia. Kurt Hans wyraźnie należał do tej ostatniej kategorii; dla niego liczyła się precyzja, skuteczność, wydajność. Co wieczór starannie aktualizował swoje statystyki. A ja? Ja nie identyfikowałem się z żadnym z trzech typów, ale tak naprawdę trudno mi było cokolwiek stwierdzić. Gdyby ktoś mnie przycisnął, nie potrafiłbym udzielić mu przekonującej odpowiedzi. Sam ciągle jeszcze jej szukałem. Moje pragnienie absolutu musiało odgrywać tu jakąś rolę, ale pewnego dnia uświadomiłem sobie z przerażeniem, że również po prostu ciekawość, jak w wielu innych sytuacjach w życiu odczuwałem zaciekawienie, chciałem zobaczyć, jaki to wszystko ma wpływ na mnie samego. Obserwowałem siebie stale: czułem, że mam nad sobą kamerę i że jednocześnie jestem właśnie tą kamerą, człowiekiem, którego filmuje, i tym, który następnie uważnie ogląda nagrany film. Czasem mieszało mi się w głowie i często nocą nie mogłem spać, gapilem się w sufit, a oko kamery nie dawało mi spokoju. Jednak odpowiedź na pytanie nadal mi umykała.

Praca z kobietami, a już szczególnie z dziećmi, nastęrczała nam czasem wiele trudności, wykonywaliśmy ją ze ściśniętym sercem. Żołnierze narzekali bez przerwy, zwłaszcza ci starsi, którzy mieli własne rodziny. W obliczu bezbronnych ludzi — matek, które musiały patrzeć bezradnie na śmierć własnych dzieci i nie mogły ich chronić, które musiały umierać razem z nimi — naszych żołnierzy ogarniała skrajna niemoc, sami stawali się bezbronni. „Chciałbym po prostu pozostać sobą”, wyznał mi pewnego dnia młody Sturmman z Waffen-SS, i to pragnienie było mi bliskie i zrozumiałe, ale nie mogłem mu pomóc. Zachowanie Żydów nie ułatwiało sprawy. Blobel musiał odesłać do

Niemiec trzydziestoletniego Rottenführera, który rozmawiał ze skazańcem; Żyd, z wyglądu rówieśnik Rottenführera, trzymał w ramionach mniej więcej dwuipółletnie dziecko, a kobieta u jego boku tuliła niebieskookiego noworodka; mężczyzna popatrzył Rottenführerowi prosto w oczy i spokojnie, czystą niemczyzną, powiedział: „Bardzo proszę, Mein Herr, niech pan porządnie zastrzeli dzieci”. — „Pochodził z Hamburga, wyjaśniał później Rottenführer Sperathowi, który z kolei opowiedział to nam, byliśmy prawie sąsiadami, jego dzieci były w wieku moich”. Ja sam traciłem grunt pod nogami. Podczas jednej z egzekucji obserwowałem śmierć małego chłopca w rowie: strzelcowi musiała zdrzeć ręką, kula wbiła się niżej, w plecy. Chłopak konwulsyjnie oddychał, oczy miał otwarte, szkliste, i ten okropny widok nałożył mi się na wspomnienie z dzieciństwa: bawiłem się z przyjacielem w kowbojów i Indian, mieliśmy cynowe pistolety. To było niedługo po Wielkiej Wojnie, ojciec był już w domu, miałem jakieś pięć, sześć lat, tak jak chłopiec w rowie. Schowałem się za drzewem, a gdy podszedł kolega, wyskoczyłem i opróżniłem magazynek, celując mu w brzuch i krzyząc: „pam, pam, pam!”. Wypuścił z dłoni broń, złapał się obiema rękami za żołądek i upadł, wijąc się z bólu. Podniosłem jego pistolet i chciałem mu podać: „Dobra, chodź. Bawimy się dalej”. — „Nie mogę. Jestem trupem”. Zamknąłem oczy. Dziecko u moich stóp nadal z trudem łykało powietrze. Po akcji zwiedziłem sztetł, opustoszały, cichy, wchodziłem do chat, niskich i nędznych, z sowieckimi kalendarzami i obrazkami wyciętymi z tygodników na ścianach, pełnych dewocjonaliów i ordynarnych mebli. Chyba niewiele to miało wspólnego z *internationales Finanzjudentum*. W jednym z domów znalazłem na piecu wielkie wiadro wody, ciągle jeszcze wrzała; na ziemi stały dzbany zimnej wody i balia. Zamknąłem drzwi, rozebrałem się i umyłem kawałkiem znalezionej mydła. Trochę tylko schłodziłem gorącą wodę: parzyło, skóra robiła się szkarłatna. Potem ubrałem się i wyszedłem. Przy wjeździe do wioski domy już płonęły. Moje wątpliwości nie dawały mi spokoju. Wracając ciągle na nowo i za którymś razem, tuż nad zbiorową mogiłą, dziewczynka, najwyżej czteroletnia, złapała mnie delikatnie za rękę. Chciałem ją wyrwać, wówczas chwyciła mocniej. Obok nas rozstrzeliwano Żydów. „De mama?”, spytałem po ukraińsku. Pokazała palcem rów. Pogłaskałem ją po włosach. Staliśmy tak kilka minut. Miałem zawroty głowy, chciało mi się płakać. „Chodź ze mną, powiedziałem po niemiecku, nie bój się, chodź”. Ruszyłem w stronę wykopu; stała jak wmurowana, chwyciła mnie mocniej za rękę i ruszyła ze mną. Podniosłem ją i podałem jednemu z Waffen-SS; „Bądź dla niej dobry”, poprosiłem,

zupełnie bez sensu. Poczułem, jak ogarnia mnie szalona wściekłość, ale nie chciałem już zajmować się ani małą, ani żołnierzem. Zszedł na dno rowu z dziewczynką na rękach, a ja odwróciłem się szybko i wbiegłem do lasu. Był to rozległy i jasny las sosnowy, rzadki, skąpany w delikatnym świetle. Za mną trzaskały kolejne salwy. Gdy byłem mały, często bawiłem się w takich lasach, w okolicach Kilonii, gdzie zamieszkałem po wojnie; prawdę mówiąc, dziwaczne to były zabawy. Na urodziny ojciec dał mi komplet tomów *Tarzana* amerykańskiego pisarza E.R. Burroughsa, czytałem je wszystkie z pasją po kilka razy, przy stole, w toalecie, nocą przy latarce, a w lesie, tak jak bohater, rozbierałem się do naga i biegałem między drzewami, pośród wielkich paproci, kładłem się na ściółce z suchych igieł sosnowych, z rozkoszą poddając się delikatnym ukłuciom, kucałem za jakimś krzakiem albo zwalonym pniem, gdzieś przy drodze, i szpiegowałem tych, którzy spacerowali, innych, ludzkie istoty. Nie były to zabawy jawnie erotyczne, byłem na to zbyt młody, prawdopodobnie nawet mi jeszcze nie stawał, lecz dla mnie cały ten las stanowił jedną wielką strefę erogenną, wielką skórę, równie wrażliwą jak moja naga dziecięca skóra, smagana chłodem. Później, muszę dodać, owe zabawy nabrały jeszcze dziwniejszego charakteru, to także się działo w Kilonii, ale prawdopodobnie po odejściu ojca, miałem wtedy dziewięć, dziesięć, albo nawet więcej lat. Nagi, wieszałem pasek na gałęzi, zakładałem na szyję, i napierałem na dół całym ciężarem, krew w panicznym pędzie napływała mi do twarzy, skronie pulsowały rozdzierająco, oddech stawał się świszczący, aż wreszcie wstawałem, łapałem powietrze i zaczynałem od początku. Takie zabawy, rozkosz, wolność bez granic, tak, tym właśnie były dla mnie kiedyś lasy; teraz się ich bałem.

Wróciłem do Żytomierza. W Kommandostab panowało wielkie poruszenie: Bohr był w areszcie, a Lübbe w szpitalu. Bohr zaatakował go w mesie, w obecności oficerów, najpierw bił go krzesłem, a później wyjął nóż. Musiało zebrać się sześciu mężczyzn, żeby go obezwładnić, Strehlke, nasz Verwaltungsführer, miał zadraśniętą dłoń, niezbyt głęboko, ale boleśnie. „Zwariował”, opowiadał, pokazując mi szwy. — „Ale co się właściwie stało?” — „To przez tego Żydka. Tego, co grał na fortepianie”. Jakow miał wypadek, gdy naprawiał samochód z Bauerem; źle ustawiony lewarek puścił i zmiażdżył mu rękę. Sperath zbadał go i orzekł, że konieczna jest amputacja. „Teraz już się do niczego nie przyda”, zdecydował Blobel i nakazał go zlikwidować. „Zajął się tym Vogt, opowiadał Strehlke. Bohr nie odezwał się słowem. Ale na kolacji Lübbe zaczął go prowokować. Wie

pan, jaki on jest. «Koniec z fortepianem*», drwił głośno. I wtedy Bohr rzucił się na niego. Jeżeli chce pan znać moje zdanie, Lübemu się należało. Ale Bohra szkoda: dobry oficer, a zrujnował karierę przez jakiegoś Żydka. Jakby ich tutaj było mało”. — „Co się stanie z Bohrem?” — „To będzie zależeć od raportu Standartenführera. W najgorszym razie skończy w więzieniu. A jak nie, to zostanie zdegradowany i wysłany do Waffen-SS na odkupienie grzechów”. Zostawiłem go i poszedłem zamknąć się w swoim pokoju, byłem zdegrustowany. Rozumiałem Bohra, zrobił źle, to prawda, ale go rozumiałem. Lübbe nie powinien był z niego kpić, to nie przystoi oficerowi. Ja też się trochę przywiązałem do małego Jakowa; w tajemnicy napisałem list do przyjaciela w Berlinie, z prośbą o przysłanie partytur Rameau i Couperina, chciałem, żeby Jakow nauczył się ich, żeby odkrył *Le Rappel des oiseaux*, *Les Trois Mains*, *Les Barricades mystérieuses* i wszystkie inne cuda. Teraz te partytury nie przydadzą się nikomu; ja nie gram na fortepianie. Tamtej nocy miałem dziwny sen. Wstałem i szedłem w kierunku drzwi, ale jakaś kobieta zagroziła mi drogę. Miała siwe włosy i okulary: „Nie, powiedziała do mnie, nie możesz wyjść. Usiądź i pisz”. Chciałem usiąść przy biurku: jakiś mężczyzna zajmował moje krzesło i uderzał w klawisze mojej maszyny. „Przepraszam”, zdobyłem się na odwagę. Klawisze wydawały ogłuszający stukot, nie usłyszał mnie. Nieśmiało poklepałem go po ramieniu. Odwrócił się i pokręcił głową: „Nie”, powiedział, pokazując drzwi. Podeszedłem do biblioteki, ale tam także stał jakiś człowiek i ze spokojem wrywał kartki z moich książek, a puste okładki odrzucał w kąt. Cóż, pomyślałem, w takim razie idę spać. Ale w łóżku leżała młoda kobieta, była naga, przykryta prześcieradłem. Kiedy mnie zobaczyła, przyciągnęła do siebie i obsypała mi twarz pocałunkami, objęła moje nogi swoimi i próbowała rozpiąć mi pasek. Zdołałem ją odepchnąć, ale z wielkim trudem. Wysięk mnie ogłuszył. Chciałem wyskoczyć przez okno; nie dało się otworzyć, farba na ramie przyschła do ściany. Toaleta, na szczęście, była pusta, czym prędzej się w niej zamknąłem.

Wehrmacht nareszcie ruszył do przodu i przygotowywał nam nowe zadania. Guderian już prawie całkiem przerwał rosyjską linię obrony, zachodząc w Kijowie od tyłu sowieckie armie, które były jak sparaliżowane, zupełnie nie reagowały. 6. Armia wzięła się do roboty, Dniepr został przekroczony; bardziej na południe 17. Armia też przekraczała Dniepr. Było gorąco i sucho, przemieszczające się oddziały wzniecały tumany kurzu, wysokie jak domy; kiedy zaczynało padać, żołnierze cieszyli się, a potem

przeklinali grzęzawiska. Nie było czasu na mycie, ludzie byli szarzy od kurzu i błota. Pułki parły do przodu jak małe, samotne statki na oceanach kukurydzy i dojrzałej pszenicy; nie spotykały nikogo przez długie dni, jedyne wieści docierały do nich dzięki szoferom konwoju *Rollbahn*, którzy jeździli wzdłuż linii frontu; wokół nich rozciągała się rozległa równina, płaska i pusta: *Czy nikt nie mieszka na tej równinie?*, pytał śmiałek z rosyjskiej piosenki. Mijaliśmy czasem którąś z tych jednostek, jadąc na misję, oficerowie zapraszali nas na posiłek, cieszyli się ze spotkania. 16 września Guderian przeprowadził połączenie z Grupami Pancernymi von Kleista w Łochwicy, sto pięćdziesiąt kilometrów za Kijowem, otaczając, jak twierdziła Abwehra, cztery radzieckie armie; na północy i na południu lotnictwo i piechota zaczęły je miażdżyć. Kijów stał przed nami otworem. W Żytomierzu, pod koniec sierpnia, zaprzestaliśmy egzekucji Żydów, a tych, co przeżyli, zebraliśmy w getcie. 17 września Blobel opuścił miasto, a wraz z nim oficerowie, dwie jednostki policji i askarysi; zostawił wyłącznie ordynansów, kuchnię i narzędzia do naprawy pojazdów. Kommandostab miał jak najszybciej zainstalować się w Kijowie. Ale dzień później Blobel zmienił zdanie albo też otrzymał inny rozkaz: wrócił do Żytomierza likwidować getto. „Ich bezczelne zachowanie nie zmieniło się, pomimo wszystkich ostrzeżeń i podjętych przez nas specjalnych kroków. Nie możemy pozostawić ich przy życiu”. Utworzył Vorkommando pod dowództwem Häfnera i Janssena, które miało wejść do Kijowa razem z 6. Armią. Zgłosiłem się na ochotnika i Blobel mnie przyjął.

Tamtej nocy Vorkommando zatrzymało się w małej, opustoszałej wiosce tuż pod miastem. Uporczywe krakanie wron na zewnątrz przywodziło na myśl płacz niemowląt. Właśnie kładłem się na sienniku w izbie, którą dzieliłem z innymi oficerami, kiedy do środka wleciał mały ptak, prawdopodobnie wróbel, i zaczął obijać się o ściany i zamknięte okna. Na wpół ogłuszony leżał przez kilka sekund bez tchu, z rozrzuconymi skrzydłami, po czym wzlatywał znów, w krótkich i jałowych zrywach. Chyba umierał. Tamci spali albo nie zwracali na niego uwagi. W końcu udało mi się nakryć go hełmem i wypuścić na podwórze: wystrzelił w ciemność jak przebudzony z koszmarne go snu. Świt zastał nas w drodze. Teraz wojna rozgrywała się tuż przed nami, posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli. Na poboczach leżały rozrzucone bezsenne trupy, o oczach otwartych i pustych. Obrączka na palcu niemieckiego żołnierza błyszczała w porannym słońcu; jego twarz była czerwona, nabrzmiała, a usta i oczy pełne much. Martwe konie leżały wśród ludzi, niektóre, ranne od kuli czy odłamka, zdychały powoli, rżały, rzucały się, tarzały się

wściekle po truchłach innych koni albo ciałach jeźdźców. Przy polowym moście, dokładnie przed nami, nurt porwał trzech martwych żołnierzy i z brzegu przez długi czas widać było mokre mundury oraz blade twarze topielców, niknące powoli w oddali. W pustych, pozostawionych przez mieszkańców wioskach krowy o przepelnionych wymionach ryczały z bólu, oszalałe gęsi gęgały w małych ogródkach, skacząc pośród królików, kurczaków i psów na łańcuchach, skazanych na śmierć głodową; drzwi domów były otwarte na oścież, ogarnięci paniką ludzie zostawili książki, reprodukcje, radia, pierzyny. I wreszcie przedmieścia Kijowa, zniszczone i spustoszone, a zaraz za nimi centrum, niemal nienaruszone. Wzdłuż bulwaru Szewczenki, oświetlonego pięknym jesiennym słońcem, rosły żółknące już bujne lipy i kasztanowce; na Chreszczatyku, szerokiej głównej ulicy, musieliśmy omijać barykady i zasieki przeciwczołgowe, które wyczerpani niemieccy żołnierze usuwali z dużym wysiłkiem. Häfner przyłączył się do kwatery głównej XXIX Korpusu Armii, skąd skierowano nas do lokali po NKWD, na wzgórzu ponad ulicą Chreszczatyk, dominujące nad miastem. Był to naprawdę piękny pałac z początku XIX wieku — z długą żółtą fasadą, zdobną w gzymsy i wysokie białe kolumny, okalające główne wejście pod trójkątnym frontonem — ale spuszczone na niego bombę, a następnie, jakby tego było mało, podpaliło go NKWD. Nasi informatorzy twierdzili, że dawniej służył za pensję dla ubogich panien. W 1918 roku wprowadziły się tutaj *sowieckie instytucje*, od tego czasu zdążył wyrobić sobie złą reputację, w ogrodzie rozstrzeliwano ludzi, tuż za drugim skrzydłem. Häfner szybko posłał jedną z sekcji do zgarniania Żydów. Ktoś musiał posprzątać i naprawić to, co nadawało się do naprawienia. Tworzyliśmy gabinety i roztawialiśmy sprzęt, gdzie się dało, niektórzy od razu zabierali się do pracy. Zszedłem do kwatery głównej i poprosiłem o saperów; należało przeszukać budynek, sprawdzić, czy nie jest zaminowany, obiecali, że zrobią to nazajutrz. Do naszego „pałacu dziewic” nadchodzili pod eskortą pierwsi Żydzi i brali się do sprzątnięcia. Häfner kazał skonfiskować materace i pierzyny, żebyśmy nie musieli spać na twardej ziemi. W sobotni poranek nie zdążyłem nawet pójść i zapytać o saperów, gdy z nienacka uderzyła w nasz budynek potężna fala eksplozji prosto z centrum, wybijając ostatnie szyby, które nam zostały. Szybko dotarła do nas wiadomość, że wysadzono cytadelę i że zginęli, między innymi, komendant dywizji artylerii oraz dowódca sztabu generalnego. Wszyscy mówili o sabotażu, o ładunkach wybuchowych z opóźnionym zapłonem; Wehrmacht nie chciał wysuwać zbyt pochopnych wniosków, nie wykluczał wypadku, spowodowanego złym

przechowywaniem amunicji. Häfner i Janssen zaczęli zatrzymywać Żydów, a ja próbowałem rekrutować ukraińskich informatorów. Było to trudne, niczego o nich nie wiedzieliśmy; ludzie, którzy się do nas zgłaszali, równie dobrze mogli być agentami Rosjan. Zatrzymanych Żydów zamknęliśmy w kinie na Chreszczatyku; pospiesznie zbierałem informacje, napływały z każdej strony. Wszystko wskazywało na to, że Rosjanie starannie zaminowali miasto, tymczasem ciągle jeszcze nie było naszych saperów. Wreszcie, w odpowiedzi na nasze intensywne protesty, przysłano nam trzech facetów z inżynierii lądowej; odjechali po dwóch godzinach, nie znaleźli niczego. Nocą niepokój nie dawał mi spać, zatruwał sny: złapała mnie nagła potrzeba wypróżnienia i pobiegłem do toalety, gówno tryskało ze mnie, płynne i gęste, nieprzerwanym strumieniem, zapełniało szybko miskę klozetową, jego poziom podnosił się, a ja srałem dalej, gówno dotykało już moich ud, zalewało pośladki i jądra, a odbył nadal, bez przerwy je z siebie wypluwał; ciągle zastanawiałem się, jak sprzątnąć stąd całe to gówno, ale jednocześnie nie mogłem przestać, jego cierpki smak, podły, mdlący wypełniał teraz moje usta, wykrzywił je. Obudził mnie własny szloch, usta miałem spieczone, lepkie, wypełnione goryczą. Świtało, poszedłem na wysoki brzeg popatrzeć, jak słońce wstaje nad rzeką, zrujnowanymi mostami, miastem i równiną wokół. Dniepr płynął u mych stóp, szeroki, powolny, pełen wirów zielonej piany; pośrodku, pod wysadzonym mostem kolejowym, rosły trzciny i nenufary, tworząc rzadkie wysepki, a u brzegów stały opuszczone łodzie rybackie. Środkiem rzeki sunęła barka Wehrmachtu, wyżej, po drugiej stronie, przy plaży, tkwił statek niemal doszczętnie zżarty przez rdzę, do połowy zanurzony w wodzie przy brzegu, przekrzywiony na bok. Drzewa zasłaniały ławrę i widziałem tylko złoconą kopułę dzwonnicy odbijającą tępo miedziane światło wschodzącego słońca. Wróciłem do pałacu: niedziela, nie niedziela, pracy mieliśmy aż nadto, w dodatku miało przyjechać Vorkommando Gruppenstab. Stawili się późnym rankiem, dowodzeni przez Obersturmführera dr. Kriegera, który był Leiterem V. Przyjechali z nim Obersturmführer Breun, jakiś Braun i Hauptmann Schutzpolizei Krumme, który dowodził naszymi Orpo. Thomas został w Żytomierzu, miał przyjechać kilka dni później, razem z dr. Raschem. Krieger i jego towarzysze zajęli inne skrzydło pałacu, w którym zaprowadziliśmy już nieco porządku. Nasi Żydzi pracowali bez wytchnienia, nocami trzymaliśmy ich w lochu, w pobliżu dawnych cel więziennych NKWD. Blobel złożył nam wizytę po obiedzie i pogratulował postępów, i zaraz wyjechał

do Żytomierza. Nie miał zamiaru tam zostawać, bo miasto było *Judenrein*, Kommando opróżniło getto w dniu, kiedy wkroczyliśmy do Kijowa. Zlikwidowali trzy tysiące stu czterdziestu pięciu pozostałych Żydów. Kolejna liczba do naszego raportu, a będzie ich dużo więcej. Kto, zastanawiałem się, kto będzie opłakiwał tych wszystkich zabitych Żydów, wszystkie żydowskie dzieci, pochowane z otwartymi oczyma w płodnej i czarnej ziemi Ukrainy, skoro zabijamy także ich siostry i matki? Zabijamy wszystkich, więc nie zostanie nikt, kto będzie ich opłakiwać, może zresztą o to w tym również chodziło. Moja praca posuwała się naprzód: przysłano mi zaufanych melnykowców; zrobili przesiew wśród informatorów i nawet udało im się zidentyfikować trzech bolszewików, w tym jedną kobietę — rozstrzelaliśmy ich natychmiast. Dzięki tej pomocy przyjąłem dworników, słynnych radzieckich dozorców, którzy wcześniej byli informatorami NKWD, ale nie wahali się, w zamian za drobne przywileje lub pieniądze, służyć także i nam. Wkrótce zaczęli donosić o oficerach Armii Czerwonej w cywilnych przebraniach, o komisarzach, banderowcach, żydowskich inteligentach — wszystkich przekazywałem Häfnerowi i Janssenowi, po pospiesznym przesłuchaniu. Oni, ze swej strony, nie ustawiali w sprowadzaniu zatrzymanych Żydów do sali Goskino 5. Od czasu wysadzenia cytadeli miasto było spokojne, Wehrmacht zwierzał szeregi, polepszyło się zaopatrzenie. Ale represje przygotowano naprędce. W środę rano, dwudziestego czwartego, kolejny wybuch rozpruł wnętrze hotelu Continental, gdzie znajdowała się Feldkommandantur, u zbiegu ulic Chreszczatyk i Proreznaja. Zszedłem zobaczyć. Na ulicy roiło się od gapiów i beczynnych żołnierzy, którzy patrzyli, jak płonie budynek. Żandarmi połowi zaczęli gromadzić cywilów do usuwania gruzów; oficerowie ewakuowali się z nietkniętego skrzydła hotelu, wynosząc walizy, kołdry, gramofony. Szkło chrzęściło pod stopami: fala uderzenia wybiła szyby we wszystkich budynkach na pobliskich ulicach. Musiało zginąć wielu oficerów, nikt nie wiedział dokładnie ilu. Nagle rozległa się kolejna detonacja, niżej, w okolicach placu Tołstoja, i jeszcze jedna spora bomba wybuchła w budynku naprzeciw hotelu, obsypując nas gruzem i spowijając tumanami kurzu. Ludzie, ogarnięci paniką, biegali we wszystkie strony, matki nawoływały dzieci, niemieccy motocykliści jechali w górę Chreszczatyku, prześlizgiwali się między barykadami, strzelali na oślep z karabinów maszynowych. Czarny dym rozprzestrzenił się szybko po całej ulicy, wszędzie wybuchały pożary, dusiłem się. Oficerowie Wehrmachtu wyrzaskiwali niezborne rozkazy, nikt nie dowodził całością. Chreszczatyk był zawalony gruzem i

poprzewracanymi pojazdami, porwane przewody trolejbusów zwisały nad jezdniami; dwa metry ode mnie wybuchł bak jakiegoś opla, samochód stanął w ogniu. Wróciłem do pałacu; z góry cała ulica wyglądała, jakby płonęła, nadal słychać było eksplozje. Blobel dopiero przyjechał i pokrótce opisałem mu sytuację. Przyszedł też Häfner i poinformował nas, że większość Żydów przetrzymywanych w kinie, tuż obok hotelu Continental, uciekła, korzystając z zamieszania. Blobel rozkazał ich odszukać, zasugerowałem, że przeczesanie naszych kwater wydaje się sprawą pilniejszą. Janssen podzielił Orpo i Waffen-SS na trzyosobowe grupki i rozkazał sprawdzić wszystkie wejścia. Mieli wyważać każde drzwi zamknięte na klucz i, przede wszystkim, przeszukać piwnice oraz strychy. Po niecałej godzinie jeden z żołnierzy odkrył ładunek wybuchowy w podziemiach. Scharführer z Waffen-SS, który służył w inżynierii wojskowej, poszedł sprawdzić: sześćdziesiąt butelek wypełnionych substancją, którą Finowie, od czasów wojny z Rosją, nazywali „koktajlem Mołotowa” — prawdopodobnie był to tylko magazyn, ale to mógł orzec wyłącznie specjalista. Wybuchła panika. Janssen krzyczał i ciął batem naszych *Arbeitsjuden*, Häfner, nadal udając, że panuje nad sytuacją, rzucał nieistotne rozkazy, dodawał sobie w ten sposób znaczenia. Blobel naradził się pospiesznie z dr. Kriegerem i zarządził ewakuację budynku. Nie przygotowano żadnego miejsca awaryjnego i nie mieliśmy gdzie się podziać. Podczas gdy ludzie pospiesznie załadowywali samochody, ja skontaktowałem się szybko z kwaterą główną korpusu armii; oficerowie mieli zbyt dużo pracy i musiałem sam sobie radzić. Wracałem do pałacu wśród płomieni i zamieszania. Saperzy Wehrmachtu próbowali zdusić ogień, ale on rozprzestrzeniał się coraz dalej. Przyszedł mi wtedy na myśl stadion Dynamo. Był położony z dala od płonących ulic, niedaleko Ławry Peczerskiej na wzgórzach, i istniało małe prawdopodobieństwo, że Armia Czerwona zadała sobie trud zaminowania go. Blobel zaakceptował mój pomysł, skierował tam załadowane samochody i ciężarówki. Oficerowie wprowadzili się do opuszczonych biur oraz szatni, które śmierdziały jeszcze potem i dezynfekcją, żołnierze zajęli trybuny, a Żydów, przywiezionych tu pod eskortą, usadziliśmy na płycie stadionu. Wzięliśmy się do rozładunku i układania dokumentów, kufrów i maszyn do pisania, a specjaliści przeglądali urządzenia komunikacyjne. W tym czasie Blobel udał się do korpusu armii; wróciwszy, rozkazał wszystko zdemontować i załadować z powrotem: Wehrmacht przydzielił nam kwatery w dawnej rezydencji cara, nieco niżej. Trzeba było wszystko pakować raz jeszcze, cały dzień straciliśmy na przeprowadzki. Tylko von

Radetzki sprawiał wrażenie ucieszonego tym zamieszaniem: *Krieg ist Krieg und Schnaps ist Schnaps*, rzucał z wyższością tym, którzy narzekali. Wieczorem mogłem nareszcie pójść na zwiady z moimi melnykistowskimi współpracownikami: chciałem się dowiedzieć jak najwięcej o planach czerwonych; prawdopodobnie eksplozje były zaplanowane, należało zatrzymać sabotażystów i zidentyfikować ich „Rostopczyna”. Abwehra miała informacje o jakimś Friedmannie, agencie NKWD, dowódcy siatki szpiegów i sabotażystów, stworzonej przed wycofaniem się Armii Czerwonej. Saperzy utrzymywali, że chodzi po prostu o miny podłożone dużo wcześniej, z opóźnionym zapłonem. Centrum miasta zamieniło się w piekło. Nadal wybuchały bomby, pożary trawiły teraz cały Chreszczatyk, plac Dumy i plac Tołstoja; koktajle Mołotowa, przechowywane na strychach, pękały pod wpływem gorąca, gęsta benzyna płynęła po schodach budynków i podsycala ogień, który rozprzestrzeniał się stopniowo na równoległe ulice, na Puszkina a potem na Meringa, Karola Marksa, Engelsa, aż do Rewolucji Październikowej, u stóp naszego pałacu. Oszalała ludność wzięła szturmem dwa duże sklepy. Żandarmeria polowa zatrzymywała złodziei i chciała ich nam przekazać, wielu ginęło w płomieniach. Wszyscy mieszkańcy centrum uciekali, uginając się pod ciężarem tobołów, pchali wózki dziecięce, wyładowane odbiornikami radiowymi, dywanami i domowym sprzętem, niemowlęta darły się wniebogłosem w ramionach matek. Wielu niemieckich żołnierzy wmieszało się w ten tłum, też uciekali, ignorując rozkazy. Od czasu do czasu płonący dach jakiegoś budynku zapadał się do środka przy akompaniamencie straszliwego trzasku łamanych belek. Były takie miejsca, w których mogłem oddychać jedynie z mokrą chusteczką przy ustach, kaszlałem konwulsyjnie i plułem gęstą flegmą.

Następnego dnia rano dotarł Gruppenstab, z większością naszego Kommando, dowodzonego przez Kuno Callsena. Saperzy nareszcie przeczesał nasz pałac, wynosząc całe skrzynki koktajli Mołotowa, a my mogliśmy wrócić do naszych kwater i ich przywitać. Vorkommando HSSPF-a przyjechało razem z nimi i zajęło rezydencję cara, którą opuściliśmy, przywieźli także dwa bataliony Orpo, stanowiące znaczne posiłki. Wehrmacht wysadzał budynki w centrum miasta, żeby opanować rozprzestrzeniający się ogień. Znalaziono cztery tony materiałów wybuchowych w muzeum Lenina; detonacja mogła nastąpić w każdej chwili, ale saperom udało się je rozbroić i ułożyć przed wejściem. Nowy komendant miasta, Generalmajor Kurt Eberhard, zwoływał niekończące się narady, w których musieli uczestniczyć przedstawiciele Grupy i Kommando. Ponieważ

następca Kehriga ciągle jeszcze nie dojechał, zostałem tymczasowym Leiterem III Kommando i Blobel często zabierał mnie na te spotkania albo wysyłał w zastępstwie, gdy sam był zbyt zajęty. Gruppenstab konferował całymi godzinami z ludźmi HSSPF-a, oczekiwano przybycia Jeckelna, miał się zjawić tego samego wieczoru lub nazajutrz. Wehrmacht pamiętał o cywilnych sabotażystach — rano poprosił nas o pomoc w znalezieniu ich i zatrzymaniu. W ciągu dnia Abwehra odkryła sporządzony przez Armię Czerwoną plan, obejmujący prawie sześćdziesiąt obiektów przeznaczonych do zburzenia przed opuszczeniem przez nią miasta. Wysłano inżynierów na inspekcję i wyglądało na to, że wiadomość jest prawdziwa. Ponad czterdzieści obiektów czekało na wysadzenie, w wielu podłożono zdalnie sterowane ładunki wybuchowe; saperzy rozminowywali je z wielkim poświęceniem, najszybciej, jak potrafili. Wehrmacht chciał podjąć radykalne kroki, w Grupie także o tym rozmawiano.

W piątek Sicherheitspolizei rozpoczęła swoje działania. Dzięki zebranych przeze mnie informacjom w ciągu jednego dnia zatrzymano tysiąc sześciuset Żydów i komunistów. W Dulagu, w cywilnym obozie dla Żydów, w środku miasta, Vogt utworzył siedem komand, w których miały odbywać się przesłuchania; trzeba było przefiltrować zastępy więźniów i wyłuskać spośród nich najbardziej niebezpieczne elementy. Zdałem z tego raport podczas jednego z zebrań z Eberhardem; pokiwał głową, ale armia chciała jeszcze więcej. Akcje sabotażowe nie ustawały: młody Żyd próbował przeciąć jedną z rur zasilających hydranty, zainstalowaną w Dnieprze przez naszych saperów. Sonderkommando rozstrzelało go, razem z grupą Cyganów, przyłapanych na plądrowaniu peryferyjnej dzielnicy, niedaleko cerkwi. Na rozkaz Blobela jedna z naszych sekcji zlikwidowała chorych psychicznie ze szpitala Pawiowa, obawiając się, że puciekają i zwiększą i tak już duży chaos. Przyjechał Jeckeln; po południu przewodził wielkiemu zebraniu w Ortskommandantur, w którym brał udział generał Eberhard oraz oficerowie ze sztabu generalnego 6. Armii, oficerowie Grupy, w tym dr Rasch, a także oficerowie Sonderkommando. Rasch był nie w sosie, milczał, stukał piórem w stół, nieuważnie błędził pustym wzrokiem po otaczających go twarzach. Natomiast Jeckeln tryskał energią. Wygłosił krótkie przemówienie o sabotażach, o zagrożeniu, jakie stanowią masy Żydów w mieście, o konieczności podjęcia kroków represyjnych, ale także prewencyjnych, i to możliwie jak najbardziej energicznych. Sturmbannführer Hennicke, Leiter III Einsatzgruppe, przedstawił statystyki: według danych, którymi dysponował, w Kijowie

miało wówczas przebywać około pięciuset tysięcy Żydów, stałych rezydentów lub uciekinierów z zachodniej Ukrainy. Jeckeln zaproponował, żeby na początek zlikwidować pięćdziesiąt tysięcy, Eberhard gorąco poparł tę inicjatywę i obiecał wsparcie logistyczne ze strony 6. Armii. Jeckeln zwrócił się do nas: „Meine Herren, daję wam dwadzieścia cztery godziny na opracowanie planu”. Blobel zerwał się z miejsca: „Herr Obergruppenführer, zrobi się!”. Po raz pierwszy odezwał się Rasch: „Na Standartenführera Blobela może pan zawsze liczyć”. W jego głosie wyczuwało się wyraźną ironię, ale Blobel uznał to za komplement: „Absolutnie, absolutnie”. — „Musimy uderzyć z wielką siłą”, podsumował Eberhard, kończąc zebranie.

Pracowałem dniami i nocami, spałem po dwie godziny, kiedy tylko mogłem. Ale mówiąc szczerze, tak naprawdę nie uczestniczyłem w planowaniu; oficerowie Teilkommandos, którzy nie byli zaważeni pracą (likwidowali politruków, zdemaskowanych podczas przesłuchiwań przez Vogta, i jakichś podejrzanych, schwytanych właściwie przez przypadek, ale nic poza tym), wzięli to na siebie. Zebrania z 6. Armią i HSSPF-em kontynuowano na drugi dzień. Sonderkommando wystąpiło z propozycją lokalizacji: w zachodniej części miasta, w dzielnicy Syriec niedaleko żydowskiego cmentarza, ale już poza strefami zamieszkanymi, znajdowało się kilka wielkich wąwozów, które bardzo się nadawały. „Jest też dworzec towarowy, dodał Blobel. Moglibyśmy wmówić Żydom, że przewozimy ich w inne miejsce”. Wehrmacht wysłał geometrów, żeby przeprowadzili pomiary; opierając się na ich raporcie, Jeckeln i Blobel skupili się na wąwozie nazywanym Babim Jarem lub Jarem Staruchy, z niewielkim strumykiem na dnie. Blobel zwołał swoich oficerów. „Żydzi, których stracimy, to elementy społeczne, bezwartościowe, których Niemcy nie mogą tolerować. Dołączymy do nich także pacjentów szpitali psychiatrycznych, Cyganów i resztę darmozjadów. Ale zaczniemy od Żydów”. Zaczęło się uważne studiowanie map, musieliśmy rozstawić kordony, przewidzieć kierunek ruchu, zaplanować transporty. Dzięki redukcji liczby ciężarówek i zmniejszeniu odległości oszczędzaliśmy benzynę. Należało także pomyśleć o amunicji i zaopatrzeniu w żywność; wszystko musiało być wyliczone. W związku z tym trzeba było także ustalić metodę wykonywania egzekucji: Blobel w końcu zdecydował się na wariant Sardinienpackung. Jeckeln upierał się, aby jako strzelców i eskortę grup skazańców użyć jego dwóch batalionów Orpo, a to widocznie denerwowało Blobela. Byli także żołnierze z Waffen-SS Grafhorsta i Orpo Hauptmanna Krummego. Jeśli chodzi o

kordony, to 6. Armia oddała nam do dyspozycji kilka kompanii, dostarczyła także ciężarówki. Häfner stworzył sortownię przedmiotów wartościowych, pomiędzy Cmentarzem Łukianowskim i kirkutem, sto pięćdziesiąt metrów od wąwozu: Eberhardowi zależało na przejęciu kluczy do mieszkań, opatrzonych adresami, ponieważ na skutek wojennej zawieruchy dwadzieścia pięć tysięcy cywilów znalazło się na ulicy i Wehrmacht chciał ich zakwaterować możliwie najszybciej. 6. Armia dostarczyła nam sto tysięcy nabojęw i wydrukowała plakaty po niemiecku, rosyjsku i ukraińsku, na kiepskim, szarym papierze pakowym. Blobel, jeśli tylko nie siedział pogrążony w mapach, pracował jak szalony i znajdował jeszcze czas na inne zajęcia; po południu, przy pomocy saperów, wysadził w powietrze Sobór Zaśnięcia Bogurodzicy, cudowną małą cerkiew, usytuowaną pośrodku ławry. „Ukraińcy też mają za swoje”, powiedział nam potem z wielką satysfakcją. Rozmawiałem o tym przez chwilę z Vogtem, bo zupełnie nie widziałem sensu tej akcji; twierdził, że inicjatywa nie wyszła zapewne od Blobela, ale nie miał pojęcia, kto mógł się na to zgodzić lub wydać taki rozkaz. „Prawdopodobnie Obergruppenführer, to w jego stylu”. Tak czy inaczej nie był to dr Rasch, który niemal zupełnie znikł nam z pola widzenia. Spotkawszy Thomasa na korytarzu, spytałem dyskretnie: „Co się dzieje z Brigadeführerem? Chyba niewesoło u niego, co?”. — „Pokłócił się z Jeckelnem. I z Kochem też”. Hans Koch, Gauleiter Prus Wschodnich, został miesiąc wcześniej mianowany Reichskommissarem Ukrainy. „O co się pokłócił?”, spytałem. — „Kiedyś ci opowiem. Tak czy inaczej długo tu już nie pobędzie. Ach, przy okazji, mam pytanie: Żydzi w Dnieprze, to wasza sprawka?” Poprzedniego wieczoru zginęli wszyscy Żydzi, którzy udali się do synagogi na szabas, rano znaleziono ich ciała w rzece. „Były skargi ze strony armii, mówił dalej Thomas. Twierdzą, że tego typu akcje niepokoją ludność cywilną. To nie jest *gemütlich*”. — „A to, co przygotowujemy teraz, jest *gemütlich*? Myślę, że ludność będzie miała niedługo dużo większe powody do niepokoju”. — „To nie to samo. Przeciwnie, będą zachwyceni, że udało im się pozbyć Żydów”. Wzruszyłem ramionami: „Nie, to nie nasza sprawka. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Jesteśmy teraz zajęci, mamy co innego do roboty. Poza tym, raczej nie stosujemy takich metod”.

W niedzielę w całym mieście rozlepiono plakaty. Żydzi zostali poproszeni o zgromadzenie się nazajutrz rano przed cmentarzem na ulicy Mielnikowa, każdy z pięćdziesięcioma kilogramami bagażu, w związku z przenosinami w inne regiony Ukrainy. Wątpiłem w powodzenie tego manewru: Łuck był daleko za nami, a plotki o

losie Żydów niechybnie przedostały się przez linie frontu; im dalej na Wschód się posuwaliśmy, tym mniej znajdowaliśmy Żydów, uciekali przed nami razem z Armią Czerwoną, już nie czekali na nas pełni ufności, jak na początku. Z drugiej strony, na co zwrócił moją uwagę Hennieke, bolszewicy zachowywali zdumiewające milczenie na temat naszych egzekucji; w swoich audycjach radiowych oskarżali nas w sposób przesadzony o najgorsze potworności, ale nigdy nie wspominali o Żydach. Być może, jak twierdzili nasi eksperci, obawiali się naruszenia *świętej jedności narodu radzieckiego*. Wiedzieliśmy od naszych informatorów, że wielu Żydów zostało wyznaczonych do ewakuacji na tyły, ale selekcjonowano ich prawdopodobnie według tych samych kryteriów co Ukraińców i Rosjan: wybierano inżynierów, lekarzy, członków partii, wykwalifikowanych robotników; większość Żydów organizowała ucieczki we własnym zakresie. „Trudno to zrozumieć, dodał Hennieke. Jeżeli to rzeczywiście Żydzi dominują w partii komunistycznej, to powinni dokładać większych starań, żeby ratować swoich współwyznawców”. — „Oni są sprytni, zasugerował doktor von Scheven, oficer z Grupy. Nie chcą się narażać naszej propagandzie, zbyt faworyzując swoich ludzi. Stalin musi się także liczyć z radzieckim nacjonalizmem. Żeby utrzymać władzę, poświęcają swoich biednych kuzynów”. — „Pewnie ma pan rację”, zgodził się Hennieke. Uśmiechnąłem się w duchu z goryczą: jak w średniowieczu rozumujemy za pomocą sylogizmów, które wzajemnie się potwierdzają. A tym samym bniemy w ślepią uliczkę i nie mamy możliwości powrotu.

Grosse Aktion rozpoczęła się w poniedziałek, 29 września rano, w święto Jom Kippur, żydowski Sądny Dzień. Blobel poinformował nas o tym dzień wcześniej. „Oj, będzie on sądny, będzie”. Ja zostałem w gabinecie, w pałacu, pisałem raport. Callsen stanął na chwilę w drzwiach: „Nie idzie pan? Wie pan chyba, że Brigadeführer rozkazał, aby wszyscy oficerowie byli obecni”. — „Wiem. Skończę to i idę”. — „Jak pan uważa”. Zniknął, a ja pracowałem dalej. Po godzinie wstałem, wziąłem furażerkę, rękawiczki i poszedłem poszukać szofera. Na zewnątrz panował chłód, chciałem wrócić po pulower, ale zrezygnowałem. Niebo zasnuły chmury, trwała jesień, coraz bliżej już było do zimy. Przedarliśmy się przez dymiące gruzy Chreszczatyka, dalej jechaliśmy bulwarem Szewczenki. Żydzi szli na zachód w długich kolumnach, całymi rodzinami, ze spokojem nieśli tobołki albo plecaki. Większość wyglądała bardzo biednie, byli to prawdopodobnie uciekinierzy: mężczyźni i chłopcy nosili czapki radzieckich proletariuszy, ale tu i ówdzie

dało się dojrzeć miękki kapelusz. Jechały też wozy ciągnięte przez wychudzone konie, a na nich starcy i walizy. Kazałem szoferowi zboczyć z drogi, chciałem zobaczyć więcej; skręcił w lewo i zjechał w stronę uniwersytetu, a potem dalej do dworca, w kierunku Saksahańskiego. Żydzi wychodzili obładowani ze wszystkich domów i mieszały się z tłumem, który płynął z jednostajnym szmerem. Prawie nie było widać niemieckich żołnierzy. Na rogach ulic strumienie ludzi łączyły się, wzbierały i płynęły dalej, nie wyczuwało się podniecenia. Wjechałem na wzgórze na tyłach dworca i dotarłem z powrotem do bulwaru, za rogiem wielkiego ogrodu botanicznego. Stała tam grupa żołnierzy i kilku ukraińskich pomocników, piekli całego prosiaka na ogromnym ruszcie. Pachniało smakowicie, przechodzący Żydzi wpatrywali się zazdrośnie w prosiaka, a żołnierze się śmiali, kpili sobie z nich. Zatrzymaliśmy się i wysiadłem z samochodu. Ludzie napływali ze wszystkich przecznic i zlewali się z głównym nurtem jak odnogi wpadające do rzeki. Czasem ta niekończąca się kolumna zatrzymywała się nagle, po czym ruszała dalej, z gwałtownym szarpnięciem. Przedem przesuwały się stare kobiety z wieńcami cebuli na szyjach, trzymające za ręce zasmarkane dzieci, zauważyłem dziewczynkę stojącą na wozie między słojami przetworów, wyższymi od niej samej. Zdawało mi się, że widzę w tym tłumie jedynie starych ludzi i dzieci, ale trudno mi było ocenić: sprawni mężczyźni przyłączyli się pewnie do Armii Czerwonej albo puciekali. Po prawej stronie, przed ogrodem botanicznym, leżał trup w rynsztoku, z twarzą zasłoniętą ramieniem; ludzie przechodzili obok, nie patrząc. Podeszedłem do żołnierzy skupionych wokół prosiaka: „Co się stało?”. Jakiś Feldwebel zsalutował i odpowiedział: „Prowokator, Herr Obersturmführer. Krzyczał, podżegał tłum, opowiadał kalumnie o Wehrmachcie. Kazaliśmy mu się zamknąć, ale nie przestał”. Znowu popatrzyłem na tłum: ludzie sprawiali wrażenie spokojnych, może tylko lekko przestraszonych, lecz biernych. Za pośrednictwem swoich informatorów uczestniczyłem w rozsiewaniu plotek: Żydzi jadą do Palestyny, jadą do getta, do Niemiec, pracować. Lokalne władze powołane przez Wehrmacht robiły ze swojej strony wszystko, by nie siać paniki. Wiedziałem, że chodziły słuchy o masakrze, ale jedna plotka zaprzeczała drugiej, ludziom raczej coś się wydawało, niż wiedzieli to naprawdę, i zawsze mogliśmy liczyć na ich pamięć o niemieckiej okupacji z 1918 roku, na ich zaufanie do Niemiec i na nadzieję także, na *nikczemną nadzieję*.

Pojechałem dalej. Nie mówiłem nic szoferowi, ale i tak sunął wzdłuż strumienia Żydów, w stronę Mielnikowej. Nadal prawie nie było widać niemieckich żołnierzy; tylko

nieliczne punkty kontrolne na skrzyżowaniach, jak ten na rogu ogrodu botanicznego albo inny, w miejscu, gdzie Artioma krzyżuje się z Mielnikową. Tutaj byłem świadkiem pierwszego incydentu: żandarmi polowi bili kilku brodatych Żydów o długich poskręcanych pejsach, być może rabinów, ubranych w same koszule. Żydzi spływali krwią, ich koszule były mokre od tej krwi, kobiety krzyczały, tłum gwałtownie falował. Wreszcie żandarmi przestali i wzięli rabinów ze sobą. Obserwowałem ludzi: wiedzieli, że ci mężczyźni zginą, widziałem to w ich wylęknionych oczach, ale mieli jeszcze nadzieję, że tak kończą tylko rabini, pobożni.

Koniec Mielnikowej, tuż przed żydowskim cmentarzem, najeżony był zasiekami i drutem kolczastym, pilnowali tego żołnierze Wehrmachtu i ukraińscy Polizei. Tu zaczynał się kordon; po przejściu przez ten przesmyk Żydzi nie mieli już możliwości powrotu. Strefa sortowni znajdowała się nieco dalej, na lewo, na nieużytkach przed ogromnym chrześcijańskim Cmentarzem Łukianowskim. Długi mur z czerwonej cegły, dość niski, otaczał nekropolię, za nim stały wysokie drzewa, ich korony odcinały się mocno od błękitu nieba, jedno w połowie огоłocone z liści, inne nadal jeszcze żółte i czerwone. Po drugiej stronie ulicy Degtiarowskiej ustawiono w rzędzie stoły i Żydzi mieli przechodzić przed nimi. Spotkałem kilku naszych oficerów: „Zaczęło się?”. Häfner ruchem głowy wskazał na północ: „Tak, trwa od kilku godzin. Gdzie się pan podziewał? Standartenführer się wścieka”. Za każdym ze stołów siedział jeden podoficer z Kommando, a u jego boku tłumacz i kilku żołnierzy. Na pierwszym stole Żydzi musieli zostawić dokumenty, na drugim pieniądze, kosztowności i biżuterię, dalej klucze do mieszkań, czytelnie podpisane, i wreszcie ubrania i buty. Musieli coś podejrzewać, ale milczeli; tak czy inaczej strefa była zamknięta kordonem. Niektórzy Żydzi próbowali dyskutować z Polizei, ale Ukraińcy krzyczeli, bili ich, odsyłali do kolejki. Wiał przenikliwy wiatr, było mi zimno, żałowałem, że nie wzięłem tego puloweru; czasem, gdy wiatr się wzmagał, docierało tu słabe echo wystrzałów, ale większość Żydów jakby go nie słyszała. Tuż za rzędem stołów nasi askarysi pakowali do ciężarówek toboły pełne skonfiskowanych ubrań, samochody odjeżdżały do miasta, gdzie już działała rozdzielnia. Poszedłem przejrzeć stos papierów, porzuconych na środku nieużytku; były przeznaczone do spalenia. Leżały tam podarte paszporty, książeczki pracownicze, legitymacje związkowe, kartki żywnościowe, rodzinne fotografie; wiatr roznosił lżejsze arkusze, cały plac był nimi pokryty. Obejrzałem kilka fotografii. Negatywy, studyjne portrety, kobiety i dzieci, dziadkowie i pyzate niemowlęta,

zdarzały się widoki z wakacji, zapis szczęścia i zwyczajnego życia sprzed tego wszystkiego. Przypomniała mi się fotografia, którą trzymałem w szufladzie, obok łóżka, w gimnazjum. Był to portret pruskiej rodziny sprzed Wielkiej Wojny, trzech młodych junkrów w mundurach kadetów i dziewczyna, prawdopodobnie ich siostra. Nie pamiętam już, gdzie go znalazłem, może podczas jednego z naszych rzadkich spacerów, u jakiegoś handlarza starzyzną lub sprzedawcy pocztówek. W tamtym czasie byłem bardzo nieszczęśliwy, siłą umieszczono mnie w tym okropnym internacie, karząc za wielkie wykroczenie (działo się to we Francji, dokąd wyjechaliśmy, gdy odszedł od nas ojciec). Nocą godzinami rozbierałem to zdjęcie na czynniki pierwsze, w świetle księżyca, albo pod kołdrą, przy małej latarce. Dlaczego, pytałem sam siebie, dlaczego nie mogę dorastać w idealnej rodzinie, takiej jak ta, dlaczego muszę żyć w tym zdemoralizowanym piekle? Żydowskie rodziny z rozrzuconych zdjęć też wydawały mi się szczęśliwe; ich piekło było tutaj, teraz, i mogły już tylko żałować straconej przeszłości. Przeszedłszy przed stołami, Żydzi w samej bieliźnie dygotali z zimna; ukraińscy policjanci oddzielali mężczyzn i chłopców od kobiet i małych dzieci; kobiety, dzieci i starców ładowano na ciężarówki Wehrmachtu, żeby przetransportować ich do wąwozu. Reszta musiała dotrzeć tam pieszo. Podszedł do mnie Häfner: „Standartenführer pana szuka. Niech pan uważa. Jest naprawdę w strasznym humorze”. — „Dlaczego?” — „Ma za złe Obergruppenführerowi, że siłą wcisnął mu swoje dwa bataliony policji. Twierdzi, że Obergruppenführer chce sobie przywłaszczyć całą chwałę za *Aktion*”. — „To niedorzeczne”. Zjawił się Blobel, był już wstawiony i jego twarz błyszczała od potu. Na mój widok wydarł się ordynarnie: „Co pan robi, do cholery? Od kilku godzin czekamy na pana”. Zasalutowałem. „Herr Standartenführer! SD ma swoje własne zadania. Sprawdziłem założenia projektu, żeby zapobiec wszelkim możliwym incydentom”. Trochę się uspokoił: „I co?”, warknął. „Wszystko wydaje się w porządku, Herr Standartenführer”. — „Dobra. Niech pan tam jedzie. Brigadeführer chce widzieć wszystkich oficerów”.

Wsiadłem do samochodu i pojechałem za ciężarówkami; na miejscu policjanci rozładowywali kobiety i dzieci, które dołączały do idących mężczyzn. Wielu Żydów śpiewało religijne pieśni. Byli tacy, którzy próbowali zbiec, ale ludzie z kordonu szybko zawracali ich lub zabijali. Z wierzchołka dobiegał wyraźny odgłos karabinowych serii i kobiety zaczynały panikować. Ale to niczego nie zmieniało. Dzielono ludzi na małe grupy i podoficer siedzący za stołem przeliczał je, następnie nasi askarysi zabierali ich i

proceedzili grzbietem wąwozu. Po serii wystrzałów szła następna grupa, wszystko odbywało się bardzo szybko. Obszedłem wąwóz od zachodu, żeby się dostać do innych oficerów, którzy ustawili się na północnym zboczu. Stąd rozciągał się przede mną widok na cały jar: miał jakieś pięćdziesiąt metrów szerokości, trzydzieści głębokości, ciągnął się na długość wielu kilometrów, niewielki strumień, płynący po jego dnie, wpadał do rzeki Syriec, od której wzięła nazwę dzielnica. Nad strumieniem przerzucono deski, tak by Żydzi i strzelcy mogli łatwo przejść na drugą stronę. W oddali, rozrzucone na nagich stokach wąwozu, mnożyły się białe skupiska trupów. Ukraińscy „pakowacze” doprowadzali do tych stosów kolejne grupy i zmuszali ludzi, by kładli się na nich, albo tuż obok; żołnierze z plutonu egzekucyjnego szli wzdłuż szpaleru leżących, półnagich Żydów i unicestwiali każdego strzałem z karabinu maszynowego w potylicę; w sumie były trzy plutony. Pomiedzy egzekucjami kilku oficerów dokonywało inspekcji ciał; dobijali z pistoletów tych, którzy jeszcze żyli. Na wzniesieniu, dominującym nad całą sceną, stały grupki oficerów Wehrmachtu i SS. Był Jeckeln ze swoją świtą, a z nim dr Rasch, rozpoznałem także kilku wysokich rangą z 6. Armii. Zobaczyłem Thomasa i on mnie zobaczył, ale mi nie odsalutował. Żydzi szli zboczem naprzeciw i dołączali do puchnących skupisk. Zimno stało się kęsające, podawaliśmy sobie butelkę rumu, wypilem łyk. Blobel wtargnął ostro wprost na nasz brzeg wąwozu, chyba objechał go dookoła. Pił z małej piersiówki i sarkał, krzyczał, że wszystko odbywa się zbyt wolno. A przecież obrano maksymalne tempo. Żołnierze zmieniali się co godzinę, a ci, którzy nie strzelali, przynosili rum i dbali o amunicję. Oficerowie mówili niewiele, niektórzy próbowali ukryć przerażenie. Ortskommandantur sprowadziła kuchnię polową i wojskowy pastor parzył herbatę na rozgrzewkę, dla Orpo i członków Sonderkommando. W porze obiadowej wyżsi rangą oficerowie wrócili do miasta, a niżsi mieli zjeść z żołnierzami. Ponieważ egzekucje odbywały się bez przerwy, kantinę rozstawiono w dole, w miejscu, z którego nie było widać wąwozu. Jedna z grup odpowiadała za zaopatrzenie. Kiedy otwarto konserwy, żołnierze, na widok racji czarnej kaszanki, zaczęli się burzyć i głośno krzyczeć. Häfner, który właśnie spędził godzinę na dobijaniu skazańców, wydzierał się, rzucając na ziemię otwarte puszki: „Co to jest, do cholery?”. Za mną jakiś chłopak z Waffen-SS głośno wymiotował. Sam też byłem blady, na widok kaszanki zakotłowało mi się w żołądku. Odwróciłem się do Hartla, Verwaltungsführera Grupy, i zapytałem, jak mógł coś takiego zrobić. Ale Hartl stał niewzruszony, wbity w te swoje śmiesznie szerokie bryczesy.

Wykrzyczałem mu, że powinien się wstydzić: „W tej sytuacji możemy się obejść bez jedzenia!”. Hartl odwrócił się ode mnie i odszedł; Häfner wyrzucał konserwy do kartonu, a inny oficer, młody Nagel, próbował mnie uspokoić: „To nic takiego, Herr Obersturmführer...”. — „Nie, to nie jest normalne, powinniśmy mieć na uwadze takie kwestie. Na tym polega odpowiedzialność”. — „Absolutnie, skrzywił się Häfner. Jadę po coś innego”. Ktoś nalał mi kubek rumu, wypilem jednym haustem; palił w przełyku, dobrze mi zrobił. Wrócił Hartl, wytykając mnie grubym paluchem: „Obersturmführer, nie ma pan prawa odzywać się do mnie w ten sposób!”. — „A pan nie ma prawa do... do... do...” Jąkałem się, pokazując poprzewracane skrzynie. — „Meine Herren!, szczechnął Voigt. Żadnych skandali, proszę”. Wszyscy mieliśmy nerwy napięte jak postronki. Oddaliłem się, zjadłem trochę chleba i surową cebulę; stojący za mną oficerowie dyskutowali z ożywieniem. Wróciła wyższa kadra i Hartl chyba złożył raport o zajściu, bo przyszedł Blobel i udzielił mi reprimendy w imieniu dr. Rascha: „W takich okolicznościach należy zachowywać się, jak przystało na oficera”. Rozkazał mi zmienić Jansseną w wąwozie, gdy skończy się jego kolej. „Ma pan broń? Tak? Żadnych mięczaków w moim Kommando, rozumiano?” Pyskał śliną, był kompletnie pijany i ledwo się kontrolował. Niedługo potem zobaczyłem, że Janssen wraca. Spojrzał na mnie ponuro: „Pana kolej”. Stok wąwozu, tam, gdzie stałem, był zbyt stromy, żeby dojść — musiałem okrążyć jar i wejść od dołu. W piaszczystą glebę pomiędzy ciałami wsiąkała czarna krew, strumień także pociemniał od krwi. Obrzydliwy smród ekskrementów był silniejszy od zapachu krwi, wielu ludzi wypróżniało się w chwili śmierci; na szczęście wiał silny wiatr i przeganiał trochę te wyziewy. Z bliska wszystko wyglądało dużo mniej spokojnie: Żydzi, którzy napływali do wąwozu, poganiani przez askarysów i Orpo, wrzeszczeli z przerażenia na widok rozgrywających się tu scen, wyrywali się, „pakowacze” bili ich kijami albo metalowymi prętami, zmuszali, żeby zeszli na dno i się położyli, a oni nawet na ziemi krzyczeli jeszcze i próbowali wstawać, dzieci ostatkiem sił czepiały się życia, dorośli też, co chwilę ktoś jednym susem stawał na nogi i biegł do chwili, aż dopadł go i ogłuszył któryś z „pakowaczy”, strzały często były chybione, tylko raniły ludzi, ale strzelcy nie zwracali na to uwagi, przechodzili do następnej ofiary, ranni tarzali się, zwijali, jęczeli z bólu albo, przeciwnie, pod wpływem szoku, milczeli, zastygali sparaliżowani, z szeroko otwartymi oczyma. Żołnierze chodzili w tę i z powrotem, oddawali strzał za strzałem, niemal bez przerwy. Stałem jak skamieniały, nie wiedziałem,

co mam robić. Podbiegł Grafhorst i potrząsnął mnie za ramię: „Obersturmführer!”. Wskazał pistoletem na ciała. „Niech pan próbuje dobijać rannych”. Wyjąłem broń i podszedłem do jednego ze stosów: młody mężczyzna rzeził z bólu, wycelowałem w jego głowę i nacisnąłem spust, ale nie padł żaden strzał. Zapomniałem odbezpieczyć pistolet, zrobiłem to i strzeliłem chłopakowi w środek czoła — wyprężył się i natychmiast zamilkł. Żeby dotrzeć do niektórych rannych, trzeba było chodzić po zwłokach, były ohydnie śliskie; białe i miękkie ciała usuwały mi się spod butów, kości łamały się zdradliwie, traciłem równowagę, grzęzłem po kostki we krwi i błocie. To było straszne i czułem takie samo piekące obrzydzenie jak kiedyś w Hiszpanii, w latrynie pełnej karaluchów. Byłem wtedy bardzo młody, ojczym zafundował nam wczasy w Katalonii, spaliśmy w jakiejś wiosce i nocą złapała mnie kolka, więc pobiegłem do latryny w ogrodzie, poświeciłem sobie kieszonkową latarką, a w otworze, czystym za dnia, roiło się od ogromnych ciemnych karaluchów, to mnie przerażyło, chciałem położyć się z powrotem, ale skurcze były zbyt mocne, w pokoju nie było nocnika, założyłem wysokie kalosze i wróciłem do latryny, z myślą, że przepłoszę karaluchy tupaniem i szybko się załatwię. Zajrzałem do środka przez uchylone drzwi i poświeciłem na podłogę, zauważyłem cień na ścianie, skierowałem latarkę w tamtą stronę, na ścianie też roiło się od karaluchów, były na wszystkich ścianach, i na suficie, i na desce nad drzwiami; wolno odwróciłem głowę i spojrzałem na drzwi — też tam były, czarna, ruchliwa masa, więc cofnąłem powoli głowę, bardzo powoli, wróciłem do pokoju i wytrzymałem do rana. Chodzenie po ciałach Żydów nappełniało mnie takim samym uczuciem, strzelałem na chybił trafił, do wszystkiego, co zdawało się jeszcze ruszać, a potem wzięłem się w garść i postanowiłem bardziej zwracać uwagę, chodziło przecież o to, żeby ludzie cierpieli jak najmniej, ale tak czy inaczej mogłem dobijać tylko tych na wierzchu, pod spodem też byli ranni, którzy jeszcze nie umarli, ale ich czas był bliski. Nie ja jeden traciłem rezon, niektórzy strzelcy też drżeli i pili między seriami. Zauważyłem młodego mężczyznę z Waffen-SS, nie wiedziałem, jak się nazywa: zaczął strzelać bez ładu i składu, trzymając karabin na biodrze, śmiał się obleśnie i opróżniał magazynek na oślep, raz na lewo, raz na prawo, potem dwa razy, potem trzy, jak dziecko idące po liniach wyznaczonych przez płyty chodnika, kierujące się tajemniczą wewnętrzną topografią. Podszedłem i potrząsnąłem nim, ale dalej się śmiał i strzelał, stał tuż przede mną, wyrwałem mu karabin i wymierzyłem policzek, odesłałem do żołnierzy ładujących magazynki. Grafhorst przysłał mi na jego miejsce innego żołnierza,

rzuciłem mu karabin i krzyknąłem: „Tylko rób to porządnie, zrozumiano?!”. Tuż obok prowadzono następną grupę; napotkałem wzrok pięknej, młodej dziewczyny, prawie nagiej, lecz nadal pełnej elegancji, spokojnej, jej oczy wypełniał bezbrzeżny smutek. Odszedłem na bok. Gdy wróciłem, jeszcze żyła, leżała na boku, kula przeszła ją na wylot i wyszła pod piersią. Dziewczyna rzęziła, zastygła w bezruchu, jej ładne usta drżały, jak gdyby chciała coś powiedzieć, nie odrywała ode mnie wielkich, zdziwionych oczu, pełnych niedowierzania, oczu zranionego ptaka, i to spojrzenie wbiło się we mnie, rozpruło mi brzuch, wysypała się ze mnie strużka trocin, stałem się zwyczajną kukłą i nie czułem nic, a jednocześnie pragnąłem z całego serca pochylić się i zetrzeć ziemię i pot z jej czoła, pogłodzić ją po policzku, powiedzieć, że już dobrze, że teraz będzie lepiej, a zamiast tego konwulsyjnie strzeliłem jej prosto w głowę, w sumie na jedno wyszło, w każdym razie dla niej na pewno, bo mnie, na myśl o tym bezsensownym ludzkim marnotrawstwie, ogarnęła wielka, przesadna wściekłość; strzelałem nieprzerwanie, aż jej głowa pękła jak owoc, a wtedy moje ramię wyrwało się z ciała i rzuciło na oślep przez wąwóz, strzelając na wszystkie strony; pobiegłem za nim, machając drugim ramieniem, krzychałem, żeby zaczekało, ale nic z tego, ono robiło mi na złość, samo dobijało rannych, beze mnie, wreszcie zabrakło mi tchu, stanąłem i się rozplakałem. Teraz, myślałem, teraz to już koniec, ramię nigdy do mnie nie wróci, lecz, ku mojemu zaskoczeniu, ono znów było częścią mego ciała, było na miejscu, solidnie przytwierdzone do obojczyka, a Häfner podszedł do mnie i powiedział: „W porządku, Obersturmführer. Zmieniam pana”.

Wróciłem na górę, dali mi herbaty; ciepły napój postawił mnie nieco na nogi. Księżyc w trzeciej kwadrze wisiał na szarym niebie, blade, ledwo widoczny. Mieliśmy do dyspozycji niewielki barak. Wszedłem do środka i usiadłem na ławce, żeby zapalić i dopić herbatę. Siedziało tam już trzech mężczyzn, ale nikt się nie odzywał. W dole bez przerwy terkotały serie: niezmordowanie, metodycznie, ów gigantyczny mechanizm, który sami stworzyliśmy, nie przestawał unicestwiać ludzi. Miałem wrażenie, że to się nie skończy już nigdy. Od zarania dziejów wojna uważana była za największe zło. A my wynaleźliśmy coś, przy czym wojna wydawała się zjawiskiem czystym i niewinnym, coś, przed czym wielu próbowało uciec, chroniąc się w elementarnej pewności, jaką daje walka na froncie. Nawet wyniszczające jatki Wielkiej Wojny, z których ocaleli nasi ojcowie i niektórzy z naszych starszych wiekiem oficerów, wydawały się czyste i sprawiedliwe w porównaniu z tym, co my daliśmy światu. Uważałem, że to niezwykle. Zdawało mi się, że tkwi w tym

jakaś podstawowa prawda i że jeżeli ją zrozumieć, to zrozumieć wszystko i nareszcie będę mógł odpocząć. Ale nie mogłem myśleć, moje myśli roztrzaskiwały się jedna o drugą, obijały się o siebie z hukiem jak wagony metra, pędzące od stacji do stacji, we wszystkich kierunkach, na wszystkich poziomach. Zresztą i tak nikt nie dbał o to, co tam sobie myślałem. Nasz system, nasze państwo miało głęboko gdzieś myśli swoich poddanych. Było mu obojętne, czy zabijamy Żydów, bo ich nienawidzimy, czy też dlatego, że chcemy piąć się po szczeblach kariery albo że, do pewnego stopnia, sprawia nam to przyjemność. Tak samo jak było mu obojętne to, że możemy nie czuć wcale nienawiści do Żydów, Cyganów i Rosjan, których zabijamy, że ich likwidacja może nie sprawić nam absolutnie żadnej, ale to żadnej przyjemności. A nawet, koniec końców, było mu zupełnie obojętne to, że ktoś może odmówić zabijania — nie stosowało się żadnych sankcji, bo zapasy chętnych zabójców były niewyczerpane, państwo mogło czerpać z nich każdą liczbę ludzi, i w związku z tym można też było zostać przypisanym do innych zadań, lepiej odpowiadających posiadanym talentom. Schulz, na przykład, komendant Ek 5, który poprosił o zmiennika zaraz po otrzymaniu *Führerbefehl*, został nareszcie zwolniony i opowiadano, że ma dobrą posadę w Berlinie, w Staatspolizei. Ja też mogłem poprosić o przeniesienie, dostałbym pewnie pozytywną rekomendację od Blobela albo dr. Rascha. Więc czemu tego nie zrobiłem? Prawdopodobnie nie rozumiałem jeszcze tego, co chciałem zrozumieć. A czy kiedykolwiek zrozumieć? Nic mniej pewnego. Przez głowę przebiegła mi myśl Chestertona: Nigdy nie powiedziałem, że źle jest wkraczać do świata czarów. Mówiłem tylko, że to zawsze jest niebezpieczne. A więc tym właśnie jest wojna, krainą zdemoralizowanych wróżek, miejscem zabawy zepsutego dziecka, które niszczy zabawki, wrzeszcząc z radości, dziecka, które niefrasobliwie wyrzuca naczynia przez okno?

Przed szóstą zaszło słońce i Blobel rozkazał przerwać akcję na noc; tak czy inaczej nic już nie było widać. Zwołał oficerów na krótką naradę tuż przy wąwozie, żeby omówić problemy. Tysiące Żydów oczekiwały jeszcze na placu i na Mielnikowej, a według obliczeń zlikwidowaliśmy ich już prawie dwadzieścia tysięcy. Kilku oficerów krytykowało pomysł prowadzenia skazańców brzegiem wąwozu: na widok scen, rozgrywających się u ich stóp, ludzie wpadali w panikę i trudno ich było utrzymać w ryzach. Zakończywszy dyskusję, Blobel postanowił, że każe saperom z Ortschaftskommandantur przekopać przejścia z kolein wiodących do głównego wąwozu i nimi

prowadzić Żydów, dzięki temu zobaczą ciała dopiero w ostatniej chwili. Rozkazał też przysypać zwłoki wapnem. Rozeszliśmy się do kwater. Na placu przed Cmentarzem Łukianowskim oczekiwały setki rodzin, ludzie siedzieli na walizkach albo na ziemi. Niektórzy palili ogniska i gotowali strawę. Na ulicy podobnie: kolejka ciągnęła się aż do miasta, pilnował jej cienki kordon. O świcie wszystko ruszyło od nowa. Ale myślę, że nie potrzeba opisywać tego dalej.

Pierwszego października robota była skończona. Blobel kazał wysadzić w powietrze zbocza wąwozu, żeby przysypać ciała; oczekiwaliśmy wizyty Reichsführera, wszystko musiało być w najlepszym porządku. Jednocześnie egzekucje trwały nadal: ciągle jeszcze Żydzi, ale też komuniści, oficerowie Armii Czerwonej, marynarze floty rzecznej na Dnieprze, złodzieje, dywersanci, urzędnicy, banderowcy, Cyganie, Tatarzy. Einsatzkommando 5, dowodzone teraz, w zastępstwie za Schulza, przez Sturbannführera Meiera, przybyło do Kijowa, aby przejąć egzekucje i prace administracyjne; nasze Sonderkommando posuwało się naprzód śladem 6. Armii, w stronę Połtawy i Charkowa. W dniach, które nastąpiły po Wielkiej Akcji, byłem bardzo zajęty, ponieważ musiałem przekazać moją siatkę informatorów i wszystkie kontakty następcy, Leiterowi III z Ek 5. Trzeba było też zająć się pozostałościami po akcji: zebraliśmy trzydzieści siedem ciężarówek ubrań, przeznaczylismy je dla ukraińskich folksdojczy w potrzebie. Kołdry poszły do Waffen-SS, do szpitala polowego. No i należało sporządzić raporty, Blobel przypomniał mi rozkaz Müllera i zobowiązał do przygotowania wizualnej prezentacji przebiegu akcji. Wreszcie przybył Himmler, w towarzystwie Jeckelna, i od razu uraczył nas przemową. Najpierw wyjaśnił, że wyplenienie ludności żydowskiej jest konieczne, ponieważ stanowi sposób na *wyrwanie bolszewizmu z korzeniami*, następnie zaznaczył z pełną powagą, iż *jest świadomy trudności tego zadania*, z potem, natychmiast, wyłożył nam koncepcję przyszłości niemieckiego Wschodu. Rosjanie, po zakończeniu wojny, zostaną przetrzuceni za Ural i utworzą marginalny Slauland; oczywiście będą podejmować regularne próby powrotu na dawne ziemie, więc żeby temu zapobiec, Niemcy zbudują w górach linię miast-garnizonów i fortów, które powierzy się Waffen-SS. Wszyscy młodzi Niemcy, odbywający obowiązkową dwuletnią służbę w szeregach SS, będą tam wysyłani; straty będą nieuniknione, lecz właśnie dzięki tym nieznacznym konfliktom o niskiej intensywności naród niemiecki *nie pogrąży się w gnuśności, która grozi zwycięzcom*, i zachowa wojowniczy wigor oraz czujność i siłę. Chronione tą linią dawne ziemie

rosyjskie i ukraińskie staną się otwarte na niemiecką kolonizację, którą rozwiną tu nasi weterani wojenni; każdy *żołnierz-rolnik, a potem jego synowie*, będzie zarządzał dużą i bogatą posiadłością; prace w polu wykonywać będą słowiańscy pariasi, a Niemcy zajmą się administracją. Te gospodarstwa zostaną usytuowane wokół małych miast garnizonowych i handlowych; co do okropnych radzieckich miast przemysłowych, to zrówna się je z ziemią; Kijów, prastare niemieckie miasto, zwane w dawnych czasach Kiroffo, zostanie jednakże oszczędzony. Wszystkie miasta połączy z Rzeszą sieć autostrad i system dwupiętrowych pociągów ekspresowych z indywidualnymi przedziałami sypialnymi, dla których wybuduje się specjalne tory, szerokie na kilka metrów; te zakrojone na szeroką skalę prace będą wykonywane przez pozostałych przy życiu Żydów i jeńców wojennych. Wreszcie Krym, pradawny obszar gocki, jak również niemieckie rejony Wołgi i centrum naftowe w Baku, staną się częścią Rzeszy — będą miejscem rozrywki i wypoczynku, z bezpośrednim, ekspresowym połączeniem kolejowym z Niemcami, via Brześć Litewski; Führer, doprowadziwszy do końca swoje wielkie dzieło, przeniesie się tu na emeryturę. Przemówienie trafiło do ludzi, przedstawiało jasny *plan, końcowy cel*, powstały w wyrafinowanych umysłach, sięgających dużo dalej niż nasze własne, choć mnie osobiście roztoczona przed nami wizja przypominała fantastyczne utopie Juliusza Verne'a albo Edgara Rice'a Burroughsa.

Reichsführer skorzystał z nadarzającej się okazji i przedstawił nam SS-Brigadeführera i Generalmajora Polizei, dr. Thomasa, który przybył, żeby zastąpić dr. Rascha na czele Einsatzgruppe. Rasch, w rzeczy samej, opuścił Kijów bez pożegnania, w drugim dniu akcji: mój przyjaciel Thomas jak zwykle dokładnie przewidział zdarzenia. Wokół huczało od plotek, spekulowano na temat konfliktu Rascha z Kochem, opowiadano, że załamał się podczas akcji. Dr Thomas, Kawaler Krzyża Żelaznego, znał francuski, angielski, grekę i łacinę, był człowiekiem zupełnie innego pokroju; lekarz, specjalista psychiatra, porzucił praktykę na rzecz SD w 1934, kierując się idealizmem i narodowosocjalistycznymi przekonaniami. Szybko miałem okazję lepiej go poznać, bo zaraz po przyjeździe zaczął odwiedzać wszystkie biura Grupy oraz Kommandos, prowadząc indywidualne rozmowy z oficerami. Szczególnie interesowała go kwestia zaburzeń psychologicznych u żołnierzy i oficerów: jak nam wyjaśnił, w obecności Leitera Ek 5, który przejął wszystkie moje dossier oraz sprawy prowadzone przez kilku innych oficerów SD, niemożliwością było, by zdrowy umysłowo mężczyzna, narażany

miesiącami na takie sytuacje, nie ucierpiał, czasem nawet bardzo poważnie. Na Łotwie, w Einsatzgruppe A, jeden Untersturmführer oszalał i zabił kilku oficerów, zanim ktoś wreszcie zastrzelił jego; ten przypadek głęboko zmartwił Himmlera, więc dowództwo oraz Reichsführer kazali dr. Thomasowi — z racji dawnego zawodu szczególnie uwrażliwionemu na problem — zaproponować środki zaradcze. Brigadeführer wydał całkiem nowy rozkaz: każdy, kto nie potrafi zmusić się do dalszego zabijania Żydów, czy to z powodu wyrzutów sumienia, czy też w wyniku ogarniającej go słabości, powinien stawić się w Gruppenstab, skąd zostanie wyznaczony do innych zadań, albo nawet odesłany do Niemiec. Rozkaz ten wywołał ożywione dyskusje między oficerami; jedni uważali, że oficjalne przyznanie się do własnej niemocy zostawi w papierach każdego zainteresowanego trwałą, szkodliwą ślad i przekreśli szansę na jakikolwiek awans; inni, przeciwnie, zapowiadali, że potraktują poważnie słowa dr. Thomasa i zażądadzą powrotu. Byli też tacy, którzy, jak Lübbe, zostali przeniesieni, choć wcale się o to nie starali, na wniosek lekarzy Kommandos. Zapanował względny spokój. Postanowiłem, że do raportu, zamiast luźnego pliku zdjęć, dołączę specjalnie przygotowany album. Okazało się to żmudną pracą. Jeden z naszych Orpo, fotograf amator, udokumentował egzekucje na kilku kolorowych kliszach, miał też odpowiednie chemikalia do ich wywołania; zarekwirowałem sprzęt z jakiegoś zakładu fotograficznego i kazałem mu wywołać najlepsze ujęcia. Zebrałem także zdjęcia czarno-białe, wszystkie raporty dotyczące akcji skopiowałem na pięknym papierze, dostarczonym przez zaopatrzeniowców z XXIX korpusu. Jeden z komisarzy sztabu pięknym, kancelaryjnym pismem wykaligrafował opisy zdjęć i stronę tytułową dużymi literami: *Wielka Akcja w Kijowie*, a mniejszymi: *Raporty i dokumenty*, oraz daty. Pośród *Arbeitsjuden* przetrzymywanych w nowym obozie w dzielnicy Syriec, znalazłem starego szewca, który oprawiał książki dla komitetów partii, a nawet przygotowywał albumy na jakiś kongres. Von Radomski, komendant obozu, wypożyczył mi go na kilka dni, a on oprawił raporty i plansze z fotografiami w czarną skórę pozyskaną ze skonfiskowanych dóbr i wycisnął na okładce insygnia Sk 4a. Zaprezentowałem księgę Blobelowi. Był oczarowany. Kartkował ją, zachwycał się oprawą i kaligrafią: „Ach, jakże chciałbym mieć podobną pamiątkę”. Pogratulował mi i zapewnił, że prezent trafi w ręce Reichsführera, a może, kto wie, samego Führera; całe Kommando mogło być z tego dumne. Nie sądzę, by postrzegał ten album tak samo jak ja: dla niego było to trofeum, dla mnie — raczej gorzkie memento, uroczyste przypomnienie.

Rozmawiałem o tym wieczorem z moim nowym znajomym, inżynierem z Wehrmachtu o nazwisku Osnabrugge. Spotkałem go w kasynie oficerskim, zaproponował mi drinka; okazał się interesującym człowiekiem, rozmowy z nim sprawiały mi przyjemność. Powiedziałem mu o albumie, a on rzucił myśl, która mnie dość zdziwiła: „Każdy człowiek powinien wykonywać swoją pracę z miłością”. Osnabrugge miał dyplom Reńsko-Westfalskiej Wyższej Szkoły Technicznej, specjalizował się w budowie mostów; wyuczony zawód pasjonował go, opowiadał o nim ze swadą: „Pan rozumie, byłem kształcony w poczuciu kulturowej misji. Most jest dosłownym i materialnym wkładem w tworzenie wspólnoty, pozwala tworzyć nowe drogi, nowe związki między ludźmi. Poza tym mosty są piękne. Nie tylko wizualnie. Gdyby pan mógł zrozumieć obliczenia, wszelkie napięcia i siły, łuki i przewody, to, jak całość uzyskuje równowagę dzięki matematycznym działaniom!”. Sam nigdy nie zbudował mostu, rysował projekty, ale żadnego nie zrealizował. Wehrmacht przysłał go tu, żeby sporządził ekspertyzę zniszczeń mostów, dokonanych przez Sowieców. „To fascynujące, wie pan? Tak jak nie ma dwóch mostów skonstruowanych w identyczny sposób, tak też żaden nie rozpada się tak samo. Zawsze pojawiają się jakieś niespodzianki, to bardzo pouczające. Lecz, mimo wszystko, żal mnie ogarnia na ten widok. To takie piękne obiekty. Jeżeli ma pan ochotę, pokażę panu”. Zgodziłem się z przyjemnością, miałem teraz trochę więcej czasu. Wyzaczył mi spotkanie przy największym wysadzonym moście na Dnieprze, poszedłem tam któregoś ranka. „Niesamowite wrażenie”, powiedział, przyglądając się bacznie ruinom; stał z rękoma na biodrach, nieruchomy. Potężny stalowy most przęsłowy, wzniesiony tuż pod skarpią peczerską, spoczywał na pięciu masywnych podporach z ciętego kamienia; trzy całe łuki leżały w wodzie, odłupał je wybuch, dwa przęsła stały jeszcze prosto. Saperzy budowali tuż obok most pontonowy, rzucając belki i drewniane elementy na wielkie pompowane łodzie; dotarli już prawie do połowy rzeki. Na razie oba brzegi łączyły barki, a na przystani czekał tłum żołnierzy i cywilów. Osnabrugge miał do dyspozycji motorówkę. Opłynęliśmy powstający most pontonowy i Osnabrugge przybił ostrożnie do powyginanych dźwigarów zburzonego mostu. „Widzi pan, zaczął, wskazując na podpory, tutaj przewrócili przęsło nośne, ale tam — nie. Nie było takiej potrzeby, wystarczyło przeciąć elementy nośne, reszta dokonała się sama. Zrobili to bardzo starannie”. — „A podpory?” — „Wszystkie nietknięte, z wyjątkiem może tej pośrodku. Sprawdzamy to. Tak czy inaczej odbudujemy go z pewnością, lecz nie w najbliższym czasie”. Rozglądałem się

dookoła, a Osnabrugge pokazywał mi kolejne detale. Na szczycie zadrzewionej skarpy, którą jesień zamieniła w żółtopomarańczową płonącą masę, upstrzoną gdzieniegdzie jaskrawą czerwienią, lśniła w słońcu złota kopuła ławry. Za nią kryło się miasto, z tego miejsca nie było widać żadnego domu. W dole rzekę przecinały dwa zburzone mosty. Woda przelewała się leniwie między na wpół zatopionymi belkami, przed nami sunęła powoli barka, pełna chłopek w pstrokatych chustach i przysypiających żołnierzy. Patrząc na długie wodorosty, falujące na powierzchni wody, doznałem niejako rozdwojenia jaźni: widziałem wyraźnie wodorosty, a jednocześnie zdawało mi się, że dostrzegam też mocne ciała napoleońskich huzarów, w jasnozielonych, butelkowych i żółtych mundurach, z kokardami i strusimi piórami, płynące z prądem. Było to bardzo intensywne doznanie i musiałem wypowiedzieć na głos imię cesarza, bo Osnabrugge podjął niespodziewanie: „Napoleon? Właśnie, przed wyjazdem znalazłem książkę o Eble, wie pan, dowódcy napoleońskich pontonierów. Godny podziwu człowiek. Jedyne, oprócz Neya, który się oddał bez reszty, jeżeli tak to można nazwać, jeden z niewielu wyższych oficerów Napoleona, który zmarł z wycieńczenia. W Königsbergu, pod koniec 1812 roku, wyczerpany budową mostów na Berezynie”. — „Tak, Berezyna, znana historia”. — „My przeprawiliśmy się przez nią w ciągu niecałego tygodnia. Wie pan, że Eble zbudował tam dwa mosty? Jeden dla żołnierzy i jeden dla pojazdów, w tym także, naturalnie, dla oficerów w powozach”. Ruszyliśmy do brzegu. „Powinien pan przeczytać Herodota, powiedziałem. Tam też są piękne opowieści o mostach”. — „Och, tak, znam to, znam”. Wskazał na most pontonowy saperów: „Już Persowie budowali mosty na łodziach”. Skrzywił się. „Ale zapewne lepiej”. Wysadził mnie na przystani, uściśnięm mu po przyjacielsku dłoń. „Dziękuję za wyprawę. Dobrze mi zrobiła. Do zobaczenia więc!” — „Och, nie wiem. Jutro muszę jechać do Dniepropietrowska. Mam do obejrzenia w sumie dwadzieścia trzy mosty, wyobraża sobie pan? Ale kto wie, może kiedyś jeszcze się spotkamy”.

Moje urodziny przypadają 10 października i tamtego roku Thomas zaprosił mnie na kolację. Późnym popołudniem paru oficerów odwiedziło mnie z życzeniami i butelką koniaku, wypiliśmy po kilka kieliszków. Thomas dołączył do nas w świetnym humorze, wznosił toast za moje zdrowie i odciągnął na bok, ściskając mi dłoń: „Mój drogi, zamiast prezentu mam dla ciebie dobrą wiadomość: awansujesz. To na razie tajemnica, ale widziałem papiery u Hartla. Reichsführer, zaraz po *Aktion*, kazał Gruppenführerowi

sporządzić listę zasłużonych żołnierzy i oficerów. Twój album zrobił bardzo dobre wrażenie i wpisano twoje nazwisko na listę. Wiem, że Hartl próbował się sprzeciwić, ciągle jeszcze nie wybaczył ci tego, co powiedziałaś podczas *Aktion*, ale Blobel cię poparł. Dobrze by zresztą było, gdybyś któregoś dnia poszedł i przeprosił Hartla”. — „Nie ma mowy. To raczej on powinien przeprosić”. Zaśmiał się i wzruszył ramionami. „Jak sobie chcesz, Hauptsturmführer. Ale twoja postawa nie ułatwia ci życia”. Spochmurniałem. „Zachowuję się jak przystało na oficera SS i narodowego socjalistę. Niech ci, którzy mogą o sobie powiedzieć to samo, przyjdą tu do mnie z pretensjami”. Zmieniłem temat: „A ty?”. — „Co ja?” — „Ty nie awansujesz?” Uśmiechnął się szeroko: „Nie wiem. Sam zobaczysz”. — „Uważaj! Doganiam cię”. — Roześmiał się, a ja zaśmiałem się wraz z nim. „Zdziwiłbym się”, powiedział.

Miasto powoli wracało do życia. Po zmianie nazw głównych ulic — Chreszczatyk nazywał się teraz Eichhornstrasse, na cześć niemieckiego generała, który wkroczył do Kijowa w 1918, bulwar Szewczenki — Rovnoverstrasse, Artioma — Lembergstrasse, a moja ulubiona, Czekistowa, stała się zwyczajną Gotenstrasse; Ortskommandantur zezwoliła kilku prywatnym restauracjom na działalność — najlepszą z nich, jak opowiadano, prowadził folksdojcz z Odessy; przejął byłą kantynę dla wysoko postawionych działaczy partyjnych, gdzie pracował jako kucharz. Thomas zarezerwował tam stół. Całą klientelę stanowili niemieccy oficerowie, z wyjątkiem dwóch ukraińskich urzędników, którzy rozmawiali z oficerami AOK: rozpoznałem Bahazy'ego, „mera” Kijowa, ustanowionego przez Eberharda; SD podejrzewało go o masową korupcję, ale był zwolennikiem Melnyka i von Reichenau wyraził zgodę, a my wycofaliśmy obiekcje. Grube zasłony ze sztucznego aksamitu maskowały okna, każda łoża oświetlona była blaskiem świec. Posadzono nas w rogu, trochę z boku, i przyniesiono ukraińskie zakąski — korniszony, marynowany czosnek i wędzony boczek — a do tego wódkę z miodem i pieprzem, zmrożoną. Wznosiliśmy toasty, zakąszaliśmy, rozmawialiśmy. „I co, zaśmiewał się Thomas, skusiła cię oferta Reichsführera, planujesz osiąść tutaj jako farmer dzentelmen?” — „Nie sądzę! Nie mam talentu do pracy na roli”. Thomas podjął temat Wielkiej Akcji: „To było naprawdę bardzo ciężkie, bardzo nieprzyjemne, powiedział. Ale konieczne”. Nie chciałem o tym rozmawiać: „No, a co się stało z Raschem?”, spytałem. „Ach, on! Wiedziałem, że o niego zapytasz”. Wyciągnął z kieszeni niewielki plik złożonych kartek: „Masz, czytaj. Ale nikomu ani słowa, dobrze?”. Był to raport spisany na

„firmowym” papierze Grupy, datowany na kilka dni przed *Grosse Aktion*. Przebiegłem go szybko wzrokiem: pod koniec Rasch wyrażał powątpiewanie w kwestii możliwości wyeliminowania wszystkich Żydów i podkreślał, że nie stanowią oni jedyne zagrożenia: *Bolszewicki aparat władzy nie jest tożsamy z ludnością żydowską. W tej sytuacji zapominamy o bezpieczeństwie politycznym i zamiast skupić się na najważniejszym zadaniu, jakim jest zniszczenie komunistycznej maszyny, wybieramy zadanie względnie łatwiejsze, jakim jest eliminacja Żydów.* Podkreślał też negatywny wpływ likwidacji Żydów na odbudowę ukraińskiego przemysłu i wysuwał uargumentowaną propozycję wykorzystania na wielką skalę żydowskiej siły roboczej. Oddałem raport Thomasowi, a on złożył go starannie i wsunął z powrotem do kieszeni. „Rozumiem”, powiedziałem, zagryzając wargi. „Ale przyznasz, że jest w tym trochę racji?” — „Naturalnie! Tylko że nie ma sensu rozprowadanie tego na prawo i lewo. Cóż to zmieni. Przypomnij sobie swój własny raport z trzydziestego dziewiątego. Brigadeführer Thomas kazał francuskim ekstremistom wysadzać paryskie synagogi. Wehrmacht wyrzucił go z Francji, ale Reichsführer był nim zachwycony”. Wódka się skończyła, sprzątnięto ze stołu; przyniesiono nam francuskie wino bordeaux. „Skąd oni to wytrzasnęli?”, zdziwiłem się. — „Mała niespodzianka. Jeden z przyjaciół przysłał mi z Francji. Wyobraź sobie, butelki dotarły nietknięte. Mamy dwie”. Wzruszył mnie, w tych okolicznościach był to naprawdę piękny gest. Napilem się wina z rozkoszą. „Porządnie leżakowało, zauważył Thomas. Miła odmiana po mołdawskim sikaczu, nieprawdaż?” Uniósł kieliszek: „Chyba nie tylko ty świętujesz dziś urodziny?”. — „Owszem”. Thomas był jednym z niewielu znajomych, którzy wiedzieli o istnieniu mojej siostry bliźniaczki; zazwyczaj nie opowiadałem o niej, ale zauważył to kiedyś w papierach i wszystko mu wytłumaczyłem. — „Kiedy ostatni raz ją widziałeś?” — „Niedługo minie siedem lat”. — „Miewasz jakieś wieści?” — „Czasem. Bardzo rzadko”. — „Nadal mieszka na Pomorzu?” — „Tak. Regularnie jeżdżą do Szwajcarii. Jej mąż spędza wiele czasu w sanatoriach”. — „Ma dzieci?” — „Nie sądzę. Zdziwiłbym się. Nie wiem, czy jej mąż byłby w stanie. A czemu pytasz?” Uniósł kieliszek: „Zdrowie siostry”. — „Zdrowie siostry”. Piliśmy w milczeniu, przyniesiono talerze, jedliśmy, gawędząc miło. Po kolacji Thomas kazał otworzyć drugą butelkę, a z kieszeni bluzy wyjął dwa cygara. „Teraz czy do koniaku?” Zarumieniłem się z radości, ale jednocześnie poczułem niewyraźne zażenowanie: „Prawdziwy magik z ciebie. Wypalmy je do koniaku, ale najpierw dokończmy wino”. Dyskutowaliśmy o sytuacji militarnej.

Thomas był optymistą: „Tu, na Ukrainie, szybko posuwamy się do przodu. Von Kleist idzie jak burza na Melitopol i Charków, będzie tam za tydzień, góra dwa. Odessa to kwestia dosłownie kilku dni. Ale, co najważniejsze, moskiewska ofensywa równa wszystko z ziemią. Odkąd Hoth i Hoepner połączyli siły i zajęli Wiaźnę, wzięliśmy jeszcze pół miliona jeńców! Abwehra mówi o trzydziestu dziewięciu unicestwionych dywizjach. Rosjanie nie wytrzymają takiego poziomu strat. W dodatku Guderian dociera już do Mceńska, niedługo dołączy do reszty. Führer wykazał się prawdziwym geniuszem, przysyłając Guderiana, żeby dokończył Kijów, a potem poszedł na Moskwę. Czerwoni nic nie rozumieli. W Moskwie już pewnie panika. Będziemy tam za miesiąc, a potem — koniec wojny”. — „Dobrze, a co się stanie, jeśli nie zdobędziemy Moskwy?” — „Zdobędziemy Moskwę”. Nie dawałem za wygraną: „Tak, ale co się stanie, jak nie zdobędziemy? Co się wtedy stanie? Jak Wehrmacht przetrwa zimą? Rozmawiałeś z zaopatrzeniem? Nie mają niczego na zimą, niczego. Nasi żołnierze ciągle jeszcze noszą letnie mundury. Nawet gdyby teraz ruszyła dostawa ciepłych ubrań, nigdy nie zdołają porządnie wyposażyć wszystkich oddziałów. To przestępstwo! Gdybyśmy nawet zdobyli Moskwę, to stracimy dziesiątki tysięcy ludzi, wyginą od zimna i chorób”. — „Ależ z ciebie pesymista. Jestem pewien, że Führer wszystko przewidział”. — „Nie. Nie przewidział zimy. Rozmawiałem o tym w AOK, nie mają nic, bez przerwy ślą depesze do Berlina, są przerażeni”. Thomas wzruszył ramionami: „Damy sobie radę. W Moskwie znajdziemy wszystko, czego nam będzie trzeba”. — „Możesz być pewien, że Rosjanie splądrują miasto doszczętnie, zanim się wycofają. No i co będzie, jeśli nie zdobędziemy Moskwy?” — „Dlaczego mielibyśmy nie zdobyć Moskwy? Czerwoni nie są w stanie oprzeć się naszym dywizjom pancernym. Użyli wszystkiego, co mogli, pod Wiaźną, a i tak daliśmy im łupnia”. — „Tak, bo jest dobra pogoda. Ale w każdej chwili mogą się zacząć deszcze. W Humaniu padał już nawet śnieg!” Rozgrzewałem się, czułem, jak krew napływa mi do twarzy. „Widziałeś, co tu się dzieje, gdy pada przez dzień lub dwa? A to będzie trwać dwa albo trzy tygodnie. Co roku o tej porze życie w kraju zamiera, tak było zawsze. Więc armie też będą musiały przerwać działania. A potem zaczną się mrozy”. Thomas patrzył na mnie kpiąco; policzki mi płonęły, musiałem być cały czerwony. „Proszę, proszę, stałeś się ekspertem od wojskowości”, ironizował. — „Wcale nie. Ale spędzam całe dni z żołnierzami, dużo się nauczyłem. Poza tym czytam. Czytałem na przykład książkę o Karolu XII”. Zacząłem gestykulować. „Pamiętasz Romny? W regionie,

w którym Guderian połączył swoje siły z von Kleistem? Tam właśnie Karol XII miał swoją kwaterę główną, w grudniu 1708 roku, trochę przed Połtawą. On i Piotr mieli do dyspozycji bardzo nieliczne oddziały, musieli oszczędzać ludzi, skakali wokół siebie od miesięcy. Wreszcie pod Połtawą Piotr gromi Szwedów i natychmiast się wycofuje. Ale to była jeszcze wojna feudalna, wojna panów dbających o honor i, nade wszystko, równych sobie, więc ich wojna w gruncie rzeczy była kurtuazyjna, była czymś w rodzaju ceremoniału albo parady, prawie teatrem, w każdym razie niezbyt krwiożercza. Dopiero potem, gdy poddany króla, wieśniak albo mieszczanin, zostaje obywatelem, czyli w czasach, w których państwo się demokratyzuje, wojna niespodziewanie staje się totalna i straszliwa, zaczyna toczyć się na poważnie. Dlatego właśnie Napoleon zdławił całą Europę: nie dlatego, że jego armia była bardziej liczna albo że był lepszym strategiem od swych przeciwników, ale dlatego, że stare monarchie prowadziły z nim wojnę w dawnym stylu, w sposób ograniczony. A on nie miał żadnych ograniczeń. Francja Napoleona jest *otwarta na talenty*, jak mawiano w tamtych czasach, obywatele uczestniczą w rządach, państwo kontroluje, ale lud jest suwerenny, zupełnie naturalne jest, że taka Francja prowadzi wojnę totalną i angażuje w nią wszystkie swoje siły. I dopiero gdy jej przeciwnicy to zrozumieli, gdy sami zaczęli robić to samo, gdy Rostopczyn spalił Moskwę, a Aleksander zwołał Kozaków i chłopów, by nękali Wielką Armię podczas odwrotu, dopiero wtedy los się odmienił. W wojnie Piotra I z Karolem XII stawka nie była wysoka: przegrana oznaczała koniec gry. Ale jeśli w wojnie uczestniczy cały naród, gra toczy się o wszystko, pierwsza stawka, druga, kolejna, aż do całkowitego bankructwa. I na tym polega problem. Jeżeli przegramy w Moskwie, nie będziemy mogli przerwać i negocjować pokoju na rozsądnych warunkach. Będziemy zmuszeni kontynuować. I chcesz wiedzieć, co myślę o tym wszystkim w głębi duszy? Dla nas ta wojna to zakład. Zakład gigantyczny, z całym Narodem, ale jednak zakład. A zakład się wygrywa albo przegrywa. Rosjanie nie mogą sobie pozwolić na ten luksus. Dla nich to nie jest zakład, to klęska, która spadła na kraj, to plaga. Można przegrać zakład, ale nie można pozwolić sobie na przegrane z plagą, musisz ją pokonać, nie masz wyboru”. Wyrzuciłem to z siebie jednym tchem, szybko, oddychałem z trudem. Thomas milczał, pił wino. „I jeszcze jedno, dodałem ostro. Mówię to tobie, i tylko tobie. Mord na Żydach, w gruncie rzeczy, nie ma sensu. Rasch ma absolutną rację. Nie ma z tego żadnego pożytku ekonomicznego ani politycznego, nie ma to żadnego praktycznego celu. Przeciwnie, to jest zerwanie ze

światem ekonomii i polityki. Marnotrawstwo, czysta strata, nic więcej. Więc może mieć tylko jeden sens: sens ostatecznej ofiary, która definitywnie nas ze sobą wiąże, raz na zawsze uniemożliwia nam wycofanie się. Rozumiesz? Dlatego przestajemy rozpatrywać kwestię wojny w kategoriach zakładu, tracimy możliwości powrotu. *Endsieg* albo śmierć. Teraz już ty i ja, my wszyscy, jesteśmy ze sobą związani, i będziemy związani także po wojnie, a łączyć nas będą wspólnie dokonane czyny. I jeżeli pomyliliśmy się w obliczeniach, jeżeli źle oszacowaliśmy liczbę fabryk, które czerwoni zbudowali lub przenieśli za Ural, to po nas”. Thomas dopił wino. „Max, odezwał się w końcu. Za dużo rozmyślasz. To niedobrze. Koniaku?” Zacząłem kaszleć i pokiwałem potakująco głową. Kaszel nie ustawał, co rusz miałem nowy napad, jakby coś utkwilo mi w tchawicy, coś, czego nie mogłem się pozbyć; wyrwało mi się gwałtowne czknięcie. Wstałem szybko i pobiegłem na tyły restauracji. Znalazłem jakieś drzwi, pchnąłem je, wychodziły na wewnętrzne podwórko. Chwyciły mnie potworne nudności, wreszcie trochę wymiotowałem. Nieco mi ulżyło, ale jednocześnie wyczerpało mnie to, byłem wykończony, musiałem przez kilka minut opierać się o wóz, który stał tam, niezaprężony. Wróciłem. Znalazłem kelnerkę i poprosiłem ją o wodę: przyniosła całe wiadro, wypilem trochę i ochlapałem sobie twarz. Usiadłem. „Przepraszam”. — „Źle się czujesz? Jesteś chory?” — „Nie, nic takiego, chwila słabości”. Nie był to pierwszy raz. Ale nie pamiętam dokładnie, kiedy to się zaczęło. W Żytomierzu być może. Wymiotowałem dotąd tylko raz, może dwa razy, ale regularnie, zaraz po posiłku, chwytaly mnie nieprzyjemne i męczące nudności, zawsze poprzedzane suchym kaszlem. „Powinieneś iść do lekarza”, powiedział Thomas. Przyniesiono koniak i wypilem odrobinę. Poczulem się lepiej. Thomas znów zaproponował cygaro; wziąłem, ale nie zapaliłem od razu. Thomas był wyraźnie zaniepokojony. „Max... Te poglądy... zachowaj je dla siebie. Mógłbyś napytać sobie biedy”. — „Tak, wiem. Zdradzam je tylko tobie, bo jesteś moim przyjacielem”. Nagle zmieniłem temat: „Jak tam, upatrzyłeś już sobie kogoś?”. Roześmiał się: „Nie miałem czasu. Ale to chyba nic trudnego. Kelnerka jest niezła, widziałeś?”. Nawet nie spojrzałem na kelnerkę, ale przytaknąłem. „A ty?”, spytał Thomas. — „Ja? Wiesz, ile my mamy roboty? Jestem szczęśliwy, gdy mogę się przespać, każda godzina snu jest dla mnie cenna”. — „A w Niemczech? Zanim przyjechałeś tutaj? Od mojego wyjazdu do Polski nie widywaliśmy się często. A ty jesteś dyskretnym facetem. Nie masz tam jakiejś milutkiej Fräulein, która pisze do ciebie smutne listy

miłosne: «Max, Max, kochanie, wracaj już, ach, jakże straszna jest wojna?»». Zaśmiałem się razem z nim i zapaliłem cygaro. Thomas już palił swoje. Chyba trochę za dużo wypilem, bo naszła mnie nagła ochota na zwierzenia: „Nie. Nie mam żadnej Fräulein. Ale dawno temu, zanim cię poznałem, miałem narzeczoną. Miłość jeszcze z dzieciństwa”. Zaciekawilo go to, widziałem: „Naprawdę? Opowiedz”. — „Co tu opowiadać. Kochaliśmy się od małego. Ale jej rodzice byli temu przeciwni. Jej ojciec, a raczej ojczym, był bogatym francuskim burżujem, mężczyzną z zasadami. Zostaliśmy rozdzieleni siłą, umieszczeni w internatach, z dala od siebie. Pisała do mnie potajemnie rozpaczliwe listy, ja do niej też. A potem wysłano mnie na studia do Paryża”.

— „I nigdy już jej nie widziałeś?” — „Kilka razy, podczas wakacji, mieliśmy po siedemnaście lat. Po raz ostatni spotkałem ją po wielu latach, tuż przed powrotem do Niemiec. Powiedziałem jej, że nasz sekretny związek jest niezniszczalny”. — „A teraz? Jesteś w dobrej sytuacji”.

— „Teraz już za późno. Ma męża. Widzisz, nie można ufać kobietom. To się zawsze tak kończy. Okropność”. Ogarnął mnie smutek, gorycz, nie powinienem był o tym opowiadać. „Masz rację, powiedział Thomas. Właśnie z tego powodują nie zakochuję się nigdy. Zresztą wolę mężatki, to bezpieczniejsze. Jak miała na imię twoja ukochana?” Machnąłem ręką. „To bez znaczenia”. Paliliśmy w milczeniu, popijając koniak. Thomas zaczekał, aż skończę cygaro, i wstał. „No już, dość tej nostalgii. W końcu są twoje urodziny”. Byliśmy ostatnimi gośćmi, kelnerka przysypiała w kącie sali. Na ulicy, w opłu, chrapał nasz szofer. Nocne niebo lśniło od gwiazd, a malejący księżyc, jasny i spokojny, rzucił białe światło na ciche, zniszczone miasto.

Nie ja jeden miałem wątpliwości. Głucha, lecz głęboka niepewność nękała szeregi Wehrmachtu. Ich współpraca z SS przebiegała nadal świetnie, ale Wielka Akcja wywołała pełne niepokoju poruszenie. Zaczął krążyć nowy rozkaz dzienny von Reichenaua, twardy, dosadny tekst, brutalne dementi wniosków, które pozostawił nam Rasch. Skrupuły żołnierzy nazwano w nim *niewyraźnymi mrzonkami na temat bolszewizmu. Żołnierz na terytoriach wschodnich jest nie tylko bojownikiem, przestrzegającym wszelkich zasad sztuki wojennej, pisał von Reichenau, lecz także piewcą narodowej, bezlitosnej polityki i mścicielem bestialskich wyczynów przeciwko Narodowi Niemieckiemu oraz tym, którzy są*

mu bliscy rasowo. Dlatego właśnie żołnierz powinien w pełni rozumieć konieczność surowej, lecz sprawiedliwej zemsty na żydostwie, które nie jest niczym innym, jak tylko rasą podludzi. Ostro skrytykował odruchy litości: nakarmienie przypadkowo spotkanego Słowianina, który przecież mógł być bolszewickim szpiegiem, uważał za czystą bezmyślność, przejaw źle pojętego humanitaryzmu. Miasta miały zostać zburzone, partyzanci unicestwieni, także ci „niepewni”. Te idee, rzecz oczywista, nie pochodziły w całości od von Reichenaua, Reichsführer z pewnością podpowiedział mu kilka sformułowań, ale najważniejsze było to, że ów rozkaz pracował na rzecz Führera, w określonym przezeń kierunku i wybranym przez niego celu, jak to pięknie określił ciemny Prusak, urzędnik z Ministerstwa Rolnictwa. Nikogo nie dziwił fakt, że Führer był zachwycony i kazał rozpowszechnić go we wszystkich armiach na Wschodzie, gwoli przykładu. Osobiście wątpiłem, czy to wystarczy, by dodać żołnierzom ducha. Narodowy socjalizm był filozofią całościową, totalną, był, jak mówiliśmy, *Weltanschauung*; wszyscy powinni byli się w nim odnaleźć, powinno być w nim miejsce dla każdego. A teraz było tak, jak gdyby ktoś wybił w tym masywie otwór i zebrał w nim wszystkie ścieżki narodowego socjalizmu w jedną, jedyną drogę bez możliwości powrotu, którą wszyscy mieli podążać aż do końca.

Zrządzenia losu, jakie spadały na mnie w Kijowie, tylko pogłębiały moje złe samopoczucie. Na korytarzu „pałacu dziewic” spotkałem znajomego z Berlina: „Herr Sturmbannführer Eichmann! Awansował pan! Moje gratulacje!”. — „Ach, doktor Aue. Właśnie pana szukałem. Mam dla pana paczkę. Przekazali mi ją w Prinz-Albrecht-Palais”. Poznałem tego oficera w czasach, gdy wzrastało jego znaczenie w Centralnych Biurach do spraw Emigracji Żydowskiej, pracował wtedy dla Heydricha; często wpadał do mojego departamentu, żeby skonsultować kwestie prawne. Był wówczas Obersturmführerem. Teraz z dumą prezentował nowe galony na stójce wyjściowego czarnego munduru, który wyróżniał się wśród naszych polowych *feldgrau*. Puszył się jak paw; było to dość interesujące, pamiętałem go jako gorliwego i pracowitego urzędnika, nie poznawałem go. „Co pana tutaj sprowadza?”, spytałem, wpuszczając go do gabinetu. — „Pańska paczka, a mam jeszcze drugą dla jednego z pana towarzyszy”. — „Nie, nie, miałem na myśli — tu, do Kijowa?” Usiedliśmy, a on pochylił się ku mnie z miną konspiratora: „Przyjechałem spotkać się z Reichsführerem”. Był wyraźnie dumny, palił się do opowiadania: „Z moim Amtchefem. Na specjalne zaproszenie”. Pochylił się jeszcze niżej, wyglądał teraz jak

drapieżny ptak, mały i przyczajony. „Przedstawiłem raport. Raport statystyczny. Opracowany przez moje służby. Wie pan, że teraz kieruję Referatem?” — „Nie, nie wiedziałem. Gratuluję panu”. — „To IV B4. Kwestie żydowskie”. Położył czapkę na moim biurku i mocno ścisnął czarną skórzaną teczkę, którą trzymał na kolanach. Z kieszeni kurtki wyciągnął etui, wyjął grube okulary, założył je i otworzył teczkę; wydobył dużą kopertę, dość grubą, i podał mi. „Oto i nasza przesyłka. Oczywiście nie pytam, co to takiego”. — „Ależ mogę panu powiedzieć. To nuty”. — „Jest pan muzykiem? Proszę sobie wyobrazić, że ja też. Gram trochę na skrzypcach”. — „Nie. Zamówiłem je dla kogoś, ale ten człowiek już nie żyje”. Zdjął okulary. „Ach. Bardzo mi przykro. Ta wojna jest naprawdę straszliwa. A właśnie, zmienił temat, pański przyjaciel doktor Lulley powierzył mi krótki liścik, w którym prosi mnie o odebranie w jego imieniu pieniędzy za przesyłkę”. — „To żaden problem. Do wieczora będzie je pan miał. Gdzie pan nocuje?” — „Ze sztabem generalnym Reichsführera”. — „Świetnie. Dziękuję za paczkę. To bardzo uprzejme z pana strony”. — „Och, to dla mnie przyjemność. Esesmani pomagają sobie wzajemnie. Przykro mi, że dotarła do pana za późno”. Wzruszyłem ramionami. „Bywa i tak. Napije się pan ze mną?” — „Och, nie powinienem. Służba, pan rozumie. Ale...” Było mu chyba żal, więc zarzuciłem sieci: „Tutaj zwykliśmy mawiać: *Krieg ist Krieg...*”. Dokończył razem ze mną: „...und Schnaps ist Schnaps. Tak, wiem. No dobrze, ale tylko kapkę”. Wyjąłem z kufra dwa kubki i butelkę, którą trzymałem dla gości. Eichmann wstał i wznosił ceremonialny toast: „Za zdrowie naszego Führera!”. Stuknęliśmy się kubkami. Widziałem, że korci go, aby jeszcze coś powiedzieć. „Czego dotyczył pański raport? Chyba że to tajemnica”. — „No cóż, wszystko to jest dość *hush-hush*, jak mówią Anglicy, ale panu mogę powiedzieć. To der Chef przysłał tu Gruppenführera i mnie”. — Mówił o Heydrichu, który przebywał w Pradze jako zastępca Reichsprotektora. — „Mamy dyskutować z Reichsführerem o planie deportacji Żydów z Rzeszy”. — „Deportacji?” — „Dokładnie tak. Na Wschód. Do końca roku”. — „Wszystkich?” — „Wszystkich”. — „I dokąd ich wyślecie?” — „Większość prawdopodobnie do Ostland. I na południe, na budowę Durchgangstrasse IV. To nie zostało jeszcze do końca ustalone. Przedstawiłem je osobiście Reichsführerowi. O globalnej sytuacji w kwestii emigracji żydowskiej”. Podniósł do góry palec: „Wie pan, ilu ich jest?”. — „Kogo?” — „Żydów. W Europie”. Pokręciłem głową: „Nie mam pojęcia”. — „Jedenaście milionów! Jedenaście milionów, zdaje pan sobie sprawę? Naturalnie, w przypadku krajów, których jeszcze nie mamy pod

kontrolą, takich jak Anglia, dane są szacunkowe. Ponieważ nie ma tam prawa rasowego, musieliśmy opierać się na kryteriach religijnych. Ale mimo wszystko obrazuje to rozmiary problemu. Na samej Ukrainie macie ich około trzech milionów”. Przybrał jeszcze bardziej pedantyczny ton: „Dokładnie dwa miliony dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery tysiące sześćset osiemdziesięciu czterech”. — „Rzeczywiście, bardzo dokładne dane. Ale sam pan przyzna, że z jedną Einsatzgruppe nie można działać zbyt wiele”. — „Właśnie. Opracowujemy inne metody”. Spojrzał na zegarek i wstał. „A teraz proszę wybaczyć, muszę wracać do Amtchefa. Dziękuję za poczęstunek”. — „Dziękuję za przesyłkę! Później przekażę panu pieniądze dla Lulleya”. Unieśliśmy obaj wyprężone ramiona i wykrzyknęliśmy: „*Heil Hitler!*”.

Eichmann wyszedł, a ja usiadłem i zacząłem wpatrywać się w paczkę leżącą na biurku. Zawierała partytury Rameau i Couperina, które zamówiłem dla małego Żyda z Żytomierza. To było zupełnie niemądre, sentymtalne i naiwne, a jednak przepełniało mnie wielką melancholią. Zdawało mi się, że teraz lepiej rozumiem reakcje żołnierzy i oficerów podczas egzekucji. Jeśli cierpieli, tak jak ja cierpiałem podczas Wielkiej Akcji, to nie tylko z powodu odoru i widoku krwi, lecz także ze względu na przerażenie i moralną mękę skazanych. Podobnie rozstrzeliwani — cierpieli nieraz dużo bardziej na widok męki i śmierci tych, których kochali, kobiet, rodziców, najdroższych dzieci, niż z powodu swej własnej, bliskiej śmierci, która przychodziła do nich wreszcie jak wolność. Pomyślałem, że w wielu przypadkach to, co brałem za przejaw bezsensownego sadyzmu, ta niesłychana brutalność, z jaką niektórzy żołnierze traktowali skazanych, wynikała zwyczajnie z potwornej litości, którą czuli i która, ponieważ nie mogła być wyrażana w inny sposób, zamieniała się we wściekłość, ale we wściekłość bezsilną, bezprzedmiotową, skierowaną przeciwko tym, którzy byli jej pierwszą przyczyną. Jeżeli pogromy na Wschodzie mogły nas czegokolwiek nauczyć, to było to, paradoksalnie, poczucie przerażającej, niewzruszonej ludzkiej solidarności. Choćby nie wiem jak brutalni byli oficerowie, choćby nie wiem jaką ogarnięci znieczulicą, żaden z nich nie zabił żydowskiej kobiety, nie pomyślałszy przedtem o swojej żonie, siostrze albo matce, żaden nie zabił żydowskiego dziecka, nie ujrzałszy oczyma wyobraźni swoich własnych dzieci nad brzegiem zbiorowej mogiły. Ich reakcje, przemoc, alkoholizm, depresje, samobójstwa, mój własny smutek, wszystko było dowodem na to, że *inny* dla nas istnieje, istnieje jako osoba, jako istota śmiertelna, i że niczyja wola, niczyja ideologia, żadna ilość głupoty i

alkoholu nie może zniszczyć tych więzów, cienkich, lecz nierozzerwalnych. To jest fakt, a nie moja wydumana opinia.

Zwierzchnictwo zaczęło dostrzegać ów fakt i brać go pod uwagę. Jak mi wyjaśnił Eichmann, opracowywano już nowe metody. Kilka dni po jego wizycie do Kijowa przyjechał niejaki dr Widmann, który dostarczył nam ciężarówkę całkiem nowego typu. Pojazdem marki Saurer kierował Findeisen, osobisty szofer Heydricha, drażliwy mężczyzna, który nie chciał, pomimo naszych usilnych próśb, wyjaśnić, dlaczego to właśnie on został wyznaczony do tego zadania. Dr Widmann, kierownik sekcji chemików w Instytucie Kryminologii Technicznej przy Kripo, długo prezentował maszynę oficerom: „Gazowanie, oświadczył, jest dużo bardziej elegancką metodą”. Hermetycznie zamknięta ciężarówka wykorzystuje własne spaliny, zatrzaśnięci w środku ludzie po prostu giną przez uduszenie; to rozwiązanie, w rzeczy samej, jest nie tylko eleganckie, ale i bardziej oszczędne. Jak nam wyjaśnił Widmann, zanim zdecydowano się dostarczyć nam ciężarówkę, wypróbowano także inne sposoby, on sam prowadził doświadczenia w Mińsku, na pacjentach zakładu dla psychicznie chorych, razem ze swoim Amtchefem, Gruppenführerem Nebe; próba z materiałami wybuchowymi dała straszliwe rezultaty. „Nie do opisanania. Katastrofa”. Blobel wykazywał entuzjazm, nowa zabawka podobała mu się, nie mógł się doczekać, kiedy ją wypróbuje. Häfner zauważył, że ciężarówka nie pomieści zbyt wielu skazanych — dr Widmann mówił o pięćdziesięciu, najwyżej sześćdziesięciu osobach naraz — i że nie działa wystarczająco szybko, a w związku z tym nie może być skuteczna. Ale Blobel rozwiązał te wątpliwości: „Zostawimy ją dla kobiet i dzieci, to dobrze wpłynie na morale oddziałów”. Dr Widmann zjadł z nami kolację; potem, przy bilardzie, opowiedział, jak wynaleziono tę maszynę: „To Gruppenführer Nebe wpadł na pomysł. Pewnego wieczoru, w Berlinie, trochę za dużo wypił, zasnął w samochodzie w garażu, nie wyłączył silnika i omal nie zginął. W tym czasie my pracowaliśmy już nad pomysłem ciężarówki, ale planowaliśmy użyć tlenku węgla w butelkach, co w warunkach panujących na Wschodzie jest niewykonalne. Gruppenführer wyciągnął wnioski ze swojego wypadku. Pomyślał o użyciu spalin. Wspaniały koncept”. Znał tę anegdotę od swojego zwierzchnika, dr. Heessa, który opowiedział mu ją w metrze. „Dokładnie pomiędzy Wittemberg-Platz i Thiel-Platz. Byłem pod wrażeniem”.

Od kilku dni Blobel wysyłał Teilkommandos poza Kijów, w celu oczyszczenia okolicznych miasteczek: Perejasławia, Jagodzina, Kozielca, Czernihowa, było tego sporo. Ale Teilkommandoführerzy załamywali się: gdy po zakończonej akcji wracali do danego miasteczka, znajdowali w nim jeszcze więcej Żydów niż przedtem; wylęgali ci, którzy się wcześniej ukryli. Oficerowie narzekali na bałagan w statystykach. Kommandos, według podsumowania Blobela, zlikwidowały pięćdziesiąt jeden tysięcy osób, *w tym czternaście tysięcy bez pomocy z zewnątrz* (to znaczy bez batalionów Orpo, wysyłanych przez Jeckelna). Tworzono Vorkommando, żeby wkroczyć do Charkowa, a ja miałem być jego członkiem; zanim jednak to się stało, ponieważ nie miałem nic do roboty w Kijowie (Ek 5 przejęło wszystkie nasze zadania), Blobel kazał mi wesprzeć Teilkommandos i przeprowadzić inspekcje. Lał deszcz, więc gdy tylko przekroczyliśmy wezbrany Dniepr, zaczęliśmy grzęznąć w mule. Ciężarówki i samochody spływały czarnym, tłustym błotem, zmieszonym ze źdźbłami słomy, bo żołnierze rozrzucali snopy, rozsypywali siano na drodze, zupełnie niepotrzebnie. Potrzebowałem dwóch dni, żeby dotrzeć do Häfnera w Perejasławiu, drogą wyznaczaną przez gąsienice wozów opancerzonych Wehrmachtu; byłem oblepiony błotem, często musiałem wysiadać i pchać mojego opla. Spędziłem noc w małym miasteczku, w towarzystwie kilku oficerów dywizji piechoty, którzy szli na front aż z Żytomierza. Byli wykończeni, z niepokojem myśleli o zimie i zastanawiali się, jaki jest cel tego wszystkiego. Powstrzymałem się i nie mówiłem im o Uralu — na razie nie mogliśmy nawet dotrzeć do Charkowa. Narzekali na świeżych rekrutów, wysłanych z Niemiec, by wyrównać straty, źle wyszkolonych, panikujących na widok ognia, bardziej płochliwych niż ci wcześniejsi. Sprzęt sypał się w drzazgi: nowoczesne niemieckie wozy, z oponami z kauczuku i kulkowymi łożyskami, rozlatywały się na polach walk i zastępowano je odebranymi chłopom panje Pferde, małymi końmi, praktycznie nie do zdarcia. Piękne konie, niemieckie, węgierskie i irlandzkie, które były tu na początku kampanii, padały jak muchy, przeżywały jedynie rosyjskie małe koniki, które jadły byle co — pędy brzozy, słomę z dachów — ale nie nadawały się na zwierzęta pociągowe, więc jednostki porzucały całe tony amunicji i sprzętu. „Co wieczór żołnierze toczą walki o dach nad głową lub choćby jakiś w miarę suchy ką. Wszyscy mają mundury w strzępach, wszędzie wszy, aprowizacja do nas nie dociera, za chwilę zabraknie chleba”. Oficerom też wszystkiego brakowało: nie mieli brzytwy, mydła, pasty do zębów, skóry do łątania butów, igieł, nici. Lało dniami i nocami, więcej ludzi ginęło już z powodu chorób —

dyzenterii, żółtaczki, dyfterytu — niż w walce. Chorzy musieli iść nawet trzydzieści pięć kilometrów dziennie, bo brakowało środków transportu, a gdyby zostali sami w miasteczkach, niechybnie zamordowaliby ich partyzanci, którzy mnożyli się jak wszy, zdawało się, że są wszędzie. W lasach znikwały całe grupy i pojedynczy łącznicy. Zauważyłem także wśród żołnierzy licznych Rosjan w niemieckich mundurach, z białymi opaskami *Hilfswillige*. „Hiwi?, powtórzył jeden z oficerów, gdy go o to zapytałem. Nie, w zasadzie nie wolno nam. Ale bierzemy ich, nie mamy wyboru. To chętni cywile i jeńcy. Pracują przy bagażach i robią to, co eszelon B. Nawet nieźle im idzie, są lepiej przyzwyczajeni do tych warunków niż my. A sztab generalny ma to gdzieś, przymykają oczy. Zresztą chyba o nas zapomnieli. W Połtawie nie będą wiedzieli, kim jesteśmy”. — „A nie boicie się, że partyzanci wykorzystują tych ludzi do infiltracji, że oni informują czerwonych o waszych posunięciach?” Wzruszył ramionami, znużony i zdeglustowany. „Jeżeli to ich bawi... Zresztą w promieniu stu kilometrów nie uświadczysz ani jednego Ruska. Niemca też nie. Nikogo. Deszcz, błoto, nic więcej”. Ten oficer wyglądał na całkowicie zniechęconego, ale pokazał, jak oczyścić mundur z błota, pomógł mi, nie chciałem się z nim spierać. „Musi pan osuszyć materiał nad kożą, a potem oskrobać go z błota, najpierw nożem, a później metalową szczotką, dopiero wtedy może pan wyprać mundur. Za to bieliznę powinien pan obowiązkowo wygotować”. Obserwowałem tę operację: obrzydliwość, wszy tworzyły grona we wrzącej wodzie, były wielkie, opite. Rozumiałem gniew Häfnera w dniu mojego przybycia do Perejasławia. Miał trzech Untersturmführerów, Otta, Riesa i Dammanna, siedzieli beczynnie, bo nie mogli opuścić miasta ze względu na rozmokłe drogi. „Potrzebujemy czołgów!, wykrzyknął Häfner na mój widok. Niedługo nie będziemy nawet mogli pojechać do Kijowa. Proszę, dodał sucho, to dla pana. Moje gratulacje”. Była to depesza od Blobela potwierdzająca moją promocję; otrzymałem także Krzyż Żelazny drugiej klasy. Poszedłem z Häfnerem do szkoły, którą zajmowało Teilkommando i poszukałem miejsca, gdzie mógłbym złożyć rzeczy. Wszyscy, żołnierze i oficerowie, spali w sali gimnastycznej. Klasy służyły za pomieszczenia biurowe. Przebrałem się i wróciłem do Häfnera, który opowiedział mi o trudnościach, jakie spotykały jego oficerów. „Zna pan takie miasteczko Zołotonosza? Podobno mieszka w nim ponad czterystu Żydów. Dammann próbował się tam dostać trzy razy. Trzy razy musiał zawracać, a za ostatnim razem o mało nie utknął w połowie drogi. Żołnierze zaczynają mieć dość”. Wieczorem dostaliśmy zupę i niedobry czarny *Kommissbrot* od

Wehrmachtu, położyliśmy się wcześniej. Spałem źle. Jakiś żołnierz z Waffen-SS, kilka legowisk dalej, przeraźliwie zgrzytał zębami, działało mi to na nerwy. Budził mnie, gdy tylko udało mi się zdrzemnąć; myślałem, że wyjdę z siebie. Nie ja jeden: żołnierze krzyczeli na niego, słyszałem odgłos uderzeń, widziałem, że go szturchają, ale to nic nie dawało, przenikliwy zgrzyt nie ustawał, a jeśli już, to tylko po to, by po chwili zabrzmieć znowu. „Tak jest co noc, gderał Ries, który leżał obok. Wariuję od tego. Kiedyś go uduszę”. Gdy wreszcie zasnąłem, miałem dziwny, osobliwy sen. Byłem wielkim Bogiem kalmarem i panowałem nad pięknym, obwarowanym miastem, całym z wody i białego kamienia. Zwłaszcza centrum wypełniała woda, a wokół wznosiły się wysokie budowle. Moje miasto zamieszkiwały istoty ludzkie, które mnie wielbiły; przekazałem część swojej władzy i autorytetu jednemu z ludzi, mojemu Słudze. Pewnego dnia postanowiłem jednak wydalić ludzkie istoty z miasta, przynajmniej na jakiś czas. Wydałem rozkaz, Sługa go ogłosił i natychmiast tłumy zaczęły uciekać przez bramy miasta, żeby przeczekać w lepiankach i norach, na pustyni poza murami. Ale, jak na mój gust, ludzie szli zbyt wolno, dlatego zacząłem gwałtownie bić odnóżami, mącąc wodę w centrum miasta, a potem złożyłem je i puściłem się pędem na przerażoną gromadę — rozbijałem ją i ryczałem strasznym głosem: „Wynocha! Wynocha! Wynocha!”. Sługa biegał jak wściekły na wszystkie strony, rozkazywał, prowadził, poganiał tych, którzy się ociągali, i w ten sposób miasto pustoszało. Ale w domach stojących najbliżej muru, najbardziej oddalonych od miejsca, gdzie wyładowywałem swój boski gniew, mieszkała grupa ludzi, którzy nie słuchali moich rozkazów. To byli obcy, nie całkiem świadomi mojego istnienia, mojej władzy nad tym miastem. Usłyszeli rozkaz ewakuacji, ale uznali go za śmieszny i nie zwracali nań uwagi. Sługa musiał odwiedzać te grupy, by jedną po drugiej dyplomatycznie przekonać do odejścia: jak tych fińskich oficerów, którzy protestowali, bo zarezerwowali hotel oraz salę konferencyjną i zapłacili z góry, więc nie chcieli ruszyć się z miejsca. Sługa okłamywał ich z wielką finezją, mówił na przykład o alarmie, o poważnym zagrożeniu z zewnątrz, o tym, że powinni ewakuować się w trosce o własne bezpieczeństwo. Uważałem to za wielce poniżające, ponieważ prawdziwym powodem była moja Wola, musieli odejść, bo ja tak chciałem, a nie dlatego, że ktoś zdołał ich omamić. Moja wściekłość rosła, biłem odnóżami na oślep, ryczałem głośniejsze i głośniejsze, ogromne fale wstrząsały miastem. Gdy się obudziłem, deszcz za oknami szumiał nadal. Na śniadanie dostaliśmy Kommissbrot, margarynę na bazie węgla z Ruhry, dość smaczną,

sztuczny miód z sosnowej żywicy i ohydny herbaciany ersatz Schlütera — nie było dwóch opakowań o takim samym składzie. Żołnierze jedli w milczeniu. Ries, blady jak ściana, pokazał mi jakiegoś młodego żołnierza pochylonego nad kubkiem: „To on”. — „Jaki on?” Ries sugestywnie poruszył szczęką. Przyjrzałem się: był to młodzieńki chłopak, właściwie nastolatek, miał zapadłe, upstrzone trądzikiem policzki, jego oczy ginęły w otoczce ogromnych sińców. Koledzy pomiatali nim, kazali usługiwać, wyzywali go, kopali, gdy się guzdrał. Chłopak znosił wszystko w milczeniu. „Wszyscy marzą, żeby go załatwili partyzanci, zwierzył mi się Ries. Próbowaliśmy już wszystkiego, dosłownie, potraktowaliśmy go nawet bagnetem. Na nic”.

Häfner był ograniczony, ale metodyczny. Pokazał mi na mapie przebieg planowanej akcji, spisał listę brakujących rzeczy, tak żebym mógł wesprzeć jego petycję. Miałem przeprowadzić inspekcję wszystkich Teilkommandos; to było oczywiście niemożliwe, postanowiłem więc po prostu zostać parę dni w Perejasławiu i zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Tak czy inaczej Vorkommando było już w Połtawie z Blobelem; przy takim stanie dróg nie było mowy, żebym dotarł do nich przed zdobyciem Charkowa. Häfner był pesymistą: „W sektorze przybywa partyzantów. Wehrmacht zwalcza ich, ale skutki tych działań są marne. Chcą, żebyśmy ich wsparli. Ale żołnierze są wyczerpani, wyniszczeni. Sam pan widział, jakie gówno dostajemy do jedzenia”. — „To w wojsku norma. Oni cierpią jeszcze bardziej od nas”. — „Fizycznie, być może. Ale morale naszych ludzi jest beznadziejnie słabe”. Häfner miał rację i wkrótce sam mogłem się o tym przekonać. Ott udał się z sekcją złożoną z dwudziestu ludzi na przeszukanie pobliskiej wioski, w której podobno ukrywali się partyzanci; postanowiłem mu towarzyszyć. Wyjechaliśmy o świcie, ciężarówką i *Kübelwagen*, terenowym pojazdem wypożyczonym na tę okazję przez dywizję stacjonującą w Perejasławiu. Padał deszcz, rzęsisty, bez końca, byliśmy przemoczeni, zanim wyjechaliśmy z miasta. Zapach mokrej wełny wypełniał wnętrze pojazdu. Herpe, szofer Otta, sprawnie manewrował, omijając najgorsze rozlewiska. Koła regularnie rozjeżdżały się na glinie, czasem udawało mu się kontrolować poślizg, ale zazwyczaj pojazd stawał w poprzek drogi i musieliśmy wysiadać, żeby go przepchać na właściwe miejsce; grzęźliśmy w błocie po kostki, niektórzy nawet zostawiali w nim swoje buty. Wszyscy klęli, krzyczeli, złorzeczyli. Ott kazał załadować do ciężarówki deski, które teraz podkładaliśmy pod oblepione gliną koła; czasem pomagało, ale wystarczyło, że pojazd nie był odpowiednio wyważony, a zaraz jedno z kół napędowych, pozbawione

podparcia, zaczynało kręcić się w powietrzu, opryskując nas obficie strumieniami płynnego mułu. Wkrótce moja kurtka i spodnie były całe uwalane. Niektórzy żołnierze mieli ubłocone twarze, świeciły w nich tylko zmęczone oczy; wypychali pojazd z mułu, oplukiwali szybko ręce w kałużach i wsiadali z powrotem. Wioska była oddalona od Perejasławia o siedem kilometrów, dojazd zajął nam trzy godziny. Zaraz po przybyciu Ott wyznaczył jedną grupę do blokowania wjazdu przy ostatnich zabudowaniach, a sam rozstawiał resztę po obu stronach głównej ulicy. Nędzne chałupy cisnęły się jedna obok drugiej w strumieniach deszczu, z ich słomianych dachów spływała woda — prosto do zalanych ogródków. Natrafialiśmy gdzieś na stadka przemoczonych kurczaków; oprócz nich nie było tutaj żywego ducha. Ott rozkazał jednemu z podoficerów, by z tłumaczem poszedł po sołtysa. Wrócili mniej więcej po dziesięciu minutach, prowadząc staruszkę okutanego w tułup, w zeżartej przez mole czapce z królika. Ott przesłuchał go na stojąco, w strugach deszczu; staruch skamlał, przysięgał, że nie widział żadnych partyzantów. Ott się irytował. „Mówi, że zostali tu sami starcy i kobiety, tłumaczył *Dolmetscher*. Wszyscy mężczyźni zginęli albo uciekli”. — „Powiedz mu, że jeżeli kogokolwiek znajdziemy, on zawiśnie pierwszy!”, krzyknął Ott. Wysłał żołnierzy, żeby przeszukali chaty. „Sprawdźcie pod podłogą! Czasami kopią sobie schrony”. Poszedłem z jedną z grup. Błoto na jedynej uliczce w wiosce było tak samo lepkie i ciężkie jak na drodze, wnosiliśmy do domów na butach całe bryły gliny, roznosiło się to potem wszędzie. Wewnątrz, rzeczywiście, znajdowaliśmy tylko starców, brudne kobiety i zawszone dzieciaki leżące na wielkich bielonych piecach z gliny. Nie było czego przeszukiwać: w każdej chałupie klepisko, bez desek, prawie żadnych sprzętów, żadnych strychów, dachy spoczywały bezpośrednio na ścianach. Śmierdziało brudem, stęchlizną, moczem. Za szeregiem domów stojących po lewej stronie uliczki zaczynał się brzozy zagajnik na niewielkim wzniesieniu. Wszedłem pomiędzy dwie chaty i przeszukałem skraj lasku. Krople wody zwisały z drzew i listowia, zeszłoroczne gnijące liście, które pokrywały ziemię, puchły od wilgoci. Wzniesienie było śliskie, szedłem z trudem. Zagajnik był chyba pusty, ale przy tej ulewie niewiele można było dostrzec. Zwróciłem uwagę na stos gałęzi, w którym coś dziwnie się poruszało: na brązowych liściach roiło się od setek małych czarnych żuków, a pod spodem leżały rozkładające się ludzkie zwłoki w strzępach brunatnych mundurów. Poczulem wstręt na widok owadów, próbowałem z powrotem przykryć zwłoki, ale żuki rozpełzły się na wszystkie strony, mnożyły mi się w

oczach. Wreszcie, zniechęcony, kopnąłem stos. Jedna z czaszek oderwała się od ciała i potoczyła po błocie w dół, rozsiewając po drodze żuki. Zszedłem. Zatrzymała się obok kamienia, biała, wyczyszczona, jej oczodoły były pełne żuków, zgniłe wargi odsłaniały żółte zęby, lśniące od deszczu; szczęka rozwarła się, ukazując nienaruszone wnętrze, podniebienie, duży język, niemal jak żywy, nieprzyzwoicie różowy. Odszukałem Otta, był we wsi, ze starostą i *Dolmetscherem*. „Spytaj go, co to za trupy w zagajniku”, nakazałem tłumaczowi. Woda kapiała staremu z czapy na brodę, coś tam mamrotał, nie miał połowy zębów. „To żołnierze Armii Czerwonej. Były walki w lesie, miesiąc temu. Zginęło wielu żołnierzy. Mieszkańcy wioski pogrzebali tych, których znaleźli, ale nie szukali wszędzie”. — „A broń?” *Dolmetscher* znów przetłumaczył. „Mówi, że oddali Niemcom”. Podszedł Scharführer i zaszalutował Ottowi. „Herr Untersturmführer, tu niczego nie ma”. Ott był bardzo zdenerwowany. „Szukajcie dalej! Jestem pewien, że kogoś ukrywają”. Wróciła reszta żołnierzy i Orpo. „Herr Untersturmführer, szukaliśmy, nie znaleźliśmy niczego”. — „Szukajcie dalej, mówię wam!” Wtem z daleka dobiegł nas wysoki, piskliwy krzyk. Jakiś niewyraźny kształt zamajaczył na końcu uliczki. „Tam!”, krzyknął Ott. Scharführer zdjął karabin i strzelił w zasłonę z deszczu. Kształt rozplynął się we mgle. Żołnierze rozdzielili się, żeby go odnaleźć. „Ty skurwielu, to była kobieta!”, usłyszeliśmy czyjś głos. „Uważaj, kogo nazywasz skurwielem!”, warknął Scharführer. Jeden z żołnierzy odwrócił leżące w błocie ciało: była to młoda wieśniaczka w kolorowej chustce na głowie, w ciąży. „Po prostu spanikowała, powiedział któryś żołnierz. Nie było potrzeby strzelać”. — „Ona jeszcze żyje”, stwierdził ten, który ją oglądał. Podszedł pielęgniarz: „Zanieście ją do domu”. Podniosło ją kilku ludzi; głowa zwisała do tyłu, ubłocona sukienka kleiła się do ogromnego brzucha, krople deszczu rozpryskiwały się o ciało. Donieśli ją do domu i położyli na stole. W kącie zawodziła jakaś starucha, poza tym w izbie nie było nikogo. Dziewczyna rzeziła. Pielęgniarz rozdarł jej sukienkę i zbadał. „Już po niej. Ale niedługo miała rodzić, przy odrobinie szczęścia możemy uratować dziecko”. Zaczął komenderować żołnierzami, którzy zostali w chacie. „Nagotujcie wody”. Wyszedłem na deszcz, odszukałem Otta, stał przy samochodach. „Co się dzieje?” — „Dziewczyna umiera. Pański pielęgniarz próbuje przeprowadzić cesarskie cięcie” — „Cesarskie cięcie? Oszałał, słowo daję!” Poszedł uliczką, brodząc w mule, aż do tamtej chaty. Szedłem za nim. Wparował do środka. „Co ty wyprawiasz, Greve?” Pielęgniarz trzymał w ramionach mały zakrwawiony tobołek okryty prześcieradłem i kończył zawiązywać kikut pępownicy. Martwa dziewczyna

leżała na stole, miała otwarte oczy, była naga, cała we krwi, rozcięta od pępka po narządy płciowe. „Udało się, Herr Untersturmführer, powiedział Greve. Dziecko powinno przeżyć. Ale trzeba będzie znaleźć mamkę”. „Zwariowałaś!, krzyknął Ott. Daj mi to!” — „Dlaczego?” — „Dawaj!” Był biały jak ściana, roztrzęsiony. Wyrwał z rąk Grewego noworodka i chwyciwszy go za stopy, roztrzaskał głowę o kant pieca. Rzucił dziecko na ziemię. Greve aż się zapienił: „Czemu pan to zrobił?”. Ott darł się: „Lepiej byś dał mu zdechnąć w brzuchu matki, idioto! Powinieneś być go zostawić w spokoju! Czemu go wyjąłeś? Żle mu tam było?!”. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Greve załkał: „Nie powinien był pan tego robić, nie powinien był pan tego robić”. Szedłem za Ottem, który, mokry i ubłocony, pieklił się na Scharführera i kilku żołnierzy z oddziału. „Ott...”, zawołałem. Ktoś za mną krzyknął: „Untersturmführer!”. Odwróciłem się: Greve wyszedł z chaty z karabinem na ramieniu, dłonie miał czerwone od krwi. Cofnąłem się, a on ruszył prosto na Otta. „Untersturmführer!” Ott się odwrócił, zobaczył karabin i zaczął krzyczeć: „Co, gnoju, czego jeszcze chcesz? Chcesz strzelić, tak? No to już, dawaj!”. Scharführer też wrzeszczał: „Greve, do jasnej cholery, opuść tę broń!”. „Nie powinien był pan tego robić!”, krzyczał Greve, zbliżając się do Otta. — „No, co jest, skurwielu, strzelaj!” — „Greve, przestań natychmiast!” — darł się Scharführer. Greve strzelił; Ott dostał w głowę, odrzuciło go do tyłu i upadł z wielkim pluskiem w sam środek kałuży. Greve ciągle celował; wszyscy zamilkli. Słyszeliśmy tylko, jak krople bębnią o kałuże, o błoto, o hełmy żołnierzy, o strzechy. Greve, z karabinem na ramieniu, drżał jak osika. „Nie powinien był tego robić”, powtórzył głupio. „Greve”, powiedziałem cicho. Greve spojrzał na mnie nieprzytomnie i wycelował. Uniosłem powoli rękę, bez słowa. Greve skierował lufę w stronę Scharführera. Teraz dwóch żołnierzy wycelowało swoje karabiny w Grewego. Greve nadal trzymał na celowniku Scharführera. Żołnierze mogli go zabić w każdej chwili, ale wtedy on strzeliłby na pewno do Scharführera. „Greve, powiedział spokojnie Scharführer, zrobiłeś coś strasznego. Zgoda, Ott był łajdakiem. Ale ty zabrnąłeś w gówno po pachy”. — „Greve, powiedziałem. Niech pan rzuci broń. W przeciwnym razie będziemy musieli pana zabić. Jeżeli pan się podda, będę świadczył na pana korzyść”. — „Tak czy inaczej już po mnie”, powiedział Greve. Nadal celował w Scharführera. „Jeśli strzelicie, nie zginę sam”. Przyłożył mi karabin do czoła. Deszcz ściekał z lufy tuż przed moimi oczyma, krople osiadały mi na twarzy. „Herr Hauptsturmführer!, zawołał Scharführer. Zgadza się pan, żebym załatwił to po swojemu? Nie mnóżmy strat”.

Pokiwałem głową, że tak. Scharführer zwrócił się do Grewego. „Greve. Masz pięć minut. Potem po ciebie pójdziemy”. Greve zawahał się. Po chwili opuścił karabin i czmychnął do lasu. Zaczekaliśmy. Spojrzałem na Otta. Całą głowę miał zanurzoną w wodzie, już tylko twarz wystawała ponad powierzchnię, a pośrodku czoła ziała czarna dziura. Krew tworzyła czarniawe strużki w mętnej wodzie. Deszcz obmył twarz Otta, spadał na jego oczy, otwarte i zdziwione, woda powoli wypełniała usta, spływała z warg. „Andersen, powiedział Scharführer, weź trzech ludzi i idź po niego”. — „Nie znajdziemy go, Herr Scharführer”. — „Znajdź go”. Zwrócił się do mnie: „Ma pan jakieś zastrzeżenia, Herr Hauptsturmführer?”. Pokręciłem głową: „Żadnych”. Wróciła reszta żołnierzy. Czterech z nich poszło do lasu, z bronią w pogotowiu. Czterech innych zajęło się trupem Otta; ciągnęli go na plandecę do ciężarówki. Szedłem za nimi z Scharführerem. Załadowali ciało na budę. Scharführer dał żołnierzom sygnał do zbiórki. Chciałem zapalić, ale nie było szans, nawet pod plandeką. Ludzie grupami zbierali się wokół pojazdów. Czekaliśmy na tych, których Scharführer wysłał po Grewego, nasłuchiwałem odgłosów wystrzałów. Zauważyłem, że sołtys przezornie zniknął, ale nic nie powiedziałem. Wreszcie zamajaczył Andersen i trzech innych, niczym szare zjawy w strugach deszczu. „Szukaliśmy w lesie, Herr Scharführer. Nie znaleźliśmy. Musiał się dobrze schować”. — „No dobra. Wsiadajcie”. Scharführer popatrzył na mnie: „Zrobią to za nas partyzanci. Dopadną tego skurwysyna”. — „Powiedziałem już, Scharführer, nie mam żadnych zastrzeżeń do pańskiej decyzji. Zapobiegł pan kolejnemu rozlewowi krwi, gratuluje”. — „Dziękuję, Herr Hauptsturmführer”. Ruszyliśmy w drogę, wioząc ze sobą ciało Otta. Powrót do Perejasławia zajął nam jeszcze więcej czasu. Po przyjeździe, nie przebrawszy się nawet, poszedłem opowiedzieć o zajściu Häfnerowi. Długo myślał. „Sądzi pan, że dołączy do partyzantów?”, spytał wreszcie. — „Sądzę, że jeżeli w tych okolicach rzeczywiście są partyzanci i jeżeli go znajdą, to go zabiją. A jeśli nie, to i tak nie przetrzyma zimy”. — „A jeśli będzie próbował zamieszkać w wiosce?” — „Ludzie za bardzo się boją, wydadzą go. Albo nam, albo partyzantom”. — „No dobrze”. Pomyślał jeszcze przez chwilę. „Ogłoszę go dezertorem, uzbrojonym i niebezpiecznym. I tyle”. Znow zrobił pauzę. „Biedny Ott. To był dobry oficer”. — „Jeżeli chce pan znać moje zdanie, odparłem zimno, od dawna należał mu się wypoczynek. Być może uniknęlibyśmy tego zdarzenia”. — „Bez wątpienia ma pan rację”. Pod moim krzesłem z minuty na minutę rosła wielka kałuża. Häfner wyciągnął szyję i uniósł kanciasty podbródek: „Ależ bagno. Zechciałby się pan zająć

raportem dla Standartenführera?”. — „Nie, to w końcu pańskie Kommando. Niech pan go przygotuje, a ja złożę podpis, jako świadek. Proszę także wykonać kopie dla Anit III”. — „Zrozumiano”. Nareszcie mogłem się przebrać i wypalić papierosa. Ciągle lało, miałem wrażenie, że to się nigdy nie skończy.

Znów zacząłem źle sypiać; w Perejasławiu chyba nie mogło być inaczej. Żołnierze marudzili, chrapali, a gdy wreszcie udało mi się zdrzemnąć, zgrzytanie zębów młodego z Waffen-SS przerywało mój sen i wybijało mnie z niego na dobre. W tym męczącym półśnie twarz Otta w wodzie i czaszka radzieckiego żołnierza stapiały się w jedno: Ott leżał w kałuży, otwierał szeroko usta i pokazywał mi język, mięsisty, różowy i wilgotny, jak gdyby zachęcał mnie do pocałunku. Budziłem się ogarnięty lękiem, zmęczony. Przy śniadaniu znowu dostałem napadu kaszlu, a potem złapały mnie gwałtowne mdłości; schroniłem się w pustym korytarzu, ale nic więcej się nie stało. Wróciłem do mesy, czekał tam na mnie Häfner z depeszą. „Charków zdobyty, Herr Hauptsturmführer. Standartenführer oczekuje pana w Połtawie”. — „W Połtawie?” Pokazałem zalane deszczem okna. „Przesadza. Jak mam tam dojechać?”

— „Ciągle jeszcze kursują pociągi z Kijowa do Połtawy. Chyba że akurat partyzanci wykoleją któryś z nich. Do Jagodzina wyjeżdża konwój *Rollbahn*; dzwoniłem do dywizji, zgadzają się pana zabrać. Jagodzin leży po drodze. Tam pan sobie poradzi, znajdzie pan jakiś pociąg”. Häfner był bardzo przekonujący. „Dobrze, pójde powiedzieć szoferowi”. — „Nie, pański szofer zostanie tutaj. Opel nie dotrze do Jagodzina. Pojedzie pan w jednej z ciężarówek konwoju. Szofera i samochód wyślę do Kijowa najszybciej jak się da”. — „Rozumiem”. Poszedłem się spakować. Usiadłem przy stole i napisałem list do Thomasa, w którym bez owijania w bawełnę zreferowałem mu wydarzenia z poprzedniego dnia: *Porozmawiaj o tym z Brigadeführerem, bo dobrze wiem, że Blobel będzie w tej sprawie bronił wyłącznie własnego tyłka. Trzeba z tego zajścia wyciągnąć wnioski, bo inaczej może się powtórzyć.* Skończyłem, zapieczętowałem kopertę i odłożyłem na bok. Poszedłem poszukać Riesa. „Niech no mi pan powie, Ries, ten pański mały *Kindersoldat*, ten żołnierzyk, co tak zgrzyta zębami. Jakże on się nazywa?” — „Hanika? Franz Hanika. Ten, którego panu pokazywałem?” — „Tak, ten. Mógłby mi go pan dać?” Uniósł brwi, był zaskoczony. „Dać go panu? A po co?” — „Zostawiam tu swojego szofera, ordynansa

zostawiłem w Kijowie, potrzebuję jakiegoś innego. Poza tym w Charkowie będzie mógł spać osobno, nie będzie nikomu przeszkadzał”. Ries był zachwycony: „No wie pan, Herr Hauptsturmführer, jeżeli mówi pan poważnie... Jeśli o mnie chodzi, to z miłą chęcią. Zapytam jeszcze Obersturmführera, ale myślę, że nie będzie miał nic przeciwko”. — „Świetnie. Pójdę pogadać z tym Haniką”. Znalazłem go w mesie, szorował garnki. „Hanika!” Stał na baczność, zauważyłem, że ma siniaka na policzku. „Tak?” — „Za parę godzin jadę do Połtawy, a potem do Charkowa. Potrzebuję ordynansa. Chcesz jechać?” Jego umęczona twarz się rozjaśniła: „Z panem?”. — „Tak. Twoja praca niewiele się zmieni, ale przynajmniej nikt ci nie będzie dokuczał”. Cały promieniał, jak dzieciak, który niespodziewanie dostał prezent. „Idź się pakować”, popędziłem go.

Podróż do Jagodzina zapamiętałem na zawsze jako długą senną marę, koszmar bez końca. Żołnierze więcej czasu spędzali na pchaniu ciężarówek niż na jechaniu w środku. Ale, choć błoto rzeczywiście było potworne, myśl o tym, co czeka nas u kresu tej podróży, była o wiele straszniejsza. „Nie mamy niczego, Herr Hauptsturmführer, rozumie pan, niczego, powtarzał mi Feldwebel. Ani ciepłej bielizny, ani pulowerów, ani futer, ani płynu przeciwko zamarzaniu, niczego. Za to czerwoni są przygotowani do zimy”. — „To są tacy sami ludzie jak my. Też zmarzną”. — „Nie o to chodzi. Zimno może być do zniesienia. Ale potrzeba odpowiedniego wyposażenia i oni je mają. A nawet jeśli nie, będą umieli sobie poradzić. Znają to od urodzenia”. Przytoczył znamieny przykład, zasłyszany od jednego z *Hiwi*: w Armii Czerwonej żołnierze dostają zawsze buty o dwa rozmiary za duże. „Od mrozu puchną stopy, no i jest jeszcze miejsce na wciśnięcie do środka słomy i gazet. Nasze buty są dopasowane. Połowa naszych żołnierzy trafi do *Revier* z amputowanymi palcami u stóp”.

Gdy dojechałem do Jagodzina, byłem tak uwalany błotem, że podoficer kierujący dworcem nie dostrzegł moich dystynkcji i przywitał mnie stekiem wyzwisk, bo naniósłem brudu do poczekalni. Położyłem bagaż na ławce i odpowiedziałem mu twardo: „Jestem oficerem i nie ma pan prawa zwracać się do mnie w ten sposób”. Wyszedłem po Hanikę, który pomógł mi opłukać się trochę przy ręcznej pompie. Podoficer zaczął giąć się w przeproszających ukłonach na widok naszywek na stójce mojego munduru, a dodam, że były to ciągle jeszcze dystynkcje Obersturmführera; zaproponował mi kąpiel i zaprosił na kolację. Oddałem mu list do Thomasa, miał pójść razem z całą pocztą. Przenocował mnie w pokoiku dla oficerów. Hanika spał na ławce w poczekalni, z żołnierzami na przepustce,

którzy czekali na pociąg do Kijowa. Kierownik stacji obudził mnie w środku nocy: „Pociąg będzie za dwadzieścia minut. Proszę wstawać”. Ubrałem się pospiesznie i wyszedłem. Deszcz ustał, ale wszystko było jeszcze mokre, szyny błyszcząły w smutnym świetle dworcowych latarni. Przyszedł Hanika, przyniósł bagaże. Przyjechał pociąg, hamował z długim zgrzytem, targany wstrząsami, wreszcie stanął. Jak każdy pociąg zbliżający się do linii frontu był w połowie pusty, mogliśmy sobie wybrać przedział. Położyłem się i zaraz zasnąłem. Jeśli nawet Hanika zgrzytał zębami, to go nie słyszałem.

Gdy się obudziłem, nie dotarliśmy nawet do Łubni. Pociąg często się zatrzymywał z powodu alarmów albo przepuszczał konwoje, które miały pierwszeństwo. Przy toalecie zapoznałem się z majorem Luftwaffe, który wracał z przepustki do swojej eskadry w Połtawie. Niemcy opuścił pięć dni temu. Opowiadał mi o nastrojach cywilów w Rzeszy, którzy nadal wierzyli w zwycięstwo, choć może już nie „rychłe”, i uprzejmie poczęstował nas chlebem i kiełbasą. Na dworcach też udawało nam się czasem dostać coś na ząb. Pociąg jechał we własnym tempie, a mnie wcale się nie spieszyło. Podczas postojów długo kontemplowałem smutek radzieckich dworców. Całkiem niedawno zainstalowane urządzenia wydawały się już stare, ciernie i chwasty zarastały tory, gdzieś tam migłał kolorem jakiś uparty kwiatek, zagubiony o tej porze roku pośród nasiąkniętego czarnym smarem żwiru. Krowy, które spokojnie przechodziły przez tory, za każdym razem wydawały się zdziwione, gdy wycie pociągowej syreny wdzierało się w ich medytację. Wszystko powleczone było ziemistą szarością błota i kurzu. Czasem na drogach wzdłuż torów jakiś umorusany dzieciak pchał rozklekotany rower albo stara chłopka biegła na stację, gdzie usiłowała sprzedać nadgniłe warzywa. Poddałem się biegowi rozgałęzień torów bez końca, kierunkom wyznaczanym przez zwrotnice, nastawiane rękoma kretynów i alkoholików. Na stacjach rozrządowych widziałem niekończące się składy wagonów, brudnych, ociekających smarem i błotem, po brzegi pełnych pszenicy, węgla, stali, ropy, bydła, całe bogactwo okupowanej Ukrainy oczekiwało na wysłanie do Niemiec, wszystko, czego potrzebują ludzie, musiało zostać przewiezione z jednego miejsca w inne, zgodnie z planem, genialnym i tajemniczym. Czy właśnie po to prowadzi się wojny, po to umierają ludzie? A przecież nawet w życiu codziennym bywa podobnie. Gdzieś tam jeden człowiek traci życie w dusznych głębinach kopalni, a gdzie indziej jakiś inny odpoczywa w ciepłe, otulony w alpakę, pogrążony w lekturze dobrej książki, w wygodnym fotelu, i nigdy się nie zastanawia, skąd wziął się ten fotel, ta książka, ta alpaka, to ciepło. Narodowy

socjalizm chciał sprawić, żeby w przyszłości każdy Niemiec miał na własność malutką cząstkę tego, co w życiu naprawdę dobre. Niestety Rzesza jako taka nie mogła temu sprostać; te dobre rzeczy dzisiaj zabieramy innym. Czy to jest sprawiedliwe? Dopóki to my będziemy posiadać siłę władców — tak, bo w kwestii sprawiedliwości nie istnieje absolutna instancja, każdy naród określa zakres swojej prawdy i swojej sprawiedliwości. Ale gdyby zdarzyło się, że nie będziemy już tak silni, a nasza władza zacznie słabnąć, wtedy będziemy musieli znosić sprawiedliwość innych, jakkolwiek byłaby ona straszna. I to także byłoby sprawiedliwe.

W Połtawie Blobel wysłał mnie do odwszenia, od razu, gdy tylko mnie zobaczył. Następnie nakreślił mi sytuację. „Vorkommando weszło do Charkowa dwudziestego czwartego, z LV Korpusem Armijnym. Już otworzyli tam biuro, z tym że Callsenowi brakuje ludzi i pilnie domaga się posiłków”. Ale tymczasem wszystkie drogi są nieprzejezdne z powodu deszczu i błota. Pociąg nie jechał dalej, bo tory nadawały się do naprawy, należało je też poszerzyć, a to można zrobić dopiero wtedy, gdy drogi staną się przejezdne. „Gdy tylko nastaną pierwsze przymrozki, pojedzie pan do Charkowa, a z panem kilku oficerów i oddziały. Kommandostab dojedzie do pana później. Całe Kommando zajmie swoje zimowe kwatery w Charkowie”.

Hanika szybko okazał się lepszym ordynansem niż Popp. Każdego ranka miałem wypastowane buty oraz wyczyszczony, suchy i wyprasowany mundur; przy śniadaniu zawsze wymyślał coś, by urozmaicić powszedniość posiłku. Był bardzo młody, przenieśli go z Hitlerjugend do Waffen-SS, a tam przydzielono go do Sonderkommando; nie brak mu było zalet. Przyuczyłem go do segregowania papierów, żeby mógł je układać i wyszukiwać potrzebne mi dokumenty. Ries nie poznał się na prawdziwym diamencie: chłopak był ułożony, usłużny, wystarczyło odpowiednio do niego podejść. W nocy najchętniej spałby na moim progu, jak pies albo sługa z rosyjskich powieści. Odżywiony, wypoczęty, zaokrąglił się nieco na twarzy, był w sumie ładnym chłopcem, pomimo młodzieńczego trądziku.

Blobel stawał się coraz bardziej nieprzewidywalny, pił, miewał napady straszliwego szału bez żadnego powodu. Wybierał sobie kozła ofiarnego spośród oficerów i całymi dniami nie dawał mu spokoju, dręczył, czepiał się jego pracy. A jednocześnie był to dobry organizator, miał rozwinięte wyczucie priorytetów i praktycznych rygorów. Na szczęście

jeszcze nie mógł przetestować nowego cacka — saurera; ciężarówka była unieruchomiona w Kijowie, niecierpliwie czekał na jej przyjazd. Na samą myśl o jej użyciu dostawałem zimnych dreszczy i miałem nadzieję, że wyjadę, zanim saurer tu dotrze. Ciągłe nękały mnie okrutne mdłości, czasem towarzyszyły temu bolesne i męczące gazy; nikomu o tym nie mówiłem. Sny także zachowywałem dla siebie. Teraz prawie co noc wsiadałem do metra, było za każdym razem inne, lecz zawsze jakby nie na miejscu, nie na czas, trudne do przewidzenia, odbywała się we mnie bezustanna jazda w tę i z powrotem, ruch mechanicznych schodów i wind, w górę i w dół, z poziomu na poziom, drzwi otwierały się i zamykały w zmiennym rytmie, światła zmieniały się z zielonego na czerwone, chociaż pociągi nie stawały, tory krzyżowały się bez zwrotnic, a na ostatniej stacji na próżno czekali ludzie, sieć korytarzy była bezładna, hałaśliwa, ogromna, bez końca, a ruch na niej ciągły i bezsensowny. W młodości uwielbiałem metro; odkryłem je w wieku siedemnastu lat, gdy przyjechałem do Paryża, podróżowałem nim przy każdej okazji. Odczuwałem przyjemność płynącą z ruchu, z patrzenia na ludzi, na przesuwane się za oknami stacje. Rok wcześniej zarząd metra wznowił jazdy na linii północ-południe i za cenę jednego biletu mogłem przejechać całe miasto, od krańca do krańca. Wkrótce lepiej znałem podziemną topografię Paryża niż jego powierzchnię. Wychodziłem w nocy z kolegami ze szkoły, mieliśmy dorobiony klucz, który studenci przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie, i dzierżąc w garściach latarki, czekaliśmy na odjazd ostatniego składu, wślizgiwaliśmy się do korytarzy i szliśmy po torach od stacji do stacji. Szybko odkryliśmy liczne przejścia i zamknięte dla pasażerów studnie, które służyły nam za kryjówkę, gdy kolejarze, którym zakłócaliśmy nocną pracę, próbowali nas złapać. Te nocne eskapady na zawsze pozostawiły w mojej pamięci ślad silnych emocji, poczucia przyjaznego bezpieczeństwa i ciepła, bez wątplenia o delikatnym posmaku erotycznym. Już wtedy metro pojawiała się w moich snach, ale teraz wiozło ze sobą przezroczyisty i kwaśny lęk, nie mogłem nigdy dojechać tam, gdzie powinienem, spóźniałem się z przesiadkami, drzwi wagonów zamykały mi się przed nosem, jechałem bez biletu, bałem się kontrolerów, często budziłem się ogarnięty zimną, gwałtowną paniką i czułem, że mam wszystkiego dość.

Pierwsze przymrozki ścięły błoto na drogach i mogłem wreszcie wyjechać. Zimno spadło na nas zniecka, w ciągu jednej nocy; rankiem byliśmy radośni, para leciała nam z ust, okna były białe od szronu. Przed wyjazdem założyłem wszystkie pulowery, Hanika za

kilka marek kupił mi gdzieś czapkę z nutrii; w Charkowie trzeba będzie jak najszybciej zaopatrzyć się w ciepłe ubrania. W podróży mieliśmy czyste, błękitne niebo, chmary wróbli krążyły przy lasach, chłopci w wioskach cięli trzcinę porastającą brzegi zamrożonych stawów i okładali nią chaty. Droga nadal była niebezpieczna: napotykaliliśmy zmrożone, bezkształtne masy błota, spiętrzone w koleinach, które pozostawiły po sobie przejeżdżające czołgi i ciężarówki — te stwardniałe granie powodowały poślizgi, przecinały opony, czasem nawet sprawiały, że ciężarówka wywracała się na bok, gdy szofer źle obliczył zakręt i tracił panowanie nad pojazdem. W innych miejscach, pod cienką skorupką lodu, która pękała z trzaskiem pod naporem kół, nadal tkwiła warstwa lepkiego, zdradliwego błota. Wokół ciągnął się pusty step, żółte pola, gdzieś lasy. Połtawę i Charków dzieli około stu dwudziestu kilometrów, podróż zajęła nam cały dzień. Wjeżdżaliśmy do miasta przez zburzone przedmieścia o wypalonych, porozrywanych, poprzewracanych domach, pomiędzy którymi, niestarannie odsunięte na pobocza, piętrzyły się w niewielkich stertach powykręcane i spalone skorupy sprzętu wojennego, straconego podczas bezskutecznej obrony. Vorkommando stacjonowało w hotelu International przy ogromnym głównym placu miasta, nad którym górowało konstruktywistyczne skupisko gmachów Gazpromu — ogromne sześciiany rozstawione na planie półkola, zwieńczone dwoma kanciastymi łukami i parą wieżowców, osobliwa budowla w centrum tego leniwego miasta, pełnego drewnianych domów i starych cerkwi pamiętających czasy carów. Tuż obok, po lewej, masywne fasady siedziby Domu Projektów, podpalonej podczas walk, ziały rzędami pustych, czarnych okien; imponujący Lenin z brązu stał pośrodku placu odwrócony plecami do obu budowli i, nie zważając na niemieckie samochody i czołgi u swych stóp, szerokim gestem zapraszał do siebie przechodniów. W hotelu panowało zamieszanie; większość pokoi miała powybijane szyby, cierpki chłód dostawał się do środka. Zająłem niewielki apartament, mniej więcej nadający się do zamieszkania, kazałem Hanice zrobić coś z oknami i ogrzewaniem, po czym zszedłem odszukać Callsena. „Walki o miasto były zacięte, podsumował Callsen, dużo zniszczeń, sam pan widział; trudno będzie znaleźć lokum dla całego Sonderkommando”. Vorkommando zaczęło już pracę wywiadowczą i przesłuchiwało podejrzanych. Oprócz tego, na prośbę 6. Armii trzymano licznych zakładników, aby zapobiec aktom sabotażu, tak jak to miało miejsce w Kijowie. Callsen przedstawił mi swoją analizę polityczną. „Ludność w mieście jest w większości rosyjska, problemy

związane z napiętą sytuacją z Ukraińcami będą tu mniej nasilone. Jest tu także sporo Żydów, chociaż wielu uciekło razem z bolszewikami. Blobel rozkazał zebrać i rozstrzelać żydowskich przywódców. Resztą zajmiemy się później”.

Hanika zdołał zasłonić okna w pokoju kartonami i brezentem, ustawił kilka zapalonych świec, ale w pomieszczeniach nadal było lodowato. Przez dłuższą chwilę, siedząc na tapczanie i patrząc, jak parzy mi herbatę, oddawałem się pewnej fantazji: jest zimno, więc zapraszam go do siebie do łóżka, tłumacząc, że tak będzie nam cieplej, a w nocy, bardzo powoli, wsuwam mu dłoń pod koszulę, całuję go w młode usta i wyłuskuję z rozporka sztywny członek. Romans z podwładnym, nawet za jego zgodą, był nie do pomyślenia. Ale tak dawno nie wyobrażałem sobie podobnych rzeczy, że teraz nie próbowałem nawet bronić się przed słodkimi fantazjami. Patrzyłem na jego kark i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek był z dziewczyną. Był naprawdę bardzo młody, ale my, może nawet jeszcze młodsi, robiliśmy w internacie z chłopcami wszystko, co mogliśmy wtedy robić, a starsi, którzy mieli wtedy pewnie tyle lat co Hanika teraz, znajdowali sobie w pobliskim miasteczku dziewczyny, chętne do igraszek. Błądziłem myślami: zamiast wątego chłopięcego karku widziałem teraz mocne karki innych mężczyzn, tych, których znałem, lub tych, na których kiedyś po prostu zwróciłem uwagę, i patrzyłem na te karki tak, jakby patrzyła na nie kobieta, bo nagle stało się dla mnie przeraźliwie jasne, że męska kontrola i dominacja to mit, że mężczyźni to dzieci, zabawki, służące kobietom do osiągnięcia przyjemności, przyjemności nigdy nie zaspokojonej i o tyle osobliwej, że — chociaż mężczyźni mają złudzenie kontroli i sądzą, że panują nad kobietami — w rzeczywistości to one wysysają z nich wszystko, rujnują ich dominację i łamią kontrolę, żeby na koniec dostać od nich dużo więcej, niż oni sami chcieliby dać. W swej świętej naiwności mężczyźni uważają, że kobiety są bezbronne i że trzeba je w związku z tym wykorzystywać lub chronić, a tak naprawdę to kobiety, pełne tolerancji i uczucia, a czasem także pogardy, kpią sobie z dziecięcej i nieskończonej bezbronności mężczyzn, z ich wrażliwości, z kruchości, prowadzącej tak często do całkowitej utraty kontroli, z tego, jak bardzo są podatni na załamania, i z próżności zamkniętej w silnych męskich ciałach. Dlatego zapewne kobiety zabijają tak rzadko. Tak, ich cierpienie jest większe, ale to one mają zwykle ostatnie słowo. Wypiłem herbatę. Hanika zaścielił mi łóżko wszystkimi kocami, jakie udało mu się znaleźć; wziąłem dwa i położyłem na sofie

w saloniku, tam, gdzie spał. Zamknąłem drzwi i onanizowałem się szybko, i zaraz potem zasnąłem, z dłońmi i podbrzuszem umazanymi spermą.

Z jakiegoś powodu, być może po to, by pozostać blisko von Reichenaua, który miał tam swój sztab generalny, Blobel postanowił stacjonować w Połtawie, zatem ponad miesiąc czekaliśmy na Kommandostab. Vorkommando nie próżnowało. Tak jak w Kijowie zająłem się tworzeniem siatki informatorów; było to ważne ze względu na mieszaną ludność, emigrantów z całego ZSRR, pośród których kryła się zapewne spora liczba szpiegów i sabotażystów. Nie mogliśmy trafić na żadną listę, żaden dokument NKWD: przed odwrotem przeprowadzili metodyczne czyszczenie archiwów, nie zostawili niczego, co mogłoby nam ułatwić działanie. Praca w hotelu stawała się dość uciążliwa: gdy miałem zamiar spisać raport albo przeprowadzić rozmowę z lokalnym współpracownikiem, z sąsiedniego pokoju zaczynały dobiegać krzyki jakiegoś przesłuchiwanego mężczyzny; przygnębiało mnie to. Któregoś wieczoru do kolacji podano czerwone wino — ledwo skończyłem jeść, wszystko podeszło mi do gardła. Nigdy jeszcze nie odczułem tego tak gwałtownie, ogarnął mnie niepokój. Przed wojną nigdy nie wymiotowałem, właściwie ostatni raz robiłem to we wczesnym dzieciństwie, i zastanawiałem się, z czego to może wynikać. Hanika, który przez drzwi łazienki słyszał, jak męczą mnie torsje, zasugerował, że jedzenie mogło być nieświeże albo że zaraziłem się gripą żołądkową; zaprzeczyłem, to nie było to, dobrze wiedziałem, bo zaczęło się dokładnie tak samo jak kiedyś — od kaszlu i uczucia ciężkości, jak gdyby coś stanęło mi w gardle, tyle że tym razem „to” poszło wyżej i zwróciłem cały, ledwie nadtrawiony posiłek wymieszany z winem — czerwoną, ohydą papkę.

Wreszcie Kuno Callsen otrzymał z Ortskommandantur pozwolenie na wprowadzenie Sonderkommando do lokali po NKWD, przy ulicy Sownarkomowskiej, gdzie mieściły się sowieckie komisariaty ludowe. Ten wielki, pochodzący z początków wieku gmach zbudowany był na planie litery L, a główne wejście znajdowało się przy małej, prostopadłej uliczce, obrośniętej ogołoconymi wtedy przez zimę drzewami; tablica w rogu informowała po rosyjsku, że w czasie wojny domowej w maju 1920 roku miał tutaj swoją siedzibę słynny Dzierżyński. Oficerowie nadal mieszkali w hotelu. Hanika wytrzasnął skądś piecyk. Niestety, ustawił go w saloniku, gdzie spał, i gdy zostawiałem

otwarte drzwi, jego okropne zgrzytanie zębów rujnowało mój sen. Kazałem mu dobrze nagrzewać oba pomieszczenia za dnia, tak żebym mógł na noc zamykać drzwi, ale o świcie budził mnie chłód, zacząłem więc sypiać w ubraniu i wełnianej czapce, aż w końcu Hanika znalazł mi pierzyny, które układałem jedna na drugiej, by spać nago, jak to miałem w zwyczaju. Wymiotowałem niemal każdego wieczoru, czasem co drugi wieczór, natychmiast po posiłku, a raz nawet zanim skończyłem: wypilem zimne piwo do wieprzowych żeberek, podeszło mi to do gardła tak szybko, że ciecz była jeszcze chłodna, obrzydliwe uczucie. Wprawdzie zawsze udawało mi się robić to higienicznie, wymiotowałem do toalety albo do umywalki, starając się zachować dyskrecję. Było to wyczerpujące: potężne mdłości, które poprzedzały zwracanie jedzenia, męczyły mnie, na długi czas wypompowywały ze mnie całą energię. Dobrze chociaż, że wymiotowałem tak szybko, treść żołądkowa nie zdążyła skwaśnieć, proces trawienia dopiero się zaczynał, masa była praktycznie bez smaku, po wszystkim płukałem usta wodą i czułem się lepiej.

Specjaliści z Wehrmachtu starannie spenetrowali wszystkie budynki użytku publicznego w poszukiwaniu materiałów wybuchowych i min, rozparcelowali też kilka pojazdów pancernych. Pomimo to, kilka dni po pierwszych opadach śniegu, wybuchła bomba podłożona w Domu Armii Czerwonej i zabiła dowódcę 60. dywizji, szefa sztabu, IA, i trzech komisarzy; odnaleziono ich ciała, były straszliwie okaleczone. W ciągu jednego dnia odnotowano cztery eksplozje; żołnierze szaleli z wściekłości. Dowódca inżynierii 6. Armii, Oberst Selle, wydał rozkaz umieszczenia Żydów we wszystkich większych budynkach, co miało zapobiec kolejnym zamachom. Von Reichenau żądał represji. Vorkommando się nie mieszało, wszystkim zajął się Wehrmacht. Ortskommandant kazał wieszać zakładników na wszystkich balkonach w mieście. Za naszymi biurami były dwie ulice: Czernyszewskiego i Girchmana; stykały się ze sobą, tworząc nieregularną przestrzeń, coś w rodzaju dzikiego placu upstrzonego niewielkimi domkami, stojącymi bez ładu i składu. Wiele z tych kamieniczek, z różnych epok i o różnych kolorach, miało fasady w kształcie ściętego narożnika, a ich eleganckie bramy wieńczyły małe balkony; wkrótce na każdej balustradzie wisieli ludzie — po jednym, po dwóch, jak worki. W którymś z tych domów — bladezielonym, trzypiętrowym — zaprojektowanym przez jakiegoś mistrza sprzed Wielkiej Wojny, dwa atletyczne kamienne olbrzymy podtrzymywały balkon białymi ramionami, uniesionymi ponad głowy: przechodząc, zauważyłem między tymi niewzruszonymi kariatydami kołyszące się

ciało. Każdy wisielec miał na szyi tablicę z rosyjskim napisem. Lubiłem chodzić do biura wzdłuż lip i topoli, którymi obsadzona była ulica Liebknechta, albo przez rozległy ogród Syndykatów, koło pomnika Szewczenki; to było tylko kilkaset metrów, a za dnia ulice były bezpieczne. Na Liebknechta także wisieli ludzie. Pod jednym z balkonów zebrał się spory tłum. Kilku żandarmów polowych stało w drzwiach balkonowych i solidnie przywiązywało do barierki sześć sznurów zakończonych pętlą. Potem znikli w ciemnym pomieszczeniu. Po chwili znów wyszli, niosąc człowieka ze skrupowanymi rękami i nogami, z workiem na głowie. Jeden z żandarmów polowych założył mu pętlę na szyję, potem tabliczkę, a następnie zdjął worek z głowy. Przez moment widziałem wytrzeszczone oczy tego człowieka, wielkie, jak u rozszalałego konia; zamknął je, jak gdyby nagle dopadło go zmęczenie. Dwóch żandarmów uniosło skazańca i zaczęło powoli spuszczać z balkonu. Skrupowane mięśnie zadrgały w potwornych skurczach, a potem się rozluźniły, chrupnął łamany kark i mężczyzna zawisł, huśtając się łagodnie, podczas gdy żandarmi już wieszali następnego. Ludzie patrzyli do końca, i ja też patrzyłem, przepełniony nie dobrą fascynacją. Chciwie przyglądałem się twarzom skazańców, na sekundę przed przerzuceniem ich na drugą stronę barierki: te twarze, oczy, przerażone albo przerażająco zrezygnowane, nie mówiły mi nic. Kilku chybotą się z groteskowo wywalonymi na wierzch językami, strużki śliny spływały im z ust na chodnik, niektórzy gapie się śmiali. Lęk zalewał mnie jak wielka fala, wzdrygałem się na dźwięk uderzających o chodnik kropli śliny. W młodości widziałem jednego wisielca. Było to w tym obrzydliwym internacie, w którym mnie zamknięto; cierpiałem z tego powodu, nie ja jeden zresztą. Któregoś wieczoru, po kolacji, odbywały się jakieś specjalne modły, nie pamiętam już, w jakiej intencji, mnie udzielono dyspensy, ze względu na luterzańskie pochodzenie (to było katolickie gimnazjum), mogłem więc wrócić do pokoju. Dormitoria przypisane były poszczególnym klasom, w każdym stało około piętnastu piętrowych łóżek. Idąc do siebie, wstąpiłem do sąsiedniego pokoju, w którym spali ci z trzeciej klasy; ja byłem wtedy w drugiej, musiałem mieć jakieś piętnaście lat. Siedziało tam dwóch chłopców, którzy też wymknęli się z mszy: Albert, z którym byłem, w ten czy inny sposób, związany, i Jean R., dziwny chłopak, niezbyt lubiany, uczniowie bali się go, bo często zdarzało mu się wpadać nagle w gwałtowny, nieopanowany szał. Pogadałem z nimi chwilę i poszedłem do siebie, położyłem się z książką, była to powieść E.R. Burroughsa, lektura, rzecz jasna, zakazana, jak zresztą wszystko w tym więzieniu. Kończyłem właśnie

drugi rozdział, gdy usłyszałem głos Alberta, wył nieludzko: „Pomocy! Pomocy! Do mnie!”. Wskoczyłem z łóżka z bijącym sercem i nagle sparaliżowała mnie myśl: a może Jean R. właśnie zabija Alberta? Albert wciąż krzyczał. Zmusiłem się, żeby pójść zobaczyć, o co chodzi; zdjęty ogromnym strachem, gotów do ucieczki, podszedłem do drzwi i pchnąłem je. Jean R. wisiał na jednej z belek na czerwonej taśmie owiniętej wokół szyi, miał całkiem siną twarz, Albert wrzeszczał, trzymał go za nogi i próbował unieść do góry. Wypadłem z pokoju i zbiegłem po schodach, teraz i ja krzyczałem, przemierzyłem dziedziniec, chciałem jak najszybciej znaleźć się w kaplicy. Wyszło kilku profesorów, zawahali się, po czym zaczęli biec w moją stronę, a za nimi tłum uczniów. Zaprowadziłem ich do pokoju, każdy chciał wejść do środka; kiedy zrozumieli, co się stało, dwóch profesorów zablokowało drzwi, kazali uczniom cofnąć się na korytarz, ale ja byłem już wewnątrz, widziałem wszystko. Dwóch czy trzech profesorów podtrzymywało Jeana R., a jeden czynił wściekle wysiłki, żeby przeciąć grubą taśmę scyzorykiem albo kluczem. Albert, skulony w kącie, łkał, przyciskając dłonie do twarzy. Ojciec Labourie, mój profesor greki, obiema rękami próbował rozewrzeć szczękę Jeana R., z całych sił starał się rozdzielić zaciśnięte zęby, na próżno. Dokładnie zapamiętałem głęboko siną i lśniąca twarz Jeana R., jego fioletowe wargi pokryte białą pianą. Kazano mi wyjść. Tamtą noc spędziłem w izolatce, chcieli oddzielić mnie od reszty chłopców, tak sędzę; nie wiem, gdzie umieścili Alberta. Później przysłano do mnie ojca Labourie, mężczyznę delikatnego i pełnego cierpliwości, co w tej placówce było rzadką zaletą. Nie był podobny do innych księży, lubiłem z nim rozmawiać. Na drugi dzień zebrano nas wszystkich w kaplicy i uraczono długim kazaniem o tym, jak wstrętnym czynem jest samobójstwo. Jak nas poinformowano, Jean R. przeżył; należało modlić się za jego grzeszną duszę. Nigdy więcej go nie ujrzeliśmy. Ponieważ wszyscy byli wstrząśnięci z powodu tego zdarzenia, ojcuzłkowie postanowili zabrać nas na długą wędrówkę po lesie. „To bez sensu”, powiedziałem Albertowi, gdy go spotkałem na korytarzu. Był nieobecny, spięty. Ojciec Labourie podszedł do mnie i powiedział cicho: „Chodź, chodź z nami. Nawet, jeżeli jest ci to obojętne, dzięki tobie inni poczują się lepiej”. Wzruszyłem ramionami i dołączyłem do grupy. Szliśmy przez kilka godzin; i rzeczywiście, wieczorem wszyscy byli uspokojeni. Mogłem wrócić do swojego pokoju, gdzie natychmiast obiegli mnie koledzy. Podczas wędrówki Albert opowiedział mi, że Jean R. wszedł na swoje łóżko i, założywszy sobie pętlę na szyję, zawołał: „Hej, Albert, patrz”, po czym skoczył. Nad charkowskim

chodnikiem wolno kołysały się ciała powieszonych. Żydzi, Rosjanie, Cyganie. Wszyscy ci posepni, obwiązani wisielcy przypominali mi poczwarki, drzemiące w cierpliwym oczekiwaniu na metamorfozę. Było jednak w tym wszystkim coś, co nadal mi umykało. Zacząłem w końcu zauważać, że niezależnie od tego, jak wielka byłaby liczba oglądanych przeze mnie trupów, czy też ludzi przeżywających swe ostatnie chwile, to nigdy nie uda mi się uchwycić śmierci, tej dokładnie określonej chwili, tego mgnienia. Jedno z dwojga: albo człowiek jest martwy, i wtedy wszystko jasne, albo też jeszcze martwy nie jest, a wtedy, nawet z lufą na potylicy, nawet z pętlą na szyi, nie potrafi zrozumieć tej czystej abstrakcji, ogarnąć tej absurdalnej myśli, że on, żywa istota, za chwilę zniknie. Być może umierając, jesteśmy już martwi, ale nie umieramy nigdy, ten określony moment nigdy nie nadchodzi, albo raczej nadchodzi bez przerwy, pojawia się i mija, nigdy tak naprawdę nie nadszedłszy. Tak właśnie filozofowałem w Charkowie, bez wątpienia całkiem niedorzecznie, ale nie byłem w najlepszej formie.

Był koniec listopada, śnieg, szary i blady jak drobinki światła, padał powoli na rozległy, okrągły plac, nazwany teraz imieniem Adolfa Hitlera. Jakaś kobieta wisiała na długim sznurze, zawieszonym na wyciągniętym ramieniu Lenina, u stóp pomnika bawiły się dzieci, unosiły głowy, by zajrzeć jej pod spódnicę. Wisielców przybywało, Ortskommandant rozkazał, by nie zdejmować ich, *ku przestrodze*. Rosyjscy przechodnie przemykali obok nich ze spuszczoneymi głowami, niemieccy żołnierze i dzieci przyglądali się im ciekawie, żołnierze często robili zdjęcia. Od wielu dni nie wymiotowałem, miałem nadzieję, że wracam do zdrowia; ale to była tylko krótka przerwa — któregoś dnia znów mnie złapało, zwróciłem kielbasę, kapustę i piwo godzinę po posiłku, na mieście, ukryty w jakiejś bocznej alejce. Trochę dalej, na rogu ogrodu botanicznego, ustawiono szubienicę — tego dnia prowadzono nań dwóch bardzo młodych mężczyzn i kobietę, mieli związane z tyłu ręce i towarzyszył im tłum ludzi, głównie żołnierzy i oficerów niemieckich. Kobieta miała na szyi dużą tablicę, która informowała, że wszyscy troje ponoszą karę za próbę morderstwa na niemieckim oficerze. Wieszano ich. Jeden młodzieniec był jakby zdumiony, zdziwiony, że się tu znalazł, drugi był po prostu smutny, kobieta wykrzywiła twarz w straszliwym grymasie, gdy usunięto jej taboret spod nóg, i to wszystko. Bóg jeden wie, czy rzeczywiście byli zamieszani w ten zamach, wieszano właściwie każdego, kto się nawinał, Żydów, ale także radzieckich żołnierzy, ludzi bez dokumentów, chłopów, wałęsających się po mieście w poszukiwaniu jedzenia... Chodziło nie o to, by ukarać

winnych, lecz by zapobiec kolejnym zamachom poprzez sianie terroru. W Charkowie to nawet działało; odkąd ludzie zawiśli na balkonach, wybuchy ustały. Ale poza miastem sytuacja była coraz gorsza. Oberst von Hornbogen, Ic Ortskommandantur, z którym często się spotykałem, miał na ścianie w gabinecie wielką mapę okolic Charkowa z powpinanymi czerwonymi pinezkami, z których każda oznaczała atak partyzantów lub zamach. „To się staje prawdziwym problemem, wyjaśnił. Możemy opuszczać miasto wyłącznie w grupach. Do samotnych żołnierzy strzelają jak do królików. Równamy z ziemią wszystkie wioski, w których znajdujemy partyzantów, ale to na niewiele się zdaje. Zaczynamy mieć trudności z zaopatrzeniem nawet dla naszych oddziałów, trzeba będzie się zastanowić, jak zdołamy wyżywić ludność zimą”. Miasto liczyło około sześciuset tysięcy mieszkańców; nie było żadnych publicznych magazynów, chodziły słuchy o starcach umierających z głodu. „Proszę mi opowiedzieć o waszych problemach z dyscypliną”, poprosiłem Obersta, z którym od jakiegoś czasu byłem w dobrych stosunkach. „Rzeczywiście, mamy trudności. Zwłaszcza przypadki kradzieży. Żołnierze ogołocili mieszkanie radzieckiego mera, w czasie gdy on był u nas z wizytą. Wielu z nich zabiera ludziom futra i czapki. Zdarzają się także gwałty. Jakaś Rosjanka została zamknięta w piwnicy i zgwałcona kolejno przez sześciu żołnierzy”. — „Czemu pan przypisuje takie zachowania?” — „Myślę, że to kwestia morale. Ludzie są wyczerpani, brudni, zarobaczeni, nie dostają już nawet czystej bielizny, poza tym idzie zima, czują, że będzie coraz gorzej”. Pochylił się do przodu z uśmiechem na ustach: „Tak między nami, powiem panu, że ktoś nawet porobił napisy na budynkach AOK w Połtawie. Coś w stylu: *Chcemy wracać do Niemiec* albo *Jesteśmy brudni, mamy wszy, chcemy wracać do domu*. Generalfeldmarschall szalał z wściekłości, odebrał to jako osobistą zniewagę. Oczywiście przyznaje, że są napięcia i panuje niedostatek, ale twierdzi, że oficerowie mogliby czynić więcej wysiłków na rzecz politycznej edukacji żołnierzy. Tak czy inaczej najbardziej niepokojąco wygląda sprawa zaopatrzenia”.

Cienka warstwa śniegu przykryła cały plac, głowy i ramiona wisielców. Jakaś młoda Rosjanka minęła mnie i weszła szybko do siedziby Ortskommandantur, podtrzymawszy delikatnie stopą ciężkie skrzydło drzwi, żeby nie trzasnęło. Wciągnąłem głośno powietrze; kropla wody spłynęła mi z nosa i przekreśliła wargi zimną linią. Von Hornbogen bynajmniej nie natchnął mnie optymizmem. A przecież miasto wracało do życia. Folksdojcze otwierali sklepiki, czynne były ormiańskie restauracje, a nawet dwa

nocne lokale. Wehrmacht ponownie otworzył Ukraiński Teatr Dramatyczny im. Szewczenki, najpierw jednak kazał przemaalować na kolor ochry i ciężką burgundzką czerwień jego elegancką, dziewiętnastowieczną fasadę z kolumnami i ozdobami z białego stiuku, teraz podziurawionymi przez odłamki; występował tam kabaret o nazwie *Panzersprenggranate*, „Granat przeciwpancerny”, jaskrawa tablica nad wejściem obwieszczała to wszem wobec. Któregoś wieczoru zabrałem Hanikę na program satyryczny. Było to dość marne, ale zachwyceni żołnierze śmiali się i klaskali zapalczywie; niektóre numery mogły w sumie uchodzić za śmieszne. W jednej z parodii chór ubrany w biało-czarne chusty modlitewne rabinów śpiewał, w idealnej harmonii, arie z *Pasji według św. Jana*:

Wir haben ein Gesetz

Und nach dem Gesetz

Soll er sterben.

Bach, pomyślałem, człowiek pobożny, nie byłby zadowolony z takich igraszek. Ale musiałem przyznać, że było to komiczne. Twarz Haniki jaśniała, oklaskiwał wszystkie numery, chyba był szczęśliwy. Tego wieczoru czułem się dobrze, nie wymiotowałem, napawałem się ciepłem i atmosferą panującą w teatrze. Podczas antraktu poszliśmy do bufetu i zaprosiłem Hanikę na kieliszek zmrożonej wódki; poczerwieniał, nie był przyzwyczajony. Poprawiając mundur przed lustrem, dostrzegłem plamę. „Hanika, spytałem, co to jest?” — „Co takiego, Herr Hauptsturmführer?” — „Ta plama”. Przyjrzał się. „Nic nie widzę, Herr Hauptsturmführer”. — „Jest, jest, upierałem się, jest plama, tutaj, widzisz, trochę ciemniejszy materiał. Musisz lepiej trzeć podczas prania”. — „Tak jest, Herr Hauptsturmführer”. Plama nie dawała mi spokoju. Próbowałem o niej zapomnieć, wypilem jeszcze kieliszek, wróciłem na salę na drugą część przedstawienia. Potem, w towarzystwie Haniki, szedłem piechotą w górę dawnej ulicy Liebknechta, która teraz nazywała się Horst-Wesselstrasse czy coś w tym rodzaju. W okolicach parku dwie stare kobiety pilnowane przez żołnierzy odcinały wisielca. Ci Rosjanie, pomyślałem, ci, których wieszamy, mają przynajmniej matki, które ścierają im z czoła ostatni pot, zamykają oczy, składają ramiona i grzebią ich godnie i z czułością. Przypomnieli mi się wszyscy Żydzi,

których oczy, przysypane ziemią w kijowskim wąwozie, pozostaną otwarte na wieki; pozbawiliśmy ich życia, ale także tej czułości, bo razem z nimi zabiliśmy ich matki, żony i siostry, nie zostawiliśmy nikogo, kto mógłby nosić po nich żałobę. Ich przeznaczeniem była gorycz zbiorowej mogiły, ich żałobną uczta — tłusta gleba Ukrainy, która wypełnia im usta, jedynym kadyszem za nich — szum wiatru nad stepem. Taki sam los czekał ich współwyznawców z Charkowa. Blobel zjawił się wreszcie z Hauptkommando i odkrył wściekły, że nie zostały podjęte żadne kroki, oprócz nakazu noszenia żółtej gwiazdy. „Co oni tam robią w tym Wehrmachcie?! Chcą przeżyć zimę pośród trzydziestu tysięcy terrorystów i dywersantów?!” Przywiózł ze sobą następcę dr. Kehriga, który dopiero co przyjechał z Niemiec, a ja zostałem oddelegowany do wykonywania moich dawnych funkcji przypadających oficerom niższej rangi, co, zważywszy na moje zmęczenie, nawet mi odpowiadało. Sturbannführer dr Woytinek był małym, suchym człowieczkiem, raczej ponurym; żywił ogromny żal, że *przegapił początek kampanii* i miał nadzieję, że *szybko nadarzy się okazja, by to nadrobić*. Okazja, istotnie, miała się nadarzyć niebawem, ale nie natychmiast. Zaraz po przyjeździe Blobel i Vogt rozpoczęli z przedstawicielami AOK negocjacje w sprawie kolejnej Grosse Aktion. W tym samym czasie von Rundstedt został odwołany z powodu odwrotu spod Rostowa i Führer postawił von Reichenaua na czele Grupy Armii Wschód. Nie mianowano jeszcze nikogo do przejęcia po nim dowództwa 6. Armii, na razie AOK dowodzone było przez Obersta Heima, oficera sztabu generalnego. W kwestii współpracy z Sipo i SD okazał się on mniej życzliwy od swojego dawnego generała. W zasadzie nie miał żadnych zastrzeżeń, ale każdego dnia pisał w listach o nowych trudnościach natury praktycznej i dyskusje się przedłużały. Blobel się pienił i wyżywał na oficerach Kommando. Dr Woytinek zapoznawał się z dokumentacją i od rana do wieczora nękał mnie pytaniami. Gdy spotkał mnie dr Sperath, zauważył: „Nie wygląda pan najlepiej”. — „To nic takiego. Jestem po prostu trochę zmęczony”. — „Powinien pan odpocząć”. Parsknąłem śmiechem: „Pewnie, jak tylko skończy się wojna”. Ale z trudem skupiałem się na naszej rozmowie, rozpraszały mnie plamy z błota na spodniach, których Hanika, coraz bardziej nieuważny, znów nie doczyścił.

Blobel przywiózł do Charkowa ciężarówkę Saurera i liczył, że użyje jej podczas planowanej akcji. W Połtawie nareszcie mógł ją wypróbować. Häfner, który był świadkiem owej sceny — Teilkommandos zebrały się tam przed wspólnym marszem do Charkowa — opisał mi ją pewnego wieczoru w kasynie: „Tak naprawdę nie jest to żadne

ulepszenie. Standartenführer kazał załadować kobiety i dzieci, po czym włączył silnik. Żydzi, gdy zrozumieli, o co chodzi, zaczęli walić w drzwi i wrzeszczeć: «Drodzy Niemcy! Drodzy Niemcy! Wypuście nas!». Ja siedziałem w samochodzie ze Standartenführerem, który popijał sznapsa. Po wszystkim, podczas wyładunku, muszę panu powiedzieć, że nie był on w najlepszej formie. Ciała były całe w gównie i rzygowinach, żołnierzy brało obrzydzenie. Findeisen, który kierował ciężarówką, nałykał się spalin i też wymiotował. Horror. Jeżeli to ma nam ułatwić życie, to ja dziękuję. Od razu widać, że to wymysł jakiegoś biurokraty”. — „Ale Standartenführer i tak chce tego jeszcze użyć?” — „Och, tak! Ale zapewniam, że beze mnie”.

Negocjacje z AOK nareszcie dobiegły końca. Blobel, popierany przez Ic Niemeyera, podkreślił, iż eliminacja ludności żydowskiej, a także innych niechcianych i podejrzanych politycznie elementów, oraz ewentualnie jednostek niezameldowanych, przyczyni się do zmniejszenia problemów z aprowizacją, które stawały się coraz bardziej uciążliwe. Wehrmacht, we współpracy z miejskim biurem meldunkowym, zgodził się na oddanie Sonderkommando do dyspozycji odpowiedniego miejsca do ewakuacji — była to ChTZ, fabryka traktorów z barakami dla robotników. Znajdowała się poza miastem, dwanaście kilometrów od centrum, z dala od rzeki, przy starej drodze na Moskwę. 14 grudnia rozlepiono rozkaz, obowiązujący wszystkich Żydów z miasta, na mocy którego mieli się tam przeprowadzić w ciągu dwóch dni. Tak jak w Kijowie udali się tam sami, bez eskorty, i z początku rzeczywiście zamieszkali w barakach. W dniu ewakuacji padał śnieg. Było bardzo zimno, dzieci płakały. Wziąłem samochód i pojechałem do ChTZ. Plac nie był zamknięty, panował niewiarygodny ruch. Ponieważ w barakach nie było ani wody, ani ogrzewania, ani żywności, ludzie wychodzili, żeby zdobyć podstawowe produkty i nikt ich nie zatrzymywał; informatorzy po prostu wskazywali tych, którzy rozsiewali niekorzystne plotki i niepokoili innych — dyskretnie zatrzymywano ich i likwidowano w piwnicach biur Sonderkommando. W obozie panował większy chaos, baraki rozpadały się, dzieci wrzeszczały, starzy marli, a ponieważ bliscy nie mogli ich pogrzebać, wynosili ciała na zewnątrz, i zwłoki leżały tak, sztywne od mrozu. Wreszcie obóz zamknięto i ustawiono niemiecką straż. Ale ludzie napływali nadal, Żydzi chcieli dołączyć do rodzin, rosyjscy i ukraińscy małżonkowie przynosili jedzenie żydowskim mężom, żonom i dzieciom. Pozwalaliśmy im jeszcze wchodzić i wychodzić, Blobel pragnął uniknąć paniki i likwidować obóz stopniowo, dyskretnie. Wehrmacht ostrzegł, że jedna, zakrojona na

szeroką skałę akcja może spowodować zbyt wielkie poruszenie — Blobel przyjął ten argument do wiadomości. W wigilię Bożego Narodzenia Ortskommandantur wydała dla oficerów Sonderkommando przyjęcie w wielkiej sali kongresowej Ukraińskiej Partii Komunistycznej, w zmienionych na tę okoliczność dekoracjach; przy obficie zastawionym bufecie piliśmy sznapsa za sznapsem i koniak za koniakiem z oficerami Wehrmachtu, którzy wznosili toasty za Führera, za *Endsieg* i za nasze wspólne wielkie dzieło. Blobel i komendant miasta, generał Reiner, wymienili podarki, oficerowie obdarzeni przez naturę pięknymi głosami śpiewali chorały. Zaraz po Bożym Narodzeniu — Wehrmachtowi zależało na przesunięciu daty, żeby nie psuć świąt — kazaliśmy Żydom zgłaszać się na dobrowolne roboty do Połtawy, do Łubni, do Romnów. Mróz był trzaskający, śnieg zasypał wszystko, przemarznięci Żydzi spieszyli do punktów selekcji z nadzieją na jak najszybsze opuszczenie obozu. Ładowano ich do ciężarówek prowadzonych przez ukraińskich szoferów; mienie zbierano na osobny stos, w innych samochodach. Następnie wieziono ich do Rogania, odległego przedmieścia, strzelano do nich i zrzucano w bałki, wąwozy wskazane przez naszych geometrów. Majątek zbierano w magazynach, sortowano, a następnie rozdawano folksdojczom. Zajmowało się tym NSV i Vomi. W ten sposób likwidowano obóz stopniowo, grupa po grupie, każdego dnia po trochu. Tuż przed Nowym Rokiem asystowałem przy jednej z egzekucji. Wszyscy strzelcy byli młodymi wolontariuszami z 314. batalionu policji, nie mieli wprawy, chybiali, było wielu rannych. Oficerowie darli się na nich i kazali im pić alkohol, ale to nie poprawiało skuteczności. Świeża krew tryskała na śnieg, spływała na dno wąwozu, rozlewała się po zmrożonej na kamień ziemi; nie zamarzała, krzepła, lepka, odrażająca. Białe pola wokół najeżone były szarymi, martwymi łodygami słoneczników. Wszystkie dźwięki, nawet krzyki i wystrzały, były jakby stłumione; śnieg skrzypiał pod butami. Działała też ciężarówka Saurera, ale nie chciałem na to patrzeć. Ostatnio częściej wymiotowałem, czułem, że łapie mnie jakaś choroba. Miałem gorączkę, ale nie dość wysoką, żeby zostać w łóżku — były to raczej długotrwałe dreszcze i dziwna przeczulica, jak gdybym miał skórę z kryształu. W wąwozie, pomiędzy seriami, bolesne fale tej gorączki przeszywały moje ciało. Wszystko było białe, przerażająco białe, prócz krwi, która plamiła i śnieg, i żołnierzy, i mój płaszcz. Na niebie długie stada kaczek spokojnie leciały na południe.

Zimno rozsiadało się coraz wygodniej, mościło się jak żywy organizm, który pełza po ziemi i wnika wszędzie, w najbardziej nieoczekiwane miejsca. Sperath poinformował

mnie, że odmrożenia dziesiątkują Wehrmacht, jest coraz więcej amputacji; okazało się, że podkute zgodnie z regulaminem podeszwy *Kommissstiefel* bardzo skutecznie przewodzą zimno. Każdego ranka znajdowano martwych strażników, z mózgiem zamrożonym od hełmów wkładanych na gołe głowy, nie chronione wełnianymi czapkami. Kierowcy *panzerów* musieli palić opony pod silnikami, żeby w ogóle ruszyć z miejsca. Część oddziałów dostała wreszcie ciepłe cywilne ubrania, zebrane w Niemczech przez *Winterhilfe*, „pomoc zimową”. Było tam dosłownie wszystko i niektórzy żołnierze paradowali w damskich futrach, nosili boa z piór i mufki. Napady na cywilów były coraz częstsze, żołnierze siłą zabierali im tułupy i czapy, puszczali wolno niemal nagich, wielu tego nie wytrzymało. Opowiadano, że pod Moskwą jest jeszcze gorzej: od czasu sowieckiej kontrofensywy na początku miesiąca nasi żołnierze na pozycjach obronnych padali jak muchy, nie zdążąwszy nawet ujrzeć wroga. Sytuacja polityczna była niejasna. Nikt w Charkowie nie rozumiał za bardzo, dlaczego wypowiedzieliśmy wojnę Amerykanom: „Jakby nam było mało tego, co już mamy na głowie, narzekał Häfner, a z nim Kurt Hans, Japończycy powinni sobie radzić sami...”. Inni, myślący bardziej trzeźwo, widzieli w japońskim zwycięstwie zagrożenie dla Niemiec. Czystki w dowództwie także skłaniały do zadawania sobie pytań. W SS przeważały głosy, iż osobiste przejęcie OKH przez Führera jest czymś dobrym; teraz, mówiono, ci starzy reakcyjni Prusacy nie będą już mogli cichaczem krępować mu ruchów, wiosną zrównamy Ruskich z ziemią. Ci z Wehrmachtu byli bardziej sceptyczni. Von Hombogen, Ic, opowiadał o rzekomej ofensywie na południe, której celem miałyby być ropa na Kaukazie. „Nic już z tego nie rozumiem, zwierzył mi się kiedyś w kasynie po kieliszku albo dwóch. Nasze cele są polityczne czy ekonomiczne?” Prawdopodobnie jedno i drugie, zasugerowałem, ale dla niego najważniejszą kwestią pozostawało pytanie o nasze możliwości. „Amerykanie trochę się pomęczą, zanim zdołają zwiększyć produkcję i zebrać wystarczająco dużo sprzętu. Mamy jeszcze nieco czasu. Ale jeżeli nie uda nam się najpierw zrobić porządku z Ruskimi, marny nasz los”. Pomimo wszystko zaszokowały mnie te słowa, nigdy jeszcze nie słyszałem tak pesymistycznej opinii wypowiedzianej równie bezlitośnie. Brałem już pod uwagę zwycięstwa na mniejszą, niż przewidywana, skalę, jakieś, na przykład, porozumienie, na mocy którego zostawimy Stalinowi Rosję, a zatrzymamy Ostland i Ukrainę, a także Krym. Ale klęska? To było dla mnie nie do pomyślenia. Chętnie porozmawiałbym o tym z Thomasem, ale on był daleko, w Kijowie, i nie miałem od niego

zadnych wieści, odkąd awansował na Sturmbannführera, o czym poinformował mnie, odpowiadając na mój list z Perejasławia. W Charkowie nie było zbyt wielu osób, z którymi mógłbym to przedyskutować. Wieczorami Blobel upijał się i lżył Żydów, komunistów, a nawet Wehrmacht; oficerowie słuchali go, grali w bilard albo rozchodzili się do pokojów. Często robiłem to samo. Czytałem w tamtym czasie dziennik Stendhala, były w nim zakamuflowane pasaży, osobiście odpowiadające moim odczuciom: *Wstręt do Żydów... Gnuśność czasu przygnębia mnie... Smutek czyni ze mnie maszynę...* Zapewne w związku z wymiotami, które wywoływały u mnie poczucie skalania, zacząłem też niemal obsesyjnie dbać o higienę: kilka razy Woytinek przyłapał mnie na szczegółowym studiowaniu munduru, w poszukiwaniu śladów błota lub innej substancji, i zawsze w takich sytuacjach rozkazywał mi przestać „się gapić”. Natychmiast po pierwszej inspekcji *Aktion* dałem uwalany mundur Hanice, ale zawsze, gdy mi go oddawał, znajdowałem nowe plamy, tak że w końcu zdenerwowałem się i brutalnie wytknąłem mu lenistwo oraz brak kompetencji, a potem rzuciłem mu bluzą w twarz. Przyszedł Sperath, pytając, czy dobrze sypiam. Moja odpowiedź, że tak, chyba go usatysfakcjonowała, zresztą mówiłem prawdę, wieczorami zasypiałem jak kamień, wystarczyło, żebym się położył, ale we śnie nawiedzały mnie ciężkie, męczące majaki, nie całkiem koszmary, lecz jakby długie podmorskie prądy, takie, które kotłują wodę tuż przy dnie, pozostawiając jej powierzchnię gładką, spokojną. Muszę dodać, że regularnie chodziłem na egzekucje, choć nikt tego ode mnie nie wymagał, szedłem z własnej woli. Nie strzelałem, ale przyglądałem się strzelającym, zwłaszcza oficerom, którzy, jak Häfner i Janssen, robili to od początku i wydawali się w tej chwili całkiem niewrażliwi na tę katowską robotę. Powinienem być jak oni. Zmuszając się do oglądania tego smutnego spektaklu, nie napawałem się swoim zgorszeniem, nie czułem, że przekraczam jakiegokolwiek granice, że zadaję potworny gwałt temu, co Dobre i Piękne, było raczej tak, że owo zgorszenie wypalało się, przywykałem do widoków i im dłużej patrzyłem, tym mniej cokolwiek czułem. Tym, co pragnąłem odzyskać, rozpaczliwie i na próżno, był szok, który przeżyłem za pierwszym razem, to poczucie rozdarcia, ten nieskończenie głęboki wstrząs, jakiego doznałem w całej swojej istocie; zamiast tego ogarniała mnie tylko przygnębiająca i niespokojna ekscytacja, za każdym razem krótsza, coraz bardziej gorzka, połączona z gorączką i fizycznymi dolegliwościami — powoli, nieświadomie, pogrążałem się w bagnie, choć szukałem oświecenia. Pewien mało znaczący incydent uświadomił mi istnienie owych pęknięć, które

z czasem miały stać się coraz wyraźniejsze. W wielkim ośnieżonym parku, za pomnikiem Szewczenki, wiedziono na szubienicę młodą dziewczynę z partyzantki. Zebrał się tłum Niemców: Landserzy Wehrmachtu i Orpo, ale także ludzie z Organisation Todt, *Goldfasanen* z *Ostministerium*, piloci Luftwaffe. Dziewczyna była dość chuda, jej naznaczoną historią twarz otaczała aureola ciężkich ciemnych włosów, ostrzyżonych krótko, bardzo niestarannie, jakby uciętych sekatorem. Jakiś oficer skrępował jej ręce, ustawił ją pod szubienicą i założył pętlę na szyję. Wtedy wszyscy obecni żołnierze i oficerowie zaczęli defilować przed nią i całować, jeden po drugim, w usta. Milczała, nie zamykała oczu. Jedni całowali ją delikatnie, niemal niewinnie, jak uczniowie; inni chwyтали jej głowę w obie dłonie i mocno wpijali się w wargi. Gdy przyszła moja kolej, utkwiała we mnie spojrzenie, jasne i rozświetlone, zupełnie czyste, i zobaczyłem, że ona rozumie wszystko, wszystko wie — w obliczu tej wiedzy, tak pierwotnej, stanąłem w płomieniach. Moje ubrania trzeszczały, skóra na brzuchu rozłaziła się, tłuszcz skwierczał, ogień huczał mi w oczodołach i w ustach, trawił wewnątrz czaszki. Był tak wielki, że musiała odwrócić głowę. Spalałem się, moje szczątki zamieniały się w słup soli; szybko stygłem i kruszyłem się, najpierw ramię, później dłoń, później połowa głowy. Wreszcie osypałem się cały u jej stóp, a wiatr rozwiął kupkę soli, która ze mnie została. I już pchał się do dziewczyny następny oficer. Gdy wszyscy ją zaliczyli, zawisła. Całymi dniami rozmyślałem o tej dziwnej scenie, a myśli stawały naprzeciw mnie niczym lustro i odbijały mój własny wizerunek, odwrócony, zgoda, lecz wierny. Ciało tej dziewczyny też było moim zwierciadłem. Sznur pękł, więc odcięto ją, leżała w śniegu w ogrodzie botanicznym ze złamanym karkiem, obrzmiałymi ustami, nagą piersią ogryzioną przez psy. Sztywne włosy tworzyły wokół jej głowy meduzią aureolę i wydawała mi się niezmiernie piękna, nawiedzona przez śmierć, niczym bóstwo, Matka Boska Śnieżna. Niezależnie od drogi, którą szedłem z hotelu do biura, natykałem się na nią zawsze, leżała i była upartym, męczącym pytaniem, które pchnęło mnie w labirynt jałowych spekulacji, sprawiało, że grunt brutalnie usuwał mi się spod nóg. Ciągnęło się to całymi tygodniami.

Blobel zakończył *Aktion* kilka dni po Nowym Roku. Zatrzymaliśmy kilka tysięcy Żydów w fabryce traktorów, do przymusowych robót w mieście. Mieli być rozstrzelani później. Dowiedzieliśmy się, że ktoś przyjedzie i zmieni Blobela. On sam wiedział to od tygodni, ale nic nie mówił. Zresztą, czas najwyższy, żeby wyjechał. Od przyjazdu do Charkowa był strzępem nerwów, jego stan był niemal tak samo zły jak wtedy w Łucku:

zwoływał nas, żeby ekscytować się ostatnimi wynikami Sonderkommando, a innym razem darł się na nas wściekły, niedorzeczny, pieklił się o każde głupstwo, każdą nieistotną czy niezręczną uwagę. Pewnego dnia, na początku stycznia, poszedłem do niego do gabinetu przekazać raport Woytinka. Nawet mi nie odsalutował, tylko rzucił we mnie kartką: „Niech pan zobaczy, co za gówno”. Był pijany, pieniał się z wściekłości. Wziąłem kartkę: był to rozkaz generała von Mansteina, dowódcy 11. Armii na Krymie. „Mam to od Ohlendorfa, pańskiego zwierzchnika. No, niech pan czyta. Widzi pan, tam, na dole? *Dyshonorem jest obecność oficerów na egzekucjach Żydów*. Dyshonor! Skurwysyny. Jak gdyby to, co sami robią, było honorowe... jak gdyby sami *honorowo* traktowali jeńców!... Walczyłem na Wielkiej Wojnie. Podczas Wielkiej Wojny armie zajmowały się swoimi jeńcami, karmiły ich, nie dawały im zdechnąć z głodu jak bydłu”. Na stole stała butelka sznapsa; chlusnął do szklanki, wypił jednym haustem. Cały czas stałem naprzeciw jego biurka, milczałem. „Jak gdybyśmy wszyscy nie dostawali rozkazów z tego samego źródła... Łajdaki. Chcą mieć czyste ręczki, gnojki z Wehrmachtu. Chcą na nas zwalić całą brudną robotę”. Nakręcał się, purpurowiał na twarzy. „Sukinsyny. Potem będą mogli powiedzieć: «Ach, nie, wszystkie te okropności, to nie my. To oni, to inni, tamci zabójcy z SS. My nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Walczyliśmy jak na żołnierzy przystało, z honorem». A kto zajął te wszystkie miasta, które teraz czyścimy? No, kto? Kogo chronimy, eliminując partyzantów, Żydów, całą tę hołotę? Co, może narzekają? Sami nas o to proszą!” Krzyczał głośno, pryskał śliną. „Ten łajdak Manstein, ten hipokryta, ten półzydek, uczy swojego psa podnosić przednią łapę na hasło «Heil Hitler» i wiesza sobie nad biurkiem — wiem to od Ohlendorfa — drukowaną planszę z napisem: *A co by na to powiedział Führer?* No właśnie, co by na to powiedział ten nasz Führer? Co by powiedział na wieść, że AOK 11 kazało swojej Einsatzgruppe zlikwidować wszystkich Żydów z Symferopola przed Bożym Narodzeniem, żeby oficerowie mogli mieć święta *judenfrei*? I oni mają czelność ogłaszać jakieś szmatławce o honorze Wehrmachtu? Świnie. A kto podpisał *Kommissarbefehl*? Kto podpisał rozkaz o jurysdykcjach? No kto? Może Reichsführer?” Przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza i wypić następną szklankę; źle przełknął, zakrztusił się, rozkaszał. „A jak źle pójdzie, to my za to bekniemy. Za wszystko. Oni wyjdą czyści, elegancy, wymachując gównianymi papierkami, takimi jak ten, wyrwał mi z ręki kartkę i potrząsał nią w powietrzu, i będą mówić: «Nie, to nie my zabiliśmy Żydów, komunistów, Cyganów, możemy to udowodnić, sami widzicie, nie

zgadzamy się, to wina Führera i SS»...”. Jego głos stał się jęklivy. „Jasna cholera, nawet jak wygramy, będziemy mieli przerażane. Bo, niech mnie pan posłucha, Aue, niech mnie pan dobrze posłucha, pewnego pięknego dnia wszystko wyjdzie na jaw. Wszystko. Zbyt wielu ludzi o tym wie, zbyt wielu świadków. A jak wyjdzie na jaw, to, niezależnie od tego, czy wygramy, czy przegramy wojnę, zrobi się wrzawa, będzie skandal. Będą się domagać głów. I to nasze głowy zostaną wydane tłumom na żer, a całe to pruskie żydostwo w rodzaju von Mansteina, wszyscy ci von Rundstedt, von Brauchitsch, von Kluge, wrócą sobie do swoich *von* dworków, spiszą swoje *von* wspomnienia, będą się wzajemnie poklepywać po plecach, gratulując sobie, że jak na *von* żołnierzy przystało, zachowali przyzwoitość i honor. A my skończymy jako wyrzutki. Urządzą nam drugi 30 czerwca, tylko że tym razem to SS będzie kozłem ofiarnym. Skurwiele”. Pienił się, opluwał papiery na biurku. „Skurwiele, skurwiele! Nasze głowy na tacy, a oni — czyste rączki, białe, eleganckie i wypielegnowane, ani kropli krwi. A co, żaden z nich nigdy nie podpisał rozkazu egzekucji? Żaden nigdy nie wyprężył ramienia z okrzykiem «Heil Hitler!», kiedy kazali zabijać Żydów?” Zerwał się z krzesła, stanął na baczność, wyprężył tors, niemal pionowo uniósł sztywne ramię i wrzasnął: *Heil Hitler! Heil Hitler! Sieg Heil!*. Zaraz usiadł i zaczął mamrotać: „Skurwiele. Wielmożni mali skurwiele. Gdybyż tak można było i do nich strzelać. Nie do Reichenaua, on to zwykły *muzyk*, ale do innych, do całej reszty”. Gadał coraz mniej składnie. W końcu się zamknął. Wykorzystałem ten moment, żeby podać mu szybko raport Woytinka i, przeprosiwszy, ruszyłem do wyjścia. Zaczął znów wrzeszczeć, gdy tylko przekroczyłem próg jego gabinetu, ale nawet się nie zatrzymałem.

Wreszcie przybył jego następca. Blobel się nie ościagał: poczęstował nas krótką mową pożegnalną i złapał pierwszy pociąg do Kijowa. Nikt, jak sędzę, go nie żałował, tym bardziej że nowy dowódca, Standartenführer dr Erwin Weinmann, stanowił bardzo korzystną odmianę w porównaniu ze swoim poprzednikiem. Był to młody mężczyzna, zaledwie kilka lat starszy ode mnie, zachowywał rezerwę, miał zamyśloną, niemal smutną twarz i był autentycznym narodowym socjalistą z przekonania. Podobnie jak dr Thomas był z zawodu lekarzem, ale już od kilku lat pracował w Staatspolizei. Od razu wywarł na nas dobre wrażenie. „Spędziłem kilka dni w Kijowie, z Brigadeführerem Thomasem, poinformował nas na wstępie, i on opowiedział mi o ogromnych trudnościach, jakim oficerowie i żołnierze Kommando musieli stawić czoło. Wiedźcie, że nie na próżno i że

Niemcy są z was dumne. W najbliższych dniach zapoznam się z pracą Kommando. W związku z tym chciałbym przeprowadzić szczerą i swobodną rozmowę z każdym z was, w cztery oczy”.

Weinmann przyniósł nam ważną nowinę. Znalazł się nareszcie następca von Reichenaua. Był to nowy aktor na wojennej scenie, General der Panzertruppe Friedrich Paulus, jeden z jego dawnych szefów sztabu generalnego, który od 1940 roku zajmował się planowaniem w OKW. Von Reichenau sam go wyznaczył. Niestety Paulus szybko stracił swego protektora. Dzień przed przybyciem Weinmanna do Charkowa von Reichenau, po porannym spacerze w temperaturze minus dwadzieścia stopni, dostał jakiegoś ataku, był to według jednych zawał serca, a według innych zator mózgu; Weinmann dowiedział się o tym w pociągu od jakiegoś oficera AOK. Ponieważ von Reichenau żył jeszcze, Führer rozkazał przewieźć go do Niemiec; samolot rozbił się w okolicach Lemberga, znaleziono go zakrwawionego w fotelu, z buławą Feldmarschalla w dłoni, smutny koniec niemieckiego bohatera. Po długich wahaniach wyznaczono na jego miejsce Generalfeldmarschalla von Bocka. W dniu jego nominacji Rosjanie, chcąc pomnożyć swój moskiewski sukces, ruszyli z ofensywą z Iziuma, na południe od Charkowa, w kierunku Połtawy. Temperatury dochodziły teraz do minus trzydziestu, prawie żaden pojazd temu nie podołał, zaopatrzenie rozwoziły sanki ciągnięte przez konie, a konwój *Rollbahn* tracił więcej ludzi niż dywizje na froncie. Rosjanie używali masowo nowego, skutecznego czołgu T-34, odpornego na mróz, siejącego postrach wśród Landserów; na szczęście nie wytrzymał naporu naszych kalibrów 88. Paulus przerzucił AOK 6 z Połtawy do Charkowa, co znacznie ożywiło nasze miasto. Czerwoni mieli wyraźnie zamiar otoczyć Charków, ale ich północne skrzydło nigdy nie ruszyło; skrzydło południowe wtargnęło w nasze szeregi — z wielkim trudem powstrzymaliśmy je pod koniec miesiąca, przed Krasnogradem i Pawłogradem, co stworzyło ogromną, siedemdziesięciokilometrową wyrwę w naszym froncie, niebezpieczny klin, sięgający aż za Donieck. Partyzanci intensyfikowali działania na tyłach naszych linii. Nawet Charków stał się niezbyt bezpieczny, zamachy mnożyły się pomimo bezlitosnych represji; prawdopodobnie miał w tym swój udział głód, który panował w mieście. Sonderkommando także nie oszczędzono. Któregoś dnia miałem spotkanie w biurach Wehrmachtu, na Majdanie Terelewa, w centrum. Hanika poszedł ze mną, próbując poszukać czegoś, co urozmaiciłoby nieco nasze racje żywnościowe, zostawiłem go

samemu sobie. Spotkanie było krótkie, wyszedłem szybko. U szczytu schodów przystanąłem na chwilę, odetchnąłem zimnym, ostrym powietrzem, zapaliłem papierosa. Obserwowałem plac, zaciągając się dymem. Niebo było przejrzyste, błękitne tak jak tylko błękitne może być zimowe niebo w Rosji, kolor niespotykany nigdzie indziej. Trzy stare kołchoźnice rozsiadły się na skrzynkach w oczekiwaniu na kogoś, kto kupi nędzne, pomarszczone warzywa, a na placu, u stóp bolszewickiego pomnika wyzwolenia Charkowa (tego z 1919 roku), kilkoro dzieciaków, nie zważając na mróz, kopało szmacianą piłkę. Trochę dalej włóczyli się jacyś nasi Orpo. Hanika stał w rogu placu, koło opla z włączonym przez szofera silnikiem. Wydał mi się blady, wycofany. Moje ostatnie wybuchy gniewu osłabiły go, mnie też zresztą działał na nerwy. Z uliczki wyskoczył jeszcze jeden dzieciak. Coś niósł. Podbiegł do Haniki i eksplodował. Wybuch wybił szyby w samochodzie, usłyszałem wyraźny brzęk szkła na bruku. Spanikowani Orpo wypuścili kilka serii w stronę grających dzieci. Staruchy zaczęły wrzeszczeć, szmacianka rozleciała się cała we krwi. Pobiegnąłem do Haniki: klęczał w śniegu i trzymał się za brzuch. Jego upstrzona trądzikiem twarz była potwornie blada — zanim zdążyłem go dotknąć, głowa opadła mu w tył, a błękit oczu, widziałem to dobrze, zlał się z błękitem nieba. Runął na bok. Tamten chłopak nie żył, miał wyrwane ramię; zszokowani policjanci podeszli do martwych dzieci, którymi potrząsały kołchoźnice, żałośnie zawodząc. Weinmann bardziej się przejął wpadką naszych Orpo aniżeli śmiercią Haniki: „To nie do przyjęcia. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby polepszyć relacje z tubylcami, a ci strzelają do dzieci! Trzeba ich będzie postawić przed sądem”. Okazałem sceptycyzm: „To będzie trudne, Herr Standartenführer. Ich reakcja nie była może najszcześniejsza, ale zrozumiała. Zresztą od wielu miesięcy każemy im strzelać do dzieci, nie byłoby z pewnością teraz ich za to karać”. — „Ale to nie jest to samo! Dzieci, które zabijamy, to są skazańcy. A te tutaj były niewinne”. — „Wybaczy pan, Herr Standartenführer, ale kryteria, na podstawie których wydajemy wyroki skazujące, czynią to rozróżnienie nieco arbitralnym”. Otworzył szeroko oczy, nozdrza zadrgały mu gniewnie, opanował się jednak i szybko uspokoił. „Zmieńmy temat, Herr Hauptsturmführer. Tak czy inaczej już od kilku dni chciałem z panem pomówić. Wydaje mi się, że jest pan zmęczony. Doktor Sperath twierdzi, że jest pan na skraju wyczerpania nerwowego”. — „Proszę wybaczyć, Herr Standartenführer, ale pozwolę sobie zaprzeczyć tej opinii. Czuję się świetnie”. Poczęstował mnie papierosem, sam też zapalił. „Hauptsturmführer, z wykształcenia jestem lekarzem. Ja też potrafię rozpoznać

pewne symptomy. Jest pan, jak to się potocznie mówi, kompletnie wypalony. Nie pan jeden zresztą, prawie wszyscy oficerowie Kommando są wykończeni. W związku z porą roku zanotowaliśmy znaczny spadek działań i z powodzeniem możemy funkcjonować przez miesiąc lub dwa przy zredukowanej liczebności. Niektórzy oficerowie zostaną zwolnieni albo wysłani na przedłużony urlop zdrowotny. Ci, którzy mają rodziny, wrócą do Niemiec. Inni, tacy jak pan, pojedą na Krym, do jednego z sanatoriów Wehrmachtu. To podobno piękne miejsce. Za kilka tygodni będzie się pan mógł kąpać w morzu”. Przez jego wąską twarz przebiegł cień uśmiechu, kiedy podawał mi kopertę. „Oto przepustka na podróż i zaświadczenia. Wszystko w jak najlepszym porządku. Na razie ma pan miesiąc, później zobaczymy. Niech pan porządnie wypocznie”.

Decyzja Weinmanna wywołała we mnie niezrozumiały przypływ złości, wręcz nienawiści. Lecz gdy znalazłem się na Krymie, dotarło do mnie, że miał rację. W czasie długiej podróży pociągiem niewiele się zastanawiałem, pozwoliłem myślom błądzić po rozległych białych równinach. Żałowałem Haniki. Gdy wszedłem do pustego pokoju, żeby się spakować, poczułem, jak ściska mi się serce, miałem wrażenie, że od stóp do głów uwalany jestem krwią Haniki — przebierałem się nerwowo, ale każdy mundur wydawał mi się niedoczyszczony, doprowadzało mnie to do szału. Znowu zaczęły mnie męczyć wymioty, ale nie było mowy, bym płakał. Wyjechałem przy pierwszej nadarzającej się okazji, przez Dniepropietrowsk aż do Symferopola. Większość pasażerów pociągu stanowili rekonwalescenci albo żołnierze na przepustce, których wysyłano na regenerację po ciężkich przeżyciach na froncie. Pewien wojskowy lekarz powiedział mi, że w samym tylko styczniu z powodu odmrożeń i chorób straciliśmy tylu ludzi, że mogliby stworzyć dwanaście dywizji. Teraz mrozy nieco zelżały i można było żywić nadzieję, że najtrudniejsze za nami. Była to jedna z najgorszych zim w historii ludzkości, zresztą nie tylko w Rosji — zimno zmuszało ludzi w całej Europie do palenia książek, mebli, fortepianów, nawet tych najstarszych, tak jak w różnych częściach kontynentu płonęło to, co stanowiło dumę naszej cywilizacji. Czarni w dżungli, myślałem z goryczą, jeżeli wiedzą, co tu się dzieje, mają pewnie niezły ubaw. Nasze szalone ambicje, jak na razie, nie przynosiły spodziewanych rezultatów, a cierpienie wszędzie narastało, rozprzestrzeniało się. Nawet Rzesza nie była już bezpieczna, Brytyjczycy zrzucali bomby, zwłaszcza na okolice Ruhry i Renu; oficerowie, których rodziny zostały w tamtych regionach, byli

bardzo przejęci. W przedziale spotkałem Hauptmanna artylerii, rannego w nogę pod Iziumem, który stracił dwoje dzieci w bombardowaniu w Wuppertalu; zaproponowano mu powrót do domu, ale wołał jechać na Krym, nie chciał widzieć się z żoną. „Nie dałbym rady”, rzucił lakonicznie i zamilkł na dobre.

Ten wojskowy lekarz, wiedeńczyk, krągły, niemal całkiem łysy, nazwiskiem Hohenegg, okazał się nadzwyczaj miłym towarzyszem podróży. Był to profesor, obejmował jakąś ważną katedrę w Wiedniu, a w 6. Armii pełnił funkcję naczelnego anatomopatologa. Nawet gdy wygłaszał bardzo poważne opinie, jego słodki, niemal zawieszisty głos zdawał się zabarwiony szczyptą ironii. Dzięki medycynie wyrobił sobie pewne poglądy filozoficzne: dyskutowaliśmy o nich dość długo, podczas gdy pociąg przemierzał zaporoski step, pusty i martwy jak pełne morze. „Zaletą anatomopatologii, tłumaczył mi, jest to, że im dłużej człowiek kroi trupy w każdym wieku, płci obojga, tym mniej przerażająca wydaje mu się sama śmierć i z tym większą łatwością sprowadza ją do fizycznego zjawiska, równie normalnego i zwyczajnego, co inne naturalne funkcje organizmu. Potrafię spokojnie wyobrazić sobie samego siebie na stole w prosektorium, zdanego na łaskę i niełaskę mojego następcy, który z lekkim grymasem przygląda się mojej wątrobie”. — „Ach, bo pan ma to szczęście, że ludzie docierają do pana martwi. Zupełnie inaczej jest, gdy, co się tutaj często zdarza, zwłaszcza na służbie w SD, obserwujemy śmierć, która dzieje się o krok od nas”. — „A nawet się do niej przyczyniamy”. — „Właśnie. Niezależnie od postawy i przekonań obserwator nigdy w pełni nie pojmie tego, czego doświadcza konający”. Hohenegg zastanowił się: „Wiem, co pan chce powiedzieć. Ale ta przepaść istnieje wyłącznie z punktu widzenia tego, który patrzy. Bo tylko on jest w stanie dostrzec jej oba brzegi. Umierający po prostu doznaje czegoś nieokreślonego, szybciej albo wolniej, w sposób bardziej lub mniej brutalny, ale czegoś, co tak czy inaczej umknie jego świadomości. Zna pan Bossueta?”. — „Nawet w oryginale”, powiedziałem po francusku z uśmiechem. — „Doskonale. Widzę, że jest pan dużo wszechstronniej wykształcony od przeciętnego prawnika”. Zadeklamował urywki w gęstej, opornej francuszczyźnie: *Ce dernier moment, qui effacera d'un seul trait toute votre vie, s'ira perdre lui-même, avec tout le reste, dans ce grand gouffre du néant. Il n'y aura plus sur la terre aucun vestige de ce que nous sommes: la chair changera de nature; le corps prendra un autre nom; même celui de cadavre ne demeurera pas longtemps. „Il deviendra, dit Tertullien, un je-ne-sais-quoi qui n'a plus de nom dans aucune langue”*. —

„Tak, powiedziałem, tak jest bardzo dobrze dla umierającego, często o tym rozmyślałem. Kłopot mają wyłącznie żywi”. — „Dopóki sami nie umrą”, odpowiedział, mrugnawszy okiem. Zaśmiałem się cicho i on też; pasażerowie przedziału, ci, którzy gadali o kiełbasie i panienkach, patrzyli na nas zaskoczeni.

W Symferopolu, na końcowej stacji pociągu, załadowano nas do ciężarówek i karetek i odesłano do Jałty. Hohenegg, który przyjechał z wizytą do lekarzy z AOK 11, został w Symferopolu; rozstałem się z nim z żalem. Konwój jechał górską drogą na wschód, przez Ałusztę, ponieważ Bachczysaraj nadal znajdował się strefie operacyjnej Sewastopola. Umieszczono mnie w sanatorium na zachód od Jałty, ponad drogą na Liwadie, u stóp urwistych, zaśnieżonych gór zawieszonych nad miastem, w dawnym książęcym pałacu zamienionym na kurort dla radzieckich robotników, lekko uszkodzonym w czasie walk, lecz pospiesznie załatany i odmalowany. Dostałem przyjemny pokój na drugim piętrze, z łazienką i małym balkonem: umeblowanie pozostawiało nieco do życzenia, ale u moich stóp, za pasem cyprysów, rozciągało się Morze Czarne, gładkie, bure, spokojne. Nie mogłem się na nie napatrzeć. Chociaż było jeszcze dość zimno, powietrze okazało się tu o wiele łagodniejsze niż na Ukrainie, mogłem palić na balkonie, oparty o balustradę, albo, leżąc na kanapie twarzą do oszklonych drzwi, spędzałem długie, spokojne godziny na czytaniu. Lektury mi nie brakowało: miałem własne książki, poza tym w sanatorium była biblioteka, złożona głównie z egzemplarzy zapomnianych przez poprzednich kuracjuszy, bardzo eklektyczna i zawierająca nawet, obok niezrozumiałego *Mitu XX wieku*, niemieckie przekłady Czechowa, które odkryłem z wielką przyjemnością. Nie miałem żadnych specjalnych wskazań medycznych. Po przyjeździe lekarz zbadał mnie i kazał opisać objawy. „To nic takiego, zawyrokował, przeczytawszy notkę doktora Speratha. Wyczerpanie nerwowe. Odpoczynek, kąpiele, żadnych silnych emocji, jak najmniej alkoholu, i niech się pan trzyma z dala od Ukrainek. Samo przejdzie. Miłego pobytu”.

W sanatorium panowała radosna atmosfera: większość kuracjuszy i rekonwalescentów stanowili młodzi podoficerowie ze wszystkich armii. Ich frywolność wzmagało wieczorami krymskie wino podawane do posiłków i nieobecność samiczek. To prowokowało być może zaskakująco swobodny ton rozmów: krążyły najbardziej złośliwe kawały o Wehrmachcie i partyjnych dygnitarzach. Jakiś oficer, chwając się medalem za kampanię zimową, szydził: „A pan, panie esesman, nie dostał pan jeszcze Orderu

Mrożonego Mięsa?”. Obecność oficera SD zupełnie nie przeszkadzała tym młodym chłopakom, myśleli chyba, iż rozumie się samo przez się, że podzielam ich najśmielsze opinie. Najbardziej krytyczni byli oficerowie Grupy Armii Środek. O ile my, na Ukrainie, byliśmy skłonni uznawać przystanie 2. Armii Pancerniej Guderiana na początku sierpnia za genialne posunięcie, dzięki któremu można było zejść Rosjan od tyłu, co odblokowało południowy front, umożliwiło zdobycie Kijowa i w rezultacie pozwoliło podejść aż pod Donieck, o tyle ci ze Środka mówili o kaprysie Führera i pomyłce, którą niektórzy nazywali wręcz zbrodniczą. Gdyby nie to, przekonywali żarliwie, zamiast przez dwa miesiące dreptać w miejscu pod Smoleńskiem, zdobylibyśmy Moskwę w październiku i byłby koniec, no, może prawie koniec wojny, oszczędzilibyśmy żołnierzom zimy, nie spędzaliby jej w norach wykopanych w śniegu, ale to przecież szczegół, którego panowie z OKH nie brali pod uwagę, bo czy ktoś kiedyś widział generała z odmrożonymi stopami? Historia pokazała, że mieli rację, większość specjalistów jest co do tego zgodna, ale wtedy wyglądało to inaczej, takie słowa ocierały się o defetyzm, a nawet niesubordynację. Lecz przecież byliśmy na urlopach, mogło mnie to nie obchodzić, nie obruszałem się. Z drugiej strony ta żywiołowość, obecność tylu młodych mężczyzn, pięknych i radosnych, rozpałała we mnie namiętność i żądze, jakich nie zaznałem od wielu miesięcy. A ich zaspokojenie nie było wcale niemożliwe: należało tylko dokonać dobrego wyboru. Często jadałem w towarzystwie młodego Leutnanta z Waffen-SS, nazwiskiem Willi Partenau. Szczupły, przystojny, o niemal całkiem czarnych włosach, leczył ranę na piersi, którą odniósł pod Rostowem. Wieczorami, gdy reszta grała w karty i w bilard, śpiewała albo piła przy barze, my rozmawialiśmy, siedząc przy stoliku obok jednego z okien salonu. Partenau pochodził z katolickiej, drobnomieszczańskiej rodziny z Nadrenii. Miał trudne dzieciństwo. Nawet przed kryzysem w 1929 roku jego rodzina była na skraju proletaryzacji; ojciec, wojskowy niskiego wzrostu, lecz o zapędach tyrana, miał obsesję na punkcie swojego społecznego statusu i przepuszczał nędzne dochody na utrzymanie pozorów — mogli codziennie jeść kartofle z kapustą, ale do szkoły chłopcy musieli nosić garnitury, krochmalone kołnierzyki i wypastowane buty. Partenau został wychowany w atmosferze surowej religijności. Za każde, najmniejsze nawet przewinienie ojciec zmuszał go, by klęczał na zimnych kafkach podłogi i klepał modlitwy; szybko stracił wiarę, albo raczej zastąpił ją narodowym socjalizmem. Hitlerjugend, a potem SS pozwoliły mu nareszcie wyrwać się z ciasnego zaścianka. Był jeszcze na ćwiczeniach, gdy trwały kampanie w Grecji i Jugosławii,

żałował, że go ominęły. Jego radość nie miała granic, gdy dowiedział się o przydzieleniu do „Leibstandarte Adolf Hitler” podczas inwazji na Związek Radziecki. Pewnego wieczoru przyznał mi się, że był w szoku, gdy po raz pierwszy zobaczył metody, jakie Wehrmacht i SS stosowały do walki z partyzantami, ale to tylko utwierdziło go w głębokim przekonaniu, że tak skrajne środki mogą być użyte wyłącznie przeciwko barbarzyńskiemu i całkowicie nieludzkiemu wrogowi. „Pan w SD widział pewnie straszliwe rzeczy”, dodał; zapewniłem go, że tak właśnie było, ale wolałbym się nie rozwodzić na ten temat. Opowiedziałem mu za to nieco o moim życiu, zwłaszcza o wczesnym dzieciństwie. Byłem delikatnym dzieckiem. Moja siostra i ja mieliśmy rok, gdy ojciec poszedł na wojnę. Mleka, i w ogóle jedzenia, brakowało, rosłem chudy, blady, nerwowy. Uwielbiałem bawić się w lesie koło domu; mieszkaliśmy w Alzacji, tam jest dużo lasów, chodziłem obserwować owady albo moczyć nogi w strumieniu. Jedno zdarzenie utkwiło mi mocno w pamięci: na łące albo na polu znalazłem bezpańskiego szczeniaka, wyglądał żałośnie, serce pękało mi na jego widok, zapragnąłem zabrać go do domu, ale kiedy chciałem podejść i wziąć go na ręce, wystraszony piesek uciekał. Próbowałem przemawiać cicho, omamić go jakoś, żeby poszedł za mną, ale nic z tego. Nie uciekał daleko, cały czas trzymał się na odległość kilku metrów i nie pozwalał mi się zbliżyć. W końcu usiadłem na trawie i wybuchnąłem płaczem, zdjęty litością dla tego szczeniaka, który nie pozwalał sobie pomóc. Błagałem: „Proszę cię, piesku, chodź ze mną!”. Wreszcie dał się złapać. Matka przeraziła się na widok skamlącego psa, przywiązanego do płotu w ogrodzie, i przekonała mnie, żebym zaniósł go do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, gdzie, jak od dawna sędzę, zakatrupili go, gdy tylko straciłem go z oczu. Ale być może to wszystko zdarzyło się już po wojnie, po ostatecznym powrocie ojca do nas, do Kilonii, dokąd się przeprowadziliśmy, gdy Francuzi zajęli Alzację. Ojciec, gdy wreszcie do nas wrócił, niewiele mówił, wydawał się ponury, rozgoryczony. Miał porządne dyplomy, szybko wyrobił sobie pozycję w dużej firmie. W domu przesiadywał samotnie w bibliotece; czasem, gdy go nie było, zakradałem się tam i bawiłem motylami przyszpilonymi w gablotkach — niektóre były duże jak dłoń dorosłej osoby — wyjmowałem je z tych pudełek i obracałem na długich szpilkach niczym kolorowe kółka z papieru, aż w końcu mnie kiedyś na tym przyłapał i dostałem karę. W tamtym okresie zacząłem okradać sąsiadów, najprawdopodobniej — zrozumiałem to dużo później — żeby zwrócić na siebie uwagę ojca; kradłem cynowe pistolety, latarki, inne zabawki i

zakopywałem je w skrytce w kącie naszego ogrodu. Nawet siostra o tym nie wiedziała, ale w końcu wszystko się wydało. Matka myślała, że kradłem *dla przyjemności czynienia zła*, a ojciec cierpliwie wyjaśnił zasady prawa, po czym dał mi klapsa. To nie działo się w Kilonii, ale na wyspie Sylt, gdzie spędzaliśmy letnie wakacje. Docieraliśmy tam pociągiem, jadącym wzdłuż zapory Hindenburg: podczas przyływu droga otoczona jest wodą, z okien pociągu wydawało nam się, że jedziemy po morzu, fale sięgały kół, rozbijały się o piasty! Nocami, nad łóżkiem, elektryczne pociągi mknęły po rozgwieżdżonym niebie moich snów.

Wydaje mi się, że bardzo wcześnie zacząłem chcieć szukać miłości u każdego napotkanego człowieka. Pragnienie to było z reguły zaspokajane, przynajmniej przez dorosłych, ponieważ byłem chłopcem ładnym i bardzo inteligentnym. Ale w szkole musiałem zmierzyć się z agresją i okrucieństwem dzieci, z których jedne straciły ojców na wojnie, a inne były bite lub ignorowane przez ojców powracających z okopów, ludzi zdziczałych i na wpół szalonych. Dzieci mściły się w szkole za ten brak miłości rodzinnej, perfidnie wyzywając się na słabszych i delikatniejszych rówieśnikach. Byłem bity, miałem niewielu kolegów; na zajęciach sportowych był podział na zespoły, mnie nie chciał nikt. Więc, zamiast domagać się przyjaźni, przyciągałem ich uwagę. Próbowałem też wyrzucić wrażenie na nauczycielach, którzy byli sprawiedliwsi od moich rówieśników, byłem inteligentny, nie sprawiało mi to trudności, ale wtedy tamci nazywali mnie *pupilkiem* i bili z jeszcze większym upodobaniem. Ma się rozumieć, nie mówiłem o tym ojcu.

Po klęsce przeprowadził nas do Kilonii i zaraz musiał wyjechać, nie wiedzieliśmy dokąd ani po co. Od czasu do czasu odwiedzał nas, a potem znowu znikał; na dobre osiadł z nami dopiero pod koniec 1919 roku. W 1921 roku poważnie zachorował i musiał przerwać pracę. Jego rekonwalescencja przeciągała się, a w domu panowała napięta i przygnębiająca atmosfera. Kiedyś, wczesnym latem, było jeszcze szaro i zimno, o ile dobrze pamiętam, odwiedził nas jego brat. Ten młodszy brat, wesoły i zabawny, opowiadał nam bajeczne historie o wojnie i podróżach, słuchałem go wydając okrzyki zachwytu. Siostrze podobało się mniej. Kilka dni później ojciec wyjechał z nim w podróż, w odwiedziny do dziadka, którego widziałem tylko raz czy dwa, i ledwo go sobie przypominałem (rodzice matki, zdaje się, już nie żyli). Do dziś pamiętam ten wyjazd: matka, siostra i ja staliśmy w szeregu przed bramą domu, ojciec wkładał walizkę do bagażnika samochodu, którym miał pojechać na dworzec. „Do widzenia, maluchy,

powiedział z uśmiechem, nie martwcie się, niedługo wrócę”. Nie zobaczyłem go nigdy więcej. Moja siostra bliźniaczka i ja mieliśmy wtedy prawie osiem lat. Dużo później dowiedziałem się, że matka po pewnym czasie dostała list od wuja: pisał, że po wizycie u dziadka pokłócili się i ojciec podobno pojechał pociągiem gdzieś do Turcji i na Środkowy Wschód. O jego zniknięciu wuj nic ponadto nie wiedział, matka skontaktowała się z pracownikami ojca, ale też o niczym nie mieli pojęcia. Nigdy nie widziałem tego listu od wuja; to matka tak mi przedstawiła całą historię, a mnie nie udało się potwierdzić jej słów ani odnaleźć owego brata, który przecież gdzieś istniał. Tego wszystkiego nie opowiedziałem Partenauowi. Ale wam opowiadam.

Z Partenauem spotykałem się teraz regularnie. Seksualnie wywierał na mnie nieokreślone wrażenie. Jego dyscyplina i entuzjazm do narodowego socjalizmu i SS mogły się okazać pewną przeszkodą, ale miałem przeczucie, że w gruncie rzeczy jego popęd jest tak samo nieukierunkowany jak u wszystkich ludzi. W gimnazjum szybko zrozumiałem, że nie istnieje coś takiego jak zmiana orientacji — chłopcy radzili sobie z tym, co mieli pod ręką, i w wojsku, jak również w więzieniach, musiało być podobnie. Fakt, od 1937 roku, kiedy aresztowano mnie na krótko w związku z zajściem w Tiergarten, oficjalne stanowisko w tych sprawach znacznie się zaostrzyło. SS było pod szczególną obserwacją. Jesienią, w okresie, w którym przybyłem do Charkowa, Führer podpisał dekret zatytułowany: „Utrzymanie Czystości w SS i Policji”, skazujący na śmierć każdego esesmana i policjanta, który dopuściłby się *nieprzyzwoitego czynu* z innym mężczyzną, a nawet kogoś, kto *zgadza się na molestowanie*. Dekret ów w *obawie przed wywołaniem nieporozumień* nie został opublikowany, ale my, w SD, zostaliśmy poinformowani o jego treści. Co do mnie, brałem to za przejaw fasadowej retoryki; w praktyce, jeśli człowiek umiał zachować dyskrecję, rzadko miewał kłopoty. Najważniejsze to nie ujawnić się przed osobistym wrogiem, a ja nie miałem osobistych wrogów. Partenau, mimo wszystko, musiał pozostawać pod wpływem niezdrowej retoryki „Schwarzes Korps” i innych publikacji SS, lecz intuicja podpowiadała mi, że wystarczy podsunąć mu odpowiednią ideologiczną pożywkę, a reszta dokona się sama.

Nie warto było silić się na subtelności, musiałem po prostu działać metodycznie. Popołudniami, przy dobrej pogodzie, schodziliśmy czasem pospacerować po mieście, włóczyliśmy się po wąskich uliczkach i długich bulwarach obsadzonych palmami, a potem siadaliśmy w kawiarni i piliśmy krymski muszkatel, jak dla mnie nieco zbyt słodki, ale

przyjemny w smaku. Na wybrzeżu spotykaliśmy przede wszystkim Niemców, czasem w towarzystwie dziewczyn; tutejszych mężczyzn, z wyjątkiem kilku Tatarów i Ukraińców z białymi opaskami *Hiwi*, nie było widać wcale. W styczniu Wehrmacht ewakuował męską ludność, najpierw do obozów przejściowych, a potem do Generalkommissariat w Mikołajowie: fakt, było to dość radykalne rozwiązanie problemu partyzantów, ale przy takiej ilości rannych żołnierzy i rekonwalescentów ryzyko było niewskazane. Późną zimą nie było tu zbyt wielu rozrywek, nie licząc teatru i kina zorganizowanych przez Wehrmacht. *Nawet prątki usypiają w Jałcie*, pisał Czechów, ale mnie akurat owa nuda odpowiadała. Czasem dołączało do nas kilku młodych oficerów, wtedy siadywaliśmy razem na tarasie z widokiem na morze. Jeżeli było to możliwe — system zaopatrzenia w produkty pochodzące ze skonfiskowanych zapasów rządził się tajemniczymi prawami — zamawialiśmy butelkę alkoholu; oprócz muszkatelu mieli tu czerwony portwajn, również słodki, lecz pasujący do klimatu. Padały komentarze na temat tutejszych kobiet, które w tak smutny sposób potraciły mężów. Partenau nie był chyba na to obojętny. Zachęcany wybuchami śmiechu jeden z oficerów, odważniejszy od reszty, zaczepiał młode kobiety i dukając, zachęcał, żeby się przysiadły. Jedne rumieniły się tylko i szły dalej, inne siadały z nami; wtedy Partenau zwawo włączał się do rozmowy, prowadzonej głównie za pomocą gestów, jakichś onomatopei, pojedynczych słów. Czułem, że muszę położyć temu kres. „Meine Herren, nie chciałbym psuć wam zabawy, zacząłem przy nadarzającej się okazji, ale muszę was ostrzec przed ryzykiem, na jakie się narażacie”. Uderzyłem kilka razy w stół. Krótko i mocno. „W SD otrzymujemy i opracowujemy wszystkie raporty z incydentów, które przytrafiają się na tyłach Wehrmachtu. Dzięki temu zyskujemy całościowy ogląd problemów, którego wy nie macie. Muszę wam powiedzieć, że stosunki z sowieckimi kobietami, Ukrainkami czy Rosjankami, są nie tylko niegodne niemieckiego żołnierza, lecz także niebezpieczne. Nie przesadzam. Wiele z tych samic to Żydówki, które dobrze kryją swoje pochodzenie; już samo to naraża was na ryzyko *Rassenschande*, pohańbienie rasy. Ale jest coś jeszcze. Te Żydówki, ale również Słowianki, mają konszachty z partyzantami, wiemy, że bez skrupułów wykorzystują swoje wdzięki i zaufanie naszych żołnierzy, żeby oddawać się działalności szpiegowskiej na rzecz wroga. Myślicie może, że potraficie trzymać język za zębami, ale muszę wam powiedzieć, że nie ma nieważnych szczegółów i że praca wywiadu polega na układaniu gigantycznych mozaik z elementów, które, pojedyncze, są błahe i nieistotne, ale dopasowane do tysięcy

podobnych tworzą pewien sens. Bolszewicy nie działają inaczej”. To, co powiedziałem, chyba nieco zbiło z tropu moich towarzyszy. Mówiłem dalej: „W Charkowie czy w Kijowie mieliśmy wiele przypadków oficerów, którzy ginęli podczas randek, znajdowaliśmy potem ich ciała, straszliwie okaleczone. No i oczywiście choroby. Nasza służba zdrowia szacuje, opierając się na radzieckich statystykach, że 90% radzieckich kobiet cierpi na rzeżączkę, a 50% na kiłę. Wielu naszych żołnierzy już się zaraziło. Ci mężczyźni jadą potem na przepustki i zarażają swoje żony i dziewczyny. Służby medyczne Rzeszy są przerażone, mówią o epidemii. Taka profanacja rasy, jeżeli nie będzie bezlitośnie zwalczana, spowoduje na dłuższą metę coś w rodzaju *Entdeutschung*, odniemczenie naszej rasy i krwi”.

Moje przemówienie wyraźnie poruszyło Partenaua. Nic więcej nie dodałem, to wystarczyło, żeby go trochę urobić. Nazajutrz sam do mnie przyszedł, czytałem akurat w pięknym sanatoryjnym parku pełnym cyprysów i drzew owocowych. „Proszę mi powiedzieć, naprawdę wierzy pan w to, co mówił pan wczoraj?” — „Oczywiście! To najświętsza prawda”. — „Ale w takim razie, jak sobie z tym radzić? Rozumie pan...” Poczzerwieniał, był zażenowany, ale chciał mówić: „Rozumie pan, podjął po chwili, niedługo minie rok od wyjazdu z Niemiec, ciężko to znieść. Mężczyzna ma swoje potrzeby”. — „Zgadzam się w zupełności, odparłem uczonym tonem. Tym bardziej że masturbacja, w opinii wszystkich specjalistów, także wiąże się z poważnym ryzykiem. Oczywiście niektórzy uważają ją wyłącznie za objaw choroby psychicznej, nie zaś za jej przyczynę; są jednak i tacy, w tym wielki Sachs, którzy, przeciwnie, są przekonani, że jest to zgubny nawyk, prowadzący do zwyrodnienia”. — „Dobrze się pan zna na medycynie”, stwierdził Partenau. Był pod wrażeniem. — „Rzecz jasna, nie jestem zawodowcem. Ale interesowałem się tym, czytałem książki”. — „A teraz co pan czyta?” Pokazałem mu okładkę: „*Uczta*. Zna pan?”. — „Muszę przyznać, że nie”. Zamknąłem książkę i podałem mu: „Proszę wziąć. Ja znam ją na pamięć”.

Robiło się coraz cieplej, wkrótce można było się kąpać, ale woda nadal była chłodna. W powietrzu czuło się wiosnę i wszyscy niecierpliwie jej wyczekiwali. Pojechałem z Partenauem zwiedzić letnią rezydencję Mikołaja II w Liwadii; pałac spłonął podczas walk, ale fasady, regularne i asymetryczne, piękne dziedzińce w stylu włoskim i

arabskim nadal robiły wrażenie. Stamtąd, skapaną w słońcu drogą wśród drzew, dotarliśmy na przylądek, wznoszący się nad Oreandą; mieliśmy wspaniały widok na wybrzeże, wysokie, ośnieżone szczyty górowały nad drogą na Sewastopol, a za nami, w dole, widać było ów elegancki gmach z białego krymskiego granitu, który przed chwilą zwiedziliśmy, ciągle jeszcze osmalony dymem, ale wspaniale jaśniejący w słońcu. Zapowiadał się piękny dzień. Po dotarciu na przylądek byliśmy zlni potem, zdjęłem bluzę. W oddali, na zachodzie, dostrzegaliśmy zawieszoną na urwisku budowlę, Jaskółcze Gniazdo, średniowieczną fantazję niemieckiego barona, magnata naftowego, zrealizowaną na krótko przed rewolucją. Zaproponowałem Partenauowi, żebyśmy doszli do tej wieży; zgodził się. Zszedłem na ścieżkę wiodącą wzdłuż stromego brzegu. W dole morze spokojnie uderzało o skały, ponad naszymi głowami, w słońcu, śnieg skrzył się na stromych szczytach. Balsamiczne powietrze przesycone było wspaniałą wonią sosen i wrzosu. „Wiesz, odezwał się nagle Partenau, przeczytałem książkę, którą mi pożyczyłeś”. Od kilku dni byliśmy na „ty”. „Bardzo interesująca. Oczywiście wiedziałem o orientacji seksualnej Greków, ale nie zdawałem sobie sprawy, że czynili z niej ideologię”. — „To sprawa, o której bardzo dużo rozmyślali, przez wieki. To było coś więcej niż zwykła czynność seksualna. Dla nich był to styl życia i organizacji o totalnym wymiarze, odnosił się do przyjaźni, edukacji, filozofii, polityki, a nawet do wojskowości”. Zamilkłem, szliśmy dalej w ciszy, z bluzami zarzuconymi na ramiona. Partenau podjął rozmowę: „Gdy byłem mały, na lekcji religii uczono mnie, że to ohyda, obrzydliwość. Mój ojciec też tak o tym mówił, twierdził, że homoseksualiści idą do piekła. Do dziś pamiętam urywek ze świętego Pawła, który cytował ojciec: *Podobnie też i mężczyźni, porzuciwszy normalne współżycie z kobietą, zapalali nawzajem żądzą ku sobie, mężczyźni z mężczyznami uprawiając bezwstydy... wydał ich Bóg na pastwę na nic niezdatnego rozumu*. Odszukałem go w *Biblii* któregoś wieczoru”. — „Tak, ale przypomnij sobie, co na ten temat mówi Platon: *Bo z każdą czynnością tak się rzeczy mają: sama przez się nie jest żadna ani zła, ani dobra*. Powiem ci, co o tym myślę: te chrześcijańskie uprzedzenia, chrześcijańskie zakazy, to jest żydowski zabobon. Paweł, który miał na imię Szaweł i był żydowskim rabinem, nie mógł złamać ani tego zakazu, ani wielu innych. Zakaz ma konkretne pochodzenie: Żydzi żyli otoczeni pogańskimi plemionami i w wielu spośród nich kapłani uprawiali rytualny homoseksualizm podczas pewnych obrzędów religijnych. Były to powszechne praktyki. Herodot donosi o podobnych rzeczach, pisząc o Scytach, którzy

zaludniali ten region i cały ukraiński step. Pisze o Enarejach, potomkach Scytów, którzy splądrowali świątynię w Aszkelonie, za co bogini zesłała na nich kobiecą chorobę. Według niego byli to wróżbici, którzy zachowywali się jak kobiety — nazywano ich także *androgynoi*, pół mężczyznami, pół kobietami, co miesiąc mieli menstruację. Chodzi tu oczywiście o praktyki szamańskie, które Herodot źle zinterpretował. Słyszałem, że podobne zjawiska można oglądać jeszcze w Neapolu, gdzie podczas pogańskich obrzędów młody mężczyzna «rodzi» lalkę. Zauważ również, że Scytowie są przodkami Gotów, którzy zaludniali te ziemie, Krym, zanim zaczęli migrować na zachód. Czy to się podoba Reichsführerowi, czy nie, istnieją silne przesłanki, żeby sądzić, iż znali praktyki seksualne, zanim zdemoralizowali ich skażeni judaizmem księża”. — „Nie wiedziałem o tym. Ale, mimo wszystko, nasz *Weltanschauung* potępia homoseksualizm. W Hitlerjugend mieliśmy wykłady na ten temat, a w SS uczą nas, że jest to zbrodnia przeciw *Volks-gemeinschaft*, wspólnoty narodowej”. — „Sądzę, że to, o czym mówisz, jest przykładem źle pojętej idei narodowego socjalizmu albo też przykrywką dla pewnych interesów. Dobrze znam poglądy Reichsführera na ten temat, ale Reichsführer, tak jak ty, wywodzi się z katolickiej, surowej rodziny i pomimo silnego zaangażowania w idee narodowego socjalizmu, nie potrafił się uwolnić od pewnych katolickich przesądów i tym samym łączy sprawy, które w rzeczywistości nie mają ze sobą nic wspólnego. Mówiąc «katolicy», mam na myśli żydów, żydowską ideologię, chyba to rozumiesz. W naszym dobrze pojętym *Weltanschauung* nie ma niczego, co przekreślałoby istnienie Erosa między mężczyznami. Jest wręcz odwrotnie i mogę ci to udowodnić. Zauważ zresztą, że sam Führer nigdy tak naprawdę nie wypowiedział się w tej kwestii”. — „Ale przecież po wydarzeniach 30 czerwca Führer gwałtownie potępił Röhma i jemu podobnych za perwersyjne praktyki”. — „Dla naszych zacnych niemieckich burżujów, którzy boją się dosłownie wszystkiego, to był ważny argument i Führer dobrze o tym wiedział. Ty natomiast nie wiesz, że przed 30 czerwca Führer zawsze bronił postaw Röhma; w samej Partii nie brakło głosów krytycznych, ale Führer nie chciał ich słuchać, a plotkarzom odpowiadał, że *SA nie jest instytucją zajmującą się moralną edukacją dziewcząt z dobrych rodzin, ale formacją złożoną ze sprawdzonych bojowników*”. Partenau wybuchnął śmiechem. „Po 30 czerwca, mówiłem dalej, kiedy okazało się, że liczni bliscy współpracownicy Röhma, jak choćby Heines, byli także jego kochankami, Führer zaczął się obawiać, że homoseksualiści utworzą coś w rodzaju państwa w państwie, tajną organizację, wzorowaną na żydowskich,

która będzie działać we własnym interesie, a nie w interesie ojczyzny, taki «Zakon trzeciej płci», jak nasz Czarny Zakon. To ta obawa motywuje donosicieli. Lecz jest to problem natury politycznej, nie ideologicznej. Z rzeczywistego narodowosocjalistycznego punktu widzenia moglibyśmy właśnie miłość braterską uważać za prawdziwe spoiwo *Volksgemeinschaft*, walecznej i twórczej. Platon w gruncie rzeczy myślał podobnie. Pamiętasz mowę Pauzania, w której krytykuje inne narody, takie jak Żydzi, odrzucające męskiego Erosa: *Naturalnie dla barbarzyńców to jest zbrodnia, podobnie jak filozofia i zamiłowanie do gimnastyki... Tak więc, gdzie prawo uważa oddawanie się miłośnikom za występki, tam to prawo stoi tylko dzięki niepokromionej żądzy panowania rządzących i dzięki tchórzostwu rządzonych*. Nawiasem mówiąc, jeden z moich francuskich przyjaciół uważa Platona za pierwszego czysto faszystowskiego autora”. — „Tak, ale jednak... Homoseksualiści są zniewieściali, tacy pół mężczyźni, pół kobiety, jak sam powiedziałaś. Jak, twoim zdaniem, Państwo mogłoby tolerować mężczyzn niezdolnych do bycia żołnierzami?” — „Mylisz się. To fałszywa koncepcja, która przeciwstawia sobie męskiego żołnierza i zniewieściałego pederastę. Rzecz jasna, ten typ mężczyzn istnieje, ale jest to nowoczesny produkt zepsucia i upadku moralnego naszych miast, to są zresztą Żydzi albo ludzie zarażeni żydostwem, którzy nie do końca potrafią wyrwać się ze szponów księży i pastorów. Historia ludzkości pokazuje nam, że najlepsi żołnierze, elita wojskowa, zawsze kochali mężczyzn. Mieli żony, które pilnowały ich domów i z którymi płodzili dzieci, ale prawdziwe uczucia zachowywali dla towarzyszy. Weź choćby Aleksandra! I Fryderyka Wielkiego, choć nikt nie chce tego przyznać. Grecy oparli na tym nawet pewną zasadę w wojskowości: w Tebach stworzyli Święty Hufiec, armię złożoną z trzystu mężczyzn, która w swoim czasie cieszyła się najlepszą sławą. Każdy mężczyzna walczył w parze z przyjacielem; gdy kochanek starzał się i przechodził w stan spoczynku, jego wybraniec wiązał się z najmłodszym żołnierzem. W ten sposób pobudzali wzajemnie swą odwagę, byli niezwyciężeni. Żaden z nich nie śmiałby odwrócić się i uciec, zostawiając przyjaciela na pastwę losu; w walce dążyli do doskonałości. Zginęli wszyscy, co do jednego, pod Cheroneą, wybici przez Macedończyków Filipa; wzniosły przykład dla naszych z Waffen-SS. Podobne zjawisko można było zaobserwować u ludzi z Freikorpu, przyzna to każdy uczciwy weteran. Widzisz, trzeba patrzeć na to z intelektualnego punktu widzenia. Tylko mężczyzna jest naprawdę twórczy, to oczywiste. Kobieta daje życie, wychowuje, karmi, ale nie *tworzy* niczego nowego.

Blüher, filozof w swoim czasie bliski żołnierzom z Freikorps, który nawet bił się u ich boku, pokazał, że męski Eros pobudza żołnierzy do wykazywania się odwagą, męstwem i moralnymi cnotami, co przyczynia się nie tylko do rozwoju sztuki wojennej, lecz także do tworzenia państw, które nie są niczym innym, jak rozszerzoną wersją zmaskulinizowanych społeczności, takich jak armia. Chodzi więc o wyższą formę rozwoju, dostępną mężczyznom o dużym intelekcie. Ramiona kobiet są dla mas, dla oddziałów, lecz nie dla dowódców. Przypomnij sobie, co mówił Fajdros: *Podobnie widzimy, że oblubieńcy wstydzą się najwięcej swoich miłośników, kiedy się który da przychwycić na jakimś łotrostwie. Więc, gdyby to można było stworzyć państwo lub wojsko złożone z miłośników i oblubieńców, z pewnością nie znaleźliby lepszego pierwiastka porządku społecznego jak wzajemne powstrzymywanie się od postępów złych, chęć odznaczenia się w oczach drugiego i współzawodnictwo wzajemne. Tacy, choćby ich mało było, zwyciężyliby, powiem, cały świat. Bez wątpienia ten właśnie fragment zainspirował Tebańczyków*". — „Ten Blüher, o którym opowiadałeś, co się z nim stało?” — „Zdaje się, że jeszcze żyje. Podczas *Kampfzeit*, w Czasie Walki, miał w Niemczech licznych czytelników, i pomimo swych monarchistycznych przekonań był bardzo popularny w niektórych prawicowych kręgach, także wśród narodowych socjalistów. Potem, z tego, co pamiętam, zaczęto go zbyt mocno wiązać z Röhmem i od 1934 roku nie może publikować. Ale pewnego dnia władze zdejmą ten zakaz. Jest jeszcze coś, o czym chciałbym ci powiedzieć: nawet teraz narodowy socjalizm idzie na zbyt duże ustępstwa na rzecz Kościołów. Wszyscy są tego świadomi, Führer cierpi, ale w czasie wojny nie może pozwolić sobie na otwarte zwalczanie tego zjawiska. Oba Kościoły mają jeszcze zbyt duży wpływ na umysłowość mieszczan, a my jesteśmy zmuszeni to tolerować. Ale to nie będzie trwało wiecznie, po wojnie znów zwrócimy się przeciwko wewnętrznemu wrogowi i rozerwiemy te okowy, zniesiemy tę duchotę moralną. Gdy Niemcy zostaną oczyszczone z Żydów, przyjdzie czas na uwolnienie ich od szkodliwych idei. I wtedy zobaczysz, że wiele rzeczy ukaże się w zupełnie nowym świetle”. Przystałem mówić. Partenau też się nie odzywał; szliśmy w milczeniu wąską, pustą plażą. „Chcesz iść popływać?”, zaproponowałem. — „Pewnie jest lodowata”. — „Jest zimna, ale przecież Rosjanie kąpią się zimą. Nad Bałtykiem robią tak samo. To pobudza krążenie”. Rozebraliśmy się i wbiegłem do morza, Partenau biegł za mną, wydając głośne okrzyki. Przez kilka pierwszych chwil czułem ukąszenia zimna na skórze, wrzeszczeliśmy i śmialiśmy się, rzucaliśmy bezwładnie na fale, i zaraz, szybko,

wyszliśmy na brzeg. Położyłem się na kurtce, na brzuchu, Partenau wyciągnął się obok. Byłem cały mokry, ale było mi ciepło, czułem na skórze krople i blade promienie słońca. Przez długą chwilę z rozkoszą powstrzymywałem się od patrzenia na Partenaua, a potem odwróciłem się do niego: jego białe ciało lśniło od morskiej wody, ale twarz miał czerwoną, pokrytą plamami. Nie otworzył oczu. Gdy się ubieraliśmy, zwrócił uwagę na mój członek: „Jesteś obrzezany?”, wykrzyknął zaskoczony, jeszcze mocniej się czerwieniąc. Przepraszam”. — „Och, nie gniewam się. Jako nastolatek miałem infekcję. Dość częsta przypadłość”. Od Jaskółczego Gniazda dzieliły nas dwa kilometry, szliśmy stromym brzegiem. Na balkonie na tyłach blankowanej wieży była mała knajpka, zupełnie pusta, zawieszona nad powierzchnią morza; wieża była zamknięta, ale dostaliśmy portwajnu. Mieliśmy przepiękny widok na brzeg, na góry i na Jałtę, przycupniętą nad białą i niewyraźną zatoką. „Wypiliśmy kilka szklaneczek, odzywaliśmy się rzadko. Partenau był teraz blady, dyszał jeszcze, zmęczony wspinaczką, i wydawał się pogrążony w myślach. Ciężarówka Wehrmachtu zwiozła nas do miasta. Podobne gierki trwały jeszcze kilka dni; ale skończyły się tak, jak sobie tego życzyłem. W sumie nie było to aż takie trudne. Mocne ciało Partenaua kryło niewiele niespodzianek; gdy szczytował, otwierał szeroko usta, były jak okrągła, czarna dziura; jego skóra miała słodkawy, lekko mdły zapach, który podniecał mnie do szaleństwa. Jak opisać te odczucia komuś, kto nigdy ich nie poznał? W pierwszych chwilach, gdy członek zaczyna penetrować, bywa trudno, zwłaszcza gdy jest tam dość sucho. Ale gdy wejdzie cały, jest świetnie, och, świetnie, nie wyobrażacie sobie, jak bardzo. Plecy wyginają się i czujesz, jak błękitny rozświetlony strumień ciekłego ołowiu wypełnia miednicę, powoli przenika szpik, płynie coraz wyżej, dociera do głowy, i tam się rozlewa. To niezwykle doznanie wynika podobno z kontaktu penetrującego organu z prostatą, łechtaczką ubogich, która u mężczyzn znajduje się tuż przy okrężnicy, natomiast u kobiet, jeżeli nie myli mnie moja znajomość anatomii, oba narządy rozdzielone są częścią aparatu rozrodczego, co wyjaśniałoby, dlaczego kobiety zazwyczaj wydają się mniej gustować w sodomii, a jeśli już, to traktują ją raczej jako przyjemność głównie duchową. Co innego mężczyźni — często mówiłem sobie, że prostata i wojna to dwa dary, które Bóg dał mężczyźnie, by wynagrodzić mu fakt, iż nie jest kobietą.

A przecież nie zawsze lubiłem chłopców. W młodości, właściwie jeszcze jako dziecko, kochałem dziewczynę, opowiadałem o tym Thomasowi. Lecz nie powiedziałem mu wszystkiego. Tak jak dla Tristana i Izoldy, i dla nas wszystko zaczęło się na statku.

Kilka miesięcy wcześniej, w Kilonii, matka spotkała Francuza nazwiskiem Moreau. Ojca musiało już wtedy nie być z nami od jakichś trzech lat. Ten Moreau był właścicielem małej firmy na południu Francji i przyjeżdżał do Niemiec w interesach. Co się między nimi zdarzyło, tego nie wiem, ale po jakimś czasie wrócił i poprosił matkę, żeby z nim zamieszkała. Zgodziła się. Informując nas o tym, dobrze sobie poradziła, roztoczyła przed nami wizję pięknej pogody, morza, obfitych posiłków. Ten ostatni punkt był wyjątkowo atrakcyjny: Niemcy dopiero podnosiły się z wielkiej inflacji i chociaż byliśmy za mali, żeby cokolwiek z tego rozumieć, cierpieliśmy jak wszyscy. Siostra i ja odpowiedzieliśmy: „Świetnie, a co zrobimy, gdy ojciec wróci?”. — „Cóż, napisze do nas list i przyjedziemy tu z powrotem”. — „Obiecuje mama?” — „Obiecuje”.

Moreau mieszkał w wielkim, przekazywanym z pokolenia na pokolenie domu, dość staromodnym, pełnym zakamarków; w Antibes, blisko morza. Obfite jedzenie skąpane w oliwie z oliwek, piękne, ciepłe kwietniowe słońce, jakie w Kilonii świeci dopiero w lipcu — to oczarowało nas natychmiast. Moreau, który pomimo swojego nieokrzesa nie był wcale głupi, czynił wyjątkowe wysiłki, żeby zaskarbić sobie jeżeli nie nasze uczucie, to przynajmniej życzliwość. Tamtego lata wynajął od znajomego duży żaglowiec i zabrał nas w podróż po wyspach Lerins, a nawet dalej, aż do Frejus. Na początku miałem chorobę morską, ale szybko mi przeszło; ona, ta, o której opowiadam, nie chorowała. Usiedliśmy razem na dziobie i patrzyliśmy na spienione fale, a potem popatrzyliśmy na siebie, i w tym spojrzeniu, w goryczy naszego dzieciństwa, we władczym szumie morza coś się zdarzyło, coś, czemu nie można było zapobiec: miłość, słodko-gorzka, aż do śmierci. Ale na razie to było tylko spojrzenie.

Wszystko inne przyszło niebawem. Mniej więcej rok później odkryliśmy „te rzeczy”, a wtedy rozkosz bez granic wypełniła nasze dzieciństwo. Ale któregoś dnia, jak już mówiłem, przyłapali nas. Były niekończące się sceny, matka nazwała mnie *świnią i degeneratem*, Moreau płakał — to był koniec wszystkiego, co piękne. Kilka tygodni później, na początku roku szkolnego, wysłano nas do katolickich pensjonatów, oddalonych od siebie o setki kilometrów, w ten sposób *vom Himmel durch die Welt zur Hölle*, „z nieba przez świat do samych piekieł” zaczęła się kilkuletnia gehenna, która, w pewnym sensie, trwa do dziś. Sfrustrowani, zgorzkniali księża, poinformowani o moich grzechach, zmuszali mnie, bym godzinami klęczał na lodowatej posadzce kaplicy, i pozwalali brać tylko zimny prysznic. Biedny Partenau! Ja też poznałem Kościół z

najgorszej strony. Mój ojciec był protestantem, katolikami pogardzałem od dawna; wobec takiego traktowania, nędzne resztki mojej naiwnej dziecięcej wiary obróciły się w proch i zamiast okazać skruchę, nauczyłem się nienawiści.

Wszystko w tej szkole było skrzywione i perwersyjne. Nocą starsi chłopcy siadali na moim łóżku i wkładali mi ręce między nogi, musiałem dawać im po twarzy; wtedy śmiali się, spokojnie wstawali i wychodzili, ale pod prysznicami, po gimnastyce, któryś z nich zawsze przysuwał się do mnie i tarł szybko interesem o mój tyłek. Księża także zapraszali czasem chłopców do swoich gabinetów, na spowiedź, po czym, obiecując prezenty lub strasząc, nakłaniali ich do występków. Trudno się dziwić, że biedny Jean R. próbował się zabić. Napęłniało mnie to obrzydzeniem, czułem się zbrukany. Nie było nikogo, komu mógłbym się zwierzyć, ojciec nigdy by nie pozwolił na takie traktowanie, ale nie wiedziałem, gdzie szukać ojca.

Ponieważ nie miałem zamiaru podporządkować się ich odrażającym praktykom, starsi chłopcy traktowali mnie z taką samą perfidią jak wielebni ojczulkowie. Bili mnie za wszystko, zmuszali, żebym im usługiwał, pastowałem im buty, czyściłem mundurki. Pewnej nocy otworzyłem oczy: przy łóżku stało trzech chłopaków, ocierali się o moją twarz, zanim zdołałem cokolwiek zrobić, poczułem na oczach ich obrzydliwe wydzieliny. Takim sytuacjom można było zapobiec w jeden, klasyczny sposób: wybrać sobie protektora. Na tę okazję wypracowano w szkole precyzyjny rytuał. Najmłodszego chłopca nazywano kotem. Najstarszy czynił mu awanse, które mogły być z miejsca odrzucone; w innym wypadku miał prawo przekonywać kota za pomocą argumentów. Ale ja nie byłem jeszcze gotów, wolałem cierpieć i marzyć o utraconej miłości. I dopiero pewien dziwny incydent sprawił, że zmieniłem zdanie. Chłopiec z łóżka obok, Pierre S., miał tyle samo lat co ja. Pewnej nocy zbudził mnie jego głos. Nie jęczał, przeciwnie, mówił głośno i wyraźnie, choć oczywiste było, że śpi. Sam byłem zawieszony między jawą i snem, lecz, o ile nie przypominam sobie dokładnie jego słów, o tyle przerażenie, którym mnie wypełniły, pozostaje do dziś tak samo wyraźne. Brzmiało to mniej więcej tak: „Nie, jeszcze nie, teraz wystarczy” albo: „Proszę cię, to za dużo, tylko połowę”. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, sens tych słów jest dwuznaczny, ale wtedy, w środku nocy, interpretowałem je w jeden, konkretny sposób. Leżałem zlany zimnym potem, zdjęty ogromnym lękiem, kuliłem się w najdalszym kącie łóżka, usiłowałem nie słuchać. Nawet wtedy gwałtowność mojego strachu, szybkość, z jaką mnie ogarnął — przeraziły mnie. W następnych dniach

zrozumiałem, że słowa te odkrywały sprawy tłumione, nienazwane, trafiły na bliźniacze słowa we mnie, ukryte i niewypuszczone dotąd na światło dzienne, a teraz nagle rozbudzone unosiły ponure głowy i otwierały lśniące oczy. Powoli dochodziłem do takiego wniosku: skoro ona jest mi zakazana, to właściwie co za różnica z kim? Pewnego dnia na schodach zaczepił mnie chłopak: „Widziałem cię na gimnastyce, powiedział, byłem pod tobą, na przeszkodzie, miałeś rozpięte szorty”. Był to atletyczny chłopak, z wyglądu siedemnastoletni, o rozczochranych włosach, wystarczająco silny, by budzić strach w innych uczniach. „Zgoda”, odpowiedziałem i ruszyłem, przeskakując kilka stopni naraz. Od tej pory nie miałem większych kłopotów. Ten chłopak, nazywał się Andre N., dawał mi prezenciki, i od czasu do czasu prowadził do toalety. Jego ciało wydzielało ostrą woń młodej skóry i potu, czasem zmieszaną z lekkim zapaszkiem gówna, jak gdyby niestarannie się podtarł. Toaleta śmierdziała uryną i środkami dezynfekującymi, była zawsze brudna — do dziś zapach mężczyzn i spermy kojarzy mi się ze smrodem lizolu i moczu, z brudnym fajansem, obłuszczonej farbą, rdzą i zniszczonymi zasuwkami. Na początku tylko mnie dotykał albo brałem mu do ust. Potem zapragnął czegoś więcej. Znałem to, robiłem to z nią, po tym, jak dostała pierwszy okres; jej sprawiało to przyjemność, więc dlaczego mnie miałoby nie sprawiać? Poza tym, tłumaczyłem sobie, to mnie zbliża do niej, w pewnym sensie dzięki temu mogłem poczuć wszystko, co czuła ona, gdy mnie dotykała, lizła, a potem brała między szczupłe i wąskie pośladki. Bolało mnie, ją też musiało boleć, ale przeczekałem i gdy przyszła rozkosz, wyobraziłem sobie, że to jej rozkosz, nagła, rozdzierająca — prawie udało mi się zapomnieć, jak bardzo moja własna rozkosz jest uboga i ograniczona w porównaniu z tą jej oceaniczną rozkoszą — już — kobiety.

Prawdopodobnie stało się to przyzwyczajeniem. Ilekroć patrzyłem na dziewczyny, próbowałem wyobrazić sobie, jak biorę do ust ich mlecze piersi, jak trę członkiem o ich śluzówki. Myślałem: po co, skoro to nie jest ona i nigdy nie będzie. Już lepiej, żebym to ja stał się nią, a wszyscy inni — mną. Tych innych nie kochałem, powiedziałem wam o tym od razu. Moje usta, dłonie, członek, tyłek — pożądały ich, czasem intensywnie, do utraty tchu, ale od nich samych pragnąłem tylko dłoni, członka, ust. Nie znaczy to, że niczego nie czułem. Gdy napawałem wzrok widokiem pięknego ciała Partenaua, i tak już okrutnie okaleczonego, ogarniał mnie głuchy lęk: gładziłem palcami jego pierś, muskając sutek i bliznę, i wyobrażałem sobie tę pierś znowu zmiądzoną metalem; całowałem usta i

widziałem szczękę wyrwaną przez rozpalony odłamek szrapnela; schodziłem między nogi, wtulałem się w wybijające organy i wiedziałem, że gdzieś czeka mina, gotowa rozedrzeć je na strzępy. Ani mocne ramiona, ani uda, zwinne i tak bezbronne, żadna część jego kochanego ciała nie była bezpieczna. W przyszłym miesiącu, za tydzień, może nawet jutro, to piękne i słodkie ciało mogło w jednej chwili przemienić się w mięso, krwawą, zwęgloną masę, a jego zielone oczy mogły zgasnąć na zawsze. Bywało, że jeszcze chwila, a płakałbym z tego powodu. Ale gdy, całkiem zdrowy, wreszcie wyjechał, nie odczułem żadnego smutku. Zginął zresztą rok później, pod Kurskiem.

Gdy byłem sam, czytałem, spacerowałem. Jabłonie w sanatoryjnych ogrodach były obsypane kwiatami, bugenwille, glicynie, bzy, złotokapy kwitły i mąciły powietrze obfitością zapachów, gwałtownych, ciężkich, pomieszanych. Codziennie chodziłem powłóczyć się po ogrodach botanicznych, na wschód od Jałty. Rośliny różnych gatunków układały się piętrami ponad powierzchnią morza, otwierając przed zwiedzającym coraz to nowe perspektywy na błękit, potem na szarość horyzontu, a nad wszystkim czuwał wszechobecny, ośnieżony masyw gór Jajła. Drogowskazy w arboretum prowadziły do ponadtysiącletniego drzewa pistacjowego i pięćsetletniego cisu, wyżej w Górnym Parku, w rosarium zebrano dwa tysiące gatunków, które dopiero otwierały pąki, ale już roiło się wśród nich od pszczół, jak w lawendzie, którą pamiętałem z dzieciństwa; w Nadmorskim Parku, w szklarni, znajdowały się subtropikalne rośliny, prawie nieuszkodzone — mogłem siadywać tam twarzą do morza i czytać, uspokojony. Pewnego dnia, wracając przez miasto, zwiedziłem dom Czechowa, niewielką białą daczę, wygodną, zamienioną w muzeum przez Sowietów. Dyrekcja, o czym można się było dowiedzieć z tabliczek, była dumna zwłaszcza z fortepianu w salonie, na którym grywali Rachmaninow i Szalapin; mnie najbardziej poruszyła strażniczka tego miejsca, Masza, rodzona siostra Czechowa, teraz osiemdziesięcioletnia, która siedziała przy wejściu na zwyczajnym drewnianym krześle, nieruchoma, niema, z dłońmi ułożonymi płasko na udach. Jej życie, wiedziałem, zostało, tak jak i moje, złamane przez to, co okazało się niemożliwe. Czy marzyła, nawet teraz, w mojej obecności, o mężczyźnie, którego powinna była utrzymać u swego boku, o Faraonie, o swym zmarłym bracie i małżonku?

Pewnego wieczoru — moja przepustka dobiegała już końca — wstąpiłem do jałtańskiego kasyna w budynku przypominającym rokokowy pałac, nieco staroświeckim, ale przyjemnym. Na szerokich schodach prowadzących do sali zobaczyłem znajomego

Oberführera SS. Zszedłem na bok i stanąłem na baczność, żeby zsalutować. Odsalutował mi nieuważnie, ale dwa stopnie niżej zatrzymał się, odwrócił gwałtownie, a jego twarz rozjaśnił uśmiech: „Doktor Aue! Nie poznałem pana”. Był to Otto Ohlendorf, mój Amtchef z Berlina, teraz dowódca Einsatzgruppe D. Żwawo przeskoczył kilka dzielących nas schodków i uściskał mi dłoń, gratulując awansu. „Cóż za niespodzianka! Co pan tutaj robi?” W kilku słowach przedstawiłem mu swoją sytuację. „Ach, był pan u Blobela? Współczuję. Nie rozumiem, jak można trzymać w SS ludzi chorych psychicznie i jeszcze powierzać im dowództwo”. — „Tak czy inaczej, odpowiedziałem, Standartenführer Weinmann wydał mi się człowiekiem godnym zaufania”. — „Niezbyt dobrze go znam. Jest zatrudniony w Staatspolizei, nieprawdaż?” Przyglądał mi się przez chwilę, po czym rzucił: „A dlaczego nie zostanie pan ze mną? Potrzebuję adiutanta dla mojego Leitera III, w Gruppenstab. Poprzedni zaraził się tyfusem i wrócił do kraju. Znam dobrze doktora Thomasa, zgodzi się na pańskie przeniesienie”. Byłem zaskoczony tą ofertą: „Czy muszę odpowiedzieć panu natychmiast?”. — „Nie. Albo właściwie — tak”. — „Więc jeżeli Brigadeführer Thomas się zgodzi, to przyjmę ofertę”. Znow się uśmiechnął i uściskał mi dłoń. „Wspaniale, wspaniale. Muszę już lecieć. Niech pan przyjedzie do mnie jutro do Symferopola, wszystko załatwimy i przedstawię panu szczegóły. Znajdzie mnie pan bez trudu, jesteśmy obok AOK, zapyta pan. Miłego wieczoru!” Zbiegł ze schodów, machając dłonią i znikł. Poszedłem do baru i zamówiłem koniak. Bardzo lubiłem Ohlendorfa, rozmowy z nim sprawiały mi zawsze wielką przyjemność; nawet nie marzyłem, że któregoś dnia znow będę z nim współpracować. Był człowiekiem o niebywalej, żywej inteligencji, bez wątpienia jednym z najświetlejszych umysłów narodowego socjalizmu i jednym z najbardziej nieprzejednanych; jego postawa przysparzała mu wielu wrogów, ale mnie inspirował. Wykład, który wygłosił w Kilonii, wtedy gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, zachwyił mnie. Mówił ze swadą, prawie nie zaglądał do krótkich, rozrzuconych notatek, jasnym, dobrze modulowanym głosem podkreślał z siłą i precyzją każdy kolejny punkt wykładu. Wyszedł od żywej krytyki włoskiego faszyzmu, który jego zdaniem skupia się na Państwie, nie doceniając ludzkich wspólnot, podczas gdy narodowy socjalizm jest zbudowany na wspólnocie, na *Volksgemeinschaft*. Co gorsza, Mussolini systematycznie likwiduje wszystkie instytucjonalne przeszkody, hamujące działanie ludzi władzy. Prowadzi to prosto do totalitarnej wersji etatyzmu, w którym ani władza, ani jej naruszanie nie znają żadnych granic. Fundamentalną zasadą narodowego socjalizmu jest

prawda o wartości życia poszczególnego człowieka i Narodu jako zbiorowości; Państwo jest podporządkowane potrzebom Narodu. W ustroju faszystowskim ludzie sami w sobie nie mają żadnej wartości, są obiektami Państwa, a jedyną dominującą prawdą jest Państwo samo w sobie. Pomimo to pewne elementy w naszej Partii pragną wprowadzić faszystowskie idee do narodowego socjalizmu. Od chwili przejęcia władzy nurt narodowego socjalizmu w pewnych sektorach podążał w złym kierunku i stosował przestarzałe metody do rozwiązywania przejściowych problemów. Te dziwne tendencje były szczególnie silne w sektorze gospodarki żywnościowej, ale także w wielkim przemyśle, który z narodowego socjalizmu zaczerpnął jedynie nazwę i korzystał z niekontrolowanych, deficytowych wydatków Państwa na rozwój ponad wszelką miarę. Arogancja i megalomania panujące w pewnych kręgach Partii tylko pogarszają sytuację. Innym śmiertelnym zagrożeniem dla narodowego socjalizmu jest to, co Ohlendorf nazywał bolszewickim skrzywieniem: głównie kolektywistyczne skłonności DAF, Niemieckiego Frontu Pracy. Ley bez przerwy krytykował klasy średnie, nawoływał do likwidacji małych i średnich przedsiębiorstw, które przecież stanowiły autentyczną podstawę socjalną niemieckiej gospodarki. Fundamentalnym i decydującym celem posunięć gospodarki politycznej powinien być człowiek; gospodarka, i w tej akurat kwestii należy absolutnie oprzeć się na analizach Marksa, jest najważniejszym czynnikiem w życiu człowieka. Prawdą jest, że gospodarczy porządek narodowosocjalistyczny jeszcze nie istnieje. Ale polityka narodowego socjalizmu, we wszystkich sektorach, ekonomicznym, społecznym czy konstytucyjnym, powinna zawsze mieć na względzie dwa cele: człowieka i *Volk*. Tendencje kolektywistyczne w polityce gospodarczej i społecznej, podobnie jak tendencje absolutystyczne w polityce konstytucyjnej, stanowią odchylenia od owej linii. Jako siła przyszłości narodowego socjalizmu, my, studenci, przyszłe elity Partii, powinniśmy na zawsze pozostać wierni jego głównemu duchowi, ku temu duchowi się zwracać we wszystkich naszych działaniach i decyzjach.

To była najbardziej ostra krytyka sytuacji we współczesnych Niemczech, jaką kiedykolwiek słyszałem. Widać było, że Ohlendorf, mężczyzna niewiele starszy ode mnie, długo rozmyślał o tych kwestiach i oparł swoje wnioski na głębokich i ścisłych analizach. Później zresztą dowiedziałem się, że gdy jeszcze studiował w Kilonii, w trzydziestym czwartym, był aresztowany i przesłuchiwany przez Gestapo za swoje zjadliwe opinie o „prostytucji narodowego socjalizmu”; bez wątpienia między innymi i to doświadczenie

pchnęło go w stronę służb bezpieczeństwa. Miał bardzo wysokie mniemanie o swojej pracy, uważał ją za najważniejszy element procesu wprowadzania w życie idei narodowego socjalizmu. Po wykładzie, gdy zaproponował mi współpracę w charakterze V-manna i opisywał zakres zadań, wyrwało mi się nieszczęśliwie: „Ależ to praca kapusia!”. — Ohlendorf odparł wtedy zimno: „Nie, Herr Aue, to nie jest praca *donosiciela*. Nie prosimy pana o *szpiclowanie*, nie obchodzi nas, czy pańska sprzątaczką opowiada antypartyjne kawały. Ale kawał sam w sobie, i owszem, interesuje nas, ponieważ mówi nam o poczuciu humoru naszego Narodu. Gestapo ma do dyspozycji kompetentne służby, które perfekcyjnie zajmują się wrogami narodu, ale nie jest to akurat resort Sicherheitsdienst, który reprezentuje głównie służby informacyjne”. Po przyjeździe do Berlina stopniowo zbliżałem się do niego, przede wszystkim dzięki pośrednictwu mojego nauczyciela, Höhna, z którym Ohlendorf utrzymywał stosunki po jego odejściu z SD. Spotykaliśmy się od czasu do czasu na kawie, nieraz zapraszał mnie do siebie, żeby omówić najnowsze niezdrowe tendencje w łonie Partii i przedstawić swoje pomysły na ich zwalczanie oraz poprawę sytuacji. W tamtym czasie nie miał pełnego etatu w SD, ponieważ prowadził badania na uniwersytecie w Kilonii, a potem stał się ważną osobistością w Reichsgruppe Handel, Niemieckiej Organizacji Handlu. Gdy wreszcie wstąpiłem do SD, zachowywał się, podobnie jak dr Best, trochę jak mój protektor. Z powodu zaostrzającego się konfliktu z Heydrichem i trudnych stosunków z Reichsführerem tracił stopniowo wpływy, co jednak nie przeszkodziło w jego nominacji na Amtchefa III — szefa Sicherheitsdienst — podczas tworzenia RSHA. W Pretzsch krążyły różne plotki o powodach jego wyjazdu do Rosji; opowiadano, że kilkakrotnie odmawiał objęcia stanowiska, zanim Heydrich, pod naciskiem Reichsführera, zmusił go do zgody, żeby ostatecznie go pogrążyć.

Nazajutrz rano wsiadłem do wojskowego autobusu i pojechałem do Symferopola. Ohlendorf przyjął mnie jak zwykle uprzejmie, może niezbyt wylewnie, ale pogodnie i miło. „Zapomniałem zapytać pana wczoraj, jak się miewa Frau Ohlendorf?” — „Käthe? Bardzo dobrze, dziękuję. Rzecz jasna, tęskni za mną, ale *Krieg ist Kñeg*”. Ordynans przyniósł nam wyśmienitą kawę i Ohlendorf rozpoczął szybką prezentację. „Praca, zobaczy pan, będzie bardzo interesująca. Nie będzie pan miał na głowie działań wykonawczych, tym zajmą się Kommandos. Zresztą Krym jest niemal zupełnie *judenrein*, z Cyganami też już prawie kończymy”. — „Ze wszystkimi Cyganami?, przerwałem,

zdziwiony. Na Ukrainie nie jesteśmy aż tak skrupulatni”. — „Dla mnie, odpowiedział, oni są tak samo niebezpieczni jak Żydzi, może nawet bardziej. We wszystkich wojnach Cyganie odgrywają role szpiegów albo agentów, którzy komunikują się pomiędzy liniami. Niech pan poczyta teksty Ricardy Huch albo Schillera o wojnie trzydziestoletniej”. Przerwał. „Na początku zajmie się pan głównie badaniami. Wiosną mamy zamiar dotrzeć na Kaukaz — to jest tajemnica, którą radzę panu zachować dla siebie — ponieważ jest to region stosunkowo mało znany, chciałbym stworzyć coś w rodzaju kompendium wiedzy na potrzeby Gruppenstab i Kommandos, zwłaszcza jeśli chodzi o tamtejsze mniejszości etniczne i ich relacje — wzajemne oraz z radziecką władzą. W zasadzie zostanie stworzony taki sam system okupacyjny jak na Ukrainie, uformujemy nowy Reichskommissariat, ale naturalnie Sipo i SD także będą mieć coś do powiedzenia i im więcej zdobędziemy argumentów, tym bardziej będą nas słuchać. Pańskim bezpośrednim przełożonym będzie Sturmbannführer doktor Seibert, który jest jednocześnie dowódcą sztabu generalnego Grupy. Pójdzie pan teraz ze mną, przedstawię pana jemu i Hauptsturmführerowi Ulrichowi, który zajmie się pańskim przeniesieniem”.

Znałem Seiberta z widzenia, w Berlinie kierował departamentem D (gospodarka) SD. Był to człowiek poważny, szczerzy, serdeczny, świetny ekonomista po uniwersytecie w Getyndze — wydawał się tu równie nie na miejscu co Ohlendorf. Zaczął przedwcześnie łysieć, a od wyjazdu z Niemiec jeszcze się to nasiliło; lecz ani zbyt wysokie czoło, ani stara blizna, pamiątka po pojedynku, która przecinała jego podbródek, nie pozbawiły go wyglądu wiecznie rozmarzonego nastolatka. Przyjął mnie życzliwie, przedstawił resztę współpracowników, a potem, gdy Ohlendorf zostawił nas samych, zaprowadził mnie do gabinetu Ulricha, który sprawiał na mnie wrażenie małego, drobiazgowego biurokraty. „Oberführer dość niefrasobliwie traktuje procedury obsadzania stanowisk, zakomunikował mi, skwaszony. W normalnym trybie należy zwrócić się do Berlina z odpowiednim wnioskiem i poczekać na odpowiedź. Nie możemy ot tak po prostu przyjmować ludzi z ulicy”. — „Obersturmführer nie znalazł mnie na ulicy, znalazł mnie w kasynie”, zauważyłem. Zdjął okulary i przyjrzał mi się, zmrużywszy oczy: „Czyżby, Hauptsturmführer, stroił pan sobie żarty?”. — „Skądże. Jeżeli naprawdę uważa pan, że to niemożliwe, powiem o tym Oberführerowi i wrócę do swojego Kommando”. — „Nie, nie, nie, zaoponował, pocierając grzbiet nosa. To po prostu jest dość skomplikowane. Jeszcze więcej papierkowej roboty. Tak czy inaczej Oberführer wysłał już list w pańskiej sprawie

do Brigadeführera Thomasa. Jeżeli otrzyma pozytywną odpowiedź, zreferuję wszystko Berlinowi. To trochę potrwa. Niech pan teraz jedzie z powrotem do Jałty i wróci do mnie pod koniec urlopu”.

Dr Thomas szybko wydał zgodę. Zanim przyszło potwierdzenie z Berlina, zostałem „czasowo odłączony” od Sonderkommando 4a w Einsatzgruppe D. Nie musiałem nawet wracać do Charkowa, Strehlke umożliwił mi załatwienie na odległość tych kilku spraw, które zostawiłem. Zająłem kwaterę w Symferopolu, w przyjemnym, mieszczańskim, przedrewolucyjnym domu opróżnionym z lokatorów, stojącym przy ulicy Czechowa, kilkaset metrów od Gruppenstab. Z przyjemnością oddałem się „kaukaskim studiom”. Zacząłem od serii książek, opracowań historycznych, relacji podróżników, traktatów antropologicznych, niestety, większość została wydana przed Rewolucją. Nie będę się tu rozwodził nad osobliwościami tego fascynującego regionu, to nie jest dobre miejsce, zainteresowanych czytelników odsyłam do bibliotek lub, jeżeli mają takie życzenie, do archiwów Republiki Federalnej, gdzie, przy odrobinie wytrwałości i szczęścia, znajdują moje oryginalne raporty, podpisane przez Ohlendorfa albo Seiberta, lecz rozpoznawalne dzięki inicjałom M.A. Niewiele wiedzieliśmy na temat warunków panujących na sowieckim Kaukazie. Kilku podróżników z Zachodu dotarło tu w latach dwudziestych; od tamtego czasu informacje dostarczane przez Auswärtiges Amt, nasze ministerstwo spraw zagranicznych, były raczej ubogie. Aby do czegoś dotrzeć, należało dążyć. Gruppenstab posiadał kilka egzemplarzy niemieckiego czasopisma naukowego pod tytułem *Caucasica*, większość artykułów podejmowała tematy lingwistyczne, w sposób bardzo specjalistyczny, ale można było wychwycić sporo informacji — Amt VII w Berlinie zamówił kolekcję wszystkich roczników. Istniała także obfita sowiecka literatura naukowa, której jednak nigdy nie tłumaczono, w związku z tym pozostawała dla mnie niedostępna. Poprosiłem jednego z bardziej rozgarniętych tłumaczy o przeczytanie dostępnych książek i sporządzenie wypisów oraz syntez. Jeśli chodzi o wywiad, dysponowaliśmy licznymi wiadomościami o branży naftowej, infrastrukturze, komunikacji i przemyśle, natomiast jeśli chodzi o kwestie stosunków etnicznych i politycznych, nasze teczki były prawie puste. Niejaki Sturmbannführer Kurreck z Amt VI dołączył do Grupy z zamiarem utworzenia „Sonderkommando Zeppelin”; był to pomysł Schellenberga, który w stalagach i oflagach rekrutował *antybolszewickich aktywistów*,

często reprezentantów mniejszości etnicznych, i wysyłał ich za radzieckie linie, aby szpiegowali lub sabotowali. Ale projekt dopiero się rozwijał i jak na razie w niczym nie pomógł. Ohlendorf wysłał mnie na konsultacje z Abwehrą. Jego stosunki z AOK, bardzo napięte w początkach kampanii, wyraźnie się polepszyły od czasu przyjazdu von Mansteina na miejsce generała von Schoberta, który zginął we wrześniu w wypadku lotniczym. Nie zawsze dogadywał się z dowódcą sztabu generalnego, Oberstem Wöhlerem, który skłaniał się ku traktowaniu Kommandos jak jednostek tajnej policji wojskowej i odmawiał używania stopnia wojskowego Ohlendorfa, gdy się do niego zwracał, co było poważną zniewagą. Ale współpraca z Ic/AO, majorem Eislerem, przebiegała dobrze, a stosunki z oficerem kontrwywiadu, majorem Reisenem, były wręcz doskonałe, zwłaszcza odkąd Einsatzgruppe zaczęła aktywnie uczestniczyć w walce przeciwko partyzantom. Zwróciłem się więc do Eislera, który odesłał mnie do jednego ze swoich ekspertów, Leutnanta dr. Vossa. Voss, uprzejmy mężczyzna mniej więcej w moim wieku, nie był w gruncie rzeczy oficerem, tylko pracownikiem naukowym uniwersytetu, przydzielonym Abwehrze na czas trwania kampanii. Tak jak ja był absolwentem berlińskiego uniwersytetu; nie był etnologiem ani antropologiem, tylko lingwistą, a zajęcie to, jak się szybko miałem przekonać, wychodziło poza wąskie ramy fonetyki, morfologii czy składni i mogło stać się podstawą własnego *Weltanschauung*. Voss przyjął mnie w małym gabinecie; czytał, oparłszy stopy o stół zavalony stosami książek i porozrzucanych kartek. Gdy zobaczył, jak pukam w uchylone drzwi, nawet mi nie zasalutował (byłem jego zwierzchnikiem i powinien chociaż wstać), tylko od razu zapytał: „Chce pan herbaty? Prawdziwej herbaty”. I nie czekając na odpowiedź, zawołał: „Hans! Hans!”, po czym burknął: „Och, gdzie on się znów podziewa?”, odłożył książkę, wstał, minął mnie i zniknął na korytarzu. Wrócił chwilę później: „No, dobrze. Woda się grzeje”. I rzucił: „Niech pan tu tak nie sterczy! Proszę wejść”. Voss miał szczupłą, pociągłą twarz i błyszczące oczy; jego jasne, niesforne włosy, wygolone po bokach, przywodziły na myśl nastolatka, który niedawno ukończył gimnazjum. Miał świetnie skrojony mundur, wyglądał w nim pewnie i elegancko. „Witam! Co pana tutaj sprowadza?” Opisałem mu przedmiot moich poszukiwań. „A więc SD interesuje się Kaukazem? Dlaczego? Czy mamy zamiar opanować Kaukaz?” Widząc moją nieufność, wybuchnął śmiechem. „Ależ niech pan nie robi takiej miny! Proszę mi wierzyć, wiem o tym. Zresztą jestem tu przecież wyłącznie z tego powodu. Specjalizuję się w językach indogermańskich i indoirzańskich, a

moją węższą specjalizację stanowią języki kaukaskie. Tak więc wszystko, co mnie interesuje, znajduje się właśnie tam; tutaj drepczę w miejscu. Nauczyłem się tatarskiego, ale nie ma to dla mnie większego znaczenia. Na szczęście znalazłem dobre prace naukowe w bibliotece. W miarę jak będziemy posuwać się naprzód, stworzę kompletną kolekcję, którą wyślę do Berlina”. Roześmiał się. „Gdybyśmy zostali w pokojowych stosunkach ze Stalinem, moglibyśmy po prostu zamówić te książki. Kosztowałyby to dość drogo, ale na pewno mniej niż inwazja”. Ordynans przyniósł wrzątek i wyjął z szuflady herbatę. „Cukru? Niestety, nie mogę panu zaproponować mleka”. — „Nie, dziękuję”. Przygotował dwie filiżanki, podał mi jedną i opadł na krzesło, podciągając kolano pod brodę. Stos książek zasłaniał część jego twarzy, przesunąłem się. „Cóż więc mam panu opowiedzieć?” — „Wszystko”. — „Wszystko! A zatem ma pan dużo czasu”. Uśmiechnąłem się. „Tak, mam czas”. — „Świetnie. Zaczniemy w takim razie od języków, w końcu jestem lingwistą. Wie pan zapewne, że Arabowie, od X wieku, nazywali Kaukaz *Górami Języków*. I tak właśnie jest. Zjawisko jedyne w swoim rodzaju. Nikt nie wie, jaka jest ich dokładna liczba, naukowcy spierają się ciągle o niektóre dialekty, zwłaszcza te występujące w Dagestanie, tak czy inaczej jest ich około pięćdziesięciu. Jeżeli spojrzymy na to w kategoriach grup lub też rodzin języków, mamy przede wszystkim języki indoirañskie: ormiański, rzecz jasna, wspaniały język, osetyjski, który interesuje mnie szczególnie, oraz tacki. O rosyjskim nie wspominam, to się rozumie samo przez się. Następnie mamy języki tureckie, rozmieszczone na obszarach otaczających góry: turecki karaczajski, bałkarski, nogajski, kumycki na północy, dalej azerski, i dialekt meskhete na południu. Azerski jest językiem najbardziej przypominającym ten, którym mówi się w Turcji, ale zachował dawne naleciałości perskie, z których Kemal Atatürk oczyścił język turecki zwany współczesnym. Wszystkie te ludy to odpryski turecko-mongolskich hord, które najechały region w XIII wieku, albo pozostałości po późniejszych migracjach. Chanowie nogajscy panowali zresztą przez długi czas na Krymie. Widział pan ich pałac w Bachczysaraju?” — „Niestety, nie. To strefa frontu”. — „Rzeczywiście. Ja dostałem przepustkę. Skalne miasta troglodytów też są niezwykle”. Napił się herbaty. „Na czym stanęliśmy? Ach, tak. Następnie ma pan rodzinę południowokaukaską albo iberokaukaską. Uprzedzam od razu: kartwelski czy też gruziński nie ma nic wspólnego z baskijskim. To jest idea rozpropagowana przez Humboldta — pokój jego wielkiej duszy — i często powtarzana, niesłusznie. Przedrostek *ibero-* oznacza po prostu grupę południowokaukaską. Zresztą nie

jesteśmy nawet pewni, czy te języki w ogóle są ze sobą jakoś powiązane. Panuje taki pogląd — jest to podstawowy postulat radzieckich lingwistów — ale genetycznie tego wykazać nie można. Można natomiast wskazać podgrupy, tworzące pewne genetyczne całości. W przypadku grupy południowokaukaskiej, obejmującej kartwelski, swański, mingreński i lazyjski, rzecz jest niemal pewna. Podobnie jest z grupą kaukaską na północnym zachodzie. Pomimo tych wszystkich dźwięków — i tu wydał z siebie syczący osobliwy gwizd — które mogą być dość mylące w dialektach abchaskich, a mam tu na myśli abazyjski, adygejski i kabardyńsko-czerkieski, a także wymierający ubychski, używany już tylko przez nielicznych mieszkańców Anatolii, chodzi właściwie o jeden i ten sam język oraz jego silne dialektowe warianty. To samo z nachskim, posiadającym kilka różnych form, z których najważniejsze to czeczeński i inguski. Natomiast w Dagestanie sprawa pozostaje nie do końca zbadana. Wyodrębniono kilka zespołów, takich jak awarski i języki andyjskie, dydojskie, zwane też cezskimi, lackie i lezgińskie, i niektórzy uczeni widzą w nich podobieństwa do języków nachskich, zaś inni nie; owe podgrupy budzą spore kontrowersje. Dotyczą one choćby związków pomiędzy językami kubaczi i dargwa albo też genetycznej przynależności języka chinalugijskiego, z którego uczeni równie chętnie robią język izolowany, jak i wariant języka arczyńskiego”. Niewiele z tego rozumiałem, ale słuchałem olśniony, jak wyłuszcza swoją wiedzę. Jego herbata też była wysmienita. Wreszcie ośmieliłem się zapytać: „Proszę wybaczyć, ale czy pan zna te wszystkie języki?”. Roześmiał się: „Żartuje pan! Wie pan, ile ja mam lat? Poza tym bez pracy w terenie niewiele można zdziałać. Nie, znam biernie, ale dość dobrze, kartwelski, studiowałem elementy innych języków, w szczególności tych należących do północno-zachodniej grupy kaukaskiej”. — „Więc w sumie ile zna pan języków?” Znow się zaśmiał. „Mówić w jakimś języku to nie to samo, co umieć w nim czytać i pisać, a precyzyjna znajomość fonologii i morfologii to jeszcze coś innego. Co do północno-zachodnich języków kaukaskich, czyli zespołu adygejskiego, pracuję nad systemami spółgłoskowymi — samogłoskami zajmuję się mniej — i mam pewną ogólną znajomość gramatyki. Ale nie umiałbym porozmawiać z tubylcem. Natomiast, jeżeli weźmie pan pod uwagę, że w mowie codziennej rzadko używa się więcej niż pięciuset słów, a do tego dość elementarnej gramatyki, to mógłbym prawdopodobnie przyswoić jakikolwiek język w dziesięć, góra piętnaście dni. Trzeba jednak pamiętać, że każdy język ma charakterystyczne wyłącznie dla siebie trudności i problemy, które należy zgłębić, jeżeli rzeczywiście chce się go

opanować. Można powiedzieć, że język jako przedmiot badań naukowych dość się różni w swym ujęciu od języka jako narzędzia komunikacji. Czteroletni abchaski dzieciak będzie zdolny fenomenalnie artykułować złożone dźwięki, których ja nigdy nie zdołam poprawnie odtworzyć, ale za to potrafię rozłożyć je i opisać, jako na przykład serię głosek alweolarno-palatalnych w postaci prostej lub labializowanej, co z kolei nie będzie znaczyło nic dla tego chłopca, który ma swoją mowę w głowie, ale nigdy nie będzie umiał jej analizować”. Zastanowił się chwilę. „Na przykład, któregoś dnia przyjrzałem się systemowi spółgłoskowemu jednego z języków używanych w południowym Czadzie, ale wyłącznie po to, by porównać go z systemem ubychskim. Język Ubychów jest fascynujący. To jedno z plemion adygejskich, w Europie nazywanych czerkieskimi, które zostało wygnane z Kaukazu przez Rosjan w 1864 roku. Ci, którzy przeżyli, osiedli w Imperium Otomańskim, ale większość straciła znajomość własnego języka na rzecz tureckiego albo innych czerkieskich dialektów. Pierwszy częściowy opis sporządził Niemiec, Adolf Dirr. Był to wielki pionier w studiach nad językami kaukaskimi: badał jeden po drugim, poświęcał na to urlopy. Niestety, podczas Wielkiej Wojny utknął w Tyflisie, skąd wprawdzie wreszcie się wydostał, ale stracił większą część swoich notatek, w tym także te o języku ubychskim, które sporządził w 1913 roku w Turcji. To, co się zachowało, opublikował w 1927 roku, i już same te fragmenty były godne podziwu. Następnie zabrał się do tego Francuz, Dumezil, i w 1931 roku opublikował kompletny opis. Ubychski wyróżnia się tym, że zawiera, w zależności od sposobu liczenia, osiemdziesiąt albo osiemdziesiąt trzy spółgłoski. Przez kilka lat uważano to za rekord świata. Potem wysunięto tezę, że kilka języków używanych na południu Czadu, takich jak batamargi, posiada ich więcej. Ale do tej pory brak jednoznacznych wniosków”.

Odstawiłem filiżankę: „To wszystko jest fascynujące, Leutnant. Ale mam obowiązek interesować się bardziej konkretnymi sprawami”. — „Och, przepraszam, oczywiście! To, czym pan się zajmuje, to w gruncie rzeczy sowiecka polityka narodowościowa. Ale zobaczy pan, moje dygresje też się panu przydadzą, bo owa polityka opiera się właśnie na języku. Za carów wszystko było dużo prostsze: podbici autochtoni mogli robić to, na co mieli ochotę, jeżeli tylko się nie buntowali i płacili podatki. Elity mogły odbierać wykształcenie w języku rosyjskim, a nawet rusyfikować się — zresztą pewna liczba książęcych rodzin rosyjskich ma kaukaskie korzenie, zwłaszcza po tym, jak Iwan IV poślubił kabardyńską księżniczkę, Marię Temriukównę. Pod koniec ubiegłego

wieku rosyjscy naukowcy rozpoczęli badania nad tymi ludami, szczególnie z punktu widzenia etnologii, a ich wynikiem były wybitne prace, jak choćby ta autorstwa Wsiewołoda Millera, który był również świetnym lingwistą. Większość tych dzieł jest dostępna w Niemczech, niektóre zostały nawet przetłumaczone, ale istnieje także sporo monografii nielegalnych lub wydanych w niewielkich nakładach, i mam nadzieję dotrzeć do nich w bibliotekach autonomicznych republik. Po rewolucji i wojnie domowej władze bolszewickie, zainspirowane zrazu przez jedno z pism Lenina, stopniowo stworzyły całkiem oryginalną politykę narodowościową. Stalin, który w tamtych czasach był komisarzem ludowym do spraw narodowości, odegrał pierwszoplanową rolę. Ta polityka to zadziwiająca synteza pomiędzy, po pierwsze, zupełnie obiektywnymi pracami naukowców, takich jak wielcy specjaliści od Kaukazu Jakowlew i Trubeckoj, po drugie — międzynarodowej ideologii komunistycznej, niezdolnej początkowo do uwzględnienia podziałów etnicznych; wreszcie, po trzecie — rzeczywistych stosunków i aspiracji etnicznych w terenie. Sowieckie rozwiązanie można streścić tak: dany lud albo, jak oni to mówią, naród, równa się język plus terytorium. Aby postępować zgodnie z tą zasadą, Sowieci próbowali oddać Żydom — którzy mieli swój język, jidysz, ale nie mieli terytorium — jeden z autonomicznych regionów na Dalekim Wschodzie, Birobidżan. Ale to doświadczenie chyba się nie powiodło, bo Żydzi nie chcieli tam zamieszkać. Następnie, kierując się demograficznym znaczeniem każdego z narodów, Sowieci opracowali złożoną wielopoziomową skalę suwerenności administracyjnej, a każdy poziom miał określone prawa i ograniczenia. Najliczniejsze narody, jak Ormianie, Gruzini i tak zwani Azerowie, podobnie jak Ukraińcy i Białorusini, zyskały własne SRR — Socjalistyczne Republiki Radzieckie. Na gruzińskich uczelniach kształcą się studentów w języku kartwelskim, w tym języku powstają także wartościowe prace naukowe. Tak samo rzecz się ma z ormiańskim. Trzeba powiedzieć, że są to dwa bardzo stare języki literackie o bogatej tradycji, w których pisano o wiele wcześniej niż w rosyjskim, a nawet w staro-cerkiewno-słowiańskim, po raz pierwszy zapisanym przez Cyryla i Metodego. Zresztą, proszę pozwolić mi na krótką dygresję. Mesrop, który na początku V wieku stworzył alfabet gruziński i ormiański, chociaż te dwa języki nie mają ze sobą nic wspólnego, musiał być genialnym lingwistą. Jego gruziński alfabet jest w całości fonemiczny. Nie można tego powiedzieć o alfabetach kaukaskich, stworzonych przez radzieckich lingwistów. Mówi się zresztą, że Mesrop opracował również alfabet dla języka albańskiego, używanego na

Kaukazie, ale niestety nie pozostał po nim żaden ślad. Wracając do tematu: następne są autonomiczne Republiki ZSRR, takie jak Kabardyno-Bałkarska, Czeceńsko-Inguska czy Dagestańska. Niemcy nadwołżańscy także mieli ten status, lecz, jak pan dobrze wie, zesłano ich wszystkich, a republika została zlikwidowana. Następnie ma pan terytoria autonomiczne i tak dalej, i tym podobne. Kluczowym punktem jest pojęcie języka literackiego. Aby mieć własną republikę, lud musi obowiązkowo posiadać język literacki, to znaczy pisany. Lecz, oprócz kartwelskiego, jak przed chwilą panu wyjaśniłem, żaden język kaukaski nie spełniał tych warunków w okresie rewolucji. Było kilka prób w XIX wieku, ale wyłącznie na użytek naukowców, istnieją także skąpe pozostałości po zapisach w alfabecie arabskim, sięgające X lub XI wieku, ale to wszystko. W związku z tym radzieccy lingwiści wykonali wspaniałą, kolosalną pracę: stworzyli, na podstawie alfabetu łacińskiego i cyrylicy, alfabety dla jedenastu języków kaukaskich, a także sporej liczby języków tureckich, w tym syberyjskiego. Faktem jest, iż alfabety te można krytykować z technicznego punktu widzenia. Cyrylica niezbyt się nadaje do zapisu tych języków: zmodyfikowane litery łacińskie, których próbowano używać w latach dwudziestych, czy nawet alfabet arabski, byłyby bardziej odpowiednie. Zrobili zresztą ciekawy wyjątek dla abchaskiego, który do dziś zapisuje się zmodyfikowanym alfabetem gruzińskim, jednak powody jego użycia na pewno nie są techniczne. Obowiązkowe przejście na cyrylicę spowodowało dość groteskowe zniekształcenia, jak na przykład użycie znaków diakrytycznych, dwuznaków, trójznaków, a nawet, w języku kabardyńskim, do zapisu głoski płozywnej niemej przydechowej labialno-uwularnej — czteroznaku”. Złapał kartkę i nagryzmolił coś na jej odwrocie, po czym podał mi ją i zobaczyłem napis КХБУ. „To jedna litera. To jest równie niedorzeczne, co sposób, w jaki zapisują u nas literę III. — Znów coś nabazgrał — *shch*, albo jeszcze gorzej, jak Francuzi — *chtch*. Poza tym, niektóre z tych nowych ortografii są bardzo niedokładne. W języku abchaskim zapis głosek przydechowych i ejektywnych jest straszliwie niestały. Mesrop byłby oburzony. Co najgorsze, Rosjanie upierali się, żeby każdy język miał inny alfabet. Z lingwistycznego punktu widzenia tworzy to absurdalne sytuacje, jak owo *uy*, które w kabardyńskim przedstawia głoskę *sz*, a w adygejskim *tsz*, podczas gdy mamy do czynienia z jednym i tym samym językiem; w adygejskim *sz* ma zapis *uyʁ*, z w kabardyńskim *tsz* zapisuje się jako *uu*. Podobnie rzecz się ma z językami tureckimi, gdzie przykładowo zmiękczone L jest zapisywane inaczej niemal w każdym języku. Ma się rozumieć, zrobili to specjalnie,

to była decyzja polityczna, nie lingwistyczna, a miała na celu jawną i możliwie najskuteczniejszą separację sąsiadujących ze sobą ludów. Może to być, nawiasem mówiąc, klucz dla pana: najbliższe sobie ludy zmuszone były zaprzestać funkcjonowania sieciowego, poziomego, a w zamian zwrócić się masowo, w sposób pionowy i równoległy, ku władzy centralnej, przyjmującej pozycję ostatecznej instancji w przypadku jakichkolwiek konfliktów, które zresztą sama bez przerwy podsyca. Wracając do alfabetów: pomimo krytycznego nastawienia, uważam je za wielkie dokonanie, tym bardziej że poszedł za tym cały mechanizm edukacji. W ciągu piętnastu, niekiedy dziesięciu lat niepiśmienne dotąd narody otrzymały gazety, książki, magazyny we własnych językach. Dzieci najpierw uczyły się czytać w językach ojczystych, a dopiero później po rosyjsku. To coś niezwykłego”.

Voss mówił dalej, a ja notowałem tak szybko, jak potrafiłem. Ale bardziej jeszcze niż owe szczegóły zachwycił mnie jego stosunek do własnej wiedzy. Intelktualiści, z którymi miałem dotąd do czynienia, tacy jak Ohlendorf czy Höhn, nieprzerwanie rozwijali swoje umiejętności i teorie; gdy mówili, to po to, by zaprezentować własne idee lub spróbować je jeszcze bardziej rozwinąć. Natomiast wiedza Vossa zdawała się żyć w nim niemal jak organizm, a Voss cieszył się nią jak kochanką, zmysłowo, nurzał się w niej, stale odkrywał jej nowe aspekty, istniejące już, ale dotąd nieuświadomione, i czerpał z tego czystą przyjemność, jak dziecko, które się uczy otwierać i zamykać drzwi albo napełniać wiaderko piaskiem i zaraz je opróżniać. Słuchacz odczuwał tę przyjemność razem z nim, dawał się ponieść kapryśnym meandrom jego wykładu, nieprzerwanie zaskakiwać; można się było z niego śmiać, ale wyłącznie radośnie, tak jak się śmieje ojciec na widok dziecka, które z wielką przyjemnością otwiera i zamyka drzwi, dziesięć razy z rzędu. Wracałem do niego kilkakrotnie i zawsze przyjmował mnie uprzejmie, wręcz entuzjastycznie. Wkrótce zawiązała się między nami ta szczerą i szybką przyjaźń, której sprzyjają wojny i wyjątkowe sytuacje. Włóczyliśmy się po hałaśliwych ulicach Symferopola, delektując się słońcem, pośród różnobarwnego tłumu żołnierzy niemieckich, rumuńskich i węgierskich, wymęczonych *Hiwi*, śniadych Tatarów w turbanach, rumianych ukraińskich chłopek. Voss znał wszystkie czajchany w mieście i rozmawiał swobodnie w różnych dialektach ze smutnymi bądź radosnymi dzierzawcami, którzy podawali tam, krygując się, niedobrą zieloną herbatę. Zabrał mnie któregoś dnia do Bachczysaraju, zwiedziliśmy przepiękny pałacyk chanów krymskich, zbudowany w XVI wieku przez

architektów włoskich, perskich i otomańskich rękami rosyjskich i ukraińskich niewolników, oraz Czufut-Kale, fort Żydów, skalne miasto drążone od VI wieku w wapiennych skałach, zajmowane przez rozmaite ludy — ostatnimi, tymi, którzy nadali miejscu jego perską nazwę, byli Karaimi, żydowska dysydencka sekta, którą, jak wyjaśniłem Vossowi, w 1937 roku decyzją ministra spraw wewnętrznych przestało obowiązywać niemieckie prawo rasowe i w konsekwencji także tu, na Krymie, miała zostać oszczędzona dzięki specjalnym środkom podjętym przez SP. „Podobno w Niemczech Karaimi przedstawili carskie dokumenty, w tym także ukaz Katarzyny Wielkiej, które potwierdzały, iż nie są oni pochodzenia żydowskiego i że na judaizm przeszli dość późno. Specjaliści z Ministerstwa uznali autentyczność tych dokumentów”. — „Tak, słyszałem o tym, powiedział Voss z uśmiechem. Spryciarze”. Miałem ochotę zapytać, co przez to rozumie, ale zmienił temat. Dzień był wspaniały. Nie było jeszcze za gorąco, niebo pozostało blade i jasne, z daleka, ze szczytu klifu widzieliśmy morze, płaską, równą powierzchnię, która odcinała się od nieba ciemniejszą szarością. Z południowego zachodu dochodził do nas monotony warkot dział bombardujących oblężony Sewastopol. Mali, umorusani Tatarzy w łachmanach bawili się w ruinach albo paśli kozy, kilku przyglądało się nam z zaciekawieniem, ale czmychnęli, gdy Voss zawołał coś w ich języku.

W niedzielę, gdy nie miałem zbyt dużo pracy, brałem samochód i jechaliśmy na plażę, do Eupatorii. Często prowadziłem sam. Upał narastał z dnia na dzień, wiosna przysłała na dobre i musiałem uważać na grona nagich chłopców, którzy kładli się na brzuchach na rozgrzanym asfalcie, by pierzchać jak wróble na widok samochodów, ruchliwy tłumek chudych, opalonych ciał. W Eupatorii znajdował się piękny meczet, największy na Krymie, zaprojektowany w XVI wieku przez słynnego otomańskiego architekta Sinana, oraz kilka interesujących ruin, ale nigdzie nie mogliśmy tam trafić na portwajn ani, prawdę mówiąc, na herbatę; poza tym woda w jeziorze była nieruchoma, bagnista. Opuściliśmy więc miasto i udaliśmy się na plażę, gdzie czasem mijaliśmy grupy żołnierzy, idących z Sewastopola na odpoczynek po walkach. Byli najczęściej nadzy, zwykle niemal całkowicie biali, z wyjątkiem twarzy, szyi i przedramion, wrzeszczeli jak dzieci, rzucając się do wody, a potem mokrzy tarzali się w piasku i wdychali jego ciepło w skupieniu, jak gdyby modlili się o przegnanie zimowego chłodu. Często plaże były puste. Podobał mi się niemodny wygląd radzieckich plaż: parasole pstrokate, ale bez tkaniny,

ławki upstrzone ptasimi odchodami, metalowe kabiny — zardzewiałe, pokryte łuszczącą się farbą, zza których widać było stopy i głowy zaczajonych dzieciaków. Mieliśmy swoje ulubione miejsce, plażę na południu miasta. W dniu, w którym ją odkryliśmy, pół tuzina krów, rozproszonych wokół leżącego na piasku jaskrawo pomalowanego kutra, skubało świeżą stepową trawę porastającą wydmy; jasnowłose dziecko, krążące pomiędzy nimi na byle jak skleconym rowerze, nie robiło na nich żadnego wrażenia. Na drugim brzegu wąskiej zatoczki, z niebieskiej lepianki wzniesionej na ruchomym nabrzeżu, dobiegała smutna rosyjska muzyka; woda obijała się z pluskiem o dwie nędzne rybackie barki, przycumowane przed lepianką zużyтыми linami. Miejsce pogrążone było w atmosferze spokojnego zaniedbania. Przywieźliśmy ze sobą świeży chleb i czerwone zeszłoroczne jabłka, które chrupaliśmy, popijając wódką. Woda była zimna, ożywcza. Po prawej stronie stały stare, zamknięte na kłódkę pijalnie wód i rozpadająca się wieża ratownika. Godziny mijały, nie mówiliśmy zbyt wiele. Voss czytał, powoli dokończyłem wódkę i znów zanurzyłem się w wodzie. Jedna z krów ruszyła galopem po plaży. Wracaliśmy przez rybacką wioskę, szliśmy do samochodu zaparkowanego nieco dalej. Zauważyłem stado gęsi, przechodzących pojedynczo przez drewnianą bramę; ostatnia niosła w dziobie małe zielone jabłuszko i biegła, żeby dogonić siostry.

Często też spotykałem się z Ohlendorfem. Sprawy związane z pracą załatwiałem z Seibertem, ale pod wieczór, jeżeli tylko Ohlendorf nie był zbyt zajęty, przychodziłem do jego gabinetu na kawę. Pił ją bez przerwy, złośliwi twierdzili, że się nią odżywia. Wyglądał zawsze na zajętego całą masą spraw, które czasem niewiele miały wspólnego z Grupą. Faktycznie to Seibert kierował codzienną pracą: nadzorował innych oficerów Gruppenstab, prowadził też regularnie zebrania z dowódcą sztabu generalnego albo Ic 11. Armii. Aby zadać Ohlendorfowi pytanie w jakiegokolwiek oficjalnej sprawie, należało zwrócić się do jego adiutanta, Obersturmführera Heinza Schuberta, potomka wielkiego kompozytora; był to człowiek sumienny, choć nieco ograniczony. Tak więc, gdy Ohlendorf gościł mnie u siebie trochę tak jak nauczyciel przyjmuje studenta, nigdy nie rozmawiałem z nim o pracy. Rozważaliśmy raczej problemy teoretyczne lub ideologiczne. Któregoś dnia podjąłem z nim kwestię żydowską. „Żydzi!, wykrzyknął. Niech będą przeklęci! Są gorsi od heglistów!” Uśmiechnął się, co zdarzało się naprawdę rzadko, i mówił dalej, głosem wyraźnym, melodyjnym, dość wysokim: „Można zresztą powiedzieć, że Schopenhauer miał o tyle rację, że w gruncie rzeczy marksizm jest żydowską perwersją

Hegla. Nieprawdaż?”. — „Chciałbym przede wszystkim zapytać pana o opinię na temat naszej akcji”, zaryzykowałem. — „Chce pan rozmawiać o zagładzie ludności żydowskiej, jak mniemam?” — „Tak. Muszę przyznać, że mam z tym problem”. — „Z tym wszyscy mają problem, odpowiedział kategorycznie. Ja też”. — „Jaka jest więc pańska opinia?” — „Moja opinia?” Przeciągnął się i złożył ręce przy ustach, a jego wzrok, zazwyczaj przenikliwy, teraz był pusty. Nie mogłem przyzwyczaić się do jego widoku w mundurze, dla mnie Ohlendorf pozostał cywilem i trudno mi było wyobrazić go sobie inaczej niż w jasnych, dyskretnych, świetnie skrojonych garniturach. „To błąd, odezwał się wreszcie. Ale błąd konieczny”. Pochylił się do przodu i oparł łokcie o blat biurka. „Muszę to panu wytłumaczyć. Proszę sobie nalać kawy. Jest to błąd, ponieważ wynika z naszej nieumiejętności bardziej racjonalnego załatwienia tej sprawy. Ale jest to błąd konieczny, ponieważ w obecnej sytuacji Żydzi są dla nas wyjątkowym i bezpośrednim zagrożeniem. Führer zdecydował się narzucić najbardziej radykalne rozwiązanie, ponieważ skłoniły go do tego niezdecydowanie i niekompetencja ludzi, którzy powinni zająć się tym problemem. I tylko dlatego”. — „Co pan rozumie przez *naszą nieumiejętność bardziej racjonalnego załatwienia tej sprawy?*” — „Już panu wyjaśniam. Przypomina pan sobie zapewne, jak po Przejęciu Władzy wszyscy głupcy i psychopaci z Partii zaczęli wrzeszczeć, domagając się *radykalnych posunięć*. Pamięta pan te nielegalne, szkodliwe akcje, które rozpętywano z inicjatywy kretyna Streichera. Führer, bardzo rozsądnie, przyhamował owe niekontrolowane działania i podjął się rozwiązania problemu na drodze legalnej, a wynikiem tego były prawa rasowe z trzydziestego piątego roku, satysfakcjonujące jako całość. Ale potem, z powodu z jednej strony opiesziałych biurokratów, którzy topili każdą próbę zmian w zalewie papierów, a z drugiej — napaleńców, którzy nawoływali do *Einzelaktionen*, pojedynczych akcji, często we własnym interesie, całościowe rozwiązanie kwestii żydowskiej było dalekie od wprowadzenia. Pogromy z 1938 roku, które wyrządziły w Niemczech tak wiele szkód, stanowiły logiczną konsekwencję owego braku koordynacji. I dopiero gdy SD poważnie zajęło się tym problemem, można było stworzyć alternatywę dla inicjatyw *ad hoc*. Po długich badaniach i dyskusjach udało nam się opracować i zaproponować spójną politykę globalną: przyspieszoną emigrację. Dziś jestem przekonany, że to rozwiązanie mogło usatysfakcjonować wszystkich i jego realizacja była całkowicie możliwa, nawet po Anchlussie. Struktury, które stworzyliśmy w celu ułatwienia emigracji, zwłaszcza w celu

użycia bezprawnie zdobytych żydowskich majątków do finansowania emigracji biednych Żydów, okazały się bardzo skuteczne. Pamięta pan może takiego małego pół-Austriaka, dość służalczego, który pracował u Knochena, a potem u Behrendsa...?” — „Mówi pan o Sturmbannführerze Eichmannie? Spotkałem go w zeszłym roku w Kijowie”. — „Tak, o nim. Stworzył w Wiedniu znakomitą organizację. Świetnie działała”. — „Tak, ale potem była Polska. I żaden kraj na świecie nie był gotów na przyjęcie trzech milionów Żydów”. — „Otóż to”. Znow się wyprostował, przerzucając jedną nogę na drugą. „Ale nawet wtedy mogliśmy rozwiązać trudności etapami. Gettoizacja, rzecz jasna, to była katastrofa, ale moim zdaniem w dużej mierze przyczyniła się do tego postawa Franka. Prawdziwy problem polegał na tym, że chcieli zrobić wszystko naraz: repatriować folksdojczów i rozwiązać problem żydowski razem z polskim. Więc, oczywiście, wyniknął z tego chaos”. — „Tak, ale z drugiej strony repatriowanie folksdojczów było sprawą pilną, nikt nie mógł przewidzieć, jak długo jeszcze Stalin będzie chciał współpracować. Z dnia na dzień mógł nam odciąć drogę. Nawiasem mówiąc, nie udało nam się uratować Niemców nadwołżańskich”. — „Myślę, że moglibyśmy. Z tym że oni nie chcieli się ruszyć. Popełnili fatalny błąd, bo uwierzyli Stalinowi. Uważali, że chroni ich statut, nieprawdaż? Zresztą ma pan rację, należało absolutnie zacząć od folksdojczów. Ale to dotyczyło wyłącznie Ziem Wcielonych, a nie Generalnego Gubernatorstwa. Gdyby wszyscy chcieli współpracować, można by było opracować sposób na przesiedlenie Żydów i Polaków z Wartegau i Danzig-Prus Wschodnich do Generalnego Gubernatorstwa i zrobiłoby się miejsce dla repatriantów. Ale tu docieramy do granic naszego narodowosocjalistycznego Państwa w jego aktualnej postaci. To jest fakt, że organizacja narodowosocjalistycznej administracji nie jest jeszcze adekwatna do politycznych i socjalnych potrzeb naszego społeczeństwa. Partię toczy gangrena zbyt wielu skorumpowanych elementów, które bronią prywatnych interesów. W związku z tym każda różnica zdań natychmiast przybiera rozmiary ostrego konfliktu. W przypadku repatriacji Gauleiterzy Ziem Wcielonych wykazali się nadzwyczajną arogancją, a Generalne Gubernatorstwo zareagowało w ten sam sposób. Jedni oskarżali drugich o robienie z nich śmietnika i *vice versa*. SS, która została obarczona tym problemem, nie miała wystarczającej władzy, żeby zaprowadzić porządek. Na każdym etapie ktoś podejmował dziką inicjatywę albo kontestował decyzje Reichsführera, wykorzystując własne związki z Führerem. Nasze Państwo ciągle jeszcze jest owym absolutnym, narodowosocjalistycznym *Führerstaat* wyłącznie w teorii; w

praktyce, i ten stan się pogarsza, jest pewną formą pluralistycznej anarchii. Führer może próbować wydawać sądy, ale nie może być wszędzie, a nasi Gauleiterzy potrafią świetnie interpretować jego rozkazy, zniekształcać je, a potem ogłaszać, że postępują według jego *woli*, choć tak naprawdę robią, co chcą”.

Wszystko to oddaliło nas nieco od Żydów. „Ach, tak, naród wybrany. Pomimo tych wszystkich przeszkód zrównoważone rozwiązania były jeszcze możliwe. Na przykład, po naszym zwycięstwie nad Francją, SD, razem z Auswärtiges Amt, zaczęło się poważnie zastanawiać nad opcją «Madagaskar». Przedtem przewidywano zebranie wszystkich Żydów wokół Lublina, w czymś w rodzaju wielkiego rezerwatu, gdzie mogliby wieść spokojne życie, nie stanowiąc jednocześnie zagrożenia dla Niemiec, ale Generalne Gubernatorstwo kategorycznie odmówiło i Frankowi udało się przy użyciu swoich rozległych znajomości zdusić ten projekt w zarodku. Madagaskar — to było bardzo poważne. Sprawdziliśmy to, wystarczyłoby miejsca dla wszystkich Żydów na obszarze pod naszą kontrolą. Plany były dalekosiężne, zaszczepiliśmy nawet członków Staatspolizei przeciwko malarii, przewidując ich rychły wyjazd. Projekt prowadził głównie Amt IV, ale SD dostarczała informacji i pomysłów, a ja czytałem wszystkie raporty”. — „Dlaczego to nie doszło do skutku?” — „Z tej prostej przyczyny, że Brytyjczycy bardzo nierozważnie odmówili akceptacji naszej miążdżącej przewagi i podpisania z nami traktatu pokojowego! Od tego wszystko zależało. Chodziło o to, żeby Francja oddała nam Madagaskar, co figurowałoby w zapisach traktatu, a po drugie Anglia musiałaby nam użyczyć swojej floty jako kontrybucji, nieprawdaż?”

Ohlendorf przerwał, żeby poprosić ordynansa o jeszcze jeden dzbanek kawy. „Także tutaj, w Rosji, wstępne plany miały dużo mniejszy zasięg. Wszyscy sądzili, że kampania będzie krótka, chcieli zrobić tak jak w Polsce, to znaczy stracić elity, inteligencję, bolszewickich dowódców, wszystkich będących zagrożeniem. Robota sama w sobie okropna, ale wynikająca z konieczności życiowej i logiki, wzięwszy pod uwagę rozpasaną naturę bolszewizmu, jego całkowity brak skrupułów. Gdy zwyciężymy, będziemy mogli na nowo skupić się na opracowaniu globalnego i ostatecznego rozwiązania, tworząc na przykład żydowski rezerwat na północy albo na Syberii, albo wysyłając ich do Birobidżanu, czemu nie?” — „Cokolwiek by to było, jest to koszarne zadanie, powiedziałem. Czy mogę zapytać pana, dlaczego zgodził się pan wziąć je na siebie? Z pańskim stopniem i zdolnościami byłby pan dużo bardziej użyteczny w

Berlinie”. — „To na pewno, odparł żywo. Nie jestem ani żołnierzem, ani policjantem, i robota zbira nie odpowiada mi. Ale taki był bezpośredni rozkaz i musiałem go przyjąć. Poza tym, jak już panu powiedziałem, sądziliśmy, że to wszystko potrwa miesiąc lub dwa, nie więcej”. Zdziwiłem się, że odpowiedział mi tak szczerze, jeszcze nigdy nie rozmawialiśmy równie otwarcie. „A od czasu *Vernichtungsbefehl*?”, dążyłem. Ohlendorf nie odpowiedział od razu. Ordynans przyniósł kawę, Ohlendorf zaproponował mi następną filiżankę. „Wypiłem już dosyć, dziękuję”. Siedział pogrążony w myślach. Wreszcie zaczął mówić, powoli, starannie dobierając słowa: „*Vernichtungsbefehl* to rzecz straszliwa. Paradoksalnie to jest jak rozkaz Boga z żydowskiej Biblii, nieprawdaż? *Teraz idź, podbijesz Amaleka i obłożysz klątwą wszystko, co jest jego własnością; nie lituj się nad nim, lecz zabijaj tak mężczyzn, jak i kobiety, młodzież i dzieci, woły i owce, wielbłądy i osły* — zna pan to, pierwsza księga Samuela. Gdy otrzymałem rozkaz, pomyślałem właśnie o tym. I, jak już panu mówiłem, uważam, że to błąd, że powinniśmy mieć wystarczająco dużo inteligencji i zdolności, by znaleźć rozwiązanie bardziej... humanitarne, powiedzmy, bardziej zgodne z naszym sumieniem Niemców i narodowych socjalistów. W tym sensie jest to porażka. Ale trzeba także brać pod uwagę rzeczywistość wojenną. Wojna jest ciężka i każdego dnia, w którym ta wroga siła trwa na tyłach naszych linii, nasi przeciwnicy umacniają się, a my słabniemy. To jest wojna totalna, zaangażowano w nią wszystkie siły Narodu, i nie możemy ignorować niczego, by zwyciężyć, niczego. To właśnie wyraźnie zrozumiał Führer; przeciął gordyjski węzeł wątpliwości, wahań i przeciwstawnych interesów. Zrobił to, jak wszystko, by ratować Niemcy, świadomy, że jeżeli może wysłać na śmierć setki tysięcy Niemców, to także może i musi wysłać na śmierć Żydów i wszystkich innych wrogów. Żydzi modlą się o naszą klęskę i robią wszystko, by do niej doszło, więc dopóki nie zwyciężymy, nie będziemy mogli hodować na własnej piersi takiego wroga. A jeśli chodzi o nas, których obarczono ciężarem dobrego wykonania tej pracy, to naszym zadaniem wobec narodu, naszym zadaniem prawdziwych narodowych socjalistów jest posłuszeństwo. Nawet jeśli *posłuszeństwo jest nożem, które podrzyna gardło ludzkiej woli*, jak mawiał święty Józef z Cupertino. Musimy zgodzić się na nasze zadanie, tak jak Abraham zgodził się na niewyobrażalną ofiarę ze swojego syna Izaaka, bo tego wymagał od niego Bóg. Czytał pan Kierkegaard? Nazywa Abrahama rycerzem wiary, który nie tylko musi poświęcić syna,

lecz także przede wszystkim swoje etyczne przekonania. Z nami jest podobnie, nieprawdaż? Musimy spełnić ofiarę Abrahama”.

Ohlendorf, jak wynikało z tego, co mówił, nie chciał znaleźć się w takiej sytuacji; ale kto w tamtych czasach miał szczęście robić to, co chciał? Rozumiał to i świadomie akceptował. Jako komendant był zasadniczy i skrupulatny; w odróżnieniu od mojej dawnej Einsatzgruppe, gdzie szybko zarzucono ten mało praktyczny system, naciskał, żeby egzekucje były przeprowadzane metodą wojskową, z plutonem — często wysyłał swoich oficerów, Seiberta, Schuberta i innych, na inspekcję — mieli sprawdzać, czy Kommandos przestrzegają jego zarządzeń. Zależało mu także na możliwie jak najskuteczniejszej kontroli drobnych kradzieży czy defraudacji, na które pozwalali sobie żołnierze wyznaczeni do wykonywania egzekucji. Wreszcie, surowo zabronił bicia i maltretowania skazanych; jak twierdził Schubert, jego nakazy były przestrzegane *na tyle, na ile to było możliwe*. Poza tym wszystkim starał się zawsze podejmować pozytywne inicjatywy. Jesienią, w okolicach Mikołajowa, we współpracy z Wehrmachtem, zorganizował brygadę żydowskich rzemieślników i farmerów, którzy zabezpieczyli zbiory. Musiał przerwać to doświadczenie na bezpośredni rozkaz Reichsführera, ale wiedziałem, że tego żałował i prywatnie uważał ten rozkaz za błąd. Na Krymie zaangażował się głównie w umacnianie stosunków z ludnością tatarską i osiągał znaczne sukcesy. W styczniu, gdy niespodziewana ofensywa Sowietów i zajęcie Kerczu zagroziły naszej sytuacji na Krymie, Tatarzy, całkiem spontanicznie, oddali jedną dziesiątą swojej męskiej populacji do dyspozycji Ohlendorfa, do pomocy w obronie naszych linii; pomagali też znacząco SP i SD w walce przeciw partyzantom, przekazywali nam tych, których udało im się złapać albo likwidowali ich sami. Armia ceniła tę pomoc, a wysiłki Ohlendorfa skutecznie przyczyniły się do polepszenia stosunków z AOK po konflikcie z Wöhlerem. A mimo to źle czuł się w tej roli i nie byłem bardzo zaskoczony, gdy po śmierci Heydricha zaczął negocjować w sprawie powrotu do Niemiec. Heydrich został ranny w Pradze, 29 maja, i zmarł 4 czerwca. Nazajutrz Ohlendorf poleciał do Berlina, by uczestniczyć w uroczystościach żałobnych. Wrócił w drugiej połowie miesiąca, w stopniu SS-Brigadeführera, wioząc ze sobą obietnicę szybkiego przeniesienia; od razu też zaczął się żegnać. Któregoś wieczoru opowiedział mi krótko, jak to się odbyło: cztery dni po śmierci Heydricha Reichsführer zaprosił go na posiedzenie większości Amtchefów, był Müller,

Streckenbach i Schellenberg, mieli dyskutować na temat przyszłości RSHA i zdolności RSHA do przetrwania jako niezależnej organizacji po śmierci Heydricha. Reichsführer postanowił nie szukać od razu jego następcy; sam pełnił tymczasowo jego obowiązki, ale na odległość. A ta decyzja wymagała obecności wszystkich Amtchefów w Berlinie, aby w imieniu Himmlera mogli bezpośrednio nadzorować podległe sobie urzędy. Ohlendorfowi wyraźnie ulżyło i choć nie pozbył się swej zwyczajowej rezerwy, wydawał się niemal radosny. Ale wśród panującej wszędzie ogólnej ekscytacji mało kto dostrzegał jego stan. Kończyliśmy przygotowania do wielkiej kampanii na Kaukazie. Operacja Blau rozpoczęła się 28 czerwca ofensywą von Bocka na Woroneż. Dwa dni później zastępca Ohlendorfa, Oberführer dr Walter Bierkamp dotarł do Symferopola. Ohlendorf nie wyjeżdżał sam: Bierkamp przywiózł własnego adiutanta, Sturmbannführera Thielecke, i planowano wymienić większość oficerów — weteranów Gruppenstab, podobnie jak szefów Kommandos. Miało się to odbyć latem, zależnie od dyspozycyjności następców. Na początku lipca, na fali entuzjazmu po upadku Sewastopola, Ohlendorf wygłosił dla nas pełną swady mowę pożegnalną, w której — z naturalną dla siebie godnością — perorował o wielkim znaczeniu naszej morderczej walki przeciw bolszewizmowi i o tym, jakie trudności ona ze sobą niesie. Bierkamp, który przyjechał do nas prosto z Belgii i Francji, a przedtem kierował Kripo w swym rodzinnym mieście Hamburgu i z kolei służył jako IdS w Düsseldorfie, zwrócił się do nas w kilku słowach. Wydawał się usatysfakcjonowany swoim nowym posterunkiem: „Nie ma nic bardziej podniecającego dla żołnierza niż praca na Wschodzie, zwłaszcza w czasie wojny”, oświadczył. Z zawodu był prawnikiem, adwokatem. W jego wypowiedziach, w tamtym przemówieniu i w późniejszych rozmowach wyczuwało się mentalność policjanta. Był mężczyzną około czterdziestki, dość krępy, miał raczej krótkie nogi i niepozorną twarz; pomimo doktoratu na pewno nie był intelektualistą, mówił, mieszając hamburską gwarę z żargonem SP, ale sprawiał wrażenie zdecydowanego i skutecznego. Ohlendorfa widziałem już potem tylko raz: podczas bankietu wydanego przez AOK, by uczcić zajęcie Sewastopola. Był pochłonięty rozmową z oficerami armii, a potem długo dyskutował z Mansteinem, ale życzył mi powodzenia i zaprosił do siebie, gdybym kiedyś znalazł się w Berlinie.

Voss także wyjechał, przeniesiono go nagle do AOK Generalobersta von Kleista, którego *panzers* przekroczyły już granicę ukraińską i nacierały na Millerowo. Czułem się nieco osamotniony. Bierkamp był zajęty reorganizacją Kommandos, niektóre z nich

musiały zostać rozwiązane, w ich miejsce planowano utworzyć na Krymie stałe struktury SP i SD. Teraz Seibert przygotowywał się do wyjazdu. Wraz z latem na Krym zawitała duchota, nadal więc jeździłem na plażę przy każdej nadarzającej się okazji. Pojechałem zwiedzić Sewastopol, gdzie rozpoczęło działalność jedno z naszych Kommandos; wokół długiego portu w południowej zatoce ciągnął się stos dymiących jeszcze ruin, po których włóczyli się wycieńczeni i zszokowani cywile; ewakuacja trwała. Wynędzniałe, brudne dzieciaki prześlizgiwały się pomiędzy nogami żołnierzy i żebrały o chleb, w odpowiedzi oni, zwłaszcza ci z Rumunii, bili je po twarzach i kopali butami po tyłkach. Zszedłem do podziemnych kazamatów portu, gdzie Armia Czerwona założyła fabryki broni i amunicji; większość splądrowano lub spalono miotaczami ognia. Zdarzało się, że podczas końcowej bitwy komisarze, schowani tu albo w jamach drążonych w klifach, wysadzali się w powietrze wraz z wojskowymi i cywilami, których kryli. A przy okazji ginęli także żołnierze niemieccy, którzy za bardzo się do nich zbliżyli. Wszystkich wyższych rangą oficerów i komisarzy sowieckich ewakuowano w łodzi podwodnej jeszcze przed upadkiem miasta, udało nam się złapać tylko szeregowców i gryzipiórków. Nieregularne wzniesienia górujące nad ogromną północną zatoką wokół miasta były zasypane gruzami fortyfikacji. Nasze pociski osiemdziesiątki, wystrzeliwane z gigantycznych haubic zamontowanych na szynach, zmiażdżyły stalowe kopuły radzieckich działek 30,5 cm. Ich długie, powykręcane lufy leżały w nieładzie na ziemi albo prężyły się wyprostowane ku niebu. W Symferopolu AOK 11 pakowała bagaże; von Manstein, awansowany na Generalfeldmarschalla, szedł na czele swej armii zgnieść Leningrad. O Stalingradzie, rzecz jasna, nikt jeszcze wtedy nie rozmawiał, był to cel o drugorzędym znaczeniu.

Na początku sierpnia zaczęła działać Einsatzgruppe. Nasze siły, zreorganizowane w dwóch grupach armii A i B, właśnie przejęły Rostów po zaciętych ulicznych walkach i jednostki pancerne przekroczywszy Don parły przez step Kubania. Bierkamp przydzielił mnie do Vorkommando Gruppenstabu i kazał nam dołączyć, przez Melitopol i Rostów, do 1. Armii Pancernej. Nasz niewielki konwój szybko przedostał się przez przesmyk i przeogromną Przełęcz Tatarską zamienioną przez Sowietów na fosę przeciwpancerną, a następnie, za Perekopem, zboczył w stronę Stepu Nogajskiego. Było straszliwie gorąco, pociełem się obficie, kurz kleił mi się do twarzy niczym szara maska; na szczęście o świcie, zaraz po tym, jak ruszyliśmy, niebo długo mieniło się subtelnymi i wspaniałymi kolorami,

błękitniało powoli — nie było mi źle. Nasz przewodnik, Tatar, kazał regularnie zatrzymywać samochody i chodził się modlić. Zostawiałem wtedy złorzeczących oficerów i wysiadałem, żeby rozprostować nogi i zapalić. Po obu stronach drogi pojawiały się wyschnięte rzeczki i strumienie, tworząc sieć wymytych kolein, wrzynających się głęboko w step. Wokół nie widać było ani drzew, ani wzgórz i tylko regularnie rozstawione słupy angielsko-irańskiego telegrafu, wzniesione na początku wieku przez Siemens, urozmaicały krajobraz tej martwej równiny. Woda w studniach była słona, kawa miała słony smak, zupa była przesolona. Kilku oficerów opchało się melonami, dostali biegunki i przez to posuwaliśmy się jeszcze wolniej. Minąwszy Mariupol, jechaliśmy złą przybrzeżną drogą aż do Taganrogu, i dalej do Rostowa. Hauptsturmführer Remmer, oficer Staatspolizei, który dowodził Vorkommando, dwa razy dawał rozkaz do zatrzymania konwoju przy ogromnych plażach zasypanych otoczkami i porośniętych pożółkłą trawą, żeby żołnierze mogli się wykąpać; schliśmy w kilka minut, siedząc na gorących kamieniach ubieraliśmy się i jechaliśmy dalej. W Rostowie naszą kolumnę przyjął Sturmbannführer dr Christmann, który zastąpił Seetzena na czele Sonderkommando IOa. Właśnie zakończył egzekucję ludności żydowskiej w wąwozie zwanym Wężowym, na drugim brzegu Donu, wysłał również Vorkommando do Krasnodaru, który upadł dwa dni wcześniej; V Korpus Armii zebrał tam górę radzieckich dokumentów. Poprosiłem, by przeanalizowano je jak najszybciej i dostarczono nam wszelkich informacji, dotyczących funkcjonariuszy i członków partii, chciałem uzupełnić małą poufną książeczkę, którą Siebert powierzył mi w Symferopolu, bym przekazał ją jego następcy. Zawierała, wypisane maleńkim drukiem na biblijnym papierze, nazwiska, adresy, często także numery telefonów aktywnych komunistów i bezpartyjnej inteligencji, powszechnie znanych naukowców, profesorów, pisarzy, urzędników, dyrektorów państwowych zakładów i kolchozów lub sowchozów z całego regionu Kubań-Kaukaz; były tam nawet listy nazwisk przyjaciół i krewnych, opisy wyglądu fizycznego i kilka zdjęć. Christmann poinformował nas o pozycjach poszczególnych komand: Sk 11, jeszcze pod dowództwem dr. Braune, bliskiego przyjaciela Ohlendorfa, właśnie wkroczyła do Majkopu z 13. Dywizją Pancerną, Persterer, ze swoim Sk IOb czekał nadal w Tamaniu, ale Vorkommando Ek 12 znajdowało się już w Woroszyłowsku, gdzie do momentu zdobycia Groźnego miał się mieścić Gruppenstab. Sam Christmann przygotowywał, zgodnie ze wstępnymi założeniami, przeniesienie swojego Hauptkommando do Krasnodaru. W

Rostowie nie zobaczyłem prawie niczego; Remmer chciał posuwać się naprzód i dał rozkaz do odjazdu zaraz po posiłku. Za Donem, ogromnym, który przejechaliśmy po moście pontonowym, ciągnęły się kilometrami pola dojrzałej kukurydzy i powoli rozpraszały się w szerokim pustynnym stepie Kubania. Dalej, na wschodzie, biegła długa, nieregularna linia jezior i bagien Manyza, pocięta zbiornikami o kolosalnych tamach, w opinii niektórych geografów stanowiąca granicę między Europą i Azją. Czoło 1. Armii Pancernej, które przemieszczało się w zmotoryzowanych kolumnach — pojazdy opancerzone otaczały ciężarówki artyleryjskie — widać było z odległości pięćdziesięciu kilometrów: ogromne kłęby kurzu na tle błękitnego nieba, a za nimi leniwa zasłona czarnego dymu ze spalonych wiosek. Jechaliśmy ich śladem, z rzadka tylko mijając konwoje *Rollbahn* lub oddziały posiłkowe. W Rostowie Christmann pokazał nam kopię słynnej dziś depechy von Kleista: *Przede mną żadnych wrogów, za mną — żadnych posiłków*. Pustka tego niekończącego się stepu miała w sobie coś przerażającego. Posuwaliśmy się z trudem, czołgi zamieniły drogę w morze miążkiego piasku, nasze pojazdy często grzęzły w nim i kiedy wysiadaliśmy, zapadaliśmy się po kolana jak w błocie. Wreszcie przed Tichoreckiem zaczęły wykwitać pierwsze pola słoneczników, żółte połacie zwrócone ku słońcu, wróżące bliskość wody. A potem Kubań, raj Kozaków. Droga biegła przez pola kukurydzy, pszenicy, prosa, jęczmienia, tytoniu, melonów. Były też połacie ostów wysokości konia, ukoronowanych różem i fioletem, a nad tym wszystkim ciągnęło się rozległe niebo, jasne, blade, bezchmurne. Kozackie wioski były bogate, przy każdej chacie rosły śliwy, drzewka morelowe, jabłonie, grusze, krzaki pomidorów, melony, winogrona, po wszystkich podwórkach chodziło ptactwo, kilka świń. Gdy zatrzymaliśmy się na posiłek, ludzie przyjęli nas serdecznie, przynieśli świeży chleb, omlety, pieczone wieprzowe żeberka, szczypior i wodę ze studni. Potem był Krasnodar, gdzie spotkaliśmy się z Lotharem Heimbachem, Vorkommandoführerem. Remmer zarządził trzydniową przerwę, żeby spokojnie porozmawiać i przejrzeć zebrane dokumenty, które Christmann miał przetłumaczyć, gdy tylko się tu zjawi. Dr Braune przyjechał z Majkopu, żeby uczestniczyć w zebraniach. Po trzech dniach nasze Vorkommando ruszyło w kierunku Woroszyłowska.

Zobaczyliśmy miasto z daleka, rozciągnięte na wysokim, płaskim wzniesieniu, w otoczeniu pól i sadów. Wzdłuż drogi ciągnęły się poprzewracane pojazdy, ciężka broń, zniszczone czołgi, w oddali na torach setki wagonów towarowych płonęły nieprzerwanie

wesołym płomieniem. Dawniej to miasto nazywało się Stawropol, co po grecku oznacza „miasto krzyża”, albo raczej „miasto na skrzyżowaniu dróg”; powstało na styku starych północnych dróg i kiedyś, w XIX wieku, podczas pacyfikacji góralskich plemion, służyło za bazę wojskową siłom rosyjskim. Teraz było to małe prowincjonalne miasteczko, spokojne i ospałe, które nie wyrosło wystarczająco szybko, by można było zniekształcić je, jak wiele innych, w odrażające radzieckie przedmieście. Długi dwupasmowy bulwar otaczający pas platanów docierał do dworca; w dolnym odcinku dostrzegłem piękną aptekę w stylu art nouveau, z wejściem i wystawami w kształcie kręgów, z otworami po szybach zmiecionych wybuchem. Kommandostab Ek 12 też już docierał, i umieszczono nas tymczasowo w hotelu Kawkaz. Sturmbannführer dr Müller, dowódca Einsatzkommando, powinien był przygotować się na przyjęcie Gruppenstab, ale nie podjęto jeszcze żadnych decyzji, wszystko było wciąż bardzo niepewne, ponieważ oczekiwano na sztab generalny Grupy Armii A i Oberst Hartung z Feldkommandantur zwlekał z przydzielaniem kwater: Einsatzkommando miało już swoje biura w Domu Armii Czerwonej, naprzeciw siedziby NKWD, ale zastanawiano się, czy nie umieścić Gruppenstab z OKHG. Vorkommando jednak nie próżnowało. Od razu zagazowali w ciężarówce Saurera ponad sześciuset pacjentów szpitala psychiatrycznego, którzy mogliby siać zamęt. Do niektórych strzelano, ale wyniknął z tego pewien incydent: jeden z wariatów zaczął biegać dookoła i Hauptscharführer, który próbował go zabić, wreszcie wystrzelił w momencie, w którym na linii strzału znalazł się jego towarzysz; kula, przebiwszy na wylot głowę wariata, raniła podoficera w ramię. Żydowskich przywódców, wezwanych do byłych biur NKWD, także zagazowano. Wreszcie Vorkommando rozstrzelało licznych radzieckich więźniów, za miastem, w pobliżu krytego magazynu lotniczego paliwa; ciała wrzucono do podziemnych zbiorników.

Einsatzkommando 12 nie zostawało w Woroszyłowsku, ponieważ przyznano mu strefę, którą Rosjanie nazywali KMW, Kaukaskie Mineralne Wody — szereg miasteczek rozproszonych między wulkanami, słynących ze źródeł o właściwościach leczniczych i z uzdrowisk. Einsatzkommando 12 miało się przenieść do Piatigorska, jak tylko zacznie się okupacja regionu. Dr Bierkamp i Gruppenstab dotarli tydzień po nas. Wehrmacht przydzielił nam wreszcie kwatery i biura w oddzielnym skrzydle dużego kompleksu budynków, w których stacjonowało już OKHG; zbudowano mur, żeby nas rozdzielić, ale kantyna pozostała wspólna i dzięki temu mogliśmy świętować razem z żołnierzami

zdobycie przez PK 1. Dywizji Strzelców Górskich szczytu Elbrus, najwyższego w łańcuchu Kaukazu. Dr Müller i jego Kommando wyjechali, zostawiwszy Teilkommando pod dowództwem Wenera Klebera — miało dokończyć oczyszczanie Woroszyłowska. Bierkamp czekał jeszcze na przybycie Brigadeführera Gerreta Korsemana, nowego HSSPF-a na Kubań-Kaukaz. Natomiast następca Seiberta ciągle jeszcze nie dojechał i Hauptsturmführer Prill przejął tymczasowo jego obowiązki. Prill wysłał mnie na misję do Majkopu.

Letnia mgła otulała szczyty Kaukazu, można je było dojrzeć dopiero, gdy podeszło się do ich podnóży. Przedostałem się poszarpanymi zboczami przez Armawir i Łabinską; opuściliśmy terytoria kozackie i teraz na domach kwitły tureckie flagi, zielone z białym półksiężycem, które muzułmanie zatknęli na nasze powitanie. Miasto Majkop, jedno z wielkich centrów naftowych Kaukazu, rozpościera się w dolinie u podnóża gór, przecięte głęboką rzeką Bielą, nad którą góruje stare miasto, wzniesione na wapiennych skałach. Droga do przedmieść wiodła wzdłuż torów, zastawionych tysiącami wagonów, wypełnionych wojennymi łupami, których Sowietci nie mieli czasu wywieźć. Przeszliśmy przez nienaruszony most i wkroczyliśmy do miasta, pociętego długimi, identycznymi ulicami, wytyczonymi po obu stronach Parku Kultury, gdzie dogorywały gipsowe statuy przodowników pracy. Braune, mężczyzna o nieco końskiej sylwetce, o dużej, okrągłej twarzy ukoronowanej wypukłym czołem, przywitał mnie nad wyraz serdecznie; widziałem, że czuje się różnie na widok jednego z ostatnich „ludzi Ohlendorfa” w Grupie, chociaż sam także czekał na swojego następcę, który miał zjawić się w najbliższych tygodniach. Braune martwił się o instalacje naftowe w Niftigorsku: Abwehra na krótko przed zajęciem miasta infiltrowała jednostkę specjalną „Szamil” — złożoną z kaukaskich górali, działającą jako specjalny batalion NKWD — w celu zlokalizowania nietkniętych szybów, ale misja nie powiodła się i Rosjanie wysadzili instalacje praktycznie pod nosem jednostek pancernych. Nasi specjaliści już pracowali nad przywróceniem ich do stanu używalności, a wokół zaczynały krążyć pierwsze sępy z Kontinental-Öl. Ci biurokraci, wszyscy związani z Planem Czteroletnim Göringa, korzystali z poparcia Arno Schickedanza, Reichskommissara mianowanego na Kubań-Kaukaz. „Wie pan zapewne, że Schickedanz zawdzięcza nominację ministrowi Rosenbergowi, z którym chodził do jednego liceum w Rydze. Ale poróżnił się z dawnym szkolnym kolegą. Ludzie mówią, że za ich ponownym zbliżeniem stoi Herr Körner, Staatssekretar Reichsmarschalla Göringa.

Schickedanz dostał nominację do rady nadzorczej KonOl, firmy założonej przez Reichsmarschalla w celu eksploatacji pól naftowych na Kaukazie i w Baku”. Braune twierdził, że gdy Kaukaz przejdzie pod kontrolę cywilną, będziemy się mogli spodziewać sytuacji jeszcze bardziej zagmatwanej i trudniejszej do opanowania niż na Ukrainie, gdzie Gauleiter Koch rządzi, jak mu się żywnie podoba, odmawiając współpracy zarówno z Wehrmachtem i SS, jak i ze swoim własnym ministerstwem. „Jedyną pozytywną informacją dla SS jest to, że Schickedanz mianuje esesmanów na stanowiska komisarzy generalnych we Władykaukazie i Azerbejdżanie: przynajmniej to ułatwi relacje w tych dystryktach”.

Spędziłem trzy dni na pracy z Braunem, pomagałem mu przygotować dokumenty, raporty z przekazania władzy. Moją jedyną rozrywkę stanowiło picie podłego lokalnego wina w podwórzu kantyny, prowadzonej przez starego, pomarszczonego górala. Udało mi się mimo to poznać, nie całkiem przypadkiem, belgijskiego oficera, Kommandeura Legionu Walońskiego, Luciena Lipperta. Tak naprawdę chciałem spotkać Leona Degrelle’a, przywódcę ruchu *Christus Rex*, który walczył w okolicy; Brasillach, w Paryżu, opowiadał mi o nim z wylewnym liryzmem. Ale Hauptmann z Abwehry, do którego się zwróciłem, roześmiał mi się prosto w twarz: „Degrelle? Wszyscy chcą go zobaczyć. To prawdopodobnie najślynniejszy podoficer w naszej armii. Ale on jest na froncie, wie pan, a tam się sporo dzieje. Generał Rupp o mało nie zginął w zeszłym tygodniu, podczas niespodziewanego ataku. Belgowie stracili wielu ludzi”. Zamiast niego przedstawił mi Lipperta, młodego oficera, wychudzonego, lecz uśmiechniętego, ubranego w wymięty *feldgrau*, połatany i trochę na niego za duży. Zaprowadziłem go pod jabłoń przy mojej knajpce, żeby porozmawiać o belgijskiej polityce. Lippert był zawodowym żołnierzem, artylerzystą, jako antybolszewik zgodził się wstąpić do Legionu, ale pozostał prawdziwym patriotą i skarżył się, że pomimo obietnic kazano legionistom nosić niemieckie mundury. „Ludzie byli wściekli. Degrelle z trudem ich uspokoił”. Degrelle, gdy wstąpił do wojska, sądził, że rola, jaką odegrał w polityce, będzie warta oficerskich dystynkcji, ale Wehrmacht nie chciał nawet o tym słyszeć: brak doświadczenia. Lippert jeszcze teraz się z tego śmiał: „Cóż, i tak poszedł jako zwykły strzelec. Trzeba przyznać, że nie miał zbyt dużego wyboru, nie za dobrze wiodło mu się wtedy w Belgii”. Od tamtego czasu, pomimo początkowego braku zorganizowania w Gromowie-Bałce, bił się dzielnie i wywalczył sobie awans. „Problem w tym, że on się ma za kogoś w rodzaju komisarza politycznego,

rozumie pan? Chce sam iść i dyskutować o zaangażowaniu armii, tak nie można. To w końcu tylko podoficer”. Teraz marzył o włączeniu Legii do Waffen-SS. „Spotkał się z waszym generałem Steinerem zeszłej jesieni i to mu całkowicie przewróciło w głowie. Ale ja mówię «nie». Jeżeli to zrobi, zażądam przeniesienia”. Jego twarz przybrała teraz bardzo poważny wyraz. „Niech pan tego nie zrozumie źle, nie mam nic przeciwko SS. Ale jestem żołnierzem, a w Belgii żołnierze nie zajmują się polityką. To nie nasza rola. Jestem rojalistą, jestem patriotą, jestem antykomunistą, ale nie jestem narodowym socjalistą. Kiedy wstępowałem w szeregi Legionu, zapewniano mnie w ministerstwie, że to działanie jest związane z moją przysięgą wierności królowi, z której nie czuję się zwolniony, cokolwiek by mówili inni. Cała reszta, gierki polityczne z Flamandami, to wszystko to nie jest mój problem. A Waffen-SS to nie jest regularna armia, to jest formacja Partii. Degrelle mówi, że tylko ci, którzy się biją u boku Niemiec, będą coś znaczyć po wojnie, znajdą swoje miejsce w nowym europejskim porządku. Zgadzam się. Ale bez przesady”. Uśmiechnąłem się: pomimo tej zajadłości Lippert podobał mi się, był to człowiek prawy, nieprzekupny. Dolałem mu wina i zmieniłem temat: „Jesteście chyba pierwszymi Belgami walczącymi na Kaukazie?”. — „Myli się pan!”, wykrzyknął żarliwie i w skrócie przedstawił mi niewiarygodne przygody Don Juana van Halena, bohatera rewolucji belgijskiej z 1830 roku, szlachcica, pół Flamanda, pół Hiszpana, byłego napoleońskiego oficera, który z powodu swych liberalnych przekonań wylądował w więzieniu Inkwizycji w Madrycie, za panowania Ferdynanda VII. Uciekł i znalazł się, Bóg jeden wie jak, w Tyflisie, gdzie generał Jermołow, dowódca rosyjskiej armii na Kaukazie, powierzył mu dowództwo, „walczył z Czeczenami, śmiał się Lippert, niech pan sobie wyobrazi”. Śmiałem się razem z nim, uważałem, że jest sympatyczny. Ale musiał wyjechać. AOK 17 przygotowało ofensywę na Tuapse, aby przejąć kontrolę nad wylotem rurociągu, i Legion, u boku 97. Dywizji Strzelców Górskich, miał swoją rolę do odegrania. Przy rozstaniu życzyłem mu szczęścia. Ale chociaż Lippert, tak jak jego rodak van Halen, opuścił Kaukaz żywy, to niewiele później szczęście przestało mu dopisywać: pod koniec wojny dowiedziałem się, że zginął w lutym 1944 roku, w kotle czerkaskim. Legion Waloński został włączony do Waffen-SS w czerwcu 1943 roku, ale Lippert nie chciał zostawić swoich żołnierzy bez dowódcy i osiem miesięcy później wciąż czekał na następcę. Degrelle wyszedł ze wszystkiego cało. Podczas ostatecznego odwrotu opuścił swoich żołnierzy pod Lubeką i zbiegł do Hiszpanii prywatnym samolotem ministra Speera.

Pomimo że zaocznie wydano na niego wyrok śmierci, nikt nigdy poważniej go nie niepokoił. Biedny Lippert byłby zażenowany, gdyby się o tym dowiedział.

Wróciłem do Woroszyłowska, gdy nasze siły zdobywały Mozdok, ważne rosyjskie centrum wojskowe; linia frontu biegła teraz wzdłuż rzek Terek i Baksan i 111. Dywizja Piechoty przygotowywała się do przeprawy przez Terek w kierunku Groznego. Nasze Kommandos były coraz aktywniejsze: w Krasnodarze Sk 10a zlikwidowało trzystu pacjentów regionalnego szpitala psychiatrycznego oraz dziecięcego szpitala psychiatrycznego, w KMW dr Müller przygotowywał *Aktion* na dużą skalę i już formował rady w każdym mieście; Żydzi z Kisłowodzka, pod przewodnictwem miejscowego dentysty, okazali się tak gorliwi, że sami oddali nam dywany, klejnoty i ciepłe ubrania, nie czekali nawet na rozkaz. HSSPF Korsemann właśnie przybył do Woroszyłowska ze swoim sztabem generalnym — zaprosił nas wieczorem, w dniu mojego powrotu, abyśmy wysłuchali jego mowy powitalnej. Słyszałem co nieco o Korsemannie już na Ukrainie: był dawniej członkiem Freikorps i SA, pracował głównie w Hauptamt Orpo, a do SS wstąpił bardzo późno, na krótko przed wojną. Mówiono, że Heydrich go nie chciał i nazywał agitorem z SA, ale on miał poparcie Daluege'a i von dem Bacha, a Reichsführer postanowił uczynić go HSSPF-em, otwierając mu drogę do powolnego, lecz pewnego pokonywania kolejnych szczebli kariery. Na Ukrainie służył już jako HSSPF z.b.V, czyli „specjalnego przeznaczenia”, ale pozostawał w cieniu Prützmanna, który w listopadzie czterdziestego pierwszego przejął po Jeckelnie funkcję HSSPF-a Russland-Süd. Korsemann właściwie nie miał jeszcze możliwości się wykazać; ofensywa na Kaukazie była dla niego szansą, mógł wreszcie udowodnić, na co go stać. I ta myśl rozpaliała chyba jego entuzjazm, co się czuło w czasie przemówienia. SS, jak podkreślał, powinno wykonywać nie tylko uciążliwe zadania, związane z bezpieczeństwem i represjami, lecz także zadania konstruktywne, w których Einsatzgruppe może i powinna uczestniczyć. Miałyby to być pozytywna propaganda wśród autochtonów, walka z chorobami zakaźnymi, odbudowa sanatoriów dla rannych z Waffen-SS, zaangażowanie w produkcję gospodarczą, zwłaszcza przemysł naftowy, ale i kopalnie — których jeszcze nie przejęto — nad którymi SS mogłaby objąć pieczę w imieniu niemieckich przedsiębiorstw. Długo rozwodził się nad stosunkami z Wehrmachtem: „Zapewne wiecie o problemach, które na tym poziomie mocno zakłóciły pracę Einsatzgruppe na początku kampanii. Od teraz, aby

zapobiec wszelkim incydentom, stosunki SS z OKHG i wszystkimi AOK będą koordynowane przez moje biuro. Poza zwyczajowymi powiązaniem i relacjami zawodowymi żaden oficer SS pozostający pod moim dowództwem nie ma prawa bezpośrednio negocjować w ważnych kwestiach z Wehrmachtem. Każdą samowolną inicjatywę w tym zakresie będę tępił bezlitośnie, tego możecie być pewni”. Jednak pomimo tej niecodziennej stanowczości, która, jak się zdaje, wynikała z braku pewności siebie nowo przybyłego dowódcy, niezbyt jeszcze obeznanego ze swą funkcją, Korsemann mówił ze swadą i roztaczał ogromny urok osobisty; ogólne wrażenie sprawiał raczej pozytywne. Nieco później, podczas nieformalnego spotkania niższych oficerów, Remmer wysunął przypuszczenie, które miałyby tłumaczyć oficjalne zachowanie Korsemanna: niepokoił się, że tak naprawdę nigdy jeszcze nie sprawował nad nikim realnej władzy. Według zasady podwójnej subordynacji Einsatzgruppe podlegała bezpośrednio RSHA i Bierkamp mógł unieważnić każdy rozkaz Korsemanna, który by mu nie odpowiadał. Podobnie rzecz się miała z ekonomistami SS z WVHA i oczywiście z Waffen-SS, która tak czy inaczej podlegała Wehrmachtowi. Zazwyczaj, aby umocnić swą władzę i w razie czego użyć siły, HSSPF dysponował kilkoma batalionami Orpo, a Korsemann jeszcze nie otrzymał tych sił, był więc HSSPF-em „bez konkretnego przydziału”: mógł wysuwać sugestie, ale Bierkamp, jeżeli mu nie pasowały, nie musiał się do nich stosować.

W KMW dr Müller rozpoczął już swoją akcję i Prill wysłał mnie na inspekcję. Zacząłem dostrzegać w tym pewną osobliwość: nie miałem nic przeciwko inspekcjom, ale czułem, że Prill robi wszystko, żeby trzymać mnie z dala od Woroszyłowska. Czekaliśmy na bliski przyjazd następcy Seiberta, dr. Leetscha i być może Prill, który miał taki sam stopień jak ja, obawiał się, że wykorzystując zażyłość z Ohlendorfem, wdam się w intrygi z Leetschem, pragnąc zająć jego miejsce. Jeżeli tak myślał, to było to idiotyczne: nie miałem w tym kierunku żadnych ambicji, Prill nie musiał się mnie obawiać. Jednak może to tylko moje czcze domysły? Trudno powiedzieć. Nigdy nie opanowałem barokowych rytuałów hierarchii w SS i mogłem łatwo zboczyć, zarówno w jedną, jak i drugą stronę; dużo bym wtedy dał za instynkt i rady Thomasa. Ale Thomas był daleko, a w Grupie nie miałem żadnego bliskiego przyjaciela. Prawdę mówiąc, nie byli to ludzie, z którymi łatwo nawiązywałem stosunki. Wyciągnięto ich z najgłębiej schowanych biur RSHA, w większości byli bardzo ambitni, a pracę w Einsatzgruppe traktowali jak trampolinę; prawie wszyscy, od chwili przybycia, wydawali się uważać eksterminację za coś naturalnego i nie

zadawali sobie wszystkich tych pytań, które dręczyły ludzi w pierwszym roku. Pośród nich odgrywałem rolę niedostępnego intelektualisty i byłem dość odizolowany. Nie przeszkadzało mi to, zawsze doskonale obchodziłem się bez przyjaźni z ordynarnymi ludźmi. Ale ciągle musiałem zachowywać czujność.

Dotarłem do Piatigorska wcześniej rano. Był początek września i zszarzały błękit nieba pozostawał jeszcze ciężki od mgły i letniego kurzu. Droga na Woroszyłowsk przecina tory tuż przed Mineralnymi Wodami, a potem, biegnąc wzdłuż nich, tworzy serpentyny między pięcioma wulkanicznymi szczytami, które dały nazwę Piatigorsk. Do miasta wjeżdża się od północy, omijając bokiem górę Maszuk. Droga w tym miejscu pnie się stromo — miasteczko wyrosło niespodzianie u mych stóp, a za nim ukazały się nierówne zbocza, najeżone odwróconymi kopułami wulkanów, rozsianymi to tu, to tam. Einsatzkommando zajmowało jedno z sanatoriów z początku wieku, wzniesione u podnóża Maszuka, we wschodniej części miasta, AOK von Kleista zarekwirowało olbrzymie sanatorium Lermontow, a SS mogła dostać budynek *Wojennej Sanatorii*, który służył Waffen-SS za lazaret. „Leibstandarte AH” walczyła zresztą gdzieś w pobliżu i serce lekko ścisnęło mi się na myśl o Partenau. Ale niedobrze jest wracać do starych historii i wiedziałem, że nie poczynię żadnych wysiłków, żeby go odnaleźć. Piatigorsk pozostał prawie nietknięty; po krótkiej potyczce z bojówkami broniącymi fabryki miasto zostało wzięte bez walki. Na ulicach było rojno, niczym w amerykańskiej osadzie górniczej, przezywającej nalot poszukiwaczy złota. Niemal wszędzie wózki, a nawet wielbłądy zagradzały drogę wojskowym pojazdom, tworzyły się korki, które żandarmi polowi rozpędzali, szczerze rozdając wyzwiska i ciosy pałkami. Naprzeciw dużego ogrodu Cwietnik, przed hotelem Bristol, zaparkowane w idealnym porządku samochody i motocykle znaczyły teren Feldkommandantur; biura Einsatzkommando znajdowały się niżej, na bulwarze Kirowa, w dawnym dwupiętrowym instytucie. Rosnące na bulwarze drzewa zasłaniały jego ładną fasadę, ale dostrzegałem ceramiczne motywy kwiatowe, wciśnięte pod stiukowe gzymsy, wyobrażające cherubina z koszem kwiatów na głowie, a te z kolei nad dwoma gołębiami, zaś całkiem na górze zauważyłem papugę siedzącą na kółku i głowę smutnej dziewczyny o wąskich nozdrzach. Po prawej był łuk, przez który wjeżdżało się na wewnętrzne podwórko. Szofer zaparkował obok ciężarówki Saurera, a ja pokazałem dokumenty wartownikom. Dr Müller był zajęty, więc przyjął mnie

Obersturmführer dr Bolte, oficer Staatspolizei. Personel zajmował duże sale o wysokich sufitach, dobrze doświetlone przez wysokie okna. Dr Bolte miał gabinet w ładnym, okrągłym pomieszczeniu, na samym szczycie jednej z dwóch wieżyczek, przyklejonych do rogów budynku. Sucho i szczegółowo przekazał mi procedury akcji: codziennie, według harmonogramu przygotowanego na podstawie danych dostarczonych przez żydowskie rady, ewakuowano drogą kolejową część lub całość ludności żydowskiej z poszczególnych miasteczek KMW; plakaty zachęcające do „przeprowadzki na Ukrainę” zostały wydrukowane przez Wehrmacht, który oddawał także do dyspozycji pociąg i oddziały do eskorty. Wysłano ich wszystkich do Mineralnych Wód, gdzie czekali zgromadzeni w hucie szkła na dalszy etap podróży, która kończyła się nieco dalej, w radzieckim wykopie przeciwpancernym. Liczby okazały się wyższe, niż przewidywano, znaleziono wielu Żydów ewakuowanych z Ukrainy i Białorusi, a także grono profesorskie i studentów uniwersytetu w Leningradzie, wysłanych do KMW rok wcześniej dla większego bezpieczeństwa, a wielu z nich to byli albo Żydzi, albo członkowie partii, albo też intelektualiści uznani za niebezpiecznych. Einsatzkommando przy okazji zlikwidowało zatrzymanych komunistów, komsomolców, Cyganów, zwyczajnych przestępców powyciąganych z więzień, a także personel i pacjentów kilku sanatoriów. „Sam pan rozumie, wyjaśniał Bolte, infrastruktura jest tu idealna dla naszej administracji. Posłańcy od Reichskommissara na przykład poprosili nas o oczyszczenie sanatorium komisariatu ludowego przemysłu naftowego w Kisłowodzku”. *Aktion* była już mocno zaawansowana: pierwszego dnia zlikwidowano Żydów z Mineralnych Wód oraz tych z Essentuków i Zeleznowodzka; następnego dnia brano się do Żydów z Piatigorska, i wreszcie do tych z Kisłowodzka, na których akcja miała się zakończyć. W każdym z przypadków rozkaz do ewakuacji był wysyłany dwa dni przed operacją. „Ponieważ nie mogą jeździć z miasta do miasta, niczego się nie domyślają”. Bolte poprosił, żebym pojechał z nim na inspekcję trwającej właśnie akcji; odpowiedziałem, że wolałbym najpierw zwiedzić inne miasta KMW. „W takim razie nie będę mógł panu towarzyszyć: czeka na mnie Sturmbannführer Müller”. — „Nie szkodzi. Proszę tylko przysłać mi żołnierza, który zna biura waszych Teilkommandos”.

Droga z miasta prowadziła na zachód i wiała się wokół Besztai, największego z pięciu wulkanów; w dole można było dostrzec szare bagienne wody zakoli Podkumka. Prawdę mówiąc, nie miałem nic do roboty w tych miastach, ale byłem ich ciekaw, a poza

tym wcale nie paliłem się do powrotu na akcję. Essentuki, za Sowietów, zostało zmienione w mało interesujące miasto przemysłowe; spotkałem tam oficerów Teilkommando, porozmawiałem o ich układach, nie zabawiłem długo. Natomiast Kisłowodzk okazał się bardzo przyjemny, stare miasto uzdrowskie pełne spatynowanego uroku, bardziej zielone i ładniejsze od Piatigorska. Pijalnię wód urządzono w dziwacznej imitacji indyjskiej świątyni, zbudowanej w początkach wieku; spróbowałem wody nazywanej Narzanem — była przyjemnie gazowana, ale nieco zbyt cierpka. Przeprowadziłem kilka rozmów i poszedłem pospacerować po wielkim parku, po czym wróciłem do Piatigorska.

Oficerowie jedli razem kolację w sanatoryjnej jadalni. Rozmowy dotyczyły zwłaszcza sytuacji na froncie i większość biesiadników wykazywała stosowny optymizm. „Teraz, gdy pancerni Schweppenburga przekroczyli Terek, przekonywał Wiens, adiutant Mullera, zgorzkniały folksdojcz, który po raz pierwszy wyjechał z Ukrainy w wieku dwudziestu czterech lat, nasze siły dotrą wkrótce do Groznego. A potem Baku to już tylko kwestia czasu. Większość z nas spędzi Boże Narodzenie w domu”. — „Wojska pancerne generała Schweppenburga nie mogą ruszyć się z miejsca, Hauptsturmführer, zauważyłem grzecznie. Z trudem udaje im się utrzymać przyczółek. Radziecka partyzantka w Czeczeno-Inguszetii jest dużo bardziej prężna, niż nam się wydawało”. — „No tak, wyrzucił z siebie Pfeiffer, tłusty i czerwony Untersturmführer, to ich ostatnie podrygi. Ich dywizje wykrwawiają się. To, co nam pokazują, to tylko cienka warstwa ochronna, chcą na nas zrobić wrażenie, ale przy pierwszym poważniejszym pchnięciu załamają się albo rozpierzną jak króliki”. — „Skąd pan wie?”, spytałem zaniepokojony. — „Tak mówią w AOK, pospieszył z odpowiedzią Wiens. Od początku lata biorą bardzo niewiele jeńców, jak choćby podczas okrążania w Millerowie. Stąd wniosek, że bolszewicy wyczerpali swoje rezerwy, jak to przewidziało wyższe dowództwo”. „W Gruppenstab i z OKHG dużo rozmawialiśmy o przebiegu spraw, powiedziałem. Nie wszyscy podzielają wasze zdanie. Niektórzy utrzymują, że Sowietci wyciągnęli wnioski z przerażających strat, jakie ponieśli w zeszłym roku, i zmienili taktykę; cofają się przed nami w odpowiednim porządku, aby ruszyć z kontrofensywą, gdy tylko nasze linie komunikacyjne będą zbyt rozciągnięte i osłabione”. — „Jest pan pesymistą, Hauptsturmführer”, warknął Müller, dowódca Kommando, z ustami wypchanymi kurczakiem. — „Nie jestem pesymistą, Herr Sturmbannführer, odpowiedziałem. Ja tylko zauważam rozbieżne opinie, nic więcej”. — „Uważa pan, że nasze linie są zbyt rozciągnięte?”, zapytał zaniepokojony Bolte. — „To

zależy od tego, co rzeczywiście mamy naprzeciw. Front Grupy Armii B posuwa się wzdłuż Donu, gdzie utrzymują się jeszcze radzieckie przyczółki, i wzdłuż rzeki Woroneż, którą Rosjanie, pomimo naszych wysiłków, kontrolują aż do Stalingradu”. — „Stalingrad już długo nie pociągnie, zaatakował Wiens, opróżniwszy kufel. Nasza Luftwaffe zmiażdżyła obrońców w zeszłym miesiącu, 6. Armia musiała jedynie sprzątnąć to, co po nich zostało”. — „Być może. Ale właśnie dlatego, że wszystkie nasze oddziały są skupione w Stalingradzie, boczne skrzydła Grupy Armii B trzymają głównie nasi sojusznicy, zarówno wzdłuż Donu, jak i na stepie. Wie pan tak samo dobrze jak ja, że jakość oddziałów rumuńskich czy włoskich nijak się ma do jakości sił niemieckich, a Węgrzy są być może dobrymi żołnierzami, ale brakuje im wszystkiego. Tak samo tu, na Kaukazie, nie mamy wystarczającej liczby żołnierzy, żeby utworzyć ciągłą linię frontu w górach. Pomędzy dwiema grupami armii front rwie się na kałmuckim stepie, wysyłamy tam patrole, ale nic nie uchroni nas przed przykrymi niespodziankami”. — „Jeżeli o to chodzi, włączył się do rozmowy dr Strohschneider, bardzo wysoki mężczyzna o lśniących i wilgotnych ustach, ukrytych pod sumiastym wąsem, dowódca Teilkommando odesłanego z Budionnowska, jeśli o to chodzi, to Hauptsturmführer Aue ma trochę racji. Step jest wielki i otwarty. Zuchwały atak mógłby osłabić nasze pozycje”. — „Och, prychnął Wiens, dolewając sobie piwa, to będą zawsze tylko i wyłącznie ukłucia komara. A gdyby przyszło im na myśl zapędzić się na naszych sojuszników, niemiecki «gorset» spokojnie wystarczy, żeby opanować sytuację”. — „Mam nadzieję, że to pan ma rację”, odpowiedziałem. — „Tak czy inaczej, zakończył sentencjonalnie dr Müller, Führer zawsze będzie umiał narzucić odpowiednie decyzje reakcyjnym generałom”. Właściwie wszystko zależało od punktu widzenia. Ale już zmienił się temat rozmowy, teraz dotyczyła ona dzisiejszej *Aktion*. Słuchałem w milczeniu. Jak zwykle powtarzano nieuniknione anegdoty o zachowaniu skazanych, którzy modlili się, płakali, śpiewali *Międzynarodówkę* albo milczeli, oraz komentarze na temat problemów organizacyjnych i reakcji żołnierzy. Znosiłem to z trudem; nawet ci, którzy byli tu od dawna, nie robili nic innego, tylko powtarzali to, co słyszeliśmy już od roku, w ich fanfaronadach i oklepanych frazesach brakowało autentycznych reakcji. Jeden tylko oficer wyróżniał się, a to dzięki wypowiedzanym głośno szczególnie mocnym i wulgarnym antyżydowskim inwektywom. Był to Leiter IV Kommando, Hauptsturmführer Turek, nieprzyjemny typ, którego miałem już okazję spotkać w Gruppenstab. Ten Turek należał do antysemitów organicznych,

sprośnych, w stylu Streichera, których zdarzało mi się spotykać w Einsatzgruppen. W SP jego nabrzmiałe emocjami wypowiedzi były źle widziane. Turek miał wyraźnie żydowski wygląd: czarne kręcone włosy, wydatny nos, zmysłowe usta; za jego plecami niektórzy mówili o nim okrutnie „Żyd Suss”, a inni insynuowali, że w jego żyłach płynie cygańska krew. Musiał przez to cierpieć od dzieciństwa i przy najmniejszej okazji wspominał o aryjskich przodkach: „Wiem, że tego nie widać”, zaczynał, a potem wyjaśniał, że niedawno brał ślub i w związku z tym przeprowadził bardzo dokładne badania genealogiczne, w których doszedł aż do XVII wieku, posunął się nawet do wyrobienia sobie w Ru-SHA certyfikatu, potwierdzającego, że jest *czystej rasy i zdolny do prokreacji niemieckich dzieci*. Dobrze to wszystko rozumiałem i było mi go żal, lecz jego zuchwałość i sprośność przekraczały wszelkie granice: słyszałem, że podczas egzekucji kpił z obrzezanych przyrodzeń skazańców i kazał rozbierać kobiety, którym mówił, że *ich żydowskie macice nigdy już nie wyprodukują żadnego dziecka*. Ohlendorf nie tolerowałby takiego zachowania, ale Bierkamp przymykał oczy; Müller, który powinien był przywołać go do porządku, w ogóle się nie odzywał. Turek rozmawiał teraz z Pfeifferem, który podczas akcji odpowiadał za kierowanie plutonami egzekucyjnymi. Pfeiffer zaśmiewał się i prowokował go do dalszych żartów. Mdlilo mnie od tego, przeprosiłem towarzystwo, nie zjadłem deseru i poszedłem do siebie. Znowu zbierało mi się na wymioty, w Woroszyłowsku, a może nawet jeszcze wcześniej, powróciły wyczerpujące nudności, które tak bardzo zmęczyły mnie na Ukrainie. Zwymiotowałem tylko raz, w Woroszyłowsku, po nieco zbyt ciężkim posiłku, ale czasem musiałem bardzo się starać, żeby opanować mdłości: mocno kasłałem, robiłem się czerwony, uważałem, że nie jest to stosowne zachowanie, i w takich wypadkach wolałem się wycofać.

Nazajutrz rano pojechałem z innymi oficerami do Mineralnych Wód na inspekcję *Aktion*. Byłem obecny przy rozładunku pociągu; Żydzi wyglądali na zdziwionych tak prędką wysiadką, sądzili przecież, że jadą na Ukrainę, ale zachowywali się spokojnie. Aby uniknąć zamieszek, znanych komunistów trzymano osobno. W wielkim, zastawionym maszynami, zakurczonym hallu huty szkła Żydzi zostawiali ubrania, bagaże, rzeczy osobiste i klucze do mieszkań. Zrobiło się zamieszanie, w dodatku podłoga w hucie była przysypana potłuczonym szkłem i ludzie, w samych skarpetkach, ranili sobie stopy. Zwróciłem na to uwagę dr. Bolte, ale on tylko wzruszył ramionami. Orpo nie szczędzili razów, bili na prawo i lewo, przerażeni Żydzi uciekali i kucali na zwiniętych kupkach

bielizny, kobiety usiłowały uspokoić dzieci. Na zewnątrz wiał lekki, orzeźwiający wietrzyk, ale słońce rozpalało szklane ściany i w środku panowała gorąca duchota, jak w cieplarni. Podszedł do mnie dystyngowany mężczyzna w średnim wieku, w okularach i z wąsikami. Trzymał w ramionach małego chłopca. Zdjął kapelusz i odezwał się do mnie perfekcyjną niemiecką: „Herr Offizier, mógłbym powiedzieć panu parę słów?”. — „Świetnie mówi pan po niemiecku”, odparłem. „Studiowałem w Niemczech, poinformowałem z nieco sztywną godnością. Dawniej był to wielki kraj”. To musiał być któryś z tych leningradzkich profesorów. „Co chce mi pan powiedzieć?”, spytałem sucho. Chłopczyk, który trzymał mężczyznę za szyję, wbijał we mnie wielkie niebieskie oczy. Miał ze dwa lata. „Wiem, co tu robicie, powiedział spokojnie mężczyzna. To jest obrzydliwe. Chciałem tylko życzyć panu, żeby pan przeżył tę wojnę. Żeby nawet za dwadzieścia lat budził się pan z krzykiem każdej nocy. Mam nadzieję, że nie będzie mógł pan spojrzeć na własne dzieci, nie myśląc o naszych dzieciach, które pan zamordował”. Odwrócił się i odszedł, zanim zdążyłem się odezwać. Chłopczyk patrzył na mnie nad jego ramienia. Podszedł Bolte: „Co za bezczelność! Jak on śmie? Powinien pan zareagować”. Wzruszyłem ramionami. Jakież to mogło mieć znaczenie? Bolte doskonale wiedział, co zrobimy temu mężczyźnie i jego dziecku. To, że przyszedł powiedzieć nam do słuchu, było czymś całkiem naturalnym. Oddaliłem się i poszedłem do wyjścia. Orpo otaczali grupę ludzi w białym i kierowali ich w stronę wykopu przeciwpancernego, kilometr dalej. Patrzyłem za nimi. Dół znajdował się zbyt daleko, nie słychać było wystrzałów, ale ludzie na pewno przeczuwali swój los. Bolte zawołał na mnie: „Jedzie pan?”. Nasz samochód wyprzedził grupę, którą minąłem przed chwilą; trzęśli się z zimna, kobiety ścisnęły dzieci za ręce. A potem przed nami otworzył się wykop. Żołnierze i Orpo stali w pozycji „spocznij”, z szyderczymi minami. Usłyszałem tumult, krzyki. Przepchałem się przez grupę żołnierzy i zobaczyłem Turka z łopata w ręku, bił nią rozciągniętego na ziemi, prawie nagiego człowieka. Obok leżały już dwa zakrwawione ciała, dalej stali przerażeni Żydzi, pilnowani przez żołnierzy. „Robactwo, bełkotał Turek, wytrzeszczając oczy. Pełzaj, Żydzie!” Trzasnął go po głowie trzonkiem łopaty, czaszka mężczyzny nie wytrzymała, trysnęła krwią i mózgowiem na buty Turka; widziałem wyraźnie, jak oko, wyrzucone siłą uderzenia, leci i upada kilka kroków dalej. Żołnierze się śmiali. W dwóch susach doskoczyłem do Turka i chwyciłem go brutalnie za ramię. „Pan zwariował! Niech pan natychmiast przestanie!” Byłem błydy, drżałem. Turek odwrócił się

do mnie gwałtownie, zamierzył się łopata, i zaraz ją opuścił wyszarpując ramię. Także drżał. „Odwal się pan”, bluznął. Był purpurowy na twarzy, pocił się i przewracał oczami. Rzucił łopatę i odszedł. Podbiegł Bolte. W kilku słowach rozkazał sucho Pfeifferowi, który stał obok i ciężko dyszał, żeby się zajął sprzątnięciem ciał i kontynuował egzekucję. „Nie powinien pan interweniować”, wyrzucił „Ale przecież takie rzeczy są nie do przyjęcia!” — „Być może, ale to Sturmbannführer Müller dowodzi Kommando. Pan jest tutaj tylko obserwatorem”. — „No właśnie, a gdzie jest Sturmbannführer Müller?” Wciąż jeszcze drżałem. Wróciłem do samochodu i rozkazałem szoferowi odwieźć mnie do Piatigorska. Chciałem zapalić papierosa; ręce ciągle mi się trzęsły, nie mogłem tego opanować, miałem kłopot z zapalniczką. Wreszcie mi się udało, zaciągnąłem się kilka razy głęboko i wyrzuciłem papierosa przez okno. Minęliśmy kolejną kolumnę, która posuwała się krok za krokiem; kątem oka dostrzegłem nastolatka, który wyskoczył z szeregu i podniósł mój niedopałek, po czym wrócił na miejsce.

W Piatigorsku nie mogłem znaleźć Müllera. Wartownikowi zdawało się, że poszedł do AOK, ale nie był całkiem pewien. Wahałem się, czy nie zaczekać, ale postanowiłem wyjechać: nawet lepiej będzie, jeśli zdam relację z zajścia bezpośrednio Bierkampowi. Wstąpiłem do sanatorium po rzeczy i wysłałem szofera po benzynę do AOK. Nie było może najgrzeczniej wyjeżdżać bez pożegnania, ale ja nie miałem ochoty się żegnać. W Mineralnych Wodach droga biegła niedaleko huty, która stała za torami, u podnóża góry; nie zatrzymałem się. Po powrocie do Woroszyłowska spisałem raport, w którym skupiłem się głównie na aspektach technicznych i organizacyjnych akcji. Przemyciłem jednakże zdanie *o pewnych godnych potępienia nadużyciach, których dopuszczają się oficerowie, mający z założenia służyć przykładem*. Wiedziałem, że to wystarczy. I rzeczywiście, nazajutrz Thielecke wstąpił do mojego gabinetu i poinformował, że Bierkamp chciałby mnie widzieć. Prill, po przeczytaniu raportu, zadał mi kilka pytań, ale odmówiłem odpowiedzi i powiadomiłem go, że ta sprawa dotyczy wyłącznie komendanta. Bierkamp przyjął mnie uprzejmie, poprosił, żebym usiadł i zapytał, co się właściwie stało. Thielecke był obecny przy rozmowie. Opisałem zajście w sposób najbardziej neutralny, na jaki było mnie stać. „I uważa pan, że co należy zrobić?”, zapytał Thielecke, gdy skończyłem. — „Myślę, Herr Sturmbannführer, że tym wypadkiem powinien zająć się SS-Gericht i policja, odpowiedziałem. Albo przynajmniej psychiatra”. — „Przesadza pan, odparł Bierkamp. Hauptsturmführer Turek jest świetnym oficerem, bardzo zdolnym. Jego

wzburzenie i słuszny gniew na Żydów, propagatorów systemu stalinowskiego, są zrozumiałe. Poza tym sam pan przyznaje, że przyszedł pan dopiero pod koniec zajścia. Na pewno doszło tam do prowokacji”. — „Nawet jeśli Żydzi byli bezczelni lub próbowali zbiec, jego reakcja była niegodna oficera SS. Zwłaszcza w obecności żołnierzy”. — „W tej kwestii ma pan bez wątpienia rację”. Patrzyli po sobie z Thieleckem przez moment, po czym Bierkamp zwrócił się do mnie: „Planuję pojechać do Piatigorska za kilka dni. Osobiście porozmawiam o zajściu z Hauptsturmführerem Turkiem. Dziękuję panu za poinformowanie nas o zaistniałej sytuacji”.

Sturmbannführer dr Leetsch, zastępca dr. Seiberta, przyjechał tego samego dnia, w towarzystwie Obersturmbannführera Paula Schulza, który miał zmienić dr. Braunego w Majkopie, ale zanim w ogóle zdążyłem się z nim spotkać, Prill kazał mi pojechać do Mozdoku na inspekcję Sk IOB, które właśnie tam przybyło. „W ten sposób pozna pan wszystkie Kommandos, powiedział. Zda pan relację Sturmbannführerowi po powrocie”. Do Mozdoku jechało się około sześciu godzin, droga wiodła przez Mineralne Wody i Prochładny; postanowiłem wyruszyć nazajutrz rano, ale nie zobaczyłem się z Leetschem. Szofer obudził mnie przed świtem. Zjechaliśmy już z równiny Woroszyłowska, kiedy weszło słońce, oświetliło delikatnie pola i sady, i wydobyło w oddali z ciemności pierwsze wulkany KMW. Za Mineralnymi Wodami obrośnięta lipami droga biegła wzdłuż zboczy łańcucha Kaukazu, ciągle jeszcze ledwie widocznych; tylko Elbrus, zaokrąglony kształt pokryty śniegiem, jaśniał na tle szarego nieba. Na północ od drogi zaczynały się pola, a na nich gdzieniegdzie ubogie muzułmańskie wioski. Jechaliśmy za długimi konwojami ciężarówek z *Rollbahn*, trudno je było wyprzedzić. W Mozdoku panowało wielkie poruszenie, wojskowe pojazdy korkowały pyliste drogi; zaparkowałem swojego opla i poszedłem pieszo poszukać kwatery głównej LII Korpusu. Przyjął mnie oficer Abwehry, bardzo podekscytowany. „Słyszał pan? Generalfeldmarschall List został dziś wydalony”. — „Z jakiego powodu?”, krzyknąłem. List, świeżo przybyły na front wschodni, nie przetrwał tu nawet dwóch miesięcy. AO wzruszył ramionami: „Byliśmy zmuszeni przeprowadzić defensywę po przerwaniu naszej linii obrony na prawym brzegu Tereku. A to nie spodobało się w naczelnym dowództwie”. — „A dlaczego nie mogliście iść naprzód?” Wzniósł do góry ramiona: „Nie mieliśmy wystarczających sił, i tyle. Podział Grupy Armii Południe na dwie części był fatalną pomyłką. Teraz nie mamy sił niezbędnych do zdobycia ani tego celu, ani innego. Ludzie pod Stalingradem nadal stoją

na przedmieściach”. — „A kogo powołano na miejsce Feldmarschalla?” Zaśmiał się gorzko: „Nie uwierzy mi pan: Führer sam zajął to stanowisko!”. To było rzeczywiście niesłychane: „Führer osobiście przejął dowództwo nad Grupą Armii A?”. — „Dokładnie tak. Nie wiem, jak ma zamiar to zrobić: OKHG zostaje w Woroszyłowsku, a Führer jest w Winnicy. Ale to przecież geniusz, na pewno znalazł jakieś rozwiązanie”. W jego głosie coraz wyraźniej brzmiały cierpkie tony. „Dowodzi już całą Rzeszą, Wehrmachtem i wojskiem lądowym. A teraz jeszcze Grupą Armii. Myśli pan, że posunie się dalej? Może przejąć dowództwo jednej armii, potem korpusu, potem dywizji. Na koniec, kto wie, może wróci do stopnia kaprała i pójdzie na front”. — „Jest pan bezczelny”, powiedziałem zimno. — „A pan, kolego, odpalił, niech się pan idzie pieprzyć. To jest sektor frontu, przepisy SS nie mają tu zastosowania”. Wszedł ordynans. „Oto pański przewodnik, oznajmił oficer. Miłego dnia”. Wyszedłem bez słowa. Byłem wstrząśnięty i pełen niepokoju: jeśli nasza ofensywa na Kaukazie, w której pokładaliśmy wszystkie nadzieje, zaczynała kuleć, to nie był to dobry znak. Czas nie działał na naszą korzyść. Nadchodziła zima, a *Endsiege* coraz bardziej się oddalało, jak magiczne szczyty Kaukazu. Ale, pocieszałem się, Stalingrad wkrótce padnie, odzyskamy siły i będziemy mogli nadrobić straty.

Sonderkommando mieściło się w częściowo zrujnowanym skrzydle rosyjskiej bazy; niektóre sale nadawały się jeszcze do użytku, inne były zabite deskami. Przyjął mnie dowódca Kommando, wąty Austriak z wąsem przyciętym jak u Führera, Sturmbannführer Alois Persterer. Był to człowiek SD, dawniej Leiter w Hamburgu, w czasach, w których Bierkamp kierował Kripo, ale nie wyglądał na kogoś, kto utrzymywał z nim szczególnie bliskie relacje. Zwięźle przedstawił mi sytuację: w Prochładnym Teilkommando rozstrzelało Kabardyńców i Bałkarów związanych z bolszewickimi władzami, Żydami i partyzantami; w Mozdoku, nie licząc kilku podejrzanych, których przekazał LII korpus, jeszcze porządnie nie zaczęli. Persterer słyszał o jakimś żydowskim kołchozie w okolicy, miał rozpocząć poszukiwania i zająć się tym, chociaż w ogóle nie było tu zbyt wielu partyzantów i w strefie frontu tubylcy wydawali się wrogo nastawieni do czerwonych. Spytałem go o stosunki z Wehrmachtem. „Nie mogę nawet powiedzieć, że są jako takie, odpowiedział. Chyba nas ignorują”. — „Tak, martwią się porażką ofensywy”. Spędziłem noc w Mozdoku, na łóżku polowym rozstawionym w jednym z gabinetów, a rano pojechałem dalej. Persterer zaproponował, żebym został i przyjrzał się w Prochładnym

egzekucji z zastosowaniem ciężarówki na gaz, ale uprzejmie podziękowałem. W Woroszyłowsku stawiłem się u dr. Leetscha; był to oficer w podeszłym wieku, o wąskiej, prostokątnej twarzy, miał siwiejące włosy i ponury wyraz ust. Przeczytał mój raport i chciał porozmawiać. Podzieliłem się z nim swoimi spostrzeżeniami na temat morale w Wehrmachcie. „Tak, powiedział. Ma pan całkowitą rację. Dlatego właśnie myślę, że powinniśmy zacieśnić z nimi nasze więzy. Zajmę się osobiście relacjami z OKHG, ale chciałbym mieć dobrego oficera łączności w Piatigorsku, przy Ic w AOK. Mogę prosić pana o przyjęcie tego stanowiska?” Zawahałem się przez chwilę, zastanawiałem się, czy był to rzeczywiście jego pomysł, czy też zasugerował mu to Prill podczas mojej nieobecności. Wreszcie odpowiedziałem: „Tylko że moje relacje z Einsatzkommando 12 nie są najlepsze. Miałem spięcie z jednym z tamtejszych oficerów i obawiam się, że może to spowodować pewne komplikacje”. — „Proszę się nie przejmować. Nie będzie pan miał z nimi wiele do czynienia. Dostanie pan kwaterę w AOK, a mnie będzie pan bezpośrednio zdawał ze wszystkiego relacje”.

I tak wróciłem do Piatigorska, gdzie przyznano mi mieszkanie z dala od centrum, u stóp góry Maszuk, w jednym z sanatoriów (jest to najwyżej położona część miasta). Miałem w pokoju oszklone drzwi i mały balkon, z którego rozpościerał się widok na długi, poszarpany grzbiet Goriaczej Góry z chińskim pawilonem i kilkoma drzewami, a dalej na równinę i piętrzące się we mgle wulkany. Gdy się odwróciłem i odchyliłem do tyłu, mogłem zauważyć ponad jakimś dachem fragment Maszuka, przecięty chmurą, która wisiała, jak mi się zdawało, niemal na wysokości moich oczu. W nocy padało, powietrze było pachnące i świeże. Poszedłem do AOK, przedstawiłem się Ic, Oberstowi von Gilsie i jego kolegom, a potem poszedłem się przejść. Długa brukowana aleja wiedzie do centrum i biegnie wzdłuż masywnego zbocza; za pomnikiem Lenina trzeba pokonać kilka szerokich stromych schodków, a potem, za stawami, pomiędzy rzędami młodych dębów i wonnych sosen, stok staje się łagodniejszy. Minąłem po lewej sanatorium Lermontow, w którym stacjonował von Kleist i jego sztab; moje kwatery były nieco bardziej z tyłu, w oddzielnym skrzydle, u podnóża góry, teraz niemal całkiem zasnutą chmurami. Dalej coraz szersza aleja zmienia się w drogę, która biegnie wokół Maszuka, łącząc kolejne sanatoria jak paciorki na sznurku. Tam właśnie zboczyłem w stronę małego pawilonu zwanego Eolską Harfą, skąd rozciąga się widok na południową równinę, usianą

nierzeczywistymi garbami wulkanów: jeden, potem drugi, potem jeszcze jeden — wygasłe, spokojne. Po prawej słońce odbijało się w blaszanych dachach domów, rozproszonych w gęstej zieleni, a dalej, na horyzoncie, zamykały się chmury, zasłaniając masyw Kaukazu. Za moimi plecami rozległ się radosny głos: „Aue! Dawno jest pan tutaj?”. Odwróciłem się. Pośród drzew szedł ku mnie uśmiechnięty Voss. Uścisnąłem mu serdecznie dłoń. „Dopiero przyjechałem. Zostałem przysłany jako oficer łącznikowy do AOK”. — „Ach! Świetnie! Ja też jestem w AOK. Jadł pan kolację?” — „Jeszcze nie”. — „To chodźmy. Na dole jest świetna knajpka”. Zaczął schodzić wąską kamienną ścieżką wyciętą w skale, poszedłem za nim. Niżej, przecinając strome zbocze długiego wąwozu, rozdzielającego Maszuk i Goriaczą Górę, wznosiła się długa kolumnada w stylu włoskim, ciężka i zarazem frywolna, z różowego granitu. „To Galeria Akademicka”, objaśnił Voss. „Ach!, wykrzyknąłem mocno podekscytowany, ależ to dawna galeria Elżbiety! To tutaj Pieczorin po raz pierwszy zobaczył księżniczkę Mary”. Voss roześmiał się: „A więc zna pan Lermontowa? Tutaj wszyscy go czytają”. — „Oczywiście! W pewnym momencie życia trzymałem *Bohatera naszych czasów* na nocnym stoliku”. Droga zawiodła nas do galerii, która kryła siarczane źródło. Okaleczeni żołnierze, bladzi i powolni, spacerowali tu albo siedzieli na ławkach, naprzeciw długiej doliny, otwierającej się na miasto. Rosyjski ogrodnik okopywał klomby tulipanów i czerwonych goździków, rozrzucone wzdłuż wielkich schodów, prowadzących w dół do ulicy Kirowa, na dnie wąwozu. Miedziane dachy łazienki przyklejone do zbocza Goriaczej Góry wystawały nad drzewa i błyszcząły w słońcu. Spoza grani wyłaniał się już tylko jeden wulkan. „Idzie pan?”, spytał Voss. — „Za chwilę”. Wszedłem do środka galerii, żeby obejrzeć źródło, i zawiodłem się: sala była naga i pusta, a woda płynęła ze zwykłego kranu. „Kawiarnia jest z drugiej strony”, powiedział Voss. Przeszedł pod łukiem dzielącym lewe skrzydło galerii od centralnego pomieszczenia; ściana wraz ze skałą tworzyły tam szeroką lożę, w której rozstawiono kilka stołów i taborety. Zajęliśmy miejsca, a przez jedno z drzwi weszła ładna dziewczyna. Voss zamienił z nią kilka słów po rosyjsku. „Dzisiaj nie ma szaszłyków. Są za to kotlety kijowskie”. — „Świetnie”. — „Napije się pan źródlanej wody czy piwa?” — „Wolałbym piwo. Czy jest zimne?” — „No, prawie. Ale uprzedzam, to nie jest niemieckie piwo”. Zapaliłem papierosa i oparłem się plecami o ścianę galerii. Panował przyjemny chłód, woda spływała ze skały, barwnie upierzone ptaszki dziobały coś na ziemi. „I jak, podoba się panu Piatigorsk?”, spytał mnie Voss. Uśmiechnąłem się, cieszyłem się z tego

spotkania. „Nie zobaczyłem jeszcze zbyt wiele”, odpowiedziałem. — „Jeżeli lubi pan Lermontowa, to musi pan wiedzieć, że to miasto jest celem prawdziwych pielgrzymek. Sowietci utworzyli w jego domu śliczne małe muzeum. Przejdziemy się tam któregoś dnia, jak będzie miał pan wolne popołudnie”. — „Chętnie. A zna pan miejsce pojedynku?” — „Pojedynku Pieczorina czy pojedynku Lermontowa?” — „Lermontowa”. — „Za Maszukiem. Oczywiście stoi tam okropny pomnik. I niech pan sobie wyobrazi, że dotarliśmy nawet do jednej z jego potomkiń”. Roześmiałem się: „Niemożliwe”. — „Ależ tak. Niejaka pani Jewgienija Akimowna Chan-Girej. Jest bardzo stara. Generał kazał jej przyznać pensję, dużo wyższą niż Sowietci”. — „Znała go?” — „Co to, to nie. Tuż przed naszą inwazją Rosjanie przygotowywali obchody setnej rocznicy jego śmierci. Frau Chan-Girej urodziła się jakieś dziesięć, piętnaście lat później, w latach pięćdziesiątych, jak sądzę”. Przyszła kelnerka, niosła dwa talerze i sztućce. „Kotlety” okazały się roladami z kurczaka, nadziewanymi roztopionym masłem i opanierowanymi, do tego podano potrawkę z leśnych grzybów z czosnkiem. „Wyśmienite. Piwo też nie takie podłe”. — „A nie mówiłem? Przychodzę tu zawsze, gdy nadarzy się okazja. Nigdy nie ma tu tłumów”. Jadłem w milczeniu, w pełni zadowolony. „Ma pan dużo pracy?”, spytałem wreszcie. — „Powiedzmy, że mam wolny czas na badania. W zeszłym miesiącu ogołociłem bibliotekę Puszkina w Krasnodarze, znalazłem tam bardzo ciekawe rzeczy. Głównie prace o Kozakach, ale wywąchałem także gramatyki kaukaskie i dość rzadkie dziełka, których autorem jest Trubecki. Muszę jeszcze pojechać do Czerkieska, jestem pewien, że mają tam prace o Czerkiesach i Karaczajskim. Marzę, żeby trafić na jakiegoś Ubychjacha, który pamięta jeszcze swój język. Ale, jak na razie, nie mam szczęścia. Poza tym redaguję ulotki dla AOK”. — „Jakie ulotki?” — „Ulotki propagandowe. Zrzucają je w górach z samolotu. Napisałem jedną taką w języku karaczai, po kabardyjsku i bałkarsku, konsultując się, rzecz jasna, z tubylcami, była bardzo zabawna: *Górale, mieliście wszystko, ale radzieckie władze wszystko Warn zabrały! Powitajcie Waszych niemieckich braci, którzy jak orły lecieli ponad górami, by Was wyzwolić!* Itd.”. Prychnąłem razem z nim. „Robiłem też przepustki, które wysyłałyśmy partyzantom, żeby zachęcić ich do przejścia na naszą stronę. Jest tam napisane, że przyjmujemy ich jak *sojuszników* w decydującej walce z judeobolszewizmem. Jeżeli byli wśród nich Żydzi, to musieli umierać ze śmiechu. Te *propuski* są ważne do końca wojny”. Dziewczyna sprzątnęła ze stołu i przyniosła nam dwie kawy po turecku. „Oni tutaj mają wszystko!”, wykrzyknąłem. — „Och, tak.

Targowiska działają, nawet w sklepach sprzedają jedzenie”. — „Nie to co na Ukrainie”. — „Nie. I przy odrobinie szczęścia nigdy tak nie będzie”. — „Co pan chce przez to powiedzieć?” — „Och, być może coś się zmieni”. Zapłaciliśmy i przeszliśmy pod łukiem. Kalecy żołnierze nadal włączyli się przed galerią, popijając wodę małymi łykami. „To naprawdę pomaga?”, spytałem Vossa, wskazując na szklanę. — „Region ma dobrą reputację. Wie pan, że przyjeżdżano tu po wodę na długo przed tym, nim nastali Rosjanie? Zna pan Ibn Battutę?” — „Arabskiego podróżnika? Słyszałem o nim”. — „Przejeżdżał tędy około 1375 roku. Był na Krymie, u Tatarów, gdzie zdążył się nawet ożenić. Tatarzy żyli jeszcze w dużych wędrownych obozach, w «jeżdżących miastach», utworzonych z namiotów na wielkich wozach, były tam nawet meczety i sklepy. Co roku, latem, gdy upał na Krymie zaczynał dawać się we znaki, chan Nogajów i całe jego ruchome miasto przekraczali przesmyk Perekop i docierali aż tutaj. Ibn Battuta dokładnie opisuje to miejsce i wychwala lecznicze właściwości siarczanych wód. Nazywa to miejsce *Bish* albo *Besh Dag*, co, tak jak po rosyjsku *Piatigorsk*, oznacza «pięć gór»,.. Roześmiałem się zdziwiony: „A co się stało z Ibn Battutą?”. — „Potem? Wędrował dalej, przeszedł przez Dagestan i Afganistan, aż dotarł do Indii. Długo był kadim w Delhi i przez siedem lat służył Mohammedowi Tuglukowi, sułtanowi cierpiącemu na paranoję, zanim popadł w niełaskę. Potem był kadim na Malediwach, dotarł nawet na Cejlon, do Indonezji i do Chin. A potem wrócił do siebie, do Maroka, żeby przed śmiercią spisać swą księgę”.

Wieczorem, w mesie, okazało się, że Piatigorsk jest w rzeczy samej miejscem niezwykłych spotkań: siedząc przy stole z oficerami, dostrzegłem dr. Hohenegga, tego dobrodusznego i cynicznego lekarza, z którym poznałem się w pociągu między Charkowem a Symferopolem. Podeszedłem i przywitałem się: „Widzę, Herr Oberst, że generał von Kleist otacza się samymi porządnymi ludźmi”. Wstał i uściśnął mi dłoń: „Ach, ależ ja nie jestem z Generaloberstem von Kleistem, nadal jestem związany z 6. Armią, z generałem Paulusem”. — „Cóż więc pan robi tutaj?” — „OKH postanowiło wykorzystać infrastrukturę KMW i zorganizować ogólnowojskową konferencję medyczną. Wymiana bardzo użytecznych informacji. Wygra ten, kto opíše najstraszliwszy przypadek”. — „Jestem pewien, że panu przypadnie w udziale ten zaszczyt”. — „Proszę posłuchać, jem teraz kolację z kolegami po fachu, ale jeżeli ma pan ochotę, zapraszam pana później do mojego pokoju, napijemy się koniaku”. Zjadłem kolację z oficerami Abwehry. Byli to sympatyczni ludzie, realiści i niemal tak samo

krytyczni jak oficer z Mozdoku. Niektórzy nawet głosili otwarcie, że jeśli nie zdobędziemy wkrótce Stalingradu, to przegramy wojnę; von Gilsa pił francuskie wino i nie oponował. Po kolacji wyszedłem pospacerować samotnie po Cwietniku, parku za galerią Lermontowa — osobliwym, bladoniebieskim pawilonem z drewna, w stylu śródziemnomorskim, z ostrymi wieżyczkami i ramami okiennymi w stylu art deco, pomalowanymi na róż, czerwień i biel; wszystko sprawiało wrażenie doskonałej kakofonii, ale tutaj było zupełnie na miejscu. Palilem, przyglądając się z roztargnieniem zwiędłym tulipanom, a potem wspiałem się zboczem wzgórza aż do sanatorium i zapukałem do drzwi Hohenegga. Przyjął mnie, leżąc na sofie, bez butów, z rękoma skrzyżowanymi na okrągłym brzuchu. „Proszę wybaczyć, że nie wstaję”. Wskazał głową stolik. „Koniak jest tam. Proszę i mnie nalać, dobrze?” Wlałem dwie miarki do kubków i podałem mu jeden, usiadłem na krześle i założyłem nogę na nogę. „Więc jaka jest najstraszliwsza rzecz, jaką pan widział?” Machnął ręką. „Oczywiście człowiek”. — „Ale z medycznego punktu widzenia”. — „Z medycznego punktu widzenia straszliwe rzeczy nie mają żadnego sensu. Widzimy natomiast rzeczy nadzwyczajne, które całkowicie burzą nasze pojęcie o tym, co mogą znieść nasze biedne ciała”. — „Co na przykład?” — „Na przykład żołnierza, który dostaje małym odłamkiem w łydkę, odłamek przecina mu tętnicę strzałkową, żołnierz umiera w ciągu dwóch minut, na stojąco, cała krew spływa mu do buta, zanim zdąży cokolwiek zauważyć. Inny zaś może mieć skronie przebite kulą na wylot, a wstanie i na własnych nogach dojdzie do sanitariuszy”. — „Jakże niewiele znaczymy”, skomentowałem. „Właśnie”. Spróbowałem koniaku Hohenegga, był to ormiański alkohol, trochę za słodki, ale do wypicia. „Niech mi pan wybaczy ten koniak, powiedział, nie odwracając głowy, ale nie natrafiłem na Remy-Martin w tym mieście dzikusów. A wracając do tematu, niemal wszyscy moi koledzy znają takie historie. To zresztą nic nowego: czytałem wspomnienia lekarza wojskowego Wielkiej Armii — opowiada to samo. Oczywiście, ciągle jeszcze tracimy za dużo ludzi. Od 1812 roku medycyna wojskowa poczyniła postępy, z tym że to samo trzeba powiedzieć o metodach rzezi. Jesteśmy ciągle o krok do tyłu. Ale powoli się doskonalimy, bo prawdą jest, że Gatling więcej zrobił dla nowoczesnej chirurgii niż Dupuytren”. — „A jednak czynicie prawdziwe cuda”. Westchnął. „Być może. Co nie zmienia faktu, że nie mogę znieść widoku kobiety w ciąży. Myśl o tym, co czeka jej płód, przyprawia mnie o rozpacz”. — *Nic nie umrze, jeśli w to miejsce nie narodzi się coś innego* — wyrecytowałem. *Narodziny*

szą długiem wobec śmierci. Wydał krótki okrzyk, wstał gwałtownie i wypił koniak jednym haustem. „Właśnie to w panu lubię, Hauptsturmführer. Członek Sicherheitsdienst, który woli cytować Tertuliana aniżeli Rosenberga czy Hansa Franka, to naprawdę miłe. Ale mógłbym skrytykować pański przekład: *Mutuum debitum est nativitati cum mortalitate*, to raczej byłoby: *Narodziny i śmierć mają wobec siebie wzajemny dług*”. — „Zapewne ma pan rację. Zawsze lepiej szła mi greka. Mam tu przyjaciela, lingwistę, zapytam go”. Podał mi kubek, żebym nalał więcej. A propos śmiertelności, zapytał drwiąco, nadal zabijacie biednych, bezbronnych ludzi?” Podałem mu kubek z kamienną twarzą. „Ponieważ powiedział to pan, doktorze, nie uznaję tego za złośliwość. Zresztą ja jestem tutaj tylko oficerem łącznikowym i odpowiada mi to. Obserwuję i nic nie robię, to moja ulubiona postawa”. — „Byłby więc pan marnym lekarzem. Obserwacja bez praktyki niewiele jest warta”. — „I właśnie dlatego jestem prawnikiem”. Wstałem i poszedłem otworzyć drzwi na balkon. Na zewnątrz było ciepło, ale nie widziałem gwiazd i czułem, że zanosi się na deszcz. Lekki wiatr szeleścił liśćmi drzew. Wróciłem na miejsce przy sofie. Hohenegg znów się położył i rozpiął bluzę. „Jedyne, co mogę panu powiedzieć, odezwałem się, stanąwszy nad nim, to to, że niektórzy z moich drogich kolegów tutaj to perfekcyjni dranie”. — „Nie wątpiłem w to ani przez sekundę. To pospolita wada u ludzi, którzy praktykują, lecz nie prowadzą przy tym żadnych obserwacji. To się zdarza nawet lekarzom”. Obróciłem kubek w palcach. Poczułem się nagle bezwartościowy, ciężki. Dokończyłem koniak i spytałem lekarza: „Na długo pan tu przyjechał?”. — „Są dwie sesje: najpierw robimy przegląd ran, a potem, pod koniec miesiąca, zajmujemy się chorobami. Jeden dzień na infekcje weneryczne i całe dwa dni poświęcone na wszy i świerzby”. — „A więc zobaczymy się jeszcze. Dobranoc, doktorze”. Wyciągnął do mnie dłoń, uścisnąłem ją. „Proszę mi wybaczyć, ale nie będę wstawał”, powiedział.

Koniak Hohenegga okazał się złym *digestif*, wróciłem do pokoju i zwymiotowałem kolację. Torsje złapały mnie tak szybko, że ledwo zdążyłem dobiec do wanny. Ponieważ zacząłem już trawić, splukiwało się łatwo, ale pozostał mi w ustach przykry smak, kwaśny, obrzydliwy. Z dwojga złego wolałem chyba wymiotować zaraz po jedzeniu, być może wszystko wydostawało się trudniej i sprawiało więcej bólu, ale przynajmniej nie miało żadnego smaku, a jeśli już, to smak jedzenia. Pomyślałem, że wproszę się na jeszcze jeden koniak do Hohenegga i zapytam, co o tym sądzi, ale w końcu tylko przeplukałem

usta wodą, wypaliłem papierosa i poszedłem spać. Nazajutrz musiałem obowiązkowo wstąpić do Kommando z kurtuazyjną wizytą; oczekiwano Oberführera Bierkampa. Poszedłem tam o jedenastej. Z dolnej części miasta, z bulwaru, widać było w oddali wyraźnie poszarpane granie Besztai, górującego nad wszystkim niczym opiekuńcze bóstwo. Nie padało, ale powietrze nadal było chłodne. W Kommando poinformowano mnie, że Müller jest zajęty, rozmawia z Bierkampem. Zaczekałem na schodkach prowadzących na małe podwórko, przyglądając się, jak jeden z szoferów zmywa glinę z błotników i kół ciężarówki Saurera. Tylne drzwi były otwarte; z ciekawości podszedłem, żeby zajrzeć do środka, bo nie widziałem jeszcze, jak to wszystko wygląda — cofnąłem się mimowolnie i zacząłem gwałtownie kasłać, opłynął mnie ohydny fetor, fala smrodu wymiocin, ekskrementów, uryny. Szofer zauważył moje złe samopoczucie i rzucił kilka słów po rosyjsku, wyłapałem „*Griaznyj každyj raz*”, ale nie zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Jakiś Orpo, prawdopodobnie folksdojcz, zbliżył się i przetłumaczył: „Mówi, że zawsze tak jest, Herr Hauptsturmführer, strasznie brudno, ale że zmodyfikują wnętrze, nachylą podłogę i umieszczą pośrodku małą zapadnię. Będzie łatwiej czyścić”. — „To Rosjanin?” — „Kto, Zajcew? Kozak, Herr Hauptsturmführer, mamy ich tu kilku”. Wróciłem na schodki i zapaliłem papierosa; dokładnie w tym momencie zawołano mnie i musiałem go wyrzucić. Müller przyjął mnie w towarzystwie Bierkampa. Zasalutowałem i przedstawiłem swoją misję w Piatigorsku. „Tak, tak, odrzekł Müller, Oberführer mi tłumaczył”. Zadali mi kilka pytań — opowiadałem o pesymizmie, który zdawał się ogarniać oficerów armii. Bierkamp wzruszył ramionami: „Żołnierze zawsze byli pesymistycznie nastawieni. Już za czasów Nadrenii i Sudetów piszczeły ze strachu jak kobietki. Nigdy nie rozumieli, na czym naprawdę polega siła i wola Führera i narodowego socjalizmu. Niech mi pan lepiej powie coś innego, słyszał pan o tej historii z administracją wojskową?”. — „Nie, Herr Oberführer. O co chodzi?” — „Krąży plotka, jakoby Führer zatwierdził dla Kaukazu reżim administracji wojskowej zamiast cywilnej. Ale ciągle nie mamy oficjalnego potwierdzenia. Ludzie w OKHG udzielają wymijających odpowiedzi”. — „Spróbuję się czegoś dowiedzieć w AOK, Herr Oberführer”. Zamieniliśmy jeszcze parę słów i oddaliłem się. Na korytarzu minąłem Turka. Zmierzył mnie szyderczym, złym wzrokiem i rzucił prostacko: „Ach, *Papiersoldat*. Nie tracisz czasu, co?”. Pewnie rozmawiał z Bierkampem. Odpowiedziałem mu uprzejmie, z uśmiechem: „Zawsze do usług, Hauptsturmführer”. Wbijał we mnie jeszcze przez chwilę

wściekle spojrzenie, po czym zniknął w swoim gabinecie. No i proszę, pomyślałem, zrobiłeś sobie wroga, to nie takie trudne.

W AOK poprosiłem o spotkanie z von Gilsą i powtórzyłem mu pytanie Bierkampa. „Rzeczywiście, odpowiedział, mówi się o tym. Ale szczegóły nie są jeszcze dla mnie jasne”. — „A co się stanie z Reichskommissariatem?” — „Ustanowienie Reichskommissariatu będzie na jakiś czas odroczone”. — „A dlaczego przedstawiciele SP i SD nie zostali poinformowani?” — „Nie umiem panu powiedzieć. Czekam na dodatkowe wiadomości. Ale wie pan, ta kwestia dotyczy OKHG. Oberführer Bierkamp powinien się zwrócić bezpośrednio do nich”. Wyszedłem od von Gilsy z przeświadczeniem, że wie więcej, niż mówi. Sporządziłem krótki raport i wysłałem go do Leetscha i Bierkampa. Ogólnie rzecz biorąc, na tym właśnie polegała teraz moja praca: Abwehra przekazywała mi kopie raportów, których oni potrzebowali, a które generalnie dotyczyły rozwoju partyzantki; dorzucałem do tego informacje zasłyszane, najczęściej podczas posiłków, i wysyłałem wszystko do Woroszyłowska, a w zamian dostawałem inne raporty, o których informowałem von Gilsę albo któregoś z jego kolegów. I tak raporty o działaniach Ek 12, którego biura znajdowały się pięćset metrów od AOK, musiały być najpierw wysłane do Woroszyłowska, a następnie, skompilowane z raportami Sk IOb (inne Kommandos działały w strefie operacyjnej albo w tylnej strefie 17. Armii), częściowo wracały do mnie, ja zaś składałem je Ic; w tym samym czasie, rzecz jasna, Einsatzkommando miało bezpośredni kontakt z AOK. Nie miałem jakoś specjalnie dużo pracy. Korzystałem z tego, Piatigorsk był przyjemnym miastem, było tu dużo ciekawych rzeczy do obejrzenia. W towarzystwie Vossa, którego zawsze wszystko ciekawiło, zwiedzałem Muzeum Regionalne, usytuowane nieco poniżej hotelu Bristol, naprzeciwko poczty i parku Cwietnik. Prezentowało wspaniałe zbiory, powiększane przez dziesięciolecia przez Kawkazskoje Gornoje Obszczestwo, związek entuzjastycznych naturalistów-amatorów: przywozili ze swoich wypraw całe paki wypchanych zwierząt, minerałów, czaszek, roślin, zasuszonych kwiatów, były tam nawet stare płyty nagrobne i kamienne pogańskie bożki, a także wzruszające czarno-białe fotografie, przedstawiające głównie eleganckich panów w krawatach, gumowych kołnierzykach i słomkowych kapeluszach, upozowanych na poszarpanym stoku którejś z gór. Tym, co bardzo przypominało mi gabinet ojca, była ściana w całości zawieszona dużymi gablotami na motyle, a w nich setki okazów, każdy opatrzony etykietką z datą i miejscem złapania, z

nazwiskiem kolekcjonera oraz płcią i naukową nazwą motyla. Były tam motyle z Kłowodzka, z Adygei, z Czeczenii, a nawet z terenów sięgających Dagestanu i Adżarii; daty: 1923, 1915, 1909. Wieczorem chodziliśmy czasem do operetki, kolejnego fantazyjnego budynku w tym mieście, udekorowanego ceramicznymi czerwonymi kaflami, na których wytłoczono wizerunki książek, instrumentów muzycznych i girland; Wehrmacht niedawno zezwolił na jego otwarcie. Po spektaklu jedliśmy kolację w mesie albo w kawiarni, albo w kasynie, które nie było niczym innym, jak dawnym hotelem z restauracją, ową Resłoracją, gdzie Pieczorin poznał Mary i gdzie, według tablicy z rosyjskim napisem, który przetłumaczył mi Voss, Lew Tołstoj świętował swoje dwudzieste piąte urodziny. Sowieci uczynili z tego miejsca Centralny Instytut Rządowy ds. Uzdrowisk. Wehrmacht pozostawił na fasadzie ten imponujący napis, ułożony ze złotych liter nad masywnymi kolumnami, ale budynkowi przywrócił oryginalną funkcję: można było pić tutaj wytrawne wino z Kachetii i jeść szaszłyki, a czasem nawet dziczyznę. Tu właśnie przedstawiłem Vossa Hoheneggowi i panowie spędzili wieczór na omawianiu pochodzenia nazw chorób w pięciu językach.

W połowie miesiąca przyszła depeza z Grupy i objaśniła nieco sytuację. Führer rzeczywiście zgodził się na wprowadzenie administracji wojskowej w dystrykcie Kubań-Kaukaz pod kontrolą OKHG A, którym dowodził General der Kavallerie Ernst Köstring. Ostministerium przypisało do tej administracji swojego wysokiego urzędnika, ale utworzenie Reichskommissariatu zostało odroczone na czas nieokreślony. Jeszcze większe zdumienie wywołał fakt, że OKH rozkazało OKHG A uformować autonomiczne terytorialne jednostki złożone z Kozaków i różnych góralskich plemion, kołchozy miały zostać zlikwidowane, praca przymusowa zakazana; dokładna odwrotność naszej ukraińskiej polityki. Wydawało mi się to zbyt inteligentne, żeby mogło być prawdziwe. Musiałem pilnie wrócić do Woroszyłowska, żeby wziąć udział w zebraniu: HSSPF chciał przedyskutować nowe dekryty. Stawili się wszyscy dowódcy Kommandos i większość ich zastępców. Korsemann był wyraźnie przygnębiony. „Niepokojące jest to, że Führer podjął tę decyzję na początku sierpnia, a ja zostałem o niej poinformowany dopiero wczoraj. Trudno to zrozumieć”. — „OKH powinno się niepokoić ingerencją SS”, zawyrokował Bierkamp. — „Ale dlaczego?”, spytał Korsemann z wyrzutem. Nasza współpraca przebiega wspaniale”. — „SS poświęciło wiele czasu na pielęgnowanie dobrych relacji z mianowanym Reichskommissarem. Chwilowo cała ta praca poszła na marne”. — „W

Majkopie, wtrącił Schultz — następca Braunego, nazywany *Eisbein-Paule*, «Golonką», ze względu na sporą tuszę — opowiadają, że Wehrmacht zachowa nadzór nad instalacjami naftowymi”. — „Herr Brigadeführer, zwrócił się Bierkamp do Korsemana, chciałbym zauważyć, że jeżeli te «samorządy lokalne» zostaną ogłoszone, to same będą kontrolować działania policji w dystrykcie. Z naszego punktu widzenia jest to nie do przyjęcia”. Dyskutowali w tym tonie jeszcze przez jakiś czas; wszyscy zgodzili się, że SS po prostu wystawiono do wiatru. Odesłano nas wreszcie, z nakazem zebrania jak największej liczby informacji.

W Piatigorsku zacząłem nawiązywać nawet znośne relacje z niektórymi oficerami z Kommando. Hohenegg wyjechał i poza oficerami z Abwehry widywałem się właściwie tylko z Vosse. Wiezorami spotykałem czasem oficerów SS w kasynie. Turek, ma się rozumieć, nie odzywał się do mnie słowem, co się zaś tyczy dr. Mullera, odkąd usłyszałem, jak publicznie się zwierza, że niezbyt podoba mu się rozwiązanie z ciężarówką na gaz i że uważa egzekucje w wykonaniu plutonu za dużo bardziej *gemütlich*, „wygodne”, doszedłem do wniosku, że nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Niektórzy oficerowie byli naprawdę w porządku, chociaż często przynudzali. Pewnego wieczoru — piłem właśnie koniak w towarzystwie Vossa — podszedł do nas Obersturmführer dr Kern i poprosił go, żeby się dosiadł. Przedstawiłem go Vossowi: „Ach, to pan jest tym lingwistą z AOK”, odgadł Kern. — „Zapewne”, odparł rozbawiony Voss. — „To się świetnie składa, powiedział Kern, chciałem właśnie przedstawić panu pewien przypadek. Opowiadano mi, że zna pan dobrze ludy Kaukazu”. — „Trochę”, przyznał Voss. — „Profesor Kern wyklada w Monachium, wtrąciłem się. Specjalizuje się w historii muzułmanów”. — „To bardzo interesujący temat”, ocenił Voss. — „Tak, spędziłem siedem lat w Turcji, trochę się znam na tej kwestii”, pospieszył z odpowiedzią Kern. — „W jaki sposób wylądował pan aż tutaj?” — „Tak jak wszyscy zostałem zmobilizowany. Byłem już członkiem SS i korespondentem SD, a skończyłem w Einsatz”. — „Rozumiem. A przypadek, o którym chciał mi pan opowiedzieć?” — „Przywieziono mi tu młodą kobietę. Ruda, bardzo piękna, urocza. Jej sąsiadki doniosły, że jest Żydówką. Pokazała mi swój wewnętrzny radziecki paszport, wydany w Derbencie, gdzie w rubryce «narodowość» wpisano *tatka*. Sprawdziłem w naszych kartotekach: według ekspertów Tatowie są zasymilowani z *Bergjuden*, Żydami górskimi. Ale dziewczyna wmawiała mi, że się mylę, że Tatowie to naród turecki. Kazałem jej coś powiedzieć; mówiła w dziwnym

dialekcie, nieco trudnym do zrozumienia, ale był to bez wątpienia turecki. Więc pozwoliłem jej odejść”. — „Przypomina pan sobie słowa lub wyrażenia, których używała?” Nastąpiła rozmowa w języku tureckim: „To nie może być dokładnie to, mówił Voss, jest pan pewien?” i znów przechodzili na turecki. Wreszcie Voss stwierdził: „To, co mi pan przytoczył, rzeczywiście przypomina mniej więcej wehikularny turecki, którym mówili mieszkańcy Kaukazu, zanim bolszewicy wprowadzili obowiązkową naukę rosyjskiego. Czytałem, że używa się go jeszcze w Dagestanie, zwłaszcza w Derbencie. Ale tam wszystkie plemiona go używają. Zanotował pan jej nazwisko?” Kern wyjął z kieszeni notes, przewrócił kilka kartek. „Mam. Cokota. Nina Szaulowna”. — „Cokota?, powtórzył Voss, marszcząc brwi. A to ciekawe...” — „To nazwisko jej męża”, wyjaśnił Kern. — „Ach, rozumiem. A, proszę powiedzieć, gdyby jednak okazała się Żydówką, co z nią zrobicie?” Kern był chyba zaskoczony: „No cóż... cóż...”. Wyraźnie się wahał. Pospieszyłem mu z pomocą: „Zostanie przewieziona gdzie indziej”. — „Rozumiem”, odrzekł Voss. Zastanowił się przez chwilę i powiedział do Kerna: „Z tego, co wiem, Tatowie mają swój własny język, który należy do dialektów irańskich i nie ma nic wspólnego z językami kaukaskimi czy z tureckim. Podobno istnieją Tatowie muzułmanie, w Derbencie, ale nie wiem, czy to prawda, dowiem się”. — „Dziękuję, powiedział Kern. Sądzi pan, że powinienem być ją zatrzymać?” — „Ależ nie. Jestem pewien, że postąpił pan słusznie”. To chyba uspokoiło Kerna; najwyraźniej nie wyczuł ironii w ostatnich słowach Vossa. Pogadaliśmy jeszcze przez chwilę i Kern poszedł. Voss patrzył za nim, zbity z tropu. „Dość osobliwych ma pan kolegów”, powiedział w końcu. — „Jak to?” — „Zadają kłopotliwe pytania”. Wzruszyłem ramionami: „Robią to, co do nich należy”. Voss pokręcił głową: „Wasze metody sprawiają wrażenie dość arbitralnych. Zresztą to nie moja sprawa”. Był chyba zdegustowany. „Kiedy wybierzemy się do muzeum Lermontowa?”, spytałem, żeby zmienić temat. — „Kiedy pan zechce. W niedzielę?” — „Jeżeli pogoda dopisze, zaprowadzi mnie pan na miejsce pojedynku”.

W sprawie nowej administracji wojskowej docierały do nas najróżniejsze informacje, czasem zupełnie sprzeczne. Generał Köstring tworzył swoje biura w Woroszyłowsku. Był to niemłody już oficer, zbliżał się do emerytury, ale ci z Abwehry, z którymi rozmawiałem, twierdzili, że pozostał bardzo żywotny — nazywali go Mądrym Marabutem. Urodził się w Moskwie, w 1918 roku kierował niemiecką misją wojskową w Kijowie przy hetmanie Skoropadskim i dwa razy służył jako attache wojskowy w naszej

moskiewskiej ambasadzie, uchodził więc za jednego z najlepszych niemieckich ekspertów od spraw Rosji. Oberst von Gilsa zorganizował mi spotkanie z nowym przedstawicielem Ostministerium przy Köstringu, dawnym konsulem w Tyflisie, dr. Otto Bräutigamem. Wydał mi się dość sztywny w tych swoich okrągłych okularkach, w wykrochmalonym kołnierzyku i brązowym mundurze z wpiętą złotą odznaką partyjną; zachowywał dystans, był chłodny, ale wywarł na mnie lepsze wrażenie niż większość *Goldfasanen*. Von Gilsa powiedział mi o nim, że zajmuje ważne stanowisko w departamencie politycznym ministerstwa. „Cieszę się, że pana spotkałem, powiedziałem, ściskając mu dłoń, być może pan będzie mógł nam wreszcie wyjaśnić tę sytuację”. — „Spotkałem w Woroszyłowsku Brigadeführera Korsemana i przeprowadziłem z nim długą rozmowę. Oczywiście przekazano informacje Einsatzgruppe?” — „Och, z pewnością! Ale gdyby mógł pan poświęcić parę chwil na rozmowę ze mną, będę zaszczycony, ponieważ te sprawy bardzo mnie interesują”. Zaprowadziłem Bräutigama do mojego gabinetu i zaproponowałem szklaneczkę alkoholu; uprzejmie odmówił. „Ostministerium było chyba rozczarowane na wieść o tym, że odracza się utworzenie Reichskommissariatu?”, zacząłem. — „Wręcz przeciwnie, uważamy, że decyzja Führera to dla nas wyjątkowa okazja do skorygowania niszczącej polityki, którą prowadzimy w tym kraju”. — „Jak to?” — „Chyba wie pan, że dwóch aktualnych Reichskommissarów dostało nominację bez konsultacji z ministrem Rosenbergiem i że Ostministerium nie sprawuje nad nimi żadnej kontroli. Więc to nie nasza wina, że Gauleiterzy Koch i Lohse robią, co im się żywnie podoba. Odpowiedzialność spada na tych, którzy ich wspierają. To ich nierozważna i błędna polityka przysporzyła ministerstwu opinię *Chaosministerium*”. Uśmiechnąłem się, ale on zachował powagę. „Rzeczywiście, powiedziałem, spędziłem rok na Ukrainie i wiem, że polityka Reichskommissara Kocha była dla nas źródłem wielu problemów. Można powiedzieć, że był mistrzem w werbowaniu wywrotowców”. — „Dokładnie tak jak Gauleiter Sauckel i jego łowcy niewolników. I tego właśnie chcemy tutaj uniknąć. Widzi pan, jeżeli będziemy traktować kaukaskie plemiona tak, jak traktowaliśmy Ukraińców, to zbuntują się i pójdą w góry. Nigdy nie damy sobie z tym rady. W poprzednim wieku Rosjanie poświęcili trzydzieści lat na ujarzmienie imama Szamila. A przecież buntowników było tylko kilka tysięcy, tymczasem żeby ich wyłapać, Rosjanie musieli użyć aż trzystu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy!” Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: „Minister Rosenberg, jak również departament polityczny ministerstwa, od samego

początku kampanii domagają się jasnej linii politycznej: tylko związek z ludami Wschodu, uciskanymi przez bolszewików, umożliwi Niemcom ostateczne zmiżdżenie stalinowskiego systemu. Jak dotąd owa strategia, owa, jeśli pan woli, *Ostpolitik*, nie spotkała się z oddźwiękiem; Führer zawsze popierał tych, którzy uważają, iż Niemcy są w stanie wypełnić to zadanie same, represjonując ludność, którą powinny wyzwalać. Reichskommissar mianowany Schickendanz, pomimo swej starej przyjaźni z ministrem, także się przy tym upiera. Ale realiści z Wehrmachtu, zwłaszcza Generalquartiermeister Wagner, chcieli uniknąć na Kaukazie powtórzenia ukraińskiej klęski. Ich rozwiązanie, to znaczy utrzymanie regionu pod kontrolą wojskową, wydaje się nam dobre, tym bardziej że generał Wagner celowo starał się zaangażować w nie najbardziej trzeźwe umysły w ministerstwie, czego dowodzi moja obecność tutaj. Dla nas, tak jak dla Wehrmachtu, jest to wyjątkowa szansa na wykazanie, że *Ostpolitik* jest jedyną dobrą drogą. Jeżeli uda nam się tego dokonać tutaj, niewykluczone, że otrzymamy możliwość naprawienia szkód, jakie wyrządziliśmy na Ukrainie i w Ostland”. — „A więc wyzwania są znaczne”, skomentowałem. — „Tak”. — „A czy Reichskommissar mianowany Schickendanz nie obraził się za to odsunięcie? On także korzysta ze wsparcia”. Bräutigam machnął pogardliwie ręką; oczy błyszczały mu zza szkieł okularów: „Nikt go nie pytał o zdanie. Zresztą Reichskommissar mianowany Schickendanz jest zbyt skupiony na studiowaniu projektu swojego przyszłego pałacu w Tyflisie i na dyskusjach z adiutantami o liczbie niezbędnych bram; nie będzie się, tak jak my, pochylać nad administracyjnymi detalami”. — „Rozumiem”. Zastanowiłem się chwilę: „Jeszcze jedno pytanie. Jak w tym układzie widzi pan rolę SS i SP?”. — „Sicherheitspolizei ma, oczywiście, ważne zadania do wypełnienia. Ale powinny być one skoordynowane z działaniami grup armii i administracji wojskowej, tak by nie kolidowały z pozytywnymi inicjatywami. Mówiąc krótko, tak jak sugerowałem Brigadeführerowi Korsemannowi, będziemy musieli wykazać się pewną delikatnością w stosunkach z mniejszościami góralskimi i kozackimi. Są bowiem pośród nich tacy, którzy kolaborowali z komunistami, ale bardziej z racji nacjonalizmu niż przekonań bolszewickich — chodziło im o obronę interesów własnych narodów. Nie możemy z urzędu traktować ich jak komunistycznych komisarzy czy stalinowskich urzędników”. — „A co pan sądzi o problemie żydowskim?” Podniósł rękę: „To inna sprawa. Powszechnie wiadomo, że ludność żydowska to jeden z głównych filarów systemu bolszewickiego”. Wstał, by dać do zrozumienia, że spotkanie skończone.

„Dziękuję, że poświęcił pan czas na rozmowę ze mną”, powiedziałem już na ganku, ściskając mu dłoń. — „Ależ bardzo proszę. Sądzę, że ważne jest, abyśmy utrzymywali dobre stosunki zarówno z SS, jak i z Wehrmachtem. Im lepiej zrozumiecie, co chcemy tutaj zrobić, tym lepszy obrót przybiorą sprawy”. — „Może być pan pewien, że sporządzę w tej kwestii raport dla moich przełożonych”. — „Świetnie! Oto moja wizytówka. *Heil Hitler!*”

Voss uznał tę rozmowę za wielce komiczną, gdy mu ją powtórzyłem. „Czas najwyższy! Nic tak nie wyostrza zmysłów jak niepowodzenie”. Spotkaliśmy się, zgodnie z wcześniejszą umową, w niedzielę, późnym rankiem, przed komendanturą. Stadko dzieciaków oblaźło barykady, patrzyły zafascynowane na motorowery i zaparkowaną tu amfibię Schwimmwagen. „Partyzanci!”, wydierał się jakiś żołnierz armii terytorialnej, na próżno próbując rozgonić je szpicrutą; przeganiał z jednej strony, natychmiast pojawiały się z drugiej, rezerwista dostawał zadyszki. Wspinaliśmy się spadzistą stroną ulicy Karola Marksa, szliśmy do muzeum, a ja kończyłem referować wypowiedź Bräutigama. „Lepiej późno niż wcale, skomentował Voss, ale moim zdaniem to się nie uda. Mamy za dużo złych nawyków. Ta historia z administracją wojskową to tylko odroczenie wyroku. Za sześć, góra dziesięć miesięcy będą zmuszeni ustąpić, a wtedy zbiegną się wszystkie szakale, które na razie jeszcze trzymamy na smyczy, wszyscy ci Schickendanzowie, Körnerowie, Sauckel-Einsatzowie, i znów się zrobi burdel. Widzi pan, problem polega na tym, że my nie mamy żadnych kolonialnych tradycji. Jeszcze przed Wielką Wojną fatalnie zarządzaliśmy naszymi afrykańskimi terytoriami. A potem nie mieliśmy już żadnych własności i to niewielkie doświadczenie w administrowaniu koloniami, jakie w ogóle udało nam się zdobyć, poszło na marne. Niech pan nas porówna choćby z Anglikami: ta ich finezja, wyczucie, z jakim rządzą i gospodarują swoim imperium. Potrafią sprawnie posługiwać się kijem, jeżeli zachodzi taka potrzeba, ale najpierw zawsze proponują marchewkę, a po ciosach zadanych kijem — do marchewki wracają. W gruncie rzeczy nawet Sowieci robią to lepiej od nas. Pomimo brutalnych metod umieli stworzyć poczucie wspólnej tożsamości, więc imperium dobrze się trzyma. Oddziały, które zadały nam klęskę nad Terekiem, składały się głównie z Gruzinów i Ormian. Rozmawiałem z ormiańskimi jeńcami: czują się Rosjanami i biją się za ZSRR, bez kompleksów. Nie umieliśmy zaproponować im niczego lepszego”. Dotarliśmy przed zielone drzwi muzeum, zapukałem. Po kilku minutach rozsuneła się lekko brama na kółkach i w szparze ukazał się

stary chłop w kaszkiecie, pomarszczony i brodaty, o sękatych, pożółkłych od machorki palcach. Odezwał się w kilku słowach do Vossa, po czym mocniej pchnął skrzydło bramy. „Powiedział, że muzeum jest nieczynne, ale jeśli chcemy, możemy popatrzeć. Kilku niemieckich oficerów mieszka tu, w bibliotece”. Za bramą znajdowało się niewielkie brukowane podwórko, otoczone uroczymi pobielonymi budynkami. Po prawej, nad szopą, była nadbudówka, do której prowadziły zewnętrzne schody — tam właśnie mieściła się biblioteka. Za nią, w oddali, wznosił się Maszuk, wszechobecny, masywny, a jego wschodnie zbocze otulały strzępy chmur. Poniżej, z lewej strony, rozciągał się niewielki ogród z winoroślą na tyczkach, a dalej następne budynki pokryte strzechą. Voss wchodził już po schodach do biblioteki. Regały z lakierowanego drewna były poustawiane tak ciasno, że ledwo można się było między nimi przecisnąć. Stary przyszedł za nami. Dałem mu trzy papierosy, jego twarz rozjaśniła się, ale nie ruszył się spod drzwi, pilnował nas. Voss oglądał książki przez szyby, niczego nie dotykał. Zatrzymałem wzrok na niewielkim olejnym portrecie Lermontowa, o dość delikatnej fakturze: pisarz miał na nim czerwony dolman zdobny w epolety i złoczone galony, wilgotne usta oraz zadziwiająco niespokojne spojrzenie, w którym mieszał się gniew, strach i dzika kpina. W innym rogu wisiała grawiura, a pod nią podpis cyrylicą, który z trudem rozszyfrowałem: był to Martynow, zabójca Lermontowa. Voss próbował otworzyć jeden z regałów, ale nie dał rady. Stary odezwał się do niego, przez chwilę rozmawiali. „Konserwator zbiegł, przetłumaczył Voss. Jedna z pracownic ma klucze, ale dziś nie przyszła. Szkoda, mają tu piękne rzeczy”. — „Wróci pan”. — „Z pewnością. Chodźmy, wpuści nas do domu Lermontowa”. Przez podwórko i ogródek przeszliśmy do jednego z niskich domów. Stary pchnął drzwi; wewnątrz panował mrok, ale światło wpadające przez otwarte drzwi było wystarczające. Ściany pobielono wapnem, meble były proste. Na ścianach, przybite gwoździami, wisiały piękne orientalne dywany i kaukaskie szable. Wąska sofa wyglądała na bardzo niewygodną. Voss stanął przy biurku, pogładził blat palcami. Stary znów coś mu wyjaśniał. „Napisał *Bohatera naszych czasów* przy tym stole”, przetłumaczył Voss, zamyślony. — „Tutaj?” — „Nie. W Sankt Petersburgu. Gdy stworzono muzeum, władze nakazały przysłać tu biurko”. Nie było więcej nic godnego obejrzenia. Wyszliśmy, chmury zasłoniły słońce. Voss podziękował staremu, a ja dałem mu jeszcze kilka papierosów. „Trzeba tu wrócić, gdy znajdzie się ktoś, kto potrafi wszystko nam objaśnić, powiedział Voss. A właśnie, dodał w bramie, zapomniałem panu powiedzieć: profesor Oberlander jest

tutaj”. — „Oberlander? Znam go. Spotkałem go w Lembergu, na początku kampanii”. — „Tym lepiej. Chciałem zaproponować, żebyśmy zjedli z nim kolację”. Voss skręcił w lewo, w szeroką, wyłożoną płytami aleję, ciągnącą się od pomnika Lenina. Droga nadal pięła się w górę, zaczynało brakować mi tchu. Zamiast zboczyć z alei w stronę Eolskiej Harfy i Galerii Akademickiej, Voss dalej szedł prosto, wzdłuż Maszuka, brukowaną ulicą, której dotąd nie znałem. Niebo nagle pociemniało i obawiałem się, że zacznie padać. Minęliśmy kilka sanatoriów, bruk się skończył, a my szliśmy dalej, szeroką, ubitą drogą. Mało kto się tutaj zapuszczał; jakiś chłop nawozie minął nas z brzękiem upręży, któremu towarzyszyły porykiwania wołu i skrzypienie źle wyważonych kół; później nie spotkaliśmy już nikogo. Nieco dalej, po lewej, w zboczu jakiejś góry otwierał się ceglany łuk. Podeszliśmy, mrużąc oczy, przebijając się wzrokiem przez ciemność; kuta metalowa krata, zamknięta na kłódkę, broniła dostępu do wnętrza. „To Prował, objaśnił Voss, na dnie znajduje się otwarta od góry grotta z siarczanym źródłem”. — „Czy to nie tu Pieczorin spotkał się z Wierą?” — „Nie jestem pewien. A może raczej było to w grocie pod Eolską Harfą?” — „Trzeba będzie sprawdzić”. Obłoki przepływały tuż nad naszymi głowami, zdawało mi się, że gdy podniosę ramię, będę mógł pogłaskać dłonią kłęby pary. Niebo całkiem już się zasnęło i wszystko wokół było przytłumione, ciche. Nasze kroki chrzęściły na piaszczystej glebie. Droga pięła się w górę, wkrótce znaleźliśmy się w chmurach. Z trudem wyławialiśmy wzrokiem duże drzewa, które rosły wzdłuż pobocza; powietrze było jak zduszone, świat wokół znikł. W oddali, w lesie, rozlegało się kukanie kukułki, wołanie smutne, niespokojne. Szliśmy w milczeniu. Trwało to długo. Tu i ówdzie widziałem czasem ciemne, nieokreślone kształty, prawdopodobnie budowle — a potem znów weszliśmy do lasu. Chmury rzedły, szarość zaśniła mętным blaskiem i nagle rozdzieliły się, całkiem rozpierzchły, a my stanęliśmy w pełnym słońcu. Nie padało. Po prawej stronie, ponad drzewami rysowały się poszarpane kształty Besztau. Po kolejnych dwudziestu minutach marszu dotarliśmy do pomnika. „Zatoczyliśmy spore koło, powiedział Voss. Od drugiej strony jest szybciej”. — „Tak, ale warto było”. Pomnik, biały obelisk ustawiony na źle utrzymanym trawniku, nie prezentował się zbyt interesująco; trudno było, w tej scenerii, urządzonej z iście mieszczańską gorliwością, wyobrazić sobie strzały, krew, szorstkie okrzyki, wściekłość pokonanego poety. Na klepisku stały niemieckie samochody, po drugiej stronie, pod lasem, rozstawiono stoły i ławki, na których siedzieli i jedli żołnierze. Dla spokoju sumienia poszedłem jednak obejrzeć

medalion z brązu i napis na pomniku. „Widziałem zdjęcie tymczasowego pomnika, który wzniesiono w 1901 roku, powiedział Voss. Rodzaj fantazyjnej półrotundy z drewna i gipsu, z popiersiem na szczycie, bardzo wysoko. To było dużo ciekawsze”. — „Pewnie nie mieli wystarczających funduszy. Pójdziemy coś zjeść?” — „Tak, robią tu dobre szaszłyki”. Przeszliśmy klepiskiem w dół, do stołów. Dwa ze stojących tam samochodów miały oznaczenia Einsatzkommando; przy jednym ze stołów rozpoznałem kilku oficerów. Kern pozdrowił nas ruchem ręki, więc mu odmachnąłem, ale nie podszedłem się przywitać. Siedzieli z nim Turek, Bolte, Pfeiffer. Wybrałem stół nieco na uboczu, pod lasem, z grubo ciosanymi taboretami. Podszedł do nas góral w mycce, nieogolony, z sumiastym wąsem. „Nie ma wieprzowiny, przetłumaczył Voss. Tylko baranina. Ale jest wódka i kompot”. — „Świetnie”. Dobiegały do nas strzępy rozmów prowadzonych przy innych stołach. Byli tam także podoficerowie Wehrmachtu i kilku cywilów. Turek spojrzał na nas, zauważyłem, że z ożywieniem rozmawia o czymś z Pfeifferem. Między stołami biegały cygańskie dzieci. Jedno podeszło do nas: „*Chleb, chleb*”, wołało śpiewnie, wyciągając dłoń czarną od brudu. Góral przyniósł nam kilka kromek chleba — podałem malcowi jedną, od razu wepchnął całą do ust. Pokazał las: „*Siestra, siestra, diewa. Krasiwaja*”. Wykonał obsceniczny gest. Voss wybuchnął śmiechem i rzucił mu kilka słów. Chłopak zwiął. Podszedł do oficerów SS i znów zaczął odgrywać swoje przedstawienie. „Myśli pan, że z nim pójdą?”, spytał Voss. — „Nie na oczach wszystkich”, stwierdziłem. I rzeczywiście, Turek poczęstował go tak mocnym kopniakiem, że mały pokoziołkował na trawę. Widziałem, jak Turek udaje, że wyjmuje broń; dzieciak popędził między drzewa. Góral, urzędujący za długą metalową skrzynią na nóżkach, wrócił do nas, niosąc dwa szaszłyki, które ułożył na chlebie. Potem doniósł jeszcze napoje i kubki. Wódka cudownie komponowała się z soczystym mięsem, wypiliśmy po kilka miarek, zapijając kompotem z jagód. Słońce oświetlało trawę, strzeliste sosny, pomnik i zbocze Maszuka w tle; chmury całkiem już znikły za wierzchołkiem. Znów pomyślałem o Lermontowie, który konał na trawie o kilka kroków stąd, z przebitą piersią, umierał, bo pozwolił sobie na luźną uwagę o ubiorze Martynowa. W przeciwieństwie do swego bohatera, Pieczorina, Lermontow oddał strzał w powietrze; jego rywal — nie. O czym mógł myśleć Martynow, patrząc na zwłoki przeciwnika? On sam miał się za poetę i pewnie czytał *Bohatera naszych czasów*; teraz mógł smakować gorzkie echo rodzącej się legendy, choć wiedział, że sam przejdzie do historii jako zabójca

Lermontowa, jeszcze jeden d'Anthes, który niechlubnie przysłużył się rosyjskiej literaturze. A przecież na pewno miał inne ambicje, gdy wchodził w dorosłe życie; on także chciał coś robić, i to robić dobrze. Może był po prostu zazdrosny o talent Lermontowa? Być może wolał, żeby pamiętano o nim w związku ze złem, które uczynił, niż nie pamiętano go wcale? Próbowałem przypomnieć sobie jego portret, ale nie mogłem. A Lermontow? Jego ostatnia myśl — gdy już wystrzelał magazynek w powietrze i dostrzegł, że tamten, Martynow, celuje w niego — czy była to myśl gorzka, rozpaczliwa, wściekła, pełna ironii? Czy po prostu wzruszył ramionami i patrzył, jak światło słońca gra na gałęziach sosen? Tak jak w przypadku Puszkina mówi się, że śmierć Lermontowa była ukartowana, że było to zleczone zabójstwo; jeżeli tak rzeczywiście było, to poddał się z szeroko otwartymi oczyma, z pewnym upodobaniem, pokazując, jak wiele różni go od Pieczorina. To, co Błok napisał o Puszkynie, chyba jeszcze lepiej pasuje do Lermontowa: *Nie umarł od kuli Dantesa, lecz z braku powietrza*. Mnie też brakowało powietrza, ale słońce, szaszłyki i szczęśliwa dobroduszość Vossa były chwilowym wytchnieniem. Zapłaciliśmy góralowi w okupacyjnych *karbowańcach* i wróciliśmy na drogę wokół Maszuka. „Proponuję wstąpić na stary cmentarz, podsunął Voss. Tam, gdzie się odbył pierwszy pochówek Lermontowa, jest stela”. Po pojedynku przyjaciele poety pochowali go na miejscu. Rok później, sto lat przed naszym przyjazdem do Piatigorska, babka Lermontowa ze strony matki przyjechała po jego szczątki i zabrała je do siebie, w okolice Penzy. Spoczął obok matki. Chętnie przystałem na propozycję Vossa. Minęły nas dwa samochody, wzniesając tuman kurzu: wracali oficerowie Kommando. Turek sam prowadził pierwszy wóz; nienawistne spojrzenie, które zauważyłem przez szybę, nadawało mu prawdziwie żydowski wygląd. Krótki konwój pojechał prosto, my natomiast skręciliśmy w lewo, w długą drogę na przełaj, w górę Maszuka. Posiłek, wódka, słońce sprawiły, że poczułem się ciężki; dostałem czkawki i zszedłem z drogi między drzewa. „Wszystko w porządku?”, zapytał Voss, gdy wróciłem. Zrobiłem nieokreślony ruch ręką i zapaliłem papierosa. „To nic takiego. Pozostałości choroby, na którą zapadłem na Ukrainie. Czasem miewam nawroty”. — „Powinien pan iść do lekarza”. — „Być może. Niedługo wróci doktor Hohenegg, zobaczę”. Voss zaczekał, aż skończę papierosa, i zrównał ze mną krok. Zrobiło mi się gorąco, zdjąłem furażerkę i kurtkę. Na szczycie wzgórza droga zakreślała dużą pętlę, z której rozciągał się piękny widok na miasto i dalej na dolinę. „Idąc wciąż prosto, doszlibyśmy do sanatoriów, powiedział Voss. Na cmentarz

można dotrzeć przez sady”. Strome zbocze, porośnięte zwiędłą trawą, było pełne owocowych drzew; muł, przywiązany na lonży do jednego z nich, rył ziemię w poszukiwaniu spadłych jabłek. Zeszliśmy, ślizgając się nieco, a potem wstąpiliśmy w gęsty las, gdzie droga się urwała. Z powrotem nałożyłem kurtkę, gałęzie i krzaki drapały mi ramiona. Wreszcie, stąpając za Vossem, doszedłem do niewielkiego rowu w ziemi, który ciągnął się wzdłuż kamiennego muru cmentarza. „To musi być tu, odezwał się Voss. Obejdziemy go”. Od chwili, w której wyprzedzili nas oficerowie w samochodach, nie spotkaliśmy nikogo i zdawało mi się, że otacza nas pustkowie, lecz kilka kroków dalej minął nas bez słowa młody bosy chłopak; prowadził osła. Idąc wzdłuż muru, dotarliśmy wreszcie do niewielkiego placu z cerkwią. Jedna stara kobieta w czarnym ubraniu sprzedawała kwiaty, siedząc na odwróconej skrzynce; inne wychodziły ze świątyni. Za kratą, pod wysokimi drzewami, rzucającymi cień na spadzisty cmentarz, leżały rozproszone groby. Szliśmy dalej w górę stromej drogi, wybrukowanej grubo ciosanymi kamieniami, wbitymi w ziemię, między starymi mogiłami, które ginęły w suchej trawie, paprociach i ciernistych krzakach. Plamy światła przedzierały się gdzieś przez korony drzew i na tych słonecznych wysepkach, wokół zwiędłych kwiatów, tańczyły małe białe i czarne motyle. Dalej droga zakręcała i drzewa rosły coraz rzadziej, ukazując dolinę od południowego zachodu. W jednej z cmentarnych kwater zasadzono dwa małe drzewa, aby rzucały cień na stelę, oznaczającą miejsce pierwszego pochówku Lermontowa. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem było cykanie koników polnych i lekki szum wiatru, który poruszał liśćmi. Nieopodal steli znajdowały się groby znajomych Lermontowa, Chan-Girejów. Odwróciłem się: w oddali długie zielone bałki cięły dolinę aż do pierwszych skalistych zboczy. Garby wulkanów wyglądały jak grudy spadłe z nieba; w oddali majaczyły śniegi Elbrusu. Usiadłem na schodkach prowadzących do steli, podczas gdy Voss szukał czegoś kilka kroków dalej, i znów pomyślałem o Lermontowie: jak każdego poetę najpierw go zabili, a teraz uwielbiają.

Zeszliśmy do miasta przez Wierchnij Rynek, na którym chłopcy kończyli już pakować kurczaki, niesprzedane warzywa i owoce, i ładowali je na muły albo na wozy. Wokół stał w rozproszeniu tłumek pucybutów i sprzedawców ziaren słonecznika. Chłopcy, siedząc na małych wózkach zmajstrowanych z desek i kółek od spacerówek, wypatrywali jakiegoś spóźnionego żołnierza, który poprosi o przewiezienie zakupów. U stóp wzgórza, na bulwarze Kirowa, na otoczonej murkiem mogile stały rzędy świeżych

krzyży; śliczny mały park, w którym znajduje się pomnik Lermontowa, został zamieniony na cmentarz dla niemieckich żołnierzy. Bulwar, ciągnący się w kierunku parku Cwietnik, przebiegał obok dawnej greckokatolickiej katedry, wysadzonej w trzydziestym szóstym przez NKWD. „Widzi pan, zauważył Voss, wskazując na obtłuczone kamienie, nie tknęli niemieckiego kościoła. Nasi żołnierze nadal chodzą się tam modlić”. — „Tak, ale spustoszyli trzy wioski folksdojczów w okolicy. Car sprowadził ich tutaj w 1830 roku. Rok temu wszystkich zesłano na Syberię”. Jednak Voss ciągle jeszcze miał w głowie swój luterański kościół. „Wie pan, że wybudował go żołnierz? Niejaki Kempfer, bił się z Czerkiesami pod dowództwem Jewdokimowa, a potem osiadł tutaj”. W parku, zaraz za bramą, wznosiła się dwupiętrowa drewniana galeria, z wieżyczkami o futurystycznych kopułach i loggią, która okalała wyższe piętro. Stało tam kilka stołów i tym, którzy mieli czym zapłacić, podawano kawę po turecku oraz słodczyce. Voss wybrał miejsce od strony głównej alei parku, tuż ponad grupkami nieogolonych starców, kłótliwych i zrzędliwych, którzy przychodzili wieczorami, przesiadywali na ławkach i grali w szachy. Zamówiłem kawę i koniak; przyniesiono nam także małe cytrynowe ciasteczka. Koniak pochodził z Dagestanu i był chyba jeszcze słodszy od ormiańskiego, ale świetnie się komponował ze smakiem ciasteczek i moim dobrym humorem. „Jak się posuwają pańskie prace?”, spytałem Vossa. Roześmiał się: „Nadal nie znalazłem ubychskiego rozmówcy, ale poczyniłem znaczne postępy w nauce języka kabardyjskiego. Nie mogę się doczekać, kiedy zajmiemy Ordżonikidze”. — „Dlaczego?” — „Ach, mówiłem już panu, że języki kaukaskie to moja podrzędna specjalność. Tym, co naprawdę mnie interesuje, są języki indogermańskie, zwłaszcza te pochodzenia irańskiego. A już osetyjski jest szczególnie fascynujący”. — „Z jakiego powodu?” — „Niech pan spojrzy na położenie geograficzne Osetii: podczas gdy wszyscy inni użytkownicy języków niekaukaskich zajmują obrzeża i zbocza Kaukazu, oni przecinają masyw na dwie części, dokładnie na poziomie najbardziej dostępnego przesmyku, Wąwozu Darialskiego, przez który Rosjanie poprowadzili Drogę Wojenną z Tyflisu do Ordżonikidze, zwanego dawniej Władykaukazem. Pomimo że ci ludzie przejęli stroje i zwyczaje od swoich sąsiadów — górali, mamy tu oczywiście do czynienia ze spóźnionym ruchem inwazyjnym. Panuje przekonanie, że Osetyńcy, czy też Osetyńcy, pochodzą od Alanów, czyli od Scytów; jeżeli tak jest rzeczywiście, ich język stanowiłby żywy archeologiczny ślad po języku scytyjskim. Jest jeszcze coś: w 1930 roku Dumezil wydał zbiorek osetyjskich legend o fantastycznym narodzie półbogów,

których nazywano Nartami. Otóż Dumezil postuluje, iż istnieje związek pomiędzy tymi legendami a religią scytyjską, jaką przedstawia Herodot. Rosyjscy badacze pracują nad tym zagadnieniem od końca zeszłego wieku, więc biblioteka i instytuty w Ordżonikidze zapewne pękają w szwach od niezwykłych materiałów, niedostępnych w Europie. Mam tylko nadzieję, że nie spalą tego wszystkiego podczas najazdu”. — „Czyli w sumie, jeżeli dobrze zrozumiałem, ci Osetyńcy to *Urvolk*, jeden z oryginalnych ludów aryjskich?” — „«Oryginalny», to słowo, którego ostatnio się nadużywa, nie zawsze sensownie. Powiedzmy, że ich język o charakterze archaicznym jest bardzo interesujący z naukowego punktu widzenia”. — „A co pan powie na temat pojęcia «oryginalny»?” Wzruszył ramionami. „Oryginalność to bardziej fantazja, pewne domniemanie psychologiczne albo polityczne aniżeli koncepcja naukowa. Niech pan choćby weźmie język niemiecki: przez wieki, nawet przed Marcinem Lutrem, uważano, że jest to język oryginalny, argumentując, że nie odwołuje się do obcych rdzeni, w przeciwieństwie do języków łacińskich, do których go porównywano. Niektórzy teologowie w swym szaleństwie uważali nawet niemiecki za język Adama i Ewy, twierdzili, że hebrajski powstał później i z niemieckiego się wywodzi. Ale jest to założenie kompletnie iluzoryczne, ponieważ nawet jeśli rdzenie w niemieckim są «autochtoniczne» — w rzeczywistości wszystkie mają swoje źródło w nomadycznych językach indoeuropejskich — to nasza gramatyka posiada przecież całkowicie łacińską strukturę. A jednak te idee odcisnęły wyraźne piętno na naszej kulturowej wyobraźni, ta cała wyjątkowość niemieckiego na tle innych języków europejskich, ta zdolność do autogenezy własnego słownictwa. Prawdą jest, że każde ośmioletnie niemieckie dziecko zna wszystkie rdzenie występujące w naszym języku i jest w stanie rozłożyć i zrozumieć każde słowo, choćby najbardziej skomplikowane, co jest niemożliwe w przypadku dziecka, dajmy na to, francuskiego, które musi poświęcić dużo czasu na naukę «trudnych» wyrazów pochodzenia greckiego lub łacińskiego. Dzięki temu zresztą zaszliśmy tak daleko w mniemaniu o sobie: *Deutschland* to jedyny kraj w Europie, który nie określa się geograficznie, którego nazwa nie pochodzi od nazwy ludu, jak Anglowie czy Frankowie, to kraj «narodu samego w sobie»; *deutsch* to forma przymiotnikowa staroniemieckiego *Tuits*, czyli «naród». Dlatego właśnie wszyscy sąsiedzi nazywają nas inaczej: *Allemands*, *Germans*, *Duits*, włoskie *Tedeschi*, również pochodzące od *Tuits*, czy Niemcy, tu, w Rosji, które to słowo oznacza: «niemowcy», ci, którzy nie potrafią mówić — dokładnie tak jak greckie *barbaros*. Cała nasza aktualna polityka

rasowa i *völkisch* jest, w pewnym sensie, zbudowana na bardzo starych niemieckich pretensjach. Tak, dodam od razu, nie jesteśmy jedyni: Goropius Becanus, autor flamandzki, w 1569 roku mówił to samo o niderlandzkim, porównując go z tym, co nazywał *oryginalnymi językami Kaukazu, macicą narodów*". Voss roześmiał się wesoło. Chętnie kontynuowałbym rozmowę, zwłaszcza na temat teorii rasowych, ale on już się podnosił: „Muszę iść. Chciałby pan zjeść kolację z Oberlanderem, jeżeli będzie miał czas?”. — „Z chęcią”. — „Spotkamy się w kasynie? Około ósmej”. Zbiegł po schodach. Usiadłem i zacząłem przyglądać się starym szachistom. Szła jesień: słońce chowało się już za Maszukiem, opromieniało jego grzbiet różowym blaskiem, a niżej, na bulwarze, rozsiewało pomarańczowe błyski pomiędzy drzewami — odbijały się od szyb i szarego tynku fasad.

Około dziewiętnastej trzydzieści zszedłem do kasyna. Vossa jeszcze nie było, więc zamówiłem koniak i zaniósłem go do łoża, nieco na uboczu. Kilka minut później wszedł Kern, omiół wzrokiem salę i skierował się ku mnie: „Herr Hauptsturmführer! Szukałem pana”. Zdjął furazerkę i usiadł, rozglądając się dookoła; wydał mi się zakłopotany, nerwowy. „Herr Hauptsturmführer. Chciałem poinformować pana o czymś, co, jak myślę, pana dotyczy”. — „Tak?” Zawahał się: „Mówi się... Przebywa pan często w towarzystwie tego Leutnanta Wehrmachtu. To... jakby to powiedzieć? To wywołało pewne plotki”. — „Jakiego rodzaju plotki?” — „Plotki... Powiedzmy, niebezpieczne. Ten określony rodzaj plotek, który może prowadzić prosto do obozu koncentracyjnego”. — „Rozumiem”. Zachowałem spiżowy spokój. „A czy ów określony rodzaj plotek nie jest przypadkiem rozsiewany przez określoną osobę?” Zbladł. „Nie powiem już nic więcej na ten temat. Sam uważam, że to niskie, haniebne... Chciałem tylko pana ostrzec, aby mógł pan... mógł pan zrobić wszystko, żeby to się jakoś nie rozwinęło”. Wstałem i wyciągnąłem rękę: „Dziękuję za tę informację, Obersturmführer. Lecz gardzę tymi, którzy tchórzliwie rozpuszczają brudne pomówienia, zamiast stanąć twarzą w twarz z zainteresowanym. Gardzę nimi i ich ignoruję”. Ucisnął mi dłoń. „Świetnie rozumiem pańską reakcję, ale mimo wszystko proszę uważać”. Usiadłem, wściekły: oto ich gierka! W dodatku mylą się na całej linii. Mówiłem już: nigdy nie zwiążuję się emocjonalnie ze swoimi kochankami; przyjaźń to coś całkiem innego. Kocham na tym świecie tylko jedną osobę i, chociaż jej nie widuję, wystarczy mi to w zupełności. Tego jednak takie zakute łby jak Turek i jego koledzy nigdy nie będą w stanie zrozumieć. Postanowiłem się zemścić: nie wiedziałem

jeszcze, w jaki sposób, ale byłem pewien, że okazja się nadarzy. Kern to uczciwy człowiek, dobrze zrobił, że mnie ostrzegł: miałem czas do namysłu.

Voss dotarł chwilę później, w towarzystwie Oberlandera. Ciągle byłem pogrążony w myślach. „Dobry wieczór, profesorze, rzekłem, ściskając dłoń Oberlandera. Dawno pana nie widziałem”. — „Tak, sporo się wydarzyło od czasu spotkania w Lembergu. A co z tamtym drugim młodym oficerem, który wtedy panu towarzyszył?” — „Hauptsturmführer Hauser? Chyba nadal służy przy Grupie C. Dawno nie miałem od niego wiadomości”. Poszedłem z nimi do restauracji, w kwestii zamówienia zdałem się na Vossa. Przyniesiono nam wino z Kachetii. Oberlander wyglądał na zmęczonego. „Słyszałem, że dowodzi pan nową jednostką specjalną?”, zagadnąłem. — „Tak, to Kommando «Bergman». Wszyscy moi ludzie to kaukascy górale”. — „Jakiej narodowości?”, zainteresował się Voss. — „Och, różnych. Są oczywiście Karaczaje i Czerkiesi, ale także Ingusze, Awarowie, Lakowie, których rekrutowaliśmy w Stalagach. Mam nawet jednego Swana”. — „Wspaniale! Chciałbym z nim porozmawiać”. — „A więc musi pan jechać do Mozdoku. Pracują tam przy akcjach przeciwko partyzantom”. — „A nie ma pan przypadkiem żadnych Ubychów?”, spytałem niewinnie. Voss zwinął się ze śmiechu. „Ubychów? Nie, nie wydaje mi się. Właściwie co to jest?” Voss dusił się, usiłując powstrzymać śmiech, a Oberlander patrzył na niego bezradnie. Siłąc się na powagę, odpowiedziałem: „To jest bzik doktora Vossa. Uważa, że Wehrmacht powinien koniecznie prowadzić politykę proubychską, aby przywrócić naturalną równowagę władzy pośród ludów Kaukazu”. Voss, który próbował napić się wina, o mało się nie opluł. Ja też z trudem zachowywałem powagę. Oberlander nadal nic nie rozumiał i zaczynał się irytować: „Nie wiem, o czym pan mówi”, powiedział oschle. Usiłowałem mu to wyjaśnić: „Jest to naród kaukaski deportowany przez Rosjan. Do Turcji. Dawniej panowali nad sporą częścią tego regionu”. — „To byli muzułmanie?” — „Tak, oczywiście”. — „W takim razie poparcie Ubychów mieściłoby się w ramach naszej *Ostpolitik*”. Voss, cały czerwony, wymruczał przeprosiny i pobiegł do toalety. Oberlander był zbity z tropu: „Co mu się stało?”. Poklepałem się po brzuchu. „Ach, rozumiem, powiedział. To tutaj częste. Na czym stanąłem?” — „Na naszej polityce promuzułmańskiej”. — „Tak. Ma się rozumieć, jest to niemiecka tradycyjna polityka. To, co chcemy tutaj zrobić, nie jest niczym innym, jak kontynuacją proislamskiej polityki Ludendorffa. Szanując dokonania kulturowe i społeczne islamu, przysparzamy sobie użytecznych sojuszników. W dodatku

tak samo obchodzimy się z Turcją, która jest mimo wszystko ważna, zwłaszcza jeżeli myślimy o otoczeniu Kaukazu, aby zająć Anglików od tyłu w Syrii i Egipcie”. Wrócił Voss, chyba się uspokoił. „Jeżeli dobrze rozumiem, rzekłem, ideą jest zintegrowanie narodów Kaukazu, a w szczególności grup tureckojęzycznych, w jednym, ogromnym ruchu antybolszewickim”. — „To pewna opcja, ale nie została jeszcze zaakceptowana na górze. Niektórzy obawiają się odnowy panturanizmu, dzięki któremu Turcja zyskałaby władzę na szczeblu regionalnym i uzurpowała sobie prawo do naszych podbojów. Minister Rosenberg skłania się raczej ku osi Berlin-Tyflis. Ale widać tu wyraźny wpływ Nikuradzego”. — „A co pan o tym myśli?” — „Tymczasem piszę artykuł o Niemcach i Kaukazie. Wie pan być może, że po rozwiązaniu «Nachtigalla» pracowałem jako Abwehroffizier przy Reichskommissarze Kochu, który jest starym przyjacielem Königsberga. Ale jego prawie nigdy nie ma na Ukrainie, a jego podwładni, zwłaszcza Dargel, prowadzili bardzo nieodpowiedzialną politykę. W swoim artykule próbuję dowieść, że powinniśmy współpracować z ludnością zamieszkującą podbite tereny, aby zapobiec zbyt dużym stratom podczas inwazji i okupacji. Nasza polityka promuzułmańska czy też proturecka powinna wpisywać się w te ramy. Ma się rozumieć, do władzy i tylko do władzy należy ostatnie słowo”. — „Sądziłem, że celem naszej obecności na Kaukazie było przekonanie Turcji, by przystąpiła do wojny po naszej stronie?” — „Oczywiście. I jeśli dotrzemy do Iraku albo do Iranu, na pewno to zrobi. Saracoglu jest ostrożny, ale nie zechce przepuścić szansy odzyskania dawnych terytoriów otomańskich”. — „A czy to nie byłoby uzurpowanie sobie prawa do naszego *Grossraum*? spytałem. — „W żadnym wypadku. Naszym celem jest utworzenie imperium kontynentalnego. Nie mamy ani zamiaru obciążania się dalekimi koloniami, ani środków na to. Zostawimy sobie naftowe regiony Zatoki Perskiej, to rzecz oczywista, ale całą resztę brytyjskiego Bliskiego Wschodu będziemy mogli oddać Turkom”. — „A co w zamian Turcja zrobi dla nas?”, spytał Voss. — „Mogłaby być nam bardzo pomocna. Strategicznie zajmuje kluczową pozycję. Mogłaby zapewnić bazy morskie i naziemne, dzięki którym położylibyśmy ostatecznie kres brytyjskiej obecności na Środkowym Wschodzie. Mogłaby też dostarczyć oddziały do walki na froncie antybolszewickim”. — „Tak, podchwyciłem, na ten przykład przysłać nam oddział Ubychów”. Voss znowu wybuchnął niekontrolowanym śmiechem. Oberlander się zirytował: „Cóż to za historia z tymi Ubychami? Nie rozumiem”. — „Już panu mówiłem, to jest obsesja doktora Vossa. Jest zrozpaczony, ponieważ pisze raport za

raportem, a nikt z dowództwa nie chce uwierzyć w strategiczną wagę Ubychów. Tutaj wszyscy liczą wyłącznie na Karaczajów, Kabardyńców i Bałkarów”. — „Dlaczego w takim razie tak się śmieje?” — „No właśnie, doktorze Voss, dlaczego się pan śmieje?”, upomniałem go z powagą. „To chyba nerwy, wyjaśniłem Oberlanderowi. Proszę, doktorze Voss, niech się pan jeszcze napije wina”. Voss wypił trochę i próbował się powstrzymać. „Nie znam tej kwestii, oświadczył Oberlander, nie mnie oceniać”. Zwrócił się do Vossa: „Jeżeli ma pan raporty o tych Ubychach, to z chęcią je przeczytam”. Voss nerwowo pokiwał głową: „Doktorze Aue, wydusił, będę panu wdzięczny za zmianę tematu”. — „Jak pan sobie życzy. Zresztą, już niosą jedzenie”. Obsłużono nas. Oberlander wyglądał na rozdrażnionego. Voss był czerwony jak burak. Żeby wrócić do przerwanej rozmowy, zapytałem Oberlandera: „Czy pańscy *Bergmänner* są skuteczni w walce przeciwko partyzantom?”. — „W górach są nie do pokonania. Niektórzy co dzień przynoszą nam odcięte głowy i uszy. Choć na nizinach są tylko trochę lepsi od naszych oddziałów. Spalili kilka wiosek wokół Mozdoku. Próbuję im wyjaśnić, że nie jest dobrze robić to systematycznie, ale to jest jak atawizm. Poza tym mają dość poważne problemy z dyscypliną: mówię tu zwłaszcza o dezercji. Mam wrażenie, że wielu z nich wstąpiło do oddziału tylko po to, żeby wrócić do domu, bo odkąd jesteśmy na Kaukazie, cały czas uciekają. Kazałem rozstrzelać na oczach wszystkich tych, których złapaliśmy: chyba się trochę uspokoili. Poza tym mam wielu Czeczenów i Dagestańczyków, ich tereny nadal trzymają bolszewicy. A właśnie, czy słyszeli panowie o rebelii w Czeczenii? W górach”. — „Chodzą o tym słuchy, odpowiedziałem. Jednostka specjalna działająca przy Einsatzgruppe spróbuje przeprowadzić desant agentów w celu nawiązania kontaktu z rebeliantami”. — „Ach, to bardzo interesujące, skwitował Oberlander. Podobno walki trwają, a represje są okrutne. To powinno stworzyć pewne możliwości dla naszych sił. W jaki sposób mógłbym się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat?” — „Radzę zwrócić się do Oberführera Bierkampa, w Woroszyłowsku”. — „Świetnie. A tutaj? Macie dużo problemów z partyzantami?” — „Niezbyt. Jedna jednostka grasuje w okolicach Kisłowodzka. Oddział «Lermontow». To chyba taka tutejsza moda, żeby wszystko nazywać Lermontow”. Voss roześmiał się, tym razem na całe gardło: „Są aktywni?”. — „Nie bardzo. Siedzą w górach, boją się zejść. Zajmują się głównie wywiadem dla Armii Czerwonej. Wysyłają na przykład dzieciaki, żeby liczyły motory i ciężarówki zaparkowane przed Feldkommandantur”. Kończyliśmy posiłek. Oberlander mówił jeszcze

o *Ostpolitik* nowej administracji wojskowej: „General Köstring to świetny wybór. Sądzę, że przy nim to doświadczenie ma szansę się udać”. — „Zna pan doktora Bräutigama?”, spytałem. — „Bräutigama? Oczywiście. Często wymieniamy poglądy. To człowiek o wielkiej motywacji, bardzo inteligentny”. Oberlander dopił kawę i wstał. Zasalutowaliśmy mu i Voss odprowadził go do drzwi. Czekałem, paląc papierosa. „Był pan okropny”, powiedział, usiadłszy z powrotem. — „Dlaczegoż to?” — „Sam pan dobrze wie”. Wzruszyłem ramionami: „To nie było aż takie złośliwe”. — „Oberlander gotów pomyśleć, że z niego kpiliśmy”. — „Kiedy my naprawdę z niego kpiliśmy. Ale wiadomo: on się nigdy do tego nie przyzna. Zna pan profesorów równie dobrze jak ja. Przyznanie się do ignorancji w kwestii ubychskiej mogłoby zaszkodzić jego reputacji «kaukaskiego Lawrence'a»„. Wyszliśmy z kasyna. Padał drobny, lekki deszcz. „I już, powiedziałem jakby do siebie. I już mamy jesień”. Przywiązany przed Feldkommandantur koń rżał i parskał. Wartownicy założyli woskowane kaptury. Woda spływała cienkimi strumykami po pochyłej ulicy Karola Marksa. Padało coraz mocniej. Pożegnaliśmy się przed kwaterami, życząc sobie dobrej nocy. W pokoju otworzyłem drzwi balkonowe i stałem długą chwilę, zasłuchany w plusk wody, która rozpryskiwała się na liściach drzew, na płytkach balkonu, na blasze dachu, na trawie i na mokrej ziemi.

Padało trzy dni bez przerwy. Sanatoria zapełniały się rannymi, zwożonymi z Małgobeku i Sagopczi, gdzie nasza kolejna ofensywa na Grozny wciąż natrafiała na zajadły opór. Korsemann przyjechał odznaczyć medalami fińskich ochotników z „Wikinga”, pięknych blond chłopaków, nieco zagubionych, zdziesiątkowanych w krzyżowym ogniu w parowie Juruk pod Niżnym Kurpem. Na Kaukazie wprowadzano nową administrację wojskową. Na początku października dekretem Generalquartiermeistera Wagnera sześć kozackich *rajonow*, zamieszkanych przez 160 000 osób, otrzymało nowy statut „samorządów”; autonomia Karaczajów miała być ogłoszona oficjalnie podczas wielkiej fety w Kisłowodzku. Znów zostałem wezwany do Woroszyłowska, wraz z innymi ważnymi oficerami SS, przez Korsemanna i Bierkampa. Korsemann niepokoił się ograniczeniem władzy policyjnej w samorządowych dystryktach, lecz chciał kontynuować politykę wzmocnionej współpracy z Wehrmachtem. Z kolei Bierkamp był wściekły; nazywał tych *Ostpolitiker* carystami i bałtyckimi baronami: „Ta słynna *Ostpolitik* to nic innego, jak odrodzenie ducha Taurogi”, wrzeszczał. Prywatnie,

między wierszami, Leetsch dał mi do zrozumienia, że Bierkamp zamartwia się z powodu liczby wykonywanych przez komanda egzekucji, które nie przekraczały już kilkudziesięciu tygodniowo: wszystkich Żydów z okupowanych ziem zlikwidowano, nie licząc kilku rzemieślników, których Wehrmacht wykorzystywał do prac szewskich i krawieckich; partyzantów i komunistów chwymano niewielu; co do mniejszości narodowych i Kozaków, stanowiących większość, byli oni w tej chwili praktycznie nietykalni. Uważałem sposób myślenia Bierkampa za mocno ograniczony, ale byłem w stanie go zrozumieć — w Berlinie oceniano skuteczność Einsatzgruppen po liczbach, a spadek aktywności mógł zostać zinterpretowany jako oznaka braku energii komendanta. A przecież grupa nie była bezczynna. W Eliście, na krańcu kałmuckiego stepu, formowano Sonderkommando „Astrachań” z myślą o zajęciu tego miasta. W regionie Krasnodaru, wypełniwszy wszystkie inne priorytetowe zadania, Sonderkommando 10a likwidowało zakłady dla debili, wodogłowych i degeneratów, posługując się głównie ciężarówką z gazem. W Majkopie 17. Armia ponawiała ofensywę w kierunku Tuapse i Sk 11 miało uczestniczyć w tłumieniu ostrych zamieszek w górach, w bardzo niebezpiecznym terenie, tym trudniejszym, że rozmoczonym nieustającym deszczem. 10 października świętowałem swoje urodziny w restauracji z Vossem, nie poinformowałem go jednak o okazji. Nazajutrz towarzyszyliśmy sporej części AOK w Kisłowodzku; celebrowano Uraza Bajram, zakończenie postu, zamykające miesiąc ramadanu. Było to coś w rodzaju triumfalnego święta. Na dużym polu za miastem imam Karaczajów, pomarszczony starzec o mocnym i jasnym głosie, prowadził długą, zbiorową modlitwę; naprzeciw niedalekich wzgórz setki kaszkietów, furażerek, kapeluszy i futrzanych czap w ściśniętych szeregach chyliły się ku ziemi i podnosiły w rytmie jego melopei. Następnie, na estradzie udekorowanej niemieckimi i muzułmańskimi flagami, Köstring i Bräutigam, głosami zwielokrotnionymi przez megafony, ogłosili ustanowienie autonomicznego dystryktu karaczajskiego. Okrzyki i wystrzały z karabinów akcentowały każde zdanie. Voss, z rękoma założonymi na plecy, tłumaczył przemówienie Bräutigama. Köstring odczytał swoje po rosyjsku; gdy skończył, młodzi entuzjaści podrzucili go kilka razy do góry. Bräutigam przedstawił kadiego Bajramukowa, chłopca o antyradzieckich poglądach, jako nowego zarządcę dystryktu; starzec, ubrany w czerkieskę i bechmet, w wielkiej białej baraniej papasze na głowie, uroczyście podziękował Niemcom za uwolnienie Karaczajów spod rosyjskiego jarzma. Jakieś małe dziecko przyprowadziło pod estradę wspianego

białego kabardyjskiego konia, przykrytego dagestańskim wielobarwnym sumakiem. Koń parsknął, stary wyjaśnił, że jest to dar narodu karaczajskiego dla wodza Niemców, Adolfa Hitlera; Köstring podziękował i zapewnił, że koń trafi do Führera, do Winnicy na Ukrainie. Młodzi górale w regionalnych strojach ponieśli Köstringa i Bräutigama na ramionach, do wtóru wiwatów mężczyzn, wrzasków kobiet i wielokrotnych salw. Voss, zarumieniony z radości, patrzył na wszystko z zachwytem. Ruszyliśmy za tłumem; na skraju pola gromadka kobiet układała wiktuały na długich stołach ustawionych pod wiatami. W wielkich żeliwnych kotłach gotowały się niewiarygodne ilości baraniny, którą podawano z bulionem, były tu też gotowane kurczaki, dziki czosnek, kawior i manti, kaukaskie pierożki; karaczajskie kobiety, niektóre naprawdę urocze i roześmiane, nie ustawały w podsuwaniu uczującym coraz to nowych dań. Młodzi chłopcy trzymali się z boku, szepcząc coś między sobą zawzięcie, starsi siedzieli i jedli. Köstring i Bräutigam zajęli miejsca pod zadaszeniem razem ze starszyzną, przy kabardyjskim koniu, który, chyba nieco przez nich zapomniany, próbował, naprężając lonżę, zbliżyć się do stołu i obwąchać półmiski, wywołując śmiech gapiów. Góralscy muzycy śpiewali długie pieśni, akompaniując sobie na małych instrumentach o dość cienkich strunach; później dołączyli do nich bębniarze i muzyka stała się porywająca, opętańcza, ustawiliśmy się w wielkim kręgu i młodzi, prowadzeni przez mistrza ceremonii, odtńczyli lezginkę — byli w tym szlachetni, okazali, męscy — a potem jeszcze inne tańce, z nożami, ze zdumiewającą wirtuozerią. Nie podawano alkoholu, ale uczujący Niemcy, rozgrzani obfitością mięs i zabawą, byli jak upojeni: czerwoni, spoceni, podekscytowani. Karaczaje czcili salwami najbardziej udane figury taneczne, a to wzmagało podniecenie, aż do paroksyzmu. Serce waliło mi jak oszalałe, razem z Vossem tupałem, klaskałem, krzyczałem jak wariat w kręgu gapiów. O zmierzchu przyniesiono pochodnie — zabawa trwała; gdy ktoś poczuł się zmęczony, wracał do stołów, pił herbatę i coś przekąsał. „*Ostpolitiker* wykonali świetną robotę!, krzyczałem do Vossa. To przekonałoby każdego”.

Lecz wieści z frontu nie były dobre. W Stalingradzie, na przekór wojennym biuletynom, zapowiadającym codziennie decydujące natarcie, 6. Armia — według Abwehry — na dobre ugrzęzła w centrum miasta. Oficerowie przybywający z Winnicy potwierdzali, że w kwaterze głównej panuje nieprzyjemna atmosfera i że Führer już prawie nie rozmawia z generałami Keitlem i Jodlem, których przegonił od swojego stołu. W wojskowych kręgach powtarzano ponure plotki, Voss przekazywał mi je czasem:

podobno Führer jest na skraju wyczerpania nerwowego, miewa szalone napady wściekłości, podejmuje sprzeczne, niespójne decyzje; generałowie zaczynają tracić do niego zaufanie. Zapewne była to przesada, ale uważałem za niepokojący fakt, iż takie plotki rozchodzą się w armii, i przypominałem sobie w takich sytuacjach rozdział *Morale Wehrmachtu*. Wrócił Hohenegg, ale jego konferencja odbywała się w Kisłowodzku, jeszcze go nie widziałem; po kilku dniach przysłał mi bilecik z zaproszeniem na kolację. Voss dołączył do III pancernego korpusu w Prochładnym — von Kleist szykował nową ofensywę w kierunku Nalczyka i Ordżonikidze, więc Voss chciał jechać z nimi, by chronić tamtejsze biblioteki i instytuty.

Tego samego ranka stawił się w moim biurze Leutnant Reuter, adiutant von Gilsy: „Mamy tu ciekawy przypadek, powinien pan to zobaczyć. To starzec, sam tutaj przyszedł. Opowiada dziwne rzeczy i podaje się za Żyda. Oberst zaproponował, żeby go pan przesłuchał”. — „Jeśli to Żyd, trzeba go wysłać do Kommando”. — „Być może. Ale nie zechciałby go pan zobaczyć? Zapewniam, to przedziwny przypadek”. Ordynans przyprowadził do mnie mężczyznę. Był to postawny starzec o długiej białej brodzie, jeszcze chyba całkiem żywotny; miał na sobie czarną czerkieskę, wysokie buty z miękkiej skóry, saboty, jakie noszą kaukascy wieśniacy, i przepiękną haftowaną jarmużkę, fioletowo-niebiesko-złotą. Gestem nakazałem mu, by usiadł, i trochę niezadowolony spytałem ordynansa: „Rozumiem, że on mówi tylko po rosyjsku? Gdzie jest *Dolmetscher*?”. Stary przeszył mnie wzrokiem i odezwał się w klasycznej grece, dziwnie akcentowanej, ale zrozumiałej: „Widzę, że z ciebie człowiek wykształcony. Na pewno znasz grekę”. Zbity z tropu, odprawiłem ordynansa i odpowiedziałem: „Tak, znam grekę. A jak to się stało, że ty mówisz w tym języku?”. Nie zwrócił uwagi na moje pytanie. „Moje imię jest Nahum ben Ibrahim z Magaramkend, w *gubernatorii* Derbentu. Dla Rosjan przyjąłem nazwisko Szamilew, na cześć wielkiego Szamila, u boku którego walczył mój ojciec. A jakie jest twoje imię?” — „Nazywam się Maximilian. Pochodzę z Niemiec”. — „A kim był twój ojciec?” Uśmiechnąłem się: „Czemu interesuje cię mój ojciec, staruchu?”. — „Jak mam wiedzieć, do kogo się zwracam, skoro nie wiem, kim był jego ojciec?” Jego greka, teraz to słyszałem, pełna była niespotykanych wyrażeń, ale jakoś go rozumiałem. Powiedziałem mu, jak miał na imię mój ojciec i to go chyba usatysfakcjonowało. Potem spytałem: „Jeżeli twój ojciec walczył u boku Szamila, to musisz być bardzo stary”. — „Mój ojciec zginął chwalebnie w Dargo, zabiwszy uprzednio

dziesiątki Rosjan. Był to człowiek pobożny i Szamil szanował jego religię. Mówił, że my, *Dagh-Szufuti*, lepiej wierzymy w Boga niż muzułmanie. Pamiętam dzień, w którym oświadczył to swoim muridom, w meczecie w Wiedieno”. — „To niemożliwe! Ty nie mogłeś znać Szamila. Pokaż mi paszport”. Podał mi dokument, przekartkowałem go szybko. „Sam zobacz! Tu jest napisane, że urodziłeś się w 1866 roku. W tym czasie Szamil był już w rękach Rosjan, w Kałudze”. Spokojnie wyjął mi paszport z rąk i wsunął go do wewnętrznej kieszeni. Jego oczy skrzyły się humorem i sprytem. „A skąd jakiś biedny *czynownik* — użył rosyjskiego określenia — z Derbentu, człowiek, który nie ukończył nawet szkoły powszechnej, ma wiedzieć, kiedy się urodziłem? Policzył siedemdziesiąt lat od daty wystawienia tego papieru, mnie o nic nie pytał. Ale jestem dużo starszy. Urodziłem się, zanim Szamil porwał do walki swoje oddziały. Byłem już dorosły, gdy mój ojciec został zabity pod Dargo przez te rosyjskie psy. Zająłem jego miejsce u boku Szamila, ale już wtedy studiowałem prawo i Szamil powiedział mi, że wojowników ma wystarczająco dużo, potrzebuje natomiast ludzi uczonych”. Zupełnie nie wiedziałem, co o tym myśleć; sam chyba wierzył w to, co mówił, ale to było nieprawdopodobne: miałby teraz co najmniej sto dwadzieścia lat. „A greka?, spytałem znowu. Gdzie się jej nauczyłeś?” — „Dagestan to nie Rosja, młody oficerze. Zanim Rosjanie wybili ich bez litości, najbardziej uczeni ludzie na świecie żyli w Dagestanie, muzułmanie i Żydzi. Ludzie z Arabii, z Turkiestanu, a nawet z Chin przyjeżdżali, by zasięgnąć ich rady. A *Dagh-Szufuti* to co innego niż jacyś zapchleni Żydzi z Rosji. Język mojej matki to farsi i wszyscy mówimy po turecku. Nauczyłem się rosyjskiego, by móc handlować, bo, jak mawiał rabbi Eliezer, myślą boską nie napełnisz żołądka. Arabskiego uczyłem się od imamów w medresach Dagestanu, a greki, tak jak i hebrajskiego — z książek. Nigdy nie poznałem mowy polskich Żydów, który jest niczym innym jak niemieckim, językiem *niemoł*”. — „Więc rzeczywiście jesteś uczonym mężczyzną”. — „Nie kpij sobie ze mnie, *meirakion*. Ja też czytałem waszego Platona i Arystotelesa. Ale czytałem ich razem z Mojżeszem de Leon, a to duża różnica”. Od jakiegoś czasu przyglądałem się jego przyciętej w kwadrat brodzie, a zwłaszcza ogolonej górnej wardze. Zaintrygowało mnie coś: miejsce pod nosem było gładkie, bez wyłobienia, które zwykle się tam znajduje. „Jak to się stało, że twoja warga tak wygląda? Nigdy czegoś takiego nie widziałem”. Potarł ją. „To? Gdy przyszedłem na świat, anioł nie odcisnął tam swojej pieczęci. Dlatego pamiętam wszystko, co się działo przedtem”. — „Nie rozumiem”. — „Przecież jesteś

wykształcony. Wszystko to zapisane jest w Księdze o stworzeniu dziecka w Małych Midraszach. Na początku rodzice człowieka łączą się w parę. Powstaje kropla, w którą Bóg tchnieniem wpuszcza ludzką duszę. Następnie anioł zanosi kroplę — rankiem do Raju, wieczorem do Piekła, a potem pokazuje jej, gdzie będzie żyła na ziemi i gdzie zostanie pochowana, gdy Bóg przywoła do siebie duszę, którą w nią tchnął. Dalej napisane jest — wybacz mi, jeśli będę recytował źle, ale muszę tłumaczyć z hebrajskiego, którego ty nie znasz — to: *Lecz anioł zawsze wkłada kroplę do ciała matki, a święty, niech będzie pochwalony, zamyka za nią drzwi i zamki. I święty, niech będzie pochwalony, mówi jej: Dotrzesz tylko dotąd, nie dalej. I dziecko trwa pod żebrami matki przez dziewięć miesięcy.* Dalej jest napisane: *Dziecko zjada wszystko to, co zjada jego matka, pije to wszystko, co jego matka pije, i nie wydalą ekskrementów, bo gdyby to zrobiło, zabiłoby swoją matkę.* I dalej jest napisane: *I kiedy nadchodzi chwila jego przyjścia na świat, anioł staje przed nim i mówi: Wyjdź, bo nadeszła chwila twego pojawienia się na świecie. I dusza dziecka mu odpowiada: Mówiłam już temu, który tu był, że podoba mi się świat, w którym dotąd żyłam. A anioł na to: Świat, do którego Cię prowadzę, jest piękny. I dalej: Na przekór sobie uformowałaś się w ciele swej matki, na przekór sobie powstałaś, by przyjść na świat. Wtedy dziecko zaczyna płakać. A czemu płacze? Z żalu za światem, w którym żyło, a który teraz musi opuścić. I jak tylko wyjdzie, anioł przeciąga mu palcem pod nosem i gasi światło ponad jego głową, każe dziecku wyjść na przekór sobie, i dziecko zapomina wszystko, co dotąd widziało. I jak tylko wyjdzie, zaczyna płakać.* Przeciągnięcie palcem, o którym mówi księga, to właśnie to: anioł pieczętuje wargi dziecka i pieczęć ta zostawia ślad. Ale dziecko nie zapomina od razu. Gdy mój syn miał trzy lata, dawno temu, znalazłem go którejś nocy nad kołyską siostrzyczki: „Opowiedz mi o Bogu, prosił ją. Ja właśnie zapominam”. Właśnie dlatego człowiek musi się wszystkiego uczyć o Bogu od nowa, studiując, dlatego ludzie stają się źli i zabijają się wzajemnie. Ale mnie anioł wypuścił, nie przypieczętował mi warg, jak sam widzisz, więc pamiętam o wszystkim”. — „Czyli pamiętasz też miejsce, w którym będziesz pochowany?”, spytałem go. Uśmiechnął się szeroko: „Właśnie dlatego przyszedłem tu do ciebie”. — „To daleko stąd?” — „Nie. Mogę ci pokazać, jeśli chcesz”. Wstałem i chwyciłem furazerkę: „Chodźmy”.

Wychodząc, poprosiłem Reutera o żandarma polowego; przysłał mi swojego dowódcę kompanii, który wskazał na jednego z Rottwachmeisterów: „Hanning! Pójdiesz

z Hauptsturmführerem i zrobisz, co ci każe”. Hanning wziął hełm i zarzucił karabin na ramię; miał jakieś czterdzieści lat, może trochę mniej; wielki metalowy półksiężyc ryngrafu błyszczał na jego wąskiej piersi. „Będziemy też potrzebować łopaty”, dodałem. Wyszliśmy i zwróciłem się do starego: „Którędy?”. Pokazał palcem Maszuk, którego wierzchołek, otulony paroma chmurami, wyglądał, jakby dymił. „Tędy”. Razem z Hanningiem pięliśmy się ulicami, aż doszliśmy do drogi, tej, która opasuje górę; tam stary wskazał na prawo, w kierunku Prowała. Wzdłuż drogi rosły sosny, w pewnym punkcie odchodziła od niej ścieżka i wślizgiwała się pomiędzy drzewa. „Tędy”, powiedział stary. — „Jesteś pewien, że nigdy tutaj nie byłeś?”, spytałem. Wzruszył ramionami. Droga wiła się serpentyną, zbocze było strome. Stary szedł pierwszy, zwinnym, pewnym krokiem; za mną, z łopatą na ramieniu, człapał Hanning, zdyszany jak wół. Wyszliśmy spośród drzew i zobaczyłem, że wiatr przegnał chmury z wierzchołka. Parę kroków dalej odwróciłem się: Kaukaz przekreślał horyzont. Padało całą noc i deszcz na dobre zmył wszechobecną letnią mgłę, odsłaniając góry, wyraźne, majestatyczne. „Przestań się gapić”, rzucił mi stary. Ruszyłem dalej. Wspinaliśmy się około pół godziny. Serce grzmociło mi w piersi jak oszalałe, brakowało mi tchu, Hanningowi też; dziad wyglądał świeżo niczym młode drzewo. Wreszcie dotarliśmy do czegoś w rodzaju tarasu zarośniętego trawą, około stu metrów pod szczytem. Stary poszedł do przodu i podziwiał widoki. Wtedy po raz pierwszy naprawdę zobaczyłem Kaukaz. Wysoki łańcuch ciągnął się niczym olbrzymi, pochyły mur, aż po kraj horyzontu, można było uwierzyć, że zmrzywszy oczy, dostrzeże się ostatnie góry tonące w wodach Morza Czarnego, daleko, z prawej strony, a z lewej — w Morzu Kaspijskim. Zbocza były błękitne, a szczyty bladożółte, białawe; biały Elbrus, jak miska mleka postawiona do góry dnem, koronował spiczaste wierzchołki; dalej nad Osetią wznosił się Kazbek. To było piękne jak fraza Bacha. Patrzyłem w milczeniu. Stary wyciągnął rękę na wschód: „Tam, za Kazbkiem, jest już Czeczenia, a dalej, tam, Dagestan”. — „A gdzie jest grób?” Rozejrzał się po tarasie i zrobił parę kroków. „Tu”, oznajmił w końcu, uderzając stopą o ziemię. Znów potoczyłem wzrokiem po górach. „Piękne miejsce na pochówek, nie uważasz?”, powiedziałem. Stary uśmiechnął się szeroko, zachwycony: „Prawda?”. Zacząłem się zastanawiać, czy on sobie przypadkiem ze mnie nie kpi. „Naprawdę je zobaczyłeś?” — „Oczywiście”, odparł oburzony, ale zdawało mi się, że skrywa uśmiech pod gęstą brodą. „A więc kop”, nakazałem. — „Jak to, kop? Wstydu nie masz, *meirakiske*? Ty wiesz, ile ja mam lat? Mógłbym być dziadem twojego

dziada! Prędzej przekląłbym cię, niż zaczął kopać”. Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się do Hanninga, który nadal czekał z łopata w pogotowiu. „Hanning. Kopcie”. — „Kopać, Herr Hauptsturmführer? Co mam kopać?” — „Grób, Rottwachtmeister. Tutaj”. Pokazał głową: „A stary? Nie może kopać?”. — „Nie. No, zaczynajcie”. Hanning położył na trawie karabin i hełm i poszedł we wskazane miejsce. Splunął w dłonie i zaczął kopać. Stary patrzył na góry. Słuchałem szumu wiatru, niewyraźnego gwaru miasta u naszych stóp, ale słyszałem też łopatę wbijającą się w grunt, upadające grudy wyrzucanej ziemi, ciężki oddech Hanninga. Spojrzałem na starego: stał zwrócony twarzą do gór i do słońca, mruczał coś do siebie. Znów popatrzyłem na góry. Subtelne, nieskończone odcienie błękitu, kładące się na zboczach, można było czytać jak długą linię muzyki, rytmizowaną szczytami. Hanning, który zdążył już zdjąć ryngraf i kurtkę, kopał dość metodycznie i teraz stał w dole po kolana. Stary odwrócił się do mnie rozbawiony: „Jak idzie robota?”. Hanning przerwał kopanie i dyszał, wsparty na łopacie. „Tyle nie wystarczy, Herr Hauptsturmführer?”, spytał. Dół miał teraz chyba odpowiednią długość, ale był głęboki tylko na pół metra. Odwróciłem się do starego: „Wystarczy ci?”. — „Żarty sobie stroisz? Nie pochowasz mnie chyba jak nędzarza, co? Mnie, Nahuma ben Ibrahima! No przecież nie jesteś *nepios*, dzieciak”. — „Przykro mi, Hanning. Trzeba kopać dalej”. — „Niech mi pan powie, Herr Hauptsturmführer, spytał, zanim zabrał się z powrotem do pracy, w jakim języku pan z nim rozmawia? Bo rosyjski to nie jest”. — „Nie. To greka”. — „To jest Grek?! A ja myślałem, że Żyd!” — „Dobra, kopcie już”. Klnąc, wrócił do roboty. Po dwudziestu minutach znów przerwał, dyszał bardzo ciężko. „Wie pan, Herr Hauptsturmführer, zwykle do takiej roboty jest nas dwóch. Ja już nie jestem taki znów młody”. — „Dajcie mi łopatę i wyjdźcie”. Teraz z kolei ja zdjąłem furażerkę i bluzę i zająłem miejsce Hanninga w dole. Nie miałem doświadczenia w kopaniu. Potrzebowałem kilku minut, żeby wejść w rytm. Stary pochylił się nade mną. „Źle się do tego zabrałeś. Widać, że spędzasz życie z nosem w książkach. U nas nawet rabini umieją zbudować dom. Ale dobry z ciebie chłopak. Miałem rację, zwracając się do ciebie”. Kopałem, trzeba było teraz wyrzucać ziemię dość wysoko, spora jej część spadała z powrotem do dziury. „Tyle wystarczy?”, spytałem w końcu. — „Jeszcze trochę. Chcę, żeby grób był tak wygodny, jak brzuch mojej matki”. — „Hanning, zawołałem, chodźcie, zmienicie mnie”. Brzeg dołu sięgał mi teraz do piersi, Hanning musiał pomóc mi wyjść. Ubrałem się i zapaliłem, a Hanning kopał. Znów spojrzałem na góry, nie mogłem się napatrzeć. Stary

też patrzył. „Wiesz, czułem żal, że nie zostanę pogrzebany w mojej dolinie, nad Samurem, powiedział. Ale teraz wiem, że anioł jest mądry. To piękne miejsce”. — „Tak”, przyznałem. Zerknąłem w bok: karabin Hanninga leżał w trawie, tuż przy hełmie, jakby porzucony. Gdy głowa żandarma ledwo wystawała ponad powierzchnię ziemi, stary oświadczył, że teraz jest dobrze. Pomogłem Hanningowi wyjść. „I co teraz?”, spytałem. — „Teraz musisz złożyć mnie w środku. No co? Nie myślisz chyba, że Bóg ześle na mnie grom z jasnego nieba?” Zwróciłem się do Hanninga: „Rottwachtmeister. Załóżcie z powrotem mundur i zastrzelcie tego człowieka”. Hanning poczerwieniał, splunął na ziemię i zaklął. „Co jest?” — „Z całym szacunkiem, Herr Hauptsturmführer, ale jeśli chodzi o zadania specjalne, to potrzebuję rozkazu swojego zwierzchnika”. — „Leutnant Reuter oddał was do mojej dyspozycji”. Zawahał się. „Dobra. Zgoda”, powiedział w końcu. Oczyszczył spodnie, założył kurtkę, ryngraf i hełm, po czym chwycił karabin. Stary stanął na krawędzi grobu, z twarzą zwróconą w kierunku gór, ciągle się uśmiechał. Hanning przyłożył karabin do ramienia i wycelował w kark dziada. Nagle poczułem strach. „Zaczekajcie!” Hanning opuścił broń, a stary odwrócił do mnie głowę. „A mój grób także zobaczyłeś?” Uśmiechnął się: „Tak”. Oddychałem ze świstem, musiałem być bardzo blady, zdjął mnie pusty lęk: „I gdzie on jest?”. Nie przestał się uśmiechać: „Nie powiem ci”. — „Ognia!”, krzyknąłem do Hanninga. Hanning podniósł karabin i strzelił. Stary upadł jak marionetka z odciętymi sznurkami, od razu. Podeszedłem do grobu i pochyliłem się: leżał na dnie jak worek, z głową przekreśloną na bok — ciągle widziałem jego uśmiech, wśród kłaków brody spryskanej krwią; otwarte oczy, skierowane ku ścianie ziemi, też się śmiały. Drżałem. „Zakopcie to”, rozkazałem oschle Hanningowi.

U podnóża Maszuka odesłałem Hanninga do AOK i poszedłem Galerią Akademicką do łaźni Puszkina, której część Wehrmacht otworzył dla swoich rekonwalescentów. Rozebrałem się i zanurzyłem ciało w gorącej brunatnej wodzie siarczanej. Moczyłem się długą chwilę, następnie splukałem pod zimnym prysznicem. Ta kuracja orzeźwiła moje ciało i duszę: skóra pokryła się marmurkowym deseniem czerwonych i białych plam, poczułem się pobudzony, niemal lekki. Wróciłem do kwatery i przez godzinę leżałem wyciągnięty na sofie, ze skrzyżowanymi stopami, twarzą zwróconą ku otwartym drzwiom balkonowym. Potem przebrałem się i poszedłem do AOK po samochód, o który poprosiłem rano. W drodze paliłem i kontemplowałem wulkany, łagodne, błękitne szczyty Kaukazu. Popołudnie miało się ku końcowi, przyszła jesień. Przy wjeździe do

Kisłowodzka droga biegła przez Podkumok; w dole wozy wieśniaków pokonywały rzekę w bród; ostatni z nich — deskę ułożoną na kołach — ciągnął wielbłąd o długiej sierści i mocnym karku. Hohenegg czekał na mnie w kasynie. „Świetnie pan wygląda”, rzucił mi na powitanie. — „Wracam do siebie. Ale spędziłem dziś osobliwy dzień”. — „Opowie mi pan”. Dwie butelki białego reńskiego wina czekały obok stołu w wiaderku wypełnionym lodem: „Kazałem żonie przysłać”. — „Doktorze, jest pan niesamowity”. Otworzył pierwszą: wino było zimne i szczypało w język, pozostawiając w ustach pyszczotliwy owocowy posmak. „Jak tam pańska konferencja?”, spytałem.

— „Bardzo dobrze. Omówiliśmy już cholere, tyfus i dyzenterię, teraz przechodzimy do trudnego tematu odmrożeń”. — „Jeszcze nie sezon na odmrożenia”. — „Wkrótce się zacznie. A co u pana?” Opowiedziałem mu historię starego *Bergjude*. „Prawdziwy mędrzec z tego Nahuma ben Ibrahima, ocenił, gdy skończyłem. Możemy mu tylko pozazdrościć”. — „Pewnie ma pan rację”. Nasz stolik stał tuż przy przepierzeniu, za nim znajdowała się prywatna loża, skąd dochodziły śmiechy i niezrozumiałe urywki rozmów. Wypiłem jeszcze trochę wina. „A jednak, dodałem, przyznam się panu, że trudno mi go zrozumieć”. — „A mnie wcale nietrudno, stwierdził Hohenegg. Widzi pan, według mnie, możliwe są trzy postawy wobec tego absurdalnego życia. Najpierw postawa *mas, hoi polloi*, które nie chcą przyjąć do wiadomości, że życie to jeden wielki żart. Tacy nie śmieją się z niego, lecz pracują, gromadzą, przeżuwiają, defekują, kopulują, rozmnażają się, starzeją i umierają jak woły zaprzężone do pług, tak samo głupi, jak w dniu narodzin. Taka jest znakomita większość. Dalej ma pan tych, którzy, jak ja, wiedzą, że życie to żart i mają odwagę się z niego śmiać, na wzór taoistów albo tego pańskiego Żyda. Są wreszcie tacy, i, jeżeli moja diagnoza jest trafna, pan do nich należy, którzy wiedzą, że życie to żart, ale cierpią z tego powodu. To tak jak ten pański Lermontow, którego wreszcie przeczytałem: *Żyżń eto smieszajaja i głupajaja szutka*, pisze”. Znałem teraz rosyjski wystarczająco dobrze, żeby zrozumieć i uzupełnić: „Powinien dodać jeszcze: *igrubajaja, żart śmieszny, głupi i grubiański*”. — „Tak zapewne myślał. Ale to zrujnowałoby rytm jego frazy”. — „Ci, którzy przybierają taką postawę, wiedzą jednakże o istnieniu tej, o której mówił pan wcześniej”, powiedziałem. — „Tak, ale sami nie potrafiają przyjąć”. Głosy za przepierzeniem stały się wyraźniejsze, bo kelnerka, wychodząc z loży, nie zaciągnęła zasłony. Rozpoznałem wulgarny ton Turka i jego wiernego cienia Pfeiffera. „Takim babom powinni zakazać wstępu do SS!”, krakał Turek. — „Dobrze mówisz. Powinien

gnić w obozie koncentracyjnym, a nie nosić mundur”, przytaknął Pfeiffer. — „Tak, dobiegł jeszcze jeden głos, ale potrzeba dowodów”. — „Widzieliśmy ich, odrzekł Turek. Wtedy, za Maszukiem. Zeszli z drogi, żeby robić w lesie ohydne rzeczy”. — „Jest pan pewien?” — „Daję słowo oficera”. — „I rozpoznał go pan?” — „Auego? Był tak blisko mnie, jak pan teraz”. Mężczyźni nagle umilkli. Turek odwrócił się powoli i zobaczył mnie, stałem w drzwiach łoży. Z jego purpurowej twarzy odpłynęła cała krew. Pfeiffer, u szczytu stołu, pożółkł. „Pożałowania godne, jak lekko traktuje pan słowo oficera, Hauptsturmführer, powiedziałem wyraźnie, głosem równym i obojętnym. To je dewaluuje. Niemniej, ma pan jeszcze czas, by odwołać swoje oszczerstwa. Ostrzegam: jeżeli pan tego nie zrobi, będziemy walczyć”. Turek wstał, odepchnął brutalnie krzesło. Absurdalny tik deformował mu usta, przez co wyglądał jeszcze bardziej głupio i tchórzliwie niż zwykle. Oczami szukał Pfeiffera: ten ruchem głowy dodał mu odwagi. „Nie mam nic do odwołania”, wychrypiął bezbarwnym głosem. Wahał się jeszcze, czy pójść na całość. Gotowałem się ze wściekłości, ale mój głos pozostał spokojny, dobitny. „Jest pan pewien?” Miałem ochotę go pchnąć, podpalić i zatrzasać za nim wszystkie drzwi. „Nie dam się zabić równie łatwo, jak bezbronny Żyd, może być pan pewien”. Te słowa wywołały poruszenie. „Tu się znieważa SS!”, darł się Pfeiffer. Turek był trupio blady, patrzył na mnie wzrokiem rozjuszonego byka, bez słowa. „Świetnie, powiedziałem. Jeszcze dziś kogoś do pana przyślę, do biur Teilkommando”. Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem z restauracji. Hohenegg dogonił mnie na schodach: „Wie pan, to nie było mądre zagranie. Naczytał się pan tego Lermontowa”. Wzruszyłem ramionami. „Doktorze, uważam pana za człowieka honoru. Czy zechce pan być moim sekundantem?” Tym razem on wzruszył ramionami. „Jeżeli pan sobie życzy. Ale to idiotyczne”. Poklepałem go serdecznie po ramieniu: „Proszę się nie martwić. Wszystko pójdzie dobrze. Niech pan tylko nie zapomni wina, będzie nam jeszcze potrzebne”. Zaprosił mnie do swojego pokoju i dokończyliśmy pierwszą butelkę. Opowiedziałem mu trochę o swoim życiu i o przyjaźni z Vossem: „Bardzo go cenię. To zadziwiający facet. Ale to nie ma nic wspólnego z fantazjami tych wieprzy”. Wysłałem go do biur Teilkommando i otworzyłem drugą butelkę. Czekałem, paliłem i patrzyłem, jak zachodzące słońce opromienia rozległy park i zbocza Małego Siedła. Wrócił po godzinie. „Ostrzegam pana, powiedział na wejściu, oni tam nieźle brużdżą”. — „Jak to?” — „Wszedłem do Kommando i usłyszałem ich wrzaski. Przegapiłem początek rozmowy, ale słyszałem, jak ten gruby mówił: «W ten sposób nie

ryzykujemy. Zresztą on nie zasługuje na nic innego». A pański przeciwnik, ten, który wygląda na Żyda, powiedział: «A co z jego świadkiem?». Na co tamten krzyknął: «Jego też, mówi się trudno». Potem wszedłem, a oni zamilkli. Moim zdaniem chcą nas ni mniej, ni więcej, tylko zmasakrować. Ładny mi honor SS”. — „Bez obaw, doktorze. Podejmę wszelkie środki ostrożności. Ustaliliście warunki?” — „Tak. Spotkamy się jutro wieczorem o osiemnastej u wyjazdu z Żeleznowodzka i pójdziemy poszukać jakiejś bałki na uboczu. Jeżeli któryś z was zginie, podamy, że to sprawka partyzantów, którzy grasują w tamtej okolicy”. — „Tak, banda Pustowa. Dobry pomysł. Pójdziemy coś zjeść?”

Wróciłem do Piatigorska, najedzony i napity do woli. Podczas kolacji Hohenegg był markotny: widziałem, że nie podoba mu się moja reakcja i cała ta historia. Ja nadal byłem dziwnie podekscytowany, tak jakby zdjęto z moich ramion ogromny ciężar. Czułem przyjemność na myśl, że wykończę Turka, ale musiałem zastanowić się, jak obejść zasadzkę, w którą chciał mnie wpuścić Pfeiffer. Godzinę po moim powrocie ktoś zapukał do drzwi. Był to ordynans z Kommando, przyniósł jakiś papier. „Proszę wybaczyć, że niepokoję pana o tak późnej porze, Hauptsturmführer. Mam pilny rozkaz z Gruppenstab”. Rozdarłem kopertę: Bierkamp wzywał mnie i Turka do siebie, na ósmą. Ktoś doniósł. Odesłałem ordynansa i padłem na sofę. Zdało mi się, że prześladowuje mnie jakieś przekleństwo: cokolwiek robię, coś przeszkadza mi w działaniu! Zdawało mi się, że słyszę, jak stary Żyd śmieje się ze mnie w swoim grobie na Maszuku. Byłem wykończony, rozplakałem się i zalany łzami usnąłem w ubraniu.

Nazajutrz rano stawiałem się o wyznaczonej godzinie w Woroszyłowsku. Turek przybył osobno. Stanęliśmy na baczość w gabinecie Bierkampa, jeden obok drugiego, bez świadków. Bierkamp od razu przeszedł do rzeczy: „Meine Herren. Doszły mnie słuchy, że w miejscu publicznym zwracaliście się panowie do siebie w słowach niegodnych oficerów SS i że aby rozwiązać konflikt, macie panowie zamiar podjąć działania objęte przez regulamin ścisłym zakazem, działania, które pozbawiłyby Grupę dwóch trudnych do zastąpienia elementów; bo mogą panowie być pewni, iż ocalały z pojedynku natychmiast musiałyby złożyć wyjaśnienia w sądzie SS i na policji, po czym zostałby skazany na najwyższy wymiar kary lub na zesłanie do obozu koncentracyjnego. Przypominam, że jesteście tu panowie po to, by służyć Führerowi i naszemu Narodowi, nie zaś po to, by zaspokajać osobiste namiętności; powierzyliście panowie swoje życie Rzeszy. W związku z tym wezwałem do siebie obu panów, abyście się wzajemnie

przeprosili i pogodzili. Dodam, że to jest rozkaz”. Turek się nie odezwał, ja też nie. Bierkamp spojrział na Turka: „Hauptsturmführer?”. Turek milczał. Bierkamp zwrócił się do mnie: „A pan, Hauptsturmführer Aue?”. — „Z całym szacunkiem, który jestem panu winien, Herr Oberführer, obelżywe słowa, których się dopuściłem, były wyłącznie odpowiedzią na oszczerstwa Hauptsturmführera Turka. Uważam więc, że on pierwszy powinien mnie przeprosić, abym nie był zmuszony bronić swojego honoru, bez względu na konsekwencje”. Bierkamp zwrócił się do Turka: „Hauptsturmführer, czy to prawda, że pan pierwszy wypowiedział obraźliwe słowa?”. Turek tak mocno zacisnął szczękę, że drżały mu mięśnie twarzy: „Tak, Herr Oberführer, tak właśnie było”. — „W takim razie rozkazuję panu przeprosić Hauptsturmführera doktora Aue”. Turek wykonał obrót o dziewięćdziesiąt stopni, stuknął obcasami i znalazł się naprzeciw mnie, ciągle na baczność. Zrobiłem to samo. „Hauptsturmführer Aue, wymówił powoli, szorstkim głosem, proszę pana o wybaczenie mi obraźliwych wypowiedzi pod pańskim adresem. Piłem alkohol, straciłem panowanie nad sobą”. — „Hauptsturmführer Turek, odpowiedziałem z bijącym sercem, przyjmuję pańskie przeprosiny i jednocześnie sam proszę o wybaczenie mojej nieodpowiedniej reakcji”. — „Bardzo dobrze, powiedział zimno Bierkamp. Teraz uściśnijcie sobie panowie ręce”. Chwyciłem dłoń Turka, była wilgotna. Potem znów odwróciliśmy się do Bierkampa. „Meine Herren, nie wiem, co sobie nawzajem powiedzieliście, i nie chcę wiedzieć. Jestem szczęśliwy, widząc was pogodzonych. Jeżeli taki incydent powtórzy się kiedykolwiek, wyślę was obu do dyscyplinarnego batalionu Waffen-SS. Zrozumiano? Odmaszerować”.

Wyszedłem z jego gabinetu i, nadal wzburzony, poszedłem do dr. Leetscha. Von Gilsa poinformował mnie, że samolot wywiadowczy Wehrmachtu przeleciał nad regionem Szatoj i wykonał fotografie wielu zbombardowanych wiosek, tymczasem IV Korpus Powietrzny upierał się, że jego samoloty nie prowadziły żadnych ataków na Czeczenie, a zniszczenia przypisywano radzieckiemu lotnictwu, co zdawało się potwierdzać plotki o rebelii zakrojonej na szeroką skalę. „Kurreck zdesantował już w górach paru żołnierzy, poinformował mnie Leetsch, ale nie mieliśmy jeszcze z nimi żadnego kontaktu. Albo natychmiast zdezerterowali, albo zabito ich lub wzięto do niewoli”. — „Wehrmacht twierdzi, że rebelia na sowieckich tyłach mogłaby ułatwić ofensywę w Ordżonikidze”. — „Być może. Ale moim zdaniem, jeżeli w ogóle miała miejsce, to już ją stłumili. Stalin nie podjąłby tak dużego ryzyka”. — „To prawdopodobne. Gdyby Sturmbannführer Kurreck

dowiedział się czegoś, mógłby mnie pan o tym poinformować?” Wychodząc, natknąłem się na Turka, stał oparty o framugę i rozmawiał z Prillem. Przerwali i powiedli za mną wzrokiem, gdy ich mijalem. Zasalutowałem uprzejmie Prillovi i ruszyłem z powrotem do Piatigorska.

Hohenegg, z którym spotkałem się tego samego wieczoru, nie wyglądał na zawiedzionego. „To są zasady rządzące rzeczywistością, drogi przyjacielu, oświadczył. Ma pan nauczkę, do czego prowadzi odgrywanie romantycznego bohatera. No, dalej, napijmy się”. Ale ta historia nie dawała mi spokoju. Któż mógł donieść Bierkampowi? Najpewniej jeden z towarzyszy Turka, który obawiał się skandalu. Albo może któryś z nich, wiedząc o zasadzce, chciał im przeszkodzić? Prawdopodobieństwo, że zrobił to sam Turek, nękany wyrzutami sumienia, było raczej niewielkie. Zastanawiałem się, co knuje z Prillem: nic dobrego, tego mogłem być pewien.

Nowy natłok zajęć zepchnął tę sprawę na drugi plan. III Korpus Pancerny von Mackensena, wspierany przez Luftwaffe, parł z ofensywą na Ordżonikidze. Radziecka obrona pod Nalczykiem została przerwana w ciągu dwóch dni i pod koniec października nasze siły zajęły miasto, podczas gdy wojska opancerzone szły dalej na wschód. Poprosiłem o samochód i pojechałem najpierw do Prochładnego, gdzie spotkałem się z Perstererem, a potem do Nalczyka. Padało, ale ruch drogowy przebiegał w miarę normalnie — za Prochładnym kolumny *Rollbahn* wiozły aprowizację. Persterer przygotowywał przeniesienie swojego Kommandostab do Nalczyka i depeszował już do tamtejszego Vorkommando z prośbą o przygotowanie kwater. Miasto poddało się tak szybko, że spokojnie mogliśmy zatrzymać wielu bolszewickich działaczy i innych podejrzanych. Byli wśród nich liczni Żydzi, biurokraci przybyli z Rosji, a także znaczna społeczność tubylców. Przypomniałem Perstererowi wskazania Wehrmachtu dotyczące postawy wobec ludności lokalnej: zakładano szybkie utworzenie autonomicznego dystryktu kabardyńsko-bałkarskiego i nie należało pod żadnym pozorem psuć dobrych stosunków. W Nalczyku poszedłem do Ortskommandantur, nadal nie do końca urządzonej. Luftwaffe zbombardowała miasto — wiele wypatroszonych domów ciągle jeszcze dymiło w deszczu. Odnalazłem Vossa, sortował stosy książek w pustym pomieszczeniu i wyglądał na zachwyconego swoim znaleziskiem. „Niech pan tylko popatrzy”, powiedział, podając mi starą francuską książkę. Spojrzałem na stronę tytułową: *Des peuples du Caucase et des pays au nord de la mer Noire et la mer Caspienne dans le*

Xme siècle, ou voyage d'Abou-el-Cassim, wydane w Paryżu w 1828 roku przez niejakiego Constantina Mouradgea d'Ohssona. Oddałem mu książkę z aprobującą miną: „Dużo pan ich znalazł?”. — „Sporo. Bomba uderzyła w bibliotekę, ale nie poczyniła zbyt wielu szkód. Za to pańscy koledzy chcieliby przejąć część zbiorów na potrzeby SS. Zapytałem, co ich interesuje, ale ponieważ nie ma z nimi eksperta, nie bardzo wiedzą. Zaproponowałem im dział marksistowskiej ekonomii politycznej. Odpowiedzieli, że muszą się skonsultować z Berlinem. Do tego czasu skończę tę robotę”. Roześmiałem się: „Więc powinienem rzucać panu kłody pod nogi”. — „Być może. Ale pan tego nie robi”. Opowiedziałem mu o utarczce z Turkiem, uznał to za komiczne: „Chciał się pan pojedynkować z mojego powodu? Doktorze Aue, jest pan niepoprawny. To absurd”. — „Nie chciałem się pojedynkować z pańskiego powodu: to mnie spotwarzono”. — „I mówi pan, że doktor Hohenegg był gotów zostać pańskim sekundantem?” — „Z lekkim oporem”. — „Jestem zaskoczony. Myślałem, że to inteligentny mężczyzna”. Uważałem, że zachowanie Vossa jest dość obraźliwe. Chyba dostrzegł moje zagniewanie, bo wybuchnął śmiechem: „Niech pan nie robi takiej miny. Ci wulgarni i głupi ludzie karzą sami siebie, niech pan spojrzy na to w ten sposób”.

Nie mogłem spędzić wieczoru w Nalczyku, musiałem wrócić do Piatigorska i napisać raport. Nazajutrz wezwał mnie von Gilsa. „Hauptsturmführer, mamy mały problem w Nalczyku, dotyczy on między innymi Sicherheitspolizei”. Wyjaśnił mi, że Sonderkommando już zaczęło odstrzeliwać Żydów koło wyścigów konnych; Żydów rosyjskich, w większości członków partii albo działaczy, ale także miejscowych Żydów, którzy, zdaje się, są tymi słynnymi „Żydami górskimi”, zwanymi inaczej Żydami Kaukazu. Jeden z przedstawicieli ich starszyny zwrócił się do Selima Szadowa, kabardyjskiego adwokata, wyznaczonego przez administrację wojskową do kierowania przyszłym autonomicznym dystryktem; ten zaś, ze swej strony, miał w Kisłowodzku audiencję u Generalobersta von Kleista, któremu wyjaśnił, że *gornyje jewrei* rasowo nie są Żydami, lecz ludem górskim, który przeszedł na judaizm, tak jak kabardyjczycy przeszli na islam. „Według niego ci *Bergjuden* jedzą to samo co inni górale, ubierają się jak oni, mają takie same ślubne zwyczaje, nie mówią ani po hebrajsku, ani w jidysz. Od ponad stu pięćdziesięciu lat zamieszkują Nalczyk i wszyscy porozumiewają się we własnym języku oraz w kabardyjskim i bałkarskim tureckim. Herr Szadow przekazał Generaloberstowi, że Kabardyjczycy nie zgadzają się na zabijanie ich braci — górali i że należy oszczędzić im

wszelkich represji, a nawet zwolnić z obowiązku noszenia żółtej gwiazdy”. — „A co na to Generaloberst?” — „Jak sam pan wie, Wehrmacht prowadzi politykę nastawioną na tworzenie dobrych relacji z antybolszewickimi mniejszościami. Nie powinniśmy lekką ręką narażać tego na szwank. Rzecz jasna bezpieczeństwo oddziałów to dla nas kwestia życia i śmierci. Ale jeśli ci ludzie nie są rasy żydowskiej, to nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. To delikatna kwestia i należy ją zbadać. Wehrmacht powoła złożoną ze specjalistów komisję i sporządzi ekspertyzy. Na razie Generaloberst prosi, by Sicherheitspolizei nie podejmowała żadnych działań przeciwko tej grupie etnicznej. Oczywiście Sicherheitspolizei ma całkowitą swobodę w wyrażaniu na ten temat własnej opinii, którą Grupa Armii weźmie pod uwagę. Myślę, że OKHG prześle sprawę generałowi Köstringowi. W końcu dotyczy to terenów, na których ma powstać autonomia”. — „Świetnie, Herr Oberst. Zanotowałem to i sporządzą raport”. — „Dziękuję panu. Byłbym zobowiązany, gdyby poprosił pan Oberführera Bierkampa o potwierdzenie na piśmie, że Sicherheitspolizei nie podejmie żadnego działania bez uprzedniej decyzji Wehrmachtu”. — *Zu Befehl*, Herr Oberst”.

Zatelefonowałem do Obersturmbannführera Hermanna, następcy dr. Müllera, który wyjechał tydzień wcześniej, i przedstawiłem mu całą sprawę. Odpowiedział, że Bierkamp ma być tu za niecałą godzinę i zaprosił mnie do Kommando. Bierkamp był już poinformowany. „To absolutnie niedopuszczalne!, rzucał się. To, co wyczynia Wehrmacht, przekracza wszelkie granice. Ochrona Żydów to bezpośredni zamach na wolę Führera”. — „Za pozwoleniem, Herr Oberführer, ale zdawało mi się, że Wehrmacht nie jest przekonany, czy należy tych ludzi zaliczać do Żydów. Jeśli zostanie udowodnione, że nimi są, OKHG nie przeszkodzi SP w podjęciu koniecznych kroków”. Bierkamp wzruszył ramionami: „Jest pan naiwny, Hauptsturmführer. Wehrmacht udowodni to, co chce udowodnić. To nic innego jak kolejny pretekst, by przeciwstawić się pracy wykonywanej przez Sicherheitspolizei”. — „Przepraszam, wtrącił się Hermann, mężczyzna o delikatnych rysach i surowym, lecz jednocześnie nieco marzycielskim wyglądem, czy mieliśmy już podobne przypadki?” — „Z tego, co wiem, odpowiedziałem, tylko pojedyncze. Musiałbym sprawdzić”. — „To nie wszystko, dorzucił Bierkamp. Napisali do mnie z OKHG, że, jak twierdzi Szadow, zlikwidowaliśmy już całą wioskę *Bergjuden* w okolicach Mozdoku. Każą mi przysłać raport uzasadniający tę akcję”. Hermann wyglądał, jakby niewiele z tego rozumiał. „A czy to prawda?”, spytałem. — „Proszę posłuchać,

jeżeli sądzi pan, że znam na pamięć wykaz naszych akcji... Zapytam Sturmbannführera Persterera, to chyba jego sektor”. — „Tak czy inaczej, wyrokował Hermann, jeżeli byli to Żydzi, nie można mu niczego zarzucić”. — „Nie zna pan jeszcze tutejszego Wehrmachtu, Obersturmbannführer. Każda okazja jest dobra, żeby nam podłożyć świnię”. — „A co o tym sądzi Brigadeführer Korsemann?”, zaryzykowałem. Bierkamp znów wzruszył ramionami. „Brigadeführer twierdzi, że nie powinniśmy prowokować niepotrzebnych tarć z Wehrmachtem. To teraz jego obsesja”. — „Moglibyśmy opracować kontreksperytyzę”, zasugerował Hermann. — „To dobry pomysł, pochwalił Bierkamp. Hauptsturmführer, co pan o tym sądzi?” — „SS dysponuje dokumentacją na ten temat, odpowiedziałem. I, oczywiście, jeżeli zajdzie taka potrzeba, możemy sprowadzić własnych ekspertów”. Bierkamp pokiwał głową. „Jeżeli się nie mylę, Hauptsturmführer, prowadził pan badania dotyczące Kaukazu na zlecenie mojego poprzednika”. — „Tak właśnie było, Herr Oberführer. Ale nie dotyczyły one wyłącznie *Bergjuden*”. — „Owszem, ale przynajmniej zna pan już dokumentację. Poza tym widać po pańskich raportach, że ma pan opanowane kwestie narodowościowe. Mógłby pan zająć się dla nas i tą sprawą? Zebrać wszystkie informacje i przygotować w naszym imieniu odpowiedzi dla Wehrmachtu. Przygotuję panu wytyczne misji do ich wiadomości. Oczywiście będzie się pan konsultował ze mną lub z doktorem Leetschem na każdym etapie pracy”. — „*Zu Befehl*, Herr Oberführer. Zrobię wszystko, co w mojej mocy”. — „W porządku. Ale, Hauptsturmführer...” — „Tak, Herr Oberführer?” — „Tylko nie za dużo teorii w tych pańskich badaniach, rozumiemy się? I niech się pan postara nie tracić z oczu interesów SP”. — „*Zu Befehl*, Herr Oberführer”.

Gruppenstab przechowywał wszystkie nasze materiały z badań przeprowadzonych w Woroszyłowsku. Skompilowałem krótki raport dla Bierkampa i Leetscha z tego, co udało mi się znaleźć: wynik poszukiwań był mizerny. Według wydanej w 1941 roku broszury Instytutu do spraw Badań Zagranicznych, zatytułowanej *Lista narodów zamieszkujących ZSRR, Bergjuden* byli istotnie Żydami. Nowsza broszura SS podawała kilka dodatkowych informacji: *Mieszane ludy orientalne, mające indyjskich lub innych przodków, lecz posiadające żydowskie korzenie, przybyły na Kaukaz w VIII wieku*. Wreszcie dotarłem do bardziej szczegółowej eksperytyzy, zamówionej przez SS w Instytucie w Wannsee: Kaukascy Żydzi nie są zasymilowani, twierdził autor tekstu, w odniesieniu zarówno do Żydów rosyjskich, jak i *Bergjuden*. Według niego, Żydzi górscy

albo Żydzi z Dagestanu (*Dagh-Szufuti*), jak również Żydzi gruzińscy (*Kartueli Ebraelebi*), przybyli w czasach Jezusa z Medii, Palestyny albo Babilonii. Bez podawania źródeł wnioskował: *Niezależnie od słuszności tej czy innej opinii, Żydzi jako całość, zarówno napływowi, jak i Bergjuden, stanowią Fremdkörper, obce ciała, w regionie Kaukazu.* Nota na okładce, opracowana w Amt IV, przynosiła potwierdzenie, że ta ekspertyza jest dla Einsatzgruppe wystarczająco dobrym źródłem informacji niezbędnych do identyfikacji *Weltanschauungsgegner*, „przeciwników ideologicznych” w strefie operacyjnej. Bierkamp wrócił na drugi dzień, zaniósł mu raport, przejrzał go pospiesznie. „Świetnie, świetnie. Oto wytyczne misji na potrzeby Wehrmachtu”. — „Co powiedział Sturmbannführer Persterer na temat wioski wspomnianej przez Szadowa?” — „Powiedział, że istotnie, zlikwidowali żydowski kołchoz w tamtym regionie, 20 września. Ale nie wiedział, czy byli to *Bergjuden*, czy nie. W tamtym czasie jeden z członków starszyny tych Żydów przyszedł do Kommando, do Nalczyka. Kazałem sporządzić dla pana protokół z rozmowy”. Obejrzałem dokument, który mi podał: członek starszyny, niejaki Markel Szabajew, stawiał się w Kommando ubrany w czerkieskę i wysoką czapę z karakułów, mówił po rosyjsku, wyjaśnił, że w Nalczyku żyje kilka tysięcy Tatów, że jest to irański lud, który Rosjanie omyłkowo nazywają *gornyje jewrei*. „Według Persterera, dodał najwyraźniej znudzony Bierkamp, to właśnie ten Szabajew interweniował u Szadowa. Myślę, że powinien pan się z nim spotkać”.

Von Gilsa, który wezwał mnie do swojego gabinetu dwa dni później, wyglądał na bardzo zajętego. „Co się stało, Herr Oberst?”, spytałem. Pokazał mi linię wytyczoną na dużej ściennej mapie: „Jednostki pancerne Generałobersta von Mackensena stoją w miejscu. Radziecki opór nie odpuszcza pod Ordżonikidze, i tam już pada śnieg. A przecież do miasta zostało im tylko kilka kilometrów”. Wodził wzrokiem po długiej niebieskiej linii, która wiła się, po czym ginęła w piaskach kałmuckiego stepu. „W Stalingradzie też utknęli. Nasze oddziały są u kresu sił. Jeżeli OKH nie wyśle szybko posiłków, zimę spędzimy tutaj”. Nie odezwałem się, zmienił temat. „Miał pan czas zająć się problemem tych *Bergjuden*?” Wytłumaczyłem mu, że, według naszej dokumentacji, należy uznawać ich za Żydów. „Nasi eksperci mają, jak się zdaje, przeciwne zdanie, odpalił. I doktor Bräutigam również. Generał Köstring proponuje zwołać zebranie w tej kwestii, jutro, w Woroszyłowsku; zależy mu na obecności przedstawicieli SS i SP”. — „Świetnie. Poinformuję o tym Oberfuhrera”. Zadzwoiłem do Bierkampa, kazał mi przyjechać. On

także miał zamiar wziąć udział w zebraniu. Pojechałem do Woroszyłowska z von Gilsą. Niebo było zachmurzone, szare, lecz suche, szczyty wulkanów nikły w kłębach chmur, wzburzonych, groźnych, kapryśnych. Von Gilsa był w podłym nastroju, nadal trawił go wczorajszy pesymizm. Kolejny atak zakończył się klęską. „Front już się dalej nie ruszy, tak sędzę”. Był także bardzo zaniepokojony wydarzeniami w Stalingradzie: „Nasze boczne skrzydła są szczególnie słabe. Oddziały sojusznicze to naprawdę żołnierze drugiej kategorii, a okoliczności wcale nie polepszają sytuacji. Jeżeli Sowieci zdobędą się na mocne uderzenie, nasi nie mają szans. Pozycja 6. Armii może ulec znacznemu osłabieniu”. — „Nie wierzy pan chyba, że Rosjanie posiadają rezerwy potrzebne do ofensywy? Ich straty w Stalingradzie są ogromne, rzucają tam wszystko, co mają, żeby utrzymać się w mieście”. — „Nikt nie wie dokładnie, jaki jest stan radzieckich rezerw, odpowiedział. Od początku wojny szacujemy je zbyt nisko. Kto wie, może i teraz ich nie doszacowaliśmy?”

Zebranie odbyło się w sali konferencyjnej OKHG. Köstring przybył ze swoim adiutantem, Hansem von Bittenfeldem, i dwoma oficerami ze sztabu generalnego Berücka von Roques. Był tam też Bräutigam i oficer Abwehry przydzielony do OKHG. Bierkamp przywiózł Leetscha i jednego z zastępców Korsemana. Köstring otworzył posiedzenie, przypominając zasady reżimu administracji wojskowej na Kaukazie i reguły samorządu. „Narody, które przyjęły nas jak wyzwolicieli i akceptują nasz życzliwy nadzór, świetnie znają swych wrogów, konkludował powoli i przebiegle. A my powinniśmy umieć ich wysłuchać”. — „Z punktu widzenia Abwehry, wyjaśnił von Gilsa, chodzi o czysto obiektywną kwestię bezpieczeństwa tyłów. Jeżeli *Bergjuden* wywołują zamieszki, ukrywają sabotażystów lub pomagają partyzantom, należy ich traktować tak, jak każdą wrogą nam grupę. Ale jeśli są spokojni, nie ma powodów do prowokowania reszty ludów ogólnymi działaniami represyjnymi”. — „Ze swojej strony, odezwał się Bräutigam, jak zwykle lekko przez nos, uważam, że należy brać pod uwagę wewnętrzne stosunki narodów kaukaskich jako całość. Plemiona góralskie uważają tych *Bergjuden* za «swoich», czy też odrzucają ich, jakby byli *Fremdkörper*? Fakt, że Herr Szadow interweniował w ich sprawie, przemawia na ich korzyść”. — „Herr Szadow ma być może swoje powody, powiedzmy, polityczne, których my nie rozumiemy, podsunął Bierkamp. Zgadzam się z założeniami doktora Bräutigama, chociaż nie mogę przyjąć wniosku, jaki z nich wyciągnął”. Przeczytał fragmenty mojego raportu, skupiając się głównie na opinii Instytutu w Wannsee. „To, jak się wydaje, dorzucił, znajduje potwierdzenie we wszystkich

raportach naszych Kommandos w strefie operacyjnej Grupy Armii A. Raporty owe podają, że nienawiść wobec Żydów jest powszechna. Wszystkie akcje, które powzięliśmy przeciwko nim, od oznakowania gwiazdą po dużo ostrzejsze środki, spotkały się z pełnym zrozumieniem tutejszej ludności, więcej — są wręcz chwalone. Niektóre ważne osobistości uważają nawet nasze akcje przeciwko Żydom za niewystarczające i domagają się jeszcze skuteczniejszych działań”. — „Ma pan całkowitą rację, jeśli chodzi o Żydów rosyjskich, którzy osiedli tu niedawno, odbił piłeczkę Bräutigam. Ale jakoś nie zauważyliśmy, by ta postawa dotyczyła rzekomych *Bergjuden*, obecnych tu od co najmniej kilku stuleci”. Zwrócił się do Köstringa: „Mam tutaj kopię oświadczenia profesora Eilera dla Auswärtiges Amt. Według niego *Bergjuden* mają przodków kaukaskich, irańskich i afgańskich i nie są Żydami, nawet jeśli przyjęli wyznanie mojżeszowe”. — „Proszę wybaczyć, wtrącił się Noeth, oficer Abwehry przy OKHG, ale od kogo niby mieliby przyjąć religię żydowską?” — „To niejasna sprawa, odpowiedział Bräutigam, stukając końcem ołówka w stół. Być może od tych słynnych Chazarów, którzy przeszli na judaizm w VIII wieku”. — „A czy to nie *Bergjuden* raczej nawrócili Chazarów?”, zaryzykował Eckhardt, człowiek Korsemana. Bräutigam uniósł rękę: „Właśnie tego musimy dociec”. Znow dał się słyszeć leniwy, inteligentny, głęboki głos Köstringa: „Bardzo przepraszam, ale czy nie mieliśmy już do czynienia z podobnym przypadkiem na Krymie?”. — „Zgadza się, Herr General, odpowiedział oschle Bierkamp. Było to w czasach mojego poprzednika. Myślę, że Hauptsturmführer Aue mógłby przybliżyć panom szczegóły”. — „Oczywiście, Herr Oberführer. Poza przypadkiem Karaimów, uznanych w 1937 roku przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych za nie-Żydów pod względem rasy, kontrowersje wzbudziła sprawa Krymczaków; mówili oni o sobie jako o narodzie tureckim, który dość późno przeszedł na judaizm. Nasi specjaliści przeprowadzili dochodzenie i doszli do wniosku, że chodzi tu o włoskich Żydów, przybyłych na Krym w XV lub XVI wieku, którzy następnie przejęli zwyczaje tureckie”. — „I co z nimi zrobiono?”, spytał Köstring. — „Zostali uznani za Żydów i odpowiednio do tego potraktowani, Herr General”. — „Rozumiem”, odpowiedział uprzejmie. — „Jeżeli panowie pozwolą, wtrącił się Bierkamp, na Krymie także mieliśmy do czynienia z *Bergjuden*. Był to żydowski kołchoz, w dystrykcie Freidorf, koło Eupatorii. Zamieszkiwali go *Bergjuden* z Dagestanu, repatriowani tam w latach trzydziestych przy pomocy Jointu, znanej międzynarodowej organizacji żydowskiej. Po dochodzeniu rozstrzelano ich w

marcu tego roku”. — „Była to być może nieco przedwczesna akcja, zasugerował Bräutigam. Tak jak w przypadku tego kołchozu *Bergjuden*, który zlikwidowaliście w okolicach Mozdoku”. — „Ach, właśnie, odezwał się Köstring z miną człowieka, który właśnie przypomniał sobie jakiś mało znaczący szczegół, dowiedział się pan czegoś na ten temat, Oberführer?” Bierkamp odpowiedział Köstringowi, ignorując uwagę Bräutigama: „Tak, Herr General. Niestety, nasze dossier nie przynoszą jasnej odpowiedzi, ponieważ w ogniu działań, podczas ofensywy, w czasie gdy Sonderkommando przybyło do Mozdoku, część akcji nie została zaksięgowana z wymaganą dokładnością. Według Sturmbannführera Persterera Kommando «Bergmann», dowodzone przez profesora Oberlandera, było bardzo aktywne w tym regionie. Być może zrobili to właśnie oni”. — „Ten batalion znajduje się pod naszą kontrolą, odpalił Noeth, AO. Wiedzielibyśmy o tym”. — „Jak nazywała się wioska?”, spytał Köstring. — „Bogdanowka, odpowiedział Bräutigam, który zaglądał właśnie do notatek. Według Herr Szadowa czterystu dwudziestu mieszkańców zabito i wrzucono do studzien. Wszyscy byli bliscy klanowi *Bergjuden* z Nalczyka, nosili nazwiska Miszew, Abramow, Szamilew; ich śmierć wywołała spore wzburzenie w Nalczyku, nie tylko wśród *Bergjuden*, lecz także wśród Kabardyńców i Bałkarów, którzy poczuli się tym bardzo dotknięci”. — „Tak się nieszczęśliwie składa, powiedział Köstring z rezerwą, że Oberlander wyjechał. Nie będziemy mogli go zapytać”. — „Rzecz jasna, ciągnął Bierkamp, jest również zupełnie możliwe, że zrobiło to moje Kommando. W końcu otrzymali jasne rozkazy. Ale nie jestem tego pewien”. — „No dobrze, uciął Köstring. Tak czy inaczej to bez znaczenia. Teraz ważne jest, by podjąć decyzję w sprawie *Bergjuden* z Nalczyka, których jest...”, zwrócił się do Bräutigama. — „Od sześciu do siedmiu tysięcy”, uzupełnił tamten. — „Właśnie, podjął Köstring. Decyzję zrównoważoną, opartą na faktach naukowych, wreszcie taką, która uwzględni bezpieczeństwo naszej tylnej strefy, skinął głową w stronę Bierkampa, i naszą wolę kontynuowania polityki maksymalnej współpracy z lokalnymi narodami. Opinia komisji naukowej będzie więc bardzo ważna”. Von Bittenfeld przeglądał plik papierów: „Mamy już na miejscu Leutnanta doktora Vossa, który pomimo młodego wieku stanowi uznany autorytet w kręgach naukowych w Niemczech. Chcemy jeszcze sprowadzić antropologa lub etnologa”. — „Jeśli o mnie chodzi, wtrącił się Bräutigam, skontaktowałem się już z naszym ministerstwem. Przyślą mi specjalistę z Frankfurtu, z Instytutu do spraw Badań nad Kwestiami Żydowskimi. Spróbują również przysłać kogoś z Instytutu doktora Waltera

Franka w Monachium”. — „Zażądałem już opinii od departamentu naukowego RSHA, oświadczył Bierkamp. Również mam zamiar poprosić o eksperta. A tymczasem przekazałem postępowanie obecnemu tu Hauptsturmführerowi doktorowi Aue, który jest naszym specjalistą we wszystkim, co się tyczy narodów Kaukazu”. Skinąłem uprzejmie głową. „Bardzo dobrze, bardzo dobrze, zaaprobował Köstring. W takim razie zbierzemy się po raz kolejny, aby omówić rezultaty poszczególnych dochodzeń? Pozwoli nam to, mam nadzieję, zamknąć tę sprawę. Meine Herren, dziękuję za przybycie”. Zgromadzenie rozeszło się przy akompaniamencie szurania odsuwanych krzeseł. Bräutigam wziął Köstringa pod ramię i odprowadził na stronę. Rozmawiali. Oficerowie wychodzili osobno, tylko Bierkamp stał z czapką w dłoniach, w towarzystwie Leetscha i Eckhardta: „Wytoczyli ciężkie działa. Musimy znaleźć dobrego specjalistę, bo inaczej zaraz wykluczą nas z gry” — „Zapytam Brigadeführera, powiedział Eckhardt. Być może w otoczeniu Reichsführera w Winnicy ktoś się znajdzie. Bo jak nie, to trzeba będzie sprowadzić kogoś z Niemiec”.

Voss, jak twierdził von Gilsa, nadal przebywał w Nalczyku; musiałem się z nim zobaczyć i pojechałem tam przy pierwszej okazji. Za Małą polą pokryte były cienką warstwą śniegu, przed Baksanem rozpętała się zawierucha, niebo pociemniało, w świetle reflektorów miały się wielkie kłęby płatków śniegu. Góry, pola, drzewa, wszystko znikło; mijające nas samochody zjawiały się jak wyjące potwory, wyskakujące zniecka zza kulis śnieżycy. Miałem tylko zeszłoroczny wełniany płaszcz, teraz jeszcze był dobry, ale wiedziałem, że nie wystarczy na długo. Muszę, powiedziałem sobie, muszę pomyśleć o załatwieniu ciepłych ubrań. W Nalczyku znalazłem Vossa pośród książek, w Ortskommandantur, gdzie urządził sobie gabinet. Zaprowadził mnie do mesy, piliśmy ersatz przy małym stoliku powleczonym porysowaną formiką, z wazonem pełnym plastikowych kwiatów. Kawa była ohydna, próbowałem zalać ją mlekiem; Voss chyba nie przywiązywał do tego zbytnej wagi. „Nie jest pan rozczarowany porażką ofensywy?, spytałem go. To znaczy, w odniesieniu do pańskich badań?” — „Trochę tak, oczywiście. Ale tu też mam zajęcie”. Wydał mi się odległy, nieco zagubiony. „A więc generał Köstring zaprosił pana do komisji śledczej w sprawie *Bergjuden*?” — „Tak. I słyszałem, że pan będzie w niej reprezentował SS”. Zaśmiałem się sucho: „Mniej więcej. Oberführer Bierkamp awansował mnie z urzędu na specjalistę do spraw kaukaskich. Myślę, że to pańska wina”. Roześmiał się i upił trochę kawy. Żołnierze i oficerowie, niektórzy jeszcze

obsypani śniegiem, wchodzili i wychodzili, albo rozmawiali cicho przy sąsiednich stolikach. — „I co pan myśli o tym problemie?”, podjąłem. — „Co ja myślę? Że postawiony w ten sposób staje się absurdalny. Jedyne, co możemy powiedzieć o tych ludziach, to to, że mówią w języku irańskim, wyznają religię mojżeszową i żyją według zwyczajów kaukaskich górali. To wszystko”. — „Tak, ale mają przecież jakieś pochodzenie”. Wzruszył ramionami: „Wszyscy mają jakieś pochodzenie, w większości wypadków zmyślone. Rozmawialiśmy już o tym. Pochodzenie Tatów rozmyło się w czasie i w legendach. Nawet jeśli rzeczywiście są to Żydzi przybyli z Babilonii — powiedzmy wręcz, że jedno z zagubionych żydowskich plemion — to przez ten czas zdążyli się tak wymieszać z tutejszą ludnością, że teraz to już nic nie znaczy. W Azerbejdżanie mieszkają podobno Tatowie muzułmańscy. Czy są to Żydzi, którzy przeszli na islam? A może ci hipotetyczni, przybyli z daleka Żydzi wymienili się kobietami z jakimś irańskim plemieniem pogan, a ich potomkowie przyjęli następnie jedną bądź drugą religię Księgi? Nie sposób tego stwierdzić”. — „A jednak, nie dawałem za wygraną, muszą być jakieś naukowe wskazówki, które pozwolą dokonać rozróżnienia?” — „Jest ich wiele i można je dowolnie interpretować. Weźmy choćby ich język. Rozmawiałem już z nimi i mogę go dość dobrze usytuować. Tym bardziej że znalazłem książkę Wsiewołoda Millera na ten temat. Jest to głównie dialekt zachodnioirański, z tureckimi i hebrajskimi naleciałościami. Naleciałości hebrajskie to przede wszystkim słownictwo religijne, a i to nie zawsze: synagogę nazywają *nimaz*, żydowską Paschę — *Nisanu*, a Purim — *Homonu*; to są nazwy perskie. Przed nastaniem władzy sowieckiej pisali w języku perskim, hebrajskim alfabetem, ale, jak twierdzą, te książki nie przetrwały reform. Teraz język tacki zapisywany jest alfabetem łacińskim, w Dagestanie wydają gazety i uczą swoje dzieci w tym języku. A gdyby rzeczywiście byli to Chaldejczycy czy Żydzi przybyli z Babilonii po zburzeniu Pierwszej Świątyni, jak twierdzą niektórzy, to powinni, według wszelkiej logiki, mówić dialektem wykształconym ze średnioirańskiego, bliskim językowi pahlawi z okresu sasanidzkiego. Ale ten język tacki jest dialektem nowoirańskim, więc powstałym później niż w X wieku, i zbliżonym do języka dari, beludzi albo do kurdyjskiego. Można by, nie naciągając zbytnio faktów, wysnuć wniosek o stosunkowo niedawnym napływie ludności, po którym nastąpiła konwersja. Gdyby jednak ktoś chciał udowodnić, że było przeciwnie, mógłby to zrobić. Jednego nie rozumiem: jaki to może mieć związek z bezpieczeństwem naszych oddziałów. Powinniśmy chyba być zdolni do obiektywnej, opartej na faktach

oceny ich postawy wobec nas?” — „To jest nic innego, jak problem rasowy, odparłem. Wiemy, że istnieją grupy niższe rasowo, w tym Żydzi, mające pewne charakterystyczne cechy, które predysponują je do bolszewickiej korupcji, do złodziejstwa, do zabójstw i całej gamy niszczycielskich odruchów. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich przedstawicieli danej grupy. Ale w czasie wojny, w stanie okupacji, i przy ograniczonych nakładach finansowych, nie mamy możliwości prowadzenia indywidualnych dochodzeń. Jesteśmy więc zmuszeni traktować te grupy podwyższonego ryzyka całościowo i reagować globalnie. Wynika z tego wielka niesprawiedliwość, ale wiąże się ona z wyjątkową sytuacją”. Voss wpatrywał się w swoją kawę z miną smutną i pełną goryczy. „Doktorze Aue. Zawsze uważałem pana za człowieka inteligentnego i rozsądnego. Nawet jeżeli to, co pan opowiada, jest prawdą, to proszę, niech mi pan wytłumaczy, co pan rozumie przez rasę. Bo dla mnie jest to pewna koncepcja, której nie można określić w sposób naukowy, a więc pozbawiona wartości teoretycznej”. — „Ale przecież coś takiego jak rasa istnieje, to prawda, nasi najlepsi naukowcy badają i opisują ten temat. Dobrze pan wie. Nasi antropolodzy rasowi są najlepsi na świecie”. Voss wybuchnął niespodziewanie: „To fantaści. Nie mają konkurencji w poważnych krajach, bo reprezentowana przez nich dyscyplina tam nie istnieje i nie jest nauczana. Żaden nie miałby pracy i nie byłby publikowany, gdyby nie względy polityczne!”. — „Doktorze Voss, bardzo szanuję pańskie opinie, ale teraz chyba pan nieco przesadza, co?”, powiedziałem spokojnie. Voss uderzył otwartą dłoń o blat stołu, aż podskoczyły filiżanki i wazon ze sztucznymi kwiatami; hałas i podniesiony głos sprawiły, że zwróciło się ku nam kilka głów: „*Ta filozofia weterynarzy*, jak ją nazywał Herder, złodziejsko zaczerpnęła wszystkie swoje koncepcje z lingwistyki, jedynej jak dotąd humanistycznej dyscypliny, która ma naukowo uprawomocnione podstawy teoretyczne. Rozumie pan — zniżył głos, mówił szybko i gwałtownie — rozumie pan, czym jest teoria naukowa? Teoria nie jest faktem, to jest narzędzie, które umożliwia wysunięcie założenia i tworzenie nowych hipotez. Mówi się o teorii, że jest dobra wtedy, gdy, po pierwsze, jest stosunkowo prosta, a po drugie, pozwala wysunąć sprawdzalne założenia. Fizyka Newtona pozwala wyliczyć orbity: jeżeli będziemy obserwować pozycje Ziemi albo Marsa w kilkumiesięcznych odstępach, zauważymy, że znajdują się dokładnie tam, gdzie, według teorii, powinny się znaleźć. Ale stwierdzimy również, że orbita Merkurego zawiera lekkie nieregularności, które stanowią odchylenia w stosunku do orbity przewidzianej w teorii Newtona. Teoria względności

Einsteina precyzyjnie przewidziała te nieregularności: oznacza to, że jest lepsza od teorii Newtona. Ale w Niemczech, niegdyś ojczyźnie największych naukowców na świecie, teoria Einsteina jest przedstawiana jako *nauka żydowska* i odrzucana bez żadnego dodatkowego wyjaśnienia. To zwyczajny absurd, to jest to, co sami mamy za złe bolszewikom, tę ich pseudonaukę w służbie partii. Nie inaczej jest z lingwistyką i rzekomą antropologią rasową. W lingwistyce, na przykład, indogermańska gramatyka porównawcza pozwoliła wyszczególnić teorię mutacji fonologicznych, mającą wspaniałe walory predyktywne. Już Bopp, w 1820 roku, wyprowadzał grekę i łacinę z sanskrytu. Wychodząc od języka średnioirańskiego i postępując według tych samych, ścisłych reguł, znajdujemy słowa w gaelickim. To działa i można to udowodnić. Jest to więc dobra teoria, chociaż stale jeszcze dopracowywana, poprawiana i udoskonalana. Antropologia rasowa, porównajmy, nie stworzyła żadnej teorii. Postuluje istnienie ras, ale nie umie ich zdefiniować, ustala hierarchie, nie posługując się żadnym kryterium. Wszystkie próby biologicznego zdefiniowania ras spaliły na panewce. Antropologia czaszki to była totalna porażka: już od dziesiątków lat mierzy się i kompiluje w tabelkach wyniki oparte na najbardziej dziwacznych wskaźnikach czy punktach widzenia, a my nadal nie potrafimy odróżnić czaszki żydowskiej od czaszki niemieckiej z jakąkolwiek, najmniejszą choćby, pewnością. Jeśli chodzi o genetykę mendlowską, to sprawdza się w przypadku prostych organizmów, ale, pomijając podbródek Habsburgów, ciągle daleko nam do umiejętności stosowania jej w przypadku człowieka. Wszystko to jest na tyle prawdziwe, że aby stworzyć te słynne prawa rasowe, trzeba było oprzeć się na religii przodków! Postulowano, że Żydzi żyjący w zeszłym wieku byli rasowo czyści, ale to jest absolutnie arbitralne. Nawet pan powinien to dostrzegać. Co się zaś tyczy rasowo czystego Niemca, to nikt nie wie, kim on jest, czy się to podoba pańskiemu Reichsführerowi-SS, czy też nie. Dlatego antropologia rasowa, niezdolna do stworzenia jakiegokolwiek definicji, po prostu przejęła, dużo bardziej dowodne, kategorie lingwistyczne. Schlegel, który fascynował się pracami Humboldta i Boppa, z idei przypuszczalnego istnienia oryginalnego języka indoirańskiego wysnuł ideę istnienia równie oryginalnego ludu, który nazwał aryjskim, zaczerpnąwszy termin od Herodota. Podobnie sprawa się ma z Żydami: gdy tylko lingwiści wykazali istnienie grupy języków nazywanych semickimi, antropolodzy rasowi natychmiast przechwycili ideę, którą zastosowali w sposób całkowicie nielogiczny, ponieważ Niemcy chcą utrzymać stosunki z Arabami, a Führer przyjmuje oficjalnie

Wielkiego Muftiego Jerozolimy! Język jako nośnik kultury może mieć wpływ na myśli i zachowanie. Humboldt zrozumiał to już dawno. Ale język może być przekazywany, i kultura, chociaż dużo wolniej, także. W chińskim Turkiestanie turekojęzyczni muzułmanie z Urumczy albo z Kasgaru mają, nazwijmy to, irański wygląd: można ich wziąć za Sycylińczyków. Bez wątplenia są to potomkowie ludów, które migrowały z zachodu i mówiły dawniej jednym z języków indoirańskich. Potem zostali opanowani przez lud turecki, Ujgurów, zasymilowali się, przejęli od nich język i część zwyczajów. Teraz tworzą grupę kulturowo odrębną od, na przykład, narodów tureckich, takich jak Kazachowie czy Kirgizi, a także od zislamizowanych Chińczyków, nazywanych Hui, albo indoirańskich muzułmanów, takich jak Tadżykowie. Ale próba określenia ich inaczej niż poprzez ich język, religię, sposób mieszkania, zwyczaje gospodarcze czy też ich poczucie tożsamości, nie miałaby żadnego sensu. A wszystko to jest nabyte, nie wrodzone. Z krwią można przekazać skłonności do chorób serca; jeżeli z krwią można również przekazać skłonność do zdrady, to nikt nigdy nie potrafił tego udowodnić. W Niemczech są idioci, którzy badają koty z obcięzonymi ogonami, bo chcą udowodnić, że ich kocięta urodzą się bez ogonów; i tylko dlatego, że noszą złotą partyjną odznakę, przyznaje im się katedrę na uniwersytecie! Natomiast w ZSRR, pomimo tych wszystkich presji politycznych, prace lingwistyczne Marra i jego kolegów, przynajmniej na poziomie teoretycznym, pozostają świetne i obiektywne, ponieważ — parę razy szybko uderzył knykciami o blat stołu — tak jak ten stół, to wszystko istnieje. Ja takim ludziom jak Hans Günther czy ten Montandon we Francji, który też o nim opowiada, ja takim ludziom mówię «pocałujcie mnie w dupę». I jeżeli ich kryteria pomagają wam w podjęciu decyzji o ludzkim życiu i śmierci, to równie dobrze możecie strzelać w tłum na oślep, rezultat będzie dokładnie taki sam”. Nie odezwałem się słowem przez całą długą tyradę Vossa. Wreszcie odpowiedziałem, dość wolno: „Doktorze Voss, nie sądziłem, że ma pan w sobie aż taką żarliwość. Pańskie tezy są prowokacyjne, a ja nie byłbym w stanie zrozumieć wszystkich omawianych przez pana aspektów. Uważam, że nie docenia pan niektórych naszych idealistycznych pojęć, składających się na nasz *Weltanschauung*, które niewiele mają wspólnego z ową, jak pan to nazywa, *filozofią weterynarzy*. Jednakże wszystko to wymaga zastanowienia, nie chciałbym odpowiadać panu pochopnie. Mam nadzieję, że zgodzi się pan wrócić do tej rozmowy za kilka dni, gdy znajdę czas do namysłu”. — „Bardzo chętnie, powiedział Voss, nagle uspokojony. Przykro mi, że tak się uniosłem. Po prostu, gdy dookoła słyszy

się tyle bzdur i nedorzeczości, w pewnym momencie trudno się powstrzymać. Nie mówię tu, oczywiście, o panu, ale o niektórych moich kolegach po fachu. Moim największym pragnieniem i największą nadzieją jest to, że niemiecka nauka, gdy już opadną emocje, odzyska swoją pozycję, zdobytą z tak wielkim trudem, dzięki pracom ludzi wrażliwych, subtelnych, uważnych i pokornych wobec spraw tego świata”.

Zwróciłem uwagę na pewne argumenty Vossa: jeżeli *Bergjuden* rzeczywiście uważają się i są uważani przez swych sąsiadów za autentycznych górali kaukaskich, to ich ogólna postawa wobec nas mogłaby pozostać całkowicie lojalna, niezależnie od korzeni i więzów krwi. Czynniki kulturowe i społeczne także mogłyby mieć wpływ; należałoby wziąć pod uwagę, na przykład, relacje tego narodu z bolszewicką władzą. Słowa starego Tata w Piatigorsku, który sugerował, że *Bergjuden* nie mają serca do rosyjskich Żydów, odnosiły się być może także do całego stalinowskiego systemu. Postawa innych ludów wobec nich stanowiła również ważny czynnik, nie można było się opierać wyłącznie na słowach Szadowa: tutaj być może Żydzi również są jak pasożyty. W drodze powrotnej do Piatigorska rozmyślałem o innych argumentach Vossa. Całościowe odrzucenie antropologii rasowej wydawało mi się przesadą. Rzeczywiście, pewne metody były może nazbyt wydumane i nie miałem wątpliwości, że ludzie o niewielkim talencie korzystają czasem z partyjnych koligacji, aby zrobić niezasłużoną karierę: w Niemczech pasożyty tego rodzaju mnożyły się na potęgę (a zwalczanie ich należało do zadań SD, przynajmniej w opinii niektórych). Ale Voss, pomimo całego swojego talentu, miał kategoryczne poglądy, jak na młodego człowieka przystało. Wszystko to było dużo bardziej złożone, niż mu się wydawało. Nie miałem wystarczającej wiedzy, by go krytykować, ale sądziłem, że jeżeli ktoś wierzy w pewną określoną ideę Niemiec i niemieckiego Narodu, to reszta naturalnie przychodzi sama. Pewne sprawy mogą zostać udowodnione, ale inne należy po prostu przyjąć; jest to zapewne kwestia wiary.

W Piatigorsku czekała na mnie pierwsza odpowiedź z Berlina, przysłana teleksem. Amt VII poprosiło o opinię niejakiego profesora Kittela, który oświadczał: *Kwestia trudna, należy zbadać na miejscu*. Nie brzmiało to zbyt zachęcająco. Z kolei sekcja VII B1 przygotowała dokumentację, która powinna nadejść przy najbliższej okazji pocztą lotniczą. Specjalista Wehrmachtu, jak mnie poinformował von Gilsa, był w drodze, ekspert Rosenberga też już jechał. Oczekując na naszego naukowca, zająłem się problemem ubrań zimowych. Reuter uprzejmie oddał mi do dyspozycji jednego z

żydowskich rzemieślników, pozostających na usługach Wehrmachtu: przyszedł brodaty, dość chudy starzec i zdjął ze mnie miarę, zamówiłem u niego długi szary płaszcz z karakułowym kołnierzem, podbity baranem, Rosjanie mówią na to „szuba”, oraz parę futrzanych butów; uszankę (tę z zeszłego roku zgubiłem już dawno) sam wyszukałem sobie na Wierchnim Rynku, była ze srebrnego lisa. Wielu oficerów Waffen-SS przyjęło zwyczaj przyszywania znaku trupiej czaszki na nieprzepisowych futrzanych czapach; uważałem, że to nieco afektowane. Za to odprułem epolety i insygnia SD z jednej z moich kurtek i kazałem przyszyć je do płaszcza.

Miewałem nieregularne napady mdłości i wymiotów, a niepokojące sny jeszcze pogłębiały moje złe samopoczucie. Sny były często czarne, niejasne, dopiero rano zmazywał wszelkie obrazy i pozostawał tylko ciężar koszmarów. Ale zdarzało się czasem, że mrok rozdzierał się nagle, odsłaniając widoki piorunujące w swej wyrazistości i okrucieństwie. I tak, drugiej lub trzeciej nocy po moim powrocie z Nalczyka, otworzyłem nie w porę pewne drzwi: Voss, w ciemnym i pustym pokoju, stał na czworaka, miał goły tyłek i płynne gówno wylewało mu się z odbytu. Przestraszony, brałem papier, strony „Izwestii”, i próbowałem zetrzeć ten brunatny płyn, coraz ciemniejszy, coraz bardziej gęsty. Robiłem wszystko, żeby moje dłonie pozostały czyste, ale tak się nie dało, prawie całkiem czarna maź zalewała papier i moje palce, a potem całą rękę. Chory z obrzydzenia biegłem opłukać ręce w wannie, która stała opodal — przez ten czas gówno ciągle płynęło. Po przebudzeniu chciałem wytłumaczyć sobie jakoś te ohydne wizje, lecz chyba nie byłem jeszcze całkiem rozbudzony, bo moje myśli, które wcześniej wydawały mi się doskonale jasne, teraz mętniały, tak jak sam sens tych obrazów: majaczyło mi się, i pewne znaki zdawały się to potwierdzać, że te postaci wyobrażają kogoś zupełnie innego, że ten mężczyzna na czworakach to musiałem być ja, a ten, który go podcierał, był moim ojcem. A o czym mogły mówić artykuły w „Izwestiach”? Czy nie było tam napisane coś, jakieś rozstrzygnięcie, być może w kwestii Tatów? Przesyłka z sekcji VII B1, którą wysłał tu niejaki Oberkriegsverwaltungsrat dr Füsslein, wcale nie rozwiązała mojego pesymizmu; gorliwy Oberkriegsverwaltungsrat, nie mogło być inaczej, poprzestał na zwykłym skompilowaniu fragmentów *Encyklopedii żydowskiej*. Były tam bardzo uczone treści, ale niestety, żadnych wniosków, mogących pogodzić przeciwstawne opinie. Dowiedziałem się więc, że Żydzi kaukascy zostali po raz pierwszy opisani przez Beniamina de Tudełę, który przybył w te okolice około 1170 roku, oraz przez Pethahiaha z Ratyzbony, który

twierdził, iż mają oni perskie korzenie i osiedli na Kaukazie w XII wieku. W 1254 roku Wilhelm z Ruysbroek trafił na dużą populację żydowską we wschodniej części masywu, przed Astrachaniem. Jednak w pewnym gruzińskim tekście pochodzącym z 314 roku jest mowa o Żydach używających hebrajskiego, którzy rzekomo przejęli stary język irański („partyjski” lub „tacki”) po zajęciu Transkaukazji przez Persów, mieszając go z hebrajskim i lokalnymi narzeczami. Co się tyczy Żydów z Gruzji, nazywanych według Kocha *Huria* (słowo pochodzące być może od *Iberia*), nie używają oni języka tackiego, lecz kartwelskiego dialektu. Jeśli zaś chodzi o Dagestan, to, według *Derbent-Nameh*, Arabowie natknęli się tam na Żydów już w czasie swoich podbojów, w VIII wieku. Współcześni badacze tylko skomplikowali całą sprawę. Naprawdę, można się było załamać. Postanowiłem wysłać wszystko Bierkampowi i Leetschowi bez komentarza i upierać się, by jak najszybciej sprowadzili tu specjalistę.

Śnieg nie padał przez kilka dni, potem znowu zaczął. W mesie oficerowie rozmawiali po cichu, z niepokojem: Anglicy pobili Rommla pod El-Alamein, a kilka dni później Brytyjczycy i Amerykanie wylądowali w Afryce Północnej; nasze siły, w odwecie, zajęły wolną strefę we Francji, ale to sprowokowało oddziały Vichy w Afryce do połączenia się z aliantami. „Gdyby chociaż tu było lepiej”, skomentował von Gilsa. Ale pod Ordżonikidze nasze dywizje przeszły do defensywy, linia frontu biegła z południa od Czegemu i Nalczyka w stronę Czykoły i Gizła, potem szła w górę wzdłuż rzeki Terek aż na północ od Małgobeku; bardzo szybko rosyjska kontrofensywa odbiła Gizel. Potem, nagle, nastąpił zwrot sytuacji. Nie dowiedziałem się o tym od razu, oficerowie Abwehry nie wpuszczali mnie do Sali Map i odmawiali podania szczegółów. „Przykro mi, przeprosił Reuter. Pański komendant musi to przedyskutować z OKHG”. Pod koniec dnia udało mi się dowiedzieć, że Sowietci zorganizowali kontrofensywę na froncie stalingradzkim, ale w którym miejscu i o jakim zasięgu, nie miałem pojęcia. Oficerowie AOK mieli pochmurne i spięte twarze, uparcie odmawiali rozmowy ze mną. Leetsch potwierdził mi przez telefon, że OKHG reaguje w ten sam sposób; w Gruppenstab nie byli lepiej poinformowani ode mnie i poprosili, bym niezwłocznie przekazywał im każdą nową wiadomość. Nazajutrz było to samo, więc pokłóciłem się z Reuterem, który odpowiedział mi chłodno, że AOK nie ma obowiązku informować SS o operacjach trwających poza jej własną strefą. Ale plotki już krążyły, oficerowie nie mogli powstrzymać rozprzestrzeniania się *Latrinenparolen*; zniżyłem się do poziomu szoferów, gońców i

podoficerów i w ciągu kilku godzin, łącząc ze sobą strzępy rozmów, wyrobiłem sobie zdanie o rozmiarze niebezpieczeństwa. Zadzwoiłem do Leetscha, który miał już chyba podobne informacje. Jaka jednak będzie odpowiedź Wehrmachtu — tego nie wiedział nikt. Załamywały się dwa rumuńskie fronty — jeden na zachód od Stalingradu, w łuku Donu, drugi na południu, na stepie kałmuckim — czerwoni najwyraźniej planowali zaatakować 6. Armię od tyłu. Skąd wytrzasnęli niezbędne siły? Nie mogłem dowiedzieć się, na jakim są etapie, sytuacja rozwijała się zbyt szybko, nawet jak dla kucharzy, ale wszystko wskazywało na to, że 6. Armia powinna jak najszybciej rozpocząć odwrót, aby uprzeczyć okrążenie. Tymczasem 6. Armia nie ruszała się z miejsca. 21 listopada Generaloberst von Kleist awansował na Generalfeldmarschalla i został nominowany dowódcą Grupy Armii A — Führer poczuł się zapewne przepracowany. Generaloberst von Mackensen zajął miejsce von Kleista na czele 1. Armii Panczernej. Von Gilsa oficjalnie przekazał mi tę nowinę; wyglądał na zrozpaczonego, w półsłówkach dał mi do zrozumienia, że sytuacja staje się katastrofalna. Następnego dnia, w niedzielę, dwa radzieckie skrzydła połączyły się w Kałaczu nad Donem i 6. Armia oraz część 4. Armii Panczernej zostały otoczone. Krążyły plotki o pogromie, o masowych stratach, o chaosie, ale każda bardziej dokładna informacja przeczyła poprzedniej. Pod wieczór, nareszcie, Reuter zaprowadził mnie do von Gilsy, który uraczył mnie szybkim wykładem przy mapach. „Decyzja o pozostawieniu 6. Armii i nieprzystępowaniu do ewakuacji została podjęta przez samego Führera”, poinformował. Otoczone oddziały tworzyły teraz gigantyczny *Kessel*, tak zwany kocioł, pocięty liniami naszego frontu, zgoda, ale rozciągający się od Stalingradu, przez step, niemal do samego Donu. Sytuacja budziła niepokój, ale plotki były straszliwie przesadzone: niemieckie siły straciły niewielu żołnierzy i nie tak dużo sprzętu, i utrzymywały spójność. W dodatku zeszłoroczne doświadczenie w Demiańsku pokazywało, że *Kessel*, przy zaopatrzeniu zrzuconym z powietrza, może utrzymywać się w nieskończoność. „Wkrótce rozpocznie się odblokowanie”, zakończył von Gilsa. Konferencja zwołana nazajutrz przez Bierkampa potwierdzała tę optymistyczną wizję: Reichsmarschall Göring, oświadczył Körsemann, przysięgł Führerowi, że Luftwaffe jest w stanie zająć się apro wizacją 6. Armii. Generał Paulus dotarł do swojego sztabu generalnego w Gumraku, aby kierować operacjami z wnętrza *Kessel*, Generalfeldmarschall von Manstein z Witebska miał uformować nową Grupę Armii Don i zabrać się do torowania drogi w stronę oblężonych sił. Zwłaszcza ta

ostatnia wiadomość sprawiła wszystkim wielką ulgę: od czasu zajęcia Sewastopola von Manstein był uważany za najlepszego stratega Wehrmachtu — jeżeli ktokolwiek mógł rozwiązać tę sytuację, to właśnie on.

Przybywali niezbędni eksperci. Ponieważ Reichsführer opuścił Winnicę razem z Führerem pod koniec października i wrócił do Prus Wschodnich, Korsemann skontaktował się bezpośrednio z Berlinem i w RuSHA przystali na przysłanie kobiety, dr Weseloh, specjalizującej się w językach irańskich. Bierkamp okazał skrajne niezadowolenie, gdy usłyszał tę nowinę: chętnie widziałby tutaj eksperta do spraw rasy z Amt W, ale żaden nie był wolny. Uspokoilem go, tłumacząc, że podejście lingwistyczne także może być owocne. Dr Weseloh mogła dolecieć samolotem pocztowym do Rostowa przez Kijów, ale resztę drogi musiała przebyć pociągiem. Poszedłem odebrać ją z dworca w Woroszyłowsku; stała w towarzystwie słynnego pisarza Ernsta Jüngera, rozmawiali z ożywieniem. Jünger, nieco zmęczony, ale nadal pełen uroku, miał na sobie mundur kompanii Hauptmanna z Wehrmachtu, Weseloh była w cywilu, w kurtce i długiej spódnicy z grubej szarej wełny. Przedstawiła mi Jüngera, wyraźnie dumna z nowej znajomości: przypadkiem trafiła do jego przedziału w Kropotkinie i natychmiast go rozpoznała. Uścisnąłem mu dłoń i próbowałem powiedzieć kilka słów o znaczeniu, jakie miały dla mnie jego książki, zwłaszcza *Der Arbitr*, ale już otoczyli go oficerowie OKHG i poprowadzili ze sobą. Weseloh patrzyła za nim wzruszona, machała dłonią. Była to kobieta dość chuda, o ledwo widocznych piersiach, za to biodrach przesadnie szerokich; miała długą końską twarz, jasne włosy, ściągnięte w tapirowany kok, i okulary, zza których łypały nieco wystraszone, lecz ciekawskie oczy. „Przykro mi bardzo, że nie jestem w mundurze, powiedziała, gdy tylko wymieniliśmy niemieckie pozdrowienie. Musiałam wyjechać tak prędko, że nie zdążyłam go zamówić”. — „Nie szkodzi, odparłem uprzejmie. Myślę natomiast, że może pani zmarznąć. Znajdę dla pani jakiś płaszcz”. Padało i ulice były pełne błota. W drodze wspominała Jüngera, który przybył tu z Francji z misją inspekcyjną; rozmawiali o perskich epigrafach i Jünger pogratulował jej erudycji. W grupie przedstawiłem ją dr. Leetschowi, który opisał przedmiot misji, a po obiedzie powierzył mi opiekę nad dr Weseloh, kazał zakwaterować w Piatigorsku, asystować w pracy i zająć się nią, w razie potrzeby. Podczas drogi znów zaczęła opowiadać mi o Jüngerze, a potem zainteresowała się sytuacją w Stalingradzie: „Słyszałam wiele plotek. Co tam się właściwie dzieje?”. Podzieliłem się z nią swoją lichą wiedzą. Słuchała

uważnie, a następnie powiedziała z przekonaniem: „Jestem pewna, że to genialny plan Führera, aby zwabić wrogie siły w pułapkę, i zniszczyć je raz na zawsze”. — „Ma pani zapewne rację”. W Piatigorsku zakwaterowałem ją w jednym z sanatoriów, a następnie pokazałem całą dokumentację i moje raporty. „Mamy również dostęp do wielu źródeł rosyjskich”, wyjaśniłem. — „Niestety, powiedziała chłodno, nie czytam po rosyjsku. Ale to, co pan tutaj ma, powinno wystarczyć”. — „Świetnie. Gdy skończy pani pracę, pojedziemy razem do Nalczyka”.

Dr Weseloh nie nosiła obrączki, ale zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na tych wszystkich przystojnych żołnierzy wokół. Ja natomiast, niezależnie od jej niezbyt atrakcyjnego wyglądu i niezdatnych ruchów, przyjąłem w ciągu kolejnych dwóch dni dużo więcej gości niż zwykle: oficerowie Abwehry, ale także operacyjni, którzy do tej pory nie raczyli się do mnie nawet odezwać, teraz nagle znajdowali liczne powody, by mnie niezwłocznie odwiedzić. Ani jeden nie omieszkął pozdrowić naszej specjalistki, która rozsiadła się w biurze i, zanurzona w papierach, odpowiadała na powitania nieuważnym słowem albo skinieniem głowy, chyba że był to wyższy oficer, któremu należało zasalutować. Naprawdę zareagowała tylko raz, gdy młody Leutnant von Open stanął tuż przy jej biurku, stuknął obcasami i odezwał się w te słowa: „Pozwoli pani, Fräulein Weseloh, że powitam ją tu, na naszym Kaukazie...”. Uniosła głowę i przerwała mu: „Fräulein Doktor Weseloh, jeśli łaska”. Von Open, zbity z tropu, poczerwieniał i wybełkotał jakieś przeprosiny, ale Fräulein Doktor zdążyła już wrócić do lektury. Z trudem hamowałem śmiech na widok tej starej panny, sztywnej i surowej, ale niegłupiej i nie pozbawionej ludzkich cech. Miałem zresztą okazję doświadczyć na własnej skórze, co znaczy jej zawzięty charakter, gdy chciałem porozmawiać o wnioskach z lektur. „Nie rozumiem, po co oni mnie tu ściągnęli, prychnęła, marszcząc brwi. Kwestia wydaje mi się oczywista”. Zachęciłem, by mówiła dalej. „Język nie ma żadnego znaczenia. Zwyczajnie — nieco większe, ale niedużo. Jeżeli są to Żydzi, to zostaną nimi, pomimo wszelkich prób asymilacji, dokładnie tak jak Żydzi w Niemczech, którzy mówią po niemiecku i ubierają się jak zachodnia burżuazja, ale pozostają Żydami i ich krochmalone gorsy nikogo nie zmylą. Rozepnie pan prążkowane spodnie żydowskiemu przemysłowcowi, mówiła dalej bez cienia skrępowania, zobaczy pan obrzezańca. Tu jest dokładnie to samo. Nie rozumiem, po co to całe zawracanie głowy”. Zignorowałem nieprzystojny język, który kazał mi podejrzewać tę z pozoru lodowatą doktorzycę o głęboko skrywane, mętne i

wzburzone pokłady nieczystego podniecenia, ale pozwoliłem sobie stwierdzić, iż mając na uwadze praktyki muzułmańskie, akurat ta przesłanka wydaje się mało miarodajna. Spojrzała na mnie z jeszcze większą pogardą: „Użyłam metafory, Hauptsturmführer. Za kogo pan mnie ma? Chciałam po prostu powiedzieć, że *Fremdkörper* pozostaną nimi, niezależnie od kontekstu. W terenie pokażę panu, co mam na myśli”.

Temperatura spadała w mgnieniu oka, a moja pelisa nadal nie była gotowa. Weseloh nosiła płaszcz, nieco za duży, ale podszyty futrem, który wyszperał dla niej Reuter, ja na wizyty w terenie miałem przynajmniej swoją futrzaną uszankę. Ale nawet to nie podobało się Weseloh: „To chyba nie jest przepisowy strój, Hauptsturmführer?”, skomentowała, widząc, jak wkładam czapkę. — „Przepisy powstały, zanim przybyliśmy do Rosji, wyjaśniłem uprzejmie. I jeszcze nie zostały dostosowane do panujących warunków. Zwracam pani uwagę, że płaszcz Wehrmachtu, który ma pani na sobie, również nie jest przepisowy”. Wzruszyła ramionami. W czasie gdy studiowała dokumentację, ja próbowałem wymknąć się do Woroszyłowska, z nadzieją, że nadarzy się okazja do spotkania z Jüngerem, ale nie było to możliwe i musiałem zadowolić się komentarzami Weseloh, wieczorem, w mesie. Teraz należało zawieźć ją do Nalczyka. W drodze napomknąłem o obecności Vossa i jego uczestnictwie w komisji Wehrmachtu. „Doktor Voss?, powtórzyła zamyślona. To rzeczywiście dość znany specjalista. Tyle że jego prace są w Niemczech bardzo krytykowane. Tak czy inaczej spotkanie z nim może być interesujące”. Mnie również bardzo zależało na spotkaniu z Vossem, ale w cztery oczy, w każdym razie nie w obecności tej nordyckiej megieri; chciałem wrócić do naszej ostatniej rozmowy. Poza tym mój sen, muszę przyznać, wstrząsnął mną i pomyślałem, że rozmowa z Vossem, oczywiście bez przywoływania owych ohydnych wizji, pomoże mi objaśnić pewne sprawy. W Nalczyku udałem się najpierw do biur Sonderkommando. Persterer był nieobecny, ale przedstawiłem Weseloh Wolfgangowi Reinholzowi, oficerowi Kommando, który również zajmował się kwestią *Bergjuden*. Reinholz poinformował nas, że eksperci Wehrmachtu i *Ostministerium* już tu byli. „Spotkali się z Szabajewem, tym staruchem, który na swój sposób reprezentuje *Bergjuden*, uraczył ich długim przemówieniem i zaprosił do *kołonki*”. — „*Kołonka?*, zdziwiła się Weseloh. A co to takiego?” — „Dzielnica żydowska. Znajduje się na południe od centrum, między dworcem a rzeką. Zawieziemy tam panią. Z tego, co mi wiadomo, dodał, zwracając się do mnie, Szabajew kazał powynosić z domów wszystkie dywany, łóżka, fotele, żeby ukryć ich bogactwo, i

częstował ekspertów szaszłykami. Niczego nie zobaczyli”. — „Czemu pan nie interweniował?”, spytała Weseloh. — „To dość skomplikowane, Fräulein Doktor, odpowiedział Reinholz. Są pewne kwestie prawne. Jak na razie mamy zakaz mieszania się w sprawy tych Żydów”. — „Jakkolwiek potoczą się sprawy, odpała Weseloh, sznurując usta, zapewniam panów, że nie dam się nabrać na takie manipulacje”.

Reinholz wysłał dwóch Orpo po Szabajewa i poczęstował Weseloh herbatą. Zatelefonowałem do Ortskommandantur, żeby umówić się z Vossem, ale okazało się, że wyszedł; obiecano, że oddzwoni po powrocie. Reinholz, który, jak wszyscy, słyszał o przyjeździe Jüngera, wypytywał Weseloh o narodowosocjalistyczne przekonania pisarza; Weseloh nie wiedziała chyba zbyt wiele na ten temat, ale słyszała kiedyś, że nie jest on członkiem Partii. Po pewnym czasie zjawił się Szabajew: „Markel Awgadulowicz”, przedstawił się. Z dumą nosił tradycyjny strój góralski i imponującą brodę, był surowy i pewny siebie. Mówił po rosyjsku z mocnym akcentem, ale tłumacz nie miał chyba żadnego kłopotu. Weseloh kazała mu usiąść i zaczęła rozmowę w języku, którego żaden z nas nie rozumiał. „Znam dialekty zbliżone mniej więcej do tackiego, oświadczyła. Będę z nim rozmawiać w ten sposób, potem wam przetłumaczę”. Zostawiłem ją i poszedłem napić się herbaty z Reinholzem w innym pomieszczeniu. Opowiedział mi o sytuacji w regionie: radziecki sukces pod Stalingradem wywołał znaczne poruszenie wśród Kabardyńców i Bałkarów i aktywność partyzantów w górach się nasiliła. OKHG planował proklamować wkrótce autonomiczny dystrykt i liczył na likwidację kołchozów i sowchozów w strefie górskiej (placówek położonych na nizinach Baksanu i Tereku, uważanych za rosyjskie, nie planowano rozwiązywać) oraz rozdanie ziemi autochtonom, żeby ich uspokoić. Minęło pół godziny, wyjrzała Weseloh: „Stary chce nam pokazać swoją dzielnicę i dom. Idzie pan?”. — „Chętnie. A pan?”, spytałem Reinholza. — „Już raz byłem. Dają dobrze jeść”. Wziął eskortę złożoną z trzech Orpo i zawiózł nas samochodem do Szabajewa. Ceglany dom z rozległym wewnętrznym podwórzem składał się z dużych pustych pokoi, nie było korytarzy. Szabajew poprosił, żebyśmy zdjęli buty i usiedli na niewygodnych poduszkach, a dwie kobiety rozłożyły przed nami duże woskowane płótno. Kilkoro dzieci wślizgnęło się do pokoju — wcisnęły się w kąt, wlepiły w nas wielkie oczy, szeptały coś i chichotały. Szabajew usiadł na poduszce naprzeciw, a kobieta w jego wieku, w kolorowym szalu owiniętym wokół głowy, naląła nam herbaty. W pokoju było zimno, nie zdjąłem płaszcza. Szabajew wypowiedział kilka słów w swoim języku.

„Przeprasza za to niegodne przyjęcie, przetłumaczyła Weseloh, ale nie spodziewał się nas. Jego żona przygotowuje herbatę. Zaprosił też kilku sąsiadów, żebyśmy mogli porozmawiać”. — „Herbata, uściślił Reinholz, oznacza jedzenie do oporu. Mam nadzieję, że jesteście głodni”. Wszedł jakiś dzieciak i rzucił Szabajewowi kilka słów, a potem wybiegł z pokoju. „Tego nie zrozumiałam”, zdenerwowała się Weseloh. Zamieniła kilka słów z Szabajewem. „Twierdzi, że to syn jednego z sąsiadów, mówili po kabardyjsku”. Z kuchni wyszła bardzo ładna dziewczyna w szarawarach i w szalu, przyniosła kilka dużych bochnów chleba, okrągłych i płaskich, które rozłożyła na obrusie. Razem z żoną Szabajewa rozstawiły misy twarogu, suszonych owoców, cukierków w srebrnych papierkach. Szabajew rozerwał jeden z bochnów i rozdał nam po kawałku: chleb był jeszcze ciepły, chrupiący, wyśmienity. Wszedł inny starzec, w papasze i miękkich butach, i usiadł obok Szabajewa, a za chwilę zjawił się jeszcze jeden. Szabajew przedstawił ich: „Powiedział, że ten z lewej to muzułmański Tat, wytłumaczyła Weseloh. Od początku próbuje mi wmówić, że tylko niektórzy Tatowie wyznają religię żydowską. Zadam mu kilka pytań”. Wdała się w długą dyskusję z drugim starcem. Lekko znudzony, skubałem chleb i rozglądałem się po pokoju. Ściany, pozbawione wszelkich dekoracji, wyglądały na świeżo pobielone wapnem. Dzieci słuchały i przyglądały się nam w milczeniu. Żona Szabajewa i dziewczyna przyniosły półmiski pełne gotowanej baraniny w czosnkowym sosie, a do tego mączne kulki z wody. Zacząłem jeść, a Weseloh nadal rozmawiała. Potem były szaszłyki z mielonego kurczaka, podane na chlebach. Szabajew rozerwał kolejne bochny i rozdał nam kawałki, które miały posłużyć za talerze, a następnie, posługując się długim kaukaskim nożem, kindżałem, zdejmował i nakładał wszystkim plastry mięsa z rusztu. Przyniesiono też mięso i ryż w liściach winogron. To smakowało mi bardziej niż gotowana baranina i ochoczo zabrałem się do jedzenia. Reinholz poszedł w moje ślady, a Szabajew rzucał chmurne spojrzenia Weseloh, która z kolei nie jadła nic. Żona Szabajewa usiadła obok nas i szerokimi gestami wyrażała dezaprobatę dla braku apetytu Weseloh. „Fräulein Doktor, zwróciłem się do niej między jednym a drugim kęsem, może się pani ich zapytać, gdzie śpią?” Weseloh wdała się w rozmowę z żoną Szabajewa. „Twierdzi, przetłumaczyła wreszcie, że śpią tutaj, na podłodze, na deskach”. — „Moim zdaniem, powiedział Reinholz, ona kłamie”. — „Mówi, że wcześniej mieli materace, ale bolszewicy zabrali im wszystko przed opuszczeniem miasta”. — „To może być prawda”, odezwałem się do Reinholza; wgryzał się właśnie w szaszłyk, więc tylko wzruszył ramionami.

Dziewczyna co rusz dolewała nam gorącej herbaty, a robiła to w ciekawy sposób: łała czarną esencję z małego czajniczka, a do tego gorącą wodę. Gdy skończyliśmy jeść, kobiety sprzątnęły resztki i zwinęły obrus. Szabajew wyszedł i wrócił, prowadząc kilku mężczyzn z instrumentami, polecił im usiąść pod ścianą, naprzeciw kąta pełnego dzieci. „Mówi, że teraz posłuchamy tradycyjnej muzyki tackiej i obejrzymy ich tańce, co ma umożliwić nam stwierdzenie, że są one takie same jak tańce innych ludów góralskich”, wyjaśniła Weseloh. Wśród instrumentów były takie, które przypominały bandzo, z długimi gryfami, nazywane *tar*, były długie flety o nazwie *saz* — to tureckie słowo, uściśliła Weseloh, którą ruszyło zawodowe sumienie — gliniana puszka, do której wdmuchuje się powietrze przez trzcinę, i ręczne bębny. Zagrali kilka utworów, dziewczyna, która wcześniej podawała jedzenie, zatańczyła przed nami, dość nieśmiało, ale z niezwykłą gracją i gibkością. Mężczyźni, którzy nie grali, wystukiwali rytm razem z bębniarzami. Zeszli się ludzie, stali pod ścianami, kobiety w długich spódnicach, z dziećmi przy nogach, mężczyźni w góralskich strojach, w starych, wytartych garniturach albo w bluzach i czapkach radzieckich robotników. Jedna z siedzących kobiet karmiła piersią niemowlę i właściwie wcale się nie zasłaniała. Młody mężczyzna zdjął marynarkę i ruszył do tańca. Był piękny, rasowy, elegancki, wyniosły. Muzyka i tańce przypominały karaczajskie, z którymi zetknąłem się w Kisłowodzku; utwory o synkopowych rytmach, dość dziwnych dla moich uszu, były w większości wesołe i rażne. Jeden ze starych muzyków zaśpiewał długą żalostną pieśń, akompaniując sobie tylko na bandzo o dwóch strunach, które szarpał kostką. Jedzenie i herbata rozleniwiły mnie, drzemałem niemal, pozwoliłem się ponieść muzyce i cała ta scena wydała mi się malownicza, a ludzie serdeczni, sympatyczni. Gdy muzyka ucichła, Szabajew wygłosił coś w rodzaju przemówienia, którego Weseloh nie tłumaczyła; następnie pokazano nam prezenty: duży orientalny, tkany ręcznie dywan dla Weseloh, który dwaj mężczyźni rozłożyli przed nami, a potem zwinęli, i piękne zdobione kindżały w pochwach z czarnego drewna i srebra, dla Reinholza i dla mnie. Weseloh dostała jeszcze od żony Szabajewa srebrne kolczyki i pierścionek. Cały tłum wyprowadził nas na ulicę, a Szabajew uroczyście uściśnął nam dłonie: „Dziękuję, że daliśmy mu szansę zaprezentowania tackiej gościnności, przetłumaczyła oschle Weseloh. Przeprasza za tak skromne przyjęcie, ale mówi, że należy za to potępić bolszewików, którzy im wszystko ukradli”.

„Ależ cyrk!”, wykrzyknęła w samochodzie. — „To jeszcze nic w porównaniu z tym, co przygotowali dla komisji Wehrmachtu”, skomentował Reinholz. — „A te prezenty!, ciągnęła. Co oni sobie wyobrażają? Ze mogą kupić oficerów SS? Oto prawdziwa żydowska taktyka”. Milczałem: Weseloh drażniła mnie, wyraźnie miała wszystko założone z góry; uważałem, że nie powinna tak do tego podchodzić. W biurach Sonderkommando opowiedziała nam, że starzec, z którym rozmawiała, znał dobrze Koran, modlitwy i zwyczaje muzułmańskie, lecz, jak twierdziła, to o niczym nie świadczyło. Wszedł ordynans i zwrócił się do Reinholza: „Jest telefon z Ortskommandantur. Mówią, że ktoś tutaj chciał rozmawiać z Leutnantem Vosse”. — „Ach, to ja”, odezwałem się. Poszedłem z ordynansem do sali rozmów i podniosłem słuchawkę. Zabrział nieznajomy głos: „Czy to pan zostawił wiadomość dla Leutnanta Vossa?”. — „Tak”, odpowiedziałem niepewnie. — „Z przykrością zawiadamiam pana, że jest ranny i nie będzie mógł do pana zadzwonić”, oznajmił mężczyzna. Poczulem gwałtowny uścisk w gardle: „Czy to coś poważnego?”. — „Tak. Dosyć”. — „Gdzie on jest?” — „Tu, w punkcie medycznym”. — „Już jadę”. Odłożyłem słuchawkę i wpadłem do pokoju, gdzie siedzieli Weseloh i Reinholz. „Muszę jechać do Ortskommandantur”, powiedziałem, chwytając płaszcz. — „Co się stało?”, zapytał Reinholz. Byłem chyba strasznie blady, odwróciłem się szybko: „Niedługo wrócę”, rzuciłem, wychodząc.

Zapadał zmierzch, było bardzo zimno. Ruszyłem piechotą, w pośpiechu zapomniałem uszanki, cały się trząsnę. Szedłem szybko, poślizgnąłem się na tafli lodu, omal nie upadłem; udało mi się przytrzymać jakiegoś słupa, ale nadwreżyłem sobie rękę. Mróz ścisnął mi gołą głowę, palce grabiały w kieszeniach. Czułem, jak ciało przebiegają mi mocne dreszcze. Źle oceniłem odległość dzielącą mnie od Ortskommandantur: kiedy dotarłem, była już ciemna noc, drżałem jak liść. Poprosiłem oficera operacyjnego. „Czy to z panem rozmawiałem?”, rzucił mi na powitanie w korytarzu, gdzie na próżno próbowałem się rozgrzać. — „Tak. Co się stało?” — „Jeszcze dokładnie nie wiemy. Górale przywieźli go wozem zaprzęgniętym w woły. Był w kabardyjskim aule, na południu. Jak zeznają świadkowie, wchodził do domów i wypytywał ludzi o ich język. Jeden z sąsiadów twierdzi, że zamknął się z jakąś młodą dziewczyną i nakrył ich jej ojciec. Ludzie usłyszeli wystrzały: przybiegli, znaleźli rannego Leutnanta i martwą dziewczynę. Po ojcu nie było śladu, więc przywieźli Vossa tutaj. Oczywiście, to tylko ich wersja. Trzeba wszcząć dochodzenie”. — „W jakim on jest stanie?” — „Obawiam się, że

w złym. Dostał serię w brzuch”. — „Mogę go zobaczyć?” Oficer zawahał się, zajrzał mi w twarz, nie kryjąc zaciekawienia. „Ta sprawa nie dotyczy SS”, powiedział w końcu. — „To mój przyjaciel”. Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem rzucił szorstko: „W takim razie może pan pójść. Ale uprzedzam, jest w fatalnym stanie”.

Powiódł mnie korytarzami, świeżo odmalowanymi na szaro i jasno-zielono, do wielkiej sali, gdzie kilku chorych i lekko rannych leżało na ustawionych w rzędzie łózkach. Nie dojrzałem Vossa. Podszedł do nas lekarz w białym, trochę poplamionym fartuchu narzuconym na mundur: „Słucham?”. — „On chce zobaczyć Leutnanta Vossa, poinformował oficer operacyjny, wskazując na mnie. Zostawiam pana. Mam robotę”. — „Dziękuję”, powiedziałem. — „Proszę za mną, odezwał się lekarz. Jest w izolatce”. Zaprowadził mnie do drzwi na końcu sali. „Mogę z nim porozmawiać?”, spytałem. — „Nie usłyszysz pana”, odpowiedział lekarz. Otworzył drzwi i puścił mnie przodem. Voss leżał przykryty prześcieradłem, jego twarz była wilgotna i zielonkawa. Miał zamknięte oczy i jęczał słabo. Podszedłem bliżej. „Voss”, odezwałem się. Żadnej reakcji. Tylko te odgłosy, wydobywające się z jego ust, nawet nie jęk, raczej dźwięki artykułowane, lecz niezrozumiałe, jak głuzenie dziecka, przekład na intymny, tajemniczy język wszystkiego, co się w nim teraz działo. Odwróciłem się do lekarza: „Wyjdzie z tego?”. Lekarz pokręcił głową: „Ja nawet nie wiem, jak udało mu się dotrzymać do teraz. Nie mogliśmy go zoperować, to by nic nie dało”. Odwróciłem się z powrotem do Vossa. Dźwięki płynęły nieprzerwanie, opowieść o agonii przekraczająca granice języka. Przejmowało mnie to grozą, wstrzymywałem oddech, jak we śnie, w którym ktoś mówi, a my nie możemy go zrozumieć. Ale tu wszystko było jasne. Odgarnąłem kosmyk, który opadł mu na powiekę. Otworzył oczy i wbił we mnie wzrok, ale jego spojrzenie było puste, pozbawione świadomości. Dotarł do tego intymnego, zamkniętego miejsca, skąd już nigdy nie wydostaje się na powierzchnię, lecz jeszcze nie całkiem się w nim pograżył. Był jak zwierzę, jego ciało walczyło z tym, co w nim zachodziło, i te odgłosy, one też były zwierzęce. Od czasu do czasu urywały się na chwilę, wtedy dyszał, wciągał powietrze przez zęby, z niemal ciekłym świstem. A potem znowu odgłosy. Spojrzałem na lekarza: „On cierpi. Może pan podać mu morfinę?”. Lekarz był widocznie zażenowany: „Już dostał”. — „Tak, ale potrzebuje jeszcze”. Spojrzałem mu prosto w oczy; wahał się, stuknął paznokciem o zęby. „Kończy mi się. Musieliśmy wysłać wszystkie zapasy do Millerowa, dla 6. Armii. Muszę trzymać to, co mi zostało, dla pacjentów, których da się zoperować.

On i tak niedługo umrze”. Nie spuszczałem z niego wzroku. „Nie może mi pan rozkazywać”, dodał. — „Ja panu nie rozkazuję, ja pana proszę”, powiedziałem zimno. Zbladł. „Dobrze, Hauptsturmführer. Ma pan rację... podam mu”. Nie poruszyłem się, nie uśmiechnąłem. „Zróbmy to od razu. Popatrzę”. Krótki tik wykrzywił usta lekarza. Wyszedł. Spojrzałem na Vossa: dźwięki, dziwaczne, przerażające, jakby samorodne, wydobywały się ciągle z jego ust, które pracowały konwulsyjnie. Pierwotny głos, płynący z samego dna dziejów — ale chociaż była to z całą pewnością mowa, nie znaczyła nic i wyrażała wyłącznie swą własną zagładę. Wrócił lekarz ze strzykawką, odkrył ramię Vossa, poklepał, ukazała się żyła, zrobił zastrzyk. Wolno, powoli, dźwięki rozproszyły się, oddech uspokoił. Oczy się zamknęły. Zlepek dźwięków wybrzmiewał jeszcze od czasu do czasu, niczym ostatnie koło ratunkowe rzucone za burtę. Lekarz wyszedł. Delikatnie, wierzchem palców, dotknąłem policzka Vossa i też wyszedłem. Lekarz się krzątał, jego mina wyrażała jednocześnie zażenowanie i niechęć. Podziękowałem mu zimno, stuknąłem obcasami i uniosłem ramię. Nie odsalutował, wyszedłem bez słowa.

Samochód Wehrmachtu odwiózł mnie do Sonderkommando. Zastałem Weseloh i Reinholza pograżonych w rozmowie, Reinholz wysuwał argumenty na korzyść tureckiego pochodzenia *Bergjuden*. Przerwał, gdy tylko mnie zauważył: „Ach, Herr Hauptsturmführer. Zastanawialiśmy się, co pan robi. Pójdę przygotować kwatery. Jest już zbyt późno na powrót”. — „Poza tym, wtrąciła Weseloh, muszę tu zostać parę dni, żeby kontynuować dochodzenie”. — „Wracam dzisiaj do Piatigorska, oznajmiłem bezbarwnym głosem. Mam robotę. Tu nie ma partyzantów, mogę jechać nocą”. Reinholz wzruszył ramionami: „To niezgodne z zaleceniami Grupy, Herr Hauptsturmführer, ale robi pan, co zechce”. — „Powierzam panu opiekę nad doktor Weseloh. Proszę o kontakt, gdyby czegokolwiek państwo potrzebowali”. Weseloh, siedząca na drewnianym krześle z nogą założoną na nogę, wyglądała na całkowicie szczęśliwą i zadowoloną z tej przygody; na wieść o moim wyjeździe zareagowała obojętnie. „Dziękuję za pomoc, Hauptsturmführer, powiedziała. A właśnie, czy mogłabym spotkać się z tym doktorem Vossem?” Stałem już na progu, z uszanką w dłoni. „Nie”. Wyszedłem, nie czekając na jej reakcję. Szofer nie był chyba zadowolony z tej nocnej jazdy, ale nie upierał się przy swoim, gdy stanowczo powtórzyłem rozkaz. Podróż była długa: Lemper, ten szofer, jechał bardzo powoli z powodu oblodzenia. Poza wąskimi smugami samochodowych świateł, zamaskowanych częściowo ze względu na samoloty, nie widziałem niczego; czasem jakieś stanowisko

kontrolne wyłaniało się na krótką chwilę z ciemności. Klepałem nieuważnie kindżał, który dał mi Szabajew, paliłem papierosa za papierosem, wpatrywałem się bezmyślnie w rozległą, pustą noc.

Śledztwo potwierdziło zeznania wieśniaków na temat śmierci Leutnanta dr. Vossa. W domu, gdzie zdarzył się dramat, znaleziono jego notes, umazany krwią, wypełniony zapisem kabardyjskich spółgłosek i uwagami o gramatyce. Matka dziewczyny przysięgała w hysterii, że od wypadku nie widziała swojego męża; z tego, co mówili sąsiedzi, prawdopodobnie poszedł w góry i zabrał narzędzie zbrodni, starą myśliwską strzelbę, żeby dokonać *abrek*, jak mówią na Kaukazie, albo przyłączyć się do bandy partyzantów. Kilka dni później do generała von Mackensena przysłała delegacja wioskowej starszyny: przeprosili uroczyście w imieniu całego aulu, jeszcze raz zapewnili o głębokich przyjacielskich uczuciach, jakie żywią wobec niemieckiej armii, i zostawili stos dywanów, baranich skór i klejnotów, które prosili przekazać rodzinie zmarłego. Przysięgali, że sami znajdą mordercę i zabiją go bądź przywiozą tutaj; zapewniali, że kilku zdrowych mężczyzn, którzy zostali w aule, już przeczesuje góry. Obawiali się represji, ale von Mackensen uspokoił ich i obiecał, że nie poniosą zbiorowej kary. Wiedziałem, że Szadow rozmawiał o tym z Köstringiem. Armia nakazała spalenie domu winnego, promulgowała nowy rozkaz dzienny, zawierający zakazy dotyczące kontaktów z góralkami, i pospiesznie zamknęła sprawę.

Komisja Wehrmachtu kończyła badania nad *Bergjuden* i Köstring życzył sobie zwołać w Nalczyku konferencję na ten temat. Było to tym bardziej pilne, że formowała się właśnie Narodowa Rada Kabardyjsko-Bałkarska i OKHG chciało załatwić tę sprawę przed proklamowaniem autonomicznego dystryktu, przewidzianym na 18 grudnia, podczas Kurban Bajram. Weseloh ukończyła pracę w terenie, pisała raport; Bierkamp wezwał nas do Woroszyłowska, żeby wybadać nasze stanowisko. Po kilku mniej mroźnych, śnieżnych dniach, temperatura spadła do około minus 20 stopni; wreszcie odebrałem swoją szubę i buty; nosiło się to niełatwo, ale przynajmniej było ciepłe. Wybrałem się razem z Weseloh. Z Woroszyłowska miała jechać bezpośrednio do Berlina. W Gruppenstab spotkałem Persterera i Reinholza, Bierkamp wezwał ich również. Oprócz nich w zebraniu brali udział Leetsch, Prill i Sturmbannführer Holste, Leiter IV/V grupy. „Według moich informacji,

zaczął Bierkamp, Wehrmacht i ten doktor Bräutigam chcą wyłączyć *Bergjuden* z antyżydowskich działań, aby nie szkodzić dobrym stosunkom z Kabardyńcami i Bałkarami. Będą więc próbowali utrzymywać, że to nie są prawdziwi Żydzi, tak aby ustrzec się przed krytykami ze strony Berlina. Byłby to poważny błąd. Jako Żydzi i *Fremdkörper* pośród okolicznych narodów ta populacja pozostanie źródłem permanentnego zagrożenia dla naszych sił: gniazdem szpiegostwa i sabotażu oraz siedliskiem partyzantów. Nie ma wątpliwości co do potrzeby podjęcia radykalnych kroków. Musimy jednak mieć solidne dowody, aby stawić czoło wykrętnym argumentom Wehrmachtu”. — „Myślę, Herr Oberführer, że nie będzie problemów z udowodnieniem słuszności naszego stanowiska w tej sprawie, oświadczyła Weseloh piskliwym głosem. Przykro mi, że nie będę mogła zrobić tego osobiście, ale przed wyjazdem zostawię pełny raport, w którym wyszczególnię wszystkie ważne punkty. Pozwoli to panu odeprzeć wszelkie zarzuty Wehrmachtu i Ostministerium”. — „Doskonale. Argumenty naukowe będzie pani łaskawa omówić z Hauptsturmführerem doktorem Aue, który przedstawi tę część. Ja sam zaprezentuję konkretne stanowisko Sicherheitspolizei z punktu widzenia zasad bezpieczeństwa”. Kiedy mówił, przejrzałem pobieżnie listę cytatów sporządzoną przez Weseloh w celu udowodnienia czysto żydowskich i sięgających daleko korzeni *Bergjuden*. „Pozwoli pan, Herr Oberführer, że poczynię pewną uwagę na temat dokumentacji sporządzonej przez doktor Weseloh. To wyśmienita praca, ale Fräulein Doktor całkowicie pominęła cytaty z tekstów, które zaprzeczają naszemu punktowi widzenia. Eksperti Wehrmachtu i Ostministerium nie omieszkają nam ich przedłożyć. Uważam, że w związku z tym podstawy naukowe naszego stanowiska pozostają dość słabe”. — „Hauptsturmführer Aue, wtrącił się Prill, chyba za dużo czasu spędził pan na rozmowach ze swoim przyjacielem Leutnantem Vossem. Można by odnieść wrażenie, że wpłynął na pański osąd tej sprawy”. Rzuciłem mu oburzone spojrzenie; proszę, proszę, oto, co knuli z Turkiem. „Myli się pan, Hauptsturmführer. Chciałem po prostu zauważyć, że istniejąca dokumentacja naukowa nie jest ostateczna i że opieranie na niej naszego stanowiska byłoby błędem”. — „Ten Voss chyba zginął?”, wszedł mi w słowo Leetsch. — „Tak, odpowiedział Bierkamp. Z rąk partyzantów, być może nawet tych właśnie Żydów. To oczywiście wielka strata. Mam jednak pewne podstawy, by uważać, że on aktywnie działał przeciwko nam. Hauptsturmführer Aue, rozumiem pańskie wątpliwości, ale powinien pan skupić się na istocie rzeczy, nie zaś na szczegółach. Interesy SP i SS są tutaj

jasno określone, i to się liczy”. — „Zresztą, dodała Weseloh, ich żydowski charakter aż kłuje w oczy. Mają służalcze maniery, chcieli nas nawet skorumpować”. — „Rzeczywiście, potwierdził Persterer. Kilka razy przychodzili do Kommando, przynosili futra, koce, garnki. Mówią, że w ten sposób chcą pomóc naszym oddziałom, ale podarowali nam też dywany, piękne noże i biżuterię”. — „Nie bądźmy frajerami”, wyskoczył Holste, który wyglądał, jakby się nudził. — „Tak, powiedział Prill, ale pomyślcie, że to samo robią z Wehrmachtem”. Dyskusja trwała jeszcze jakiś czas. Bierkamp zakończył: „Brigadeführer Korsemann osobiście stawi się na konferencji w Nalczyku. Nie sądzę, aby, jeżeli tylko dobrze przedstawimy sprawę, Grupa ośmieliła się nam otwarcie przeciwstawić. W końcu chodzi tu także o ich własne bezpieczeństwo. Sturmbannführer Persterer, liczę na pana aktywny udział w przygotowaniu *Aktion*, szybkiej i skutecznej. Gdy tylko będziemy mieć wolną rękę, sprawy powinny potoczyć się błyskawicznie. Chcę, żeby wszystko zakończyło się przed Bożym Narodzeniem, tak bym mógł włączyć dane do mojego raportu rocznego”.

Po zebraniu pożegnałem się z Weseloh. Uścisnęła mi serdecznie dłoń: „Hauptsturmführer Aue, nawet pan nie wie, jak bardzo jestem szczęśliwa, że spełniłam tę misję. Dla was, tutaj, na Wschodzie, wojna to codzienność, ale my, tam, w Berlinie, w biurach, szybko zapominamy o śmiertelnym zagrożeniu, w jakim znajduje się *Heimat*, o trudnościach i cierpieniach na froncie. Dzięki tej podróży zrozumiałam to wszystko całym swoim jestestwem. Wspomnienie o was, które zachowam w sercu, będzie dla mnie czymś bardzo cennym. Powodzenia, powodzenia. *Heil Hitler!*”. Twarz jej lśniła, była w stanie zadziwiającej egzaltacji. Odsalutowałem jej i odszedłem.

Jünger nadal był w Woroszyłowsku i słyszałem, że przyjmował najbardziej wytrwałych admiratorów; miał wkrótce wyjechać na inspekcję oddziałów Grupy Armii Ruoff pod Tuapse. Ale straciłem wszelką ochotę na spotkanie z nim. Wróciłem do Piatigorska, rozmyślając o Prillu. Wyraźnie próbował mi zaszkodzić, ale nie bardzo rozumiałem, dlaczego: nigdy nie szukałem z nim zaczepki, a jednak wolał stanąć po stronie Turka. Utrzymywał stały kontakt z Bierkampem i Leetschem, więc nie byłoby mu trudno, rzuciwszy raz po raz jakąś drobną insynuację, nastawić ich przeciwko mnie. Cała ta sprawa z *Bergjuden* mogła rzucić złe światło na moją osobę, nie miałem jednak żadnych uprzedzeń, chciałem po prostu przestrzegać zasad pewnej intelektualnej uczciwości i nie rozumiałem uporu Bierkampa, który za wszelką cenę dążył do tego, aby ich zlikwidować;

czy był szczerze przekonany o ich żydowskiej przynależności? Według mnie wcale nie wynikało to jasno z dokumentacji. Jeśli chodzi o wygląd i zachowanie, w niczym nie przypominali Żydów, których wszyscy znaliśmy; w swoim środowisku zdawali się we wszystkich punktach podobni do Kabardyńców, Bałkarów, Karaczajów. Tamci także dawali nam wspaniałe prezenty, taka panowała tu tradycja, wcale nie trzeba było dopatrywać się w tym korupcji. Ale musiałem uważać, moje niezdecydowanie mogło zostać poczytane za słabość i wiedziałem, że Prill i Turek wykorzystają każdy mój, najmniejszy nawet, fałszywy krok.

W Piatigorsku znów zamknięto Salę Map; armia Hotha, utworzona z niedobitków 4. Armii Pancерnej, rozpoczęła natarcie w kierunku *Kessel* od strony Kotielnikowa. Oficerowie jednak wykazywali optymizm i dzięki ich komentarzom dopowiedziałem sobie to, czego nie mówiły oficjalne komunikaty czy plotki. Wszystko kazało przypuszczać, że tak jak pod Moskwą, rok wcześniej, Führer miał rację, nie odpuszczając. Zresztą musiałem przygotować się do konferencji na temat *Bergjuden* i miałem mało czasu na inne sprawy. Czytając raporty i swoje notatki, myślałem o słowach Vossa, o tym, co powiedział podczas naszej ostatniej rozmowy, a analizując zebrane dowody, zastanawiałem się, co on by o nich sądził, co przyjąłby, a co odrzucił. Dossier, koniec końców, było bardzo szczupłe. Szczerze przypuszczałem, że hipoteza chazarska jest nie do przyjęcia, że tylko perskie pochodzenie miało tu jakiś sens, ale nie miałem żadnej pewności, co to może oznaczać. Straszliwie żałowałem, że nie ma już Vossa, był naprawdę świetny, był tu jedyną osobą, z którą mogłem poważnie porozmawiać. Reszta, z Wehrmachtu czy z SS, za nic miała sobie dyscyplinę i prawdę naukową, to była dla nich wyłącznie kwestia polityczna.

Konferencja odbyła się w połowie miesiąca, kilka dni po Kurban Bajram. Przybyło wielu uczestników, Wehrmacht polecił pospiesznie odrestaurować przestronną salę konferencyjną w dawnej siedzibie partii komunistycznej; stał w niej wielki owalny stół, ze śladami odłamków szrapneli, które przebiły się przez dach. Wywiązała się krótka i ożywiona dyskusja na temat pierwszeństwa: Köstring życzył sobie pogrupować poszczególne delegacje, administrację wojskową, Abwehrę, AOK, Ostministerium i SS, i wydawało się to logiczne, ale Korsemann upierał się, żeby rozsadzić uczestników według posiadanego stopnia. Köstring w końcu ustąpił, dzięki czemu Korsemann zasiadł po jego prawicy, Bierkamp nieco dalej, a ja znalazłem się prawie na końcu stołu, naprzeciw

Bräutigama, który był tylko Hauptmannem w rezerwie, i obok eksperta w cywilu z instytutu ministra Rosenberga. Köstring otworzył sesję, po czym kazał wprowadzić Selima Szadowa, szefa Narodowej Rady Kabardyńsko-Bałkarskiej, który wygłosił długie przemówienie o relacjach sąsiedzkich z długimi tradycjami, o wzajemnej pomocy, przyjaźni, a czasem nawet ślubach pomiędzy przedstawicielami ludów kabardyjskich, bałkarskich i tackich. Był to tłuścawy mężczyzna, ubrany w dwurzędowy garnitur z błyszczącego materiału, sumiasty wąs dodawał surowości jego obwisłej twarzy. Mówił po rosyjsku powoli i z emfazą, Köstring osobiście tłumaczył jego słowa. Gdy Szadow skończył, Köstring wstał i zapewnił go, po rosyjsku (tym razem tłumaczył nam *Dolmetscher*), że opinia Rady Narodowej zostanie uwzględniona, po czym wyraził nadzieję, iż problem zostanie rozwiązany w sposób satysfakcjonujący wszystkich. Spojrzałem na Bierkampa, siedział po drugiej stronie stołu, i cztery krzesła od Korsemana; położył czapkę na stole, obok papierów, i słuchał Köstringa, bębniąc palcami o blat; Korsemann drapał piórem odprysk po uderzeniu szrapnela. Po odpowiedzi Köstringa wyprowadzono Szadowa i generał usiadł, nie komentując rozmowy. „Proponuję, abyśmy zaczęli od raportów przygotowanych przez ekspertów, powiedział. Doktorze Bräutigam?” Bräutigam wskazał człowieka siedzącego po mojej lewej stronie, cywila o żółtawej karnacji, z opadającym wąsikiem, o tłustych starannie zaczesanych włosach, obsypanych, tak jak i ramiona, które nerwowo otrzepywał, drobinkami łupieżu. „Pozwolą panowie, że przedstawię: doktor Rehrl, specjalista od wschodniego judaizmu z Instytutu Kwestii Żydowskich we Frankfurcie”. Rehrl odkleił pośladki od krzesła w krótkim podskoku i odezwał się nosowym, monotonnym głosem: „Myślę, że mamy tutaj do czynienia z pozostałością po tureckiej społeczności, która przyjęła religię mojżeszową w okresie konwersji chazarskiej szlachty i która, w późniejszym okresie, w X lub XI wieku, podczas upadku Imperium Chazarskiego, schroniła się we wschodnich rejonach Kaukazu. Tutaj plemię zmieszało się, poprzez zawierane śluby, z góralskim plemieniem irańskojęzycznym, Tatami; część grupy etnicznej przyjęła lub też z powrotem przeszła na islam, podczas gdy reszta pozostała przy judaizmie, który się stopniowo zniekształcił”. Zaczął wymieniać dowody: po pierwsze, tackie nazwy żywności, ludzi i zwierząt, czyli fundamentalny substrat językowy, pochodzą głównie z języka tureckiego. Następnie zreferował szczupłe informacje, jakie posiadamy na temat dziejów konwersji Chazarów. Znajdowały się tam punkty godne uwagi, ale jego przemówienie okazało się tak

chaotyczne, że trudno było za nim nadażyć. Duże wrażenie wywarła na mnie jego argumentacja dotycząca nazw własnych: pewne nazwy świąt żydowskich, takich jak Chanuka czy Pesach, były używane przez *Bergjuden* jak nazwy własne, odnajdywano je na przykład w zrusyfikowanym nazwisku Chanukajew, czego nie zaobserwowano ani u Żydów aszkenazyjskich, ani u sefardyjczyków, a co zostało stwierdzone u Chazarów. Imię własne Chanuka, na przykład, pojawia się dwukrotnie w *Liście z Kijowa*, piśmie rekomendacyjnym napisanym po hebrajsku przez gminę chazarską tego miasta na początku X wieku, raz na kamieniu nagrobnym na Krymie i raz na liście chazarskich królów. To, według Rehrla, miałoby świadczyć o tym, iż *Bergjuden*, pomimo używanego języka, są rasowo powiązani raczej z Nogajami, Kałmukami i Bałkarami aniżeli z Żydami. Następnie zabrał głos szef komisji śledczej Wehrmachtu, zaczerwieniony oficer nazwiskiem Weintrop. „Moja opinia będzie równie stanowcza co opinia mojego szanownego kolegi. Według mnie ślady wpływu Żydów kaukaskich na tych słynnych Chazarów — o których wiemy naprawdę niewiele — są równie liczne co ślady świadczące o czymś zupełnie przeciwnym. Na przykład, w dokumencie znanym pod nazwą *Anonimowy list z Cambridge*, również datowanym na X wiek, napisane jest, że *Żydzi z Armenii pożenili się z mieszkańcami tej ziemi — czyli z Chazarami — wymieszali się z Niewiernymi, nauczyli się ich praktyk i zawsze w wojnach trwali u ich boku*. Stali się jednym narodem. Autor mówi tu o Żydach ze Środkowego Wschodu i o Chazarach. Armenia, o której wspomina, nie jest współczesną, znaną nam Armenią, lecz starożytną Wielką Armenią, obejmującą w zasadzie całą Transkaukazję i sporą część Anatolii...” Weintrop kontynuował w podobnym duchu; każdy jego kolejny argument zdawał się przeczyć poprzedniemu. „Przechodząc do obserwacji etnologicznych, stwierdzamy, że niewiele jest różnic pomiędzy nimi a ich sąsiadami nawróconymi na islam, czy też na chrześcijaństwo, jak Osetyńcy. Wpływy pogańskie również pozostają bardzo silne: *Bergjuden* praktykują demonologię, noszą talizmany, by ustrzec się przed działaniem złych duchów, i tym podobne. Przypomina to rzekome praktyki sufickie muzułmańskich górali, takie jak kult grobów czy rytualne tańce, które są również pozostałością pogańską. Poziom życia *Bergjuden* jest identyczny jak innych górali, zarówno w mieście, jak i w aule, który odwiedziliśmy. Trzeba wykluczyć tezę, jakoby *Bergjuden* wykorzystywali judeobolszewizm do wzmocnienia swojej pozycji. Przeciwnie, wydaje się, że ogólnie są chyba biedniejsi od Kabardyńców. Podczas posiłku w szabas kobiety i dzieci siedzą z dala

od mężczyzn: to przeciwieństwo tradycji żydowskiej, to tradycja góralska. Natomiast podczas wesel, które mieliśmy okazję obserwować, były setki kabardyńskich i bałkarskich gości, a *Bergjuden* — mężczyźni i kobiety tańczyli razem, co jest ściśle zakazane w ortodoksyjnym judaizmie”. — „Jakie są więc pańskie wnioski?”, spytał von Bittenfeld, adiutant Köstringa. Weintrop podrapał się w siwą głowę, ostrzyżoną prawie do skóry: „Na temat pochodzenia trudno cokolwiek powiedzieć, informacje są sprzeczne. Ale wydaje nam się oczywiste, że są całkowicie zasymilowani i zintegrowani, i jeśli można tak to ująć, permischlingt, wymieszani. Resztki krwi żydowskiej w ich żyłach są raczej znikome”. — „Ale przecież, zabrał głos Bierkamp, oni pozostają uparcie przywiązani do swojej żydowskiej religii, której tradycje zachowali w czystej postaci przez wieki”. — „Och, nie w czystej postaci, Herr Oberführer, nie w czystej postaci, co to, to nie, zaoponował jowialnie Weintrop. Wręcz przeciwnie, są bardzo zniekształcone. Oni całkowicie utracili wiedzę talmudyczną, jeżeli w ogóle kiedykolwiek ją mieli. Z tą swoją demonologią podchodzą raczej pod heretyków, tak jak Karaczaje. Zresztą Żydzi aszkenazyjscy gardzą nimi i mówią na nich *byky*, byki, co ma wydźwięk pejoratywny”. — „A jaka jest na ten temat opinia SS?”, odezwał się łagodnie Köstring, zwracając się do Korsemana. — „Jest to z pewnością ważna kwestia, zaopiniował Korsemann. Oddaję głos Obersturmführerowi Bierkampowi”. Bierkamp już zbierał swoje kartki: „Niestety, nasza specjalistka, doktor Weseloh, musiała wrócić do Niemiec. Zostawiła nam jednakże pełny raport, który zaprezentuję panu, Herr General, i który jest mocnym oparciem dla naszego stanowiska w tej sprawie: ci *Bergjuden* to wyjątkowo niebezpieczni *Fremdkörper*, stanowiący zagrożenie dla naszych oddziałów, zagrożenie, na które powinniśmy zareagować energicznie. Ten punkt widzenia, w przeciwieństwie do stanowiska badaczy, uwzględnia fundamentalną kwestię bezpieczeństwa, opiera się na analizie dokumentów naukowych, dokonanej przez doktor Weseloh, a wnioski wysnute na tej podstawie różnią się od wniosków innych obecnych tu specjalistów. Proszę, by przedstawił je Hauptsturmführer doktor Aue”. Skłoniłem głowę: „Dziękuję, Herr Oberführer. Uważam, że aby wszystko było jasne, należy sklasyfikować zebrane dowody na pewnych poziomach. Po pierwsze, mamy źródła historyczne, następnie żywe źródło, jakim jest język, dalej mamy wyniki badań z antropologii fizycznej i kulturowej i wreszcie badania etnologiczne w terenie, takie, jakie przeprowadzili doktor Weintrop i doktor Weseloh. Jeżeli weźmiemy pod uwagę źródła historyczne, to, jak się zdaje, zostało

stwierdzone, iż Żydzi zamieszkiwali Kaukaz na długo przed konwersją Chazarów”. Zacytowałem Beniamina de Tudelę i kilka innych starożytnych źródeł, takich jak *Derbent-Nameh*. „W IX wieku Eldad ha-Dani przybył na Kaukaz i zanotował, że Żydzi górscy wyróżniają się świetną znajomością Talmudu...” — „Ale ją zatracili!”, wszedł mi w słowo Weintrop. — „Istotnie, ale pozostaje faktem, iż w pewnej epoce talmudyści z Derbentu i z Szemachy w Azerbejdżanie cieszyli się sporą sławą. Jest to zresztą prawdopodobnie dość późne zjawisko: w rzeczy samej, żydowski podróżnik z lat osiemdziesiątych zeszłego wieku, niejaki Judasz Czerny, twierdził, że Żydzi przybyli na Kaukaz nie po, lecz przed zburzeniem Pierwszej Świątyni, i żyli odcięci od świata, pod perskim protektoratem, aż do IV wieku. I dopiero później, gdy Tatarzy najechali na Persję, *Bergjuden* spotkali Żydów z Babilonu, którzy przekazali im wiedzę o Talmudzie. To właśnie wtedy przejęli od nich tradycję i nauki rabinów, ale to nie zostało udowodnione. Aby uzyskać dowody na starożytność tego ludu, należy zwrócić się ku pozostałościom archeologicznym, takim, jak opuszczone ruiny w Azerbejdżanie, nazywane *Chifut Tebe*, Wzgórze Żydów, albo *Chifut Kabur*, Grobowiec Żydów. Są bardzo stare. Jeżeli zaś chodzi o język, to obserwacje doktor Weseloh potwierdzają twierdzenia świętej pamięci doktora Vossa: jest to zachodni współczesny dialekt irański — to znaczy powstały nie wcześniej niż w VIII albo IX, a nawet X wieku — co zdaje się zaprzeczać tezie o ich bezpośrednim chaldejskim pochodzeniu, wysuwanej przez Pantiukowa, za Quatrefagesem. Zresztą sam Quatrefages uważał, że Lezgini, niektórzy Swanowie i Chewsurowie również mają żydowskie korzenie; w języku gruzińskim *Chewis Uria* oznacza «Żyd z doliny». Baron Peter Usler, dużo bardziej rozsądnie, wysuwa sugestię o regularnych i częstych napływach imigracji żydowskiej na Kaukaz na przestrzeni dwóch tysiącleci. Każda taka fala w bardziej lub mniej wyraźny sposób integrowała się z lokalnymi plemionami. Problem języka można wyjaśnić w ten sposób, że Żydzi wymieniali kobiety z Tatami, społecznością irańską, która dotarła tutaj później; sami, jak się wydaje, przybyli tu w czasach Achemenidów, jako wojskowi koloni, ubezpieczając działania Derbentu przeciwko nomadom z równin Północy”. — „Żydzi jako wojskowi koloni?, rzucił jakiś Oberst z AOK. Przecież to śmieszne”. — „Nie bardzo, zaproponował Bräutigam. Żydzi sprzed Diaspory mieli długą wojenną tradycję. Wystarczy zajrzeć do Biblii. I niech pan sobie przypomni, jaki opór stawiali Rzymianom”. — „Ach tak, to było u Józefa Flawiusza”, wtrącił Korsemann. — „W rzeczy samej, Herr Brigadeführer”, zgodził się Bräutigam. — „Krótko mówiąc,

podjąłem, ten zespół faktów wydaje się obalać przypuszczenia o ich chazarskim pochodzeniu. Przeciwnie, hipoteza Wsiewołoda Millera, że to *Bergjuden* przekazali judaizm Chazarom, wydaje się bardziej prawdopodobna”. — „Mówiłem dokładnie to samo, wtrącił się Weintrop. Lecz pan, ze swoją lingwistyczną argumentacją, nie zaprzecza możliwości «wymieszania»,” — „Doprawdy, szkoda, że doktora Vossa nie ma już wśród nas, rzekł Köstring. Zapewne objaśniłby nam niektóre kwestie”. — „Tak, powiedział smutno von Gilsa. Bardzo go żałujemy. To wielka strata”. — „Niemiecka nauka, wyrzekł sentencjonalnie Rehrl, składa judeobolszewizmowi ciężką daninę”. — „Tak. ale w przypadku tego biednego Vossa chodziło raczej o nieporozumienie, powiedzmy, na tle kulturowym”, zauważył pospiesznie Bräutigam. — „Meine Herren, meine Herren, uciał Köstring. Odchodzimy od tematu. Hauptsturmführer?” — „Dziękuję, Herr General. Tak się nieszczęśliwie składa, że antropologia fizyczna nie daje nam narzędzi pozwalających rozstrzygać o prawdziwości rozmaitych hipotez. Pozwólcie panowie, że zacytuję dane zebrane przez wielkiego uczonego Erckerta w pracy *Der Kaukasus und seine Völker*, wydanej w 1887 roku. Otóż, jeśli chodzi o wskaźnik cefaliczny, to wynosi on 79,4 (mezocefalia) dla Tatarów z Azerbejdżanu, 83,5 (brachycefalia) dla Gruzinów, 85,6 (hiperbrachycefalia) dla Ormian i 86,7 (hiperbrachycefalia) dla *Bergjuden*”. — „Ha!, wykrzyknął Weintrop. Jak Meklemburczycy!...” — „Ciii..., uspokoił go Köstring. Proszę pozwolić Hauptsturmführerowi mówić”. Kontynuowałem: „Wysokość głowy: Kałmucy — 62; Gruzini — 67,9; Bergjuden — 67,9; Ormianie 71,1. Wskaźnik twarzowy: Gruzini — 86,5; Kałmucy — 87; Ormianie — 87,7 i Bergjuden — 89. Wreszcie wskaźnik nosowy: Bergjuden znajdują się na dole skali — 62,4, a Kałmucy u góry — 75,3, znaczna różnica. Gruzini i Ormianie są pomiędzy”. — „I co to ma oznaczać?, spytał Oberst z AOK. Nie rozumiem”. — „Oznacza to, wyjaśnił Bräutigam, który zapisał cyfry i dokonał szybkich obliczeń w pamięci, że jeśli uznamy kształt głowy za mniej lub bardziej istotny wyznacznik rasy, to Bergjuden stanowią jeden z najpiękniejszych typów kaukaskich”. — „Dokładnie tak twierdzi Erckert, podjąłem. Ale, oczywiście, takie podejście, jeżeli nawet nie zostało całkowicie odrzucone, jest w naszych czasach stosowane rzadko. Nauka poczyniła postępy”. Szybko podniosłem wzrok na Bierkampa, przyglądał mi się z surową miną, stukając ołówkiem w blat stołu. Nieznacznym ruchem ręki dał mi znak, żebym mówił dalej. Znów pogрузyłem się w dokumentach: „Antropologia kultury, z kolei, daje nam wielki zbiór argumentów. Musiałbym poświęcić zbyt wiele czasu, żeby omówić je

wszystkie. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o przedstawienie Bergjuden jako społeczności, która całkowicie przejęła zwyczaje górali, w tym także te dotyczące *kanly* czy *ichkil*, zemsty krwi. Wiemy, że wielcy tacy wojownicy walczyli u boku imama Szamila przeciwko Rosjanom, jak również, że przed kolonizacją rosyjską Bergjuden zajmowali się głównie pracą na roli i uprawiali winorośl, ryż, tytoń oraz rozmaite zboża”. — „To nie jest żydowskie zachowanie, zauważył Bräutigam. Żydzi nienawidzą ciężkich robót, takich jak praca na roli”. — „Niewątpliwie, Herr Doktor. Później, za Imperium Rosyjskiego, ze względu na okoliczności gospodarcze, Bergjuden przekształcili się jednakże w rzemieślników, wyspecjalizowanych w garbowaniu skór i jubilerstwie, jak również snycerzy i tkaczy dywanów oraz kupców. Ale jest to całkiem niedawna ewolucja, niektórzy Bergjuden do dziś są rolnikami”. — „Jak ci, których zabito pod Mozdokiem, tak?, przypomniał Köstring. Nigdy nie wyjaśniliśmy dokładnie tej historii”. Spojrzenie Bierkampa ciemniało. Mówiłem dalej: „Istnieje duże prawdopodobieństwo, że poza nielicznymi buntownikami, którzy przyłączyli się do Szamila, większość Bergjuden z Dagestanu, być może z powodu prześladowań ze strony muzułmanów, wybrała obóz rosyjski podczas wojen kaukaskich. Po zwycięstwie władze carskie nagrodziły ich, nadając im takie same prawa jak innym kaukaskim plemionom i umożliwiając dostęp do stanowisk w administracji. Przypomina to, oczywiście, metody żydowskiego pasożytnictwa, znane nam wszystkim. Należy jednak zauważyć, że większość tych praw została im odebrana przez reżim bolszewicki. W Nalczyku, jako że chodzi o autonomiczną republikę kabardyńsko-bałkarską, wszystkie stanowiska, których nie przyznano Rosjanom czy radzieckim Żydom, zostały podzielone między te dwa narody. Tutejsi Bergjuden praktycznie nie zajmowali stanowisk w administracji, poza kilkoma archiwistami i drobnymi urzędnikami. Interesujące byłoby przyjrzenie się sytuacji w Dagestanie”. Na zakończenie zacytowałem etnologiczne obserwacje Weseloh. „Nie wydaje się, żeby zaprzeczały naszym wnioskom”, mruknął pod nosem Weintrop.

— „Nie, Herr Major. Uzupełniają je”. — „Z tym że, wymamrotał Rehl w zamyśleniu, spora część pańskich informacji nie pokrywa się z tezą o pochodzeniu chazarskim lub tureckim. A jednak, uważam, że jest solidna. Nawet wasz Miller...” Köstring przerwał mu, pokaszując: „Jesteśmy pod wielkim wrażeniem rozległej erudycji specjalistów SS, zwrócił się do Bierkampa z namaszczeniem, ale wasze wnioski nie wydają mi się skrajnie różne od wniosków Wehrmachtu, czyż nie?”. Teraz Bierkamp był

chyba wściekły i przestraszony; przygryzał wargi: „Jak już stwierdziliśmy, Herr General, obserwacje naukowe pozostają dość oderwane od rzeczywistości. Należy je zestawić z tymi poczynionymi przez Sicherheitspolizei. I dopiero to pozwoli nam wywnioskować, że mamy tu do czynienia z rasowo niebezpiecznym wrogiem”. — „Wybaczy pan, Herr Oberführer, odezwał się Bräutigam. Nie jestem przekonany”.

— „To dlatego, że jest pan cywilem i patrzy pan na całą sprawę z punktu widzenia cywila, Herr Doktor, odgryzł się oschle Bierkamp. Nie przypadkiem Führer uznał, iż funkcje związane z bezpieczeństwem Rzeszy należy powierzyć SS. No i jest jeszcze kwestia *Weltanschauung*”. — „Nikt tu nie podaje w wątpliwość kompetencji Sicherheitspolizei ani SS, Oberführer, podjął Köstring flegmatycznym, ojcowskim tonem. Wasze siły są dla Wehrmachtu cenną pomocą. Jednakże administracja wojskowa, która również powstała dzięki decyzji Führera, powinna wziąć pod uwagę wszystkie aspekty tego problemu. W kontekście politycznym, wszczynając nie całkiem uzasadnioną akcję przeciwko Bergjuden, sami sobie zaszkodzimy. Potrzebowalibyśmy bardzo naglących motywów, żeby to zrównoważyć. Oberst von Gilsa, jakie jest zdanie Abwehry na temat poziomu ryzyka związanego z tą społecznością?” — „Kwestia ta została przywołana podczas naszej pierwszej konferencji na ten temat, Herr General, w Woroszyłowsku. Od tamtego czasu Abwehra uważnie obserwuje Bergjuden. Jak dotąd nie udało nam się odnotować choćby najmniejszego śladu działań dywersyjnych. Żadnych kontaktów z partyzantami, sabotażu, żadnego szpiegowania, nic. Gdyby wszystkie inne narody zachowywały się tak spokojnie, mielibyśmy bardzo ułatwioną pracę”. — „Ale SP uważa właśnie, że nie należy czekać na zbrodnię, żeby jej zapobiec”, sprzeciwił się rozwścieczony Bierkamp. — „Być może, odpowiedział von Bittenfeld, w przypadku interwencji prewencyjnej należałoby jednak rozważyć zarówno korzyści, jak i ryzyko”. — „W każdym razie, ciągnął Köstring, jeżeli nawet ryzyko ze strony Bergjuden istnieje, to nie jest ono bezpośrednie?” — „Nie, Herr General, potwierdził von Gilsa. Przynajmniej zdaniem Abwehry”. — „Pozostaje więc kwestia rasowa, powiedział Köstring. Usłyszeliśmy wiele argumentów. Sądzę jednak, że wszyscy możemy się zgodzić, iż żaden z nich niczego nie rozstrzygnął ostatecznie, ani w jedną, ani w drugą stronę”. Przerwał i potarł dłonią policzek. „Mam wrażenie, że brakuje nam danych. Prawdą jest, iż Nalczyk nie jest naturalnym miejscem zamieszkania tych Bergjuden, a to z pewnością zniekształca perspektywę. Proponuję więc, byśmy odroczyli tę kwestię do chwili zajęcia przez nas

Dagestanu. Na miejscu, w ich naturalnej ojczyźnie, nasi badacze powinni mieć możliwość dotarcia do bardziej wiarygodnych dowodów. Wtedy zwołamy nową komisję”. Zwrócił się do Korsemana: „Co pan o tym sądzi, Brigadeführer?”. Korsemann zawahał się, spojrzął z ukosa na Bierkampa, znów się zawahał i rzekł: „Nie widzę przeszkód, Herr General. Myślę, że w ten sposób interesy wszystkich stron, w tym również SS, zostaną zaspokojone. Nieprawdaż, Oberführer?”. Bierkamp nie odpowiedział od razu: „Skoro tak pan uważa”. — „Oczywiście, powiedział jowialnie Köstring, przez ten czas będziemy ich bardzo uważnie obserwować. Oberführer, liczę również na czujność pańskiego Sonderkommando. Jeżeli zrobią się bezczelni albo nawiążą kontakt z partyzantami, to raz, dwa i po sprawie. Doktorze Bräutigam?” Głos Bräutigama był jeszcze bardziej nosowy niż zwykle: „Ostministerium nie ma żadnych obiekcji co do pańskiej, jak najbardziej rozsądnej, propozycji, Herr General. Myślę, że powinniśmy również podziękować specjalistom, także tym, którzy przybyli tu specjalnie aż z Rzeszy, za ich znakomitą pracę”. — „Absolutnie, absolutnie, zgodził się Köstring. Doktorze Rehrl, majorze Weintrop, Hauptsturmführer Aue, gratulujemy panom, jak również pańskim kolegom”. Rozległy się oklaski. Ludzie zaczęli wstawać, szurały krzesła, szeleściły papiery. Bräutigam obszedł stół i uściskał mi dłoń: „Świetna robota, Herr Hauptsturmführer”. Zwrócił się do Rehrla: „Oczywiście, teza o Chazarach może się jeszcze obronić”. — „Och, odparł Rehrl, zobaczymy w Dagestanie. Jestem pewien, że natkniemy się tam na nowe dowody, tak jak mówi generał. Zwłaszcza w Derbencie możemy dotrzeć do dokumentów, do pozostałości archeologicznych...”. Popatrzyłem na Bierkampa, podbiegł do Korsemana i mówił coś do niego, prędko, cicho, gestykułując dłonią. Köstring dyskutował z von Gilsą i Oberstem z AOK. Zamieniłem kilka zdań z Bräutigamem, a potem zebrałem swoje teczki i skierowałem się do wyjścia, gdzie znikli już Bierkamp i Korsemann. Bierkamp zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem. „Myślałem, że bardziej zależy panu na interesach SS, Herr Hauptsturmführer”. Nie dałem się zbić z tropu: „Herr Oberführer, nie pominąłem żadnego dowodu na ich żydostwo”. — „Mógł pan je przedstawić w sposób bardziej dosadny. Mniej dwuznaczny”. Korsemann odezwał się ochryple: „Nie rozumiem, o co ma pan pretensje, Oberführer. Świetnie sobie poradził. Zresztą generał dwukrotnie mu pogratulował”. Bierkamp wzruszył ramionami: „Zastanawiam się, czy Prill jednak nie miał racji”. Nie odpowiedziałem. Za nami zbierali się inni uczestnicy konferencji, wychodzący z sali. „Czy ma pan dla mnie kolejne

instrukcje, Herr Oberführer?”, spytałem w końcu. Zrobił nieokreślony ruch ręką: „Nie. Nie teraz”. Zasalutowałem i wyszedłem za von Gilsą.

Powietrze było suche, rześkie, kąsające. Odetchnąłem głęboko i poczułem, jak zimno pali wnętrze moich płuc. Wszystko wokół było zmrożone, nieme. Von Gilsa wsiadł do swojego samochodu razem z Oberstem z AOK, a mnie zaprosił na przednie siedzenie. Zamieniliśmy kilka słów, a potem, stopniowo, wszyscy zamilkli. Rozmyślałem o konferencji: gniew Bierkampa był zrozumiały. Köstring nieźle nas ograł. Wszyscy na sali świetnie wiedzieli, że Wehrmacht nie ma żadnych szans, żeby dotrzeć do Dagestanu. Niektórzy przypuszczali nawet — chociaż być może akurat nie Korsemann czy Bierkamp — że, wręcz przeciwnie, Grupa Armii A będzie musiała wkrótce ewakuować się z Kaukazu. Nawet jeśli Hothowi udałoby się połączyć z Paulusem, to tylko po to, by wycofać 6. Armię na Czir, a nawet w dolny odcinek Donu. Wystarczyło spojrzeć na mapę, żeby zrozumieć, iż pozycja Grupy Armii A stawała się nie do utrzymania. Köstring musiał mieć wyrobiony pogląd na ten temat. Dlatego też wykluczone było, żebyśmy mieli zrażać do siebie górali z tak błahego powodu, jak kwestia *Bergjuden*: już i tak, gdy zrozumieją, że wraca Armia Czerwona, możemy spodziewać się rozruchów z ich strony — choćby dlatego, że będą się chcieli wykazać, fakt, że z jakimś opóźnieniem, lojalnością i patriotyzmem — należało więc za wszelką cenę zapobiec pogorszeniu sytuacji. Odwrót przez całkowicie nieprzyjazne terytorium, sprzyjające ruchom partyzanckim, mógł okazać się katastrofą. Należało więc dać coś w zastaw zaprzyjaźnionym narodom. Ale nie wydaje mi się, żeby Bierkamp był w stanie to zrozumieć; jego krótkowzroczność wynikała z jego policyjnej mentalności, tym silniejszej, że owładniętej obsesją liczb i raportów. Niedawno jedno z Einsatzkommandos zlikwidowało sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę, na rubieżach regionu krasnodarskiego. Większość dzieci to byli górale, rady narodowe żywo protestowały, wywiązały się bójki, które kosztowały życie kilku żołnierzy. Bajramukow, karaczajski dowódca, groził von Kleistowi ogólnym powstaniem, w razie gdyby coś takiego się powtórzyło. Von Kleist wysłał gniewny list Bierkampowi, ale ten, jak słyszałem, przyjął go z dziwną obojętnością: nie bardzo widział, w czym leży problem. Korsemann, bardziej uwrażliwiony na rolę żołnierzy, musiał interweniować i zobowiązał go do wysłania nowych instrukcji do Kommandos. Dlatego Köstring nie miał wyboru. Przybywając na konferencję, Bierkamp sądził, że nie nastąpiło jeszcze ostateczne rozdanie, ale Köstring, a

pewnie Bräutigam też, już poznaczyli karty — wymiana poglądów to był tylko spektakl, przedstawienie dla niewtajemniczonych. Nawet gdyby uczestniczyła w nim Weseloh albo gdybym użył całkowicie tendencyjnych argumentów, nic by to nie zmieniło. Argument o Dagestanie był błyskotliwy, nie do obejścia: wypływał naturalnie z tego, co zostało tutaj powiedziane, i Bierkamp nie mógł zgłosić żadnego rozsądnego zastrzeżenia. Wyznanie prawdy, że nie będzie żadnej okupacji Dagestanu, było po prostu nie do pomyślenia — Köstring miałby świetną okazję do wyrzucenia Bierkampa za defetyzm. Nie bez przyczyny żołnierze nazywali Köstringa „szczwanym lisem”: było to, myślałem z gorzką radością, mistrzowskie posunięcie. Wiedziałem, że będę miał nieprzyjemności: Bierkamp spróbuje przerzucić na kogoś odpowiedzialność za swoją porażkę i ja nadawałem się do tego najlepiej. A przecież włożyłem w swoją pracę dużo energii, wykazałem zdyscyplinowanie; tylko że tak jak podczas misji w Paryżu, nie zrozumiałem reguł tej gry, szukałem prawdy tam, gdzie nie chciano prawdy, a jedynie politycznej korzyści. Prill i Turek znów będą mogli w najlepsze obrzucać mnie kalumniami. Ale przynajmniej Voss przyjąłby moje wystąpienie z aprobatą. Niestety, Voss nie żył, a ja znowu zostałem sam.

Zapadał zmierzch. Gruby szron oblepiał wszystko: powykręcane gałęzie drzew, druty i słupy parkanów, gęstą trawę, ziemię prawie nagich pól. Jechaliśmy przez krainę strasznych białych kształtów, niepokojących, feerycznych, przez kryształową planetę, pozbawioną wszelkich oznak życia. Spojrzałem na góry: rozległa błękitna ściana przecinała horyzont jak strażnik innego, ukrytego świata. Słońce, chyba po stronie Abchazji, zachodziło za grzbiety, ale światło nadal jeszcze opromieniało szczyty, kładąc na śniegu wspaniałe, lekkie refleksy, różowe, żółte, pomarańczowe, purpurowe, które przemieszczały się subtelnie z wierzchołka na wierzchołek. Piękno tej sceny było okrutne, zapierające dech, niemal ludzkie, a jednocześnie wykraczające poza wszelką ludzką troskę. Powoli, tam, za górami, morze pochłaniało słońce, kolory gasły jeden po drugim, pozostawiając śnieg — najpierw beżowy, potem szarobiały, który skrzył spokojnie w ciemności. Powleczone szronem drzewa stawały w stożkach światła naszych reflektorów jak ruchome stworzenia. Mogłem pomyśleć, że znalazłem się po drugiej stronie, w krainie, którą tak dobrze znają dzieci, skąd już nie ma powrotu.

Nie myliłem się co do Bierkampa: cios spadł wcześniej, niż się spodziewałem. Cztery dni po konferencji wezwał mnie do Woroszyłowska. Dwa dni wcześniej proklamowano autonomiczny Dystrykt Kabardyńsko-Bałkarski, podczas celebracji Kurban Bajram, w Nalczyku, ale nie brałem udziału w ceremonii; podobno Bräutigam wygłosił długą przemowę, a górale obsypali oficerów prezentami: kindżały, dywany, przepisywane ręcznie egzemplarze Koranu. Na stalingradzkim froncie, jeśli wierzyć pogłoskom, pancerne oddziały Hotha z trudem posuwały się naprzód i zostały rozbite nad rzeką Myszkowa, sześćdziesiąt kilometrów od *Kessel*. W tym czasie Sowieci, nieco dalej na północ, nad Donem, rozpoczęli nową ofensywę przeciwko Włochom; mówiono o rozprężeniu, a rosyjskie czołgi zagrażały teraz aerodromom, z których Luftwaffe nie bez przeszkód aprowizowała *Kessel*. Oficerowie Abwehry odmawiali podania dokładnych informacji, niełatwo było wyrobić sobie precyzyjny pogląd na temat tej krytycznej sytuacji, nawet po zebraniu rozmaitych pogłosek. Przekazywałem do Gruppenstab to, co udało mi się zrozumieć albo potwierdzić, ale miałem wrażenie, że moich raportów nikt nie traktuje poważnie: ostatnimi czasy otrzymałem ze sztabu Korsemanna listę SSPF i innych funkcjonariuszy SS przydzielonych do poszczególnych dystryktów Kaukazu, w tym także Groznego, Azerbejdżanu i Gruzji, oraz pracę o roślinie *kok-sagy*, która porastała okolice Majkopu i którą Reichsführer planował uprawiać na szeroką skalę jako surowiec do produkcji substytutu kauczuku. Zastanawiałem się, czy Bierkamp myśli w sposób równie mało realistyczny; tak czy inaczej jego wezwanie niepokoiło mnie. W drodze próbowałem zebrać argumenty, mające pomóc mi w obronie, przygotować jakąś strategię, ale ponieważ nie wiedziałem, co ma do powiedzenia, gubiłem się w tym.

Spotkanie trwało krótko. Bierkamp nie poprosił, żebym usiadł, stałem na baczność, gdy podawał mi kartkę papieru. Spojrzałem na nią, nie rozumiejąc, o co chodzi: „Co to takiego?”, spytałem. — „Pańskie przeniesienie. Dowódca struktur policyjnych w Stalingradzie pilnie potrzebuje oficera SD. Poprzedni zginął dwa tygodnie temu. Poinformowałem Berlin, że Gruppenstab wytrzyma redukcję personelu, i przystali na pańskie przeniesienie. Gratulacje, Hauptsturmführer. To szansa dla pana”. Stałem sztywno: „Mógłbym wiedzieć, dlaczego zaproponował pan mnie, Herr Oberführer?”. Bierkamp nadal patrzył na mnie bez cienia sympatii, ale lekko się uśmiechnął: „Życzę sobie, by w moim sztabie generalnym pracowali oficerowie, którzy rozumieją, jakie mamy wobec nich oczekiwania i nie wymagają precyzowania szczegółów; w przeciwnym razie

równie dobrze mógłbym sam wykonywać ich pracę. Mam nadzieję, że praca SD w Stalingradzie będzie dla pana pożyteczną nauką. Niezależnie od wszystkiego pozwolę sobie zauważyć, że pańska obyczajowość jest na tyle dwuznaczna, iż stała się podłożem nieprzyjemnych plotek w sercu Grupy. Niektórzy domagali się nawet interwencji SS-Gericht. Z zasady nie daję wiary takim plotkom, zwłaszcza jeśli dotyczą oficera tak dobrze wyrobionego politycznie jak pan, ale nie pozwoliłbym, by jakikolwiek skandal podważył reputację mojej Grupy. Na przyszłość radziłbym panu dołożyć wszelkich starań, by pańskie zachowanie nie stało się pożywką dla podobnych opowieści. Może pan odmaszerować”. Wymieniliśmy niemieckie pozdrowienie i wyszedłem. W korytarzu minąłem gabinet Prilla; drzwi były otwarte, widziałem, że spojrzał na mnie z uśmiechem. Stałem na progu i też na niego spojrzałem, a promienny uśmiech, uśmiech dziecka, zakwitł na mojej twarzy. Jego uśmiech stopniowo gasł, teraz patrzył na mnie ponuro, bezradnie. Nic nie mówiłem, tylko się uśmiechałem. W rękę cały czas trzymałem rozkaz przeniesienia. A potem wyszedłem.

Nadal było mroźno, ale grzała mnie pelisa, przeszedłem kilka kroków. Nie do końca uprzątnięty śnieg był zamarznięty i śliski. Na rogu, przed hotelem Kawkaz, ujrzałem przedziwną scenę: niemieccy żołnierze wychodzili z budynku, niosąc manekiny ubrane w napoleońskie mundury. Była tam husaria w czakach i w dolmanach: pąsowych, pistacjowych i żółtych; byli dragoni w zielonych mundurach o amarantowych lamówkach, wiarusi w niebieskich płaszczach ze złotymi guzikami, hanowerczycy w purpurze, chorwacki strzelec w bieli, z czerwonym krawatem. Jedni żołnierze wstawiali manekiny pod plandeki ciężarówek, drudzy przywiązywali je linami. Podeszedłem do żandarma polowego, który nadzorował akcję: „Co tu się dzieje?”. Zasalutował i odpowiedział: „To jest muzeum regionalne, Herr Hauptsturmführer. Wywozimy zbiory do Niemiec. Rozkaz OKHG”. Patrzyłem na nich jeszcze przez chwilę i wróciłem do samochodu, dierząc w dłoni marszrutę. *Finita la commedia.*

Kurant

Wsiadłem więc do pociągu w Minwodach i powoli jechałem na północ. Podróż była utrudniona, kilka razy musiałem zmieniać skład. W obskurnych poczekalniach żołnierze stali całymi setkami lub leżeli rozwaleni na tobołach, w oczekiwaniu na zupełną albo trochę ersatzu i na dalszą podróż w nieznane. Ktoś zrobił mi miejsce na kawałku ławki, siedziałem tam bez ruchu do chwili, gdy wykończony zawiadowca stacji potrząsnął moim ramieniem. Wreszcie w Salsku wsadzono mnie do pociągu jadącego do Rostowa, pełnego ludzi i sprzętu dla armii Hotha. Te niejednolite oddziały uformowano pośpiesznie, trochę byle jak, z żołnierzy na przepustkach, przechwyconych na drogach Rzeszy, gdzieś pod Lublinem, a nawet Posen, a następnie wyekspediowanych z powrotem do Rosji, z poborowych, którzy przekroczyli przepisowy wiek, poddanych przyspieszonemu i skróconemu szkoleniu, z rekonwalescentów zbieranych po lazaretach, z niedobitków 6. Armii, którzy znaleźli się poza granicami *Kessel* w wyniku ucieczek. Chyba niewielu z nich zdawało sobie sprawę z powagi sytuacji; trudno się było dziwić, komunikaty wojskowe uparcie milczały, ograniczając się do wzmianek na temat *działań w sektorze stalingradzkim*. Nie rozmawiałem z tymi żołnierzami, ułożyłem swój ekwipunek, skulony wbiłem się w kąt przedziału i przyglądałem się nieuważnie roślinnym motywom, rozgałęzionym i precyzyjnym, wymalowanym na szybie przez mróz. Nie chciałem myśleć, ale gorzkie myśli i tak napływały, litowałem się nad samym sobą. Bierkamp, judził mój wewnętrzny głos, lepiej by zrobił, umieszczając mnie z urzędu naprzeciw plutonu egzekucyjnego, to byłoby bardziej humanitarne niż pełne hipokryzji przemowy o wartościach edukacyjnych oblężenia w samym środku rosyjskiej zimy. Dzięki Bogu, popiskiwał we mnie inny głos, mam przynajmniej pelisę i buty. Największą trudność sprawiało mi doszukiwanie się wartości edukacyjnych w kawałkach rozpalonego metalu, które przeszyją moje ciało. Gdy strzelaliśmy do Żyda czy bolszewika, nie miało to żadnych wartości edukacyjnych, ginęli i tyle, chociaż mówiąc o tym, także używaliśmy eufemizmów. Sowiet, gdy chcieli kogoś ukarać, wysyłali go do sztrafbatu, gdzie przeżywalność rzadko przekraczała kilka tygodni: metoda brutalna, lecz szczerą, jak niemal wszystko, co robili. Na tym zresztą, tak uważałem, polegała między innym ich przewaga nad nami (poza dywizjami i czołgami, niezliczonymi, jak się zdawało): przy nich człowiek przynajmniej wiedział, na czym stoi.

Tory były zawałone, godzinami czekaliśmy na odgruzowanie, a o pierwszeństwie decydowały zasady ustalone przez tajemnicze i odległe instancje. Czasem zmuszałem się, by wysiąść, odetchnąć ostrym powietrzem i rozprostować nogi; poza pociągiem nie było niczego: rozległa biała równina, pusta, omieciona wiatrem, wyczyszczona z wszelkiego życia. Śnieg pod moimi stopami, twardy i suchy, pękał z trzaskiem jak skorupa, wiatr, gdy stawałem do niego twarzą, szczypał mnie w policzki; odwracałem się więc plecami i patrzyłem na step, na pociąg, na białe oszronione szyby, na nielicznych żołnierzy, których, jak mnie, wygoniła na zewnątrz nuda albo biegunka. Nachodziły mnie dziwne chęci: chciałem położyć się na śniegu, skulony, otulony pelisą, i zostać tak aż do odjazdu pociągu, schowany pod cienką warstwą śniegu, w kokonie, który, jak sobie wyobrażałem, jest delikatny, ciepły, miękki, jak brzuch, z którego kiedyś tak okrutnie mnie wypchnięto. Te fale *spleenu* przerażały mnie; gdy udawało mi się jakoś wziąć w garść, myślałem, skąd się to mogło brać. Przecież nie miałem tego w zwyczaju. To strach, dochodziłem w końcu do wniosku. No dobrze, strach, ale przed czym? Śmierć — myślałem, że oswoiłem ją w sobie, i to wcale nie w hekatombach Ukrainy, ale dużo wcześniej. A może było to tylko złudzenie, zasłona, spuszczone przez mój umysł na brudny, zwierzęcy instynkt, który trwał przyczajony? Tak, to było możliwe. Ale niewykluczone, że chodziło tu o poczucie zamknięcia: jadę żywy do rozległego więzienia pod gołym niebem, jak na bezpowrotne wygnanie. Chciałem służyć, dokonałem dla mojej Ojczyzny, dla mojego Narodu i w imię tej służby rzeczy trudnych, przerażających, w niezgodzie ze sobą samym; i oto wygnano mnie ze mnie samego, z mojego życia, i wysłano do martwych, do opuszczonych. Ofensywa Hotha? Stalingrad to nie Demiańsk, już przed 19 listopada traciliśmy dech, byliśmy u kresu sił, dotarliśmy do najdalszych granic, my, tak potężni, my, którym zdawało się, że dopiero zaczynamy. Stalin, ten przebiegły Osetyniec, wykorzystał w walce z nami taktykę scytyjskich przodków: odwrót bez końca, byle dalej w głąb terytorium, zabawa w, jak to nazywał Herodot, *piekielny pościg*; gra, ogrywanie pustki. *Ilekroć Scytowie zauważyli wśród Persów niepokój, tak się urządzali, chcąc żeby oni dłuższy jeszcze czas pozostali w Scytii i skutkiem tego trapieni byli zupełnym niedostatkiem. Zostawiali nieco własnego bydła wraz z pasterzami, a sami nieznacznie oddalali się w inne miejsce. Wtedy nadchodzili Persowie, chwyтали bydło, a zabrawszy je, dumni byli z takiego czynu. To częściej się zdarzało. Wreszcie jednak Dariusz znalazł się w kłopotliwej sytuacji.* Wtedy właśnie (opowiada Herodot) Scytowie przekazali Dariuszowi tajemnicze

przesłanie w formie ofiary: ptaka, szczura, żabę i pięć strzał. Nam nie składano ofiar, nie dla nas przesłania, my dostaliśmy śmierć, zniszczenie, kres nadziei. Czy wtedy tak to wszystko widziałem? A może te myśli pojawiły się dużo później, gdy zbliżał się koniec, albo gdy wszystko już było skończone? Możliwe, ale możliwe również, że myślałem już o tym w drodze między Salskiem a Kotielnikowem, bo dowody istniały, wystarczyło otworzyć oczy, żeby je dojrzeć, i smutek być może już wtedy zaczynał rozwierać mi powieki. Trudno ocenić, to było jak sen, po którym rankiem zostają tylko ślady, niewyraźne, kruche, jak te zaszyfrowane linie, które, niczym dziecko, kreśliłem paznokciem na oszronionych szybach pociągu.

W Kotielnikowie, strefie wyjściowej ofensywy Hotha, rozładowywano jakiś pociąg, musieliśmy czekać kilka godzin, żeby wysiąść. Była to mała wiejska stacja z odrapanych cegieł, kilka peronów z marnego betonu pomiędzy torami. Tu i ówdzie wagony z wybitym niemieckim godłem miały oznaczenia czeskie, francuskie, belgijskie, duńskie, norweskie: aby zebrać wystarczającą ilość sprzętu i ludzi, wymiataliśmy wszystkie kąty Europy. Stałem oparty o otwarte drzwi wagonu, paliłem i przyglądałem się bezładnej bieganinie na dworcu. Byli tu żołnierze niemieccy ze wszystkich armii, rosyjscy i ukraińscy Polizei, z opaskami opatrzonymi swastyką i starymi karabinami na ramionach, *Hiwi* o zapadniętych policzkach, zaczerwieniem od zimna chłopci, którzy przyszli tu, żeby sprzedać lub wymienić na coś innego nędzne, marynowane warzywa albo rachityczną kurę. Niemcy mieli płaszcze albo pelisy, Rosjanie — wutowane kurtki, zazwyczaj w strzępach, z dziur wyłaziły kłęby słomy i kawałki gazet. Ten różnobarwny tłum rozmawiał, krzyczał, kotłował się u mych stóp, w wielkich, podrygujących napływach. Tuż pode mną prowadziło się pod ramię dwóch wysokich, smutnych żołnierzy, trochę dalej Rosjanin, wynędzniały, brudny, drżący, ubrany jedynie w cienką kurtkę z tkaniny, chodził wzdłuż peronu z akordeonem; zbliżał się do grup żołnierzy albo policjantów, a oni posyłali go do diabła brutalnym słowem albo szturchańcem czy też w najlepszym przypadku po prostu się odwracali. Gdy dotarł do mnie, wyjąłem z kieszeni banknot o małym nominale i podałem mu. Myślałem, że pójdzie dalej, ale on został i zapytał mnie, mieszając rosyjski i słaby niemiecki: „Jaką chcesz? Popularną, tradycyjną, kozacką?”. Nie zrozumiałem, o czym mówi, więc wzruszyłem ramionami: „wybierz jakąś”. Namyślał się przez chwilę, po czym zaintonował piosenkę kozacką, którą znałem, bo często słyszałem ją na Ukrainie, jej refren idzie wesoło: „*Oj, ty Gala, Gala, mołodaja...*”, a opowiada historię młodej

dziewczyny, którą porwali Kozacy, przywiązali jej własnymi długimi i jasnymi warkoczami do sosny, po czym spalili żywcem. To było przepiękne. Mężczyzna śpiewał z twarzą zwróconą ku górze, ku mnie. Jego wyblakłe, niebieskie oczy lśniły delikatnie zza alkoholowej mgły i brudu, obsypane rudawym zarostem policzki drżały. Głos, niski, przepalony złym tytoniem i alkoholem, brzmiał jasno, czysto i mocno, a on śpiewał zwrotkę za zwrotką, jak gdyby nigdy nie miał zamilknąć. Klawisze akordeonu migąły mu pod palcami. Zamieszanie na peronie ustało, ludzie patrzyli i słuchali nieco zdziwieni, wzruszeni prostym i niestosownym pięknem tej pieśni, choć przecież jeszcze kilka minut temu traktowali go z pogardą. Z drugiej strony zbliżały się trzy grube kołchoźnice, jak trzy tłuste gęsi na wiejskiej drodze, unosząc na wysokości twarzy duży biały trójkąt, wełniany szal, robiony na drutach. Akordeonista zagroził im drogę, rozlały się wokół niego jak morska piana wokół skały, a gdy obrócił się lekko w drugą stronę, nie przerywając piosenki, kobiety sunęły dalej, wzdłuż pociągu, a tłum falował i słuchał pieśniarza. Za mną, w przedsiönku, stało kilku żołnierzy, wyszli z przedziałów, żeby też posłuchać. Miałem wrażenie, że to się nie skończy, po każdej zwrotce zaczynał następną — nie chcieliśmy, żeby się skończyło. Ale wreszcie przestał śpiewać i nie czekając dłużej, poszedł dalej, do następnych wagonów, gdy tymczasem ludzie u moich stóp rozpięzchli się albo wrócili do swoich zajęć i do czekania.

Wreszcie mogliśmy wysiąść. Na peronie żandarmi połowi sprawdzali dokumenty i kierowali ludzi do różnych punktów zbiórki. Mnie wysłano do biura dworcowego. Jakiś wymęczony komisarz popatrzył na mnie zgaszonym wzrokiem: „Stalingrad? Nie mam bladego pojęcia. Tutaj jest armia Hotha”. — „Przysłano mnie tu. Podobno mam zostać przewieziony na jedno z lotnisk”. — „Lotniska są na drugim brzegu Donu. Proszę iść zapytać do kwatery głównej”. Inny żandarm połowy powiedział, żebym wsiadł do ciężarówki jadącej do AOK. Tam trafiłem wreszcie na oficera operacyjnego, który poinformował mnie: „Samoloty do Stalingradu startują z Tacyńskiej. Ale zazwyczaj oficerowie, którzy dołączają do 6. Armii, jadą do Nowoczerkaska, gdzie znajduje się kwatera główna Grupy Armii Don. My mamy połączenie z Tacyńską mniej więcej raz na trzy dni. Nie rozumiem, dlaczego przysłano pana tutaj. Cóż, spróbujemy coś znaleźć”. Miałem zaczekać w kwaterze zastawionej kilkoma podwójnymi łózkami. Wrócił po kilku godzinach. „W porządku, z Tacyńskiej wysyłają po pana storcha. Idziemy”. Szofer wywiózł mnie poza granice osady, aż do prowizorycznego pasa startowego na śniegu.

Znów czekałem, w szalasiu ogrzewanym kozą, piłem ersatz z kilkoma oficerami Luftwaffe. Idea mostu powietrznego nad Stalingradem doprowadzała ich do głębokiej rozpaczy: „Tracimy od pięciu do dziesięciu maszyn dziennie, w Stalingradzie podobno zdychają z głodu. Jeżeli generał Hoth nie zdoła się przebić, to koniec z nimi”. — „Na pana miejscu, powiedział przyjaźnie jeden z nich, wcale bym się tak tam nie spieszył”. — „Nie mógłby pan trochę zabłądzić?”, dorzucił inny. Chybotliwie wylądował mały fieseler storch. Pilot nawet nie wyłączył silnika, zakręcił na końcu pasa startowego i ustawił się w pozycji gotowości do odlotu. Jeden z żołnierzy Luftwaffe pomógł mi nieść ekwipunek. „Przynajmniej jest pan ciepło ubrany”, próbował przekrzyczeć warkot śmigła. Podciągnąłem się, żeby wejść na pokład, i usiadłem za plecami pilota. „Dziękuję, że pan przyleciał”, krzyknąłem do niego. — „Nie ma za co, wrzasnął tak, że bym mógł go usłyszeć. Często nam się zdarza robić za taksówkarzy”. Samolot oderwał się od ziemi, zanim zdążyłem się przypiąć, i poleciał ukosem na północ. Zapadał zmierzch, ale niebo nie było zachmurzone i po raz pierwszy zobaczyłem ziemię z powietrza. Równina — płaska, biała, jednolita — ciągnęła się po horyzont, równiuteńki pas startowy, coraz bardziej odległy, poruszający, żłobił powierzchnię. Bałki jawiły się jak długie, głębokie cienie, rzeźbione gasnącym światłem, które omiatało step. Na skrzyżowaniach dróg sterczały pozostałości po wioskach, miejscami zupełnie unicestwionych, domy bez dachów po brzegi wypełnione śniegiem. A potem Don, przeogromny biały wąż, wtulony w biel stepu, widoczny dzięki błękitnawym brzegom i cieniom wzgórz z prawej strony. Słońce, w oddali, osiadało na horyzoncie jak czerwona, nadmuchana kula, ale ta czerwień nie barwiła niczego, śnieg nadal był biały i błękitny. Od startu storch leciał prosto, dość nisko, równo, jak ospały trzmiel. Nagle gwałtownie odbił w lewo, potem prosto w dół i tuż pode mną wyrosły rzędy wielkich podciągów, a koła już dotykały ziemi i storch podskakiwał na twardym śniegu, wreszcie zatrzymał się na skraju płyty lotniska. Pilot wyłączył silnik i wskazał mi długi, niski budynek: „To tam. Czekają na pana”. Podziękowałem mu, poszedłem szybko z ekwipunkiem w stronę drzwi oświetlonych zawieszoną nad nimi żarówką. Na pasie ciężko osiadał jakiś junkers. Wraz z zapadnięciem zmierzchu spadała temperatura, fala mrozu uderzyła mnie w twarz jak czyjaś ciężka ręka, parzyła mi płuca. Wewnątrz jakiś podoficer poprosił, żebym zostawił ekwipunek, i poprowadził mnie do sali operacyjnej, gdzie było rojno jak w ulu. Oberleutnant Luftwaffe zaszalutował mi i sprawdził papiery. „Niestety, powiedział w końcu, dziś już nie ma

miejsca w żadnym samolocie. Mogę pana wcisnąć na lot jutro rano. Jest jeszcze jeden oczekujący pasażer”. — „Latacie w nocy?” Spojrzał na mnie zdziwiony: „Oczywiście. Dlaczego pan pyta?”. Pokręciłem głową. Wziąłem rzeczy, zaprowadził mnie do sali sypialnej, urządzonej w innym budynku. „Niech pan spróbuje się przespać”, powiedział, odchodząc. Sala była pusta, ale na jednym z łóżek leżał czyjś ekwipunek. „To oficera, który wylatuje z panem, poinformował mnie Spiess, który mi towarzyszył. Pewnie jest w mesie. Chce pan coś zjeść, Herr Hauptsturmführer?” Poszedłem za nim do innej sali, stało w niej kilka stołów i ław, oświetlonych żółtawym światłem żarówki, a przy nich piloci i personel naziemny; jedli albo rozmawiali cicho. W rogu jednego ze stołów siedział sam Hohenegg; roześmiał się głośno na mój widok: „Mój drogi Hauptsturmführer! Co pan znowu przeskrobał?”. Zarumieniłem się z radości, poszedłem po talerz gęstej grochówki, po chleb i kubek ersatzu, a potem usiadłem naprzeciw niego. „Czy to niedoszły pojedynek sprawił, że mam przyjemność widzieć pana tutaj?, spytał swoim radosnym, miłym głosem. Nie darowałbym sobie”. — „Czemu pan tak mówi?” Zrobił minę wyrażającą jednocześnie zażenowanie i rozbawienie: „Muszę się przyznać, że to ja doniosłem o pana planach”. — „Pan!” Nie wiedziałem, czy mam się gniewać, czy wybuchnąć śmiechem. Hohenegg wyglądał jak dzieciak przyłapany na gorącym uczynku. „Tak. Przede wszystkim, za przeproszeniem, to był naprawdę idiotyczny pomysł, niemiecki romantyzm, zupełnie nie na miejscu. Poza tym, niech pan sobie przypomni, chcieli na nas zastawić zasadzkę. Nie miałem zamiaru dać się zmasakrować razem z panem”. — „Doktorze, jest pan człowiekiem małej wiary. Razem udałoby się nam obejść tę ich zasadzkę”. Szybko opowiedziałem mu o moich przejściach z Bierkampem, Prillem i Turkiem. „Nie powinien się pan skarżyć, podsumował. Jestem pewien, że będzie to bardzo interesujące doświadczenie”. — „Tak właśnie mi to przedstawił mój Oberführer. Ale nie jestem przekonany”. — „To znaczy, że brak panu filozoficznego podejścia. Myślałem, że jest pan inny”. — „Może się zmieniłem. A pan, doktorze? Co pana tutaj sprowadza?” — „Jakiś medyk biurokrata w Niemczech doszedł do wniosku, że powinniśmy skorzystać z okazji i zbadać skutki niedożywienia u naszych żołnierzy. AOK 6 twierdziło, że to nie ma sensu, ale w OKH się uparli. Poproszono mnie więc, bym przeprowadził to fascynujące badanie. Przyznaję, że bez względu na okoliczności, rozbudziło to moją ciekawość”. Wskazałem łyżką na jego krągły brzuch: „Miejmy nadzieję, że nie stanie się pan obiektem własnych badań”. — „Hauptsturmführer, robi się pan ordynarny. Zobaczymy, czy będzie się pan tak

śmiały, gdy będzie pan w moim wieku. A, właśnie, jak się miewa pański przyjaciel lingwista?” Popatrzyłem na niego ze spokojem: „Nie żyje”. Spochmurniał: „Ach. Bardzo mi przykro”. — „Mnie również”. Skończyłem zupełną, wypiliśmy herbatę. Była ohydna i gorzka, ale przynajmniej gasiła pragnienie. Zapaliłem papierosa. „Tęsknię za pańskim rieslingiem, doktorze”, powiedziałem z uśmiechem. „Mam jeszcze butelkę koniaku, odparł. Ale trzymajmy ją. Wypijemy ją razem w *Kessel*”. — „Niech pan, doktorze, nigdy nie mówi: jutro zrobię to lub tamto, nie dodając przy tym: jeśli Bóg pozwoli”. Pokręcił głową: „Minał się pan z powołaniem, Hauptsturmführer. Chodźmy spać”.

Około szóstej jakiś podoficer wyrwał mnie z niespokojnego snu. Mesa była zimna i prawie pusta, starałem się nie zwracać uwagi na gorycz herbaty, skupiałem się na jej ciepłe, ściskając w dłoniach cynowy kubek. Wzięliśmy ekwipunek i poprowadzono nas do lodowatego hangaru, gdzie długo czekaliśmy, przytupując, pośród spływających smarem maszyn i części zamiennych. Z każdym oddechem z moich ust wydobywała się gęsta para i zawisała tuż przed moją twarzą, w wilgotnym powietrzu. Wreszcie przyszedł pilot: „Kończymy tankować i lecimy, powiedział. Niestety, nie mam dla was spadochronów”. — „A one w czymś pomagają?”, spytałem. Roześmiał się: „Teoretycznie, jeżeli trafi w nas radziecki myśliwiec, to mamy jeszcze czas, żeby wyskoczyć. W praktyce nie zdarza się to nigdy”. Zaprowadził nas do małej furgonetki i podwiózł do junkersa-52, czekającego na końcu pasa. Przez noc niebo zasnuło się chmurami, na wschodzie kłębiasta masa jaśniała nieco. Kilku mężczyzn kończyło ładować do maszyny małe skrzynki, pilot kazał nam wsiąść i pokazał, jak przypiąć się do wąskiego siedzenia. Naprzeciw usiadł krępy mechanik; obrzucił nas ironicznym spojrzeniem, a potem przestał zwracać na nas uwagę. Z radia dobiegały urywane trzaski i strzępy głosów. Pilot wszedł na chwilę do kabiny, sprawdził coś z tyłu, gramoląc się na stos skrzynek i worków, związanych solidną linką. „Dobrze robicie, że lecicie dzisiaj, rzucił nam, wracając. Czerwoni dotarli już prawie do Skassirskiej, na północy. Niedługo zwiniemy interes”. — „Ewakuujecie lotnisko?”, spytałem. Skrzywił się i wrócił na stanowisko. „Zna pan nasze tradycje, Hauptsturmführer, skomentował Hohenegg. Ewakuujemy dopiero, gdy wszyscy zginą”. Silniki zakaszlały, jeden po drugim, i ruszyły. Wysoki warkot wypełniłabinę. Wibrowało wszystko: siedzenie pode mną, ścianka za moimi plecami, podskakiwał rzucony przez kogoś na podłogę klucz nastawny. Samolot zaczął powoli wjeżdżać na pas, zakołował, nabrał prędkości, ogon się uniósł i masa oderwała się od ziemi. Nasze torby, które nie były

przymocowane, zsunęły się do tyłu; Hohenegg mocno na mnie naparł. Wyjrzałem przez okno: byliśmy pogrążeni we mgle i w chmurach, ledwo widziałem silnik. Wibracje nieprzyjemnie przeszywały ciało. Samolot przebił się przez warstwy chmur i niebo stało się metalicznie błękitne, a wschodzące słońce opromieniało chłodnym światłem olbrzymią równinę obłoków, poprzecinaną bałkami jak step. Zimne powietrze kasało, ściany kabiny były lodowate, opatuliłem się szczelniej pelisą i skuliłem. Hohenegg chyba spał, z rękoma w kieszeniach, z głową pochyloną do przodu, wibracje i wstrząsy samolotu przeszkadzały mi, nie mogłem pójść w jego ślady. Wreszcie samolot zaczął schodzić. Ześliznął się tuż nad powierzchnię chmur, dał nura, znów wszystko było szare i ciemne. Odnosiłem wrażenie, że spoza monotonnego warkotu śmigieł dociera do mnie głuchy odgłos wybuchu, ale jak miałem to sprawdzić? Kilka minut później pilot wrzasnął ze swojej kabiny: „Pitomnik!”. Potrząsnąłem Hoheneggiem, obudził się bez zaskoczenia, stałem parę z okna. Przedarliśmy się już przez chmury i teraz step, biały, niemal bezkształtny, rozpościerał się tuż pod skrzydłem. Krajobraz przed nami był zakłócony — brązowe kratery brukały śnieg wielkimi, brudnymi plamami; stosy żelastwa leżały splątane, przysypane bielą. Samolot schodził szybko, nigdzie nie widziałem pasa. Brutalnie uderzył o ziemię, podskoczył, wylądował. Mechanik już odpinał pasy. „Szybko, szybko”, krzyczał. Usłyszałem eksplozję, śnieg bryznął i uderzył w okno i ścianę kabiny. Odpiąłem się, drżąc. Samolot stanął trochę krzywo, mechanik otworzył drzwi i spuścił drabinę. Pilot nie zgasił silników. Mechanik chwycił nasze torby, wyrzucił je byle jak przez otwór, potem dał nam szybki znak, żebyśmy schodzili. Świszczący wiatr miótł drobnym, twardym śniegiem, uderzył mnie w twarz. Wokół samolotu krzątali się zakutani mężczyźni, układali kliny, otwierali bagażnik. Zsunąłem się po drabinie i podniosłem swój ekwipunek. Ubrojony w pistolet żandarm połowy zasalutował mi i pokazał, że mam iść za nim; krzyknąłem: „Zaczekajcie, zaczekajcie!”. Po drabinie gramolił się Hohenegg. Kilkadziesiąt metrów dalej, w śniegu, wybuchł pocisk artyleryjski, ale najwyraźniej nikt nie zwrócił na to uwagi. Na obrzeżach płyty lotniska wznosiła się pryzma odgarniętego śniegu; czekała tam grupa mężczyzn, pilnowanych przez uzbrojonych żandarmów połowych, których metalowe ryngrafy zawieszane na płaszcach połyskiwały złowrogo. Hohenegg i ja podeszliśmy do nich, śladem naszej eskorty. Z bliska dostrzegłem, że mężczyźni ci byli w większości obandażowani albo wsparci na prowizorycznych kulach, a dwóch leżało na noszach. Wszyscy mieli plakietki „ranny” przypięte w widocznym

miejscu do kurtek. Na dany znak ruszyli w stronę samolotu. Dalej panował straszliwy zgiełk: żandarmi polowi blokowali otwór w ogrodzeniu z drutu kolczastego, za którym kłębiła się masa oszalałych ludzi, którzy wrzeszczeli, błagali, machali obandażowanymi kończynami, napierali na żandarmów, którzy także wrzeszczeli i potrząsali pistoletami maszynowymi. Kolejny wybuch, gdzieś bliżej, i nowe rozbryzgi śniegu, ranni rzucili się na ziemię, ale żandarmi polowi pozostali niewzruszeni; za nami ktoś krzyczał, kilku mężczyzn rozładowujących samolot chyba dostało, leżeli na ziemi, a inni odciągali ich na bok, ranni, wybrani do odlotu, odpychali się wzajemnie od drabiny, żołnierze kończyli rozładunek, rzucając na ziemię skrzynie i worki. Żandarm, który nam towarzyszył, wystrzelił krótką serię w niebo, po czym dał nura w histeryczny, lamentujący tłum, rozpychając się łokciami. Brnąłem za nim z trudem, wlokąc za sobą Hohenegga. Dalej ciągnęły się rzędy oszronionych namiotów, ziały brunatne włazy bunkrów, jeszcze dalej wozy łączności stały w ściśniętej grupie, pośród lasu masztów, anten, kabli. Na końcu płyty widniało rozległe składowisko pustych karoserii, rozprutych, spieczonych samolotów, spalonych ciężarówek, czołgów, porozbijanych maszyn rzuconych jedna na drugą, przysypanych śniegiem. Nadeszło kilku oficerów, wymieniliśmy pozdrowienia. Dwóch wojskowych lekarzy przyjęło Hohenegga. Do mnie zwrócił się młody Leutnant Abwehry, przedstawił się i przywitał: „Mam się panem zająć i znaleźć samochód, który odwiezie pana do miasta”. Hohenegg już odchodził. „Doktorze!” Uścisnąłem mu dłoń. „Na pewno się jeszcze zobaczymy, powiedział uprzejmie. *Kessel* nie jest znów taki duży. Gdy zrobi się panu smutno, odszuka mnie pan i wypijemy mój koniak”. Zrobiłem szeroki gest ręką. „Myślę, doktorze, że pański koniak nie będzie długo czekał”. Ruszyłem za Leutnantem. Przy namiotach ujrzałem serię wielkich stosów przysypanych śniegiem. Z daleka, od strony lotniska rezonował odgłos głuchego wybuchu. Junkers, którym przylecieliśmy, powoli jechał w stronę końcówki pasa. Stałem, żeby zobaczyć start, Leutnant patrzył razem ze mną. Dał dość silny wiatr, musieliśmy mrużyć oczy, żeby nie oślepił nas drobny śnieg, który podniósł się z ziemi. Samolot zajął pozycję, zawrócił i nie czekając ani chwili, przyspieszył. Skręcił raptownie, skręcił znowu, niebezpiecznie blisko śnieżnej skarpy i zaraz koła odkleiły się od ziemi — maszyna wzbiła się z wyciem, z mocnym chybotem i zniknęła w zbitej masie chmur. Spojrzałem ponownie na zaśnieżony stos tuż obok i zobaczyłem, że jest utworzony z trupów, ułożonych na sobie jak polana drewna. Zmrożone twarze były brązowe, prawie zgniłozielone, gęsto zarośnięte, w

kącikach ust, w nozdrzach, w oczodołach tkwiły kryształki lodu. Setki trupów. Spytałem Leutnanta: „Nie chowacie ich?”. Tupnął: „Jak niby mamy ich chować? Ziemia jest twarda jak stal. Nie możemy ot tak marnować materiałów wybuchowych. Nie pozwolili nam się nawet okopać”. Szliśmy; tam, gdzie ludzkie stopy wydeptały drogi, ziemia była gładka, śliska, więc lepiej było sunąć poboczem, w zaspach. Leutnant prowadził mnie w stronę długiego, niskiego szeregu, przysypanego śniegiem. Myślałem, że to bunkry, ale z bliska zobaczyłem, że to wagony do połowy zakopane w ziemi, o ścianach i dachach obłożonych workami z piaskiem, do środka prowadziły wycięte w ziemi schody. Leutnant wpuścił mnie. Po korytarzu chodzili oficerowie, przedziały przekształcono w biura; słabe żarówki wydzielały brudne, żółtawe światło, gdzieś musiała stać koza, bo nie było tu aż tak zimno. Leutnant poprosił, żebym spoczął w jednym z przedziałów, gdzie zdjął z siedzenia stos papierów. Zauważyłem świąteczne dekoracje, powycinane nieporadnie z kolorowego papieru i zawieszane na szybie, za którą piętrzyła się ziemia i śnieg, i zmarznięte na kamień worki z piaskiem. „Chce pan herbaty?”, zapytał Leutnant. Nie mogę zaproponować panu niczego innego”. Zgodziłem się, wyszedł. Zdjąłem uszankę i rozpiąłem pelisę, opadłem na siedzenie. Wrócił Leutnant, niósł dwie filiżanki ersatzu. Podał mi jedną: Pił, stojąc w drzwiach przedziału. „Ma pan pecha, powiedział nieśmiało, że wysłali pana tuż przed Bożym Narodzeniem”. Wzruszyłem ramionami i podmuchałem na gorącą herbatę: „Wie pan, Boże Narodzenie nie za bardzo mnie obchodzi”. — „Dla nas tutaj to bardzo ważne”. Gestem wskazał dekoracje. „Żołnierzom mocno na tym zależy. Mam nadzieję że czerwoni zostawią nas w spokoju. Ale chyba nie ma co na to liczyć”. Pomyślałem, że to dość dziwne: w zasadzie Hoth parł naprzód, żeby do nich dołączyć; zdawało mi się, że oficerowie powinni raczej przygotowywać odwrót, a nie świętowanie Bożego Narodzenia. Leutnant spojrzął na zegarek: „Przejazdy są ściśle ograniczane i nie można zawieźć pana do miasta w tej chwili. Po południu jedzie łączność”. — „Świetnie. Wie pan, dokąd mam się udać?” Wyglądał na zaskoczonego: „Do komendatury w mieście, tak przypuszczam. Wszyscy oficerowie SP tam są”. — „Mam się stawić przed Feldpolizeikommissarem Möritzem”. — „Tak, to tam”. Zawahał się: „Niech pan odpocznie. Przyjdę po pana”. Zostawił mnie samego. Później wszedł inny oficer, zasalutował mi niedbale i zaczął energicznie pisać coś na maszynie. Postąłem chwilę na korytarzu, ale panował tam zbyt duży ruch. Zaczynałem czuć głód, nie zaproponowano mi niczego, a prosić nie chciałem. Wyszedłem na papierosa, wsłuchiwałem się w pomruk samolotów, w mniej lub bardziej

odległe wybuchy, a potem wróciłem i czekałem, przy wtórze monotonnego stukotu maszyny do pisania.

Leutnant wrócił po południu. Byłem wściekle głodny. Pokazał na mój ekwipunek i powiedział: „Jedzie łącznie”. Poszedłem za nim do opla z łańcuchami na oponach. Za kierownicą siedział oficer, zdziwiło mnie to. „Powodzenia”, rzekł Leutnant, salutując. „Wesołych świąt”, odpowiedziałem. Musieliśmy się cisnąć w pięciu wewnątrz samochodu; wszyscy mieliśmy grube płaszcze, ledwo mogliśmy się ruszyć, myślałem, że się uduszę. Oparłem głowę o zimną szybę i chuchałem, żeby zlikwidować szron. Samochód ruszył i jechał, podskakując. Droga, oznaczona taktycznymi tablicami przybitymi do pali, desek, a nawet końskich nóg postawionych na sztorc kopytem do góry, była śliska i pomimo łańcuchów opel często z trudem wyrabiał na zakrętach; zwykle oficer-kierowca wychodził z tego obronną ręką, ale czasem samochód wpadał w zaspę i wtedy musieliśmy wysiadać, żeby go stamtąd wypchnąć. Pitomnik, wiedziałem to, znajdował się w samym środku *Kessel*, ale samochód łącznie nie jechał bezpośrednio do Stalingradu, przemierzał dziwną trasę, zatrzymując się przy kolejnych stanowiskach dowodzenia; za każdym razem jedni oficerowie opuszczali samochód, inni do niego wsiadali. Wiatr był coraz silniejszy, początki zamieci śnieżnej — jechaliśmy wolno, jak po omacku. Wreszcie wyłoniły się pierwsze gruzy, ceglane kominy, fragmenty murów wzdłuż drogi. Spośród tumanów śniegu wyłuskałem wzrokiem tablicę: STALINGRAD — WSTĘP WZBRONIONY — GROZI ŚMIERCIA. Odwróciłem się do sąsiada: „To jakiś żart?”. Spojrzał na mnie matowym wzrokiem: „Nie, dlaczego?”. Droga wiodła w dół, serpentyną, po czymś w rodzaju skarpy. U jej podnóża zaczynało się zrujnowane miasto: ogromne budynki, wypatroszone, wypalone, o oknach ziejących pustką. Ziemię pokrywał gruz, gdzieniegdzie niedbale odsunięty na bok, żeby mogły się między nim przecisnąć pojazdy. Wyrwy po pociskach, przykryte śniegiem, brutalnie uderzały w amortyzatory. W wielu miejscach leżały w beładzie wraki samochodów, ciężarówek, czołgów, niemieckie i rosyjskie razem, niekiedy nawet wciśnięte jedno na drugie. Tu i ówdzie mijaliśmy patrole albo, ku mojemu zaskoczeniu, cywilów w łachmanach, zwłaszcza kobiety, niosące wiadra i worki. Opel, podzwaniając łańcuchami, przejechał przez długi wiadukt nad drogą kolejową, naprawiony przy użyciu gotowych elementów; pod nami ciągnęły się rzędy wagonów, nieruchomych, pokrytych śniegiem, całych albo zmiażdżonych wybuchem. Ciszę stepu, którą dotąd zakłócały jedynie odgłosy silnika, łańcuchów lub wiatru, zastąpił

tu nieustający gwar, mniej lub bardziej zduszone detonacje, suche poszczekiwanie dział przeciwpancernych PAK, chrzęst karabinów maszynowych. Za wiaduktem samochód skręcił w lewo i pojechał wzdłuż torów oraz opuszczonych wagonów towarowych. Po prawej rysował się długi, nagi park, bez jednego drzewa, za nim zrujnowane budynki, czarne, nieme, z rozbitymi fasadami przewróconymi na ziemię albo sterczącymi ku niebu jak teatralne dekoracje. Droga wiodła wokół dworca, wielkiego gmachu pamiętającego czasy carów, dawniej prawdopodobnie biało-żółtego. Na placu przed dworcem leżał stos spalonych pojazdów, posiekanych pociskami, masa poskręcanych kształtów, ledwo tylko złagodzonych warstwą śniegu. Samochód wjechał w długą, poprzeczną aleję: odgłos wystrzałów był coraz bliższy, ujrzałem tuż przed sobą kłęby czarnego dymu, ale nie miałem pojęcia, gdzie mogła znajdować się linia frontu. Aleja wychodziła na olbrzymi, pusty plac, cały w gruzach, otaczający coś jakby park, ograniczony latarniami. Oficer zatrzymał samochód przed wysokim budynkiem z półokrągłym portykiem na rogu i kolumnach potrzaskanych przez kule, nad którym ziały duże, kwadratowe okna, puste i ciemne, a na samej górze zwisała bezwładnie flaga ze swastyką przyczepioną do drąga. „Jest pan na miejscu”, powiedział, zapalając papierosa. Wygramoliłem się z pojazdu, otworzyłem bagażnik i wyjąłem swój ekwipunek. Pod portykiem było kilku żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe, ale nie podeszli do mnie. Ledwo zamknąłem bagażnik, samochód ruszył, szybko zawrócił i odjechał aleją w kierunku dworca, z głośnym brzękiem łańcuchów. Rozejrzałem się po smutnym placu: pośrodku dzieci z kamienia czy gipsu, prawdopodobnie pozostałość po jakiejś fontannie, tworzyły krąg i wyglądały tak, jak gdyby naigrawały się z tych wszystkich ruin wokół. Gdy zbliżyłem się do portyku, żołnierze zasalutowali i zagrodzili mi drogę. Ze zdumieniem zauważyłem, że wszyscy noszą na rękawach białe opaski *Hiwi*. Jeden z nich, w kulawej niemczyźnie, poprosił o papiery, więc podałem mu książeczkę wojskową. Obejrzał ją, oddał, salutując, i po ukraińsku wydał krótki rozkaz jednemu ze swych towarzyszy. Tamten pokazał, że mam iść za nim. Pokonałem stopnie między kolumnami, pod butami chrzęściły mi stłuczone szkło i stiuk, wszedłem do ciemnego wnętrza budynku przez szeroką dziurę po drzwiach. Tuż za nimi rozpoczynał się rząd manekinów z różowego tworzywa, w najróżniejszych przebraniach: kobiecych sukienkach, roboczych kombinezonach, dwurzędowych garniturach; na twarzach z czołami roztrzaskanymi przez kule wciąż malowały się głupawe uśmiechy, a ręce unosiły się albo wykręcały w nieporadnych,

nieuporządkowanych gestach. Dalej, w ciemności, ciągnęły się półki sklepowe, nadal pełne domowych sprzętów, rozbite lub przewrócone witryny, lady pokryte gipsem i okruchami szkła, stojaki na sukienki w grochy lub na biustonosze. Szedłem za młodym Ukraińcem alejkami tego sklepu-widma, aż do schodów, których pilnowało dwóch innych *Hiwi*. Na rozkaz eskortującego mnie strażnika rozstąpili się i pozwolili mi przejść. Poprowadził mnie do podziemi, oświetlonych żółtym, rozproszonym światłem ze źle zasilanych żarówek: w korytarzach i pomieszczeniach roilo się od oficerów i żołnierzy Wehrmachtu, ubranych w przypadkowo skompletowane mundury, przepisowe płaszcze, szare watowane kurtki, rosyjskie kapoty z niemieckimi insygniami. Im dalej szliśmy, tym bardziej ciepłe, wilgotne, ciężkie stawało się powietrze, pocilem się obficie pod pelisą. Zeszliśmy jeszcze niżej, a potem przeszliśmy przez dużą i wysoką salę operacyjną, oświetloną zbyt ozdobnym szklanym żyrandolem, pełną mebli w stylu Ludwika XIV i kryształowych kielichów porozstawianych wśród map i teczek; aria Mozarta płynęła z trzaskiem ze składanego gramofonu ustawionego na dwóch skrzynkach po francuskim winie. Oficerowie pracowali w sportowych spodniach, w kapciach, niektórzy nawet w szortach; nikt nie zwracał na mnie uwagi. Za salą otwierał się następny korytarz i nareszcie zobaczyłem jakiś mundur SS: Ukraińiec oddalił się, a Untersturmführer zaprowadził mnie do Möritza.

Feldpolizeikommissar, krępy buldog w okrągłych okularach, któremu za cały mundur służyły spodnie na szelkach i poplamiony podkoszulek, przywitał mnie dość chłodno: „Nie spieszył się pan. Zaraz miną trzy tygodnie, odkąd o kogoś prosiłem. No cóż, *Heil Hitler!*”. Ciężki srebrny pierścień błyszczał na palcu wyciągniętej dłoni, która teraz niemal dotykała żarówki, wiszącej nad masywną głową mężczyzny. Zdawało mi się, że skądś go pamiętam: w Kijowie Kommando współpracowało z Geheime Feldpolizei, musiałem minąć się z nim kiedyś na korytarzu. „Otrzymałem rozkaz powołania dopiero cztery dni temu, Herr Kommissar. Nie mogłem przyjechać szybciej”. — „Ja nie pana ganię. To ci pieprzeni biurokraci. Niech pan usiądzie”. Zdjąłem pelisę i uszanke, położyłem na ekwipunku i poszukałem dla siebie miejsca w zagraconym gabinecie. „Jak pan wie, nie jestem oficerem SS, a moja grupa Geheime Feldpolizei znajduje się pod kontrolą AOK. Ale jako Kriminalrat Kripo jestem odpowiedzialny za wszystkie struktury policyjne w *Kessel*. Jest to dość delikatny układ, ale dobrze się dogadujemy. Zadania wykonują żandarmi polowi i moi Ukraińcy. Miałem ich w sumie ośmiuset, ale cóż, były

straty. Zostali rozdzieleni pomiędzy dwie komendantury, naszą i drugą, na południe od wąwozu Caryca. Jest pan jedynym oficerem SD w *Kessel*, więc będzie miał pan rozmaite zadania. Mój Leiter IV wyjaśni to panu szczegółowo. Zajmie się też pańskimi problemami związanymi z zaopatrzeniem. Jest to SS-Sturmbannführer, więc, z wyjątkiem pilnych wypadków, to z nim będzie się pan kontaktował, a on mi przekaże, co trzeba. Powodzenia”.

Wyszedłem na korytarz z pelisą i ekwipunkiem pod pachą i odnalazłem Untersturmführera. „Przepraszam, do Leitera IV?” — „Tędy”. Poszedłem za nim do małego pomieszczenia, zastawionego biurkami, pełnego papierów, skrzyń, teczek i świec poustawianych na każdym wolnym skrawku powierzchni. Jeden z oficerów podniósł głowę: to był Thomas. „No, no, rzucił wesoło, nie było ci spieszno”. Wstał, obszedł biurko i serdecznie uściśnął mi dłoń. Patrzyłem na niego, milczałem. Wreszcie odezwałem się: „Co ty tutaj robisz?”. Rozłożył ramiona. Był, jak zwykle, starannie ubrany, ogolony i świeży, włosy miał uczesane i nasmarowane brylantyną, kurtkę zapiętą pod szyją, nosił wszystkie ordery. „Zgłosiłem się na ochotnika, mój drogi. Co nam przywiozłeś do jedzenia?” Wytrzeszczyłem oczy: „Do jedzenia? Nic, dlaczego?”. Zrobił przerażoną minę: „Przyjeżdżasz z zewnątrz do Stalingradu i nie masz nic do jedzenia? Wstydź się. Nikt ci nie mówił, jaką tu mamy sytuację?”. Przygryzłem wargę, trudno mi było stwierdzić, czy żartuje: „Prawdę mówiąc, nawet o tym nie pomyślałem. Byłem pewien, że SS ma wszystko, co trzeba”. Usiadł gwałtownie, w jego głosie zaczęły pobrzmiwać metaliczne tony: „Znajdź sobie jakąś skrzynkę. Musisz zrozumieć, że SS nie kontroluje ani samolotów, ani tego, co one przywożą. Dostajemy wszystko z AOK, rozdają nam racje według obowiązujących stawek, co oznacza obecnie..., pogrzebał w papierach na biurku i wyciągnął jakąś kartkę, ...dwieście gramów mięsa, zazwyczaj koniny, na głowę dziennie, dwieście gramów chleba i dwadzieścia gramów margaryny lub innego tłuszczu. Chyba nie muszę ci mówić, kontynuował, odkładając kartkę, że żaden chłop się tym nie naje”. — „Nie wyglądasz na wygłodzonego”, zauważyłem. — „Tak, na szczęście inni są bardziej przewidujący niż ty. Poza tym nasi Ukraińcy nieźle sobie radzą, zwłaszcza gdy nie zadaje się im zbyt wielu pytań”. Wyjąłem z kieszeni kurtki papierosa i zapaliłem jednego: „Przynajmniej, powiedziałem, będziemy mieli co palić”. — „Ach! Widzisz, nie jesteś aż taki głupi. No i jak, podobno miałeś kłopoty z Bierkampem?” — „W pewnym sensie, tak. Nieporozumienie”. Thomas pochylił się nieco do przodu i pogroził mi palcem: „Max, od

lat ci powtarzam, że musisz uzdrowić swoje relacje. To się kiedyś źle skończy”. Zrobiłem nieokreślony gest w stronę drzwi: „Można powiedzieć, że już się źle skończyło. Poza tym chciałbym zauważyć, że ty też tutaj jesteś”. — „Tutaj? Tu jest w porządku, pomijając żarcie. Później dojdą jeszcze dekoracje, promocje *e tutti quanti*. Zostaniemy prawdziwymi bohaterami, będziemy mogli paradować po najlepszych salonach i prezentować ordery. Nawet twoje małe przygody pójdą w niepamięć”. — „Zdaje się, że pomijasz pewien szczegół: między tobą a twoimi salonami stoi kilka sowieckich armii. *Der Manstein kommt*, ale jeszcze nie dotarł”. Thomas skrzywił się z pogardą: „Jak zwykle jesteś defetystą. Źle poinformowanym w dodatku: *der Manstein* już nie nadchodzi. Dał Hothowi rozkaz do odwrotu kilka godzin temu. Sypie się front włoski, potrzebują go gdzie indziej. A tak stracimy Rostów. W każdym razie, nawet gdyby do nas dotarł, nie byłoby rozkazu ewakuacji. A Paulus nigdy by się nie ruszył bez rozkazu. Cała ta akcja z Hothem, jeśli chcesz znać moją opinię, była zrobiona na pokaz. Żeby Manstein mógł mieć czyste sumienie. I Führer zresztą również. Chcę przez to powiedzieć tylko tyle, że nigdy nie liczyłem na Hotha. Daj papierosa”. Podałem mu jednego i podpaliłem. Zaciągnął się mocno i opadł na krzesło. „Ludzie, którzy są niezbędni, specjaliści, zostaną ewakuowani przed samym końcem. Möritz jest na liście, ja też, ma się rozumieć. No ale niektórzy będą musieli zostać, żeby pilnować całego tego kramu. To się nazywa pech. To tak jak z naszymi Ukraińcami: nie mają szans i dobrze o tym wiedzą. Stają się przez to złośliwi i mszczą się na zapas”. — „Wcześniej możesz zginąć. Albo nawet podczas ewakuacji. Widzę, że wiele samolotów zostaje tu na zawsze”. Uśmiechnął się szeroko: „To jest, mój drogi, ryzyko zawodowe. Równie dobrze można wpaść pod samochód, przechodząc na drugą stronę Prinz-Albrechtstrasse”. — „Cieszę się, że twój cynizm nie ucierpiał wcale”. — „Max, mój drogi, sto razy ci mówiłem, że narodowy socjalizm to dżungla, która funkcjonuje według ściśle darwinowskich reguł. Przeżyje ten, kto się wykaże większą siłą i sprytem. Ale ty nigdy nie chciałeś tego zrozumieć”. — „Powiedzmy, że mam na to inny pogląd”. — „Właśnie, i jaki jest tego skutek: znalazłeś się w Stalingradzie...” — „A ty, naprawdę poprosiłeś, żeby cię tu przysłano?” — „To było, oczywiście, jeszcze przed oblężeniem. Z początku wydawało mi się, że sprawy mają się tu nieźle. Poza tym w Grupie panowała stagnacja. Nie miałem najmniejszego zamiaru zostać KdS w jakiejś zapadłej dziurze na Ukrainie. Stalingrad otwierał przede mną ciekawe perspektywy. I jeżeli rzeczywiście potrafię je wykorzystać, to stwierdzę, że było warto. W przeciwnym

razie..., uśmiechnął się szeroko, *c'est la vie!*”, zakończył po francusku. — „Godny podziwu optymizm. A ja? Jakie są moje perspektywy?” — „Ty? Z tobą sprawa może być nieco bardziej skomplikowana. Skoro cię tu przysłano, to znaczy, że nie uważają twojej obecności za konieczną; chyba się ze mną zgodzisz. Więc jeśli chodzi o miejsca na listach ewakuacyjnych, to zobaczę, co się da zrobić, ale niczego nie gwarantuję. Poza tym zawsze możesz postarać się o *Heimatschuss*. Wtedy załatwimy wyjazd w pierwszej kolejności. Ale uważaj! Żadnych poważnych ran; repatriuje się tylko tych, których można jeszcze naprawić, żeby dalej służyli. W tym zakresie zaczynamy już zbierać spore doświadczenie, szczególnie w kwestii samookaleceń. Musiałbyś zobaczyć, co ci faceci wymyślają, bywają naprawdę sprytni. Od końca listopada rozstrzelujemy więcej naszych niż Rosjan. *Aby zachęcić innych*, jak powiedział Voltaire o admirał Byng”. — „Nie sugerujesz mi chyba...” Thomas zamachał rękoma: „Ależ skąd, ależ skąd! Nie bądź taki wrażliwy. Tak tylko powiedziałem. Jadłeś coś?”. Nie pomyślałem o tym od chwili przybycia do miasta; zaburczało mi w brzuchu. Thomas się roześmiał. „Prawdę mówiąc, od rana nic. W Pitomniku niczym mnie nie poczęstowali”. — „Gościnność to wymierająca cecha. Chodź, rozpakujemy twoje rzeczy. Każę cię zakwaterować u siebie, będę cię miał na oku”.

Najedzony poczułem się lepiej. Pochłaniałem ciec przypominającą rosół, w której z rzadka pływały strzępy mięsa, a Thomas objaśniał mi z grubsza moje zadania: zbieranie pogłosek, plotek i *Latrinenparolen* oraz przekazywanie informacji o morale żołnierzy, walka z defetystyczną radziecką propagandą, utrzymywanie kontaktów z informatorami, cywilami, często dziećmi, którzy przedostają się z jednej linii na drugą. „To taki trochę miecz obosieczny, mówił Thomas, bo przekazują Rosjanom tyle samo informacji, ile nam od nich przynoszą. W dodatku często kłamią. Ale czasem się przydają”. W pokoju, wąskiej klitce z żelaznym piętrowym łóżkiem i pustą skrzynią po amunicji, na której stała emaliowana miska i popękane lustro, przy którym mieliśmy się golić, Thomas dał mi zimowy dwustronny mundur, typowy wytwór niemieckiej przezorności, biały po jednej stronie, *feldgrau* po drugiej. „Zakładaj to, jak będziesz wychodził, powiedział. Twoja pelisa jest dobra na step. W mieście będzie ci tylko krępować ruchy”. — „Można wychodzić?” — „Będziesz musiał. Ale dam ci przewodnika”. Zaprowadził mnie do wartowni, w której ukraińscy żołnierze służb pomocniczych grali w karty i pili herbatę. „Iwan Wasiljewicz”, trzech uniosło głowy, a Thomas wskazał na jednego i ten wyszedł do

nas na korytarz. „To jest Iwan. Jeden z moich najlepszych. Zajmie się tobą”. Odwrócił się do niego i powiedział coś po rosyjsku. Iwan, młody chłopak, dość wąty blondyn o rumianych policzkach, słuchał uważnie. Thomas zwrócił się do mnie: „Iwan nie jest asem dyscypliny, ale zna każdy, nawet najmniejszy zakątek miasta i jest godny zaufania. Nie wychodź nigdy bez niego, rób wszystko, co ci każe, nawet jeśli nie wiesz, po co. Mówi trochę po niemiecku, powinniście się dogadać. *Capisce?* Powiedziałem mu, że od tej chwili jest twoim osobistym ochroniarzem i że odpowiada głową za twoje życie”. Iwan zasalutował mi i wrócił na salę. Byłem wykończony. „No, już, idź się przespać, powiedział Thomas. Jutro świętujemy Boże Narodzenie”.

Pierwszej nocy w Stalingradzie, pamiętam to do tej pory, znów śniłem o metrze. Była to stacja o wielu poziomach, które łączyły się ze sobą, rozrośnięty labirynt ze stalowych belek, kładek, stromych metalowych drabinek, krętych, spiralnych schodów. Pociągi wjeżdżały na perony i opuszczały je z ogłuszającym hukiem. Nie miałem biletu, przerażała mnie myśl o kontroli. Zszedłem kilka poziomów niżej i wślizgnąłem się do pociągu, który opuścił stację i zjechał niemal pionowo po szynach, pikując. Na dole zahamował, zmienił kierunek i dał nura w drugą stronę, w szeroką rozpadlinę światła, z dzikim hukiem. Po przebudzeniu poczułem, że uszła ze mnie cała energia, zmuszałem się do ogromnego wysiłku, opłukując sobie twarz i goląc się. Wszystko mnie swędziało; miałem nadzieję, że nie podłapię wszy. Spędziłem kilka godzin na studiowaniu mapy miasta i dokumentów. Thomas pomagał mi się zorientować: „Rosjanie zajmują jeszcze cienki pas wzdłuż rzeki. Wcześniej byli otoczeni, zwłaszcza gdy rzeka niosła krę i nie była całkiem zamarznięta; teraz, chociaż mają Wołgę za plecami, to oni nas otaczają. Tu, wyżej, jest plac Czerwony. W zeszłym miesiącu udało nam się, o, tu, jeszcze niżej, przeciąć ich front na dwie części, a więc stoimy jedną nogą na Wołdze, tutaj, na wysokości ich dawnej przystani. Gdybyśmy mieli amunicję, moglibyśmy praktycznie odciąć im aprowizację, ale możemy strzelać właściwie tylko w przypadku ataku, więc przechodzą, kiedy chcą, nawet za dnia, po lodzie. Cała ich logistyka, ich szpitale, artyleria, są na drugim brzegu. Od czasu do czasu wysyłamy im kilka stukasów, ale tylko tak, żeby się z nimi podroczyć. Niedaleko stąd zajmują kilka kompleksów budynków wzdłuż rzeki, a także całą wielką rafinerię, aż do podnóża góry 102 — to jest dawny tatarski kurhan, który zdobywaliśmy i traciliśmy dziesiątki razy. Sektor trzyma 100. Jäger-division, Austriacy, z jednym chorwackim regimentem zresztą. Za rafinerią są skarpy, z których

rozciga się widok na rzekę, i Rosjanie mają tam całą swoją infrastrukturę, nie do zdobycia, nasze pociski przelatują nad tym wszystkim. Próbowaliśmy to zlikwidować, wysadzając w powietrze zbiorniki z ropą, ale odbudowali całość, gdy tylko zgaszono ogień. Dalej, zajmują też sporą część Zakładów Chemicznych «Lazur», całą tę strefę, którą nazywamy «rakieta tenisową», ze względu na kształt dróg. Tam, bardziej na północ, mamy większość fabryk, z wyjątkiem jednego sektora odlewni «Czerwony Październik». Od tego miejsca rzeka jest nasza, aż do Spartakowskiej, na północnej granicy kotła. Samo miasto trzyma LI korpus generała Seydlitza, ale sektor fabryk należy do XI korpusu. Na południu to samo: czerwoni mają tylko pas, szeroki na jakieś sto metrów. Jest to ta setka, której nigdy nie udało nam się zmniejszyć. Miasto jest podzielone na dwie mniej więcej równe części wąwozem Caryca. Przejeliśmy piękną infrastrukturę, wydrążoną w skarpach, to jest teraz nasz główny szpital. Za dworcem znajduje się stalag, którym zarządza Wehrmacht; my mamy mały obóz w kołchozie Wiertiaczy — dla cywilów, których aresztowano i nie stracono od razu. Co jeszcze? W piwnicach są burdele, ale sam do nich trafisz, jak będziesz zainteresowany. Iwan dobrze je zna. Muszę ci jednak powiedzieć, że dziewczyny są raczej zauszone”. — „*À propos* wszy...” — „Ach, do tego będziesz się musiał przyzwyczaić. Popatrz”. Rozpiął kurtkę, włożył pod nią dłoń, przesunął i wyjął z powrotem: była pełna małych szarych robaków, rzucił je na piecyk; zaskwierczały. Thomas spokojnie mówił dalej: „Mamy ogromne problemy z paliwem. Schmidt, dowódca sztabu generalnego, ten, który zastąpił Heima, pamiętasz? Schmidt kontroluje wszystkie zapasy, nawet nasze, i rozdziela co do kropli. Zresztą sam zobaczysz: Schmidt kontroluje tutaj wszystko. Paulus to już tylko marionetka. W rezultacie przejazdu samochodami są *verboten*. Na obszarze między wzgórzem 102 a Dworcem Południowym wszędzie chodzimy piechotą, żeby pojechać dalej, musimy się zabierać okazją z Wehrmachtem. Mają mniej lub bardziej regularne połączenia między sektorami”. Musiałem przyswoić jeszcze niejedno, ale Thomas był cierpliwy. Późnym rankiem dowiedzieliśmy się, że Tacyńska padła o świcie; Luftwaffe czekała z ewakuacją do chwili, w której radzieckie czołgi wjeżdżały na płytę lotniska i w ten sposób straciła 72 maszyny, prawie dziesięć procent floty transportowej. Thomas pokazał mi dane dotyczące aprowizacji. Były katastrofalne. W sobotę, 19 grudnia, wylądowały 154 samoloty, zostawiły 289 ton, ale były dni, w których udawało się przewieźć tylko 15 albo 20 ton. Z początku AOK 6 wymagało co najmniej 700 ton dziennie, a Göring obiecał 500. „Dobrze by mu zrobiła

kilkutygodniowa dieta *à la Kessel*”, skomentował ostro Möritz podczas konferencji, na której poinformował swoich oficerów o utracie Tacyńskiej. Luftwaffe planowało przeniesienie samolotów Ju-52 do Salska, 300 kilometrów od *Kessel*, na granicy autonomii. Zapowiadały się wesołe święta.

Tuż przed południem, po zupie i sucharach, pomyślałem: No dobrze, czas wziąć się do roboty. Ale od czego zacząć? Od oddziałów? Czemu nie, morale oddziałów. Miałem silne przeczucie, że nie jest najlepsze, ale moim obowiązkiem było sprawdzić własne opinie. Badanie morale żołnierzy Wehrmachtu oznaczało wyjście na zewnątrz: nie sądziłem, żeby Möritz życzył sobie raportu o morale naszych ukraińskich askarysów, jedynych żołnierzy, których miałem pod ręką. Myśl o opuszczeniu schronu, dającego namiastkę poczucia bezpieczeństwa, budziła mój lęk, ale nie było innej możliwości. Poza tym musiałem przecież zobaczyć to miasto. Pomyślałem, że może się przyzwyczaję i pocuję lepiej. Gdy zakładałem ubranie, zawahałem się przez chwilę. Postanowiłem przewrócić je na szarą stronę, ale na widok miny Iwana zrozumiałem, że popełniam błąd: „Dziś śnieg. Załóż białą”. Zignorowałem niestosowne „tykanie” i poszedłem się przebrać. Wziąłem też hełm, Thomas bardzo się przy tym upierał: „Zobaczysz, przyda ci się”. Iwan podał mi pistolet maszynowy. Przyjrzałem mu się niepewnie, miałem wątpliwości, czy potrafię się nim posługiwać, ale mimo wszystko zarzuciłem go na ramię. Wiatr na ulicy wiał nadal, miótł wielkimi płatkami śniegu: stojąc na progu Uniwersytetu, Centralnego Domu Towarowego, nie mogłem dojrzeć nawet fontanny z dziećmi. Po zatęchłej duchocie schronu zimno wydało mi się ożywcze. „*Kuda?*”, zapytał Iwan. Nie miałem pojęcia. „Do Chorwatów”, powiedziałem na chybił trafił; rano Thomas faktycznie mówił o Chorwatach. „To daleko?” Iwan odmruknął coś i skręcił w prawo, w długą ulicę, która, jak mi się zdawało, prowadziła do dworca. W mieście panował względny spokój, tylko od czasu do czasu docierał do nas pośród śniegu zduszony odgłos wybuchu, działało mi to na nerwy. Bez zastanowienia podążałem za Iwanem, który szedł wzdłuż budynków, kleiłem się do murów. Czułem się przerażająco nagi, bezbronny, jak krab wyciągnięty z pancerza — dotarło do mnie wyraźnie, że choć w Rosji spędziłem już osiemnaście miesięcy, dopiero teraz jestem naprawdę *pod obstrzałem*; nieprzyjemny lęk przydawał ciężaru mojemu ciału i zatruwał myśli. Mówiłem wcześniej o strachu: ale tego, co teraz czułem, nie nazwałbym strachem, w każdym razie nie był to strach szczery i świadomy, była to niemal fizyczna udręka, jak świąd, którego nie można uśmierzyć drapaniem, ból skoncentrowany w

tylnych częściach ciała, w karku, w plecach, pośladkach. Próbowałem się od tego oderwać, patrzyłem na budynki po drugiej stronie ulicy. Kilka fasad zawaliło się, odkrywając wnętrza mieszkań, serię trójwymiarowych scen ze zwyczajnego życia, oproszonych śniegiem i niekiedy zdumiewających: na trzecim piętrze rower powieszony na ścianie, na czwartym tapeta w kwiaty, nietknięte lustro, a w ramce reprodukcja dumnej błękitnej *Nieznajomej* Kramskiego, na piątym zielona sofa, na niej trup, kobieca ręka zwisająca w próżni. W dach jednego z budynków trafił pocisk i roztrzaskał złudzenie spokoju. Skuliłem się i zrozumiałem, dlaczego Thomas upierał się przy hełmie: spadł na mnie deszcz odłamków, kawałki dachówek i cegieł. Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem Iwana, nawet się nie pochylił, tylko zasłonił oczy ręką. „Chodź, powiedział, to nic”. Ocenilem, gdzie znajduje się rzeka i front, i zrozumiałem, że budynki, wzdłuż których idziemy, po części nas chronią; pociski, żeby spaść na tę ulicę, musiały przelecieć ponad dachami, niewielkie było prawdopodobieństwo, że wybuchną na ziemi. Ale ta myśl była dla mnie słabą pociechą. Ulica wychodziła na zrujnowane magazyny i instalacje kolejowe. Iwan przebiegł przede mną truchtem długi plac i wszedł do jednego z magazynów pod żelaznymi drzwiami, zwiniętymi w rulon jak denko otwartej puszki sardynek. Zawahałem się i ruszyłem za nim. Wewnątrz przeciskałem się między stosami dawno ogołoconych skrzyń, obszedłem część zawalonego dachu i wydostałem się na powietrze przez otwór w ceglany murze, skąd prowadziły liczne ślady stóp na śniegu. Ława torowiska biegła wzdłuż ścian magazynów; na podmytym nasypie stały długie składy wagonów towarowych, tych samych, które zauważyłem dzień wcześniej z mostu, a ich ściany były potrzaskane od kul i pocisków i pokryte napisami, po rosyjsku i niemiecku — różnymi, od komicznych po obsceniczne. Świetna kolorowa karykatura przedstawiała Stalina kopulującego z Hitlerem oraz Roosevelta i Churchilla brandzlujących się na ich widok, ale nie mogłem ustalić, kto to namalował, któryś z naszych czy któryś z nich, więc raczej nie było to przydatne do raportu. Natknęliśmy się na patrol, szedł w przeciwną stronę, minął nas bez słowa, bez pozdrowienia. Żołnierze mieli wynędzniałe, żółte i zarośnięte twarze, wciskali pięści w kieszenie i powłóczyli nogami w butach wypchanych szmatami albo w ogromnych walonkach ze zbitej słomy, ciężkich i niewygodnych. Przeszli koło nas i rozplynęli się w śniegu. Gdzieniedzie, w wagonie albo na torach, dostrzegłem zamrożonego trupa o nieustalonej narodowości. Tutaj nie było słyhać wybuchów, wszystko wydawało się takie spokojne. I nagle znów się zaczęło: wybuchy, wystrzały,

serie z karabinów maszynowych. Minęliśmy ostatnie magazyny i przeszliśmy przez następne osiedle: otworzył się widok na zaśnieżoną równinę, nad którą, po lewej, górowało olbrzymie krągłe wzgórze, podobne do wulkanu; jego wierzchołek co jakiś czas ział czarnym dymem eksplozji. „Kurhan Mamaja”, poinformował Iwan, a potem odbił w lewo i wszedł do jakiegoś budynku.

W pustych pomieszczeniach siedziało paru żołnierzy, opierali się plecami o ścianę, z kolanami podciągniętymi do piersi. Patrzyli na nas pustymi oczyma. Iwan poprowadził mnie przez kilka budynków, które łączyły ze sobą wewnętrzne podwórka lub wąskie przesmyki. Następnie, prawdopodobnie gdy oddaliliśmy się od linii frontu, znów wyszliśmy na ulicę. Budynki były tutaj niskie, najwyżej dwupiętrowe — być może domy robotników; dalej pojawiły się domy niemal zrównane z ziemią, zavalone, wypatroszone, ale jednak bardziej podobne do domów niż to, co widziałem przy wjeździe do miasta. Od czasu do czasu jakiś ruch, jakiś dźwięk wskazywały na to, że co poniektóre ruiny są jeszcze zamieszkane. Wiatr świszcział bezustannie. Słyszałem teraz trzask detonacji dobiegający z kurhanu, który rysował się po naszej prawej stronie, za domami. Iwan prowadził mnie ogródkami, które rozpoznawałem po strzępach płotów i furtek wystających spod śniegu. Miejsce wydawało się całkiem puste, ale droga, którą szliśmy, musiała być uczęszczana — była wydeptana ludzkimi stopami. Potem dał nura w bałkę, biegnącą z boczem. Kurhan zniknął mi z oczu. Na dnie wąwozu wiatr dał słabiej, śnieg padał łagodnie, lecz nagle wszystko się ożywiło, drogę zagrodzili nam żandarmi polowi, za nimi chodzili w tę i z powrotem żołnierze. Pokazałem papiery żandarmom, zasalutowali mi i rozstąpili się, robiąc przejście; zobaczyłem wtedy, że wschodni stok bałki przylegający do kurhanu i linii frontu jest podziurawiony otworami schronów, czarnych kiszek o umocnieniach z bali lub desek, z których wystawały małe dymiące kominy, zmajstrowane z posklejanych ze sobą puszek po konserwach. Ludzie wychodzili z tego miasta troglodytów i wchodzili doń na kolanach, często tyłem. Na dnie wąwozu, na drewnianym pieńku, dwóch żołnierzy rąbało siekierą zmrożonego konia, a kawałki, pocięte bez ładu i składu, wrzucali do kotła, w którym grzała się woda. Po dwudziestu minutach marszu droga łączyła się z innym wąwozem, który skrywał podobne schrony. Prymitywne okopy biegły w równych odstępach w stronę kurhanu, który obchodziliśmy; w oddali majaczył czasem czołg — zakopany aż po wieżyczkę służył za stałe stanowisko artyleryjskie. Wokół wąwozów wybuchały niekiedy rosyjskie pociski, wyrzucając w górę

ogromne bryzgi śniegu, słyszałem ich świst, przenikliwy, rozdzierający dźwięk, od którego przewracały mi się wnętrzności; za każdym razem ledwie mogłem się powstrzymać, by nie paść na ziemię, zmuszałem się, by brać przykład z Iwana, który zupełnie je ignorował. Po pewnym czasie nabrałem trochę pewności, wmówiłem sobie, że to nic innego, jak tylko rozległy plac zabaw, miejsce wspaniałej przygody, o jakim marzy każdy ośmiolatek, z efektami dźwiękowymi, wizualnymi, pełne tajemnych przejść, i niemal roześmiałem się z radości, gdy uwierzyłem w tę wizję, która przenosiła mnie w najwcześniejsze lata mojego życia, i właśnie wtedy Iwan bez uprzedzenia skoczył na mnie i przycisnął mnie do ziemi. Ogłuszający wybuch rozdarł cały świat, był tak bliski, że poczułem w uszach uderzenie fali powietrza, obsypał nas śnieg zmieszany z ziemią. Chciałem się skulić, ale Iwan już ciągnął mnie za ramię, już mnie podnosił: trzydzieści metrów dalej czarny dym ulatywał leniwie z dna bałki, kłęby kurzu opadały powoli na śnieg; cierpki odór kordytu wypełniał powietrze. Serce biło mi jak oszalałe, poczułem w udach ciężar tak wielki, że aż bolesny, chciałem osunąć się na ziemię, jak kłoda. Ale Iwan chyba nie potraktował tego poważnie; starannie otrzepywał dłonią mundur. Potem kazał mi się odwrócić i energicznie otrzepał mi plecy, podczas gdy ja czyściłem sobie rękawy. Ruszyliśmy dalej. Zaczynałem uważać tę eskapadę za idiotyczną; co ja tu w ogóle robiłem? Miałem chyba problem z uświadomieniem sobie, że już nie jestem w Piatigorsku. Nasza droga wychodziła z wąwozów: zaczynała się długa, pusta równina, całkiem dzika, a nad nią górowało tylne zbocze kurhanu. Fascynowała mnie częstotliwość wybuchów na jego wierzchołku, wiedziałem, że zajmują go nasze oddziały: jak to się dzieje, że żołnierze nadal tam są i znoszą ten deszcz ognia i metalu? Byłem oddalony od nich o kilometr lub dwa, a i tak się bałem. Nasza droga wiła się serpentyną między zaspami śniegu, który tu i tam rozwiął wiatr, odkrywając to wycelowane w niebo działo, to powyginane drzwi ciężarówki, to znów koła wywróconego samochodu. Przed nami rysowały się tory kolejowe, tym razem puste, nikły w oddali, w stepie. Biegły zza kurhanu i nagle chwycił mnie irracjonalny lęk, że zaraz, wzdłuż tych szyn, wyrośnie kolumna czołgów T-34. Kolejny wąwóz wdzierał się w głąb równiny. Szedłem po jego zboczach za Iwanem i czułem się jakby zanurzony w ciepłe bezpiecznego rodzinnego domu. Tu także były bunkry, skostniaли i przerażeni żołnierze. Mogłem zatrzymać się byle gdzie, porozmawiać z ludźmi i wrócić, ale posłusznie szedłem za Iwanem, jak gdyby to on wiedział, co mam robić. Wreszcie wydostaliśmy się z tej długiej bałki i znów rozciągało

się przed nami osiedle mieszkalne, tyle że domy były zrównane z ziemią, spalone ze szczerem, nawet kominy leżały zwalone. Zniszczony sprzęt walał się po drogach, czołgi, wozy szturmowe, elementy radzieckiej artylerii, naszej także. Szkielety koni tężały w absurdalnych pozycjach, czasem wplątane w zaprzęgi powozów, zwinięte jak płody, pod śniegiem można było jeszcze odróżnić zwłoki, często także dziwacznie powykręcane, utrwalone tak przez mróz aż do przyszłych roztopów. Czasem mijał nas patrol. Były tu także stanowiska kontrolne, w których żandarmi polowi, nieco lepiej wyposażeni niż wcześniej napotkani żołnierze, analizowali nasze papiery i przepuszczali do kolejnego sektora. Iwan wstąpił na szerszą drogę; ku nam szła kobieta, okutana w dwa płaszcze i chustę, z małą, prawie pustą torebką na ramieniu. Spojrzałem na jej twarz: nie mogłem odgadnąć, czy ma dwadzieścia lat, czy pięćdziesiąt. W głębokim wąwozie leżał zawalony most; na wschodzie, bliżej rzeki, inny most, bardzo wysoki, zdumiewająco kompletny, spinał rozpadlinę tego samego wąwozu. Musieliśmy zejść, czepiając się fragmentów mostu, a potem wspiąć się na górę, wdrapując się po kawałach strzaskanego betonu lub obchodząc je dookoła. W kryjówce, utworzonej w uskoku zapadniętego pomostu, znajdowało się stanowisko żandarmów polowych. „*Chorwaty?*”, spytał Iwan. Żandarm polowy pokazał, którądy iść, było już niedaleko. Weszliśmy w następne osiedle: wokół widać było dawne stanowiska strzelnicze, natykaliśmy się na czerwone tablice: ACHTUNG! MINEN, resztki drutów kolczastych, okopy do połowy zasypane śniegiem między budynkami; kiedyś musiał tu być sektor frontu. Iwan poprowadził mnie kolejnymi uliczkami, znów kleiliśmy się do murów. Na którymś rogu skinął na mnie: „Kogo chcesz zobaczyć?”. Nie mogłem się przyzwyczaić, że mówi do mnie na „ty”. „Nie wiem. Oficera”. — „Czekaj”. Wszedł do jednego z pobliskich gmachów i wyszedł z żołnierzem, który pokazywał mu coś na ulicy. Kiwnął na mnie, podszedłem do nich. Iwan wyciągnął ramię w stronę rzeki, skąd dochodziły pojedyncze pohukiwania moździerzy i karabinów maszynowych: „Tam, *Krasnyj Oktiabr'. Russkij*”. Przeszliśmy kawał drogi: znajdowaliśmy się przy jednej z ostatnich fabryk częściowo zajmowanych przez Sowieców, daleko za kurhanem i „rakieta tenisową”. Te budynki to musiały być komunalne mieszkania robotników. Gdy dotarliśmy do jednego z takich baraków, Iwan wszedł po trzech schodkach na ganek i zamienił parę słów z żołnierzem stojącym na warcie. Żołnierz zasalutował mi i wpuścił do środka. W każdym pomieszczeniu, ciemnym, z oknami niechlujnie zaślepiionymi deskami, cegłami ułożonymi bez zaprawy i kocami,

znajdowały się grupki żołnierzy. Prawie wszyscy spali, przytuleni ciasno do siebie, czasem skuleni po kilku pod jedną kołdrą. Ich oddechy tworzyły małe obłoczki pary. Panował tu niesłychany zaduch, smród mieszaniny wszelkich wydzielin ludzkiego ciała, z przewagą uryny i słodkawej woni rzadkiego kału. W długim pomieszczeniu, prawdopodobnie dawnej jadalni, kilku ludzi kuliło się wokół gorącej kozy. Iwan pokazał mi oficera siedzącego na małej ławce; tak jak reszta miał na rękawie niemieckiego *feldgrau* opaskę z czerwono-białą szachownicą. Kilku żołnierzy znało Iwana: wdali się w rozmowę w czymś w rodzaju ukraińsko-chorwackiej gwary, naszpikowanej wulgarnymi słowami (*piczka, pizda, pizdiec*, te słowa występują w każdym języku słowiańskim, przyswaja się je prędko). Podeszedłem do oficera, który wstał i zaszalutował. „Mówi pan po niemiecku?”, spytałem, gdy już uniosłem ramię i stuknąłem obcasami. — „Tak, tak”. Przyglądał mi się ciekawie; rzeczywiście, na moim nowym mundurze nie miałem żadnych dystynkcji. Przedstawiłem się. Za nim, na ścianie, wisiały ubogie świąteczne dekoracje: girlandy z gazety wokół choinki narysowanej węglem na ścianie, cynowe gwiazdki i inne wytwory żołnierskiej pomysowości. Był tam także duży i piękny rysunek, przedstawiający szopkę; ale zamiast w stajence scena rozgrywała się w zburzonym domu, pośród zwęglonych ruin. Usiadłem obok oficera. Był to młody Oberleutnant, dowodził jedną z kompanii tej chorwackiej jednostki, 369. regimentem piechoty, część jego ludzi trzymała wartę w jednym z sektorów frontu, przed fabryką „Czerwony Październik”, reszta odpoczywała tutaj. Od kilku dni Rosjanie byli stosunkowo spokojni, od czasu do czasu oddawali strzał z moździerza, ale Chorwaci czuli, że tylko się z nimi drażnią. Zainstalowali megafony tuż przy okopach i całymi dniami leciała przez nie smutna albo wesoła muzyka, przerywana słowną propagandą, zachęcającą naszych żołnierzy do dezercji bądź poddania się. „Żołnierze nie zwracają większej uwagi na propagandę, bo tekst jest czytany przez Serba. Ale muzyka straszliwie ich przygnębia”. Spytałem o próby dezercji. Odpowiedział dość wykrętnie: „To się zdarza... ale robimy wszystko, by temu zapobiec”. Z dużo większym ożywieniem mówił o Bożym Narodzeniu, do którego się przygotowywali. Dowódca dywizji, Austriak, obiecał dodatkową rację dla każdego; on sam zdołał zachować butelkę lozowacy, wydestylowanej przez jego ojca, chciał ją wypić ze swoimi żołnierzami. Ale, nade wszystko, był spragniony wieści o von Mansteinie. „A więc dotarł?” Porażka ofensywy Hotha nie została, rzecz jasna, ogłoszona oddziałom, więc teraz ja musiałem kręcić: „Bądźcie zvarci i gotowi”, odpowiedziałem ponuro. Ten

młody oficer musiał być niegdyś eleganckim i sympatycznym mężczyzną; dziś był żalony jak zbity pies. Mówił powoli, starannie dobierał słowa, jak gdyby myślał w zwolnionym tempie. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o problemach z aprowizacją, a potem podniosłem się, by odejść. Znow zacząłem się zastanawiać, co ja tu, do cholery, robię: czego mógł mnie nauczyć ten odizolowany od wszystkiego oficer, poza tym, co już dawno wyczytałem w raporcie? Fakt, na własne oczy ujrzałem nędzę żołnierzy, ich zmęczenie, rozpacz, ale o tym wszystkim też już wiedziałem. Przychodząc tu, miałem niejasną nadzieję na dyskusję o politycznym zaangażowaniu chorwackich żołnierzy u boku Niemiec, o ideologii ustaszki. Teraz zrozumiałem, że to nie miało żadnego sensu, to się tu nie liczyło, ten Oberleutnant pewnie nawet nie wiedziałby, co odpowiedzieć, w jego głowie zostało miejsce na myśli o jedzeniu, o domu, o rodzinie, o niewoli i o nadchodzącej śmierci. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie i zniechęcenie, poczułem się hipokrytą, idiotą. „Wesołych świąt”, powiedział oficer, uściskawszy mi dłoń z uśmiechem. Kilku jego ludzi patrzyło na mnie bez cienia ciekawości. „Wesołych świąt”, zmusiłem się do odpowiedzi. Zgarnąłem Iwana i wyszedłem, łąpczywie wdychając zimne powietrze. „A teraz?”, spytał Iwan. Wahłem się: skoro już tu jestem, pomyślałem, to powinienem chociaż rzucić okiem na forpocztę. „Możemy dojść do linii frontu?” Iwan wzruszył ramionami. „Jak chcesz, szefie. Ale trzeba spytać oficera”. Wróciłem do dużej sali: oficer nie ruszył się z miejsca, nadal wbijał nieobecny wzrok w piec. „Oberleutnant? Czy mógłbym przeprowadzić inspekcję waszej forpoczty?” — „Jeżeli pan sobie życzy”. Przywołał jednego ze swoich żołnierzy i wydał mu po chorwacku jakiś rozkaz. Potem zwrócił się do mnie: „To jest Hauptfeldwebel Nišić. Poprowadzi pana”. Pchnięty nagłym odruchem poczęstowałem go papierosem: jego twarz rozjaśniła się i wyciągnął powoli dłoń. Potrząsnąłem paczką: „Proszę wziąć więcej”. — „Dziękuję, dziękuję, jeszcze raz, wesołych świąt”. Hauptfeldwebel też dostał papierosa, powiedział „*Hvala*” i włożył go ostrożnie do etui. Spojrzałem raz jeszcze na młodego oficera: nadal trzymał w dłoni swoje trzy papierosy, rozpromieniony jak dziecko. Ile czasu musi minąć, zastanowiłem się, żeby stał się taki jak on? Na tę myśl zachciało mi się płakać. Wyszedłem za Hauptfeldweblem, poprowadził nas najpierw ulicą, a potem podwórzami i przez środek jakiegoś magazynu. Musieliśmy znajdować się na terenie fabryki. Nie widziałem muru, ale wszystko było tutaj tak zniszczone, zniekształcone, że często trudno było cokolwiek rozpoznać. Podłoga magazynu była rozorana wykopem, Hauptfeldwebel pokazał, że mamy do niego wejść.

Ściana naprzeciw była podziurawiona jak sito, światło i śnieg mieszały się ze sobą w tej kleistej, wielkiej, pustej przestrzeni; małe poboczne tunele rozchodziły się z centralnego wykopu ku rogom magazynu; nie były proste, nikogo nie udało mi się w nich dostrzec. Przeszliśmy gęsiego pod ścianą magazynu; wykop przecinał podwórze i niął pośród ruin administracyjnego budynku z czerwonej cegły. Nišić i Iwan szli zgięci w pól, żeby nie wychylać się poza brzeg wykopu, z uwagą ich naśladowałem. Wokół panowała zdumiewająca cisza. Nieco dalej, po prawej, słyhać było krótkie kanonady, wystrzały. Wewnątrz budynku administracyjnego było ciemno i śmierdziało jeszcze bardziej niż w baraku, gdzie spali żołnierze. „Jesteśmy”, powiedział spokojnie Nišić. Znajdowaliśmy się w piwnicy, światło dostawało się tu wyłącznie przez małe okienka i przez dziury w cegłach. Z ciemności wyszedł jakiś człowiek i odezwał się do Nišicia po chorwacku. „Było starcie. Ruscy chcieli się przedostać. Zabili kilku”, przetłumaczył Nišić na dość niezdarne niemiecki. Objaśniał mi spokojnie ich organizację: gdzie jest moździerz, gdzie karabin spandau, gdzie znajdują się małe działka maszynowe, jaki mają zasięg, i gdzie są martwe pola. Nie interesowało mnie to, ale pozwoliłem mu mówić; w ogóle sam nie wiedziałem, co tak naprawdę mnie interesuje. „A ich propaganda?”, spytałem. Nišić porozmawiał z żołnierzem. „Po walce przestali”. Staliśmy chwilę w milczeniu. „Mogę zobaczyć ich linie?”, spytałem w końcu, chyba tylko żeby sprawić wrażenie, że przyszedłem tu w jakimś celu. — „Chodźcie za mną”. Przemierzyłem podziemie i wszedłem po schodach przysypanych gipsem i kawałkami cegieł. Pochód zamykał Iwan z pistoletem maszynowym na ramieniu. Korytarzem na piętrze doszliśmy do jakiegoś pomieszczenia w głębi domu. Wszystkie okna były zaślepione deskami i cegłami, ale światło wdzierało się przez tysiące otworów. W ostatnim pokoju siedzieli oparci o ścianę żołnierze z jednym karabinem spandau. Nišić pokazał mi dziurę obłożoną workami z piaskiem, wspartymi na deskach. „Może pan patrzeć tędy. Ale nie za długo. Mają świetnych snajperów. Podobno kobiety”. Uklęknąłem przy dziurze i powoli wysunąłem głowę; szpara była wąska, widziałem tylko pejzaż złożony z bezkształtnych ruin, jak nierzeczywisty. I wtedy dobiegł ten krzyk, z lewej strony; długi, ochryple wycie, które gwałtownie się urwało. I zaraz znów się rozległo. Nie docierał tu żaden inny dźwięk, słyshałem wyraźnie tylko krzyk. Wrzeszczał młody mężczyzna — były to długie, przenikliwe wrzaski, przerażająco głębokie; musi być ranny w brzuch, pomyślałem. Wychyliłem się i spojrzałem z ukosa; dostrzegłem głowę i kawałek torsu. Krzyczał do

utrąty tchu, przerywał, nabierał powietrza i krzyczał znowu. Nie znałem rosyjskiego, ale rozumiałem, co krzyczał: „*Mamal Mama!*”. To było nie do zniesienia. „Co to jest?”, spytałem głupio Niścicia. — „To jeden z facetów, których widzieliśmy”. — „Nie możecie go dobić?” Niścic wbił we mnie twardy, pogardliwy wzrok: „Co będziemy marnować amunicję”, wycedził wreszcie. Usiadłem pod ścianą, tak jak żołnierze. Iwan oparł się o ramę drzwi. Nikt się nie odzywał. Chłopak na zewnątrz nie przestawał wyć: „*Mama, ja nie chcę! Ja nie chcę! Mama! Ja chcę domoj!*” i jeszcze jakieś słowa, których nie byłem w stanie zrozumieć. Podciągnąłem kolana i objąłem je rękoma. Niścic kucnął i nie spuszczał mnie z oczu. Chciałem zatkać sobie uszy, ale jego ołowiany wzrok paraliżował mnie. Wrzaski chłopaka wwierały mi się w mózg, jak szpadel, którym ktoś grzebie w gęstym i lepkim błocie, pełnym robactwa i plugawych stworzeń. A ja pytałem samego siebie, czy wołałbym swoją matkę w takiej chwili? Sama myśl o tej kobiecie nappełniała mnie nienawiścią i obrzydzeniem. Nie widziałem jej od lat i nie chciałem jej widzieć. Myśl o wołaniu jej, wołaniu o pomoc wydawała mi się nie do przyjęcia. A jednak mogłem podejrzewać, że za postacią tamtej matki kryje się inna, matka dziecka, którym byłem, zanim coś we mnie roztrzaskało się bezpowrotnie. Ja też, prawdopodobnie, wiałbym się z bólu i wołałbym tamtą właśnie matkę. A jeżeli nie ją, to na pewno jej brzuch, ten, w którym byłem, zanim wydarto mnie na światło, na zatęchłe, brudne, chore światło dnia. „Nie powinien był pan tu przychodzić, powiedział brutalnie Niścic. To niczemu nie służy. I jest niebezpieczne. Często zdarzają się wypadki”. Patrzył na mnie z nieukrywaną wrogością. Swój pistolet maszynowy trzymał za kolbę, palec położył na spuście. Spojrzałem na Iwana: trzymał broń w ten sam sposób, wycelowaną w Niścicia i jego dwóch żołnierzy. Niścic podążył za moim wzrokiem, zerknął na broń Iwana, na jego twarz i splunął na podłogę. „Lepiej już wracajcie”. Podskoczyłem, rozległa się sucha detonacja, krótka eksplozja, prawdopodobnie granat. Krzyki ustały na chwilę i znów rozbrzmiały, monotonne, rozdzierające. Wstałem: „Tak. Zresztą muszę dotrzeć do centrum. Robi się późno”. Iwan odsunął się, żeby puścić nas przodem, i zaraz ruszył za nami, śledząc wzrokiem dwóch żołnierzy, dopóki nie wyszedł na korytarz. Wróciliśmy tym samym wykopem, bez słowa. W domu, w którym siedziała kompania, Niścic odszedł, nawet mi nie zasalutował. Śnieg przestał padać i niebo rozchmurzyło się, zobaczyłem księżyc, biały i napuchnięty, na tle prędko ciemniejącego nieba. „Możemy wracać nocą?”, spytałem Iwana. — „Tak. Będzie nawet szybciej. Półtorej godziny”. Mogliśmy iść na skrót.

Czułem się zmęczony, stary, nie na swoim miejscu. W gruncie rzeczy Hauptfeldweibel miał rację.

W drodze znów gwałtownie naszła mnie myśl o matce, objęła się, tłukła mi się po głowie jak pijana kobieta. Od dawna już nie miałem takich wspomnień. Gdy opowiadałem o matce Partenau, na Krymie, trzymałem się faktów, przynajmniej tych znaczących. Teraz myśli pojawiły się w innym porządku, gorzkie, pełne nienawiści, zabarwione wstydem. Kiedy to się zaczęło? Zaraz po urodzeniu? Być może nigdy nie wybaczyłem jej narodzin, tego prawa, które arogancko sobie przywłaszczyła, prawa do wydania mnie na świat. Co dziwne, okazało się, że jestem śmiertelnie uczulony na jej mleko; dużo później opowiadała mi dość niefrasobliwie, że piłem wyłącznie z butelki i obserwowałem rozgoryczony, jak siostra bliźniaczka ssie jej pierś. Myślę, że jako małe dziecko musiałem ją kochać, tak jak wszystkie dzieci kochają swoje matki. Pamiętam jeszcze zapach, delikatny zapach samicy, unoszący się w jej łazience, zapach, który wprawiał mnie w tępy zachwyt, jak gdybym wracał do wnętrza utraconego brzucha: musiała to być, jak myślę, mieszanka wilgotnej pary z kąpielii, perfum, mydeł, i być może zapach jej sromu, może też zapach jej gówna. Nawet gdy nie pozwalała mi wchodzić do siebie do łazienki, nie mogłem się powstrzymać, by nie usiąść na misce, tuż przy niej, i asystować jej z namaszczeniem. A potem wszystko się zmieniło. Ale kiedy dokładnie i dlaczego? Nie potępiłem jej od razu po zniknięciu ojca: ta myśl pojawiła się potem, gdy zaczęła się prostytuować z tym Moreau. Ale nawet zanim go poznała, wyprowadzała mnie z równowagi swoim zachowaniem. Czy było to spowodowane odejściem ojca? Trudno powiedzieć, ale zdawało mi się, że rozpacz przyprawia ją czasem o szaleństwo. Pewnego wieczoru w Kilonii weszła sama do baru dla proletariuszy, przy dokach, i upiła się w towarzystwie obcych mężczyzn, dokerów, marynarzy. Może nawet siedziała na stole i zadzierała kieckę, pokazując wszystkim swoje krocze. Cokolwiek się tam działo, przerodziło się w skandal, i *bourgeoise* została wyrzucona na bruk, upadła w kałużę. Do domu przyprowadził ją policjant, była przemoczona, rozchełstana, miała brudną sukienkę; myślałem, że umrę ze wstydu. Chociaż byłem mały — miałem jakieś dziesięć lat — chciałem ją pobić, ona nie była nawet w stanie się obronić, ale zainterweniowała siostra: „Zlituj się nad nią. Jest smutna. Nie powinieneś się na nią gniewać”. Długo nie mogłem się uspokoić. Ale nawet wtedy chyba nie nienawidziłem jej jeszcze, czułem się tylko poniżony. Nienawiść musiała przyjść później, gdy matka zapomniała o mężu i poświęciła swoje dzieci, oddając się

obcemu. To oczywiście nie dokonało się w jeden dzień, droga miała kilka etapów. Moreau, jak mówiłem, nie był złym człowiekiem i z początku bardzo się starał, żebyśmy go zaakceptowali, ale był to typ ograniczony, więzień ordynarnych burżujskich i liberalnych przekonań, niewolnik swej namiętności do matki — ta kobieta okazała się wkrótce bardziej męska niż on sam. Z własnej woli Moreau stał się współuczestnikiem jej wybryków. Nastąpiła ta wielka katastrofa, po której zostałem wysłany do internatu. Istniały też bardziej tradycyjne konflikty, jak ten, który wybuchł pod koniec mojej nauki w liceum. Zbliżała się matura, trzeba było podjąć decyzję co do przyszłości. Chciałem studiować filozofię i literaturę, ale matka ostro się sprzeciwiła: „Musisz zdobyć zawód. Sądzisz, że zawsze będziemy żyć na łasce innych? Potem zrobisz, co zechcesz”. A Moreau drwił: „Co, przez dziesięć lat będziesz nauczycielem w jakiejś zapadłej wiejskiej szkółce? Pisarczykiem bez grosza przy duszy? Żaden z ciebie Rousseau, mój mały, wracaj na ziemię”. Boże, jak ja ich nienawidziłem. „Musisz wstąpić na drogę kariery, mówił Moreau. Później, jak cię najdzie ochota na pisanie wierszy w wolnych chwilach, twoja sprawa. Ale przynajmniej będziesz w stanie utrzymać rodzinę”. Trwało to ponad tydzień. Ucieczka niczego by nie zmieniła, złapaliby mnie, jak wtedy, gdy próbowałem wyrwać się na włóczęgę. Musiałem ustąpić. Wspólnie postanowili, że zapiszą mnie do *École libre des sciences politiques*, po której mogłem podjąć pracę w ważnych instytucjach państwowych: Radzie Stanu, Izbie Obrachunkowej, Głównej Inspekcji Finansów. Byłbym urzędnikiem państwowym, mandarynem, członkiem — taką mieli nadzieję — *elity*. „Będzie trudno, tłumaczył mi Moreau, będziesz musiał się mocno przyłożyć”, ale miał znajomości w Paryżu, mógł mi pomóc. Cóż, sprawy nie potoczyły się tak, jak tego pragnęli. Dziś francuscy mandaryni służą mojemu krajowi, a ja wylądowałem tu, w zamarzniętych gruzach Stalingradu, i pewnie tutaj skończę. Moja siostra miała więcej szczęścia: była dziewczyną, to, co robiła, liczyło się mniej, jej studia to były takie ostatnie kosmetyczne poprawki, ku zadowoleniu przyszłego męża. Puścili ją bez problemu do Zurychu, gdzie studiowała psychologię u niejakiego dr. Carla Junga, dziś dość dobrze znanego.

Wtedy najgorsze miałem już za sobą. Jakoś wiosną 1929 roku, byłem jeszcze w gimnazjum, dostałem od matki list. Oświadczała mi, że ponieważ nigdy nie otrzymała żadnej wiadomości od ojca i ponieważ jej często ponawiane prośby o pomoc, z jakimi zwracała się do kilku niemieckich konsulatów, nie odniosły żadnego skutku, postanowiła złożyć wniosek o oficjalne uznanie go za osobę zmarłą. Od jego zniknięcia minęło siedem

lat, sąd wydał wyrok, na jaki czekała; teraz może poślubić Moreau, dobrego i hojnego mężczyznę, który jest dla nas jak ojciec. Ten obrzydliwy list przyprawił mnie o paroksyzm wściekłości. Wysłałem jej odpowiedź pełną okrutnych wyzwisk: Mój ojciec, pisałem, nie umarł, a głębokie pragnienie jego śmierci, jakie nosili w sobie oni dwoje, nie wystarczy, żeby go zabić. Jeżeli matka chce się sprzedać parszywemu francuskiemu sklepikarzowi, proszę bardzo, ale ja uznaję jej małżeństwo za nielegalne, za bigamię. Mam tylko nadzieję, że nie zmajstrują sobie bękarta, do którego mógłbym czuć wyłącznie nienawiść. Matka, bardzo rozsądnie, nie odpowiedziała na tę filipikę. Tamtego lata postarałem się o zaproszenie od rodziców bogatego przyjaciela i ani na chwilę nie zjawiłem się w Antibes. Pobrali się w sierpniu. Podarłem zawiadomienie i wrzuciłem do klozetu, a na kolejne wakacje też tam nie pojechałem. Wreszcie udało im się mnie ściągnąć, ale to już całkiem inna historia. Przez cały ten czas tkwiła we mnie nienawiść, uformowana, dojrzała, pełna, niemal zmysłowa, suche polano oczekujące na płomień. Lecz umiałem się mścić wyłącznie w sposób niski i haniebny: zachowałem jedno zdjęcie matki; onanizowałem się nad nim, albo ssałem kochanków i skłaniałem ich, by na nie ejakulowali. Robiłem też gorsze rzeczy. W dużym domu Moreau oddawałem się barokowym, fantastycznie skonstruowanym zabawom erotycznym. Zainspirowany marsjańskimi powieściami Burroughsa (autora *Tarzana* z mojego dzieciństwa), które czytałem z równą pasją co greckich klasyków, zamykałem się w dużej łazience na piętrze, odkręcałem wodę, żeby nie zwracać ich uwagi, i realizowałem ekstrawaganckie scenariusze, zrodzone w mojej wyobraźni: porywali mnie zieloni, czteroręcy mężczyźni z Barsroom, rozbierali, wiązali i wiodli przed oblicze przepięknej marsjańskiej księżniczki o miedzianej skórze, dumnej i niewzruszonej na swym tronie. Związany skórzanym paskiem, z trzonkiem od miotły albo butelką wetkniętą w odbyt skręcałem się na zimnych kaflach podłogi, a pół tuzina masywnych i niemych strażników księżniczki gwałciło mnie kolejno na jej oczach. Jednak miotłą i butelką mogłem sobie zrobić krzywdę; szukałem czegoś bardziej odpowiedniego. Moreau uwielbiał grube niemieckie kielbasy. Nocą wyjmowałem jedną z lodówki, tarłem dłońmi, żeby ją rozgrzać, smarowałem oliwą z oliwek. Po wszystkim myłem ją starannie, wycierałem i odkładałem na miejsce. Na drugi dzień przyglądałem się, jak Moreau i matka kroją ją i jedzą ze smakiem, i z uśmiechem odmawiałem swojej porcji, zasłaniając się brakiem apetytu, zadowolony, że mogę patrzeć na nich z pustym żołądkiem. Co prawda działo się to jeszcze przed ich ślubem, kiedy regularnie przyjeżdżałem do domu. Ich

związek nie był więc jedyną przyczyną, ale były to tylko żalosne, smutne akty zemsty bezradnego dziecka. Później, już pełnoletni, odwróciłem się od nich, wyjechałem do Niemiec i przestałem odpisywać na listy matki. Historia ta jednak, gdzieś, ukradkiem, trwała nadal, wystarczyło mało ważne zdarzenie, krzyk konającego, żeby wszystko wypłynęło w całej okazałości, bo to zawsze istniało, przychodziło skądinąd, ze świata, który nie był światem ludzi i codziennej pracy, lecz światem zamkniętym, do którego wojna mogła zniecka otworzyć wszystkie drzwi, uwalniając jednym szorstkim nieartykułowanym krzykiem dzikusa bagno pełne zarazy, i zburzyć istniejący porządek, zwyczaje i prawa, zmuszać ludzi, by się wzajemnie zabijali, na nowo nakładać im jarzmo, spod którego z takim trudem udało im się wyzwolić — ciężar przeszłości. Znów szliśmy wzdłuż torów i opuszczonych wagonów: zatopiony w myślach ledwo zdawałem sobie sprawę, że długo okrążamy kurhan. Twardy śnieg, który skrzypiał pod moimi butami, przybierał niebieskawe odcienie w bladym blasku oświetlającym drogę. Jeszcze kwadrans i byliśmy z powrotem w Uniwermagu. Prawie nie czułem zmęczenia, marsz mnie ożywił. Iwan zasalutował mi niedbale i poszedł do swoich krajanów, odebrawszy mi pistolet maszynowy. W dużej sali operacyjnej, pod ogromnym żyrandolem przyniesionym z jakiegoś teatru, oficerowie Stadtkommandantur pili i śpiewali chórem *O du fröhliche i Stille Nacht, heilige Nacht*. Jeden z nich podał mi szklanekę czerwonego wina; wypłem jednym haustem, chociaż było to dobre francuskie wino. Na korytarzu spotkałem Möritza, przyjrzał mi się z zakłopotaniem: „Wychodził pan?”. — „Tak, Herr Kommissar. Poszedłem na rekonesans niektórych pozycji, chciałem wyrobić sobie pojęcie o mieście”. Spochmurniał: „Niech pan nie ryzykuje bez powodu. Cholernie trudno było mi pana wyprosić, jak pana od razu zabiją, to nigdy nie znajdę nikogo na to miejsce”. — „*Zu Befehl*, Herr Kommissar”. Zasalutowałem i poszedłem się przebrać. Później Möritz zaprosił oficerów na szklaneczkę starannie przechowywanego koniaku, miał dwie butelki. Przedstawił mnie nowym towarzyszom, byli to: Leibbrandt, Dreyer, Vopel, szef wywiadu, Hauptsturmführer von Ahlfen, Herzog, Zumpe. Zumpe i Vopel, Untersturmführer, którego spotkałem dzień wcześniej, pracowali z Thomasem. Był tam także Weidner, Gestapoleiter na całe miasto (Thomas był Leiterem IV na cały *Kessel*, czyli przełożonym Weidnera). Wypiliśmy za zdrowie Führera i za *Endsieg* i życzyliśmy sobie wesołych świąt. Było skromnie i serdecznie — wolałem to od sentymentalnych czy religijnych wynurzeń żołnierzy. Thomas i ja z ciekawości poszliśmy na pasterkę, którą koncelebrovano w

główniej sali. Ksiądz i pastor z jednej z dywizji odprawiali mszę na zmianę, w duchu doskonałego ekumenizmu, a wierzący obu wyznań modlili się wspólnie. Był tu generał von Seydlitz-Kurbach, który dowodził LI korpusem, i kilku generałów dywizji oraz dowódców sztabów. Thomas pokazał mi Sannego, który dowodził 100. Jäger-division, Korfesa, von Hartmanna. Kilku naszych Ukraińców też się modliło: byli to, jak mi wyjaśnił Thomas, unicy z Galicji, którzy świętują Boże Narodzenie w tym samym czasie co my, w przeciwieństwie do swych prawosławnych kuzynów. Przyjrzałem się im, ale nie rozpoznałem pośród nich Iwana. Po mszy wróciliśmy napić się koniaku; potem, nagle wyczerpany, poszedłem spać. Znow śniłem o wagonach metra: tym razem dwa równoległe tory biegły pomiędzy jasno oświetlonymi peronami, by połączyć się nieco dalej w tunelu; ich wcześniejsze rozdzielenie podkreślały grube, okrągłe filary z betonu. Nastawnia nie działała i ekipa kobiet w pomarańczowych mundurach, w tym jedna Murzynka, pracowała gorączkowo, żeby ją naprawić, podczas gdy pociąg, pełen pasażerów, wyjeżdżał już ze stacji.

Wziąłem się wreszcie do wykonywania zadań w sposób bardziej usystematyzowany i rygorystyczny. Rankiem, pierwszego dnia świąt, gwałtowna zamieć rozwiała wszelkie nadzieje na dodatkową aprowizację; w tym czasie Rosjanie rozpoczęli natarcie w sektorze północno-wschodnim, w kierunku fabryk, wyrwali nam kilka kilometrów terenu i zabili ponad tysiąc dwustu naszych. Liczebność Chorwatów, jak zanotowałem w raporcie, została gwałtownie nadszarpnięta i Hauptfeldwebel Nišić znajdował się na liście poległych. *Carpe diem!* Miałem nadzieję, że chociaż zdążył wypalić papierosa. Sam przetrawiałem jedne raporty i pisałem kolejne. Boże Narodzenie nie wywarło chyba większego wpływu na morale żołnierzy; większość, jak wynikało z otwieranych przez cenzorów raportów i listów, zachowała nienaruszoną wiarę w Führera i w zwycięstwo, a mimo to codziennie dokonywano egzekucji na dezerterach i żołnierzach, którzy dopuszczali się samookaleczeń. Niektóre z naszych dywizji same rozstrzeliwały swoich skazanych, inne przekazywały ich nam; odbywało się to w podwórzu, na tyłach posterunku Gestapo. Przekazywano nam także cywilów przyłapanych przez żandarmerię polową na kradzieży albo podejrzewanych o przekazywanie wiadomości Rosjanom. Kilka dni po świętach natknąłem się na korytarzu na dwóch brudnych i zasmarkanych chłopaków, których Ukraińcy mieli rozstrzelać zaraz po przesłuchaniu: czyścili buty

oficerom z różnych stanowisk dowodzenia i zapamiętywali szczegóły, a nocą przemykali się kanałami do Sowietów i przekazywali im informacje. Przy jednym znaleziono radziecki order: twierdził, że został odznaczony, ale być może po prostu go ukradł albo zabrał jakiemuś poległemu żołnierzowi. Mieli może po dwanaście, trzynaście lat, choć nie dałbym im więcej niż dziesięć, i gdy Zumpe, który miał dowodzić plutonem egzekucyjnym, wyjaśniał mi sprawę, wbijali we mnie obaj wielkie oczy, jak gdybym miał ich uratować. Wściekłem się na nich: Czego ode mnie chcecie?, korciło mnie, by im to wykrzyknąć. Zginiecie, no i co z tego? Ja też pewnie tutaj zginę, wszyscy tutaj zginie. Taka jest cena, którą wszyscy płacimy. Potrzebowałem kilku minut, żeby się uspokoić; po wszystkim Zumpe opowiedział mi, że płakali, ale mimo to aż do śmierci krzyczeli: „Niech żyje Stalin!” i „Urra! Pobjeda!”. „To, jak rozumiem, ma być budująca opowieść?”, odpaliłem; odszedł, nieco zbity z tropu.

Zacząłem spotykać się z niektórymi z moich tak zwanych informatorów; przyprowadzał ich do mnie Iwan albo inny Ukraińiec, a niekiedy przychodzili sami. Te kobiety i ci mężczyźni byli w opłakanym stanie, śmierzący, oblepieni brudem i wszami; wszy, cóż, sam także je już miałem, ale smród tych ludzi przyprawiał mnie o mdłości. Wyglądali bardziej na żebraków niż na agentów, zaś informacje, które mi przynosili, były niezmiennie bezużyteczne lub niemożliwe do sprawdzenia. W zamian musiałem dawać im cebulę lub zmarzniętego kartofla, które w tym celu trzymałem w kufrze, istnej *czarnej skrzynce* wypełnionej lokalną walutą. Nie miałem pojęcia, jak traktować sprzeczne plotki, które mi powtarzali; gdybym przekazał je Abwehrze, naigrawaliby się z nas. W końcu stworzyłem dokument zatytułowany *Informacje różne, niepotwierdzone* i co drugi dzień przekazywałem go Möritzowi.

Szczególnie interesowało mnie to, co dotyczyło problemów z aprowizacją, bo te źle wpływały na morale. Wszyscy wiedzieli, choć głośno się o tym nie mówiło, że radzieccy jeńcy w naszym Stalagu, których nie karmiono już od dłuższego czasu, popadli w kanibalizm. „Odśłania się ich prawdziwa natura”, rzucił Thomas, gdy próbowałem rozmawiać z nim na ten temat. Oczywiście było, że niemiecki Landser, nawet w rozpaczy, potrafi się opanować. Dlatego szok, spowodowany raportem na temat kanibalizmu w naszej kompanii stacjonującej na zachodnim skraju *Kessel*, był naprawdę ogromny. Okoliczności czyniły tę sprawę wyjątkowo obrzydliwą. Gdy głód pchnął żołnierzy kompanii do tego czynu, w trosce o zasady *Weltanschauung* rozpoczęli oni debatę nad

kwestią następującą: zjeść Rosjanina czy Niemca? Problem ideologiczny, który wtedy zaistniał, dotyczył słuszności zjedzenia Słowianina, bolszewickiego *Untermenscha*. Czy mięso to nie zaszkodzi niemieckim żołądkom? Ale zjedzenie zmarłego towarzysza to przecież dyshonor; tym, którzy polegli za *Heimat*, należał się szacunek, chociaż nie można ich już było pochować. Stało się na tym, że zjedzą jednego z *Hiwi*, co w sumie było rozsądnym kompromisem, zważywszy na przedmiot debaty. Zabili go i Obergefreiter, były rzeźnik z Mannheim, zabrał się do porcjowania. Pośród żywych *Hiwi* zapanowała panika: trzech zabito za próbę dezercji, ale jeden zdołał dotrzeć do stanowiska dowodzenia regimentu i donieść o wydarzeniu któremuś z oficerów. Nikt mu nie uwierzył. Przeprowadzono jednak dochodzenie i trzeba było oddać mu honor, bo kompania nie umiała ukryć szczątków ofiary, odnaleziono całą klatkę piersiową i część podrobów, uznanych za nieczyste i w związku z tym niejadalne. Żołnierzy zatrzymano, przyznali się do wszystkiego, twierdzili, że mięso ma smak wieprzowiny i że w niczym nie ustępuje koninie. Dyskretnie rozstrzelano rzeźnika i czterech prowodyrów i zaraz zduszono aferę w zarodku, która jednak zdążyła wywołać poruszenie w poszczególnych sztabach. Möritz zamówił u mnie ogólny raport o sytuacji żywieniowej oddziałów od chwili zamknięcia kotła; posiadał dane od AOK, ale podejrzewał, że w większości są one teoretyczne. Pomyślałem, że odnajdę Hohenegga.

Tym razem trochę lepiej przygotowałem się do drogi. Wcześniej wychodziłem już z Thomasem, byłem z wizytą u Ic/AO dywizji; po mojej chorwackiej wyprawie Möritz rozkazał, bym przed każdym samotnym wyjściem wypełniał kartę przemieszczenia. Zadzwoniłem do Pitomnika, do biura Generalstabsarzt dr. Renoldiego, naczelnego lekarza AOK 6, gdzie poinformowano mnie, że Hohenegg mieszka w centralnym szpitalu kompanii w Gumraku. Tam powiedziano mi, że jeździ do *Kessel*, gdzie przeprowadza obserwacje; w końcu zlokalizowałem go w Rakotino, stancy w południowej części załomu, w sektorze 376. dywizji. Potem musiałem obdzwonić rozmaite stanowiska dowodzenia, żeby zorganizować przejazd. Podróż miała zająć pół dnia i wiedziałem, że będę musiał nocować w Rakotinie albo w Gumraku; mimo to Möritz zgodził się na tę wyprawę. Do Nowego Roku zostało jeszcze kilka dni, od świąt temperatura wynosiła niezmiennie minus 25°C i postanowiłem wyciągnąć pelisę, pomimo ryzyka, że załęgły się w niej wszy. Tak czy inaczej byłem cały zawszony — na nic zdawało się moje wieczorne staranne czyszczenie szwów munduru: brzuch, pachy, wewnętrzną część ud miałem

czerwone od ukąszeń. Nie mogłem się powstrzymać i rozdrapywałem sobie skórę do krwi. Poza tym cierpiałem na biegunki, wywoływane prawdopodobnie brudną wodą i nieregularnymi posiłkami, złożonymi, w zależności od dnia, z puszkowanej szynki lub francuskiego pasztetu, albo *Wassersuppe* na koninie. W stanowisku dowodzenia jakoś sobie z tym radziłem, latryny oficerskie były cuchnące, ale przynajmniej dostępne, lecz w drodze ta przypadłość mogła szybko okazać się kłopotliwa.

Pojechałem bez Iwana: nie potrzebowałem go w *Kessel*; zresztą liczba miejsc w wozach łączników była ściśle ograniczona. Pierwszy samochód zawiózł mnie do Gumraku, drugi do Pitomnika, tam musiałem czekać kilka godzin na transport do Rakotina. Nie padał śnieg, ale niebo było mlecznoszare, ponure i samoloty startujące teraz z Salska docierały nieregularnie. Na płycie lotniska panował chaos, jeszcze większy niż przed tygodniem: każdy samolot witało kłębowisko ludzi, ranni padali na ziemię, reszta zadeptywała ich, żandarmi polowi musieli strzelać w niebo, żeby zmusić horde nieszczęśników do cofnięcia się. Zamieniłem kilka słów z pilotem heinkla 111, który oddalił się od swojej maszyny, żeby zapalić; był blady, z przerażeniem przyglądał się całej scenie, mamrotał: „To niemożliwe, niemożliwe... Wie pan, rzucił mi, zanim odszedł, co wieczór, gdy żywy docieram do Salska, płaczę jak dziecko”. To proste zdanie przyprawiło mnie o zawrót głowy. Odwróciłem się plecami do pilota i zawziętego tłumu i zacząłem szlochać: łzy zamarzały na mojej twarzy, płakałem nad swoim dzieciństwem, nad czasem, w którym śnieg oznaczał radość bez końca, w którym miasto było cudowną przestrzenią do życia, a las nie był jeszcze miejscem dobrym do zabijania ludzi. Ranni za moimi plecami wyli jak opętani, jak jakieś nedorzeczne psy, a ich głosy niemal zagłuszały warkot silników. Ale przynajmniej ten heinkel wystartował bez przeszkód; następny junkers już nie. Znow zaczęły spadać pociski, któryś musiał trafić w bak pełen paliwa, albo może mróz uszkodził jeden z silników; kilka minut po tym, jak koła oderwały się od ziemi, lewy silnik zgasł, samolot, który nie rozpędził się jeszcze dostatecznie, raptownie przechylił się na bok, pilot próbował przywrócić mu pozycję, ale maszyna całkowicie już straciła równowagę, nagle opadła na skrzydło i rozbiła się kilkaset metrów od pasa startowego, w gigantycznej kuli ognia, która na moment rozświetliła step. Siedziałem w bunkrze, ukryłem się tam na czas bombardowania, ale widziałem wszystko, stałem we włązie, i łzy znow napłynęły mi do oczu, ale tym razem udało mi się je powstrzymać. Wreszcie przyjechał po mnie samochód, zanim to się jednak stało, pocisk artyleryjski trafił

w jeden z namiotów na płycie lotniska, w którym kryli się ranni — ziemia w zasięgu wybuchu pokryła się kończynami i strzępami porozrywanych ciał. Ponieważ byłem w pobliżu, musiałem pomóc w przrzucaniu krwawych szczątków i szukaniu ocalałych. Gdy przyłapałem się na tym, że studiuje wnętrzności młodego żołnierza z rozprutym brzuchem, rozlane po czerwonym śniegu, w poszukiwaniu śladów mojej przeszłości i jakiejś wróżby na przyszłość, pomyślałem, że to wszystko naprawdę nabiera cech męczącej farsy. Byłem tym wstrząśnięty, paliłem papierosa za papierosem, pomimo skąpych zapasów, i co kwadrans musiałem biegać do latryny, by wypuścić z siebie cienką strużkę płynnego gówna. Dziesięć minut od wyjazdu musiałem prosić o zatrzymanie samochodu i biec za zaspę; pelisa zawadzała mi, ubrudziłem ją. Starłem się obetrzeć ją śniegiem, ale tylko odmroziłem sobie palce, w końcu wsiadłem do samochodu i przytuliłem się do drzwi, zamknąłem oczy, żeby to wszystko wymazać z siebie. Grzebałem w obrazach pamięci jak w talii zgranych kart, starając się wyciągnąć jeden, który mógłby ożyć we mnie na kilka chwil, ale obrazy umykały, rozplływały się albo trwały nieożywione. Nawet siostra, moja ostatnia ucieczka, zdała mi się drewnianą figurą. I tylko ze względu na obecność innych oficerów powstrzymałem się od płaczu.

Zanim dotarliśmy na miejsce, śnieg rozpadał się na nowo, płatki tańczyły w szarym powietrzu, radosne i lekkie. Niewiele brakło, a uwierzyłbym, że ogromny step, pusty i biały, jest tak naprawdę krainą kryształowych wróżek, równie radosnych i lekkich jak płatki śniegu, i że ich śmiech pobrzmiwa cicho pośród szumu wiatru — jednak szybko wracała świadomość, że step jest przecież tak mocno zbrukany przez ludzi, ich nieszczęście i ich odrażający lęk, i cała iluzja rozpadała się. W Rakotinie znalazłem wreszcie Hohenegga, siedział w małej, nędznej chacie na wpół zasypanej śniegiem, pisał coś na przenośnej maszynie przy świecy wsuniętej w tuleję po PAK-u. Podniósł głowę i nie okazał najmniejszego zdziwienia: „No proszę. Hauptsturmführer. Jakież dobre wiatry pana tu przyniosły?”. — „Pan”. Przejechał dłonią po łysej czaszce: „Nie sądziłem, że jestem tak pożądanym. Od razu uprzedzam: jeśli jest pan chory, to marny pański trud. Zajmują mnie tylko tacy, którym nie można już pomóc”. Z dużym wysiłkiem wziętem się w garść i znalazłem replikę: „Doktorze, cierpię tylko na jedną chorobę, przenoszoną drogą płciową i zawsze śmiertelną: na życie”. Skrzywił się: „Nie tylko wygląda pan mizernie, ale w dodatku popada pan w banał. Znałem pana w lepszej formie. Stan obłąkania panu nie służy”. Zdjąłem pelisę, powiesiłem na gwoździu i nie czekając na zaproszenie,

usiadłem na grubo ciosanej ławie, oparłszy się plecami o ścianę. Izba była słabo ogrzana, tyle tylko, by nie panował w niej lodowaty chłód; palce Hohenegga wyglądały na sine. „Jak tam pańska praca, doktorze?” Wzruszył ramionami: „W porządku. Generał Renoldi nie przyjął mnie zbyt miło; chyba uważa tę misję za bezużyteczną. Nie obruszyłem się, ale wolałbym, żeby wyraził swoją opinię, gdy byłem jeszcze w Nowoczerkasku. Pomijając to, że nie ma racji: jeszcze nie skończyłem, ale wstępne wyniki są niezwykle”. — „Właśnie o tym chciałbym z panem podyskutować”. — „SD interesuje się teraz problemem odżywiania?” — „SD interesuje się wszystkim, doktorze”. — „Więc niech mi pan pozwoli dokończyć raport. Następnie pójdę po tak zwaną zupę do tak zwanej mesy i będziemy rozmawiać, udając, że jemy”. Poklepał się po okrągłym brzuchu: „Jak na razie jest to dla mnie zbawienna kuracja. Ale nie może trwać zbyt długo”. — „Przynajmniej ma pan zapas”. — „To nic nie znaczy. Nerwowi chudzielce, tacy jak pan, wydają się wytrzymywać o wiele dłużej niż mocne grubasy. Niech mi pan da popracować. Spiesz się panu?” Uniosłem rękę: „Cóż, doktorze, zważywszy, jak ważną rolę mam do odegrania dla przyszłości Niemiec w 6. Armii...”. — „Tak właśnie myślałem. W takim razie spędzi pan noc tutaj i wrócimy razem do Gumraku jutro rano”.

W wiosce Rakotino panowała zdumiewająca cisza. Znajdowaliśmy się niespełna kilometr od frontu, ale od przyjazdu słyszałem tylko kilka wystrzałów. Stukot klawiszy maszyny do pisania odbijał się echem w tej ciszy i czynił ją jeszcze bardziej przeraźliwą. Ale przynajmniej moje bóle brzucha ustały. Wreszcie Hohenegg zebrał kartki do teczki, wstał i wcisnął złachaną uszankę na okrągłą głowę. „Niech mi pan da książeczkę, powiedział, pójdę po zupę. Koło piecyka jest trochę drewna. Proszę rozpalić, ale zużyć go jak najmniej. Musi nam starczyć do jutra”. Wyszedł, a ja zacząłem się zmagać z piecem. Zapas drewna był rzeczywiście szczupły: kilka wilgotnych pali z zasieków, z kawałkami drutu kolczastego. W końcu udało mi się rozłupać i podpalić jedną szczapkę. Hohenegg wrócił z miską zupy i grubą pajdą *Kommissbrotu*. „Przykro mi, powiedział, ale odmawiają wydania panu racji bez rozkazu kwatery głównej korpusu pancernego. Podzielimy się”. — „Proszę się nie martwić, odrzekłem, przewidziałem to”. Poszedłem do pelisy i wyjąłem z kieszeni kawałek chleba, suchary i konserwę mięsną. „Doskonale!, wykrzyknął. Niech pan zostawi konserwę na wieczór, mam jedną cebulę: będzie ucza. A na obiad mam to”. Wyjął z torebki kawałek boczku, owinięty w radziecką gazetę. Scyzorykiem pokroił chleb na kilka kromek, uciął też dwa grube plastry boczku; położył to wszystko na piecu, obok

postawił miskę zupy. „Przepraszam, nie mam rondla”. Zaskwierczał boczek; doktor spakował swoją małą maszynę do pisania i rozłożył na stole gazetę. Jedliśmy boczek na ciepłych kromkach czarnego chleba; tłuszcz wytopił się nieco i wsiąkał w ciężki miąższ, smakowało wyśmienicie. Hohenegg chciał poczęstować mnie zupą; odmówiłem, pokazując brzuch. Uniósł brwi: „sraczka?”. Pokiwałem głową. „Niech pan uważa na dyzenterię. W normalnych warunkach jest uleczalna, ale tutaj ścina ludzi w ciągu kilku dni. Wypróżniają się doszczętnie i umierają”. Powiedział mi o zasadach higieny, których należy przestrzegać. „Tutaj może to być dość trudne”, zauważyłem. — „Tak, to prawda”, przyznał ze smutkiem. Kończyliśmy kanapki z boczkiem, doktor opowiadał o wszach i tyfusie. „Mamy już kilka przypadków, izolujemy chorych najlepiej, jak możemy, wyjaśnił. Ale epidemia jest nieunikniona. To będzie prawdziwa katastrofa. Ludzie zaczną padać jak muchy”. — „Uważam, że i tak już dość szybko umierają”. — „Wie pan, co robią nasi *towariszczi* na froncie? Puszczają przez megafony nagranie zegarowego *tik tak, tik tak*, bardzo głośno, a potem grobowy głos oznajmia po niemiecku: «Co trzy sekundy w Rosji ginie jeden Niemiec!» I znów *tik tak, tik tak*. To przejmujące”. Mogłem się zgodzić, że dla żołnierzy gnijących z zimna i głodu, zżeranych przez robactwo, zadekowanych w schronach ze śniegu i zmarzniętej na kamień ziemi to musiało być przerażające, choć dane — co pokazały moje wyliczenia na początku tych wspomnień — były dość przesadzone. W zamian opowiedziałem Hoheneggowi o salomonowych kanibalach. Jego jedyny komentarz brzmiał: „Sądząc po *Hiwi*, których badałem, raczej się nie najedli”. To przypomniało nam o celu mojej misji. „Nie skończyłem oględzin wszystkich dywizji, wyjaśnił doktor, poza tym istnieją różnice, dla których nadal nie znalazłem wytłumaczenia, ale wykonałem już około trzydziestu sekcji zwłok i ich wyniki pokazują niezbicie, że ponad połowa ma symptomy ostrego niedożywienia. Ogólnie rzecz ujmując, zaobserwowałem niemal całkowity zanik tkanki tłuszczowej pod skórą i wokół organów wewnętrznych; galaretowaty płyn w krezce, przekrwiona wątroba, organy blade i niedokrwione; szklista substancja zamiast czerwonego i żółtego szpiku kostnego; atrofia mięśnia sercowego przy jednoczesnym poszerzeniu prawej komory i prawego przedsionka. Mówiąc normalnym językiem, ich ciała, nie mogąc czerpać z zewnątrz paliwa do funkcji życiowych, zżerają się same od wewnątrz, w sobie znajdują niezbędne kalorie. Kiedy i tam nie ma już nic, zatrzymuje się wszystko, jak samochód z braku benzyny. To znane zjawisko: ale tutaj, i to mnie dziwi, pomimo dramatycznej redukcji

racji żywnościowych, jest jeszcze zbyt wcześnie na taką liczbę przypadków. Wszyscy oficerowie zapewniają, że aprowizacja jest scentralizowana przez AOK i że żołnierze otrzymują swoje oficjalne racje. Obecnie jest to tysiąc kilokalorii dziennie. O wiele za mało, ale zawsze coś. Żołnierze mogą być słabi, bardziej podatni na choroby i różne infekcje, ale nie powinni jeszcze umierać z głodu. Właśnie dlatego moi koledzy szukają innego wytłumaczenia. Mówią o *zmęczeniu*, *stresie*, *szoku psychicznym*. Ale to wszystko jest zbyt mętne i mało przekonujące. Moje sekcje nie kłamią”. — „Więc co pan o tym sądzi?” — „Nie wiem. Musi istnieć jakiś zbiór powodów, trudnych do rozpoznania w tych warunkach. Podejrzewam, że zdolność niektórych organizmów do prawidłowej dekompozycji pokarmów albo, jeśli pan woli, do ich trawienia, jest zakłócona przez inne czynniki, takie jak napięcie czy brak snu. Istnieją oczywiście przypadki całkowicie wyjaśnione: żołnierze cierpią na tak ostre biegunki, że niewielka ilość pożywienia, którą uda im się przyjąć, nie zostaje wystarczająco długo w ich żołądkach i wydostaje się drugą stroną w zasadzie w niezmienionej formie; dotyczy to zwłaszcza tych, którzy jedzą już niemal tylko tę *Wassersuppe*. Niektóre pokarmy mają wręcz szkodliwe działanie, na przykład mięso w konserwie, takie jak to pańskie, bardzo tłuste, może powodować śmierć żołnierzy, którzy tygodniami nie jedzą nic poza chlebem i zupą — ich organizm nie jest w stanie znieść takiego szoku, serce pompuje krew bardzo szybko i w końcu nie wytrzymuje. Albo masło, które czasem tu dociera: jest dostarczane w zamrożonych blokach, a na stepie Landserzy nie mają czym rozpalić ognia, więc rozłupują je siekierami i ssą kawałki. To wywołuje straszliwe biegunki, które wykańczają ich w krótkim czasie. Jeżeli chce pan wiedzieć naprawdę wszystko, to spodnie sporej części trupów, które dostają do sekcji, są pełne gówna, na szczęście zamrożonego: na koniec są zbyt słabi, żeby spuścić gatki. I niech pan zwróci uwagę, że są to ciała zebrane na froncie, nie w szpitalach. Cóż, wracając do mojej teorii, trudno ją będzie udowodnić, ale wydaje mi się prawdopodobna. Metabolizm jest zakłócony przez chłód, zmęczenie i nie przebiega prawidłowo”. — „A strach?” — „Strach też, oczywiście. Przekonaliśmy się o tym na Wielkiej Wojnie: podczas niektórych, wyjątkowo intensywnych bombardowań, serce zatrzymuje się ze strachu; młodzi, dobrze odżywieni, zdrowi mężczyźni umierają bez jednej rany. Tu jednak powiedziałbym raczej, że stanowi to wyłącznie czynnik zwiększający ryzyko, nie bezpośrednią przyczynę. Powtarzam, muszę kontynuować badania. Prawdopodobnie nie przydadzą się one za bardzo 6. Armii, ale pochlebiam sobie, że przysłużą się nauce, ta

myśl pomaga mi rano wstać z łóżka; to i nieuchronny salut od naszych przyjaciół z naprzeciwka. Ten *Kessel* to jedno wielkie laboratorium. Prawdziwy raj dla badacza. Mam do dyspozycji tyle ciał, ile sobie zażyczę, świetnie zakonserwowanych, choć przyznaję, że czasem trudno je rozmrozić. Jestem zmuszony wymagać od moich biednych asystentów, żeby spędzali z takim trupem noc przy piecyku, regularnie przekręcając zwłoki. Ostatnio w Baburkinie jeden asystent zasnął; rano znalazłem swój obiekt zamrożony po jednej stronie i upieczony po drugiej. A teraz niech pan idzie ze mną, zaraz będzie czas”. — „Czas? Czas na co?” — „Zobaczy pan”. Hohenegg zebrał teczkę i maszynę do pisania, założył płaszcz; przed wyjściem zdmuchnął świeczkę. Na zewnątrz panował mrok. Poprowadził mnie do bałki za wioską, gdzie wślizgnął się — najpierw stopy, potem reszta ciała — do schronu, ledwo dostrzegalnego pod warstwą śniegu. W środku, wokół jednej świeczki, siedziało na zydelkach trzech oficerów. „Meine Herren, dobry wieczór, odezwał się Hohenegg. Przedstawiam panom Hauptsturmführera doktora Aue, który był tak miły i przyjechał do nas z wizytą”. Uścisnąłem oficerom dłonie i, ponieważ nie było już zydelków, usiadłem na zamrożonej ziemi, podwijając pod siebie pelisę. Pomimo futra czułem zimno. „Sowiecki dowódca po drugiej stronie to mężczyzna wykazujący się godną podziwu punktualnością, wyjaśnił mi Hohenegg. Począwszy od połowy miesiąca, ostrzeliwuje sektor trzy razy dziennie, co dzień o godzinie piątej trzydzieści, jedenastej trzydzieści i szesnastej trzydzieści, co do minuty. A poza tym nic, prócz kilku wystrzałów z moździerza. To bardzo ułatwia robotę”. I rzeczywiście, trzy minuty później usłyszałem przeraźliwe wycie, po którym nastąpiła szybka seria potężnych wybuchów, salwa z „organów Stalina”. Cały bunkier zadrżał, śnieg zasypał połowę włazu, bryły ziemi leciały z sufitu. Wątle światło świecy migotało, rzucając monstrualne cienie na zmęczone, niedogolone twarze oficerów. I znów kanonada, punktowana ostrymi wybuchami pocisków pancernych albo artyleryjskich. Łoskot był szalony, obłąkańczy, zaczął żyć własnym życiem, wypełniał powietrze, napierał na przysypany do połowy właz bunkra. Ogarnęło mnie przerażenie na myśl, że mogę tu zostać, pogrzebany żywcem, mało brakło, a rzuciłbym się do ucieczki, ale się opanowałem. Po dziesięciu minutach bombardowanie gwałtownie ustało. Ale potrzeba było sporo czasu, by wszechobecny, wbijający w ziemię zgiełk oddalił się i rozproszył. Cierpki odór kordytu kłuł w nozdrza i w oczy. Jeden z oficerów odgarnął rękoma śnieg z włazu bunkra i wydostaliśmy się na zewnątrz. Wioska nad wąwozem wyglądała jak zmiażdżona, jakby zmieciona przez nawałnicę. Chaty

płonęły, ale szybko zauważyłem, że bomby spadły tylko na kilka domów: masa pocisków musiała być ściśle ukierunkowana. „Jedyny problem w tym, skomentował Hohenegg, otrzepując moją pelisę z ziemi i śniegu, że nigdy nie celują dwa razy w to samo miejsce. Tak byłoby jeszcze prościej. Chodźmy sprawdzić, czy nasza skromna kryjówka przetrwała”. Chata stała na swoim miejscu, nawet piecyk był jeszcze dość ciepły. „Nie chcecie wstąpić na herbatę?”, zaproponował jeden z oficerów, który nam towarzyszył. Poszliśmy z nim do innej chaty, przedzielonej ścianką na dwie części; w pierwszej izbie, w której siedziało już dwóch oficerów, stała koza. „Tutaj, w wiosce, nie jest tak źle, zauważył oficer. Znajdujemy drewno po każdym bombardowaniu. Ale żołnierze na froncie nie mają nic. Wystarczy lekkie zadraśnięcie i umierają z powodu szoku i odmrożeń wywołanych utratą krwi. Rzadko jest czas, by ewakuować ich do szpitala”. Inny oficer parzył „herbatę”, czyli Schluter ersatz. Wszyscy trzej mieli stopnie Leutnanta lub Oberleutnanta i byli bardzo młodzi. Poruszali się niemal apatycznie, rozmawiając powoli. Ten, który robił herbatę, nosił Żelazny Krzyż. Poczęstowałem ich papierosami: zrobiły na nich takie samo wrażenie jak na młodym chorwackim oficerze. Jeden wyjął zatłuszczoną talię kart: „Zagracie?”. Pokręciłem przecząco głową, ale Hohenegg się zgodził i oficer rozdał karty do partii skata. „Karty, papierosy, herbatka, zarechotał inny, który dotąd nie odezwał się słowem. Prawie jak w domu”. — „Wcześniej, wyjaśnił ten, który wyjął karty, graliśmy w szachy. Ale teraz nie mamy już siły”. Oficer z Żelaznym Krzyżem nalewał herbatę do pogiętych kubków. „Przykro mi, nie ma mleka. Cukru też nie”. Wypiliśmy i zaczęli grać. Wszedł jakiś podoficer i zwrócił się szeptem do kawalera Żelaznego Krzyża. „W wiosce, oświadczył tamten gniewnym głosem, czterech zabitych, trzynastu rannych. 2. i 3. kompania też dostały”. Spojrzał na mnie, zły i zmieszany: „Pan się zajmuje wywiadem, Herr Hauptsturmführer, więc może pan mi wyjaśni? Skąd oni mają całą tę broń, te działa i pociski?! Półtora roku ścigamy ich i osaczamy. Przegoniliśmy ich od Bugu po Wołgę, zrujnowaliśmy ich miasta, zrównaliśmy z ziemią fabryki... Skąd więc biorą te cholerne czołgi i działa?!”. Był bliski płaczu. „Nie zajmuję się wywiadem tego typu, wyjaśniłem spokojnie. Potencjał militarny wroga to sprawa Abwehry i Fremde Heere Ost. Moim zdaniem za nisko oszacowaliśmy go na początku. Poza tym udało im się ewakuować wiele fabryk. Na Uralu mają prawdopodobnie duże możliwości produkcyjne”. Oficer chyba miał ochotę ciągnąć rozmowę, ale widać było, że jest zbyt zmęczony. Wrócił do gry, nic już nie mówił. Odczekałem chwilę i zapytałem o defetystyczną radziecką

propagandę. Ten, który nas zaprosił, wstał, zniknął na krótko za ścianką i przyniósł mi dwie ulotki. „Zrzucają nam to”. Na jednej widniał prosty wiersz w języku niemieckim, zatytułowany *Pomyśl o swym dziecku!* autorstwa niejakiego Ericha Weinerta; tekst z drugiej ulotki kończył się cytatem: *W przypadku, gdy żołnierze lub oficerowie niemieccy poddadzą się, Armia Czerwona winna wziąć ich do niewoli i darować im życie (rozkaz nr 55 Komisarza Ludowego ds. Obrony J. Stalina)*. Dość przemyślana robota; język i czcionka były perfekcyjne. „I to działa?”, spytałem. Oficerowie spojrzeli po sobie: „Niestety tak”, przyznał niechętnie jeden z nich. „Nie możemy zakazać żołnierzom czytania”, powiedział oficer z Żelaznym Krzyżem. — „Niedawno, dorzucił znowu tamten, podczas szturm, cały pluton poddał się bez jednego wystrzału. Na szczęście zainterweniował inny pluton i zablokował natarcie. Koniec końców odparliśmy czerwonych, a oni nie wzięli jeńców. Kilku z nich zginęło w walce, resztę rozstrzelaliśmy”. Leutnant z Żelaznym Krzyżem rzucił mi pochmurne spojrzenie, więc zamilkł. „Mogę to zatrzymać?”, spytałem, pokazując ulotki. — „Bardzo proszę. My trzymamy je w jednym, określonym celu”. Złożyłem arkusiki i wsunąłem do kieszeni kurtki. Hohenegg zakończył grę i wstał. „Idziemy?” Podziękowaliśmy trzem oficerom i wróciliśmy do chaty lekarza. Przygotowałem skromny posiłek z mięsa z konserwy i pieczonej cebuli. „Przykro mi, powiedział Hohenegg, ale koniak zostawiłem w Gumraku”. — „Ach, wypijemy go innym razem”. Rozmawialiśmy o oficerach; Hohenegg opowiedział mi o dziwacznych natręctwach, które nękają niektórych oficerów, o Oberstleutnancie z 44. dywizji, który zdemolował wnętrze chaty, gdzie skryło się przed zimnem dziesięciu jego żołnierzy, a potem zagrzał sobie wody na kąpiel, moczył się długo, ogolił, założył z powrotem mundur i strzelił sobie w usta. „Ależ doktorze, zauważyłem, wie pan zapewne, że po łacinie *oblegać* to *obsidere*. Stalingrad jest miastem opętanym, miastem obsesji”. — „Tak. Chodźmy spać. Poranna pobudka jest trochę brutalna”. Hohenegg miał słomiany materac i śpiwór, znalazł gdzieś dwa koce — zawinałem się w nie i w pelisę. „Powinien pan zobaczyć moją kwaterę w Gumraku, powiedział, gotując się do snu. Mam ogrzewany schron ze ścianami w drewnie i czystą pościel. Luksus”. Czysta pościel: to jest dopiero marzenie, rzekłem sobie w duchu. Ciepła kąpiel i czysta pościel. Czy może się zdarzyć tak, że umrę, nigdy więcej się nie wykapawszy? Tak, to się mogło zdarzyć, a wzięwszy pod uwagę stan chaty Hohenegga,

było to wręcz prawdopodobne. Znów naszła mnie wielka ochota na płacz. Często mi się to ostatnio przytrafiało.

Po powrocie do Stalingradu spisałem raport i zamieściłem w nim liczby podane przez Hohenegga. Raport, jak twierdził Thomas, ściął Möritza z nóg: przeczytał go od razu, opowiadał Thomas, po czym odesłał bez słowa komentarza. Thomas chciał go przekazać bezpośrednio do Berlina. „Możesz to zrobić bez zgody Möritza?”, spytałem zdziwiony. Wzruszył ramionami: „Ja jestem oficerem Staatspolizei, a nie Geheime Feldpolizei. Robię, co chcę”. Rzeczywiście, zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że wszyscy tutaj cieszyliśmy się — mniejszą lub większą — niezależnością. Möritz bardzo rzadko dawał mi jakieś dokładniejsze wskazówki, zazwyczaj byłem zdany na siebie. Zastanawiałem się, dlaczego mnie tu ściągnął. Thomas utrzymywał bezpośrednie kontakty z Berlinem, nie wiedziałem zbytnio, jakimi kanałami, i jak zawsze wydawał się mieć pewność, co się będzie działo dalej. W pierwszych miesiącach okupacji miasta SP razem z żandarmerią polową zlikwidowała Żydów i komunistów, potem zajęły się ewakuacją większości cywilów i wysyłką do Niemiec tych, którzy byli zdolni do pracy, w sumie około sześćdziesięciu pięciu tysięcy, na akcję Sauckel. Ale teraz też nie mieli za dużo do roboty. Mimo to Thomas wydawał się wiecznie zapracowany; codziennie rozpieszczał swoich Ic papierosami i puszkami z mięsem. Postanowiłem, z braku innego zajęcia, przeorganizować siatkę cywilnych informatorów, których przejąłem po poprzedniku. Szybko odciąłem racje tym, którzy wydali mi się bezużyteczni, i oświadczyłem reszcie, że oczekuję od nich więcej niż dotychczas. Za namową Iwana odwiedziłem w towarzystwie tłumacza piwnice zrujnowanych budynków w centrum: było to skupisko starych kobiet, które dużo wiedziały, choć nigdy nie ruszały się z miejsca. Większość nas nienawidziła i z niecierpliwością czekała na powrót „swoich”, ale kilka kartofli i przede wszystkim radość ze spotkania kogoś, przed kim można się wygadać, robiły swoje. Z militarnego punktu widzenia kobiety te nie wносиły niczego nowego, ale żyły miesiącami tuż przy liniach sowieckiego frontu i ze swadą opowiadały o morale żołnierzy, o ich odwadze, ich wierze w Rosję, a także o ogromnych nadziejach, jakie wojna wzbudziła w narodzie, i o których żołnierze rozmawiali otwarcie, nawet z oficerami: liberalizacja systemu, likwidacja sowchozów i kołchozów, zniesienie książeczki pracy, która uniemożliwiała swobodne poruszanie się po kraju. Jedna taka starucha, Masza, opisała mi ze wzruszeniem ich

generała, Czujkowa, którego już wtedy nazywała „bohaterem Stalingradu”: nie ruszył się z prawego brzegu od początku walk. Tamtej nocy, gdy podpaliliśmy im zbiornik z mazutem, ledwo uszedł z życiem, schronił się na skalistym wzgórzu i nie mrugnawszy nawet okiem, spędził noc pośród rzek ognia. Żołnierze wierzyli już tylko jemu; ja wtedy usłyszałem to nazwisko po raz pierwszy. Od tych kobiet dowiedziałem się też niemało o naszych Landserach: wielu przychodziło tu na kilka godzin, zjeść trochę, pogadać, pospać. Ta strefa frontu to był jeden wielki bezład i chaos zrujnowanych budynków, stale dzielony na kwadraty operacyjne przez radziecką artylerię, której wymarsze słyszeliśmy czasem z drugiego brzegu Wołgi. Prowadzony przez Iwana, który rzeczywiście zdawał się znać każdy, najmniejszy zakątek miasta, przemieszczałem się właściwie wyłącznie pod ziemią, z jednej piwnicy do drugiej, czasem nawet kanałami. Gdzie indziej, przeciwnie, przechodziliśmy po piętrach budynków — z niewytłumaczalnych przyczyn Iwan uważał to za bezpieczniejsze — przemierzając mieszkania ze strzępami spalonych zasłon, spękanyymi i uczernionymi sufitami, nagą cegłą wyłazającą spod poszarpanych tapet i zaprawy, mieszkania nadal zastawione niklowanymi ramami łóżek, rozbebeszonymi sofami, bufetami, mieszkania pełne dziecięcych zabawek; tu deski przerzucone ponad wyrwami ziejącymi pustką, tam odkryte korytarze, po których musieliśmy się czołgać, i wszędzie cegły, ząbkowane jak koronki. Iwan zdawał się ignorować artylerię, ale zabobonnie lękał się snajperów, mnie zaś, przeciwnie, wybuchy przerażały i musiałem mocno się powstrzymywać, żeby się nie kulić. Na snajperów nie zwracałem uwagi, to wynikało z mojej niewiedzy, Iwan musiał więc często odciągać mnie gwałtownie z jakiegoś miejsca, zapewne bardziej wyeksponowanego, które dla mnie nie różniło się od innych. Powtarzał, że większość snajperów stanowiły kobiety i utrzymywał, że na własne oczy widział zwłoki najstłynniejszej z nich, mistrzyni olimpijskiej z 1936 roku. Nigdy jednak nie słyszał o Sarmatach zamieszkujących dolny odcinek Wołgi, którzy, według Herodota, wywodzili się ze związków Scytów i Amazonek, którzy wysyłali swoje kobiety do walk z mężczyznami i usypywali ogromne kurhany, podobne do Kurhanu Mamaja. Wśród tych smutnych, zdewastowanych pejzaży spotykałem żołnierzy; jedni rozmawiali ze mną niechętnie, inni uprzejmie, a jeszcze inni całkiem obojętnie. Opowiadali o *Rattenkrieg*, „wojnie szcurów” o zajęcie tych ruin, w której każdy korytarz, sufit, ściana były linią frontu, w której ludzie rzucali na oślep granatami w pył i w dym, gdzie żywi dusili się w gorącu pożarów, a trupy słały się na schodach, półpiętrach, na progach

mieszkań, o wojnie, w której ludzie tracili poczucie czasu i przestrzeni — ta ostatnia stała się czymś w rodzaju abstrakcyjnej partii szachów rozgrywanej w trzech wymiarach. Tak oto naszym siłom udało się dotrzeć na odległość dwóch, trzech ulic od Wołgi, nigdy dalej. Teraz nadeszła kolej Rosjan: codziennie, zwykle o świcie albo wieczorem, nacierali dziko na nasze pozycje, zwłaszcza w strefie fabryk, ale także w centrum. Amunicja kompanii, ściśle reglamentowana, była na wykończeniu, a po każdym ataku ci, którzy przeżyli, załamywali się, popadali w przygnębienie. W ciągu dnia Rosjanie przechadzali się bezkarnie, wiedząc, że nasi nie mają prawa strzelać. Żołnierze, stłoczeni w piwnicach, wegetowali na dywanach ze szczurów, które, wyzbyte wszelkiej płochliwości, biegały po żywych i umarłych, a nocą nadgryzały uszy, nosy i palce u stóp śpiących w ścisku ludzi. Któregoś dnia — byłem właśnie na drugim piętrze jakiegoś budynku — na ulicy wybuchł mały pocisk z moździerza; po paru chwilach usłyszałem opętańczy śmiech. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem ludzki tors wbity w środek gruzowiska; niemiecki żołnierz, któremu eksplozja urwała obie nogi, śmiał się na całe gardło. Patrzyłem, a on ciągle się śmiał, stał w kałuży krwi, która rozlewała się coraz szerzej, między zgliszcza. Od patrzenia na to widowisko jeżyły mi się włosy na głowie, przewracały flaki; kazałem wyjść Iwanowi i spuściłem spodnie na środku salonu. Podczas wypraw, gdy łapały mnie skurcze, srałem gdzie popadnie, w korytarzach, kuchniach, sypialniach, czasem też do miski klozetowej, gdy natknąłem się na jakąś przypadkiem w ruinach, przyznaję, nie zawsze były przyłączone do kanalizacji. Te wielkie zburzone bloki, gdzie jeszcze zeszłego lata tysiące rodzin wiodły zwykłe życie, banalne życie wspólne wszystkim rodzinom, nie podejrzewając nawet, że wkrótce żołnierze będą spać po sześciu w ich małżeńskich łóżkach, podcierać się ich zasłonami, ich pościelą, zabijać się wzajemnie łopatami w ich kuchniach, przechowywać stosy trupów w ich wannach, wszystkie te bloki napępiały mnie lękiem, daremnym i gorzkim, a na powierzchnię tego lęku wypływały wizje z przeszłości, niczym topielcy po katastrofie okrętu, jedna po drugiej, z coraz większą częstotliwością. Były to często żałosne wspomnienia. Oto dwa miesiące po naszej przeprowadzce do Moreau, na krótko przed moimi jedenastymi urodzinami, na początku roku szkolnego, matka umieściła mnie w internacie w Nicei, tłumacząc, że w Antibes nie ma dobrego gimnazjum. Nie była to żadna świetna placówka, nauczyciele byli zupełnie normalni (później, u księży, jakże tęskniłem za tamtym miejscem!), wracałem do domu w każdy czwartek wieczorem i potem na weekend, a mimo to nienawidziłem tam być.

Postanowiłem zrobić wszystko, by nie stać się znów uprzywilejowanym przedmiotem zawiści i złośliwości innych dzieci, tak jak w Kilonii. Fakt, że początkowo mówiłem z lekkim niemieckim akcentem, pogłębiał moją niepewność; od zawsze nasza matka w domu rozmawiała z nami po francusku, ale przed przyjazdem do Antibes nie mieliśmy żadnej innej praktyki. Poza tym byłem wątły i mały jak na swój wiek. Aby to zrekompensować, przybierałem wobec nauczycieli, na wpół nieświadomie, postawę bezczelną i sarkastyczną, bez wątpienia sztuczną. Stałem się klasowym pajacem. Przerywałem lekcje komentarzami „ni w pięć, ni w dziewięć”, które wywoływały u moich kolegów skowyt głupiej radości; reżyserowałem farsy, starannie dopracowane i często okrutne. Zwłaszcza jeden profesor stał się moją ofiarą. Był to dobry i trochę zniewieściały mężczyzna, uczył nas angielskiego, nosił muszkę, a plotkarze przypisywali mu praktyki, które, tak jak inni, uważałem wtedy za haniebne, nie mając jednak o nich najmniejszego pojęcia. Z tych powodów oraz dlatego, że był on z natury słaby, uczyniłem go swym kozłem ofiarnym i systematycznie poniżałem przy całej klasie, aż do dnia, w którym, ogarnięty bezradnym gniewem, spoliczkował mnie. Po wielu latach na samo wspomnienie skręcam się ze wstydu, bo dawno już zrozumiałem, że używałem sobie na tym biednym człowieku tak samo, jak tamte brutalne chamy używały sobie na mnie, bezczelnie, dla ohydnej satysfakcji, jaką daje okazywanie złudnej wyższości. Na tym zapewne polega pozorna przewaga nad słabymi tych, których zwykło się określać silnymi. Zarówno jedni, jak i drudzy są podszyty lękiem, strachem, niepewnością, tyle że jedni o tym wiedzą i cierpią z tego powodu, a drudzy tego nie widzą i aby wzmocnić ten mur, który chroni ich przed bezdenną pustką, zwracają się przeciwko pierwszym, których zbyt widoczna kruchość zagraża ich własnemu wątlemu poczuciu bezpieczeństwa. W ten sposób słabi zagrażają silnym i ściągają na siebie przemoc i zbrodnię, które uderzają w nich bezlitośnie. I dopiero gdy ślepa i niepokonana przemoc uderza z kolei w najsilniejszych, mur ich poczucia bezpieczeństwa kruszeje, wtedy dostrzegają, co ich czeka, widzą, że nadszedł ich koniec. To właśnie przeżywali ci wszyscy żołnierze z 6. Armii, tacy dumni, tacy arogancy, gdy miażdżyli radzieckie dywizje, łupili cywilów, eliminowali podejrzanych, jakby rozgniatali muchy: teraz nie tylko radziecka artyleria i snajperzy, ale zimno, choroby i głód składały się na powolną, wewnętrzną falę, która ich zabijała. We mnie też już wzbierała, kwaśna i śmierdząca jak to gówno o słodkawym odorze, które płynęło z moich wnętrzości. Pewne interesujące spotkanie, które zaaranżował Thomas,

jaskrawo mi to uświadomiło. „Chciałbym, żebyś z kimś porozmawiał”, powiedział, wsuwając głowę do ciasnej kanciapy, służącej mi za gabinet. Działo się to, jestem tego pewien, ostatniego dnia roku 1942. „Z kim?” — „Z politrukiem, którego schwytaliśmy wczoraj w okolicy fabryk. Wycisnęliśmy z niego, co się dało, Abwehra też, ale pomyślałem, że dobrze będzie, jak jeszcze ty z nim porozmawiasz, z ideologicznego punktu widzenia, sprawdzisz, co siedzi we łbach tym z drugiej strony. Ty jesteś z natury subtelny, zrobisz to lepiej ode mnie. On bardzo dobrze mówi po niemiecku”. — „Skoro uważasz, że to się może przydać...” — „Nie trać czasu na kwestie wojskowe: tym już się zajęliśmy”. — „Powiedział coś?” Thomas wzruszył ramionami, uśmiechając się lekko: „Nie za dużo. Nie jest już młodzieniaszkiem, to twardziel. Potem może go jeszcze do siebie weźmiemy”. — „Ach, rozumiem. Chcesz, żebym go zmiękczył”. — „Właśnie. Palnij mu małe kazanie, pogadaj o przyszłości jego dzieci”.

Jeden z Ukraińców przyprowadził do mnie mężczyznę w kajdankach, w krótkiej żółtej kurtce czołgisty, zatłuszczonej, z nadprutym prawym rękawem. Prawa strona jego twarzy była całkowicie pozbawiona skóry, jakby ktoś otarł ją do żywego mięsa, po drugiej stronie oko niemal w całości zasłaniała sina opuchlizna; gdy go schwytali, musiał być świeżo ogolony. Ukraińiec pchnął go brutalnie na małe uczniowskie krzeselko ustawione po drugiej stronie mojego biurka. „Zdejmij mu kajdanki, rozkazałem. I idź zaczekać na korytarzu”. Ukraińiec wzruszył ramionami, rozpiął kajdanki i wyszedł. Komisarz zaczął masować nadgarstki. „Sympatyczni ci nasi narodowi zdrajcy, nieprawdaż?”, powiedział z ironią. Pomimo akcentu, mówił czystą niemczyzną. „Weźmiecie ich sobie, jak będziecie odchodzić”. — „My się stąd nie ruszymy”, zareplikowałem ostro. — „Ach, tym lepiej. Nie będziemy musieli biegać za wami, żeby was powystrzelać”. — „Jestem Hauptsturmführer doktor Aue, powiedziałem. A pan?” Lekko pochylił się na krzeselku: „Prawdin. Ilja Siemionowicz, do usług”. Wyjąłem jedną z ostatnich paczek papierosów. „Pali pan?” Uśmiechnął się, brakowało mu dwóch zębów: „Dlaczego gliniarze zawsze częstują papierosami? Za każdym razem, gdy mnie aresztowano, dostawałem papierosy. Co nie znaczy, że odmówię”. Podałem mu jednego, pochylił się po ogień. „A pański stopień?”, spytałem. Zaciągnął się dymem, mocno, z pełnym zadowolenia westchnieniem: „Wasi żołnierze umierają z głodu, ale widzę, że oficerowie ciągle jeszcze mają dobre papierosy. Jestem komisarzem regimentu, ale ostatnio przydzielono nam stopnie wojskowe, dostałem podpułkownika”. — „Niemniej jest pan członkiem partii, nie oficerem Armii Czerwonej”.

— „Zgadza się. A pan? Pan też jest z gestapo?” — „Z SD. To niezupełnie to samo”. — „Znam różnicę. Przesłuchiwało mnie już wystarczająco dużo waszych”. — „Czemu komunista taki jak pan dał się złapać?” Spochmurniał. „Podczas szturmego jeden z pocisków wybuchł tuż obok mnie i dostałem gruzem w głowę”. Wskazał na odartą ze skóry część twarzy. „Byłem ogłuszony. Myślę, że moi towarzysze zostawili mnie, żebym umarł. Gdy się ocknąłem, byłem już w waszych rękach. Cóż mogłem zrobić”, zakończył smutno. „Politruc pańskiej rangi, który wychodzi na pierwszą linię frontu, to rzecz raczej rzadka, prawda?” — „Zginął dowódca, musiałem przejąć żołnierzy. Ale tak w ogóle to zgadzam się z panem: wysocy urzędnicy partyjni to nieczęsty widok na froncie. Niektórzy nadużywają swoich przywilejów. Ale te nadużycia zostaną skorygowane”. Delikatnie obmacywał opuszkami palców fioletowe, zmasakrowane ciało wokół spuchniętego oka. „To też, zapytałem, od wybuchu?” Znowu posłał mi szczerbaty uśmiech: „Nie, to akurat pańscy koledzy. Myślę, że dobrze pan zna tego rodzaju metody”. — „Wasze NKWD używa takich samych”. — „Faktycznie. Nie skarzę się”. Odczekałem chwilę. „Ile pan ma lat, jeśli mogę zapytać?”, odezwałem się wreszcie. — „Czterdzieści dwa. Urodziłem się wraz z nowym wiekiem, jak wasz Himmler”. — „A więc pamięta pan rewolucję?” Roześmiał się: „Oczywiście. W wieku piętnastu lat zostałem bolszewickim bojownikiem. Należałem do rady robotników w Piotrogradzie. Pan sobie nie wyobraża, co to była za epoka! Wielki powiew wolności”. — „Więc sporo się od tamtego czasu zmieniło”. Zamyślił się: „Tak. To prawda. Prawdopodobnie lud radziecki nie był gotów na tak olbrzymią i tak natychmiastową wolność. Ale to przyjdzie, z czasem. Najpierw trzeba ich wyedukować”. — „A niemieckiego gdzie się pan nauczył?” Znowu się uśmiechnął: „Sam, w wieku szesnastu lat, od jeńców wojennych. Potem Lenin wysłał mnie do niemieckich komunistów. Niech pan sobie wyobrazi, znałem Liebknechta, Luksemburg! Niezwykli ludzie. A już po wojnie domowej kilkakrotnie wracałem do Niemiec, nielegalnie, żeby utrzymywać kontakty z Thälmannem i resztą. Pan nie wie, jakie ja miałem życie. W dwudziestym dziewiątym służyłem za tłumacza waszym oficerom, którzy przyjeżdżali na ćwiczenia do radzieckiej Rosji, testowali nową broń i nowe taktyki. Dużo się od was nauczyliśmy”. — „Tak, ale nie wykorzystaliście tego. Stalin zlikwidował wszystkich oficerów, którzy zastosowali nasze koncepcje, począwszy od Tuchaczewskiego”. — „Bardzo żałuję Tuchaczewskiego. To znaczy, osobiście żałuję. Z politycznego punktu widzenia nie mogę oceniać Stalina. Być może był to błąd. Bolszewicy także popełniają

błędy. Ale to, co naprawdę ważne, to fakt, że mamy wystarczająco dużo siły, by regularnie oczyszczać nasze własne szeregi, eliminować tych, którzy zbaczą, tych, którzy dali się skorumpować. To jest siła, której wam brak: wasza partia gnije od środka”. — „Nas także nie omijają problemy. My, w SD, wiemy lepiej niż ktokolwiek inny, że pracujemy, by uczynić lepszymi i Partię, i *Volk*”. Uśmiechnął się lekko: „Koniec końców oba nasze systemy nie różnią się tak bardzo. Przynajmniej, jeśli chodzi o zasady”. — „Zadziwiające stwierdzenie, jak na komunistę”. — „Wcale nie, gdy się pan nad tym głębiej zastanowi. Jaka jest, w sumie, różnica między narodowym socjalizmem a socjalizmem w jakimkolwiek kraju?” — „W takim razie, dlaczego angażujemy się w tę walkę na śmierć i życie?” — „To wy jej chcieliście, nie my. My byliśmy gotowi się dogadać. Ale to jest tak, jak dawniej było z chrześcijanami i Żydami: zamiast połączyć się z Ludem Bożym, z którym mieli wiele wspólnego, i utworzyć wraz z nimi jeden front przeciwko poganom, chrześcijanie woleli, prawdopodobnie przez zazdrość, żyć jak poganie i zwrócić się, na własne nieszczęście, przeciwko świadkom prawdy. To było olbrzymie marnotrawstwo”. — „Rozumiem, że w pańskim porównaniu «Żydzi» to wy sami?” — „Oczywiście. W końcu wy wszystko od nas przejęliście, choćby tylko po to, żeby to zdeformować. I nie mówię tu o symbolach, takich jak czerwona flaga czy święto 1 Maja. Mówię o najcenniejszych koncepcjach waszego *Weltanschauung*, światopoglądu”. — „W jakim sensie?” Zaczął wyliczać na palcach, na sposób rosyjski, zginając jeden po drugim, począwszy od małego: „Tam, gdzie Komunizm mówi o społeczeństwie bez klas, wy wychwalacie *Volksgemeinschaft*, wspólnotę narodową, co w gruncie rzeczy jest dokładnie tym samym, ograniczonym wyłącznie do waszego terytorium. Tam, gdzie Marks widział proletariata jako nośnika prawdy, wy wymyśliliście, że tak zwana rasa niemiecka jest rasą proletariacką, wcieleniem Dobra i Moralności; w konsekwencji walka klas została u was zastąpiona niemiecką wojną proletariacką przeciwko państwom kapitalistycznym. Podobnie rzecz się ma z waszymi ideami gospodarczymi, które nie są niczym innym, jak wypaczeniem naszych wartości. Znam dobrze waszą ekonomię polityczną, bo przed wojną tłumaczyłem dla partii artykuły z waszej specjalistycznej prasy. Tam, gdzie Marks wysunął teorię wartości opartej na pracy, wasz Hitler oświadczył: *Nasza marka niemiecka nie opiera się na złocie, jest warta więcej niż złoto*. To dość enigmatyczne zdanie zostało skomentowane przez Dietricha, prawą rękę Goebbelsa. Dietrich wyjaśnił, że narodowy socjalizm zrozumiał, iż najlepszą racją bytu pieniądza jest ufność w siły produkcyjne

Narodu i w kierowanie Państwem. W rezultacie pieniądz stał się dla was fetyszem, który reprezentuje zdolność produkcyjną waszego kraju, co jest zupełną aberracją. Wasze stosunki z wielkimi kapitalistami to gruba hipokryzja, zwłaszcza po reformie ministra Speera: wielcy szefowie nadal wychwalają wolną przedsiębiorczość, a jednocześnie cały wasz przemysł podlega jednemu planowi i ich korzyści są ograniczone do sześciu procent, a rząd przywłaszcza sobie resztę, nie licząc, oczywiście, produkcji”. Zamilkł. „Narodowy socjalizm także ma swoje odchylenia”, odpowiedziałem mu dopiero po chwili. Zreferowałem pokrótce tezy Ohlendorfa. „Tak, oznajmił, znam dobrze jego artykuły. Ale i on błądzi. Bo wy nie naśladujecie marksizmu, wy go zniekształciliście. Zastąpienie klasy rasą, prowadzące do waszego proletariackiego rasizmu, to nonsens”. — „Nie większy niż wasze pojęcie permanentnej walki klas. Klasy to przesłanka historyczna; pojawiły się w pewnym określonym momencie i tak samo znikną, wtapiając się harmonijnie w *Volksgemeinschaft*, zamiast się wyczerpać. Rasa natomiast to naturalna przesłanka biologiczna, a więc nie można jej zignorować”. Podniósł rękę: „Niech pan posłucha, nie będę się upierał, ponieważ jest to kwestia wiary, a więc wykazywanie czegokolwiek w sposób logiczny, rozumowy, na nic się tutaj nie zda. Ale może się pan ze mną zgodzić w jednym, co najmniej, punkcie: nawet jeśli analiza kluczowych kategorii jest inna, nasze ideologie w tej jednej zasadniczej kwestii są zbieżne, że obie są z założenia deterministyczne: determinizm rasowy u was, determinizm ekonomiczny u nas, ale tak czy inaczej determinizm. Obaj wierzymy, że człowiek nie wybiera swobodnie swego losu, że los jest mu narzucony przez naturę i historię. I obaj wyciągamy z tego wniosek, że istnieje *obiektywny wróg*, że pewne kategorie istot ludzkich mogą i powinny być legalnie wyeliminowane, nie za to, co robią, ani nawet za to, co myślą, lecz za to, kim są. Tutaj różnimy się wyłącznie w sposobie definiowania owych kategorii: dla was są to Żydzi, Cyganie, Polacy, a nawet, jak słyszałem, chorzy psychicznie; dla nas zaś kułacy, burżuje, ludzie z przetrąconym kręgosłupem ideologicznym. W gruncie rzeczy chodzi o to samo: obaj odrzucamy kapitalistycznego *homo oeconomicus*, egoistę, indywidualistę zatrzaśniętego w pułapce iluzji wolności, na rzecz *homofaber: Not a self-made man but a made man*, mówiąc po angielsku, raczej człowiek «do zrobienia», bo w komunizmie człowieka należy skonstruować, wyedukować, i tak samo jest z waszym perfekcyjnym narodowym socjalistą. Ta idea człowieka «do zrobienia» usprawiedliwia bezlitosną likwidację wszystkiego, czego wyedukować się nie da, a więc usprawiedliwia istnienie

NKWD i gestapo, tych ogrodników społeczeństwa, którzy wyrrywają chwasty i pielęgnują resztę roślin tak, by pięły się grzecznie po odpowiednich palikach”. Podałem mu drugiego papierosa, sam też zapaliłem: „Jak na bolszewickiego politruka, ma pan szerokie horyzonty”. Zaśmiał się, raczej gorzko: „Cóż, moje dawne znajomości, niemieckie i inne, okazały się już niepotrzebne. A gdy człowiek zostaje odsunięty na bok, ma czas i przede wszystkim perspektywę sprzyjającą myśleniu”. — „I właśnie dlatego pan, z taką przeszłością, wylądował na skromnym, w sumie, stanowisku?” — „Bez wątpienia. W pewnym momencie, widzi pan, byłem blisko Radka, ale nie Trockiego, i dlatego jeszcze tu jestem. Ale, wie pan, ten brak awansu wcale mi nie przeszkadza. Nie mam żadnych osobistych ambicji. Służę mojej partii i memu krajowi i jestem szczęśliwy, że umrę za nie. Co jednak nie znaczy, że nie rozmyślam”. — „Ale skoro uważa pan, że nasze dwa systemy są identyczne, dlaczego walczy pan przeciw nam?” — „Nigdy nie powiedziałem, że są identyczne! A pan jest zbyt inteligentny, żeby tak to zrozumieć. Chciałem tylko pokazać panu, że sposoby funkcjonowania naszych ideologii są do siebie podobne. Treść, rzecz jasna, się różni: klasa i rasa. Dla mnie narodowy socjalizm to herezja wobec marksizmu”. — „A co, według pana, czyni bolszewizm lepszym od narodowego socjalizmu?” — „To, że socjalizm pragnie dobra całej ludzkości, podczas gdy wasza ideologia jest egoistyczna, pragnie wyłącznie dobra Niemców. Nie będąc Niemcem, nie mam możliwości wyznawania jej, nawet gdybym chciał”. — „Tak, ale gdyby urodził się pan jako mieszczanin, tak jak ja, też nie mógłby pan zostać bolszewikiem: niezależnie od własnych wewnętrznych przekonań, do końca życia byłby pan *obiektywnym wrogiem*”. — „To prawda, ale byłaby to wina mojego wychowania. Burżujski syn, burżujski wnuk, wychowany od urodzenia w socjalistycznym kraju, będzie prawdziwym, dobrym komunistą, poza wszelkimi podejrzeniami. Gdy urzeczywistni się idea społeczeństwa bezklasowego, wszystkie klasy rozplną się w ustroju komunistycznym. Teoretycznie może się to rozprzestrzeić na cały świat, co nie jest możliwe w przypadku narodowego socjalizmu”. — „Teoretycznie, być może, ale nie jest pan w stanie tego udowodnić, i w praktyce popełniacie straszliwe zbrodnie w imię tej utopii”. — „Nie powiem panu, które zbrodnie są gorsze. Powiem panu tylko, że o ile nie możemy udowodnić komuś, kto nie chce uwierzyć w prawdę marksizmu, słuszności naszych nadziei, o tyle udowodnimy wam w sposób konkretny, że wasze nadzieje zostały wyczerpane. Według waszego rasizmu biologicznego rasy nie są sobie równe, jedne są silniejsze i bardziej wartościowe od

innych, a ze wszystkich najsilniejsza i najwartościowsza jest rasa niemiecka. Lecz gdy Berlin upodobni się do tego miasta — wycelował palcem w sufit — i gdy nasi dzielni żołnierze rozstawią namioty na waszej Unter den Linden, będziecie przynajmniej zmuszeni, jeżeli chcecie zachować waszą rasistowską wiarę, będziecie zmuszeni przyznać, że rasa słowiańska jest silniejsza od rasy niemieckiej”. Nie dałem się zbić z tropu: „Naprawdę wierzy pan, że zdobędziecie Berlin? Z ledwością udaje się wam utrzymać Stalingrad. Pan chyba żartuje”. — „Ja nie wierzę, ja wiem. Wystarczy przyjrzeć się naszym i waszym potencjałom wojskowym. Nie licząc drugiego frontu, którzy nasi sojusznicy utworzą wkrótce w Europie. Już po was”. — „Będziemy walczyć do ostatniego naboju”. — „W to nie wątpię, ale i tak przegracie. A Stalingrad pozostanie symbolem waszej klęski. Niesłusznie, zresztą. Moim zdaniem przegraliście wojnę już w zeszłym roku, gdy zatrzymaliśmy was pod Moskwą. My straciliśmy terytorium, miasta, ludzi. To wszystko da się zastąpić. Ale partia nie załamała się, a tylko na to liczyliście. Bez tego moglibyście nawet zdobyć Stalingrad, to by nic nie zmieniło. *Moglibyście*, zresztą, zdobyć Stalingrad, gdybyście nie popełnili tylu błędów, gdybyście nie ocenili nas tak nisko. Wcałe nie musieliście tu przegrać, 6. Armia wcałe nie musiała zostać doszczętnie rozbita. A gdybyście wygrali w Stalingradzie, to co? I tak bylibyśmy w Uljanowsku, w Kujbyszewie, w Moskwie, w Swierdłowsku. I zrobilibyśmy wam to samo co tutaj, tylko nieco dalej. Oczywiście, nie byłoby już tej symboliki, nie byłoby to miasto Stalina. Ale kim tak naprawdę jest Stalin? I czym dla nas są, dla nas, bolszewików, jego potęga i chwała? Dla nas, którzy ginimy tu co dnia, cóż znaczą jego codzienne rozmowy telefoniczne z Żukowem? To nie Stalin dodaje naszym żołnierzom odwagi do szturmowania waszych dział. Oczywiście, potrzeba przywódcy, potrzeba kogoś, kto to wszystko skoordynuje, ale mógłby to być jakikolwiek dzielny człowiek. Stalin nie jest bardziej niezastąpiony niż Lenin, niż ja. Nasza strategia, tutaj, była dobrze pomyślaną strategią. I nasi żołnierze, nasi bolszewicy wykazaliby się taką samą odwagą w Kujbyszewie. Pomimo wszystkich naszych wojskowych porażek, nasza partia i nasz lud pozostały niezwyciężone. Teraz wszystko zmieni kierunek. Wasi zaczynają już ewakuować się z Kaukazu. Nasze ostateczne zwycięstwo jest nieuchronne”. — „Być może, zareplikowałem. Ale jaką cenę zapłaci wasz komunizm? Stalin, od początku wojny, powołuje się na wartości narodowe, jedyne, jakie naprawdę pchają człowieka do czynu, a nie na wartości komunistyczne. Przywrócił carskie orderzy Suworowa i Kutuzowa oraz

złocene epolety dla oficerów, takie jak w siedemnastym roku wasi towarzysze z Piotrogradu przyszpilali im gwoździami do ramion. W kieszeniach waszych poległych, nawet wyższych oficerów, znajdujemy ukryte ikony. Jeszcze lepiej, wiemy, dzięki przesłuchaniom, że wartości rasowe są na porządku dziennym w najwyższych kręgach partii i armii, ów duch wielkoruski, antysemityczny, kultywowany przez Stalina i partyjnych przywódców. Też zaczynacie tracić zaufanie do swoich Żydów, a przecież to nie klasa społeczna”. — „Bez wątpienia ma pan słuszność, przyznał ze smutkiem. Wojna wywołuje presję, na wierzch wyłażą atawizmy. Ale nie zapominajmy, czym był lud rosyjski przed 1917 rokiem, pamiętajmy o ignorancji, o zacofaniu. Mieliśmy niecałe dwadzieścia lat, żeby wyedukować go i ulepszyć, to niewiele. Po wojnie znów wrócimy do tego zadania i stopniowo wszystkie błędy zostaną naprawione”. — „Myślę, że nie ma pan racji. To nie lud jest problemem: to wasi przywódcy. Komunizm to tylko maska przyklejona do niezmienionej twarzy Rosji. Wasz Stalin to car, wasze politbiuro to bojarzy albo szlachcice, chciwi i egoistyczni, wasze partyjne kadry to tacy sami czynownicy jak za Piotra czy za Mikołaja. To taka sama rosyjska autokracja, taki sam permanentny brak poczucia bezpieczeństwa, taka sama paranoja na punkcie obcych, taka sama fundamentalna nieumiejętność poprawnego rządzenia, takie samo zastępowanie terrorem wzajemnego porozumienia, czyli realnej władzy, taka sama nieokiełznana korupcja, tylko w innej formie, taka sama niekompetencja, takie samo pijaństwo. Niech pan sobie poczyta korespondencję Kurbskiego i Iwana, niech pan poczyta Karamzina, niech pan poczyta Custine'a. Najważniejszy element waszej historii nie został nigdy zmodyfikowany: poníženie, z ojca na syna. Od początku, a zwłaszcza od czasu Mongołów, ponížają was wszyscy i polityka każdego z waszych rządzących polega nie na zwalczaniu tego poníženia i jego przyczyn, lecz na opluwaniu reszty świata. Petersburg Piotra to nic innego jak następna wioska potiomkinowska: żadne okno otwarte na Europę, tylko teatralna dekoracja, która maskuje przed oczami Zachodu całą nędzę i bezbrzeżny brud, rozciągające się za nią. Jednak ponížać można tylko tych, którzy sobie na to pozwalają, a z kolei tylko ponížani sami ponížają. Ponížani z 1917 roku, począwszy od Stalina, skończywszy na chłopie, teraz sieją strach i poníženie wśród reszty. Bo w tym kraju ludzi ponížanych, car, niezależnie od swojej siły, jest tak naprawdę bezwolny, jego wolę wchłaniają mętne bagna administracji, i tak jak Piotrowi, wkrótce zostaje mu tylko jedno: rozkazywanie innym, by byli posłuszni jego rozkazom. Na jego oczach poddani gną się w

ukłonach, za jego plecami spiskują przeciw niemu. Wszyscy schlebiają tym, którzy stoją wyżej, i cisną tych, których mają pod sobą, wszyscy mają mentalność niewolników, rabów, jak ich nazywacie, i ta niewolnicza mentalność sięga samego wierzchołka; niewolnikiem największym ze wszystkich jest car, który nie może zaradzić nikczemności i poniżeniu swego niewolniczego ludu, więc w swojej bezradności zabija go, terroryzuje i jeszcze bardziej poniża. I za każdym razem, gdy następuje w waszej historii prawdziwy przełom, prawdziwa szansa na wyjście z tego błędnego koła i na zapoczątkowanie czegoś nowego, nie udaje wam się: przed wolnością, tą wolnością z 1917 roku, o której pan mówił, cały naród, zarówno lud, jak i przywódcy, cofa się i wraca do starych, sprawdzonych odruchów. Koniec NEP-u czy deklaracja socjalizmu w jednym kraju, to nic innego jak właśnie to. A ponieważ wielkie nadzieje całkiem nie wygasły, potrzebne były czystki. Dzisiejsza idea wielkorosyjska jest tylko logicznym zakończeniem tego procesu. Rosjanin, człowiek wiecznie poniżany, radzi sobie z tym zawsze w jeden tylko sposób: identyfikując się z abstrakcyjną chwałą Rosji. Może pracować po piętnaście godzin dziennie w zimnej fabryce, przez całe życie jeść czarny chleb i kapustę i służyć tłustawemu właścicielowi, który uważa się za marksistę-leninistę, ale jeździ limuzyną, ma luksusowe dziwki i francuski szampan — może to robić, dopóki ma świadomość, że buduje Trzecie Cesarstwo Rzymskie. A to Trzecie Cesarstwo może być chrześcijańskie albo komunistyczne, nieważne. Co się zaś tyczy dyrektora fabryki, będzie bez przerwy drżał o swoje stanowisko, schlebiał swemu przełożonemu i obsypywał go wspaniałymi prezentami, a gdy mu się nie powiedzie, na jego miejsce zostanie powołany nowy, identyczny, tak samo zachłanny, ciemny i poniżany jak on, i będzie tak samo gardził swoimi robotnikami, bo przecież w końcu służy państwu proletariackiemu. Pewnego dnia, prawdopodobnie, komunistyczna fasada się zawali, przy użyciu przemocy albo i bez niej. I wtedy pojawi się ta sama, znana nam Rosja, niezmieniona. Jeżeli nawet wygracie tę wojnę, będziecie większymi narodowymi socjalistami i większymi imperialistami niż my, ale wasz socjalizm, w przeciwieństwie do naszego, będzie tylko pustą nazwą, i będziecie się mogli oprzeć jedynie na nacjonalizmie. W Niemczech i w krajach kapitalistycznych twierdzi się, że komunizm zrujnował Rosję; ja uważam, że jest przeciwnie: to Rosja zrujnowała komunizm. To mogłaby być całkiem piękna idea i kto wie, co by się stało, gdyby Rewolucja miała miejsce w Niemczech, nie w Rosji? Gdyby przeprowadzili ją pewni siebie Niemcy, tacy jak pańscy przyjaciele Róża Luksemburg czy Karol

Liebknacht? Sam uważam, że byłaby to wielka porażka, gdyż zaostrzyłyby to nasze specyficzne konflikty, które narodowy socjalizm pragnie rozwiązać. Ale, kto wie? Jedno jest pewne, u was doświadczenie z komunizmem mogło się zakończyć wyłącznie klęską. To jak doświadczenie medyczne przeprowadzane w zakażonym środowisku. Jego wyniki są do wyrzucenia”. — „Świetny z pana dialektyk, gratuluje, można by przypuszczać, że przeszedł pan komunistyczne szkolenie. Ale ja jestem zmęczony, nie będę się z panem kłócił. Tak czy inaczej to tylko słowa. Ani pan, ani ja nie będziemy mieli okazji poznać przyszłości, którą pan opisuje”. — „Kto wie? Jest pan jednak dość wysoko postawionym komisarzem. Być może wyślemy pana do obozu, żeby pana przesłuchiwać”. — „Niech pan sobie ze mnie nie kpi, odparł twardo. Liczba miejsc w waszych samolotach jest ograniczona, nie będziecie się bawić w ewakuację takiej płotki. Dobrze wiem, że zostanę rozstrzelany, dzisiaj albo jutro. Ale nie przeszkadza mi to”. Znow zaczął mówić z rozbawieniem: „Zna pan francuskiego pisarza Stendhala? Więc na pewno czytał pan to zdanie: *Tylko skazanie na śmierć wyróżnia człowieka od innych: to jedyna rzecz, której się nie da kupić*”. Wybuchnąłem niepohamowanym śmiechem. On też się śmiał, ale ciszej. „Skąd to pan wytrzasnął?”, udało mi się w końcu wydusić. Wzruszył ramionami: „Och, wie pan. Czytałem nie tylko Marksa”. — „Szkoda że nie mam nic do picia, powiedziałem. Chętnie bym pana poczęstował”. Spoważniałem. „Szkoda że jesteśmy nieprzyjaciółmi. W innych okolicznościach moglibyśmy dojść do porozumienia”. — „Być może, odrzekł zamyślony, ale może wcale nie”. Wstałem, podszedłem do drzwi, zawołałem Ukraińca. Potem wróciłem za biurko. Komisarz podniósł się i próbował poprawić rozdarty rękaw. Ciągle stojąc, podałem mu napoczętą paczkę papierosów. „Ach, dziękuję, powiedział. Ma pan zapalki?” Dałem mu pudełko. Ukrainiec czekał na progu. „Za pozwoleniem nie uścisknę panu dłoni”, odezwał się komisarz z ironicznym uśmiechem. — „Bardzo proszę”, odpowiedziałem. Ukrainiec pociągnął go za ramię; wyszedł, wsuwając papierosy i zapalki do kieszeni kurtki. Mogłem nie dawać mu całej paczki, pomyślałem, nie będzie miał czasu jej skończyć, Ukraińcy wypalą resztę.

Nie sporządziłem raportu z tego spotkania, cóż mogłem napisać? Wieczorem oficerowie spotkali się, by życzyć sobie pomyślności w Nowym Roku i „wysuszyć” ostatnie butelki, które ten i ów jeszcze przechował. Ale świętowanie niezbyt dobrze nam szło: po zwyczajowych toastach moi koledzy mówili mało, siedzieli osobno, pili i rozmyślali; wszyscy szybko się rozeszli. Próbowałem opisać Thomasowi moje spotkanie z

Prawdinem, ale przerwał mi: „Rozumiem, że cię to interesuje. Ale te wszystkie historyczne elukubracje nie są akurat moim największym zmartwieniem”. Kierowany dziwnym poczuciem przyzwoitości nie spytałem, co zrobili z komisarzem. Nazajutrz rano obudziłem się na długo przed świtem, zresztą niewidocznym tu, pod ziemią, i poczułem, że wstrząsają mną gorączkowe dreszcze. Przy goleniu przyjrzałem się uważnie swoim oczom, ale nie były zaczerwienione. W mesie jakoś przełknąłem trochę zupy i herbaty; nie tknąłem chleba. Siedzenie, czytanie, redagowanie raportów stało się wkrótce nie do zniesienia — miałem wrażenie, że się duszę, i postanowiłem, bez zezwolenia Möritza, wyjść na powietrze: Vopel, adiutant Thomasa, niedawno został ranny, poszedłem go odwiedzić. Iwan, jak to miał w zwyczaju, bez gadania zarzucił broń na ramię. Powietrze było wyjątkowo łagodne i wilgotne, śnieg leżący na ziemi zmienił się w błoto, gruba warstwa chmur zasłaniała słońce. Wiedziałem, że Vopel leży w szpitalu urządzonym w teatrze miejskim, w dolnej części miasta. Bomby zmiądzły schody i wyrwały ciężkie drewniane drzwi, w dużym foyer, pośród kawałków marmuru i rozbitych filarów, leżały dziesiątki trupów, które sanitariusze przynosili tu z piwnic i układali w stosy przed spalaniem. Ohydny smród wyziewał z podziemnych korytarzy, wypełniał cały hol. „Ja czekam tutaj”, oświadczył Iwan, stanął przy głównym wejściu i zaczął skręcać sobie papierosa. Patrzyłem na niego i mój podziw dla jego flegmy zamienił się w nagły, przeszywający smutek: rzeczywiście, ja miałem wszelkie szansę, by tutaj zostać, ale on na wydostanie się stąd nie miał szans najmniejszych. Palił ze spokojem, obojętny. Ruszyłem w stronę podziemi: „Proszę nie podchodzić zbyt blisko ciał”, ostrzegł mnie jakiś sanitariusz. Pokazał coś palcem, popatrzyłem: ciemna, bezkształtna, ruchliwa masa sunęła po nagromadzonych trupach, odklejała się od nich, pełzała pośród gruzów. Przyjrzałem się z bliska i zakotłowało mi się w żołądku; wszy rojnie opuszczały ostygłe ciała w poszukiwaniu nowych żywicieli. Ominąłem to wszystko ostrożnie i zszedłem. Sanitariusz za moimi plecami rżał ze śmiechu. W piwnicy odór okleił mnie jak mokre prześcieradło, jak jakiś żywy, wielokształtny stwór, wciskał mi się do nozdrzy i gardła, wymieszany smród krwi, gangreny, gnijących ran, dymu z wilgotnego drewna, wełny, mokrej lub przesączonej moczem, słodkawych wyziewów biegunki, wymiotów. Oddychałem przez usta, świszcząc, z wielkim wysiłkiem powstrzymywałem fale mdłości. Chorych i rannych ułożono w rzędach, na kocach, a czasem bezpośrednio na ziemi, we wszystkich rozległych, zimnych, wybetonowanych piwnicach teatru. Jęki i krzyki niosły się echem

pod sklepieniami, gruba warstwa błota pokrywała podłogę. Nieliczni lekarze i sanitariusze w wyświechtanych fartuchach sunęli wolno między rzędami konających, uważnie stawiając stopy, tak by nie rozdeptywać ich kończyn. Nie miałem pojęcia, jak odszukać Vopela w tym rozgardiaszu. W końcu zlokalizowałem pomieszczenie, które mogło być salą operacyjną, i wszedłem bez pukania. Wykafelkowana podłoga była uwalana błotem i krwią, po lewej siedział na ławce mężczyzna z jednym ramieniem, miał otwarte, puste oczy. Na stole leżała kobieta, blondynka — bez wątpienia cywil, bo wszystkie nasze sanitariuszki ewakuowano — naga, ze śladami straszliwych poparzeń na brzuchu i pod piersiami, z obiema nogami uciętymi powyżej kolan. Poraził mnie ten widok; siłą zmusiłem się, by odwrócić oczy, nie wbijać ich w napuchnięty srom, uwypuklający się silnie między dwoma kikutami. Wszedł lekarz i poprosiłem, żeby pokazał mi rannego z SS. Dał znak, że mam iść za nim, i zaprowadził mnie do małego pomieszczenia, gdzie Vopel, na wpół ubrany, siedział na składanym łóżku. Dostał odłamkiem w rękę i wyglądał na bardzo szczęśliwego, bo wiedział, że teraz będzie mógł wyjechać. Blady i pełen zawiści patrzyłem na jego obandażowane ramię; tak samo musiałem kiedyś patrzeć na siostrę, gdy ssała pierś naszej matki. Vopel palił i gadał, odniósł *Heimatschuss*, a fakt, iż miał takie szczęście, wprowadził go w euforię, cieszył się jak dziecko, trudno było ukryć tę radość, nie mogłem tego znieść. Bez przerwy obmacywał, niczym jakiś fetysz, etykietkę VERWUNDETE, „ranny”, przymocowaną do kieszeni kurtki, którą miał zarzuconą na ramiona. Zostawiłem go z obietnicą, że porozmawiam z Thomasem o jego ewakuacji. Miał nieprawdopodobne szczęście: ze swoim stopniem nie mógł nawet marzyć o wpisaniu na listę przeznaczonych do ewakuacji niezbędnych specjalistów, a wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że dla nas, dla SS, nie będzie żadnych obozów jenieckich, że Rosjanie traktują SS tak, jak my traktujemy ich komisarzy i ludzi z NKWD. Wychodząc, znów pomyślałem o Prawdinie i zastanawiałem się, czy na jego miejscu byłbym równie spokojny; z dwojga złego, od tego, co czeka mnie u bolszewików, wolałbym chyba samobójstwo. Nie wiedziałem jednak, czy bym się odważył. Poczułem się jak szczur w potrzasku, dotarło to do mnie wyraźnie, jak nigdy dotąd. Nie mogłem zgodzić się na taki koniec, w całym tym brudzie i w nędzy. Wracały dreszcze i gorączka, pomyślałem z przerażeniem, jak niewiele trzeba, bym i ja znalazł się w tej śmierdzącej piwnicy i utkwiał tu w pułapce własnego ciała, aż do chwili, w której nadejdzie moja kolej i wyniosą mnie na korytarz, a wszy opuszczą mnie wreszcie. Dotarłem do foyer i w poszukiwaniu Iwana

wszedłem po szerokich schodach do sali teatru. Kiedyś musiała to być piękna sala, z balkonami i fotelami obitymi pluszem. Teraz jej zbombardowany plafon był niemal doszczętnie zawalony, żyrandol rozbił się pośrodku widowni, przysypała go gruba warstwa gruzu i śniegu. Zdjęty ciekawością, ale też nagłym strachem przed wyjściem na zewnątrz, poszedłem obejrzeć piętra. I one nosiły ślady walki: ściany przebito, by utworzyć pozycje strzelnicze, łuski, puste skrzynki po amunicji wały się na korytarzach. Na balkonie dwa rosyjskie trupy, których nikt nie pofatygował się znieść, leżały na fotelach, jak gdyby oczekiwały na ciągle odwlekany początek spektaklu. Przez wyważone drzwi na końcu korytarza dostałem się na kładkę nad sceną; większość reflektorów i scenograficznych machin spadła na dół, ale niektóre ciągle jeszcze tu były. Dotarłem do więzby dachowej: w miejscu, pod którym kiedyś otwierała się w dole widownia, ziała teraz wyrwa, ale nad sceną sufit pozostał nietknięty, a podziurawiony jak sito dach nadal spoczywał na płataninie belek. Zaryzykowałem i zerknąłem przez jedną z dziurek: zobaczyłem uczernione ruiny, dym unoszący się z wielu miejsc; na północy trwało gwałtowne natarcie, z dala słyszałem charakterystyczny wizg niewidocznych szturmowików. Szukałem Wołgi, pragnąłem zobaczyć ją chociaż raz, ale schowała się za ruinami; ten teatr nie był wystarczająco wysoki. Odwróciłem się i rozejrzałem po zniszczonym strychu: przypominał mi strych wielkiego domu w Antibes. Zawsze, gdy wracałem z internatu w Nicei, razem z siostrą, z którą w domu się nie rozstawałem, badaliśmy wszystkie kąty tego dziwaczego domostwa, a na koniec i tak niezmiennie lądowaliśmy na strychu. Wnosiliśmy tam gramofon z korbką, zabrany z salonu, i teatrzyk marionetek, który należał do siostry — były w nim różne zwierzęta: kot, żaba, jeź; rozwieszaliśmy prześcieradło między dwoma belkami i wystawialiśmy, tylko dla siebie, sztuki i opery. Naszym ulubionym spektaklem był *Czarodziejski flet* Mozarta: żaba grała rolę Papagena, jeź był Taminem, kot Paminą, a lalka o ludzkich kształtach — Królową Nocy. Stałem teraz w gruzowisku, z wytrzeszczonymi oczyma, i zdawało mi się, że słyszę muzykę, dostrzegam feeryczną grę marionetek. Ciężki skurcz skrzył mój żołądek, spuściłem spodnie, kucnąłem i popłynęło ze mnie rzadkie gówno, a ja byłem daleko, myślałem o falach, o morzu przecinanym kilem statku, o dwójce dzieci, siedzących na dziobie, patrzących na to morze, o mnie i mojej bliźniaczce Unie, o spojrzeniu, o dwóch dłoniach, które dotykały się ukradkiem, i o miłości, jeszcze większej, jeszcze bardziej bezkresnej niż to błękitne morze, niż gorycz i ból wszystkich samotnych lat, o słonecznym

splendorze, dobrowolnej zgubie. Skurcze, biegunka, napady białej gorączki, także strach, wszystko zatarło się, rozpuściło w tym niesamowitym wspomnieniu. Nawet nie wciągnąłem gaci, położyłem się pośród kurzu i gruzu, a przeszłość rozkwitła przede mną niczym wiosenny kwiat. Tym, co podobało nam się na strychu, był, w przeciwieństwie do piwnicy, stały dopływ światła. Nawet gdy dach jest cały, nawet gdy nie rozdarły go szrapnele, światło sączy się przez okienka i szczeliny między dachówkami albo wpełza po drabinie łączącej z niższym piętrem, nigdy nie jest tam całkowicie ciemno. I właśnie w tym rozproszonym, niepewnym, poszatkowanym świetle bawiliśmy się i uczyliśmy rzeczy, które chcieliśmy umieć. Kto wie, jak do tego doszło? Być może znaleźliśmy kilka zakazanych książek, wciśniętych za inne tomy w bibliotece Moreau, a może przyszło to naturalnie, podczas kolejnych zabaw i odkryć? Tego lata zostaliśmy w Antibes, ale soboty i niedziele spędzaliśmy w domu wynajętym przez Moreau, w pobliżu Saint-Jean-Cap-Ferrat, nad brzegiem morza. Stamtąd nasze zabawy przeniosły się na pola, do lasów pełnych czarnych sosen i w pobliskie zarośla, rozwibrowane grą cykad i bzyczeniem pszczoł buszujących w lawendzie, której zapach mieszał się z wonią rozmarynu, tymianku i żywicy — wszystko to pod koniec lata łączyło się jeszcze z aromatem fig, wcinaliśmy je, dopóki nas nie zemdliło; w oddali było morze i chaotycznie rozrzucone skały, skalisty brzeg, i jeszcze dalej — mała, stroma wysepka; docieraliśmy do niej wplaw albo łódką. Tam, nadzy jak dzikusy, nurkowaliśmy z blaszaną łyżeczką, którą odczepialiśmy wielkie czarne jeżówce od podwodnych ścian. Gdy już zebraliśmy kilka, otwieraliśmy je scyzorykiem i łykaliśmy jaskrawopomarańczową masę jajeczek, sklejonych we wnętrzu muszli, a potem wrzucaliśmy skorupy do morza i cierpliwie wyciągaliśmy z palców połamane kolce, rozcinaliśmy skórę ostrzem scyzoryka i sikaliśmy na ranę. Czasem, zwłaszcza gdy wiał mistral, gdy fale rosły, roztrzaskiwały się o skałę, dotarcie do brzegu stawało się niebezpieczną grą, pochłaniającą całą naszą dziecięcą zręczność i zapał: raz, gdy wynurzyłem się z wody w oczekiwaniu na odpływ, żeby chwycić się skały, nieoczekiwana fala zmiotła mnie i rzuciła na kamienie, rozdarłem sobie skórę na ich nierównościach, krew płynęła wiązką cienkich strużek i rozpuszczała się w morskiej wodzie. Siostra rzuciła się na mnie i przewróciła na trawę, i całowała otarcia, jedno po drugim, wylizując krew i sól jak mały, zachłanny kotek. W naszym wszechwładnym szaleństwie stworzyliśmy kod, dzięki któremu mogliśmy, w obecności matki i Moreau, proponować sobie wzajemnie określone gesty, czynności. To był wiek czystej

niewinności, szczęśliwy, wspaniały. Wolność wypełniała nasze małe, drobne ciała, szczupłe i opalone, pływaliśmy jak foki, prześlizgiwaliśmy się przez las jak lisy, turlaliśmy się, tarzaliśmy razem w kurzu, i nie można było rozróżnić naszych nagich ciał, żadne z nas nie było całkiem chłopcem ani całkiem dziewczynką, byliśmy parą splecionych węży.

Nocą gorączka rosła, dygotałem na łóżku nad Thomasem, otulony w koce, zżerany przez wszy, nawiedzany przez odległe obrazy. Gdy wróciliśmy do szkoły, po wakacjach, prawie nic się nie zmieniło. Rozdzieleni marzyliśmy o sobie wzajemnie, czekaliśmy na chwilę, która nas połączy. Mieliśmy oficjalne życie, wiedliśmy je otwarcie, jak każde dziecko, mieliśmy nasze życie prywatne, które należało tylko do nas dwojga, przestrzeń bardziej rozległą niż świat, ograniczoną wyłącznie możliwościami naszej duchowej wspólnoty. Z czasem zmieniały się dekoracje, lecz pawana naszej miłości wciąż wybijała swój rytm, elegancki albo wściekle szybki. Na ferie zimowe Moreau zawiózł nas w góry; wtedy zdarzało się to dużo rzadziej niż teraz. Wynajął domek od rosyjskiego szlachcica: moskwiczanie zmienił jedną z przybudówek w łaźnię parową, coś, czego żadne z nas wcześniej nie widziało, ale właściciel pokazał nam, jak to działa, i Moreau, zwłaszcza on, zapalał miłością do tego wynalazku. Pod wieczór, po dniu spędzonym na nartach, na sankach lub na pieszej wędrowce, siedział tam dobrą godzinę i się pocił. Nie miał jednak odwagi wyjść i tarzać się po śniegu, co my czyniliśmy ochoczo, wciśnięci, niestety, w kostiumy kąpielowe, które kazała nam zakładać matka. Ona sama nie lubiła łaźni parowej i unikała jej. Ale gdy zostawaliśmy w domu sami, w ciągu dnia, gdy oni szli pospacerować po mieście, albo wieczorem, gdy spali, wracaliśmy do wystygłej łaźni, zrzucaliśmy wreszcie ubrania, a nasze drobne ciała przeglądały się w sobie wzajemnie jak w lustrach. Chowaliśmy się też w długich, pustych szafach umiejscowionych pod dużym, spadzistym dachem, w których nie mogliśmy stać prosto, dlatego leżeliśmy, czołgaliśmy się, tuliliśmy, ciało do ciała, niewolnicy siebie samych i władcy wszystkiego.

W ciągu dnia próbowałem odzyskać kruchą równowagę w sercu zniszczonego miasta, ale gorączka i biegunka brały górę, odrywały mnie od rzeczywistości, i tak przecież trudnej i naznaczonej bólem. Dokuczał mi też ból lewego ucha, głuchy, cisnący, tuż pod skórą, w małżowinie. Bezskutecznie próbowałem sobie ulżyć, masując to miejsce

małym palcem. Rozkojarzony, spędzałem długie szare godziny w swoim gabinecie, otulony ubabraną pelisą, nucąc jakąś mechaniczną melodyjkę bez żadnej tonacji i próbując odnaleźć dawne, utracone zapachy. Anioł otwierał drzwi mojego gabinetu i wchodził, przynosząc rozżarzony węgiel, który pali grzechy, ale zamiast musnąć tylko wargi, wciskał mi wszystko do ust; i jeśli wtedy wychodziłem na zewnątrz, kontakt ze świeżym powietrzem sprawiał, że płonałem żywcem. Stałem nieruchomo, bez uśmiechu, lecz moje spojrzenie, wiem, pozostawało spokojne, nawet wtedy, gdy płomienie lizały powieki, wwiercały się w nozdrza, wypełniały szczękę i zasłaniały oczy. A gdy ogień gasł, dostrzegałem rzeczy zdumiewające, niesłychane. Na lekko spadzistej ulicy, pełnej zniszczonych samochodów i ciężarówek, zauważyłem człowieka na chodniku, opartego jedną ręką o latarnię. Był to żołnierz, brudny, źle ogolony, odziany w łachy powiązane sznurkami, podpięte agrafkami, z prawą nogą uciętą pod kolanem, świeżą i otwartą raną, z której płynęły strumienie krwi. Trzymał puszkę po konserwie albo cynowy kubek tuż pod kikutem i próbował zebrać doń krew, którą spijał szybko, żeby jej jak najmniej stracić. Jego gesty były metodyczne, precyzyjne, aż strach chwycił mnie za gardło. Nie jestem lekarzem, mówiłem sobie, nie mogę nic zrobić. Na szczęście byliśmy blisko teatru, więc rzuciłem się przed siebie i biegłem długimi piwnicami, ciemnymi i ciasnymi, płosząc szczury, które chodziły po rannych: „Lekarza, potrzebuję lekarza!”, krzyczałem. Szarzy, zgaszeni sanitariusze patrzyli na mnie, nikt nie odpowiadał. Wreszcie znalazłem lekarza, siedział na taborecie przy piecyku i pił powoli herbatę. Trochę trwało, zanim zareagował na moje wzburzenie, wyglądał na zmęczonego, lekko zirytowanego moim uporem, ale w końcu poszedł za mną. Mężczyzna z odciętą nogą upadł i teraz leżał na ulicy. Nadal był spokojny i obojętny, ale widać było, że słabnie. Kikut pokrywała teraz jakaś piana, zmieszana z krwią, może była to ropa; druga noga też krwawiła i wyglądała, jakby zaraz jej część miała odpaść. Lekarz uklęknął obok mężczyzny i zaczął opatrywać obrzydliwe rany, gesty miał chłodne i profesjonalne; jego postawa zdumiewała mnie: nie tylko gotowość dotykania tych ognisk ohydy, ale to, jak pracował, bez emocji, bez wstrętu — ja byłem chory od samego widoku. Nie przerywając pracy, lekarz patrzył na mnie, rozumiałem jego spojrzenie: ten człowiek długo nie pociągnie, nic już nie można zrobić, nic, jedynie stworzyć pozory pomocy, tak by załagodzić nieco lęk i ostatnie chwile uchodzącego życia. Wszystko to prawda, uwierzcie mi. Kiedy indziej Iwan zaprowadził mnie do wielkiego bloku, niedaleko frontu, na Prospekcie Republikańskim, gdzie podobno

schronił się radziecki dezertor. Nie mogłem go znaleźć. Chodziłem po mieszkaniach, żałując, że w ogóle tu przyszedłem, gdy nagle na korytarzu rozległ się piskliwy dziecięcy śmiech. Wyszedłem z mieszkania, ale niczego nie zauważyłem; dopiero po kilku minutach schody obiegła horda zdziczałych, bezwstydných dziewczynek, ocierały się o mnie i przechodziły między moimi nogami, a potem unosiły spódniczki, pokazywały mi wyświechtane tyłki i znikwały w podskokach w głębi klatki schodowej, po czym znów nadbiegały całą grupą, do wtóru wybuchów śmiechu. Były podobne do małych, zachłanných szczuryc, ogarniętych seksualną gorączką: jedna z nich rozsiadła się na schodku, tuż przy mojej twarzy i rozłożyła nogi, ukazując nagi, gładki srom. Inna gryzła mi palce; chwyciłem ją za włosy i pociągnąłem do siebie, żeby dać jej w twarz, ale trzecia wsunęła mi od tyłu rękę między nogi i wtedy ta, którą trzymałem, wywinęła się, wyrwała i rozplnęła w głębi korytarza. Pobiegnąłem za nimi, ale korytarz był już pusty. Rozejrzałem się po zamkniętych drzwiach mieszkań, przyskoczyłem do jednych, otworzyłem: musiałem rzucić się do tyłu, żeby nie spaść, za tymi drzwiami nie było niczego, zamknąłem je z trzaskiem i natychmiast seria z rosyjskiego karabinu podziurawiła je jak sito. Padłem na podłogę: na jednej ze ścian eksplodował pocisk przeciwpancerny, ogłuszył mnie, przysypał gipsem, kawałkami drewna i starych gazet. Poczłogałem się szybko i wtoczyłem do mieszkania po drugiej stronie korytarza, bez drzwi wejściowych. W salonie, zdyszany, usiłując złapać oddech, usłyszałem niewyraźne dźwięki fortepianu. Z pistoletem maszynowym w garści otworzyłem drzwi sypialni: wewnątrz, na niezasałanym łóżku leżał trup Rosjanina, a na taborecie siedział po turecku jakiś Hauptmann w uszance i słuchał płyty ze stojącego na podłodze gramofonu. Nie rozpoznałem muzyki, spytałem go, co to jest. Doczekał do końca utworu, lekkiej melodii z krótkim, wpadającym w ucho refrenem, a potem zdjął płytę i spojrział na nalepkę: „Daquin. *Kukułka*”. Zakręcił korbą gramofonu, wyjął inną płytę z pomarańczowej koperty i ustawił igłę. „To pan rozpozna”. Rzeczywiście, był to *Marsz turecki* Mozarta, w szybkiej, lekkiej interpretacji, przepojonej jednocześnie romantyczną powagą; prawdopodobnie jakiś słowiański pianista. „Kto gra?”, spytałem. — „Rachmaninow, kompozytor. Zna pan?” — „Trochę. Nie wiedziałem, że również gra”. Podał mi plik płyt. „Nasz przyjaciel musiał być niezłym melomanem, stwierdził, wskazując na łóżko. I miał chyba dobre kontakty w partii, sądząc po tych płytach”. Przejrzałem okładki: były na nich napisy po angielsku, płyty pochodziły ze Stanów Zjednoczonych; Rachmaninow grał Glucka, Scarlattia, Bacha, Chopina, a także

jeden z własnych utworów. Nagrań dokonano w pierwszej połowie lat dwudziestych, ale wyglądały na świeżo wydane. Były tu też płyty rosyjskie. Utwór Mozarta skończył się i oficer włączył Glucka, transkrypcję tematu z *Orfeusza i Eurydyki*, delikatną, rozdzierającą, przeraźliwie smutną. Wskazałem podbródkiem na łożko: „Czemu się go pan nie pozbędzie?”. — „A po co? Tu mu dobrze”. Poczekalem do końca utworu i spytałem: „A nie widział pan tu czasem małej dziewczynki?”. — „Nie, a co, potrzebuje pan dziewczynki? Muzyka lepsza”. Odwróciłem się do niego plecami i wyszedłem z mieszkania. Otworzyłem następne drzwi: ta, która mnie ugryzła, kucała na dywanie i sikała. Wbiła we mnie błyszczące oczy, podtarła się dłonią, dała nura pomiędzy moimi nogami i zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, ze śmiechem zbiegła po schodach. Usiadłem na kanapie i wpatrywałem się w mokrą plamę na kwiecistym dywanie. Byłem jeszcze ogłuszony po eksplozji, fortepianowa muzyka dźwięczała mi w chorym uchu i sprawiała ból. Włożyłem tam delikatnie palec, wyjąłem, był cały w żółtawej ropie, obtarłem go o obicie kanapy. Wysmarkałem się w zasłonę i wyszedłem; do diabła z dziewczynką, ktoś inny będzie musiał wymierzyć jej zasłużoną karę. W piwnicach Uniwersytetu udałem się do lekarza. Potwierdził zakażenie, jako tako oczyścił ucho i obandażował je, ale nie mógł dać mi nic więcej, bo nic nie miał. Nie umiałem powiedzieć, ani jaki mamy dzień, ani czy wielka radziecka ofensywa na zachodzie *Kessel* już się rozpoczęła; straciłem wszelką świadomość czasu i technicznych szczegółów naszej zbiorowej agonii. Gdy ktoś coś do mnie mówił, słowa docierały jakby z oddali, niczym głos spod wody — nie rozumiałem, o co chodzi. Thomas musiał zauważyć, że tracę orientację, i starał się służyć mi za przewodnika, sprowadzać mnie z najbardziej poplątanych ścieżek. Jednak on także miał problem z zachowaniem poczucia sensu i ciągłości tego, co nas otaczało. Żeby mnie jakoś zająć, wychodził ze mną na zewnątrz: niektórzy jego znajomi Ic trzymali u siebie a to butelkę ormiańskiego koniaku, a to sznapsa, i podczas gdy on wdawał się z nimi w dyskusje, ja siorbałem ze szklanki, zatopiony w wewnętrznym szumie. Wracając z jednej z takich wypraw, zauważyłem na rogu ulicy wejście do metra. Czemu nikt nigdy nie pokazał mi go na planie? Chwyciłem Thomasa za rękaw, wskazując na nikiące w ciemności schody i poprosiłem: „Chodź, Thomas, obejrzymy metro z bliska”. Odpowiedział mi bardzo grzecznie, lecz stanowczo: „Nie, Max. Nie teraz. Chodź”. Nie dawałem za wygraną: „Proszę cię. Chcę je zobaczyć”. Prawie skamlałem, ogarnięty głuchym lękiem, to wejście nieodparcie mnie przyciągało, ale Thomas cały czas

odmawiał. Już miałem się rozplakać jak dziecko, któremu ktoś nie dał zabawki, gdy tuż przy nas wybuchł pocisk artyleryjski — podmuch przewrócił mnie na ziemię. Kiedy opadł dym, usiadłem i potrząsnąłem głową. Thomas, widziałem to, nadal leżał na śniegu, a długi płaszcz miał zachlapany krwią i obsypany grudkami ziemi; z brzucha zwisały mu jelita, jak długie węże, lepkie, oślizłe, parujące. Patrzyłem na niego w osłupieniu, a on poderwał się, ruchy miał urywane, nieskoordynowane, jak niemowlę, które właśnie uczy się chodzić, wsunął dłoń w rękawiczce do dziury w brzuchu i wyłuskiwał ostre kawałki szrapnela, które rzucał na śnieg. Te odłamki jeszcze ciągle były rozżarzone, pomimo rękawiczki parzył sobie palce, więc ssał je żałośnie po każdym odrzuconym kawałku. Odłamki, ledwo dotknęły śniegu, zapadały się weń z sykiem, tworząc obłoczki pary. Kilka ostatnich utkwilo chyba dość głęboko, bo Thomas musiał wsunąć całą dłoń, żeby je wydobyć. Potem wziął się do zbierania wnętrzności, ciągnął je powoli ku sobie, nawijając na jedną rękę; uśmiechał się przy tym krzywo: „Chyba zostało jeszcze kilka okruchów. Ale są zbyt małe”. Wpychał w siebie kłęby jelit, przeciskał je przez fałdy ciała. „Czy mógłbyś pożyczyć mi swój szalik?”, poprosił; on, wieczny dandys, miał tylko pulower z golfem. Poblady, podałem mu szalik bez słowa. Przeciągnąwszy go pod strzępami munduru, Thomas owinął nim starannie brzuch i związał w mocny supeł z przodu. Następnie, podtrzymując swoje dzieło jedną ręką, podciągnął się chwiejnie do góry, wsparłszy się na moim ramieniu. „Cholera, wymruczał i zatoczył się, ale boli”. Kilka razy stanął na palcach i opadł na pięty, potem zaryzykował i podskoczył. „Dobra, powinno trzymać”. Z całą godnością, na jaką było go stać, zebrał kawałki munduru i ściągnął je na brzuchu. Gęsta krew sklejała je i trzymała mniej więcej na miejscu. „Niczego bardziej nie potrzebowałem. Oczywiście o niciach i igle mogę tu zapomnieć”. Krótki, ochryply śmieszek przeszedł w grymas bólu. „Co za kurestwo, westchnął. Mój Boże, dodał na widok mojej twarzy, całkiem zzieleniałeś”.

Już nie upierałem się przy zejściu do metra, odprowadziłem Thomasa do Uniwersytetu, czekałem na koniec. Radziecka ofensywa w zachodniej części kotła doszczętnie przerwała nasze linie. Kilka dni później ewakuowano Pitomnik, w nieopisanym chaosie, który zostawił tysiące rannych rozrzuconych po zmarzniętym stepie. Oddziały i stanowiska dowodzenia przesuwały się w stronę miasta, nawet AOK, w Gumraku, przygotowywało się do odwrotu, a Wehrmacht wyrzucił nas ze schronu pod Domem Towarowym i umieścił tymczasowo w dawnej siedzibie NKWD — niegdyś

pięknym budynku, z wielką szklaną kopułą, dziś stłuczoną, i z polerowaną granitową podłogą — ale ponieważ jego piwnice zajmowała jednostka medyczna, byliśmy zmuszeni przejść do zdemolowanych biur na pierwszym piętrze, skąd trzeba było zresztą przegnać kwaterę główną Seydlitza (jak w luksusowym hotelu z widokiem na morze, gdzie każdy chce mieszkać po jednej stronie, a po drugiej — nikt). Lecz wszystkie te szalone wydarzenia były mi obojętne, ledwo tylko i z roztargnieniem przyjąłem do wiadomości ostatnie zmiany, ponieważ natrafiłem na cudowne znalezisko, na wydanie dzieł Sofoklesa. Książka była rozdarta na pół, ktoś chciał ją podzielić, no i były to, niestety, tylko przekłady, ale pośród nich *Elektra*, moja ulubiona. Zapominałem o gorączkowych dreszczach, które wstrząsały moim ciałem, o ropie, sączącej się przez bandażę — pogrążałem się, uszczęśliwiony, w tych wersetach. W internacie, w którym zamknęła mnie matka, oddawałem się nauce, aby uciec od panującej tam brutalności, lubiłem zwłaszcza grekę — to zasługa naszego profesora, tego młodego księdza, o którym już opowiadałem. Nie miałem jeszcze piętnastu lat, a wolne godziny spędzałem w bibliotece, rozszyfrowując *Iliadę*, linijka po linijce, z bezgraniczną pasją i cierpliwością. Na zakończenie roku szkolnego nasza klasa przygotowała inscenizację jednej z tragedii, *Elektry* właśnie, w szkolnej sali gimnastycznej, specjalnie na tę okazję przemeblowanej; wybrano mnie do głównej roli. Miałem na sobie chiton, sandały i perukę, czarne pukle tańczyły wokół moich ramion: gdy przejrzałem się w lustrze, zdało mi się, że mam przed sobą Unę, i omal nie zemdlałem. Nie widzieliśmy się już prawie od roku. Gdy wszedłem na scenę, byłem tak bardzo ogarnięty nienawiścią i miłością, i tak mocno, całym ciałem, czułem się młodą dziewczicą, że nie widziałem nic, nic nie słyszałem; gdy łkałem: *Orescie drogi, śmierć moja w twym zgonie*, z mych oczu płynęły łzy. Wtedy zjawił się Orestes, opętany przez Erynie, a ja krzychałem, wyrzaskiwałem swoje nakazy w tym pięknym, wolnym języku: *Tnij znów, jeśli możesz, wyłem, zachęcałem, popychałem go do zbrodni, Więc wraz go zabij i rzuć go zabiwszy takim, na jakich zasłużył grabarzom*. A gdy się skończyło, nie słuchałem oklasków, nie słuchałem gratulacji ojca Labourie, łkałem, a rzeź w pałacu Atrydów była krwią w moim własnym domu.

Thomas, który chyba już całkiem doszedł do siebie po wypadku, łajał mnie po przyjacielsku, ale nie zwracałem na to uwagi. Żeby się z nim podrażnić, gdy już podniosłem nos znad Sofoklesa, zacytowałem mu Josepha de Maistre'a: *Co to jest przegrana bitwa? To bitwa, którą uważa się za przegraną*. Zachwycony Thomas kazał

wymalować te słowa na tablicy, którą zawiesił na naszym korytarzu: podobno otrzymał gratulacje od Möritza i ten nowy slogan dotarł aż do generała Schmidta, który chciał uczynić z niego dewizę całej armii, ale, jak donoszono, Paulus się temu sprzeciwił. Ani Thomas, ani ja, taką mieliśmy umowę, nie rozmawialiśmy więcej o ewakuacji; a przecież wszyscy wiedzieli, że to kwestia dni — szczęśliwi wybrańcy Wehrmachtu już wyjeżdżali. Popadłem w przygnębiającą obojętność i tylko strach przed tyfusem był w stanie wstrząsnąć mną czasem; nie zadowalając się dokładnym oglądaniem oczu i warg, rozbierałem się w poszukiwaniu czarnych plam na torsie. O biegunkach już nawet nie myślałem, przeciwnie, kucając w śmierdzącej latrynie, odzyskiwałem pewien spokój i chętnie zamknąłbym się tam, żeby czytać, jak to czyniłem w dzieciństwie, ale nie było ani światła, ani drzwi, i musiał mi wystarczać papieros, jeden z ostatnich. Gorączka, teraz niemal permanentna, stała się dla mnie ciepłym kokonem, w którym mogłem się skulić, i wariacko cieszyłem się swoim brudem, potem, suchą skórą, piekącymi oczyma. Nie goliłem się już od wielu dni, delikatny rudy zarost wzmacniał rozkoszne uczucie nieczystości i dezynwoltury. Moje chore ucho ropiało, dźwięczało w nim czasem coś, jakby dzwonek albo ogłupiała syrena; kiedy indziej nie słyszałem nic. Po upadku Pitomnika nastąpiło kilkudniowe uspokojenie. Około 20 stycznia rozpoczęło się dalsze metodyczne miażdżenie kotła (te daty czerpię z książek, nie z pamięci, bo wtedy kalendarz był dla mnie pojęciem abstrakcyjnym, ulotnym wspomnieniem dawnego świata). Temperatura, po krótkotrwałym ociepleniu na początku roku, dramatycznie spadła, było jakieś minus 25 czy minus 30 stopni. Wątle ogniska, rozpalane w pustych beczkach po oleju, nie wystarczały, żeby ogrzać rannych; nawet w mieście żołnierze, żeby się wysikać, owijali członki w materiał, w śmierdzące, starannie chowane po kieszeniach gałgany; niektórzy korzystali z okazji i podkładali spuchnięte od odmrożeń dłonie pod ciepły strumień. Wszystkie te szczegóły docierały do mnie dzięki pracy somnambulicznych armijnych mechanizmów; ja sam, również somnambulik, czytałem te raporty i klasyfikowałem je, przydzieliwszy uprzednio każdemu odpowiedni numer, lecz już od jakiegoś czasu sam nie pisałem niczego. Gdy Moritz zapragnął informacji, wyciągałem na chybił trafił kilka raportów Abwehry i zanosilem. Może Thomas powiedział mu, że jestem chory, bo dziwnie na mnie patrzył, ale nie mówił nic. Thomas, wróć do niego jeszcze na moment, nigdy nie oddał mi szalika i gdy szedłem się przejść, marzłem w szyję; ale i tak wychodziłem, smrodliwa duchota panująca w budynku była nie do zniesienia. Intrygowało

mnie szybkie wyleczenie Thomasa: wyglądał już zupełnie zdrowo i gdy pytałem, unosząc znacząco brwi i spoglądając na jego brzuch: „Jak tam, w porządku?”, robił zdziwioną minę, po czym odpowiadał: „Tak, w porządku, a czemu miałyby być inaczej?”. Moje rany i moja gorączka nie dawały się wyleczyć, chciałem znać jego sekret. Któregoś z tych dni, prawdopodobnie 20 albo 21, wyszedłem na ulicę zapalić, po chwili dołączył do mnie Thomas. Niebo było jasne, bezchmurne, mróz szczypał, słońce prześwietlało wszystkie ziejące dziury w fasadach i odbijało się w suchym śniegu, błyszczało, oślepiało, a tam, gdzie nie mogło dotrzeć, rzucało stalowe cienie. „Słyszysz?”, spytał Thomas, lecz moje szalone ucho dzwoniło, nic nie mogłem usłyszeć. „Chodź”. Pociągnął mnie za rękaw. Obeszliśmy jakiś budynek i naszym oczom ukazał się niebywały widok: dwóch albo trzech Landserów, opatulonych w kapoty i koce, stało przy pianinie, na samym środku uliczki. Jeden z żołnierzy, usadowiony na niskim krześle, grał, a reszta chyba uważnie słuchała, lecz ja, ja nie słyszałem niczego, było to naprawdę dziwne i napełniało mnie smutkiem: ja też chciałem słuchać tej muzyki, pomyślałem, że mam do tego prawo jak każdy. Podeszło do nas kilku Ukraińców. Rozpoznałem Iwana, lekko skinął mi ręką. Ucho bolało mnie niemiłosiernie, niczego już nie słyszałem: nawet słowa Thomasa, który stał tuż obok, docierały do mnie w postaci niezrozumiałego gulgotu. Ogarnęło mnie straszliwe, niepokojące wrażenie, że znajduję się w środku niemego filmu. Wściekły, zerwałem bandaż i wsunąłem mały palec w kanalik. Coś pękło, na moją dłoń wytrysnął strumień ropy i spłynął po kołnierzu pelisy. Przyniosło mi to niewielką ulgę, ale nadal prawie nic nie słyszałem; pianino, jeżeli zwróciłem ku niemu ucho, wydawało z siebie coś jakby plusk. Drugie ucho nie było wcale lepsze. Odwróciłem się zawiedziony i zacząłem się powoli oddalać. Światło słońca było naprawdę wspaniałe, cyzelowało każdy detal ażurowych fasad. Zdało mi się, że za mną trwa jakieś poruszenie. Spojrzałem za siebie. Thomas i Iwan czynili w moją stronę szerokie gesty, dawali mi znaki, a reszta mi się przyglądała. Nie wiedziałem, czego chcą, ale wstyd mi było, że wszyscy się tak na mnie gapią, pozdrowiłem ich krótkim, przyjaznym gestem i poszedłem dalej. Raz jeszcze rzuciłem na nich okiem: Iwan biegł ku mnie, lecz moją uwagę odwróciło lekkie uderzenie w czoło: odprysk żwiru, być może, albo jakiś owad, bo gdy pomacałem to miejsce, kropelka krwi perliła mi się na palcu. Starłem ją i szedłem dalej, ku Wołdze, która musiała być gdzieś blisko. Był to sektor, w którym, wiedziałem to, nasze siły trzymały nabrzeże, a ja jeszcze ciągle jej nie zobaczyłem, tej słynnej Wołgi, więc szedłem rozmyślnie w jej

kierunku, by ujrzeć ją chociaż raz, zanim opuszczę miasto. Odgadywałem zarysy dawnych ulic, w bałaganie cichych pustych ruin, oświetlonych promieniami styczniowego słońca, było to bardzo spokojne i uważałem, że jest też nadzwyczaj przyjemne; nawet jeśli strzelano, ja tego nie słyszałem. Lodowate powietrze dodawało mi wigoru. Ropa przestała już wypływać z ucha, co pozwalało mi mieć nadzieję, że na dobre przebiłem ognisko zapalne; czułem się rześki i w pełni sił. Za ostatnimi budynkami, które sterczały na skarpach górujących nad rozległą rzeką, ciągnęły się tory donikąd, szyny już dawno przeżarła rdza. Dalej rozlewała się biała powierzchnia rzeki ściętej lodem, a jeszcze dalej drugi brzeg, ten, do którego nigdy nie dotarliśmy, całkiem płaski i także biały, jakby pozbawiony wszelkiego życia. Wokół mnie nie było nikogo, nie widziałem okopów ani stanowisk, linie frontu musiały znajdować się wyżej. Rozzuchwalony, wspiąłem się na stromą piaszczystą skarpe i stanąłem na brzegu rzeki. Najpierw z wahaniem, a potem całkiem pewnie, postawiłem na przyprószonym śniegiem lodzie jedną stopę, później drugą: chodziłem po Wołdze i byłem z tego powodu szczęśliwy jak dziecko. Płatki, unoszone z powierzchni lodu powiewem delikatnego wiatru, tańczyły w słońcu lekki, swawolny taniec wokół mych stóp. Przede mną otwierała się ciemna dziura, dość szeroka, wybita prawdopodobnie mocnym uderzeniem pocisku o sporym kalibrze. Na jej dnie szybko płynęła woda, zielonkawa w słonecznym świetle, świeża, zachęcająca. Pochyliłem się i zanurzyłem rękę, woda nie wydała mi się zimna: zaczerpnąłem jej obiema dłońmi, ochlapałem sobie twarz, ucho, kark, a potem piłem, raz za razem. Zdjąłem pelisę, złożyłem ją starannie, zostawiłem razem z czapką na lodzie, zrobiłem głęboki wdech i zanurkowałem. Woda była czysta i gościnna, po matczynemu letnia. Bystry prąd tworzył leje, które szybko wypchnęły mnie tuż pod lód. Różne rzeczy przepływały obok, widziałem je wszystkie dokładnie w tej zielonej wodzie: konie, którym prąd tak poruszał nogi, iż myślałbyś, że galopują, wielkie, niemal płaskie ryby, pożeraczki śmieci, trupy Rosjan o napuchniętych twarzach, owinięte w dziwne, brunatne płaszcze, strzępy ubrań i mundurów, poszarpane sztandary na drzewcach, jedno koło od wozu, które, prawdopodobnie oblane mazutem, płonęło jeszcze i kręciło się, nawet pod wodą. Jakieś ciało obito się o mnie i popłynęło dalej. Było ubrane w niemiecki mundur; dopiero gdy się oddaliło, dostrzegłem twarz i tańczące wokół niej jasne kędziory, to był Voss, uśmiechał się. Próbowałem go chwycić, ale wir nas rozdzielił i gdy wróciłem na miejsce, jego już nie było. Lód nade mną tworzył mleczny ekran, ale powietrze nie opuszczało mych płuc, nie

lękałem się, płynąłem dalej, mijałem zatopione barki pełne pięknych młodych mężczyzn siedzących rzędami, nadal pod bronią, małe rybki baraszkowały między ich włosami, które wicherzył prąd rzeki. Woda przede mną jaśniała powoli, kolumny zielonego światła wślazły się tu przez dziury w lodzie, tworzyły las, i rozplýwały się, jedna po drugiej, gdy lodowe bloki oddalały się od siebie. Wyplýnałem wreszcie, by zaczerpnąć powietrza. Uderzyłem o małą górę lodową, zanurkowałem, podciągnąłem się i znów się wynurzyłem. W tym miejscu rzeka prawie nie niosła kry. W górze, po lewej, plýnął z prądem radziecki prom, leżał na boku, dogorywał. Pomimo słońca leciały z nieba rzadkie płatki świetlistego śniegu, które nikły, gdy tylko zetknęły się z powierzchnią. Odwróciłem się, bijąc w wodę rękoma: miasto, rozciągnięte wzdłuż brzegu, rozplýwało się za grubą zasłoną czarnego dymu. Nad moją głową przelatywały mewy, krzyczały, rzucały mi spojrzenia, zaciekawione, a może wyrachowane, i przysiadaly na lodowej grudzie, a przecież do morza było jeszcze daleko; czy przyleciały tutaj aż z Astrachania? Były też wróble, kreśliły kręgi w powietrzu, muskały powierzchnię wody. W końcu poczułem grunt pod nogami i wyszedłem. Brzeg po tej stronie był piaszczysty, łagodne usypiska miałkiego piasku tworzyły niewielkie wydmy; dalej wszystko było płaskie. Logicznie rzecz biorąc, powinienem znajdować się na poziomie *Krasnoj Swobody*, ale nie widziałem niczego, żadnych stanowisk artyleryjskich, żadnych okopów, żadnej wioski, żadnych żołnierzy, nikogo. Nieliczne liche drzewa porastały wierzchołki wydm, wyginały się ku Wołdze, która bystro plýnęła za moimi plecami. Gdzieś śpiewała makolągwa. Zaskroniec prześlizgnął mi się między stopami i znikł w piasku. Wspiąłem się na wydmy i rozejrzałem: przede mną rozciągał się niemal nagi step, ziemia w kolorze popiołu, lekko przysypana śniegiem, gdzieniegdzie porośnięta trawą, brunatną, krótką, gęstą, tu i ówdzie z kępami piołunu; na południu rząd topoli przekreślał horyzont, znaczyły zapewne brzeg jakiegoś kanału nawadniającego; nie było na co patrzeć. Pomacałem w kieszeni kurtki i wyciągnąłem paczkę papierosów, były przemoczone. Mokre ubrania kleiły mi się do skóry, ale nie czułem zimna, powietrze było ciepłe i łagodne. Ogarniała mnie fala zmęczenia, zapewne od plýwania. Padłem na kolana i drapałem palcami suchą ziemię, nadal ściętą mrozem. Wreszcie udało mi się zeszkrobać kilka grudek, wepchnąłem je łapczywie do ust. Ziemia miała nieco cierpki, mineralny smak, zmieszana ze śliną przywozdiła na myśl roślinność, życiodajne włókna, ale i tak poczułem się zawiedziony. Wolałbym, żeby była miękka, ciepła i tłusta, żeby rozplýwała mi się w ustach, żebym

mógł zanurzyć w niej całe ciało, zatonać w niej, niczym w grobie. Ludy góralskie na Kaukazie kopią groby w ciekawy sposób: drażą najpierw pionowy dół, głęboki na dwa metry, następnie, na dnie, otwierają na całym boku niszę z ukośnym sklepieniem. Zmarły, bez trumny, owinięty w biały całun, układany jest na boku w tej wnęce, z twarzą skierowaną ku Mekce, i zamurowuje się taką alkowę cegłami albo — gdy rodzina jest biedna — zabija deskami, następnie zakopuje się dół, a z pozostałej ziemi usypuje się podłużny pagórek; zmarły nie spoczywa bezpośrednio pod tym pagórkiem, tylko nieco z boku. Gdy mi opisano tę tradycję, powiedziałem: oto grób, który by mi odpowiadał, przynajmniej wszystko, całe zimne okrucieństwo umierania pozostaje jasne, poza tym tak jest chyba wygodniej, może nawet bardziej intymnie. Ale tu nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc w kopaniu, i nie miałem żadnego narzędzia, nie miałem nawet noża, więc zacząłem iść, na chybił trafił, w kierunku, w którym wschodzi słońce. To była rozległa równina, nie było tu niczego: ani życia na ziemi, ani śmierci pod nią. Szedłem długo pod bezbarwnym niebem i nie mogłem stwierdzić, ile godzin minęło (zegarek, ustawiony wzorem wszystkich zegarków Wehrmachtu na czas berliński, nie wytrzymał kąpieli i wskazywał stale za trzynaście dwunastą.) Gdzieniedzie wyrastał krwistoczerwony mak, jedyne barwne plamy w tym smutnym krajobrazie; lecz gdy chciałem zerwać jeden z nich, poszarzał i rozsypał się w lekki obłok popiołu. Wreszcie, z daleka, ujrzałem jakieś kształty. Zbliżywszy się, stwierdziłem, że jest to długi biały sterowiec, który unosi się ponad wysokim kurhanem. Kilka postaci chodziło po zboczach pagórka. Trzy z nich oderwały się od grupy i ruszyły ku mnie. Gdy były już dostatecznie blisko, zobaczyłem, że mają białe fartuchy, nałożone na garnitury, niemodne już, przypinane, wysokie kołnierzyki i czarne krawaty; w dodatku jedna z nich miała na głowie melonik. „*Guten Tag, meine Herren*”, zagaiłem uprzejmie, gdy postacie znalazły się naprzeciw mnie. — „*Bonjour, monsieur*”, odpowiedział po francusku ten w meloniku. Spytał mnie, co tutaj robię, a ja, również po francusku, wyjaśniłem to najlepiej, jak umiałem. Tamtych dwóch kiwało głowami. Gdy skończyłem swą opowieść, mężczyzna w meloniku stwierdził: „W takim razie musi pan pójść z nami. Doktor będzie chciał z panem pomówić”. — „Bardzo proszę. Kim jest doktor?” — „Doktor Sardine, szef naszej wyprawy”. Doprowadzili mnie do podnóża kurhanu. Sterowiec, zacumowany na trzech grubych kablach, chybotął powoli w podmuchach bryzy, ponad pięćdziesiąt metrów nad naszymi głowami, a pod długą owalną masą znajdowała się dwupiętrowa metalowa gondola. Inny kabel, cieńszy, umożliwił

chyba łączność telefoniczną: jeden z mężczyzn powiedział coś szybko do słuchawki leżącej na składanym stoliku. Inne postacie na kurhanie kopały, sondowały, mierzyły. Znow uniosłem głowę. Coś, jakby kosz, zjeżdżało wolno z gondoli, kołysząc się mocno na wietrze. Gdy był już blisko ziemi, dwóch mężczyzn chwyciło go i pokierowało. Wielki kosz zrobiony był z okrągłych obręczy i wiklinowej plecionki. Mężczyzna w meloniku otworzył drzwiczki i dał znak, że mam zająć miejsce; dołączył do mnie i zamknął od wewnątrz. Kabel zaczął podchodzić do góry i ciężkim szarpnięciem oderwał kosz od ziemi. Obciążony naszymi ciałami kołysał się mniej, ale mimo wszystko poczułem, jak dopada mnie choroba morska, i chwyciłem się brzegu kosza; kapelusznik podtrzymywał dłonią melonik. Patrzyłem na step: jak okiem sięgnąć — żadnych drzew, żadnych domów, i tylko na horyzoncie jakiś garb, pewnie następny kurhan.

Kosz wsunął się przez właz do pomieszczenia w dolnej części gondoli, skąd mój towarzysz poprowadził mnie krętymi schodami do góry, a potem długim korytarzem w dół. Wszystko tu zrobione było z aluminium, z cyny, z mosiądzu, z twardego drewna, wszystko błyszczało; naprawdę piękna maszyna. Dotarliśmy przed miękko obite drzwi, mężczyzna wcisnął mały guzik dzwonka. Drzwi otworzyły się, gestem nakazał mi wejść, ale nie poszedł za mną.

Było to duże pomieszczenie, z ławką przy ścianie i podłużnym oknem, stały w nim półki i długi stół pośrodku, nieprawdopodobnie zagracony — książki, mapy, globusy, wypchane zwierzęta, makiety fantastycznych pojazdów, przyrządy astronomiczne, optyczne, nawigacyjne. Biały, różnooki kot prześlizgiwał się cicho między tymi przedmiotami. Niewysoki człowieczek, też w białym fartuchu, siedział skulony na końcu stołu. Gdy wszedłem, obrócił się na krześle w moją stronę. Jego włosy, przyprószone siwizną i zaczesane do tyłu, sprawiały wrażenie brudnych i cienkich; podtrzymywały je okulary w grubej oprawie, przesunięte na szczyt czoła. Zmięta twarz była źle ogolona i miała gniewny, niemiły wyraz. „Pan wchodzi, pan wchodzi...”, warknął ochryple. Wskazał na długą ławkę: „Pan siada”. Obszedłem stół i usiadłem, zakładając nogę na nogę. Gdy mówił, pryskał śliną: fartuch miał poplamiony resztkami posiłku. „Jest pan młody!...”, wykrzyknął. Odwróciłem lekko głowę i patrzyłem przez okno na nagi step, a potem znow spojrzałem na mężczyznę. „Hauptsturmführer doktor Maximilian Aue, do usług”, przedstawiłem się w końcu, skinąwszy uprzejmie głową. — „Ach, zakrakał, doktor! Doktor! Doktor czego?” — „Prawa, proszę pana”. — „Adwokat!, zerwał się z krzesła.

Adwokat! Szkaradne plemię... przeklęte! Jesteście gorsi od Żydów! Gorsi od bankierów! Gorsi od rojalistów!” — „Nie jestem adwokatem, proszę pana. Jestem prawnikiem, specjalistą od prawa konstytucyjnego, i oficerem Schutzstaffel”. Uspokoił się od razu i gwałtownie usiadł; jego krótkie nogi zwisały z krzesła kilka centymetrów nad podłogą. „To niewiele lepiej...” Zastanowił się. „Też jestem doktorem. Ale... doktorem nauk użytecznych. Sardine, jestem Sardine, doktor Sardine”. — „Miło mi, doktorze”. — „Mnie jeszcze nie. Co pan tutaj robi?” — „W pańskim aerostacie? Zaprosili mnie tu pańscy koledzy”. — „Zaprosili... zaprosili... za dużo powiedziane. W ogóle, co pan tu robi, w tej okolicy”. — „No cóż, szedłem sobie”. — „Szedł pan. Niech będzie. Ale w jakim celu?” — „Szedłem bez celu. Prawdę mówiąc, trochę zabłądziłem”. Pochylił się ku mnie i spojrzał nieufnie, wczepiając dłonie w oparcie krzesła: „Jest pan tego pewien? Nie miał pan żadnego konkretnego celu?!” — „Muszę powiedzieć, że nie”. Lecz on ciągle mamrotał: „Pan się przyzna... się przyzna... nie szuka pan czegoś... nie poszukuje pan akurat... mnie! A może wysłał pana jakiś zazdrosny konkurent!”. Podniecał się coraz bardziej. „No właśnie, bo jak nas pan znalazł?” — „Maszynę widać z daleka nad tą równiną”. Nie odpuszczał: „A nie jest pan przypadkiem szpiclem Finkelsteina...! Krasschilda! Tych zawistnych żydzin... nadętych poczuciem własnej ważności... bąki! karły! pucybuty! Falszerze dyplomów i wyników...!”. — „Pan wybaczy, doktorze, ale chyba nie czyta pan zbyt często gazet. Inaczej wiedziałby pan, że Niemiec, a już zwłaszcza oficer SS, bardzo rzadko pozostaje na usługach Żydów. Nie znam ichmości, o których pan mówi, ale gdybym ich spotkał, miałbym w obowiązku aresztować ich”. — „Tak... tak..., powiedział, pocierając dolną wargę, tak mogłoby być, rzeczywiście...” Pogrzebał w kieszeni fartucha i wyciągnął małą skórzaną sakiewkę. Palcami żółtymi od nikotyny chwycił szczyptę tytoniu i zabrał się za zwijanie papierosa. Ponieważ nic nie wskazywało na to, że chce mnie poczęstować, wyjąłem swoją paczkę: wyschła, więc gdy skręciłem, ugniotłem jednego papierosa, zrobiłem z niego coś, co nadawało się do palenia. Za to zapałki mogłem już tylko wyrzucić; rozejrzałem się po stole, ale nie zauważyłem zapałek w tym bałaganie. „Ma pan ogień, doktorze?”, spytałem. — „Chwileczkę, młody człowieku, chwileczkę...” Skończył skręcać papierosa, wziął ze stołu sporą cynową kostkę, wsunął papierosa do dziurki i wcisnął guziczek. Zaczekał. Po długiej chwili usłyszałem ciche *ping*; wyjął papierosa, którego końcówka czerwieniała teraz, i kilka razy zaciągnął się płytko. — „Zmyślne, nie?” — „Bardzo. Ale dość powolne”. — „To opornik tak długo się nagrzewa.

Pan mi da swojego”. Podałem mu papierosa i powtórzył operację, wydmuchując małe obłoczki dymu; tym razem *ping* zabrzmiało nieco wcześniej. „To mój jedyny nałóg..., mamrotał, jedyny! Z całą resztą... koniec! Alkohol... trucizna... A kopulacja... Wszystkie te samice, takie zachłanne! wypacykowane! syfilityczne! Tylko patrzą, by wyssać z człowieka cały geniusz... obrzezać mu duszę!... nie mówiąc już o niebezpieczeństwie prokreacji... wszechobecnym... Jakkolwiek byśmy robili, nie uciekniemy przed tym, one sobie zawsze poradzą... ohyda! Szkarady nachalne! rojne! dwulicowe kokietki, tylko czekają, by człowieka dobić! Permanentna ruja! Smrody! Przez cały rok! Człowiek nauki powinien umieć odwrócić się do tych spraw plecami. Wbić się w pancerz obojętności... woli... *Noli me tangere*”. Palił, a popiół strzepywał na podłogę. Ponieważ nie zauważyłem nigdzie popielniczki, robiłem to samo. Biały kot tarł karkiem o sekstans. Sardine gwałtownie zsunął okulary na nos, pochylił się i bacznie mi się przyjrzał: „Pan też poszukuje końca świata?”. — „Słucham?” — „Końca świata! Końca świata! Pan nie udaje niewiniątka. Cóż innego mogłoby tu pana przywieść?” — „Nie wiem, o czym pan mówi, doktorze”. Wykrzywił się, zerwał się z krzesła, obszedł stół, złapał jakiś przedmiot i rzucił nim w moją głowę. Ledwo go złapałem. Był to stożek na cokoliku, pomalowany jak globus, w rozciągnięte kontynenty; płaska podstawa była szara i nosiła nazwę TERRA INCOGNITA. „Pan mi nie mówi, że nigdy pan tego nie widział?” Sardine usiadł z powrotem i zaczął skręcać następnego papierosa. „Nigdy, doktorze, odpowiedziałem. Co to jest?” — „To jest ziemia! Idioto! Hipokryto! Fałszywcu!” — „Bardzo mi przykro, doktorze. W szkole uczono nas, że ziemia jest okrągła”. Wydobył z siebie dziki pomruk: „Sornette! Baliverne! Średniowieczne teorie... przebrzmiały... Zabobony! Tu jest!!, dał się, celując papierosem w stożek, który nadal trzymałem. Tutaj jest! Tutaj jest prawda. I ja to udowodnię! W tej chwili kierujemy się właśnie w stronę Krańca”. Rzeczywiście, zauważyłem, że kabina lekko wibrowała. Spojrzałem przez okno: sterowiec odcumował i powoli nabierał wysokości. „A gdy już tam dotrzemy, spytałem na wszelki wypadek, pański sterowiec go przekroczy?” — „Pan nie udaje debila! Ciemniak. Pan mówi, że jest człowiekiem wykształconym. Pan pomyśli! To się rozumie samo przez się, że za Krańcem nie istnieje pole grawitacyjne. Gdyby nie to, ta oczywistość dawno już zostałaby udowodniona!” — „Więc jak pan to zamierza zrobić?...” — „Na tym właśnie polega mój geniusz, odpowiedział chytrze. To urządzenie kryje w sobie inne urządzenie”. Wstał i przesiadł się obok mnie. „Powie panu. Tak czy inaczej pan zostanie z nami. Pan,

Niedowiarek, stanie się Świadkiem. Na Krańcu Świata wylądujemy, spuścimy powietrze z balonu, tego nad nami, i balon zostanie złożony, schowany w specjalnie do tego przeznaczonej komorze. Pod nią znajdują się składane nogi przegubowe, jest ich w sumie osiem, są zakończone mocnymi hakami”. Mówiąc, zginał palce. „Owe haki mogą się wczepić w każde podłoże. I tak przekroczyliśmy Wielki Kraniec, podobnie jak robią to owady, jak pająk. Ale przekroczyliśmy go! Nie powiem, jestem dumny... Pan sobie wyobraża? Trudności... w czasie wojny... ze skonstruowaniem takiej maszyny? Pertraktacje z okupantem? Z jucznymi osłami z Vichy, opitymi wodą mineralną? Z frakcjami... Z całą tą alfabetyczną sieczką, pełną kretynów, bezmózgich karierowiczów? A nawet z Żydami! Tak, panie niemiecki oficerze, z Żydami też! Naukowiec powinien być pozbawiony skrupułów... Powinien być gotów podpisać pakt z diabłem, jeśli zajdzie taka potrzeba”. Gdzieś wewnątrz pojazdu zaczęła wyc syrena, przerwała mu. Wstał. „Muszę iść. Pan tu na mnie zaczeka”. W drzwiach odwrócił się: „Pan niczego nie dotyka!”. Zostałem sam — podniosłem się, przeszedłem kilka kroków. Wyciągnąłem palce, by pogłaskać różnookiego kota, ale zjeżył się i syknął, obnażając zęby. Obejrzałem raz jeszcze rzeczy stłoczone na długim stole, musnąłem palcem jedną czy dwie, a potem ukląknąłem na ławce i kontemplowałem step. Przepływała przezeń rzeka, wiła się delikatnie, lśniła w słońcu. Zdało mi się, że na powierzchni wody majaczy jakiś kształt. W głębi sali, przy oknie, stał trójnóg, a na nim luneta. Przyłożyłem do niej oko, pokręciłem krążkiem, żeby ustawić ostrość, i odszukałem rzekę. Gdy już ją znalazłem, wodziłem wzdłuż niej lunetą, by odnaleźć dostrzeżony wcześniej kształt. Była to barka z jakimiś postaciami. Poprawiłem długość ogniskowej. Pośrodku barki siedziała naga kobieta, miała kwiaty we włosach; przed nią i za nią wiosłowały dwie wstrętne kreatury o ludzkich kształtach, też nage. Kobieta miała długie czarne włosy. Z bijącym nagle sercem spróbowałem rozpoznać jej twarz, ale trudno mi było dostrzec rysy. Stopniowo rodziła się we mnie pewność: to była Una, moja siostra. Dokąd płynęła? Za jej łodzią sunęły następne, zasypane kwiatami, wyglądało to jak orszak weselny. Musiałem się do niej dostać. Ale jak? Wskoczyłem z kabiny, zbiegłem po krętych schodach: w pomieszczeniu z koszem był jakiś człowiek. „Doktor?, dyszałem. Gdzie on jest? Muszę się z nim zobaczyć”. Dał znak, bym poszedł za nim, i zaprowadził mnie do przedniej części pojazdu, do kabiny kontrolnej, gdzie przed szeroką zaokrągloną szybą krzątali się nerwowo mężczyźni w białych fartuchach. Sardine rozsiadł się w podwyższonym fotelu, przed pulpitem

sterowniczym. „Czego pan chce?”, spytał ostro na mój widok. — „Doktorze... muszę zjechać na dół. To kwestia życia i śmierci”. — „Niemożliwe!, wydarł się przenikliwym głosem. Niemożliwe! Teraz wszystko rozumiem. Jest pan szpiegiem! Szpiclem!” Odwrócił się do człowieka, który mnie tu przyprowadził: „Zatrzymajcie go! Zakujcie w kajdany!”. Mężczyzna chwycił mnie za ramię; niewiele myśląc, wymierzyłem cios w podbródek i przyskoczyłem do drzwi. Kilku mężczyzn rzuciło się w pogoń, ale drzwi były zbyt wąskie, nie mogli się przez nie przecisnąć wszyscy naraz, to ich zatrzymało. Wbiegłem po krętych schodach, przeskakując po trzy stopnie, i stanąłem u szczytu. Gdy za mną pojawiła się pierwsza głowa w meloniku, kopnąłem ją, mężczyzna upadł do tyłu; stoczył się po stopniach, powodując upadek reszty, do wtóru potężnego huku. Słyszałem wrzaski Sardine'a. Otwierałem drzwi na chybił trafił. Kabiny, sala map, stołówka. Na końcu korytarza trafiłem na schowek, a w nim drabinę skierowaną ku górze. Kłapa, do której prowadziła, musiała otwierać się do wewnątrz gondoli, na wypadek napraw. Były tam metalowe szafy, otworzyłem je, leżały w nich spadochrony. Moi prześladowcy byli coraz bliżej; założyłem spadochron i zacząłem wchodzić po drabinie. Kłapa otworzyła się łatwo: za nią znajdował się potężny cylindryczny szyb z woskowanej tkaniny rozpiętej na łukach, przechodzący przez cały korpus sterowca. Przez tkaninę przenikało rozproszone światło, paliły się też zamocowane w równych odstępach żarówki. Przez przezroczyste bulaje mogłem dojrzeć miękkie kształty balonetów wypełnionych wodorem. Zacząłem wchodzić. Szyb, utrzymywany na miejscu przez solidne rusztowania, miał około dwunastu metrów długości, prędko się zadyszałem. Zerknąłem w dół: we włazie już majaczył pierwszy melonik. Zobaczyłem, że mężczyzna wymachuje pistoletem, przyspieszyłem. Nie strzelał, pewnie się bał, że przebije balonety. Za nim szli następni, wchodzili tak samo powoli jak ja. Co cztery metry szyb przecięty był otwartym półpiętrem, miejscem do odpoczynku, ale mnie nie wolno było się zatrzymać, wchodziłem więc dalej, szczebel po szczeblu, dyszałem. Nie podnosiłem wzroku i zdawało mi się, że ta długa drabina nigdy się nie skończy. Wreszcie uderzyłem głową o klapę na szczycie. Pode mną rezonowały metaliczne dźwięki, wydawane przez wchodzących mężczyzn. Przekręciłem korbę w łuku, pchnąłem i wystawiłem głowę: zimny wiatr uderzył mnie w twarz. Dotarłem do szczytu kadłuba sterowca — była to wielka, pofałdowana powierzchnia, wyglądała na dość sztywną. Podciągnąłem się do góry i stanąłem na niej; niestety, nie było możliwości zamknięcia włazu z zewnątrz. Z powodu wiatru i wibracji aerostatu traciłem równowagę.

Poszedłem chybotliwie w stronę ogona, cały czas sprawdzając mocowania spadochronu. We włazie ukazała się głowa — zacząłem biec. Powłoka sterowca była dość elastyczna, moje stopy odbijały się od niej, nagle usłyszałem strzał i tuż obok mojego ucha świstnęła kula; zachwiałem się, upadłem, ale zamiast próbować się utrzymać, rozmyślnie puściłem się w dół. Ślizgałem się szybko, próbując ustawić stopy przodem — powierzchnia balonu była coraz bardziej stroma, a za chwilę osiągnęła niemal całkowity pion, i spadłem w próżnię, powykręcany jak zabawkowy pajacyk, wymachując na wietrze ramionami i nogami. Brązowoszary step podchodził do mnie jak ściana. Nigdy dotąd nie skakałem ze spadochronem, ale wiedziałem, że należy pociągnąć za linkę. Z wysiłkiem zbliżyłem ramiona do ciała, odszukałem rączkę, pociągnąłem; szarpnięcie było tak silne, że poczułem ból w karku. Teraz spływałem dużo wolniej, ze stopami skierowanymi w dół; chwyciłem linki nośne i uniosłem głowę: biała czasza spadochronu zasłaniała niebo, nie widziałem sterowca. Wypatrywałem rzeki, zdawało mi się, że dzieli mnie od niej kilka kilometrów. Korowód łodzi lśnił w słońcu, obliczałem w myślach drogę, jaką miałem do pokonania, by do nich dotrzeć. Ziemia była coraz bliżej — wyprężyłem złączone nogi, trochę się bałem. Poczulem gwałtowne uderzenie, które przeszło prądem przez całe ciało, upadłem, spadochron, niesiony wiatrem, włókł mnie po ziemi, wreszcie udało mi się zatrzymać, a potem wstać. Rozpiąłem uprząż i zostawiłem spadochron, który wiatr nadymał i włókł po ziemi. Rozejrzałem się i podreptałem w stronę rzeki.

Sterowiec znikł. Miałem wrażenie, że powierzchnia stepu niepostrzeżenie wznosi się do góry; byłem zmęczony, ale zmuszałem się, by iść dalej. Moje stopy plątały się w kępach suchej trawy. Zdyszany dotarłem do rzeki i znalazłem się — dopiero teraz to dostrzegłem — na szczycie stromej skarpy, wysokiej na jakieś dwadzieścia metrów. W dole płynęła woda, tworząc szybkie wiry — nie mogłem skoczyć, nie mogłem też zejść po tej skarpie. Powinienem był wylądować na drugim brzegu; był niemal płaski, łagodnie schodził do samej wody. Po lewej stronie, w górze rzeki, nadpływał orszak łodzi. Przyozdobieni w girlandy muzycy, którzy płynęli za rzeźbioną gondolą z moją siostrą, wygrywali przejmujące, uroczyste melodie na fletach, instrumentach strunowych i bębnach. Teraz wyraźnie widziałem siostrę, dumną pomiędzy dwiema wiosłującymi kreaturami; siedziała, miała podkulone nogi, a długie czarne włosy spływały jej na piersi. Zwinąłem dłonie w trąbkę i wrzasnąłem jej imię, wołałem tak kilka razy. Uniosła głowę i spojrzała na mnie, lecz wyraz jej twarzy nie zmienił się, nie odezwała się słowem. Nasze

oczy spotkały się, a tymczasem łódź przepływała wolno. Wykrzykiwałem jej imię jak wariat, nie reagowała; wreszcie odwróciła się. Orszak oddalał się powoli, płynął w dół rzeki, ja stałem zrozpaczony. Chciałem rzucić się w pościg, lecz w tym właśnie momencie mój żołądek skręcił się w straszliwych skurczach. Cały w nerwach zsunąłem spodnie, przykucnąłem, ale zamiast gówna z mojego odbytu tryskały żywe pszczoły, pająki i skorpiony. Piekło mnie potwornie, lecz musiałem się z nich opróżnić. Parłem, pająki i skorpiony rozpełzały się szybko, pszczoły odlatywały, musiałem zacisnąć szczęki, żeby nie wyć z bólu. Wtem usłyszałem coś i odwróciłem głowę: dwóch chłopców, dwóch identycznych bliźniaków przyglądało mi się w milczeniu. Skąd do diabła się tu wzięli? Wstałem, założyłem spodnie, ale oni już zdążyli się odwrócić, zmykali. Skoczyłem za nimi, wołałem, ale nie mogłem ich dogonić, choć biegłem długo.

Na stepie wznosił się jeszcze jeden kurhan. Chłopcy wspięli się na niego i zeszli po drugiej stronie. Obiegnąłem kurhan, jednak nigdzie ich nie było. „Chłopcy, gdzie jesteście?“, wołałem. Zdałem sobie sprawę, że nawet z wierzchołka kurhanu nie dostrzegam już rzeki. Szarość nieba tłumiała słońce, straciłem orientację; dałem się zapędzić w kozi róg, jak idiota! Musiałem odszukać chłopców. Raz jeszcze obszedłem kurhan i odkryłem wgłębienie — obmacałem je, pojawiły się drzwi. Zapukałem, drzwi się otworzyły, więc wszedłem. Przede mną ciągnął się długi korytarz, a na jego końcu były następne drzwi. Zapukałem znowu, również te się otworzyły. Za nimi rozpościerała się przestronna sala, bardzo wysoka, oświetlona oliwnymi lampami; z zewnątrz kurhan nie wydawał mi się aż tak duży. W głębi było coś w rodzaju podium, zaśląnego kobiercem i poduszkami, siedział na nim brzuchaty karzeł i grał w jakąś grę. Obok stał wysoki, chudy mężczyzna z czarnym trójkątem na jednym oku. Stara, pomarszczona kobieta w chuście mieszała coś w ogromnym, malowanym kotle, zwisającym w kącie z sufitu. Ani śladu dzieci. „Dzień dobry, odezwałem się uprzejmie. Nie widzieliście dwójki dzieci? Bliźniaków”, uściśliłem. — „Ach!, wykrzyknął karzeł, gość! Umiesz grać w nardy?” Podeszedłem do podestu i zobaczyłem, że gra w tryktraka sam ze sobą, prawa ręka przeciw lewej: rzucał kostką raz jedną, raz drugą, i przesuwiał pionki, czerwone i białe. „Tak naprawdę to szukam siostry. Przepięknej kobiety o czarnych włosach. Wieźli ją łodzią”. Karzeł, nie przerywając gry, spojrział na jednookiego, a potem odwrócił się do mnie. „Tę dziewczynę wiozą tutaj. Poślubimy ją razem z bratem. Mam nadzieję, że jest naprawdę tak piękna, jak opowiadają”. Wykrzywił się oblesnie i prędko wsunął dłoń w spodnie. „Jeżeli jesteś jej

bratem, to będziemy szwagrami. Usiądź i napij się herbaty”. Usiadłem po turecku na poduszce, nad planszą do gry. Stara przyniosła mi miseczkę dobrej, gorącej herbaty, prawdziwej herbaty, a nie ersatzu, wypilem z przyjemnością. „Wolałbym, żebyście się z nią nie żenili”, powiedziałem w końcu. Karzeł nie przestawał grać, jedna ręka przeciw drugiej. „Jeżeli nie chcesz, żebyśmy ją poślubili, to ze mną zagraj. Nikt nie chce ze mną grać”. — „A to dlaczego?” — „Z powodu moich warunków”. — „A jakie są pańskie warunki?”, spytałem uprzejmie. Proszę mi powiedzieć, nie znam ich”. — „Jeżeli wygram, to cię zabiję, jeżeli przegram, to cię zabiję”. — „Cóż, nie szkodzi, zagrajmy”. Obserwowałem, jak gra: nie przypominało to tryktraka, którego znałem. Na początku partii pionki, zamiast w kolumnach po dwa, trzy i pięć, należało umieścić na krawędziach planszy, a w trakcie nie można ich było zbijać, blokowały miejsce, na którym stały. „To nie są reguły tryktraka”, zauważyłem. — „Hejże, chłopcze, tu nie Monachium”. — „Nie jestem z Monachium”. — „No to Berlin. Gramy w nardy”. Przyjrzałem się raz jeszcze: zasady nie wydawały się trudne, ale na pewno istniały różne niuanse. „Dobrze, grajmy więc”. Rzeczywiście, to było bardziej skomplikowane, niż mi się zdawało, ale szybko zrozumiałem reguły i wygrałem partię. Karzeł wstał, wyjął długi nóż i powiedział: „Zabiję cię”. — „Proszę się uspokoić. Gdybym przegrał, mógłby mnie pan zabić, ale wygrałem, więc czemu miałby pan to robić?” Pomyślał i usiadł: „Masz rację. Zagrajmy jeszcze raz”. Tym razem karzeł wygrał. „I co teraz powiesz? Zabiję cię”. — „Cóż, nic już nie mówię, przegrałem, niech mnie pan zabije. Ale nie uważa pan, że powinniśmy najpierw rozegrać trzecią, rozstrzygającą partię?” — „Masz rację”. Zegraliśmy jeszcze raz i wygrałem. „Teraz, powiedziałem, musicie mi oddać siostrę”. Karzeł zerwał się z miejsca, odwrócił się do mnie plecami i potężnie pierdnął mi prosto w twarz. „Ach, to obrzydliwe!”, wykrzyknąłem. Karzeł podskakiwał w miejscu i pierdział przy każdym podskoku, podśpiewując: „Ja jestem Bóg, co zechcę — rób, ja jestem Bóg, co zechcę — rób. Teraz, przerwał sobie na chwilę, zabiję cię”. — „Rzeczywiście, żadna z panem rozmowa, jest pan źle wychowany”. Wstałem, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. W oddali zauważyłem wielki tuman kurzu. Wspiąłem się na kurhan, żeby lepiej widzieć: to byli jeźdźcy. Zbliżyli się, podzielili na dwa rzędy i stanęli naprzeciw siebie po obu stronach wejścia do kurhanu, tworząc długi szpaler. Wyraźnie widziałem tych, którzy stali najbliżej; konie sprawiały wrażenie, jakby były na kółkach. Przyjrzałem się z bliska i zobaczyłem, że nabito je z przodu i z tyłu na grube pale, ustawione na platformach wyposażonych w koła; nogi

zwisały swobodnie. Jeźdźcy też byli nabici, widziałem, jak czuby pali wychodzą im z głów albo z ust; spaprana robota, prawdę mówiąc. Każdy powóz albo skład pchany był przez kilku nagich niewolników, którzy, gdy już ustawili je w odpowiedniej pozycji, siadali w grupie kilka kroków dalej. Spojrzałem na twarze jeźdźców i zdało mi się, że rozpoznaję w nich Ukraińców Möritza. A więc oni też dotarli aż tutaj, wypełnił się ich los? Ale może to było tylko złudzenie. Przyszedł do mnie ten wysoki, chudy, z jednym okiem. „Nie godzi się, zbeształem go, mówić, że niezależnie od wygranej czy przegranej zabijecie tego, kto z wami zagra”. — „Masz rację. Ale to dlatego, że nie mamy tu zbyt wielu gości. Każę zaprzestać bratu tych praktyk”. Znowu zerwał się lekki wiatr i miół pyłem, wzniesionym przez wozy. „Co to jest?”, spytałem, wskazując na nie. „To warta honorowa. Na nasz ślub”. — „Tak, ale to ja wygrałem dwie partie z trzech. Więc oddacie mi siostrę”. Mężczyzna popatrzył na mnie smutno swym jedynym okiem. „Nigdy nie będziesz mógł odzyskać siostry”. Zły lęk chwycił mnie za gardło. „Dlaczego?”, krzyknąłem. — „Nie godzi się”, odpowiedział. W oddali widziałem idące ku nam postacie, wzniecały tumany kurzu, które szybko rozwiewał wiatr. Moja siostra szła pośrodku, ciągle naga, w eskorcie dwóch wstrętnych kreatur i muzyków. „A czy godzi się, by ona szła goła, tak przy wszystkich?”, spytałem wściekły. Nie spuszczał ze mnie swego jedyne go oka: „A czemu nie? W końcu nie jest już dziewicą. A mimo to ją bierzemy”. Pragnąłem zbiec z kurhanu i znaleźć się przy niej, ale bliźniacy, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, zagrodzili mi drogę. Chciałem ich wyminąć, przesunęli się jednak, żeby mi przeszkodzić. Zagniewany podniosłem na nich rękę. „Nie bij ich!”, zaskowyczał jednooki. Odwróciłem się do niego, chory z wściekłości: „A kim oni dla mnie są?”, rzuciłem z furją. Nie odpowiedział. Wzdłuż szpaleru, pomiędzy rzędami nabitych na pale jeźdźców i wierzchowców, moja siostra kroczyła przed siebie równym krokiem.

Sarabanda

Dlaczego wszystko jest takie białe? Step aż taki biały nie był. Spoczywałem w przestrzeni wypełnionej bielą. Może spadł śnieg, może leżałem jak zabity żołnierz, jak porzucony w śniegu sztandar. Tak czy inaczej nie czułem zimna. Choć właściwie trudno powiedzieć, byłem jak gdyby oderwany od ciała. Z oddali próbowałem rozpoznać jakieś konkretne odczucie: w ustach — smak błota. Ale usta pływały gdzieś tam i nie było żadnej szczęki, która mogłaby je podtrzymać. Zdawało mi się, że pierś przygniatają mi tony kamieni; szukałem ich wzrokiem, ale dostrzec je? Niemożliwe. W rzeczy samej, mówiłem sobie, moje ciało jest rozproszone. Och, moje biedne ciało. Pragnąłem utulić je, tak jak się tuli zimną nocą ukochane dziecko.

Przez owe białe, bezkresne krainy przetaczała się ognista kula i biła mnie po oczach. Co dziwne, ogień nie ocieplał wcale wszechobecnej białości. Nie mogłem skupić wzroku na tej kuli, nie mogłem się od niej odwrócić, podążała za mną, a jej obecność była mi nieznośna. Ogarnęła mnie panika; jak miałem ją opanować, skoro nie wiedziałem, czy kiedykolwiek odzyskam grunt pod nogami? Jakże trudne było to wszystko. Ile czasu już tak trwałem? Nie umiałbym powiedzieć, rok ciężowy co najmniej. Dało mi to czas na obserwacje: powoli zauważałem, że cała ta biel nie jest jednolita, były różne odcienie, żaden, niewątpliwie, nie zasługiwał na miano jasnej szarości, ale jednak odcienie istniały. Aby je opisać, trzeba by stworzyć nowe słowa, równie subtelne i precyzyjne, jak te w mowie Inuitów, które nazywają różne stany lodu. To była też chyba kwestia faktury, ale mój wzrok wydawał się równie nieczuły na ten aspekt co moje znieruchomiłe palce. Z oddali dobiegały jakieś pomruki. Postanowiłem skupić się na jednym szczególe, na nierównomierności bieli, aż do chwili, w której coś zacznie do mnie docierać. Poświęciłem jeszcze co najmniej wiek lub dwa na ten olbrzymi wysiłek, lecz zrozumiałem wreszcie, co to było: był to kąt prosty. Dobrze, jeszcze trochę wysiłku. Rozciągając ten kąt, odkryłem w końcu kolejny, dalej jeszcze jeden, i jeszcze, a wtedy, eureka, rozpoznałem ramę; teraz poszło szybciej, zauważałem kolejne ramy — wszystkie były białe, również to, co poza nimi i co wewnątrz nich — to nie miało sensu, traciłem nadzieję, że kiedyś dotrę do celu. Bezsprzecznie należało przejść do hipotez. Czy jest to sztuka współczesna? Ale te regularne ramy były czasem zakłócone obecnością innych kształtów, też białych, lecz niewyraźnych, miękkich. Cóż za trud interpretacyjny, cóż za praca bez końca. Mój upór wynagradzały jednak coraz to nowe odkrycia: biała

powierzchnia, która ciągnęła się w oddali, była w rzeczywistości prążkowana, pobrużdżona — może jak step, widziany z samolotu (ale nie ze sterowca, to zupełnie inny widok). Sukces! Byłem z siebie dumny. Jeszcze trochę wysiłku, jak mi się zdawało, a rozwiążę wszystkie te zagadki. I wtedy nieprzewidziana katastrofa położyła brutalnie kres moim badaniom: umarła ognista kula, pograżyłem się w ciemności, w gęstym, dusznym mroku. Walka była bezskuteczna: krzychałem, ale żaden dźwięk nie wydostawał się z przygniecionych płuc. Wiedziałem, że nie umarłem, bo śmierć sama w sobie nie mogła być tak czarna. To było gorsze niż śmierć, kloaka, gęste bagno, a wieczność wydawała mi się mgnieniem oka w porównaniu z czasem, który tam spędziłem.

Wreszcie wydano wyrok: bezkresna ciemność świata powoli się rozplynęła. Wraz z magicznym powrotem światła zobaczyłem wszystko wyraźniej; niczym nowemu Adamowi zwrócono mi zdolność nazywania rzeczy (lub też po prostu mi ją dano): ściana, okno, mleczne niebo za szybami. Kontemplowałem w zachwycie ów niezwykły spektakl, a potem patrzyłem z osobna na wszystko, co napotkać mogło moje spojrzenie: drzwi, klamka w drzwiach, słaba żarówka pod kloszem, noga łóżka, pościel, pokryte siatką żył ręce, zapewne moje. Otworzyły się drzwi i stanęła w nich ubrana na biało kobieta, a wraz z nią wtargnął kolor, czerwony kształt, żywa czerwień, jak krew na śniegu — to przygnębiło mnie ponad wszelką miarę i rozkleiłem się. „Czemu pan płacze?“, odezwała się melodyjnym głosem, a jej blade, chłodne palce pogłaskały mnie po policzku. Powoli się uspokajałem. Powiedziała jeszcze coś, czego nie rozumiałem. Czułem, że manipuluje moim ciałem. Przerażony, zamknąłem oczy, co dało mi wreszcie pewną władzę nad tą oślepiającą bielą. Potem pojawił się nade mną starszy mężczyzna — to, co zrobił, chyba trzeba nazwać wejściem — a więc wszedł starszy białowłosy mężczyzna: „Ach, zatem obudził się pan!“, wykrzyknął radośnie. Dlaczego to powiedział? Minęła cała wieczność, odkąd zacząłem czuwać; nie pamiętałem już, co to sen. Ale może on i ja mieliśmy na myśli coś zupełnie innego. Usiadł przy mnie, bezceremonialnie uniósł mi powiekę, wsadził mi światło do oka. „Bardzo dobrze, bardzo dobrze“, powtarzał zadowolony ze swej okrutnej sztuczki. Wreszcie i on sobie poszedł.

Minął jakiś czas, zanim połączyłem ze sobą te strzępy wrażeń i rozumiałem, że wpadłem w ręce przedstawicieli zawodów związanych z medycyną. Musiałem uzbroić się w cierpliwość i nauczyć się nie reagować na ich obmacywanie. Nie tylko kobiety, pielęgniarzy, poczynają sobie z moim ciałem w sposób niesłychanie swobodny, lecz także

lekarze, mężczyźni srodzy i poważni, o ojcowskich głosach, wchodzili, gdy chcieli, otoczeni wianuszkami młodych ludzi, a wszyscy mieli fartuchy, podnosili mnie bez skrepowania i przekładali mi głowę, i rozmawiali o mnie, jak gdybym był jakimś manekinem. Uważałem, że to bardzo nieuprzejme, ale nie mogłem zaprotestować: artykulacja dźwięków, w przeciwieństwie do innych zdolności, przychodziła mi jeszcze z trudem. Gdy wreszcie pewnego dnia udało mi się wyraźnie nazwać jednego z mężczyzn *świnia*, ten wcale się nie obraził; przeciwnie, uśmiechnął się i zaklaskał: „Brawo, brawo”. Zachęcony, nabrałem odwagi i dołożyłem mu podczas kolejnej wizyty: „Łajdak, gnojek, śmierdziel, Żyd, skurwiel”. Lekarze kiwali z powagą głowami, młodzi ludzie notowali coś na ułożonych na podkładkach kartkach, w końcu jedna z pielęgniarek zwróciła mi uwagę: „Jednak mógłby pan być trochę bardziej uprzejmy”. — „Tak, ma pani rację. Mam się do pani zwracać *meine Dame*?” Zamachała ładną, małą dłonią tuż przed moimi oczami: „*Mein Fräulein*”, odpowiedziała lekko i znikła. Jak na panienkę rękę miała silną i sprawną: gdy musiałem sobie ulżyć, odwracała mnie, sadzała i podcierała z przemyślną skutecznością, gestem pewnym i estetycznym, wolnym od wszelkiego wstrętu, jak matka, która myje swoje dziecko, jak gdyby, choć może nawet była jeszcze dziewczicą, robiła to przez całe życie. Bez wątpienia sprawiało mi to przyjemność, lubiłem prosić ją o tę przysługę. Ona albo inne karmiły mnie, wsuwając mi łyżki z bulionem między wargi; bardziej odpowiadałby mi krwisty befszytk, ale nie śmiałem poprosić, w końcu nie byłem w hotelu, lecz — nareszcie udało mi się to zrozumieć — w szpitalu; i byłem pacjentem — właśnie, słowo oznacza dokładnie to, co oznacza.

A więc prawdopodobnie doznałem uszczerbku na zdrowiu w okolicznościach, których jeszcze nie potrafiłem sobie przypomnieć, lecz biorąc pod uwagę świeżość pościeli i spokój, czystość tego miejsca, raczej nie byłem w Stalingradzie, chyba że wszystko aż tak się tu zmieniło. I rzeczywiście, jak się w końcu dowiedziałem, nie byłem już w Stalingradzie, lecz w Hohenlychen, na północ od Berlina, w szpitalu niemieckiego Czerwonego Krzyża. W jaki sposób tu dotarłem, nikt nie potrafił mi powiedzieć. Przywieziono mnie furgonetką, kazano im się mną zaopiekować, nie pytali o nic, opiekowali się, a ja, ja też miałem o nic nie pytać, tylko stanąć na nogi.

Któregoś dnia podniósł się gwar: drzwi się otworzyły, moja salka zapełniła się ludźmi, tym razem, w większości, w ubraniach nie białych, lecz czarnych. Najniższego z nich rozpoznałem (fakt, że z pewnym trudem, ale pamięć wracała mi całkowicie): był to

Reichsführer-SS Heinrich Himmler. Otaczali go inni oficerowie SS, był też z nimi jakiś olbrzym, którego nie znałem, o końskiej, grubo ciosanej twarzy, pokrytej bliznami. Himmler stanął nade mną i wygłosił krótką przemowę nosowym, profesorskim głosem; ludzie po drugiej stronie łóżka filmowali i fotografowali scenę. Niewiele zrozumiałem z wypowiedzi Reichsführera, pojedyncze określenia wpływały na powierzchnię magmy jego słów: *heroiczny oficer, honor SS, przenikliwe raporty, odważny*, ale to nie tworzyło narracji, w której mógłbym rozpoznać siebie, z trudem przyswajałem te słowa. A przecież sens całej sceny był jasny, to właśnie o mnie mówiono, z mojego powodu wszyscy ci oficerowie i błyszczący dygnitarze zebrali się w ciasnej salce. W tłumie, gdzieś na szarym końcu, rozpoznałem Thomasa; pozdrowił mnie przyjaznym gestem, niestety nie mogłem z nim porozmawiać. Skończywszy przemowę, Reichsführer odwrócił się do oficera w okragłych, dość dużych okularach w czarnej oprawie, a ten pospiesznie podał mu jakiś przedmiot. Następnie Reichsführer pochylił się nade mną — z narastającą paniką patrzyłem, jak zbliża się jego *pince-nez*, groteskowy wąsik, tłuste, krótkie palce o brudnych paznokciach, chciał położyć mi coś na piersi, zauważyłem szpilkę i na myśl, że mnie ukłuje, ogarnęło mnie przerażenie; jego twarz spłynęła jeszcze niżej — w ogóle nie zwracał uwagi na mój lęk, dusiłem się od wyziewów werbeny — po czym złożył mi na policzku wilgotny pocałunek. Następnie wyprostował się i z okrzykiem wyrzucił ramię w powietrze, a cała świta zrobiła to samo, wokół mojego łóżka wyrósł las prostych ramion, czarnych, białych, brunatnych. Nieśmiało, starając się nie zwrócić na siebie uwagi, także uniosłem ramię; wywołało to pewien efekt, wszyscy odwrócili się i pospieżyli ku drzwiom. Tłum szybko się rozplątał, zostałem sam, wyczerpany, nie byłem zdolny pozbyć się tej dziwacznej, zimnej rzeczy, która spoczywała ciężko na mojej piersi.

Podtrzymywany, potrafiłem już zrobić kilka kroków, praktyczna umiejętność, mogłem chodzić do WC. Moje ciało, gdy się koncentrowałem, znów zaczynało mi być posłuszne, zrazu opornie, potem z większą uległością; tylko lewa dłoń nieznacznie się buntowała przeciwko ogólnemu porozumieniu, pozwalała mi poruszać palcami, ale w żadnym wypadku nie zgadzała się, by ją zamknąć, by zrobić z niej pięść. W lustrze po raz pierwszy ujrzałem swoją twarz: prawdę mówiąc, nie rozpoznawałem niczego, nie rozumiałem, jak to się dzieje, że zbiór tak różnych rysów trzyma się razem, a im bardziej się im przyglądałem, tym bardziej zdawały mi się obce. Białe pasy, w które owinięta była moja głowa, chroniły ją przynajmniej przed rozsypaniem — to było coś godnego uwagi,

lecz w żaden sposób nie potwierdzało moich spekulacji, ta twarz przypominała zbiór dobrze dopasowanych elementów, pochodzących jednakowoż z różnych układanek. Któregoś dnia przyszedł lekarz i powiedział, że teraz wyjadę: rana jest już zagojona, on nie może nic więcej dla mnie zrobić, wyślą mnie gdzie indziej, żebym nabrał sił. Zagojona! Dziwne słowo, nie wiedziałem nawet, że miałem ranę. Otóż przez moją głowę przeszła kula. Przypadek rzadszy, niż się może wydawać, jak mi cierpliwie wyjaśniono, sprawił, że nie tylko przeżyłem, ale również wyszedłem ze wszystkiego praktycznie bez szwanku; sztywność lewej dłoni oraz lekki wstrząs neurologiczny będą trwać jeszcze czas jakiś, ale i one przejdą. Ta precyzyjna naukowa informacja napełniła mnie zdumieniem, okazało się bowiem, że owe niezwykle i tajemnicze doznania mają swoją wytłumaczalną i racjonalną przyczynę; ale chociaż się wysilali, nie potrafiłem ich z tym wyjaśnieniem powiązać, wydało mi się ono płaskie, wymuszone. Jeżeli tym właśnie był rozum, to ja także, za Lutrem, chciałbym nazwać go *Hure*, dziwką; bo posłuszny spokojnym i cierpliwym rozkazom lekarzy, unosił dla mnie spódnicę i pokazywał, że pod spodem nie ma niczego. Mógłbym o nim powiedzieć to samo, co o mojej biednej głowie: dziura jest dziurą jest dziurą. Pomysł, że dziura może również być wszystkim, nie przyszedłby mi na myśl. Gdy zdjęto bandaż, sam mogłem stwierdzić, że praktycznie nie ma czego oglądać: na moim czole — malutka okrągła blizna, tuż nad prawym okiem, z tyłu czaszki — jak mnie zapewniano, prawie niewidoczny — guz, pomiędzy nimi odrastające włosy, które kryły ślady operacji. Lecząc, jeżeli wierzyć lekarzom, tak pewnym swojej naukowej wiedzy, dziura przechodziła przez całą moją głowę, wąski tunel o przekroju koła, niezwykła studnia, zamknięta, niedostępna myślom. Gdyby to była prawda, to teraz nic nie powinno być takie jak przedtem, więc jakże to mogła być prawda? Moja myśl o świecie powinna się teraz przeorganizować dokoła tej dziury. A jedyne, co konkretnego mogłem powiedzieć, to: obudziłem się i teraz nic nie będzie jak dawniej. Gdy rozmyślałem nad tą niesamowitą kwestią, przyszli po mnie, zanieśli na noszach do karetki, a jedna z pielęgniarek uczynnie wsunęła mi do kieszeni pudełeczko z medalem, tym, który dał mi Reichsführer. Zawieźli mnie na Pomorze, na wyspę Usedom, w okolice Swinemünde; tam na brzegu morza stał dom wypoczynkowy dla SS, piękny, przestronny budynek. Mój pokój, bardzo jasny, miał widok na morze i za dnia, popychany na wózkach inwalidzkim przez pielęgniarkę, mogłem podjeżdżać pod wielkie okno i patrzeć na ciężkie i szare wody Bałtyku, hałaśliwą zabawę mew, mokry, zimny piasek na plaży, oznaczony plamami

kamieni. Korytarze i pomieszczenia wspólne myto tu często lizolem, podobał mi się ten cierpki, pełen ukrytych znaczeń zapach, przypominający z całą ostrością rozkoszne upodlenia mej wczesnej młodości. Długie, niemal błękitne, przezroczyste ręce pielęgniarek, jasnowłosych, delikatnych dziewczyn Północy, także pachniały lizolem, a rekonwalescenci nazywali je między sobą *Karbol Mäuschen*, „karbolowe myszki”. Te zapachy i mocne odczucia powodowały u mnie erekcje, tak bardzo poza moją kontrolą, że aż zdumiewające. Pielęgniarka, która mnie myła, uśmiechała się i ścierała ich ślady gąbką tak samo obojętnie jak całą resztę. Czasem trwały długo, z cierpliwą rezygnacją; nie byłbym w stanie sobie ulżyć. Ich pojawienie się było dla mnie czymś nieoczekiwanym, szalonym, trudnym do rozszyfrowania. Ciało było dla mnie jeszcze zbyt złożone, bym mógł je zrozumieć; należało odkrywać je stopniowo.

Podobało mi się uporządkowane życie na tej pięknej wyspie, zimnej i nagiej, pełnej szarości, żółci i bladych błękitów; było tu akurat tyle nierówności, by złapać się i nie zostać porwanym przez wiatr, ale nie tak dużo, by się pokaleczyć. Przyjechał Thomas, przywiózł prezenty, butelkę francuskiego koniaku i pięknie oprawione wydanie Nietzschego, ale nie wolno mi było pić, a czytać nie byłem w stanie, sens mi umykał, alfabet kpił sobie ze mnie, podziękowałem więc i wcisnąłem prezenty do komody. Na kołnierzu jego pięknego czarnego munduru, obok czterech rombów wyhaftowanych srebrną nicią, błyszczały teraz dwie belki, a środek epoletów zdobił szewron: awansowano go na SS-Obersturmbannführera i ja też, jak mnie poinformował, awansowałem, Reichsführer mówił mi o tym podczas dekoracji, ale nie zapamiętałem tego szczegółu. Byłem teraz niemieckim bohaterem, w „Schwarzes Korps”. opublikowano o mnie artykuł; order, którego jeszcze nie obejrzałem, to był Żelazny Krzyż pierwszej klasy (a więc za jednym zamachem dostałem też drugą klasę, zaocznie). Nie miałem pojęcia, cóż takiego zrobiłem, żeby na niego zasłużyć. Thomas, wesoły i rozmowny, roztoczył przede mną wachlarz wiadomości i plotek: Schellenberg zajął wreszcie miejsce Josta na czele Amt VI, Wehrmacht wyrzucił z Francji Besta, ale Führer mianował go pełnomocnikiem w Danii, Reichsführer zdecydował się w końcu na mianowanie następcy Heydricha. Obergruppenführer Kaltenbrunner to był ten pokiereszowany olbrzym, który stał wtedy obok Himmlera w mojej szpitalnej sali. Nazwisko niewiele mi mówiło, wiedziałem, że był to HSSPF-Dunaj i że generalnie uważano go za kogoś mało znaczącego. Thomas okazał się zachwycony tym wyborem, Kaltenbrunner był prawie jego „krajanem”, mówił tym

samym dialektem, i już go zaprosił na kolację. On sam został mianowany zastępcą Gruppenleiters IV A, pod Panzingerem, który zastępował Müllera. Te szczegóły, prawdę mówiąc, niezbyt mnie interesowały, ale na powrót nauczyłem się uprzejmości, pogratulowałem mu, bo był chyba zadowolony, zarówno ze swego losu, jak i z samego siebie. Ze sporą dozą humoru opowiedział mi o spektakularnej ceremonii żałobnej 6. Armii; oficjalnie wszyscy, począwszy od Paulusa, a na ostatnim Gefreiterze skończywszy, *stawiali opór aż do śmierci...* W rzeczywistości jeden generał Hartmann poległ w walce i tylko jeden (Stempel) uznał za stosowne popełnić samobójstwo; reszta, w sumie dwudziestu dwóch, w tym Paulus, skończyła w rękach Sowietów. „Przenicują ich jak rękawiczki, powiedział wesoło Thomas, zobaczysz”. Wszystkie stacje radiowe Rzeszy na trzy dni zawiesiły działalność, nadawały wyłącznie żałobną muzykę. „Najgorszy był Bruckner. Siódma Symfonia. Gdziekolwiek człowiek się ruszył. Myślałem, że zwariuję”. Opowiedział mi też, prawie mimochodem, w jaki sposób dotarłem aż tutaj: uważnie słuchałem jego opowieści, więc mogę ją powtórzyć, ale bardziej jeszcze niż całej reszty, nie potrafiłem jej do niczego dopasować, to była po prostu opowieść, prawdziwa, w to nie można wątpić, ale jednak opowieść, nic więcej, sekwencja zdań, ułożonych według tajemniczego, arbitralnego porządku, powodowana logiką niewiele mającą wspólnego z tą, która pozwalała mi oddychać słonym nadbałtyckim powietrzem, czuć podmuch wiatru na twarzy, gdy wywożono mnie na spacer, nieść łyżkę z zupą od miski do ust i otwierać odbył, gdy nadchodziła chwila wydalania odpadów. Według tej opowieści, nie zmieniam w niej niczego, oddaliłem się od Thomasa i reszty w kierunku radzieckich linii, wyeksponowanej strefy, nie zwracając najmniejszej uwagi na ich krzyki. Zanim mnie dogonili, rozległ się strzał, jeden jedyny, i padłem na ziemię. Iwan wykazał się wielką odwagą, zaryzykował życie i przeciągnął moje ciało w bezpieczne miejsce, sam też o mało nie dostał, ale kula przeszła mu przez rękaw, nawet go nie drasnęła. Ja — i tu wersja Thomasa pokrywała się z wyjaśnieniami lekarza z Hohenlychen — dostałem w głowę, lecz, ku wielkiemu zdziwieniu tych, którzy zbiegli się wokół, nadal oddychałem. Zanieśli mnie do stanowiska ratowniczego. Lekarz oświadczył, że nic nie może zrobić, ale ponieważ nadal uparcie oddychałem, skierował mnie do Gumraku, gdzie znajdował się najlepszy blok operacyjny w całym *Kessel*. Thomas zarekwirował samochód i zawiózł mnie tam osobiście, a następnie, stwierdziwszy, że zrobił wszystko, co w jego mocy, zostawił mnie. Tego samego wieczoru otrzymał rozkaz do odjazdu. Dzień później

Gumrak, najważniejszy teren po upadku Pitomnika, też musiał zostać ewakuowany, Rosjanie nacierali. Thomas pojechał na Stalingradzki, skąd startowały jeszcze czasem samoloty. Oczekując na wylot, z braku lepszego zajęcia, wybrał się do polowego szpitala urządzonego w namiotach i znalazł mnie tam — byłem nieprzytomny, miałem obandażowaną głowę i dyszałem ciągle niczym miech kowalski. Jakiś sanitariusz, w zamian za papierosa, opowiedział, że operowano mnie w Gumraku, ale nie znał szczegółów, chirurg zginął w potyczce od pocisku z mózdzierza, który spadł na blok, ale ja żyłem nadal i jako oficer cieszyłem się specjalnymi względami; podczas ewakuacji umieszczono mnie w samochodzie i przywieziono tutaj. Thomas chciał zabrać mnie do swojego samolotu, ale żandarmi polowi się nie zgodzili, czerwony obrys mojej etykiety VERWUNDETE oznaczał „Nie do transportu”. „Nie mogłem dłużej czekać, mój samolot miał odlecieć lada chwila. I wtedy znów zaczęło walić. Więc znalazłem faceta, mocno naruszonego, ale ze zwykłą etykietką, którą zamieniłem na twoją. On i tak był bez szans. Zostawiłem cię z resztą rannych na skraju pasa startowego i odleciałem. Załadowali cię do następnego samolotu, jednego z ostatnich. Powinieneś zobaczyć ich miny, w Melitopolu, gdy dotarłem. Nikt nie chciał podać mi ręki, bali się wszy. Oprócz Mansteina, on uściśnął dłoń każdemu. Byli tam prawie sami oficerowie jednostek pancernych. Nic dziwnego, to Hube sporządzał listy dla Milcha. Nikomu nie można ufać”. Opadłem na poduszki i zamknąłem oczy. „Kto się jeszcze wydostał, prócz nas?” — „Prócz nas? Tylko Weidner, pamiętasz go? Z Gestapostelle. Möritz też dostał rozkazy, ale ślad po nim zaginął. Trudno powiedzieć, czy zdołał wyjechać”. — „A ten mały? Twój kolega, ten, który dostał odłamkiem i tak się cieszył?” — „Vopel? Ewakuowali go jeszcze, zanim zostałeś ranny, ale heinkla, którym leciał, zestrzelił przy starcie jakiś szturmowik”. — „A Iwan?” Wyjął srebrną papierośnicę. „Mogę zapalić? Tak? Iwan? Cóż, został, oczywiście. Nie myślisz chyba, że oddaliby miejsce Niemca jakiemuś Ukraińcowi?” — „Nie wiem. On też bił się w naszym interesie”. Thomas zaciągnął się i powiedział z uśmiechem: „Uprawiasz niepoprawny idealizm. Widzę, że nawet strzał w głowę ci nie pomógł. Powinieneś się cieszyć, że żyjesz”. Cieszyć się, że żyję? Wydało mi się to tak samo niestosowne jak to, że w ogóle się urodziłem.

Codziennie napływali nowi ranni, przyjeżdżali z Kurska, z Rostowa, z Charkowa, odbijanych nam kolejno przez Sowietów, znad przełęczy Kasserine też; parę słów zamienionych z nowymi przybyszami miało większą wartość niż długie wojskowe

komunikaty. Komunikaty, które puszczano nam w świetlicach przez małe głośniki, były poprzedzane uwerturą kantaty Bacha *Eine Feste Burg ist unser Gott*; Wehrmacht wykorzystywał aranżację Wilhelma Friedmanna, rozwiązanego syna Jana Sebastiana, który dodał trzy trąbki i kocioł do czystej orkiestracji swego ojca. Dla mnie był to wystarczająco dobry powód, żeby wymykać się ze świetlicy i, co za tym idzie, unikać futrowania stekiem uspokajających eufemizmów, co nieraz trwało nawet dobrych dwadzieścia minut. Nie ja jeden okazywałem pewną awersję do tych komunikatów. Pielęgniarka, którą w takich momentach spotykałem często na tarasie ostentacyjnie czymś zajęta, zdradziła mi któregoś dnia, że większość Niemców o tym, że 6. Armia jest otoczona, dowiedziała się w dniu jej rozbicia, co tylko pogłębiło szok psychiczny. Odcisnęło to swoje piętno na życiu Volksgemeinschaft: ludzie rozmawiali i krytykowali, już bez ogródek, w Monachium zdarzyło się nawet coś w rodzaju studenckiej rewolty. O tym, oczywiście, nie dowiedziałem się od pielęgniarek ani od pacjentów, lecz od Thomasa, którego pozycja była na tyle wysoka, że otrzymywał wiadomości o takich wydarzeniach. Rozdawano ulotki o treściach dywersyjnych, malowano na murach defetystyczne hasła; Gestapo musiało zareagować brutalnie: podżegaczy, w większości nieprzystosowanych młodzieńców, skazano na śmierć i od razu wykonano wyroki. Do kłopotliwych skutków ubocznych tej katastrofy należał też, niestety, powrót dr. Goebbelsa na polityczne proscenium; jego deklaracja *wojny totalnej* w Sportpalast była w całości transmitowana przez radio, nie mogliśmy w żaden sposób wykręcić się od jej wysłuchania. W sanatoriach SS takie rzeczy, niestety, były traktowane poważnie.

Przystojni chłopcy z Waffen-SS, którzy zapełniali kolejne pokoje, byli zwykle w opłakanym stanie, często brakowało im kawałka ramienia lub nogi albo szczęki, atmosfera nie zawsze była radosna. Lecz zauważyłem z zainteresowaniem, że większość, na przekór temu, co można by wnioskować z najzwyczajszej oceny faktów czy lektury mapy, zachowała nienaruszoną wiarę w *Endsieg* i uwielbienie dla Führera. Oczywiście nie wszyscy — byli już w Niemczech tacy, którzy zaczynali trzeźwo, na podstawie faktów i map, wyciągać obiektywne wnioski. Rozmawiałem o tym z Thomasem; dał mi nawet do zrozumienia, że są ludzie, jak Schellenberg, których obowiązkiem jest przewidywanie logicznych konsekwencji istnienia takich wniosków i odpowiednia reakcja, na bazie owych przewidywań. O tym wszystkim, ma się rozumieć, nie dyskutowałem z towarzyszami niedoli: po co ich bardziej demoralizować, odbierać lekką ręką to, co

stanowiło fundament ich znękanych egzystencji? Nie, to nie miałoby żadnego sensu. Odzyskiwałem siły: teraz mogłem się ubrać, chodzić samotnie po plaży, pośród wiatru i szorstkiego krzyku mew, a moja lewa dłoń nareszcie zaczynała mnie słuchać. Pod koniec miesiąca (działo się to w lutym czterdziestego trzeciego) ordynator placówki zbadał mnie i zapytał, czy czuję się na siłach, by wyjść. Po tym, co się stało, brakowało miejsc, a ja równie dobrze mógłbym dokończyć rekonwalescencję pośród rodziny. Wyjaśniłem mu uprzejmie, że powrót na łono rodziny nie należy do mych planów, ale, jeżeli sobie tego życzy, opuszczę sanatorium, pojedę do miasta, do hotelu. Dokumenty, które mi przekazał, uprawniały mnie do trzymiesięcznego zwolnienia. Wsiadłem do pociągu i przenieśliem się do Berlina. Wynająłem pokój w dobrym hotelu, w Edenie, przy Budapesterstrasse: przestronny apartament z salonem, sypialnią i piękną łazienką w kafelkach. Ciepła woda nie była tu racjonowana, więc co dzień lałem sobie pełną wannę, wychodziłem po godzinie, gdy moja skóra stawała się żywoczerwona, i padałem na łóżko, a serce biło mi jak oszalałe. Były tam też oszklone drzwi i wąski balkon, wychodzący na zoo: rankiem, przy herbacie, obserwowałem, jak strażnicy krążą z karmą dla zwierząt, sprawiało mi to niebywałą przyjemność. Oczywiście cały ten luksus kosztował, ale właśnie odebrałem pensję za dwadzieścia jeden ostatnich miesięcy; wraz z dodatkami wyszła całkiem niezła sumka, mogłem sobie pozwolić na pewną rozrzutność. Zamówiłem u krawca Thomasa przepiękny czarny mundur, do którego kazałem przyszyć nowe galony Sturmbannführera i przymocować ordery (oprócz Żelaznego Krzyża i Wojennego Krzyża Zasługi dostałem kilka pomniejszych odznaczeń: za ranę, za kampanię zimową 41-42, ten akurat z pewnym opóźnieniem, i medal NSDAP, który dawano komu popadnie). Choć niezbyt lubię mundury, musiałem przyznać, że w tym prezentuję się świetnie, i z dumą przechadzałem się po mieście, w czapce lekko na bakier, trzymając niedbale rękawiczki w dłoni; któż na mój widok domyśliłby się, że w gruncie rzeczy jestem biurokratą? Od czasu mojego wyjazdu wygląd miasta zmienił się nieco. Zniekształcały je wszechobecne zabezpieczenia przed lotniczymi atakami Anglików. Potężny namiot cyrkowy wykonany z drutu zakamuflowanego szmatami i gałęziami sosny krył Charlottenburgstrasse od Bramy Brandenburskiej po kres Tiergarten i w alei nawet za dnia panowała ciemność. Złocenia Kolumny Zwycięstwa ustąpiły miejsca ohydnej brązowej farbie i siatce maskującej. Na Adolf-Hitler Platz i w innych miejscach ustawiono atrapy budynków, olbrzymie teatralne dekoracje, pod którymi jeździły auta i tramwaje, a nad zoo, przy moim hotelu, wznosiła

się fantastyczna konstrukcja, żywcem wyjęta z najgorszych snów, wielki betonowy średniowieczny fort, najeżony armatami, którego zadaniem była ochrona ludzi i zwierząt przed brytyjskimi *Lüftmorder*; bardzo byłem ciekaw, jak ten koszmarek sprawdza się w akcji. Muszę przyznać, że naloty, które już wtedy nękały mieszkańców, niewiele miały wspólnego z tym, co działo się później. Niemal wszystkie dobre restauracje zamknięto z powodu *całkowitej mobilizacji*; Göring robił, co mógł, by uchronić Horchera, swoją ulubioną knajpę, ale Goebbels, jako Gauleiter Berlina, zorganizował *spontaniczną manifestację obywatelskiego niezadowolenia*, podczas której wybito tam wszystkie okna, i Göring musiał ustąpić. Thomas i ja naigrawaliśmy się z tego incydentu, zresztą nie tylko my: trochę abstynencji w miejsce diety „stalingradzkiej” nie zrobiłoby Reichsmarschallowi źle. Na szczęście Thomas znał prywatne kluby, które nie podlegały nowym regulacjom, można się tam było do woli najeść homarów i ostryg, drogich, lecz nie racjonowanych, i pić szampana, surowo reglamentowanego w samej Francji, ale nie w Niemczech; niestety ryby były nieosiągalne, podobnie jak piwo. Miejsca te bywały czasem bardzo interesujące ze względu na atmosferę: w Fer de Cheval Dore pracowała murzyńska kelnerka, a klientki mogły na małej cyrkowej arenie dosiadać konia i eksponować nogi, natomiast w Jockey Club orkiestra grała amerykańską muzykę; wprawdzie nie można było tańczyć, lecz nad barem nadal wisiły fotografie hollywoodzkich gwiazd, a nawet Lesliego Howarda.

Szybko zdałem sobie sprawę, że wesołość, która ogarnęła mnie po przyjeździe do Berlina, była powierzchowna. Pod nią kryła się przerażająca nadwrażliwość, zdawało mi się, że jestem zbudowany z kruchej materii, która rozsypie się przy najmniejszym podmuchu. Wszystko, na co zwracałem uwagę: spektakl zwyczajnego życia, tłumy w tramwajach albo w S-Bahnie, śmiech eleganckiej kobiety, pełen satysfakcji szelest gazetowego papieru, to wszystko bolało mnie jak cięcie ostrą brzytwą. Czułem, że dziura w mojej głowie otwiera się niczym trzecie oko, oko szyszynkowe, które nie zwraca się ku słońcu, choć jest zdolne patrzeć w jego oślepiające światło, ale kieruje się ku ciemnościom, ma moc wejrzenia w nagą twarz śmierci, umie dostrzec ją pod każdą cielesną powłoką, pod uśmiechem, pod najbielszą, najzdrowszą skórą, pod najweselszymi oczyma. Katastrofa wisiała w powietrzu, a oni nie zdawali sobie z tego sprawy, bo katastrofą jest już sama zapowiedź przyszłej katastrofy, która rujnuje wszystko, zanim nadejdzie jej właściwa pora. Tak właściwie, powtarzałem sobie z daremną goryczą,

człowiek ma spokój tylko przez pierwszych dziewięć miesięcy, a potem archanioł z ognistym mieczem przybywa, by wygnać go przez bramę z napisem *Lasciate ogni speranza*, a człowiek chce tylko jednego — wrócić tam; lecz czas płynie i bezlitośnie pcha go do przodu, na końcu zaś nie ma niczego, absolutnie niczego. Te refleksje nie były wcale oryginalne, podobnie mógł myśleć jakikolwiek, najmarniejszy nawet żołnierz zagubiony w śniegach Wschodu, który, wsłuchany w ciszę, wie, że śmierć jest już blisko i uświadamia sobie wartość każdego oddechu, każdego uderzenia serca, zimnego i ostrego zapachu powietrza, docenia cud, jakim jest światło dnia. Odległość od frontu działa jak warstwa moralnego tłuszczu i gdy patrzyłem na tych zadowolonych ludzi, zapierało mi czasem dech w piersiach i chciało mi się krzyczeć. Poszedłem do fryzjera: tam, przed lustrem, ogarnął mnie nagle niestosowny lęk. Było to białe pomieszczenie, czyste, sterylne, nowoczesne, taki dyskretnie drogi salon; kilku klientów zajmowało sąsiednie fotele. Fryzjer okrył mnie długim czarnym fartuchem, pod którym moje serce zaczęło bić jak szalone, wnętrzości pograżyły się w zimnej wilgoci, panika zalała całe ciało, piekły mnie czubki palców. Spojrzałem na swoją twarz: była spokojna, ale ten spokój pokrywał pustkę, strach wymazał z niej wszystko. Zamknąłem oczy: *ciach, ciach*, pobrzękiwały przy moich uszach małe, cierpliwe nożyczki fryzjera. W drodze powrotnej myślałem: skoro wszyscy bez przerwy ci powtarzają, że będzie dobrze, to kto wie, może w końcu dasz się przekonać. Lecz nie potrafiłem dać się przekonać, byłem niezdecydowany. Odeszły za to wszystkie dolegliwości fizyczne, które nękały mnie na Ukrainie i w Stalingradzie: nie łąpały mnie mdłości, nie wymiotowałem, trawienie się uregulowało. I tylko idąc po ulicy, miałem wrażenie, że stąпам po szkle, gotowym w każdej chwili popękać mi pod stopami. Życie wymagało, bym mocno skupiał się na rzeczywistości, byłem tym wykończony. Spacerując po jednej ze spokojnych uliczek w okolicach Landwehrkanal, znalazłem na parapecie, na wysokości parteru, długą damską rękawiczkę z błękitnej satyny. Niewiele myśląc, chwyciłem ją i poszedłem dalej. Zapragnąłem ją przymierzyć — oczywiście była za mała, ale faktura satyny podniecała mnie. Wyobrażałem sobie dłoń, która ją nosiła — na samą myśl czułem onieśmienie. Nie zamierzałem zatrzymać rękawiczki. Rzecz w tym, że aby się jej pozbyć, potrzebowałem innego okna, z cienkim prętem z hartowanej stali wokół parapetu i najchętniej w starej kamienicy, ale tu stały tylko sklepy o niemych, zasłoniętych wystawach. Wreszcie, przy samym hotelu, znalazłem coś odpowiedniego. Okiennice były zamknięte; ostrożnie

położyłem rękawiczkę pośrodku parapetu, jak gdybym składał ofiarę. Dwa dni później okiennice nadal były zamknięte i rękawiczka wciąż tam leżała, jak nieprzenikniony, dyskretny znak, chciała zapewne coś mi przekazać, tylko co?

Thomas zaczynał domyślać się stanu mojego ducha, bo nie licząc pierwszych dni, nie dzwoniłem do niego, nie chodziłem z nim na kolacje, wolałem sam włóczyć się po mieście, patrzeć z balkonu na lwy, żyrafy i słonie w zoo albo leżeć w luksusowej wannie i bezwstydnie marnować ciepłą wodę. W odruchu szlachetnej troski o zapewnienie mi rozrywek Thomas poprosił, bym umówił się z młodą kobietą, sekretarką Führera na przepustce, która nie miała wielu znajomych w Berlinie; przez grzeczność nie chciałem odmawiać. Zabrałem ją na kolację do hotelu Kempinski; chociaż dania nosiły tu teraz głupie patriotyczne nazwy, nadal były wysmienite, a dzięki moim odznaczeniom nikt mnie zbytnio nie męczył kwestią racjonowania żywności. Dziewczyna, nazywała się Grete V, rzuciła się zachłannie na ostrygi, wsuwała je, jedną po drugiej, pomiędzy rzędy zębów. „Słyszałem, że w Rastenburgu karmią podłe”. — „I to jak!, wykrzyknęła. Na szczęście nie musimy jeść tego samego co Führer”. Dolewałem jej wina, a ona opowiadała mi, jak to Zeitzler, nowy szef sztabu OKH, oburzony ordynarnymi kłamstwami Göringa na temat aprowizacji w *Kessel*, oficjalnie zażądał, aby w kasynie podawano mu taką rację, jaką dostają żołnierze 6. Armii. Szybko stracił na wadze i Führer musiał zobowiązać go do zaprzestania tych *chorobliwych demonstracji*; zamiast tego wprowadzono zakaz podawania szampana i koniaku. Mówiła, a ja na nią patrzyłem: wyglądała niepospolicie. Miała mocną, bardzo długą szczękę; usiłowała nadawać twarzy zwyczajny wyraz, lecz odnosiłem wrażenie, że to maska, pod którą kryje się jakaś ciężka, sekretna namiętność przesiąkająca na powierzchnię krwawą kreską szminki. Jej ręce były bardzo ruchliwe, palce zaczerwienione w wyniku złego krążenia. Miała ptasie stawy, szczupłe, kościste; cienkie, dziwne linie przecinały jej lewy nadgarstek, jak gdyby ślad po bransoletkach lub sznurkach. Była elegancka i ożywiona, ale bił od niej jakiś niemy fałsz. Wino rozwiązało jej język, więc sprowokowałem ją, by opowiedziała o życiu prywatnym Führera, a ona wykazała się w tej kwestii zadziwiającym brakiem dyskrecji: każdego wieczoru Führer wygłaszał długie przemowy i tak się w swych monologach powtarzał, był tak nudny, tak jałowy, że sekretarki, asystenci i adiutanci wprowadzili rotacyjny system dyżurów, by go słuchać; ci, na których akurat wypadło, kładli się spać dopiero o świcie. „Oczywiście, dodała, on jest geniuszem, wybawcą Niemiec. Ale ta wojna go wykańcza”. Późnym

popołudniem, koło piątej, po konferencjach, a przed kolacją, filmami i nocną herbatą, sekretarki piły z nim kawę; w otoczeniu kobiet stawał się czasem kordialny — przynajmniej przed Stalingradem — żartował, przekomarzał się z dziewczynami i nie rozmawiał o polityce. „A flirtuje z wami?”, spytałem rozbawiony. Spoważniała: „Och, skądże, nigdy!”. Zapytała mnie o Stalingrad; poczęstowałem ją okrutnym i gorzkim opisem. Najpierw rozśmieszył ją do łez, lecz chwilę potem poczuła się nieswojo i mi przerwała. Odprowadziłem ją do hotelu w okolicach Anhalter Bahnhof. Zaprosiła mnie na szklaneczkę, ale grzecznie odmówiłem; moja kurtuazja ma swoje granice. Gdy tylko się z nią rozstałem, ogarnął mnie gorączkowy niepokój: po co w ogóle tracę w ten sposób czas? Do czego są mi potrzebne kularowe opowiadki i plotki z życia naszego Führera? Co mi przyjdzie z puszenia się przed wypacykowaną gęsią, która, w gruncie rzeczy, oczekuje ode mnie tylko jednego? Teraz najbardziej był mi potrzebny spokój. Cóż z tego, skoro nawet w moim pierwszorzędnym hotelu nie dane mi było go zaznać: na piętrze pode mną odbywała się głośna impreza, muzyka, krzyki, śmiechy przenikały przez podłogę i chwyciły mnie za gardło. Leżąc w łóżku, w ciemności, myślałem o żołnierzach 6. Armii: wieczór, o którym opowiadam, miał miejsce 6 marca, ponad miesiąc wcześniej poddały się ostatnie jednostki. Ci, którzy ocaleli, byli już pewnie w drodze na Syberię lub do Kazachstanu, zżerani przez robactwo, trawieni gorączką, podczas gdy ja z trudem oddychałem nocnym berlińskim powietrzem, i nie dla nich była muzyka, nie dla nich śmiechy, nie dla nich krzyki. Nie byli w tym odosobnieni, cały świat zwijał się z bólu, nie należało się jeszcze bawić, nie wtedy, nie tak od razu, należało poczekać, aż upłynie stosowny czas. Ogarnął mnie lęk, wstręt, złośliwy, duszny. Wstałem, pogrzebałem w szufladzie biurka, wyjąłem służbowy pistolet, sprawdziłem, czy jest nabity, i odłożyłem na miejsce. Spojrzałem na zegarek: była druga w nocy. Założyłem kurtkę od munduru (nie rozebrałem się do spania) i zszedłem, nie zapiawszy jej nawet. W recepcji poprosiłem o telefon i zadzwoniłem do Thomasa, do mieszkania, które wynajmował: „Wybacz, że niepokoję cię o tak późnej porze”. — „Nic nie szkodzi. Co się dzieje?” Zwierzyłem mu się ze swoich ludobójczych zamiarów. Ku memu zdziwieniu nie zaczął ironizować, tylko powiedział bardzo poważnie: „Normalna sprawa. To są łajdaki, wyzyskiwacze. Ale jeśli zaczniesz strzelać do tego towarzystwa, napytasz sobie biedy”. — „Więc co sugerujesz?” — „Idź, porozmawiaj z nimi. Jak się nie uspokoją, to coś wymyślimy. Zatelefonuję do przyjaciół”. — „Dobrze, pójdę tam”. Rozłączyłem się i wszedłem na piętro, na którym

trwała zabawa; bez trudu znalazłem odpowiednie drzwi, zapukałem. Otworzyła mi piękna, wysoka kobieta w wydekoltowanej sukni wieczorowej, oczy jej błyszczały: „Słucham?”. Za jej plecami wyla muzyka, słyszałem brzęk szkła, szalone śmiechy. „To pani pokój?”, spytałem z bijącym sercem. — „Nie. Niech pan zaczeka”. Odwróciła się: „Dicky! Dicky! Jakiś oficer do ciebie”. W drzwiach stanął podchmielony mężczyzna w marynarce; kobieta przyglądała się nam z nieskrywanym zainteresowaniem. „Słucham, Herr Sturmbannführer?, odezwał się. Co mogę dla pana zrobić?” Afektowany, kordialny, nieco ochrypły głos zdradzał jego pochodzenie: stara arystokracja. Pochyliłem się lekko i powiedziałem tonem najbardziej neutralnym, na jaki było mnie stać: „Mieszkam piętro wyżej, nad pańskim pokojem. Niedawno wróciłem ze Stalingradu, gdzie byłem ciężko ranny i gdzie zginęli prawie wszyscy moi towarzysze. Atmosfera zabawy przeszkadza mi. Chciałem zejść i pana zabić, ale zadzwoniłem do przyjaciela, który poradził, bym najpierw z panem porozmawiał. Więc jestem i rozmawiam. I byłoby lepiej dla nas wszystkich, żebym nie musiał schodzić drugi raz”. Mężczyzna zbladł: „Nie, nie...”. Odwrócił się: „Gofi! Wyłącz muzykę! Wyłącz!” Spojrzał na mnie: „Proszę nam wybaczyć. Natychmiast kończymy”. — „Dziękuję”. Poszedłem do siebie z poczuciem niewyraźnej satysfakcji, słyszałem, jak krzyczy: „Wszyscy wychodzić! Koniec. Wynoście się”. Poruszyłem jakiś nerw i wcale nie była to kwestia strachu: on też, w tamtej chwili, coś zrozumiał i ogarnął go wstyd. W moim pokoju zapanowała cisza, od czasu do czasu słychać było warkot samochodu i porykiwania bezsennego słonia. A i tak nie mogłem się uspokoić. Moja akcja wydała mi się wyreżyserowana, powodowana wprawdzie autentycznym i niedobrym uczuciem, lecz wypaczona, spłycona do poziomu paradnego, konwencjonalnego oburzenia. W tym właśnie tkwił problem: jak, obserwując siebie samego z zewnątrz, stale, okiem krytycznej kamery, jak mogłem wypowiedzieć chociaż jedno szczerze słowo, wykonać jeden, choćby najmniejszy autentyczny gest? Wszystko, co robiłem, stawało się spektaklem, który odgrywałem sam przed sobą, nawet moje myśli nie były niczym innym, jak tylko kolejnym sposobem na przyjrzenie się sobie — jak biedny Narcyz bez przerwy wdzięczyłem się do swego odbicia. Ale nie byłem idiotą. Impas, w który popadłem u kresu mojego dzieciństwa, polegał właśnie na tym: dawniej tylko Una mogła uwolnić mnie od siebie samego, sprawić, bym zapomniał o sobie na chwilę, a odkąd ją straciłem, bez końca przyglądałem się sobie; w myślach moje spojrzenie mieszało się z jej spojrzeniem, lecz pozostawało — tego byłem pewien — moje własne. Bez ciebie nie

jestem sobą — z tym wiązał się strach autentyczny, śmiertelny, bez żadnego związku ze słodkimi lękami dzieciństwa, areszt bez odwołania, a nawet bez sądu.

W tych dniach, w pierwszych dniach marca czterdziestego trzeciego roku dr Mandelbrod zaprosił mnie na herbatę.

Znałem Mandelbroda i jego współnika, Herr Lelanda, od dawna. Kiedyś, zaraz po Wielkiej Wojnie — a może nawet i przed, nie mogłem tego w żaden sposób sprawdzić — mój ojciec pracował dla nich (podobno wuj służył im przy okazji za agenta). Ich stosunki, z tego, co stopniowo udawało mi się zrozumieć, wychodziły poza zwyczajną relację pracodawca-pracownik; gdy ojciec zniknął, dr Mandelbrod i Herr Leland pomagali matce w poszukiwaniach, być może także wspierali ją finansowo, ale tego nie jestem pewien. I ciągle odgrywali pewną rolę w moim życiu; w 1934 roku, gdy przygotowywałem się do zerwania stosunków z matką, przed przybyciem do Niemiec, skontaktowałem się z Mandelbrodem, który już od pewnego czasu był poważaną osobistością, dodawał mi odwagi, zaproponował pomoc. To on zachęcił mnie, bym kontynuował studia, teraz już w Niemczech, nie we Francji, i załatwił formalności związane z moim wstąpieniem na uczelnię w Kilonii oraz do SS. Choć jego nazwisko miało żydowskie brzmienie, był, tak jak minister Rosenberg, czystym rasowo Niemcem ze starego pruskiego rodu, być może z kroplą krwi słowiańskiej. Herr Leland miał brytyjskie pochodzenie, lecz jego germanofilskie przekonania skłoniły go do wyrzeczenia się swojej ojczyzny, na długo zanim przyszedłem na świat. Byli przemysłowcami, ale trudno dokładnie określić ich pozycję. Zasiadali w wielu radach nadzorczych, między innymi w radzie IG Farben, i mieli finansowe udziały w innych przedsiębiorstwach, ale ich nazwiska nie były powiązane z żadnym z nich w sposób szczególny; mówiono, że mają wielkie wpływy w sektorze chemicznym (obaj zasiadali w Reichsgruppe na rzecz przemysłu chemicznego) oraz metalurgicznym. Poza tym byli związani z Partią od *Kampfzeit* i angażowali się finansowo w jej powstanie. Thomas, z którym rozmawiałem o nich kiedyś, jeszcze przed wojną, twierdził, że zajmują pewne stanowiska w kancelarii Führera, nie będąc przy tym całkiem podwładnymi Philippa Bouhlera, i mają wejścia do wyższych partyjnych sfer kancelarii. Reichsführer-SS mianował ich honorowymi SS-Gruppenführerami i członkami Freundeskreis Himmler, ale Thomas dość tajemniczo twierdził, że nie daje to SS żadnego wpływu na nich i że, jeżeli w ogóle istnieją jakieś wpływy, to raczej w odwrotnym kierunku. Był pod ogromnym wrażeniem, gdy dowiedział się, że ich znam, i wyraźnie

zazdrościł mi takich protektorów. Tak naprawdę ich zainteresowanie moją karierą zmieniało się w zależności od czasów: gdy, nazwijmy to, zabrnąłem w ślepią uliczkę po raporcie z 1939 roku, usiłowałem się z nimi spotkać, ale wtedy było niespokojnie, odpowiedź przyszła po kilku miesiącach, a na kolację zaprosili mnie dopiero w okresie naszej inwazji na Francję — Herr Leland, jak to miał w zwyczaju, był raczej rozdrażniony, a dr Mandelbrod interesował się głównie sytuacją polityczną. O mojej pracy nie wspominali wcale, a ja nie śmiałem poruszyć tego tematu. Od tamtego czasu nie widziałem się z nimi. Zaproszenie Mandelbroda bardzo mnie zaskoczyło: czego on może ode mnie chcieć? Na tę okazję założyłem nowy mundur i przypiąłem wszystkie ordery. Ich prywatne biura zajmowały dwa ostatnie piętra pięknego budynku przy Unter den Linden, tuż obok Akademii Nauk i siedziby Reichsvereinigung Kohle, Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, w którym też odgrywali pewną rolę. Na drzwiach nie wisiała żadna tabliczka. Dokumenty sprawdziła mi w holu młoda kobieta o długich brązowych włosach ściągniętych do tyłu, ubrana w antracytową kurtkę bez insygniów, ale skrojoną na wzór munduru, męskie spodnie w miejsce spódnicy i długie buty. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, zaprowadziła mnie do prywatnej windy, którą wprawiła w ruch przy użyciu klucza, zawieszono na szyi na długim łańcuszku, i bez słowa zawiozła mnie na ostatnie piętro. Nigdy przedtem tu nie byłem: w latach trzydziestych mieli inny adres, zresztą zazwyczaj spotykałem się z nimi w restauracjach albo luksusowych hotelach. Drzwi windy otworzyły się na dużą salę recepcji, gdzie królowały meble z drewna i ciemnej skóry z elementami dekoracyjnymi z polerowanej cyny i matowego szkła, eleganckie i dyskretne. Kobieta, która mnie eskortowała, zostawiła mnie tu, a druga, identycznie ubrana, wzięła ode mnie płaszcz i powiesiła go w szafie. Poprosiła też, bym oddał broń służbową i, ujawszy ją z zadziwiającą naturalną swobodą w swe piękne, starannie wypielęgnowane palce, schowała do szuflady, którą zamknęła na klucz. Nie czekałem długo, by przeprowadziła mnie przez podwójne, obite drzwi. Dr Mandelbrod oczekiwał w głębi ogromnego pomieszczenia, siedząc za szerokim mahoniowym biurkiem, a za plecami miał wielką matową szybę, która filtrowała do wewnątrz blade, mlecze światło. Wydał mi się jeszcze bardziej otłuszczony niż przy naszym ostatnim spotkaniu. Kilka kotów łąziło po dywanie i spało na skórzanych meblach oraz na jego biurku. Grubym palcem pokazał mi kanapę po lewej, przy niskim stoliku. „Dzień dobry, dzień dobry. Usiądź, już idę”. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, w jaki sposób tak piękny i

tak melodyjny głos może wydobywać się spod tylu warstw tłuszczu, zdumiewało mnie to za każdym razem. Z czapką pod pachą przeszedłem przez pokój i usiadłem, przesunąwszy na wpół białego, na wpół prążkowanego kota, który się nie obraził, tylko wślizgnął pod stół i położył w innym miejscu. Rozejrzałem się po pokoju: ściany były obite skórą i poza stylowymi elementami, takimi jak w recepcji, nie było tu żadnych dekoracji, żadnych obrazów, żadnych fotografii, nie było nawet portretu Führera. Za to blat stolika pokrywała wspaniała mozaika — złożony labirynt z cennego drewna, który chroniła tafla grubego szkła. I tylko kłaki sierści kotów przyklejone do mebli i dywanów psuły nieco wygląd tego dyskretnego, cichego wnętrza. Zapach był tutaj dość nieprzyjemny. Jeden z kotów, mruczając, ocierał się o cholewy moich butów, wyprężał ogon; próbowałem przegonić go, poruszając nogą, ale nie zwracał na to uwagi. Mandelbrod wcisnął chyba jakiś ukryty guzik: otworzyły się niewidoczne dotąd drzwi w ścianie, po prawej stronie biurka, i weszła kobieta, ubrana tak jak dwie poprzednie, z tym że jej włosy były całkiem jasne. Stała za Mandelbrodem, pociągnęła wózek w tył, okręciła wokół własnej osi i popchała wzdłuż biurka w moim kierunku. Wstałem. Mandelbrod rzeczywiście przytył; wcześniej przemieszczał się na zwykłym wózku inwalidzkim, teraz siedział w szerokim obrotowym fotelu na małej platformie, wyglądał jak orientalny bożek, słoniowaty, niewzruszony. Kobieta pchała ten masywny wehikuł bez żadnych oznak wysiłku, prawdopodobnie włączyła i kontrolowała jakiś elektryczny system. Ustawiła go przed stolikiem, który obszedłem, by uścisnąć dłoń doktora; lekko tylko musnął końce moich palców. Kobieta wyszła tymi samymi drzwiami. „Usiądź, proszę”, mruknął pięknym głosem. Miał na sobie gruby garnitur z brunatnej wełny; krawat ginął pod płatem sadła, zwisającym z szyi. Dał się słyszeć brzydki dźwięk, stłumiony ciężarem ciała, i owionął mnie smród nie do wytrzymania; dużo wysiłku kosztowało mnie zachowanie kamiennej twarzy. Na kolana wskoczył Mandelbrodowi kot. Mężczyzna kichnął, zaczął go głaskać, i zaraz znów się rozkichał — każde kichnięcie było jak mała eksplozja, która sprawiała, że kot podskakiwał. „Mam alergię na te biedne stworzenia, pociągnął nosem, ale za bardzo je kocham”. Zjawiła się kobieta, ta sama co wcześniej, niosła tacę: podeszła do nas równym, pewnym krokiem, rozstawiła na stoliku herbaciany serwis, zamocowała podstawkę na oparciach fotela Mandelbroda, naląła herbaty do filiżanek i znikła znowu, równie dyskretnie i bezszelestnie jak wszechobecne koty. „Jest cukier i mleko, powiedział Mandelbrod. Częstuj się. Ja nie używam”. Przyglądał mi się krótką chwilę; sprytny błysk

czaił się w jego małych oczkach, niemal całkiem zatopionych w fałdach tłuszczu. „Zmieniłeś się, stwierdził. Wschód dobrze ci zrobił. Dojrzałeś. Ojciec byłby z ciebie dumny”. Te słowa poruszyły mnie do głębi: „Tak pan uważa?”. — „Na pewno. Zrobiłeś świetną robotę: sam Reichsführer zwrócił uwagę na twoje raporty. Pokazał nam album, który przygotowałeś w Kijowie. Twój dowódca chciał całą zasługę przypisać sobie, ale wiemy, że to był twój pomysł. To zresztą taka bagatelka. Ale raporty, które sporządzałeś, zwłaszcza w tych ostatnich miesiącach, były doskonałe. Moim zdaniem czeka cię świetlana przyszłość”. Zamilkł i zapatrzył się na mnie: „Jak tam twoja rana?”, spytał w końcu. — „Dobrze, Herr Doktor. Zagoiła się, teraz muszę tylko trochę odpocząć”. — „A potem?” — „Wrócę na służbę, oczywiście”. — „I co zamierzasz robić?” — „Konkretnie — nie wiem. To będzie zależało od propozycji”. — „Tylko od ciebie zależy, czy zaproponują ci to, czego chcesz. Jeżeli dokonasz trafnego wyboru, wszystkie drzwi staną przed tobą otworem, zapewniam cię”. — „Co pan ma na myśli, Herr Doktor?” Uniósł powoli filiżankę z herbatą, podmuchał, siorbnął głośno. Ja też nieco wypilem. „W Rosji, z tego, co wiem, zajmowałeś się głównie kwestią żydowską, nieprawdaż?” — „Tak, Herr Doktor, odpowiedziałem, lekko zażenowany. Ale nie tylko tym”. Mandelbrod ciągnął równym, melodyjnym głosem: „Z pozycji, którą zajmowałeś, prawdopodobnie nie mogłeś ocenić zasięgu problemu ani sposobu jego rozwiązania. Słyszałeś zapewne plotki: nie kłamią. Od 1941 roku to rozwiązanie jest stosowane, w miarę możliwości, we wszystkich krajach Europy. Program wszedł w fazę operacyjną wiosną zeszłego roku. Odnotowaliśmy już znaczące sukcesy, ale do końca daleko. To jest świetne miejsce dla takich energicznych i oddanych ludzi jak ty”. Poczulem, że się czerwienię. „Dziękuję panu za zaufanie, Herr Doktor. Muszę jednak wyznać, że akurat ten aspekt mojej pracy uważam za wyjątkowo trudny, ponad moje siły. Teraz chciałbym skupić się na czymś, co lepiej odpowiada moim talentom i umiejętnościom, na przykład na prawie konstytucyjnym albo choćby na stosunkach prawnych z innymi państwami europejskimi. Tworzenie nowej Europy to dziedzina, która mnie bardzo interesuje”. W czasie mojej tyrady Mandelbrod dokończył herbatę; pojawiła się blond amazonka, przeszła przez pokój, nalała mu kolejną filiżankę i odeszła. Mandelbrod znów się napił. „Rozumiem twoje rozterki, powiedział wreszcie. Po co brać na siebie trudną robotę, skoro inni mogliby ją wykonać? To jest znak naszych czasów. Podczas tamtej wojny było inaczej. Im trudniejsze, im bardziej niebezpieczne zadanie, tym więcej ludzi spieszyło, by się go podjąć. Twój ojciec, na

przykład, twierdził, że trudność sama w sobie jest powodem, by coś zrobić, i to zrobić perfekcyjnie. Twój dziadek był człowiekiem tego samego pokroju. W naszych czasach, pomimo wysiłków Führera, Niemcy są pogrążeni w gnuśności, niezdecydowaniu, skłonności do kompromisu”. Ta zawołana zniewaga zabolęła mnie jak policzek, ale w tym, co powiedział, uchwyciłem coś dużo ważniejszego: „Proszę wybaczyć, Herr Doktor. Z tego, co rozumiałem, znał pan mojego dziadka?”. Mandelbrod odstawił filiżankę. „Oczywiście. On też na początku z nami pracował. Nieprzeciętny człowiek”. Wyciągnął obrzmiałą rękę w stronę biurka. „Idź tam, rozejrzyj się”. Posłuchałem. „Widzisz safianową teczkę? Przynieś mi ją”. Podszedłem i podałem mu teczkę. Położył ją na kolanach, otworzył, wyjął jakąś fotografię i podał mi. „Popatrz”. Było to stare zdjęcie w sepii, lekko pożółkłe: trzy postacie, jedna obok drugiej, na tle tropikalnych drzew. Kobieta pośrodku miała małą, pyzată twarzyczkę, z wyraźnymi śladami niedawnej, dziewczęcej krągłości, dwaj mężczyźni ubrani byli w letnie garnitury: ten z lewej, o ściągniętych, niewyraźnych rysach i czole przekreślonym puklem włosów, nosił krawat, mężczyzna z prawej miał rozpięty kołnierzyk i kanciastą, jakby wyciętą w szlachetnym kamieniu twarz; nawet przyciemnione okulary nie zdołały ukryć radosnej i okrutnej intensywności jego spojrzenia. „Który z nich to mój dziadek?”, spytałem, zafascynowany i pełen lęku. Mandelbrod wskazał mężczyznę w krawacie. Przyjrzałem mu się baczniej: w przeciwieństwie do tego drugiego miał tajemnicze, niemal przezroczyście oczy. „A kobieta?”, spytałem jeszcze, choć domyślałem się już. — „Twoja babka. Miała na imię Eva. Piękna wspaniała kobieta”. Nie pamiętałem ich: babka zmarła na długo przed moimi narodzinami, a rzadkie wizyty dziadka nie pozostawiły we mnie żadnego wspomnienia. Zmarł wkrótce po zniknięciu ojca. „A kim jest ten drugi mężczyzna?” Mandelbrod spojrzał na mnie z anielskim uśmiechem: „Nie domyślasz się?”. Wbiłem w niego wzrok: „To niemożliwe!”, krzyknąłem. Uśmiech nie schodził mu z twarzy: „Dlaczego? Chyba nie myślisz, że zawsze wyglądałem tak jak teraz?”. Skonfundowany wyjąkałem: „Nie, nie, nie to chciałem powiedzieć, Herr Doktor! Ale pański wiek... Na zdjęciu wygląda pan tak, jakby miał pan tyle samo lat co dziadek”. Kot, który łąził dotąd po dywanie, przeskoczył zwinnie z oparcia fotela na ramię Mandelbroda i zaczął ocierać się o jego ogromną głowę. Ten znowu kichnął: „Tak naprawdę, rzucił między jednym kichnięciem a drugim, jestem starszy. Ale dobrze się trzymam”. Wpatrywałem się zachłannie w fotografię: ileż mogłem się z niej dowiedzieć! Spytałem nieśmiało: „Mógłbym ją zatrzymać, Herr Doktor?”. —

„Nie”. Zawiedziony, oddałem zdjęcie; schował je do teczki i odesłał mnie do biurka. Wróciłem i usiadłem. „Twój ojciec był autentycznym narodowym socjalistą, oświadczył Mandelbrod, i to jeszcze zanim powstała Partia. W tamtych czasach ludzie pozostawali pod wpływem fałszywych idei: dla nich nacjonalizm oznaczał ślepy i sztywny patriotyzm, patriotyzm lokalny, podszyty olbrzymią wewnętrzną niesprawiedliwością. Socjalizm, dla ich przeciwników, oznaczał fałszywą międzynarodową równość jednej klasy i walkę klas w sercu każdego narodu. Twój ojciec jako jeden z pierwszych Niemców zrozumiał, że potrzebna jest wspólna, oparta na wzajemnym szacunku, rola dla wszystkich członków jednego narodu, i wyłącznie tego jednego narodu. Wszystkie wielkie społeczeństwa w Historii były na swój sposób narodowe i socjalistyczne. Spójrz choćby na Temudżyna, wykluczonego: dopiero gdy przeforsował swoją ideę i połączył plemiona, Mongołowie zaczęli podbijać świat w imię zdeklasowanego człowieka, który stał się wszechwładnym imperatorem — w imię Czyngis Chana. Poleciłem Reichsführerowi książkę o nim, był pod wrażeniem. Kierując się ogromną i śmiałą mądrością, Mongołowie zrównali z ziemią wszystko, by wznosić «nowe» na zdrowych podstawach. Cała infrastruktura rosyjskiego imperium, wszystkie fundamenty, na których budowali Niemcy za panowania cesarzy, wszystko przejęliśmy od Mongołów: drogi, pieniądze, pocztę, system celny, administrację. I dopiero gdy Mongołowie zbrukali czystość swej rasy, żeniąc się, z pokolenia na pokolenie, z kobietami obcego pochodzenia — notabene często wybierali nestorianki, największe żydówki pośród chrześcijanek — dopiero wtedy ich imperium osłabło i w końcu upadło. Chińczycy to przypadek odwrotny, lecz równie pouczający: nie wychodzą poza granice Państwa Środka, lecz wchłaniają i poddają nieodwracalnemu zchińszczeniu każdy naród, który je przekracza, jakkolwiek by był potężny, zatapiają go w bezkresnym oceanie chińskiej krwi. Są bardzo silni. Zresztą, jak rozprawimy się z Rosjanami, zostaną nam Chińczycy. Japończycy nigdy nie zdołają się im przeciwstawić, choć teraz wydaje się, że są górą. Może nie od razu, ale kiedyś trzeba będzie stawić czoło Chińczykom, za jakieś sto, dwieście lat. Lepiej więc, by pozostali słabi, lepiej, w miarę możliwości, przeszkadzać im w zrozumieniu idei narodowego socjalizmu i zastosowaniu jej we własnych warunkach. A wiesz, tak w ogóle, że samo pojęcie «narodowego socjalizmu» wprowadził Żyd, prekursor syjonizmu, Mojżesz Hess? Przeczytaj jego książkę, *Rzym i Jerozolima*, sam zobaczysz. Bardzo pouczająca. I nie jest to wcale przypadek. Znasz coś bardziej *völkisch* od syjonizmu? Podobnie jak my przyznał, że Naród i Krew nie mogą

istnieć bez Ziemi, i w związku z tym postulował oddanie jej Żydom, stworzenie *Eretz Israel*, wolnego od wszelkich innych ras. Oczywiście są to stare idee żydowskie. Żydzi to pierwsi narodowi socjaliści, są nimi od ponad trzech i pół tysiąca lat, odkąd Mojżesz przekazał im Prawo, izolując tym samym na zawsze od innych narodów. Wszystkie nasze wielkie idee pochodzą od Żydów i musimy mieć wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by to przyznać: ziemia jako obietnica i jako spełnienie, pojęcie narodu wybranego spośród wszystkich innych, koncepcja czystości krwi. Dlatego właśnie Grecy, mieszańcy, demokraci, podróżnicy, kosmopolici tak ich nienawidzili i dlatego najpierw próbowali ich zniszczyć, a potem, przy pomocy Pawła, wypaczyć ich religię od wewnątrz, oddzielając ją od ziemi i od krwi, czyniąc ją *katolicką*, czyli uniwersalną, i znosząc prawa, które jak zapora broniły czystości żydowskiej krwi: zakazy żywienia, obrzezanie. To dlatego Żydzi są spośród wszystkich naszych wrogów najbardziej niebezpieczni: oni jedyni naprawdę zasługują na nienawiść. Są to, tak prawdę mówiąc, nasi jedyni realni konkurenci. Nasi jedyni poważni rywale. Rosjanie są słabi, to horda pozbawiona jakiegokolwiek centrum, pomimo wysiłków tego aroganckiego Gruzina, który stara się narzucić im «narodowy komunizm». Wyspiarze — Brytyjczycy czy Amerykanie — są zgnili, zepsuci, skorumpowani. Za to Żydzi! Kto, w czasach nauki, odwołując się do wiekowej intuicji swojego narodu, poniżanego, lecz niezwyciężonego, odkrył ponownie prawdę o rasie? Disraeli, Żyd. Gobineau wszystko przejął od niego. Nie wierzysz mi? Idź, zobacz”. Pokazał regał obok biurka. „Tam, idź, zobacz”. Znow wstałem i podszedłem do regału: kilka książek Disraeliego stało obok dzieł Gobineau, Vacher de Lapouge'a, Durmonta, Chamberlaina, Herzla i innych. „Którą, Herr Doktor? Jest kilka”. — „Byle którą, byle którą. W każdej to samo. Weź *Coningsby*, chociażby. Czytasz po angielsku, prawda? Strona 203. Zaczynj od *But Sidonia and his brethren...* Czytaj na głos”. Znalazłem fragment i przeczytałem: *Lecz Sidonia i jego bracia mogli poszczycić się godnością, którą zatracili Saksoni i Grecy, i reszta nacji kaukaskich. Rasa hebrajska jest rasą bez domieszek... Rasa bez domieszek o pierwszorzędnej strukturze jest arystokracją Natury.* — „Bardzo dobrze. Teraz strona 231. *The fact is, you cannot destroy...* Mowa oczywiście o Żydach”. — „Tak”: *Fakt jest taki, że nie można zniszczyć czystej rasy o kaukaskiej strukturze. Jest to fakt fizjologiczny; proste prawo natury, które doprowadziło do klęski prawa egipskie i asyryjskie, cesarzy rzymskich i chrześcijańskich inkwizytorów. Żadne prawo karne, żadna tortura fizyczna nie może sprawić, by rasa nadrzędna została*

wchłonięta przez rasę podrzędną lub przez nią zniszczona. Prześladowane rasy mieszańców giną; prześladowana czysta rasa trwa dalej. — „No właśnie! Wyobraź sobie, że ten człowiek, ten Żyd, był premierem za królowej Wiktorii! Że stworzył Imperium Brytyjskie! On, który, jeszcze nieznany, ośmielał się wygłaszać takie tezy w chrześcijańskim Parlamencie! Chodź tu. O, i nalej mi herbaty”. Wróciłem i nalałem mu kolejną filiżankę. „Z miłości i szacunku do twego ojca, Max, pomogłem ci, śledziłem twoją karierę, wspierałem, kiedy tylko to było możliwe. Jesteś mu winien honor, jemu, oraz jego i twojej rasie. Na tej ziemi jest miejsce wyłącznie dla ludu wybranego, powołanego do dominowania nad resztą: i będą to albo oni, jak tego chciał Żyd Disraeli i Żyd Herzl, albo będziemy to my. Musimy zatem wytrzebić ich co do jednego, wyrwać ten szczep. Bo wystarczy, że zostanie ich dziesięciu, nietykalne quorum, że zostanie ich dwoje, mężczyzna i kobieta, a za sto lat będziemy mieć ten sam problem i wszystko trzeba będzie zaczynać od nowa”. — „Czy mogę pana o coś zapytać, Herr Doktor?” — „Pytaj, pytaj, mój mały”. — „Jaka jest dokładnie wasza rola w tym wszystkim?” — „Masz na myśli Lelanda i moją? To dość trudno wytłumaczyć. Nie zajmujemy pozycji w systemie biurokratycznym. My... my stoimy u boku Führera. Widzisz, Führer wykazał się odwagą i przenikliwością, podejmując tę historyczną, nieuniknioną decyzję; z tym że, rzecz jasna, praktyczna strona tej kwestii to nie jego sprawa. Pomiędzy decyzją a jej realizacją, którą powierzył Reichsführerowi-SS, istnieje ogromna przestrzeń. Nasze zadanie polega na zagospodarowaniu tej przestrzeni. W tym sensie nie tyle podlegamy Führerowi, ile jesteśmy odpowiedzialni za tę przestrzeń”. — „Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. A czego oczekujecie ode mnie?” — „Niczego, poza tym, byś szedł drogą, którą sam sobie wyznaczyłeś, aż do celu”. — „Nie jestem do końca pewien tej drogi, Herr Doktor. Muszę się zastanowić”. — „Och, zastanów się. Zastanów. A potem do mnie zadzwoń. Jeszcze porozmawiamy”. Któryś z kotów usiłował wdrapać mi się na kolana, przegoniłem go, ale zdążył zostawić kilka białych kłaków na czarnej tkaninie munduru. Mandelbrod, nie mrugnawszy okiem, ciągle tak samo niewzruszony, pogrążony w półśnie, wypuścił jeszcze jedną, potężną serię gazów. Smród chwycił mnie za gardło, wdychałem ustami małe porcje powietrza. Otworzyły się główne drzwi i weszła młoda kobieta z recepcji, zachowywała się tak, jakby nie czuła odoru. Wstałem. „Dziękuję, Herr Doktor. Wyrazy szacunku dla Herr Lelanda. Do zobaczenia więc”. Mandelbrod wyglądał, jakby spał i tylko miarowy ruch jednej z ogromnych dłoni, głaszczącej kota, świadczył, że było

inaczej. Odczekałem chwilę, nie raczył się odezwać, więc wyszedłem, a za mną dziewczyna, która bezdźwięcznie zamknęła drzwi.

Nie kłamałem, mówiąc Mandelbrodowi o swoim zainteresowaniu problemami stosunków w Europie, nie zdradziłem mu jednak wszystkiego: tak naprawdę miałem pomysł, dokładnie wiedziałem, czego chcę. Nie pamiętam, kiedy na to wpadłem. Prawdopodobnie podczas jednej z na wpół bezsennych nocy w hotelu Eden. Pomyślałem wtedy, że przyszedł czas, bym i ja zrobił coś dla siebie, coś, o czym marzę. To, co proponował mi Mandelbrod, mijало się z moimi zamiarami, nie byłem jednak pewien, czy sam potrafię wprowadzić je w życie. Dwa czy trzy dni po rozmowie na Unter den Linden zatelefonowałem do Thomasa, który zaproponował mi spotkanie, jednak nie w swoim gabinecie, na Prinz-Albrechtstrasse, tylko w dyrekcji Sipo i SD, na sąsiedniej Wilhelmstrasse. Stojący nieco niżej niż Göringowskie Ministerstwo Lotnictwa — olbrzymia kanciasta konstrukcja z betonu, sterylny i napuszony neoklasycyzm — Prinz-Albrecht-Palais był jego zupełnym przeciwieństwem: elegancki, niewielki klasyczny *palazzo* z XVIII wieku, odnowiony w XIX wieku przez Schinkela, subtelnie i z gustem, od 1934 roku wynajmowany przez SS od państwa. Dobrze znałem ten budynek; tu mieścił się mój departament, zanim wyjechałem do Rosji, i tu spędziłem długie godziny, włócząc się po ogrodzie, arcydziele asymetrii i spokojnej zmienności, stworzonym przez Lenného. Od strony ulicy fasada kryła się za długą kolumnadą i szpalerem drzew. Strażnicy w biało-czerwonych budkach zasalutowali mi tylko, gdy ich mijalem, ale inna ekipa, bardziej dyskretna, sprawdziła moje papiery w niewielkiej oficynie obok klombu, a potem eskortowała mnie aż do recepcji. Thomas już czekał: „Może pójdziemy do parku? Jest ciepło”. Do ogrodu szło się po schodach ozdobionych z obu stron donicami z piaskowca. Rozciągał się od pałacu aż do Europahaus, wielkiego modernistycznego sześcianu ustawionego na Askanischer Platz, tworzącego znaczny kontrast dla łagodnych, krętych alei ogrodu, wytyczonych pośród nieregularnych klombów, dla małych, okrągłych stawów i nagich drzew, na których kiełkowały pierwsze pączki. Prócz nas nie było nikogo. „Kaltenbrunner nigdy tu nie przychodzi, wyjaśnił Thomas, więc jest spokój”. Heydrich lubił się tu przechadzać, ale wtedy nikt nie miał tu wstępu, nikt prócz tych, których podejmował. Chodziliśmy między drzewami, a ja streszczałem Thomasowi swoją rozmowę z Mandelbrodem. „Przesadza, zareagował ostro, gdy skończyłem. Żydzi to rzeczywiście problem i należy się nimi zająć, ale nie są celem samym w sobie. Tu nie

chodzi o zabijanie ludzi, tylko o wygenerowanie pewnej populacji; eliminacja fizyczna należy do narzędzi kontroli. To się nie może stać obsesją, istnieją inne, równie poważne problemy. Myślisz, że on naprawdę wierzy w to, co mówi?” — „Takie odniosłem wrażenie. Czemu pytasz?” Thomas zastanowił się chwilę; żwir chrzęścił nam pod stopami. „Widzisz, odezwał się w końcu, wielu ludzi traktuje antysemityzm w sposób instrumentalny. Ponieważ jest to temat bliski sercu Führera, stał się jedną z najlepszych metod zbliżenia się do niego: jeżeli uda ci się odegrać jakąś rolę w rozwiązaniu kwestii żydowskiej, twoja kariera rozwine się dużo szybciej, niż gdybyś zajmował się, dajmy na to, świadkami Jehowy lub homoseksualistami. W tym sensie można powiedzieć, że antysemityzm stał się dewizą władzy narodowosocjalistycznego państwa. Pamiętasz, co ci mówiłem w listopadzie trzydziestego ósmego, po Kryształowej Nocy?” Tak, pamiętałem. Spotkałem się z Thomasem dzień po szaleństwie SA, kipiał zimną wściekłością. „Skurwysyny!, warknął, wślizgując się do salki w barze, w którym na niego czekałem. Beznadziejne skurwysyny”. — „Kto? SA?” — „Nie udawaj idioty. SA nie zrobili tego sami”. — „A więc kto wydał rozkaz?” — „Goebbels, obrzydliwy mały kuternoga. Od wielu lat ślinka ciekła mu na myśl, że w końcu wtryni nos w kwestię żydowską. Tyle że wszystko spała”. — „Ale czy nie sądzisz, że czas był najwyższy, by zrobić coś konkretnego? Cóż, w końcu...” Zaśmiał się krótko i gorzko. „Oczywiście, że trzeba coś z tym zrobić. Żydzi wypiją swój kielich goryczy do dna. Ale nie w ten sposób. To jest po prostu *idiotyczne*. Czy masz choćby nikłe pojęcie, ile to będzie kosztowało?” Moje puste spojrzenie chyba go zachęciło, bo podjął niemal natychmiast: „Według ciebie, do kogo należą wszystkie te stłuczone wystawy? Do Żydów? Żydzi podnajmują swoje sklepy. A za szkody zawsze odpowiedzialny jest właściciel. Są firmy ubezpieczeniowe. Niemieckie firmy, które będą musiały wypłacić odszkodowania niemieckim właścicielom budynków, i żydowskim właścicielom też. Bo jeśli nie, to koniec z niemiecką branżą ubezpieczeniową. I jest szkło. Takiego oszklenia, może o tym wiesz, a może nie wiesz, nie produkuje się w Niemczech. Wszystko pochodzi z Belgii. Jeszcze nie oszacowano całości szkód, ale już wiadomo, że jest to połowa ich całkowitej rocznej produkcji. I trzeba będzie zapłacić w dewizach. Akurat w czasie, w którym siły całego narodu skupiają się na autarkii i zbrojeniach. Och tak, naprawdę nie brakuje w tym kraju skończonych idiotów”. Oczy mu błyszczały, wyrzucał z siebie potok słów: „Ale pozwól, że ci powiem. Teraz *koniec* z tym wszystkim. Führer właśnie oficjalnie powierzył tę kwestię Reichsmarschallowi. A grubas

wszystko zrzuci na nas, na Heydricha i na nas. I żaden z tych partyjnych debili nie będzie się już mógł mieszać. Od tej chwili sprawy przybiorą prawidłowy obrót. Od lat kładziemy nacisk na zastosowanie globalnego rozwiązania. Teraz wreszcie będziemy mogli wprowadzić je w życie. Czysto, skutecznie. Racjonalnie. Wreszcie zrobimy wszystko jak trzeba”.

Thomas usiadł na ławce, założył nogę na nogę i podsunął mi srebrne etui, pełne luksusowych papierosów o złożonych ustnikach. Wziąłem jeden, zapaliłem i podałem mu ogień, ale nie usiadłem. „Globalne rozwiązanie, o którym wtedy mówiłeś, to była emigracja. Od tamtego czasu wiele się zmieniło”. Thomas wydmuchał długi kłęb dymu, po czym odpowiedział: „To prawda. I prawdą jest również, że należy iść z duchem czasu. Ale to nie znaczy, że mamy skretynieć. W dużej mierze ta retoryka przeznaczona jest dla postaci drugo-, a nawet trzecioplanowych”. — „Nie o tym mówię. Chodzi mi o to, że właściwie nie mamy obowiązku się w to mieszać”. — „Chciałbyś robić coś innego?” — „Tak. To mnie męczy”. Teraz ja długo zaciągnąłem się papierosem. Był wyśmienity, tytoń miał bogaty, delikatny smak. „Zawsze robił na mnie wrażenie twój przerażający brak ambicji, powiedział Thomas po chwili milczenia. Znam dziesięciu ludzi, którzy poderzneliby gardła ojcu i matce za możliwość prywatnej rozmowy z kimś takim jak Mandelbrod. Pomyśl, on jada obiady z Führerem! A ty grymasisz. Wiesz chociaż, czego chcesz?” — „Tak. Chciałbym wrócić do Francji”. — „Do Francji!” Zastanowił się. „Faktycznie, z twoimi kontaktami, znajomością języka, to nie takie głupie. Ale nie będzie łatwo. Tam BdS-em jest Knochen, znam go dobrze, ale liczba miejsc u niego jest ograniczona, no i są mocno obstawione”. — „Też znam Knochena. Ale ja nie chcę pracować u BdS-a. Chcę stanowiska, na którym mógłbym zająć się stosunkami politycznymi”. — „To znaczy stanowiska w ambasadzie albo u Militärbefehlshabera. Słyszałem jednak, że odkąd odszedł Best, SS nie jest już dobrze widziana w Wehrmachcie i u Abetzta też nie. Być może dałoby się coś dla ciebie znaleźć u HSSPF-a Oberga. Z tym że Amt I nie ma tu zbyt wiele do gadania: trzeba się zgłosić bezpośrednio do SS-Personal Hauptamt, a tam nie znam nikogo”. — „Gdyby propozycja wyszła od Amt I, mogłoby się udać?” — „Możliwe”. Zaciągnął się po raz ostatni i niedbale rzucił niedopałek na klomb. „Gdyby był jeszcze Streckenbach, nie byłoby problemu. Ale on jest taki jak ty, za dużo myśli i miał już dość”. — „I gdzie jest teraz?” — „W Waffen-SS. Dowodzi łotewską dywizją na froncie, dziewiętnastą”. — „A kto go zastąpił? Nie jestem poinformowany”. —

„Schulz”. — „Schulz? Który?” — „Nie pamiętasz? Ten Schulz, który dowodził Kommando w grupie C i który zaraz na początku poprosił o przeniesienie. Taki gówniarz z głupim wąsikiem”. — „Ach, on! Ale ja go nigdy nie poznałem. Podobno jest w porządku”. — „Pewnie tak, ale nie znam go osobiście, między Gruppenstab a nim były zgrzyty. Wcześniej był bankierem, sam rozumiesz, co to za typ. A ze Streckenbachem służyłem w Polsce. Poza tym Schulza dopiero co mianowano, więc jest nadgorliwy. Zwłaszcza że ma za co przepraszać. Wniosek: jeśli złożysz oficjalną prośbę, wyślą cię wszędzie, tylko nie do Francji”. — „Więc co sugerujesz?” Thomas wstał, ruszyliśmy. „Posłuchaj, rozejrzę się. Ale łatwo nie będzie. No i sam mógłbyś się też rozejrzeć. Przecież dobrze znasz Besta: często bywa w Berlinie, idź, spytaj go o zdanie. Możesz się z nim łatwo skontaktować przez Auswärtiges Amt. Jednak na twoim miejscu próbowałbym przemyśleć inne opcje. Poza tym to jest wojna. Nie zawsze mamy wybór”.

Przed odejściem Thomas poprosił mnie o przysługę: „Chciałbym, żebyś się z kimś spotkał. Ze statystykiem”. — „Statystykiem z SS?” — „Oficjalnie jest inspektorem do spraw statystyk przy Reichsführerze-SS, ale to urzędnik, nie jest nawet członkiem Allgemeine-SS”. — „Dziwne, prawda?” — „Nie bardzo. Reichsführer chciał mieć prawdopodobnie kogoś z zewnątrz”. — „I cóż ja mam opowiedzieć temu twojemu statystykowi?” — „Przygotowuje właśnie nowy raport dla Reichsführera. Globalne spojrzenie na zmniejszanie się populacji żydowskiej. Nie przyjmuje do wiadomości danych z raportów Einsatzgruppen. Spotkałem się już z nim, ale dobrze by było, gdybyś i ty z nim porozmawiał. Byłeś bezpośrednio w terenie, bardziej niż ja”. Nabazgrał w notesie adres i numer telefonu i wyrwał kartkę: „Jego gabinet znajduje się tu, niedaleko, w SS-Haus, ale on wiecznie przesiaduje u Eichmanna, kojarzysz go? Tam zarchiwizowane jest wszystko, co dotyczy tej kwestii. Mają teraz do dyspozycji cały budynek”. Rzuciłem okiem na adres, to było na Kurfürstenstrasse: „Ach, blisko mojego hotelu. Dobrze”. Rozmowa z Thomasem przygnębiła mnie, zdawało mi się, że coraz głębiej pogrążam się w bagnie. Ale nie chciałem iść na dno, musiałem wziąć się w garść. Zmusiłem się, by zatelefonować do statystyka, dr. Korherra. Asystent wyznaczył mi spotkanie. Budynek, w którym mieściła się siedziba sekcji IV B4 był piękny, czteropiętrowy, z ciętego kamienia, zbudowany pod koniec zeszłego wieku: żadna inna sekcja Staatspolizei, przynajmniej z tego, co wiedziałem, nie miała do dyspozycji takich biur; ich działalność musiała być zakrojona na olbrzymią skalę. Wielkie marmurowe schody prowadziły do holu głównego,

wilgotnej, źle oświetlonej sali. Hoffmann, asystent, czekał na mnie, i poprowadził do Korherra. „Ten budynek jest ogromny”, rzuciłem, pokonując wraz z nim kolejne schody. — „Tak. To dawna loża judeo-masońska, oczywiście skonfiskowana”. Wpuścił mnie do gabinetu Korherra, maleńkiego, pełnego skrzyń i teczek. „Przepraszam za bałagan, Herr Sturmbannführer. To tymczasowy gabinet”. Dr Korherr, mały, ponury człowieczek w cywilu uściśnął mi rękę, zamiast zaszalutować. „Proszę usiąść”, zaproponował, gdy Hoffmann szykował się do wyjścia. Próbował usunąć z jednego biurka część papierów, ale zniechęcił się i zostawił wszystko, jak było. „Obersturmbannführer był bardzo uprzejmy, przekazując mi swoją dokumentację, wymamrotał, ale naprawdę, nie ma w tym żadnego porządku”. Przeszedł grzebać w papierach, zdjął okulary, zaczął trzeć oczy. „Czy jest tu Obersturmbannführer Eichmann?”, spytałem. „Nie, wyjechał z misją. Wróci za parę dni. Obersturmbannführer Hauser wyjaśnił panu, czym się zajmuje?” — „Mniej więcej”. — „Zresztą, przybywa pan dość późno. Prawie skończyłem raport, muszę go oddać za kilka dni”. — „Cóż więc mogę dla pana zrobić?”, odparłem z nutą rozdrażnienia w głosie. — „Był pan w Einsatz, prawda?” — „Tak. Najpierw w Kommando...” — „Którym?”, przerwał mi. — „W 4a”. — „Ach tak, Blobel. Świetnie pan trafił”. Trudno mi było stwierdzić, czy mówi poważnie, czy ironizuje. „Następnie służyłem w Gruppenstab D, na Kaukazie”. Skrzywił się. „Tak, to akurat mniej mnie interesuje. Dane stamtąd są nieznaczące. Proszę mi opowiedzieć o 4a”. — „Co chciałby pan wiedzieć?” Schylił się pod biurko, wydobyl kartonowe pudło i postawił je przede mną. „Oto raporty grupy C. Przeanalizowałem je starannie razem z moim zastępcą, doktorem Plate. Zauważyliśmy ciekawą rzecz: niektóre dane są tam skrajnie precyzyjne, 281, 1472 albo 33 771, jak w Kijowie; innym razem liczby są zaokrąglone. I to w odniesieniu do jednego Kommando. Trafiliśmy również na sprzeczne dane. Na przykład, jest miasto, w którym rzekomo mieszka 1200 Żydów, a w raportach pisze się o 2000 osób poddanych specjalnemu traktowaniu. I tym podobne. Interesują mnie więc metody kalkulacji. Mam na myśli metody praktyczne, stosowane na miejscu”. — „Powinien był pan zwrócić się bezpośrednio do Standartenführera Blobela. Myślę, że bardziej nadaje się do udzielania panu informacji niż ja”. — „Niestety, Standartenführer Blobel znów znajduje się na Wschodzie i nie można się z nim skontaktować. Ale, wie pan, tak czy inaczej ja mam swój pogląd. Pańska relacja będzie tylko jego potwierdzeniem, tak myślę. Niech mi pan, na przykład, opowie o Kijowie. Tak wielka i precyzyjna liczba to coś dziwnego”. — „Wcale

nie. Przeciwnie, im większa była skala *Aktion*, im więcej środków mieliśmy do dyspozycji, tym łatwiej było nam uzyskać precyzyjne wyliczenie. Kordony w Kijowie były bardzo szczelne. Na chwilę przed dotarciem do miejsca operacji... pacjenci... to znaczy... skazani, byli dzieleni na równe grupy, była to zawsze jakaś okrągła liczba, dwadzieścioro albo trzydzieścioro, nie pamiętam już. Specjalnie wyznaczony podoficer liczył grupy, które przechodziły przed jego stolikiem, i notował liczby. Pierwszego dnia skończyliśmy dokładnie na dwudziestu tysiącach”. — „I wszyscy, którzy przechodzili przed stolikiem, poddani byli specjalnemu traktowaniu?” — „W zasadzie tak. Oczywiście nieliczni mogli, powiedzmy, udawać, żeby potem uciec pod osłoną nocy. Ale to była najwyżej garstka ludzi”. — „A mniejsze akcje?” — „Za nie odpowiedzialny był *Teilkommandoführer*, to on miał za zadanie dokonać obliczeń i przesłać wyniki do *Kommandostab*. *Standartenführer* Blobel zawsze wymagał precyzyjnych kalkulacji. Co do przypadku, o którym pan mówił, tego, w którym zlikwidowano więcej Żydów, niż wynosiła ich liczba początkowa, to sądzę, że mogę to panu wyjaśnić: gdy przyjechaliśmy, wielu Żydów zbiegło do lasów lub na step. *Teilkommando* traktowało w stosowny sposób tych, których zastało na miejscu, po czym wyjeżdżało. Ale Żydzi nie mogli się wiecznie kryć: wioski przeczesywane były przez Ukraińców, zdarzało się, że zabijali ich partyzanci. Powoli, wiedzeni głodem, wracali do swoich miast i wiosek, często prowadząc ze sobą innych zbiegów. Gdy się o tym dowiadaliśmy, przeprowadzaliśmy w takim miejscu jeszcze jedną operację, znów likwidowaliśmy iluś tam Żydów. Potem wracali następni. Niektóre wioski były określane *judenfrei* po trzy, cztery, pięć razy, a zawsze potem pojawiali się inni”. — „Rozumiem. Interesujące wyjaśnienie”. — „Jeżeli dobrze zrozumiałem, rzuciłem, nieco dotknięty, sądzi pan, że grupy sztucznie pompowały swoje wyniki?” — „Jeśli mam być z panem szczerzy, tak. Z różnych przyczyn, oczywiście, a jedną z nich byłaby chęć awansu. Istnieje także kwestia mechanizmów biurokratycznych. W statystyce jest zwyczaj skupienia się na jednej wartości, nikt nie wie za bardzo, dlaczego akurat na tej, a następnie wartość ta jest powtarzana i przekazywana dalej jako fakt, nieobjęty żadną krytyką i niepoddawany żadnym modyfikacjom w czasie. To jest tak zwana liczba bazowa. A tu wszystko się zmienia z grupy na grupę i z komanda na komando. Najgorszy przypadek to prawdopodobnie *Einsatzgruppe B*. Istnieją także spore nieścisłości między niektórymi *Kommandos* grupy D”. — „W czterdziestym pierwszym czy czterdziestym drugim?” — „Głównie w czterdziestym pierwszym. Na początku, no i

później na Krymie”. — „Byłem krótko na Krymie, ale w tamtym czasie nie miałem nic wspólnego z akcjami”. — „A co pan powie o swoich doświadczeniach w 4a?” Zastanowiłem się przez chwilę i odpowiedziałem: „Myślę, że wszyscy oficerowie byli uczciwi. Jednak z początku operacje były kiepsko zorganizowane i niektóre dane są być może nieco arbitralne”. — „To zresztą nie jest takie ważne, odrzekł sentencjonalnie Korherr. Einsatzgruppen to tylko ułamek globalnych danych. Odchylenie, nawet dziesięcioprocentowe, może tylko nieznacznie zniekształcić całościowy wynik”. Poczulem ucisk na poziomie przepony. „Ma pan dane dla całej Europy, Herr Doktor?” — „Tak, naturalnie. Do 31 grudnia 1942 roku”. — „Mógłby mi pan powiedzieć, ile to jest w sumie?” Spojrzał na mnie zza małych okularków: „Oczywiście, że nie. To tajemnica, Herr Sturmbannführer”. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę o pracy Kommando; Korherr zadawał precyzyjne, wyważone pytania. Na koniec podziękował mi. „Mój raport trafi bezpośrednio do Reichsführera, wyjaśnił. Jeżeli będzie tego wymagał zakres pańskich działań, zapozna się pan z jego treścią”. Odprowadził mnie aż do wyjścia z budynku. „Powodzenia! *Heil Hitler!*”

Dlaczego zadałem mu to pytanie, idiotyczne i niepotrzebne? W czym mogło mnie to dotyczyć? Przemawiała przede mną wyłącznie ponura ciekawość, żałowałem tego. Teraz chciałem interesować się jedynie pozytywnymi sprawami: narodowy socjalizm miał jeszcze wiele do zrobienia i w tę właśnie stronę pragnąłem skierować swoje wysiłki. Ale Żydzi, *unser Unglück*, „nasze nieszczęście”, prześladowali mnie jak zły sen nad ranem, przyklejony do dna czaszki. A przecież w Berlinie nie było ich wielu: wszyscy żydowscy robotnicy, rzekomo „chronieni” w fabrykach broni, zostali wybici. Tak się jednak składało, że natrafiałem na nich w najmniej odpowiednich miejscach.

21 marca, w dniu Pamięci o Bohaterach, Führer wygłaszał przemówienie. Było to jego pierwsze publiczne wystąpienie od czasu klęski w Stalingradzie i, jak wszyscy, czekałem na te słowa z niecierpliwością i obawą: co powie, jak będzie wyglądał? Fala szoku po katastrofie jeszcze nie opadła, plotki hulały w najlepsze. Chciałem być obecny na tym wystąpieniu. Dotąd widziałem Führera tylko raz, jakieś dziesięć lat wcześniej (od tamtego czasu, ma się rozumieć, słuchałem go często w radiu i oglądałem w kronikach filmowych); było to podczas mojego pierwszego powrotu do Niemiec, latem 1930 roku, przed Przejściem Władzy. Wymusiłem tę podróż na matce i na Moreau, w zamian za zgodę na studiowanie tego, czego wymagali. Zdałem maturę (ze średnim wynikiem, przez

co musiałem przez rok uczęszczać na kursy przygotowujące do egzaminów do *École libre des sciences politiques*), i pozwolili mi wyjechać. Była to cudowna podróż, wróciłem oczarowany, olśniony. Pojechałem z dwoma kolegami z liceum, Pierre'em i Fabrice'em — nie wiedząc nawet, kim byli *Wandervögel*, szliśmy jakby instynktownie ich śladem, kierowaliśmy swe kroki ku lasom, maszerowaliśmy za dnia, dyskutowaliśmy nocą, przy małych biwakowych ogniskach, spaliśmy na ziemi, na sosnowych igłach. Potem zesliśmy zwiedzić miasta nad Renem, dotarliśmy do Monachium, gdzie spędzałem długie godziny w Pinakotece albo włóczyłem się po uliczkach. Tamtego lata do Niemiec powrócił zamęt: mocno dawały się we znaki następstwa amerykańskiego krachu, który miał miejsce rok wcześniej; wybory do Reichstagu, zaplanowane na wrzesień, miały zdecydować o przyszłości Narodu. Wszystkie partie polityczne robiły wokół siebie szum: przemowy, parady, czasem dość brutalne ciosy i awantury. Jedna partia w Monachium wyraźnie odcinała się od reszty: NSDAP, o której wtedy usłyszałem po raz pierwszy. W kronikach widziałem już włoskich faszystów i odniosłem wrażenie, że narodowi socjaliści czerpią inspirację z ich stylu, lecz przesłanie mają mocno proniemieckie, a ich szef, żołnierz liniowy, weteran Wielkiej Wojny, mówił o niemieckiej odnowie, niemieckiej chwale, niemieckiej przyszłości — bogatej i ekscytującej. To przecież o to, myślałem, patrząc na ich defiladę, o to mój ojciec walczył cztery długie lata, a i tak go zdradzono, jego i wszystkich jego towarzyszy — stracił swą ziemię, swój dom, nasz dom. Tego właśnie nienawidził Moreau, ten zacny *radykał* i patriota francuski, który każdego roku pił za zdrowie Clemenceau, Focha i Petaina w dniu ich urodzin. Szef NSDAP miał wygłosić przemówienie w Bürgerbraukeller Hall: zostawiłem francuskich przyjaciół w naszym hoteliku. Stałem na szarym końcu, na tyłach tłumu, prawie nie słyszałem mówców. Z wystąpienia Führera zapamiętałem tylko jego frenetyczne, świadczące o silnym wzburzeniu gesty i to, jak grzywka opadała mu bez ustanku na czoło. Mówił jednak, wiedziałem to z absolutną pewnością, mówił rzeczy, które powiedziałby także mój ojciec, gdyby tylko był tu obecny; gdyby mój ojciec jeszcze tu był, na pewno stałby na estradzie, jako jeden z zaufanych tego człowieka, jeden z jego najważniejszych towarzyszy, a mógłby nawet — gdyby los tak chciał, kto wie — mógłby nawet stać na jego miejscu. Zresztą Führer, gdy się nie poruszał, nawet go przypomiął. Wróciłem z tej podróży z zupełnie nowym przeświadczeniem, że poza wąską i zabójczą ścieżką, wytyczoną przez

matkę i jej męża, istnieją inne możliwości i że moja przyszłość jest właśnie tu, wśród tego nieszczęsnego narodu, narodu ojca i mojego także.

Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Führer nadal cieszył się bezgranicznym zaufaniem Narodu, ale pewność mas co do końcowego zwycięstwa zaczynała powoli topnieć. Ludzie krytykowali naczelne dowództwo, pruskich arystokratów, Göringa i jego Luftwaffe, a ja wiedziałem, że w Wehrmachcie krytykuje się poczynania Führera. W SS szeptano, że od czasów Stalingradu popadł w depresję, że z nikim nie rozmawia, że gdy Rommel na początku miesiąca próbował przekonać go do ewakuacji Afryki Północnej, słuchał, nic nie rozumiejąc. Plotki krążące w pociągach, tramwajach, kolejkach w sklepie, stawały się całkiem niedorzeczne: według raportów SD, które otrzymywał Thomas, ludzie opowiadali sobie, że Wehrmacht odnalazł Führera w rezydencji w Berchtesgaden, że zupełnie stracił rozum i pozostaje pod stałym nadzorem w szpitalu SS, gdzie szpikują go narkotykami, a ludziom pokazuje się nie on, tylko jego sobowtór. Wystąpienie odbywało się w Zeughaus, starym arsenale na końcu Unter den Linden, tuż nad kanałem Szprewy. Jako weteran spod Stalingradu, ranny i odznaczony, nie miałem żadnych trudności z otrzymaniem zaproszenia: zaproponowałem Thomasowi, żeby poszedł ze mną, ale on odrzekł ze śmiechem: „Ja nie jestem na urlopie, mam sporo pracy”. Poszedłem więc sam. Wprowadzono znaczne środki bezpieczeństwa, na zaproszeniu widniała wyraźna informacja o zakazie wnoszenia służbowej broni. Niektórych przerażała ewentualność brytyjskiego „rajdu”; w styczniu Anglicy sprawili sobie złośliwą przyjemność, wypuszczając do ataku myśliwce Mosquito w dniu rocznicy Przejęcia Władzy, co pociągnęło za sobą liczne ofiary. Tak czy inaczej ustawiono krzesła na dziedzińcu Zeughaus pod wielką szklaną kopułą. Okazało się, że mam miejsce siedzące w części środkowej, pomiędzy obsypanym odznaczeniami Oberstleutnantem a cywilem, obnoszącym w klapie złotą odznakę partyjną. Gdy przebrzmiały wstępne mowy, wyszedł Führer. Wytrzeszczyłem oczy: zdało mi się, że na głowie i na ramionach ma szeroki rabinowy szal w granatowe i białe pasy, narzucony na zwyczajny mundur polowy. Führer od razu zaczął mówić, szybko i monotonicznie. Przyjrzałem się szkłu kopuły: czy była to zwykła gra świateł? Widziałem wyraźnie jego kaszkiet, spod niego, jak mi się zdawało, wychodziły długie pejsy, wiły mu się tuż przy skroniach i opadały na klapy, a na czole miał filakterie, maleńką skórzaną szkatułkę z wersetami Tory. Gdy podniósł ramię, odniosłem wrażenie, że na rękawie też nosi skórzaną filakterie. A pod kurtką, czyż nie

majaczyły białe frędzle ubioru, który Żydzi nazywają małym tałesem? Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Spojrzałem na swoich sąsiadów: słuchali przemówienia z uroczystą uwagą, urzędnik kiwał pilnie głową. Czyżby niczego nie zauważyli? Czy jako jedyny dostrzegalem ów niesłychany spektakl? Rozejrzałem się po rządowej trybunie: rozpoznałem stojących za Führerem Göringa, Goebbelsa, Leya, Reichsführera, Kaltenbrunnera, innych znanych dowódców, wysokich stopniami członków Wehrmachtu; wszyscy patrzyli na plecy Führera albo bładzili wzrokiem po sali, niewzruszeni. Być może, pomyślałem w panice, to jest historia nagiego króla: każdy wie, jaka jest prawda, ale nie pokazują tego po sobie, licząc, że sąsiad zachowa się tak samo. Nie, przekonywałem sam siebie, bez wątpienia mam halucynacje, po ranie, takiej jak moja, wszystko jest możliwe. A jednak czułem się zdrowy na umyśle. Znajdowałem się dość daleko od estrady, a światło padało na Führera z ukosa; być może było to jedynie złudzenie optyczne? Tylko że ten widok nie znikał. Może moje „oko szyszynkowe” robiło mi psikusa? Ale to w niczym nie przypominało marzenia sennego. A może po prostu oszalałem? Przemówienie trwało krótko i już stałem pośród tłumu spieszącego do wyjścia, przestępowałem zamyślony z nogi na nogę. Führer miał się teraz udać do sal Zeughaus, by zwiedzić wystawę trofeów wojennych zdobytych na bolszewikach, a następnie dokonać inspekcji warty honorowej i złożyć wieniec na Neue Wache; powinienem podążyć za nim, mój bilecik upoważniał mnie do tego, ale byłem zbyt poruszony i dezorientowany, możliwie najszybciej wydostałem się z tłumu i ruszyłem w górę alei, w stronę stacji S-Bahnu. Przeszedłem na drugą stronę i usiadłem w kawiarni pod arkadą Kaiser Gallerie, zamówiłem sznapsa, wypilem jednym haustem, zamówiłem drugiego. Musiałem pomyśleć, ale umykał mi sens myśli, nie mogłem oddychać, rozpiąłem kołnierzyk, wypilem. Był tylko jeden sposób, żeby się wszystkiego dowiedzieć: wieczorem, w kinie, w kronice filmowej pokażą fragmenty przemówienia — będę się mógł przekonać. Kazałem sobie przynieść gazetę z listą seansów: o dziewiętnastej, niedaleko, grali *Wujaszka Krügera*. Zamówiłem kanapkę i poszedłem się przejść na Tiergarten. Było jeszcze zimno i z rzadka tylko ktoś spacerował pośród nagich drzew. Interpretacje roztrzaskiwały się o siebie w mojej głowie, nie mogłem się doczekać początku seansu, choć perspektywa, że nic tam nie dojrzę, była równie mało pocieszająca jak ta, że zobaczę wszystko. O osiemnastej poszedłem do kina i stanąłem w kolejce po bilet. Przedemną grupka ludzi dyskutowała o przemówieniu, które zapewne usłyszeli w radiu; słuchołem ich

łapczywie. „Znów całą winę zrzucił na Żydów, mówił dość chuderlawy jegomość w kapeluszu. Jednego nie rozumiem: przecież w Niemczech nie ma już Żydów, więc jak mają być winni temu wszystkiemu?” — „Nie, no, głupcze, odpowiedziała jakaś prymitywna kobieta o tlenionych włosach utrwalonych misterną ondulacją, tu chodzi o Żydów międzynarodowych”. — „Tak, odpalił mężczyzna, ale jeżeli międzynarodowi Żydzi mają aż taką władzę, to dlaczego tu nie ocalili swoich rasowych braci?” — „Karzą nas bombardowaniami, wtrącała się jakaś inna kobieta, poszarzała, żylasta. Widzieliście, co niedawno zrobili w Münster? Tylko po to, żebyśmy cierpieli. Jak gdyby nasi mężczyźni na froncie nie byli wystarczającą przyczyną naszych cierpień”. — „Skandaliczne według mnie było to, oświadczył zarumieniony grubas w szarym, prążkowanym garniturze, że nawet nie wspomniał o Stalingradzie. To hańba”. — „Och, pan mi nie mówi o Stalingradzie, podjęła tleniona blondyna. Syn mojej biednej siostry tam był, w 76. dywizji. Biedaczka odchodzi od zmysłów, nie wie, czy syn żyje, czy zginął”. — „W radiu, powiedziała szara kobieta, mówili, że wszyscy zginęli. Że bili się do ostatniego naboju, tak mówili”. — „A ty, nieszczęsna, wierzysz we wszystko, co wygadują w radiu?, rzucił mężczyzna w kapeluszu. Mój kuzyn, który jest Oberstem, mówi, że było dużo jeńców. Tysiące. Może nawet sto tysięcy”. — „Może Hansi też został jeńcem?”, wyraziła nadzieję blondyna. — „Całkiem możliwe”. — „To czemu nie piszą listów?, spytał gruby burżuj. Nasi jeńcy w Anglii czy w Ameryce piszą i przechodzi to nawet przez Czerwony Krzyż”. — „Prawda”, zgodziła się kobieta o mysiej twarzy. — „Jak mają pisać, skoro oficjalnie wszyscy nie żyją? Piszą, ale nasi nie przekazują listów”. — „Państwo pozwolą, wtrącił się jakiś następny, ale tak właśnie jest. Moja szwagierka, siostra żony, dostała list z frontu, podpisany tylko: *Niemiecki patriota*, a w liście wiadomość, że jej mąż, Leutnant w oddziałach pancernych, wciąż żyje. Ruscy zrzucili kartki na nasze linie, koło Smoleńska, z listami nazwisk i adresów, maleńkim drukiem, i gotowymi wiadomościami dla rodzin. Żołnierze, którzy je zbierają, piszą anonimowe listy albo wysyłają te arkusze w całości”. Do rozmowy wtrącił się mężczyzna o ostrzyżonych po żołniersku włosach: „A zresztą, nawet jeżeli są jacyś jeńcy, to długo nie pociągną. Bolszewicy wyślą ich na Syberię i każą im kopać kanały, wykończą się. Ani jeden nie wróci. W dodatku, po tym, co im zrobiliśmy, byłoby to sprawiedliwe”. — „Co znaczy: po tym, co im zrobiliśmy?”, zapytał gwałtownie grubas. Tleniona blondyna dostrzegła mnie i gapiła się na mój mundur. Mężczyzna w kapeluszu wszedł wojskowemu w słowo: „Führer mówił, że od początku

wojny zginęło po naszej stronie 542 000 ludzi. Wierzycie w to? Ja sędzę, że on po prostu kłamie”. Blondyna dała mu kuksańca i spojrzała wymownie w moją stronę. Mężczyzna podążył za jej wzrokiem, poczerwieniał i wyjąkał: „To znaczy, być może nie miał kompletnych danych...”. Reszta też na mnie popatrzyła i wszyscy zamilkli. Zachowałem wzrok neutralny, nieobecny. Gruby chciał zagać rozmowę na inny temat, ale kolejka ruszyła już w stronę okienka. Kupiłem bilet i usiadłem na sali. Wkrótce pogasły światła i wyświetlono kronikę, która rozpoczynała się przemówieniem Führera. Obraz był ziarnisty, skakał i w niektórych miejscach zachodził mgłą, widać było, że wywołano go i skopiowano pospiesznie. Nadal zdawało mi się, że widzę pasiasty szal na głowie i ramionach Führera, niczego, poza wąsikiem, nie mogłem rozróżnić, nie mogłem się w żadnej mierze upewnić. Moje myśli pierzchały na wszystkie strony jak ławica ryb przed płetwonurkiem; prawie nie zauważyłem filmu, był to jakiś antyangielski idiotyzm, i ciągle myślałem o tym, co zobaczyłem. To przecież nie miało żadnego sensu. To nie mogła być rzeczywistość, uznałem, że to niemożliwe, ale też nie mogłem zaakceptować myśli o halucynacjach. Cóż takiego uczyniła kula w mojej głowie? Nieodwracalnie zmaćiła mi świat czy też rzeczywiście otworzyła we mnie trzecie oko, które przeświała spowijające istotę rzeczy zasłony? Gdy wyszedłem, było już ciemno, pora kolacji, ale nie chciało mi się jeść. Wróciłem do hotelu i zamknąłem się w pokoju. Nie wychodziłem przez trzy dni.

Ktoś zapukał, otworzyłem drzwi: przyszedł kamerdyner i oświadczył, że Obersturmbannführer Hauser zostawił dla mnie wiadomość. Kazałem mu zabrać resztki wczorajszego posiłku, bez pośpiechu wziąłem prysznic, uczesałem się i zszedłem do recepcji, żeby oddzwonić do Thomasa. Werner Best jest w Berlinie, informował Thomas, i zgadza się ze mną spotkać, dziś wieczorem, w barze hotelu Aldon. „Przyjdiesz?” Poszedłem na górę, nalałem do wanny możliwie najgorętszą wodę i zanurzyłem się w niej, aż ścisnęło mi płuca. Potem zawałałem fryzjera, żeby mnie ogolił. O wskazanej godzinie siedziałem w Aldonie, bawiłem się nerwowo nóżką od kieliszka martini i przyglądałem Gauleiterom, dyplomatom, wysokim rangą członkom SS, bogatym arystokratom, którzy mieszkali tu lub zatrzymali się na krótki pobyt w Berlinie. Rozmyślałem o Beście. Jak zareagowałby człowiek pokroju Wenera Besta, gdybym mu powiedział, że mi się zdawało, iż widziałem Führera w udrapowanym na ramionach szalu rabina? Prawdopodobnie dałby mi adres dobrego lekarza. Ale może też wytłumaczyłby mi z

zimną krwią, dlaczego on *musiał* być w tym stroju. Ciekawy facet, ten Best. Spotkałem go latem trzydziestego siódmego, po tym, jak pomógł mi, za pośrednictwem Thomasa, wybrnąć z aresztowania na Tiergarten; nigdy nie uczynił aluzji do tamtego zajścia. Po mojej rekrutacji, choć byłem młodszy od niego o jakieś dziesięć lat, robił wrażenie zainteresowanego moim losem, nawet zaprosił mnie parę razy na kolację, zwykle w towarzystwie Thomasa albo jednego czy dwóch wysoko postawionych członków SD, raz z Ohlendorfem, który pił dużo kawy i mało się odzywał, a czasem też sam na sam. Był to człowiek niezwykle dokładny, zimny i obiektywny, a jednocześnie oddany swoim ideałom. Gdy jeszcze mało znałem Thomasa Hausera, rzuciło mi się w oczy, że naśladuje jego styl, i dostrzegłem później, że tak robi większość młodych oficerów SD, którzy Besta darzyli dalece większym podziwem niż Heydricha. W tamtych czasach Best lubił jeszcze wychwalać to, co nazywał *realizmem heroicznym* — cytując Jüngera, którego namiętnie czytywał, mawiał: *liczy się nie to, po co walczymy, lecz to, jak walczymy*. Dla niego narodowy socjalizm to nie był pogląd polityczny, lecz raczej styl życia, twardy i radykalny, który łączył w sobie zdolność do obiektywnej analizy z gotowością działania. Szczyt moralności, tłumaczył Best, to pokonywanie tradycyjnych zahamowań w imię dobra *Volku*. Tym właśnie *Kriegsjugendgeneration*, „pokolenie wojennej młodzieży”, do którego należał Best, podobnie jak Ohlendorf, Six, Knochen, a także Heydrich, różniło się wyraźnie od poprzedniej generacji, *junge Frontgeneration*, „młodzieży frontowej”, która przeżyła wojnę. Większa część Gauleiterów i szefów Partii, jak Himmler i Hans Frank, a także Goebbels i Darre, należała do tego pokolenia, ale Best uważał ich za nadmiernych idealistów, twierdził, że są sentymentalni, naiwni i że brakuje im trzeźwego spojrzenia na fakty. *Kriegsjungen*, zbyt młodzi, by pamiętać wojnę, a nawet walki Freikorps, dorastali w trudnych latach Republiki Weimarskiej, i walcząc z tym chaosem, wypracowali sobie radykalne i volkistowskie podejście do problemów Narodu. Wstępowali do NSDAP nie dlatego, że jej ideologia różniła się od proponowanej przez inne partie volkistowskie z lat dwudziestych, lecz dlatego, że zamiast pakować się w idee, w utarczki elit, jałowe, niekończące się debaty, Partia ta skupiła się na organizacji, masowej propagandzie, była aktywna, i w całkiem naturalny sposób pojawiła się, by zająć pozycję przewodnika. SD było wcieleniem tego twardego, obiektywnego, pełnego realizmu spojrzenia na rzeczywistość. Jeśli zaś chodzi o młodsze pokolenie — Best w tamtych rozmowach nazywał tak ludzi w wieku Thomasa i moim — to pozostawało ono jeszcze nie do końca

określone: osiągnęło wiek męski w czasach narodowego socjalizmu, lecz jeszcze nie miało okazji stawić czoła prawdziwym wyzwaniom. Dlatego, jak twierdził, powinniśmy być stale przygotowani, utrzymywać surową dyscyplinę, nauczyć się walki za *Volk* i, w razie konieczności, niszczyć przeciwników, bez nienawiści i bez niechęci, nie jak teutońskie dzikusy, którym ciągle jeszcze wydaje się, że chodzą odziani w skóry zwierząt, lecz w sposób systematyczny, skuteczny i przemyślany. Oto jakie nastroje panowały w SD w tamtych czasach, a ich wyrazicielem był na przykład prof. dr Alfred Six, mój pierwszy dyrektor wydziału, który jednocześnie szefował katedrze ekonomii zagranicznej na uniwersytecie. Był to człowiek zgorzkniały i raczej niemiły, dużo częściej rozprawiał o polityce rasowo-biologicznej niż o ekonomii, lecz popierał metody Besta — podobnie robili wszyscy młodzi, przyjmowani przez szereg lat przez Höhna, *młode wilki* SD, Schellenberg, Knochen, Behrends, d'Alquen, oczywiście Ohlendorf, ale także mniej znani, jak Melhorn, Gürke, który poległ w 1943 roku, Lemmel, Taubert. Była to całkiem osobna „rasa” członków Partii, niekoniecznie lubianych, lecz trzeźwych, aktywnych, zdyscyplinowanych, i gdy wstąpiłem do SD, nie myślałem o niczym innym, jak tylko o tym, by stać się jednym z nich. Teraz niezbyt wiedziałem, jak z tym wszystkim jest. Po doświadczeniach na Wschodzie odnosiłem wrażenie, że idealistów z SD zakrzyczeli policjanci, funkcjonariusze przemocy. Zastanawiałem się, co Best sądzi o *Endlösung*, ale nie miałem najmniejszego zamiaru pytać go o zdanie, w ogóle nie chciałem poruszać tego tematu, nie mówiąc już o opowiadaniu mu mojej wizji.

Best spóźnił się pół godziny, przyszedł ubrany we wspaniały czarny mundur z dwoma rzędami złożonych guzików, o ogromnych nachodzących na siebie klapach z białego weluru. Wymieniliśmy oficjalne pozdrowienia, po czym uściśnął mi mocno dłoń, przepaszając za spóźnienie: „Byłem u Führera. Nie miałem czasu się przebrać”. Gdy gratulowaliśmy sobie wzajemnie awansów, podszedł *maitre d'hôtel*, ukłonił się Bestowi i zaprowadził nas do zarezerwowanej łoży. Zamówiłem drugie martini, a Best kieliszek czerwonego wina. Wypytywał mnie o przebieg kariery w Rosji: odpowiadałem, nie wdając się w szczegóły; w końcu ktoś lepiej od Besta wiedział, czym są Einsatzgruppe? „A teraz?” Wyłuszczyłem mu swój pomysł. Słuchał cierpliwie, kiwając głową, na wysokim, wypukłym, lśniącym w świetle żyrandoli czole miał odcisnięty czerwony ślad po czapce. „Tak, przypominam sobie, powiedział wreszcie. Kiedyś zdradzał pan zainteresowanie prawem międzynarodowym. Jak to się stało, że niczego pan nie

opublikował?” — „Nie miałem możliwości. W RSHA po pańskim odejściu powierzano mi sprawy związane z prawem konstytucyjnym i karnym, a potem, w terenie, było to niemożliwe. Zebrałem za to wiele praktycznych doświadczeń, związanych z naszymi metodami okupacji”. — „Nie jestem pewien, czy Ukraina to dobry przykład”. — „Na pewno nie, odpowiedziałem. Nikt w RSHA nie wie, dlaczego Koch się tak rozbestwił. To katastrofa”. — „To jedna z ułomności narodowego socjalizmu. W tym punkcie Stalin jest dużo bardziej zdyscyplinowany od nas. Mam nadzieję, że dla ludzi takich jak Koch nie ma żadnej przyszłości. Czytał pan *Festgabe* wydany z okazji czterdziestych urodzin Reichsführera?” Pokręciłem głową: „Niestety, nie”. — „Prześle panu egzemplarz. Mój udział polegał na rozwinięciu teorii *Grossraum*, stworzonej na podstawie ideologii volksistowskiej. Pański były profesor Höhn napisał artykuł na ten sam temat, podobnie Stuckart z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Lemmel, pamięta go pan, także gdzieś publikował teksty dotyczące tych koncepcji. Chodziło nam o podsumowanie krytycznej lektury Carla Schmitta przy jednoczesnym wyeksponowaniu roli SS jako siły napędowej w budowie Nowego Ładu europejskiego. Reichsführer, otoczony ludźmi takimi jak my, mógł stać się głównym architektem owego porządku. Ale zaprzepaścił swą szansę”. — „Cóż się takiego stało?” — „Trudno powiedzieć. Nie wiem, czy Reichsführer był zaślepiony planami odbudowy niemieckiego wschodu, czy też miał po prostu za dużo pracy. Nie ulega kwestii, że zaangażowanie SS w proces zaprowadzenia porządku demograficznego na Wschodzie odegrało tu pewną rolę. Dlatego, między innymi, zdecydowałem się odejść z RSHA”. Wiedziałem, że to ostatnie oświadczenie nie było szczere. W czasie, w którym kończyłem pracę doktorską (traktowała o pogodzeniu pozytywnego prawa państwowego z pojęciem *Volksgemeinschaft*) i wstępowałem na pełny etat do SD, aby pomagać w redagowaniu opinii prawnych, Best już zaczynał mieć kłopoty, między innymi z Schellenbergiem. Schellenberg, zarówno w rozmowach prywatnych, jak i na piśmie, oskarżał Besta o zbyt dużą biurokrację i sztywność, nazywał go *akademickim adwokatem, lubującym się w dzieleniu włosa na czworo*. Krążyły plotki, że taka była również opinia Heydricha, a przynajmniej tak mu się wyrwało przy Schellenbergu. Best krytykował „ograniczenie biurokratyzacji” policji: konkretnie chodziło mu o to, by wszyscy pracownicy SD odłączeni od SP, jak Thomas i ja, podlegali zasadom i procedurom obowiązującym w administracji państwowej; wszyscy szefowie służb powinni, według niego, mieć wykształcenie prawnicze. Ale Heydrich kpił sobie z

tego *placu zabaw dla kontrolerów*, a Schellenberg oddawał salwę za salwą. Best podzielił się kiedyś ze mną zastanawiającą uwagą na ten temat: „Wie pan, pomimo całej mojej nienawiści do tego, co stało się w 1793 roku, czuję się czasem bliski Saint-Justa, który mówił: *Mniejszy lęk budzi we mnie asceza i szaleństwo jednych niż elastyczność innych*. Wszystko to miało miejsce ostatniej wiosny przed wojną; opowiadałem już, co się działo jesienią: odejście Besta, moje własne kłopoty. Rozumiałem jednak, że Best wolał dostrzegać pozytywną stronę tych zmian. „We Francji i teraz w Danii próbuję opracowywać praktyczne aspekty tych teorii”. — „I jak idzie?” — „We Francji pomysł z nadzorowaną administracją był trafiony. Jednakże zaistniało zbyt wiele przeszkód ze strony Wehrmachtu, który prowadził własną politykę, i Berlina, który trochę pokpił sprawę przez całą tę historię z porwaniami. No i, oczywiście, dzień 11 listopada położył wszystkiemu kres. Uważam, że był to gruby błąd. No, ale... Cała moja nadzieja w Danii i w modelowym protektoracie”. — „Słyszałem o pańskiej pracy same dobre rzeczy”. — „Och, są też krytyki! Poza tym, wie pan, dopiero zaczynam. Ale oprócz tych konkretnych celów liczy się także wszczepianie i rozwijanie globalnej wizji tego, co się będzie działo po wojnie. Jak na razie nasze środki są *ad hoc* i niespójne. A Führer wysyła sprzeczne sygnały na temat swoich intencji, więc bardzo trudno jest składać konkretne obietnice”. — „Doskonale rozumiem, co pan ma na myśli”. Opowiedziałem mu krótko o rozmowie z Lippertem w Majkopie, o jego nadziejach. „Tak, to dobry przykład, potwierdził Best. Ale wie pan, inni obiecywali to samo Flamandom. A teraz Reichsführer, pod naciskiem Obergruppenführera Bergera, wprowadza własną politykę, tworzy narodowe legiony Waffen-SS, co jest niezgodne z polityką Auswärtiges Amt, a na pewno do niej niedostosowane. W tym leży cały problem: dopóki Führer nie interweniuje osobiście, każdy będzie prowadził swą osobistą politykę. Nie ma żadnej wspólnej wizji, a więc żadnej polityki naprawdę *völkisch*. Prawdziwi narodowi socjaliści są niezdolni do wykonywania swojej pracy, czyli do ukierunkowywania Narodu i przewodzenia mu. Zamiast tego *Parteigenossen*, ludzie Partii, tworzą sobie lenna i rządzą w nich, jak im się żywnie podoba”. — „Uważa pan, że członkowie Partii nie są autentycznymi narodowymi socjalistami?” Best podniósł do góry palec: „Uwaga. Niech pan nie myli członka Partii z człowiekiem Partii. Nie każdy członek Partii, taki jak pan i ja, musi być od razu «PG» — człowiekiem Partii. Narodowy socjalista powinien wierzyć w swoją wizję. Ponieważ, siłą rzeczy, wizja jest jedna, wszyscy prawdziwi narodowi socjaliści mogą pracować

wyłącznie w jednym celu, a celem tym jest *Volk*. Ale myśli pan, że wszyscy ci tutaj — wskazał szerokim gestem na salę — że oni wszyscy są autentycznymi narodowymi socjalistami? Człowiek Partii to ktoś, kto Partii zawdzięcza karierę, kto w Partii broni swej wysokiej pozycji, a, co za tym idzie, broni jej interesów podczas nieporozumień z innymi hierarchiami, niezależnie od realnych interesów *Volk*. Z początku Partia była pomyślana jako pewien ruch, jako czynnik mobilizacji Narodu, teraz jest to taka sama biurokracja jak inne. Długo niektórzy z nas mieli nadzieję, że SS przejmie pałeczkę. I nie jest jeszcze na to za późno. Ale SS też narażone jest na niebezpieczne pokusy”. Napiliśmy się, chciałem wrócić do tematu, który naprawdę mnie interesował. „Co pan sądzi o moim pomysle?, spytałem w końcu. Wydaje mi się, że z moją przeszłością, ze znajomością kraju i rozmaitych nurtów myśli francuskiej właśnie we Francji mógłbym się przydać najbardziej”. — „Może ma pan rację. Problem w tym, że jak sam pan wie, nie licząc obszaru należącego ściśle do policji, SS jest we Francji nieco odsunięta na bok. Nie sądzę, by moje nazwisko przydało się panu u Militärbefehlshabera. U Abetza też za wiele nie wskóram, jest bardzo zazdrosny o swoją budę. Ale jeżeli naprawdę panu na tym zależy, niech się pan skontaktuje z Knochenem. Powinien pana pamiętać”. — „Tak, to jest jakiś pomysł”, przytaknąłem wbrew sobie. Tak naprawdę nie tego chciałem. Best mówił dalej: „Mógłby pan mu powiedzieć, że pana zarekomendowałem. A Dania? Nie kusi pana? Prawdopodobnie mógłbym znaleźć tam dla pana dobre stanowisko”. Ze wszystkich sił próbowałem nie okazywać narastającego zażenowania. „Jestem panu wdzięczny za tę propozycję, ale mam sprecyzowany pomysł dotyczący Francji i chciałbym postarać się o jego realizację, jeśli to możliwe”. — „Rozumiem pana. Ale gdyby zmienił pan zdanie, proszę o kontakt”. — „Oczywiście”. Spojrzał na zegarek. „Jem kolację z ministrem i naprawdę muszę się przebrać. Gdyby coś jeszcze przyszło mi do głowy na temat Francji, dam panu znać”. — „Byłbym bardzo wdzięczny. Jeszcze raz dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas”. Dokończył wino i odpowiedział: „Cała przyjemność po mojej stronie. Oto, czego naprawdę mi brak, odkąd opuściłem RSHA: otwartej dyskusji na temat idei z ludźmi o wyrobionych poglądach. W Danii muszę być wiecznie czujny. No cóż, dobranoc!”. Odprowadziłem go, rozstaliśmy się na ulicy, przed dawną ambasadą Wielkiej Brytanii. Patrzyłem za jego samochodem, aż znikł w głębi Wilhelmstrasse, po czym ruszyłem w stronę Bramy Brandenburskiej i Tiergarten. Jego ostatnie słowa zrobiły na mnie wrażenie. Człowiek o wyrobionych poglądach? Dawniej bez wątplenia miałem

jakieś, ale teraz gdzie się podziela jasność moich poglądów? Moje poglądy, dobrze to widziałem, fruwały sobie lekko wokół mnie i gdy próbowałem uchwycić choćby jeden, prześlizgiwały mi się między palcami, niczym nerwowe, umięśnione węgorze.

Za to Thomas był bez wątpienia człowiekiem o wyrobionych poglądach, a te szły wyraźnie w parze z jego ambicjami i satysfakcją. W hotelu czekał liścik od niego, zapraszał mnie na przedstawienie baletowe. Zatelefonowałem, żeby odmówić. Zanim w ogóle zdążyłem się odezwać, rzucił: „No, i jak było?”, a potem zaczął wyjaśniać, dlaczego, ze swej strony, nie może mi w żaden sposób pomóc. Słuchałem cierpliwie, a przy pierwszej okazji spróbowałem odrzucić zaproszenie. Nawet nie chciał o tym słyszeć: „Dziczejesz. Wyjdiesz trochę do ludzi, dobrze ci to zrobi”. Prawdę mówiąc, pomysł wydawał mi się potwornie nudny, ale w końcu ustąpiłem. Wszyscy rosyjscy kompozytorzy byli oczywiście zakazani, grano *divertimenta* Mozarta, balet *Idomeneo*, a następnie *Gawota* i *Les petits riens*. Orkiestrą dyrygował Karajan, wtedy wschodząca gwiazda, której sława nie przyćmiła jeszcze blasku Furtwänglera. Znalazłem Thomasa w pobliżu wejścia dla artystów: jeden z przyjaciół odstąpił mu prywatną lożę. Wszystko było świetnie zorganizowane. Usłużne bileterki odebrały od nas płaszcze i czapki i zaprowadziły do bufetu. Wypiliśmy aperitif w towarzystwie muzyków i goebbelsowskich starletek, które Thomas na wejściu oczarował werwą i urodą. Gdy usiedliśmy w loży ustawionej u podnóża sceny tuż nad orkiestrą, szepnąłem: „Zaprosisz którąś?”. Wzruszył ramionami: „Chyba żartujesz! Żeby spijać resztki po dobrym doktoru, trzeba być co najmniej Gruppenführerem”. Przekomarzałem się właściwie mechanicznie, bez przekonania — cały czas tkwiłem zamknięty w sobie, niedostępny, niechętny wszystkiemu. Ale gdy tylko zaczął się spektakl, ogarnął mnie zachwyty. Tancerze znajdowali się zaledwie kilka metrów ode mnie, patrząc na nich, czułem się ubogi, zasuszony i nędzny, jak gdybym ciągle jeszcze nie strząsnął z ciała frontowego chłodu i strachu. A oni, wspaniali, jakby specjalnie podkreślający ten dystans nie do przebycia, odbijali się od ziemi w połyskujących kostiumach, a widok ich lśniących, okazałych ciał paraliżował mnie i wprawiał w szalone podniecenie (lecz było to podniecenie jałowe, bezcelowe, do niczego nieprzydatne). Złoto, kryształ żyrandoli, tiul, jedwab, bogate klejnoty, błyskające bielą zęby artystów, ich lśniące naprężone mięśnie, to wszystko mnie przytłaczało. W pierwszym antrakcie, pocąc się obficie pod mundurem, pobiegłem do baru i wypłem kilka kieliszków, a butelkę z resztą alkoholu wziąłem ze sobą do loży. Thomas

spojrzał na mnie rozbawiony, też popijał, tylko wolniej. Z drugiej strony sali, z łoża na piętrze, przyglądała mi się przez teatralną lornetkę jakaś kobieta. Była zbyt daleko, nie mogłem dostrzec rysów jej twarzy, no i nie miałem lornetki, ale widziałem, że patrzy tylko na mnie, i ta gierka zaczęła mnie niezwykle irytować. Podczas drugiego antraktu nie podjąłem żadnej próby odszukania jej, uciekłem do bufetu, żeby znowu napić się z Thomasem. Podczas drugiej części baletu zachowywałem się jak dziecko. Biłem brawo, myślałem nawet o wysłaniu kwiatów jednej z tancerek, lecz nie wiedziałem, którą wybrać, poza tym nie znałem ich imion, nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, bałem się, że się pomylę. Kobieta ciągle mierzyła mnie wzrokiem, ale nic sobie z tego nie robiłem. Napilem się, roześmiałem: „Miałeś rację, powiedziałem do Thomasa, to był dobry pomysł”. Wszystko tutaj zachwycało mnie i jednocześnie budziło lęk. Nie mogłem zrozumieć piękna ciała tancerzy, piękna niemal abstrakcyjnego, asekualnego, ignorującego podział na mężczyzn i kobiety: to piękno prawie mnie oburzało. Po balecie Thomas zawiózł mnie na jedną z uliczek Charlottenburg. Wchodząc, zauważyłem, ku mojemu przerażeniu, że to dom publiczny, ale było już za późno, żeby się wycofać. Dalej piłem i jadłem kanapki, a w tym czasie Thomas tańczył z roznegliżowanymi dziewczynami, które najwyraźniej dobrze go znały. Byli tam też inni oficerowie i kilku cywilów. Na gramofonie kręciły się amerykańskie płyty, frenetyczny, irytujący jazz, punktowany ostrym, zepsutym śmiechem dziwek. Większość miała na sobie tylko kolorową, jedwabną bieliznę, a ich miękkie, mdłe, uśpione ciała, które Thomas obmacywał pełnymi dłońmi, budziły we mnie obrzydzenie. Jakaś dziewczyna próbowała usiąść mi na kolanach, odepchnąłem ją lekko, kładąc rękę na nagim brzuchu, ale ona nalegała, więc wysłałem ją brutalnie do diabła; obruszyła się. Byłem blady, rozbity, wszystko wokół błyszczało, postukiwało i sprawiało mi ból. Podeszedł Thomas, nalał mi ze śmiechem jeszcze jeden kieliszek: „Może ci się nie podobać, ale nie musisz od razu wywoływać skandalu. Jest pełno innych”. Ruszał nerwowo ręką, twarz miał zaczerwienioną. „Wybieraj, wybieraj, ja stawiam”. Nie miałem najmniejszej ochoty, ale on nie dawał za wygraną; wreszcie, dla świętego spokoju, złapałem za szyjkę butelki, z której piłem, i poszedłem na górę z dziewczyną, wybraną na chybił trafił. W pokoju było ciszej. Pomogła mi zdjąć kurtkę, ale gdy wzięła się do rozpinania koszuli, przerwałem jej i kazałem usiąść. „Jak się nazywasz?”, spytałem. — „Émilie”, odpowiedziała, wymawiając imię z francuska. — „Opowiedz mi jakąś historię, Émilie”. — „Jaką historię, Herr Offizier?” — „Opowiedz o

swoim dzieciństwie”. Jej pierwsze słowa zmroziły mnie: „Miałam siostrę bliźniaczkę. Zmarła w wieku dziesięciu lat. Obie chorowałyśmy na to samo, na ostry reumatyzm, a ona umarła na mocznicę, woda wzbierała, wzbierała... aż siostra się udusiła”. Pogrzebała w szufladzie i wyjęła dwie fotografie w ramkach. Pierwsza przedstawiała bliźniaczki, jedną obok drugiej, wielkookie, ze wstążkami we włosach, mniej więcej dziesięciolatki; na drugiej jedna z nich leżała martwa w umajonej tulipanami trumnie. „W domu powiesili tę fotografię. Od tamtego dnia matka nie znosiła tulipanów, ich zapachu. Mówiła: *Straciłam anioła, został mi diabeł*. Potem zawsze, gdy przez przypadek zobaczyłam się w lustrze, myślałam, że to moja zmarła siostra. A gdy biegiem wracałam ze szkoły, matka wpadała w szal, bo zdawało jej się, że widzi moją siostrę, więc zmuszałam się, żeby wchodzić do domu cicho”. — „A jak się znalazłaś tutaj?”, spytałem, ale dziewczyna, nagle zmęczona, przysnęła na sofie. Oparłem łokcie o blat stołu i patrzyłem na nią, popijając od czasu do czasu. Obudziła się: „Och, przepraszam, już się rozbieram”. Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem: „Nie musisz”. Usiadłem na kanapie, położyłem sobie jej głowę na kolanach i głaskałem ją po włosach. „No, prześpij się jeszcze”.

W hotelu Eden czekała na mnie nowa wiadomość: „Od Frau von Üxküll, poinformował portier. Oto numer, pod którym może ją pan zastać”. Wszedłem na górę i zwałem się na sofę, nie rozpiąwszy nawet kurtki. Dlaczego kontaktuje się ze mną ni z tego, ni z owego, po tylu latach? Czemu akurat teraz? Nie potrafiłbym powiedzieć, czy chcę się z nią zobaczyć, ale wiedziałem, że jeśli ona tego pragnie, to uniknięcie spotkania będzie dla mnie tak samo niemożliwe, jak powstrzymanie się od oddychania. Tamtej nocy nie spałem, a jeśli już, to niewiele. Wspomnienia napływały z całą brutalnością i w przeciwieństwie do tych, które falami zalewały mnie w Stalingradzie, nie były to wspomnienia słoneczne, radosne, pełne dającego siłę szczęścia — teraz spowijało je zimne światło księżyca, białe i pełne gorczy. Wiosną, po feriach zimowych, powróciliśmy do zabaw na strychu, nadzy, połyskujący w świetle wypełnionym kurzem, pośród lalek, stosów waliz i przeładowanych wieszaków, pełnych starych ubrań, za którymi się gnieździliśmy. Po zimie moje ciało było blade, bez jednego włoska, między jej nogami kładł się już cień przyszłego owłosienia, a maleńkie, sterczące sutki zaczynały deformować jej pierś, którą wielbiłem za płaskość i gładkość. Ale nie sposób było cofnąć czas. Było jeszcze zimno, skórę mieliśmy napiętą i szorstką. Usiadła na mnie i wtedy

strużka krwi popłynęła po wnętrzu jej uda. Zapłakała: „Zaczyna się, zaczyna się upodlenie”. Wzięłam ją w chude ramiona i płakałam razem z nią. Nie mieliśmy jeszcze trzynastu lat. To było niesprawiedliwe, chciałem być taki jak ona: dlaczego i ja nie mogłem krwawić, dlaczego nie mogłem tego z nią dzielić? Dlaczego nie mogliśmy być tacy sami? Nie miałem jeszcze wytrysków, nasze zabawy trwały, ale chyba zaczęliśmy baczniej przyglądać się sobie wzajemnie i sobie samym, i to wprowadzało dystans, może i nieznaczny, ale wystarczający, by pewne rzeczy stały się wymuszone. A potem nadeszło to, co nadejść musiało: pewnego dnia — biaława maź na moich dłoniach i udach. Powiedziałem o tym Unie, pokazałem jej. Zafascynowało ją to, ale i przstraszyło, wytłumaczono jej już, z czym się to wiąże. Po raz pierwszy w życiu strych wydał mi się smutny, zakurzony, pełen pajęczyn. Chciałem pocałować ją w pierś, teraz już całkiem krągłą, ale nie miała ochoty, ukłękła i wystawiła ku mnie szczupłe pośladki nastoletniej dziewczynki. Pokazała *cold-cream*, który znalazła w łazience matki: „Masz, powiedziała. Tu nic złego się nie stanie”. Bardziej niż to, co wtedy czułem, pamiętam cierpki, odurzający zapach kremu. Wkroczyliśmy w stadium przejściowe między Złotym Wiekiem a Wiekiem Upadku.

Zadzwoiłem do niej późnym rankiem, jej głos był idealnie spokojny. „Jesteśmy w hotelu Kaiserhof”. — „Masz czas?” — „Tak. Możemy się spotkać?” — „Przyjadę po ciebie”. Czekala na mnie w holu, wstała na mój widok. Zdjąłem czapkę, pocałowała mnie delikatnie w policzek. Cofnęła się o krok i zmierzyła mnie wzrokiem. Wyciągnęła palec i postukała paznokciem w guzik ze swastyką przy mojej kurtce: „Nawet dobrze ci w tym mundurze”. Patrzyłem na nią bez słowa: nie zmieniła się, bez wątpienia dojrzała, ale była nadal tak samo piękna. „Co tutaj robisz?”, spytałem w końcu. — „Berndt miał do załatwienia sprawy z notariuszem. Pomyślałam, że może akurat jesteś w Berlinie, miałam ochotę cię zobaczyć”. — „Jak mnie znalazłaś?” — „Jeden z przyjaciół Berndta z OKW zadzwonił na Prinz-Albrechtstrasse i powiedzieli mu, gdzie mieszkasz. Co będziemy robić?” — „Dużo masz czasu?” — „Cały dzień”. — „Więc jedźmy do Poczdamu. Zjemy coś i pospacerujemy po parku”.

Był to jeden z pierwszych ładnych dni w roku. Robiło się coraz cieplej, drzewa wypuszczały pąki, świeciło blade jeszcze słońce. W pociągu zamieniliśmy zaledwie kilka słów. Wydawała mi się odległa i, jeśli mam być szczery, czułem przerażenie. Z twarzą zwróconą ku szybce patrzyła na mijane, nagie drzewa lasu Grunewald, ja zaś patrzyłem na

nią. W obramowaniu ciężkich, czarnych jak węgiel włosów, jej twarz wydawała się niemal przezroczysta, długie, błękitne żyły rysowały się wyraźnie pod mleczną skórą. Jedna zaczynała się na skroni, dotykała kącika oka, a potem długą, zakrzywioną linią przecinała policzek jak blizna. Wyobrażałem sobie, jak krew pulsuje powoli pod tą powierzchnią, tak zwartą i głęboką, jak opalizujące olejne malowidła flamandzkich mistrzów. Inna wiązka żył miała swoje źródło u nasady szyi, rozgałęziała się ponad delikatnym obojczykiem i, wiedziałem to, wślizgiwała się pod jej trykot jak dwie otwarte dłonie, by zasilać piersi w krew. Widziałem tylko odbicie jej oczu w szybie, na brunatnym tle stłoczonych pni — były bezbarwne, dalekie, nieobecne. Znałem w Poczdamie małą restaurację, w pobliżu Garnisonkirche. Dzwonki zegara grały melancholijną melodyjkę, naśladując jakiś mozartowski temat. Restauracja była otwarta: „Obsesje Goebbelsa nie obowiązują w Poczdamie”, zauważyłem; zresztą nawet w Berlinie większość restauracji też już działała. Zamówiłem wino i spytałem siostrę o zdrowie męża. „W porządku”, odpowiedziała lakonicznie. Przyjechali do Berlina tylko na kilka dni. Potem wybierali się do Szwajcarii, gdzie von Üxküll miał odbyć kurację. Z lekkim wahaniem spytałem ją, jak jej się żyje na Pomorzu. „Nie mam powodu się skarżyć, powiedziała, wbijając we mnie wielkie, jasne oczy. Farmerzy Berndta dostarczają nam jedzenie, mamy wszystko, czego potrzebujemy. Udaje nam się nawet czasem dostać ryby. Dużo czytam, spaceruję. Wojna wydaje mi się bardzo odległa”. — „Jest coraz bliżej”, powiedziałem twardo. — „Chyba nie myślisz, że dotrą do Niemiec?” Wzruszyłem ramionami: „wszystko jest możliwe”. Nasze słowa były zimne, nienaturalne, dostrzegałem to, lecz nie wiedziałem, jak przełamać ten chłód, który jej chyba nie przeszkadzał. Wypiliśmy, zjedliśmy trochę. Wreszcie, nieco bardziej miękko, zaryzykowała: „Słyszałam, że byłeś ranny. Powiedzieli mi wojskowi, przyjaciele Berndta. Żyjemy dość na uboczu, ale on utrzymuje swoje kontakty. Nie znałam szczegółów, niepokoiłam się. Ale, sądząc po tym, jak wyglądasz, to nie było nic poważnego”. Wtedy, spokojnie, opowiedziałem jej, co się stało i pokazałem dziurę. Sztucce wypadły jej z rąk, pobladła; uniosła dłoń i zaraz opuściła. „Wybacz. Nie wiedziałam”. Dotknąłem delikatnie palcami jej dłoń; cofnęła ją powoli. Nie odzywałem się. Zresztą nie wiedziałem, co mówić: tego wszystkiego, co chciałem powiedzieć, tego, co powinienem powiedzieć, powiedzieć nie mogłem. Nie było kawy. Dokończyliśmy posiłek, zapłaciłem. Na ulicach Poczdamu panował spokój: żołnierze, kobiety z wózkami, kilka samochodów. Bez słowa ruszyliśmy w stronę parku. Wchodziliśmy od strony

Marlygarten, było tam jeszcze spokojniej niż na ulicach; czasem, z daleka, dostrzegaliśmy jakąś parę albo frontowych rekonwalescentów o kulach, na wózkach. „To straszne, mamrotała Una. Cóż za straty!” — „To konieczne”, rzekłem. Nie odpowiedziała: cały czas mówiliśmy obok siebie, nie ze sobą. Mało płochliwe wiewiórki hasały po trawie. Jedna z nich, po naszej prawej stronie, wyjmowała kawałki chleba z ręki jakiejś dziewczynki, odbiegała, to znów wracała po nowy smakołyk, a dziecko wybuchało radosnym śmiechem. Po stawach pływały cyranki i inne kaczki. Niektóre przysiadły tylko na chwilę, biły szybko skrzydłami pochylone pionowo w dół i hamowały, wyciągając ku wodzie błoniaste łapy; gdy tylko dotknęły powierzchni, chowały łapy pod siebie i lądowały na okrągłych brzuchach w fontannie małych rozbryzgów. Słońce przeświecało przez gałęzie sosen i nagie korony dębów. Na przecięciach alejek stały na piedestałach anioły i nimfy z szarego kamienia, zbyt kowne i szydercze. W Mohrenrondell, w kręgu popiersi otoczonych równo przyciętym żywopłotem, pod piętrowymi tarasami pełnymi winorośli i inspektów, Una zagarnęła spódnicę i siadła na ławce, zwinnie jak nastolatka. Zapaliłem papierosa, zabrała mi go, zaciągnęła się kilka razy, oddała. „Opowiedz mi o Rosji”. Wyjaśniłem jej w krótkich, oschłych słowach, na czym polega praca służb bezpieczeństwa na tyłach frontu. Słuchała w milczeniu. Na koniec spytała: „A ty zabijałeś ludzi?”. — „Raz musiałem dobijać. Ale zazwyczaj zajmowałem się wywiadem, pisałem raporty”. — „A co czułeś, jak strzelałeś do tych ludzi?” Odpowiedziałem bez wahania: „To samo, co czułem, patrząc, jak inni strzelają. Gdy zaistnieje taka konieczność, staje się nieważne, kto to robi. Poza tym uważam, że patrząc, ponoszę taką samą odpowiedzialność jak ci, co strzelają”. — „Ale czy trzeba to robić?” — „Jeżeli chcemy wygrać tę wojnę, to tak, bez wątpienia”. Uznała tę odpowiedź za wystarczającą, po czym stwierdziła: „Cieszę się, że nie jestem mężczyzną”. — „A ja często zazdrościłem ci tego szczęścia”. Wyciągnęła rękę i w zamyśleniu pogładziła mnie po policzku: z radości zaparło mi dech w piersiach, chciałem wtulić się w nią jak dziecko, ale wstała. Ruszyłem za nią. Pokonywaliśmy niespiesznie kolejne piętra tarasów, aż doszliśmy do żółtego zameczku. „Masz jakieś wieści od mamy?”, spytała, odwracając się do mnie przez ramię. — „Żadnych. Nie piszemy do siebie od lat. Co się z nią dzieje?” — „Nadal mieszka w Antibes, z Moreau. Robił interesy z niemiecką armią. Teraz tamtą strefę kontrolują Włosi. Podobno zachowują się wobec nich bez zarzutu, ale Moreau się wścieka, bo jest przekonany, że chcą sobie przywłaszczyć Lazurowe Wybrzeże”. Dotarliśmy do ostatniego

przysypanego żwirem tarasu, który prowadził do fasady zamku. Mieliśmy stąd widok na cały park, za drzewami rysowały się dachy i dzwonnice Poczdamu. „Tata bardzo lubił to miejsce”, powiedziała spokojnie Una. Krew uderzyła mi do głowy, złapałem ją za rękę: „Skąd wiesz?”. Wzruszyła ramionami: „Wiem i już”. — „Nigdy...” Spojrzała na mnie smutno: „Max, on nie żyje. Wbij to sobie do głowy”. — „Więc ty też tak twierdzisz”, warknąłem nienawistnie. Zachowała spokój: „Tak, ja też tak twierdzę”. I wyrecytowała po angielsku te strofy:

*Full fathom five thy father lies;
Of his bones are coral made;
Those are pearls that were his eyes:
Nothing of him that doth fade,
But doth suffer a sea-change
Into the something rich and strange.*

Zdegustowany, odwróciłem się i odszedłem. Dogoniła mnie, wzięła pod rękę. „Chodź. Zwiedzimy zamek”. Żwir chrzęścił nam pod nogami, okrążyliśmy budynek i przeszliśmy pod rotundą. Wewnątrz nieuważnie przyglądałem się złoceniom, cennym meblom, wspaniałym obrazom z XVIII wieku. Ożywiłem się tylko w sali muzycznej, gdy oglądałem pianoforte i zastanawiałem się, czy to na nim stary Bach improwizował dla króla przyszłą *Offrande musicale*, w dniu, w którym tu przybył; gdyby nie obecność strażnika, wyciągnąłbym dłoń i uderzył w klawisze, które kiedyś, być może, czuły na sobie palce Bacha. Zdjęto słynny obraz pędzla von Menzla (prawdopodobnie by ochronić go przed bombardowaniami), przedstawiający Fryderyka II, który, oświetlony katedrami świateł, gra na flecie poprzecznym, tak jak w dniu, w którym podejmował Bacha. Dalej znajdował się pokój gościnny, zwany pokojem Voltaire'a, z małym łóżkiem, na którym, jak głosi legenda, wielki człowiek sypiał przez te wszystkie lata, kiedy uczył Fryderyka idei Oświecenia i nienawiści do Żydów; w rzeczywistości Voltaire mieszkał podobno w zamku w samym Poczdamie. Una z rozbawieniem przypatrywała się frywolnym zdobieniom: „Jak na króla, który miał kłopot ze zdjęciem butów, nie mówiąc już o spodniach, bardzo lubił nagie kobiety. W całym pałacu pełno erotyki”. — „W ten sposób przypominał sobie to, o czym zapomniał”. Wychodząc, wskazała wzgórze z zarysem

sztucznych ruin, narodzonych z kaprysu księcia fantasty: „Chcesz wejść na górę?”. — „Nie. Chodźmy raczej do oranżerii”. Szliśmy leniwie, nie rozglądając się zbyt na boki. Przsiedliśmy na chwilę na tarasie oranżerii, zeszliśmy po schodach okalających rozległe stawy i trawniki rozmieszczone w regularnym, klasycznym, idealnie symetrycznym porządku. Dalej zaczynał się park, błąkaliśmy się po długich alejach. „Jesteś szczęśliwy?”, spytała. — „Szczęśliwy? Ja? Nie. Lecz zaznałem w życiu szczęścia. Teraz jestem zadowolony z tego, co mam, nie skarżę się. Czemu pytasz?” — „Tak sobie. Bez powodu”. Po kilku krokach odezwała się znowu: „Możesz mi powiedzieć, dlaczego nie rozmawialiśmy ze sobą przez osiem lat?”. — „Wyszłaś za mąż”, rzuciłem w przypływie wściekłości. — „Tak, ale to było później. Poza tym to nie jest żaden powód”. — „Dla mnie jest. Dlaczego go poślubiłaś?” Przyjrzała mi się uważnie: „Nie muszę ci się tłumaczyć. Ale, jeśli chcesz wiedzieć, kocham go”. Teraz ja na nią popatrzyłem: „Zmieniłaś się”. — „wszyscy się zmieniają. Ty też się zmieniłeś”. Ruszyliśmy. „A ty nikogo nie kochałeś?”, spytała. — „Nie. Ja dotrzymuję obietnic”. — „Nigdy ci ich nie składałam”. — „To prawda”, przyznałem. — „Zresztą, ciągnęła, uparte trwanie przy dawnych obietnicach nie jest cnotą. Świat się zmienia, trzeba umieć zmieniać się razem z nim. Ty pozostałeś więźniem przeszłości”. — „Wolę nazywać to lojalnością, wiernością”. — „Przeszłość się skończyła, Max”. — „Przeszłość się nigdy nie skończyła”.

Dotarliśmy do chińskiego pawilonu. Na szczycie kopuły, ozdobionej błękitno-złotym okapem, podtrzymywanym przez złocone kolumny w kształcie palm, królował mandaryn pod parasolką. Rzuciłem okiem do środka: okrągła sala, orientalne malowidła. Na zewnątrz, u podnóża każdej z palmowych kolumn, widniały egzotyczne figury, także pokryte złotem. „Istne *szaleństwo*, oceniłem. Oto marzenia naszych wielkich przodków. Dość śmieszne”. — „Nie bardziej niż szaleństwa dzisiejszych mocarzy, odpowiedziała spokojnie Una. Mnie podoba się wiele rzeczy z tamtej epoki. Jedynej, o której można powiedzieć, że nie była epoką wiary”. — „Od Watteau do Robespierre'a”, ironizowałem. Skrzywiła się: „Robespierre to człowiek XIX wieku. Był prawie jak niemiecki romantyk. Nadal lubisz tę francuską muzykę, Rameau, Forqueraya, Couperina?”. W jednej chwili spochmurniałem: jej pytanie brutalnie przypomniało mi Jakowa, małego pianistę z Żytomierza. „Tak, powiedziałem po chwili. Ale dawno nie miałem okazji ich słuchać”. — „Berndt grywa ich od czasu do czasu. Zwłaszcza Rameau. Mówi, że niektóre jego rzeczy są niezłe, niemal tak samo dobre jak Bacha, te na fortepian”. — „Też tak uważam”.

Przeprowadziłem kiedyś podobną rozmowę z Jakowem. Nie odezwałem się więcej. Doszliśmy do granicy parku, zawróciliśmy i postanowiliśmy zboczyć w stronę Friedenskirche i wyjścia. „A ty?”, spytałem. Jesteś szczęśliwa w tej swojej dziurze na Pomorzu?” — „Tak. Jestem szczęśliwa”. — „Nie nudzisz się? Musisz się chyba czasem czuć samotna”. Znow długo na mnie patrzyła, zanim odrzekła: „Niczego mi nie brakuje”. Te słowa mnie zmroziły. Wsiedliśmy w omnibus, dojechaliśmy do dworca. Gdy czekaliśmy na pociąg, poszedłem kupić „Völkische Beobachter”; Una roześmiała się, gdy to zobaczyła. „Czemu się śmiejesz?” — „Przypomniał mi się żart Berndta. Nazywa «VB» *Verblödungsblatt*, Gazetą Otumanionych”. Obruszyłem się: „Niech lepiej uważa, co mówi”. — „Bez obaw. Nie jest idiotą, ma inteligentnych przyjaciół”. — „Nie mam obaw. Ostrzegam cię tylko, to wszystko”. Rzuciłem okiem na pierwszą stronę. Anglicy znow zbombardowali Kolonię, było mnóstwo ofiar wśród cywilów. Pokazałem jej artykuł: „Ci *Luftmörder* naprawdę nie mają wstydu, oburzyłem się. Mówią, że bronią wolności, a zabijają kobiety i dzieci”. — „My też zabijamy kobiety i dzieci”, odpowiedziała łagodnie. Na te słowa poczułem wstyd, ale wstyd natychmiast przerodził się w gniew: „Zabijamy wrogów, bronimy naszego kraju”. — „Oni też bronią swojego kraju”. — „Oni zabijają niewinnych cywilów!” Byłem purpurowy ze złości, Una pozostała spokojna. „Nie wszyscy likwidowani przez was ludzie mieli broń w rękach, gdy ich aresztowaliście. Wy też zabijaliście dzieci”. Wściekłość dusiła mnie, nie potrafiłem jej tego wyjaśnić; różnica wydawała mi się oczywista, ale ona upierała się przy swoim, twierdziła, że jej nie widzi. „Uważasz mnie za mordercę!”, krzyknąłem. Złapała mnie za rękę: „Ależ skąd. Uspokój się”. Uspokoilem się i wyszedłem zapalić, po czym wsiedliśmy do pociągu: Teraz też patrzyła na drzewa Grunewaldu, a ja patrzyłem na nią i pogrążałem się, zrazu powoli, później w tempie coraz bardziej zawrotnym, we wspomnieniu naszego ostatniego spotkania. To było w trzydziestym czwartym, zaraz po naszych dwudziestych pierwszych urodzinach. Byłem nareszcie wolny — oświadczyłem matce, że opuszczam Francję. W drodze do Niemiec zatrzymałem się w Zurychu, wynająłem pokój w jakimś hoteliku i poszedłem poszukać Uny, która tu studiowała. Mój widok zaskoczył ją, a przecież wiedziała już o zajściu w Paryżu pomiędzy mną a Moreau i matką oraz o mojej decyzji. Zaprosiłem ją na kolację do dość skromnej, lecz spokojnej restauracji. Mówiła, że podoba jej się w Zurychu, że ma przyjaciół, że Jung to niezwykły człowiek. Zjeżyłem się, słysząc ostatnie słowa, coś dziwnego było w jej tonie, ale nic nie powiedziałem. „A ty?”, spytała.

Opowiedziałem jej o swych nadziejach, o wstąpieniu na uniwersytet w Kilonii, o członkostwie w NSDAP także (zapisalem się podczas drugiej podróży do Niemiec, w trzydziestym drugim). Słuchała mnie, popijając wino; ja także piłem, lecz wolniej. „Nie jestem pewna, czy podzielam twój entuzjizm dla tego Hitlera, rzekła na to. Hitler wydaje mi się neurotyczny, pełen niezaleczonych kompleksów, frustracji i niebezpiecznych pretensji”. — „Jak możesz tak mówić!”, zacząłem długą tyradę. Una nadała się, zamknęła w sobie. Przerwałem, gdy zobaczyłem, że dolewa sobie wina, i chwyciłem jej dłoń, spoczywającą na kraciastym obrusie. „Una. To jest to, co *chcę* robić, to, co *muszę* robić. Nasz ojciec był Niemcem. Moja przyszłość jest w Niemczech, a nie pośród zepsutej francuskiej burżuazji!” — „Może masz rację. Ale boję się, że stracisz duszę, zadając się z tymi ludźmi”. Poczzerwieniałem ze złości i uderzyłem w stół: „Una!”. Wtedy po raz pierwszy podniosłem na nią głos. Pod wpływem uderzenia kieliszek przewrócił się, potoczył po stole, upadł u jej stóp i rozbił się w kałuży czerwonego wina. Podbiegł kelner ze zmiotką, a Una podniosła na mnie spuszczone dotąd oczy. Jej spojrzenie było jasne, niemal przezroczyście. „Wiesz, powiedziała, w końcu przeczytałam Prousta. Pamiętasz ten fragment?” Wyrecytowałem ze ściśniętym gardłem: *Ce verre sera, comme dans le Temple, le symbole de notre union indestructible*. Machnęła dłonią. „Nie, nie Max, niczego nie rozumiesz, nigdy niczego nie rozumiałeś”. Była czerwona na twarzy, chyba dużo wypła. „Zawsze wszystko brałeś zbyt serio. To były zabawy, dziecinne zabawy. Byliśmy dziećmi”. Oczy mi napuchły, gardło się zacisnęło. Z trudem panowałem nad swoim głosem. „Mylisz się, Una. To ty niczego nie rozumiałaś”. Znów się napiła. „Trzeba dorosnąć, Max”. Mijało siedem lat, odkąd nie byliśmy razem. „Nigdy, powiedziałem twardo. Nigdy”. I dotrzymałem tej obietnicy, choć nie taka była wola Uny.

W pociągu z Poczdamu patrzyłem na nią, ogarnięty poczuciem straty, jak gdybym kiedyś poszedł na dno i nigdy już nie zdołał się wynurzyć. A o czym myślała ona? Jej twarz nie zmieniła się od tamtej nocy w Zurychu, może tylko nieco się zaokrągliła. Dla mnie pozostała zamknięta, niedostępna, kryła w sobie inne, nieznanne mi życie. Przejeżdżaliśmy między eleganckimi domami Charlottenburga, dalej było zoo i Tiergarten. „Wiesz, odezwałem się, jestem w Berlinie już od jakiegoś czasu, a nie wybrałem się jeszcze do zoo”. — „Zawsze lubiłeś ogrody zoologiczne”. — „Tak. Muszę pójść tam na spacer”. Zeszliśmy na Lehrter Hauptbahnhof i wezwałem taksówkę, żeby odwieźć ją na Wilhelmplatz. „Chcesz zjeść ze mną kolację?”, spytałem przed wejściem do

Kaiserhof — „Chętnie, odrzekła, ale teraz muszę iść do Berndta”. Umówiliśmy się za dwie godziny, wróciłem do hotelu przebrać się i wykapać. Byłem wyczerpany. Echo jej słów mieszało się z wspomnieniami, wspomnienia — z marzeniami, a marzenia z myślami najbardziej szalonymi z szalonych. W pamięci utkwił mi tamten okrutny cytat z Szekspira: czy ona także przeszła do obozu matki? To był bez wątpienia wpływ jej męża, bałtyckiego barona. Myślałem wściekły: powinna była pozostać cnotliwa, tak jak ja. Niedorzeczność tej myśli rozśmieszyła mnie, śmiałem się długo i dziko, a jednocześnie chciało mi się płakać. O umówionej godzinie stawiłem się w Kaiserhof. Spotkałem się z Uną w holu, pośród wygodnych, kanciastych foteli i palm w donicach. Była ubrana tak samo jak po południu. „Berndt odpoczywa”, powiedziała. Ona też była zmęczona, więc postanowiliśmy zjeść w hotelu. Odkąd znów zaczęto otwierać restauracje, zgodnie z nową dyrektywą Goebbelsa, proponowano gościom *Feldküchengerichte*, dania z kuchni polowej, jako wyraz solidarności z oddziałami na froncie. *Maître d'hôtel*, który informował nas o tym fakcie, wbijał wzrok w medale na mojej piersi. Zrobiłem taką minę, że zaczął tracić wątek; radosny śmiech Uny uratował tę niezręczną sytuację: „Myślę, że mój brat już się tym przejadł”. — „Tak, oczywiście, powiedział szybko. Mamy także szwarcwaldzką dziczyznę. Z sosem śliwkowym. Doskonałą”. — „Świetnie, zaaprobowałem. I francuskie wino”. — „Do dziczyzny burgund?” Podczas kolacji rozmawialiśmy o tym i owym, omijając tematy, które najbardziej nas dotyczyły. Opowiedziałem jej jeszcze o Rosji, nie o rzeczach straszliwych, lecz o moich najbardziej ludzkich doświadczeniach: o śmierci Haniki i, przede wszystkim, Vossa: „Lubiłeś go”. — „Tak. To był świetny gość”. Ona zaś opowiadała mi o matronach z towarzystwa, które nie dawały jej spokoju, odkąd zjawiała się w Berlinie. Wybrała się z mężem na jedno przyjęcie i kilka elitarnych kolacji. Żony wysoko postawionych partyjnych dygnitarzy obgadywały tam *dezertarki z reprodukcyjnego frontu*, bezdietne kobiety, winne *zdrady wobec natury* z powodu *strajku brzucha*. Śmiała się: „Oczywiście, żadna nie miała na tyle odwagi, by atakować mnie otwarcie, każdy widzi, w jakim stanie jest Berndt. I dobrze zresztą, bo każdej jednej dałabym natychmiast w twarz. Umierały z ciekawości, krążyły wokół mnie jak sępy, ale nie śmiały zapytać wprost, czy mój mąż *funkcjonuje*”. Znów się roześmiała, wypita trochę wina. Nie odezwałem się; sam też się nad tym zastanawiałem. „Wyobraź sobie, że jedna z nich, gruba małżonka pewnego Gauleitera, obwieszona diamentami, z trwałą na niebieskawych włosach, miała czelność zasugerować mi, że — *gdyby któregoś*

dnia zaistniała taka konieczność — powinnam znaleźć sobie jakiegoś przystojnego esesmanna, który by mnie zapłodnił. Mężczyznę — jak to ona nazwała? *przyzwoitego, długogłowego, wyraziciela idei völkisch, o zdrowym ciele i umyśle*. Powiedziała mi, że istnieje biuro SS, które zajmuje się taką *pomocą eugeniczną* i że mogę się do nich zgłosić. Czy to prawda?” — „Tak mówią. To jest projekt Reichsführera, nazywa się Lebensborn. Ale nie wiem, jak to działa”. — „Im wszystkim naprawdę tam odbiło. Masz pewność, że nie jest to zwykły burdel dla SS i kobiet z towarzystwa?” — „Nie, nie, to nie to samo”. Pokręciła głową. „No nic, najlepsza była konkluzja: *Przecież Duch Święty nie ześle pani dziecka*, tak mi powiedziała. Z trudem powstrzymałam się, żeby jej nie odparować, że żaden ze znanych mi oficerów SS nie jest wystarczająco wielkim patriotą, by zgodził się zrobić jej bachora”. Znow się roześmiała, wypła. Ledwo tknęła jedzenie, a opróżniła sama prawie całą butelkę i pomimo to jej spojrzenie pozostało jasne, nie była pijana. Na deser *maitre d'hôtel* zaproponował grejpfruta: nie jadłem ich od początku wojny. „Hiszpańskie”, sprecyzował. Una nie miała ochoty; przyglądała się, jak obieram i jem swój owoc; dałem jej do spróbowania kilka słodkawych cząstek. Odprowadziłem ją do holu. Patrzyłem na nią, a w ustach nadal miałem łagodny smak grejpfruta. „Dzielisz z nim pokój?” — „Nie, odpowiedziała, to byłoby zbyt skomplikowane”. Zawahała się i dotknęła mojej dłoni wierzchem zaokrąglonych paznokci: „Jeśli chcesz, wstąp na chwilę, napijemy się czegoś. Ale żadnych cyrków. Potem sobie pójdziesz”. W pokoju położyłem czapkę na jakimś meblu i usiadłem w fotelu. Una zdjęła buty, została w jedwabnych pończochach. Przeszła po miękkiej wykładzinie, naląła mi koniaku, usiadła na łóżku, założyła nogę na nogę i zapaliła papierosa. „Nie wiedziałem, że palisz”. — „Tylko czasem. Gdy piję”. Była najpiękniejszą istotą na świecie. Opowiedziałem jej o swoich planach związanych ze stanowiskiem we Francji, o trudnościach z jego otrzymaniem. „Powinieneś poprosić Berndta. Ma w Wehrmachcie wielu wysoko postawionych przyjaciół, towarzyszy z poprzedniej wojny. Może będzie mógł coś dla ciebie zrobić”. Te słowa były kroplą, która przepełniła czarę mojego gniewu: „Berndt! Mówisz tylko o nim!”. — „Uspokój się, Max. To mój mąż”. Wstałem i zacząłem krążyć po pokoju. „Mam to gdzieś! Jak może stać między nami? Nic tu po nim!” — „Max”. Mówiła cicho, jej wzrok pozostał spokojny. „On nie stoi między nami. Ci «my», o których mówisz, nie istnieją, tego już nie ma, to się rozpadło. Berndt to moja codzienność, musisz to zrozumieć”. Wściekłość, która kotłowała się we mnie, tak mocno mieszała się z pożądaniem, że nie wiedziałem, gdzie kończy się

jedno, a zaczyna drugie. Podszedłem blisko, złapałem ją za rękę: „Pocałuj mnie”. Pokręciła głową; po raz pierwszy dostrzegłem twarde błysk w jej spojrzeniu. „Nie zaczynaj”. Źle się czułem, było mi duszno; padłem przy łóżku jak ścięty z nóg i złożyłem głowę na jej kolanach jak na pniu katowskim. „W Zurychu mnie pocałowałaś”, zatkałem. — „W Zurychu byłam pijana”. Przesunęła się i położyła dłoń na kocu. „Chodź. Połóż się przy mnie”. Wszedłem w butach na łóżko i skuliłem się przy jej nogach. Przez pończochy wyczuwałem zapach jej ciała. Pogłaskała mnie po włosach. „Mój biedny mały braciszek”, szepnęła. Roześmiałem się przez łzy i wykrztusiłem: „Nazywasz mnie tak, bo urodziłaś się kwadrans wcześniej, bo to na twojej rączce zawieszono czerwoną kokardkę”. — „Tak, ale jest jeszcze jedna różnica: ja jestem teraz kobietą, a ty pozostałeś małym chłopcem”. W Zurychu sprawy potoczyły się inaczej. Dużo wypła i ja też piłem. Po kolacji poszliśmy na spacer. Było zimno, drżała; trochę się potykała, więc wziąłem ją pod ramię, przytuliła się do mnie. „Chodź ze mną, poprosiłem. Do mojego hotelu”. Zaprotestowała miękko: „Nie bądź głupi, Max. Nie jesteśmy już dziećmi”. — „Chodź, upierałem się. Porozmawiamy trochę”. Ale byliśmy w Szwajcarii i nawet w hotelu takim jak mój portier robił trudności: „Przykro mi, mein Herr. Tylko hotelowi goście mają prawo przebywać w pokojach. Mogą państwo iść do baru, jeśli sobie życzą”. Una już się odwracała we wskazanym przez niego kierunku, ale ją powstrzymałem. „Nie. Nie chcę nikogo oglądać. Chodźmy do ciebie”. Nie sprzeciwiała się, zaprowadziła mnie do swojej studenckiej klitki, malutkiej, pełnej książek i bardzo zimnej. „Dlaczego nie grzejesz mocniej?”, spytałem, grzebiąc w piecu, żeby rozpałić ogień. Wzruszyła ramionami i pokazała mi butelkę białego wina z Valais. „Mam tylko to. Odpowiada ci?” — „Wszystko mi odpowiada”. Otworzyłem butelkę i napełniłem po brzegi dwa kubki, które trzymała, śmiejąc się. Wypiła, usiadła na łóżku. Byłem spięty, przyczajony; podszedłem do stołu i z uwagą studiowałem grzbiety książek ułożonych w stos. Większość nazwisk autorów nic mi nie mówiła. Wziąłem jedną na chybił trafił. Una spojrzała i znów wybuchnęła piskliwym śmiechem, który szarpał mi nerwy. „Ach, Rank. Rank jest dobry”. — „Kto to?” — „Były uczeń Freuda, przyjaciel Ferenczego. Napisał piękną książkę o kazirodztwie”. Odwróciłem się i wbiłem w nią wzrok. Przestała się śmiać. „Dlaczego wypowiadasz na głos to słowo?”, wydusiłem z siebie. Wzruszyła ramionami i podała mi kubek. „Przestań gadać głupstwa, powiedziała. Lepiej nalej mi wina”. Odłożyłem książkę, chwyciłem butelkę. „To nie są głupstwa”. Znów wzruszyła ramionami. Nalałem jej wina, wypła. Podszedłem do niej z wyciągniętą dłonią, chciałem

dotknąć jej włosów, jej pięknych włosów, czarnych i gęstych. „Una...” Odsunęła moją dłoń. „Przestań, Max”. Zachwiała się lekko, przesunąłem dłonią po jej włosach, pogłaskałem policzek, szyję. Zesztywniała, ale nie odepchnęła mojej ręki, znów się napiła. „Czego chcesz, Max?” — „Chcę, żeby wszystko było jak przedtem”, odezwałem się cicho, z bijącym sercem. — „To niemożliwe”. Szczękała trochę zębami, znów się napiła. „Już przedtem nie było tak jak przedtem. Przedtem nigdy nie istniało”. Bredziła, oczy jej się zamykały. „Nalej mi wina”. — „Nie”. Odebrałem jej kubek i pochyliłem się, żeby pocałować ją w usta. Odepchnęła mnie mocno, lecz straciła przy tym równowagę i upadła do tyłu, na łóżko. Odstawiłem kubek i podszedłem do niej. Nie ruszała się, jej nogi w pończochach zwisały z łóżka, podciągnięta spódnica odsłaniała kolana. Krew pulsowała mi w skroniach, byłem wzburzony, w tamtej chwili kochałem ją bardziej niż kiedykolwiek dotąd, bardziej nawet niż w brzuchu matki, a ona, ona też mnie chyba kochała, tak samo mocno i na zawsze. Nachyliłem się nad nią, nie opierała się.

Nie wiem, kiedy zasnąłem; gdy się obudziłem, w pokoju było ciemno. Nie wiedziałem, gdzie jestem, w Zurychu czy w Berlinie. Światło nie przebijało się przez czarne zasłony biernej obrony przeciwlotniczej. Obok mnie majaczył niewyraźny kształt. Una wsunęła się pod prześcieradło i zasnęła. Długo słuchałem jej cichego, równego oddechu. Nieskończenie wolno odgarnąłem kosmyk z jej ucha i nachyliłem się nad jej twarzą. Trwałem tak, nie dotykając jej, wachałem jej skórę i oddech, nasycony wonią papierosa. Po chwili wstałem, przemierzyłem dywan małymi kroczkami, wyszedłem. Na ulicy spostrzegłem, że zostawiłem czapkę, ale nie wróciłem się na górę, poleciłem portierowi zawołać taksówkę. W hotelu, w moim pokoju, znów napłynęły wspomnienia, karmiły moją bezsenność, a były to tym razem wspomnienia brutalne, wstrząsające, odrażające. Już jako dorośli ludzie zwiedzaliśmy swoje Muzeum Tortur, były tam wszystkie rodzaje biczów, szczypce, „dziewice norymberskie” i gilotyna w ostatniej sali. Na widok tych przyrządów moja siostra oblała się purpurą: „Chcę się tu położyć”. Sala była pusta; poszedłem do strażnika, wsunąłem mu w rękę banknot: „Niech pan nas zostawi samych na dwadzieścia minut”. — „Dobrze, proszę pana”, zgodził się z uśmiechem. Zamknąłem za nim drzwi, usłyszałem, jak przekręca klucz. Una wyciągnęła się na desce. Otworzyłem ramę gilotyny, kazałem jej położyć głowę i zamknąłem z powrotem nad długą szyją, starannie odgarnawszy ciężkie włosy. Dyszała. Związałem jej swoim paskiem ręce na plecach, podciągnąłem spódnicę. Nie pofatygowałem się nawet, żeby zdjąć jej

majtki, przesunąłem koronki na bok, i rozchyliłem dłońmi pośladki: w przedziałku, pośród włosków, delikatnie pulsował otwór odbytu. Naplułem tam. „Nie”, zaprotestowała. Wyjąłem członek, położyłem się na niej i wbiłem się do środka. Wydała z siebie długi, zduszony jęk. Miażdżyłem ją całym swym ciężarem; znajdowałem się w niewygodnej pozycji — opuszczone spodnie krępowały mi nogi — i mogłem wykonywać tylko pojedyncze pchnięcia. Pochylony nad ramą gilotyny, z szyją położoną tuż pod ostrze, szeptałem: „Zaraz pociągnę za uchwyt, odblokuję nóż”. Błagała mnie: „Proszę cię, pierdol mnie w cipkę”. — „Nie”. Rozkosz przyszła nagle, wstrząs opróżnił mi głowę, jak łyżka, którą ktoś wyskrobuje ze skorupki zawartość jajka na miękko. Lecz to wspomnienie jest niepewne — od dzieciństwa widzieliśmy się jeden, jedyny raz, właśnie w Zurychu, a w Zurychu nie było gilotyny, nie wiem, to pewnie sen, może jakiś dawny sen, który przypominałem sobie w swym samotnym pomieszczeniu, w ciemnym pokoju hotelu Eden, albo może nawet sen śniony tamtej nocy, gdy na krótką chwilę, sam nie wiem kiedy, udało mi się zasnąć. Czułem złość, bo cały dzień, pomimo rozczarowania, które ze sobą przyniósł, był dla mnie wyprawą w niewinność, a te złe obrazy tylko ją zbrukały. Napawało mnie to wstrętem i jednocześnie poruszało, bo wiedziałem, że „to” żyło we mnie, nieważne — wspomnienie, wizja, fantazja czy sen — i było częścią — tak, „to” także — mojej miłości.

Rankiem, około dziesiątej, do drzwi zapukał boy hotelowy: „Herr Sturmbannführer, telefon do pana”. Zszedłem do recepcji, podniosłem słuchawkę, po drugiej stronie zadźwięczał radosny głos Uny: „Max? Zjesz z nami obiad? Zgódź się. Berndt chciałby cię poznać”. — „Dobrze. Gdzie?” — „U Borchardta. Znasz? Na Französischestrasse. O trzynastej. Gdybyś dotarł wcześniej, podaj nasze nazwisko, zarezerwowałam stolik”. Wróciłem do pokoju, ogoliłem się, wziąłem prysznic. Ponieważ nie miałem czapki, włożyłem cywilne ubranie i przypiąłem Żelazny Krzyż do butonierki. Przyszedłem przed czasem, zapytałem o rezerwację dla Freiherr von Üxküll — był to stolik stojący nieco na uboczu. Zamówiłem szklankę wina. Zadumany, ciągle jeszcze zasmucony nocnymi wizjami, myślałem o dziwnym małżeństwie mojej siostry, o jej dziwnym mężu. Stało się to w 1938 roku, akurat kończyłem studia. Po nocy w Zurychu siostra pisywała do mnie rzadko, ale tamtego roku, wiosną, dostałem od niej długi list. Opowiadała w nim, że jesienią trzydziestego piątego poważnie zachorowała. Poddała się psychoanalizie, ale jej depresja tylko się pogłębiła, więc wysłano ją do sanatorium koło Davos, by odpoczęła i

nabrała sił. Została tam kilka miesięcy i na początku trzydziestego szóstego poznała mężczyznę, kompozytora. Zaczęli się regularnie spotykać, planowali ślub. *Mam nadzieję, że ucieszysz cię moje szczęście*, pisała.

Ten list na kilka dni odebrał mi chęć do życia. Przestałem chodzić na uczelnię, nie wychodziłem z pokoju, leżałem w łóżku, wbijając wzrok w ścianę. Proszę, mówiłem sobie, do czego to prowadzi. Mówią człowiekowi o miłości, a gdy tylko nadarzy się okazja, perspektywa dobrego, burżujskiego zamążpójścia, hop, kładą się na plecach i rozkładają nogi. Och, moja gorycz była nieprzebrana. Wydawało mi się, że to nieuchronny koniec pewnej starej historii, która prześladowała mnie bez wytchnienia: mojej rodzinnej historii, która niemal od zawsze uparcie niszczyła każdy ślad miłości w moim życiu. Nigdy nie czułem się bardziej samotny. Gdy trochę wróciłem do siebie, odpisałem jej sztywno i konwencjonalnie, pogratulowałem i życzyłem szczęścia.

W tamtym czasie zaczynałem przyjaźnić się z Thomasem, przeszliśmy już wtedy na „ty”, i poprosiłem go, by dowiedział się czegoś o jej narzeczonym, Karlu Berndcie Egonie Wilhelmie Freiherr von Üxküll. Był to arystokrata, niemiecki Bałt, dużo od niej starszy, w dodatku sparaliżowany. Nie mogłem tego zrozumieć. Thomas przekazał mi szczegóły: wyróżnił się podczas Wielkiej Wojny, skończył ją w randze Obersta z medalem Pour le Merite; następnie dowodził regimentem Landswehry w Kurlandii przeciwko czerwonym Łotyszom. Tam, na swych ojczystych ziemiach, został postrzelony w kręgosłup i już na noszach, zanim zmuszono go do odwrotu, kazał podpalić domostwo swych przodków, *by bolszewicy nie pokalali go rozpustą i gównem*. Jegoteczka w SD była dość pokaźna: choć nie można go było w stu procentach uznać za opozycjonistę, nie był chyba dobrze widziany przez niektórych przedstawicieli władzy. W latach Republiki Weimarskiej zyskał europejskie uznanie jako kompozytor muzyki współczesnej, wiedziano, że jest przyjacielem i stronnikiem Schönberga, utrzymywał kontakty z muzykami i pisarzami ze Związku Radzieckiego. Poza tym po Przejęciu Władzy przez Hitlera, odrzucił zaproszenie Straussa do Reichsmusikkammer, co położyło kres jego karierze publicznej, odmówił także członkostwa w Partii. Żył na uboczu, w posiadłości należącej do rodziny jego matki. Był to dworek na Pomorzu, do którego wprowadził się po porażce armii Bermondta i ewakuacji z Kurlandii. Opuszczał go jedynie na czas szwajcarskich kuracji. Według raportów Partii i lokalnego SD rzadko miewał gości, a jeszcze rzadziej kogokolwiek odwiedzał, wolał nie bratać się z socjetą Kreis. „Dziwak, podsumował Thomas.

Zgorzkniały i pełen zahamowań arystokrata, dinozaur. Dlaczego twoja siostra poślubiła tego kalekę? Ma kompleks pielęgniarce?” Właśnie, dlaczego? Gdy otrzymałem zaproszenie na ślub, który miał się odbyć na Pomorzu, odpowiedziałem, że ze względu na studia nie mogę przyjechać. Mieliśmy po dwadzieścia pięć lat i czułem, że umiera wszystko, co kiedykolwiek było naprawdę nasze.

W restauracji przybywało gości: jeden z kelnerów pchał wózek von Üxküll, a Una szła z moją czapką pod pachą. „Masz, powiedziała wesoło i pocałowała mnie w policzek. Zapomniałeś”. — „Wiem, dziękuję”, odrzekłem, czerwieniąc się. Uścisnąłem dłoń von Üxküllowi, podczas gdy kelner odnosił jedno z krzeseł, i oświadczyłem dość uroczyście: „Freiherr, miło mi pana poznać”. — „Mnie również, Sturmbannführer, mnie również”. Una dopchała go na miejsce, usiadłem naprzeciw. Siostra zajęła krzesło między nami. Von Üxküll miał surową twarz, bardzo cienkie wargi i siwe włosy ostrzyżone na jeża: jego brązowe oczy były nadspodziewanie wesołe, miał w kącikach kurze łapki. Był ubrany skromnie, w garnitur z szarej wełny i dżersejowy krawat, żadnych odznaczeń, a jedynym klejnotem był złoty sygnet, który dostrzegłem, gdy położył dłoń na dłoni Uny: „Czego się napijesz, kochana?”. — „Wina”. Una sprawiała wrażenie bardzo wesołej, szczęśliwej; zastanawiałem się, czy udaje. Bo oczywiste było, że rezerwa von Üxküll jest całkowicie naturalna. Nalano nam wina i von Üxküll zaczął wypytywać mnie o ranę i rekonwalescencję. Słuchając mojej odpowiedzi, popijał wino, bardzo powoli, małymi łydkami. Ponieważ nie bardzo wiedziałem, co mogę jeszcze dodać na ten temat, spytałem, czy wybrał się w Berlinie na jakiś koncert. „Nie grają niczego, co mnie interesuje, odrzekł. Ten młody Karajan niezbyt mi się podoba. Jest jeszcze zbyt zadufany w sobie, arogancki”. — „Więc woli pan Furtwänglera?” — „Furtwänglera nie stać już na żadne niespodzianki. Ale jest bardzo solidny. Niestety, nie pozwalają mu grać oper Mozarta, to robił najlepiej. Podobno Lorenzo da Ponte był pół-Zydem, a *Czarodziejski flet* to masońska opera”. — „Pan w to nie wierzy?” — „To całkiem możliwe, ale niech mi pan wskaże choć jednego niemieckiego widza, który samodzielnie potrafi sobie zdać z tego sprawę. Żona powiedziała mi, że lubi pan dawną muzykę francuską”. — „Tak. Zwłaszcza utwory instrumentalne”. — „Ma pan dobry gust. Rameau i wielki Couperin są nadal zbyt lekceważeni. Istnieje cały skarbiec utworów na viola da gamba z XVII wieku, jeszcze niezbadany, miałem możliwość obejrzenia kilku rękopisów. Coś wspaniałego. A pierwsza połowa XVIII wieku we Francji to szczyt artyzmu. Dziś już nikt nie umie tak

komponować. Romantycy wszystko zaprzepaścili, do tej pory nie możemy sobie z tym poradzić”. — „Właśnie, wiesz, że Furtwängler dyrygował w tym tygodniu?, wtrąciła się Una. W Admiralspalast. Była ta Tina Lemnitz, jest niezła. Ale nie poszliśmy. Grali Wagnera, a Berndt nie lubi Wagnera”. — „Mało powiedziane, podjął von Üxküll. Ja go nienawidzę. Z technicznego punktu widzenia dokonał niezwykłych odkryć, wprowadził naprawdę nowe rzeczy, obiektywnie dobre, lecz wszystko to ginie w emfazie, w gigantyzmie oraz w ordynarnej manipulacji emocjami, co się zresztą dzieje w większej części muzyki niemieckiej po 1815 roku. Tworzy się to wszystko dla ludzi, których muzycznym punktem odniesienia pozostają, w gruncie rzeczy, wojskowe fanfary. Z fascynacją czytam partytury Wagnera, ale nie mogę go słuchać”. — „Żaden niemiecki kompozytor nie znajduje uznania w pańskich oczach?” — „Po Mozarcie i Beethovenie? Kilka utworów Schuberta, fragmenty Mahlera. A i to tylko dlatego, że jestem wyrozumiały. W gruncie rzeczy właściwie tylko Bach... i teraz, ma się rozumieć, Schönberg”. — „Proszę wybaczyć, ale zdaje mi się, że trudno jest zaliczyć muzykę Schönberga do muzyki niemieckiej”. — „Młody człowieku, odgryzł się oschle von Üxküll, niech mi pan nie próbuje dawać lekcji antysemityzmu. Byłem antysemitą, zanim pan w ogóle pojawił się na świecie, choć jestem zbyt staroświecki, by wierzyć, iż sakrament chrztu jest na tyle skuteczny, żeby zmyć z nas całe piętno judaizmu. Schönberg to geniusz, największy od czasów Bacha. Jeżeli Niemcy go nie chcą, ich problem”. Una wybuchnęła dźwięcznym śmiechem: „Nawet w «VB» piszą jeszcze o Berndcie jako o jednym z czołowych przedstawicieli niemieckiej kultury. Lecz gdyby był pisarzem, siedziałby teraz w Stanach, jak Schönberg i Mannowie, albo w Sachsenhausen”. — „To dlatego nie grają pana od dziesięciu lat?”, spytałem. Von Üxküll odpowiedział, machając widelcem: „Po pierwsze, nie jestem członkiem Musikkammer, więc w kraju grać mnie nie mogą. A skoro tak, to ja nie pozwalam grać mojej muzyki za granicą”. — „Więc czemu się pan nie zapisze?” — „Dla zasady. Właśnie z powodu Schönberga. Gdy został wyrzucony z Akademii i musiał opuścić Niemcy, zaproponowano mi jego miejsce; kazałem im spierdalać. Strauss spotkał się ze mną osobiście. Sam właśnie zajął miejsce Brunona Waltera, wielkiego dyrygenta. Powiedziałem mu, że powinien się wstydzić, że to jest rząd gangsterów i zgorzkniałych proletariuszy, który nie przetrwa długo. Strauss zresztą wyleciał dwa lata później, za synową Żydówkę”. Zmusiłem się do uśmiechu: „Nie chcę się wdawać w dyskusję polityczną. Ale słuchając pańskich opinii, trudno mi

zrozumieć, jak może się pan uważać za antysemitę”. — „A przecież to proste, odpowiedział von Üxküll z wyższością. Walczyłem z Żydami i czerwonymi w Kurlandii i w Memlu. Toczyłem boje na rzecz wydalenia Żydów z niemieckich uniwersytetów, z niemieckiego życia politycznego i gospodarczego. Piłem za zdrowie zabójców Rathenaua. Ale muzyka to co innego. Wystarczy zamknąć oczy i posłuchać, żeby natychmiast wiedzieć, czy jest dobra, czy nie. To nie ma nic wspólnego z pochodzeniem, każda wielka muzyka, nieważne: niemiecka, francuska, angielska, włoska, rosyjska czy żydowska, jest równie dobra. Meyerbeer nic nie jest wart, nie dlatego, że był Żydem, ale dlatego, że po prostu nic nie jest wart. A Wagner, który nienawidził Meyerbeera, ponieważ ten był Żydem i mu pomógł, jest, jak na mój gust, wart niewiele więcej”. — „Jeśli Max powtórzy swoim kolegom to, co tu opowiadasz, rzuciła Una ze śmiechem, to będziesz miał kłopoty”. — „Mówiłaś, że jest inteligentny, odparł, patrząc na nią. Czynię ci zaszczyt, wierząc na słowo”. — „Nie jestem muzykiem, odezwałem się, więc trudno mi panu odpowiedzieć. Utworów Schönberga, które znam, nie da się, moim zdaniem, słuchać. Jedno jest pewne: nie idzie pan z nurtem nastrojów panujących w kraju”. — „Młody człowieku, odciął się, kiwając głową, nawet się nie staram. Od dawna nie wtrącam się w życie publiczne i liczę na to, że życie publiczne nie będzie się wtrącało w moje sprawy”. Nie zawsze mamy wybór — to chciałem mu odpowiedzieć, ale ugryzłem się w język.

Pod koniec kolacji, za namową Uny, powiedziałem von Üxküllowi o moich pragnieniach związanych ze stanowiskiem we Francji. Una dorzuciła: „Nie mógłbyś mi pomóc?”. Von Üxküll zastanowił się chwilę: „Zobaczę. Ale moi przyjaciele z Wehrmachtu nie mają zbyt wiele serca dla SS”. Sam zaczynałem już to rozumieć i czasem mówiłem sobie, że to Blobel miał rację wtedy, gdy tak majaczył w Charkowie. Odnosiłem wrażenie, że wszystkie próby, które podejmowałem, prowadziły do ślepego zaułka: Best rzeczywiście przysłał mi swój *Festgabe*, ale ani słowem nie wspomniał o Francji; Thomas starał się dodawać mi otuchy, ale nie zdołał niczego dla mnie zrobić. A ja, całkowicie zaabsorbowany myślami o siostrze i jej obecnością, zapadałem się we własną niemoc, sztywny, skamieniały, smutny słup soli na brzegu Morza Martwego. Tamtego wieczoru siostra i jej mąż byli zaproszeni na jakieś przyjęcie, Una zaproponowała, żebym poszedł z nimi; odmówiłem. Nie chciałem oglądać jej wśród arystokratycznych lekkoduchów, aroganckich, pijanych, raczących się szampanem i żartujących ze wszystkiego, co dla mnie było świętością. Wiedziałem, iż w otoczeniu tych ludzi będę się czuł bezsilny i

zawstydzony, jak jakieś niewydarzone dziecko. Ich sarkazm raniłby mnie, a moje zaleźnienie nie pozwalałoby mi się bronić. Ich świat pozostawał zamknięty przed ludźmi takimi jak ja, a oni świetnie potrafili dać to do zrozumienia. Zamknąłem się w pokoju. Próbowałem czytać *Festgabe*, ale słowa nie miały dla mnie żadnego sensu. Zatraciłem się więc w delikatnym kołysaniu szalonych złudzeń: Una, trawiona wyrzutami sumienia, wymyka się z przyjęcia, przychodzi do mnie, do hotelu, otwierają się drzwi, ona się uśmiecha i przeszłość zostaje odkupiona. Wszystko to było zupełnie idiotyczne, wiedziałem, lecz im więcej czasu upływało, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że ta chwila nadejdzie, tu, teraz. Siedziałem na sofie, pogrążony w ciemności, moje serce zrywało się na każdy odgłos, dobiegający z korytarza, na każdy brzęk windy. Oczekiwałem, zawsze jednak otwierały się i zamykały inne drzwi, a rozpacz napływała jak czarna woda, jak zimna, bezlitosna woda, która oblewa topielców i kradnie im oddech, cenne powietrze. Nazajutrz Una i von Üxküll mieli jechać do Szwajcarii.

Zadzwoniła do mnie rano, na chwilę przed odjazdem pociągu. Jej głos był słodki, czuły, ciepły. Rozmowa trwała krótko, tak naprawdę nie zwracałem uwagi na to, co mówi, słuchałem tego głosu, uczepony słuchawki, zatopiony w rozpacz. „Możemy się spotkać, mówiła, możesz do nas przyjechać”. — „Zobaczymy”, odpowiedział moimi ustami ktoś inny. Powróciły mdłości, myślałem, że zaraz zwymiotuję, przełykałem konwulsyjnie ślinę, oddychałem przez nos, udało mi się powstrzymać. Una odłożyła słuchawkę i znowu zostałem sam.

Thomas zdołał w końcu zorganizować mi spotkanie z Schulzem. „Ponieważ sprawy nie posuwają się naprzód, sądzę, że warto spróbować. Ale postaraj się zachowywać taktownie”. Nie musiałem się zbytnio wysilać: Schulz był małym, cherlawym człowieczkiem, który mamrotał coś pod wąsem, jego usta przecinała brzydka blizna, pozostałość po pojedynku; mówiąc, używał peryfraz, czasem niezrozumiałych i, obsesyjnie kartkując moje dossier, rzadko dawał mi dojść do słowa. Udało mi się pokrótce wyrazić zaciekawienie polityką zagraniczną Rzeszy, ale jakoś nie podjął tematu. Ze spotkania wynikało, że *jest zainteresowanie moją osobą na bardzo wysokim szczeblu*, ale że *zobaczymy, co się okaże, pod koniec rekonwalescencji*. Nie brzmiało to zachęcająco, Thomas potwierdził moją interpretację: „Ci z Francji musieliby mieć dla ciebie określone

stanowisko. Bo jak nie, to wyślą cię gdziekolwiek, choćby do Bułgarii. Miałbyś tam spokój, zgoda, ale ich wino jest dość podłe”. Best sugerował, że powinienem skontaktować się z Knochenem, ale słowa Thomasa naprowadziły mnie na lepszy pomysł — w końcu miałem urlop, nic nie trzymało mnie w Berlinie.

Wsiadłem do nocnego ekspresu i dotarłem do Paryża o świcie. Na przejściach granicznych nie miałem żadnych kłopotów. Stałem przed dworcem i z przyjemnością patrzyłem na blade, szary kamień budowli, na ruch uliczny; ze względu na restrykcje jeździło mało samochodów, ale szosy pełne były rowerów i wózków bagażowych, niemieckie auta przedzierały się przez nie z trudem. Rozweselony wszedłem do pierwszej napotkanej kawiarni i wypilem przy kontuarze kieliszek *fine*. Byłem w cywilu, nic nie zdradzało przed ludźmi, że nie jestem Francuzem, a to sprawiało mi dziwną przyjemność. Poszedłem wolno aż do Montmartre'u, gdzie zatrzymałem się w dyskretnym hoteliku na zboczu wzgórza, tuż nad placem Pigalle. Znałem to miejsce: pokoje były tu skromne i czyste, a właściciel nie interesował się życiem gości, co bardzo mi odpowiadało. Pierwszego dnia nie miałem ochoty spotykać się z nikim. Wybrałem się na spacer. Był kwiecień, wszędzie widać było oznaki wiosny, w lekkim błękitnie nieba, w pączkach i kwiatach na gałęziach drzew, w lekkich albo chociaż mniej ciężkich krokach przechodniów. Wiedziałem, że życie było tu trudne, żółtawa cera wielu twarzy zdradzała problemy z zaopatrzeniem. A jednak miałem wrażenie, że od mojej ostatniej wizyty nic się nie zmieniło, poza ruchem ulicznym i napisami na murach: często natykałem się na STALINGRAD lub 1918, najczęściej pozamazywane lub zastąpione datą 1763 — prawdopodobnie błyskotliwa inicjatywa naszych służb. Niespiesznie zszedłem nad Sekwanę, pobuszowałem trochę na straganach bukinistów na nabrzeżu: ku mojemu zdziwieniu, oprócz Céline'a, Drieu, Mauriaca, Bernanosa czy Motherlanta, otwarcie sprzedawano Kafkę, Prousta, a nawet Tomasza Manna: luz wydawał się tu regułą. Niemal każdy sprzedawca miał egzemplarz książki Rebateta, *Les décombres*, która ukazała się rok wcześniej; przekartkowałem ją zaciekawiony, ale zakup odłożyłem na później. W końcu zdecydowałem się na zbiór esejów Maurice'a Blanchota, krytyka z „La Nouvelle Revue Française” — przed wojną podobały mi się niektóre jego artykuły. Była to broszurowa odbitka, prawdopodobnie odsprzedana przez jakiegoś dziennikarza, nosiła tytuł *Faux pas*. Bukinista wyjaśnił mi, że publikacja książki opóźniła się z powodu braku papieru, i zapewnił, że jest to najlepsze, co aktualnie powstaje w literaturze, chyba że lubię Sartre'a,

ale on akurat nie lubi Sartre'a (wtedy jeszcze wcale nie słyszałem o Sartrze). Na placu Saint-Michel usiadłem przy fontannie w jednym z kawiarnianych ogródków, zamówiłem kanapkę i kieliszek wina. Poprzedni właściciel książki rozciął tylko pierwszy arkusz; kazałem przynieść nóż i czekając na kanapkę, rozciąłem pozostałe kartki, jak zawsze smakując ten powolny, spokojny rytuał. Papier był bardzo złej jakości, musiałem uważać, by nie ciąć za szybko i nie podrzeć kartek. Zjadłem i poszedłem do Ogrodów Luksemburskich. Zawsze lubiłem ten park, zimny, geometryczny, świetlisty, w którym panowało leniwe poruszenie. Wokół wielkiego kręgu centralnego stawu, wzdłuż rozchodzących się promieniście alejek, pośród drzew i nagich jeszcze klombów chodzili ludzie, szeptali, rozmawiali, czytali albo z zamkniętymi oczyma wystawiali twarze do bladego słońca. Nieprzerwany, spokojny szum. Usiadłem na metalowym krześle, pokrytym zieloną łuszczącą się farbą, i przeczytałem kilka esejów wybranych na chybił trafił — najpierw ten o Orestesie, który zresztą mówił głównie o Sartrze. Sartre napisał podobno sztukę, w której wykorzystał postać nieszczęsnego ojcobójcy, by przedstawić swoje idee na temat wolności człowieka w zbrodni. Blanchot oceniał go surowo, a ja nie mogłem się z nim nie zgodzić. Ale najbardziej spodobał mi się artykuł o *Mobym Dicku* Melville'a — Blanchot mówił w nim o *książce niemożliwej*, która wycisnęła piętno na mojej młodości, o tym *pisemnym odpowiedniku wszechświata*, tajemniczo, jako o dziele, które *zachowuje ironiczny charakter zagadki i ujawnia się wyłącznie w pytaniu, które zadaje*. Mówiąc szczerze, niewiele rozumiałem z tego, co pisał, ale budziło to we mnie nostalgię za życiem, które mogłem wieść: przyjemność swobodnej zabawy myślą i mową zamiast uciążliwej dyscypliny prawa. Z radością poddawałem się meandrom tej ważkiej, cierplivej myśli, która torowała sobie drogę pośród idei jak podziemna rzeka, drążąca powoli twardą skałę. W końcu zamknąłem książkę i poszedłem dalej, najpierw w stronę Odeonu, gdzie napisów na murach było coraz więcej, a potem opustoszałym bulwarem Saint-Germain do gmachu Zgromadzenia Narodowego. Widok tych wszystkich miejsc budził drogie wspomnienia z lat *classes préparatoires* i późniejszych, gdy już studiowałem. Był to burzliwy czas w moim życiu, pamiętam, jak narastała we mnie nienawiść do Francji, lecz po latach wspomnienia te wracały do mnie jakby złagodzone, niemal szczęśliwe, skąpane w spokojnym, bez wątpienia deformującym świetle. Szedłem dalej do placu Inwalidów, na którym przechodnie zebrali się, by obserwować robotników, którzy przy pomocy koni pociągowych orali trawnik, by posiać na nim warzywa; dalej, tuż

przy lekkim czołgu produkcji czeskiej z wybitą swastyką, obojętne na ten widok dzieci grały w piłkę. Przeszedłem na drugi brzeg mostem Aleksandra III. Plakaty w Grand Palais informowały o dwóch wystawach: pierwsza nosiła tytuł: *Dlaczego Żyd chciał wojny?*, a druga prezentowała kolekcję dzieł greckich i rzymskich. Nie czułem najmniejszej potrzeby doskonalenia antysemickiej wiedzy, za to antyk pociągał mnie, kupiłem bilet i wszedłem. Było tu wiele wspaniałych eksponatów, zapewne wypożyczonych z Luwru. Długo podziwiałem chłodne, spokojne, nieludzkie piękno pompejańskiego Apollona z cytrą, olbrzymią statuę z brązu, pozieleniałą od śniedzi. Miał smukłe ciało nie całkiem jeszcze dojrzałego mężczyzny, dziecięcy członek i wąskie, zaokrąglone pośladki. Chodziłem po całej wystawie, ale ciągnęło mnie tylko do niego: fascynowało mnie jego piękno. Mógłby to być banalny wizerunek młodzieńca, lecz śniedź, która wielkimi płatami kładła się na jego skórze, dodawała mu zdumiewającej głębi. Uderzył mnie jeden szczegół: pod jakimkolwiek kątem bym zaglądał mu w realistycznie wymalowane na brązie oczy, nasz wzrok nigdy się nie spotykał. Nie mogłem uchwycić jego spojrzenia, zatopionego, zagubionego w próżni wieczności. Metalowy trąd pokrywał pęcherzami jego twarz, pierś, pośladki, zżerał niemal w całości jego lewą rękę, tę, w której zapewne kiedyś trzymał instrument. Wyraz jego twarzy wydał mi się próżny, niemal pyszałkowaty. Gdy tak na niego patrzyłem, ogarnęło mnie pragnienie, by go wylizać; tymczasem on niszczał na mych oczach spokojnie, opieszale, bez końca. Wyszedłem i omijając Pola Elizejskie, spacerowałem po cichych uliczkach ósmej dzielnicy, powoli kierując się w stronę Montmartre'u. Zapadał zmierzch, powietrze pachniało przyjemnie. Właściciel hotelu polecił mi małą, czarnorynkową restaurację, gdzie mogłem zjeść bez kartek: „Pełno tam podejrzanych typów, ale karmią dobrze”. Rzeczywiście, na klientelę składali się głównie kolaboranci i aferzyści z czarnego rynku; podano mi *bavette* z dymką i fasolką szparagową oraz dobre bordeaux w karafce. Na deser tarta Tatin ze śmietaną i — najwyższy luksus — prawdziwa kawa. Lecz Apollon z Grand Palais obudził we mnie apetyt na coś innego. Zszedłem na Pigalle i odnalazłem mały bar, który dobrze znałem; usiadłem przy kontuarze, zamówiłem koniak i czekałem. Po niedługim czasie szedłem do hotelu z chłopcem. Nosił kaszkiet, a pod nim miał kręcone włosy w nieładzie. Lekki puszek pokrywał jego brzuch, delikatne kędziory czerniały na piersi; jego matowa skóra obudziła we mnie szalone pragnienie ust i tyłka. Był taki, jak lubiłem, posłuszny, gotów na wiele. Mój tyłek otworzył się dla niego niczym kwiat i gdy w końcu wszedł we mnie, u

podstawy kręgosłupa wyrosła mi kula białego światła, wspięła się powoli w górę i zawładnęła moją głową. Tamtego wieczoru, jak jeszcze nigdy dotąd, czułem, że w ten sposób upodabnam się do siostry, że się w nią wcielam, czy tego chce, czy nie. To, co się działo w moim ciele, wydanym na pastwę rąk i penisa nieznanego chłopca, wstrząsało mną. A gdy się skończyło, odesłałem chłopaka, lecz nie zasnąłem, leżałem w zmiętej pościeli, nagi i z rozrzuconymi ramionami, jak dzieciak unicestwiony przez szczęście.

Na drugi dzień wstąpiłem do redakcji „Je Suis Partout”. Prawie wszyscy moi paryscy przyjaciele pracowali tam lub trzymali się blisko. Zналиśmy się od dawna. Gdy jako siedemnastolatek przyjechałem do Paryża, żeby wstąpić do *classes préparatoires*, nie znałem nikogo. Wstąpiłem do liceum Janson-de-Sailly, zamieszkałem w internacie. Moreau obiecał mi niewielką miesięczną pensję, pod warunkiem że będę miał dobre oceny, i cieszyłem się względną swobodą; po więziennym koszmarze trzech wcześniejszych lat niewiele było trzeba, by mi zawrócić w głowie. Jednak zachowywałem się porządnie, nie rozrabiałem. Po lekcjach biegłem nad Sekwanę myszkować u bukinistów albo spotykałem się z kolegami w małej knajpce w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie przy podłym czerwonym winie zmienialiśmy bieg świata. Ale koledzy z klasy trochę mnie nudzili. Prawie wszyscy należeli do wielkiej burżuazji i przygotowywali się, by ślepo pójść w ślady swoich ojców. Mieli pieniądze, więc szybko nauczono ich, jak urządzony jest świat i jaka jest w tym świecie ich rola: dominująca. Wobec robotników czuli wyłącznie pogardę albo strach. Idee, którymi przesiąknąłem w czasie pierwszej podróży do Niemiec, że robotnicy stanowią tak samo jak burżuazja część Narodu, że porządek społeczny powinien być ustanowiony w sposób organiczny, ku korzyści wszystkich, a nie tylko kilku bogaczy, że ludu pracującego nie należy uciskać, lecz oferować mu godziwe życie i miejsce w tym porządku, aby uśmierzyć pokusę bolszewizmu — wszystko to było im obce. Ich opinie polityczne były równie krótkowzroczne co ich dobre burżujskie samopoczucie, więc dyskusowanie z nimi na temat faszyzmu czy niemieckiej partii narodowosocjalistycznej (która właśnie we wrześniu tamtego roku odniosła miażdżące zwycięstwo w wyborach, stając się tym samym drugą partią w kraju, a fala uderzeniowa tego zwycięstwa rozprzestrzeniała się na całą Europę) wydawało mi się jeszcze mniej sensowne od rozmów na temat ruchu młodzieżowego rozpowszechnianego przez Hansa Blühera. Freud (jeżeli w ogóle o nim słyszeli) był według nich erotomanem, Spengler —

szalonym i przemądrzałym Prusakiem, Jünger — podżegaczem wojennym, który wdał się w niebezpieczny flirt z bolszewizmem; nawet Peguy był dla nich podejrzany. Tylko mieszkańcy internatu z prowincji wydawali mi się nieco odmienni i to najbliżej nich się trzymałem. Jeden z tych chłopaków, Antoine R, miał starszego brata w École Normale Supérieure, uczelni, o której marzyłem, i to właśnie on zaprowadził mnie tam po raz pierwszy, piliśmy grog i dyskutowaliśmy o Nietzschem, którego odkrywałem wraz z jego bratem i kolegami brata z kantorka. Bertrand F. był *carré*, czyli studentem drugiego roku. Najlepsze pokoje, zwane w szkolnym żargonie „thurne”, z sofami, rycinami na ścianach i piecem były w większości zajmowane przez *cubes*, trzecioroczniaków. Pewnego dnia, przechodząc obok jednego z takich kantorków, zauważyłem grecki napis, wymalowany na nadprożu: „W tym pokoju pracuje sześciu pięknych i dobrych (*hex kaloi kagathoi*) — i pewien odmieniec (*kai tis allos*)”. Drzwi były otwarte, pchnąłem je i spytałem po grecku: „A któż jest tym odmieńcem?” Młody mężczyzna o okrągłej twarzy podniósł znad książki oczy ukryte za grubymi szklami okularów i odpowiedział w tym samym języku: „Hebrajczyk bez znajomości greki. A kimże ty jesteś?”. — „Także odmieńcem, lecz wykutym z lepszego kruszcu niż twój Hebrajczyk: jestem Niemcem”. — „Niemiec, który zna grekę?” — „Czyż jest lepszy język do rozmowy z Francuzem?” Roześmiał się i przedstawił: był to Robert Brasillach. Wyjaśniłem mu, że w rzeczywistości jestem pół-Francuzem, że mieszkam we Francji od 1924 roku. Spytał, czy byłem w Niemczech od tamtego czasu, opowiedziałem mu o wakacyjnej podróży; szybko przeszliśmy do narodowego socjalizmu. Uważnie słuchał moich opisów i wyjaśnień. „Wpadaj, gdy tylko zechcesz, powiedział na koniec. Mam przyjaciół, którzy z przyjemnością cię poznają”. Odkryłem dzięki niemu całkiem nowy świat, odmienny od świata przyszłych wysokich urzędników państwowych. Ci młodzi ludzie kultywowali wizje przyszłości narodu i Europy, o których zawzięcie dyskutowali, wspierając się przy tym rozległymi badaniami nad przeszłością. Mieli bardzo wszechstronne poglądy i zainteresowania. Brasillach, ze swoim przyszłym szwagrem Maurice'em Bardèche'em pasjonował się kinem, pokazał mi nie tylko Chaplina czy Rene Claira, lecz także Eisensteina, Langa, Pasta, Dreyera. Wprowadził mnie do lokali *Action française*, do ich drukarni przy rue Montmartre, mieszczącej się w pięknym wąskim budynku o renesansowych schodach, wypełnionym trzaskiem maszyn rotacyjnych. Kilka razy spotkałem Maurrasa, przychodził zawsze późno, koło jedenastej wieczorem, na wpół głuchy, rozgoryczony, lecz zawsze gotów

otworzyć serce, by wylać z niego całą żółć na marksistów, burżujów, republikanów i Żydów. Brasillach był wtedy całkowicie pod jego wpływem, natomiast dla mnie uparta nienawiść Maurrasa do Niemiec stanowiła przeszkodę nie do pokonania i często sprzeczałem się na ten temat z Robertem. Jeżeli Hitler dojdzie do władzy, twierdziłem, i zjednoczy niemiecki lud pracujący z klasą średnią, odpierając tym samym definitywnie czerwone zagrożenie, i jeśli we Francji stanie się to samo, i jeśli obu krajom uda się zlikwidować zgubny wpływ Żydów, wtedy serce Europy, jednocześnie nacjonalistyczne i socjalistyczne, stworzy, wspólnie z Włochami, niezwyciężony blok państw połączonych wspólnym interesem. Ale Francuzi paprzą się we własnych interesach drobnych maklerów i spóźnionym pragnieniu odwetu. Ma się rozumieć, Hitler anuluje krzywdzące postanowienia traktatu wersalskiego, taka jest czysta historyczna konieczność. Ale jeżeli zdrowe siły Francji potrafią, ze swej strony, zlikwidować skorumpowaną Republikę, a wraz z nią jej żydowskie marionetki, wtedy francusko-niemieckie porozumienie będzie nie tylko możliwe, lecz stanie się wręcz nieuniknioną rzeczywistością, nową europejską Ententą, która podetnie skrzydła brytyjskim plutokratom i imperialistom i wkrótce będzie gotowa stawić czoło bolszewikom i poprowadzić Rosję ku jednomyślnemu związkowi cywilizowanych narodów (jak widać, podróż do Niemiec dobrze wpłynęła na mój rozwój intelektualny; Moreau byłby przerażony, gdyby dowiedział się, jaki pożytek zrobiłem z jego pieniędzy). Brasillach zasadniczo się ze mną zgadzał: „Tak, mówił, skończył się tak zwany okres powojenny. Powinniśmy działać szybko, jeżeli chcemy zapobiec kolejnej wojnie. To byłaby katastrofa, kres europejskiej cywilizacji, triumf barbarzyńców”. Większość młodych uczniów Maurrasa myślała podobnie. Jednym z najbardziej błyskotliwych i ciętych był Lucien Rebatet, który pod pseudonimem Francois Vinneuil pisał w *Action française* krytyki literackie i filmowe. Był starszy ode mnie o dziesięć lat, ale szybko się zaprzyjaźniliśmy, zbliżyła nas słabość do Niemiec. Byli tam także Maxence, Blond, Jacques Talagrand, który zmienił potem nazwisko na Thierry Maulnier, Jules Supervielle i wielu innych. Spotykaliśmy się w *brasserie Lipp*, gdy któryś z nas miał większą gotówkę, a jeśli nie, to w studenckiej restauracji w Dzielnicy Łacińskiej. Dyskutowaliśmy gorączkowo o literaturze i próbowaliśmy stworzyć definicję literatury „faszystowskiej”: Rebatet za jej przykład podawał dzieła Plutarcha, Corneille'a, Stendhala. „Faszyzm, rzucił któregoś dnia Brasillach, to nic innego, jak poetyckie oblicze XX

wieku”. Nie mogłem się z nim nie zgodzić: *fasciste, facio, fascynacja* (później, gdy nieco zmądrzał lub po prostu stał się ostrożniejszy, ten sam tytuł przyznał komunizmowi).

Wiosną 1932 roku, gdy ja dopiero zdałem egzaminy na studia, większość moich przyjaciół z *École Normale* właśnie je kończyła; po wakacjach rozjechali się po całej Francji, jedni, by odbyć służbę wojskową, inni, by objąć przyznane im odgórnie nauczycielskie posady. Znowu spędziłem lato w Niemczech, gdzie wrzało: niemiecka produkcja spadła do połowy poziomu z 1929 roku, a Brünnig, wspierany przez Hindenburga, rządził, wydając coraz to nowe doraźne dekrety. Taka sytuacja nie mogła trwać w nieskończoność. Gdzie indziej zresztą także chwiały się ustalony porządek. W Hiszpanii klika masonów, rewolucjonistów i księży obaliła monarchię. Ameryka padała na kolana. We Francji bezpośrednie skutki kryzysu były mniej odczuwalne, co nie znaczy, że było różowo, komuniści cichaczem, lecz wytrwale wykonywali krecią robotę. Nie mówiąc nic nikomu, zgłosiłem swoją kandydaturę do NSDAP, sekcji *Ausland* (dla *Reichsdeutschen* mieszkających za granicą), i szybko zostałem przyjęty. Po wstąpieniu do ELSP jesienią, nadal spotykałem się z przyjaciółmi z *École Normale* i z *Action française*, którzy regularnie spędzali weekendy w Paryżu. Z większością moich kolegów ze studiów znałem się jeszcze z liceum Jansona, lecz ku mojemu zaskoczeniu, zajęcia były ciekawe. W tamtym czasie, zapewne pod wpływem Rebateta i jego nowego przyjaciela Louisa Destouchesa, niezbyt jeszcze znanego (*Podróż* właśnie się ukazała, lecz entuzjastyczne przyjęcie nie wykroczyło poza krąg wtajemniczonych i Céline lubił jeszcze spotykać się z młodymi ludźmi), zacząłem pasjonować się francuską muzyką fortepianową, którą właśnie odkrywano i grywano. Chodziłem z Céline'em na występy Marcelle Meyer i z jeszcze większą niż dotąd goryczą przeklinałem własne lenistwo i niefrasobliwość, przez które tak wcześnie zarzuciłem naukę gry na pianinie. Po nowym roku prezydent Hindenburg poprosił Hitlera o utworzenie rządu. Koledzy ze studiów trzęśli się ze strachu, przyjaciele czekali na rozwój wypadków, a ja nie posiadałem się z radości. Cóż z tego, skoro siedziałem we Francji, jak w potrzasku, podczas gdy tam partia miażdżyła czerwonych, zmiatała śmieci plutodemokracji i rozbijała burżujskie ugrupowania. Na naszych oczach, w naszej epoce, dokonywała się prawdziwa narodowa rewolucja, a ja mogłem ją tylko śledzić z daleka, dowiadywać się o niej z gazet i kronik filmowych. We Francji też wrzało. Wielu jeździło do Niemiec przyjrzeć się wypadkom z bliska, a wszyscy pisali i marzyli o podobnym przebudzeniu w ich własnym kraju. Nawiązywano kontakty z

Niemcami, którzy teraz oficjalnie wyrażali życzenie zbliżenia francusko-niemieckiego. Brasillach przedstawił mi Ottona Abetza, człowieka von Ribbentropa (wtedy jeszcze na stanowisku partyjnego doradcy do spraw zagranicznych): jego poglądy nie różniły się od tych, które sam głosiłem od czasu mojego pierwszego powrotu z Niemiec. Jednak dla wielu Maurras stanowił przeszkodę, tylko nieliczni ośmielali się przyznać, że czas już najwyższy wyjść poza jego hipochondryczne prorocтва, ale nawet ich powstrzymywała jego charyzma i fascynacja, jaką w nich budził, nawet oni się wahali. W tym samym czasie afera Stavisky'ego wydobyła na światło dzienne policyjną stronę korupcji w rządzie, a Actionfrançaise odzyskała autorytet moralny, utracony w 1918 roku. Wszystko to skończyło się 6 lutego 1934 roku. Była to dość niejasna sprawa: tego dnia ja też demonstrowałem na ulicy, razem z Antoine'em F. (który wraz ze mną wstąpił do ELSP), Blondem, Brasillachem i resztą. Od strony Pól Elizejskich usłyszeliśmy niewyraźne odgłosy wystrzałów; w okolicach placu Concorde biegali ludzie. Spędziliśmy resztę nocy, chodząc po ulicach, na widok innych młodych skandowaliśmy hasła. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że były śmiertelne ofiary. Maurras, u którego wszyscy instynktownie szukali porady, poddał się. Cała sprawa spaliła na panewce. „Francuska bezczynność”, pieklił się Rebatet i nigdy nie wybaczył Maurrasowi. Mnie było wszystko jedno: moja decyzja dojrzewała, nie widziałem dla siebie miejsca we Francji.

I właśnie na Rebateta natknąłem się teraz w redakcji „Je Suis Partout”. „O! Gość z zaświatów!” — „Jak widzisz, odpowiedziałem. Podobno jesteś teraz sławny?” Rozłożył ręce i skrzywił się: „Nic z tego nie rozumiem. Żebyś ty wiedział, jak się wysilałem, żeby nie pominąć nikogo w moich inwektywach. Zresztą z początku to nawet działało: Grasset odmówił wydania książki, ponieważ, jak mi wyjaśnił, *obrazilem zbyt wielu przyjaciół firmy*, a Gallimard chciał cenzurowe. Wreszcie łyknął to ten Belg, pamiętasz, ten, który drukował Céline'a? Rezultat: zbił majątek i ja razem z nim. W Rive Gauche, gdzie podpisywałem książkę, ludzie myśleli, że jestem gwiazdą filmową. Tylko Niemcom się nie podobało”. Spojrzał na mnie podejrzliwie: „Czytałeś?”. — „Jeszcze nie, czekam na egzemplarz autorski. A co? Mnie też obrażasz?” Roześmiał się: „Nie tak, jakbyś na to zasługiwał, szwabski gnojku. Zresztą wszyscy byli przekonani, że ległeś na polu chwały. Pójdziemy się napić?” Rebatet miał później jakieś spotkanie w okolicach Saint-Germain, więc wziął mnie do Café de Flore. „Lubię się czasem pogapić na zakazane mordy naszych dyżurnych *antyfaszystów*, zwłaszcza na miny, które robią na mój widok”. Rzeczywiście,

gdy wszedł, obrzucono go gradem chmurnych spojrzeń, ale kilka osób wstało, by się z nim przywitać. Widać było, że Lucien umie korzystać ze swego sukcesu. Miał na sobie jasny dobrze skrojony garnitur i muszkę w groszki, nieco przekrzywioną; czub rozczochranych włosów wieńczył jego wąską, ruchliwą twarz. Wybrał stolik po prawej, pod oknem, nieco na uboczu, a ja zamówiłem białe wino. Gdy wyjął bibułki do skręta, poczęstowałem go holenderskim papierosem, z przyjemnością skorzystał. Lecz nawet gdy się uśmiechał, miał zatroskane spojrzenie. „Opowiadaj”, rzucił. Nie widzieliśmy się od 1939 roku, wiedział tylko, że jestem w SS. Opowiedziałem mu pokrótce o kampanii w Rosji, bez wdawania się w szczegóły. Wytrzeszczył oczy: „Byłeś w Stalingradzie? O, cholera”. Patrzył na mnie dziwnie, z mieszaniną obawy i, chyba, zazdrości. „Byłeś ranny? Pokaż”. Pokazałem mu dziurę, zagwizdał z podziwem. „Miałeś chyba niezłego fuksa, co?” Nie odpowiedziałem. „Robert jedzie do Rosji, ciągnął, z Jeantetem. Ale to nie to samo”. — „Po co jadą?” — „To oficjalna podróż. Towarzyszą Doriotowi i Brinonowi. Jadą na inspekcję legionu francuskich ochotników, chyba gdzieś pod Smoleńsk”. — „A co słyhać u Roberta?” — „No właśnie, gniewamy się trochę ostatnio. Został przykładowym petainistą. Jak tak dalej pójdzie, wywalimy go na zbity pysk z «Je Suis Partout»,.. — „To aż tak?” Zamówił dwa następne kieliszki, dałem mu jeszcze jednego papierosa. „Posłuchaj, wyrzucił z siebie ze złością, dawno cię tu, we Francji, nie było, wierz mi, wszystko się zmieniło. Oni są jak wygłodniałe psy, gryzące się o ochłapy z truchła Republiki. Petain jest stetryczały, Laval zachowuje się gorzej niż Żyd, Déat chce tu odstawić jakiś socjo-faszyzm. Burdel na kółkach. Brakuje nam kogoś takiego jak Hitler. Na tym polega cały dramat”. — „A Maurras?” Rebatet skrzywił się z niesmakiem: „Maurras? Ta jego *Aktion* dla przechrztów? Nieżle go obsmarowałem w mojej książce. Podobno pozieleniał z wściekłości. Powiem ci coś jeszcze: od Stalingradu panuje tu niebywały chaos. Szczury zwiewają. Widziałeś napisy na murach? Nie ma vichysty który nie chroniłby u siebie partyzanta albo Żyda, to jak polisa ubezpieczeniowa na życie”. — „A to przecież jeszcze nie koniec”. — „Och, dobrze o tym wiem. Ale co zrobisz? To jest kraj tchórzy. Ja dokonałem wyboru i zdania nie zmienię. Jeśli okręt pójdzie na dno, to ja razem z nim”. — „W Stalingradzie przesłuchiwałem komisarza, który cytował mi Mathilde de la Mole, pamiętasz, z *Czerwonego i czarnego*, pod koniec?” Powtórzyłem mu tamto zdanie, wybuchnął śmiechem. „Świetne. Powiedział ci to po francusku?” — „Nie, po niemiecku. To był stary bolszewik, bojownik, bardzo mocny facet. Podobałby ci się”. — „Co z nim zrobiliście?”

Wzruszyłem ramionami. „Wybacz, zorientował się. Głupie pytanie. Ale miał rację. Wiesz, osobiście, podziwiam bolszewików. Z nimi to nie przelewki. System i porządek. Uginasz się albo giniesz. Stalin jest nadzwyczajny. Gdyby nie było Hitlera, może zostałemby komunistą, kto wie?” Napiliśmy się, patrzyłem na kręcących się po kawiarni ludzi. Kilka osób przy stoliku w głębi sali szepcząc wlepiło oczy w Rebateta, nie znałem ich. „Nadal zajmujesz się kinem?”, spytałem. — „Nie, już raczej nie. Teraz interesuję się muzyką”. — „Naprawdę? A znasz Berndta von Üxküll?” — „No jasne. A co?” — „To mój szwagier. Niedawno spotkałem go po raz pierwszy”. — „Nie żartuj! Ty to masz znajomości. Co się z nim dzieje?” — „Nic szczególnego, z tego, co zrozumiałem. Siedzi zadekowany u siebie, na Pomorzu”. — „Szkoda. Robił niezłe rzeczy”. — „Nie znam jego muzyki. Pokłóciliśmy się o Schönberga, on go broni”. — „Wcale mnie to nie dziwi. Żaden szanujący się kompozytor nie mógłby myśleć inaczej”. — „Ach, ty też zaczynasz?” Wzruszył ramionami. „Schönberg nigdy nie wtrącał się do polityki. Poza tym jego wielcy uczniowie, jak Webern czy właśnie Üxküll, są Aryjczykami, tak czy nie? Koncepcja Schönberga, seria, to potencjalność dźwięków, która istniała od zawsze, pewna dyscyplina, ukryta, można rzec, pod miękkością temperowanych skal, teraz każdy może z niej czerpać i robić z nią, co chce. To pierwszy poważny postęp w muzyce od czasów Wagnera”. — „Właśnie, von Üxküll nie cierpi Wagnera”. — „To niemożliwe!, wykrzyknął ze zgrozą. Niemożliwe!” — „Ale prawdziwe”. I powtórzyłem mu słowa von Üxkülla. „To absurd, zareagował ostro Rebatet, Bach, oczywiście... nic nie może równać się z Bachem. Jest nietykalny, wielki. I to, czego dokonał, definitywna synteza poziomu i pionu, harmoniczna architektura z melodyjną siłą. Położył kres wszystkiemu, co miało miejsce wcześniej, i stworzył ramy, z których wszyscy następcy chcieli się wymknąć w ten czy inny sposób, lecz rozsadzić je potrafił dopiero Wagner. Jak Niemiec, jak niemiecki kompozytor może nie padać na kolana przed Wagnerem?” — „A muzyka francuska?” Skrzywił się: „Ten twój Rameau? Jest *zabawny*”. — „Nie zawsze tak mówiłeś”. — „Człowiek dojrzewa, prawda?” W zamyśleniu dopił wino. Przez chwilę miałem ochotę opowiedzieć mu o Jakowie, ale porzuciłem tę myśl. „A we współczesnej muzyce, oprócz Schönberga, co ci się jeszcze podoba?”, spytałem. „Dużo rzeczy. Od trzydziestu lat muzyka budzi się, staje się szalenie interesująca. Strawinski, Debussy, coś wspaniałego”. — „A Milhaud, Satie?” — „Nie bądź głupi”. Do kawiarni wszedł Brasillach. Rebatet zawołał go głośno: „Hej, Robert! Zobacz, kogo tu mamy!”. Brasillach przyjrzał się nam

zza grubych, okrągłych szkieł, skinął ręką i usiadł przy innym stoliku. „On się staje naprawdę nieznośny, szepnął Rebatet. Boi się, że ktoś go zobaczy ze Szwabem. A przecież ty nawet nie jesteś w mundurze”. Chodziło jednak o coś zupełnie innego, dobrze o tym wiedziałem. „Pokłóciliśmy się trochę podczas mojego ostatniego pobytu w Paryżu”, wyjaśniłem, żeby uspokoić Rebateta. Któregoś wieczoru Brasillach wypił na imprezie nieco więcej niż zwykle i zdobył się na odwagę, by mnie do siebie zaprosić, a ja się zgodziłem. Niestety, należał do tych wstydliwych pederastów, którzy zadowolają się ślamazarną masturbacją i wbijaniem rozmarzonego wzroku w swego *eromenos*; nudziło mnie to, a nawet lekko odpychało, więc dość oschle odrzuciłem jego awanse. Myślałem jednak, że pozostaliśmy przyjaciółmi. Prawdopodobnie bezwiednie zraniłem go i to w jedno z najczulszych miejsc: Robert nigdy nie potrafił stawić czoła ponurej i gorzkiej prawdzie o swych namiętnościach, na swój sposób pozostał wiecznym skautem faszyzmu. Biedny Brasillach! Tak niefrasobliwie rozstrzelany, gdy wszystko się skończyło, po to by inni, ci „porządni”, mogli ze spokojnym sumieniem wrócić do normalnego życia. Często się zastanawiałem, czy jego skłonności nie odegrały tu pewnej roli: w końcu kolaboracja należała do jego „rodziny historii”, natomiast pederastia to było jeszcze coś innego, zarówno dla de Gaulle'a, jak i dla przyzwoitych sądowych wyrobników. Jakkolwiek było, Brasillach na pewno wolałby umrzeć za idee, nie za upodobania. Czy to jednak nie on podsumował kolaborację tym niezapomnianym zdaniem: *Przespaliśmy się z Niemcami, zachowamy słodkie wspomnienia?* Rebatet, bez względu na swój podziw dla Juliana Sorela, był sprytniejszy: został skazany i zarazem ulaskawiony. Nie zrobił z siebie komunisty a po tym wszystkim znalazł jeszcze czas, by napisać przepiękną *Historię muzyki* i pozwolić o sobie zapomnieć.

Musiał iść, umówił się ze mną na wieczór w okolicach Pigalle, miał przyprowadzić Cousteau. Zanim wyszedłem, uścisnąłem jeszcze dłoń Brasillachowi, siedział z jakąś kobietą, której nie znałem. Udał, że wcześniej mnie nie poznał, powitał mnie z uśmiechem, lecz nie przedstawił mi swej towarzyszki. Spytałem go o siostrę i szwagra; on uprzejmie wyraził zainteresowanie warunkami życia w Niemczech. Niezobowiązująco powiedzieliśmy sobie „do zobaczenia”, ale nie umówiliśmy się konkretnie. Wróciłem do hotelu, przebrałem się w mundur, napisałem list do Knochena i poszedłem zostawić go na alei Focha. Po powrocie znów założyłem cywilne ubranie i wyszedłem powłóczyć się trochę przed umówionym spotkaniem. Rebatet i Cousteau czekali na mnie w Liberty,

lokalu dla ciot przy placu Blanche. Cousteau, którego raczej trudno było podejrzewać o te skłonności, znał właściciela, Tontona, i co najmniej połowę królowych, z którymi był na „ty”; niektóre, dumne i dziwaczne w tych swoich perukach, pudrach i klejnotach ze szkła, przekomarzały się z nim i z Rebatetem, gdy tam siedzieliśmy i piliśmy martini. „Widzisz tamtą?, wskazał Cousteau, nazwałem ją Śmiercionośna, bo zabójczo robi laskę”. — „Ściągnąłeś to od Maxime'a Du Campa, pyszałku”, zgasił go Rebatet ze zde gustowaną miną i pograżył się w odmętach swojej rozległej wiedzy literackiej, żeby pokazać mu, kto tu jest górą. „A ty, kochanie, czym się zajmujesz?”, zaczęła mnie jedna z królowych, celując we mnie nadzwyczajnej długości firką. „To gestapowiec”, rzucił ironicznie Cousteau. Ciota dotknęła ust czubkami palców w wytwornych rękawiczkach i wydała z siebie długie „Oooch...” Ale Cousteau już opowiadał anegdotę o chłopcach Doriota, którzy chodzą robić laski niemieckim żołnierzom w *przybytkach* w ogrodzie Palais-Royal; paryscy gliniarze, którzy organizowali regularnie naloty na te pisuary oraz szalety przy Polach Elizejskich, bywali czasem niemile zaskakiwani, ale chociaż Prefektura groziła, ci z Majestic bezwstydnie kpili sobie z tych zajść. Słuchając tych dwuznacznych opowieści, poczułem się nieswojo: w co oni sobie pogrywali? Inni towarzysze, wiedziałem to, myśleli mniej, za to więcej praktykowali. Lecz żaden z nich nie miał najmniejszych skrupułów, by publikować na łamach „Je Suis Partout” anonimowe donosy. Jeżeli ktoś miał szczęście i nie był Żydem, to równie szybko można było zrobić z niego homoseksualistę; niejedną karierę, ba, niejedno życie zrujnowano w ten sposób. Cousteau i Rebatet, jak sądziłem, chcieli pokazać, że ich rewolucyjny radykalizm wykracza ponad wszelkie uprzedzenia (nie licząc uprzedzeń *naukowych i rasowych*, bo taka musiała być myśl francuska); w gruncie rzeczy usiłowali po prostu *epatować burżuaja*, jak to często czynili surrealiści i André Gide, których oni tak nienawidzili. „Wiesz, Max, że posąg fallusa, który Rzymianie obnosili podczas Liberaliów, wiosną i w sezonie winobrania, nazywał się *fascinus*? Mussolini być może o tym pamiętał”. Wzruszyłem ramionami. Czułem, że wszystko to fałsz, mierny teatr, że robią mi tutaj przedstawienie, podczas gdy na całym świecie umierają ludzie. Ja naprawdę miałem ochotę na chłopca, ale nie na pokaz, pragnąłem ciepłej skóry, cierpkiego potu, delikatnego penisa, skulonego między nogami jak zwierzątko. Rebatet bał się swojego cienia, kobiet i mężczyzn, własnej cielesności, wszystkiego, co nie było abstrakcyjną ideą, która nie mogła stawić mu żadnego oporu. Nigdy wcześniej nie pragnąłem spokoju tak bardzo jak teraz, ale osiągnięcie go chyba nie

było możliwe: świat ranił mnie jak rozbite szkło — rozmyślnie łykałem haczyki, jeden za drugim, a potem dziwiłem się, że ustami wyłażą mi wydarte wnętrzności.

Moje spotkanie z Helmutem Knochenem, dzień później, tylko pogłębiło we mnie to poczucie. Podjął mnie z zadziwiającą mieszaniną ostentacyjnej poufałości i pełnej pobłażania wyniosłości. W czasie gdy pracował w SD, nigdy nie spotykałem go poza biurem; rzecz jasna musiał wiedzieć, że często widuję się z Bestem (ale być może teraz nie była już to żadna rekomendacja). Tak czy inaczej, powiedziałem, że spotkałem się z Bestem w Berlinie, a on spytał, co u niego słychać. Nie omieszkałem też nadmienić, że służyłem, tak jak i on, pod dowództwem dr. Thomasa. Kazał mi opowiedzieć o doświadczeniach w Rosji, niezmiennie dając mi subtelnie odczuć panujący między nami dystans: on, Standartenführer odpowiedzialny za cały kraj, ja, rekonwalescent o niepewnej przyszłości. Przyjął mnie w swoim gabinecie, przy niskim stoliku, udekorowanym wazonem suszonych kwiatów; siedział na kanapie, założywszy jedną długą nogę w bryczesach na drugą, ja zaś kulilem się na ciasnym, zbyt niskim fotelu: z tej pozycji prawie nie widziałem jego twarzy i rozbieganych oczu, jego kolano zasłaniało mi widok. Nie wiedziałem, jak poruszyć temat, który mnie interesował. Wreszcie zacząłem opowiadać mu, trochę bez ładu i składu, że pracuję nad książką o przyszłości międzynarodowych stosunków Niemiec, czepiając się idei, które niedokładnie zapamiętałem z *Festgabe* Besta (a im dłużej mówiłem, w tym większe popadałem uniesienie, i sam siebie już zdołałem przekonać, że naprawdę chcę napisać książkę, która zafrapowałaby ludzkie umysły i zapewniła mi godziwą przyszłość). Knochen słuchał uprzejmie i kiwał głową. W końcu wtrąciłem mimochodem, że planuję przyjąć jakieś stanowisko we Francji, żeby zebrać konkretne doświadczenia, które pozwolą mi dopełnić wiedzę zdobytą w Rosji. „Coś już panu proponowano?”, spytał, lekko zaciekawiony. Nic mi o tym nie wiadomo”. — „Jeszcze nie, Herr Standartenführer, dyskusje trwają. W zasadzie nie ma z tym problemu, jednak trzeba poczekać, aż zwolni się odpowiednie miejsce, lub stworzyć nowe stanowisko”. — „Akurat u mnie, wie pan, na razie niczego nie ma. Szkoda, w grudniu był wakat na stanowisku eksperta do spraw żydowskich, ale już je obsadzono”. Zmusiłem się do uśmiechu: „Nie tego szukam”. — „Ale przecież ma pan spore doświadczenie w tej dziedzinie, z tego, co wiem. Kwestia żydowska we Francji jest mocno związana z naszymi stosunkami dyplomatycznymi z Vichy. No, ale, co prawda to prawda, ma pan zbyt wysoki stopień: to stanowisko najwyżej dla Hauptsturmführera. A u

Abetza? Sprawdzał pan? Jeżeli dobrze pamiętam, utrzymuje pan osobiste kontakty z paryskimi protofaszystami. To powinno zainteresować ambasadora”.

Znalazłem się na szerokiej, niemal całkowicie wyludnionej alei Focha; byłem w stanie głębokiego zniechęcenia. Miałem poczucie, że uderzam głową w mur, ale był to mur miękki, rozmyty, niewyraźny, a jednocześnie równie nieprzebyty co wysoka, obronna, kamienna baszta. Za Łukiem Triumfalnym w głębi alei kryło się poranne słońce i kładło długie cienie na bruku. Iść do Abetza? Tak, mógłbym bez wątpienia powołać się na nasze krótkie spotkanie w 1933 roku albo poprosić o wprowadzenie kogoś z otoczenia „Je Suis Partout”, ale czułem, że się nie odważę. Pomyślałem o siostrze w Szwajcarii: może odpowiadałaby mi placówka w Szwajcarii? Mógłbym widywać ją niekiedy, podczas jej pobytów z mężem w sanatorium. Ale w Szwajcarii prawie nie było stanowisk SD, a o istniejące toczyły się prawdziwe walki. Dr Mandelbrod mógłby zapewne zlikwidować wszelkie przeszkody, i we Francji, i w Szwajcarii, lecz zrozumiałem już, że dr Mandelbrod miał własne zamiary związane z moją osobą.

Wróciłem, przebrałem się w cywilne ubranie i poszedłem do Luwru: tam przynajmniej, w otoczeniu nieruchomych, spokojnych figur, odzyskiwałem równowagę. Długo siedziałem przed *Umarłym Chrystusem* Philippe'a de Champagne, ale naprawdę moją uwagę przykuł obraz Watteau, *Obojętny*: odświętnie ubrana postać, idąca tanecznym krokiem, niemal w podskokach, ramiona otwarte jakby w oczekiwaniu na pierwszą nutę uwertury, zniewieściała, lecz z wyraźnym wzwodem pod jedwabnymi pumpami w kolorze pistacji, i o twarzy pełnej nieokreślonego smutku, niemal zagubionej, twarzy człowieka, który o wszystkim zapomniał i nie stara się już nawet przypominać sobie, po co i dla kogo tak pozuje. To mnie uderzyło, było jak trafny komentarz do mojej sytuacji i dopiero tytuł stanowił pewien kontrapunkt: obojętny? Nie, nie byłem obojętny, wystarczyło, bym przeszedł obok portretu kobiety o ciężkich, czarnych włosach, a natychmiast wyobraźnia zadawała mi cios siekierą; i chociaż tamte twarze nie przypominały niczym jej twarzy, to pod bogatymi gałganami z okresu renesansu czy regencji, pod pstrokatymi tkaninami, mieniącymi się od kolorów i drogich kamieni, tak grubymi, jak lśniące farby malarzy, dostrzegałem jej ciało, piersi, brzuch, biodra, czyste, w jednych miejscach z wystającymi kośćmi, w innych — zaokrąglone, kryjące w sobie jedyne źródło życia, do którego umiałem trafić. Rozzłoszczony wyszedłem z muzeum, ale to nie wystarczyło, bo na widok każdej mijanej kobiety, każdej roześmianej kobiety za szybą, czułem dokładnie to samo.

Piłem kieliszek za kieliszkiem w nadarzających się kawiarniach, ale im więcej piłem, tym bardziej czułem się trzeźwy, moje oczy otwierały się i wchłaniały świat, wyjący, krwawy, żarłoczny, który rozchłapywał w mojej głowie płyny i ekskrementy. Moje „szyszynkowe oko”, wagina rozwarta pośrodku czoła, rzucało na ten świat surowe, ponure, nieżyczliwe światło i mogłem dostrzec każdą kroplę potu, każdy pryszcz, każdy nieogolony włosik na wyraźnych twarzach, które osaczały mnie jak te emocje, jak nieskończony krzyk lęku dziecka na zawsze uwięzionego w obrzydliwym ciele dorosłego mężczyzny, niezdarnego i niezdolnego nawet poprzez mord pomścić krzywdy, jaką jest jego życie. Wreszcie, bardzo późno w nocy, jakiś chłopiec zaczepił mnie w bistrze, prosząc o papierosa: pomyślałem, że być może w tym uda mi się zatopić, choć na kilka chwil. Zgodził się pójść ze mną do pokoju. Jeszcze jeden, myślałem, wchodząc po schodach, jeszcze jeden, tych nigdy dość. Rozebraliśmy się osobno, każdy po swojej stronie łóżka; on nie zdjął skarpetek i zegarka, wyglądał groteskowo. Poprosiłem, żeby wziął mnie na stojąco, opartego o komodę, naprzeciw wąskiego lustra, które dominowało nad pokojem. Gdy owładnęła mną rozkosz, nie zamknąłem oczu, obserwowałem swoją twarz, poczerwieniałą i szkaradnie opuchłą, próbując dostrzec tę prawdziwą twarz, wypełniającą moje rysy od spodu, twarz mojej siostry. Ale wtedy stało się coś dziwnego: pomiędzy te dwie twarze i ich doskonałą fuzję wślizgnęła się trzecia, gładka i przejrzysta niczym płatek szkła, ostra i spokojna twarz naszej matki, nieskończenie cienka, lecz bardziej nieprzenikniona, bardziej zwarta niż najgrubszy mur. Przejęty plugawym gniewem krzyknąłem i rozbiłem lustro ciosem pięści; przestraszony chłopak odskoczył do tyłu i padł na łóżko, miał orgazm, obficie tryskał spermą. Ja też ejakulowałem, lecz odruchowo, nie czułem nic, nie miałem już wzrodu. Krople krwi spływały z moich palców na podłogę. Poszedłem do łazienki, opłukałem dłoń, wydobyłem z niej kawałek szkła, owinąłem w ręcznik. Gdy wyszedłem, chłopak już się ubierał, wyraźnie zaniepokojony. Pogrzebałem w kieszeni spodni i rzuciłem na łóżko kilka banknotów: „Spadaj”. Złapał pieniądze i uciekł jak niepyszny. Chciałem się położyć, ale najpierw starannie zebrałem kawałki potłuczonego szkła, wrzuciłem je do kosza na papiery, dokładnie obejrzałem podłogę, żeby upewnić się, czy żadnego nie pominąłem, wytarłem krople krwi i poszedłem się umyć. Wreszcie mogłem się położyć — lecz łóżko stało się moim krzyżem, narzędziem tortur. Czego znów chce ta *obrzydliwa suka*? Czy nie dosyć już przez nią wycierpiałem? Czy znowu musi mnie prześladować? Usiadłem skulony na łóżku i paliłem papierosa za papierosem. Rozmyślałem. Błady blask ulicznej

latarni prześwitywał przez zamknięte okiennice. Z mojej szalonej, opętanej myśli narodził się stary skrytobójca; nowa Lady Makbet podrzynała gardło moim snom. Ciągłe zdawało mi się, że już, już zaczynam coś rozumieć, ale zrozumienie tylko muskało końce moich rozoranych palców, drwiło sobie ze mnie, cofało się niepostrzeżenie, gdy chciałem się do niego zbliżyć. W końcu udało mi się schwytać jedną myśl: kontemplowałem ją zdegustowany, ale ponieważ żadna inna nie chciała zająć jej miejsca, musiałem oddać jej to, co się jej należało. Położyłem ją na szafce nocnej, jakby była ciężką i starą monetą; gdy stukalem w nią paznokciem, brzęczała czysto, a gdy rzucałem nią: orzeł czy reszka? — zawsze pokazywała mi to samo, nieprzejednane oblicze.

Nazajutrz wcześniej rano zapłaciłem rachunek i wsiadłem w pierwszy pociąg jadący na południe. Francuzi musieli rezerwować miejsca z kilkudniowym, a nawet kilkutygodniowym wyprzedzeniem, ale przedziały dla Niemców zawsze były w połowie puste. Jechałem do Marsylii, na pogranicze strefy niemieckiej. Pociąg zatrzymywał się często, na dworcach, tak jak w Rosji, wieśniaczki oferowały w biegu jedzenie pasażerom, jaja na twardo, udka kurczaków, gotowane i solone ziemniaki, więc gdy czułem głód, brałem cokolwiek przez okno. Nie czytałem, nieuważnie obserwowałem mijane krajobrazy i masowałem pocięte knykcie, moje myśli błądziły z dala od przeszłości i teraźniejszości. W Marsylii stawiłem się na Gestapostelle, spytałem o warunki przedostania się do strefy włoskiej. Przyjął mnie młody Obersturmführer: „Aktualnie stosunki są dość napięte. Włosi nie wykazują zrozumienia co do wysiłków, jakie podejmujemy w celu rozwiązania kwestii żydowskiej. Ich strefa przekształciła się w prawdziwy raj dla Żydów. Gdy kazaliśmy im chociaż ich internować, wysłali ich do najlepszego ośrodka narciarskiego w Alpach”. Nie obchodziły mnie problemy tego Obersturmführera. Wyjaśniłem, o co mi chodzi — wyraźnie się zaniepokoił, ale zapewniłem go, że biorę na siebie całą odpowiedzialność. W końcu zgodził się napisać list do władz włoskich, w którym prosił o *ułatwienie mi poruszania się po terytorium strefy z powodów osobistych*. Zrobiło się późno, więc wynająłem sobie pokój na noc w Starym Porcie. Rano wsiadłem do autokaru, który zawiózł mnie do Tulonu; na linii demarkacyjnej *bersaglieri* w groteskowych kapeluszach z piórkiem przepuścili nas bez kontroli. Przesiadłem się w Tulonie i później w Cannes, by w końcu, późnym popołudniem, dotrzeć do Antibes. Wsiadłem z autokaru na głównym placu, zarzuciłem torbę na ramię,

obszedłem port Vauban, minąłem masywny fort Carré i zacząłem iść drogą wzdłuż morza. Od zatoki ciągnęła lekka słona bryza, drobne fale lizały pas piasku, krzyk mew zagłuszał ich plusk i warkot przejeżdżających z rzadka samochodów; nie licząc kilku włoskich żołnierzy, plaża była pusta. Byłem w cywilnym garniturze, nikt nie zwracał na mnie uwagi, zaczepił mnie tylko włoski policjant, prosząc o ogień. Dom był oddalony od centrum o kilka kilometrów. Szedłem spokojnie, bez pośpiechu; widok i zapach Morza Śródziemnego nie robiły na mnie żadnego wrażenia, po prostu nie czułem już lęku. Dotarłem wreszcie do ubitej drogi, prowadzącej do posiadłości. Lekki wietrzyk buszował między gałęziami pinii, rosnącymi wzdłuż drogi, a ich woń mieszała się z zapachem morza. Pokryta obłuszczonej farbą furtka była uchylona. Długa aleja przecinała piękny park, obsadzony sosnami; nie wstąpiłem na nią, przekradłem się wzdłuż wewnętrznej strony muru w głąb parku, tam zdjąłem ubranie i założyłem mundur. Był trochę wymięty, zbyt długo leżał złożony w torbie podróżnej, wygładziłem go dłonią, stwierdziłem, że ujdzie. Piaszczystą glebę między rzadko rosnącymi drzewami pokrywały sosnowe igły; pomiędzy długimi strzelistymi pniami majaczyła boczna ściana domu w kolorze ochry i taras. Słońce, wpadające tu zza muru, niewyraźnie prześwitywało przez powyginane korony drzew. Wróciłem do furtki i wstąpiłem na aleję; stanąłem u głównych drzwi, zadzwoniłem. Z prawej strony dotarł do mnie jakiś dźwięk, jakby zduszony śmiech spomiędzy drzew: rozejrzałem się, niczego nie zauważyłem. A potem męski głos zawołał z drugiego końca domu: „Halo! Proszę tutaj”. Natychmiast rozpoznałem głos Moreau. Czekał przed drzwiami do salonu, pod tarasem, w dłoni trzymał ostygłą fajkę, miał na sobie starą, robioną na drutach kamizelkę i muszkę, i wydał mi się żałośnie stary. Na widok mojego munduru zmarszczył brwi: „Czego pan chce? Kogo pan szuka?”. Podszedłem bliżej, zdjąłem czapkę: „Nie poznaje mnie pan?”. Wytrzeszczył oczy, otworzył usta; zrobił krok naprzód, mocno uściśnął mi dłoń i poklepał po ramieniu. „Oczywiście, oczywiście”. Znów się cofnął i przyjrzał mi się zmieszany: „Ale cóż to za mundur?”. — „Mundur organizacji, której służę”. Odwrócił się i zawołał w głąb domu: „Heloïse! Zobacz, kto przyjechał!”. Salon był pogrążony w półmroku; zobaczyłem zbliżającą się sylwetkę, lekką, szarą, i w końcu za plecami Moreau stanęła stara kobieta, która patrzyła na mnie w milczeniu. A więc to była moja matka? „Twoja siostra pisała nam, że byłeś ranny, odezwała się w końcu. Też mogłeś do nas napisać. Mogłeś chociaż uprzedzić, że przyjedziesz”. Jej głos, w porównaniu z poźółkłą twarzą i siwymi włosami,

surowo ściągniętymi do tyłu, brzmiał jeszcze dość młodo; odczułem to tak, jak gdyby odezwały się najdawniejsze czasy — na dźwięk tego głosu kurczyłem się, stawałem się nikim; nie ochronił mnie przed tym nawet mundur, ten żalony talizman. Moreau chyba zauważył, jaki byłem wstrząśnięty: „Oczywiście, dodał pospiesznie, cieszymy się, że cię widzimy. Jesteś przecież u siebie, zawsze będziesz”. Matka nadal wpatrywała się we mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. „No, podejdź, powiedziała wreszcie. Ucałuj matkę”. Postawiłem torbę, podszedłem do niej, pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Następnie wziąłem ją w ramiona i przytuliłem. Poczułem, jak sztywnieje, była jak gałąź w moich ramionach, jak ptak, którego z łatwością mógłbym zadusić. Jej ręce uniosły się i spoczęły na moich plecach. „Musisz być zmęczony. Chodź, rozgościsz się”. Puściłem ją i wyprostowałem się. Znowu usłyszałem za plecami cichy śmiech. Odwróciłem się i ujrzałem identycznych bliźniaków, ubranych w krótkie spodenki oraz dobrane marynarki, stali obok siebie i wbijali we mnie ogromne oczy, ciekawe i rozbawione. Mieli jakieś siedem, może osiem lat. „Kim jesteście?”, spytałem. — „To dzieci przyjaciółki, odpowiedziała matka. Będą u nas przez jakiś czas”. Jeden z nich podniósł rękę i wskazał na mnie palcem: „A on to kto?”. — „To Niemiec, powiedział drugi. Nie widzisz?” — „To mój syn, oświadczyła matka. Ma na imię Max. Chodźcie się przywitać”. — „Syn cioci jest niemieckim żołnierzem?”, spytał pierwszy. — „Tak. Uściśnijcie mu rękę”. Zawahali się, po czym podeszli razem i wyciągnęli do mnie rączki. „Jak się nazywacie?”, spytałem. Nie odpowiedzieli. „Przedstawiam ci Tristana i Orlando, odezwała się matka. Niestety, wiecznie ich mylę. A oni uwielbiają udawać siebie wzajemnie. Nigdy nie mamy pewności”. — „To dlatego, że niczym się nie różnimy, proszę cioci, powiedział jeden chłopczyk. Jedno imię wystarczyłoby dla dwóch”. — „Uprzedzam was, odezwałem się, jestem policjantem. Dla nas tożsamość jest bardzo ważna”. Ich oczy stały się jeszcze większe: „Och, świetnie”, powiedział jeden. — „Przyjechał pan kogoś aresztować?”, spytał drugi. — „Być może”, odparłem. — „Przestań opowiadać bzdury”, poprosiła matka.

Zamieszkałem w swoim dawnym pokoju, ale nie było w nim nic, co przypominałoby, że kiedyś był mój. Znikły plakaty i parę przedmiotów, które pozostawiłem, zmieniono łóżko, komodę, tapety. „Gdzie są moje rzeczy?”, spytałem. — „Na strychu, odpowiedziała. Wszystko trzymam. Będziesz mógł później sprawdzić”.

Patrzyła na mnie, złożywszy obie dłonie na sukience, z przodu. „A pokój Uny?”, pytałem dalej. — „Na razie ulokowałam w nim bliźniaków”. Wyszła, a ja udałem się do przestronnej łazienki, by opłukać sobie twarz i kark. Wróciłem do pokoju i znów się przebrałem, mundur powiesiłem w szafie. Wyszedłem, zawahałem się chwilę przed drzwiami pokoju Uny i ruszyłem dalej. Przeszedłem pod tarasem. Słońce zachodziło za wysokie sosny, rzucając na park długie cienie i malując kamienne ściany domu pięknym, nasyconym szafranem. Zobaczyłem bliźniaków: przebiegli przez trawnik i znikli między drzewami. Pewnego dnia, obrażony o jakiś drobiazg, strzeliłem z łuku (na szczęście zaślepioną strzałą) w siostrę, celując w twarz. Niewiele brakowało, a wybiłbym jej oko, strzała uderzyła tuż ponad. Gdy się dobrze zastanowiłem, przypomniało mi się, że zostałem potem surowo ukarany przez ojca; skoro wtedy jeszcze był, to znaczy, że incydent przytrafił się w Kilonii, a nie tutaj. Ale dom w Kilonii nie miał tarasu, a mnie się wydawało, że dokładnie pamiętam, w powiązaniu z tym gestem, duże donice z piaskowca rozstawione wokół zwirowanego placyku, gdzie powitali mnie Moreau i matka. Pogubiłem się, doskwierała mi ta niepewność, odwróciłem się na pięcie i poszedłem do domu. Przechadzałem się po korytarzach, wdychając woń woskowanych boazerii, na chybił trafił otwierałem drzwi. Niewiele się tu zmieniło, nie licząc mojego pokoju. Szybko wspiąłem się po schodach wiodących na strych; tu też się zawahałem i zawróciłem. Zszedłem po szerokich schodach w holu i opuściłem dom przez główne drzwi. Pospiesznie zboczyłem z alei i znów wślizgnąłem się między drzewa, ocierałem się o ich szare, szorstkie pnie, strużki żywicy, stwardniałe, lecz ciągle jeszcze grube, lepkie — rozgarniałem kopniakami opadłe szyszki. Ostra, upojna woń sosen przenikała powietrze, chciało mi się palić, ale zrezygnowałem, żeby nadal ją czuć. Ziemia była tu naga, bez trawy, bez krzewów, bez paproci, a jednak wszystko to z całą mocą przywiodło mi na myśl las pod Kilonią, miejsce moich zadziwiających dziecińczych zabaw. Chciałem oprzeć się plecami o jakieś drzewo, ale pnie były oblepione żywicą, więc stałem z opuszczonymi bezwładnie rękoma, ogarnięty szaleńczym pędem myśli.

Podczas kolacji padały słowa krótkie, wymuszone, zagłuszane brzękiem sztućców i talerzy. Moreau skarżył się na interesy i na Włochów, podkreślając swoje dobre stosunki z niemiecką administracją gospodarczą w Paryżu — był w tym żaloszny. Próbował podtrzymać konwersację, a ja, ze swojej strony, z całą uprzejmością, nękałem go agresywnymi przytykami. „Twój stopień, tam, na mundurze, co to takiego?”, spytał. —

„SS-Sturmbannführer. Odpowiednik majora w waszej armii”. — „Ach, major, to dobrze, awansowałeś, gratulacje”. W odpowiedzi spytałem go, gdzie on służył przed czerwcem roku czterdziestego. Nie wyczuł kpiny, wznosił ramiona ku niebu: „Ach, mój chłopcze! Bardzo chciałem służyć. Ale nie wzięli mnie, powiedzieli, że jestem za stary. Oczywiście, dodał pospiesznie, Niemcy zwyciężyli nas uczciwie. A ja popieram całkowicie politykę współpracy prowadzoną przez Marszałka”. Matka milczała; śledziła naszą grę zaniepokojonym wzrokiem. Bliźniacy jedli ochoczo, lecz od czasu do czasu ich twarze całkowicie zmieniały wyraz, jak gdyby spływała na nich zasłona powagi. „A wasi żydowscy przyjaciele? Jak też oni się nazywali? Benahum, tak? Co się z nimi dzieje?” Moreau poczerwieniał. „Wyjechali, odpowiedziała oschłe matka, do Szwajcarii”. — „To chyba nie wpłynęło dobrze na pańskie interesy, mówiłem, zwracając się do Moreau. Byliście współnikami, nie?” — „Odkupiłem jego udziały”, odrzekł Moreau. — „Ach, świetnie. Po żydowskiej czy aryjskiej cenie? Mam nadzieję, że się pan nie naciął”. — „Dość, przerwała matka. Interesy Aristide'a nie powinny cię obchodzić. Opowiedz nam lepiej o swoich przeżyciach. Byłeś w Rosji, prawda?” — „Tak, odpowiedziałem, nagle poniżony. Pojechałem zwalczać bolszewizm”. — A! To chwalebne”, ocenił sentencjonalnie Moreau. — „Owszem, ale czerwonym teraz dobrze idzie”, rzekła matka. — „Ach, nie bój się!, wykrzyknął Moreau. Tutaj nie dojdą”. — „Odnosiliśmy porażki, przyznałem, ale to chwilowe. Przygotowujemy nowe armie. Zmiażdżymy ich”. — „Wspaniale, wspaniale, dyszał Moreau, kiwając głową. Mam nadzieję, że potem zajmiecie się Włochami”. — „Włosi to nasi towarzysze broni, od samego początku, odciąłem się. Gdy powstanie nowa Europa, jako pierwsi dostaną swoją działkę”. Moreau odebrał te słowa bardzo poważnie i się rozgniewał: „To tchórze! Wypowiedzieli nam wojnę — chociaż my już ich pobiliśmy — po to, by móc nas okradać. Ja jednak jestem pewien, że Hitler uszanuje integralność Francji. Mówią, że podziwia Marszałka”. Wzruszyłem ramionami: „Führer potraktuje Francję tak, jak ona na to zasługuje”. Moreau poczerwieniał. „Max, już dość, powtórzyła matka. Zjedz deser”.

Po kolacji matka poprosiła mnie do swojego buduaru. Było to pomieszczenie graniczące z sypialnią, które gustownie udekorowała. Nikt nie wchodził tutaj bez jej zgody. Od razu przeszła do rzeczy. „Co cię tutaj sprowadza? Uprzedzam, że jeśli przyjechałeś tylko po to, żeby nas denerwować, to na próżno się trudziłeś”. Znowu poczułem, że się kurczę; ten władczy ton, te zimne oczy sprawiały, że traciłem cały rezon,

znów stawałem się bojaźliwym dzieckiem, jeszcze mniejszym od bliźniaków. Staralem się nad tym zapanować, ale na próżno. „Nie, wydusiłem z siebie, chciałem się tylko z wami zobaczyć, to wszystko. Przyjechałem do Francji służbowo i pomyślałem o was. Poza tym, wiesz, mam, o mało nie zginąłem. Być może nie przeżyję tej wojny. A my mamy tyle do naprawienia”. Złagodniała nieco i dotknęła dłonią wierzchu mojej dłoni, gestem identycznym jak siostra; powoli wysunąłem swoją rękę, chyba tego nie zauważyła. „Masz rację. Mogłeś napisać, wiesz? Nic by cię to nie kosztowało. Wiem, że nie apróbujesz mojego wyboru, ale tak zniknąć, tego się nie robi rodzicowi. To tak, jakbyś nie żył. Możesz to zrozumieć?” Zastanowiła się, a potem mówiła dalej, pospiesznie, jak gdyby brakowało jej czasu. „Wiem, że masz do mnie żal o zaginięcie ojca. Ale to do niego powinienes mieć pretensje, nie do mnie. Zostawił mnie z wami samą, opuścił mnie; przez rok nie spałam, twoja siostra budziła mnie każdej nocy, płakała przez sen, miała koszmary. Ty nie płakałeś, ale to było chyba jeszcze gorsze. Sama musiałam się wami opiekować, żywić was, ubierać, kształcić. Nie masz pojęcia, jak mi było ciężko. Więc gdy spotkałam Aristide'a, miałam mu powiedzieć «nie»? Dlaczego? To dobry człowiek, pomógł mi. A co według ciebie miałam robić? Gdzie był twój ojciec? Nawet zanim odszedł, było tak, jakby go w ogóle nie było. Wszystko musiałam robić sama, podcierać was, myć, karmić. Ojciec poświęcał wam kwadrans dziennie, bawił się z wami chwilę, a potem wracał do swoich książek albo do pracy. Ale to mnie nienawidzisz”. Poczulem ucisk w gardle: „Ależ nie, mam. Nie nienawidzę cię”. — „Tak, nienawidzisz mnie, wiem to, widzę. Przyjechałeś w tym mundurze, żeby mi pokazać, jak bardzo mnie nienawidzisz”. — „Dlaczego ojciec odszedł?” Westchnęła głęboko: „Tego nie wie nikt, prócz niego. Może po prostu się nudził”. — „Nie wierzę w to. Co mu zrobiłaś?” — „Nic mu nie zrobiłam, Max. Nie wygnałam go. Sam odszedł, to wszystko. Może go męczyłam. A może wyście go męczyli”. Lęk uderzył mi do głowy: „Nie! To niemożliwe. On nas kochał!”. — „Nie wiem, czy kiedykolwiek wiedział, co znaczy kochać, odparła łagodnie. Gdyby nas kochał, gdyby was kochał, toby chociaż do nas napisał. Przynajmniej po to, by oznajmić, że nie wróci. Nie zostawiałby nas w lęku i w zwątpieniu”. — „Zadeklarowałaś, że nie żyje”. — „W dużej mierze zrobiłam to dla was. Żeby bronić waszych interesów. Nigdy nie dał znaku życia, nigdy nie ruszył swojego konta w banku, zostawił niezamknięte wszystkie sprawy, nikogo nie uprzedził, musiałam to uregulować, konta były zablokowane, miałam wiele trudności. Poza tym nie chciałam, żebyście byli zależni

od Aristide'a. Te pieniądze, za które pojechałeś do Niemiec, myślisz, że skąd się wzięły? To były jego pieniądze, dobrze o tym wiesz, wzięłeś je i wykorzystałeś. On prawdopodobnie rzeczywiście gdzieś zmarł”. — „To tak, jakbyś ty go zabiła”. Moje słowa sprawiły jej ból, widziałem, ale pozostała spokojna. „Zabił się sam, Max. To był jego wybór. Musisz to zrozumieć”.

Lecz ja nie chciałem tego zrozumieć. Tamtej nocy zapadłem w sen jak w ciemną wodę, błotnistą, niespokojną, ale nic mi się nie śniło. Obudził mnie śmiech bliźniaków, dobiegający z ogrodu. Było jasno, słońce błyszczało w szparach okiennic. Wstałem i ubrałem się, rozmyślając o słowach matki. Zafrapowała mnie zwłaszcza jedna rzecz: mój wyjazd z Francji, zerwanie stosunków z matką, wszystko okazało się możliwe dzięki spadkowi po ojcu, pewnej sumie, którą Una i ja mieliśmy się podzielić u progu pełnoletności. A ja, w tamtych czasach, ani przez chwilę nie dostrzegłem związku pomiędzy obrzydliwym działaniem mojej matki a tymi pieniędzmi, które pomogły mi uwolnić się od niej. Długo przygotowywałem ten wyjazd. Kilka miesięcy po zamieszkach w lutym trzydziestego czwartego skontaktowałem się z dr. Mandelbrodem, prosząc go o pomoc i wsparcie. Jak już mówiłem, udzielił mi ich szczerze; w dniu moich urodzin wszystko było gotowe. Matka i Moreau przyjechali do Paryża, żeby załatwić spadkowe formalności; przy kolacji, z dokumentami od notariusza w kieszeni, oznajmiłem im swoją decyzję: rezygnuję ze studiów i jadę do Niemiec. Moreau stłumił gniew i milczał, a matka próbowała przemówić mi do rozsądku. Na ulicy Moreau zwrócił się do matki: „Nie widzisz, że twój syn to mały faszysta? Niech jedzie, niech defiluje gęsim krokiem, jak mu się to podoba”. Byłem zbyt szczęśliwy, by się obrazić, zostawiłem ich na bulwarze Montparnasse. Potrzeba było dziewięciu lat i jednej wojny, żebym znów ich zobaczył.

Na dole spotkałem Moreau, siedział na ogrodowym krześle w kwadracie słonecznego światła, przed oszklonymi drzwiami salonu. Było dość chłodno. „Dzień dobry, przywitał mnie z chytrą miną. Dobrze spałeś?” — „Tak, dziękuję. Matka wstała?” — „Obudziła się, ale jeszcze odpoczywa. Na stole jest kawa i chleb z masłem”. — „Dziękuję”. Poszedłem do kuchni i wróciłem z filiżanką kawy. Patrzyłem na park. Już nie było słyhać bliźniaków. „Gdzie dzieci?”, zapytałem Moreau. — „W szkole. Wrócą po południu”. Napilem się kawy. „Wiesz, zagał, matka się cieszy, że przyjechałeś”. — „Tak, całkiem możliwe”, odrzekłem. Lecz on dalej snuł spokojnie swą myśl: „Powinieneś częściej pisać. Nadchodzą ciężkie czasy. Każdy będzie potrzebował rodziny. Rodzina to

jedyna rzecz, na którą można jeszcze liczyć”. Nie odezwałem się, patrzyłem na niego nieuważnie; on kontemplował ogród. „O, na przykład za miesiąc będzie Dzień Matki. Mógłbyś jej wysłać życzenia”. — „A co to znów za święto?” Rzucił mi szybkie, zakłopotane spojrzenie: „Wprowadził je Marszałek, dwa lata temu. Aby uhonorować Macierzyństwo. Zawsze w maju, w tym roku przypada trzydziestego”. Ciągle na mnie patrzył: „Mógłbyś jej wysłać kartkę”. — „Dobrze, spróbuję”. Zamilkł i odwrócił się w stronę ogrodu. „Skoro masz czas, odezwał się po długiej chwili, to czy mógłbyś porąbać drewno w szopie, na rozpałkę? Starzeję się”. Znów na niego popatrzyłem, siedział wbity w krzesło: rzeczywiście się postarzał. „Jeśli pan sobie życzy”, odpowiedziałem. Wróciłem do domu, postawiłem na stole pustą filiżankę, zjadłem sucharka i poszedłem na górę, tym razem — prosto na strych. Zamknąłem za sobą klapę i chodziłem ostrożnie pośród mebli i skrzyń, a deski podłogi trzeszczały mi pod stopami. Wokół mnie zmartwychwstawały wspomnienia, były namacalne za sprawą powietrza, zapachu, światła, kurzu: nurzałem się w tych odczuciach tak, jak w wodach Wołgi, w całkowitym zatraceniu. Zdawało mi się, że w kątach widzę cienie naszych ciał, blask białej skóry. W końcu otrząsnąłem się i poszukałem kartonów z moimi rzeczami. Wytaszczyłem je na środek dużego, pustego kawałka podłogi przy filarze, kucnąłem i zacząłem w nich grzebać. Były tam cynowe samochody, dzienniczki ucznia, szkolne zeszyty, młodzieżowe książki, fotografie w grubych kopertach, inne koperty, zapieczętowane, zawierające listy od siostry, całą przeszłość, obcą i brutalną. Nie zdobyłem się na oglądanie zdjęć, na otwarcie kopert, czułem, jak narasta we mnie zwierzęce przerażenie. Nawet najbardziej nieszkodliwe, najbardziej niewinne przedmioty nosiły znamiona przeszłości, tej właśnie przeszłości, której wspomnienie mroziło mnie do szpiku; każdy przedmiot, nowy, lecz jakże znajomy, wywoływał we mnie obrzydzenie pomieszane z fascynacją, jak gdybym trzymał w dłoniach minę gotową wybuchnąć w każdej chwili. Żeby się uspokoić, przeglądałem książki: to mogła być biblioteka każdego nastolatka żyjącego w moich czasach, Juliusz Verne, Paul de Kock, Hugo, Eugène Sue, Amerykanie: E.R. Burroughs i Mark Twain, przygody Fantomasa i Rouletabille'a, pamiętniki z podróży, kilka biografii wielkich ludzi. Naszła mnie ochota, by znów niektóre przeczytać: po namyśle odłożyłem na bok trzy pierwsze tomy marsjańskiej serii Burroughsa, te, które podsycaly moje fantazje w łazience na piętrze — byłem ciekaw, czy odpowiadają intensywności wspomnień. Wróciłem do zapieczętowanych kopert. Ważyłem je w dłoniach, obracałem w palcach. Na początku, po

skandalu i naszej zsyłce do szkół, siostra i ja mieliśmy prawo do siebie pisać. Gdy dostawałem od niej list, musiałem otwierać go w obecności jednego z księży i dawać mu do przeczytania, zanim sam zacząłem czytać; domyślałem się, że ona, tam, musiała robić to samo. Jej listy, co ciekawe, pisane na maszynie, były długie, budujące i uroczyste: *Mój drogi bracie! Tutaj wszystko dobrze, wszyscy obchodzą się ze mną delikatnie. Otwieram się na odnowę duchową*, etc. A nocą zamykałem się w toalecie z kawałkiem świecy, drżąc z przerażenia i przejęcia, i trzymałem list nad płomieniem tak długo, aż pojawiała się druga wiadomość, nabazgrana mlekiem pomiędzy liniami: NA POMOC! ZABIERZ MNIE STĄD, BŁAGAM! (pomysł podsunęła nam czytana, oczywiście po kryjomu, biografia Lenina, wyszperana u bukinisty w pobliżu merostwa). Te rozpaczliwe wołania sprawiły, że wpadłem w panikę, postanowiłem uciec i ją uratować. Jednak źle to przygotowałem i szybko mnie złapano. Zostałem surowo ukarany, wychłostano mnie i przez tydzień karmiono suchym chlebem, a starsi chłopcy dręczyli mnie coraz śmielej, ale było mi to wszystko obojętne; niestety nie mogłem już dostawać listów, a to doprowadzało mnie do wściekłości i rozpacz. Nie przypominałem sobie, czy zachowałem te ostatnie listy, czy one też tu były, w kopertach; nie miałem ochoty ich otwierać, żeby sprawdzić. Schowałem wszystko do kartonów, wziąłem trzy książki i zszedłem na dół.

Pchany nieznaną siłą wszedłem do pokoju Uny. Było tu teraz podwójne drewniane łóżko, malowane na czerwono i niebiesko, i porządnie poustawiane zabawki, pośród których, wściekły, dostrzegłem także i moje. Wszystkie ubrania były złożone i pochowane w szufladach i szafie. Przejrzałem je pospiesznie w poszukiwaniu wskazówek, listów, ale niczego nie znalazłem. Nazwisko wypisane na okładkach dzienniczków nic mi nie mówiło, ale chyba było aryjskie. W tych dzienniczkach były daty sprzed kilku lat: musieli mieszkać tu już od dość dawna. Za plecami usłyszałem głos matki: „Co robisz?”. — „Patrzę”, odpowiedziałem, nie odwracając się. — „Lepiej byś zszedł i porąbał drewno, Aristide cię prosił. Będę robić obiad”. Odwróciłem się: stała na progu, surowa, spokojna. „Co to za dzieci?” — „Mówiłam ci: to dzieci bliskiej przyjaciółki. Wzięliśmy je, gdy sama nie była w stanie się nimi zająć. Nie miały ojca”. — „Od kiedy tu są?” — „Od pewnego czasu. Ciebie też już tu nie ma od pewnego czasu, mój mały”. Rozejrzałem się dookoła, po czym znów wbiłem w nią wzrok: „To małe Żydki, prawda? Przyznaj się? To są Żydzi, tak?”. Nie dała się sprowokować: „Przestań gadać od rzeczy. To nie są Żydzi. Jak nie wierzysz, to ich obejrzyj podczas kąpieli. Tak przecież robicie, prawda?” — „Tak. Czasem

tak właśnie robimy”. — „A zresztą gdyby to byli Żydzi, to co? Co byś im zrobił?” — „Nie zrobiłbym im nic”. — „Co wy robicie z Żydami?”, ciągnęła niezrażona. Ludzie opowiadają same straszne rzeczy. Nawet Włosi mówią, że to nie do przyjęcia, to, co wyczyniacie”. Poczulem się nagle stary, zmęczony. „Wysyłamy ich do pracy na Wschód. Budują drogi, domy, pracują w fabrykach”. Nie dawała za wygraną: „A dzieciom też każecie budować drogi? Bo dzieci też łapiecie, nie?”. — „Dzieci idą do specjalnych obozów. Zostają z tymi matkami, które nie mogą pracować”. — „Dlaczego to robicie?” Wzruszyłem ramionami: „Ktoś w końcu musiał się tym zająć. Żydzi to pasożyty, wyzyskiwacze: teraz służą tym, których wyzyskiwali. A Francuzi, jeśli chcesz wiedzieć, bardzo nam pomagają, we Francji to policja łapie ich i nam wydaje. Tak stanowi francuskie prawo. Pewnego dnia historia pokaże, że mamy rację”. — „Całkiem oszaleliście. Idź rąbać drewno”. Odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku kuchennych schodów. Schowałem trzy książki Burroughsa do torby w pokoju i zszedłem do szopy. Zdjąłem marynarkę, chwyciłem siekiere, położyłem polano na pieńku, rozrąbałem je. To było dość trudne, nie przywykłem do takiej pracy, kilka razy nie udało mi się trafić. Unosząc siekiere, myślałem o tym, co mówiła matka. Przeszkadzał mi nie tyle jej brak świadomości politycznej, ile to, za kogo mnie miała; kogo widziała, gdy na mnie patrzyła? Docierało do mnie, jak bardzo cierpię pod ciężarem przeszłości, od ran, prawdziwych i wyobrażonych, przez winy nie do naprawienia, przez czas, którego nie można odwrócić. Walka z tym nie miała sensu. Udało mi się rozrąbać kilka polan, zebrałem szczapy, wziąłem je pod pachę i zaniósłem do kuchni. Matka obierała kartofle. Położyłem drewno na stosie koło pieca i wyszedłem bez słowa, żeby rąbać dalej. Zrobiłem tak kilka kursów. Rozmyślałem przy pracy: w gruncie rzeczy wspólny problem Niemców był taki sam jak mój: oni też mieli trudność z odcięciem się od bolesnej przeszłości, z wymazaniem jej, by móc zacząć od zera budowanie czegoś nowego. To skłoniło ich ku rozwiązaniu najbardziej radykalnemu ze wszystkich, ku zbrodni, ku tragicznemu okrucieństwu zbrodni. Ale czy zbrodnia jest rozwiązaniem? Myślałem o wielu rozmowach, które przeprowadziłem na ten temat: w Niemczech nie tylko ja w to powątpiewałem. A jeśli zbrodnia nie była ostatecznym rozwiązaniem, a jeśli, przeciwnie, ten nowy fakt, jeszcze trudniejszy do naprawienia niż wcześniejsze, otwierał z kolei nowe przepaście? Więc czy istniało jakieś wyjście? W kuchni spostrzegłem się, że mam ze sobą siekiere. Pomieszczenie było puste: matka siedziała pewnie w salonie.

Popatrzyłem na stos drewna, chyba dość już narąbałem. Spływałem potem; postawiłem siekiere w kącie, przy drewnie, i poszedłem do siebie, umyć się i zmienić koszulę.

Obiad przebiegł w ponurym milczeniu. Bliźniacy jedli w szkole, byliśmy tylko we troje. Moreau usiłował komentować ostatnie wiadomości — Anglicy i Amerykanie szybko parli naprzód w kierunku Tunisu, w Warszawie wybuchły zamieszki — ale ja uparcie milczałem. Patrzyłem na niego i myślałem: To przebiegły człowiek, na pewno ma kontakty z terrorystami, trochę im pomaga, gdy sytuacja się pogorszy, powie, że zawsze był po ich stronie, że współpraca z Niemcami to była tylko przykrywka. Cokolwiek się zdarzy, ten stary, tchórzliwy, bezzębny lew zawsze się będzie umiał urządzić. Nawet jeśli bliźniacy nimi nie byli, czułem, że on ukrywa Żydów: nie przepuściłby takiej świetnej okazji, by niewielkim kosztem (cóż ryzykował przy Włochach?) stworzyć sobie alibi na przyszłość. I wtedy przyszła mi do głowy ta gniewna myśl: pokażemy mu oraz jemu podobnym, ile są warte Niemcy, jeszcze nie leżymy na ziemi. Matka też nic nie mówiła. Po posiłku oświadczyłem, że idę na spacer. Przeszedłem przez park i przez ciągle na wprost otwartą furtkę, i ruszyłem w dół, w stronę plaży. Po drodze zapach soli mieszał się wyraźnie z wonią sosen i znów przeszłość obudziła się we mnie, szczęśliwa przeszłość, skąpana w tych zapachach, i ta nieszczęśliwa także. Na plaży skręciłem w prawo, w stronę portu i miasta. U podnóża fortu Carré, na pasie ziemi górującym nad morzem, obsadzonym piniami, było boisko, na którym dzieci grały w piłkę. Jako malec byłem słabowity, nie lubiłem sportu, wolałem czytać, ale Moreau, który uważał, że jestem zbyt cherlawy, poradził matce, by zapisała mnie do klubu piłkarskiego, więc ja też kiedyś grałem na tym boisku. Nie był to wielki sukces. Ponieważ nie lubiłem biegać, zrobiono ze mnie bramkarza; któregoś dnia piłka kopnięta przez jakieś dziecko tak mocno uderzyła mnie w pierś, że wbiła mnie w bramkę. Pamiętam, jak leżałem, patrząc przez siatkę na poruszone bryzą korony pinii, aż przyszedł wreszcie trener, sprawdzić, czy nie zemdlałem. Trochę później odbył się nasz pierwszy mecz przeciwko innemu klubowi. Kapitan drużyny nie chciał, żebym grał; w końcu, w drugiej połowie, wypuszczono mnie na boisko. Nagle, sam nie wiem jak, u stóp wyrosła mi piłka i zacząłem biec w stronę bramki. Przedemną rozpościerała się wielka, pusta murawa, kibice wyli, gwizdali, a ja nie widziałem niczego prócz bramki, bezradny obrońca robił wszystko, żeby mnie zatrzymać, machał rękoma, zatriumfowałem i strzeliłem gola — z tym że własnej drużynie: w szatni chłopcy sprali mnie — porzuciłem piłkę nożną. Za fortem wił się port Vauban, duża

zatoka, naturalna, lecz zagospodarowana, woda pluskała o burty rybackich łodzi i zwiadowczych stateczków włoskiej marynarki. Usiadłem na ławce i zapaliłem papierosa, przyglądałem się mewom krążącym wokół kutrów rybackich. Tu też często przychodziłem. Pamiętam taki spacer, w dziewięćset trzydziestym, niedługo przed maturą, podczas ferii wielkanocnych. Od ponad roku omijałem Antibes, od ślubu matki z Moreau, ale przed tamtymi feriami użyła sprytnego wybiegu: napisała do mnie — nie czyniąc żadnych aluzji do tego, co się stało, ani do mojego listu pełnego inwektyw — że Una przyjeżdża do domu na święta i że byłaby szczęśliwa, gdyby się mogła ze mną spotkać. Od trzech lat trzymano nas w rozdzielaniu: co za gnoje, pomyślałem, lecz nie mogłem odmówić, dobrze o tym wiedzieli. Na początku byliśmy skrepowani, mało rozmawialiśmy. Ma się rozumieć, matka i Moreau praktycznie nie zostawiali nas samych. Gdy tylko przyjechałem, Moreau wziął mnie pod ramię: „Żadnego świntuszenia. Mam cię na oku”. Takiemu ograniczonemu burżujowi jak on wydawało się oczywiste, że to ja ją uwiodłem. Nie odezwałem się, a gdy wreszcie się zjawiała, poczułem, że nigdy bardziej jej nie kochałem. Gdy na środku salonu musnęła mnie lekko, przechodząc obok, a grzbiet jej dłoni zetknął się na ułamek sekundy z moją ręką, poczułem się jak rażony prądem, jak wbity w podłogę, musiałem przygryźć wargę, żeby nie krzyknąć. Poszliśmy pospacerować w okolicach portu. Matka i Moreau szli przed nami, tu, kilka kroków od miejsca, w którym teraz siedziałem i przypominałem sobie tę chwilę. Opowiadałem siostrze o szkole, o księżkach, o deprawacji i moralnym zepsuciu kolegów. Powiedziałem jej też, że robiłem to z chłopcami. Uśmiechnęła się lekko i pospiesznie pocałowała mnie w policzek. Jej własne doświadczenia niewiele się różniły od moich, chociaż chodziło tu raczej o przemoc psychiczną, aniżeli fizyczną. Siostry, jak mi oświadczyła, były *neurotyczne, oziębłe i pełne zahamowań*. Roześmiałem się i spytałem, skąd zna te określenia. Dziewczynki z pensji, odpowiedziała z radosnym, cichym śmiechem, przekupują dozorczyńnię, by przynosiły im cichaczem książki: już nie Voltaire'a i Rousseau, ale raczej Freuda, Spenglera i Prousta — jeżeli jeszcze ich nie czytałem, to czas najwyższy, żebym to nadrobił. Moreau zatrzymał się, żeby nam kupić lody w wafelkach. Gdy tylko dołączył do matki, podjęliśmy przerwana rozmowę: zacząłem mówić o ojcu. „On nie umarł”, szeptałem zawzięcie. — „Wiem, odpowiedziała. A nawet jeśli tak, to oni nie powinni go grzebać”. — „To nie jest pogrzeb. To jest tak, jak gdyby to oni go zamordowali. Zamordowali za pomocą kartki papieru. Co za okropność! Dla zaspokojenia haniebnych żądz!” — „Wiesz, odrzekła na to

siostra, ja myślę, że ona go kocha”. — „Mam to gdzieś!, wysyczałem. Poślubiła naszego ojca i jest jego żoną. Taka jest prawda. Sędzia nie ma tu nic do gadania”. Stała i popatrzyła na mnie: „Pewnie masz rację”. Ale już wołała nas matka, ruszyliśmy ku niej, liżąc gałki waniliowych lodów.

W mieście zamówiłem przy kontuarze kieliszek białego wina i cały czas pamiętając o tamtych zdarzeniach, mówiłem sobie, że zobaczyłem już to, po co przyjechałem, choć nadal nie wiedziałem, co to takiego; zacząłem myśleć o wyjeździe. Wstąpiłem do kasy przy przystanku autokarów i kupiłem bilet na następny dzień, do Marsylii. Na dworcu tuż obok sprzedano mi bilet do Paryża, połączenie było dobre, pociąg docierał wieczorem. Wróciłem do domu matki. Park wokół domu był spokojny i cichy, słychać było tylko delikatny szelest iglastych gałęzi, głaskanych morską bryzą. Oszklone drzwi do salonu pozostały otwarte; podeszedłem i zawołałem, nikt nie odpowiedział. Być może, pomyślałem, odpoczywają po obiedzie. Ja też czułem się zmęczony, zapewne winem i słońcem; obszedłem dom dookoła i wspiąłem się na górę głównymi schodami, nie natknąwszy się na nikogo. Mój pokój był ocieniony, chłodny. Położyłem się i zasnąłem. Gdy się obudziłem, słońce już zaszło, było bardzo ciemno. Na progu pokoju dostrzegłem bliźniaków, stali ramię w ramię i wbijali we mnie nieruchome, wielkie, okrągłe oczy. „Czego chcecie?”, spytałem. Na te słowa obaj cofnęli się i uciekli. Słyszałem odgłos ich drobnych kroków na podłodze i za chwilę — na dużych schodach. Trzasnęły drzwi wejściowe, znów zapanowała cisza. Usiadłem na brzegu łóżka i zauważyłem, że jestem nagi; nie przypomiąłem sobie jednak, bym wstawał i się rozbierał. Bolały mnie pokaleczone palce, ssałem je nieuważnie. Przekręciłem wyłącznik lampy i mrużąc oczy, zacząłem szukać zegarka: leżał na nocnym stoliku, wskazówki się zatrzymały. Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem ubrania. Gdzie się mogło podziać? Wyjąłem z torby świeżą bieliznę, a z szafy mundur. Trochę zarosłem, ale postanowiłem ogolić się później. Ubrałem się. Zszedłem kuchennymi schodami. Kuchnia była pusta, piec wystygły. Poszedłem do wejścia dla handlarzy: na zewnątrz, po stronie morza, wstawał świt i lekko różowił dół nieba. Dziwne, że bliźniacy już wstali, pomyślałem. Czyżbym przespał kolację? Najwyraźniej byłem bardziej zmęczony, niż mi się zdawało. Mój autokar odjeżdżał wcześniej, musiałem się przygotować. Zawróciłem, zamknąłem drzwi, wszedłem po trzech stopniach do salonu i po omacku skierowałem się ku oszklonym drzwiom. Nagle potknąłem się o jakiś miękki przedmiot, leżący w ciemnościach na dywanie. Poczułem,

jak robi mi się zimno. Cofnąłem się aż do włącznika żyrandola, nie odwracając się, przesunąłem dłonią po ścianie i przekręciłem go. Światło wytrysnęło z kilku kloszy naraz, żywe, surowe, prawie białe. Spojrzałem na kształt, o który się potknąłem: to było ciało, tak jak instynktownie przeczuwałem, i teraz widziałem, że dywan jest przesiąknięty krwią, że stoję w kałuży krwi, która rozlała się poza dywan, płynie po kamiennych płytach, pod stołem, pod szklanymi drzwiami. Ogarnęło mnie przerażenie i lęk, paniczna chęć ucieczki — chciałem ukryć się w jakimś ciemnym kącie. Z dużym wysiłkiem opanowałem się i wyjąłem z pochwy podręczny pistolet, zawieszony u pasa. Usiłowałem odbezpieczyć go palcem. Podeszedłem do ciała. Chciałem uniknąć brożenia we krwi. Ale nie było to możliwe. Gdy znalazłem się bliżej, upewniłem się, choć i tak już wiedziałem, że był to trup Moreau, miał rozplataną pierś, na wpół przeciętą szyję i otwarte oczy. Siekiera, którą ostatnio zostawiłem w kuchni, leżała w kałuży krwi obok ciała; czarna krew poplamiała ubrania Moreau, rozpryskała się po lekko wykrzywionej twarzy, po siwym wąsie. Rozejrzałem się, nie zauważyłem niczego. Oszklone drzwi były chyba zamknięte. Wróciłem do kuchni, otworzyłem składzik, nikogo nie było. Moje buty zostawiały na posadzce długie krwawe smugi: pchnąłem drzwi dla służby, wyszedłem, wytarłem podeszwy o trawę, a jednocześnie obserwowałem park, trzymając broń w pogotowiu. Ale nic się nie działo. Niebo jaśniało, gwiazdy powoli bledły. Okrążyłem dom, otworzyłem główne drzwi i wszedłem do środka. Mój pokój był pusty; pokój bliźniaków także. Z pistoletem w garści stanąłem przy drzwiach sypialni matki. Wyciągnąłem lewą rękę ku klamce, palce mi drżały. Opanowałem się i otworzyłem. Okiennice były zamknięte, panował mrok. Na łóżku majaczył szary kształt. „Mamo?“, odezwałem się cicho. Trzymając wycelowany pistolet w jednej dłoni, drugą wymacałem wyłącznik, zapaliłem światło. Matka, ubrana w koszulę nocną z koronkowym kołnierzykiem, leżała w poprzek łóżka; stopy trochę wystawały, na jednej tkwił różowy kapeć, druga zwisała naga. Byłem skamieniały z przerażenia, ale zdołałem zajrzeć za drzwi i pochylić się szybko, by sprawdzić pod łóżkiem: poza kapciem nie było tam niczego. Drżąc, podeszedłem bliżej. Jej ramiona spoczywały na narzucie, koszula, skromnie zakrywająca całe nogi, nie była zmięta, matka chyba się nie broniła. Pochyliłem się i przystawiłem ucho do jej otwartych ust: najmniejszego oddechu. Nie śmiałem jej dotknąć. Miała wytrzeszczone oczy i czerwone ślady na wychudłej szyi. O Boże, pomyślałem, ktoś ją udusił, ktoś udusił moją matkę. Rozejrzałem się po pokoju. Wyglądał jak zawsze, szuflady w meblach zamknięte,

szafy również. Poszedłem do buduaru, był pusty, wszystko na swoim miejscu. Wróciłem do sypialni. Zobaczyłem wtedy na narzucie, na dywanie, na koszuli nocnej ślady krwi: najwidoczniej morderca najpierw zabił Moreau, potem wszedł tutaj. Lęk zapierał mi dech w piersiach, nie wiedziałem, co robić. Przeszukać dom? Odnaleźć bliźniaków i przesłuchać ich? Zadzwoić na policję? Nie miałem czasu, niedługo odjeżdżał autokar. Delikatnie, bardzo delikatnie chwyciłem zwisającą stopę i ułożyłem ją na łóżku. Powinienem być założyć matce kapeć, ale nie miałem odwagi dotknąć jej po raz drugi. Wyszedłem tyłem. W moim pokoju wrzuciłem do torby resztę rzeczy i opuściłem dom, zamykając drzwi wejściowe. Na butach miałem plamy krwi, opłukałem je w deszczówce stojącej na dnie opuszczonego basenu. Nigdzie śladu bliźniaków: pewnie uciekli. Tak czy inaczej te dzieci to nie była moja sprawa.

Podróż przebiegła jak film, bezmyślnie zmieniałem środki transportu, poproszony, podawałem bilety, władze nie robiły mi żadnych trudności. Po opuszczeniu domu, w drodze do miasta, gdy słońce całkiem już weszło nad pomrukującym cicho morzem, minąłem włoski patrol. Spojrzeli zaciekawieni na mój mundur, ale nie odezwali się słowem; przed wejściem do autokaru zaczepił mnie francuski policjant w towarzystwie dwóch *bersaglieri*, poprosił o dokumenty; pokazałem i przetłumaczyłem list od Einsatzkommando w Marsylii, zasalutował i pozwolił odjechać. Tym lepiej, nie byłem w stanie dyskutować, strach mnie paraliżował, myśli były jak skamieniałe. W autokarze uświadomiłem sobie, że zostawiłem garnitur i wszystkie ubrania, które nosiłem wczoraj. Na dworcu w Marsylii musiałem godzinę poczekać, zamówiłem kawę i wypięm przy kontuarze, pośród panującego w holu zgiełku. Należało pomyśleć logicznie. Musiały przecież być jakieś krzyki, odgłosy, jak to się stało, że się nie obudziłem? Wypięm tylko kieliszek wina. Poza tym ten człowiek nie zabił bliźniaków, na pewno wrzeszczeli. Dlaczego po mnie nie przyszli? Co robili, tacy milczący, gdy się obudziłem? Morderca raczej nie przeszukał domu, w każdym razie na pewno nie wszedł do mojego pokoju. Kto to był? Bandyta, złodziej? Chyba niczego nie dotknął, nie przestawił, nie zepsuł. Być może bliźniacy zaskoczyli go i uciekli. Ale to nie miało żadnego sensu, chłopcy nie krzyczeli, nie przyszli po mnie. Czy zabójca był sam? Odjeżdżał mój pociąg, usiadłem, nie przestając się głowić. Jeżeli nie był to złodziej, albo złodzieje, to kto? Jakies porachunki? Nieudany biznes Moreau? Terrorysty z partyzantki, którzy przyszli wykonać wyrok? Ale

przecież terroryści nie masakrują ludzi siekierą jak dzikusy, tylko prowadzą do lasu na parodię procesu i rozstrzeliwują. I znów, jak mogłem się nie obudzić, ja przecież tak niespokojnie śpię? Nic z tego nie rozumiałem, lęk skręcał mi ciało, ssałem na wpół zabliznione palce, moje myśli krążyły, wpadały w szaleńcze poślizgi, pochwycone w rwany rytm kół pociągu — nie byłem pewien niczego, nic nie miało sensu. W Paryżu bez trudu złapałem wieczorny ekspres do Berlina; po przyjeździe wynająłem pokój w tym samym hotelu. Wokół było spokojnie, cicho, czasem przejechał samochód, słonie, których ciągle jeszcze nie poszedłem obejrzeć, ryczały w bladym świetle świtu. Przespałem się kilka godzin w pociągu, snem czarnym, bez marzeń; nadal czułem się wykończony, ale nie potrafiłem położyć się i zasnąć. Siostra, pomyślałem w końcu, muszę zawiadomić Unę. Poszedłem do Kaiserhof: czy Freiherr von Üxküll zostawił adres? „Nie wolno nam podawać adresów naszych klientów, Herr Sturmbannführer”, taka była odpowiedź. A mogę chociaż wysłać telegram? To pilna sprawa rodzinna. Tak, to było możliwe. Poprosiłem o blankiet — ułożyłem telegram na recepcyjnej ladzie: MAMA NIE ŻYJE ZAMORDOWANA STOP MOREAU TEŻ STOP JESTEM W BERLINIE ZADZWOŃ — numer do hotelu Eden. Podałem recepcjoniście druk i dziesięciomarkowy banknot; przeczytał z poważną miną, po czym powiedział, lekko pochyliwszy głowę: „Wyrazy współczucia, Herr Sturmbannführer”. — „Wyśle go pan od razu?” — „W tej chwili dzwonię na pocztę, Herr Sturmbannführer”. Wydał mi resztę, a ja wróciłem do hotelu Eden i w recepcji zażądałem, aby w razie telefonu do mnie przychodzili natychmiast, nie bacząc na porę. Musiałem czekać do wieczora. Odebrałem w kabinie obok recepcji, która, na szczęście, była zamykana. W głosie Uny wyczułem panikę: „Co się stało?”. Było słychać, że wcześniej płakała. Zacząłem najspokojniej, jak potrafiłem: „Byłem w Antibes, pojechałem ich odwiedzić. Wczoraj rano...”. Głos mi zadrżał. Przełknąłem ślinę i mówiłem dalej: „Wczoraj rano obudziłem się...”. Mój głos się załamał, nie mogłem się odezwać. Słyszałem, jak siostra krzyczy: „Co z tobą? Co tam się stało?”. — „Zaczekaj”, powiedziałem twardo i opuściłem słuchawkę na wysokość uda, próbując się uspokoić. Nigdy jeszcze nie straciłem panowania nad głosem, coś takiego dotychczas mi się nie przytrafiło; nawet w najgorszych chwilach potrafiłem zawsze zdawać relację w sposób uporządkowany i precyzyjny. Zakasłałem i podniosłem słuchawkę do twarzy, po czym wyjaśniłem w kilku słowach, co się stało. Zadała tylko jedno pytanie, gorączkowe, spłoszone: „A bliźniacy? Gdzie są bliźniacy?”. A wtedy jakbym oszalał: ciskałem się po

kabinie, waliłem w ściany plecami, pięścią, kopałem, i wyłem do słuchawki: „Kim są ci bliźniacy? Czyje są te kurewskie bachory?”. Przyszedł zaalarmowany łomotem lokaj, stanął przed kabiną i patrzył na mnie przez szybę. Uspokoilem się z trudem. Siostra się nie odzywała. Odetchnąłem i powiedziałem do słuchawki: „Żyją. Nie wiem, dokąd poszli”. Nie odzywała się, zdawało mi się, że słyszę jej oddech pośród trzasków międzynarodowego połączenia. „Jesteś tam?” Bez odpowiedzi. „Czyje to dzieci?”, spytałem raz jeszcze, tym razem łagodnie. Nadal nic nie mówiła. „Jasna cholera!”, wrzasnąłem i rzuciłem słuchawkę na widełki. Wypadłem z kabiny jak pocisk i stanąłem przy recepcji. Wyjąłem swój notes z adresami, odnalazłem numer telefonu, nabazgrałem go na kawałku papieru i podałem recepcjoniście. Po kilku chwilach w kabinie rozległ się dzwonek. Podniosłem słuchawkę, usłyszałem kobiecy głos. „Dobry wieczór, odezwałem się. Chciałbym rozmawiać z doktorem Mandelbrodem. Mówi Sturmbannführer Aue”. — „Przykro mi, Herr Sturmbannführer. Doktor Mandelbrod nie może odebrać. Czy przekazać mu jakąś wiadomość?” — „Chciałbym się z nim zobaczyć”. Zostawiłem numer do hotelu i wróciłem do pokoju. Po godzinie boy hotelowy przyniósł mi liścik: dr Mandelbrod przyjmie mnie nazajutrz, o dziesiątej. Wprowadziły mnie te same kobiety albo bardzo do nich podobne. Mandelbrod czekał przy niskim stoliku, w wielkim jasnym gabinecie pełnym kotów; Herr Leland, sztywny i chudy, w dwurzędowym prążkowanym garniturze, siedział obok. Uścisnąłem im dłonie i także usiadłem. Tym razem nie podano herbaty. Głos zabrał Mandelbrod: „Cieszę się, że cię widzę. Udał ci się urlop?”. Zdało mi się, że posłał mi zatopiony w tłuszczu uśmiech. „Miałeś czas, by pomyśleć nad moją propozycją?” — „Tak, Herr Doktor. Ale życzylbym sobie czegoś innego. Chciałbym zostać przeniesiony do Waffen-SS i pojechać na front”. Mandelbrod poruszył się lekko, jak gdyby wzruszał ramionami. Leland wbijał we mnie twarde, zimne, trzeźwe spojrzenie. Wiedziałem, że jedno oko ma szklane, lecz nigdy nie mogłem zgadnąć które. To właśnie on mi odpowiedział, chropawym głosem, z nieznacznym śladem obcego akcentu. „To niemożliwe. Widzieliśmy twoją historię choroby: rana została uznana za poważne inwalidztwo, jesteś wyznaczony do pracy biurowej”. Spojrzałem na niego i wybełkotałem: „Ale przecież oni potrzebują ludzi. Rekrutują wszędzie”. — „Tak, odparł Mandelbrod, ale też nie biorą byle kogo. Regulamin to regulamin”. — „Już nigdy nikt nie weźmie cię do czynnej służby”, powiedział dobitnie Leland. „Tak, przejął pałeczkę Mandelbrod, a w sprawie Francji też nie ma większych nadziei. Nie, powinieneś nam zaufać”. Wstałem.

„Meine Herren, dziękuję, że zechcieli mnie panowie przyjąć. Przykro mi, że zabrałem panom czas”. — „Ależ to naprawdę żaden kłopot, mój mały, szepnął Mandelbrod, daj sobie czas do namysłu, zastanów się jeszcze”. — „Tylko pamiętaj, dodał surowo Leland: żołnierz frontowy nie wybiera sobie miejsca. Musi wykonywać swoje obowiązki, niezależnie od stopnia”.

Z hotelu wysłałem telegram do Wenera Besta, do Danii, w którym pisałem, że postanowiłem przyjąć proponowane stanowisko w administracji. Zaczęło się oczekiwanie. Siostra nie oddzwaniała, a i ja nie miałem ochoty pierwszy się z nią kontaktować. Trzy dni później przyniesiono mi kopertę z Auswärtiges Amt — odpowiedź Besta: sytuacja w Danii się zmieniła i na razie nie może mi niczego zaproponować. Zgniotłem kopertę i wyrzuciłem do kosza. Wzbierały we mnie gorycz i strach, musiałem coś zrobić, żeby się całkiem nie pogрузić. Znow zadzwoniłem do biura Mandelbroda i poprosiłem, by przekazano mu pewną wiadomość.

Menuet

(rondo)

Nie zdziwicie się chyba, gdy powiem wam, że kopertę przyniósł mi Thomas. Zszedłem właśnie do hotelowego baru, by posłuchać wiadomości w towarzystwie kilku oficerów Wehrmachtu. To było gdzieś w połowie maja: nasze oddziały w Tunisie przeprowadzały dobrowolne skrócenie linii frontu według wcześniej ustalonego planu; likwidacja terrorystycznych band w Warszawie przebiegała bez przeszkód. Oficerowie wokół mnie słuchali tego w milczeniu, przygnębieni. Tylko jednoręki Hauptmann głośno rechotał, kiedy słyszał słowa: *freiwillige Frontverkürzung i planmässig*, lecz zamilkł, napotkawszy moje zalężnione spojrzenie. Podobnie jak on i cała reszta, wiedziałem wystarczająco dużo, by prawidłowo zinterpretować owe eufemizmy: zbuntowani Żydzi w getcie już od wielu tygodni stawiają opór naszym najlepszym oddziałom, a w Tunezji w ogóle wszystko jest stracone. Rozejrzałem się za kelnerem, żeby zamówić jeszcze jeden koniak. Wszedł Thomas. Przymaszerował przez salę, pozdrowił mnie ceremonialnie stuknąwszy obcasami, ujął pod rękę i poprowadził w stronę łoży. Tam opadł na siedzenie, rzucił niedbale czapkę na stół i zamachał kopertą, którą trzymał delikatnie w dłoniach obleczonych w rękawiczki. „Wiesz, co jest w środku?”, spytał, marszcząc brwi. Pokręciłem głową. Była to koperta z pieczęcią *Persönlicher Stab des Reichsführer-SS*. „A ja wiem”, ciągnął tym samym tonem. Nagle twarz mu się rozjaśniła: „Gratulacje, drogi przyjacielu. Cicha woda brzegi rwie. Zawsze wiedziałem, że jesteś sprytniejszy, niż na to wyglądasz”. Nie wypuszczał z ręki koperty. „Weź, weź”. Wziąłem, złamałem pieczęć i wyjąłem kartkę z rozkazem, bym przy najbliższej okazji stawił się u Obersturmbannführera dr. Rudolfa Brandta, osobistego adiutanta Reichsführera-SS. „To powołanie”, powiedziałem głupio. — „Tak, to powołanie”. — „Co to znaczy?” — „To znaczy, że macki twojego przyjaciela Mandelbroda sięgają daleko. Dostałeś posadę w osobistym sztabie Reichsführera, stary. Uczcimy to?”

Nie miałem wielkiej ochoty na świętowanie, ale pozwoliłem Thomasowi działać. Przez całą noc stawiał mi amerykańską whisky i rozprawiał z entuzjazmem o żydowskim oporze w Warszawie. „Wyobrażasz sobie? Żydzi!” Sprawiał wrażenie, jakby uważał moje powołanie za wynik jakichś mistrzowskich posunięć, tymczasem ja nie miałem pojęcia, o co chodzi. Nazajutrz rano stawilem się w SS-Haus, mieszczącym się przy Prinz-Albrechtstrasse tuż obok Staatspolizei, w dawnym hotelu przerobionym na biurowiec. Obersturmbannführer Brandt, mały zgarbiony człowieczek, bezbarwny i skrupulatny, o

twarży ukrytej za wielkimi, okrągłymi szklami w czarnej rogowej oprawie, przyjął mnie natychmiast: zdało mi się, że widziałem go już, w Hohenlychen, gdy Reichsführer dekorował mnie na szpitalnym łóżku. W kilku krótkich, precyzyjnych słowach poinformował, czego ode mnie oczekują. „Przejdźcie systemu obozów koncentracyjnych z działań czysto resocjalizacyjnych na zaopatrywanie nas w siłę roboczą nie zawsze przebiega bez przeszkód”. Problem dotyczył zarówno stosunków SS z osobami z zewnątrz, jak i wewnętrznych relacji w samej SS. Reichsführer życzy sobie dokładniej zbadać przyczyny owych napięć, aby osłabić je i tym samym zwiększyć zdolność produkcyjną tego ważnego źródła materiału ludzkiego. W związku z tym podjął decyzję o mianowaniu doświadczonego oficera swoim osobistym delegatem do *Arbeitseinsatz* (słowo to oznacza „operację” lub „organizację pracy”). „Po rozpatrzeniu rozmaitych kandydatur i otrzymaniu kilku rekomendacji wybrano pana. Reichsführer w pełni ufa, że potrafi pan dobrze wywiązać się z zadania, które wymagać będzie dużych zdolności analitycznych, dyplomatycznego wyczucia i inicjatywy godnej członka SS, takiej, jaką wykazał się pan w Rosji”. Odpowiednie biura SS otrzymały już rozkaz współpracy ze mną, lecz to ja miałem zadbać, by owa współpraca przebiegała pomyślnie. „Wszystkie pytania, jak również raporty, zakończył Brandt, powinien pan kierować do mnie. Reichsführer będzie się z panem widywał, gdy uzna to za konieczne. Dziś przyjmie pana, by wyjaśnić swoje oczekiwania”. Słuchałem, nie mrugnawszy okiem; nie rozumiałem, o czym on mówił, uważałem jednak za stosowne zachować pytania dla siebie, przynajmniej na razie. Brandt kazał mi poczekać w salonie na parterze; była tam prasa, herbata i ciastka. Szybko znudziło mnie przeglądanie starych numerów „Schwarzes Korps” w stłumionym świetle poczekalni. Niestety, w budynku nie wolno było palić, Reichsführer zabronił ze względu na nieprzyjemny zapach, a nie sposób było wyjść na zewnątrz, bo w każdej chwili mogłem zostać poproszony. Przyszło po mnie późnym popołudniem. W przedpokoju Brandt udzielił mi kilku wskazówek: „Żadnych komentarzy, żadnych pytań, nie odzywać się nieproszonym”. Wprowadził mnie. Heinrich Himmler siedział za biurkiem. Podeszedłem do niego żołnierskim krokiem, za mną Brandt, który mnie przedstawił; zasalutowałem, Brandt podał Reichsführerowi teczkę i wyszedł. Himmler pokazał mi krzesło i zaczął przeglądać moje akta. Jego twarz wydała mi się dziwnie rozmyta, bezbarwna, wąsik i *pince-nez* tylko uwydatniały mało wyrazisty charakter rysów. Popatrzył na mnie z przyjaznym uśmiechem — gdy podniosł głowę, światło położyło się

nieprzezroczytym refleksem na szklach *pince-nez* i jego oczy zasłoniły okrągłe lusterka. „Wygląda pan lepiej niż ostatnio, gdy pana widziałem, Sturmbannführer”. Zdziwiłem się niezmiernie, że pamięta; może miał to zapisane w dokumentach. Mówił dalej: „Całkiem już doszedł pan do siebie po odniesieniu rany? To dobrze”. Przerzucił kilka kartek. „Widzę, że pańska matka jest Francuzką?” To zabrzmiało jak pytanie, więc spróbowałem odpowiedzieć: „Urodzoną w Niemczech, mein Reichsführer. W Alzacji”. — „Tak, ale jednak Francuzką”. Podniósł głowę; tym razem w szklach *pince-nez* nie odbiło się światło i zobaczyłem małe, zbyt blisko osadzone oczy o zadziwiająco łagodnym wyrazie. „Wie pan, że z zasady nie przyjmuję do swojego sztabu osób z domieszką obcej krwi. To jak rosyjska ruletka: zbyt duże ryzyko. Nigdy nie wiadomo, co nagle wypłynie na wierzch, nawet w przypadku świetnych oficerów. Ale doktor Mandelbrod przekonał mnie, bym zrobił wyjątek. To bardzo mądry człowiek, szanuję jego osąd”. Przerwał na chwilę. „Przewidywałem na to miejsce innego kandydata. Sturmbannführera Gerlacha. Niestety, zginął w zeszłym miesiącu. W Hamburgu, podczas angielskiego bombardowania. Nie ukrył się na czas i spadła mu na głowę donica. Begonii, jak mi się zdaje. Albo tulipanów. Zmarł na miejscu. Anglicy to potwory. Bombardować cywilów, ot tak, bez żadnej selekcji. Po zwycięstwie zorganizujemy proces o zbrodnie wojenne. Ci, którzy stoją za tymi wszystkimi potwornościami, będą musieli za nie odpowiedzieć”. Zamilkł i znów pogрузzył się w papiery. „Zbliży się pan do trzydziestki i nadal nie jest pan żonaty, zauważył, unosząc głowę. Dlaczego?” Zadał to pytanie surowym, profesorskim tonem. „Nie miałem okazji, mein Reichsführer. Skończyłem studia na krótko przed wojną”.

— „Powinien pan poważnie o tym pomyśleć, Sturmbannführer. Pańska krew jest cenna. Jeżeli zginie pan podczas wojny, będzie na zawsze stracona dla Niemiec”. Nie mogłem się powstrzymać, słowa same cisnęły mi się na usta: „Proszę mi wybaczyć, mein Reichsführer, ale w mojej duchowej wizji zaangażowania w narodowy socjalizm i służbę w SS nie ma miejsca na małżeństwo do chwili, w której Volk nie obejmie całkowitej kontroli nad czyhającymi nań niebezpieczeństwami. Uczucie do kobiety tylko osłabia mężczyznę. Ja zaś chcę się zaangażować w pełni i nie zamierzam dzielić swojego oddania, aż do momentu Ostatecznego Zwycięstwa”. Himmler słuchał, wbijając we mnie lekko wytrzeszczone oczy. „Sturmbannführer, pomimo domieszki obcej krwi, pańskie zalety jako Germanina i narodowego socjalisty są godne podziwu. Nie wiem, czy jestem w stanie zaakceptować pański sposób myślenia — nadal uważam, że zadaniem każdego esesmana

jest przedłużenie istnienia rasy. Ale zastanowię się nad tym, co pan powiedział”. — „Dziękuję, mein Reichsführer”. — „Obersturmbannführer Brandt opowiedział panu o pracy?”

— „W ogólnym zarysie, mein Reichsführer”. — „Nie mam zbyt wiele do dodania. Przede wszystkim, niech pan postępuje taktownie. Nie życzę sobie żadnych niepotrzebnych konfliktów”. — „Tak jest, mein Reichsführer”. — „Pisze pan bardzo dobre raporty. Ma pan świetny zmysł syntetyczny, poparty ukształtowanym *Weltanschauung*. To właśnie przesądziło o wyborze. Ale uwaga! Chcę praktycznych rozwiązań, nie lamentów”. — „Tak jest, mein Reichsführer”. „Doktor Mandelbrod zapewne zażąda kopii pańskich raportów. Nie mam nic przeciwko temu. Powodzenia, Sturmbannführer. Może pan odmaszerować”. Wstałem, zasalutowałem i zacząłem przygotowywać się do wyjścia. Niespodziewanie Himmler odezwał się znowu, cicho i oschle: „Sturmbannführer!” — „Słucham, mein Reichsführer?” — „Żadnych niepotrzebnych sentymentów, rozumiano?” Stałem sztywno, na baczność: „Tak jest, mein Reichsführer”. Jeszcze raz zasalutowałem i wyszedłem. W przedpokoju Brandt rzucił mi spojrzenie inkwizytora: „Dobrze poszło?”. — „Myślę, że tak, Herr Obersturmbannführer”. — „Reichsführer z dużym zainteresowaniem przeczytał pański opis problemów z wyżywieniem naszych żołnierzy w Stalingradzie”. — „Dziwi mnie, że ten raport dotarł aż do niego”. — „Reichsführer interesuje się wieloma sprawami. Gruppenführer Ohlendorf i inni Amtchefowie często przekazują mu interesujące raporty”. Brandt podarował mi w imieniu Reichsführera książkę Helmuta Schramma zatytułowaną *Żydowski mord rytualny*. „Reichsführer kazał wydrukować ją dla wszystkich oficerów SS w stopniu Standartenführera i wyższym. Poleciał też dawać egzemplarz każdemu oficerowi z niższym stopniem, którego dotyczy kwestia żydowska. Zobaczysz pan, to bardzo ciekawe”. Podziękowałem mu: jeszcze jedna książka, którą będę musiał przeczytać, teraz, gdy nie czytałem już prawie niczego. Brandt poradził mi, bym przeznaczył kilka dni na urządzenie się. „Niczego dobrego pan nie wymyśli, zanim nie uporządkuje pan spraw osobistych. Gdy pan skończy, zapraszam do siebie”.

Prędko się okazało, że najtrudniejszą kwestią jest zakwaterowanie: nie mogłem w nieskończoność mieszkać w hotelu. Obersturmbannführer z SS-Personal Hauptamt

zapropował mi dwie możliwości: kwaterunek dla nieżonatych oficerów SS, niedrogi, z posiłkiem w cenie, albo pokój w mieście, za którego wynajęcie musiałbym płacić. Thomas zajmował trzypokojowe mieszkanie. Przestronne i bardzo wygodne, wysokie, pełne starych bezcennych mebli. Zważywszy na poważny kryzys mieszkaniowy w Berlinie — jeśli ktoś miał do dyspozycji wolny pokój, był zobowiązany przyjąć lokatora — był to luksusowy apartament, zwłaszcza dla samotnego Obersturmbannführera; nie pogardziłby nim nawet żonaty Gruppenführer z dziećmi. Thomas opowiedział mi, rozbawiony, jak zdobył to lokum: „To proste. Jeśli chcesz, mogę ci się postarać o podobne, może nie tak duże, ale co najmniej dwupokojowe”. Dzięki znajomościom w berlińskiej Generalbauinspektion przywłaszczył w trybie specjalnym żydowskie mieszkanie, opuszczone w związku z planami odbudowy miasta. „Jedynym problemem i warunkiem była opłata za remont, około 500 reichsmarek. Nie miałem tyle, ale poprosiłem Bergera o jednorazową zapomogę”. Rozwalony na kanapie błdził pełnym satysfakcji wzrokiem po pokoju: „Nieźle tu, nie?”. — „A samochód?”, spytałem ze śmiechem. Thomas miał bowiem małego kabrioleta, którym uwielbiał jeździć, i czasem woził mnie nim wieczorami. „To jest, stary, zupełnie inna historia, którą opowiem ci kiedyś, przy okazji. Mówiłem ci w Stalingradzie, że jak się wykaraskamy, czeka nas boskie życie. Nie ma powodów, żeby nie korzystać”. Zastanawiałem się nad jego propozycją, lecz w końcu wybrałem umeblowany pokój sublokatorski. Nie interesowało mnie mieszkanie w budynku dla SS, po pracy miałem zamiar spotykać się, z kim chciałem; z kolei myśl o samotności, o życiu w pojedynkę, prawdę mówiąc nieco mnie przerażała. Pomyślałem, że na sublokatorce będą przynajmniej jacyś ludzie, ktoś będzie przyrządzał mi posiłki, z korytarza będą dobiegać hałasy. Złożyłem podanie, w którym sprecyzowałem, że potrzebuję dwóch pokoi oraz kobiety do gotowania i sprzątania. Zapropowano mi coś w Mitte, u wdowy, sześć stacji U-Bahnem od Prinz-Albrechtstrasse bez przesiadki, po umiarkowanej cenie; zgodziłem się, nawet nie obejrzawszy lokalu, i dostałem list polecający. Frau Gutknecht, rumiana grubaska po sześćdziesiątce o wielkich piersiach i farbowanych włosach, zmierzyła mnie chytrym spojrzeniem i wpuściła do środka: „Pan to ten oficer?”, rzuciła z mocnym berlińskim akcentem. Przekroczyłem próg i uściśniłem jej dłoń: śmierdziała tanimi perfumami. Cofnęła się w głąb długiego korytarza i pokazała drzwi: „Ta część jest moja, tamta pana. Tu ma pan klucz. Oczywiście ja mam drugi”. Otworzyła drzwi i oprowadziła mnie po mieszkaniu: pospolite meble pełne bibelotów,

pożółkłe, wybrzuszone tapety, zaduch. Obok salonu mieściła się sypialnia, odcięta od reszty mieszkania. „Kuchnię i toaletę ma pan na końcu korytarza. Ciepła woda jest racjonowana, więc żadnych kąpieli”. Na ścianach wisiały dwa portrety otoczone kirem: mężczyzna koło trzydziestki z urzędniczym wąsikiem i mocno zbudowany, jasnowłosy chłopak w mundurze Wehrmachtu. „To pani mąż?”, spytałem z szacunkiem. Wykrzywiła twarz: „Tak. I mój syn, Franz, mój mały Franzi. Poległ pierwszego dnia kampanii francuskiej. Jego Feldwebel napisał mi, że zginął jak bohater, ratując towarzysza, ale nie dali mu medalu. Chciał pomścić tatusia, mojego Bubiego, który zginął od gazu pod Verdun”. — „Wyrazy szczerego współczucia”. — „Och, do braku Bubiego przywykłam, ale za Franzim ciągle jeszcze tęsknię”. Zmierzyła mnie wzrokiem: „Szkoda, że nie mam córki. Mógłby ją pan poślubić. Zięc — oficer, czemu nie. Mój Bubi był Unterfeldweblem, a Franzi dopiero Gefreiterem”. — „W rzeczy samej, odpowiedziałem uprzejmie, szkoda”. Wskazałem bibeloty: „Czy mógłbym panią prosić o usunięcie tego wszystkiego? Będę potrzebował miejsca na rzeczy”. Zrobiła urażoną minę: „Gdzie niby miałabym to schować? U mnie jest jeszcze mniej miejsca. Poza tym to ładne ozdoby. Może je pan trochę przesunąć. Tylko ostrożnie! Stłuczone — zapłacone”. Pokazała portrety: „Jak pan chce, mogę zabrać to. Nie będę się panu narzucać z żałobą”. — „To nie ma większego znaczenia”, odrzekłem. — „No to zostawię. To był ulubiony pokój Bubiego”. Dogadaliśmy się co do posiłków i oddałem jej część kartek żywnościowych.

Urządziłem się najlepiej, jak mogłem — nie miałem zbyt dużych możliwości. Złożyłem na stos, w jednym miejscu, bibeloty i marne powieści, dzięki czemu zwolniło się kilka półek, na których poustawiałem własne książki, przyniesione z piwnicy, w której zabezpieczyłem je przed wyjazdem do Rosji. Odpakowywałem książki i kartkowałem z dużą przyjemnością, choć niektóre zniszczyła wilgoć. Umieściłem na półce wydanie Nietzschego — podarunek od Thomasa — do którego nawet nie zajrzałem, trzy książki Burroughsa przywiezione z Francji i Blanchota, którego lektury zaniechałem; powieści Stendhala zostawiłem w Rosji, tak jak on swoje własne dzienniki w 1812 roku, i w gruncie rzeczy w podobny sposób. Żałowałem, że nie kupiłem sobie nowego kompletu podczas pobytu w Paryżu, ale pocieszałem się, że będę miał jeszcze okazję, jeśli tylko przeżyję. Dziełko o rytualnym mordzie wprowadziło mnie w zakłopotanie: o ile bez trudu znalazłem dla *Festgabe* miejsce pośród książek z ekonomii i nauk politycznych, o tyle dla tej nie mogłem znaleźć miejsca. Wcisnąłem ją w końcu między pozycje historyczne, obok dzieł

von Treitschkego i Gustawa Kossinna. Książki i ubrania to było wszystko, co posiadałem, prócz gramofonu i kilku płyt; niestety, kindżał z Nalczyka też został w Stalingradzie. Gdy się z tym wszystkim uporałem, włączyłem Mozarta, opadłem na fotel i zapaliłem papierosa. Natychmiast i bez pukania wtargnęła Frau Gutknecht — zaczęła się ciskać: „Nie będzie pan tutaj palił! Zasłony mi zaśmierdną!”. Wstałem i obciągnąłem poły kurtki: „Frau Gutknecht. Proszę, by przed wejściem pani pukała”. Spiekła raka: „Za przeproszeniem, Herr Offizier! Przecież jestem u siebie, nie? Poza tym, z całym szacunkiem, mogłabym być pańską matką. Co panu szkodzi, że wchodzę? Chyba nie zamierza pan tu sprowadzać dziewcząt? To szanowany dom, to dom porządnej rodziny”. Doszedłem do wniosku, że należy jak najszybciej ustalić pewne kwestie: „Frau Gutknecht, wynajmuję od pani dwa pokoje, więc nie jest pani u siebie, lecz u mnie. Nie mam najmniejszego zamiaru przyprowadzać tu dziewcząt, jak je pani nazywa, ale zależy mi na poszanowaniu prywatności. Jeżeli taki układ pani nie odpowiada, zabiorę swoje rzeczy, swoje pieniądze i pójdę gdzie indziej. Rozumie pani?”. Uspokoila się: „Niech się pan nie złości, Herr Offizier... Muszę się przyzwyczaić, to wszystko. Może pan nawet palić, jeśli pan chce. Mógłby pan tylko otworzyć okna...” Obejrzała książki: „Widzę, że jest pan wykształconym człowiekiem...” Przerwałem jej: „Frau Gutknecht. Jeżeli nie ma pani więcej pytań, proszę zostawić mnie samego, będę pani wdzięczny”. — „Och, przepraszam. Tak”. Wyszła, zamknąłem za nią drzwi. Klucz zostawiłem w zamku.

Uregulowałem w dziale personalnym wszystkie kwestie papierkowe i stawiłem się u Brandta. Przeznaczył dla mnie jedno z tych małych, jasnych biur, urządzonych na poddaszu dawnego hotelu. Miałem do dyspozycji przedpokój z telefonem i gabinet do pracy z kozetką, młodą sekretarkę, Fräulein Prakse, ordynansa obsługującego trzy biura, i zespół stenotypistek — jeden na całe piętro. Mój szofer nazywał się Piontek, był folksdojczem z Górnego Śląska, podczas wyjazdów pełnił też funkcję ordynansa. Dostałem samochód, lecz Reichsführer nalegał, by wszystkie przejazdy w celach osobistych były księgowane osobno, a koszty benzyny odciągano mi z pensji. Uznałem, że to przesada. „To nic takiego. Trzeba przecież mieć możliwość prawidłowego wykonywania zadań”, pocieszył mnie Brandt z uśmiechem. Nie mogłem spotkać się z szefem Persönlicher Stab, Obergruppenführerem Wolffem; wracał do zdrowia po poważnej chorobie i faktycznie to Brandt od miesięcy sprawował wszystkie funkcje.

Przekazał mi kilka dodatkowych informacji na temat oczekiwań, jakie żywiono tu wobec mnie: „Po pierwsze, powinien się pan zapoznać z systemem i jego problemami. Wszystkie raporty na ten temat, przekazane Reichsführerowi, są zarchiwizowane tutaj: niech pan każe je sobie przynieść i przejrzy. Oto lista oficerów SS stojących na czele poszczególnych oddziałów, zainteresowanych pańską misją. Proszę się poumawiać z nimi na rozmowy, oczekują pana i będą z panem szczerzy. Gdy już wyrobi pan sobie odpowiedni pogląd na całość sprawy, wyruszy pan na objazdową inspekcję”. Przejrzałem listę: byli na niej głównie oficerowie SS-Wirtschaftsund Verwaltungshauptamt (centralnego biura SS do spraw ekonomii i administracji) i RSHA. „Inspektorat Obozów Koncentracyjnych działa w strukturach WVHA, nieprawdaż?”, spytałem. — „Tak, odpowiedział Brandt, tak było ponad rok temu. Niech pan spojrzy na listę, teraz jest to Amtsgruppe D. Podaliśmy nazwisko Brigadeführera Glücksa, szefa dyrekcji, jego adiutanta Obersturmbannführera Liebehenschela, który, między nami mówiąc, będzie panu bardziej przydatny niż jego przełożony, oraz kilku szefów departamentów. Ale obozy to tylko jedna strona medalu; druga to fabryki SS. Obergruppenführer Pohl, który kieruje WVHA, zaprosi pana na rozmowę w tej sprawie. Ma się rozumieć, gdyby zechciał pan zobaczyć się z innymi oficerami, by pogłębić niektóre kwestie, proszę się nie krępować, ale najpierw niech się pan spotka z tymi. W RSHA jest Obersturmbannführer Eichmann, on opowie panu o systemie specjalnych transportów, poinformuje, na jakim etapie znajduje się obecnie rozwiązanie kwestii żydowskiej, a także zarysuje perspektywy na przyszłość”. — „Czy mógłbym o coś zapytać, Herr Obersturmbannführer?” — „Bardzo proszę”. — „Z tego, co zrozumiałem, będę miał dostęp do wszystkich dokumentów dotyczących ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej?” — „Jeżeli rozwiązanie problemu żydowskiego będzie miało bezpośredni związek z kwestią maksymalnego wykorzystania siły roboczej, to tak. Ale chciałbym uściślić, iż w związku z tym stanie się pan, i to w stopniu o wiele wyższym niż miało to miejsce podczas pełnienia funkcji w Rosji, posiadaczem tajemnic, Geheimnistdger. Będzie pana dotyczył surowy zakaz rozmawiania o nich z kimkolwiek z zewnątrz, w tym także z urzędnikami ministerstw i Partii, z którymi będzie pan utrzymywał kontakty. Reichsführer uznaje tylko jeden wymiar kary za pogwałcenie tej zasady: karę śmierci”. Znow wskazał na kartkę, którą mi dał: „Może pan swobodnie rozmawiać ze wszystkimi oficerami z tej listy. Co do podwładnych, to proszę najpierw zasięgnąć informacji”. — „Dobrze”. — „A jeśli chodzi o raporty —

Reichsführer ogłosił pewne *Sprachregelungen*, zasady językowe. Proszę się z nimi zapoznać i ściśle się do nich stosować. Wszystkie raporty, napisane niezgodnie z tymi zasadami, będą odsyłane”. — „*Zu Befehl*, Herr Obersturmbannführer”.

Pograżyłem się w pracy jak w odżywczej kąpieli, jak w siarczanym źródle Piatigorska. Całymi dniami, usadowiony na niewielkiej sofie w swoim gabinecie, pochłaniałem raporty, korespondencje, rozkazy, organigramy i tylko od czasu do czasu dyskretnie wypalałem papierosa przy oknie. Fräulein Praxa, niezbyt rozgarnięta dziewczyna z Sudetów, która zapewne wolałaby całymi dniami plotkować przez telefon, była zmuszona bez przerwy wносить i wynosić archiwalne dokumenty, skarżyła się, że puchną jej nogi w kostkach. „Dziękuję, rzucałem, nie patrząc na nią, gdy wchodziła do biura z kolejnym stosem papierów. Proszę położyć tu, a tamto zabrać, skończyłem, może pani odnieść”. Wzdychała i wychodziła, starając się robić możliwie jak największy rumor. Poza tym szybko okazało się, że Frau Gutknecht jest koszmarną kucharką: znała może trzy potrawy i wszystkie z kapustą, w dodatku często je przypalała. Nabrałem zwyczaju odsyłania wieczorami Fräulein Praksy i schodzenia do mesy, by przegryźć co nieco, a potem wracałem do biura i pracowałem jeszcze długo w noc, do siebie szedłem tylko, żeby się przespać. Nie chciałem przetrzymywać Piontka, jeździłem U-Bahnem. O tej porze linia C była niemal pusta, lubiłem przyglądać się nielicznym pasażerom, ich wymiętym, zmęczonym twarzom, to pozwalało mi oderwać się na chwilę od siebie i od pracy. Kilka razy spotkałem w wagonie jednego mężczyznę, urzędnika, który jak ja pracował do późna; on nigdy nawet na mnie nie spojrzał, za każdym razem był pogrążony w lekturze. Ten niepozorny człowieczek czytał w sposób przykuwający uwagę: śledząc oczyma linijki tekstu, poruszał jednocześnie wargami, jak gdyby wypowiadał słowa, ale robił to bezgłośnie, nie był to nawet szept — czułem na ten widok przynajmniej w części takie zdziwienie, jakiego doznać musiał Augustyn na widok Ambrożego z Mediolanu, czytającego w milczeniu, wyłącznie oczyma — on, prowincjusz, który nie wiedział, że coś takiego w ogóle jest możliwe, który umiał czytać wyłącznie na głos, słuchając siebie samego.

Wertując dokumenty, natrafiłem na raport przedstawiony Reichsführerowi pod koniec marca przez dr. Korherra, ponurego statystyka, który kontestował nasze ustalenia: muszę przyznać, że liczby podane przez niego przeraziły mnie. Na zakończenie długiej specjalistycznej argumentacji, trudnej do zrozumienia dla laika, wysnuwał wniosek, że na

dzień 31 grudnia 1942 roku 1 873 549 Żydów, nie licząc tych zamieszkujących terytoria Rosji i Serbii, zostało straconych, „przetransportowanych na Wschód” albo „przeszło przez obozy” (*durchgeschleust* — dziwny termin, narzucony, jak się zdaje, przez *Sprachregelungen* Reichsführera). W sumie, konkludował Korherr, siły niemieckie, od czasu Przejęcia Władzy, zredukowały europejską populację żydowską o cztery miliony, wliczając w to, jeżeli dobrze zrozumiałem, przedwojenną emigrację. Chociaż w Rosji napatrzyłem się na różne rzeczy, liczby te zrobiły na mnie duże wrażenie: dawno już przekroczone rzemieślniczy poziom akcji Einsatzgruppen. Dzięki całej serii rozkazów i instrukcji mogłem sobie także wyrobić pogląd na temat trudnej adaptacji Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych do wymogów wojny totalnej. Utworzenie WVHA i wchłonięcie przez niego IKL, oznaczające przestawienie się na maksymalną produkcję wojenną, miało miejsce w marcu 1942 roku, natomiast konieczność podjęcia poważnych działań, zmierzających do redukcji śmiertelności więźniów i zwiększenia ich wydajności, została ogłoszona dopiero w październiku. Jeszcze w grudniu Glücks, szef IKL, rozkazał lekarzom pracującym w Konzentrationslager poprawić warunki sanitarne, podjąć działania w celu zmniejszenia śmiertelności i co za tym idzie, zwiększyć wydajność więźniów, ale wciąż jeszcze nie podawał konkretnych rozwiązań. Według statystyk departamentu II Grupy Urzędów D WVHA, które przejrzałem, miesięczna śmiertelność, wyrażona w procentach, mocno spadła: globalny odsetek dla wszystkich KL spadł z 10% strat w grudniu do 2,8% w kwietniu. Jednak ten spadek był wartością względną, ponieważ zaludnienie w obozach stale rosło; wynik przełożony na liczby się nie zmieniał. Według półrocznego raportu D II od lipca do grudnia 1942 roku zmarło 57 503 więźniów na 96 770, czyli 60% całej populacji obozów, a począwszy od stycznia, straty wahały się od sześciu do siedmiu tysięcy miesięcznie. Wydawało się, że żadne z podjętych działań nie jest w stanie obniżyć tej liczby. Poza tym niektóre obozy wyraźnie wyróżniały się na niekorzyść: odsetek śmiertelności w Auschwitz, KL na Górnym Śląsku, o którego istnieniu wtedy właśnie przeczytałem po raz pierwszy, wynosił 15,4%. Zaczynałem rozumieć, do czego zmierza Reichsführer.

A jednak nie czułem się w tym wszystkim zbyt pewnie. Czy był to wynik ostatnich wydarzeń, czy też mój wrodzony brak biurokratycznego instynktu? Tak czy inaczej, gdy wreszcie udało mi się wyłuskać z dokumentów całość problemu, postanowiłem, przed podróżą do Oranienburga, gdzie urzędowali ludzie z Inspektoratu KL, porozmawiać z

Thomasem. Choć lubiłem Thomasa, nigdy nie zwierzylibym mu się z osobistych kłopotów; co innego wątpliwości natury zawodowej. Był najlepszym powiernikiem, jakiego znałem. Raz już bardzo jasno wyłożył mi zasadę działania systemu (było to chyba w trzydziestym dziewiątym, a może nawet pod koniec trzydziestego ósmego, w czasie konfliktów wewnętrznych, które wstrząsnęły Ruchem po *Kristallnacht*): „To, że rozkazy są nieprecyzyjne, to akurat nic dziwnego, to jest wręcz przemyślane działanie, które wynika z logiki *Führerprinzip*. Do wykonawcy rozkazu należy rozpoznanie intencji rozkazodawcy i w konsekwencji odpowiednie postępowanie. Ci, którzy się upierają przy jasnych rozkazach lub wymagają ustaw, nie zrozumieli, że liczy się wola dowódcy, a nie jego rozkazy, że zadaniem wykonującego rozkaz jest odszyfrowanie, czy wręcz antycypacja tej woli. Ten, kto potrafi tak działać, jest świetnym narodowym socjalistą, i nigdy nikt nie będzie wypominał mu nadgorliwości, nawet gdy popełni błąd; reszta to ci, którzy, jak mawia Führer, *boją się własnego cienia*”. To rozumiałem. Lecz rozumiałem także, że brak mi talentu, by kruszyć fasady, odgadywać ukryte wyzwania — Thomas zaś posiadał go w najczystszej formie i dlatego jeździł sportowym kabrioletem, podczas gdy ja wracałem z pracy U-Bahnem. Spotkałem się z nim w Neva Grill, jednej z dobrych restauracji, w których lubił jadać. Z cynicznym rozbawieniem opowiadał mi o morale obywateli, o którym czytał w otrzymywanych kopiach poufnych meldunków Ohlendorfa. „Niesamowite, jak dużo ludzie wiedzą o domniemanych sekretach, programie eutanazji, wyniszczeniu Żydów, obozach w Polsce, gazie, o wszystkim. Ty, w Rosji, nigdy nie słyszałeś o obozie koncentracyjnym w Lublinie czy na Śląsku, a teraz każdy głupi motorniczy z Berlina czy Düsseldorfu wie, że tam się pali więźniów. Pomimo tego, co włacza ludziom do głów propaganda Goebbelsa, stać ich na własne opinie. Nie można wszystkiego składać na karb zagranicznych audycji radiowych, bo wielu po prostu boi się ich słuchać. Nie, całe Niemcy są dziś szeroką płachtą utkaną z plotek, pajęczyną, rozciągającą się nad wszystkimi terytoriami pozostającymi pod naszą kontrolą, nad frontem radzieckim, nad Bałkanami, nad Francją. Informacje rozchodzą się z szaloną prędkością. A największy spryciarze potrafią wyłuskać z nich zadziwiająco precyzyjne wnioski. Wiesz, co ostatnio zrobiliśmy? Puściliśmy plotkę w Berlinie, prawdziwą «fałszywą wiadomość», opartą na informacjach autentycznych, lecz zdeformowanych, żeby sprawdzić, jak szybko i jakimi kanałami się rozniesie. W ciągu dwudziestu czterech godzin dotarła do Monachium, Wiednia, Kónigsberga i Hamburga, a w ciągu czterdziestu

ośmiu — do Linzu, Breslau, Lubeki i Jeny. Kusi mnie, żeby sprawdzić podobną rzecz na Ukrainie. Zachęcające jest to, że pomimo wszystko ludzie nadal popierają Partię i władze, mają zaufanie do Führera i wierzą w *Endsieg*. O czym to świadczy? Że niecałe dziesięć lat po Przejęciu Władzy duch narodowego socjalizmu stał się *prawdą* codziennego życia Narodu. Dotarł do wszystkich, nawet najmniejszych zakamarków. Przetrwaj więc, nawet jeśli przegramy wojnę”. — „Porozmawiajmy lepiej o sposobach na jej wygranie, jeśli łaska”. Podczas posiłku powiedziałem mu o otrzymanych instrukcjach i o tym, jak rozumiem sytuację ogólną. Słuchał, popijając wino i krojąc doskonale wypieczony rumsztyk, różowy i soczysty w środku. Skończył, dolał sobie wina i odpowiedział mi: „Objąłeś bardzo ciekawe stanowisko, ale nie zazdroszczę ci. Odnoszę wrażenie, że wrzucono cię do kosza pełnego żywych krabów i jak nie będziesz uważać, to wyszczypią ci tyłek. Co wiesz o sytuacji politycznej? Wewnętrznej, ma się rozumieć”. Też kończyłem jeść: „Niewiele wiem o wewnętrznej sytuacji politycznej”.

— „A powinieneś wiedzieć dużo. Od początku wojny wszystko się radykalnie zmieniło. Po pierwsze, Reichsmarschall jest *out* i myślę, że definitywnie: klęska Luftwaffe w obronie przeciw bombardowaniom, jego niepohamowana korupcja, nieumiarkowanie w zażywaniu narkotyków — nikt już nie zwraca na niego uwagi. Jest figurą, wyjmują go z szafy, gdy potrzeba kogoś, kto odezwie się w miejsce Führera. Nasz drogi doktor Goebbels, pomimo heroicznego wysiłku po Stalingradzie, też już jest na muszce. Wschodzącą gwiazdą jest Speer. Gdy dostał nominację od Führera, ludzie nie dawali mu więcej niż pół roku, a on od tamtego czasu potroił produkcję zbrojną — Führer daje mu wszystko, o co poprosi. W dodatku ten architekcik, z którego wszyscy się podśmiewali, okazał się świetnym politykiem i znalazł solidnych popleczników: Milcha, który kieruje Ministerstwem Lotnictwa dla Göringa, i Fromma, dowódcę *Ersatzheer*. Jaki interes ma Fromm? Fromm musi dostarczać ludzi dla Wehrmachtu, więc każdy niemiecki robotnik zastąpiony robotnikiem zagranicznym lub więźniem to dodatkowy żołnierz dla Fromma. Speer myśli tylko o tym, jak zwiększyć produkcję, Milch robi to samo dla Luftwaffe. A wszyscy chcą jednego: ludzi, ludzi, ludzi. Więc Reichsführer ma kłopot. Oczywiście, nikt nie może krytykować programu *Endlösung* jako takiego — to bezpośredni rozkaz Führera. Ministerstwa mogą tylko targować się o marże, używając jako argumentu niechęci niektórych Żydów do pracy. Ale odkąd Thierack zgodził się opróżnić więzienia na rzecz obozów koncentracyjnych, stały się one źródłem siły roboczej, którego znaczenia nie

sposób przecenić. To oczywiście niewiele w porównaniu z robotnikami z zagranicy, ale zawsze coś. Reichsführer jest jednak bardzo zazdrosny o autonomię SS i właśnie dlatego wtrąca się tu Speer. Reichsführer zapragnął implantacji przemysłu do KL i, *presto!* więźniowie poszli do fabryk. Rozumiesz, o co chodzi: Reichsführer czuje, że jest na gorszej pozycji i musi dawać Speerowi fanty, pokazywać swoją dobrą wolę. Oczywiście, kiedy udaje mu się dostarczyć przemysłowi więcej siły roboczej, niby wszyscy są zadowoleni. Ale tu właśnie, moim zdaniem, pojawia się wewnętrzny problem: widzisz, SS to taka miniatura Rzeszy: z każdej strony atak. Weź choćby przykład RSHA: Heydrich był geniuszem, samorodnym talentem i godnym podziwu narodowym socjalistą, a mimo to jestem przekonany, że Reichsführer odczuł skrytą ulgę na wieść o jego śmierci. Samo wysłanie go do Pragi było błyskotliwym posunięciem — Heydrich uważał to za awans, a jednocześnie dobrze wiedział, że musi odpuścić sobie nieco RSHA, choćby dlatego, że był poza Berlinem. Miał silną potrzebę niezależności, dlatego Reichsführer nie chciał po nim żadnego następcy. Wtedy zaczęli się rozłazić Amtchefowie. Więc Reichsführer na szefa RSHA powołał Kaltenbrunnera, żeby ich pilnował, z nadzieją, że Kaltenbrunner, który jest skończonym łajdakiem, sam też się da pilnować. Ale zobaczysz, zaraz wszystko zacznie się od nowa: tego wymaga funkcja, bardziej niż człowiek. Podobnie wygląda to w innych wydziałach i dywizjach. Inspektorat KL jest wyjątkowo zasobny w *alte Kämpfer*, starych wojowników; nawet Reichsführer musi się do tego zabrać w białych rękawiczkach”. — „Jeśli dobrze rozumiem, Reichsführer chce pchnąć reformy do przodu, nie drażniąc zbyt ludzi z Inspektoratu KL”. — „Albo ma gdzieś reformy, ale chce potraktować je instrumentalnie i posłużyć się nimi, by przykręcić śrubę wszystkim opornym. Jednocześnie musi pokazywać Speerowi, że z nim współpracuje, ale tak, by nie dać mu możliwości wtrącania się do SS czy ukrócenia przywilejów”. — „Rzeczywiście, delikatna sprawa”. — „Ach, dobrze powiedział Brandt: analiza i dyplomacja”. — „Mówił też o inicjatywie”. — „Nie wątpię! Jeżeli znajdziesz rozwiązania, choćby nawet dla problemów, których ci bezpośrednio nie powierzano, ale które wiążą się z życiowymi interesami Reichsführera, karierę masz w kieszeni. Lecz jeśli zaczniesz uprawiać biurokratyczny romantyzm, jeżeli będziesz chciał wszystko stawiać na głowie, to szybko wylądujesz jako jakiś zastępca w zawieszanej SD-Stelle w głębokiej Galicji. Uważaj więc: jeżeli wywiniesz mi ten sam numer co we Francji, zacznę żałować, że wyciągnąłem cię ze Stalingradu. Na przeżycie trzeba sobie zasłużyć”.

Na to ostrzeżenie, kpiące i jednocześnie pełne grozy, boleśnie nałożył się krótki list od siostry. Tak jak przypuszczałem, zaraz po naszej rozmowie pojechała do Antibes:

Max, na policji powiedzieli, że to był psychopata albo złodziej, albo może jakieś porachunki. Tak naprawdę nie wiedzą niczego. Powiedzieli, że prowadzą śledztwo w sprawie interesów Aristide'a. To było wstrętne. Szczegółowo wypytałem mnie o rodzinę: opowiedziałam im o Tobie, ale, sama nie wiem czemu, powstrzymałam się przed informowaniem ich, że tutaj byłeś. Nie wiem, ale jakoś wydawało mi się, że to może sprowadzić na Ciebie kłopoty. Zresztą — czy to by coś dało? Wyjechałam zaraz po pogrzebie. Chciałam, żebyś był przy mnie, a jednocześnie chyba bym nie zniósła, gdybyś tam był. To było smutne i żałosne, i straszne. Pochowano ich razem, na cmentarzu miejskim. Oprócz mnie i policjanta, który mi towarzyszył, na pogrzebie była tylko garstka dawnych przyjaciół Aristide'a i ksiądz. Zaraz po wszystkim wyjechałam. Nie wiem, co Ci więcej napisać. Strasznie mi smutno. Uważaj na siebie.

Ani słowa o bliźniakach; po jej gwałtownej reakcji przy telefonie wydało mi się to dziwne. Ale jeszcze bardziej dziwił mnie mój własny brak reakcji: pełen przerażenia żałobny list siostry poruszył mnie tyle co jesienny liść, który opadł i zmartwiał, zanim dotknął ziemi. Kilka minut po jego przeczytaniu wróciłem myślami do problemów w pracy. Pytania, które zaledwie kilka tygodni wcześniej dręczyły mnie i nie dawały spokoju, dziś jawiły się jako rząd niemych, zamkniętych drzwi. Myśl o siostrze była piecem, ostygłym i woniejącym zimnym popiołem, a myśl o matce — cichym, od dawna zaniechanym grobem. Ta dziwna apatia rozlewała się na całe moje ówczesne życie: na namolność gospodyni reagowałem obojętnością, potrzeby seksualne wydawały się zwietrzałym, abstrakcyjnym wspomnieniem, lęk o przyszłość — frywolnym, próżnym zbytkiem. Zresztą w podobnym stanie znajduję się teraz, i dobrze mi z tym. Myślałem wyłącznie o pracy. Zastanawiałem się nad radami Thomasa: miał chyba więcej racji, niż sam przypuszczał. Pod koniec miesiąca, gdy na Tiergarten zakwitły kwiaty, a drzewa ubarwiły szare miasto bezwstydną zielenią, pojechałem odwiedzić biura Amtsgruppe D, dawnego Inspektoratu KL, do Oranienburga w pobliżu KL Sachsenhausen: długie, białe i czyste budynki, równiutko wytyczone alejki, rabatki, starannie przekopane przez dobrze odżywionych więźniów w czystych uniformach, oficerowie dynamiczni, zaangażowani i

pełni motywacji. Przyjął mnie bardzo uprzejmie Brigadeführer Glücks. Mówił dużo i szybko, chaotyczny potok słów wyraźnie kontrastował z atmosferą dyscypliny, którą roztaczało jego królestwo. Nie miał żadnej całościowej wizji, długo i uparcie rozprawiał o mało ważnych szczegółach administracyjnych, cytując na chybił trafił statystyki, często zafałszowane, które notowałem tylko z grzeczności. Na każde bardziej precyzyjne pytanie odpowiadał niezmiennie: „Och, niech pan lepiej spyta o to u Liebehenschela”. A przy tym był kordialny, dolewał mi francuskiego koniaku i częstował herbatnikami. „Żona upiekła. Pomimo obecnych ograniczeń świetnie sobie radzi, to czarodziejka”. Widać było, że chce się mnie pozbyć jak najszybciej — ale tak, by nie urazić Reichsführera, bo to mogłoby być ryzykowne — i ponownie popaść w otepienie przy ciasteczkach. Postanowiłem się streszczać, a gdy tylko przerwałem na chwilę, zawołał swojego zastępcę i nalał mi ostatni koniak: „Zdrowie naszego Reichsführera”. Umoczyłem usta, odstawiłem kieliszek, zasalutowałem i wyszedłem za nowym przewodnikiem. „Zobaczy pan, rzucił mi na pożegnanie Glücks, gdy przestąpiłem próg, Liebehenschel odpowie na wszystkie pańskie pytania”. Miał rację, jego zastępca, niski człowieczek o smutnej, zmęczonej twarzy, który kierował jednocześnie Centralnym Biurem Amtsgruppe D, krótko, trzeźwo i realistycznie opisał mi sytuację i stopień zaawansowania powziętych reform. Wiedziałem, że większość rozkazów wydawanych z podpisem Glücksa w rzeczywistości przygotowuje Liebehenschel: to mnie nie zaskoczyło. Liebehenschel twierdził, że najwięcej problemów sprawiają komendanci: „Brakuje im wyobraźni, nie wiedzą, jak wypełniać nasze rozkazy. Gdy tylko znajdzie się jakiś komendant z motywacją, sytuacja diametralnie się zmienia. Niestety, mamy poważne braki personalne i żadnej perspektywy na wymianę kadr”. — „A struktury medyczne? Nie mają sposobów na załagodzenie tych niedoborów?” — „Zaraz się pan spotka z doktorem Lollingiem, sam pan zobaczy”. Rzeczywiście, chociaż podczas spotkania ze Standartenführerem dr. Lollingiem niewiele dowiedziałem się o problemach jednostek medycznych KL, to przynajmniej mogłem, pomimo rozdrażnienia, zrozumieć, czemu jedynym rozwiązaniem dla tych jednostek było niezależne funkcjonowanie. Lolling, stary człowiek o zażawionych oczach, którego wydział sprawował władzę nad wszystkimi sanitarnymi strukturami obozów, był nie tylko alkoholikiem, ale — co było tajemnicą poliszynela — codziennie korzystał z zapasów morfiny. Nie rozumiałem, co taki człowiek robi jeszcze w SS i w dodatku na tak odpowiedzialnym stanowisku. Nie było wątpliwości, chroniła go Partia. Na szczęście udało mi się wyciągnąć od niego stos

bardzo przydatnych raportów: Lolling, z braku lepszego zajęcia, spędzał czas na zamawianiu raportów u podwładnych i w ten sposób maskował własną niekompetencję. Nie wszyscy byli tacy jak on i w raportach pojawiały się rzeczywiście ważne treści.

Został mi Maurer, twórca i dowódca *Arbeitseinsatz*, zaznaczonego w organigramie WVHA jako wydział D II. Prawdę mówiąc, mogłem sobie darować poprzednie wizyty, nawet spotkanie z Liebehenschelem. To Oswald Pohl wyciągnął Standartenführera Gerharda Maurera, nadal młodego, bez dyplomów, lecz za to z solidnym zawodowym doświadczeniem w dziedzinie księgowości i zarządzania, z zatęchłego biura dawnej administracji SS. Maurer wybił się szybko dzięki zdolnościom administracyjnym, przedsiębiorczości i bezbłędnemu rozumieniu biurokratycznych realiów. Gdy Pohl przejął Inspektorat KL pod swoje skrzydła, kazał mu stworzyć D II, by scentralizować i zrationalizować eksploatację siły roboczej w obozach. Spotykałem się z nim jeszcze kilka razy i regularnie wymieniałem korespondencję, zawsze z jednakową satysfakcją. Jawił mi się jako ideał narodowego socjalisty, który z jednej strony wyznaje określony *Weltanschauung*, z drugiej zaś podejmuje skuteczne działania. Bo rezultaty — konkretne i wymierne — stanowiły esencję życia Maurera. Choć nie był autorem wszystkich metod wprowadzonych przez *Arbeitseinsatz*, stworzył z tych elementów niezwykle system zbierania danych, który obowiązywał teraz we wszystkich obozach WVHA. Cierpliwie objaśnił mi działanie tego systemu, przedstawiając standardowe, gotowe formularze, które każdy obóz miał obowiązek wypełnić i odesłać, zwracał uwagę na najważniejsze liczby i najlepszy sposób ich interpretacji. Odczytywane w ten sposób liczby mówiły więcej niż słowny raport, porównywane ze sobą stawały się nośnikiem wielu informacji i umożliwiały Maurerowi precyzyjną kontrolę stopnia realizacji rozkazów i ich powodzenia, a wszystko bez ruszania się z biura. Opierając się na tych danych, potwierdził diagnozę Liebehenschela. Wygłosił surową przemowę na temat reakcyjnej postawy korpusu komendantów „szkolonych metodą Eickego”, kompetentnych we wszystkim, co dotyczy dawnych represyjno-policyjnych funkcji, lecz w gruncie rzeczy opornych i bezmyślnych, niezdolnych do przyswojenia nowoczesnych, dostosowanych do dzisiejszych wymogów, technik zarządzania: „To nie są źli ludzie, lecz nie radzą sobie z tym, czego się dziś od nich wymaga”. Sam Maurer miał tylko jeden cel: maksymalnie wykorzystać roboczy potencjał KL. Nie poczęstował mnie koniakiem, ale na pożegnanie uścisnął mi serdecznie

dłoń: „Cieszę się, że Reichsführer nareszcie bliżej zajął się tymi problemami. Moje biuro jest do pańskiej dyspozycji, Sturmbannführer, zawsze może pan liczyć na moją pomoc”.

Wróciłem do Berlina i umówiłem się na spotkanie ze starym znajomym, Adolfem Eichmannem. Powitał mnie osobiście w rozległym holu swojego wydziału przy Kurfürstenstrasse — szedł w moją stronę, drobiąc w wielkich jeździeckich butach po marmurowych wypastowanych płytach. Pogratulował mi promocji. „Pan również awansował, zrewanżowałem się. W Kijowie był pan jeszcze Sturmbannführerem”. — „Tak, odrzekł z satysfakcją, to prawda. Lecz pan w tym samym czasie zdobył aż dwa galony... Chodźmy, chodźmy”. Pomimo wysokiego stopnia wydał mi się dziwnie gorliwy, unizony; może robił na nim wrażenie fakt, że przybywam z ramienia Reichsführera. W gabinecie opadł na krzesło, założył nogę na nogę, położył niedbale czapkę na stosie papierów, zdjął grube okulary i zaczął czyścić je chusteczką, pohukując na sekretarkę: „Frau Werlmann! Poproszę kawę”. Przyglądałem się tej scenie z rozbawieniem. Od czasów Kijowa Eichmann nabrał pewności siebie. Podniósł okulary w stronę okna, obejrzał je starannie, znów przetarł, założył. Spod jednego z segregatorów wydobyl pudełko i poczęstował mnie holenderskim papierosem. Machał ku mnie dłonią, w której trzymał zapalniczkę: „Otrzymał pan wiele odznaczeń, jeszcze raz, moje gratulacje. To właśnie zaleta frontu. Tu, na tyłach, nie mamy okazji do zdobywania orderów. Mój Amtchef załatwił mi Krzyż Żelazny, ale to tak tylko, żeby mieć. Zgłosiłem się na ochotnika do Einsatzgruppen, wiedział pan? Ale C. (w ten sposób Heydrich, pragnąc dodać sobie angielskiego sznytu, kazał nazywać się przez zaufanych) rozkazał mi zostać. *Jest mi pan niezbędny*, powiedział. *Zu Befehl*, odparłem, zresztą nie miałem wyboru”. — „Ale przecież ma pan dobrą pozycję. Pański referat jest jednym z najważniejszych w Staatspolizei”. — „Tak, ale jeśli chodzi o awans, to absolutnie utknąłem. Referat musi być kierowany przez Regierungsrata albo Oberregierungsrata lub kogoś z SS o równoważnym stopniu. Tak więc z zasady na tym stanowisku nie mogę dostać nic powyżej Obersturmbannführera. Poskarżyłem się Amtchefowi. Odpowiedział, że zasługuję na awans, ale on nie chce mieć kłopotów z dowódcami innych służb”. Jego usta wykrzywiły się w ostrym grymasie. Łyse czoło lśniło w świetle sufitowej lampy, zapalonej pomimo wczesnej pory. Niemłoda sekretarka wniosła na tacy dwie parujące filiżanki i postawiła je przed nami. „Mleka? Cukru?”, spytał Eichmann. Pokręciłem głową i powąchałem zawartość filiżanki — to była prawdziwa kawa. Podmuchałem, by szybciej wystygła, a

Eichmann spytał mnie prosto z mostu: „Odnaczyli pana za Einsatzaktion?”. Jego gadanina zaczynała mnie drażnić, chciałem przejść do sedna sprawy. „Nie, odpowiedziałem. Później przeniesiono mnie do Stalingradu”. Twarz Eichmanna spochmurniała, szybkim ruchem zdjął okulary. „*Ach so*, wyjąkał, prostując się. Był pan w Stalingradzie. Mój brat Helmut tam zginął”. — „Przykro mi. Wyrazy współczucia. Pański starszy brat?” — „Nie, młodszy. Miał trzydzieści trzy lata. Matka ciągle jeszcze nie doszła do siebie. Poległ jak bohater, wypełniwszy obowiązek wobec Niemiec. Żałuję, dodał uroczyście, że mnie nie dano takiej szansy”. Podchwyciłem od razu: „Tak, lecz Niemcy wymagają od pana innych poświęceń”. Założył okulary i upił trochę kawy. Rozgniół niedopałek w popielniczkę: „Ma pan rację. Żołnierz nie wybiera. Więc, co mogę dla pana zrobić? Jeśli dobrze zrozumiałem list Obersturmbannführera Brandta, został pan oddelegowany do zbadania *Arbeitseinsatz*, czy tak? Nie za bardzo widzę związek z moimi służbami”. Wyjąłem kilka kartek z aktówki ze sztucznej skóry. (Zawsze, gdy jej dotykałem, doznawałem niemiłego uczucia, ale nie udało mi się znaleźć niczego innego, skóry też brakowało. Gdy poprosiłem Thomasa o radę, roześmiał mi się w twarz: „Sam chciałem skórzany komplet na biurko, wiesz, taki z teczką na dokumenty i piórnikiem. Napisałem do przyjaciela w Kijowie, faceta, który był ze mną w Grupie i został BdS-em, spytałem, co może dla mnie zrobić. Odpowiedział, że odkąd wyeliminowano wszystkich Żydów, to nawet podzelowanie pary butów jest na Ukrainie niemożliwe”). Eichmann przyglądał mi się, marszcząc brwi. „Żydzi, którymi się pan zajmuje, są dziś głównym źródłem, z jakiego *Arbeitseinsatz* może czerpać, by odnowić swoje aktywa, wyjaśniłem. Oprócz nich tak naprawdę pozostali nam zagraniczni robotnicy, skazani za drobne przestępstwa i więźniowie polityczni z krajów będących pod naszą kontrolą. Wszystkie inne możliwe zasoby, jeńcy wojenni czy więźniowie kryminalni, przekazywani przez Ministerstwo Sprawiedliwości, są na całkowitym wyczerpaniu. Chciałbym otrzymać całościowy opis funkcjonowania pańskich operacji, a zwłaszcza perspektyw na przyszłość”. Słuchał, a lewy kącik jego ust deformował dziwny tik; wyglądało to tak, jakby gryzł się w język. Znów opadł na krzesło, złożył „w budkę” długie, żylaste dłonie, napinając palce wskazujące: „Dobrze, dobrze. Wyjaśnię panu. Jak pan wie, w każdym kraju objętym *Endlösung* stacjonuje jeden przedstawiciel mojego referatu, podlegający BdS-owi, jeżeli kraj jest okupowany, albo attache policji w ambasadzie, jeśli to kraj sojusznicy. Od razu uściślię, że moja działalność nie obejmuje ZSRR; co do przedstawiciela w Generalnym

Gubernatorstwie, to odgrywa on tam niewielką rolę”. — „Jak to?” — „Kwestią żydowską w GG zajmuje się SSPF w Lublinie, Gruppenführer Globocnik, który rozlicza się bezpośrednio z Reichsführerem. Tak więc Staatspolizei jako całość nie jest zaangażowana w działania”. Przygryzł wargę: „Z wyjątkiem kilku przypadków, które muszą być jeszcze rozpatrzone, samą Rzeszę można uznać za *judenrein*. W innych krajach to zależy od stopnia, w jakim rozumieją lokalne władze rozwiązanie kwestii żydowskiej. I dlatego każdy kraj jest w pewnym sensie osobnym przypadkiem, mogę je panu kolejno objaśnić”. Zauważyłem, że gdy tylko zaczął mówić o pracy, to już i tak dziwaczną mieszaninę austriackich naleciałości i berlińskiej gwary komplikował dodatkowo biurokratyczną, wyjątkowo zagmatwaną składnią. Mówił spokojnie i wyraźnie, starannie dobierając słowa, ale czasem trudno mi było podążać za tokiem jego wypowiedzi. On sam chyba też się gubił: „Weźmy na przykład Francję, gdzie udało nam się, że tak powiem, zacząć pracę zeszłego lata, po tym, jak francuskie władze, pod przewodnictwem naszego specjalisty, a także zgodnie z radą i życzeniem Auswärtiges Amt, eeee... że się tak wyrażę, zgodziły się na współpracę, no i, przede wszystkim, gdy ci z Reichsbahn przystali na użyczenie nam niezbędnego transportu. Tak więc mogliśmy zacząć i początkowo był to nawet sukces, bo Francuzi wykazywali sporo zrozumienia, no i dzięki pomocy francuskiej policji, bez której nic byśmy nie mogli zrobić, ma się rozumieć, bo sami nie dysponowaliśmy ludźmi, a Militärbefehlshaber by ich nam z pewnością nie dostarczył, tak więc pomoc policji francuskiej okazała się kluczowym elementem, bo to oni aresztowali Żydów i przekazywali ich nam, i zresztą bywali nadgorliwi, ponieważ oficjalnie chcieliśmy Żydów powyżej szesnastu lat — ma się rozumieć na początek — ale oni nie chcieli zostawiać dzieci bez rodziców, co jest raczej zrozumiałe, więc wszystkie je nam przekazywali, nawet sieroty — krótko mówiąc, szybko zrozumieliśmy, że dostarczają nam tylko obcych Żydów, musiałem nawet anulować jeden transport z Bordeaux, ponieważ nie było ich wystarczająco dużo, tych obcych Żydów, prawdziwy skandal, bo co się tyczyło ich własnych Żydów, takich, co mieli francuskie obywatelstwo, to znaczy, już od dawna, no to, widzi pan, mówili nam nie. Nie chcieli i co można było robić. Według Auswärtiges Amt sam marszałek Petain robił trudności, tłumaczyliśmy, wyjaśnialiśmy, nic z tego. Więc, rzecz jasna po listopadzie nastąpiła kompletna zmiana sytuacji, bo już nie byliśmy tak całkiem ograniczeni umowami czy francuskim prawem, ale nawet wtedy, jak już panu mówiłem, mieliśmy problem z policją francuską, która nie chciała więcej współpracować,

nie chciałbym się tu skarżyć na Herr Bousqueta, on też miał swoje rozkazy, no i w końcu nie można było wysłać niemieckiej policji, żeby pukała do drzwi, tak więc, w sumie, we Francji mamy zastój. W dodatku wielu Żydów przeszło do sektora włoskiego, a to jest naprawdę problem, bo akurat Włosi nie mają żadnego zrozumienia, wszędzie mamy ten sam problem, w Grecji i Chorwacji, gdzie oni rządzą, tak, tak, to oni chronią Żydów, i nie tylko swoich, ale wszystkich. To prawdziwy problem i w dodatku wykracza poza zakres moich kompetencji, zresztą zdaje mi się, że był omawiany na wyższym szczeblu, na najwyższym z możliwych, i Mussolini odpowiedział, że się tym zajmie, ale jak widać nie jest to priorytet, nieprawdaż, a także na niższych szczeblach, z naszymi podwykonawcami, tam, powiem panu, to już prawdziwa biurokratyczna obstrukcja, jakieś manewry odraczające i sam nie wiem co jeszcze, niby nigdy nie odmawiają, ale to wszystko to takie ruchome piaski, sprawy grzęzną. I tak się właśnie sprawy mają z Włochami”. — „A w innych krajach?”, spytałem. Eichmann wstał, założył czapkę i dał znak, że mam iść za nim. „Chodźmy. Pokażę panu”. Ruszyłem za nim do innego gabinetu. Jego nogi, dopiero teraz to spostrzegłem, były pałkowate jak u kawalerzysty. „Jeździ pan konno, Herr Obersturmbannführer?” Znow ten grymas. „W młodości, tak. Teraz nie mam zbyt wielu okazji”. Zapukał do drzwi i wszedł. Wstało kilku oficerów, zasalutowali, odsalutował, przeszedł przez pokój, zapukał do kolejnych drzwi, wszedł. W głębi pokoju za biurkiem siedział jakiś Sturmbannführer; była też sekretarka i niższy stopniem oficer. Wszyscy wstali na nasz widok, a Sturmbannführer, jasnowłosy przystojniak, wysoki i muskularny, w opiętym, szytym na miarę mundurze, uniósł ramię i wydał z siebie wojownicze *Heil!* Odsalutowaliśmy i podeszliśmy bliżej. Eichmann przedstawił mnie, po czym poinformował: „Sturmbannführer Günther jest moim stałym zastępcą”. Günther przyjrzał mi się z niechęcią, po czym spytał Eichmanna: „Czym mogę służyć, Herr Obersturmbannführer?” — „Przepraszam, że panu przeszkadzam, Günther. Chciałem pokazać pańską tabelę”. Günther bez słowa odsunął się od biurka. Za nim, na ścianie, wisiał rozgałęziony wykres w kilku kolorach. „Widzi pan, wyjaśnił Eichmann, to jest rozpisane według krajów, co miesiąc uaktualniane. Po lewej ma pan zamierzenia, a dalej zebrane wskaźniki realizacji zamierzeń. Wystarczy rzucić okiem, od razu widać, że w Holandii jesteśmy bliscy celu, wykonaliśmy 50% zamierzeń w Belgii, ale na Węgrzech, w Rumunii czy w Bułgarii nasz wynik jest bliski zera. W Bułgarii mamy ich kilka tysięcy, ale to nie są wymierne dane: pozwolili nam ewakuować wyłącznie tych, którzy

zamieszkiwali terytoria okupowane przez nas od czterdziestego pierwszego, w Tracji i Macedonii, ale nie Żydów ze Starej Bułgarii. Poprosiliśmy ich o to oficjalnie kilka miesięcy temu, w marcu, tak, chyba w marcu, było jakieś działanie AA, lecz znów odmówili. Ponieważ jest to kwestia suwerenności, każdy chce gwarancji, że jego sąsiad zrobi tak samo, to znaczy Bułgarzy chcą, żeby zaczęli Rumuni, Rumuni — żeby Węgrzy, a Węgrzy — żeby Bułgarzy, czy coś w tym rodzaju. Faktem jest, że od wydarzeń w Warszawie nie musieliśmy aż tak bardzo tłumaczyć im, z jakim niebezpieczeństwem wiąże się trzymanie u siebie tylu Żydów, to przecież matecznik wywrotowców, no i myślę, że to zrobiło na nich wrażenie. Ale na tym nie koniec zmartwień. W Grecji zaczęliśmy w marcu, mam tam Sonderkommando, w Salonikach, widzi pan, to idzie dość sprawnie, już prawie skończyliśmy. Zostanie nam do obrobienia Kreta i Rodos, niby żaden problem, ale co do włoskiej strefy, Ateny i reszta... już panu wyjaśniałem. Poza tym, ma się rozumieć, wiąże się z tym wiele problemów technicznych i nie są to problemy dyplomatyczne, to byłoby zbyt proste, o nie, tak więc zwłaszcza problem transportu, to znaczy sprzętu jeżdżącego, więc przydział wagonów oraz, jak by to... czasu spędzonego na torach, gdy już dostaniemy wagony. Zdarza się, na przykład, że negocjujemy porozumienie z jakimś rządem, mamy Żydów w garści, a tu proszę, *Transportsperre*, totalna blokada, bo na Wschodzie ofensywa albo coś tam i nic się do Polski przedostać nie może. Ale też, odwrotnie, jak jest spokój, to wysyłamy podwójne ładunki. W Holandii czy we Francji grupujemy wszystko w obozach przejściowych i upłyniamy powoli, jak mamy akurat transport, a także zależnie od możliwości przyjęcia, tam też są ograniczenia. Natomiast jeśli chodzi o Saloniki, postanowiliśmy zadziałać raz a dobrze, raz, dwa, trzy i cztery, i koniec. Od lutego mamy naprawdę dużo pracy, jest dostęp do transportu i otrzymałem rozkaz przyspieszenia działań. Reichsführer chce, żeby skończyć ze wszystkim do końca roku i już do tego nie wracać”. — „To jest wykonalne?” — „W zakresie, który zależy od nas, tak. Chodzi mi o to, że transport zawsze stanowi problem, także finanse, ponieważ musimy płacić kolei, wie pan, w dodatku od każdego pasażera, a ja nie dysponuję takim budżetem, muszę jakoś sobie radzić. Każemy Żydom się dokładać, zgoda, ale Reichsbahn przyjmuje opłaty wyłącznie w reichsmarkach, ewentualnie w złotych, gdy wysyłamy ich do Generalnego Gubernatorstwa, ale w Salonikach mają drachmy, a wymiana na miejscu jest niemożliwa. Więc musimy sobie radzić, ale to akurat potrafimy. Dalej, oczywiście, są kwestie dyplomatyczne, ja, jak mi się Węgrzy nie zgodzą,

to co ja mogę, to nie zależy ode mnie, Herr Minister von Ribbentrop powinien omawiać tę sprawę z Reichsführerem, nie ze mną”. — „Rozumiem”. Przez chwilę przyglądałem się tablicy. „Jeżeli dobrze zrozumiałem, różnica między liczbami tu, w kolumnie kwietniowej, a tymi po lewej oznacza owe potencjalne zasoby, narażone na liczne komplikacje, o których mi pan opowiedział”. — „Dokładnie tak. Proszę jednak zauważyć, że są to dane całościowe, a to oznacza, że spora ich część tak czy inaczej nie zainteresuje *Arbeitseinsatz*, ponieważ, widzi pan, są to starcy i dzieci, albo co tam jeszcze, tak więc od tej liczby może pan odjąć sporą część”. — „Ile, według pana?” — „Nie wiem. Powinien się pan z tym zwrócić do WVHA, przyjmowanie i selekcja więźniów to ich problem. Moja odpowiedzialność kończy się w chwili odjazdu pociągu, ja zostaję tu, nie mam nic więcej do powiedzenia. Co mogę panu powiedzieć, to to, że według RSHA liczba Żydów trzymany czasowo do pracy powinna być możliwie jak najmniejsza: tworzenie dużych skupisk żydowskich, widzi pan, to zachęta do następnej Warszawy, to niebezpieczne. Myślę, że mogę zdradzić panu, że jest to opinia Gruppenführera Müllera, mojego Amtchefa, i Obergruppenführera Kaltenbrunera”. — „Rozumiem. Czy mógłbym otrzymać od pana kopię tych danych?” — „Oczywiście, oczywiście. Wyślę panu jutro. Ale nie mam danych o ZSRR i GG, mówiłem panu”. Günther, który nie odezwał się słowem, znów rzucił nam gromkie *Heil Hitler!* i ruszyliśmy ku wyjściu. Wróciłem z Eichmannem do jego gabinetu, potrzebowałem jeszcze objaśnienia kilku kwestii. Gdy się wszystkiego dowiedziałem, odprowadził mnie. W holu skłonił mi się: „Herr Sturmbannführer, chciałbym pana zaprosić do siebie na wieczór w tym tygodniu. Od czasu do czasu dajemy koncerty kameralne. Mój Hauptscharführer Boll gra pierwsze skrzypce”. — „Ach. To świetnie. A pan? Na czym pan gra?” Wyciągnął głowę na szyi jak ptak. „Też na skrzypcach, ale drugie skrzypce. Nie gram, niestety, tak dobrze jak Boll, więc ustąpiłem mu miejsca w szeregu... C, to znaczy Obergruppenführer Heydrich, a nie Obergruppenführer Kaltenbrunner, którego dobrze znam, jesteśmy zresztą krajanami i to dzięki niemu wstąpiłem do SS, nie wiem, czy sobie to przypomina — nie, *der Chef* świetnie grał na skrzypcach. Tak, naprawdę pięknie, miał ogromny talent. Był to wspaniały człowiek, żywię do niego ogromny szacunek. Bardzo... uważny, on w głębi serca cierpiał. Żałuję go”. — „Bardzo słabo go znałem. A co panowie grywają?” — „Ostatnio? Głównie Brahmsa. Trochę Beethovena”. — „Bacha nie?” Znów przygryzł wargi. „Bach? Nie bardzo lubię. To takie suche, zbyt... wykalkulowane. Sterylne, jeśli pan

woli, bardzo piękne, oczywiście, ale bez duszy. Wolę muzykę romantyczną, ona mną wstrząsa, tak, zapominam o całym świecie”. — „Chyba nie podzielam pańskiej opinii o Bachu. Ale chętnie przyjmę zaproszenie”. Tak naprawdę wcale mi się to nie uśmiechało, ale nie chciałem go zranić. „Świetnie, świetnie, powiedział, porozmawiam z żoną i zadzwonię do pana. I proszę się nie martwić o papiery. Będzie je pan miał jutro, słowo oficera SS”.

Został mi jeszcze Oswald Pohl, wielki marabut WVHA. Przyjął mnie w swoich biurach na Unter den Eichen z przesadną serdecznością, zagadnął o Kilonię, gdzie spędził długie lata w Kriegsmarine. Właśnie tam, w kasynie, dostrzegł go i rekrutował Reichsführer, latem trzydziestego trzeciego. Zaczął od centralizacji administracji i finansów SS, a potem, stopniowo, zbudował własną sieć przedsiębiorstw. „Tak jak w przypadku każdej międzynarodowej korporacji prowadzimy zróżnicowaną działalność. Jesteśmy obecni w sektorze materiałów budowlanych, w branży drzewnej, ceramicznej, meblarskiej, wydawniczej, produkujemy nawet wodę mineralną”. — „Wodę mineralną?” — „Ach! To bardzo ważne. Dzięki temu zaopatrujemy naszych z Waffen-SS w wodę pitną na wszystkich terenach na Wschodzie”. Mówił, że wyjątkowy powód do dumy daje mu jedno z najnowszych dzieł: Osti, Przemysł Wschodni, korporacja utworzona w dystrykcie lubelskim, mająca na celu wdrożenie pozostałych tam Żydów do pracy na rzecz SS. Tak, był dobroduszny, lecz gdy spróbowałem, dość ogólnie, przejść do tematu *Arbeitseinsatz*, zaczął kręcić; twierdził, że wszystkie najskuteczniejsze środki zostały wprowadzone i że teraz wystarczy czekać na rezultaty. Zapytałem go o kryteria selekcji, odesłał mnie do kierownictwa w Oranienburgu: „Oni lepiej znają szczegóły. Jednakże mogę panu zagwarantować, że odkąd do selekcji zaangażowano służby medyczne, jest bardzo dobrze”. Zapewnił mnie, że Reichsführer został dokładnie poinformowany o wszystkich trudnościach. „W to nie wątpię, Herr Obergruppenführer, odpowiedziałem. Zadanie, jakie przydzielił mi Reichsführer, polega na zidentyfikowaniu punktów zastoju i wskazaniu ewentualnych możliwości poprawy. Połączenie z WVHA pod pańskim zwierzchnictwem pociągnęło za sobą znaczne zmiany w naszym systemie narodowosocjalistycznych obozów, a środki, które zalecił pan lub narzucił, a także dobór podwładnych, wywarły pozytywny wpływ, i to w sposób zauważalny. Myślę, że Reichsführer życzy sobie teraz po prostu, aby wypracować całościowe spojrzenie na sprawę. Pańskie sugestie dotyczące przyszłych działań będą bardzo ważne, nie wątpię w to ani przez moment”. Czy Pohl

czuł się zagrożony moją misją? Po wysłuchaniu tej krótkiej łagodzącej przemowy zmienił temat, ale szybko znów się ożywił i nawet postanowił przedstawić mi kilku swoich współpracowników. Zaprosił mnie do siebie, gdy wrócę z inspekcji (miałem niedługo wyjechać do Polski, a także odwiedzić kilka obozów w Rzeszy). Szedł ze mną korytarzem, trzymając mnie poufałe pod ramię. Wyszliśmy, a gdy się odwróciłem, zobaczyłem, jak macha mi dłonią z uśmiechem: „Szczęśliwej podróży!”.

Eichmann dotrzymał słowa: po powrocie z Lichtenfelde późnym popołudniem zastałem na biurku grubą zapieczętowaną kopertę z napisem GEHEIME REICHSSACHE! Zawierała plik dokumentów z napisanym na maszynie listem; było też odręczne zaproszenie Eichmanna na następny wieczór. Zawiózł mnie Piontek. Najpierw pojechaliśmy po kwiaty — kupiłem nieparzystą liczbę, nauczyłem się tego w Rosji — i po czekoladki, po czym kazałem mu się zawieźć na Kurfürstenstrasse. Eichmann miał mieszkanie w bocznym skrzydle swojego biurowca, gdzie zatrzymywali się także przejezdni samotni oficerowie. Otworzył mi osobiście, był w cywilnym ubraniu. „Ach! Sturmbannführer Aue. Powinienem był poprosić, żeby nie przychodził pan w mundurze. To tylko skromny wieczorek. No cóż, nic się nie stało. Proszę, proszę wejść”. Przedstawił mi żonę, Verę, drobną, cichą Austriaczkę, która zarumieniała się z radości i czarująco uśmiechnęła, gdy z ukłonem podałem jej kwiaty. Eichmann ustawił w parze swoich dwóch synów: Dietera, z wyglądu sześciolatek, i Klause. „Mały Horst już śpi”, powiedziała Frau Eichmann. — „To nasz beniaminek, dorzucił jej mąż. Nie ma jeszcze roku. Chodźmy, przedstawię pana”. Zaprowadził mnie do salonu pełnego już kobiet i mężczyzn, którzy stali lub siedzieli na kanapach. Był tam też, pamiętam dobrze, Hauptsturmführer Novak, Austriak chorwackiego pochodzenia, o surowej, pociągłej twarzy, dość przystojny, lecz nie wiedzieć czemu pełen pogardy, Boll, skrzypek, i kilku innych, których nazwisk, niestety, nie pamiętam, koledzy Eichmanna z małżonkami. „Günther też wpadnie, ale tylko na herbatę. Rzadko się do nas przyłącza”. — „Widzę, że w pańskiej sekcji panuje duch koleżeństwa”. — „Tak, tak. Lubię mieć serdeczne relacje z podwładnymi. Czego się pan napije? Sznapsika? *Krieg ist Krieg...*” Roześmiałem się, on także: „Ma pan dobrą pamięć, Herr Sturmbannführer”. Wziąłem szklaneczkę, uniosłem: „Tym razem piję za zdrowie pańskiej uroczej rodziny”. Stuknął obcasami i pochylił głowę: „Dziękuję”. Porozmawialiśmy chwilę i Eichmann podprowadził mnie do bufetu, na którym stała fotografia w czarnej ramce, przedstawiająca młodego jeszcze mężczyznę w mundurze.

„Pański brat?”, spytałem. — „Tak”. Spojrzał na mnie z ciekawością, haczykowaty nos i odstające uszy, dobrze widoczne w tym oświetleniu, sprawiały, że przypominał ptaka. „Domyślam się, że nie spotkał go pan tam?” Podał numer dywizji, a ja pokręciłem głową: „Nie. Przyjechałem tam późno, miasto było już obleżone. Spotkałem niewielu ludzi”. — „Ach, rozumiem. Helmut poległ podczas jednej z jesiennych ofensyw. Nie znamy dokładnych okoliczności, ale dostaliśmy oficjalne powiadomienie”. — „To było naprawdę wielkie poświęcenie”, powiedziałem. Potarł wargi: „Tak. Miejmy nadzieję, że nie na próżno. Ja wierzę w geniusz Führera”.

Frau Eichmann częstowała ciasteczkami i herbatą. Przyszedł Günther, wziął filiżankę i stanął w kącie, by ją wypić; nie odzywał się do nikogo. Obserwowałem go ukradkiem, gdy inni dyskutowali. Widać było, że jest to człowiek dumny, szczególnie skupiony na zachowaniu nieprzystępnej, surowej postawy, którą epatował gadatliwych kolegów. Był jak niemy wyrzut. Mówiono, że jest synem Hansa F.K. Günthera, pioniera niemieckiej antropologii rasowej, którego dzieło w tamtych czasach traktowano niemal jak Biblię. Jeżeli tak było, to Günther senior mógł być dumny z potomka, który wprowadzał w życie jego teorię. Po półgodzinie wyszedł, dyskretnie się pożegnawszy. Nadeszła pora koncertu: „Zawsze przed kolacją, podkreślił Eichmann. Później wszyscy są zbyt zajęci trawieniem i nie grają dobrze”. Vera Eichmann wzięła altówkę, jakiś oficer wyjął z futerału wiolonczelę. Zagrali dwa z czterech kwartetów smyczkowych Brahmsa, przyjemne, ale jak na mój gust niezbyt interesujące. Wykonanie było poprawne, bez wielkich niespodzianek: tylko wiolonczelista wyróżniał się talentem. Eichmann grał spokojnie, metodycznie, wbijając wzrok w partyturę; nie robił błędów, lecz nie rozumiał chyba, że to nie wystarczy. Przypomniałem sobie jego komentarz sprzed dwóch dni: „Boll gra lepiej ode mnie, a Heydrich grał jeszcze lepiej”. Więc może jednak to rozumiał i akceptował swe ograniczenia, czerpiąc przyjemność z tego, co udało mu się osiągnąć.

Klaskałem ochoczo; chyba najbardziej pochlebiło to Frau Eichmann. „Położę dzieci, powiedziała, a potem siądziemy do stołu”. Mieliśmy czas się napić: kobiety rozmawiały o racjonowaniu żywności i powtarzały sobie plotki, mężczyźni komentowali najnowsze wiadomości, niezbyt zajmujące, bo front stał w miejscu i od upadku Tunisu nic się nie działo..Panowała bardzo nieformalna atmosfera, po austriacku *gemütlich*, pełne przesady „nic”. Wreszcie Eichmann poprosił nas do jadalni. Osobiście rozsadzał gości, mnie umieścił po swojej prawej ręce, u szczytu stołu. Otworzył kilka butelek reńskiego wina, a

Vera Eichmann podała pieczeń w sosie borówkowym i zieloną fasolkę szparagową. Duża odmiana po niezjadliwej kuchni Frau Gutknecht i codziennej kantynie SS-Haus. Wyśmienite, komplementowałem Frau Eichmann. Gotuje pani nadzwyczajnie”. — „Och, mam szczęście. Dolfiemu często udaje się zdobyć rzadkie produkty. W sklepach pustki”. Rozochocony dobrym posiłkiem, postanowiłem nakreślić towarzystwu portret mojej gospodyni: zacząłem od kuchni, a później przeszedłem do innych cech. „Stalingrad?, natrząsałem się, naśladowując jej gwarę i ton głosu. Ale też jakie licho tam pana poniosło? A bo tu nam nie dobrze? A w ogóle, to gdzie to jest?” Eichmann śmiał się i krztusił winem. Kontynuowałem: „Pewnego dnia rano wyszliśmy z domu o tej samej porze. Przechodził jakiś człowiek z gwiazdą, pewnie uprzywilejowany *Mischling*. A ta jak nie wrzaśnie: *O! Pan patrzy, Herr Offizier! Żyd! Jeszcze go pan nie zagazował?*”. Wszyscy się roześmieli, Eichmann aż się popłakał i ukrył twarz w serwetce. Tylko Frau Eichmann zachowała powagę; zamilkłem, gdy to dostrzegłem. Chyba chciała o coś zapytać, ale się powstrzymała. Żeby dodać sobie rezonu, dolałem wina Eichmannowi: „Niech się pan napije”. Nie mógł przestać się śmiać. Rozmowa zesłała na inne tory, wziąłem się do jedzenia; jeden z gości opowiadał coś śmiesznego o Göringu. Nagle Eichmann spoważniał i odwrócił się do mnie: „Sturmbannführer Aue, jest pan człowiekiem wykształconym. Chciałbym zadać panu pytanie, bardzo ważne pytanie”. Poruszyłem zachęcająco dłońią, w której trzymałem widelec. „Przypuszczam, że czytał pan Kanta? Czytam właśnie, mówił, pocierając wargi, *Krytykę praktycznego rozumu*. Naturalnie ktoś taki jak ja, to znaczy bez uniwersyteckiego wykształcenia, nie jest w stanie wszystkiego wychwycić. Mimo to mogę zrozumieć pewne rzeczy. Długo rozmyślałem nad kwestią Kantowskiego Imperatywu. Myślę, że zgodzi się pan ze mną, iż każdy uczciwy człowiek powinien żyć według tego Imperatywu”. Wypiłem łyk wina i przytaknąłem. Eichmann wyłuszczał dalej: „W moim rozumieniu Imperatyw mówi: zasady mojej indywidualnej woli powinny jednocześnie móc stać się ogólnymi zasadami prawa moralnego. Działając, człowiek ustala prawa”. Wytarłem usta. „Chyba rozumiem, do czego pan zmierza. Zastanawia się pan, czy nasza praca jest zgodna z Kantowskim Imperatywem”. — „To nie do końca tak. Ale jeden z moich przyjaciół, którego akurat interesują te kwestie, twierdzi, że w czasie wojny, na mocy, widzi pan, stanu wyjątkowego powodowanego zagrożeniem, Imperatyw Kantowski przestaje chwilowo mieć znaczenie, ponieważ, naturalnie, nie chcemy, by wróg zrobił nam to, co my sami chcemy zrobić jemu, tak więc to się nie może stać podstawą

powszechnego prawa. To jego zdanie, rozumie pan. Natomiast ja czuję, że on nie ma racji, że motorem naszego działania jest wierność powinnościom, nasze posłuszeństwo rozkazom przełożonych... i że właśnie wkładamy całą naszą wolę w jak najlepsze wykonanie rozkazu. W pozytywne nastawienie do tych rozkazów. Lecz nie wpadłem jeszcze na niezbity argument, by udowodnić mu, że nie ma racji”. — „Ale to przecież dość proste, tak sędzę. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że w narodowosocjalistycznym państwie ostatecznym fundamentem pozytywnego prawa jest wola Führera. Znana zasada: *Führerworte haben Gesetzeskraft*, słowa Führera mają siłę prawa. Oczywiście uznajemy, iż w praktyce Führer nie może zajmować się wszystkim, dlatego inni muszą działać i ustanawiać prawa w jego imieniu. Z zasady ta idea powinna obowiązywać cały *Volk*. Doktor Frank w swoim traktacie o prawie konstytucyjnym rozwinął definicję *Führerprinzip* w następujący sposób: *Postępuj zawsze tak, by Führer, gdyby znał twoje postępowanie, mógł je zaaprobować*. Ta zasada i Imperatyw Kanta w żaden sposób się nie wykluczają”. — „Rozumiem, rozumiem. *Frei sein ist Knecht sein*, bycie wolnym oznacza bycie wasalem, jak mówi stare niemieckie przysłowie”. — „Właśnie. Ta zasada powinna być stosowana przez wszystkich członków *Volksgemeinschaft*. Należy praktykować narodowy socjalizm, traktując swą własną wolę tak jak wolę Führera, a więc, wracając do terminów Kanta, jak fundament *Volksrecht*, prawa ludowego. Ten, kto jest posłuszny rozkazom w sposób mechaniczny, nie rozważając ich krytycznie, aby zrozumieć ich najgłębszą konieczność, nie pracuje wcale w kierunku wyznaczonym przez Führera; zazwyczaj się z nim mija. Ma się rozumieć, zasadą prawa konstytucyjnego *völkisch* jest sam *Volk*: poza nim nie ma ono zastosowania. Błąd pańskiego przyjaciela polega na odnoszeniu się do ponadnarodowego, zupełnie mitycznego prawa, wadliwego wynalazku Rewolucji Francuskiej. Każde prawo powinno spoczywać na jakimś fundamencie. Z historycznego punktu widzenia ów fundament był zawsze fikcją albo abstrakcją: Bóg, Król albo Lud. Naszym wielkim osiągnięciem było stworzenie prawnego konceptu Narodu na bazie niezbywalnego konkretnego, którym jest *Volk*, a którego zbiorową wolę wyraża jego przedstawiciel — Führer. Gdy mówimy *Frei sein ist Knecht sein*, to pamiętajmy, że najpierwszym wasalem jest właśnie Führer, bo sam w sobie nie uosabia on niczego innego jak służbę właśnie. Nie służymy Führerowi samemu w sobie, lecz przedstawicielowi *Volku*, służymy *Volkowi* i powinniśmy to robić tak jak Führer, wyrzekając się wszystkiego. Właśnie dlatego, stawiając czoło bolesnym zadaniom,

musimy się ugiąć, trzymać na wodzy uczucia i wypełniać niezłomnie nasze powinności”. Eichmann słuchał uważnie, napinając kark i wbijając w jeden punkt oczy osłonięte grubymi szklami okularów. „Tak, tak, powiedział żarliwie, świetnie pana rozumiem. Uważamy, że naszą powinnością jest jak najdoskonalsze wyrażanie naszej ludzkiej wolności”. — „Oczywiście. Jeżeli naszą wolą jest służba na rzecz Führera i *Volku*, to, z definicji, nosimy w sobie zasady prawa *Volku*, które wyraża Führer lub które wynikają z jego woli”. — „Proszę wybaczyć, wtrącił się jeden ze współbiesiadników, ale czy Kant nie był przypadkiem antysemitą?” — „Być może, odpowiedziałem. Ale jego antysemityzm pozostał czysto religijny, hołdujący wierze w przyszłe życie. My wyszliśmy daleko poza te koncepcje”. Frau Eichmann i jedna z zaproszonych kobiet sprzątały ze stołu. Eichmann nalał wszystkim sznapsa i zapalił papierosa. Po kilku minutach znów rozbrzmiał gwar. Wypiłem sznapsa i też zapaliłem. Frau Eichmann podała kawę. Eichmann kiwnął na mnie: „Poproszę pana na chwilę. Chcę panu coś pokazać”. Poszedłem za nim do sypialni. Zapalił światło, wskazał krzesło, wyjął z kieszeni klucz, a gdy się sadowiłem, otworzył szufladę biurka i wyjął z niej dość gruby album w okładkach z ziarnistej skóry. Podał mi go z błyszczącymi oczyma i siadł na łóżku. Przejrzałem księgę: była to seria raportów, spisanych na brystołu lub na zwyczajnym papierze, oraz fotografii; całość przypominała album, który zrobiłem kiedyś w Kijowie, zaraz po *Grosse Aktion*. Tytuł, wykaligrafowany gotykiem na pierwszej stronie, oznajmiał: DZIELNICA ŻYDOWSKA W WARSZAWIE JUŻ NIE ISTNIEJE! „Co to takiego?”, spytałem. — „To są raporty Brigadeführera Stroopa o tłumieniu żydowskiego powstania. Podarował ten album Reichsführerowi, który z kolei pożyczył go mnie, żebym się z nim zapoznał”. Dosłownie pękał z dumy. „Niech pan obejrzy, to niesamowite”. Przyjrzałem się zdjęciom: niektóre rzeczywiście robiły wrażenie. Uzbrojone bunkry, płonące budynki, Żydzi skaczący z dachów, by wyrwać się płomieniom; i jeszcze ruiny miasta po bitwie. Waffen-SS i posiłki musiały użyć artylerii, by z bliska rozgromić gniazda oporu. „Trwało to prawie miesiąc, szeptał Eichmann, gryzając skórę przy paznokciu. Miesiąc! Ponad sześć batalionów. Proszę zajrzeć na początek, lista strat”. Na pierwszej stronie widniał spis: szesnastu poległych, w tym jeden polski policjant. Po nim długa lista rannych. „Jaką mieli broń?”, spytałem. — „Na szczęście marną. Kilka karabinów maszynowych, granaty i pistolety, butelki samozapalne”. — „Skąd ją mieli?” — „Prawdopodobnie od polskich partyzantów. Walczyli jak lwy, wyobraża pan sobie? Żydzi głodzeni przez trzy lata. Ludzie z Waffen-

SS byli w szoku”. Podobnie reagował na to Thomas, ale Eichmann wyglądał bardziej na przerażonego niż pełnego podziwu. „Brigadeführer Stroop twierdzi, że nawet kobiety chowały granaty pod spódnicami i wysadzały się wraz Niemcami, którzy skłaniali je do poddania się”. — „To zrozumiałe, zauważyłem. Wiedziały, co je czeka. Dzielnica jest całkiem czysta?” — „Tak. Wszystkich Żydów żywcem wziętych do niewoli skierowano do Treblinki. To jedno z centrów kierowanych przez Gruppenführera Globocnika”. — „Bez selekcji”. — „To oczywiste! Zbyt wiele niebezpiecznych elementów. Wie pan, znów okazało się, że Obergruppenführer Heydrich miał rację. Porównywał to z chorobą: najtrudniej wyplenić to, co po sobie zostawia. Słabi, starzy znikają natychmiast; zostają tylko młodzi, silni, sprytni. To niepokojące, bo oni właśnie są produktem naturalnej selekcji, najsilniejszym biologicznym źródłem. Jeżeli przeżyją, za pięćdziesiąt lat trzeba będzie zacząć całą robotę od nowa. Mówiłem już panu, że to powstanie mocno nas zaniepokoiło. Jeżeli gdzieś się powtórzy, będzie to katastrofa. Nie możemy dać im więcej takiej okazji. Niech pan sobie wyobrazi podobną rewoltę w obozie koncentracyjnym! Wolę nie myśleć”. — „Ale potrzeba nam robotników, sam pan wie”. — „Oczywiście, ja tu nie mam nic do powiedzenia. Chciałem tylko naświetlić ryzyko. Kwestia pracy, już panu mówiłem, to nie jest w ogóle moja dziedzina, a każdy ma swoje pomysły. Cóż, jak często powtarza Amtchef, *gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą*. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat”. Oddałem album. „Dziękuję, że mi go pan pokazał. Jest bardzo interesujący”. Wróciliśmy do gości; niektórzy już wychodzili. Eichmann zatrzymał mnie jeszcze na ostatni kieliszek i w końcu ja też się pożegnałem, podziękowałem Frau Eichmann i ucałowałem jej dłoń. W przedpokoju Eichmann klepnął mnie przyjacielsko po plecach: „Pozwoli pan, że to powiem, Herr Sturmbannführer, porządny z pana facet. Nie jak ci wszyscy arystokraci z SD w zamszowych rękawiczkach. Nie, pan jest w porządku”. Chyba za dużo wypił, zaczynał się rozklejać. Podziękowałem, uściśnąłem mu dłoń i wyszedłem, a on został na progu, z rękami w kieszeniach, uśmiechając się kącikiem ust.

Opisuję tak rozwlekle to spotkanie z Eichmannem nie dlatego, że pamiętam je lepiej od innych: po prostu ten mały Obersturmbannführer stał się później, w pewnym sensie, kimś sławnym, więc pomyślałem, że moje wspomnienia, rzucające dodatkowe światło na jego osobę, mogą zainteresować czytelników. Napisano o nim wiele głupstw: z całą pewnością nie był on *wrogiem rodzaju ludzkiego*, jak mówiono o nim w Norymberdze (nie było go tam, więc z tym większą łatwością wszystko na niego zrzucano, w dodatku

sędziowie niezbyt dobrze rozumieli sposób funkcjonowania naszych służb). Nie był także ucieleśnieniem *banalnego zła*, robotem bez duszy i twarzy, jak go przedstawiano już po jego procesie. Był to wielce utalentowany biurokrata, kompetentny w swojej dziedzinie, z niejaką klasą, wykazujący się sporą osobistą przedsiębiorczością, z tym że wyłącznie w ramach ściśle określonych zadań. Na odpowiedzialnym stanowisku, na którym musiałby podejmować decyzje, takjakiego Amtchef Müller na przykład, czułby się zagubiony, ale jako pracownik średniego szczebla mógłby być dumą każdego europejskiego przedsiębiorstwa. Nie widziałem, żeby kiedykolwiek żywił szczególną nienawiść do Żydów: po prostu na niej zbudował swoją karierę, stało się to nie tylko jego specjalnością, lecz także, w pewnym sensie, małym biznesem, i gdy chciano mu go odebrać, zajadłe się bronił, co zrozumiałe. Ale równie dobrze mógłby robić coś zupełnie innego, więc gdy powiedział sędziom, że uważał eksterminację Żydów za błąd, można mu wierzyć. Wielu ludzi w RSHA, a zwłaszcza w SD, myślało to samo, już o tym pisałem, ale raz podjętą decyzję trzeba wypełnić do końca i on był tego bardzo świadom; w dodatku od tego zależała jego kariera. Fakt, nie należał do osób, z którymi lubiłem przebywać, jego zdolność do samodzielnego myślenia była skrajnie ograniczona — w drodze powrotnej zastanawiałem się, skąd u mnie ta wylewność, jak to się stało, że tak łatwo wsiąknęłam w tę rodziną, sentymentalną atmosferę, która zazwyczaj tak mnie odpycha. Być może potrzebowałam poczuć, że ja też gdzieś przynależę. Jego intencje były jasne, stanowiłem potencjalnego sojusznika w wyższych sferach, do których w normalnych warunkach nie miałby dostępu. Ale pomimo tych wszystkich serdeczności wiedziałem, że uważał mnie za obce ciało w swoim wydziale, czyli potencjalne zagrożenie dla własnych interesów. Przeczuałem, że gdyby na drodze do tego, co uznał za swój cel, pojawiła się jakakolwiek przeszkoda, użyłby całego sprytu i uporu, by stawić jej czoło, łatwo by się nie poddał. Dobrze rozumiałem jego obawy wobec niebezpieczeństwa związanego z grupowaniem Żydów, ale uważałem, że to niebezpieczeństwo w razie potrzeby można zminimalizować, należało po prostu zastanowić się i podjąć odpowiednie kroki. Tymczasem pozostawałem otwarty na to, co się dzieje, nie wyciągałem żadnych wniosków, czekałem z osądem na zakończenie analizy.

A Kantowski Imperatyw? Prawdę mówiąc, niewiele o nim wiedziałem, naopowiadałem bzdur biednemu Eichmannowi. Na Ukrainie czy Kaukazie kwestie tego

typu jeszcze mnie zajmowały, zamartwiałem się trudnościami i poważnie o nich dyskutowałem, przekonany, że są to problemy życiowe. Lecz po drodze zatraciłem chyba to poczucie. Gdzie, w którym momencie? W Stalingradzie? Później? Przez chwilę zdawało mi się, że ginę, tonę w mrokach historii, wydobytych z samego dna mojej przeszłości. A potem, wraz z głupią i niezrozumiałą śmiercią matki, znikły także i te lęki: uczuciem, które brało we mnie teraz górę, była rozległa obojętność, nie posepna, lecz lekka i wyraźna. Angażowałem się jedynie w pracę, czułem, że podejmuję stymulujące wyzwanie, które wymagać będzie ode mnie wykorzystania wszystkich umiejętności, i pragnąłem, by mi się udało — nie ze względu na awans czy dalsze ambicje, lecz po prostu, by móc odczuwać satysfakcję z dobrze wykonanego zadania. Właśnie w takim nastroju udałem się do Polski wraz z Pionkiem; Fräulein Prakse zostawiłem w Berlinie, żeby zajmowała się moją korespondencją i mieszkaniem oraz swoim manikiurem. Wybrałem dobry moment na początek podróży: mój dawny przełożony z Kaukazu, Walter Bierkamp, zastępował Oberführera Schöngartha na stanowisku BdS-a Generalnego Gubernatorstwa, i gdy dowiedziałem się o tym od Brandta, wprosiłem się na inaugurację. Ceremonia odbywała się na wewnętrznym dziedzińcu Wawelu, przepięknym podwórcu otoczonym wąskimi, delikatnymi kolumnadami, przysłoniętymi teraz pękami chorągwi. Hans Frank, generalny gubernator, wygłosił długie przemówienie z wyżyn ustawionej pośrodku dziedzińca estrady, otoczonej dygnitarzami i wartą honorową. Wyglądał nieco śmiesznie w brązowym mundurze SA i wysokiej czapce, której pasek wrzynał mu się w policzki. Surowa szczerłość przemówienia zaskoczyła mnie, dobrze to pamiętam, bo słuchaczy miał znakomitych, nie tylko przedstawicieli Sipo i SD, lecz także Waffen-SS, urzędników Generalnego Gubernatorstwa i oficerów Wehrmachtu. Frank gratulował Schöngarthowi — który stał za nim, sztywny i wyższy od Bierkampa o głowę — *sukcesów we wprowadzaniu w życie trudnych aspektów narodowego socjalizmu*. Przemówienie przetrwało w archiwach, oto fragment, który świetnie oddaje jego ton: *W stanie wojny, gdy stawką jest zwycięstwo, gdy zaglądamy śmierci w oczy, jest to nadzwyczaj trudny problem. W jaki sposób, pytamy często, potrzeba współpracy z obcą kulturą może iść w parze z ideologicznym celem — dajmy na to — eliminacji polskiej Volksstum? W jaki sposób potrzeba utrzymania produkcji przemysłowej na pewnym poziomie może iść w parze z potrzebą, na przykład, wytopienia Żydów?* To były dobre pytania, ale dziwiło mnie, że są zadawane tak otwarcie. Pewien urzędnik GG zapewnił

mnie później, że Frank zawsze mówi w ten sposób i że tak czy inaczej w Polsce eksterminacja Żydów nie jest dla nikogo tajemnicą. Frank, który był zapewne pięknym mężczyzną, zanim tłuszcz całkowicie nie zniekształcił rysów jego twarzy, mówił głosem mocnym, lecz fałszywym, nieco histerycznym; bez przerwy stawał na palcach, wywalając brzuszko ponad mównicę, i potrzasał ręką. Schöngarth, mężczyzna o wysokim, kanciastym czole, również wygłosił przemowę, spokojnym, dość pedantycznym tonem, i zaraz po nim Bierkamp — słuchając go, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jego narodowosocjalistyczne wyznanie wiary trąci hipokryzją (prawdopodobnie po prostu nie byłem w stanie wybaczyć mu świństwa, które mi kiedyś zrobił). Gdy podczas przyjęcia poszedłem mu pogratulować, zrobił taką minę, jak gdyby się cieszył, że mnie widzi: „Sturmbannfuhrer Aue! Słyszałem o pańskiej bohaterskiej postawie w Stalingradzie. Gratulacje. Nigdy w pana nie wątpiłem”. Uśmiech na jego małej, łasiczej twarzy przypominał grymas; ale może rzeczywiście zapomniał, co mówił do mnie pod koniec, w Woroszyłowsku, bo to się nijak miało do mojej obecnej sytuacji. Popytałem trochę o moje obowiązki i zaoferowałem współpracę swych służb, obiecał też, że napisze list rekomendacyjny do podwładnych w Lublinie, gdzie miałem zamiar rozpocząć inspekcję; opowiedział mi pokrótce, między jednym kieliszkiem a drugim, w jaki sposób przeprowadził Einsatzgruppe D przez Białoruś, gdzie, przemianowana na *Kampfgruppe Bierkamp*, została przydzielona do walki z partyzantami, zwłaszcza na wysokości północnego odcinka bagiennej Prypeci. Uczestniczyła w wielkich akcjach przeczesywania terenu, jak choćby tej o kryptonimie Cottbus, która zakończyła się jego przeniesieniem do Polski. Co się tyczy Korsemanna, jak szepnął mi konfidencyjnym tonem, to źle zadziałał i omal nie stracił stanowiska; mówiono, że będą go sądzić za tchórzostwo wobec wroga, w najlepszym razie zostanie zdegradowany i odesłany na front, w celu odkupienia win. „Powinien wziąć przykład z kogoś takiego jak pan. Słono zapłacił za przypochlebianie się Wehrmachtowi”. Uśmiechnąłem się na te słowa: dla człowieka takiego jak Bierkamp sukces był najprawdopodobniej wszystkim. Sam poradził sobie nieźle; BdS to było ważne stanowisko, zwłaszcza w Generalnym Gubernatorstwie. Ja też nie wracałem do przeszłości. Liczyła się teraźniejszość i jeśli Bierkamp mógł mi pomóc, tym lepiej.

Spędziłem w Krakowie kilka dni, uczestniczyłem w zebraniach, lecz chciałem także nacieszyć się trochę pięknem tego miasta. Zwiedziłem dawną dzielnicę żydowską,

Kazimierz, którą teraz zamieszkiwali zabiedzeni, schorowani i sparszywiali Polacy, wysiedleni wskutek germanizacji „ziem wcielonych do Rzeszy”. Synagogi nie były zburzone: opowiadano, że Frank dba o zachowanie nielicznych materialnych śladów polskiego judaizmu w celach edukacyjnych, dla przyszłych pokoleń. Niektóre służyły za magazyny, inne stały zamknięte. Kazałem otworzyć jedną z dwóch najstarszych, stojących przy ulicy Szerokiej. Synagoga nazywana Starą pochodziła z XV wieku, a jej długa przybudówka z łamanym dachem, wzniesiona dla kobiet w XVI lub na początku XVII wieku, służyła teraz Wehrmachtowi za magazyn żywności i części zamiennych. Wiele razy przerabiana ceglana fasada o ślepych oknach, łukach z białego wapienia i kamieniach piaskowca powtykanych bez większego porządku, miała niemal wenecki urok, zawdzięczała zresztą wiele włoskim architektom, działającym w Polsce i Galicji. Synagoga Remuh, na drugim końcu ulicy, była niskim, ciasnym, osmalonym budynkiem, niezbyt interesującym z architektonicznego punktu widzenia. Z dużego żydowskiego cmentarza, który ją kiedyś otaczał i który zapewne warto byłoby zwiedzić, pozostał smutny ugór, stare płyty nagrobne wywieziono jako materiał budowlany. Młody oficer Gestapostelle, który mnie oprowadzał, świetnie znał historię polskiego judaizmu i wskazał mi miejsce pochówku rabina Mojżesza Isserlesa, sławnego talmudysty. „Od kiedy książę Mieszko I zaczął w X wieku narzucać w Polsce wiarę katolicką, opowiadał, Żydzi zjeżdżali tu handlować solą, pszenicą, futrami, winem. Ponieważ królowie wzbogacali się na tym, dawali im przywilej za przywilejem. Lud w tamtych czasach był jeszcze pogański, zdrowy i świeży, z wyjątkiem nielicznych prawosławnych na Wschodzie. Tak więc Żydzi pomogli w krzewieniu katolicyzmu na ziemiach polskich, a katolicyzm w zamian za to chronił Żydów. Jeszcze długo po przejściu ludu na katolicyzm Żydzi zachowywali pozycję mocarzy i pomagali panom w wysysaniu krwi z wieśniaków na wszelkie możliwe sposoby, służąc im za intendentów, lichwiarzy, trzymając mocno w swych łapach cały handel. Stąd trwałość i siła polskiego antysemityzmu: w oczach polskiego ludu Żyd pozostanie wyzyskiwaczem, więc choć nas nienawidzą do żywego, to w głębi serca aprobują nasz sposób rozwiązywania problemu Żydów. To się również tyczy partyzantów z Armii Krajowej, którzy są, bez wyjątku, katolickimi bigotami, i komunistów, choć może w nieco mniejszym stopniu, bo oni zobowiązani są, czasem wbrew sobie, podążać drogą wytyczoną przez moskiewską partię”. — „Ale przecież AK sprzedawała broń Żydom w Warszawie”. — „Najgorszą broń w śmiesznych ilościach i po horrendalnych cenach.

Według naszych informacji akowcy zgodzili się ją sprzedać dopiero po bezpośrednim rozkazie z Londynu, gdzie Żydzi manipulują tak zwanym rządem na obczyźnie”. — „A ilu teraz zostało Żydów?” — „Nie znam dokładnej liczby. Ale mogę pana zapewnić, że do końca roku wszystkie getta zostaną zlikwidowane. Poza naszymi obozami i garstką partyzantów nie będzie w Polsce ani jednego Żyda. A wtedy przyjdzie wreszcie czas, by porządnie zająć się kwestią polską. Ich także należy poddać ostrej redukcji demograficznej”. — „Całkowitej?” — „Czy całkowitej, nie wiem. Biura ekonomiczne zastanawiają się nad tym, robią kalkulacje. Ale będzie to znaczna redukcja, panuje tu przeludnienie. Bez tego region nigdy nie będzie mógł prosperować, nigdy nie rozkwitnie”.

Polska nigdy nie będzie pięknym krajem, ale niektóre jej krajobrazy tchną pełnym melancholii urokiem. Potrzebowałem około pół dnia, żeby przejechać z Krakowa do Lublina. Rozległe i ponure kartofliska, poprzecinane kanałami nawadniającymi, przeplatały się wzdłuż drogi z lasami pełnymi świerków i brzoź, o nagiej glebie bez zarośli, ciemnymi i niemymi, pochłaniającymi piękne czerwcowe światło. Piontek prowadził pewną ręką, utrzymując stałą prędkość. Ten mrukliwy ojciec rodziny był świetnym towarzyszem podróży: nie odzywał się nie proszony, wykonywał zadania spokojnie i metodycznie. Każdego ranka miałem wypastowane buty, a mundur wyszczotkowany i wyprasowany; na zewnątrz czekał na mnie mój opel, obmyty z kurzu i błota dnia poprzedniego. Piontek jadł z apetytem, pił niewiele i nigdy nie domagał się niczego między posiłkami. Od razu powierzyłem mu kontrolę nad naszym budżetem podróży, a on starannie aktualizował rachunki, zapisując ogryzionym ołówkiem każdego wydanego feniga. Jego niemiecki był szorstki, z mocnym akcentem, lecz poprawny, mówił też niezłe po polsku. Urodził się w okolicach Tarnowitz; w 1921 roku, po podziale terytoriów, stał się wraz z całą rodziną obywatelem polskim, ale postanowił nie wyjeżdżać, by zachować swój kawałek ziemi. Jego ojciec zginął podczas zamieszek w trudnych dniach poprzedzających wojnę — Piontek zapewniał, że to był wypadek, nie obwinał polskich sąsiadów, których w większości wysiedlono lub aresztowano podczas wcielania do Rzeszy tej części Górnego Śląska. Gdy już został ponownie obywatelem Rzeszy, został zmobilizowany i utknął w policji, a później, sam nie wiedział, jak to się stało, przydzielono go do służby w Personlicher Stab w Berlinie. Jego żona, dwie córeczki i stara matka nadal mieszkały w gospodarstwie, widywał je rzadko, lecz wysyłał im

większą część pensji, a one odpłacały się jedzeniem, którym urozmaicał codzienną dietę: kurczaki, półgęski, było tego dość, by obdzielić jeszcze kilku towarzyszy. Kiedyś spytałem, czy nie tęskni za rodziną. Zwłaszcza za dziewczynkami, odpowiedział, żałował, że nie widzi, jak rosną. Ale nie skarżył się, wiedział, że i tak ma szczęście, że lepsze to niż odmrażanie sobie tyłka w Rosji. „Z całym szacunkiem, Herr Sturmbannführer”.

W Lublinie, podobnie jak w Krakowie, zatrzymałem się w Deutsche Haus. Gdy zajechaliśmy, bar był już pełen; uprzedzałem, że przyjadę, miałem więc zarezerwowany pokój, a Piontek spał w sali dla szeregowych. Zaniósłem bagaże na górę i poprosiłem o ciepłą wodę do kąpieli. Jakies dwadzieścia minut później rozległo się pukanie i weszła młoda polska służąca, niosąc dwa parujące wiadra. Wskazałem łazienkę, poszła je tam postawić. Długo nie wychodziła, poszedłem sprawdzić, co się dzieje: była półnaga, rozebrana do pasa. Patrzyłem zmieszany na rumiane policzki, na piersi, niewielkie, lecz ładne. Oparła dłonie na biodrach i gapiała się na mnie z bezwstydnym uśmiechem. „Co robisz?”, spytałem surowo. — „Ja... umyć... ciebie...”, odpowiedziała łamaną niemczyzną. Podniosłem z taboretu jej koszulę i podałem jej ze słowami: „Ubierz się i wyjdź”. Posłuchała równie naturalnie. Coś takiego przydarzyło mi się po raz pierwszy: w znanych mi dotąd Deutsche Häuser panowały ścisłe rygory, tu jednak uważano chyba takie praktyki za normalne i ani przez chwilę nie wątpiłem, że ochoczo korzystano z nich podczas kąpieli. Dziewczyna wyszła, a ja zdjąłem ubranie, umyłem się i przebrany w wyjściowy mundur (na długie podróże, z powodu kurzu, zakładałem szary mundur polowy) zszedłem na dół. Gwarny tłum wypełniał teraz bar i salę restauracyjną. Wyszedłem zapalić na tylne podwórko, gdzie natknąłem się na Piontkę, który z papierosem w ustach patrzył, jak dwóch chłopaków myje nasz samochód. „Gdzie ich znalazłeś?”, spytałem. — „To nie ja, Herr Sturmbannführer. Są stąd, z Haus. Zresztą mechanik na nich narzeka, mówi, że mógłby mieć darmowych Żydów, ale oficerowie robili sceny, gdy jakiś Żyd dotykał ich samochodu. Płaci więc tym Polakom markę dziennie”. (Nawet w Polsce była to śmieszna suma. Noc w Deutsche Haus, w dodatku subwencionowana, plus trzy posiłki, kosztowała mnie około dwunastu marek niemieckich; za mokrą w Krakowie płaciłem markę pięćdziesiąt). Stałem obok i też patrzyłem, jak młodzi Polacy myli samochód. Później zaprosiłem Piontkę na kolację. Musieliśmy torować sobie drogę pośród tłumu, żeby znaleźć jakiś kąt z wolnym stolikiem. Mężczyźni pili, bełkotali, jak gdyby słuchanie własnych głosów sprawiało im przyjemność. Byli tu

esesmani, Orpo, żołnierze z Wehrmachtu i z organizacji Todt, niemal wszyscy w mundurach, także kilka kobiet, pewnie stenotypistek lub sekretarek. Polskie kelnerki z trudem nosiły do stolików tace zastawione piwem i wiktuałami. Posiłek był obfity: plastry pieczeni, buraki, okraszone kartofle. Jadłem i obserwowałem tłum. Wielu tylko piło. Kelnerki nie miały łatwo: podchmieleni żołnierze obmacywali im piersi i tyłki, a ponieważ miały zajęte ręce, nie mogły się bronić. Przy długim kontuarze stała grupa w mundurach SS-Totenkopf, prawdopodobnie pracownicy obozu w Lublinie, wśród nich dwie kobiety, zapewne *Aufseherinnen*. Jedna z nich piła koniak, miała męskie rysy i dużo się śmiała; trzymała szpicrutę, którą co jakiś czas uderzała o cholewy swych butów. W pewnym momencie utknęła przy kobietach jakaś kelnerka — *Aufseherin* wyciągnęła szpicrutę i powoli, pośród śmiechów towarzyszy, unosiła jej spódnicę, aż do pośladków. „Podoba ci się, Erich!, wrzasnęła. Ale patrz, jaką ma brudną dupę, wszystkie Polki takie mają!” Reszta śmiała się do rozpuku. Kobieta opuściła spódnicę i przejechała szpicrutą po tyłku dziewczyny, która krzyknęła, ledwo utrzymując stojące na tacy piwa. „Dalej, rusz się, macioro!, krzyknęła *Aufseherin*. Śmierdzisz!” Druga kobieta rechotała i bezwstydnie ocierała się o jednego z podoficerów. W głębi, pod arkadą, grali w bilard ludzie z Orpo, wrzeszcząc na potęgę; obok nich dostrzegłem tę młodą służącą, która przyniosła mi ciepłą wodę, siedziała na kolanach inżyniera OT, on obmacywał ją, wsunąwszy dłonie pod koszulę, a ona zaśmiewała się i głaskała jego łyse czoło. „Nie ma co, rzekłem do Pionka, niezłą mamy w Lublinie atmosferę”. — „Taaa. Miasto z tego słynie”. Po kolacji zamówiłem koniak i małe holenderskie cygaro; w Haus była ich pełna gablota, można było wybierać spośród kilku dobrych marek. Piontek poszedł spać. Zagrała muzyka, pary tańczyły. Druga *Aufseherin*, wyraźnie pijana, trzymała swego kawalera za tyłek, a sekretarka SS nie opierała się pocałunkom, które składał na jej dekolcie Leutnant z zaopatrzenia. Ten hałas i ta atmosfera, duszna, sprośna, przesycona rozpustą, działały mi na nerwy, psuły całą przyjemność z podróży, radosne poczucie wolności, które nie opuszczało mnie przez cały dzień spędzony na szerokich, niemal pustych drogach. Nie było sposobu, by wyrwać się z tego tumultu, z tego brudu, wlokło się to za człowiekiem nawet do wychodka. Duża łazienka okazała się akurat wyjątkowo czysta, wykafelkowana na biało do sufitu, drzwi były grube, dębowe, na ścianach lustra, ładne porcelanowe umywalki i mosiężne krany z bieżącą wodą. Boksy tureckich toalet też były białe i czyste, widać było, że regularnie tu sprzątają. Spuściłem spodnie i ukucnąłem; skończyłem,

szukałem papieru, wyglądało na to, że nie ma. I wtedy poczułem, że coś dotyka mojego tyłka. Odskokczyłem i odwróciłem się roztrzęsiony, z żałośnie spuszczonej gatkami, próbując wymacać broń: z otworu w ścianie wystawało męskie ramię, z ręką wyciągniętą w oczekującym geście. Palce były ubrudzone odrobiną świeżego gówna, mojego gówna. „Spierdalaj, wrzasnąłem. Spierdalaj!” Ręka powoli wysunęła się z dziury. Złapał mnie nerwowo chichot; to było ohydne, oni naprawdę powariowali w tym Lublinie. Na szczęście, dobrym podróżnym zwyczajem, w kieszeni kurtki trzymałem zawsze kilka ćwiartek gazetowego papieru. Podtarłem się pospiesznie i zwałem, nie spuściwszy wody. Wracając na salę, bałem się, że wszyscy będą się gapić, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi, ludzie pili i krzyczeli, śmiali się gwałtownie albo histerycznie, nieopanowanie, jak na średniowiecznym dworze. Wstrząśnięty oparłem się o kontuar i zamówiłem jeszcze jeden koniak. Pijąc, przyglądałem się, jak gruby Spiess z KL zabawia się ze swoją *Aufseherin* i naszła mnie ohydna myśl: wyobrażałem sobie, że grubas kuca i z rozkoszą poddaje się macankom polskiej dłoni. Zastanawiałem się, czy damskie toalety oferowały podobną usługę; sądząc po zachowaniu kobiet, pewnie tak. Dokończyłem koniak jednym haustem i poszedłem się położyć; spałem źle z powodu hałasów, choć i tak lepiej niż biedny Piontek — ci z Orpo sprowadzili Polki do pokoju i przez całą noc spółkowali na łóżkach, tuż przy nim, bez krzty wstydu, wymieniali się dziewczynami i dokuczali mu, bo nie chciał dołączyć. „Płacą im konserwami”, wyjaśnił lakonicznie przy śniadaniu.

Jeszcze w Krakowie umówiłem się telefonicznie na spotkanie z Gruppenführerem Globocnikiem, dowódcą SS i policji w dystrykcie lubelskim. Globocnik miał do dyspozycji dwa biura: jedno na potrzeby swojego sztabu głównego i drugie, przy ulicy Pierackiego, skąd kierowano operacją Reinhard — tam właśnie mnie zaprosił. Globocnik miał władzę, dużo większą, niż wskazywałby na to jego stopień. Jego przełożony, Obergruppenführer Krüger, HSSPF na Generalne Gubernatorstwo, nie miał prawie nic do powiedzenia w sprawach tej operacji, którą objęci byli wszyscy Żydzi z GG, a więc jej zasięg wykraczał daleko poza granice Lublina; w tym zakresie Globocnik podlegał bezpośrednio Reichsführerowi. Pełnił też ważne funkcje w komisariacie Rzeszy w ramach wzmocnienia działań germanizacyjnych. Kwatera Główna Einsatz znajdowała się w dawnej szkole medycznej, gmachu w kolorze przyżółconej ochry, masywnym, z czerwonym spadzistym dachem, charakterystycznym dla tego regionu, w którym wpływy niemieckie zawsze były silne. Do środka wchodziło się przez duże dwuskrzydłowe drzwi

pod półokrągłym łukiem, na którym zachowała się inskrypcja COLLEGIUM ANATOMICUM. Przyjął mnie ordynans i zaprowadził do gabinetu Globocnika. Gruppenführer, skrepowany ciasnym mundurem jakby o rozmiar za małym dla jego imponującej postury, nieuważnie przyjął moje pozdrowienie i od razu zamachał mi przed nosem kartką z opisem misji: „A więc Reichsführer przysłała mi szpiega!”. I wybuchnął głośnym śmiechem. Odilo Globocnik był urodzonym w Trieście Karyntyjczykiem, prawdopodobnie chorwackiego pochodzenia; był Altkämpferem austriackiego NSDAP, krótko także Gauleiterem Wiednia, zaraz po *Anschlussie*, ale szybko stracił stanowisko — za handel dewizami. Siedział w więzieniu w czasie rządów Dollfussa za zabójstwo żydowskiego jubilera: oficjalnie czyniło to z niego męczennika *Kampfzeit*, lecz niezyczliwi chętnie dodawali, że w tej historii ważniejszą rolę niż ideologia odegrały żydowskie diamenty. Nadal wymachiwał moim dokumentem: „Niech pan przyzna, Sturmbannführer! Reichsführer stracił do mnie zaufanie, tak?”. Ciągle jeszcze stojąc na baczność, próbowałam się wytłumaczyć: „Herr Gruppenführer, moja misja...”. A on znów zaniósł się homeryckim śmiechem: „Żartuję, Sturmbannführer! Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że Reichsführer ma do mnie pełne zaufanie. Czyż nie nazywa mnie swoim *starym Globusem*? Zresztą nie tylko Reichsführer! Führer we własnej osobie przyjechał pogratulować mi wielkiego dzieła. Niech pan siada. To jego własne słowa, *wielkie dzieło*. «Globocnik, powiedział mi, jest pan jednym z niedocenianych bohaterów Niemiec. Pragnąłbym, żeby wszystkie gazety mogły wymieniać pańskie nazwisko i pisały o pańskich czynach! Za sto lat, gdy będzie można o tym wszystkim mówić, dzieci w podstawówkach znać będą chlubne fakty z pańskiego życia! Jest pan śmiałkiem i podziwiam to, że potrafił pan pozostać tak skromny, tak dyskretny, choć dokonał pan tak wielkich czynów». A ja na to — Reichsführer też wtedy był — «Mein Führer, ja tylko robię, co do mnie należy». Niech pan siada, niech pan siada”. Zająłem wskazany fotel. Rozłożył się obok, klepnąwszy mnie po udzie, po czym chwycił pudełko cygar i poczęstował mnie. Gdy odmówiłem, zaczął nalegać: „Weźmie pan sobie na później”. Sam zapalił jedno. Jego pyzata twarz promieniała zadowoleniem. Rękę, w której trzymał zapalniczkę, zdobił gruby, złoty pierścień SS, wtopiony w tłusty palec. Zaciągnął się z grymasem satysfakcji. „Jeżeli dobrze zrozumiałem z listu Reichsführera, jest pan jednym z tych natrętów, którzy chcą ocalić Żydów pod pretekstem, że potrzebujemy siły roboczej?” — „Ależ nie, Herr Gruppenführer, odpowiedziałem uprzejmie. Reichsführer rozkazał mi

całościowo przeanalizować problemy *Arbeitseinsatz* pod kątem przyszłego rozwoju”. — „Wyobrażam sobie, że chciałby pan zwiedzić nasze instalacje?” — „Jeżeli ma pan na myśli komory gazowe, Herr Gruppenführer, to nie, to mnie nie dotyczy. Zajmuje mnie raczej kwestia selekcji i sposobu użycia *Arbeitsjuden*. Chciałbym w związku z tym zacząć od Osti i DAW”. — „Osti! Jeszcze jeden genialny pomysł Pohla! Trzepiemy miliony, miliony dla Rzeszy, a Pohl mi tu każe się zajmować tandetą, jak jakiemuś Żydowi. Ostindustrie, dobre sobie! Podkładają mi kolejne zgniłe jajo”. — „Być może, Herr Gruppenführer, ale...” — „Żadnych ale! Zresztą, Żydzi mają zniknąć, wszyscy, przemysł nie przemysł. Oczywiście możemy zachować paru, dopóki nie wyszkolimy Polaków, by ich zastąpili. Polacy to psy, ale akurat oni mogą zajmować się tandetą, jeżeli jest to przydatne dla *Heimatu*. Póki przynosi zyski, nie mówię nie. No, rozejrzy się pan tam. Mogę dać panu mojego adiutanta, Sturmbannführera Höfle, niech się panem opiekuje. Wyjaśni panu, jak to wszystko działa, jakoś się dogadacie”. Wstał i uściśnął mi dłoń, nie wypuszczając cygara spomiędzy palców. „Może pan oglądać, co tylko pan zechce, to jasne. Skoro Reichsführer pana tu przysłał, to znaczy, że umie pan trzymać język za zębami. Każdy plotkarz ma u mnie pewną egzekucję. Co tydzień ktoś się trafi. Ale o pana się nie obawiam. Gdyby były jakieś problemy, proszę przychodzić do mnie. *Adieu*”.

Höfle, jego zastępca do spraw *Einsatz Reinhard*, też był Austriakiem, dużo bardziej wyciszonym niż szef. Przywitał mnie ze smutną zmęczoną miną: „Trochę skołowany? Niech się pan nie przejmuj, z każdym tak rozmawia”. Przygryzł wargę i podsunął mi kartkę papieru: „Muszę pana poprosić o podpis”. Przebiegłem wzrokiem tekst: deklaracja poufności, ujęta w kilka punktów. „Wydaje mi się, rzekłem, że obowiązek dochowania tajemnicy wynika z mojej pozycji”. — „Wiem, wiem. Ale to zasada narzucona przez Gruppenführera. Każdy musi podpisać”. Wzruszyłem ramionami: „Jeżeli panu zależy”. Podpisałem. Höfle schował kartkę do teczki i skrzyżował ręce na biurku. „Od czego chciałby pan zacząć?” — „Nie wiem. Proszę mi objaśnić system”. — „To w sumie dość proste. Dysponujemy trzema strukturami, dwiema nad Bugiem i jedną na galicyjskiej granicy, w Bełżcu, akurat tę właśnie zamykamy, ponieważ Galicja, nie licząc obozów pracy, jest w dużej mierze *judenrein*. Treblinka, która obsługiwała głównie Warszawę, także zostanie zamknięta. Natomiast Reichsführer wydał właśnie rozkaz przekształcenia Sobiboru w KL, co zostanie zrealizowane pod koniec roku”. — „I wszyscy Żydzi przechodzą przez te trzy ośrodki?” — „Nie. Z powodów natury logistycznej ewakuacja

wszystkich miasteczek w regionie nie była możliwa. W tym celu Gruppenführer przyjął kilka batalionów Orpo, które zajęły się pozostałymi Żydami na miejscu, stopniowo. To ja kieruję *Einsatz* z dnia na dzień, razem z inspektorem obozów, Sturmbannführerem Wirthem, który jest tutaj od początku. Mamy też obóz, w którym szkolą się *Hiwi*, przede wszystkim Ukraińcy i Łotysze, w Trawnikach”. — „Czy, oprócz nich, cały pański personel to członkowie SS?” — „No właśnie nie. Na około czterystu pięćdziesięciu ludzi, nie licząc *Hiwi*, mamy około stu, którzy zostali tu przysłani przez kancelarię Führera. Prawie wszyscy nasi dowódcy obozów są stamtąd. Z taktycznego punktu widzenia pozostają pod kontrolą dowódców *Einsatz*, ale administracyjnie podlegają kancelarii. Nadzorują wszystko, co się tyczy płac, urlopów, awansów i tym podobnych spraw. Podobno jest to rezultat specjalnej umowy między Reichsführerem i Reichsleiterem Bouhlerem. Niektórzy z nich nie są nawet członkami Allgemeine-SS ani Partii. Za to wszyscy są weteranami ośrodków eutanazji w Rzeszy. Gdy zamknięto większość tych placówek, część personelu, z Wirthem na czele, została przeniesiona tutaj, by służyć operacji *Reinhard* swoim doświadczeniem”. — „Rozumiem. A Osti?” — „Osti to świeży twór, wynik partnerskiej współpracy między Gruppenführerem a WVHA. Od pierwszych chwil *Einsatz Reinhard* musieliśmy tworzyć ośrodki do obsługi skonfiskowanego mienia. Stopniowo zaroilo się od różnorodnych fabryczek, wszystko na potrzeby wojny. Ostindustrie jest korporacją z ograniczoną odpowiedzialnością, utworzoną w listopadzie zeszłego roku, w celu zgrupowania i zracjonalizowania tych zakładów. Rada nadzorcza powierzyła dyrekcję administratorowi WVHA, doktorowi Hornowi, a także Gruppenführerowi. Horn to dość pedantyczny biurokrata, ale przypuszczam, że jest kompetentny”. — „A KL?” Höfle zamachał dłonią: „KL nie mają z nami nic wspólnego. To zwykły obóz WVHA; rzecz jasna, Gruppenführer jest zań odpowiedzialny jako SS- und Polizeiführer, ale obóz nie ma związku z *Einsatz*. Oni też zarządzają przedsiębiorstwami, głównie fabryką DAW, ale to już leży w gestii ekonomisty SS podlegającego SSPF. Ma się rozumieć, blisko ze sobą współpracujemy, przekazaliśmy im część naszych Żydów: do pracy albo do *Sonderbehandlung*, specjalnego potraktowania; a od niedawna, ze względu na nadmiar pracy, który na nas spadł, uruchomili własne urządzenia do *specjalnego traktowania*. Są tu także wszystkie fabryki broni Wehrmachtu, oni też używają dostarczonych przez nas Żydów; ale to z kolei leży w gestii Inspekcji do spraw Uzbrojenia Generalnego Gubernatorstwa, kierowanej przez Generalleutnanta

Schindlera w Krakowie. Ma pan wreszcie cywilny system gospodarczy, za który odpowiada nowy gubernator dystryktu lubelskiego, Gruppenführer Wendler. Może się pan z nim spotkać, ale uwaga: on i Gruppenführer Głobocnik bardzo się nie lubią”. — „Nie chodzi o miejscową gospodarke; mnie interesują sposoby przydziału więźniów na rzecz gospodarki w ujęciu całościowym”. — „Chyba rozumiem. W takim razie niech pan idzie do Horna. Trochę buja w obłokach, ale na pewno coś pan z niego wyciśnie”.

Ów Horn wydał mi się nerwowy, pobudzony, gorliwy, ale także sfrustrowany. Był księgowym kształconym na politechnice w Stuttgarcie. Gdy wybuchła wojna, został powołany do Waffen-SS, ale zamiast wysłać na front, przydzielono go do WVHA. Pohl wybrał go, by nadzorował prace nad Osti, filią Niemieckich Przedsiębiorstw Gospodarczych, holdingu stworzonego przez WVHA w celu koncentracji firm SS. Miał sporą motywację, ale wobec człowieka takiego jak Głobocnik był nikim, i dobrze o tym wiedział. „Gdy tu przyjechałem, zastałem niewyobrażalny... chaos, opowiadał mi. Wszystko tu było: wytwórnia koszyków i warsztat stolarski w Radomiu; fabryka szczotek tutaj; w Lublinie, huta szkła. Od samego początku Gruppenführer upierał się, żeby zostawić mu jeden obóz pracy, w celu samozasilania, jak się wyraził. Świetnie, i tak miałem sporo do roboty. Wszystko było zarządzane byle jak. Rozliczenia nieaktualne. A produkcja niemal zerowa. Co jest zresztą całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę stan siły roboczej. Więc zabrałem się do pracy, ale tutaj wszyscy uwzięli się, by komplikować mi życie. Szkolę specjalistów — ktoś mi ich zabiera i wywozi Bóg wie dokąd. Żądam lepszego wyżywienia dla robotników — dostaję odpowiedź, że nie ma dodatkowej żywności dla Żydów. Proszę, żeby chociaż przestali ich bić z byle powodu — dają mi do zrozumienia, że mam się nie wtrącać w nie swoje sprawy. Jak ja w takich warunkach mam dobrze pracować?” Zrozumiałem, czemu Höfle niezbyt cenił Horna: narzekaniem rzadko można cokolwiek osiągnąć. Jednak to właśnie Horn przedstawił dobrą analizę dylematów: „Problem w tym, że WVHA mnie nie wspiera. Wysyłam raport za raportem do Obergruppenführera Pohla. Bez przerwy pytam go: który czynnik powinien dominować? Czynnik polityczno-policyjny? W tym wypadku, zgoda, koncentracja Żydów jest głównym celem, a czynniki ekonomiczne schodzą na dalszy plan. A może czynnik ekonomiczny? Jeżeli tak, to trzeba zracjonalizować produkcję, zorganizować obozy w sposób na tyle elastyczny, by można było realizować zamówienia stopniowo, w kolejności ich składania, a przede wszystkim zapewnić robotnikom aprowizacyjne minimum,

umożliwiający im utrzymanie się przy życiu. A na to Obergruppenführer Pohl odpowiada mi: oba czynniki są dominujące. Toż to człowiekowi pozostaje tylko rwać sobie włosy z głowy”. — „I myśli pan, że gdyby dostał pan środki, potrafiłby pan stworzyć nowoczesne i przynoszące korzyści przedsiębiorstwa, oparte na przymusowej pracy Żydów?” — „Oczywiście. Żydzi, to się rozumie samo przez się, są podludźmi, a ich metody pracy są całkowicie przestarzałe. Badałem organizację pracy w getcie w Łodzi, to katastrofa. Całe kierownictwo, od przyjęcia surowców po dostawę produktu końcowego, sprawowane jest przez Żydów. Rzecz jasna, nie ma mowy o jakiegokolwiek kontroli jakości. Jednak z aryjskim, odpowiednio wykształconym kierownictwem, przy dobrym podziale oraz nowoczesnej, racjonalnej organizacji pracy moglibyśmy osiągnąć niezłe wyniki. Decyzja powinna zostać podjęta właśnie w tym duchu. A ja tu wiecznie napotykam przeszkody, nie czuję żadnego wsparcia”.

Najwyraźniej go szukał. Oprowadził mnie po kilku swoich przedsiębiorstwach, z dużą szczerością demonstrował objawy niedożywienia i złej higieny wśród podlegających mu więźniów, lecz również pokazywał ulepszenia, wprowadzone, aby podnieść jakość artykułów, w które zaopatrywano głównie Wehrmacht, oraz aby osiągnąć lepsze rezultaty ilościowe. Musiałem przyznać, że jego prezentacja była wielce przekonująca: odniosłem wrażenie, że istnieją tu środki, dzięki którym można by pogodzić wymogi wojny ze wzrostem produktywności. Ma się rozumieć, Horn nie był poinformowany o *Einsatz Reinhard*, a już na pewno nie o zasięgu tej operacji — uważałem, żeby nie zdradzić się z moją wiedzą na ten temat. Dlatego tak trudno było mu wyjaśnić przyczyny uporu Globocnika. Sam Globocnik miał zapewne kłopot z pogodzeniem żądań Horna z tym, co uważał za swoją główną misję. W gruncie rzeczy jednak Horn miał rację: selekcionując najsilniejszych czy najbardziej wyspecjalizowanych Żydów, koncentrując ich i nadzorując w odpowiedni sposób, można by było bez wątpienia niemało przysłużyć się przemysłowi wojennemu.

Zwiedziłem KL. Obóz położony był na nierównym wzgórzu, zaraz za miastem, na zachód od drogi na Zamość. Była to ogromna placówka, z ciągnącymi się w głąb szeregami drewnianych baraków, opleciona zasiekami z kolczastego drutu, najeżona wieżyczkami strażników. Komendantura znajdowała się poza terenem obozu, przy drodze, u stóp wzgórza. Przyjął mnie Florstedt, komendant, Sturmbannführer o nienormalnie wąskiej i długiej twarzy, który obejrzał moje dokumenty z jawną nieufnością. „Nie ma tu

wyraźnej zgody na wstęp do obozu”. — „Moja misja umożliwia mi wstęp do wszystkich struktur pozostających pod kontrolą WVHA. Jeżeli mi pan nie wierzy, proszę skontaktować się z Gruppenführerem, potwierdzi to”. Nadal przeglądał papiery. „Co chce pan zobaczyć?” — „Wszystko”, odparłem z uprzejmym uśmiechem. W końcu przydzielili mi jakiegoś Untersturmführera. Po raz pierwszy zwiedzałem obóz koncentracyjny, kazałem pokazywać sobie wszystko. Byli tu jeńcy i *Häftlinge* wszelkich narodowości: Rosjanie, oczywiście Polacy i Żydzi, ale także polityczni i kryminalni więźniowie niemieccy, Francuzi, Holendrzy, i sam nie wiem, kto jeszcze. Baraki, długie polowe stajnie Wehrmachtu zmodyfikowane przez architektów SS, były czarne i śmierdzące, pękały w szwach; więźniowie, w większości odziani w łachmany, cisnęli się na piętrowych pryzkach po trzech, po czterech. Rozmawiałem o problemach higieniczno-sanitarnych z głównym lekarzem obozowym: oprowadził mnie, ciągle w towarzystwie Untersturmführera, po baraku o nazwie Łaźnia i Dezynfekcja, gdzie z jednej strony odbywało się mycie nowo przybyłych, a z drugiej gazowanie niezdolnych do pracy. „Aż do wiosny, uściślił Untersturmführer, odbywało się tutaj wyłącznie *czyszczenie*. Ale odkąd przejęliśmy część obowiązków *Einsatz*, mamy nawet pracę”. Władze obozu nie wiedziały, co robić z ciałami i zamówiły krematorium, wyposażone w pięć jednokomorowych pieców wyprodukowanych przez Kori, specjalistyczną firmę z Berlina. „Walczą o rynek z firmą Topf und Sohne z Erfurtu, dodał. Ci z Auschwitz współpracowali tylko z Topfem, ale my uznaliśmy warunki Kori za bardziej konkurencyjne”. Co dziwne, gazowanie nie odbywało się tu przy użyciu tlenku węgla, tak jak w naszych ciężarówkach w Rosji, ani, z tego co czytałem, w stałych obiektach używanych przez *Einsatz Reinhard*. Stosowano tu cyjanowodór w formie granulek uwalniających gaz w kontakcie z powietrzem. „To dużo skuteczniejsze niż tlenek węgla, zapewnił lekarz. Szybkie działanie, mniejsze cierpienie pacjentów, żadnych niedoróbek”. — „Skąd macie ten produkt?” — „To tak naprawdę przemysłowy środek dezynfekujący, używa się go do tępienia wszy i innego robactwa. Podobno to w Auschwitz powstał pomysł, by przetestować go w ramach specjalnego traktowania. Świetnie się sprawdza”. Przeprowadziłem także inspekcję kuchni i magazynów żywnościowych. Pomimo zapewnień SS-Führera, czy nawet więźniów-funkcjonariuszy rozdzielających zupełną rację wydały mi się niewystarczające, a lekarz w zawołanych słowach potwierdził moje wrażenie. Wracałem tu kilka dni z rzędu, by przestudiować dokumentację *Arbeitseinsatz*; każdy *Häftling* miał założoną własną kartę,

sklasyfikowaną w tak zwanej *Arbeitstatistik*, i jeżeli tylko nie był chory, przynależał do określonego Kommando pracy. Jedni wykonywali na terenie obozu roboty konserwacyjne, inni pracowali na zewnątrz. Najważniejsze Kommandos mieszkały w miejscu pracy, na przykład w Deutsche Ausrüstungswerke (DAW), niemieckich zakładach zbrojeniowych przy ulicy Lipowej. Na papierze cały system wyglądał bardzo porządnie, ale spadek liczby robotników był znaczny, a krytyczne uwagi Horna otworzyły mi oczy na fakt, że większość z pracujących więźniów, źle odżywionych, brudnych, regularnie bitych, nie była w stanie pracować skutecznie i efektywnie.

Spędziłem w Lublinie kilka tygodni, zwiedziłem także okolice. Pojechałem do Himmlerstadt, zwanego dawniej Zamościem. Był to ekscentryczny renesansowy klejnocik, wzniesiony *ex nihilo* pod koniec XVI wieku przez polskiego kanclerza o pewnych megalomańskich skłonnościach. Miasto rozkwitło dzięki korzystnemu położeniu na handlowych szlakach łączących Lublin i Lemberg oraz Kraków i Kijów. Obecnie stanowiło serce najambitniejszego projektu RKF, SS-owskiej organizacji, która od 1939 roku miała za zadanie zapewniać repatriację folksdojców z ZSRR i z Banatu, a także działać na rzecz germanizacji Wschodu: utworzenia przedpola germanizmu u bram słowiańszczyzny, przed wschodnią Galicją i Wołyniem. Rozmawiałem o tym szczegółowo z delegatem Globocnika, biurokratą z RKF, który urzędował w oficynie ratusza, wysokiej barokowej wieży na skraju kwadratowego placu, z okazałym wejściem, dokąd docierało się po podwójnych, majestatycznych schodach, wzniesionych na planie półkola. Od listopada do marca, jak mi wyjaśnił, wysiedlono ponad sto tysięcy osób — zdrowych Polaków skierowano do niemieckich fabryk za pośrednictwem *Aktion Sauckel*, resztę do Auschwitz, a wszystkich Żydów do Bełżca. RKF planował sprowadzić w ich miejsce folksdojców, jednakże pomimo zachęt i naturalnych bogactw tego regionu, mieli trudności z przyciągnięciem wystarczającej liczby kolonistów. Gdy zapytałem, czy nie zniechęcają ich przypadkiem nasze niepowodzenia na Wschodzie — rozmowa miała miejsce na początku lipca, zaczynała się właśnie wielka bitwa pod Kurskiem — ten skrupulatny administrator spojrział na mnie zdziwiony i zapewnił, że nawet folksdojczycy nie są defetystami i że tak czy inaczej nasza błyskotliwa ofensywa szybko uzdrowi sytuację i rzuci Stalina na kolana. Ów optymista pozwolił sobie jednak dość niekorzystnie ocenić lokalną gospodarkę: pomimo subsydiów regionowi daleko jeszcze było do samowystarczalności, pozostawał całkowicie zależny od finansowo-żywnościowych

zastrzyków RKF; większości kolonistów, nawet takich, którzy z kluczem w ręku przejęli całe gospodarstwa, nie udawało się wyżywić rodzin, ci zaś, którzy mieli ambicję otworzyć firmy, przez całe lata będą musieli walczyć o utrzymanie się na powierzchni. Po tej wizycie kazałem Piontkowi zawieźć się na południe od Himmlerstadt; w gruncie rzeczy była to piękna okolica, cała w łagodnych pagórkach, łąkach i zagajnikach, usiana owocowymi drzewami, z charakteru bardziej już galicyjska niż polska, rozciągająca się bujnymi polami pod jasnym, błękitnym, monotonnym niebem, z lekka tylko urozmaiconym kłębkami białych obłoków. Ciekawość pchnęła mnie aż do Bełżca, jednego z ostatnich miast przed granicą dystryktu. Zatrzymaliśmy się przy dworcu, gdzie panowało spore ożywienie. Po głównej ulicy jeździły samochody i wozy, oficerowie różnych armii oraz kolonii w wytartych garniturach czekali na pociąg, farmerzy, wyglądający raczej na Rumunów aniżeli na Niemców, sprzedawali na skraju drogi jabłka, ułożone na odwróconych skrzynkach. Za drogą wznosiły się ceglane składy, coś w rodzaju małej fabryki, a za nimi, kilkaset metrów dalej, nad brzozowym lasem stał nieruchomy słup czarnego dymu. Pokazałem dokumenty jakiemuś podoficerowi SS i spytałem, gdzie jest obóz: wskazał na las. Z powrotem wsiałem do samochodu i przejechaliśmy jakieś trzysta metrów drogą ciągnącą się wzdłuż torów w stronę Rawy Ruskiej i Lemberga; obóz znajdował się po drugiej stronie, w otoczeniu gęsto rosnących sosen i brzoź. W płot z drutu kolczastego wetknięto gałęzie, by zasłonić teren, ale część została już usunięta i przez te dziury widać było grupy uwijających się jak mrówki więźniów, którzy burzyli baraki, a w pewnych miejscach także ogrodzenie. Dym pochodził z ukrytej strefy, z niewielkiego wzniesienia w głębi obozu. Chociaż nie było wiatru, powietrze wypełniał słodkawy, mdlący odór, docierał nawet do samochodu. Po tym wszystkim, co mi opowiadano i pokazywano, sądziłem, że obozy *Einsatz* wybudowane są na terenach niezamieszkałych i trudno dostępnych, a ten znajdował się w pobliżu miasteczka, w którym roiło się od niemieckich kolonistów z rodzinami. Główna trakcja kolejowa, łącząca Galicję z resztą Generalnego Gubernatorstwa, którą codziennie jeździli cywile i wojskowi, przechodziła dosłownie pod drutami kolczastymi, pośród ohydny smrodu i dymu: wszyscy ci ludzie, handlarze i inni, podróżowali, przejeżdżali obok w tę i z powrotem, gawędzili, komentowali, pisali listy, opowiadali plotki albo kawały.

W ogóle, pomimo zakazów, poufnych przysięg i gróźb Globocnika, żołnierze z *Einsatz* byli gadatliwi. Wystarczyło mieć na sobie mundur SS, pójść do baru w Deutsche

Haus i postawić komuś przy okazji kolejkę, a informacje docierały do człowieka same. Ludzie byli wyraźnie zniechęceni — pod promiennym optymizmem komunikatów z frontu łatwo było odczytać prawdziwe nowiny — a to rozwiązywało języki. Gdy ogłaszano, że na Sycylii dzielni włoscy sojusznicy wspomagani przez siły niemieckie trzymają się mocno, wszyscy rozumieli, że wróg nie wycofał się w stronę morza i w końcu otworzył drugi front w Europie. Co się tyczy Kurska, to niepokój wzrastał z każdym dniem, bo Wehrmacht, gdy przebrzmiały pierwsze triumfy, pozostawał uparcie i nadzwyczajnie milczący, a gdy wreszcie zaczął nadmieniać o *planowej realizacji elastycznych taktyk* wokół Orła, nawet najbardziej zaślepieni zorientowali się już, o co chodzi. Wielu nie mogło pogodzić się z takim rozwojem sytuacji. A pośród krzykaczy, wściekających się każdego wieczoru, zawsze łatwo znaleźć jednego, który pił w samotności i milczeniu, i do niego zagadać. Tak właśnie któregoś dnia zacząłem rozmawiać z mężczyzną w mundurze Untersturmführera, który stał nad kuflem piwa, oparty łokciami o kontuar. Dollowi, bo tak się nazywał, chyba pochlebiało, że wysoki rangą oficer traktuje go tak poufale; a był starszy ode mnie o jakieś dziesięć lat. Wskazał na mój „order mrożonego mięsa” i spytał, gdzie spędziłem poprzednią zimę. Gdy powiedziałem mu, że w Charkowie, całkiem się odprężył: „Ja też tam byłem, między Charkowem a Kurskiem. Operacje specjalne”. — „Ale nie był pan w *Einsatzgruppe*?” — „Nie, robiłem coś innego. Ja nie jestem w SS”. Był to jeden z tych słynnych urzędników kancelarii Führera. „Między sobą mówimy na to T-4. Tak to się nazywa”. — „A co pan robił pod Charkowem?” — „Wie pan, byłem w Sonnenstein, w jednej z tych placówek dla chorych...” Kiwnąłem głową na znak, że wiem, o co chodzi, więc mówił dalej: „Latem czterdziestego pierwszego to zamknęli. No, a część z nas uważali za specjalistów, nie chcieli nas zwalniać, więc wysłali do Rosji. Była nas cała delegacja, dowodził nami Oberdienstleiter Brack we własnej osobie, byli tam też lekarze ze szpitala, no, wszyscy. I tyle, jeździliśmy na akcje specjalne. Ciężarówki z gazem. Wszyscy mieliśmy odpowiednie adnotacje w książeczkach wojskowych, czerwone kartki podpisane przez OKW, zakaz wysyłania nas zbyt blisko frontu: bali się, że wpadniemy w łapy Ruskich”. — „Niezbyt rozumiem. Specjalne działania w tamtym regionie, wszystkie działania Sipo podlegały mojemu Kommando. Mówi pan, że mieliście ciężarówki z gazem, ale jak mogliście wypełniać takie same zadania co my bez naszej wiedzy?” Jego twarz przybrała nieprzyjemny, niemal cyniczny wyraz: „To nie były takie same zadania. Nie tykaliśmy się

Żydów ani bolszewików”. — „To kogo w takim razie?” Zawahał się i napił jeszcze, długimi łykami, a potem wierzchem palców startł pianę z wargi. „My zajmowaliśmy się rannymi”. — „Rannymi Rosjanami?” — „Pan nie rozumie. Naszymi rannymi. Takich zbyt zmasakrowanych, by mogli się jeszcze czemuś przysłużyć, wysyłano do nas”. Zrozumiałem, a on uśmiechnął się, gdy to dostrzegł: jego słowa wywołały zamierzony efekt. Odwróciłem się do baru i zamówiłem jeszcze jedną kolejkę. „Pan mówi o niemieckich rannych”, odezwałem się wreszcie cicho. — „Nie inaczej. Prawdziwe kurestwo. Faceci jak pan i ja, którzy wszystko oddali za *Heimat*, a tu nagle trach! Tak im dziękowano. Powiem panu, że byłem szczęśliwy, gdy mnie tutaj odesłali. Tu też niezbyt wesoło, ale to jednak co innego”. Dostaliśmy kufle. Opowiedział mi o swojej młodości: skończył technikum, chciał być rolnikiem, ale w czasach kryzysu wstąpił do policji: „Dzieci wołały jeść, a to był jedyny sposób, żeby coś się codziennie znalazło na stole”. Pod koniec trzydziestego dziewiątego roku został wysłany do Sonnenstein w ramach *Einsatz Euthanasie*. Nie wiedział, czemu wybrano akurat jego. „Z jednej strony nie było to zbyt przyjemne. Ale z drugiej, unikałem frontu, no i były z tego porządne pieniądze, żona się cieszyła. Więc się nie buntowałem”. — „A Sobibór?” Tam właśnie, jak mi wcześniej powiedział, pracował obecnie. Wzruszył ramionami: „Sobibór? Jest jak wszędzie, człowiek się przyzwyczaja”. Wykonał dziwny ruch, który wywarł na mnie silne wrażenie: potarł podłogę czubkiem buta, jak gdyby coś rozdeptywał: „Mali mężczyźni, małe kobiety, jedno i to samo. To tak, jakbym zdeptał karalucha”.

Wiele dyskutowano po wojnie, próbując wyjaśnić, co się takiego stało, skąd nagle ten brak człowieczeństwa. Cóż, wybaczenie, nie ma czegoś takiego, jak brak człowieczeństwa. Jest tylko człowieczeństwo i jeszcze raz człowieczeństwo: a ten Döll był najlepszym tego przykładem. Bo kimże innym jest Döll, jak nie dobrym ojcem rodziny, który pragnął wyżywić swoje dzieci, był posłuszny państwu, nawet jeśli w głębi serca nie do końca się z nim zgadzał? Gdyby urodził się we Francji albo w Ameryce, nazywano by go filarem społeczności i patriotą; lecz urodził się w Niemczech, więc jest kryminalistą. Konieczność, wiedzieli już o tym Grecy, jest boginią nie tylko ślepą, ale i okrutną. Co nie znaczy, że w tamtych czasach brakowało kryminalistów. Cały Lublin, próbowałem to pokazać, pławił się w niezdrowej atmosferze korupcji i występku; *Einsatz*, ale także kolonizacja, eksploatacja tego wyizolowanego regionu, niejednemu zawróciły w głowie.

Zastanawiałem się, odkąd wysłuchałem uwag mojego przyjaciela Vossa, nad różnicą między niemieckim kolonializmem, w kształcie praktykowanym na Wschodzie przez te wszystkie lata, a kolonializmem Brytyjczyków czy Francuzów, wyraźnie bardziej cywilizowanym. Istnieją, tak jak podkreślał Voss, fakty obiektywne: po utracie swoich kolonii w 1919 roku Niemcy musieli wycofać kadry i zamknąć kolonialne biura administracyjne; placówki szkoleniowe nadal działały, dla zasady, lecz nie przyciągały nikogo, bo nie oferowały żadnych możliwości; dwadzieścia lat później po całej wiedzy nie zostało śladu. W takim stanie rzeczy narodowy socjalizm dał impuls całemu pokoleniu, kipiącemu nowymi pomysłami i głodnemu nowych doświadczeń, które w dziedzinie kolonizacji dorównywały być może poprzednim. Co do nadużyć, tej zboczonej rozpusty, jakiej byliśmy świadkami w Deutsche Haus, czy też dokładniej — nieudolności, z jaką nasza administracja wydawała się traktować kolonizowane narody, których pewna część była gotowa szczerze nam służyć w zamian za kilka datków, a więc inaczej mówiąc, co do przemocy i pogardy — nie należy zapominać, że nasz kolonializm, nawet afrykański, był zjawiskiem młodym i że inni na początku nie zachowywali się lepiej: przypomnijmy sobie belgijskie akcje masowych eksterminacji w Kongu, ich politykę systematycznej dewastacji, albo politykę amerykańską, która dała początek i służyła za wzorzec naszej polityce, polegającą na tworzeniu przestrzeni życiowej poprzez zabójstwa i przymusowe wysiedlanie; Ameryka, często o tym zapominamy, nie była niczym innym jak „dziewiczą przestrzenią”, z tym że Amerykanom się udało, a my ponieśliśmy porażkę — oto cała różnica. Nawet Anglicy, często podawani za przykład, których tak podziwiał Voss, potrzebowali traumy 1858 roku, by zacząć wprowadzać bardziej wyrafinowane narzędzia kontroli. I choć, krok po kroku, doszli do wirtuozerii w naprzemiennym posługiwaniu się kijem i marchewką, to pamiętajmy, że to właśnie kij miał tu niebagatelne znaczenie, o czym mogliśmy przekonać się podczas masakry w Amritsarze, bombardowania Kabulu czy innych wydarzeń, licznych i zapomnianych.

W ten sposób odbiegłem od początkowych przemyśleń, a chciałem tylko powiedzieć, że chociaż człowiek na pewno nie jest, jakby sobie tego życzyli niektórzy poeci i filozofowie, z natury dobry, to nie jest również z natury zły: dobro i zło to kategorie, które mogą służyć do oceny rezultatu działań jednego człowieka wobec drugiego, natomiast, w mojej opinii, są one z gruntu niedostosowane, a nawet bezużyteczne w przypadku oceny tego, co się dzieje w jego sercu. Döll zabijał bądź kazał

zabijać ludzi i to jest Zło, ale sam w sobie był dobry dla bliskich, obojętny wobec innych i w dodatku przestrzegał praw. Czegóż więcej wymaga się dziś od szarych mieszkańców naszych miast tak cywilizowanych i demokratycznych? A iluż jest na świecie filantropów, sławnych z powodu swej nadzwyczajnej hojności, którzy, przeciwnie, są egoistycznymi, zimnymi potworami, żądnymi publicznych honorów, nadętymi, próżnymi tyranami dla bliskich? Każdy człowiek pragnie zaspokoić swe potrzeby i pozostaje obojętny wobec innych. Lecz aby ludzie mogli żyć razem, aby uniknąć hobbesowskiej „wojny każdego z każdym” oraz aby, przeciwnie, dzięki wzajemnej pomocy i wzrastającej produkcji, która z tego wynika, zaspokoić jak największą liczbę ich potrzeb, niezbędne są instancje regulujące, które wytyczą granice owych potrzeb i rozsądzą konflikty: tym mechanizmem jest Prawo. Ale do tego trzeba jeszcze, by ludzie, egoistyczni i gnuśni, przyjęli rygory Prawa, a ono powinno odnosić się do instancji wykraczającej poza człowieka, powinno być zbudowane na sile, którą sam człowiek odczuwa jako wyższą niż on sam. Tak jak zasugerowałem Eichmannowi podczas kolacji, tym najwyższym i wyobraźalnym punktem odniesienia przez długi czas był Bóg. Niewidzialny, wszechmocny Bóg, który przybierał postać króla, suwerena boskiego prawa; a gdy ten król stracił głowę, suwerenność przeszła na Lud albo na Naród i oparła się na fikcyjnej „umowie”, pozbawionej historycznych i biologicznych fundamentów, a więc równie abstrakcyjnej co pojęcie Boga. Niemiecki narodowy socjalizm chciał zakotwiczyć ją w Narodzie, w fakcie historycznym: *Volk* jest suwerenny, a *Führer* wyraża, reprezentuje lub ucieleśnia ową suwerenność. Pochodną suwerenności jest Prawo — dla większości ludzi ze wszystkich krajów moralność nie jest niczym innym niż Prawem: w tym sensie kantowskie prawo moralne, nad którym tak bardzo głowił się Eichmann, pochodzące od rozumu i identyczne dla każdego człowieka, to fikcja, jak zresztą wszystkie inne prawa (lecz może to być fikcja użyteczna). Prawo biblijne mówi: Nie zabijaj, i nie przewiduje żadnych wyjątków. A jednak każdy żyd czy chrześcijanin zgadza się, że na czas wojny prawo to zostaje zawieszane, że sprawiedliwe jest zabijanie wroga swojego ludu, że nie ma w tym żadnego grzechu; wojna skończona, broń odwieszona i staremu prawu przywraca się utarty bieg, jak gdyby ta przerwa nigdy nie nastąpiła. Podobnie dla Niemca bycie dobrym Niemcem oznacza posłuszeństwo prawom, a więc *Führerowi*. Z moralności nic innego tutaj wyniknąć nie może, bo nie ma niczego, co mogłoby jej służyć za podstawę (to nie przypadek, że nieliczni opozycjoniści byli w większości wierzący: zachowali odmienny punkt odniesienia dla moralności, mogli

rozsądzać, co jest Dobrem, a co Złem, kierując się innymi wartościami niż Führer, a Bóg służył im za argument uzasadniający zdradę wodza ich własnego kraju: bez Boga nie byłoby to możliwe, bo skąd mieliby czerpać uzasadnienie? Który człowiek, sam, z własnej woli, może postawić granicę i orzec: to jest dobre, a to złe? Jakaż to byłaby przesada i jaki chaos, gdyby każdy odważył się działać w ten sposób, gdyby każdy człowiek kierował się w życiu swym prywatnym prawem, choćby było kantowskie? Tak oto wracamy do Hobbesa). Jeśli więc ktoś chciałby osądzać niemieckie działania podczas tamtej wojny jako zbrodnię, musiałby rozliczać się z całym państwem niemieckim, a nie tylko z ludźmi takimi jak Döll. To, że Döll trafił do Sobiboru, a jego sąsiad nie, to jest przypadek, i Döll nie jest bardziej odpowiedzialny za Sobibór niż jego sąsiad, który miał więcej szczęścia. Jednocześnie jego sąsiad w równym stopniu odpowiada za Sobibór, ponieważ obaj w pełni i żarliwie służyli temu samemu krajowi, krajowi, który stworzył Sobibór. Wysyłany na front żołnierz nie protestuje; nie tylko naraża swoje życie, ale jest zobowiązany zabijać, nawet gdy tego nie chce. Jego wola abdykuje — jeśli wytrwa na swojej pozycji, będzie nazwany dzielnym człowiekiem, jeśli ucieknie — dezercerem, zdrajcą. Człowiek wysłany do obozu albo taki, którego przydzielono do *Einsatzkommando* czy do batalionu policji, zwykle myśli podobnie: wie, że od jego własnej woli nic tu nie zależy, że wyłącznie przypadek czyni z niego mordercę zamiast bohatera czy poległego. A może lepiej byłoby spojrzeć na to wszystko nie z judeo-chrześcijańskiego moralnego punktu widzenia (czy też laickiego i demokratycznego, co dokładnie na jedno wychodzi), ale oczyma Greków: oni zostawiali miejsce na ingerencję fatum (fatum, uściślijmy, kryjącego się często pod maską boskiej interwencji), lecz nie twierdzili wcale, że zwalnia ich to od odpowiedzialności. Zbrodnia to skutek działania, nie woli. Gdy Edyp zabija ojca, nie wie, że popełnia ojcobójstwo; zabicie na drodze obcego, który ci złorzeczy, było, z punktu widzenia greckiego sumienia i prawa, czynem legalnym, nie było w nim żadnej winy. Ale tym obcym człowiekiem był Lajos, niewiedza jednak nie umniejsza zbrodni. Edyp się z tym zgadza i gdy w końcu dowiaduje się prawdy, sam sobie wymierza karę i sam ją sobie zadaje. Związek pomiędzy wolą a zbrodnią to pojęcie chrześcijańskie, które przetrwało w nowoczesnym ustawodawstwie. Prawo karne, na przykład, uważa nieumyślne spowodowanie śmierci za przestępstwo, ale mniejszej wagi niż zabójstwo z premedytacją. Podobnie sprawy się mają z koncepcjami prawnymi na temat odpowiedzialności w przypadku szaleństwa; w XIX wieku przestano łączyć pojęcie zbrodni z pojęciem

anormalności. Dla Greków nie było istotne, czy Herakles zamordował swoje dzieci w przyływie szaleństwa albo czy Edyp zabił ojca przez przypadek: to niczego nie zmienia, zbrodnia to zbrodnia, a oni są winni; można im współczuć, ale nie można ich rozgrzeszyć — choć często wymierzenie kary należy do bogów, a nie do ludzi. Z tego punktu widzenia zasada powojennych procesów, gdzie sądzono ludzi za konkretne czyny, nie biorąc pod uwagę działania przypadku, była słuszna, ale zabrano się do tego nieporadnie. Niemcy sądzeni przez obcokrajowców, którym odmawiali odpowiednich do tego kompetencji (przyznając im jednak prawo do miana zwycięzców), mogli czuć się uwolnieni od ciężaru, a więc niewinni: ten, który nie był sądzony, uważał tego, który był, za pechowca, i rozgrzeszał go, a tym samym rozgrzeszał siebie samego; a ten, który gnił w angielskich lochach czy radzieckim gułagu, robił to samo. Ale czy mogło być inaczej? W jaki sposób dla zwykłego człowieka coś może być jednego dnia sprawiedliwością, a drugiego — przestępstwem? Ludzie potrzebują przewodników, to nie ich wina. To są złożone pytania i nie ma na nie prostych odpowiedzi. Kto wie, gdzie rzeczywiście znajduje się Prawo? Każdy powinien go szukać, ale to takie trudne, łatwiej nagiąć się do wspólnej ugody. Nie każdy może być prawodawcą. Do refleksji nad tym wszystkim niewątpliwie skłoniło mnie spotkanie z pewnym sędzią.

Tym, którzy nie gustowali w pijatykach w Deutsche Haus, pozostawały w Lublinie raczej skromne rozrywki. W wolnym czasie zwiedziłem miasto i zamek, wieczorami kazałem przynosić posiłek do pokoju i czytałem. Zostawiłem *Festgabe* Besta i tom o mordzie rytualnym w Berlinie, na półce, za to przywiozłem ze sobą zbiorek Maurice'a Blanchota kupiony w Paryżu, wróciłem do początku i po całym dniu ciężkich rozmów z wielką przyjemnością zanurzałem się w tym odmiennym świecie, pełnym światła i myśli. Drobnymi incydentami nadal naruszały mój spokój — tutaj, w Deutsche Haus, chyba nie mogło być inaczej. Pewnego wieczoru, nieco poruszony, zbyt rozkojarzony, by czytać, zszedłem do baru napić się sznapsa i pogadać (znałem już większość bywalców). Wracając, pomyliłem pokój, było ciemno. Drzwi były otwarte, wszedłem, a tam na łóżku dwóch mężczyzn spółkowało jednocześnie z tą samą dziewczyną: jeden leżał na plecach, drugi klęczał, natomiast dziewczyna, także na kolanach, tkwiła między nimi. Minęła chwila, zanim dotarło do mnie, co widzę, i gdy wreszcie, jak we śnie, wszystko ułożyło mi się w jeden obraz, wymamrotałem słowa przeprosin. Już chciałem wyjść, gdy ten, który klęczał

— nagi, tylko w wysokich butach — wyszedł z dziewczyny i wstał. Trzymając sterczący członek w jednej ręce i lekko go pocierając, drugą ręką, jak gdyby zapraszał mnie na swoje miejsce, wskazywał na tyłek dziewczyny, z odbytem w różowej otoczce, otwierającym się niczym morska otchłań pomiędzy dwiema białymi kulami. Drugiego mężczyznę widziałem tylko częściowo: owłosione nogi, jądra i członek znikający w obrośniętej pochwie. Dziewczyna pojękiwała miękko. Bez słowa pokręciłem głową i wyszedłem, zamknąwszy cicho drzwi. Po tym zdarzeniu byłem jeszcze mniej skłonny opuszczać swój pokój. Lecz gdy Höfle zaprosił mnie na przyjęcie na wolnym powietrzu, które Globocnik wydawał z okazji urodzin dowódcy garnizonu dystryktu, zgodziłem się bez wahania. Impreza odbywała się w Julius Schreck Kaserne, Kwaterze Głównej SS: za masywem starej budowli rozciągał się piękny park, z soczyście zielonym trawnikiem oraz wielkimi drzewami schodzącymi w dół i obrastającymi klomby z kwiatami. W głębi widać było kilka domów, a za nimi ciągnęły się pola. Na kozłach ułożono drewniane blaty. Goście pili, zebrawszy się w grupy na trawie; obok drzew, nad rowami wykopanymi specjalnie na tę okazję, dogładany przez szeregowców z oddziału, piekł się na ruszcie cały jeleń i dwa prosiaki. Spiess, który eskortował mnie od wejścia, zaprowadził mnie prosto do Globocnika, stojącego ze swym honorowym gościem, Generalleutnantem Moserem w otoczeniu kilku cywilnych urzędników. Dochodziło południe, a Globocnik pił już koniak i palił grube cygaro, jego czerwona twarz lśniła od potu nad ciasno zapiętym kołnierzykiem. Stuknąłem przed nimi obcasami, zasalutowałem, po czym Globocnik uściśnął mi dłoń i przedstawił mnie pozostałym; złożyłem generałowi życzenia z okazji urodzin. „Jak tam pańskie śledztwa, Sturmbannführer, rzucił Globocnik. Znalazł pan coś?” — „Jest jeszcze zbyt wcześnie na wyciąganie wniosków, Herr Gruppenführer. Poza tym chodzi o problemy natury technicznej. Pewne jest, że w kwestii wykorzystania siły roboczej można by wprowadzić kilka ulepszeń”. — „Zawsze wszystko można ulepszyć! W końcu prawdziwy narodowy socjalista zna wyłącznie ruch i postęp. Powinien pan porozmawiać z Generalleutnantem, tutaj: właśnie się skarżył, że zabrano kilku Żydów z fabryk Wehrmachtu. Niech mu pan wyjaśni, że ma ich po prostu zastąpić Polakami”. Generał zaoponował: „Mój drogi Gruppenführer, wcale się nie skarżyłem; tak jak każdy rozumiem te kroki. Mówiłem tylko, że interesy Wehrmachtu powinny zostać również wzięte pod uwagę. Wielu Polaków wysłano do pracy w Rzeszy, a tych, którzy pozostali, długo by trzeba przysposabiać; działając jednostronnie, zakłóćcie produkcję wojenną”. Globocnik

wybuchnął głośnym, obleśnym śmiechem: „Chciał pan po prostu powiedzieć, drogi Generalleutnant, że Polaczki są za durne, żeby dobrze pracować i że Wehrmacht woli Żydów. To prawda, Żydzi są sprytniejsi od Polaków. I dlatego też są bardziej niebezpieczni”. Przerwał i zwrócił się do mnie: „No, Sturmbannführer, nie chciałbym pana zatrzymywać. Napoje ma pan na stole, proszę się częstować, bawić!” — „Dziękuję, Herr Gruppenführer”. Zasalutowałem i poszedłem do jednego ze stołów, który ugiął się pod ciężarem butelek wina, piwa, sznapsa, koniaku. Nalałem sobie piwa i rozejrzałem się dookoła. Napływali nowi goście, ale ja rozpoznawałem mało kogo. Były kobiety, kilka pracownic SSPF w mundurach, lecz przede wszystkim małżonki oficerów w cywilnych ubraniach. Florstedt rozmawiał z kolegami z obozu, Höfle palił, siedząc w samotności na ławce, łokcie oparł o stół, przed sobą postawił butelkę piwa, był zamyślony, jakby zagubiony w próżni. Wiosną, jak się dowiedziałem, stracił dwójkę dzieci, bliźniaki, zmarły na dyfteryt; w Deutsche Haus opowiadano, że się załamał podczas pogrzebu, krzychał, że ujrzał w swoim nieszczęściu karę boską, i że od tamtego czasu nie jest tym samym człowiekiem (chyba dwadzieścia lat później popełnił samobójstwo, w areszcie w Wiedniu, nie czekając na wyrok austriackiego wymiaru sprawiedliwości, który byłby zapewne łagodniejszy od wyroków boskich). Postanowiłem, że zostawię go w spokoju i dołączyłem do grupki ludzi, która zebrała się wokół lubelskiego KdS-a, Johanna Müllera. Znałem z widzenia KdO Kintrupa; Muller przedstawił mi drugiego rozmówcę. „Oto Sturmbannführer doktor Morgen. Tak jak i pan wykonuje bezpośrednie rozkazy Reichsführera”. — „Świetnie. Jakie stanowisko?” — „Doktor Morgen jest sędzią SS przy Kripo”. Morgen dalej mówił sam: „Na razie kieruję komisją specjalną, wyznaczoną przez Reichsführera do badania obozów koncentracyjnych. A pan?”. W kilku słowach przedstawiłem mu swoją misję. „Ach, więc pan również interesuje się obozami”, zauważył. Kintrup się oddalił. Muller poklepał mnie po ramieniu: „Meine Herren, jeśli chcecie gadać o robocie, to ja was zostawiam. Mamy niedzielę”. Zasalutowałem mu i odwróciłem się z powrotem do Morgena. Mierzył mnie żywym, inteligentnym, lekko zamglonym spojrzeniem zza okularów w cienkich oprawkach. „Czym dokładnie zajmuje się pańska komisja?”, spytałem go. — „Jest to przede wszystkim trybunał SS i policji «do zadań specjalnych». Mam bezpośrednie pełnomocnictwa od Reichsführera na prowadzenie śledztwa w sprawie korupcji w KL”. — „Interesujące. Zdarzają się problemy?” — „To za mało powiedziane. Tam panuje masowa korupcja”. Skinieniem

głowy wskazał jakiegoś mężczyznę za mną i uśmiechnął się lekko: „Jeśli Sturmbannführer Florstedt zobaczy pana ze mną, nie ułatwi to panu pracy”. — „Prowadzi pan dochodzenie w sprawie Florstedta?” — „Między innymi”. — „I on o tym wie?” — „Oczywiście. To oficjalne dochodzenie, wzywałem go już kilka razy”. Trzymał w ręku kieliszek białego wina; napił się, i ja wypilem do dna. „Niezmiernie interesuje mnie to, o czym pan mówi”, wróciłem do rozmowy. Podzieliłem się z nim spostrzeżeniami na temat rozbieżności pomiędzy oficjalnymi normami żywieniowymi a tym, co rzeczywiście dostają więźniowie. Słuchał i kiwał głową: „Tak, bardzo prawdopodobne, że zapasy żywności też są plądrowane”. — „Przez kogo?” — „Przez wszystkich. Od samego dołu aż po samą górę. Kucharze, kapo, SS-Führerzy kierownicy magazynów, góra hierarchii także”. — „Jeżeli faktycznie tak jest, to skandal”. — „Absolutnie. Reichsführer jest tym osobiście bardzo zmartwiony. Członek SS powinien być idealistą: nie może wykonywać swojej pracy i jednocześnie kopulować z więźniarkami czy napychać sobie kieszeni. A jednak to się zdarza”. — „A pańskie dochodzenia dają wyniki?” — „To bardzo trudne. Ci ludzie sobie pomagają, opór jest ogromny”. — „No, ale przecież ma pan pełne wsparcie Reichsführera...” — „Dopiero od niedawna. Ten specjalny trybunał powstał niecały miesiąc temu. Ja swoje śledztwa prowadzę od dwóch lat i do tej pory napotykałem poważne przeszkody. Zaczęliśmy — w tamtych czasach byłem członkiem trybunału SS i policji XII w Kassel — zaczęliśmy od KL Buchenwald koło Weimaru. A dokładniej od komendanta obozu, niejakiego Kocha. Sprawa została zablokowana: Obergruppenführer Pohl wysłał do Kocha list z gratulacjami, w którym pisał między innymi, że osobiście stanie do walki *zawsze, gdy jakiś bezrobotny prawnik zechce wyciągnąć swe katowskie ręce ku niewinnemu Kochowi*. Wiem, bo Koch szeroko rozpowszechnił treść tego listu. Ale nie odpuściłem. Koch został przeniesiony tu, żeby dowodzić KL, a ja pojechałem za nim. Odkryłem, że pomiędzy obozami rozpościera się siatka korupcyjna. W końcu, zeszłego lata, Koch został zawieszony w obowiązkach. Ale kazał zamordować większość świadków, w tym pewnego Hauptscharführera z Buchenwaldu, jednego z tych, z którymi był w zмовie. Tu zabito wszystkich żydowskich świadków; wszczęliśmy śledztwo także w tej sprawie, ale wtedy wszyscy Żydzi z KL zostali zlikwidowani. Gdy chcieliśmy zareagować, zatkano nam usta *rozkazami z góry*”. — „Ale takie rozkazy rzeczywiście istnieją, powinien pan o tym wiedzieć”. — „Wtedy się o tym dowiedziałem. I jest jasne, że w takim wypadku nie mamy żadnych kompetencji. Lecz istnieje chyba jakieś

rozdzielenie: to, że członek SS każe zabić Żyda w ramach stosowania się do rozkazów z góry, to jedno, ale to, że każe zabić Żyda, by zatuszować własne malwersacje lub po prostu dla perwersyjnej przyjemności, to zupełnie co innego, to jest zbrodnia. Choćby nawet ten Żyd i tak miał zginąć”. — „Całkowicie się z panem zgadzam. Jednak trudno dokonać takiego rozróżnienia”. — „Z prawnego punktu widzenia, na pewno: można mieć wątpliwości, ale aby kogoś oskarżyć, potrzeba dowodów, a jak już panu mówiłem, ci faceci pomagają sobie wzajemnie, likwidują świadków. Czasem, rzecz jasna, nie ma żadnych wątpliwości: na przykład, prowadzę teraz dochodzenie w sprawie żony Kocha, zбочzonej kobiety, która kazała zabijać wytatuowanych więźniów i zdejmować z nich skórę; z takich wygarbowanych skór wyrabiała abażury i inne przedmioty w tym stylu. Jak tylko zbiorę wszystkie dowody, aresztujemy ją i nie wątpię, że zostanie skazana na śmierć”. — „A jak się skończyło pańskie dochodzenie w sprawie Kocha?” — „Nadal trwa. Gdy już dokończę moją pracę tutaj i będę miał w ręku wszystkie dowody, myślę, że zdołam go ponownie aresztować. On też zasługuje na karę śmierci”. — „A więc go wypuścili? Nie bardzo rozumiem...” — „Został uwolniony w lutym. Ale ja już wtedy nie zajmowałem się jego aktami. Miałem kłopot z kimś innym, też z oficerem, pracownikiem obozu, ale z Waffen-SS. Niejaki Dirlewanger. Szaleniec i furia na czele jednostki złożonej z ułaskawionych kryminalistów i kłusowników. W 1941 roku otrzymałem informację, że wraz z przyjaciółmi prowadzi rzekome eksperymenty naukowe, tu, w Generalnym Gubernatorstwie: truł młode dziewczyny strychniną i paląc papierosy przyglądał się, jak konają. Ale gdy chciałem go ścigać, został, wraz z jednostką, przerzucony na Białoruś. Mogę panu powiedzieć, że korzysta z protekcji na bardzo wysokim szczeblu SS. W końcu złamano mnie, pozbawiono funkcji, zdegradowano do stopnia SS-Sturmmanna i wcielono do batalionu piechoty, a następnie do SS-Wiking w Rosji. Przez ten czas postępowanie przeciw Kochowi całkiem upadło. A w maju Reichsführer posłał po mnie, mianował mnie Sturmbannführerem rezerwy i przydzielił do Kripo. Po kolejnej skardze z dystryktu lubelskiego dotyczącej kradzieży dóbr należących do więźniów rozkazał mi stworzyć tę komisję”. Pełen podziwu pokiwałem głową: „Umie pan stawić czoło przeciwnościom”. Morgen zaśmiał się sucho: „O tak. Już przed wojną, gdy byłem sędzią w Landgericht w Stettinie, usiłowano mnie złamać, ponieważ nie zgadzałem się z pewnym wyrokiem. Właśnie w ten sposób znalazłem się w SS-Gericht”. — „Czy mógłbym spytać, gdzie pan studiował?” — „Och, sporo się przemieszczałem.

Studiowałem we Frankfurcie, w Berlinie i w Kilonii, a później także w Rzymie i w Hadze”. — „Kilonia! W Instytucie Ekonomii Światowej? Ja też studiowałem tam przez pewien czas. U profesora Jessena”. — „Dobrze go znam. Sam byłem na prawie międzynarodowym u profesora Ritterbuscha”. Gawędziliśmy tak jeszcze chwilę, wymieniając się wspomnieniami z Kilonii. Odkryłem, że Morgen świetnie mówi po francusku, a poza tym jeszcze w czterech innych językach. Wróciłem do tematu: „Dlaczego zaczął pan od Lublina?” — „Przede wszystkim, żeby dopaść Kocha. Już go prawie mam. No i skarga z dystryktu to był świetny pretekst. Tutaj dzieją się różne dziwne rzeczy. Przed samym przyjazdem otrzymałem raport KdS o żydowskim ślubie w jednym z obozów pracy. Było podobno ponad tysiąc gości”. — „Nie rozumiem”. — „W tym Judenlager żenił się Żyd, ważny kapo. Były astronomiczne ilości jedzenia i alkoholu. Uczestniczyli w tym wartownicy SS. To jasne, że doszło tam do kryminalnych wykroczeń”. — „Gdzie się to zdarzyło?” — „Nie mam pojęcia. Po przyjeździe do Lublina spytałem Mullera; odpowiedział bardzo niejasno. Wysłał mnie do obozu DAW, ale tam nikt nic nie wie. Poradzono, żebym się spotkał z Wirthem, Kriminalkommissarem, wie pan, który to? I Wirth powiedział mi, że to prawda, że to jego metoda eksterminacji Żydów: daje przywileje niektórym z nich, a ci pomagają zabijać innych, po czym sami są zabijani. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej, ale Gruppenführer zakazał mi jeździć do obozów *Einsatz*, a Reichsführer potwierdził ten zakaz”. — „Więc nie ma pan żadnych uprawnień, jeśli chodzi o Einsatz?” — „W kwestii eksterminacji — żadnych. Ale nikt nie zabroni mi sprawdzić, co się stało z zagarniętym mieniem. *Einsatz* konfiskuje kolosalne sumy, w złocie, dewizach i przedmiotach. Wszystko to jest własnością Rzeszy. Obejrzałem już ich magazyny, tu, przy ulicy Chopina, a chcę wszystko sprawdzić jeszcze dokładniej”. — „Wszystko, co pan mówi, przyznałem żarliwie, niezmiernie mnie interesuje. Mam nadzieję, że będziemy mogli szczegółowo o tym porozmawiać. W pewnym sensie nasze misje się uzupełniają”. — „Tak, wiem, co pan ma na myśli: Reichsführer pragnie zaprowadzić tu porządek. Zresztą oni mniej się pana obawiają, więc może dotrze pan do czegoś, co ukrywają przede mną. Spotkamy się jeszcze”.

Od kilku minut Globocnik wołał gości do stołu. Posadzono mnie naprzeciw Kurta Claasena, kolegi Höflego, i obok bardzo gadatliwej sekretarki SS. Z marszu przystąpiła do zwierzeń o swych troskach, na szczęście Globocnik zaczął wygłaszać toast na cześć generała Mosera, musiała więc się uzbroić w cierpliwość. Przemowa była krótka i

wszyscy goście wstali, by wypić za zdrowie Mosera; generał podziękował w kilku słowach. Przyniesiono wiktuały: upieczoną zwierzynę porcjowano z dużą znajomością rzeczy, stopy kawałków mięsa leżały na ustawionych na stołach drewnianych półmiskach, każdy mógł się częstować do woli. Do tego były sałatki i świeże warzywa, wszystko wyśmienite. Moja sąsiadka skubała marchewkę i robiła wszystko, by wrócić do swojej historii; słuchałem jej jednym uchem, skupiony na jedzeniu. Opowiadała o narzeczonym, Hauptscharführerze stacjonującym w Galicji, w Drohobyczu. Była to historia tragiczna: ona zerwała dla niego zaręczyny z wiedeńskim żołnierzem, on zaś był już żonaty z kobietą, której nie kochał. „Chciał się rozwieść, a wtedy ja zrobiłam coś strasznie głupiego, spotkałam się z tym żołnierzem, z którym wcześniej zerwałam, poprosił mnie, a ja się zgodziłam, zaś Lexi — ten narzeczony — dowiedział się, to go zniechęciło, już nie był pewien mojej miłości i wrócił do Galicji. Na szczęście wciąż mnie kocha”. — „A co robi w Drohobyczu?” — „Pracuje w Sipo, bawi się w generała z Żydami z Durchgangstrasse”. „Rozumiem. Często się widujecie?” — „Jak mamy przepustki. Chciałby, żebym z nim zamieszkała, ale sama nie wiem. Tam jest podobno strasznie brudno. Mówi, że ja nie będę oglądać tych jego Żydów, że może znaleźć porządny dom. Ale przecież nie mamy ślubu, no nie wiem, musiałyby się rozwieść. Co pan o tym myśli?” Miałem usta pełne sarniny, więc tylko wzruszyłem ramionami. Porozmawiałem chwilę z Claasem. Gdy posiłek dobiegał końca, przysłała orkiestra, ustawiła się na schodach prowadzących do ogrodu i zaczęła grać walca. Kilka par wstało i poszło potańczyć na trawniku. Młoda sekretarka, zapewne rozczarowana moim brakiem zainteresowania dla jej uczuciowych rozterek, ruszyła do tańca z Claasem. Zauważyłem, że przy innym stole siedzi Horn — przyszedł późno; wstałem i podszedłem, żeby zamienić z nim kilka słów. Któregoś dnia, na widok mojej teczki ze skaju, zaproponował, że zamówi dla mnie skórzaną, co rzekomo pomogłoby mi wyrobić sobie pogląd o jakości pracy Żydów; właśnie niedawno ją otrzymałem, była piękna, safianowa, z mosiężnym zamkiem błyskawicznym. Podziękowałem mu gorąco, lecz zastrzegłem, że zapłacę za skórę i za robociznę, chciałem uniknąć nieporozumień. „Nie ma problemu, zgodził się Horn. Wystawimy panu rachunek”. Morgen jakby się zapadł pod ziemię. Wypiłem jeszcze jedno piwo, zapaliłem, popatrzyłem na tańczących. Było gorąco, po tych ciężkostrawnych mięsach i alkoholu pociłem się obficie w mundurze. Rozejrzałem się: wielu wojskowych rozluźniło kołnierzyki, niektórzy rozpięli nawet bluzy. Ja również rozpiąłem kołnierzyk.

Globocnik nie opuszczał żadnego tańca, prosił kobiety w cywilu i sekretarki; moja sąsiadka też znalazła się w jego ramionach. Niewielu jednak miało tak dobrą kondycję: po kilku kolejkach walców i innych tańców polecono orkiestrze zagrać co innego i zaczęły się występy chóru, złożonego z oficerów Wehrmachtu i SS. Śpiewali *Drei Lilien, kommt ein Reiter, bringt die Lilien* i inne piosenki. Claasen podszedł do mnie z kieliszkiem koniaku. Był w samej koszuli, twarz miał czerwoną, spuchniętą; śmiał się złośliwie i gdy orkiestra grała *Es geht alles vorüber*, nucił cyniczną wersję:

Es geht alles vorüber

Es geht alles vorbei

Zwei Jahre in Russland

Und nix ponimai.

„Kurt, niech no cię tylko usłyszy Gruppenführer! Pojedziesz jako Sturmmann do Orła, a wtedy dopiero będziesz miał „nix ponimai”, strofował Claasena Wipperna, inny szef wydziału do spraw *Einsatz*. „Idziemy popływać. Chcesz?” Claasen spojrzał na mnie: „Idzie pan? W parku jest basen”. Wyjąłem następne piwo z kubelka z lodem i ruszyłem za nimi między drzewa; coraz wyraźniej słyszałem śmiechy, plusk wody. Po lewej, za świerkami, ciągnął się drut kolczasty: „Co to?”, spytałem Claasena. — „Mały obóz dla *Arbeitsjuden*. Gruppenführer trzyma ich, bo przydają się do prac konserwacyjnych, zajmują się ogrodem, samochodami, no, robią takie różne rzeczy”. Basen od obozu oddzielała niewielka fałda terenu; kilka osób kąpało się i opalało na trawie, zauważyłem wśród nich dwie kobiety w kostiumach kąpielowych. Claasen rozebrał się do majtek i skoczył do wody. „Idzie pan?”, krzyknął, gdy się wynurzył. Wypiłem jeszcze trochę, a potem się rozebrałem, ułożyłem mundur obok butów i wszedłem do wody. Była zimna, miała kolor herbaty, przepłynąłem kilka długości, przekręciłem się na plecy pośrodku basenu i, unosząc się na wodzie, patrzyłem na niebo i rozkołysane korony drzew. Z tyłu dobiegała mnie rozmowa dwóch dziewczyn, siedziały na brzegu i uderzały stopami w wodę. Wybuchła jakaś sprzeczka: oficerowie wepchnęli do wody Wipperna, który nie chciał się rozebrać, teraz klął i się pieklił, usiłując wyleźć z basenu w nasiąkniętym wodą mundurze. Gdy tak leżałem na wodzie, poruszając nieznacznie rękoma, i patrzyłem na rozbawionych oficerów, zza wzniesienia wyłonili się dwaj Orpo w hełmach, z karabinami na ramionach. Popychali przed sobą dwóch wychudzonych mężczyzn w pasiakach. Mokry

Claasen, ciągle w samych gatkach, krzyknął z brzegu basenu: „Franz! Co wy, do cholery, wyprawiacie?”. Orpo zasalutowali, więźniowie, którzy wlekli się z oczyma wbitymi w ziemię, z czapkami w rękach, przystanęli. „To żydziaki, dorwaliśmy ich, jak kradli kartoflane obierki, Herr Sturmbannführer, wyjaśnił Orpo w topornym żargonie folksdojczów. Nasz Scharführer kazał ich rozstrzelać”. Claasen sposepniał: „Ale chyba nie zrobicie tego tutaj. Gruppenführer ma gości”. — „Nie, nie, Herr Sturmbannführer, idziemy dalej, tam, do rowu”. Poczulem gwałtowny przyływy paniki: Orpo zastrzela tu Żydów i wrzucą ich do basenu, i będziemy pływali we krwi, pomiędzy unoszącymi się na wodzie ciałami, przekreconymi na brzuchy. Spojrzałem na Żydów. Jeden z nich, miał około czterdziestki, beczelnie pożerał wzrokiem dziewczyny, a młodszy, o żółtawej skórze, stał z oczyma wbitymi w ziemię. Słowa Orpo wcale mnie nie uspokoiły, czulem silne napięcie, lęk wręcz narastał. Orpo ruszyli dalej, a ja tkwiłem pośrodku basenu, zmuszając się do głębokich oddechów, i starałem się utrzymać na powierzchni. Lecz woda wydawała mi się teraz ciężką, gryzącą masą. Ten dziwny stan trwał do chwili, w której z oddali dotarł do mnie odgłos dwóch wystrzałów, niemal niesłyszalny, coś, jakby *pop! pop!* odkorkowywanych butelek szampana. Lęk powoli ustępował i całkiem odpłynął, gdy zobaczyłem wracających Orpo — szli swoim długim, spokojnym krokiem. Znów nam zasalutowali i ruszyli w stronę obozu. Claasen rozmawiał z dziewczyną, Wippern usiłował wyjąć mundur. Leżałem na plecach i pozwoliłem unosić się wodzie.

Znów spotkałem się z Morgenem. Był bliski postawienia zarzutów Kochowi i jego żonie oraz kilku innym oficerom z Buchenwaldu i Lublina; w wielkim sekrecie wyjawiał mi, że Florstedt też zostanie oskarżony. Szczegółowo opisał wybiegi, stosowane przez tych skorumpowanych ludzi, by tuszować malwersacje, i metodę, jaką się posługiwał, by udowodnić ich winę. Porównywał dokumenty obozowe — nawet gdy fałszowano jakąś ich partię, nie starano się ujednolicić tych falsyfikatów z dokumentami i raportami z innych oddziałów. I tak, w Buchenwaldzie, zebrał pierwsze poważne dowody na zabójstwa popełnione przez Kocha, gdy stwierdził, że ten sam więzień był zarejestrowany w tym samym czasie w dwóch różnych miejscach: pod tą samą datą, w rejestrze więziennym Politische Abteilung przy jego nazwisku znajdowała się adnotacja: „wypuszczony, południe”, a rejestr Revieru informował: „Zgon pacjenta nastąpił o godzinie 9.15”. W rzeczywistości tego człowieka zamordowało w więzieniu Gestapo, ale

chodziło o to, by uznać, iż zmarł na skutek choroby. Morgen wytłumaczył mi też, jak porównywać różnego rodzaju rejestry administracji czy Reviery z dokumentami poszczególnych bloków, by znaleźć w nich dowody na defraudację żywności, leków albo mienia. Bardzo zainteresowało go to, że planuję się udać do Auschwitz: wiele śladów, do których zdołał dotrzeć, prowadziło do tego właśnie obozu. „To bez wątpienia najbogatszy Lager, ponieważ do niego zjeżdża aktualnie większość transportów specjalnych RSHA. Tak jak tu, w ramach *Einsatz*, tam też mają olbrzymie magazyny, w których sortują skonfiskowany majątek. Podejrzewam, że to leży u podstaw kolosalnych malwersacji i kradzieży. Zaalarmowano nas w związku z paczką nadaną z KL na poczcie wojskowej: była wyjątkowo ciężka, otwarto ją; w środku znajdowały się trzy bryły złota z przetopionych zębów, wielkie jak pięści, obozowy pielęgniarz chciał je wysłać żonie. Obliczyłem, że taka ilość złota musi pochodzić od ponad stu tysięcy zabitych”. Aż krzyknąłem. „I niech pan sobie wyobrazi, ciągnął, to zrobił tylko jeden człowiek. Gdy skończymy tutaj, pojedę stworzyć komisję w Auschwitz”.

Sam też już właściwie skończyłem pracę w Lublinie. Zrobiłem krótką rundę pożegnalną. Wstąpiłem rozliczyć się z Hornem za teczkę, był nadal tak samo przygnębiony i nerwowy, zmagał się z trudnościami w zarządzaniu, ze stratami finansowymi i sprzecznymi dyrektywami. Globocnik przyjął mnie dużo spokojniej niż za pierwszym razem: odbyliśmy krótką, lecz poważną dyskusję na temat obozów pracy, które chciał jeszcze bardziej rozwinąć. Chodziło, jak mi wyjaśnił, o likwidację ostatnich gett, tak by w Generalnym Gubernatorstwie nie pozostał już ani jeden Żyd poza obozami znajdującymi się pod kontrolą SS. W tym, zapewnił mnie, przejawia się niezłomna wola Reichsführera. Na terenie całego Generalnego Gubernatorstwa zostało jeszcze sto trzydzieści tysięcy Żydów, głównie w Lublinie, Radomiu i Galicji, przy czym Kraków, podobnie jak Warszawa są, nie licząc ukrywających się, całkowicie *judenrein*. Jest jeszcze sporo do zrobienia. Ale determinacja, by rozwiązać problemy, jest ogromna.

Myślałem, żeby pojechać do Galicji i odwiedzić jakiś obóz pracy, taki jak ten, w którym pracował nieszczęsny Lexi, ale miałem coraz mniej czasu, musiałem wybierać, a wiedziałem, że poza niewielkimi różnicami, wynikającymi z lokalnych czy też personalnych uwarunkowań, problemy są wszędzie takie same. Teraz wolałem skupić się na obozach Górnego Śląska, „Ruhry Wschodu”: na KL Auschwitz i jego licznych filiach. Z Lublina najszybciej docierało się tam przez Kielce, a dalej przez przemysłowy region

Kattowitz, teren płaski, smutny, usiany kępami świerków albo brzoź, zniekształcony wysokimi kominami fabryk i pieców hutniczych, które, preżąc się ku niebu, wypluwały ciemny gryzący dym. Już trzydzieści kilometrów przed Auschwitz na stanowiskach kontrolnych SS sprawdzano starannie nasze papiery. Dojechaliśmy do Wisły, szerokiej i zmaconej. Widziałem odległą białą linię Beskidów, niewyraźną, rozedrganą w letniej mgle, mniej widowiskową niż Kaukaz, lecz emanującą delikatnym pięknem. Tam też dymiły kominy, na równinie u podnóża gór: nie było wiatru i dym szedł do góry prostą kreską, aż wreszcie łamał się pod własnym ciężarem, prawie nie naruszając błękitu nieba. Szosa dochodziła do dworca i Haus der Waffen-SS, gdzie czekały na nas kwatery. Hol był niemal całkiem pusty, a pokój, do którego mnie zaprowadzono — skromny i czysty. Zostawiłem walizki, umyłem się, zmieniłem mundur i poszedłem pokazać się w komendanturze. Droga do obozu biegła wzdłuż Soły, dopływu Wisły. Ukryta za gęstymi kępami drzew, o wodach bardziej zielonych niż wody rzeki, do której wpadała, wiła się łagodnymi zakolami wzdłuż stromych, zarośniętych brzegów. Dwie piękne zielonogłowe kaczki płynęły przez chwilę z prądem, podrywały się, wyprężając ciała i szyje, kurcząc łapy i mocno pracując skrzydłami, i zaraz leniwie z powrotem opadały na wodę, nieco dalej, przy brzegu. Wjazdu na Kasernestrasse strzegła wartownia: dalej, za drewnianą wieżą strażniczą wznosił się szary betonowy mur obozu zwieńczony drutem kolczastym, a za nim rysowały się czerwone dachy baraków. Biura komendantury zajmowały pierwszy z trzech budynków pomiędzy ulicą a murem — była to masywna budowla o stiukowej elewacji, z wysokim gankiem obstawionym lampami z kutego żelaza. Niezwłocznie wprowadzono mnie do komendanta obozu, Obersturmbannführera Hössa. Oficer ten zyskał po wojnie pewną sławę, w związku z kolosalną liczbą ludzi, za których śmierć był odpowiedzialny, oraz z powodu wspomnień, trzeźwych i szczerych, które spisał w więzieniu, podczas procesu. A w gruncie rzeczy był to absolutnie typowy oficer Inspektoratu KL, pracowity, uparty i ograniczony, bez polotu ani wyobraźni, który w ruchach i głosie zachował, nieco już zwietrzały, ów męski ton, charakterystyczny dla tych, którzy wiedzą, czym są potyczki Freikorps i szarże kawalerii. Przesłał mi niemieckie pozdrowienie i uściśnął dłoń; nie uśmiechał się, ale nie wyglądał na niezadowolonego z powodu mojej wizyty. Nosił skórzane bryczesy, które, akurat na nim, nie były przejawem oficerskiego snobizmu: miał stajnię na terenie obozu i często jeździł konno, w Oranienburgu opowiadano, że znacznie częściej można go było spotkać w siodle niż za

biurkiem. Mówiąc, nie spuszczał ze mnie oczu, dziwnie jasnych i mętnych — wprawiało mnie to w zakłopotanie, miałem wrażenie, że stara się uchwycić wzrokiem coś, co mu ciągle umyka. Otrzymał z WVHA teleks z informacją o mnie: „Obóz jest do pańskiej dyspozycji”. A raczej obozy, bo Höss zarządzał całą siecią KL: Stammlager, obozem głównym, który zaczynał się zaraz za budynkiem komendantury, ale także Auschwitz II, dawnym obozem dla jeńców wojennych przekształconym w obóz koncentracyjny, usytuowanym kilka kilometrów za dworcem, obok dawnej polskiej wioski Brzezinka; wielkim obozem pracy za Sołą i za miastem, działającym na potrzeby fabryki kauczuku syntetycznego IG Farben w Dworach; i prawie dziesiątką obozów filialnych lub rozproszonych Nebenlager, stworzonych w związku z projektami rolniczymi bądź na potrzeby zakładów górniczych i metalurgicznych. Höss pokazywał mi to wszystko na dużej mapie, zawieszanej na ścianie jego gabinetu: zakreślał palcem strefę interesów obozu, która rozciągała się na cały region w rozwidleniu Wisły i Soły, sięgając dziesięć kilometrów na południe, z wyjątkiem terenów wokół dworca, kontrolowanych przez władze miejskie. „W tej kwestii, wyjaśnił mi, mieliśmy spór w zeszłym roku. Miasto planowało założyć tu nową dzielnicę mieszkaniową dla kolejarzy, a my chcieliśmy przejąć część terenu na miasteczko dla naszych żonatych esesmanów i ich rodzin. Koniec końców, nie powstało nic. Ale obóz nadal się rozwija”.

Gdy Höss brał samochód zamiast konia, lubił kierować osobiście. Przyjechał po mnie na drugi dzień, czekałem przy wejściu do Haus. Piontek, widząc, że go nie potrzebuję, poprosił o wolny dzień, chciał pojechać pociągiem do rodziny, do Tarnowitz; dałem mu też wolną noc. Höss zaproponował, żebyśmy zaczęli od Auschwitz II: oczekiwano na transport RSHA z Francji, chciał mi zademonstrować proces selekcji. Odbywała się na rampie dworca towarowego, w pół drogi między dwoma obozami, pod kierunkiem lekarza garnizonowego, doktora Thilo. Gdy przyjechaliśmy, czekał na brzegu peronu w otoczeniu ochrony z Waffen-SS i psów oraz grup więźniów w pasiakach, którzy na nasz widok zdarli czapki z ogolonych głów. Pogoda była jeszcze piękniejsza niż poprzedniego dnia, góry na południu lśniły w słońcu: pociąg, minąwszy Protektorat i Słowację, nadjeżdżał z tamtej strony. Czekaliśmy, a Höss objaśniał procedurę. Wreszcie przyjechał pociąg i rozsunięto drzwi wagonów towarowych. Spodziewałem się chaosu. Tymczasem, pomimo krzyków i ujadania psów, wszystko przebiegło we względnym porządku. Przybysze, widocznie zdezorientowani i wyczerpani, wydostawali się z

wagonów owiani ohydny smrodem ekskrementów; *Häftlinge* z komanda pracy wrzeszczeli coś, mieszając polski, jidysz i niemiecki, kazali im porzucić bagaże i ustawić się w rzędach, mężczyźni po jednej stronie, kobiety z dziećmi po drugiej. Kolejki te przesuwały się noga za nogą w kierunku Thilo, a on oddzielał zdolnych do pracy od bezużytecznych, odsyłając matki, które stanęły po jednej stronie z dziećmi, do ciężarówek czekających nieco dalej. — „Wiem, że mogłyby pracować, wyjaśnił Höss, ale wszelkie próby oddzielenia ich od dzieciaków powodują tylko zamieszanie”. Szedłem powoli pomiędzy rzędami. Większość rozmawiała szeptem, po francusku, reszta, zapewne naturalizowani bądź zagraniczni Żydzi, w różnych innych językach: wsłuchiwałem się w wypowiedzi, które mogłem zrozumieć, w pytania, w komentarze; ludzie ci nie mieli pojęcia o miejscu, w którym się znajdowali, ani o tym, co ich czeka. *Häftlinge* z Kommando, posłuszni poleceniom, uspokajali ich: „Bez obaw, spotkacie się później, oddamy wam bagaże, po kąpieli dostaniecie herbatę i zupę”. Kolumny posuwały się naprzód bardzo powoli. Jakaś kobieta na mój widok odezwała się w kulawej niemieczynie, wskazując na swoje dziecko: „Herr Offizier! Będziemy mogli zostać razem?”. — „Proszę się nie obawiać, *madame*, odpowiedziałem uprzejmie po francusku, nikt was nie rozdzieli”. A wtedy spadł na mnie grad pytań: „Będziemy pracować? Czy rodziny pozostaną razem? Co zrobicie ze starcami?”. Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo wpadł między nich jakiś podoficer i zaczął rozdawać ciosy kijem. „Dość, Rottenführer!”, krzyknąłem. Zmieszał się: „Po prostu nie wolno dopuszczać, żeby się nakręcali, Herr Sturmbannführer”. Niektórzy ludzie krwawili, dzieci płakały. Smród odchodów, który wyziewał z wagonów i nawet z ubrań Żydów, dławił mnie, czułem, że wracają dawne, znajome mdłości, oddychałem głęboko ustami, by je opanować. Grupy więźniów wygarniały z wagonów pozostawione bagaże; zwłoki ludzi zmarłych podczas transportu czekał ten sam los. Kilkoro dzieci bawiło się w chowanego: Waffen-SS nie zabraniali im, ale wrzeszczeli, gdy tylko zbliżały się do pociągu, w obawie, że uciekną pod wagonami. Za plecami Thilo i Hössa ruszały już pierwsze ciężarówki. Podeszedłem bliżej i obserwowałem Thilo w akcji: czasem wystarczyło, że rzucił okiem, czasem musiał zadać komuś kilka pytań za pośrednictwem tłumacza, sprawdzał ludziom zęby, obmacywał ramiona, kazał rozpinąć koszule. „W Birkenau, sam pan zobaczy, komentował Höss, mamy tylko dwie żałosne łaźnie. Gdy przyjeżdża nadwyżka, nasze możliwości przyjęcia są ograniczone. Ale gdy mamy jeden transport, nie jest tak źle”. — „A co robicie, gdy jest

ich kilka?” — „Zależy. Czasem możemy wysłać niektórych do punktu przyjęcia w Stammlager. W przeciwnym razie musimy redukować kontyngent. Mamy w planach budowę nowej sauny centralnej, by zaradzić tym problemom. Projekty są gotowe, czekam na akceptację budżetu przez Grupę Urzędów, Amtsgruppe C, która zajmuje się sprawami budowlanymi. Ciągłe mamy kłopoty finansowe. Chciałbym rozbudować obóz, przyjmował więcej więźniów, selekcjonował większą ilość, ale wystarczy, że napomknę o funduszach, zaraz się krzywią. Często jestem zmuszony improwizować”. Zmarszczyłem brwi: „Co pan nazywa improwizowaniem?”. Zawiesił na mnie mętny wzrok: „Różne rzeczy. Podpisuję umowy z firmami, które zaopatrujemy w robotników: zdarza się, że płacą mi w naturze, materiałami budowlanymi albo jeszcze czymś innym. W ten sposób dostałem nawet ciężarówki. Jedna firma wysłała mi je do przewożenia swoich robotników, ale nigdy nie upomniała się o zwrot. Trzeba umieć sobie radzić”. Selekcja dobiegała końca: wszystko nie trwało nawet godziny. Gdy załadowano ostatnie ciężarówki, Thilo wykonał szybkie obliczenia i pokazał nam wyniki: na tysiąc przybyłych zatrzymał 369 mężczyzn i 191 kobiet. „Pięćdziesiąt sześć procent, skomentował. Zawsze mamy dobre średnie w przypadku transportów z Zachodu. Za to polskie transporty to katastrofa. Nigdy nie przekraczamy dwudziestu pięciu procent, a są i takie, gdzie do czegokolwiek nadaje się jakieś dwa, trzy procent”. — „Z czego to, według pana, wynika?” — „Docierają tu w strasznym stanie. Żydzi z Generalnego Gubernatorstwa od lat mieszkają w gettach, są niedożywieni, pozarazani wszelkimi możliwymi chorobami. Nawet pośród tych, których wybieramy, a staramy się robić to naprawdę uważnie, zdarzają się tacy, którzy umierają podczas kwarantanny”. Odwróciłem się do Hössa: „Dużo macie transportów z Zachodu?”. — „Ten był pięćdziesiąty siódmy z Francji. Mieliśmy dwadzieścia z Belgii. Z Holandii... nie pamiętam. W ostatnich miesiącach przyjeżdżają przede wszystkim transporty z Grecji. Raczej kiepskie. Proszę za mną, pokażę panu, jak wygląda przyjmowanie”. Zasalutowałem doktorowi Thilo i wsiadłem z powrotem do samochodu. Höss jechał szybko. W drodze dalej wyjaśniał mi trudności: „Odkąd Reichsführer postanowił przystosować Auschwitz do likwidacji Żydów, mamy same kłopoty. Przez cały zeszły rok byliśmy zmuszeni pracować w prowizorycznych obiektach. Czysta kpina. Dopiero w styczniu tego roku udało mi się rozpocząć prace nad budową obiektów stałych, z odpowiednią mocą przerobową. Ale jeszcze nie wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Były opóźnienia, zwłaszcza jeśli chodzi o transport materiałów budowlanych. Poza tym,

wynikiem pośpiechu były wady konstrukcyjne: piec w III krematorium pękł po dwóch tygodniach pracy, był zbyt nagrany. Musiałem go wyłączyć i naprawić. Ale nie możemy się denerwować, musimy uzbroić się w cierpliwość. Mieliśmy takie nadwyżki, że byliśmy zmuszeni odesłać sporą liczbę transportów do obozów Gruppenführera Globocnika, gdzie, rzecz jasna, nie przeprowadza się selekcji. Teraz się trochę uspokoiło, ale za dziesięć dni ruszy od nowa: Generalne Gubernatorstwo planuje wyczyścić ostatnie getta”. Przed nami, na końcu drogi, wznosił się długi budynek z czerwonej cegły, przebity z jednej strony arkadą uwieńczoną spiczastą wartownią. Po jego bokach stały betonowe słupy, na których rozciągnięto drut kolczasty, i seria regularnie rozstawionych wież strażniczych; a dalej, aż po horyzont, pięły się równe rzędy drewnianych, identycznych baraków. Obóz był ogromny. Grupy więźniów w pasiakach roily się po alejkach, maleńkie niczym kolonie owadów. Pod wieżyczką, przed kratą arkady, Höss skręcił w prawo. „Ciężarówki jadą prosto. Krematoria i łaźnie są na końcu. Ale najpierw wstąpimy do komendantury”. Samochód sunął wzdłuż pobielonych wapnem słupów i wieżyczek; przed oczami przesuwaly mi się baraki w idealnych rzędach, odsłaniających brunatne perspektywy, rozbiegane przekątne, które otwierały się i łączyły jedna po drugiej. „Druty są pod napięciem?” — „Od niedawna. To też był problem, ale rozwiązaliśmy go”. W głębi obozu Höss przygotowywał nowy sektor. „To będzie Häftlingskrankenbau, wielki szpital, obsługujący wszystkie obozy w regionie”. Zatrzymał się przed budynkiem komendantury i pokazywał ręką rozległy, pusty teren, otoczony drutem kolczastym. „Mógłby pan zaczekać pięć minut? Muszę zamienić słówko z Lagerführerem”. Wysiadłem z samochodu, zapaliłem papierosa. Budynek, do którego wszedł Höss, też był z czerwonej cegły, ze spadzistym dachem i trzypiętrową wartownią pośrodku. Biegła stamtąd długa droga wzdłuż nowego sektora i nikła w okolicy brzozowego lasu, wyłaniającego się zza baraków. Nie słyszałem niczego, oprócz krótkiego rozkazu od czasu do czasu lub ochrypłego krzyku. Z jednej z sekcji sektora centralnego wyjechał na rowerze jakiś Waffen-SS, kierował się w moją stronę. Gdy był już blisko, zsalutował, nie zatrzymując się i skręcił w stronę wyjazdu z obozu, pedałując spokojnie, bez pośpiechu, wzdłuż kolczastych zasieków. Wartownie były puste: za dnia wartownicy pełnili straż na „wielkim łańcuchu” wokół obu obozów. Nieuważnie patrzyłem na zakurzony samochód Hössa: czy nie miał nic lepszego do roboty od obwożenia gościa? Równie dobrze mógłby się mną zająć jakiś podwładny, jak w KL Lublin. Höss jednak wiedział, że mój raport trafi

do Reichsführera, i być może zależało mu na uświadomieniu mi skali swoich działań. Gdy się pojawił, rzuciłem niedopałek i usiadłem obok niego; wjechał na drogę prowadzącą ku brzozom i prezentował mi kolejno „pola” — podobozy sektora centralnego. „W tej chwili przeprowadzamy reorganizację, żeby maksymalnie rozwinąć działalność. Gdy skończymy, jedynym zadaniem całego obozu będzie zasilanie w robotników przemysłu w regionie i nawet w *Altreich*. Na stałe zostaną tylko ci więźniowie, którzy będą potrzebni w utrzymaniu obozu i zarządzaniu nim. Wszyscy więźniowie polityczni, głównie Polacy, zostaną w Stammlager. Od lutego mamy tu też obóz rodzinny dla Cyganów”. — „Obóz rodzinny?” — „Tak. Rozkaz Reichsführera. Gdy podjął decyzję o deportacji Cyganów z Rzeszy, nie chciał, żeby ich selekcjonowano, postanowił, że zostaną razem, całymi rodzinami, i że nie będą pracować. Wielu jednak umiera od chorób. Nie wytrzymują”. Dotarliśmy do szlabanu. Za nim, za długim pasem drzew i krzaków kryło się ogrodzenie z drutu kolczastego, otaczające dwa identyczne murowane budynki, każdy o dwóch kominach. Höss zaparkował obok budynku po prawej, pośrodku rzadkiego zagajnika. Przed nim, na dobrze utrzymanym trawniku, kończyły się rozbierać żydowskie kobiety i dzieci, pilnowane przez strażników i więźniów w pasiakach. Wszędzie leżały porządnie posortowane ubrania, na każdym stosie umieszczono drewnianą tabliczkę z wybitym numerem. Jeden z więźniów krzychał: „Dalej, szybko, pod prysznic!”. Ostatni Żydzi wchodzili do budynku. Dwoje psotnych dzieci podmieniało dla zabawy numery na stosach; czmychnęły, gdy esesman uniósł pałkę. „Tu jest jak w Treblince czy w Sobiborze, opowiadał Höss. Do ostatniej chwili wmawiamy im, że idą do odwszenia. Zwykle wszystko odbywa się bardzo spokojnie”. Zaczął prezentować mi obiekty: „Tam mamy dwa dodatkowe krematoria, dużo większe, są tam podziemne komory gazowe, mieszczą do dwóch tysięcy osób. Tu komory są mniejsze, po dwie na krematorium: to wygodne w przypadku małych transportów”. — „Jaka jest maksymalna wydajność?” — „Jeśli chodzi o gazowanie, to praktycznie nieograniczona. Główną przeszkodą jest ładowność pieców. Zaprojektowała je specjalnie dla nas firma Topf. Oficjalna ładowność tych tutaj to 768 ciał na obiekt w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale, jak trzeba, to może dociągnąć do tysiąca, a nawet tysiąca pięciuset”. Przyjechała karetka z czerwonym krzyżem i zatrzymała się obok samochodu Hössa; podszedł do nas lekarz SS w białym fartuchu narzuconym na mundur i zasalutował. „Przedstawiam panu Hauptsturmführera doktora Mengele, powiedział Höss. Dołączył do nas dwa miesiące temu. To naczelny lekarz obozu

Cyganów”. Uścisnąłem mu dłoń. „Pan dziś nadzoruje?”, spytał go Höss. Mengele pokiwał głową. Höss odwrócił się do mnie: „Chce pan popatrzeć?”. — „Nie muszę. Znam”. — „To jednak dużo bardziej skuteczne od metody Wirthsa”. — „Tak, wiem. Objąsniiono mi w KL Lublin. Przejęli waszą metodę”. Ponieważ Höss wyglądał na urażonego, spytałem uprzejmie: „Ile to w sumie trwa?”. Mengele odpowiedział melodyjnym, miłym głosem: „Sonderkommando otwiera drzwi po upływie trzydziestu minut. Ale to dlatego, że czekamy dłużej na rozproszenie się gazu. W zasadzie zgon następuje po niecałych dziesięciu minutach. Piętnastu, przy wilgotnym powietrzu”.

Skończyliśmy właśnie zwiedzanie „Kanady”, gdzie sortowano i magazynowano skonfiskowane mienie przed dystrybucją, gdy kominy krematorium, przy którym niedawno staliśmy, zaczęły dymić, roznosząc ten sam słodkawy, ohydny smród, który poznałem w Bełżcu. Höss zauważył moje obrzydzenie: „Ja znam ten zapach od wczesnego dzieciństwa. To zapach tanich kościelnych świec. Ojciec był bardzo wierzący i często zabierał mnie do kościoła. Chciał, żebym został księdzem. Nie było pieniędzy na wosk, świece wyrabiano ze zwierzęcego tłuszczu, miały taki sam zapach. To wina jakiegoś związku chemicznego, zapomniałem nazwy; wyjaśnił mi to Wirths, nasz naczelny lekarz”. Uparł się, że pokaże mi jeszcze dwa krematoria, kolosalne konstrukcje, chwilowo nieczynne, Frauenlager, obóz kobiecy, i stację uzdatniania wody, zbudowaną w odpowiedzi na powtarzające się skargi z dystryktu, jakoby obóz zatruewał Wisłę i okoliczne wody gruntowe. Następnie zawiózł mnie do Stammlager, po którym także dokładnie mnie oprowadził. Wreszcie pojechaliśmy w inną część miasta, gdzie pospiesznie zaprezentował mi obóz Auschwitz III, w którym mieszkali więźniowie pracujący dla IG Farben: przedstawił mi Maksa Fausta, jednego z inżynierów w fabryce, umówiłem się z nim na spotkanie w najbliższych dniach. Nie będę opowiadał szczegółowo o wszystkich tych obiektach: są świetnie znane i opisano je szczegółowo w wielu książkach, nie mam nic do dodania. Po powrocie do obozu Höss chciał namówić mnie na krótką przejażdżkę konną, ale ledwo trzymałem się na nogach, marzyłem już tylko o kąpieli i udało mi się go przekonać, by zostawił mnie w kwaterze.

Höss przydzielił mi puste biuro w komendanturze Stammlager. Miałem widok na Sołę i na uroczy dom zbudowany na planie kwadratu, otoczony drzewami, po drugiej stronie Kasernestrasse, który nie był niczym innym jak mieszkaniem komendanta i jego rodziny. Atmosfera Haus, gdzie się zatrzymałem, okazała się dużo spokojniejsza niż w

Lublinie: przebywali tu skromni zawodowcy, przejazdem w różnych sprawach; wieczorami przychodzili oficerowie z obozu, żeby się napić i pograć w bilard, ale zawsze zachowywali się poprawnie. Karmili tu bardzo dobrze, dostawaliśmy duże porcje suto zakrapiane bułgarskim winem, a jako *digestif* — chorwacką śliwowicę i czasem nawet lody waniliowe na deser. Oprócz Hössa moim głównym rozmówcą był naczelnny lekarz garnizonu, Sturmbannführer dr Eduard Wirths. Miał swoje biura w szpitalu SS w Stammlager, przy końcu Kasernestrasse, naprzeciw lokali Politische Abteilung i krematorium, które na dniach miało zostać wyłączone z użytku. Wirths, bystry, inteligentny mężczyzna o delikatnych rysach, jasnych oczach i z początkami łysiny, sprawiał wrażenie wyczerpanego swoją pracą i jednocześnie pełnego motywacji, by stawić czoło wszelkim trudnościom. Jego obsesją była walka z tyfusem: na obóz spadła właśnie druga epidemia w tym roku, zdziesiątkowała obóz Cyganów, uderzyła też, niekiedy ze śmiertelnym skutkiem, w wartowników SS i ich rodziny. Spędzałem długie godziny na dyskusjach z nim. Był podwładnym dr. Lollinga z Oranienburga, skarżył się na brak wsparcia. Gdy dałem mu do zrozumienia, że podzielam jego opinię, stał się bardziej otwarty i zwierzył mi się z niemożności konstruktywnej współpracy z tym niekompetentnym człowiekiem, otumanionym przez narkotyki. On sam nie był zawodowym pracownikiem IKL. Od trzydziestego dziewiątego służył na froncie w Waffen-SS, dorobił się nawet Krzyża Żelaznego drugiej klasy, ale z powodu poważnej choroby przekwalifikowano go i wysłano na służbę w obozie. Zastał Auschwitz w dramatycznym stanie: od ponad roku obsesyjnie starał się poprawić sytuację.

Wirths pokazał mi raporty, które raz w miesiącu składał Lollingowi: sytuacja w poszczególnych strefach obozu, niekompetencja niektórych lekarzy i oficerów, brutalność podoficerów i kapo, utrudnienia, jakie napotyka w codziennej pracy opisywał językiem prostym i bez ogródek. Obiecał sporządzić dla mnie kopie sześciu ostatnich raportów. Szczególnie mocno rozsierdzało go umieszczanie kryminalistów na odpowiedzialnych stanowiskach w obozowej hierarchii: „Dziesiątki razy rozmawiałem o tym z Obersturmbannführerem Hössem. Ci «zieloni» to brutale, czasem psychopaci, są skorumpowani, sieją terror wśród reszty więźniów i mają na to wszystko przyzwolenie SS. To niedopuszczalne, że nie wspomnę o rezultatach, są godne pożałowania”. — „Kogo by pan wolał? Więźniów politycznych, komunistów?” — „Oczywiście!” Zaczął wyliczać na palcach: „Po pierwsze: są to z definicji ludzie o rozwiniętej świadomości społecznej.

Choćby się nawet dali skorumpować, nigdy nie dopuszczą się takich nadużyć, jak kryminaliści! Zdaje pan sobie sprawę, że *Blockältesten* w obozie kobiecym to prostytutki, degeneratki! A dowódcy męskich obozów wybierają sobie chłopców, niewolników seksualnych, nazywanych tutaj *Pipel*. Na tym się opieramy! Tymczasem wszyscy «czerwoni» wstrzymują się od wizyt w burdelu dla więźniów funkcyjnych. A musi pan wiedzieć, że niektórzy z nich są w niewoli już dziesięć lat! Zachowują niezwykłą dyscyplinę. Po drugie: w tej chwili priorytetem jest organizacja pracy. A czy znajdzie pan lepszego organizatora od komunisty czy bojownika SD? «Zieloni» umieją bić i tylko bić. Po trzecie: spotykam się z zarzutem, że «czerwoni» będą rozmyślnie sabotować produkcję. Odpowiadam na to, że przede wszystkim nie może być nic gorszego od aktualnej produkcji, a poza tym istnieją metody kontroli: polityczni to nie idioci, w mig zrozumieją, że wystarczy najmniejszy problem i koniec, i znów na ich miejsce wrócą «zieloni». Zagwarantowanie prawidłowej produkcji będzie więc leżało w ich interesie, jak również w interesie wszystkich *Häftlinge*. Mogę nawet podać przykład — weźmy Dachau, gdzie krótko pracowałem: tam «czerwoni» kontrolują wszystko i mogę pana zapewnić, że warunki są bez porównania lepsze niż w Auschwitz. Nawet tu, do moich własnych służb biorę tylko politycznych. I nie skarzę się. Mój osobisty sekretarz to austriacki komunista, poważny, spokojny, pracowity młodzieniec. Prowadzimy czasem bardzo szczere rozmowy, to dla mnie bardzo pomocne, bo wie od więźniów rzeczy, które przede mną ukrywają, i donosi mi o nich. Ufam mu dużo bardziej niż niektórym moim kolegom z SS”. Dyskutowaliśmy też o selekcji. „Uważam, że cała idea jest obrzydliwa, wyznał mi kiedyś szczerze. Ale jeśli już muszą to robić, to lepiej, że zajmują się tym lekarze. Przedtem był to obowiązek Lagerführera i jego ludzi. Robili to na odwal się, z niewyobrażalnym okrucieństwem. Teraz przynajmniej odbywa się to w porządku i według rozsądnych kryteriów”. Wirths rozkazał, żeby wszyscy obozowi lekarze dyżurowali kolejno na rampie. „Sam też chodzę, choć dla mnie to jest coś potwornego. Ale muszę dawać przykład”. Był chyba dość zagubiony. Nie po raz pierwszy słyszałem tu tak szczere zwierzenia: od początku misji trafiałem na ludzi, którzy, być może czując instynktownie, że interesują mnie ich problemy, a może po prostu z nadzieją, że sobie ulżą, wylewając przede mną swe żale, opowiadali dużo więcej, niż wymagała tego ich służba. Faktem jest, że Wirths nieczęsto spotykał tutaj życzliwych słuchaczy: Höss był świetnym

zawodowcem, jednak wyciętym z wszelkiej wrażliwości, i podobnie chyba rzecz się miała z większością jego podwładnych.

Przeprowadziłem szczegółową inspekcję poszczególnych sektorów obozu. Kilka razy wracałem do Birkenau, żądałem, by zaprezentowali mi system przechowywania skonfiskowanego mienia w magazynie zwanym Kanada. Panował tam nieprawdopodobny bałagan: wszędzie stały skrzynie z nieprzeliczonymi dewizami, deptałem po podartych banknotach, wymieszanych z błotem z alei. Panowała zasada, że przeszukiwano więźniów wychodzących ze strefy; domyślałem się jednak, jak łatwo przekupić strażnika zegarkiem czy garścią reichsmarek. W sposób zawołowany potwierdził mi to zresztą „zielony” kapo, który zajmował się papierami. Ten więzień funkcyjny pokazał mi swoją graciarnię — wydmy używanych ubrań, z których więźniowie odpruwali żółte gwiazdy, a następnie ubrania te naprawiali, sortowali i składali ponownie; skrzynie powrzuconych luzem okularów, zegarków, wiecznych piór; równe rzędy spacerówek i głębokich wózków; góry kobiecych włosów, zebranych w baloty na potrzeby niemieckich firm, które robiły z nich skarpetki dla załóg naszych okrętów podwodnych, wypełnienia materaców i materiały izolacyjne; i wreszcie nieregularne złogi przedmiotów kultu, z którymi nie bardzo wiadomo było, co począć — gdy mieliśmy się rozstawać, rzucił mi bezczelnie w niechlujnym hamburskim żargonie: „Jakby co, pan czegoś potrzebuje, pan mówi, się zrobi”. — „Jak mam to rozumieć?” — „Och, to znów chyba nie aż takie trudne. Lubimy pomagać ludziom, wie pan”. O tym właśnie mówił Morgen: doszło do tego, że obozowi esesmani, będący w zмовie z więźniami, uważali tę „Kanadę” za prywatny magazyn. Morgen poradził mi, bym odwiedził kwatery strażników: zastałem tam esesmanów zwalonych na obitych drogimi tkaninami kanapach, na wpół pijanych, z oczyma utkwionymi w pustce. Krzątało się tu kilka żydowskich więźniarek, nie w przepisowych pasiakach, lecz w lekkich sukienkach, smażyły kiełbaski i placki kartoflane na dużej żeliwnej patelni. Wszystkie były naprawdę piękne, nie musiały golić włosów; a gdy obsługiwały strażników, przynosiły im posiłki czy dolewały alkoholu z kryształowych karafek, zwracały się do nich poufale, na „ty”, zdrabiając imiona. Ani jeden strażnik nie wstał i mi nie zasalutował. Zerknąłem zakłopotany na Spiessa, który mi towarzyszył; wzruszył ramionami: „Są zmęczeni, Herr Sturmbannführer. Mieli ciężki dzień, wie pan. Dwa transporty”. Korciło mnie, żeby otworzyć ich szafki, ale moje stanowisko nie upoważniało mnie do tego: nie miałem wątpliwości, że znalazłbym w nich wszelkie

możliwe kosztowności i dewizy. Zresztą odnosiłem wrażenie, że ta ogólna korupcja sięga najwyższych poziomów, jak wynikało z zasłyszanych przypadkiem uwag. W barze Haus des Waffen-SS podsłuchałem rozmowę pomiędzy obozowym Oberscharführerem a jakimś cywilem: rozbawiony podoficer opowiadał, jak to dostarczył Frau Höss „kosz pełen drogich majteczek z jedwabiu i koronki. Chciała wymienić zużyte gatki, rozumie pan?”. Nie powiedział, skąd pochodziła ta bielizna, lecz domyśliłem się bez trudu. Mnie samemu proponowano różne rzeczy, ktoś próbował dać mi w prezencie kilka butelek koniaku, ktoś inny wiktuały, *by urozmaicić codzienne posiłki*. Odmawiałem grzecznie: nie chciałem nadwerężyć zaufania oficerów, to nie byłoby korzystne dla mojej pracy.

Zgodnie z umową pojechałem zwiedzić zakłady IG Farben, nazywane Buna-Werke, od nazwy syntetycznego kauczuku, który podobno kiedyś miały produkować. Ale prace budowlane nie postępowały jak trzeba. Faust był zajęty, oddelegował jednego ze swoich asystentów, by mnie oprowadził. Był to inżynier Schenke, mężczyzna koło trzydziestki w szarym garniturze z partyjną odznaką. Widocznie fascynował go mój Krzyż Żelazny. Podczas rozmowy nie mógł oderwać od niego wzroku. Wreszcie nieśmiało spytał o okoliczności, w jakich zostałem odznaczony. „Byłem w Stalingradzie”. — „Ach! To dopiero miał pan szczęście!” — „Że się wydostałem?”, spytałem ze śmiechem. Też tak uważam”. Schenke się zmieszał: „Nie, nie to chciałem powiedzieć. Że pan tam w ogóle był, że mógł się pan bić z bolszewikami za *Heimat*”. Spojrzałem na niego ciekawie, poczerwieniał. „Od dzieciństwa mam zdeformowaną nogę. Złamana i źle zrośnięta kość. Przez to nie mogłem pójść na front. A też chciałbym służyć Rzeszy”. — „Tutaj pan służy”, zauważyłem. — „No tak. Ale to nie to samo. Wszyscy moi przyjaciele z dzieciństwa są na froncie. Czuję się... wykluczony”. Schenke rzeczywiście kulał, ale nie przeszkadzało mu to maszerować prędko i nerwowo, do tego stopnia, że musiałem bardzo się starać, by dotrzymać mu kroku. Idąc, kreślił mi historię zakładu: władze Rzeszy naciskały, żeby firma Farben zbudowała zakład produkujący kauczuk — surowiec niezbędny w przemyśle zbrojeniowym — na Wschodzie, z powodu bombardowań, które nękały zagłębienie Ruhry. Lokalizację wybrał jeden z dyrektorów IG, dr Ambros, kierując się wieloma korzystnymi warunkami: zbiegające się w tym miejscu trzy rzeki, które mogą dostarczyć znacznych ilości wody, a tego wymaga produkcja kauczuku; rozległa równina, praktycznie pusta (nie licząc polskiej wioski, która została zrównana z ziemią) i — dzięki wysokiemu położeniu — idealna pod względem geologicznym; skrzyżowanie kilku trakcji

kolejowych; w końcu bliskość licznych kopalni węgla. Obecność obozu również stanowiła pozytywny czynnik: SS wyraziło chęć wspierania projektu i obiecało dostarczać więźniów. Jednak budowa zakładów przeciągała się, po części z powodu trudności z zaopatrzeniem, po części także dlatego, że wydajność *Häftlinge* okazała się niska, co doprowadzało dyrekcję do białej gorączki. Cóż z tego, że zakłady systematycznie odsyłały do obozu niezdolnych do pracy więźniów i zgodnie z umową domagały się zastępców, skoro nowi zjawiali się w niewiele lepszym stanie. „A co się działo z tymi, których odsyłaliście?”, spytałem obojętnym tonem. Schenke spojrzał na mnie zaskoczony: „Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że leczą ich w szpitalu. Nie wiedział pan?”. Patrzyłem w zamyśleniu na młodego, pełnego motywacji inżyniera: czy rzeczywiście nie był niczego świadom? Kominy Birkenau dymiły codziennie, osiem kilometrów stąd, wiedziałem, jakie krążą plotki, wszyscy wiedzieli. W sumie jednak, jeśli nie chciał, mógł nie wiedzieć. Zasady zachowania tajemnicy i kamuflażu służyły także i temu.

Ze sposobu, w jaki traktowani byli zatrudnieni więźniowie, trudno było wnioskować, że ich ostateczny los stanowi największe zmartwienie Schenkego i jego kolegów. Pośrodku ogromnego błotnistego placu budowy biegały truchtem, pośród krzyków i ciosów kapo, kolumny rachitycznych *Häftlinge* w łachmanach, nosząc belki albo worki z cementem, o wiele dla nich za ciężkie. Gdy jakiś robotnik potknął się w topornych trepach i upuścił ładunek albo sam upadł na ziemię, zdwajano ciosy i świeża, czerwona krew tryskała na tłuste błoto. Niektórzy już się nie podnosili. Panował piekielny jazgot, wszyscy wrzeszczeli: oficerowie SS, kapo; bici więźniowie jęczeli błagalnie. Schenke prowadził mnie przez tę gehennę, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. To tu, to tam przystawał i ucinał pogawędkę z podobnymi sobie inżynierami w odprasowanych garniturach, uzbrojonymi w żółte składane miarki i zeszyty w okładkach ze skaju, w których zapisywali jakieś cyfry. Omawiali postępy w budowie ściany, po czym jeden z nich wymamrotał kilka słów do Rottenführera, który rozwrzeszczał się i zaczął wściekle kopać i bić kolbą jednego z kapo. Ten z kolei dał nura w grupę więźniów, bełkocząc i rozdając z całej siły dzikie ciosy; aktywność *Häftlinge* wzrosła na moment, by za chwilę naturalnie opaść, ponieważ ledwo trzymali się na nogach. Ta metoda wydała mi się wysoce nieskuteczna, zwróciłem na to uwagę Schenkemu; wzruszył ramionami i rozejrzał się wokół, jak gdyby widział tę scenę po raz pierwszy: „Oni i tak rozumieją tylko bicie. Co można zrobić z takimi robotnikami?”. Znów przyjrzałem się niedożywionym *Häftlinge*,

ich łałom uwalanym błotem, czarnym smarem, rzadkim kałem. Jakiś polski „czerwony” zatrzymał się na chwilę przede mną i zobaczyłem, jak w kroku jego spodni i na nogawce wykwiła brązowa plama; powrócił do swego gorączkowego marszu, zanim dobiegł do niego kapo. Wskazałem na niego ręką i powiedziałem do Schenkego: „Nie sądzi pan, że dobrze by było zadbać o ich higienę? Już nawet nie chodzi o smród, ale to jest niebezpieczne, w ten sposób rozprzestrzeniają się epidemie”. Schenke odpowiedział z lekką wyższością: „Za to wszystko odpowiedzialne jest SS. My płacimy obozowi za więźniów zdolnych do pracy. Ale to obóz ma obowiązek ich myć, żywić i leczyć. Mamy to zagwarantowane w cenie”. Inny inżynier, gruby, spocony Szwab w dwurzędowej marynarce wybuchnął głośnym śmiechem: „Żydostwo jest jak dziczyzna, lepsze, jak trochę skruszeje”. Schenke uśmiechnął się kwaśno. „Nie wszyscy wasi robotnicy są Żydami”, odpowiedziałem sucho. — „Och, inni też niewiele warci”. Schenkego zaczynało ogarniać rozdrażnienie: „Sturmbannführer, jeżeli uważa pan, że warunki *Häftlinge* nie są zadowalające, to proszę kierować skargi do obozu, nie do nas. Obóz odpowiada za ich utrzymanie, mówiłem już. Wszystko mamy określone w umowie”. — „Proszę mi wierzyć, dobrze to rozumiem”. Schenke miał rację. Nawet bicie leżało w gestii strażników SS i ich kapo. „Wydaje mi się jednak, że lepsze traktowanie wpłynęłoby pozytywnie na wyniki. Nie sądzi pan?” Schenke wzruszył ramionami: „W idealnym świecie, na pewno. Często skarżymy się obozowi na stan robotników. Mamy jednak inne priorytety, niż bez przerwy na nich chuchać i dmuchać.” Za jego plecami konał więzień, ogłuszony ciosem pałką, zakrwawiona głowa tonęła w gęstym błocie; tylko mechaniczne drżenie nóg wskazywało, że jeszcze żyje. Schenke zawrócił i przeszedł nad nim, nie patrząc pod nogi. Ciągle jeszcze był zdenerwowany tym, co powiedziałem: „Nie możemy sobie pozwalać na sentymenty, Sturmbannführer. Jesteśmy na wojnie. Liczy się przede wszystkim produkcja”. — „Nie twierdzą, że jest inaczej. Moim celem jest po prostu zasugerowanie panu metod zwiększenia owej produkcji. To powinno pana obchodzić. W końcu będzie już ile? dwa lata, odkąd ruszyła budowa, a wy nie wyprodukowaliście jeszcze ani kilograma kauczuku”. — „Tak. Ale zwracam pańską uwagę, że zakłady metanolowe działają już od miesiąca”.

Chociaż Schenke zdobył się na ciętą ripostę, widać było, że moja uwaga nie daje mu spokoju; przez dalszą część wizyty ograniczał się do suchych i krótkich komentarzy.

Zażądałem, by pokazał mi KL należący do zakładów, prostokątny teren otoczony drutem kolczastym, który wyrósł na południe od kompleksu, na nieużytkach, w miejscu zrównanej z ziemią wioski. Stwierdziłem, że warunki bytowe są tam poniżej krytyki. Lagerführer uważał chyba, że wszystko jest w porządku. „Tak czy inaczej tych, których odrzuca IG, oddajemy do Birkenau, a oni przysyłają nam nowych”. W powrotnej drodze do Stammlager zauważyłem w mieście, na jakimś murze, zaskakujący napis: KATYN = AUSCHWITZ. Rzeczywiście, od kwietnia prasa Goebbelsa bez przerwy trąbiła o odkryciu na Białorusi zwłok Polaków, tysiący oficerów zamordowanych przez bolszewików po roku 1939. Ale tutaj — któż mógł to napisać? W Auschwitz, w mieście, nie było Polaków i już od dawna ani jednego Żyda. Miasto wydało mi się szare, przygnębiające, zwarte, jak wszystkie stare niemieckie miasta na wschodzie, z kwadratowym rynkiem, dominikańskim kościołem o spadzistym dachu i z zamkiem miejscowych książąt, który znajdował się przy wyjeździe. Przez kilka lat Reichsführer wspierał plany rozbudowy miasta i stworzenia tu modelowej gminy niemieckiego Wschodu. Jednak gdy wojna nabrała rozmachu, ambitne projekty zostały odsunięte na bok i wciąż trwała tu smutna, płaska osada, niemal ginąca w cieniu obozu i zakładów, bezużyteczny dodatek.

Życie w obozie obfitowało w wyjątkowe zjawiska. Piontek wysadził mnie przy komendanturze i wycofał opla, żeby zaparkować; już miałem wejść do środka, gdy moją uwagę przykuły hałasy dochodzące z ogrodu przy domu Hössa. Zapaliłem papierosa i podszedłem dyskretnie: przez siatkę dostrzegłem dzieci bawiące się w *Häftlinge*. Największy chłopiec, odwrócony do mnie plecami, miał na ramieniu opaskę z napisem KAPO i przenikliwym głosem wykrzykiwał zwyczajowe komendy: „*Ach... tung! Mützen... auf Mützen... ab! Zufunf!*”. Czworko innych dzieci, trzy dziewczynki, w tym jedna całkiem mała, i chłopiec, stało w szeregu twarzą do mnie i niezdarnie usiłowało wykonywać rozkazy; każde z nich miało zawieszony na piersi trójkąt innego koloru: zielony, czerwony, czarny, fioletowy. Za moimi plecami zabrzmiał głos Hössa: „Dzień dobry, Sturmbannführer. Na co pan patrzy?”. Odwróciłem się: Höss szedł ku mnie z wyciągniętą ręką. Obok bariery stał ordynans i trzymał za uzdę jego konia. Zasalutowałem, uścisnąłem mu dłoń i bez słowa wskazałem na ogród. Höss gwałtownie poczerwieniał, przebiegł przez furtkę i rzucił się w kierunku dzieci. Bez słowa, bez jednego uderzenia, zerwał im z ubrań trójkąty, opaskę i odesłał wszystkie do domu. Wrócił, nadal czerwony, ściskając w dłoni strzępy tkaniny. Spojrzał na mnie, na rekwizyty i znów na mnie, a następnie, wciąż nic nie

mówiąc, minął mnie i wszedł do komendantury, wrzucając kawałki materiału do metalowej popielniczki przy drzwiach. Podniosłem z ziemi papierosa, którego odrzuciłem, by zasalutować; jeszcze dymił. Pojawił się więzień-ogrodnik w odprasowanym pasiaku, zdjął czapkę na mój widok i opróżnił popielniczkę, wsypując jej zawartość do kosza, który niósł ze sobą, po czym wrócił do ogrodu.

Za dnia czułem się świeży, w świetnej formie — w Haus porządnie jadłem, a wieczorami z przyjemnością myślałem o łóżku i czystej pościeli. Niestety nocami, od samego początku, spadał na mnie grad snów, czasem krótkich i jałowych, które prędko zapomniałem, a czasem długich niczym robak wijący się w mojej głowie. Zwłaszcza jedna sekwencja powtarzała się i wydłużała z nocy na noc, ciemny i trudny do opisanie sen, bez żadnej narracji, który rozrastał się zgodnie z logiką przestrzenną. W owym śnie przemieszczałem się, ale raczej jak powietrze, na różnych wysokościach, jak czyste spojrzenie czy nawet jak oko kamery, nie zaś jak żywa istota, po olbrzymim mieście, bez widocznego krańca, o monotonnej, powtarzalnej topografii, podzielonym na geometryczne sektory i wypełnionym intensywnym ruchem. Tysiące istot szły gdzieś i wracały, wchodziły i wychodziły z jednakowych budynków, sunęły długimi, prostymi alejami, nikły pod ziemią na stacjach metra i pojawiały się na powierzchni w całkiem innym miejscu, bez wytchnienia i bez widocznego celu. Gdy schodziłem, czy raczej gdy spojrzenie, którym się stałem, schodziło w dół, by przyrzeć się im z bliska, okazywało się, że mężczyźni i kobiety nie różnili się od siebie żadną charakterystyczną cechą, wszyscy mieli białą skórę, jasne włosy i niebieskie oczy, blade, zagubione, jak oczy Hössa, jak oczy mojego dawnego ordynansa Haniki, w chwili gdy umierał w Charkowie, oczy koloru nieba. Miasto pocięte było szynami, sunęły po nich malutkie pociągi — regularnie stawały, żeby chlusnąć falą pasażerów, którą natychmiast zastępowała inna fala, i tak aż po horyzont. Podczas następnych nocy penetrowałem budynki w mieście: kolejki ludzi dreptały od wielkich wspólnych stołów do latryn, jadły i wydały na komendę; inni kopulowali na piętrowych łóżkach, dzieci się rodziły, bawiły między pryzami i gdy dorastały, wychodziły, żeby zająć miejsce w ludzkim strumieniu, w mieście doskonałego szczęścia. Stopniowo, im dłużej, z im większej liczby punktów widzenia obserwowałem ten z pozoru samowolny rój, tym większy widziałem w nim sens: niemal niepostrzeżenie niektórzy ludzie przechodzili zawsze na tę samą stronę, wchodziłi do budynków bez okien, i tam się kładli, umierali bez słowa. Przychodzili specjaliści i

brali z nich to, co było w stanie zasilić jeszcze gospodarkę miasta. Ciała palono w piecach, służących do ogrzewania wody, która rurami docierała do różnych sektorów miasta; kości mielono; wydostający się z jednego komina dym łączył się, niczym dopływ, z dymem z sąsiednich kominów — wszystkie tworzyły długą rzekę, o spokojnym, uroczystym nurcie. I gdy mój senny punkt widzenia nabierał wysokości, dostrzegałem w całym tym ruchu pewną równowagę: liczba narodzin w dormitoriach była równa liczbie zgonów. Społeczność samoodnawiała się w doskonałej harmonii, wiecznie w ruchu, nie produkowała nadwyżek i nie cierpiała na niedobory. Po przebudzeniu stawało się dla mnie oczywiste, że te spokojne senne obrazy nie budzące trwogi są odbiciem obozowej rzeczywistości, lecz ja śniłem obóz idealny, gdzie osiągnięto stan niemożliwy do osiągnięcia: nie istniała tam przemoc, wszystko ulegało samoregulacji i funkcjonowało perfekcyjnie, choć obóz sam w sobie był równie doskonale nieprzydatny, ponieważ tak naprawdę nic w nim nie powstawało. Ale jeśli się głębiej zastanowić, tak jak ja to robiłem nad szklanką ersatzu w Sali Haus der Waffen-SS, to czy nie był to w ogóle obraz życia społecznego? Życie ludzkie, odarte z blichtru i bezsensownej ruchliwości, sprowadza się przecież właśnie do tego: rozmnożywszy się, człowiek osiąga cel swojego gatunku, a jego własne cele to tylko iluzja, impuls, który zachęca do tego, by rano podnieść się z łóżka. Jednak jeśli spojrzeć na to obiektywnie, tak jak ja we własnym mniemaniu patrzyłem, dostrzegało się wyraźnie, jak daremne były to wysiłki, jak daremna była cała reprodukcja, bo przecież służyła tylko do wytworzenia nowych, bezużytecznych istot. I tak nasza mnie myśl: a co jeżeli obóz, z całą swoją sztywną organizacją, ze swą absurdalną przemocą, z drobiazgową hierarchią, jest tylko metaforą, *reductio ad absurdum* codziennego życia?

Ale nie przyjechałem do Auschwitz, żeby filozofować. Przeprowadziłem inspekcję kilku Nebenlager, eksperymentalnego gospodarstwa rolnego w Rajsku, oczka w głowie Reichsführera. Doktor Caesar opisał mi podejmowane stale próby rozwiązania problemu szeroko zakrojonej hodowli rośliny *kok-sagyz*, odkrytej, jak pamiętacie, w okolicach Majkopu i przydatnej w produkcji kauczuku. Byłem też w cementowni w Golleschau, hucie żelaza w Eintrachthütte, kopalniach w Jawizowitz i w Neu-Dachs. Nie licząc Rajska, które stanowiło odosobniony przypadek, warunki w tych miejscach były, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze gorsze niż w Buna-Werke: brak jakichkolwiek zasad bezpieczeństwa powodował niezliczone wypadki, zaniedbanie higieny czuło się wszędzie, każdym zmysłem,

kapo i cywilni podmajstrzy pod najmniejszym pretekstem demonstrowali dziką, morderczą przemoc. Zjeżdżałem w dół kopalnianych szybów chybotliwymi, okratowanymi windami; na każdym poziomie ciemność dziurawiły długie galerie słabo oświetlone żółtawym blaskiem żarówek; każdy opuszczający windę więzień z pewnością porzucał wszelką nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze ujrzy światło dnia. W głębi ze ścian spływała woda, po niskich, śmierdzących korytarzach niosły się echem metaliczne szczęki i krzyki. Przecięte na pół baryłki po ropy i ułożona na nich deska służyły za latrynę: niektórzy *Häftlinge* byli tak słabi, że wpadali do środka. Inni, chudzi jak szkielety, z opuchniętymi nogami, mordowali się, pchając na źle dopasowanych szynach przeładowane wagoniki albo drażąc ścianę kilofami i młotami pneumatycznymi, które ledwo mogli utrzymać. Przy wyjściu stali w kolejce wyczerpani robotnicy, podtrzymywali na wpół omdlałych towarzyszy i na prowizorycznych noszach nieśli ciała zmarłych. Czekali na powrót na powierzchnię i do Birkenau — ci przynajmniej znów mieli ujrzeć niebo, niechby nawet trwało to kilka godzin. Wiadomość, że niemal wszędzie prace postępują wolniej, niż to zakładały prognozy inżynierów, wcale mnie nie zdziwiła: zazwyczaj narzekano na *złą jakość towaru dostarczonego przez obóz*. Młody inżynier z zakładów Hermann-Göring Werke przyznał z rezygnacją, że próbował załatwić dodatkowe racje dla więźniów z Jawizowitz, ale dykcja odmówiła zwiększenia kosztów. Jeśli chodzi o ograniczenie bicia, to nawet on, człowiek o postępowych przekonaniach, przyznawał, że to trudna sprawa: bici więźniowie pracowali wprawdzie powoli, ale nie bici — nie pracowali wcale.

Także z dr. Wirthsem miałem interesującą rozmowę właśnie na temat przemocy fizycznej, która przypomniła mi problemy, z jakimi zetknąłem się już w *Einsatzgruppen*. Wirths zgodził się ze mną, że nawet ci, którzy początkowo biją wyłącznie z obowiązku, w końcu się w tym rozsmakowują. „Zamiast resocjalizować zatwardziały kryminalistów, oświadczył z pasją Wirths, utwierdzamy ich w zepsuciu i dajemy im przewagę nad resztą więźniów. I jeszcze zyskujemy nowych kryminalistów w szeregach SS. Te obozy, przy obecnych metodach, to jest wylęgarnia chorób psychicznych i sadystycznych dewiacji; po wojnie, gdy żołnierze wrócą do cywilnego życia, będziemy mieli na głowie poważny problem”. Wytłumaczyłem mu, że z tego, co słyszałem, decyzja o obciążeniu obozów procesem eksterminacji była po części związana z problemami natury psychologicznej, gnębiącymi nasze oddziały, odpowiedzialne za masowe egzekucje. „Niewątpliwie, odparł Wirths, ale to tylko pogłębiło problem, zwłaszcza że w ten sposób miesza się funkcje

eksterminacyjne z funkcjami resocjalizacyjnymi i ekonomicznymi zwykłych obozów. Mentalność zrodzona z eksterminacji rozlewa się na ogół i zaraża całą resztę. Nawet tu, w moim rewirze, odkryłem, że lekarze zabijają pacjentów, wykraczając poza obowiązki. Zadałem sobie wiele trudu, by położyć kres tym praktykom. Co do dewiacji sadystycznych, to są one bardzo częste i zwykle powiązane z zaburzeniami funkcji seksualnych”. — „Ma pan konkretne przykłady?” — „Rzadko z tym do mnie przychodzą. Ale się zdarza. Miesiąc temu był u mnie strażnik, pracuje tutaj od roku. Jest z Breslau, trzydzieści siedem lat, żonaty, trójka dzieci. Przyznał mi się, że bije więźniów dopóty, dopóki nie doprowadzi się do wytrysku, nie musi nawet się dotykać. Nie ma już żadnych zwykłych stosunków seksualnych; gdy dostaje przepustkę, nie wraca do domu, tak bardzo się wstydzi. A zanim przyjechał do Auschwitz był, jak twierdzi, całkiem normalnym mężczyzną”. — „I jak mu pan pomógł?” — „W tych warunkach niewiele mogę. On wymaga intensywnego leczenia psychiatrycznego. Próbowałem załatwić mu przeniesienie gdzieś poza system obozów, ale to niełatwa sprawa: nie mogę wyjawić wszystkiego, aresztowaliby go. A on jest po prostu chory, musi się leczyć”. — „A jak pan myśli, w jaki sposób rozwija się sadyzm?, spytałem. Mam na myśli normalnych ludzi, bez żadnych predyspozycji, które w takich warunkach na pewno by się ujawniły”. Wirths patrzył w zamyśleniu przez okno. Po chwili milczenia odpowiedział: „To jest pytanie, nad którym długo się zastanawiałem, i odpowiedź przychodzi mi z trudem. Najprostszym rozwiązaniem byłoby zrzucenie winy na propagandę, taką, jaką na przykład karmi tutaj oddziały Oberscharführer Knittel, który kieruje *Kulturarbeitung: Häftling* to podczłowiek, nie jest nawet istotą ludzką, więc bicie go jest całkowicie uzasadnione. Ale przecież to nie jest do końca tak: zwierzęta też nie są istotami ludzkimi, a żaden z naszych strażników nie potraktowałby zwierzęcia tak, jak traktuje *Häftlinge*. Propaganda rzeczywiście odgrywa pewną rolę, ale w sposób bardziej złożony. Doszedłem do wniosku, iż strażnik SS nie staje się okrutnikiem bądź sadystą dlatego, że nie uważa więźnia za istotę ludzką; przeciwnie, jego wściekłość narasta i przechodzi w sadyzm, gdy dostrzega, że więzień zdecydowanie nie jest żadnym podczłowiekiem, jak mu mówiono, lecz właśnie i nade wszystko człowiekiem takim jak on i, rozumie pan, opór tamtego staje się dla niego nieznośny, opór i niema wytrwałość; bije, bo pragnie, by znikło to wspólne człowieczeństwo. Oczywiście, to nie działa: im mocniej bije strażnik, tym wyraźniej widzi, że więzień odmawia uznania siebie za podczłowieka. Na koniec zostaje tylko jedno wyjście — zabić więźnia i w ten

sposób ostatecznie przyznać się do klęski”. Wirths zamilkł. Nadal patrzył przez okno. Przerwałem milczenie: „Czy mogę zadać panu osobiste pytanie, doktorze?”. Wirths nie spojrzał na mnie; bębnił długimi palcami o blat stołu: „Może pan zadać”. — „Jest pan wierzący?” Odczekał chwilę. Ciągle patrzył na zewnątrz, na ulicę i na krematorium. „Tak, byłem”, powiedział w końcu.

Pożegnałem się z Wirthsem i ruszyłem Kasernestrasse w stronę komendantury. Tuż przed stanowiskiem kontrolnym z czerwono-białym szlabanem dostrzegłem dzieci Hössa. Najstarszy syn kuczał na ulicy przed bramą do domu. Podeszedłem i przywitałem go: „Dzień dobry!”. Chłopiec podniósł na mnie szczere, inteligentne oczy i wstał. „Dzień dobry, Herr Sturmbannführer”. — „Jak ci na imię?” — „Klaus”. — „Na co patrzysz, Klaus?” Klaus wyciągnął palec w stronę bramy: „Niech pan sam zobaczy”. Ubita ziemia przed progiem była czarna od mrówek, był to niewiarygodnie gęsty, zwarty rój. Klaus znów przykucnął i zajął się obserwacją, pochyliłem się obok niego. Na pierwszy rzut oka te tysiące owadów poruszały się w chaosie, gorączkowym, absolutnym, bez celu. Ale przyjrzałem się bliżej, próbowałem podążać wzrokiem za jedną mrówką, potem za drugą. Zauważyłem, że złudzenie szarpanego falowania całego roju bierze się stąd, iż każda mrówka zatrzymuje się we własnym rytmie, by dotknąć czułkami czułków innej, napotkanej właśnie mrówki. Stopniowo dostrzegłem, że część mrówek kierowała się na lewo, a na ich miejsce przychodziły inne, niosąc okruszki pożywienia: była to wyczerpująca praca, ponad ich siły. Nowe przybysзки prawdopodobnie informowały resztę za pomocą ruchów czułkami, skąd niosą pożywienie. Drzwi domu otworzyły się i wyszedł *Häftling*, ogrodnik, którego widziałem już wcześniej. Na mój widok wyprężył się i zdjął czapkę. Był to mężczyzna nieco starszy ode mnie, polski więzień polityczny, jak oznajmiał trójkąt na pasiaku. Zauważył mrowisko i powiedział: „Zlikwiduję to, Herr Offizier”. — „W żadnym wypadku! Proszę nie dotykać”. — „Właśnie, Stani, przyłączył się Klaus, zostaw je. Nic ci nie zrobiły”. Zwrócił się do mnie: „Dokąd idą?”. — „Nie wiem. Możemy to sprawdzić”. Mrówki posuwały się wzdłuż ogrodowego muru i dalej — poboczem ulicy, omijając samochody i motory zaparkowane naprzeciw komendantury; następnie szły prosto, tworząc długą linię, przerywaną uskokami, aż za budynek administracji obozu. Podążaliśmy za nimi krok w krok, podziwiając niestrudzoną determinację. Na wysokości Politische Abteilung Klaus zerknął na mnie nerwowo: „Herr Sturmbannführer,

przepraszam, ale ojciec nie chce, żebym tu przychodził”. — „W takim razie zaczekaj na mnie, powiem ci”. Za barakiem oddziału politycznego stała przysadzista bryła krematorium, dawny bunkier na amunicję przysypany ziemią, który gdyby nie komin, byłby podobny do spłaszczonego kurhanu. Mrówki kierowały się uparcie ku tej ciemnej bryle. Pięły się po nachylonym zboczu, prześlizgiwały między źdźbłami trawy, dalej skręcały i schodziły kawałem betonowego muru, w miejscu, gdzie włącz do bunkra tworzył wyłom między wałami ziemi. Podążałem za nimi i zobaczyłem wreszcie, że przez uchylone drzwi dostają się do wnętrza krematorium. Popatrzyłem dookoła: poza strażnikiem, który gapił się na mnie ciekawie, i kolumną więźniów z taczkami opodał, tam gdzie rozbudowywano obóz — nie było nikogo. Podszedłem do wejścia: po jego obu stronach ziały puste otwory okien. Wewnątrz wszystko było ciemne i ciche. Mrówki szły skrajem progu. Odwróciłem się na pięcie i poszedłem do Klause. „Idą tam, wskazałem nieokreślonym gestem. Znalazły jedzenie”. Wróciłem z małym do komendantury. Rozstaliśmy się przed drzwiami. „Będzie pan dziś wieczorem, Herr Sturmbannführer?”, spytał jeszcze Klaus. Höss wydawał małe przyjęcie, zaprosił mnie. — „Tak”. — „A więc do zobaczenia wieczorem!” Przeskoczył mrowisko i wszedł do ogrodu.

Pod wieczór wstąpiłem do Haus der Waffen-SS, żeby się umyć i przebrać, po czym udałem się do Hossów. Przed bramą uwijało się już tylko kilka tuzinów mrówek. Reszta, całe tysiące, dotarły już pewnie do podziemi i drażyły, czyściły, oblepiały — niewidoczne, lecz niezmordowane w intensywnej pracy. Höss przywitał mnie na ganku, ze szklanką koniaku w dłoni. Przedstawił mnie swojej małżonce, Hedwig, blondynce o przyklejonym uśmiechu i twardym spojrzeniu, ubranej w twarzową wieczorową suknię z koronkowymi rękawkami i kołnierzem, oraz dwóm starszym córkom, Kindi i Püppi, równie ślicznie ubranym. Klaus uścisnął mi serdecznie dłoń; miał na sobie tweedową skrojoną na angielską modłę marynarkę z zamszowymi łatami na łokciach i dużymi rogowymi guzikami. „Piękna marynarka, zauważyłem. Gdzie udało ci się taką zdobyć?” — „Tata mi przyniósł z obozu, odpowiedział rozpromieniony. I buty też”. Były to wypastowane trzewiki z brązowej skóry, z guzikami po bokach. „Bardzo eleganckie”, oceniłem. Wirths też tam był, przedstawił mnie żonie. Resztę gości stanowili oficerowie z obozu, był tam Hartjenstein, komendant garnizonu, Grabner, kierownik oddziału politycznego, Lagerführer Aumeier, dr Caesar i kilku innych. Atmosfera była raczej sztywne, w każdym razie bardziej sztywne niż u Eichmanna, chociaż serdeczne. Małżonka Caesara, dość

młoda kobieta, dużo się śmiała; dowiedziałem się od Wirthsa, że to jedna z jego asystentek. Poprosił ją o rękę niedługo po tym, jak jego druga żona zmarła na tyfus. Rozmowa dotyczyła niedawnego załamania i aresztowania Mussoliniego, które wywarło na ludziach spore wrażenie; manifestacje lojalności Badoglio, nowego premiera, nie budziły w nikim zaufania. Następnie mówiono o rozwoju niemieckiego Wschodu pod okiem Reichsführera. Goście przerzucali się najbardziej sprzecznymi pomysłami; Grabner próbował wciągnąć mnie w dyskusję o projekcie kolonizacji Himmlerstadt, ale się wykręciłem. Jedno było jasne: niezależnie od prezentowanych wizji przyszłości regionu obóz zawsze stanowił jego integralną część. Höss uważał, że przetrwa co najmniej dziesięć, dwadzieścia lat. „W związku z tym przewidziana jest rozbudowa obozu. Gdy skończymy z Żydami i z wojną, zlikwidujemy Birkenau, oddamy ziemię rolnikom. Ale przemysł na Górnym Śląsku, biorąc pod uwagę niemieckie straty na froncie wschodnim, nie obejdzie się bez polskiej siły roboczej; obóz będzie niezbędnym czynnikiem kontroli tej populacji, i to przez wiele lat”. Dwie więźniarki w sukienkach, skromnych, lecz czystych i uszytych z dobrej tkaniny, krążyły z tacami pomiędzy gośćmi; miały fioletowe trójkąty IBV — tak zwanych Świadków Jehowy. Dom był dobrze urządzone: dywany, kanapy, skórzane fotele, solidne, porządnie wykonane meble z drewna, wazony pełne świeżych kwiatów ustawione na koronkowych kręgach serwet. Lampy oświetlały wnętrze żółtym, dyskretnym, niemal stłumionym światłem. Ściany zdobiły powiększone fotografie z dedykacjami, przedstawiające Reichsführera podczas wizyty w obozie, w towarzystwie Hössa, i z jego dziećmi na kolanach. Podano najprzedniejsze koniaki i wina, Höss częstował swoich gości dobrymi jugosłowiańskimi papierosami marki Ibar. Patrzyłem z zaciekawieniem na tego mężczyznę, tak sztywnego i sumiennego, który jednak ubierał własne dzieci w rzeczy małych, uśmiercanych przez siebie Żydów. Czy myślał o tym, gdy na nie patrzył? Zapewne nie przyszłoby mu to nawet do głowy. Żona trzymała go pod ramię i co chwilę wybuchała nieprzyjemnym, piskliwym śmiechem. Patrzyłem na nią i myślałem o jej cipie pod sukienką, otulonej koronkowymi majteczkami po jakiejś młodej i ładnej Żydówce, którą zagazował jej mąż. Żydóweczka dawno już spłonęła i wraz ze swą cipą poszła z dymem pod same obłoki, a drogie majteczki, które, być może, założyła specjalnie na deportację, zdobiły i chroniły teraz cipę Hedwig Höss. Czy Höss myślał o tej Żydówce, gdy ściągał żonie bieliznę, by spełnić małżeńską powinność? Chociaż może cipa Frau Höss, nawet tak delikatnie okryta, zbytnio go już nie interesowała: praca w

obozach czyniła z mężczyzn zbrojczyków albo równie często impotentów. Może też trzymał gdzieś w obozie swoją własną Żydóweczkę, czystą, odżywioną, szczęściarę, osobistą kurwę komendanta? Nie, nie on: jeżeli nawet Höss miał kochankę wśród więźniarek, to tylko Niemkę, nigdy Żydówkę.

Nie jest dobrze myśleć w ten sposób, wiem o tym. Tamtej nocy mój powtarzający się sen osiągnął kulminację. Sunąłem w kierunku ogromnego miasta od dawna nieużywanych szynami; w oddali spokojnie dymiły rzędy kominów. Czułem się zagubiony, samotny jak porzucony szczeniak, dręczyła mnie tęsknota za obecnością ludzi. Wmieszałem się w tłum i włóczyłem się długo, czując nieodpartą chęć zbliżenia się do krematoriów, które pluły w niebo kłębamii dymu i snopami iskier, *...like a dog, both attracted and repell'd / By the stench of his own kind / Burning*. Ale nie mogłem do nich dotrzeć, więc wszedłem do jednego z wielkich baraków i zająłem którąś z prycz, odepchnąwszy nieznaną kobietę, która chciała się do mnie przyłączyć. Natychmiast zasnąłem. Gdy się obudziłem, zauważyłem nieco krwi na poduszce. Przyjrzałem się uważnie i dostrzegłem, że jest też na prześcieradle. Podniosłem je; od spodu uwalane było krwią zmieszana ze spermą, galaretowaty płyn był zbyt gęsty, by przesiąknąć przez tkaninę. Znajdowałem się teraz w jednej z sypialni w domu Hössa, na piętrze, obok pokoju dzieci, i nie miałem pojęcia, jak zanieść brudne prześcieradło do łazienki i wyprać je tak, by Höss nie zauważył. Wywołało to we mnie potworne, przerażające zażenowanie. I wtedy wszedł Höss, a z nim jakiś inny oficer. Zdjęli spodnie, usiedli, krzyżując nogi, obok mojego łóżka i zaczęli się prędko onanizować, spurpurowiałe żołądki wychylały się i nikły pod skórą napletków, i tak do chwili, w której obaj wytrysnęli potężnymi strumieniami spermy na moje łóżko i dywan. Chcieli, żebym poszedł w ich ślady, odmówiłem; obrzęd ten miał prawdopodobnie jakieś określone znaczenie, ale nie wiem jakie.

Ten brutalny, obsceniczny sen zaakcentował koniec mojego pierwszego pobytu w KL Auschwitz: zrobiłem, co do mnie należało. Wróciłem do Berlina i stamtąd udałem się do obozów w *Altreich*, KL Sachsenhausen, Buchenwald i Neuengamme oraz ich kilku filii. Nie będę się więcej rozwodzić nad tymi wizytami: wszystkie te obozy zostały szeroko opisane w literaturze historycznej lepiej, niż sam byłbym w stanie to zrobić. Poza

tym słusznie powiedziano, że jeśli widziało się jeden obóz, to tak, jakby widziało się wszystkie: obozy są do siebie podobne, stara prawda. Nic z tego, co zobaczyłem, pomimo lokalnych różnic, nie wpłynęło na zmianę mojej opinii i moich wniosków. Na dobre wróciłem do Berlina w połowie sierpnia, mniej więcej w czasie odbicia Orła przez Sowieców i decydującego zwycięstwa Anglików i Amerykanów na Sycylii. Szybko sporządziłem meldunek; już w drodze zebrałem notatki, musiałem więc tylko zaplanować paragrafy i spisać wszystko na maszynie, trwało to kilka dni. Zadbalem o dobrą narrację i o logikę argumentów — raport był skierowany do Reichsführera, a Brandt uprzedził mnie, że prawdopodobnie zdam też słowną relację. Wysłałem ostateczną wersję, poprawioną i spisana na maszynie — i czekałem.

Wróciłem, przyznaję, bez większej przyjemności, do gospodyni, Frau Gutknecht. Ona nie posiadała się z zachwytem i za wszelką cenę chciała mnie poczęstować herbatą; jednego tylko nie mogła pojąć: dlaczego, skoro wracałem ze Wschodu, *gdzie można dostać wszelką możliwą żywność*, nie pomyślałem o przywiezieniu pary gęsi, na rozmnożenie, rzecz jasna. (Prawdę mówiąc, nie ona jedna: Piontek wrócił z Tarnowitz z bagażnikiem wypchanym wiktuałami i zaproponował, że odsprzeda mi część bez kartek). Odniosłem wrażenie, że pod moją nieobecność grzebała mi w rzeczach. Moja obojętność na jej krzyki i infantylne zachowanie była, niestety, na wyczerpaniu. Fräulein Praxa zmieniła fryzurę, lecz kolor paznokci zachowała. Thomas ucieszył się na mój widok: zapewnił, że nadchodzą wielkie zmiany i dobrze, że jestem w Berlinie, bo muszę być zwarty i gotowy.

Jakież to dziwne wrażenie — nieróbstwo po takiej podróży! Blanchota skończyłem już dawno; otworzyłem traktat o mordzie rytualnym i natychmiast go zamknąłem, zdziwiony, że Reichsführera interesują takie bzdury. Nie miałem życia prywatnego. Załatwiłem wszystkie zawodowe sprawy. Otwierałem okno gabinetu na park przy Prinz-Albrecht-Palais, wspaniały, lecz już nieco przesuszony sierpniowym upałem, siadałem na kanapie z nogą założoną na nogę albo wychylałem się, żeby wypalić papierosa, i rozmyślałem, a gdy stagnacja zaczynała mnie nużyć, chodziłem szybko alejami wysypanymi szutrem, broniąc się przed pokusą wtargnięcia na ocienione połacie trawnika. Myślałem o tym, co zobaczyłem w Polsce, jednak z powodów, których nie potrafiłbym wyjaśnić, moja myśl ześlizgiwała się z obrazów, by trwać uczepiona słów. Zajmowały mnie słowa. Zastanawiałem się już kiedyś, w jakim stopniu różnice w reakcji Niemców i

Rosjan na masową zagładę — różnice, które sprawiły, że my ostatecznie zmieniliśmy metodę, by, w pewnym sensie, osłabić swoją skuteczność, podczas gdy Rosjanie, nawet po upływie ćwierćwiecza, pozostali niewzruszeni — tak więc w jakim stopniu to odmienne podejście może wpływać z różnic w języku. W końcu słowo *Todt* ma w sobie sztywność ostygniętego trupa, jest czyste, niemal abstrakcyjne, w każdym razie zamyka w sobie pośmiertną ostateczność, natomiast rosyjskie słowo *smiert'* jest ciężkie i tłuste jak sam proces umierania. A co na to język francuski? Według mnie hołduje on feminizacji śmierci przez łacinę: jakaż przepaść dzieli *la mort* oraz wszystkie ciepłe i czułe obrazy, które przywołuje, i straszliwego Tanatosa Greków! Niemcy przynajmniej zachowali rodzaj męski (nawiasem mówiąc, *smiert'* też jest rodzaju żeńskiego). Tu, w letnim słońcu, rozmyślałem o decyzji, którą podjęliśmy, o niezwykłym pomysle zabicia wszystkich Żydów, jacykolwiek by byli, starych i młodych, dobrych i złych, wytrzebienia judaizmu metodą likwidacji jego wyznawców, o decyzji, która otrzymała tak dobrze dziś znaną nazwę *Endlösung*: Ostateczne Rozwiązanie. Cóż za piękne słowo! Nie od razu było synonimem eksterminacji: od początku domagaliśmy się dla Żydów *Endlösung* lub też *völlige Lösung* (całkowitego rozwiązania), nazywało się to także *allgemeine Lösung* (powszechne rozwiązanie) i, zależnie od epoki, oznaczało wyłączenie z życia publicznego, wykluczenie z życia ekonomicznego, wreszcie — wysiedlenie. Stopniowo znaczenie osunęło się w otchłań, lecz słowo, które je określa, pozostało niezmienione, jak gdyby zawsze kryło w sobie ów ostateczny sens, jak gdyby zwabiło tę „śmierć”, pociągnęło ją własnym ciężarem, tą nadmierną siłą, na samo dno czarnej dziury umysłu, aż do jednoznaczności: w ten sposób przekroczyliśmy horyzont wydarzeń, spoza którego nie ma już powrotu. Wierzymy jeszcze w idee, w koncepty, wierzymy, że słowa wyrażają te idee, ale to wcale nie musi być prawda, być może nie ma idei, może istnieją tylko słowa i ciężar owych słów. Być może właśnie w tej kwestii daliśmy się porwać słowu i nieuchronności, którą ze sobą niosło. Czyżby więc w nas samych nie było żadnej idei, żadnej logiki, żadnej spójności? Czyżby liczyły się tylko słowa w naszym, tak wyjątkowym, języku, tylko to słowo, *Endlösung*, i jego szemrzące piękno? Bo tak naprawdę, jak można się oprzeć urokowi takiego słowa? Byłoby to tak samo nie do pomyślenia jak opieranie się słowu *posłuszeństwo*, słowu *służba*, słowu *prawo*. I być może właśnie to legło u podstaw naszych *Sprachregelungen*, w sumie dość przejrzystych w kwestii kamuflażu (*Tarnjargon*), lecz przydatnych, by utrzymać tych, którzy używali słów i wyrażań — *Sonderbehandlung*

(specjalne traktowanie), *abtransportiert* (przetransportowany w inne miejsce), *entsprechend behandelt* (odpowiednio potraktowany), *Wohnsitzverlegung* (zmiana miejsca zamieszkania) lub też *Executivmassnahmen* (środki wykonawcze) — pomiędzy tnącymi ostrzami ich abstrakcji. Ta skłonność widoczna była też w biurokratycznym języku, naszym *bürokratisches Amtsdeutsch*, jak go nazywał mój kolega Eichmann: w korespondencji, także w przemówieniach, dominowała strona bierna: „zostało postanowione...”, „Żydzi zostali poddani specjalnemu traktowaniu...”, „to trudne zadanie zostało wykonane...”, i w ten sposób wszystko działo się samo, nikt nigdy niczego nie przedsięwziął, nikt nie działał — to były czyny bez wykonawców, co zawsze jest pocieszające. W pewnym sensie nie były to nawet czyny, bo dzięki specyficznemu użyciu niektórych rzeczowników przez naszą narodowosocjalistyczną mowę udawało nam się jeśli nie całkiem wyeliminować czasowniki, to na pewno zredukować je do stanu bezużytecznych (choć dekoracyjnych) dodatków — w ten sposób mogliśmy się obejść bez działania, istniały wyłącznie fakty, brutalne przejawy rzeczywistości, albo już obecne, albo też oczekujące na nieuchronne wypełnienie, takie jak *Einsatz* czy *Einbruch* (wtargnięcie), *Verwenung* (ekonomiczne spożytkowanie), *Entpolonisierung* (depolonizacja), *Ausrottung* (eksterminacja), lecz także, z drugiej strony *Versteppung* (stepizacja) Europy przez bolszewickie hordy, które w przeciwieństwie do Attyli, zrównywały cywilizację z ziemią, by zyskać pola trawy dla koni. *Man lebt in seiner Sprache*, pisał Hanns Johst, jeden z naszych najlepszych narodowosocjalistycznych poetów: „Człowiek żyje w swojej mowie”. Voss, byłem pewien, nie zaprzeczyłby temu.

Ciągle jeszcze oczekiwałem na wezwanie od Reichsführera, gdy Anglicy z niespotykaną siłą ponowili masowe uderzenia na Berlin. To był 23 sierpnia, pamiętam, poniedziałek, późno w nocy: byłem u siebie, leżałem w łóżku, ale chyba jeszcze nie spałem, i nagle zawyły syreny. Kusiło mnie, żeby nie wstawać, ale Frau Gutknecht już tłukła pięściami w drzwi: „Herr Offizier! Herr Offizier!... Doktorze Aue! Niech pan wstanie! *Luftmörden!* Na pomoc!”. Wciągnąłem spodnie i otworzyłem drzwi. „Tak, tak, Frau Gutknecht. To RAF. Cóż ja pani na to poradzę?” Jej obwisłe policzki drżały, bladła i żegnała się konwulsyjnie: „Jezus Maria, Józefie Święty, Jezus Maria, Józefie Święty, co my teraz zrobimy?”. — „Zejdziemy w bezpieczne miejsce, jak wszyscy”. Przymknąłem drzwi i ubrałem się, a potem zszedłem spokojnie, przekręciwszy uprzednio klucz w zamku, w obawie przed złodziejami. Słychać było huki Flaka, zwłaszcza na południu i w

okolicach Tiergarten. Piwnica budynku spełniała funkcję schronu przeciwlotniczego: w razie uderzenia i tak nikt by nie przeżył, ale lepsze to niż nic. Przepisnąłem się pomiędzy stosem walizek i płataniną nóg i zadekowałem w kącie, jak najdalej od Frau Gutknecht, która dzieliła lęki z kilkoma sąsiadkami. Jedne dzieci płakały ze strachu, inne biegały pośród ludzi, ubranych a to w garnitury, a to w szlafroki. Wnętrze piwnicy oświetlały tylko dwie świece, małe, chwiejne, rozkołysane płomyki reagowały na bliskie uderzenia niczym sejsmografy. Alarm trwał kilka godzin; niestety palenie w schronie było zabronione. Musiałem przysypiać; jak się zdaje, żadna bomba nie spadła na naszą dzielnicę. Gdy ucichło, wróciłem się położyć, nawet nie wyjrzałem na ulicę. Nazajutrz, zamiast jechać metrem, zatelefonowałem do SS-Haus i kazałem sobie przysłać Pionka. Powiedział, że bombowce nadleciały z południa, prawdopodobnie z Sycylii, i że dostało się głównie Steglitz, Lichterfelde i Marienfelde, ale zawaliły się przede wszystkim budynki na Tempelhoff i w okolicach zoo. „Nasi mają nową taktykę, *Wilde Sau*, tak to nazwali w radio, nie za dobrze jednak wytłumaczyli, co to takiego, Herr Sturmbannführer. Ale podobno to działa, podobno zestrzeliliśmy tym sukinsynom ponad sześćdziesiąt maszyn. Biedny Herr Jeschonnek, mógł jeszcze trochę poczekać”. Generał Jeschonnek, szef sztabu Luftwaffe, popełnił niedawno samobójstwo z powodu powtarzających się niepowodzeń w zapobieganiu angielsko-amerykańskim „rajdom”. Rzeczywiście, jeszcze przed przeprawą przez Szprewę Piontek musiał znaleźć objazd, by nie utknąć na ulicy zasypanej gruzem, fragmentami domu, w którego sam środek uderzył bombowiec — lancaster, jak sędzę: ogon samolotu sterczał ponad ruinami, żalony niczym rufa tonącego statku. Czarny, gęsty dym zasłaniał słońce. Kazałem Piontkowi zawieźć się na południe miasta. Im dłużej jechaliśmy, tym liczniejsze były płonące budynki i ulice zasypane gruzami. Ludzie usiłowali wyciągać meble z wypatroszonych mieszkań i składali je pośrodku ulicy tonącej w pianie z gaśnic; połowe kuchnie rozdawały zupę kolejkom ocalałym: zaszokowanych, zmęczonych, pokrytych sadzą; wokół wozów strażackich majaczyły na chodnikach rzędy ludzkich kształtów — czasem z zaplamionych prześcieradeł wystawały stopy, bosa albo obute w jeden żalony but. W poprzek niektórych ulic zalegały tramwaje, zmiecione siłą wybuchu lub uczernione ogniem; kable walały się po bruku, strzaskane drzewa leżały na ziemi lub stały prosto, nagie, pozbawione liści. Najbardziej dotknięte dzielnice były nieprzejezdne; kazałem Piontkowi zawrócić i pojechaliśmy do SS-Haus. Budynek ocalał, lecz pobliskie wybuchy wybiły okna i

pokruszone szkło na ganku chrzęściło mi pod stopami. Wewnątrz, w holu, natknąłem się na Brandta, był nadzwyczaj podekscytowany, radosny, było to dość zaskakujące, zważywszy na okoliczności. „Co się dzieje?” Przystanął: „Ach, Sturmbannführer, pan jeszcze nie zna nowiny. Wielkiej nowiny! Reichsführer został mianowany ministrem spraw wewnętrznych!”. Więc to były te zmiany, o których mówił Thomas, myślałem, podczas gdy Brandt wciskał się do windy. Ja wszedłem po schodach: Fräulein Praxa siedziała już na posterunku, umalowana, świeża niczym róża. „Wyspała się pani?” — „Och, wie pan, Sturmbannführer, mieszkam w Weissensee, nic nie słyszałam”. — „Tym lepiej dla pani”. Okno mojego gabinetu było całe, nabrałem zwyczaju otwierania go na noc. Pomyślałem chwilę o nowinie Brandta, ale brakowało mi elementów do przeprowadzenia dogłębnej analizy. *A priori*, jak się wydawało, dla nas nie oznaczało to wielkich zmian: choć Himmler jako szef niemieckiej policji podlegał teoretycznie ministrowi spraw wewnętrznych, to w zasadzie zachowywał całkowitą autonomię od co najmniej 1936 roku; ani Frick, odchodzący minister, ani jego Staatsekretar Stuckart nie mieli nigdy żadnego wpływu na RSHA czy nawet na Hauptamt Orpo. Jedyne, co utrzymali jeszcze pod kontrolą, to była cywilna administracja państwowa, urzędnicy; teraz to także wróci do Reichsführera, ale trudno mi było uwierzyć, że to jego główny cel. Oczywiście, ranga ministra tylko umacniała pozycję Reichsführera w stosunku do rywali: nie byłem jednak wystarczająco dobrze zorientowany w potyczkach na państwowych szczytach, by odpowiednio ocenić tę przesłankę.

Wyobrażałem sobie, że w związku z tą nominacją prezentacja mojego raportu zostanie przesunięta *ad Calendas Graecas*, ale najwyraźniej źle znałem Reichsführera. Dwa dni później zostałem wezwany do jego biura. Poprzedniej nocy wrócili Anglicy, z mniejszą siłą niż za pierwszym razem, ale i tak niewiele spałem. Zanim zszedłem, ochlapałem sobie twarz zimną wodą, próbując nadać cerze ludzki koloryt. Brandt, wbijając we mnie sowie oczy, uraczył mnie, jak to miał w zwyczaju, kilkoma słowami wstępu: „Reichsführer, jak się pan zapewne domyśla, jest obecnie straszliwie zajęty. A jednak zależało mu na rozmowie z panem, ponieważ chodzi tu o sprawę, którą chce pchnąć do przodu. Pański raport został świetnie oceniony, być może był nieco zbyt bezpośredni, ale prowadził do określonych wniosków. Reichsführer zapewne poprosi pana o krótkie streszczenie. Proszę mówić zwięźle. Ma niewiele czasu”. Tym razem Reichsführer przyjął mnie z cieniem jak gdyby serdeczności: „Mój drogi Sturmbannführer

Aue! Proszę wybaczyć, że kazałem panu czekać tych kilka dni”. Machnął małą żylastą ręką w kierunku fotela: „Niech pan siada”. Brandt, tak jak za pierwszym razem, podał mu teczkę, którą on przewertował. „A więc spotkał się pan z naszym *dobrym Globusem*. Jak on się miewa?” — „Gruppenführer Globocnik jest w świetnej formie, Herr Reichsführer. Przejawia ogromny entuzjazm”. — „A co pan myśli o jego zarządzaniu całą *Einsatz*? Może pan mówić szczerze”. Zimne oczka błyszczały zza szkieł *pince-nez*. Nagle przypomniałem sobie pierwszą reakcję Globocnika; to pewne, znał swojego Reichsführera lepiej niż ja. Starannie dobieierałem słowa: „Gruppenführer to żarliwy narodowy socjalista, co do tego, mein Reichsführer, nie mam żadnych wątpliwości. Ale konfiskowane bogactwa mogą wywoływać w jego otoczeniu niezwykle pokusy. Odniosłem wrażenie, że Gruppenführer mógłby być pod tym względem nieco surowszy, że prawdopodobnie zbyt ufa swoim podwładnym”. — „Dużo miejsca w swoim raporcie poświęca pan korupcji. Sądzi pan, że to rzeczywisty problem?” — „Jestem o tym przekonany, mein Reichsführer. Wychodząc poza pewne ramy, powiem, że problem ten źle wpływa na pracę obozów oraz *Arbeitseinsatz*. Esesman, który kradnie, to esesman, który da się również przekupić więźniowi”. Himmler zdjął *pince-nez*, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zaczął czyścić szkła: „Niech mi pan streści swoje wnioski. Krótko”. Wyjąłem z teczki kartkę z notatkami i ruszyłem do ataku: „W aktualnie funkcjonującym systemie KL dostrzegam trzy przeszkody w maksymalnym i racjonalnym wykorzystaniu dostępnej siły roboczej. Oto one, mein Reichsführer. Pierwsza, o której przed chwilą rozmawialiśmy, to korupcja wśród esesmanów pracujących w obozach. Nie jest to wyłącznie kwestia etyki, korupcja niesie za sobą problemy natury praktycznej na wielu poziomach. Na szczęście mamy już środek zaradczy, jest nim komisja specjalna, którą pan, mein Reichsführer, upełnomocnił, a która, jednakże, powinna zintensyfikować swoje prace. Drugą przeszkodę stanowi uporczywa niespójność biurokratyczna, która pomimo wysiłków Obergruppenführera Pohla nie została jeszcze ukrócona. Proszę mi pozwolić, mein Reichsführer, że podam panu przykład, jeden z tych, które zacytowałem w raporcie: rozkaz Brigadeführera Glücksa z dnia 28 grudnia 1942 roku, skierowany do wszystkich lekarzy naczelnych KL, nakładał na nich, między innymi, odpowiedzialność za zwiększenie stawek żywieniowych *Häftlinge*, w celu redukcji śmiertelności. Jednakże obozowe kuchnie podlegają oddziałowi administracyjnemu, który z kolei podlega sekcji D IV 2 WVHA; racje są ustalane centralnie przez DIV 2 w porozumieniu z SS-Hauptamtem. Ani lekarze na miejscu, ani

departament D III nie mają prawa kontrolować tego procesu. Ta część rozkazu nie została więc siłą rzeczy wypełniona; raczej są identyczne jak w zeszłym roku”. Przerwałem na chwilę, Himmler, który patrzył na mnie życzliwie, pokiwał głową: „A jednak, jak mi się zdaje, śmiertelność spadła”. — „Bez wątpienia, mein Reichsführer, lecz z innych powodów. Obserwuje się postęp w dziedzinie leczenia i higieny, którą lekarze bezpośrednio kontrolują. Ale mogłaby jeszcze bardziej się obniżyć. Przy obecnym stanie rzeczy, jeśli mogę sobie pozwolić na uwagę, każdy przedwcześnie zmarły *Häftling* oznacza czystą stratę dla wojennej produkcji Rzeszy”. — „Wiem to lepiej od pana, Sturmbannführer, wysyczał niezadowolony, głosem pedantycznego belfra. Proszę kontynuować”. — „Tak jest, mein Reichsführer. Trzecia przeszkoda to mentalność wyższych oficerów, weteranów Inspektoratu KL. Te uwagi w niczym nie umniejszają ich zalet jako ludzi, oficerów SS i narodowych socjalistów. Jednakże większość z nich, takie są fakty, kształciła się w epoce, w której obozy spełniały całkowicie różną funkcję od obecnej, zgodnie z zaleceniami nieboszczyka Obergruppenführera Eickego”. — „Znał pan Eickego?”, przerwał mi Himmler. — „Nie, mein Reichsführer, nie miałem tego zaszczytu”. — „Szkoda. To był wielki człowiek. Bardzo nam go brakuje. Ale przepraszam, przerwałem panu. Proszę dalej”. — „Dziękuję, mein Reichsführer. Chciałem tylko powiedzieć, że ci oficerowie przyjęli punkt widzenia skierowany na funkcję polityczną i policyjną obozów, dominującą w tamtej epoce. Pomimo doświadczenia w tej dziedzinie wielu z nich nie jest zdolnych ewoluować i dostosować swojej postawy do nowych, ekonomicznych funkcji obozów. To problem zarówno mentalności, jak i wykształcenia: niewielu ma jakiegokolwiek doświadczenia w zarządzaniu handlowym, więc oficerowie niezbyt dobrze współpracują z administracją zakładów WVHA. Podkreślam, że chodzi tutaj o problem natury ogólnej, o problem dotyczący całego pokolenia, jeżeli można tak powiedzieć, nie zaś indywidualnych przypadków, chociaż wymieniłem ich kilka gwoli przykładu”. Himmler podniósł złożone ręce do cofniętego podbródka. „Dobrze, Sturmbannführer. Pański raport zostanie przesłany do WVHA i, jak myślę, będzie wsparciem dla mego przyjaciela Pohla. Ale, by nikt nie czuł się urażony, wprowadzi pan najpierw kilka poprawek. Brandt przedstawi panu listę. Przede wszystkim nie będzie pan podawał żadnych nazwisk. Rozumie pan dlaczego”. — „Oczywiście, mein Reichsführer”. — „Natomiast zezwalam panu, w trybie poufnym, na przekazanie kopii bez korekt doktorowi Mandelbrodowi”. — „*Zu Befehl*, mein Reichsführer”. Himmler zakasłał,

zastanowił się, wyjął chusteczkę i zakasłał znów, zasłaniając sobie usta. „Przepraszam, powiedział, chowając chusteczkę. Mam dla pana nowe zadanie, Sturmbannführer. Kwestia wyżywienia w obozach, o której pan wspomina, to często powracający problem. Odnoszę wrażenie, że zaczyna pan się w niej dobrze orientować”. — „Herr Reichsführer...” Machnął ręką: „Tak, tak. Pamiętam pański raport ze Stalingradu. Oto, czego oczekuję: departament D III zajmuje się wszelkimi problemami medycznymi i sanitarnymi, nie mamy natomiast, jak to pan zaznaczył, scentralizowanej instancji odpowiedzialnej za wyżywienie więźniów. Postanowiłem utworzyć międzyoddziałową grupę roboczą, by rozwiązać ten problem. Pan będzie koordynował jej prace. Zaangażuje pan wszystkie odpowiedzialne departamenty IKL; Pohl oddeleguje panu przedstawiciela zakładów SS, który przedstawi swój punkt widzenia. Chcę oprócz tego, by RSHA miał możliwość wypowiedzenia się. Wreszcie, chcę, żeby zwrócił się pan do zainteresowanych tym innych ministerstw, zwłaszcza do resortu ministra Speera, który nie przestaje zasypywać nas skargami od prywatnych przedsiębiorstw. Pohl da panu do dyspozycji niezbędnych ekspertów. Chcę porozumienia w tej sprawie, Sturmbannführer. Gdy przygotuje pan konkretne propozycje, przedstawi mi je pan: jeśli okażą się wartościowe i realistyczne, zostaną przyjęte. Brandt pomoże panu w zdobyciu niezbędnych środków. Pytania?” Wstałem: „Mein Reichsführer, czuję się zaszczycony pańskim zaufaniem i dziękuję panu. Chciałbym upewnić się co do jednej kwestii”. — „Słucham”. — „Że zwiększenie produkcji pozostaje celem nadrzędnym”. Himmler zapadł się w fotel, ręce bezwładnie zwisały mu z oparcia, jego twarz z powrotem przybrała swój zwykły, sprytny wyraz: „Dopóki nie narusza to innych interesów SS i nie koliduje z innymi bieżącymi projektami, odpowiedź brzmi: tak”. Zamilkł. „Dezyderaty innych ministerstw są ważne, ale wie pan, że istnieją przeciwności, których oni nie pojmują. Niech pan to także ma na uwadze. Gdyby miał pan jakieś wątpliwości, niech się pan zwróci do Pohla. Wie, czego chcę. Miłego dnia, Sturmbannführer”.

Po wyjściu z gabinetu Himmlera, przyznaję, czułem, że unoszę się nad ziemią. Wreszcie powierzono mi odpowiedzialne zadanie, naprawdę odpowiedzialne zadanie! Doceniono mnie. W dodatku było to zadanie pozytywne, możliwość nakierowania pewnych spraw na właściwe tory, sposób na uczestniczenie w wojennym wysiłku i zwycięstwie Niemiec, odmienny od zbrodni i destrukcji. Jeszcze przed rozmową z

Rudolfem Brandtem hołubiłem niczym nastolatek żalotne wymysły o chwale: oddziały, przyjąwszy moje niezbite argumenty, stają za mną murem; nieudacznicy i kryminaliści zostają obaleni, odesłani do paki; w ciągu kilku miesięcy poczynione zostają niezwykle postępy, więźniowie wracają do sił i zdrowia, wielu z nich daje się porwać mocy wyzwolonego narodowego socjalizmu i praca staje się dla nich źródłem radości ze wspierania Niemców w ich walce; produkcja wzrasta z miesiąca na miesiąc; otrzymuję najważniejsze stanowisko, mam realny wpływ na sytuację i dzięki temu wprowadzam ulepszenia zgodne z prawdziwym *Weltanschauung*, sam Reichsführer słucha moich rad, jestem w końcu jednym z najlepszych narodowych socjalistów. To było groteskowe, infantylne, dobrze wiem, ale oszałamiające. Ma się rozumieć, nic nie potoczyło się w ten sposób. Ale początkowo byłem naprawdę pełen entuzjazmu. Nawet Thomas był chyba pod wrażeniem: „Widzisz, warto słuchać moich rad, a nie postępować według własnego widzimisię”, rzucił mi z sardonicznym uśmiechem. Chociaż, jeśli się głębiej zastanowić, nie postąpiłem wcale inaczej niż podczas naszej wspólnej misji w trzydziestym dziewiątym: znów napisałem szczerą prawdę, nie zastanawiając się zbytnio nad konsekwencjami; ale okazało się, że miałem więcej szczęścia i że prawda, tym razem, pokrywała się z tym, co chciano usłyszeć.

Namiętnie rzuciłem się w wir pracy. Ponieważ w SS-Haus nie było dość miejsca, Brandt oddał mi szereg biur w Zentralabteilung Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Königsplatz w zakolu Szprewy, na ostatnim piętrze; gdy stałem w oknie, odwrócony plecami do Reichstagu, widziałem po jednej stronie, za budynkiem Opery Kroll, całą zieloną i spokojną połąć Tiergarten, a po drugiej, za rzeką i mostem Moltkego, dworzec celny Lehrter, z rozległą siecią boczną, stale ożywionych powolnym, rozkołysanym, spokojnym ruchem, co sprawiało mi wciąż dziecięcą niemal przyjemność. I co najważniejsze, Reichsführer nigdy tu nie zaglądał: nareszcie mogłem spokojnie palić w gabinecie. Fräulein Praxa, która w sumie nie była taka zła, a przynajmniej umiała odpowiadać na telefony i przekazywać wiadomości, przeniosła się ze mną. Udało mi się też zatrzymać przy sobie Pionka. Poza tym Brandt przyznał mi Hauptscharführera Walsera, który miał się zajmować archiwum, i dwie stenotypistki, zgodził się też, bym zatrudnił asystenta administracyjnego w stopniu Untersturmführera. Poprosiłem Thomasa, by mi kogoś polecił: wziąłem Asbacha, młodego pracownika Staatspolizei, świeżo po studiach prawniczych i po stażu w Junkerschule w Bad Tölz.

Brytyjskie samoloty wracały przez kilka kolejnych nocy, ale za każdym razem było ich coraz mniej: taktyka *Wilde Sau*, dzięki której nasze myśliwce zestrzeliwały wrogie maszyny z góry, pozostając jednocześnie poza zasięgiem Flaka, siała zniszczenie i Luftwaffe zaczęło używać rakiet świetlnych, by uwidocznić cele jak za dnia. Po trzecim września naloty całkiem ustały: nowe taktyki zniechęciły wroga. Poszedłem spotkać się z Pohlem w jego siedzibie w Lichterfelde, chciałem przedyskutować z nim skład grupy roboczej. Pohl był chyba zadowolony, że ktoś wreszcie systematycznie zajmie się tym problemem; miał dość, jak mi szczerze oświadczył, wysyłania swoim komendantom rozkazów, których nikt nie wypełniał. Zgodziliśmy się, że Amtsgruppe D powinna wyznaczyć trzech przedstawicieli, po jednym na departament. Pohl zaproponował także administratora z siedziby DWB, Niemieckich Przedsiębiorstw Gospodarczych, żeby doradzał nam w kwestiach ekonomii i ograniczeń dla firm wykorzystujących więzienną siłę roboczą. Wreszcie, dał mi swojego inspektora do spraw żywienia, profesora Weinrowskiego, siwego już mężczyznę o wilgotnych oczach, głębokim dołku w brodzie, pełnym sztywnych włosów, których nie dosięgła brzytwa. Weinrowski od niemal roku pracował nad poprawą wyżywienia *Häftlinge*, niestety, bez sukcesu, ale dobrze znał wszelkie przeszkody, i Pohl życzył sobie, żeby uczestniczył w naszych pracach. Wymieniwszy korespondencję z zainteresowanymi oddziałami, zwołałem pierwsze posiedzenie w celu omówienia sytuacji. Na moją prośbę profesor Weinrowski przygotował wraz z asystentem, Hauptsturmführerem dr. Isenbeckiem krótką notę, którą rozdano uczestnikom i której treść przedstawił nam ustnie. Był piękny wrześniowy dzień, końcówka babiego lata; słońce połyskiwało na koronach drzew Tiergarten i wdzierało się jasnymi połaciami do naszej sali konferencyjnej, rozświetlając włosy profesora niczym aureola. Sytuacja żywieniowa *Häftlinge*, tłumaczył nam Weinrowski ostrym nauczycielskim głosem, jest dość niejasna. Istnieją centralne dyrektywy ustalające normy i stawki, ale obozy zaopatrują się, oczywiście, lokalnie, co powoduje odstępstwa, nieraz bardzo znaczne. Jako typową rację przytoczył tę z KL Auschwitz, gdzie *Häftlinge* przeznaczeni do ciężkich robót mieli otrzymywać dziennie 350 gramów chleba, pół litra ersatzu i litr zupy na ziemniakach lub brukwi, z 20-gramową wkładką mięsa cztery razy w tygodniu. Więźniowie przeznaczeni do robót lżejszych albo do pracy w szpitalu dostają, ma się rozumieć, mniej; był także cały wachlarz racji specjalnych, na przykład dla dzieci z obozów rodzinnych albo więźniów wyselekcjonowanych do eksperymentów medycznych.

Podsumowując sytuację, więzień skierowany do ciężkich prac oficjalnie otrzymywał około 2150 kilokalorii dziennie, a więzień przeznaczony do robót lekkich — 1700 kilokalorii. Nie musimy wiedzieć, czy normy te rzeczywiście zostają zachowane, żeby stwierdzić, że są to niewystarczające racje: niepracujący mężczyzna potrzebuje, zależnie od wzrostu i masy ciała oraz otoczenia, w jakim przebywa, co najmniej 2100 kilokalorii dziennie, żeby nie zachorować, a pracującemu mężczyźnie potrzeba ich 3000. Więźniowie są więc skazani na utratę zdrowia, tym bardziej że równowaga między ilością spożywanych tłuszczów, cukrów i białek nie jest zachowana: najwyżej 6,4% racji żywnościowych stanowią białka, podczas gdy potrzeba ich co najmniej 10, a nawet 15%. Weinrowski skończył przemowę i wyraźnie zadowolony usiadł. Wtedy ja przeczytałem fragmenty serii rozkazów Reichsführera skierowanych do Pohla i dotyczących podniesienia standardów żywieniowych w obozach; na moją prośbę przeanalizował je mój nowy asystent, Asbach. Pierwszy rozkaz pochodził z marca 1942 roku i był dość niejasny: Reichsführer po prostu kazał Pohlowi, kilka dni po wcieleniu IKL do WVHA, *stopniowo urozmaicać dietę, która, tak jak dieta rzymskich żołnierzy lub egipskich niewolników, miałaby zawierać wszystkie składniki odżywcze, pozostając przy tym niewyszukana i tania*. Kolejne rozkazy były bardziej precyzyjne: *więcej witamin, duże ilości surowych warzyw i cebuli, marchewka, kalarepa, brukiew, i jeszcze czosnek, dużo czosnku, zwłaszcza zimą, aby poprawić stan zdrowia*. „Znam te rozkazy, oświadczył profesor Weinrowski, gdy skończyłem. Ale moim zdaniem nie to jest najważniejsze”. Dla pracującego fizycznie człowieka najważniejsze są kalorie i białko, witaminy i mikroelementy pozostają mimo wszystko sprawą drugorzędną”. Hauptsturmführer dr Alicke, przedstawiciel departamentu D III, podzielał ten punkt widzenia, natomiast młody Isenbeck miał wątpliwości: uważał widocznie, że klasyczne zalecenia żywieniowe nie doceniają roli witamin, i by podeprzeć swoją opinię, jak gdyby to miało o wszystkim decydować, cytował artykuł znaleziony w brytyjskim specjalistycznym piśmie z 1938 roku, ale ten argument chyba zrobił niewielkie wrażenie na Weinrowskim. Następnie głos zabrał Hauptsturmführer Gorter, przedstawiciel *Arbeitseinsatz*: jeśli chodzi o globalne statystyki zarejestrowanych więźniów, sytuacja od pewnego czasu stopniowo się polepsza — odsetek śmiertelności spadł z 2,8% w kwietniu do 2,23% w lipcu i 2,09% w sierpniu. Nawet w Auschwitz wynosi on około 3,6%, co oznacza spory spadek od marca. „W tej chwili system KL liczy około 160 000 więźniów: z tej liczby tylko 35 000 zostało uznanych przez *Arbeitseinsatz* za niezdolnych do pracy, a

100 000, czyli niemało, pracuje na zewnątrz, w fabrykach i zakładach”. Dzięki programom budowlanym Amtsgruppe C przeludnienie, źródło epidemii, spada; i chociaż ubranie, pomimo stosowania odzieży skonfiskowanej Żydom, nadal stanowi problem, to w sektorze medycznym poczyniono duże postępy. Krótko mówiąc, sytuacja wydaje się stabilizować. Obersturmführer Jedermann z administracji stwierdził, że właściwie się z tym zgadza, poza tym, przypomniał, podstawowym problemem pozostaje kontrola kosztów: budżet narzuca duże ograniczenia. „Szczera prawda, wtrącił się Sturmbannführer Rizzi, specjalista od ekonomii przysłany przez Pohla, ale należy uwzględnić sporą liczbę czynników”. Był to oficer w moim wieku, o przerzedzonych włosach, zadartym nosie i niemal słowiańskiej urodzie; gdy mówił, prawie nie otwierał cienkich, bezkrwistych ust, lecz jego wypowiedzi były jasne i precyzyjne. Wydajność jednego więźnia mogłaby generalnie zostać wyrażona w wartościach procentowych w stosunku do jednego robotnika niemieckiego lub zagranicznego, jednak te dwie kategorie wymagają dużo wyższych nakładów niż jeden *Häftling*, nie mówiąc już o tym, że ich dyspozycyjność jest coraz bardziej ograniczona. Faktem jest, że odkąd wielkie przedsiębiorstwa i Ministerstwo Uzbrojenia poskarżyły się na nielojalną konkurencję, SS nie mogła dostarczać swym własnym przedsiębiorstwom więźniów po realnych kosztach i musiała fakturować ich po takich samych kosztach, jak dla przedsiębiorstw zewnętrznych, czyli od 4 do 6 marek dziennie, choć koszt utrzymania jednego więźnia jest, ma się rozumieć, niższy od tej kwoty. Dobrze przeprowadzona, niewielka podwyżka realnych kosztów utrzymania mogłaby pociągnąć za sobą znaczny wzrost wskaźnika wydajności, na którym każdy by zyskał. „Wyjaśniam: WVHA wydaje obecnie, powiedzmy, 1,5 marki dziennie na więźnia zdolnego wykonać 10% codziennej pracy niemieckiego robotnika. Potrzeba więc dziesięciu więźniów, czyli 15 marek, by zastąpić jednego Niemca. A gdyby tak, wydając 2 marki dziennie, przywrócić więźniowi siły, przedłużyć okres jego zdolności do pracy i tym samym odpowiednio go wyszkolić? W takim wypadku można by zakładać, że jeden więzień mógłby, po kilku miesiącach, wykonywać 50% pracy swojego niemieckiego odpowiednika. Potrzeba by było zatem już tylko dwóch więźniów, czyli 4 marki dziennie, by wykonana została praca jednego Niemca. Czy to rozumiałe? Oczywiście dane są przybliżone. Trzeba by było przeprowadzić badania”. — „Mógłby pan się tym zająć?”, spytałem z zainteresowaniem. — „Chwileczkę, chwileczkę, przerwał mi Jedermann. Gdybym na sto tysięcy więźniów miał subwencjonować po 2 marki dziennie zamiast 1,5

marek, miałbym 50 000 dodatkowych kosztów dziennie. To, czy produkują więcej, czy mniej, niczego nie zmienia. Mój budżet pozostaje taki sam”. — „Racja, odpowiedziałem. Ale rozumiem tok myślenia Sturmbannführera Rizziego. Jeśli jego pomysł jest coś wart, globalne korzyści SS wzrosną, ponieważ więźniowie zaczną produkować więcej, a nakłady zatrudniających ich przedsiębiorstw się nie zwiększą. Wystarczyłoby wykazać to i przekonać Obergruppenführera Pohla, by przekazał część nadwyżki zysków do budżetu na utrzymanie więźniów Amtsgruppe D”. — „Tak, to niegłupie, wyraził opinię Gorter, człowiek Maurera. Jeśli więźniowie będą wolniej osiągać stan wyczerpania, to koniec końców aktywa będą szybciej wzrastać. Dlatego tak ważna jest docelowa redukcja śmiertelności”.

Na tym dyskusja się zakończyła i zaproponowałem podział obowiązków na czas przygotowania kolejnego posiedzenia. Rizzi wziął na siebie zbadanie zasadności własnego pomysłu; Jedermann miał przedstawić nam szczegółowo swoje ograniczenia budżetowe; Isenbeckowi poleciłem (za zgodą Weinrowskiego, który chyba nie miał ochoty na podróż) szybką inspekcję czterech obozów: KL Ravensbrück, Sachsenhausen, Gross-Rosen i Auschwitz, oraz zgromadzenie wszystkich tabel żywieniowych, jadłospisów z ostatniego miesiąca, przygotowanych dla głównych kategorii więźniów, a zwłaszcza próbek racji żywieniowych, które oddamy do analizy: chciałem porównać teoretyczne jadłospisy z faktycznie wydawanym posiłkiem.

Słyszając tę ostatnią uwagę, Rizzi rzucił mi zaciekawione spojrzenie. Po konferencji zaprosiłem go do siebie do gabinetu. „Ma pan podstawy sądzić, że *Häftlinge* nie dostają tego, co powinni?”, spytał mnie, jak to miał w zwyczaju, sucho i szorstko. Wydał mi się inteligentny, a jego propozycja kazała mi przypuszczać, że nasze idee i cele mogą się w sumie pokrywać. Postanowiłem uczynić go swoim sojusznikiem; otwarcie się przed nim nie stanowiło raczej ryzyka. „Tak, oświadczyłem. Korupcja to w obozach podstawowy problem. Spora część żywności zakupionej przez D IV zostaje zdefraudowana. Trudno to dokładnie obliczyć, ale *Häftlinge* na końcu tego łańcucha — nie mówię tu o kapo i o *Prominenten* — są okradani z około 20-30% swoich racji. Ponieważ nawet cała racja nie jest wystarczająca, tylko ci więźniowie, którym uda się zdobyć jakiś dodatek, w sposób legalny lub nie, mają szansę przeżyć dłużej niż kilka miesięcy”. — „Rozumiem”. Zamyślił się, pocierając nasadę nosa pod oprawką okularów. „Trzeba będzie dokładnie obliczyć

przeżywalność i dostosować ją do stopnia kwalifikacji”. Zamilkł jeszcze na chwilę, po czym zakończył: „Cóż, sprawdzę to”.

Szybko dotarło do mnie, że niestety mój początkowy entuzjazm zostanie nieco przytłumiony. Podczas kolejnych posiedzeń plątałyśmy się w masie technicznych szczegółów, skomplikowanych i sprzecznych ze sobą. Isenbeck przeprowadził dobrą analizę jadłospisów, ale nie potrafił wykazać, jaki mają związek z faktycznie wydawanymi racjami. Rizzi skupił się na idei zaakcentowania podziału na robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych i skoncentrowania naszej uwagi na potrzebach tej pierwszej grupy. Weinrowski nie mógł porozumieć się z Isenbeckiem i Alickem w kwestii witamin. W trosce o ożywienie debat postanowiłem zaprosić kogoś z ministerstwa Speera; Schmelter, który kierował wydziałem resortu do spraw świadczeń na rzecz siły roboczej, odpowiedział mi, że czas najwyższy, by SS zajęło się tym problemem i przysłał mi Oberregierungsrata z długą listą zażaleń. Ministerstwo Speera niedawno przejęło część kompetencji Ministerstwa Gospodarki i zostało przemianowane na Ministerstwo Uzbrojenia i Produkcji Wojennej, w barbarzyńskim skrócie RMfRuK, tak by zakres jego władzy objął również tę dziedzinę. Echo owej reorganizacji pobrzmiwało w niewzruszonej pewności siebie dr. Kühne, wysłannika Schmeltera. „Nie wypowiadam się wyłącznie w imieniu ministerstwa, zaczął, gdy przedstawiłem mu swoich kolegów, lecz także w imieniu przedsiębiorstw, zatrudniających siłę roboczą dostarczoną przez SS, których powtarzające się skargi docierają do nas każdego dnia”. Ow Oberregierungsrat miał brązowy garnitur, muszkę i krótko przycięty pruski wąsik; rzadkie i cienkie włosy starannie zaczesał na bok, by ukryć wydłużoną kopułę łysiny. Stanowczość jego przemowy nie szła w parze z dość zabawnym wyglądem. „Jak zapewne wiemy, większość więźniów dociera do fabryk w stanie dużego wycieńczenia i często, po kilku zaledwie tygodniach, są tak słabi, że trzeba odsyłać ich do obozów. A przecież na samo przysposobienie potrzeba co najmniej kilku tygodni; brakuje instruktorów i środków, by co miesiąc szkolić kolejne grupy. Z drugiej strony — w przypadku najłżejszej pracy, wymagającej minimalnych kwalifikacji, potrzeba było co najmniej sześciu miesięcy, by wydajność osiągnęła zadowalający poziom. Niewielu więźniów jest w stanie przetrwać tyle czasu. Reichsminister Speer jest bardzo rozczarowany tym stanem rzeczy i uważa, że udział SS w wysiłkach wojennych, na tym poziomie, powinien być zwiększony”. Na zakończenie rozdał nam notę, zawierającą fragmenty listów od przedsiębiorstw. Gdy

wyszedł, zacząłem przeglądać ten dokument, a Rizzi wzruszył ramionami i oblizał cienkie wargi: „Od początku o tym mówię. Wykwalifikowani robotnicy”. Zwróciłem się także do biura Sauckela, generalnego pełnomocnika do spraw *Arbeitseinsatz*, czyli GBA, z prośbą o przysłanie kogoś, kto mógłby wyrazić ich punkt widzenia. Asystent Sauckela odpowiedział mi dość cierpko, że odkąd SP uważa, że prawidłowe są aresztowania zagranicznych robotników pod byle pretekstem i wysyłanie ich, by zwiększali aktywa obozów, ich utrzymanie leży w gestii SS i GBA, ze swojej strony nie czuje się odpowiedzialny. Zatelefonował do mnie Brandt i przypomniał, że Reichsführer przywiązuje ogromną wagę do opinii RSHA, napisałem więc także do Kaltenbrunnera, który odesłał mnie do Müllera, a ten z kolei odpowiedział, że powinienem skontaktować się ze Sturmbannführerem Eichmannem. Zaprotestowałem, że ten problem wykracza daleko poza kwestię żydowską, która jest jedyną dziedziną kompetencji Eichmanna, jednak Müller nalegał; zatelefonowałem więc na Kurfürstenstrasse i poprosiłem Eichmanna, by przysłał jakiegoś kolegę. Odpowiedział, że wolałby przyjść osobiście. „Mój adiutant Günther jest w Danii, wyjaśnił, gdy go przyjąłem. Poza tym to są tak ważne kwestie, że wolę sam się nimi zająć”. Przy stole rozpoczął bezlitosną przemowę przeciwko żydowskim więźniom, którzy, jak twierdził, stanowią coraz większe zagrożenie: od powstania w Warszawie mnożą się rewolty, w wyniku powstania w obozie specjalnym na Wschodzie (chodziło o Treblinkę, ale tego Eichmann nie powiedział) zginęło wielu oficerów SS, zbiegły setki więźniów; nie wszystkich schwymano. RSHA, jak również sam Reichsführer, wyrażają obawę, że takie incydenty mogą się powtarzać, a na to, zważywszy na napiętą sytuację na froncie, nie możemy sobie pozwolić. Przypomniał nam poza tym, że wszyscy Żydzi, docierający do obozów w transportach RSHA, są bez wyjątku skazani na śmierć: „Tego nie możemy zmienić, nawet gdybyśmy chcieli. W dodatku mamy, w pewnym sensie, prawo wydobyć z nich całą zdolność do pracy na rzecz Rzeszy, nim umrą”. Innymi słowy: nawet jeśli niektóre cele polityczne zostały zmodyfikowane z powodów ekonomicznych, spora ich część nadal obowiązuje. Nie chodzi więc o rozróżnienie między więźniami wykwalifikowanymi lub nie — wcześniej krótko przedstawiłem mu stan naszych dyskusji — lecz pomiędzy różnymi kategoriami polityczno-policyjnymi. Przykładowo: radzieccy lub polscy robotnicy aresztowani za kradzież są wysyłani do obozu, lecz ich kara na tym się kończy, WVHA może więc dysponować nimi według własnej woli. Co do skazanych za „nieczystość rasową” — tu

sprawa jest bardziej delikatna. Ale w kwestii Żydów i „aspołecznych”, przekazanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości — panuje pełna jasność: są w pewnym sensie wypożyczani WVHA, ponieważ do śmierci pozostają w zakresie prawnych kompetencji RSHA. W ich przypadku polityka *Vernichtung durch Arbeit*, „wyniszczenia przez pracę”, powinna być bezwzględnie stosowana: marnowanie żywności nie ma więc tu żadnego uzasadnienia. Jego wypowiedź zrobiła silne wrażenie na niektórych moich kolegach i gdy Eichmann odjechał, zaczęto wysuwać propozycje racji żywnościowych z podziałem na więźniów żydowskich i innych. Postanowiłem nawet ponownie spotkać się z Oberregierungsratem Kühne, by przedstawić mu tę sugestię. Odpowiedział mi pisemnie, że w takim wypadku przedsiębiorstwa przestaną zapewne przyjmować więźniów żydowskich, co jest niezgodne z umową pomiędzy Reichsministrem Speerem i Führerem, jak również z dekretem ze stycznia 1943 roku o mobilizacji siły roboczej. Pomimo to moi koledzy nie całkiem odstępili od tego pomysłu. Rizzi spytał Weinrowskiego, czy istnieje techniczna możliwość wyliczenia racji, której spożycie doprowadziłoby człowieka do śmierci w określonym czasie, na przykład takiej, która pozwalałaby niewykwalifikowanemu Żydowi pracować przez trzy miesiące, i takiej, która dawałaby dziewięć miesięcy wykwalifikowanemu aspołecznemu robotnikowi. Weinrowski był zmuszony wyjaśnić mu, że nie, to nie jest możliwe. Nie wspominając już o takich czynnikach, jak zimno i choroby, wszystko zależy od masy ciała i indywidualnej wytrzymałości osobnika; spożywając daną rację, jeden człowiek przeżyje trzy tygodnie, inny zaś może żyć nieokreślony czas, tym bardziej że przebiegły więzień zawsze znajdzie jakieś jedzenie, a więzień osłabiony i apatyczny szybciej przestanie walczyć. Te rozważania naprowadziły Hauptsturmführera dr. Alicke na błyskotliwy pomysł: „Mówi pan, że silniejsi więźniowie zawsze sobie poradzą, by odebrać słabszym część ich racji, czyli — żeby przetrwać. Ale czy, w pewnym sensie, wydawanie uszczuplonych racji najslabszym nie leży w naszym interesie? Gdy taki więzień przekroczy pewien próg osłabienia, automatycznie, można powiedzieć, zacznie być okradany ze swoich racji, będzie jadł mniej i szybciej umrze, a my zaoszczędzimy na żywności. Ukradzioną racją wzmocni już i tak wartościowego więźnia, który dzięki temu będzie lepiej pracował. Prosty, naturalny mechanizm: przetrwają najsilniejsi. W podobny sposób chore zwierzę szybko ulega drapieżnikom”. Tego już było za wiele, zareagowałem ostro: „Hauptsturmführer, Reichsführer nie po to utworzył system obozów koncentracyjnych, by

przeprowadzać w nim za zamkniętymi drzwiami eksperymenty na potwierdzenie teorii darwinizmu społecznego. W związku z tym pańskie rozumowanie nie wydaje mi się słuszne”. Zwróciłem się do reszty: „Prawdziwy problem dotyczy tego, co chcemy uznać za priorytet. Imperatywy polityczne? Czy też potrzeby ekonomiczne?”. — „Na pewno nie powinniśmy tego rozstrzygać na naszym poziomie”, odrzekł spokojnie Weinrowski. — „Zgoda, włączył się do rozmowy Gorter, ale mimo wszystko *Arbeitseinsatz* ma jasne instrukcje: należy dołożyć wszelkich starań, by zwiększyć wydajność *Häftlinge*”. „Z punktu widzenia naszych przedsiębiorstw SS, oświadczył ze swej strony Rizzi, to się rozumie samo przez się. Ale nie możemy w związku z tym ignorować pewnych imperatywów ideologicznych”. — „Tak czy inaczej, meine Herren, zakończyłem, nie do nas należy rozwiązanie tej kwestii. Reichsführer życzy sobie, bym przedstawił wskazówki, które zaspokoją interesy waszych oddziałów. W najgorszym razie możemy przygotować kilka opinii i dać mu wybór; cokolwiek się stanie, to on podejmie ostateczną decyzję”.

Widziałem już, że te jałowe dyskusje mogą się ciągnąć bez końca, przerażała mnie ta perspektywa. Postanowiłem więc zmienić taktykę: przygotować konkretną propozycję i dać do zatwierdzenia reszcie, a nawet wprowadzić nieznaczne poprawki, jeśli zaistnieje taka konieczność. Aby tak się stało, zdecydowałem, że najpierw porozumiem się ze specjalistami, Weinrowskim i Isenbeckiem. Weinrowski, gdy tylko wtajemniczyłem go w swoje plany, szybko zrozumiał moje intencje i obiecał wsparcie; Isenbeck i tak zawsze robił to, co mu kazano. Ciągłe jednak brakowało nam konkretnych danych. Weinrowski słyszał gdzieś, że IKL prowadził już badania w tym kierunku; szybko wysłałem Isenbecka z misją do Oranienburga. Wrócił triumfujący z plikiem dokumentów: pod koniec lat trzydziestych oddział medyczny Inspektoratu KL faktycznie przeprowadził w KL Buchenwald serię doświadczeń dotyczących wyżywienia więźniów skazanych na przymusowe roboty. Posługując się, jako jedyną motywacją, karą lub groźbą kary, przetestowano sporo możliwości, zmieniając często racje i regularnie ważąc badanych osobników; uzyskano szereg danych. Gdy Isenbeck analizował przywiezione raporty, ja dyskutowałem z Weinrowskim o tym, co nazywaliśmy czynnikami drugorzędnymi, czyli o higienie, zimnie, chorobach, przemocy. Zwróciłem się do SD, by przysłali mi kopię mojego raportu ze Stalingradu, w którym poruszałem właśnie te tematy. Weinrowski przejrzał go i wykrzyknął: „Ach! Pan cytuje Hohenegga!”. Na te słowa wspomnienia o doktorze, zamknięte w moim wnętrzu niczym szklana kula, odkleiły się od dna i poszły w

górze, coraz wyżej i szybciej, aż wreszcie rozprysnęły się po powierzchni: jakie to dziwne, mówiłem sobie, nie myślałem o nim od dawna. „Zna go pan?”, spytałem Weinrowskiego, ogarnięty niepokojem. — „Oczywiście! To jeden z moich kolegów ze studiów medycznych w Wiedniu”. — „A więc on jeszcze żyje?” — „Tak, bez wątplenia, a czemu by nie?”

Natychmiast rozpocząłem poszukiwania: rzeczywiście, żył, nie miałem żadnych trudności ze znalezieniem go: też pracował w Berlinie, w wydziale medycznym przy Bendlerstrasse. Uszczęśliwiony poprosiłem go do telefonu, nie podawszy nazwiska. W jego niskim, melodyjnym głosie wyczułem nutę znudzenia, gdy się odezwał: „Tak?”. — „Profesor Hohenegg?” — „We własnej osobie. W jakiej sprawie?” — „Dzwonię do pana z SS. W sprawie starego długu”. W jego głosie dało się słyszeć jeszcze większe rozdrażnienie. „O czym pan mówi? Kim pan jest?” — „Mówię o butelce koniaku, którą obiecał mi pan dziewięć miesięcy temu”. Hohenegg wybuchnął śmiechem i śmiał się długo. „Niestety, niestety, muszę się panu do czegoś przyznać: sądząc, że pan nie żyje, wypilem go w pańskiej intencji”. — „Jest pan człowiekiem małej wiary”. — „Tymczasem pan żyje”. — „W dodatku awansowałem na Sturmbannführera”. — „Brawo! Jedyne, co mogę zrobić, to rozejrzeć się za nową butelką”. — „Daję panu dwadzieścia cztery godziny: opróżnimy ją jutro wieczorem. W zamian proponuję kolację. U Borchardta, o ósmej, odpowiada panu?” Hohenegg przeciągle zagwizdał: „A do tego chyba pan dostał podwyżkę. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że nie jest to jeszcze sezon na ostrygi”. — „Nie szkodzi; zjemy pasztet z dzika. Do jutra”.

Hohenegg, jak tylko mnie zobaczył, chciał za wszelką cenę dokładnie zbadać moje blizny. Usłudnie poddałem się jego zabiegom; *maître d'hôtel*, który przyniósł nam kartę win, patrzył na nas zdziwiony, co też zniosłem z pokorą. „Świetna robota, powtarzał Hohenegg, świetna robota. Gdyby przytrafiło się to panu w Kisłowodzku, mógłbym opisać pana przypadek w mojej pracy. Wychodzi na to, że dobrze zrobiłem, upierając się”. — „Co pan ma na myśli?” — „Chirurg w Gumraku nie zgodził się pana zoperować, co było zrozumiałe. Zaciągnął panu prześcieradło na twarz i zasugerował pielęgniarzom, żeby położyli pana na śniegu, co było wtedy częstą praktyką, w ten sposób szybciej by się pan wykończył. Akurat przechodziłem tamtędy i zauważyłem, że to prześcieradło wybrzusza się na wysokości ust — oczywiście uznałem, że to ciekawe zjawisko, nieboszczyk pod całunem, dyszący jak wół. Odchyliłem prześcieradło: proszę sobie wyobrazić moje

zaskoczenie. Pomyślałem, że powinienem przynajmniej wymóc na kimś, by się panem zajął. Chirurg nie chciał, mieliśmy małą dyskusję, ale byłem od niego wyżej w hierarchii i musiał ustąpić. Cały czas krzyczał, że to strata czasu. Trochę się spieszyłem, zostawiłem pana pod jego opieką, wyobrażam sobie, że poprzestał na zatamowaniu krwi. Ale jestem szczęśliwy, że to się do czegoś przydało”. Siedziałem nieruchomo, sparaliżowany tymi słowami, a jednocześnie czułem się nieskończenie zdystansowany, jakby dotyczyło to innego człowieka, którego ledwo znałem. *Maître d'hôtel* przyniósł wino. Hohenegg nie pozwolił mu nalać: „Chwileczkę, bardzo proszę. Czy możemy prosić dwa kieliszki do koniaku?” — „Oczywiście, Herr Oberst”. Hohenegg uśmiechnął się, wydobyl z teczki butelkę Hennessy'ego i postawił ją na stole: „Proszę. Obiecane — należało się”. *Maître d'hôtel* wrócił z kieliszkami, otworzył butelkę i rozlał każdemu po miarce. Hohenegg uniósł kieliszek i wstał, zrobiłem to samo. W jednej chwili bardzo spoważniał — zauważyłem, że jest jednak dużo starszy w porównaniu do obrazu, jaki zachowałem w pamięci: pod oczami i z okrągłych policzków zwisała mu żółta, miękka skóra; całe ciało, nadal tłuste, jakby się skurczyło, jakby mocniej przylegało do kośćca. „Proponuję, powiedział, żebyśmy wypili za wszystkich naszych towarzyszy niedoli, którzy nie mieli takiego szczęścia jak my. A zwłaszcza za tych, którzy gdzieś jeszcze żyją”. Wypiliśmy i usiedliśmy z powrotem. Hohenegg milczał jeszcze przez chwilę, bawiąc się nożem, a jego twarz przybrała zwykły, rozbawiony wyraz. Opowiedziałem mu, jak mnie uratowano, a właściwie powtórzyłem relację Thomasa, i poprosiłem, żeby z kolei opowiedział swoją historię. „Ze mną było dużo prościej. Skończyłem pracę, zdałem raport generałowi Renoldiemu, który już pakował walizki na Syberię i do upadłego kpił z całej reszty, i wtedy uświadomiłem sobie, że wszyscy o mnie zapomnieli. Szczęśliwie znałem w AOK pewnego uczynnego młodzieńca; umożliwił mi wysłanie do OKHG, z kopią na adres mojej uczelni, informacji, że raport gotowy. Zaraz przypomnieli sobie o mnie i dzień później otrzymałem rozkaz opuszczenia *Kessel*. No i właśnie, gdy czekałem w Gumraku na samolot, natknąłem się na pana. Chętnie zabrałbym pana ze sobą, ale w tym stanie nie nadawał się pan do transportu, a nie mogłem czekać, aż pana zoperują, loty były takie rzadkie. Sądzę zresztą, że załapałem się na jeden z ostatnich lotów z Gumraka. Samolot, który wystartował chwilę przed naszym, rozbił się na moich oczach. Jeszcze w Noworosyjsku byłem ogłuszony eksplozją. Przebijaliśmy się przez dym i ogień, który buchał z wraka, niesamowite wrażenie. Po powrocie poszedłem na urlop, potem zamiast

ponownie przydzielić mnie do odnowionej 6. Armii, dali mi stanowisko w OKW. A pan? Co pan teraz robi?” Jedząc, opisałem mu problemy naszej grupy roboczej. „Rzeczywiście, skomentował, sprawa wydaje się delikatna. Dobrze znam Weinrowskiego, to uczciwy człowiek i naukowiec o nieposzlakowanej opinii, ale nie ma za grosz zmysłu politycznego i co rusz popełnia jakieś *faux pas*”. Zamyśliłem się: „Nie moglibyśmy się spotkać we trzech? Pomógłby nam pan się zorientować”. — „Mój drogi Sturmbannführer, przypominam, że jestem oficerem Wehrmachtu. Wątpię, czy pańskim przełożonym — i moim również — podobałoby się, że chce mnie pan wmieszać w tę ponurą historię”. — „Nieoficjalnie, ma się rozumieć. Zwykła prywatna rozmowa ze starym przyjacielem z uczelni?” — „Nigdy nie mówiłem, że to mój przyjaciel”. Zamyślony Hohenegg przejechał ręką po łysym ciemieniu; pomarszczona szyja wylewała mu się z zapiętego kołnierzyka. „Oczywiście, jako anatomopatolog jestem zawsze szczęśliwy, gdy mogę pomóc rodzajowi ludzkiemu; w końcu nie narzekam na brak klientów. Jeśli pan chce, możemy dokończyć tę butelkę we trzech”.

Weinrowski zaprosił nas do siebie. Mieszkał z żoną w trzypokojowym mieszkaniu na Kreuzberg. Na fortepianie trzymał dwie fotografie młodych mężczyzn; jedna otoczona była czarną wstążką: najstarszy syn Egon zginął w Demiańsku. Młodszy służył we Francji i do tej pory miał spokój, ale jego dywizję wysłano właśnie do Włoch, by wzmocnić nowy front. Frau Weinrowski podała herbatę i ciastka, a my dyskutowaliśmy o sytuacji we Włoszech: jak prawie wszyscy się spodziewali, Badoglio tylko szukał okazji, by zmienić stanowisko, i znalazł ją, gdy Anglicy i Amerykanie stanęli na włoskiej ziemi. „Cóż za szczęście, cóż za szczęście, że Führer był sprytniejszy od niego!”, wykrzyknął Weinrowski. — „Mówisz tak, wymamrotała smutno Frau Weinrowski, podając nam cukier, ale to twój Karl tam jest, nie Führer”. Była to ciężkawa kobieta, o obrzęklej, zmęczonej twarzy, jednak kształt ust i jej świetliste spojrzenie pozwalały domyślać się przebrzmiałej urody. „Och, zamilcz!, ofuknął ją mąż, Führer wie, co robi. Weź choćby akcję Skorzenego! Jeśli to nie było mistrzowskie posunięcie...” Atak na zbocze Gran Sasso w celu uwolnienia Mussoliniego nie schodził od wielu dni z pierwszych stron goebbelsowskiej prasy. Od tamtego czasu nasze siły zajęły Włochy Północne, internowały 650 000 włoskich żołnierzy i utworzyły w Salo faszystowską republikę. Wszystko to przedstawiano jako znaczące zwycięstwo, błyskotliwą antycypację Führera. Ale ponowne ataki na Berlin także były bezpośrednią konsekwencją tych działań, nowy front pustoszył

nasze dywizje, a w sierpniu Amerykanom udało się zbombardować Ploeshti, nasze ostatnie źródło ropy naftowej. Niemcy zostały wzięte w dwa ognie.

Hohenegg wyjął koniak, Weinrowski poszedł po kieliszki; jego żona zaszyła się w kuchni. Mieszkanie było ciemne, wypełnione piżmowym, dusznym zapachem, jaki zwykle panuje w domach starych ludzi. Zawsze się zastanawiałem, skąd bierze się ten zapach. Czy ja też będę tak pachniał, jeżeli dożyję takiego wieku? Dziwna myśl. Dziś, w każdym razie, niczego nie czuję, ale podobno człowiek nigdy nie czuje własnego zapachu. Gdy Weinrowski wrócił, Hohenegg rozlał trzy miarki i wypiliśmy za pamięć poległego syna. Weinrowski chyba się trochę wzruszył. Wyjąłem przygotowane dokumenty, poprosiłem o więcej światła i pokazałem papiery Hoheneggowi. Weinrowski usiadł obok dawnego kolegi i komentował notatki i tabele, w miarę jak Hohenegg im się przyglądał. Nieświadomie przeszli na wiedeński dialekt, miałem trudności ze zrozumieniem tego, co mówią. Zagłębiłem się w fotel i piłem koniak Hohenegga. Obaj zachowywali się dość dziwnie: jak mi wyjaśnił Hohenegg, Weinrowski co prawda miał na uczelni dłuższy staż, ale jako Oberst to on był wyższy stopniem od Weinrowskiego, który w SS był Sturmbannführerem w rezerwie. Nie bardzo wiedzieli, który któremu jest winien pierwszeństwo, więc w efekcie ustępowali sobie nawzajem, powtarzając w kółko: „Bardzo proszę...”, „Nie, nie, oczywiście, ma pan rację”, „Pańskie doświadczenie”, „Pańska praktyka...”, co było dość komiczne. Hohenegg podniósł głowę i spojrzał na mnie: „Jeżeli dobrze rozumiem, twierdzi pan, że więźniowie nie otrzymują całych, opisanych tu racji?”. — „Poza kilkoma uprzywilejowanymi, nie. Tracą co najmniej dwadzieścia procent”. Hohenegg znów wdał się w dyskusję z Weinrowskim. „To bardzo źle”. — „Oczywiście. Oznacza to, że dostają od 1300 do 1700 kilokalorii dziennie”. — „Zawsze to więcej niż nasi żołnierze w Stalingradzie”. Znów na mnie spojrzał: „Koniec końców, co pan zamierza?”. — „Ideą byłaby zwykła minimalna racja”. Hohenegg poklepał papiery. „Tak, ale, jeżeli dobrze zrozumiałem, to niemożliwe. Brak środków”. — „W pewnym sensie, tak. Ale moglibyśmy zaproponować jakieś ulepszenia”. Hohenegg zastanowił się: „Waszym faktycznym problemem jest argumentacja. Więzień, który powinien dostawać 1700 kilokalorii, dostaje tylko 1300, a żeby rzeczywiście dostawał 1700...” — „Co i tak nie jest wystarczające”, wtrącił Weinrowski — „...racje powinny wynosić 2100 kilokalorii. Jeśli jednak zaczniecie domagać się 2100 kilokalorii, musicie uzasadnić te 2100. Nie możecie powiedzieć, że żądacie 2100, żeby dostać 1700”. — „Doktorze,

dyskusja z panem to jak zwykle ogromna przyjemność, powiedziałem z uśmiechem. Jak to pan ma w zwyczaju, od razu dotyka pan sedna problemu”. Hohenegg nie dał sobie przerwać i mówił dalej: „Niech pan zaczeka. Aby zażądać 2100, musicie wykazać, że 1700 nie wystarcza, czego nie możecie zrobić, bo więźniowie faktycznie nie otrzymują 1700. Oczywiście, nie możecie się też posłużyć argumentem defraudacji”. — „Raczej nie. Dyrekcja wie, że problem istnieje, ale my nie powinniśmy się w to mieszać. Od tego są inne instancje”. — „Rozumiem”. — „W rzeczywistości trzeba by uzyskać zwiększenie globalnego budżetu, ale ci, którzy zarządzają nim, sądzą, że *powinien* wystarczyć i niełatwo udowodnić im, że jest inaczej. Nawet gdy wykażemy, że więźniowie umierają zbyt szybko, odpowiedzą nam, że zasypywanie problemu pieniędzmi nie rozwiąże go”. — „I nie będą tak całkiem bez racji”. Hohenegg pocierał czubek głowy, Weinrowski milczał i słuchał. „A czy nie można by zmodyfikować podziału?”, spytał po chwili Hohenegg. — „To znaczy?” — „To znaczy, nie modyfikując globalnego budżetu, trochę lepiej karmić więźniów, którzy pracują, trochę gorzej — tych, którzy nie pracują”. — „W zasadzie, drogi panie doktorze, nie ma niepracujących więźniów. Są tylko chorzy: ale jeśli zaczniemy karmić ich jeszcze gorzej niż teraz, to nigdy nie odzyskają sił i zdolności do pracy. W takim razie może lepiej w ogóle ich nie karmić. Tylko że wtedy znów wzrośnie śmiertelność”. — „Tak, ale mnie chodzi o kobiety i dzieci, gdzieś przecież musicie je trzymać? A więc także i karmić?” Patrzyłem na niego w milczeniu. Weinrowski też nic nie mówił. Wreszcie się odezwałem: „Nie, doktorze. Kobiet, starców i dzieci nie trzymamy w obozie”. Hohenegg wytrzeszczył oczy, patrząc na mnie bez słowa, jak gdyby chciał, żebym potwierdził, że powiedziałem to, co usłyszał. Kiwnąłem głową. Nareszcie zrozumiał. Westchnął głęboko i potarł kark: „No, no...”. Weinrowski i ja nie odzywaliśmy się. „Ach tak, tak... Ach, niewesoło”. Odetchnął mocno: „Cóż. Rozumiem, o co chodzi. Podejrzewam, że po Stalingradzie raczej nie mamy wyboru”. — „Nie, doktorze, raczej nie mamy”. — „Ale jednak mocna wiadomość. Wszystkich?” — „Wszystkich, którzy nie mogą pracować”. — „No, no...” Wziął się w garść. „W sumie to normalne. Nie ma podstaw, żebyśmy traktowali wrogów lepiej niż własnych żołnierzy. Po tym, co widziałem w Stalingradzie... Nawet takie racje to luksus. Nasi ludzie wytrzymywali na dużo mniejszych. No, a ci, co przeżyli? Co oni tam teraz jedzą? Nasi towarzysze na Syberii, co dostają? Nie, nie, dobrze robicie”. Spojrzał na mnie zamyślony: „Nie zmienia to faktu, że to jest *Schweinerei*, prawdziwe świństwo. Ale, mimo wszystko, dobrze robicie”.

I dobrze zrobiłem też, prosząc go o opinię: Hohenegg natychmiast zrozumiał to, czego nie mógł zrozumieć Weinrowski, mianowicie że chodzi o problem natury politycznej, a nie technicznej. Aspekt techniczny powinien służyć uzasadnieniu politycznego wyboru, a nie go dyktować. Nasza dyskusja nie doprowadziła tamtego dnia do żadnych wniosków, ale dała mi do myślenia, i w końcu znalazłem rozwiązanie. Odniosłem wrażenie, że Weinrowski nie da rady śledzić mojego toku rozumowania, więc żeby go czymś zająć, poleciłem mu napisać jakieś inne sprawozdanie, a sam zwróciłem się do Isenbecka po niezbędne wsparcie techniczne. Nie doceniałem tego chłopaka: był bardzo prężny, szybko okazało się, że świetnie rozumie mój tok myślenia, a nawet go wyprzedza. W ciągu jednej nocy, sami w dużym gabinecie w gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, popijając kawę, którą donosił nam zaspany ordynans, naszkicowaliśmy wspólnie wytyczne projektu. Wyszedłem od koncepcji Rizziego, od podziału na robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych: planowałem zwiększenie wszystkich racji, ale tych dla robotników niewykwalifikowanych tylko nieznacznie, natomiast wykwalifikowani mieliby otrzymać całą serię nowych korzyści. Projekt nie brał pod uwagę różnych kategorii więźniów, lecz umożliwiał, w razie nacisków RSHA, przeznaczenie „gorszych” kategorii, na przykład Żydów, wyłącznie do prac nie wymagających kwalifikacji; zresztą możliwe były różne opcje. Wychodząc od tego centralnego podziału, przy pomocy Isenbecka rozróżniłem następujące: prace ciężkie, prace lekkie, hospitalizacja. W rezultacie powstała tabela, do której wystarczyło wpisać odpowiednie racje. Zamiast debatować nad ustaleniem jednej stawki żywniowej, która tak czy inaczej nie mogła być przestrzegana z powodu restrykcji i trudności w zaopatrzeniu, kazałem Isenbeckowi obliczyć — przyjmując mimo wszystko za punkt wyjścia typowe jadłospisy — całodzienne widełki budżetowe dla poszczególnych kategorii, a następnie, w załączniku, przedstawić sugestie wariantów jadłospisu, mieszczących się w tym budżecie. Isenbeck nalegał, aby te sugestie obejmowały również opcje jakościowe, na przykład rozdawanie surowej cebuli zamiast gotowanej, ze względu na witaminy; dałem mu wolną rękę. Gdyby ktoś się dobrze przyjrzał, stwierdziłby, że nie jest to rewolucyjny projekt: wykorzystywał istniejące praktyki, lekko je modyfikując, co wiązało się z próbą otrzymania wyraźnej podwyżki. Aby ją uzasadnić, odszukałem Rizziego, przedstawiłem mu koncepcję i poprosiłem, by stworzył dla mnie listę argumentów ekonomicznych, związanych z wydajnością. Natychmiast się zgodził, tym

bardziej że nie miałem oporów, by nazwać go ojcem kluczowych pomysłów. Sobie zostawiłem napisanie całego projektu, gdy tylko przygotuję wszystkie elementy techniczne.

Najważniejsze było to, żeby RSHA nie miał zbyt wielu zastrzeżeń; jeżeli oni zaakceptują projekt, departament D IV WVHA nie będzie się mógł sprzeciwić. W związku z tym zadzwoniłem do Eichmanna, żeby go wybadać: „Ach, mój drogi Sturmbannführer Aue! Spotkanie? Ależ ja jestem bardzo zajęty w tej chwili. Tak, Włochy i jeszcze inne rzeczy. To może wieczorem? Na kieliszeczek. Niedaleko mojego biura jest taka kafejka, na rogu Potsdamerstrasse. Tak, obok wejścia do U-Bahn. Do wieczora więc”. Przyszedł, opadł z westchnieniem na siedzenie i rzucił czapkę na stół, masując nasadę nosa. Zamówiłem wcześniej dwa sznapsy i poczęstowałem go papierosem, wziął z przyjemnością, po czym rozparł się na siedzeniu, zakładając nogę na nogę, z ramieniem zarzuconym na oparcie. Zaciągał się i przygryzał dolną wargę. Jego wysokie wyłysiałe czoło błyszczało w świetle kawiarnianych lamp. „A więc Włochy?”, spytałem. — „Włochy to nie aż taki problem — cóż, tam, oczywiście, zostało ich jakieś osiem czy dziesięć tysięcy — najgorsze są strefy, które okupowali i które, z powodu ich kretyńskiej polityki, stały się rajem dla Żydów. Oni są wszędzie! Południe Francji, wybrzeże Dalmacji, włoskie strefy w Grecji. Natychmiast porozsyłałem ekipy, ale to będzie ciężka robota; do tego problemy z transportem, to nie potrwa jeden dzień. W Nicei zaskoczyliśmy ich, udało nam się aresztować kilka tysięcy, ale z policją francuską współpracuje się coraz ciężiej, to komplikuje sprawy. Straszliwie brakuje nam środków. Poza tym martwi nas bardzo Dania”. — „Dania?” — „Tak. Miało być łatwo, a zrobił się burdel. Günther jest wściekły. Mówiłem panu, że go tam wysłałem?” — „Tak. Co się dzieje?” — „No właśnie nie wiem. Günther twierdzi, że to doktor Best, ambasador, prowadzi jakąś dziwną grę. Zna go pan, nie?” Eichmann jednym haustem wypił sznapsa i zamówił następnego. „Był moim zwierzchnikiem, odpowiedziałem. Przed wojną”. — „No więc, powiem panu, nie wiem, co mu się w głowie poprzestawiało. Całymi miesiącami robił wszystko, żeby nas hamować, pod pretekstem, że to... — kilka razy przejechał ręką z góry na dół — ...rozbije jego politykę współpracy. Poza tym w sierpniu, po zamieszkach, jak wprowadzono stan wyjątkowy, usłyszeliśmy — jest dobrze, zaczynajcie. Na miejscu jest nowy BdS, to jest doktor Mildner, ale on i tak ledwo nadaża z robotą; w dodatku Wehrmacht natychmiast odmówił współpracy i dlatego wysłałem Günthera, żeby trochę

przyspieszył całą sprawę. Wszystko przygotowaliśmy, statek dla czterech tysięcy z Kopenhagi, pociągi dla reszty, a Best ciągle tylko robi trudności. Cały czas ma jakieś obiekcje, a to Duńczycy, a to Wehrmaht *e tutti quanti*. W dodatku trzeba to trzymać w tajemnicy, żeby ich wszystkich zmieść za jednym zamachem, podejść ich z zaskoczenia, a Günther mi mówi, że oni już wszystko wiedzą. Niezbyt dobry początek”. — „A na jakim jesteście etapie?” — „Wszystko ma się niby zacząć za kilka dni. Zadzwoiliśmy tylko raz, w końcu nie ma ich tam aż tak dużo. Zadzwoiłem do Günthera i powiadam mu: Günther, przyjacielu, jeśli sprawy się tak mają, to każ Mildnerowi przyspieszyć termin, ale Best się nie zgodził. On przecież taki wrażliwy, musiał sobie jeszcze pogadać z Duńczykami. Günther uważa, że on specjalnie tak robi, żeby mi akcję diabli wzięli”. — „Dobrze znam doktora Besta: można o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest przyjacielem Żydów. Niełatwo znaleźć lepszego narodowego socjalistę niż on”. Eichmann się skrzywił: „Dobra. Wie pan, polityka zmienia ludzi. Zresztą zobaczymy. Ja jestem kryty, wszystko przygotowane, przewidziane, jak akcja pójdzie w diabły, to mnie za to ścigać nie będą, mówię panu. A jak tam pański projekt?”.

Zamówiłem nową kolejkę: miałem już kiedyś okazję zauważyć, że alkohol rozluźnia Eichmanna, pogłębia jego sentymentalizm i przyjazne nastawienie do świata. Nie miałem zamiaru go omotać, co to, to nie, ale chciałem, żeby mi zaufał i zobaczył, że moje pomysły nie odbiegają tak bardzo od jego wizji. Przedstawiłem mu główne wytyczne projektu; tak jak się spodziewałem, ledwo mnie słuchał. Interesowało go tylko jedno: „Jak pogodzi pan to z zasadą *Vernichtung durch Arbeit*?”. — „To proste: zmiany będą dotyczyły wyłącznie jadłospisów dla robotników wykwalifikowanych. Wystarczy upewnić się, że Żydzi i aspołeczni są przeznaczani do ciężkich robót, lecz jako niewykwalifikowani”. Eichmann podrapał się po policzku. Oczywiście wiedziałem, że faktycznie decyzje o przydzielaniu prac indywidualnym więźniom były podejmowane przez *Arbeitseinsatz*, na poziomie każdego obozu, ale trzymanie wykwalifikowanych Żydów byłoby ich zmartwieniem. Eichmann zresztą był zajęty czym innym. Zastanowił się minutę, po czym wyrzucił z siebie: „Dobra, w porządku”, i wrócił do tematu południa Francji; słuchałem, pijąc i paląc. Po pewnym czasie, wyczekawszy na odpowiednią chwilę, powiedziałem uprzejmie: „A wracając do mojego projektu, Herr Obersturmbannführer, to jest już prawie gotów i chciałbym przesłać go panu do przeczytania”. Eichmann machnął ręką: „Jeśli panu zależy... Wie pan, dostaję tyle

papierów...”. — „Nie chciałbym panu przeszkadzać. Chciałbym po prostu mieć pewność, że nie będzie pan miał nic przeciwko”. — „Jeśli jest tak, jak pan mówi...” — „Proszę posłuchać, jeśli znajdzie pan czas, proszę to przejrzeć i napisać mi krótki liścik. W ten sposób będę mógł pokazać, że pańska opinia została wzięta pod uwagę”. Eichmann parsknął ironicznym śmiechem i pogroził mi palcem: „Spryciarz z pana, Sturmbannführer Aue. Pan też się asekuruje”. Zachowałem kamienną twarz: „Reichsführer życzy sobie, by wziąć pod uwagę opinie wszystkich wydziałów, których ta sprawa dotyczy. Obergruppenführer Kaltenbrunner wskazał na pana jako przedstawiciela RSHA. Uważam, że to normalne podejście”. Eichmann się nadał: „Oczywiście nie ja decyduję: będę musiał przedłożyć to mojemu Amtchefowi. Ale jeśli zarekomenduję to pozytywnie, zasadniczo nie widzę powodu, żeby nie podpisał”. Uniosłem kieliszek: „A więc za sukces pańskiej duńskiej *Einsatz*?”. Uśmiechnął się — a gdy tak się uśmiechał, jego uszy odstawały szczególnie mocno i bardziej niż kiedykolwiek przypominał ptaka; jednocześnie nerwowy tik deformował ów uśmiech, który wyglądał prawie jak grymas. „Tak, dzięki, za *Einsatz*. I za pański projekt”.

W dwa dni miałem gotowy tekst. Isenbeck starannie wyrysował piękne, szczegółowe tabele do załączników, argumenty Rizziego włączyłem praktycznie niezmienione. Już prawie kończyłem, gdy wezwał mnie Brandt. Reichsführer wybierał się do Warthegau, by wygłosić serię ważnych przemówień. 6 października miał mieć wykład dla Reichsleiterów i Gauleiterów, na którym obecność zapowiedział dr Mandelbrod; i to on właśnie zażądał, żeby mnie zaproszono. Co z projektem? Zapewniłem go, że prawie skończony. Powinienem tylko, zanim roześlę go do zatwierdzenia zainteresowanym biurom, zaprezentować materiał najpierw moim kolegom. Rozmawiałem już z Weinrowskim, przedstawiłem mu skalę Isenbecka jako proste techniczne opracowanie jego idei: chyba mu się spodobało. Posiedzenie generalne przebiegło bez wstrząsów. Mówił przede wszystkim Rizzi, a ja zadowolilem się podkreśleniem, że dostałem ustną zgodę RSHA. Gorter wyglądał na zadowolonego, zastanawiał się tylko, czy nie posuwamy się za daleko; Alickego, jak się okazało, przerosła ekonomiczna argumentacja Rizziego; Jedermann zrzędził, że to jednak będzie drogo kosztować, i skąd brać na to pieniądze? Uspokoił się, gdy mu zagwarantowałem, że jeśli projekt zostanie przyjęty, to będzie finansowany z dodatkowych środków. Poprosiłem wszystkich, by do dziesiątego przedłożyli mi na piśmie odpowiedzi od swoich Amtchefów, licząc, że do tej pory będę z

powrotem w Berlinie; przekazałem także kopię Eichmannowi. Brandt dał mi do zrozumienia, że prawdopodobnie będę mógł osobiście przedstawić projekt Reichsführerowi, zaraz po akceptacji oddziałów.

W dniu wyjazdu, późnym popołudniem, stawiłem się w Prinz-Albrecht-Palais. Brandt polecił mi wysłuchać przemówienia Speera, jeszcze przed spotkaniem z dr. Mandelbrodem w specjalnym pociągu, przysposobionym do przewożenia grubych ryb. W holu przyjął mnie Ohlendorf, nie widziałem go, odkąd wyjechał z Krymu. „Doktor Aue! Cóż za przyjemność spotkać pana. Podobno jest pan w Berlinie od miesiący. Czemu pan do mnie nie zadzwonił? Chętnie bym się z panem umówił”. — „Proszę mi wybaczyć, Herr Brigadeführer. Byłem straszliwie zajęty. Wyobrażam sobie, że pan również”. Biła z niego jakaś intensywność, czarna, skoncentrowana energia. „Brandt przysłał pana na naszą konferencję, tak? Jeżeli dobrze rozumiałem, zajmuje się pan kwestią wydajności”. — „Tak, ale wyłącznie w odniesieniu do więźniów obozów koncentracyjnych”. — „Rozumiem. Dziś wieczorem wprowadzimy nowe porozumienie o współpracy między SD i Ministerstwem Uzbrojenia. Ale problem jest dużo szerszy, dotyczy także, między innymi, sposobu traktowania zagranicznych robotników”. — „Pracuje pan teraz w Ministerstwie Gospodarki, prawda, Herr Brigadeführer?” — „A tak. Coraz więcej funkcji. Szkoda, że nie jest pan ekonomistą; po tych porozumieniach otworzy się dla SD cała nowa dziedzina, mam taką nadzieję. No, chodźmy, zaraz się zacznie”.

Wykład odbywał się w jednej z wielkich, wyłożonych drewnem sal pałacu, gdzie narodowosocjalistyczne dekoracje gryzły się nieco z boazerią i złożonymi kandelabrami z XVIII wieku. Było tu ponad stu oficerów SD, a wśród nich wielu moich dawnych kolegów lub zwierzchników: Siebert, z którym służyłem na Krymie, Regierungsrat Neifend, który wcześniej pracował w Amt II, a teraz przeszedł jako Gruppenleiter do Amt III, i kilku innych. Ohlendorf miał miejsce przy trybunie, obok mężczyzny w mundurze SS-Obergruppenführera, o wysokim, wyłysiałym czole i twardych rysach twarzy, zdradzających zdecydowany charakter: był to Karl Hanke, Gauleiter Dolnego Śląska, przedstawiciel Reichsführera na tej ceremonii. Reichsminister Speer dotarł nieco spóźniony. Stwierdziłem, że wygląda zadziwiająco młodo, pomimo początków łysiny; był smukły i pełen wigoru. Miał na sobie prosty dwurzędowy garnitur, którego jedyną ozdobą

była Złota Odznaka Partyjna. Towarzyszyło mu kilku cywilów, usiedli na krzesłach ustawionych w rzędzie za Ohlendorfem i Hankem, a w tym czasie Speer wszedł na trybunę i zaczął przemówienie. Z początku mówił głosem cichym, precyzyjnym, gładkim, który raczej podkreślał, niż maskował autorytet, nie tyle wynikający z pełnionej funkcji, ile emanujący z samej osoby Speera. Wbijał w nasze twarze ciemne żywe spojrzenie, odwracał wzrok tylko od czasu do czasu, by zajrzeć do notatek; wtedy jego oczy zdawały się nikać pod grubymi, krzaczastymi brwiami. Prawdopodobnie na kartkach miał wypisane jedynie najważniejsze punkty przemówienia, spoglądał na nie rzadko, zdawał się mieć w głowie wszystkie liczby, które przytaczał w razie potrzeby, tak jakby trwały tam czujnie, gotowe do użycia. Jego słowa były brutalnie szczere i moim zdaniem pełne ożywczej świeżości: jeżeli natychmiast nie zaangażujemy wszystkich możliwych środków do totalnej produkcji wojennej, to przegramy wojnę. Nie były to przepowiednie Kasandry; Speer porównywał naszą produkcję z tym, co wiedzieliśmy na temat produkcji sowieckiej i, zwłaszcza, amerykańskiej: w takim tempie, udawadniał, nie wytrzymamy nawet roku. A przecież dalecy jesteśmy od maksymalnej eksploatacji naszych przemysłowych zasobów. Jedną z głównych przeszkód, nie licząc braku siły roboczej, jest obstrukcja na poziomie regionalnym, związana z indywidualnymi interesami; dlatego właśnie liczy na wsparcie ze strony SD — owa współpraca jest jednym z najważniejszych punktów podpisywanego dziś porozumienia z SS. Właśnie zawarł ważną umowę z francuskim ministrem gospodarki Bichelonnem na eksport większej części naszej produkcji dóbr konsumpcyjnych do Francji. Tak, to zapewni powojennej Francji znaczne korzyści handlowe, ale nie mamy wyboru: jeżeli chcemy wygrać wojnę, musimy być gotowi na poświęcenia. Dzięki temu posunięciu zyskamy półtora miliona dodatkowych robotników na potrzeby przemysłu zbrojeniowego. Możemy się spodziewać, że liczni Gauleiterzy będą przeciwni zamknięciu rozmaitych zakładów, co jest konieczne — i tu właśnie SD ma pole do popisu. Gdy Speer skończył przemawiać, Ohlendorf wstał, podziękował i szybko przedstawił treść porozumienia: SD uzyska zgodę na kontrolę warunków rekrutacji i sposobu traktowania zagranicznych robotników, a tym samym każda odmowa stosowania się do zaleceń ministra ze strony *Gaue* stanie się przedmiotem śledztwa SD. Porozumienie zostało uroczyście parafowane na specjalnie w tym celu ustawionym stole przez Hankego, Ohlendorfa i Speera; następnie wszyscy trzej wymienili niemieckie pozdrowienie, Speer uściśnął im dłonie i już go nie było. Spojrzałem na zegarek: zostały mi niecałe trzy

kwadrans, ale miałem ze sobą torbę podróżną. Przy akompaniamencie głośnych rozmów podszedłem dyskretnie do Ohlendorfa, który rozmawiał z Hankem: „Herr Brigadeführer, proszę mi wybaczyć: jadę tym samym pociągiem co Reichsminister, muszę już iść”. Ohlendorf, nieco zdziwiony, uniósł brwi: „Niech pan do mnie zadzwoni po powrocie”, rzucił.

Pociąg specjalny nie odjeżdżał z żadnego z dworców głównych, lecz ze stacji S-Bahn przy Friedrichstrasse. Na peronie, zamkniętym przez siły policyjne i Waffen-SS, roilo się od funkcjonariuszy i Gauleiterów w mundurach SA albo SS, którzy pozdrawiali się hałaśliwie. Podałem Leutnantowi Schupo dokumenty i rozkazy, a sam wpatrywałem się w tłum: nie widziałem dr. Mandelbroda, do którego miałem się zgłosić. Poprosiłem Leutnanta, by wskazał mi jego przedział; sprawdził na swojej liście: „Herr Doktor Mandelbrod, Mandelbrod... Mam, to wagon specjalny, na końcu składu”. Był to wagon o dość szczególnej konstrukcji: zamiast zwykłych drzwi miał, mniej więcej na jednej trzeciej długości, drzwi podwójne jak w wagonie towarowym, a wszystkie okna ukryte były za stalowymi zasłonami. Przed drzwiami stała jedna z amazonek Mandelbroda w mundurze SS z galonami Obersturmbannführera. Nie miała przepisowej spódnicy, lecz męskie bryczesy i była co najmniej kilka centymetrów wyższa ode mnie. Zastanawiałem się, gdzie Mandelbrod znajduje te wszystkie pomocnice: musiał mieć jakąś specjalną umowę z Reichsführerem. Kobieta zaszutowała: „Herr Sturmbannführer, doktor Mandelbrod czeka na pana”. Chyba mnie pamiętała. Za to ja nie pamiętałem jej wcale, ale przecież one wszystkie były do siebie tak podobne. Wzięła moją torbę i wprowadziła mnie do wyłożonego dywanem przedsionka, który, po lewej stronie, przechodził w długi korytarz. „Pański przedział jest drugi po prawej, wskazała. Zostawię tam pańskie rzeczy. Doktor Mandelbrod jest tam”. Podwójne przesuwane drzwi na końcu korytarza otworzyły się automatycznie. Wszedłem do środka. Mandelbrod, skąpany w swym zwykłym, ohydny smrodzie, siedział na wielkim fotelu-platformie, który zmieścił się w szerokich drzwiach wagonu. Obok niego, na małym rokokowym fotelu, z nogą niedbale założoną na nogę, rozsiadł się minister Speer. „Ach Max, jesteś wreszcie!, zakrzyknął melodyjnie Mandelbrod. Chodź, chodź”. Kot przemknął mi między nogami w chwili, gdy chciałem dać krok, omal się nie potknąłem. Udało mi się jednak utrzymać równowagę i pozdrowić Speera oraz Mandelbroda, który odwrócił głowę w stronę ministra: „Mój drogi Speer, przedstawiam panu jednego z moich młodych protegowanych, doktora Aue”. Speer

zmierzył mnie wzrokiem spod krzaczastych brwi i szybko wstał z fotela; ku mojemu zaskoczeniu podszedł do mnie i uściśnął mi dłoń: „Miło mi, Sturmbannführer”. — „Doktor Aue pracuje dla Reichsführera, uściślił Mandelbrod. Działa na rzecz zwiększenia wydajności naszych obozów koncentracyjnych”. — „Ach, zareagował Speer, to bardzo dobrze. Uda się panu?” — „Zajmuję się tą kwestią dopiero od kilku miesięcy, Herr Reichsminister, i pełnię niezbyt znaczącą rolę. Ale, patrząc na sprawę całościowo, wiele wysiłków dało już rezultaty. Sądzę, że miał pan okazję je dostrzec”. — „Tak, oczywiście. Całkiem niedawno przedyskutowałem ten temat z Reichsführerem. Zgodził się ze mną, że mogłoby być jeszcze lepiej”. — „Bez wątpienia, Herr Reichsminister. Zawzięcie nad tym pracujemy”. Zapadło milczenie; widziałem, że Speer zastanawia się, co powiedzieć. Zahaczył wzrokiem o moje medale: „Był pan na froncie, Sturmbannführer?”. — „Tak, Herr Reichsminister. W Stalingradzie”. Jego spojrzenie pociemniało, spuścił wzrok, szczęka mu zadrżała. I zaraz znów na mnie spojrział, uważnym, badawczym wzrokiem, a ja po raz pierwszy dostrzegłem, że oczy ma podkrążone ciężkimi cieniami zmęczenia. „Mój brat Ernst zaginał w Stalingradzie”, powiedział spokojnie z lekkim tylko napięciem w głosie. Pochyliłem głowę: „Przykro mi, Herr Reichsminister. Wyrazy współczucia. Wie pan, w jakich okolicznościach poległ?” — „Nie. Nie wiem nawet, czy zginał”. Jego głos wydawał się odległy, niemal obojętny. „Do rodziców dotarły listy, był chory, leżał w którymś ze szpitali. Warunki były... straszliwe. W przedostatnim liście pisał, że nie może tego dłużej znieść i że wraca do swoich towarzyszy, na stanowisko artyleryjskie. A przecież był niemal inwalidą”. — „Doktor Aue był ciężko ranny w Stalingradzie, wtrącił Mandelbrod. Miał jednak szczęście, ewakuowano go”. — „Tak...”, mruknął Speer. Był teraz zamyślony, niemal zagubiony. „Tak... miał pan szczęście. On... jego jednostka została rozbita podczas rosyjskiej ofensywy w styczniu. Najprawdopodobniej zginał. Nie ma się co łudzić. Moi rodzice ciągle jeszcze nie doszli do siebie”. Zajrzał mi głęboko w oczy: „To był ukochany syn mojego ojca”. Zażenowany, wymamrotałem kolejną grzecznościową formułkę. Mandelbrod odezwał się zza pleców Speera: „Nasza rasa cierpi, drogi przyjacielu. Musimy zabezpieczyć jej przyszłość”. Speer pokiwał głową i spojrział na zegarek. „Za chwilę odjazd. Pójdę do swojego przedziału”. Znów podał mi rękę: „Do widzenia, Sturmbannführer”. Stuknąłem obcasami i zasalutowałem, ale on już ścisnął wyciągniętą dłoń Mandelbroda, który mówił do niego cicho coś, czego nie mogłem dosłyszeć. Speer słuchał uważnie, kiwnął głową i wyszedł. Mandelbrod wskazał mi fotel,

który przed chwilą zajmował minister: „Siadaj, siadaj. Jadłeś kolację? Jesteś głodny?”. W głębi saloniku otworzyły się bezszelestnie inne podwójne drzwi i stanęła w nich młoda kobieta w mundurze SS, łudzaco podobna do pierwszej, ale raczej nie ta sama — chyba że ta, która mnie powitała, obeszła cały wagon od zewnątrz. „Życzy pan sobie coś do jedzenia?”, spytała. Poczuliśmy delikatne szarpnięcie, pociąg opuszczał dworzec. Okna były zasłonięte, salonik wypełniało ciepłe złote światło z kilku niewielkich żyrandoli. Na zakręcie zasłona odchyliła się nieco, dostrzegłem metalową okiennicę za szybą — pomyślałem, że cały wagon musi być opancerzony. Znowu pojawiła się młoda kobieta, postawiła tacę z kanapkami i piwem na stoliku, który rozłożyła sprawnie jedną ręką obok mnie. Jadłem, a Mandelbrod wypytywał mnie o pracę. Bardzo dobrze oceniał tę, którą wykonałem w sierpniu, i z przyjemnością oczekiwał na mój nowy projekt; chyba znał już większość szczegółów. „Zwłaszcza Herr Leland, dodał, jest mocno zainteresowany kwestią indywidualnej wydajności”. — „Czy Herr Leland jedzie z nami, Herr Doktor?”, spytałem. — „Dołączy do nas w Posen”, odpowiedział Mandelbrod. Leland był już na Wschodzie, na Śląsku, w miejscach, które ja też odwiedziłem i z którymi wiązały się znaczące interesy ich obu. „Bardzo dobrze, że spotkałeś Reichsministra Speera, powiedział nieuważnie Mandelbrod. To człowiek, z którym dobrze jest być w zgodzie. SS i on powinni bardziej się zbliżyć”. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę; skończyłem jeść i wypilem piwo. Mandelbrod głaskał kota, który wskoczył mu na kolana. Wreszcie pozwolił mi odejść. Przeszedłem przedsionek i odnalazłem swój przedział. Był przestronny, z wygodną, już pościeloną kuszetką, stolikiem do pracy i umywalką z lustrem. Odsunąłem zasłonę: tu też stalowa okiennica zaślepiła okno i raczej nie było sposobu, by je otworzyć. Zrezygnowałem z papierosa, zdjąłem bluzę i koszulę, żeby się umyć. Zdążyłem namydlić sobie twarz ładnym, pachnącym mydełkiem, które znalazłem obok umywalki — była tu nawet ciepła woda — gdy ktoś zapukał do drzwi. „Chwileczkę!” Wytarłem się, założyłem koszulę, narzuciłem rozpiętą bluzę i poszedłem otworzyć. Na korytarzu stała jedna z asystentek i patrzyła na mnie jasnymi oczyma, z cieniem uśmiechu na ustach, delikatnym jakiej ledwo wyczuwalne perfumy. „Dobry wieczór, Herr Sturmbannführer, odezwała się. Czy przedział panu odpowiada?” — „Tak, całkowicie”. Patrzyła na mnie, nie mrugając. „Jeśli pan sobie życzy, ciągnęła, mogę towarzyszyć panu przez całą noc”. Muszę przyznać, że ta nieoczekiwana oferta, wypowiedziana takim samym tonem jak wcześniejsza propozycja poczęstunku, zbiła mnie

nieco z tropu, czułem, że się czerwienię, zacząłem gorączkowo szukać odpowiedzi. „Nie sądzę, by podobało się to doktorowi Mandelbrodowi”, wydusiłem w końcu. — „Przeciwnie, odpowiedziała tym samym uprzejmym, spokojnym tonem, doktor Mandelbrod bardzo by się ucieszył. Jest stanowczo przekonany, że należy wykorzystywać wszystkie nadarzające się okazje do utrwalenia naszej rasy. Oczywiście, jeżeli zajdę w ciążę, pańska praca w żaden sposób na tym nie ucierpi: SS ma do dyspozycji specjalne instytucje”. — „Tak, wiem”, odpowiedziałem. Zastanawiałem się, co zrobi, jeśli się zgodzę: wyobrażałem sobie, że wejdzie, rozbierze się bez słowa i poczeka, naga, na łóżku, aż skończę toaletę. „To bardzo kusząca propozycja, powiedziałem wreszcie, i naprawdę niezmiernie mi przykro, że muszę odmówić, ale jestem bardzo zmęczony, a jutrzejszy dzień zapowiada się intensywnie. Innym razem, przy odrobinie szczęścia”. Wyraz jej twarzy zupełnie się nie zmienił; chociaż może mrugnęła. „Jak pan sobie życzy, Herr Sturmbannführer, odparła. Gdyby potrzebował pan czegokolwiek, proszę zadzwonić. Będę obok. Dobranoc”. — „Dobranoc”, odpowiedziałem z wymuszonym uśmiechem. Zamknąłem drzwi. Dokończyłem toaletę, zgasłem światło, położyłem się. Pociąg mknął przez ciemną noc, kołysząc się lekko w rytm podskoków na torach. Długo nie mogłem zasnąć.

Niewiele mam do powiedzenia o półtoragodzinnym przemówieniu, które Reichsführer wygłosił 6 października wieczorem w obecności zebranych Reichsleiterów i Gauleiterów. Nie jest ono tak znane jak wcześniejsze, niemal dwa razy dłuższe, z 4 października, skierowane do Obergruppenführerów i HSSPF-ów. Pomijając kilka różnic związanych z charakterem obu audytoriów i tonu drugiej przemowy — bardziej formalnej, mniej sardonicznej, mniej usianej potocznymi zwrotami — Reichsführer w obu zawarł praktycznie to samo. Przypadkowemu ocaleniu archiwów i sprawiedliwości zwycięzców zawdzięczamy powszechną znajomość treści owych przemówień. Nie znajdziecie ani jednej pracy o SS, o Reichsführerze i zagładzie Żydów, w których by ich nie zacytowano. Jeżeli interesuje was ich treść, możecie bez problemu je przeczytać, i to w kilku językach. Przemowa z 4 października figuruje w całości w protokole z wielkiego procesu w Norymberdze, oznaczona symbolem 1919-PS (oczywiście w tej formie mogłem ją wreszcie szczegółowo przestudiować po wojnie, choć w Posen zapamiętałem główne wytyczne); zarejestrowano ją zresztą na płycie lub na taśmie magnetycznej z czerwienią

żelazawą — historycy nie są co do tego zgodni, a ja nie mogę rozstrzygnąć tej kwestii, ponieważ mnie tam nie było. W każdym razie nagranie przetrwało, i jeśli tak dyktuje wam serce, możecie wysłuchać monotonnego, pedantycznego, belferskiego i precyzyjnego głosu Reichsführera, nieco bardziej nerwowego w partiach ironicznych i przyprawionego, fakt, że z rzadka, szczyptą gniewu, wyraźną zwłaszcza teraz, gdy się słucha tego po latach — chodzi o momenty, gdy Himmler poruszał sprawy, na które, jak sam czuł, nie miał wielkiego wpływu: ogólna korupcja, na przykład, o której napomknął szóstego w obecności reżimowych dygnitarzy, ale rozwodził się nad nią przede wszystkim, jak się dowiedziałem nieco później od Brandta, w przemowie do Gruppenführerów, wygłoszonej czwartego. Jeśli jednak te przemówienia przeszły do historii, to z pewnością nie z powodu korupcji, lecz przede wszystkim dlatego, że Reichsführer, ze szczerością — jaką, z tego, co wiem, nie wykazał się nigdy przedtem ani nigdy potem — ze szczerością i w sposób, który można nazwać szokującym, przedstawiał w nich program zagłady Żydów. Nawet ja, gdy 6 października słuchałem tego, co mówi, zrazu nie wierzyłem własnym uszom. Sala była wypełniona po brzegi, okazała Złota Sala zamku w Posen — siedziałem na samym końcu, za pięćdziesiątką szefów Partii i okręgów, że nie wspomnę o kilku przemysłowcach, dwóch dowódcach służb i trzech (a może też dwóch) ministrach Rzeszy; zresztą, to co powiedział, uznałem, w świetle zasad poufności, które nam narzucono, za rzecz szokującą, niemal nieprzyzwoitą. Początkowo byłem wielce zakłopotany, i na pewno nie tylko ja, widziałem, jak Gauleiterzy wzdychają, ocierają karki i czoła — nie, żeby dowiadywali się czegoś nowego, nie było możliwe, żeby ktokolwiek w tej wielkiej, tonącej w przytłumionym świetle sali nie był niczego świadom, nawet jeśli niektórzy, jak dotąd, nie zadawali sobie trudu, by spojrzeć na sprawę całościowo, by uświadomić sobie jej zasięg, pomyśleć, na przykład, o kobietach i dzieciach. Prawdopodobnie dlatego Reichsführer w obecności Reichsleiterów i Gauleiterów, mocniej niż wobec Gruppenführerów, którzy akurat w żadnym wypadku nie mogli mieć złudzeń, podkreślał, że tak, oczywiście, zabijamy kobiety i dzieci; nie pozostawiał już żadnej dwuznaczności — i właśnie to było takie kłopotliwe: ten totalny brak, po raz pierwszy, totalny brak niejednoznaczności. Było tak, jakby łamał jakąś niepisaną zasadę, jeszcze ważniejszą niż jego własne zasady, dyktowane podwładnym, te jego *Sprachregelungen*, jakby łamał zasadę taktu, być może tego taktu, na który powoływał się w swej pierwszej przemowie, w kontekście egzekucji Rohma i jego towarzyszy z SA (*pewien naturalny dla nas takt, dzięki*

Bogu, mówił, konsekwencja tego taktu, która sprawiła, że nigdy nie rozmawialiśmy o tym między sobą), ale być może chodziło o coś jeszcze niż tylko o kwestię taktu i zasad, bo w pewnym momencie, jak sędzę, zacząłem rozumieć prawdziwy powód jego oświadczenia, jak również i to, dlaczego dygnitarze tak wzdychają i tak się pocą — tak, oni też zaczęli rozumieć, że wcale nieprzypadkowo Reichsführer teraz, u progu piątego roku wojny, mówi otwarcie, w ich obecności, o zagładzie Żydów, bez eufemizmów, bez aluzji, w prostych i brutalnych słowach: *zabijać — eksterminować, to znaczy zabijać lub dawać rozkaz do zabijania* — że po raz pierwszy Reichsführer mówił im otwarcie o tej kwestii... *żebyście wiedzieli, jak się sprawy mają*. Nie, to na pewno nie był przypadek i jeśli sobie na to pozwalał, to Führer musiał być poinformowany, więcej, Führer tego chciał — stąd ich lęk, Reichsführer przecież przemawiał tu w imieniu Führera, mówił to, wypowiadał te słowa, których nie powinno się wypowiadać, i nagrywał je, na płycie czy też na taśmie, nieważne, starannie zapamiętywał obecnych i nieobecnych — spośród dowódców SS przemowy z 4 października nie mogli wysłuchać tylko Kaltenbrunner, cierpiący na zapalenie żył, Daluge, poważnie chory na serce, na rocznym czy dwuletnim urlopie, Wolff, dopiero co nominowany HSSPF-em na Włochy i pełnomocnikiem przy Mussolinim, oraz Globocnik, który właśnie — czego wtedy nie wiedziałem i o czym poinformowano mnie dopiero po powrocie z Posen — został nagle przeniesiony ze swego małego królestwa w Lublinie do rodzinnego miasta, Triestu, jako SSPF na Istrię i Dalmację, pod dowództwo rzezonego Wolffa, a z nim — ale o tym dowiedziałem się jeszcze później — prawie cały personel *Einsatz Reinhardt*, w tym T-4 (likwidowano wszystko, od tej chwili miał wystarczyć Auschwitz, a piękne wybrzeże Adriatyku stało się eleganckim śmietnikiem dla tych wszystkich, którzy przestali być potrzebni, nawet Blobel do nich dołączył w krótkim czasie, niech no tam ich załatwią partyzanci Tito, jakąś część roboty mielibyśmy z głowy); sporządzono także listę nieobecnych dygnitarzy partyjnych, ale ja jej nigdy nie widziałem. Reichsführer postępował więc w sposób przemyślany, zgodnie ze wskazówkami, i musiał mieć ku temu jeden ważny powód, stąd widoczne poruszenie słuchaczy, którzy ów powód świetnie wyczuwali: chodziło o to, żeby żaden z nich nie mógł później powiedzieć, że nie wiedział; żeby w razie klęski nie próbował nikogo przekonywać o tym, że nie jest winien najgorszego, żeby nikt nie próbował się wykręcić; chodziło o to, żeby ich wszystkich *umoczyć*, a oni to świetnie rozumieli, stąd popłoch. Konferencja moskiewska, w wyniku której alianci zadeklarowali się ścigać

„przestępców wojennych” w *najbardziej nawet odległych zakątkach naszej planety*, jeszcze się nie odbyła, miała miejsce kilka tygodni później, w ostatnich dniach października 1943 roku, ale już od jakiegoś czasu BBC, zwłaszcza latem i później, prowadziła na ten temat intensywną akcję propagandową, ogłaszając nazwiska, zresztą w sposób dość precyzyjny: znali dane oficerów czy nawet podoficerów niektórych KL — byli świetnie poinformowani, w Staatspolizei zastanawiano się, skąd te informacje. I to, myślę, przyczyniało się do pewnej nerwowości wśród zainteresowanych, zwłaszcza że wieści z frontu nie były najlepsze: aby utrzymać się we Włoszech, trzeba było ogołocić front wschodni, mieliśmy niewielkie szansę, by wytrwać nad Dońcem, utraciliśmy już Dońsk, Smoleńsk, Połtawę i Krzemieńczuk, Krym był zagrożony — krótko mówiąc, każdy mógł zauważyć, że jest źle, i zapewne wielu zastanawiało się nad przyszłością, oczywiście ogólnie nad przyszłością Niemiec, ale także nad swoją własną, dlatego angielska propaganda odniosła pewien skutek: jednych, tych wymienionych z nazwiska, pozbawiając morale, a drugich, tych, którzy jeszcze nie zostali wymienieni, zachęcając do myślenia, że koniec Rzeszy nie musi oznaczać ich własnego końca, i czyniąc tym samym widmo klęski nieco mniej niewyobrażalnym — stąd właśnie, jak można przypuszczać, przynajmniej w odniesieniu do kadr Partii, SS i Wehrmachtu, konieczność wytłumaczenia im, że ewentualna klęska to także ich problem, co miało ich nieco zmotywować, i że rzekome zbrodnie jednostek będą w oczach aliantów zbrodniami wszystkich, w każdym razie na poziomie instytucji; że wszystkie okręty albo, jak kto woli, mosty, płoną, niemożliwy jest żaden krok wstecz, a jedynym ratunkiem jest zwycięstwo. Rzeczywiście, zwycięstwo załatwiłoby wszystko — gdybyśmy zwyciężyli, wyobraźcie to sobie przez chwilę: gdyby Niemcy zmiażdżyli czerwonych i zniszczyli Związek Radziecki, przestałby istnieć temat zbrodni, a jeśli już, mówiono by o zbrodniach bolszewickich, odpowiednio udokumentowanych w przejętych archiwach (smoleńskie archiwa NKWD, przewiezione do Niemiec i przejęte pod koniec wojny przez Amerykanów, odegrały dokładnie taką rolę — później, gdy nadszedł czas i trzeba było wreszcie wyjaśnić uczciwym demokratycznym wyborcom, dlaczego tych, których wczoraj uznano za nikczemne potwory, zaczęto traktować z dnia na dzień jak wał obronny przeciwko tym, których wczoraj brano za bohaterskich sojuszników, a którzy, jak się okazuje, są potworami jeszcze straszniejszymi), lub nawet wykazanych w procesie przed właściwym sądem, czemu nie, procesie przeciwko bolszewickim przywódcom (tak jak chcieli to zrobić Anglicy i

Amerykanie — Stalin, jak wiadomo, kpił sobie z tych procesów i miał je za to, czym naprawdę były, za hipokryzję, w dodatku niepotrzebną), a później wszyscy, z Anglikami i Amerykanami na czele, połączyliby się z nami, dyplomacje dostosowałyby się do nowej rzeczywistości i pomimo nieuniknionych narzekań amerykańskich Żydów, ci z Europy, za którymi zresztą nikt by nie tęsknił, zostaliby wpisani w bilans zysków i strat, tak jak cała reszta ofiar, Cyganie, Polacy i sam nie wiem kto jeszcze; trawa gęsto porasta groby zwyciężonych i nikt nie każe się rozliczać zwycięzcom. Nie mówię tego wszystkiego po to, by próbować nas usprawiedliwić, nie, to jest prosta i przerażająca prawda. Popatrzcie na Roosevelta, wspaniałego człowieka, i jego drogiego przyjaciela „Uncle Joe” — ile milionów ludzi miał na sumieniu Stalin w 1941 roku, a choćby nawet przed 1939, dużo więcej niż my, i nawet gdy sporządzimy ostateczny bilans, nie zapomnimy tak łatwo o kolektywizacji, rozkułaceniu, wielkich czystkach i deportacji ludności w czterdziestym trzecim i czterdziestym czwartym, i o tym wszystkim, o czym powszechnie wiadomo; każdy był mniej lub bardziej świadom, przez całe lata trzydzieste wiedziano, co się dzieje w Rosji — i Roosevelt, ten przyjaciel ludzi, też wiedział, lecz ta świadomość nigdy nie przeszkodziła mu w wychwalaniu lojalności i człowieczeństwa Stalina, zresztą wbrew ostrzeżeniom Churchilla, który z jednej strony był nieco mniejszym naiwniakiem, a z drugiej — nieco mniejszym realistą. Więc gdybyśmy to my rzeczywiście wygrali tę wojnę, na pewno byłoby podobnie: uparci, którzy nie przestawaliby nazywać nas wrogami rodzaju ludzkiego, ucichliby, jeden po drugim, z braku publiki, a dyplomaci wszystko zamietliby pod dywan, bo *Krieg ist Krieg und Schnaps ist Schnaps*, nieprawdaż? tak się kręci świat. Być może, koniec końców, pochwalono by nasze wysiłki, jak to często przepowiadał Führer, chociaż może wcale nie; pewnie zresztą wielu miało ochotę pochwalić, zamilkli, bo przegraliśmy, twarda rzeczywistość. I nawet jeśli przez dziesięć, piętnaście lat utrzymywałoby się wokół tego tematu napięcie, to prędzej czy później by opadło, gdyby na przykład nasi dyplomaci ostro potępili, pozwalając sobie jednak na pewną wyrozumiałość, twarde metody, ocierające się o pogwałcenie praw człowieka, które zapewne w tym czy innym momencie zastosowałyby Wielka Brytania czy Francja, by przywrócić porządek w opornych koloniach albo, w przypadku Stanów Zjednoczonych, zapewnić stabilność światowego handlu i zwalczyć zarzewia komunistycznej rewolty, co zresztą później USA zrobiły, ze znanym wszystkim skutkiem. Bo błędem byłoby, i to poważnym błędem, sądzić, że zmysł moralny zachodnich mocarstw jest fundamentalnie

różny od naszego: w końcu mocarstwo to mocarstwo, nie zostało nim przez przypadek i nieprzypadkowo jest nim nadal. Obywatele Monako czy Luksemburga mogą sobie pozwolić na luksus pewnej uczciwości politycznej; z Anglikami sprawa wygląda nieco inaczej. Czyż to nie właśnie brytyjski zarządca, wykształcony w Oxfordzie czy w Cambridge, zalecał od 1922 roku *administracyjne masakry*, aby zapewnić bezpieczeństwo w koloniach, i gorzko żałował, że sytuacja polityczna *in the Home Islands* uczyniła niemożliwym stosowanie tych zbawiennych metod? Albo, jeżeli chcielibyśmy, jak niektórzy, kłaść wszystkie nasze winy wyłącznie na karb antysemityzmu — co jest, moim zdaniem, groteskową pomyłką, choć dla wielu stanowi kuszące wyjaśnienie — czy nie należałoby przyznać, że Francja, w przededniu Wielkiej Wojny, zrobiła w tej kwestii rzeczy dużo gorsze niż my (nie mówiąc już o Rosji i o pogromach!)? Mam nadzieję, że nie zdziwi was to zbytnio, jeśli odbiorę tu antysemityzmowi status głównej przyczyny zagłady Żydów, bo oznaczałoby to, że nie pamiętam, iż nasza polityka eksterminacji była dużo bardziej ambitna. W momencie przegranej — i choć daleki jestem od pisania Historii na nowo, będę pierwszym, który to przyzna — skończyliśmy już, poza Żydami, likwidację wszystkich niemieckich niepełnosprawnych fizycznie i umysłowo, których nie można było wyleczyć, likwidację większej części Cyganów oraz milionów Rosjan i Polaków. A projekty, jak wiadomo, były jeszcze bardziej ambitne: co do Rosjan, niezbędna *naturalna redukcja* miała objąć, według ekspertów czteroletniego planu RSHA, trzydzieści milionów, a może nawet więcej, od czterdziestu sześciu do pięćdziesięciu milionów, według odmiennej opinii nieco zbyt gorliwego Dezernenta z Ostministerium. Gdyby wojna potrwała jeszcze kilka lat, rozpoczęlibyśmy bez wątpienia masową redukcję Polaków. Pomysł był już na fali od jakiegoś czasu: zajrzyjcie do obfitej korespondencji pomiędzy Gauleiterem Warthegau Greiserem i Reichsführerem, w której Greiser prosi, począwszy od maja 1942 roku, o pozwolenie na użycie instalacji gazowych obozu Kulmhof do likwidacji 35 000 Polaków chorych na gruźlicę, którzy, jak twierdził, stanowili poważne zagrożenie zdrowotne dla mieszkańców jego okręgu, jego *Gau*. Po upływie siedmiu miesięcy Reichsführer dał mu wreszcie do zrozumienia, że jego propozycja jest interesująca, lecz przedwczesna. Pewnie uważacie, że relacjonuję to wszystko z wielkim chłodem: robię to jedynie po to, by pokazać wam, iż zagłada ludu mojżeszowego w naszym wykonaniu nie była wyłącznie następstwem irracjonalnej nienawiści do Żydów — już chyba pisałem, jak źle byli widziani w szeregach SD i SS

emocjonalni antysemita — lecz, przede wszystkim, wynikiem surowej i przemyślanej zgody na stosowanie przemocy w rozwiązywaniu najprzeróżniejszych problemów społecznych. Zresztą, jeśli już o tym mowa, od bolszewików różni nas jedynie spojrzenie na kategorie problemów do rozwiązania: oni rozpisywali je w poziomym kontekście społecznym (klasy), my zaś — w pionowym (rasy), przy czym oba te sposoby były jednakowo deterministyczne (chyba to już gdzieś podkreślałem) i prowadziły do podobnych wniosków, jeśli chodzi o stosowane środki zaradcze. Gdyby tak nad tym porządnie pomyśleć, można by wydedukować, że owa wola albo chociażby umiejętność przyjęcia konieczności dużo bardziej radykalnego spojrzenia na problemy gnębiące całe społeczeństwo, mogła narodzić się tylko z naszych porażek podczas Wielkiej Wojny. Ucierpiały w niej wszystkie kraje (z wyjątkiem może Stanów Zjednoczonych), ale zwycięstwo, arogancja i moralny komfort zrodzone ze zwycięstwa bez wątpienia pozwoliły Anglikom, Francuzom, a nawet Włochom, łatwiej zapomnieć o cierpieniach i stratach. Mogli rozsiaść się, a czasem nawet umościć wygodnie w samozadowoleniu, co jednak wiązało się też z łatwiejszym strachem, lękiem przed upadkiem tego kruchego kompromisu. Za to my, cóż, my nie mieliśmy nic do stracenia. Walczyliśmy równie bohatersko co nasi wrogowie; potraktowano nas jak kryminalistów, poniżono nas i poćwiartowano, znieważono też naszych poległych. Los Rosjan, obiektywnie rzecz biorąc, wcale nie był lepszy. Czy jest więc coś bardziej logicznego od powiedzenia sobie: cóż, skoro tak, skoro sprawiedliwie jest poświęcać to, co w Narodzie najlepsze, wysyłać na śmierć największych patriotów, najinteligentniejszych, najbardziej oddanych i lojalnych przedstawicieli rasy, a wszystko to w imię i na cześć rzeczonoego Narodu — i skoro to niczemu nie służy, i skoro potem wszyscy plują na nasze poświęcenie — to jakie prawo do życia miałyby zachować najgorsze elementy, kryminaliści, wariaci, debile, aspołeczni, Żydzi, nie mówiąc o zewnętrznych wrogach? Bolszewicy, jestem o tym przekonany, rozumowali w ten sam sposób. Skoro przestrzeganie zasad tak zwanego człowieczeństwa na nic nam się zdało, po co się przy nim upierać, wszak nikt nas za to nawet nie docenił? Stąd, w sposób nieunikniony, zrodziła się nasza nieugięta, twarda, radykalna postawa wobec problemów. We wszystkich społeczeństwach, w każdej epoce, problemy społeczne naznaczone były kompromisem pomiędzy potrzebami zbiorowości a prawami jednostki, co dało podłoże do wprowadzania wielu rozwiązań w sumie mocno ograniczonych, zawsze wedle schematu: śmierć, miłosierdzie lub wykluczenie (zwłaszcza, historycznie

rzecz biorąc, pod postacią wygnania). Grecy porzucali kalekie dzieci; Arabowie, przyznając, że z ekonomicznego punktu widzenia dzieci takie stanowią zbyt duży ciężar dla rodziny, a nie chcąc ich zabijać, oddawali na utrzymanie wspólnocie, co nie byłoby możliwe bez mechanizmu *zakaat*, obowiązkowej jałmużny religijnej (podatku na cele dobroczynne). Nawet w naszych czasach istnieją specjalne placówki, które pomagają rozwiązać podobne problemy tak, aby nieszczęście wykluczonych nie kłuło zdrowych w oczy. Przyjmując taką generalną wizję, możemy stwierdzić, że przynajmniej w Europie, poczynając od XVIII wieku, różne sposoby podejmowania rozmaitych problemów — tortury dla przestępców, wygnanie dla roznoszących choroby (trędowatych), chrześcijańskie miłosierdzie dla kretynów — przeistoczyły się, pod wpływem Oświecenia, w jeden typ rozwiązania, stosowanego dowolnie i we wszelkich możliwych przypadkach: w instytucjonalne zamknięcie, finansowane przez państwo, rodzaj, nazwijmy to, wewnętrznej ucieczki, często o ambicjach pedagogicznych, lecz przede wszystkim o praktycznym celu: przestępcy w więzieniu, chorzy w szpitalu, wariaci w zakładzie. Jak na dłoni widać, że te humanitarne rozwiązania również wynikają z kompromisu, że to zamożność uczyniła ich realizację możliwą i że w sumie nie znaczą wiele. Po Wielkiej Wojnie niejedni zauważyli, iż metody te są niewystarczające — z powodu ograniczenia środków ekonomicznych, lecz także w związku z niewyobrażalną dotąd stawką (miliony poległych). Potrzebowano nowych rozwiązań, więc znaleziono je, bo człowiek zawsze znajduje potrzebne rozwiązania, bo tak samo znalazłyby je kraje demokratyczne, gdyby miały taką potrzebę. W takim razie, można by dziś zapytać, w takim razie, dlaczego akurat Żydzi? Co Żydzi mają wspólnego z waszymi szaleńcami, waszymi zbrodniarzami, waszymi chorymi? Otóż nietrudno dostrzec, że historycznie rzecz ujmując, Żydzi sami siebie określili jako „problem”, pragnąc za wszelką cenę pozostać „poza”. Czyż pierwsze świadectwa przeciwko Żydom, spisane przez Greków z Aleksandrii, na długo przed Chrystusem i teologicznym antysemityzmem, nie oskarżały ich o aspołeczność, o gwałcenie praw gościnności, tego fundamentu i głównej zasady politycznej całego antycznego świata, i to gwałcenie tych praw w imię ograniczeń żywieniowych, które nie pozwalały Żydom ani chodzić na uczty do nie-Żydów, ani ich przyjmować u siebie? Poza tym, ma się rozumieć, istniała też kwestia wiary. Nie usiłuję tutaj, choć tak to może wyglądać, zrzucić na Żydów odpowiedzialności za ich własną katastrofę; po prostu chcę powiedzieć, że pewien nurt europejskiej historii, nieszczęśliwy według jednych,

nieunikniony według innych, sprawił, iż nawet dziś, w sytuacjach kryzysowych, występowanie przeciwko Żydom jest czymś naturalnym i że jeśli podejmujemy się przekształcania społeczeństwa przy użyciu przemocy, to prędzej czy później zapłacą za to właśnie Żydzi — prędzej, jak było w naszym wypadku, później, w wypadku Sowietów — i że nie jest to tak całkiem niezrozumiałe. Poza tym niektórzy Żydzi, gdy oddała się widmo antysemityzmu, popadają w przesadę.

Zapewne uważacie te przemyślenia za bardzo interesujące, nie wątpię ani trochę; ale zboczyłem nieco z tematu, ciągle jeszcze nie opowiedziałem wam o tym słynnym dniu 6 października, który jednak chciałbym pokrótce opisać. Ze snu wyrwało mnie kilka mocnych uderzeń w drzwi przedziału. Okiennice nadal były zamknięte i nie mogłem stwierdzić, która godzina — chyba musiało mi się coś śnić, bo pamiętam, że byłem całkiem zdezorientowany. Usłyszałem głos asystentki Mandelbroda, cichy, lecz stanowczy: „Herr Sturmbannführer. Za pół godziny będziemy na miejscu”. Wstałem, ubrałem się i wyszedłem na korytarz rozprostować nogi. Dziewczyna też już tam stała: „Dzień dobry, Sturmbannführer. Jak się panu spało?”. — „Świetnie, dziękuję. Czy doktor Mandelbrod już się obudził?” — „Nie wiem, Herr Sturmbannführer. Napije się pan kawy? Śniadanie zostanie podane po przyjeździe”. Wróciła z niewielką tacą. Wypiłem na stojąco, rozstawiwszy nieco nogi, by złapać równowagę. Dziewczyna usiadła na niewielkim fotelu, założywszy skromnie nogę na nogę — zauważyłem, że zamiast, tak jak wczoraj, czarnych spodni, ma na sobie długą spódnicę. Włosy ściągnęła w surowy kok. „Nie pije pani kawy?”, spytałem. — „Nie, dziękuję panu”. Trwaliśmy tak w milczeniu do chwili, w której dał się słyszeć zgrzyt hamulców. Oddałem jej filiżankę i podniosłem torbę. Pociąg zwalniał. „Do zobaczenia, powiedziała. Doktor Mandelbrod spotka się z panem później”. Na peronie panowało lekkie zamieszanie. Zmęczeni Gauleiterzy wysiadali z pociągu jeden za drugim, ziewając. Witła ich drużyna funkcjonariuszy w cywilu albo w mundurach SA. Jeden z nich dostrzegł mój mundur SS i zmarszczył brwi. Gdy pokazałem mu wagon Mandelbroda, natychmiast się rozchmurzył: „Proszę wybaczyć”, powiedział, podchodząc. Podałem mu swoje nazwisko, sprawdził na liście: „Tak, rozumiem. Jest pan z członkami Reichsführung, w hotelu Posen. Jest tam dla pana pokój. Zaraz znajdę jakiś samochód. Oto program”. W hotelu, przysadzistym i dość smutnym budynku w stylu pruskim, wziąłem prysznic, ogoliłem się, przebrałem i zjadłem szybko kilka kromek chleba z konfiturą. Około ósmej zszedłem do holu, po którym zaczęli już krążyć ludzie.

Odnalazłem w końcu asystenta Brandta, jednego z Hauptsturmführerów, i pokazałem mu program, który dostałem na dworcu. „Proszę posłuchać, może pan spokojnie iść. Reichsführer dotrze dopiero po południu, ale będzie kilku oficerów”. Samochód oddany do dyspozycji przez *Gau* nadal na mnie czekał, kazałem zawieźć się do Schloss Posen, a po drodze podziwiałem błękitną wieżę i arkadową loggię ratusza oraz kolorowe fasady wąskich mieszczańskich kamienic ściśniętych wokół Starego Rynku, w których odbijało się kilka wieków dyskretnie fantazyjnej pomysłowości architektów, i tak aż do chwili, gdy ta poranna, lekka przyjemność ulotniła się brutalnie na widok samego zamku, rozległego stosu kamiennych bloków, z przylegającym doń wielkim, pustym placem, surowego i najeżonego spadzistymi dachami, z ostrołukową wieżą doklejoną z boku; masywnego, pełnego godności, grozy, monotonii gmachu, przed którym parkowały, jeden po drugim, mercedesy z proporczykami dygnitarzy. Imprezę rozpoczynała seria wykładów wygłaszanych przez ekspertów z otoczenia Speera, w tym Waltera Rohlanda, stalowego magnata, który omawiał po kolei, z żalosną precyzją, stan naszej produkcji wojennej. W pierwszym rzędzie, zasłuchana frasobliwie w te przygnębiające nowiny, siedziała spora część rządowej elity: dr Goebbels, minister Rosenberg, Axmann, dowódca Młodzieży Rzeszy, wielki admirał Dönitz, Feldmarschall Milch z Luftwaffe oraz tłuszcioch o byczym karku i gęstych, zaczesanych do tyłu włosach, o którego spytałem podczas jednej z przerw: Reichsleiter Bormann, osobisty sekretarz Führera i dyrektor kancelarii NSDAP. Oczywiście, znałem to nazwisko, ale niewiele wiedziałem o samym człowieku; w gazetach i kronikach filmowych nie mówiono o nim nigdy, nie pamiętam też, bym kiedyś widział jego zdjęcie. Po Rohlandzie głos zabrał Speer: w swoim wykładzie, który trwał niecałą godzinę, podejmował te same tematy co poprzedniego dnia w Prinz-Albrecht-Palais, tym razem w sposób zadziwiająco bezpośredni, niemal opryskliwy. Dopiero wtedy zauważyłem Mandelbroda: z boku przygotowano specjalne miejsce dla jego zwalistej platformy, a on słuchał z przymkniętymi oczyma, z buddyjską nieuwagą, w obstawie dwóch asystentek — więc naprawdę były dwie — i wysokiej, grubo ciosanej sylwetki Herr Lelanda. Ostatnie słowa Speera wywołały wrzawę: wracając do tematu obstrukcji na poziomie *Gaue*, wspomniał o umowie z Reichsführerem i zagroził surowym potraktowaniem wszystkich opornych. Gdy zszedł z estrady, natychmiast otoczyło go kilku wrzeszczących Gauleiterów; byłem zbyt daleko, w głębi sali, i nie słyszałem, co krzyczeli, ale mogłem sobie wyobrazić. Leland pochylił się i powiedział coś szeptem na

ucho Mandelbrodowi. Następnie zaproszono nas do hotelu Ostland w mieście, gdzie nocowali dygnitarze, na przyjęcie z poczęstunkiem. Asystentki wyprowadziły Mandelbroda tylnymi drzwiami, ale spotkałem go przed zamkiem i podszedłem przywitać się z nim i z Herr Lelandem. Mogłem zobaczyć, jak podróżują: specjalny mercedes z ogromną kabiną był wyposażony w system, dzięki któremu wsuwano do środka zdjęty z platformy fotel; drugim samochodem jechała platforma i obie asystentki. Mandelbrod wziął mnie do siebie, usiadłem na strapontenie. Leland zajął miejsce z przodu, obok szofera. Żałowałem, że nie jadę z dziewczynami: Mandelbrod chyba nie czuł śmierdzących gazów, które wydostawały się z jego ciała; na szczęście jazda trwała krótko. Mandelbrod nie odzywał się, chyba drzemał. Zastanawiałem się, czy wstaje czasem ze swojego fotela, a jeśli nie, to jak się ubiera, jak załatwia potrzeby fizjologiczne. W każdym razie jego asystentki musiały być wystawiane na ciężkie próby. Podczas przyjęcia rozmawiałem z dwoma oficerami Personlicher Stab, Wernerem Grothmannem, który nie mógł uwierzyć, że dostał nominację na miejsce Brandta (Brandt otrzymał promocję na Standartenführera, wchodził na miejsce Wolffa), i z jakimś adiutantem, odpowiedzialnym za sprawy policji. To chyba właśnie oni, jak sądzę, po raz pierwszy opowiedzieli mi, jak duże wrażenie wywołała wśród Gruppenführerów przemowa Reichsführera wygłoszona dwa dni wcześniej. Mówiliśmy też o odejściu Globocnika, które było dla nas wszystkich prawdziwym zaskoczeniem; jednak nie wiedzieliśmy o tym wystarczająco dużo, by móc spekulować na temat motywów przeniesienia. Jedna z dwóch amazonek — rzecz jasna w żaden sposób nie mogłem ich rozpoznać, nie potrafiłem nawet wskazać, która z nich chciała mi się oddać w nocy — wyrosła nagle u mojego boku. „Proszę wybaczyć, meine Herren”, powiedziała z uśmiechem. Też przeprosiłem i ruszyłem za nią, przedzierając się przez tłum. Mandelbrod i Leland rozmawiali ze Speerem i Rohlandem. Zasalutowałem i pogratulowałem Speerowi przemowy; zareagował melancholijnie: „Najwyraźniej nie wszystkim przypadła do gustu”. — „Nic nie szkodzi, odpalił Leland. Jeżeli dogada się pan z Reichsführerem, żaden z tych idiotów nie będzie upierał się przy swoim”. Byłem zaskoczony: nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby Herr Leland wyrażał się w sposób tak brutalny. Speer pokiwał głową. „Niech pan spróbuje utrzymywać stały kontakt z Reichsführerem, dorzucił Mandelbrod. Nie można pozwolić, by opadła ta nowa fala energii. W mniej ważnych kwestiach, jeżeli nie będzie pan chciał niepokoić Reichsführera osobiście, może się pan kontaktować z tym oto moim młodym przyjacielem. Gwarantuję

jego niezawodność”. Speer spojrział na mnie nieuważnie: „Mam już łącznika w ministerstwie”. — „Zapewne, rzucił Mandelbrod. Lecz Sturmbannführer Aue będzie miał prawdopodobnie łatwiejszy dostęp do Reichsführera. Może mu pan śmiało przeszkadzać”. — „Dobrze, dobrze”, odpowiedział Speer. Rohland odezwał się do Lelanda: „Tak więc, zgadzamy się co do Mannheim...” Asystentka Mandelbroda krótko ścisnęła mój łokieć, dając do zrozumienia, że nie będę już potrzebny. Zasalutowałem i dyskretnie wycofałem się w stronę bufetu. Dziewczyna poszła za mną i kazała nalać sobie herbaty, ja zaś skubałem przekąski. „Myślę, że doktor Mandelbrod jest z pana bardzo zadowolony”, odezwała się pięknym, bezbarwnym głosem. — „Nie rozumiem, dlaczego pani mi to mówi, ale skoro tak pani twierdzi, to muszę w to wierzyć. Od dawna pracuje pani dla niego?” — „Od kilku lat”. — „A wcześniej?” — „Robiłam doktorat z filologii klasycznej i niemieckiej we Frankfurcie”. Uniosłem brwi: „Nie domyśliłbym się. Praca na pełnym etacie dla doktora Mandelbroda nie jest dla pani zbyt ciężka? Doktor wydaje się dość wymagający”. — „Każdy służy tam, gdzie jego miejsce, odparła bez wahania. Czuję się niezmiernie zaszczycona zaufaniem, jakim obdarza mnie doktor Mandelbrod. Ludzie tacy jak on i Herr Leland ocalą Niemcy”. Przyjrzałem się jej gładkiej, owalnej, prawie nieumalowanej twarzy. Na pewno była bardzo piękna, ale żaden szczegół, żadna charakterystyczna cecha nie pozwalała uchwycić tej całkiem abstrakcyjnej urody. „Czy mógłbym panią o coś zapytać?”, poprosiłem. — „Oczywiście”. — „Światło na korytarzu w wagonie nie było najlepsze. Czy to pani zapukała do mnie wczoraj?” Roześmiała się krótko i perliście: „Światło nie było takie złe. Ale moja odpowiedź brzmi: nie. To była moja koleżanka Hilde. A co? Wolałby pan mnie?” — „Nie, tylko tak pytam”, wypaliłem głupio. — „Jeśli nadarzy się okazja, powiedziała, patrząc mi prosto w oczy, zrobię to z przyjemnością. Mam nadzieję, że nie będzie pan aż tak zmęczony”. Zaczerwieniłem się: „No to jak pani na imię? Żebym wiedział, w razie czego”. Podała mi małą rękę o opalizujących paznokciach; wewnątrz jej dłoni było suche i miękkie, a uścisk równie mocny jak uścisk mężczyzny. „Hedwig. Dobranoc, Herr Sturmbannführer”.

Reichsführer w otoczeniu milczącej chmary oficerów, z Rudolfem Brandtem u boku, pojawił się około trzeciej po południu, krótko po naszym powrocie do Schloss. Brandt zauważył mnie i przywołał krótkim skinieniem głowy; miał już nowe galony, ale gdy się zbliżyłem, nie dał mi czasu na gratulacje: „Po przemówieniu Reichsführera jedziemy do Krakowa. Pan jedzie z nami”. — „Tak jest, Herr Standartenführer”. Himmler

tymczasem usiadł w pierwszym rzędzie obok Bormanna. Najpierw poczęstował nas swoją przemową Dönitz, który usprawiedliwił czasowe zaniechanie wojny podmorskiej i wyraził nadzieję na rychłe jej podjęcie; później Milch, który z kolei wyraził nadzieję, że taktyki Luftwaffe położą niebawem kres terrorystycznym nalotom na nasze miasta; wreszcie Schepmann, nowy dowódca sztabu generalnego SA, który nie wyraził nadziei na nic, co udałooby mi się zapamiętać. Około wpół do szóstej na trybunę wstąpił Reichsführer. Krwistoczerwone flagi i czarne hełmy warty honorowej otoczyły jego drobną sylwetkę na wysokiej estradzie. Długie tuby mikrofonów niemal całkiem zasłaniały mu twarz. W szklach okularów odbijało się światło. Dzięki nagłośnieniu jego głos przybrał wyraźnie metaliczne tony. O reakcjach audytorium już opowiadałem; żałowałem, że siedzę na końcu sali i oglądam karki raczej aniżeli twarze. Pomimo przerażenia i zaskoczenia mógłbym dodać, że niektóre jego słowa osobiście mnie dotknęły, zwłaszcza te dotyczące skutków, jakie omawiana decyzja mogła wywołać u ludzi, którzy się do niej stosowali, niebezpieczeństwa, jakie w ich własnym mniemaniu im groziło, tego, że *staną się okrutni i obojętni, że przestaną szanować życie ludzkie, albo też całkowicie zmiękną i popadną w słabość lub depresję* — tak, doskonale znałem ów wąski przesmyk między Scyllą a Charybdą, te słowa równie dobrze mogły być skierowane do mnie, i w pewnej mierze, bez fałszywej skromności, mogę stwierdzić, że były, do mnie i do wszystkich, których, tak jak mnie, Reichsführer obarczał straszliwą odpowiedzialnością, świetnie rozumiejąc, przez co przechodzimy. Nie znaczy to, że dał się ponieść jakimkolwiek najmniejszym nawet sentymentom; jak sam brutalnie stwierdził pod koniec przemówienia: *Wielu będzie płakać, ale to nic nie szkodzi; też jest i tak już wiele*, i te słowa w moich uszach zabrzmiały niemal szekspirowsko, choć może wypowiedział je w tamtej przemowie, której treść przeczytałem później, nie jestem pewien, nieważne. Po przemówieniu, była chyba dziewiętnasta, Reichsleiter Bormann zaprosił nas na poczęstunek do sąsiedniej sali. Dygnitarze, zwłaszcza starsi Gauleiterzy, wzięli szturmem bufet. Ponieważ miałem przed sobą podróż z Reichsführerem, powstrzymywałem się od picia. Himmler stał w kącie obok Mandelbroda, z Bormannem, Goebbelsem i Lelandem. Był odwrócony do sali plecami i nie zwracał najmniejszej uwagi na efekt, jaki wywołała jego przemowa. Gauleiterzy pili dużo i rozmawiali szeptem; od czasu do czasu jeden z nich wyszczeniwał jakiś banał, wtedy jego koledzy z namaszczaniem kiwali głowami i pili dalej. Muszę przyznać, że choć przemówienie wywarło na mnie duże wrażenie, osobiście bardziej przejąłem się

krótką scenką, w której brałem udział w południe. Wyraźnie czułem, że Mandelbrod właśnie mnie „ustawia”, ale gdzie i wobec kogo, tego jeszcze nie dostrzegałem. Zbyt mało wiedziałem o jego relacjach z Reichsführerem, i ze Speerem zresztą też, by wyrobić sobie na ten temat zdanie — to mnie niepokoiło, bo czułem, że stawka, o jaką toczy się gra, jest dla mnie niepojęta. Zastanawiałem się, czy Hilde lub Hedwig byłyby w stanie cokolwiek mi wyjaśnić, jednocześnie dobrze wiedziałem, że nawet w łóżku nie zdradziłyby mi niczego, czego nie życzyłyby sobie Mandelbrod. A Speer? Przez długi czas zdawało mi się, iż pamiętam, że on także rozmawiał z Reichsführerem podczas tego przyjęcia. Lecz któregoś dnia, nie tak dawno, dowiedziałem się z jakiejś książki, że on sam od lat stanowczo zaprzecza, jakoby tam był, twierdzi, że wyjechał w porze obiadu z Rohlandem i nie słyszał przemówienia Reichsführera. Mogę tylko stwierdzić, że to całkiem możliwe: sam, po naszej wymianie zdań na przyjęciu w południe, nie zwracałem na niego specjalnie uwagi, koncentrowałem się raczej na dr. Mandelbrodzie i Reichsführerze, poza tym tam naprawdę było dużo ludzi. A jednak zdawało mi się, że go widziałem wieczorem, on sam zresztą opisuje niepohamowaną pijatykę Gauleiterów, po której, jak wspomina w swej książce, wielu z nich trzeba było nieść do specjalnie podstawionego pociągu — ja już wtedy jechałem dalej z Reichsführerem, nie widziałem tego na własne oczy, lecz on przedstawił to tak, jakby tam był, tak więc trudno powiedzieć. Zresztą, nawet jeśli, to były to próżne wykręty: nieważne, słyszał czy też nie słyszał słów Reichsführera; Reichsminister Speer wiedział, jak wszyscy. Przynajmniej w tamtym czasie *wiedział wystarczająco, by zdawać sobie sprawę, iż lepiej nie wiedzieć więcej* — że zacytuje pewnego historyka. Ja sam mogę oświadczyć, że nieco później, gdy lepiej go poznałem, wiedział naprawdę wszystko, w tym także wszystko o kobietach i dzieciach, nie można byłoby ich przetrzymywać bez jego wiedzy. Może nawet nie znał wszystkich szczegółów technicznych, no ale one akurat nie wchodziły w zakres jego ścisłych kompetencji. Nie przeczę, najprawdopodobniej wolałby nie wiedzieć. Gauleiter von Schirach, który tamtego wieczoru siedział rozwalony na krześle z poluzowanym krawatem i rozpiętym kołnierzykiem i pił koniak za koniakiem, też by pewnie wolał nie wiedzieć, a wraz z nim wielu innych, bo zabrakło im odwagi wynikającej z przekonań albo już się bali alianckich represji. Ale trzeba dodać, że ci ludzie, Gauleiterzy, nie zrobili wiele na rzecz produkcji wojennej, a nawet przeszkadzali w niektórych sytuacjach, Speer zaś, i potwierdzają to wszyscy specjaliści, przedłużył żywot narodowosocjalistycznych Niemiec o co najmniej

dwa lata, bardziej niż ktokolwiek inny uczestniczył w przedłużeniu całej sprawy, i przedłużałby ją jeszcze bardziej, gdyby mógł. Na pewno pragnął zwycięstwa, uwijał się jak w ukropie na rzecz zwycięstwa narodowosocjalistycznych Niemiec, które likwidowały Żydów, w tym także kobiety i dzieci, jak również Cyganów i przy okazji wiele innych ras — dlatego, pomimo ogromnego szacunku, jaki żywię dla pracy, którą wykonał jako minister, pozwalam sobie uważać za co najmniej niestosowną tę skruchę, którą publicznie manifestował po wojnie, skruchę, która, to rzecz pewna, ocaliła mu życie, chociaż nie zasłużył na nie ani bardziej, ani mniej niż reszta, na przykład Sauckel czy Jodl, i która później zmusiła go do najbardziej barokowych wykrętów, by utrzymać raz przybraną pozę, chociaż byłoby o wiele prościej, zwłaszcza po odbyciu kary, powiedzieć: „Tak, wiedziałem, i co z tego?”. Trafnie określił to w Jerozolimie mój towarzysz Eichmann, z bezpośrednią prostotą, jak przystało na nieskomplikowanego człowieka: „Skrucha jest dobra dla dzieci”.

Wyszedłem z przyjęcia około dwudziestej, na rozkaz Brandta, nie miałem nawet czasu pożegnać się z pogrążonym w dyskusji dr. Mandelbrodem. Zawieziono mnie i kilku innych oficerów do hotelu Posen, żebyśmy mogli zabrać rzeczy, a następnie na dworzec, gdzie czekał specjalny pociąg Reichsführera. Znów dostałem do dyspozycji prywatny przedział, był on jednak dużo mniejszy od tego, którym jechałem w wagonie Mandelbroda, i miał wąską kuszetkę. Pociąg ten, nazwany Heinrich, był skonstruowany bardzo przemyślnie: na przodzie, oprócz opancerzonych osobistych wagonów Reichsführera, znajdowały się wagony urządzone jak biura i ruchome centra komunikacji, chronione przez platformy wyposażone w działa przeciwlotnicze — gdyby zaistniała taka potrzeba, cała Reichsführung-SS mogła pracować poza siedzibą. Nie zauważyłem, kiedy wsiadł Reichsführer. Pociąg ruszył niedługo po naszym przybyciu. Tym razem w przedziale było okno, mogłem zgasić światło, usiąść w ciemnościach i patrzeć w noc, piękną i jasną noc jesienną, rozświetloną światłem gwiazd i cienkiego księżyca, który lekką metaliczną poświatą oblewał ubogi polski krajobraz. Posen dzieli od Krakowa około czterystu kilometrów, jednak pociąg zatrzymywał się często ze względu na alarmy i przeszkody na torach; na miejsce dotarliśmy grubo po świcie. Obudziłem się, usiadłem na leżance i patrzyłem, jak powoli różowieją szare równiny i kartofliska. Na dworcu w Krakowie czekała na nas warta honorowa, z generalnym gubernatorem na czele, z

czerwonym dywanem i fanfarami. Franka dostrzegłem z daleka, stał otoczony wianuszkami młodych Polek w strojach ludowych, z koszami pełnymi kwiatów; posłał Reichsführerowi niemieckie pozdrowienie z takim rozmachem, że zatrzeszczały szwy jego munduru. Zamienił z nim też, bardzo ożywiony, parę słów, po czym znikł we wnętrzu olbrzymiego forda berline. Przydzielono nam pokoje w hotelu położonym u stóp Wawelu. Wykąpałem się, starannie ogoliłem i oddałem jeden z mundurów do czyszczenia. Następnie ruszyłem pięknymi, starymi, słonecznymi ulicami Krakowa do biur HSSPF, skąd wysłałem teleks do Berlina z zapytaniem o stopień zaawansowania prac nad moim projektem. W południe uczestniczyłem w oficjalnym obiedzie jako członek delegacji Reichsführera. Usadzono mnie przy wspólnym stole z kilkoma oficerami SS i Wehrmachtu oraz z pomniejszych funkcjonariuszami Generalnego Gubernatorstwa; przy głównym stole, obok Reichsführera i generalnego gubernatora siedział Bierkamp, niestety, nie miałem okazji go pozdrowić. Dyskusja dotyczyła zwłaszcza Lublina, ludzie Franka potwierdzili krążącą po GG plotkę, że Globocnik został wyrzucony za homeryckie malwersacje: według jednej wersji Reichsführer życzył sobie podobno, by go aresztować i osądzić, gwoli przykładu, jednak przewidujący Globocnik zebrał zawczasu sporą liczbę kompromitujących dokumentów, którymi posłużył się, by wynegocjować dla siebie wysoką emeryturę na rodzinnym wybrzeżu. Po uczcie miały się zacząć przemówienia, jednak nie czekałem na nie, tylko wróciłem do miasta, żeby zdać raport Brandtowi, który zatrzymał się w siedzibie HSSPF. Nie miałem zbyt wiele do powiedzenia: poza zgodą departamentu D III nie dotarły do nas jeszcze opinie reszty departamentów ani RSHA. Brandt nakazał, żebym po powrocie nadał sprawie szybszy obrót: Reichsführer życzył sobie, by projekt był gotowy w połowie miesiąca.

Frank wyraźnie nie szczędził pieniędzy na wieczorne przyjęcie. Gwardia honorowa z szablami w dłoniach, w mundurach z połyskującymi złotem galonami, stała w rzędzie po przekątnej wawelskiego dziedzińca; inni żołnierze, rozstawieni co trzy stopnie na schodach, prezentowali broń. W drzwiach sali balowej przyjmował gości ubrany w mundur SA Frank we własnej osobie oraz jego małżonka — matrona o białym ciele, wylewającym się z ohydnej kreacji z zielonego weluru. Wawel jarzył się tysiącem świateł, z miasta widać było, jak błyszczy na szczycie wzgórza; girlandy elektrycznych żarówek zdobiły wysokie kolumny otaczające dziedziniec, a żołnierze poustawiani za rzędem warty honorowej trzymali w dłoniach pochodnie; gdy wychodziło się z sali balowej na

przechadzkę, można było odnieść wrażenie, że dziedziniec otaczają płonące pierścienie, tworzące świetlną studnię, na której dnie skwierczały cicho ustawione w równoległych rzędach żagwie. Z drugiej strony zamku, z zawieszzonego tam ogromnego balkonu, goście mogli podziwiać rozciągające się u ich stóp miasto, ciemne i ciche. Na estradzie, w głębi głównej sali, orkiestra grała wiedeńskie walce. Funkcjonariusze GG przyprowadzili małżonki, kilka par tańczyło, inni pili, śmiali się, brali przystawki z uginających się pod ciężarem jadła stołów albo, tak jak ja, obserwowali tłum. Poza kilkoma kolegami z delegacji Reichsführera nie znałem tu prawie nikogo. Podziwiałem kasetonowy sufit wykonany z wielobarwnego, cennego drewna, ozdobiony rozmieszczonymi pojedynczo polichromowanymi rzeźbami głów brodatych żołnierzy, mieszczan w kapeluszach, wystrojonych dworzan, zalotnych kobiet — niewzruszone patrzyły w dół na nas, na nieznaną najeźdźców. Schody główne wiodły do innych, otwartych przez Franka sal, a w każdej był bufet, każda była pełna foteli i sof dla tych, którzy mieli ochotę odpocząć lub się wyciszyć. Stare kobierce, duże i piękne, łamały harmonijną perspektywę ułożonej z czarnych i białych rombów posadzki, tłumiąc odgłos kroków, który w innych miejscach odbijał się echem od marmuru. Wszędzie drzwi prowadzących z sali do sali pilnowało dwóch wartowników w hełmach, trzymali szable na sztorc tuż przy nosach, niczym angielska gwardia konna. Z kieliszkiem wina w dłoni przemierzałem kolejne pomieszczenia, podziwiając fryzy, sklepienia i obrazy. Niestety, na początku wojny Polacy wywieźli gdzieś słynne flamandzkie arraszy Zygmunta Augusta. Podobno ukryto je w Anglii, a może nawet w Kanadzie, i Frank często wyrażał oburzenie tym, co nazywał działaniem na szkodę polskiego dziedzictwa kulturowego. Znużony, dołączyłem wreszcie do grupki oficerów SS, którzy gawędzili o upadku Neapolu i wyczynach Skorzenego. Słuchałem ich rozkojarzony ponieważ moją uwagę przykuwał dziwny dźwięk, coś w rodzaju rytmicznego tarcia. Był coraz bliższy, rozejrzałem się, poczułem, że coś uderza o cholewę mojego buta i spuściłem wzrok: zderzył się ze mną kolorowy samochodzik na pedały, ze ślicznym jasnowłosym dzieckiem za kierownicą. Chłopiec patrzył na mnie surowo, bez słowa, zaciskając na kierownicy tłuste rączki. Miał jakieś cztery, pięć lat, ubrany był w ładny garniturek w pepitkę. Uśmiechnąłem się, ale on nadal milczał. Wtedy zrozumiałem i odsunąłem się z ukłonem; zaczął zacięcie pedałowac i bez słowa skierował się ku sąsiedniej sali, po czym zniknął pomiędzy posągowymi strażnikami. Po kilku minutach usłyszałem, jak wraca: sunął prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na ludzi,

zmuszonych schodzić mu z drogi. Dojechał wreszcie do bufetu, zatrzymał się i wygramolił z samochodzika, żeby wziąć sobie kawałek ciasta, ale miał za krótkie ręce i chociaż wspinał się na palce, nie mógł dosięgnąć. Podszedłem i spytałem: „Który chcesz kawałek?”. Bez słowa wskazał palcem na *Sacher Torte*. „Znasz niemiecki?”, spytałem. Oburzył się: „Oczywiście, że znam niemiecki!”. — „A więc znasz również zapewne słowo *bitte*”. Pokręcił głową: „Ja nie muszę mówić *bitte*!”. — „A to dlaczego?” — „A dlatego, że mój tata jest królem Polski i wszyscy tutaj muszą go słuchać!” Skinąłem głową: „To świetnie. W takim razie powinieneś nauczyć się rozpoznawać mundury. Ja nie służę twojemu ojcu. Służę Reichsführerowi SS. Więc, jeżeli chcesz kawałek ciasta, musisz powiedzieć *bitte*”. Chłopiec zacisnął wargi i zawahał się; nie nawykł do takiego oporu. W końcu dał za wygraną: „Czy mógłbym dostać ciasto, *bitte*”. Podałem mu kawałek tortu. Jedząc i mażąc sobie twarz czekoladą, taksował wzrokiem mój mundur. Wskazał palcem Krzyż Żelazny: „Jest pan bohaterem?”. — „W pewnym sensie tak”. — „Był pan na wojnie?” — „Tak”. — „Mój tata wydaje rozkazy, ale nie poszedł na wojnę”. — „Wiem. Mieszkaś tu cały czas?” Skinął twierdząco. — „Dobrze ci się żyje w zamku?” Wzruszył ramionami. „Może być. Tylko dzieci nie ma”. — „Masz chyba rodzeństwo?” Kiwnął głową: „Tak. Ale nie bawię się z nimi”. — „Czemu?” — „Nie wiem. Tak już jest”. Chciałem spytać, jak mu na imię, ale przy wejściu do sali powstało wielkie zamieszanie: szedł ku nam tłum ludzi, z Frankiem i Reichsführerem na czele. „O, jesteście!, wykrzyknął Frank na widok małego. Chodź, chodź z nami. Pan także, Sturmbannführer!” Frank wziął syna na ręce i wskazał mi pojazd: „Mógłby go pan zabrać?”. Podniosłem samochodzik i poszedłem za nimi. Tłum przepłynął przez wszystkie sale i zbił się przed drzwiami, które Frank kazał otworzyć. Odsunął się, przepuszczając Himmlera: „Proszę przodem, drogi Reichsführer. Proszę, proszę wejść”. Opuścił syna na podłogę, pchnął go przed sobą, zastanowił się, odszukał mnie wzrokiem i szepnął: „Niech pan to postawi gdzieś w kącie. Później to zabierzemy”. Wszedłem za nimi do sali i zostawiłem samochodzik. Pośrodku pomieszczenia znajdował się duży stół, a na nim jakiś przedmiot, przykryty czarną tkaniną. Frank z Reichsführerem u boku czekał na resztę gości i rozstawiał przybyłych wokół stołu, który mierzył co najmniej trzy na cztery metry. Mały znów stał na palcach tuż przy stole, ledwo sięgając głową blatu. Frank rozejrzał się, zauważył mnie, trzymałem się nieco z boku, i zawołał: „Proszę wybaczyć, Sturmbannführer. Mam wrażenie, że zdążyliście się już zaprzyjaźnić. Zechciałby pan podnieść go tak, żeby widział?”.

Pochyliłem się i podniosłem dziecko; Frank zrobił mi miejsce obok siebie; czekając, aż wejdą wszyscy goście, przeczesywał włosy ostro zakończonymi palcami i poklepywał ordery. Wyglądał, jakby z wielkim trudem zachowywał cierpliwość. Gdy nareszcie wszyscy znaleźli się w środku, Frank odwrócił się do Himmlera i oświadczył uroczystym tonem: „Mój drogi Reichsführer, to, co za chwilę pan ujrzy, to ucieleśnienie idei, nad którą od pewnego czasu rozmyślam w wolnych chwilach. Jest to projekt, który, mam nadzieję, uświetni po wojnie miasto Kraków, stolicę Generalnego Gubernatorstwa Polski, i uczyni z niego atrakcję znaną w całych Niemczech. Pragnę, gdy tylko zostanie zrealizowany, zadedykować go naszemu Führerowi z okazji urodzin, ale ponieważ zaszczycił nas pan swoją wizytą, nie chcę dłużej trzymać tych planów w sekrecie”. Jego pyzata twarz, o niewyraźnych, mięsistych rysach, promieniała zadowoleniem; Reichsführer, z rękoma założonymi za plecy, przyglądał mu się zza szkieł *pince-nez* z miną na poły sarkastyczną, na poły znudzoną. Ja żywiłem przede wszystkim nadzieję, że będzie się streszczało: dziecko zaczynało mi ciążyć. Frank dał znak i kilku żołnierzy ściągnęło tkaninę, odsłaniając sporą architektoniczną makietę, pełną drzewek i krętych drózek wytyczonych pomiędzy ogrodzonymi domkami w różnych stylach. Podczas gdy Frank puszył się nad makietą, Himmler przyglądał się jej. „Co to jest?, spytał w końcu. Wygląda jak zoo”. — „Prawie, mój drogi Reichsführer, parsknął Frank, wetknąwszy kciuki w kieszenie kurtki. Jest to, jak mówią wiedeńczycy, *Menschengarten*, ogród antropologiczny, który planuję wybudować tu, w Krakowie”. Zrobił szeroki gest nad makietą. „Pamięta pan, mój drogi Reichsführer, z czasów naszej młodości, jeszcze przed wojny, takie *Völkerschauen* Hagenbecka? Z rodzinami z Samoa, z Lapończykami, z Sudańczykami? Jeden przyjechał kiedyś do Monachium, ojciec mnie zaprowadził. Na pewno też widział pan coś takiego. Były w Hamburgu, we Frankfurcie, w Bazylei, wielki sukces”. Reichsführer potarł podbródek. „Tak, tak, pamiętam. To były objazdowe wystawy, nieprawdaż?” — „Tak. Ale to będzie stała ekspozycja, tak jak zoo. I nie będzie służyć uciechu ludności, mój drogi Reichsführer, lecz jako narzędzie pedagogiczne i naukowe. Zbierzemy przykładowe okazy wszystkich europejskich ludów, które wyginęły lub są zagrożone wyginięciem, by w ten sposób zachować ich żywy ślad. Będą tu przyjeżdżać całe autokary niemieckich uczniów. Proszę tylko spojrzeć, proszę spojrzeć!” Wskazał na jeden z domków: bryła była przecięta na pół, wewnątrz tkwiły maleńkie figurki, usadzone wokół stołu, na którym stał siedmioramienny świecznik. „Tu na przykład Żydzi, wybrałem tych z Galicji jako

najbardziej reprezentatywnych spośród *Ostjuden*. Urządzenie domu jest typowe dla ich brudnych nor; oczywiście trzeba będzie regularnie przeprowadzać dezynfekcję i poddawać okazy kontroli medycznej, aby nie dopuścić do zarażenia zwiedzających. Chcę, żeby to byli Żydzi pobożni, bardzo pobożni, da im się Talmud i zwiedzający będą mieli okazję obserwować ich w trakcie mamrotania modlitw albo patrzeć, jak kobieta przygotowuje koszerne posiłki. Tu mamy polskich chłopów z Mazur; tu zaś bolszewickich kołchoźników; tam Rosjan, a tu Ukraińców, widzi pan, to ci w haftowanych koszulach. Ten duży budynek to będzie siedziba instytutu badań antropologicznych. Sam obejmę w nim jedną katedrę. Uczni będą mogli badać na miejscu te, niegdyś tak liczne, ludy. Będzie to dla nich wyjątkowa okazja”. — „Fascynujące, mruknął Reichsführer. A zwykli zwiedzający?” — „Będą swobodnie przechadzać się pomiędzy zagrodami, patrzeć, jak okazy pracują w ogródkach, trzepią dywany, wieszają pranie. Poza tym planujemy zwiedzanie poszczególnych domów z przewodnikiem i odpowiednim komentarzem, co umożliwi obserwację mieszkań i zwyczajów”. — „A w jaki sposób ta placówka miałaby przetrwać? Te pańskie okazy zestarzeją się przecież, niektóre poumierają”. — „No właśnie, w tej kwestii, mój drogi Reichsführer, będę potrzebował pańskiego wsparcia. Chciałbym mieć po kilka dziesiątek okazów na grupę etniczną. Żeniłyby się między sobą i rozmnażały. Wystawiana będzie tylko jedna rodzina, reszta posłuży za zastępstwo w razie chorób, za reproduktorów i nauczycieli przekazujących potomstwu zwyczaję, modlitwy i tak dalej. Myślę, że mogliby być trzymeni w pobliżu, w obozie, pod nadzorem SS”. — „Jeśli Führer się zgodzi, to byłoby możliwe. Ale będziemy musieli to przedyskutować. Nie ma pewności, że utrzymanie niektórych ginących ras, nawet w takiej formie, jest rzeczą pożądaną. To mogłoby być niebezpieczne”. — „Oczywiście, powzięte zostaną wszelkie środki ostrożności. Moim zdaniem taka instytucja okaże się dla nauki czymś cennym i niezastąpionym. Jak przyszłe pokolenia mogłyby zrozumieć doniosłość naszego dzieła, skoro nie będą miały pojęcia o panujących tu dawniej warunkach?” — „Ma pan zapewne rację, mój drogi Frank. To piękna idea. A w jaki sposób zamierza pan finansować ten... *Völkerschauplatz*?” — „Działalność handlowa. Jedyne instytut badań będzie korzystał z subsydiów. By utrzymać ogród, stworzymy prywatną spółkę i będziemy podejmować kapitał drogą przedpłat. Gdy już zamortyzuje się wyjściowa inwestycja, opłaty za bilety pokryją koszty utrzymania. Zebrałem dokumentację dotyczącą wystaw Hagenbecka: generowały znaczne dochody. Paryski Ogród Aklimatyzacyjny przynosił straty do chwili,

gdy jego dyrektor, w 1877 roku, zorganizował wystawy etnologiczne, prezentując Nubijczyków i Eskimosów. W pierwszym roku zanotowano milion płatnych wejść. Trwało to aż do Wielkiej Wojny”. Reichsführer pokiwał głową: „Piękna idea”. Przyglądał się z bliska makiecie; Frank zwracał mu od czasu do czasu uwagę na jakiś szczegół. Chłopiec zaczął się kręcić, postawiłem go więc na podłodze: wsiadł do samochodzika i wyjechał za drzwi. Goście też ruszyli do wyjścia. W jednej z sal natknąłem się na Bierkampa, nadal był dla mnie słodki jak miód, chwilę z nim porozmawiałem. Wyszedłem zapalić, stanąłem w cieniu kolumnady i podziwiałem barokowy przepych iluminacji oraz tej warty, wojowniczej i barbarzyńskiej, jakby celowo ustawionej tutaj, by podkreślać piękne formy zamku. „Dobry wieczór”, usłyszałem tuż obok. Niesamowite, prawda?” Odwróciłem się i zobaczyłem Osnabruggego, uprzejmego inżyniera mostów i szos, którego poznałem w Kijowie. „Dobry wieczór! Cóż za miła niespodzianka”. — „Sporo wody upłynęło pod ruinami mostów na Dnieprze!” Trzymał w dłoni kieliszek czerwonego wina, wypiliśmy za ponowne spotkanie. — „No więc, spytał, coż pana przywiodło do *Frank-Reich*?” — „Towarzyszę Reichsführerowi. A pan?” Jego dobroduszną, owalną twarz przybrała przebiegły, zaferowany wyraz: „Tajemnica państwowa!”. Zmrużył oczy i uśmiechnął się: „Ale panu mogę powiedzieć: mam misję dla OKH. Przygotowuję programy wyburzania mostów w dystrykcie lubelskim i w Galicji”. Spojrzałem na niego zdziwiony: „Po jaką cholere?” — „No przecież, na wypadek najazdu Sowieców”. — „Ale bolszewicy są na wysokości Dniepru!” Potarł krótki nos; zauważyłem, że mocno wyłysiał. „Przeszli przez niego dzisiaj, powiedział po chwili. Zajęli też Nowel”. — „No, ale to mimo wszystko daleko. Zatrzymamy ich znacznie wcześniej. Nie sądzi pan, że pańskie przygotowania są w pewnej mierze objawem defetyzmu?” — „Ależ skąd: to zapobiegliwość. Zaleta — przypominam — nadal jeszcze ceniona przez wojskowych. Zresztą, robię, co mi każą. To samo robiłem wiosną w Smoleńsku i latem na Białorusi”. — „Na czym polega program wyburzania mostów? Mógłby mi pan wyjaśnić?” Zafrasował się: „Och, to nic trudnego. Lokalni inżynierowie wykonują badania dotyczące każdego mostu przeznaczonego do wysadzenia; a ja przeglądam materiały, zatwierdzam je, a następnie obliczamy masę materiałów wybuchowych potrzebnych na cały dystrykt, liczbę detonatorów i tym podobne, po czym podejmujemy decyzje dotyczące sposobu przechowywania ich na miejscu; wreszcie wyznaczamy orientacyjne fazy, dzięki którym lokalni dowódcy będą dokładnie wiedzieć, kiedy podłożyć ładunki, kiedy zainstalować

detonatory i w jakich warunkach wcisnąć guzik. Taki plan. Dzięki temu, w nieprzewidzianych wypadkach, nie zaistnieje konieczność oddania mostów wrogowi z powodu braku materiałów, umożliwiających ich wysadzenie”. — „Nadal żadnego pan nie zbudował?” — „Niestety, nie! Zgubiła mnie misja na Ukrainie: mój raport o sowieckich zniszczeniach tak się spodobał głównemu inżynierowi OKHG Południe, że podał go dalej, do OKH. Wezwano mnie do Berlina i awansowano na szefa Departamentu Wysadzeń — wyłącznie w kwestii mostów, w gestii innych sekcji pozostają fabryki, trakcje kolejowe, drogi; lotniska należą do Luftwaffe, ale od czasu do czasu urządzamy wspólne konferencje. Cóż, zajmuję się już tylko tym. Wszystkie mosty na Manyczu i na dolnym Dnieprze to moja robota. Doniec, Desna, Oka — też ja. Wysadziłem setki mostów. To żalosne. Żona się cieszy, bo zyskuję coraz wyższe stopnie — poklepał szlifę: istotnie, od czasu Kijowa sporo awansował — a mnie pęka serce. Za każdym razem czuję się tak, jakbym mordował dziecko”. — „Nie powinien pan tak na to patrzeć, Herr Oberst. W końcu to ciągle jeszcze sowieckie mosty”. — „Zgoda, lecz jeśli tak dalej pójdzie, pewnego dnia przyjdzie czas i na mosty niemieckie”. Uśmiechnąłem się: „To już prawdziwy defetyzm”. — „Proszę wybaczyć. Czasem ogarnia mnie zniechęcenie. Już jako dziecko lubiłem budować, podczas gdy moi koledzy z klasy woleli psuć”. — „Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Chodźmy napełnić kieliszki”. W wielkiej sali orkiestra grała Liszta, a kilka par nadal tańczyło. Frank siedział przy stole z Himmlerem i swoim Staatsekretarem Bühlerem, prowadzili ożywioną dyskusję, popijając kawę i koniak; nawet przed Reichsführerem, który palił grube cygaro, stał, wbrew jego nawykowi, pełen kieliszek. Frank pochylał się do przodu, jego wilgotne oczy zasnuła już alkoholowa mgiełka; Himmler marszczył brwi z surową miną. Chyba nie podobała mu się muzyka. Znów napiłem się z Osnabruggem; utwór dobiegał końca. Gdy orkiestra umilkła, Frank chwycił kieliszek z koniakiem i wstał. Patrząc na Himmlera, oświadczył głosem mocnym, lecz nazbyt wysokim: „Mój drogi Reichsführer, zapewne zna pan ten stary, popularny czterowiersz: *Clarum regnum Polonorum / Est coelum nobiliorum / Paradisum judeorum / Et infernum Rusticorum*. Szlachta wyginęła już dawno i dzięki naszym wysiłkom Żydzi także; chłopstwo, w przyszłości, będzie się bogacić i nam błogosławić, a Polska będzie Niebem i Rajem dla narodu niemieckiego, *Coelum et Paradisum Germanorium*”. Słyszając jego niepoprawną łacinę, jedna z siedzących obok kobiet prychnęła głośno; Frau Frank, usadowiona przy mężu niczym hinduskie bóstwo, zgromiła ją wzrokiem. Reichsführer,

niewzruszony, patrząc chłodnym, nieprzeniknionym wzrokiem zza szkieł *pince-nez*, uniósł kieliszek i umoczył wargi. Frank obszedł stół, przeszedł przez salę i jednym zwinnym skokiem znalazł się na scenie. Pianista natychmiast poderwał się i zniknął. Frank wślizgnął się na jego miejsce i odetchnąwszy głęboko, poruszył długimi, białymi tłustymi palcami nad klawiaturą. Zagrał nokturn Chopina. Reichsführer westchnął; mrugał szybko powiekami i zaciągał się cygarem tak mocno, że omal nie zgasło. Osnabrugge pochylił się ku mnie: „Wygląda na to, że generalny gubernator specjalnie drażni się z pańskim Reichsführerem, nie uważa pan?”. — „To byłoby dość infantylne, prawda?” — „Jest obrażony. Mówią, że znów próbował podać się do dymisji w zeszłym miesiącu i że Führer znowu odmówił”. — „Rozumiem, że nie kontroluje tutaj zbyt wielu spraw”. — „Według moich kolegów z Wehrmachtu — niczego. Polska to *Frankreich ohne Reich*. Albo raczej *ohne Frank*”. — „W sumie to mały książę, nie żaden król”. Należało jednak przyznać, że poza wyborem utworu — jeśli już grać Chopina, to coś lepszego niż nokturny — Frank grał nieźle, choć może ze zbytnią emfazą. Patrzyłem na jego żonę, której tłuste, poczerwieniałe ramiona i piersi lśniły potem, wylewając się z dekoltu sukni: jej małe, zagłębione w twarzy oczka błyszcząły z dumy. Chłopiec gdzieś zniknął, od jakiegoś czasu nie słyszałem już nachalnego skrzypienia pedałów samochodzika. Robiło się późno, goście zaczęli się żegnać. Brandt podszedł do Reichsführera i zwróciwszy spokojną ptasią twarz ku scenie, stał w pogotowiu. Napisałem w notesie swoje numery telefonów, wyrwałem kartkę, podałem Osnabruggemu. „Proszę. Jeśli będzie pan w Berlinie, proszę zadzwonić, pójdziemy się czegoś napić”. — „Wyjeżdża pan?” Ruchem podbródka wskazałem na Reichsführera, a Osnabrugge zmarszczył brwi: „Ach. Dobranoc więc. Cieszę się, że pana spotkałem”. Na scenie Frank kończył popis, kiwając głową. Skrzywiłem się: to nie pasowało nawet do Chopina, generalny gubernator naprawdę nadużywał legato.

Reichsführer wyjeżdżał nazajutrz rano. Na zaorane pola Warthegau spadł jesienny deszcz i pozostawił po sobie brudne kałuże wielkości stawów, które wchłonęły całe światło z nieruchomego nieba. Sosnowe lasy, które zawsze zdawały mi się skrywać jakieś wstrętne, ciemne czyny, czerniły błotnisty krajobraz, który przemykał mi przed oczami; i tylko gdzieś tam rzadkie w tych regionach brzozy w ognistych pióropuszcach protestowały słabo przeciw nadejściu zimy. W Berlinie padało, ludzie przemykali

spiesznie w zmoczonych ubraniach. W splekanych od uderzeń bomb chodnikach woda tworzyła czasem rozlewiska nie do przebycia, przechodnie musieli zawracać i przechodzić innymi ulicami. Następnego dnia po powrocie udałem się do Oranienburga, by pchnąć sprawy do przodu. Byłem przekonany, że najwięcej trudności sprawi mi Sturmbannführer Burger, nowy Amtchef D IV, ale Burger słuchał mnie przez kilka minut i oświadczył tylko: „Jeżeli są na to pieniądze, mnie jest wszystko jedno”, i rozkazał swojemu adiutantowi napisać list wyrażający poparcie. Natomiast wiele trudności sprawił mi Maurer. Nie był zadowolony z postępów mojego projektu dla *Arbeitseinsatz*, twierdził, że nie jest wyczerpujący, i wyraził szczerą obawę, że jego akceptacja może być równoznaczna z ryzykiem zablokowania projektu na jakiegokolwiek ewentualne poprawki w przyszłości. Przez ponad godzinę wyjaśniałem mu, używając wszelkich możliwych argumentów, że bez zgody RSHA nie będzie można niczego przedsięwziąć i że RSHA nie poprze zbyt liberalnego projektu z obawy o faworyzowanie Żydów i innych niebezpiecznych wrogów. Było mi wyjątkowo trudno porozumieć się z nim w tej kwestii; plątał się, powtarzał w kółko, że właśnie w przypadku Żydów z Auschwitz liczby się nie zgadzają, że skoro według statystyk pracuje tylko niecałe 10% z nich, to co się dzieje z resztą? Uważał, że to niemożliwe, by tylu ludzi było niezdolnych do pracy. Zarzucał Hössa listami w tej sprawie, ale tamten odpowiadał na nie w sposób niejasny, albo też nie odpowiadał wcale. Wyraźnie szukał wytłumaczenia, ale uznałem, że nie do mnie należy dostarczenie mu go; zasugerowałem tylko, że być może inspekcja na miejscu pozwoliłaby mu zrozumieć pewne sprawy. Jednak Maurer nie miał czasu na inspekcję. Wreszcie udało mi się wyciągnąć od niego częściową akceptację: nie sprzeciwiał się sposobom klasyfikacji, jednak ze swojej strony żądał, by zwiększyć skalę przedsięwzięcia. Po powrocie do Berlina złożyłem sprawozdanie Brandtowi. Zauważyłem, że według posiadanych przeze mnie informacji RSHA powinien zaakceptować projekt, chociaż nie otrzymałem jeszcze pisemnej zgody. Poleciał mi, bym przygotował dla niego raport z kopią dla Pohla; Reichsführer miał podjąć ostateczną decyzję w późniejszym terminie, ale to posłuży na razie za podstawę prac. Kazał mi się zapoznać z raportami SD na temat cudzoziemskich robotników i zacząć powoli rozpatrywać także to zagadnienie.

Był to dzień moich urodzin: trzydziestych. Tak jak w Kijowie zaprosiłem Thomasa na kolację, nie chciałem widzieć nikogo innego. Prawdę mówiąc, miałem w Berlinie wielu znajomych, dawnych kolegów ze studiów czy z SD, ale nikogo prócz Thomasa nie

uważałem za przyjaciela. Od czasów rekonwalescencji rozmyślnie żyłem w samotności; pogrążony w pracy wiodłem, poza kontaktami zawodowymi, marne życie towarzyskie, nie mówiąc nawet o życiu uczuciowym czy seksualnym. Zresztą — nie czułem żadnych potrzeb tego rodzaju; na wspomnienie paryskich wyczynów czułem się niezręcznie, nie miałem ochoty na szybki powrót do brudnych przygód. Nie myślałem o siostrze ani też o nieboszczce matce; w każdym razie nie przypominam sobie, bym myślał o nich często. Być może, na skutek odniesienia tej strasznej rany (która, choć całkiem zagojona, przerażała mnie zawsze, gdy o niej pomyślałem, pozbawiała mnie nagle wszelkiego życia, jak gdybym był ze szkła, z kryształu i mógłbym, przy najlżejszym dotknięciu, rozpaść się na tysiące kawałków) i po wstrząsających wiosennych wydarzeniach, mój umysł domagał się monotonnego spokoju, odrzucając wszystko, co mogło go zaburzyć. Lecz tamtego wieczoru — przyszedłem nieco przed czasem i zamówiłem koniak przy barze — znów pomyślałem o siostrze: w końcu to były także jej trzydzieste urodziny. Gdzie je obchodziła? W Szwajcarii, w sanatorium pełnym cudzoziemców? W ponurym domostwie na Pomorzu? Dawno już nie świętowaliśmy wspólnie naszych urodzin. Próbowałem wrócić pamięcią do ostatniego razu: to musiało mieć miejsce, gdy byliśmy dziećmi, w Antibes, ale, ku mej wielkiej rozpaczy, choć skupiałem się mocno, nie potrafiłem sobie tego przypomnieć, przywołać tej sceny. Mogłem obliczyć datę: na logikę był to rok 1926, bo w 1927 byliśmy już w gimnazjum. Kończyliśmy więc trzynaście lat, powinienem to pamiętać, ale nic z tego, nic nie przychodziło mi do głowy. Być może zachowały się jakieś fotografie w kartonach albo skrzynkach na strychu w Antibes? Żałowałem, że nie przeszukałem ich lepiej. Im intensywniej skupiałem się na tym, w sumie idiotycznym szczególe, tym bardziej zasmucały mnie luki w pamięci. Na szczęście przyszedł Thomas i sprawił, że ulotnił się mój spleen. Pewnie już to mówiłem, ale mogę powtórzyć: lubiłem spontaniczny optymizm Thomasa, jego żywiołowość, inteligencję, spokojny cynizm. Jego plotki, wypowiedzi naszpikowane podtekstami zawsze sprawiały mi radość, bo wydawało mi się, że wchodzę wraz z nim pod podszewkę życia, ukrytą przed wzrokiem niewtajemniczonych, którzy dostrzegają wyłącznie oczywiste działania ludzi — on wywracał tę podszewkę na wierzch dzięki znajomości rozproszonych powiązań, sekretnych związków, dyskusji prowadzonych za zamkniętymi drzwiami. Potrafił wydedukować przetasowania sił politycznych na podstawie wiadomości o jakimś spotkaniu, nawet jeśli nie znał treści rozmowy; i choć czasem się mylił, głód informacji

umożliwiał mu bezustanne korygowanie tych piętrzących się konstrukcji myślowych. A jednocześnie nie miał za grosz wyobraźni — zawsze uważałem, że choć potrafi w kilku liniijkach opisać złożony widok, byłby z niego kiepski powieściopisarz: jego przemyślenia i intuicja krążyły zawsze wokół jednego tylko celu, a był nim interes własny i o ile, mając go na uwadze, mylił się bardzo rzadko, o tyle nie był zdolny wyobrazić sobie innej motywacji dla ludzkich czynów i słów. Jego pasja — tym się różnił od Vossa (przypomniałem sobie moje poprzednie urodziny i zrobiło mi się żal tej krótkiej przyjaźni) — jego pasja nie była pasją czystej wiedzy, wiedzy dla wiedzy, lecz wyłącznie pasją wiedzy praktycznej, dostarczającej narzędzi potrzebnych do działania. Tamtego wieczoru opowiadał mi dużo o Schellenbergu, ale w sposób dziwnie naszpikowany aluzjami, jak gdybym był w stanie sam je zrozumieć: Schellenberg ma wątpliwości, Schellenberg zastanawia się nad alternatywnymi rozwiązaniami, lecz czego dotyczyły owe wątpliwości i na czym miałyby polegać te alternatywy — tego nie chciał powiedzieć. Znałem trochę Schellenberga, ale nie mogę powiedzieć, że go ceniłem. Zajmował w RSHA nieco odrębną pozycję, dzięki, jak sądzę, uprzywilejowanym stosunkom z Reichsführerem. Nie uważałem go za narodowego socjalistę z prawdziwego zdarzenia, raczej za inżyniera władzy, oczarowanego władzą samą w sobie, nie jej przedmiotem. Gdy przeglądam to, co do tej pory napisałem, widzę, że to samo moglibyście pomyśleć o Thomasie. Ale Thomas to co innego; nawet jeśli wystrzegał się jak diabła teoretycznych i ideologicznych dyskusji — co tłumaczyło, na przykład, jego niechęć do Ohlendorfa — i nawet jeśli przesadnie dbał o własną przyszłość, to każdym jego, nawet najmniej znaczącym, przedsięwzięciem, kierował instynkt narodowego socjalisty. Schellenberg był chorągiewką na wietrze — bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że pracuje dla brytyjskiego wywiadu czy dla OSS, co w przypadku Thomasa było nie do pomyślenia. Schellenberg miał w zwyczaju nazywać *kurwami* ludzi, których nie lubił, i było to odpowiednie dla niego określenie, a jeśli się dobrze zastanowić, prawdą jest, że obelgi, które wybierają sobie ludzie, te, które spontanicznie cisną im się na usta, odkrywają często ich własne, ukryte przywary, bo w sposób naturalny ludzie nienawidzą tego, co najbardziej sami przypominają. Ta myśl nie opuszczała mnie przez cały wieczór, więc gdy wróciłem do domu, późno w nocy, nieco wstawiony, wziąłem z półki tom przemówień Führera, własność Frau Gutknecht, i zacząłem go kartkować w poszukiwaniu najbardziej jadowitych fragmentów, zwłaszcza tych dotyczących Żydów. Czytając je, zastanawiałem się, czy Führer, bezwiednie, nie

opisywał siebie samego, wrzeszcząc: *Żydzi pozbawieni są wszelkich zdolności i kreatywności we wszystkich dziedzinach życia, z wyjątkiem jednej: kłamstwa i oszustwa, albo: Cała żydowska budowla runie, jeżeli nie zgodzimy się na naśladowanie ich, czy też: To są kłamcy, fałszerze, łotry. Doszli do tego, co mają, wyłącznie dzięki naiwności ludzi z ich otoczenia, lub też: Możemy żyć bez Żyda, ale on nie może żyć bez nas.* Ale przecież ten człowiek nigdy nie mówił we własnym imieniu, zaburzenia jego osobowości nie były najważniejsze: on właściwie odgrywał rolę soczewki, chwycił i skupiał w sobie wolę Narodu, by skierować ją w sam środek ogniska optycznego, zawsze w najbardziej odpowiednim punkcie. W takim razie, jeżeli mówił o sobie, to czy nie mówił również o nas wszystkich? Ale to mogę stwierdzić dopiero teraz.

Podczas kolacji Thomas po raz kolejny wypomnił mi samotnictwo i zabójczy czas pracy: „Dobrze wiem, że każdy powinien dawać z siebie jak najwięcej, ale ty, jak tak dalej pójdzie, zrujnujesz sobie zdrowie. Poza tym powiem ci, że Niemcy nie przegrają wojny tylko dlatego, że odpoczniesz sobie wieczorami i w niedzielę. Wojna jeszcze trochę potrwa, musisz znaleźć odpowiedni rytm, inaczej się wykończysz. Zresztą, sam popatrz, brzuch ci rośnie”. To prawda: nie tyłem, ale wiotczały mi mięśnie. „Wybierz się ze mną na zajęcia sportowe, nalegał Thomas. Dwa razy w tygodniu uprawiam szermierkę, a w niedzielę chodzę na pływalnię. Zobaczysz, od razu lepiej się poczujesz”. I jak zawsze miał rację. Szybko rozsmakowałem się na powrót w szermierce, którą uprawiałem na studiach; wybrałem szablę, odpowiadał mi żywy, nerwowy charakter tej broni. Podobało mi się, że pomimo pewnej agresywności nie jest to sport brutalny: na równi z refleksem i giętkością wymaga zastanowienia przed każdym wypadem, intuicyjnej antycypacji ruchów partnera, prędkich kalkulacji odpowiedzi na zadane pchnięcie, to jest fizyczna gra w szachy, w której należy przewidzieć ciąg posunięć, ponieważ, gdy już rozpocznie się walka, nie ma czasu na długie myślenie, często można orzec, czy wypad będzie wygrany, czy też przegrany, jeszcze zanim nastąpi, a kolejne pchnięcia potwierdzają lub obalają te przewidywania. Walczyliśmy w zbrojowni RSHA, w Prinz-Albrecht-Palais, natomiast żeby popływać, wybieraliśmy raczej basen publiczny, na Kreuzberg, niż ten dla Gestapo: po pierwsze, i dla Thomasa najważniejsze, przychodziły tam kobiety (a nie tylko nieśmiertelne sekretarki); poza tym ta pływalnia była większa, więc gdy się zmęczylimy, mogliśmy siedzieć w szlafrokach przy drewnianych stołach na szerokim balkonie, na

piętrze, i pić zimne piwo, przyglądając się pływakom, których radosne okrzyki i chlapanina odbijały się głośnym echem po rozległej hali. Po raz pierwszy, gdy tam poszedłem, przeżyłem gwałtowny wstrząs, który na resztę dnia stracił mnie w otchłań męczącego lęku. Rozbieraliśmy się w szatni: spojrzałem na Thomasa i zauważyłem, że jego brzuch tnie rozległa, rozgałęziona blizna. „Gdzie tak dostałeś?”, wykrzyknąłem. Thomas popatrzył na mnie zdumiony: „Jak to gdzie? W Stalingradzie. Nie pamiętasz? Byłeś ze mną”. Wspomnienie, tak, miałem wspomnienie, spisałem je wraz z innymi, ale ukryłem je gdzieś na dnie głowy, w piwnicy, w której zamykam halucynacje i sny; ta blizna teraz wprowadziła zamieszanie, nagle dotarło do mnie, że nie mogę być niczego całkiem pewien. Nie mogłem oderwać wzroku od brzucha Thomasa; on klepnął dłonią twarde mięśnie i uśmiechnął się szeroko: „No już, nie przejmuj się tak, wylizałem się idealnie. Poza tym dziewczyny szaleją na punkcie tej blizny, chyba je podnieca”. Przymknął oko i wycelował palcem w moją głowę, unosząc kciuk jak dzieciak udający kowboja: „paf!”. Niemal poczułem to uderzenie w czoło, lęk rósł jak szara, miękka masa, monstrualne ciało, które zaległo w małej szatni, zajmując całą jej przestrzeń i blokowało każdy mój ruch, byłem przerażonym Guliwerem, zatrzaśniętym w domu Liliputów. „Nie rób takiej miny, zawołał radośnie Thomas, chodź, popływamy!” Woda, ogrzana, lecz i tak dość chłodna, nieco mnie otrzeźwiła; zmęczyłem się po kilku długościach — rzeczywiście, straciłem kondycję — więc wyciągnąłem się na leżaku, patrząc, jak Thomas baraszkuje, poddając się pośród wrzasków zabiegom rozbawionych młodych kobiet, usiłujących wepchnąć mu głowę pod wodę. Patrzyłem na ludzi, którzy ruszali się, bawili, czerpali przyjemność z własnej siły; czułem się tak daleko od nich. Widok ciał, nawet tych najpiękniejszych, nie burzył we mnie krwi tak jak kilka miesięcy temu widok tancerzy baletowych; były mi obojętne, zarówno ciała chłopców, jak i dziewczyn. Mogłem z dystansem oglądać grę mięśni pod białą skórą, linię biodra, wodę perlącą się na karku: zaśniedziały brązowy Apollon w Paryżu podniecił mnie bardziej niż cała ta młoda, zuchwała muskulatura, prężąca się beztrąsko, jak gdyby kpiła sobie z pożółkłych, obwisłych skór kilkorga starszaków, którzy też tu przychodzili. Moją uwagę zwróciła młoda kobieta, wyróżniająca się od reszty spokojnym zachowaniem. Podczas gdy jej koleżanki biegały lub baraszkowały wokół Thomasa, ona trwała nieruchomo, złożywszy ramiona na brzegu basenu. Reszta jej ciała unosiła się w wodzie, owalna głowa w eleganckim czepku z czarnej gumy spoczywała na przedramionach, a ciemne, spokojne

oczy — były zwrócone na mnie. Nie mogłem stwierdzić, czy naprawdę na mnie patrzy; nie poruszała się, zdawało się, jakby z przyjemnością oglądała wszystko, co znajduje się w zasięgu jej wzroku; po dłuższej chwili uniosła ręce i powoli zanurzyła się w wodzie. Czekałem, aż się wynurzy, ale mijały sekundy i nic; wreszcie pojawiła się na drugim końcu basenu, przepłynęła pod wodą całą długość, równie spokojnie jak ja przepłynąłem kiedyś Wołgę. Ułożyłem się wygodnie na leżaku i zamknąłem oczy, skoncentrowałem się na zapachu chlorowanej wody, który powoli osiadał na mojej skórze. Tamtego dnia lęk bardzo powoli wypuszczał mnie z dławiącego uścisku. A jednak w następną niedzielę znów wybrałem się z Thomasem na pływalnię.

Tymczasem ponownie zostałem wezwany przez Reichsführera. Kazał mi wytłumaczyć, w jaki sposób doszliśmy do takich, a nie innych wniosków. Wdałem się w szczegóły, bo niełatwo było wyjaśnić ogólnie techniczne detale. Nie przerywał mi, patrzył tylko zimno i niezbyt uprzejmie, a gdy skończyłem, zapytał sucho: „A co na to Reichssicherheitshauptamt?” — „Specjalista Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w zasadzie wyraża zgodę, mein Reichsführer. Nadal czeka na potwierdzenie Gruppenführera Müllera”. — „Musi pan uważać, Herr Sturmbannführer, bardzo uważać”, zgromił mnie swoim najbardziej profesorskim tonem. Wiedziałem, że na terenie GG miała niedawno miejsce kolejna żydowska rewolta, tym razem w Sobiborze; znów zabito oficerów SS i pomimo ostrej obławy części zbiegów nie udało się ująć, a byli to przecież *Geheimnisträger*, świadkowie działań eksterminacyjnych: jeżeli zdołali dołączyć się do partyzantów znad Prypeci, istniało realne ryzyko, że zostaną wkrótce przejęci przez bolszewików. Rozumiałem niepokój Reichsführera, ale musiał podjąć decyzję. „Zdaje mi się, że spotkał pan Reichsministra Speera?”, odezwał się nagle. — „Tak, mein Reichsführer. Zostałem przedstawiony przez doktora Mandelbroda”. — „Opowiadał mu pan o swoim projekcie?” — „Bez wdawania się w szczegóły, mein Reichsführer. Lecz on wie, że pracujemy nad polepszeniem stanu zdrowia *Häftlinge*”. — „I co mówi?” — „Wyglądał na usatysfakcjonowanego, Herr Reichsführer”. Przerzucił jakieś papiery na biurku: „Dostałem list od doktora Mandelbroda. Pisze, że Reichsminister Speer chyba pana polubił. Czy to prawda?”. — „Nie wiem, mein Reichsführer”. — „Doktor Mandelbrod i Herr Leland pragną za wszelką cenę, żebym się zbliżył ze Speerem. W zasadzie nie jest to zły pomysł, ponieważ mamy wspólne interesy. Wszyscy myślą, że Speer i ja jesteśmy w jakimś konflikcie. Ale to zupełnie nie to. Ja przecież już w

trzydziestym siódmym zorganizowałem Dest i otworzyłem obozy specjalnie dla niego, żeby mu dostarczyć materiałów budowlanych, cegieł i granitu na nową stolicę, którą miał wznieść dla Führera. W tamtym czasie całe Niemcy mogły zaspokoić wyłącznie 4% jego zapotrzebowania na granit. Był bardzo zadowolony z mojej pomocy i cieszył się z możliwości współpracy. Ale, oczywiście, nie należy zbyt mu ufać. Nie jest idealistą i nie rozumie SS. Chciałem uczynić go jednym z moich Gruppenführerów, odmówił. W zeszłym roku pozwolił sobie na skrytykowanie w obecności Führera naszej organizacji pracy: chciał przejąć władzę prawną nad naszymi obozami. Jeszcze dziś marzy mu się prawo do ingerencji w nasze wewnętrzne działania. A mimo to współpraca z nim pozostaje dla nas ważna. Konsultował pan swój projekt z którymś z jego ministrów?” — „Tak, mein Reichsführer. Jeden z jego urzędników wziął udział w naszym posiedzeniu”. Reichsführer pokiwał powoli głową: „Dobrze, dobrze...”. Później jakby podjął decyzję: „Nie mamy czasu do stracenia. Powiem Pohlowi, że przyjmuję projekt. Pan wyśle duplikat Reichsministrowi Speerowi, natychmiast, wraz z podpisaną przez siebie osobistą notatką, w której przypomni pan o waszym spotkaniu i zasugeruje, że projekt zostanie wprowadzony w życie. I, oczywiście, wyśle pan jedną kopię doktorowi Mandelbrodowi”. — „Zu Befehl, mein Reichsführer. A jakie mam podjąć działania w kwestii cudzoziemskich robotników?” — „Na razie żadnych. Niech pan zbada sprawę pod kątem żywienia i wydajności, ale tylko tyle. Zobaczymy, jak się dalej potoczy. A gdyby Speer lub któryś z jego współpracowników skontaktował się z panem, niech pan da znać Brandtowi i reaguje przychylnie”.

Instrukcje Reichsführera potraktowałem dosłownie. Nie wiem, co Pohl zrobił z projektem, który przygotowałem z tak wielkim zaangażowaniem: kilka dni później, pod koniec miesiąca wysłał nowy rozkaz do wszystkich KL, w którym zalecał zmniejszenie śmiertelności i zachorowalności o 10%, nie podając przy tym żadnej, choćby najmniejszej, konkretnej wskazówki; z tego, co wiem, kryteria Isenbecka nie zostały nigdy zastosowane. Pomimo to dostałem bardzo pochlebny list od Speera, który gratulował wdrożenia projektu, *konkretnego dowodu naszej świeżej, rozpoczętej niedawno współpracy*. Kończył tak: *Mam nadzieję, że wkrótce będę miał okazję spotkać się z Panem osobiście i przedyskutować te problemy. Pański Speer*. Przekazałem ten list Brandtowi. Na początku listopada otrzymałem kolejny: Gauleiter okręgu Westmark napisał do Speera, żądając, by niezwłocznie wycofać pięciuset żydowskich robotników przekazanych przez SS

zakładowi zbrojeniowemu w Lotaryngii: *Dzięki moim staraniom Lotaryngia jest judenfrei i taka pozostanie*, pisał Gauleiter. Speer polecał mi przekazać ten list kompetentnym instancjom, aby rozwiązać problem. Zwróciłem się do Brandta. Po kilku dniach przesłał mi notatkę wewnętrzną, z zaleceniem, bym odpowiedział owemu Gauleiterowi w imieniu Reichsführera — negatywnie. Ton: chłodny, pisał Brandt. Wykonałem zalecenie z radością:

Szanowny towarzyszu partyjny Bürckel!

Pańskie żądanie jest nie na miejscu i nie może zostać przyjęte. W tych trudnych dla Niemiec czasach Reichsführer jest świadom potrzeby maksymalnego wykorzystania siły roboczej wrogów naszego Narodu. Decyzje o przydziale robotników są podejmowane po konsultacji z RMjRuK, jedyną instancją posiadającą w chwili obecnej kompetencje, by zajmować się ową kwestią. W związku z tym, że zakaz wykorzystywania do robót więźniów żydowskich obowiązuje obecnie wyłącznie w Altreich oraz w Austrii, trudno mi oprzeć się wrażeniu, że pańskie zapytanie wyływa głównie z chęci zapewnienia, by zasięgano pańskiej opinii w ramach globalnych regulacji kwestii żydowskiej. Heil Hitler! Pozostając do usług itd.

Wysłałem kopię Speerowi, kazał mi podziękować. Powoli stało się to zwyczajem: Speer przekazywał mi irytujące prośby i zapytania, a ja odpowiadałem na nie w imieniu Reichsführera. W bardziej skomplikowanych przypadkach zwracałem się do SD, korzystając raczej ze znajomości niż dróg oficjalnych, by nadać sprawom szybszy bieg. Dzięki temu spotkałem się ponownie z Ohlendorfem, który zaprosił mnie na kolację i wygłosił długą tyradę przeciwko systemowi samorządności w przemyśle, wprowadzonemu przez Speera, uważał, że to zwykła uzurpacja państwowej władzy przez kapitalistów, bez jakiegokolwiek odpowiedzialności za wspólnotę. Twierdził, że Reichsführer przystał na to tylko dlatego, że zupełnie nie zna się na ekonomii i że w dodatku pozostaje pod wpływem Pohla, który sam jest kapitalistą czystej krwi, ogarniętym obsesją ekspansji swojego przemysłowego imperium SS. Prawdę mówiąc, sam też nie bardzo znałem się na ekonomii, nie rozumiałem zresztą bezlitosnych wywodów Ohlendorfa na ten temat. Ale słuchałem go zawsze z tą samą przyjemnością: jego szczerość, jego intelektualna uczciwość odświeżały jak szklanka zimnej wody — miał

rację, podkreślając, że wojna spowodowała lub wydobyła na światło dzienne masę odchyleń; później strukturę państwa czeka głęboka odnowa.

Zacząłem rozsmakowywać się we wszystkim, co nie dotyczyło pracy: być może było to dobroczynne działanie sportu, może coś innego, nie wiem. Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że nie zniosę dłużej Frau Gutknecht; natychmiast zabrałem się za poszukiwanie innego lokum. Nie było łatwo, ale z pomocą Thomasa wreszcie coś znalazłem: małe, umeblowane mieszkanie dla samotnej osoby, na ostatnim piętrze całkiem nowego budynku. Było własnością Hauptsturmführera, który ożenił się i wyjeżdżał na placówkę do Norwegii. Szybko ustaliłem z nim przyzwoitą cenę wynajmu i któregoś popołudnia, razem z Piontkiem, pod ostrzałem zawodzeń i lamentów Frau Gutknecht, przewiozłem swoje skąpe mienie. Mieszkanie nie było duże: dwa kwadratowe pokoje przedzielone dwuskrzydłowymi drzwiami, mała kuchnia i łazienka, ale miało balkon, i ponieważ pokój dzienny znajdował się w narożniku budynku, okna wychodziły na obie strony. Z balkonu roztaczał się widok na niewielki park, mogłem obserwować bawiące się dzieci, poza tym panował spokój, nie docierał tu hałas z ulicy; za oknami rozciągał się wspaniały pejzaż pełen dachów, uspokajająca platanina kształtów, zmienna, zależnie od pory dnia i oświetlenia. W słoneczne dni mieszkanie było zalane światłem od rana do wieczora: w niedziele obserwowałem z sypialni wschód słońca, a z pokoju dziennego widziałem, jak chyli się ku zachodowi. By jeszcze bardziej rozjaśnić wnętrze, kazałem, po otrzymaniu zgody właściciela, zerwać stare tapety i pomalować ściany na biało. W Berlinie mało kto tak robił, ale widziałem takie mieszkania w Paryżu, podobały mi się białe ściany, w połączeniu z parkietem nadawały wnętrzu ascetyczny charakter, co było zgodne z moim ówczesnym stanem; pałac, rozłożony na sofie, zastanawiałem się, czemu wcześniej nie pomyślałem o przeprowadzce. Wstawałem wcześniej, o tej porze roku przed wschodem słońca, jadłem kilka kanapek i piłem prawdziwą czarną kawę; Thomas sprowadzał ją z Holandii, przez znajomego, i odsprzedawał mi pewną ilość. Do pracy jeździłem tramwajem. Lubiłem patrzeć na mijane ulice, kontemplować twarze współpasażerów w świetle dnia, smutne, zacięte, obojętne, zmęczone, lecz czasem także zadziwiająco szczęśliwe, bo jeśli patrzycie uważnie, dobrze wiecie, że nadzwyczaj trudno jest dostrzec szczęśliwą twarz na ulicy czy w tramwaju — gdy wreszcie na taką trafiałem, sam czułem się szczęśliwy, czułem, że dołączam do wspólnoty ludzi, tych ludzi, dla których pracuję, ale od których tak bardzo byłem odcięty. Przez kilka dni z rzędu

spotykałem w tramwaju piękną młodą kobietę, jeździła w tę samą stronę co ja. W jej spokojnej i poważnej twarzy wyróżniały się usta, zwłaszcza górna warga, jak dwa mięsiste, agresywne skrzydła. Poczwała moje spojrzenie i podniosła wzrok: pod wysokimi, cienkimi łukami brwi błyszczały ciemne, niemal czarne oczy, asymetryczne i asyryjskie (choć pewnie to drugie porównanie przyszło mi na myśl wyłącznie ze względu na zbieżność dźwięków). Stała, trzymając się uchwyty i patrzyła na mnie ze spokojem i powagą. Miałem wrażenie, że gdzieś już ją widziałem, lub przynajmniej podobne spojrzenie, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Nazajutrz odezwała się do mnie: „Dzień dobry. Pan sobie mnie nie przypomina, ale spotkaliśmy się już. Na pływalni”. To była tamta młoda kobieta, oparta o brzeg basenu. Nie widywałem jej codziennie, ale za każdym razem kłaniałem się jej uprzejmie, a ona delikatnie się uśmiechała. Częściej teraz wychodziłem wieczorami: jadałem obiady z Hoheneggiem, którego przedstawiłem Thomasowi, spotykałem się z dawnymi kolegami ze studiów, dawałem się zapraszać na kolacyjki i imprezy w wąskim gronie, na których piłem i gawędziłem z przyjemnością, bez przerażenia, bez lęku. To było normalne życie, życie codzienne, i właściwie warto było go doświadczać.

Krótko po kolacji z Ohlendorfem otrzymałem od dr. Mandelbroda zaproszenie na weekend w wiejskiej posiadłości, należącej do jednego z dyrektorów IG Farben, w północnej Brandenburgii. List wyjaśniał, że chodzi o polowanie i nieoficjalną kolację. Masakrowanie ptactwa niezupełnie mnie pociągało, ale przecież nie musiałem strzelać, mogłem po prostu przejść się po lesie. Pogoda była deszczowa: Berlin pogrążał się w jesieni, skończyły się piękne październikowe dni, z drzew opadły ostatnie liście, jednakże czasem się przejaśniało, można było wyjść na przechadzkę i cieszyć się chłodnym powietrzem. 18 listopada, w porze kolacji, rozwyły się syreny i rozległ się pomruk działa przeciwlotniczego, pierwszy raz od końca sierpnia. Byłem z przyjaciółmi w restauracji, także z Thomasem, właśnie wyszliśmy z zajęć szermierki. Trzeba było zejść do piwnicy, nie tknęliśmy jedzenia; alarm trwał dwie godziny, ale podano nam wino, czas mijał na przerzucaniu się żartami. Nalot spowodował poważne zniszczenia w centrum miasta. Anglicy wysłali na nas ponad czterysta maszyn; byli zdecydowani stawić czoło naszym nowym taktykom. To był czwartkowy wieczór; w sobotę rano kazałem Piontkowi zawieźć się w kierunku Prenzlau, do wioski wskazanej przez Mandelbroda. Dom znajdował się kilka kilometrów dalej, na końcu długiej alei, wysadzonej szpalerem starych dębów, z

dużymi prześwitami po drzewach powalonych przez choroby lub burze. Był to stary szlachecki dworek, kupiony przez rzeczonoego dyrektora, stojący tuż pod mieszanym lasem, w którym dominowały sosny, buki i klony, otoczony pięknym parkiem, przechodzącym dalej w puste i błotniste pola. Padało przez całą drogę, ale teraz niebo, chłostane ostrym północnym wiatrem, rozjaśniło się. Na wysypanym żwirem placu przy ganku stały już, jeden obok drugiego, peugeoty berline, a szofer w uniformie zmywał błoto ze zderzaków. Na schodkach przywitał mnie Herr Leland; wyglądał tego dnia bardzo po wojskowemu, choć miał na sobie tylko wełniany brązowy sweter: właściciel jest nieobecny, wyjaśnił mi, ale użyczył nam swojego domu; Mandelbrod miał dotrzeć dopiero wieczorem, po polowaniu. Za radą Lelanda odesłałem Piontka do Berlina. Goście wracają razem, na pewno znajdzie się dla mnie miejsce w którymś z samochodów. Służąca w czarnej sukience i białym koronkowym fartuszkowi zaprowadziła mnie do pokoju. Ogień buzował już w kominku; na dworze znów zaczynało mżyć. Zgodnie z sugestią na zaproszeniu nie przyjechałem w mundurze, lecz w stroju weekendowym. Miałem na sobie wełniane spodnie i buty z cholewami oraz austriacką kurtkę bez kołnierza, z kościanymi guzikami, chroniącą przed deszczem. Na wieczór przywiozłem sobie klubowy garnitur, wyjąłem go, wyszczotkowałem i powiesiłem w szafie, po czym zszedłem na dół. W salonie było już kilku gości, pili herbatę lub rozmawiali z Lelandem. Speer siedział przy oknie; rozpoznał mnie od razu, wstał z przyjaznym uśmiechem i podszedł, żeby uścisnąć mi dłoń. „Sturmbannführer, ależ się cieszę, że pana widzę. Leland mówił mi, że pan przyjedzie. Chodźmy, przedstawię pana mojej małżonce”. Margret Speer siedziała przy kominku z inną kobietą, niejaką Frau von Wrede, żoną pewnego generała, który miał wkrótce dojechać; stanąłem przed nimi, stuknąłem obcasami i wyrzuciłem ramię w górę w niemieckim pozdrowieniu. Frau Wrede pozdrowiła mnie tak samo, Frau Speer podała mi tylko małą, elegancką dłoń w rękawiczce. „Miło mi, Sturmbannführer. Sporo o panu słyszałam, mąż mówi, że jest mu pan podporą w SS”. — „Robię, co w mojej mocy, meine Dame”. Była to szczupła, jasnowłosa kobieta, o wyraźnie nordyckiej urodzie, miała mocną, kanciastą szczękę i bardzo jasne niebieskie oczy pod niemal białymi brwiami; wyglądała na zmęczoną, odcień jej skóry był żółtawy. Podano mi herbatę i zostałem, żeby chwilę z nią porozmawiać, a w tym czasie Speer dołączył do Lelanda. „Czy zabrali państwo ze sobą dzieci?”, spytałem uprzejmie. — „Och! Gdybym je tu przywiozła, nie byłby to odpoczynek. Zostały w Berlinie. Tak trudno mi wyrwać Alberta z ministerstwa,

więc gdy wyjątkowo przystał na ten wyjazd, zadbałam, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Tak bardzo potrzebuje spokoju”. Zaczęliśmy rozmawiać o Stalingradzie, Frau Speer wiedziała, że tam byłem; Frau von Wrede straciła tam kuzyna, Generalmajora, który dowodził dywizją i został prawdopodobnie schwytany przez Rosjan: „To musiało być straszne!”. Tak, przyznałem, to było straszne. Przez grzeczność nie dodałem, że było to zapewne mniej straszne dla generała dywizji niż dla zwykłego szeregowca, takiego jak brat Speera, który, jeżeli jakimś cudem żył jeszcze, to na pewno nie korzystał z żadnych przywilejów — według naszych informacji takie traktowanie bolszewicy, wykazujący się w tej kwestii niewielkim poczuciem równości, zapewniali tylko wyższym oficerom. „Albert bardzo przeżył stratę brata, odezwała się w zamyśleniu Margret Speer. Nie pokazuje tego po sobie, ale ja to wiem. Nadał jego imię naszemu najmłodszemu dziecku”.

Stopniowo przedstawiano mnie kolejnym gościom: przemysłowcom, wyższym oficerom Wehrmachtu albo Luftwaffe, był też kolega Speera z ministerstwa i inni urzędnicy. Byłem jedynym członkiem SS w całym towarzystwie i najniższy rangą, ale nikt nie zdawał się zwracać na to uwagi, a Herr Leland przedstawiał mnie jako „doktora Aue”, dorzucając czasem, że pełnię „ważne funkcje przy Reichsführerze-SS”. W związku z tym traktowano mnie bardzo serdecznie i moja początkowa nerwowość ulatniała się z każdą chwilą. Około południa podano kanapki, pasztet z wątróbek i piwo. „Lekki posiłek, oświadczył Leland, żeby się państwo nie zmęczyli”. Zaraz miało się zacząć polowanie; poczęstowano nas kawą, po czym każdy dostał torbę myśliwską, szwajcarską czekoladę i piersiówkę z brandy. Przestało padać, słabe światło przebijało się przez szarość chmur; jeden z generałów, który twierdził, że się na tym zna, ocenił, że to doskonała pogoda. Mieliśmy polować na głuszca, co jest podobno w Niemczech rzadkim przywilejem. „Ten dom po wojnie kupił pewien Żyd, wyjaśnił Leland gościom. Zrealizował wielkopańskie marzenia i sprowadził głuszce ze Szwecji. Las świetnie się do tego nadawał, a obecny właściciel poważnie ograniczył liczbę polowań”. Zupełnie się na tym nie znałem i nie miałem najmniejszego zamiaru się wdrażać; przez grzeczność postanowiłem jednak towarzyszyć myśliwym, zamiast iść samotnie w swoją stronę. Leland zebrał nas na ganku, lokaje rozdali nam strzelby i naboje, i rozdzielili psy. Ponieważ na głuszca poluje się samotnie albo w parach, podzielono nas na małe grupki. Aby uniknąć wypadków, każdej grupie wyznaczono inny sektor lasu, poza obręb którego nie można było wychodzić; wyjścia w las odbywały się stopniowo. Generał — amator polowań — poszedł pierwszy,

sam, tylko z psem, a za nim, dwójkami, kilku mężczyzn. Ku mojemu zaskoczeniu Margret Speer też dołączyła do grupy i wzięła strzelbę; ruszyła w drogę z kolegą swojego męża, Hettlagem. Leland zwrócił się do mnie: „Max, będziesz towarzyszył Reichsministrowi? Idźcie tędy. Ja pójdę z Herr Strohleinem”. Rozłożyłem ręce: „Jak pan sobie życzy”. Speer, ze strzelbą pod pachą, uśmiechnął się do mnie: „Dobry pomysł. Chodźmy”. Ruszyliśmy przez park w kierunku lasu. Speer ubrany był w bawarską skórzaną kurtkę o zaokrąglonych klapach i kapelusz; ja też pożyczyłem od kogoś nakrycie głowy. Na skraju lasu Speer załadował broń — strzelbę dwururkę. Ja nie zdjąłem swojej z ramienia, była nienaładowana. Pies, którego nam użyczono, stał niespokojnie i czujnie na brzegu lasu, zwiesiwszy język. „Polował już pan kiedyś na głuszca?”, spytał Speer. — „Nigdy, Herr Reichsminister. W ogóle nie poluję. Jeżeli pan pozwoli, dotrzymam panu wyłącznie towarzystwa”. Wyglądał na zaskoczonego: „Jak pan sobie życzy”. Pokazał na las: „Z tego, co zrozumiałem, mamy iść kilometr, aż do strumienia, i przepawić się przez niego. Wszystko, co znajduje się za nim, aż do skraju lasu, to nasz teren. Herr Leland zostanie po tej stronie strumienia”. Wszedł w zagajnik. Był dość gęsty, musieliśmy okrążyć splątane zarośla, nie dało się iść prosto. Z liści spływały krople wody i rozpryskiwały się o nasze dłonie i kapelusze; na ziemi mokre, opadłe liście wydzielają silną woń gleby i próchna, piękną, bogatą i odżywczą, ale niosącą ze sobą smutne wspomnienia. Poczulem gwałtowny napływ goryczy: proszę, kogo ze mnie zrobili, pomyślałem. Człowieka, który nie może wejść do lasu i nie pomyśleć o zbiorowej mogile. Pod moim butem trzasnęła sucha gałązka. „Zaskakujące, że nie lubi pan polowań”, zauważył Speer. Pograżony w myślach odpowiedziałem nieuważnie: „Nie lubię zabijać, Herr Reichsminister”. Rzucił mi zaciekawione spojrzenie, więc uściśliłem: „Czasem istnieje konieczność zabijania z obowiązku, Herr Reichsminister. Zabijanie dla przyjemności to wybór”. Uśmiechnął się: „Ja dzięki Bogu zawsze zabijałem wyłącznie dla przyjemności. Nie wiem, co to wojna”. Szliśmy jeszcze chwilę w milczeniu, pośród cichych dyskretnych trzasków suchych gałęzi i szemrania wody. „Co pan robił w Rosji, Herr Sturmbannführer?”, spytał Speer. Służył pan w Waffen-SS?” — „Nie, Herr Reichsminister. Byłem przy SD. Pełniłem funkcje związane z bezpieczeństwem”. — „Rozumiem”. Zawahał się. Po czym powiedział głosem spokojnym, obojętnym: „Kraży wiele plotek o losie Żydów na Wschodzie. Pewnie wie pan coś na ten temat?”. — „Znam te plotki, Herr Reichsminister. SD zbiera je, czytałem raporty. Pochodzą z wszelkich możliwych źródeł”. — „Zna pan zapewne prawdę, z

pańską pozycją?” Co ciekawe, nie zrobił ani jednej aluzji do przemówienia Reichsführera w Posen (wtedy byłem przekonany, że go wysłuchał, ale być może rzeczywiście wyjechał wcześniej). Odpowiedziałem uprzejmie: „Herr Reichsminister, spora część pełnionych przeze mnie funkcji jest objęta tajemnicą. Myślę, że powinien pan to zrozumieć. Jeżeli naprawdę życzy pan sobie znać szczegóły, sugerowałbym zwrócenie się do Reichsführera lub do Standartenführera Brandta. Jestem przekonany, że z przyjemnością przekażą panu wyczerpujący raport”. Dotarliśmy do strumienia. Uszczęśliwiony pies taplał się w płytkiej wodzie. „To tutaj”, powiedział Speer. Gestem pokazał nieco dalszą strefę: „Widzi pan, tam, w tym dole, las się zmienia. Ma pan tam drzewa iglaste i nieco mniej olch, i krzewy jagodowe. To najlepsze miejsce, żeby wypłoszyć głuszca. Skoro pan nie strzela, proszę się trzymać za mną”. Przeskoczyliśmy strumień wielkimi susami; na brzegu dołu Speer zamknął strzelbę, którą dotąd niósł otwartą pod pachą, i zarzucił ją na ramię. Zaczął posuwać się do przodu, czatował. Pies szedł mu przy nodze, z wyprężonym ogonem. Po kilku minutach usłyszałem głośny dźwięk i zobaczyłem, jak szeroki, brunatny kształt znika pośród drzew; w tym samym momencie Speer strzelił, lecz musiał chybić, bo poprzez echo wystrzału słyszałem jeszcze łopot skrzydeł. Gęsty dym i cierpki zapach kordytu wypełniły zagajnik. Speer nie opuścił strzelby, zapanowała cisza. I znów dał się słyszeć głośny łopot skrzydeł, pośród wilgotnych gałęzi, ale tym razem Speer nie strzelił; ja też niczego nie zobaczyłem. Trzeci ptak oderwał się od ziemi tuż przed naszymi oczyma, widziałem go bardzo wyraźnie, miał dość mocne skrzydła, szyję całą w nastroszonych piórach i lawirował między drzewami z zadziwiającą, jak na tę masę, sprawnością, biorąc zakręty w przyspieszeniu. Speer wystrzelił, ale ptak był szybszy, kula nie miała nawet czasu go drasnąć, strzał znów był chybiony. Speer otworzył strzelbę, wyrzucił łuski, zdmuchnął dym i wyjął z kieszeni kurtki dwa naboje. „Głuszca bardzo trudno odstrzelić, poinformował mnie. Dlatego polowanie na niego jest takie ciekawe. Trzeba odpowiednio dobrać broń. Ta jest dobrze wyregulowana, ale, jak na mój gust, zbyt długa”. Popatrzył na mnie z uśmiechem: „Wiosną, w okresie godowym, to jest dopiero widok. Samce klekoczą dziobami, zbierają się na polanach, paradują i śpiewają, prezentują swoje barwy. Samice mają bure upierzenie, jak to często bywa u ptaków”. Skończył ładować broń i zarzucił ją na ramię, po czym ruszył dalej. W gęstych zaroślach torował sobie drogę między gałęziami, używając lufy strzelby, nigdy jej nie opuszczał. Gdy zauważył kolejnego ptaka, strzelił natychmiast, prosto przed siebie; usłyszałem, jak ptak

pada — w tej samej chwili pies dał susa i zniknął w krzakach. Wrócił po kilku chwilach, niosąc w zębach głuszca ze zwisającą bezwładnie głową. Złożył zdobycz u stóp Speera, który schował ją do torby. Nieco dalej natknęliśmy się na prześwit w lesie, polanę pokrytą kępami żółknącej trawy, przechodzącą w pola. Speer sięgnął po tabliczkę czekolady: „Ma pan ochotę?”. — „Nie, dziękuję. Czy będzie panu przeszkadzać, jeśli zapalę?” — „Nie. Zupełnie. To dobre miejsce na odpoczynek”. Otworzył strzelbę, odłożył i usiadł u stóp drzewa, nadgryzając czekoladę. Wypiłem łyk brandy, podałem mu piersiówkę i zapaliłem papierosa. Trawa, na której usiadłem, zmoczyła mi spodnie, ale nie dbałem o to: położyłem kapelusz na kolanach, oparłem się o sosnę, przyłożyłem głowę do szorstkiej kory i kontemplowałem łagodną trawiastą równinę i cichy las. „Wie pan, odezwał się Speer, całkowicie rozumiem zasady bezpieczeństwa. Z tym że one coraz wyraźniej pozostają w konflikcie z potrzebami przemysłu wojennego. Tracimy zbyt wielu potencjalnych robotników”. Wydmuchałem dym i odpowiedziałem: „To możliwe, Herr Reichsminister. Ale myślę, że w tej sytuacji, przy naszych trudnościach, konflikty priorytetów są nieuniknione”. — „Jednak trzeba je rozwiązywać”. — „Zgoda. Lecz przecież, Herr Reichsminister, ostateczna decyzja należy do Führera, nieprawdaż? Reichsführer tylko postępuje według jego zarządzeń”. Znowu nadgryzł tabliczkę czekolady: „Nie uważa pan, że dla Führera, tak jak i dla nas, priorytetem jest wygranie wojny?”. — „Zapewne tak jest, Herr Reichsminister”. — „Więc dlaczego pozbawia się nas cennych źródeł? Nie ma tygodnia, żeby mi Wehrmacht nie przychodził z żądaniem: zabrać od nich robotników żydowskich. A oni wcale nie są przenoszeni gdzie indziej, wiedziałbym o tym. To absurd! W Niemczech kwestia żydowska jest rozwiązana, a zresztą, jakie to w tej chwili ma znaczenie? Najpierw wygrajmy wojnę; później będzie czas na zajęcie się resztą problemów”. Starannie doбираłem słowa: „Być może, Herr Reichsminister, są tacy, którzy dochodzą do wniosku, że skoro tak długo nie wygrywamy tej wojny, to niektóre problemy należy rozwiązać natychmiast...” Odwrócił się do mnie i wbił we mnie ostry wzrok: „Tak pan uważa?”. — „Nie wiem. To tylko przypuszczenie. Czy mógłbym zapytać pana, co mówi na ten temat Führer, gdy z nim pan o tym rozmawia?” Speer ssał język w zamyśleniu: „Führer nigdy nie mówi o tych rzeczach. W każdym razie nie ze mną”. Wstał i otrząsał spodnie. „Idziemy dalej?” Wyrzuciłem papierosa, upiłem jeszcze trochę brandy, schowałem piersiówkę. „Którędy?” — „Dobre pytanie. Obawiam się, że jeśli przejdziemy na tamtą stronę, natkniemy się na któregoś z naszych przyjaciół”. Spojrzał w głąb

prześwitu, na prawo: „Jeżeli pójdziemy tędy, wrócimy do strumienia. Następnie będziemy mogli się cofnąć”. Ruszyliśmy naprzód skrajem lasu; pies sunął za nami w odległości kilku łokci, w mokrej trawie polany. „A, właśnie, powiedział Speer, jeszcze panu nie podziękowałem za pańskie interwencje. Bardzo mi się podobają”. — „Cała przyjemność po mojej stronie, Herr Reichsminister. Mam nadzieję, że są pomocne. Czy jest pan zadowolony z nowej współpracy z Reichsführerem?” — „Prawdę mówiąc, Herr Sturmbannführer, oczekiwałem od niego więcej. Wysłałem mu już kilka raportów o Gauleiterach, którzy odmawiają zamykania fabryk bezużytecznych z punktu widzenia produkcji wojennej. Ale z tego, co widzę, Reichsführer ogranicza się do posyłania tych raportów dalej, do Reichsleiters Bormanna. A Bormann, jakże inaczej, uznaje racje Gauleiterów. Mam wrażenie, że Reichsführer biernie to akceptuje”. Dotarliśmy na skraj prześwitu i weszliśmy do lasu. Znow zaczęło padać, lekka mżawka moczyła nam ubrania; Speer zamilkł i szedł, trzymając strzelbę w pogotowiu, skupiony na obserwacji krzewów. Maszerowaliśmy tak pół godziny, aż do strumienia, wstąpiliśmy na drogę po przekątnej, po czym znow wróciliśmy do strumienia. Od czasu do czasu, z oddali, słyszałem pojedynczy, stłumiony przez deszcz odgłos wystrzału. Speer strzelił jeszcze cztery razy i zabił czarnego głuszca o pięknie opierzonej, mieniącej się metalicznymi refleksami szyi. Przemoczeni do suchej nitki przeskoczyliśmy przez strumień i ruszyliśmy w stronę domu. Zanim doszliśmy do parku, Speer znow się odezwał: „Herr Sturmbannführer, mam prośbę. Brigadeführer Kammler buduje w tej chwili podziemną instalację w górach Harzu, do produkcji pocisków rakietowych. Chciałbym ją zwiedzić, sprawdzić, na jakim etapie są prace. Mógłby mi pan to załatwić?”. Zaskoczony, odpowiedziałem: „Nie wiem, Herr Reichsminister. Nie słyszałem o tym. Ale złożę zapytanie”. Zaśmiał się: „Kilka miesięcy temu Obergruppenführer Pohl wysłał mi list ze skargą, że zwiedziłem tylko jeden obóz koncentracyjny i wydałem opinię o eksploatacji więźniów na podstawie niewystarczających informacji. Wyślę panu kopię. Jeśli zaczną panu robić trudności, będzie pan mógł to pokazać”.

Byłem zmęczony, ale to było dobre, długie zmęczenie po wysiłku fizycznym. Przy wejściu do dworku oddałem strzelbę i torbę, oczyściłem buty z błota i poszedłem do pokoju. Ktoś dołożył polan do kominka, było ciepło. Zdjąłem mokre ubranie i poszedłem zobaczyć, jak wygląda przylegająca do pokoju łazienka. Nie tylko była tu bieżąca woda, ale w dodatku ciepła. Zdało mi się to cudem, w Berlinie ciepła woda stanowiła rzadkość;

właściciel zapewne zainstalował w domu kocioł. Nalałem do wanny niemal wrzątku i zanurzyłem się: musiałem zacisnąć zęby, ale rozciągnąłem się na całą długość i gdy przywykłem, zrobiło mi się tak słodko i ciepło, jakbym pływał w wodach płodowych. Trwałem nieruchomo tak długo, jak to było możliwe. Gdy wyszedłem, otworzyłem okna na oścież i stałem nagi, jak to robią w Rosji, aż do chwili, gdy skóra pokryła się marmurkiem białych i czerwonych plam; wypilem szklanekę zimnej wody i położyłem się na brzuchu na tapczanie.

Późnym popołudniem włożyłem garnitur, bez krawata, i zszedłem. W salonie było niewiele osób, ale Mandelbrod siedział już przy kominku na swoim olbrzymim fotelu, ustawionym ukośnie, jak gdyby chciał ogrzać tylko jeden bok. Miał zamknięte oczy, postanowiłem mu nie przeszkadzać. Jedna z jego asystentek, ubrana w surowym, wiejskim stylu, podeszła i uścisnęła mi dłoń: „Dobry wieczór, doktorze Aue. Cieszę się, że znów pana widzę”. Przyjrzałem się jej twarzy: one wszystkie naprawdę były do siebie podobne. „Przepraszam: pani jest Hilde czy Hedwig?” Roześmiała się krótko i perliście: „Ani jedną, ani drugą. Jest pan naprawdę marnym fizjonomistą. Na imię mi Heide. Spotkaliśmy się w biurze doktora Mandelbroda”. Pochyliłem się z uśmiechem i poprosiłem o wybaczenie. „Nie była pani na polowaniu?” — „Nie. Niedawno przyjechaliśmy”. — „Szkoda. Świetnie by pani wyglądała ze strzelbą na ramieniu. Niemiecka Artemida”. Zmierzyła mnie wzrokiem, uśmiechając się lekko: „Mam nadzieję, że nie posunie się pan zbyt daleko w swoich porównaniach, doktorze Aue”. Poczułem, że się czerwienię: nie można było odmówić Mandelbrodowi talentu do wybierania interesujących asystentek. Ta niechybnie też poprosiłaby mnie, żebym ją zapłodnił, gdyby nie Speer i jego żona, którzy, szczęśliwie, zmierzali w naszą stronę. „Ha! Sturmbannführer, wykrzyknął radośnie Speer. Marni z nas myśliwi. Margret przyniosła pięć ptaków, Hettlage trzy”. Frau Speer roześmiała się lekko: „Och! Bo ty pewnie znów rozmawiałeś o pracy”. Minister poszedł nalać sobie herbaty z dużego, pięknie wykonanego dzbanka, który przypominał rosyjski samowar; ja wziąłem kieliszek koniaku. Dr Mandelbrod otworzył oczy i przywołał Speera, żeby się z nim przywitać. Wszedł Leland i dołączył do nich. Wróciłem do rozmowy z Heide; miała solidne wykształcenie filozoficzne — wyłożyła mi w sposób niemal całkiem zrozumiały teorie Heideggera, które wtedy znałem bardzo słabo. Goście stopniowo schodzili się do salonu. Po pewnym czasie Leland poprosił wszystkich, by przeszli do sali obok, w której ustrzelone ptaki leżały po kilka na długim stole, niczym flamandzka

martwa natura. Rekord należał do Frau Speer; generał — amator polowań ustrzelił tylko jednego i skarżył się bez klasy, że wyznaczono mu zły sektor lasu. Myślałem, że przynajmniej zjemy ofiary tej hekatombi, ale nie: ptaki musiały skruszeć, Leland zobowiązał się dostarczyć je wszystkim zainteresowanym, gdy będą gotowe. Pomimo to kolacyjne menu było urozmaicone i obfite, dziczyzna w sosie z borówek, kartofle pieczone w gęsim tłuszczu, szparagi i kabaczki, a wszystko podlane burgundzkim winem ze świetnego rocznika. Usadzono mnie naprzeciw Speera, w pobliżu Lelanda; Mandelbrod zajmował szczyt stołu. Herr Leland, po raz pierwszy, odkąd go znałem, był tak gadatliwy: pijąc kieliszek za kieliszkiem, opowiadał o swojej przeszłości kolonialnego zarządcy w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Znał Rhodesa, dla którego głosił nieograniczony podziw, choć o samym jego pobycie w koloniach niemieckich powiedział niewiele. „Któregoś razu Rhodes powiedział: *Nic, co robi kolonizator, nie może być złe. To, co robi, staje się sprawiedliwe. Jego zadaniem jest robić, co chce.* To właśnie dzięki tej surowo przestrzeganej zasadzie Europa dorobiła się kolonii: dzięki dominacji nad ludami podległymi. Upadek zaczął się dopiero wtedy, gdy zdeformowane demokracje, gwoli uspokojenia własnych sumień, zaczęły się wtrącać ze swoimi, pełnymi hipokryzji, moralnymi zasadami. Zobaczycie: niezależnie od tego, jak skończy się wojna, Francja i Wielka Brytania stracą swoje kolonie. Rozluźniły już uścisk, nie potrafią ponownie zacisnąć pięści. Teraz Niemcy przejmą pałeczkę. W 1907 roku pracowałem z generałem von Trothą. Był to czas powstania Hererów i Nama, ale von Trotha zrozumiał siłę idei Rhodesa. Mówił o tym otwarcie: *Kapię zbuntowane plemiona w rzece krwi i w rzece pieniędzy. Dopiero po takim oczyszczeniu będzie mogło pojawić się coś nowego.* Ale w tamtych czasach Niemcy bardzo słabli i von Trothę wycofano. Zawsze uważałem, że był to znak zapowiadający to, co wydarzyło się w 1918 roku. Na szczęście bieg wydarzeń się odwrócił. Dziś Niemcy przerastają cały świat o głowę. Nasza młodzież nie cofnie się przed niczym. Nasza ekspansja to proces, któremu nie można się oprzeć”. — „A jednak, wtrącił von Wrede, który dotarł tu jeszcze przed Mandelbrodem, Rosjanie...” Leland postukał palcem w blat stołu: „Właśnie, Rosjanie. To dziś jedyny naród, który jest nas wart. I dlatego nasza wojna z nimi jest tak straszliwa, tak bezlitosna. Tylko jeden naród przeżyje. Reszta się nie liczy. Umiecie sobie wyobrazić Jankesów, z tymi ich *corned-beeff* i *chewing-gum*, którzy wytrzymują choćby dziesiątą część strat Rosjan? Choćby setną? Już dawno spakowaliby walizki i wróciliby do siebie, i niech Europa idzie się pieprzyć. Nie,

to, co należy zrobić, to pokazać ludziom Zachodu, że zwycięstwo bolszewików nie leży w ich interesie, że Stalin uzna pół Europy, o ile nie całą, za swoją zdobycz wojenną. Gdyby Anglosasi pomogli nam skończyć z Rosjanami, moglibyśmy zostawić im jakieś ochłapy, albo, odzyskawszy nieco siły, spokojnie ich zmiażdżyć. Spójrzcie, co naszemu *Parteigenosse*, Speerowi udało się zdziałać w ciągu dwóch miesięcy! A to dopiero początek. Wyobraźcie sobie, co by było, gdybyśmy tak mieli wolne ręce, gdyby wszystkie zasoby na Wschodzie były do naszej dyspozycji. Przerobiliśmy świat tak, jak powinien wyglądać”.

Po kolacji grałem w szachy z Hettlagem, współpracownikiem Speera. Heide w milczeniu patrzyła, jak gramy; Hettlage wygrał bez trudu. Nalałem sobie ostatni koniak i uciałem krótką pogawędkę z Heide. Goście rozchodzili się do sypialni. Wreszcie i ona wstała, po czym, tak samo bez ogródek jak jej koleżanki, poinformowała mnie: „Teraz muszę iść pomóc doktorowi Mandelbrodowi. Jeżeli nie miałby pan ochoty na samotne spędzenie nocy, mam pokój blisko pana, trzecie drzwi na lewo. Może pan przyjść później, napijemy się czegoś”. — „Dziękuję, odpowiedziałem. Zobaczę”. Zamyślony poszedłem do pokoju, rozebrałem się i położyłem. Ogień dogorywał w kominku. Leżąc tak w ciemnościach, myślałem: A właściwie, czemu nie? To piękna kobieta, ma wspaniałe ciało, co mi szkodzi skorzystać? Nie było mowy o kontynuowaniu znajomości, propozycja była jasna i szczerą. I choć miałem w tej kwestii ograniczone doświadczenie, kobiece ciało nie budziło we mnie obrzydzenia, pewnie też było przyjemne, delikatne i miękkie, można się było w nie wtulić jak w poduszkę. Ale kiedyś dałem słowo i nawet jeśli nie istniały inne przeszkody, byłem człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Jeszcze nie wszystko było załatwione.

Niedziela minęła spokojnie. Spałem długo, prawie do dziewiątej — zazwyczaj wstawałem o piątej trzydzieści — po czym zszedłem na śniadanie. Usiadłem przy jednym z okien i kartkowałem stare francuskie wydanie Pascala, które znalazłem w bibliotece. Późnym rankiem towarzyszyłem Frau Speer i Frau Wrede w przechadzce po parku. Mąż tej drugiej został, by grać w karty z przemysłowcem znanym z tego, że stopniowo wzniósł swoje imperium dzięki zmyślnym posunięciom aryzyjnym, z generałem-myśliwym i z Hettlagem. Mokra trawa lśniła, na żwirowych i ziemnych alejach stały kałuże; wilgotne powietrze było świeże, ożywcze, para z naszych oddechów owiewała nam twarze małymi obłoczkami. Niebo pozostało jednolicie szare. W południe wypilem kawę ze Speerem,

który dopiero się pojawił. Opowiedział mi szczegółowo o kwestii zagranicznych robotników i o swych problemach z Gauleiterem Sauckelem; następnie rozmowa zeszła na przypadek Ohlendorfa, którego Speer uważał chyba za romantyka. Zbyt słabo znałem się na ekonomii, żeby bronić tez Ohlendorfa; Speer zaś żywo zachwalał swoje zasady samorządności w przemyśle. „W gruncie rzeczy pozostaje tylko jeden argument: to działa. Po wojnie doktor Ohlendorf będzie mógł wprowadzać takie reformy, jakie sobie zażyczy, jeżeli ktoś w ogóle będzie chciał go słuchać; ale tymczasem, takjak mówiłem panu wczoraj, trzeba wygrać wojnę”.

Leland i Mandelbrod, gdy znalazłem się w ich pobliżu, gawędzili ze mną o tym i owym, ale nie wyglądało, żeby któryś z nich miał mi do powiedzenia coś specjalnego. Zacząłem nawet zastanawiać się, po co mnie tu ściągnęli: bo zapewne nie po to, żebym skorzystał z wdzięków Fräulein Heide. Ale gdy późnym popołudniem, w samochodzie państwa von Wrede, z którymi wracałem do Berlina, porządnie się nad tym zastanowiłem, odpowiedź wydała mi się oczywista: chodziło o to, żebym nawiązał kontakt ze Speerem, żebym się do niego zbliżył. I chyba dało to oczekiwany wynik, bo Speer, tuż przed odjazdem, pozdrowił mnie serdecznie i obiecał, że jeszcze się spotkamy. Jedno tylko pytanie nie dawało mi spokoju: czemu to miałyby służyć? W czym interesie Herr Leland i dr Mandelbrod aż tak mnie *wynosili*? Bo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że chodzi tutaj o zaprogramowane wywyższenie. Zazwyczaj ministrowie nie spędzali czasu na pogaduszkach z prostymi majorami. Niepokoiło mnie to, ponieważ brakowało mi danych, bym mógł dokładniej ocenić relacje pomiędzy Speerem, Reichsführerem i moimi dwoma protektorami; widać było, że ci dwaj wykonują jakieś manewry, ale w jakim kierunku, na czyją korzyść? Byłem gotów grać, ale — w jaką grę? Jeżeli nie miałyby to być gra SS, sprawa mogła być ryzykowna. Powinienem pozostać dyskretny i bardzo uważać. Bez wątpienia byłem elementem jakiegoś planu — gdyby się nie powiódł, będę potrzebował wentyla bezpieczeństwa.

Wystarczająco dobrze znałem Thomasa, by wiedzieć, nie pytając go nawet, co by mi poradził: znajdź kogoś, kto cię będzie krył. W poniedziałek rano poprosiłem Brandta o spotkanie, zobaczyłem się z nim w ciągu dnia. Opowiedziałem mu, jak spędziłem weekend i powtórzyłem rozmowy ze Speerem, których najważniejsze fragmenty wynotowałem i przedłożyłem mu w tej formie. Nie wyglądało na to, że Brandt ma coś przeciwko. „Tak więc poprosił pana o możliwość odwiedzenia Dory?” To była tajna

nazwa fabryki, o której mówił Speer, nazwanej oficjalnie Mittelbau, „konstrukcje centralne”. „Jego ministerstwo zwróciło się do nas z zapytaniem. Jeszcze nie udzieliliśmy odpowiedzi”. — „A co pan o tym sądzi, Herr Standartenführer?” — „Sam nie wiem. Decyzja należy do Reichsführera. Tak czy inaczej dobrze pan zrobił, zdając mi ten raport”. Podpytywał mnie też trochę o pracę — wyłożyłem mu pierwsze syntezy dokumentów, które przestudiowałem. Gdy wstałem, by odejść, odezwał się: „Myślę, że Reichsführer jest usatysfakcjonowany przebiegiem spraw. Niech pan idzie dalej w tym kierunku”.

Po spotkaniu wróciłem do gabinetu, żeby popracować. Lało jak z cebra, ledwo dostrzegałem drzewa Tiergarten, rozmyte w strugach deszczu, które cięży ogołoczone gałęzie. Około siedemnastej puściłem do domu Fräulein Prakse; Walser i Obersturmführer Elias, jeszcze jeden specjalista przysłany przez Brandta, wyszli około osiemnastej, razem z Isenbeckiem. Godzinę później poszedłem poszukać Asbacha, nadal pracował: „Kończy pan, Untersturmführer? Chodźmy się czegoś napić, zapraszam”. Spojrzał na zegarek: „Nie sądzi pan, że oni wrócą? Za chwilę ich ulubiona pora”. Wyjrzałem przez okno: było ciemno, trochę padało. „Gdzie tam! Przy takiej pogodzie?” A jednak w holu zatrzymał nas portier: „*Luftgefahr* 15, meine Herren”. Przewidziany poważny nalot. Prawdopodobnie wykryto samoloty w drodze. Odwróciłem się do Asbacha i powiedziałem wesoło: „No i jednak miał pan rację. Co robimy? Zaryzykujemy na zewnątrz czy przeczekamy tutaj?”. Asbach był nieco zaniepokojony: „Ale moja żona...”. — „Raczej nie zdąży pan wrócić. Dałbym panu Pionka, ale on już pojechał”. Pomyślałem chwilę. „Lepiej będzie, jak przeczekamy tutaj, potem pan wróci do domu. Pańska żona uda się w bezpieczne miejsce, wszystko będzie dobrze”. Zawahał się: „Wie pan co, Sturmbannführer, zadzwonię do niej. Jest w ciąży, nie chcę, żeby się denerwowała”. — „Świetnie. Zaczekam na pana”. Wyszedłem na ganek i zapaliłem papierosa. Rozwyły się syreny, przechodnie na Königsplatz przyspieszali kroku, biegali w poszukiwaniu schronienia. Ja się nie bałem: w tym skrzydle ministerstwa mieścił się świetny schron. Skończyłem papierosa, gdy Flak rozpoczął swoją akcję, i wróciłem do holu. Asbach zbiegał po schodach. „Wszystko dobrze. Idzie do matki. Mieszka w sąsiedztwie”. — „Otworzył pan okna?”, spytałem. Zeszliśmy do schronu, solidnego i dobrze oświetlonego betonowego bloku, pełnego krzeseł, łóżek polowych i dużych beczek z wodą. Ludzi było tu niewiele: większość urzędników wracała wcześniej do domów, z powodu kolejek w sklepach i nalotów. Z oddali niosły się pierwsze pomruki. Usłyszałem odgłosy rozległych, silnych detonacji:

zbliżały się, jedna po drugiej, niczym monumentalne kroki olbrzyma. Przy każdej fali uderzenia rosło ciśnienie, powietrze boleśnie wwierało się w uszy. Całkiem blisko rozległ się potworny huk, poczułem, jak drżą ściany bunkra. Światło zamigotało i nagle zgasło, pograżając schron w ciemnościach. Jakaś dziewczyna pisnęła ze strachu. Ktoś zaśwycił latarkę, kilku innych paliło zapalki. Ktoś inny zapytał: „Nie ma tu zapasowego generatora?”, lecz przerwał mu ogłuszający odgłos wybuchu, gruz leciał z sufitu, niektórzy krzyczeli. Poczułem dym, woń prochu wwierała mi się w nozdrza: bomba musiała spaść na nasz budynek. Eksplozje cichły; dzwoniło mi w uszach, lecz zdołałem usłyszeć słaby warkot eskadry. Jakaś kobieta płakała, jakiś mężczyzna miotał przekleństwa; zapaliłem zapalniczkę i skierowałem się ku opancerzonym drzwiom. Próbowałem otworzyć je przy pomocy portiera: nie puszczały, schody były pewnie zawałone gruzem. We trzech runęliśmy na drzwi, uderzając w nie ramionami, i wreszcie udało nam się je uchylić tak, by wysliznąć się na zewnątrz. Schody zawałone były stosami cegieł; dotarłem do parteru, za mną jakiś urzędnik: fala wybuchu wyrwała z zawiasów duże drzwi wejściowe i wyrzuciła na środek holu, płomienie lizały boazerię i dyżurkę portiera. Wbiegłem po schodach, przedostałem się przez korytarz zawałony wyrwanymi skrzydłami drzwi i ramami okien, po czym wszedłem na wyższe piętro, do mojego biura: miałem zamiar ocalić najważniejsze dokumenty. Żelazna balustrada przy schodach była powyginana: zaczepiłem kieszeń kurtki o wykrecony pręt i rozdarłem ją. Biura na górze płonęły, musiałem zawrócić. Korytarzem szedł jakiś urzędnik i niósł stos dokumentów; dobiegł do niego inny, blady, usmolony sadzą i kurzem: „Zostawcie to! Zachodnie skrzydło płonie. Bomba przebiła dach”. Sądziłem, że nalot skończony, ale wtedy usłyszałem kolejny pomruk dobiegający z nieba; kanonada detonacji zbliżała się z przerażającą prędkością, zbiegliśmy do piwnicy, silna eksplozja uniosła mnie i rzuciła na schody. Przez moment byłem chyba ogłuszony; wróciłem do siebie, gdy oślepiło mnie białe, okrutne światło, jak się okazało, z małej latarki. Usłyszałem, jak Asbach krzyczy: „Sturmbannführer! Sturmbannführer!”. — „W porządku”, mruzczałem, podnosząc się. W poświacie płomieni przy wejściu obejrzałem kurtkę: metalowe ostrze przecięło tkaninę, ubranie było do wyrzucenia. „Ministerstwo płonie, usłyszałem czyjś głos. Musimy stąd wyjść”. Wraz z grupką mężczyzn odgruzowałem byle jak włącz do schronu, tak by wszyscy mogli wydostać się na górę. Syreny nadal wyły, ale dział przeciwlotnicze zamilkło, odlatywały ostatnie samoloty. Była dwudziesta trzydzieści, nalot trwał godzinę.

Ktoś pokazał nam wiadra, stworzyliśmy łańcuch, usiłując gasić ogień: nasze wysiłki były śmieszne, w ciągu dwudziestu minut skończyła się woda magazynowana w piwnicy. Krany nie działały, pewnie bomby przerwały sieć kanalizacyjną; portier próbował dzwonić po straż pożarną, ale linia była odcięta. Odnalazłem w schronie płaszcz i wyszedłem na zewnątrz ocenić zniszczenia. Wschodnie skrzydło wyglądało na nietknięte, ale zawaliła się część skrzydła zachodniego, a sąsiednie okna rzygały czarnym gęstym dymem. Nasze biura chyba też spłonęły. Podszedł do mnie Asbach, miał zakrwawioną twarz. „Co się panu stało?”, spytałem. — „Nic takiego. Cegła”. Ciagle byłem ogłuszony, w uszach coś boleśnie mi świszczowało. Spojrzałem w stronę Tiergarten: drzewa, oświetlone luną pożarów, były potrzaskane, połamane, wywrócone, wyglądało to jak flandryjski las po najeździe, z książek, które czytałem jako dziecko. „Wróć do siebie”, powiedział Asbach. Jego zakrwawioną twarz wykrzywił grymas lęku. „Pójdę do żony”. — „Niech pan idzie. I proszę uważać na spadające kawałki murów”. Nadjechały dwa wozy strażackie, zaczęły się ustawiać, ale wyglądało na to, że brakuje im wody. Na zewnątrz wychodzili pracownicy ministerstwa; wielu z nich niosło dokumenty, składali je w pewnej odległości, na chodnikach: przez pół godziny pomagałem nosić segregatory i papiery; i tak nie mogłem się dostać do własnego biura. Zerwał się mocny wiatr, a na północy, na wschodzie i dalej, na południu, za Tiergarten czerwieniało nocne niebo. Przyszedł jakiś oficer z wiadomością, że ogień się rozprzestrzenił, ale pomyślałem, że ministerstwo i sąsiadujące z nim budynki chroni z jednej strony zakole Szprewy, a z drugiej Tiergarten i Königsplatz. Reichstag, ciemny i zamknięty, nie wyglądał na uszkodzony.

Nie wiedziałem, co robić. Czułem głód, ale nie mogłem liczyć na znalezienie jedzenia. W domu miałem jakieś przekąski, ale nie wiedziałem, czy mieszkanie w ogóle jeszcze istnieje. W końcu postanowiłem iść do SS-Haus i oddać się do dyspozycji przełożonych. Przemierzyłem biegiem Friedensallee: naprzeciw wznosiła się nietknięta Brama Brandenburska, okryta siatką maskującą. Ale za nią stała w ogniu niemal cała Unter den Linden. Powietrze było gęste od dymu i kurzu, ciężkie i gorące, zaczynałem mieć trudności z oddychaniem. Z płonących budynków tryskały z sykiem snopy iskieł. Wiał coraz silniejszy wiatr. Po drugiej stronie Pariser Platz płonął gmach Ministerstwa Uzbrojenia, częściowo zmiążdżony przez falę wybuchu. Sekretarki w żelaznych kaskach obrony cywilnej na głowach uwijały się pośród gruzu, tu też odbywała się ewakuacja dokumentów. Z boku stał zaparkowany mercedes z proporczykiem; w tłumie

pracowników rozpoznałem Speera, był rozczochrany, twarz miał czarną od sadzy. Podszedłem, zasalutowałem, zaproponowałem pomoc; na mój widok wrzasnął coś, czego nie rozumiałem. „Pan płonie!”, powtórzył. — „Co?” Podbiegł do mnie, chwycił za ramiona, odwrócił i zaczął energicznie klepać mnie dłonią po plecach. Płaszcz pewnie się zajął od iskier, nic nie poczułem. Podziękowałem zmieszany i spytałem, co mógłbym zrobić. „Nic, naprawdę. Myślę, że wynieśliśmy wszystko, co się dało. Bomba spadła prosto na moje osobiste biuro. Nic nie ocalało”. Rozejrzałem się dookoła: ambasada Francji, dawna ambasada Wielkiej Brytanii, hotel Bristol, biura IG Farben, wszystkie te budowle były ciężko uszkodzone lub płonęły. Eleganckie fasady domów zaprojektowanych przez mistrza Schinkela, w okolicy Bramy, pękały pod wpływem gorąca. „Cóż za smutny widok”, mruknąłem. — „Zabrzmi to strasznie, odezwał się Speer w zamyśleniu, ale dobrze, że się skoncentrowali na miastach”. — „Co pan ma na myśli, Herr Reichsminister?” — „Latem, gdy się wzięli za Ruhrę, drżałem. W sierpniu zaatakowali Schweinfurt, gdzie znajduje się cała nasza produkcja łożysk tocznych. A później jeszcze raz, w październiku. Produkcja spadła do 67%. Chyba nie ma pan co do tego wątpliwości, Sturmbannführer, bez łożysk tocznych nie ma wojny. Jeśli się skoncentrują na Schweinfurcie, dwa, góra trzy miesiące i kapitulujemy. Tu, machnął ręką w stronę płomieni, zabijają ludzi, marnotrawią zapasy na nasze dziedzictwo kulturalne”. Zaśmiał się sucho i twardo: „Przecież i tak wszystko odbudujemy. Cha! cha!”. Zasalutowałem. „Skoro mnie pan nie potrzebuje, Herr Reichsminister, pójdę dalej. Chciałem tylko powiedzieć panu, że pańskie zapytanie jest w tej chwili analizowane. Skontaktuję się z panem wkrótce, by powiedzieć, jak się sprawy mają”. Uścisnął mi dłoń: „Dobrze, dobrze. Spokojnego wieczoru, Sturmbannführer”.

Zmoczyłem chusteczkę w wiadrze z wodą, trzymałem przyciśniętą do ust i tak szedłem; zwilżyłem także ramiona i czapkę. Wiatr na Wilhelmstrasse wył między gmachami ministerstw i szarpał płomienie, które lizały puste otwory okien. Żołnierze i strażacy uwijali się jak w ukropie, właściwie bez skutku. Budynek Auswärtiges Amt był chyba mocno uszkodzony, ale kancelaria, stojąca nieco dalej, nie doznała szwanku. Szedłem po dywanie potłuczonego szkła: na całej ulicy nie pozostało ani jedno całe okno. Na Wilhelmplatz ułożono kilka ciał tuż obok wywróconej ciężarówki Luftwaffe. Przerażeni cywile wychodzili ze stacji U-Bahn i zdezorientowani rozglądali się lękliwie; od czasu do czasu dawał się słyszeć wybuch jakiejś bomby z opóźnionym zapłonem albo

głuchy huk walącego się budynku. Obejrzałem ciała: mężczyzna bez spodni, o groteskowo wypiętych krwawiących pośladkach; kobieta w pończochach z puszczonym oczkiem, za to bez głowy. Uważałem, że rzeczą wyjątkowo bezwstydną jest zostawianie ich tutaj, ale widocznie nikogo innego to nie raziło. Przed gmachem Ministerstwa Lotnictwa stali wartownicy: przechodnie krzyczeli pod ich adresem wyzwiska lub wygrażali Göringowi, ale nie zatrzymywali się, nie było zbiegowisk; pokazałem legitymację SD i przeszedłem przez kordon. Docierałem wreszcie do rogu Prinz-Albrechtstrasse: w SS-Haus nie było ani jednej całej szyby, ale ogólnie obeszło się chyba bez większych szkód. W holu żołnierze z oddziału zamiatali gruz, a oficerowie ustawiali deski i materace przy ziejących pustką otworach okiennych. Odnalazłem Brandta, stał w jednym z korytarzy i wydawał polecenia głosem matowym i spokojnym: zależało mu zwłaszcza na podłączeniu telefonu. Zasalutowałem i poinformowałem go o zniszczeniu mojego biura. Pokiwał głową: „Rozumiem. Jutro pomyślimy, co z tym zrobić”. Odniosłem wrażenie, że nie zostało tu wiele do zrobienia, więc przeszedłem do sąsiedniego budynku, do Staatspolizei; tam bezskutecznie próbowano osadzić z powrotem wyrwane skrzydła drzwi. W pobliżu spadło kilka bomb, ulicę deformował ogromny krater, do którego lała się woda z rozerwanych rur kanalizacyjnych. Odnalazłem Thomasa, siedział w swoim gabinecie, pił sznapsa w towarzystwie trzech oficerów, roznegliżowany, czarny od sadzy, radosny. „Patrzcie no!, wykrzyknął na mój widok. Nieźle wyglądasz. Napij się. Gdzie byłeś?” Opowiedziałem mu pokrótce o swoich przygodach w ministerstwie. „Ha! Ja byłem już w domu, zszedłem do piwnicy z sąsiadami. Bomba przebiła dach i budynek stanął w ogniu. Musieliśmy kolejno burzyć ściany sąsiednich piwnic, aż wreszcie wyszliśmy na rogu ulicy. Wszystkie budynki płonęły, a połowa kamienicy, w tym także moje mieszkanie, zawaliła się. Jakby tego było mało, odnalazłem swojego kabrioleta pod autobusem. Krótko mówiąc, jestem bez dachu nad głową”. Nalał mi następną szklaneczkę. „Pijmy, gdy trapi nas smutek, jak mawiała moja babka Ivona”.

Spędziłem noc w Staatspolizei. Thomas zamówił kanapki, herbatę i zupę. Pożyczył mi jeden ze swoich zapasowych mundurów, trochę na mnie za duży, ale lepszy niż moje łachmany; uśmiechnięta stenotypistka zajęła się wymianą galonów i odznaczeń. W sali gimnastycznej ustawiliśmy łóżka polowe dla piętnastki poszkodowanych oficerów; spotkałem Eduarda Holste, którego poznałem przelotnie jako Leiterra IV/V grupy D, pod koniec czterdziestego drugiego — stracił wszystko i prawie płakał z rozgoryczenia.

Niestety, prysznic nie działał, więc musiałem zadowolić się umyciem rąk i twarzy. Bolało mnie gardło, kasłałem, dobrze, że sznaps Thomasa zabił nieco smak popiołu w moich ustach. Na zewnątrz nadal huczały detonacje. Wył wiatr, szalony, niepokojący.

O świcie, nie czekając na Pionka, wyprowadziłem samochód z garażu i pojechałem do siebie. Ulice, zablokowane przez zwęglone, powywracane tramwaje, powalone drzewa i gruzy, były ledwie przejezdne. Niebo zasnęła chmura czarnego cierpkiego dymu, wielu ludzi trzymało przy twarzach zmoczone chustki i ręczniki. Cały czas mżyło. Wyprzedzałem kolumny ludzi, pchających wózki, ciągnących z trudem walizy. Woda wyciekała wszędzie z rur kanalizacyjnych, musiałem co chwila przejeżdżać przez kałuże, ryzykując, że zatopione w nich kawałki gruzu przebiją opony. Mimo wszystko jeździło sporo samochodów, większość bez szyb lub drzwiczek, były po brzegi wypełnione ludźmi: ci, którzy mieli miejsce, brali do środka poszkodowanych, sam też podwiozłem wyczerpaną matkę z dwojgiem małych dzieci, która szła do rodziców. Postanowiłem pojechać na skróty, przez zdewastowany Tiergarten; Kolumna Zwycięstwa ocalała i jakby sama nie mogła w to uwierzyć, tkwiła pośrodku ogromnego jeziora, które utworzyły wody z poszarpanych rur kanalizacyjnych, musiałem nadrobić sporo drogi, żeby je objechać. Wysadziłem kobietę przy zgliszczach Händelallee i pojechałem do mieszkania. Dookoła uwijały się ekipy usiłujące naprawiać zniszczenia; saperzy wpuszczali powietrze do zawalonych piwnic w zburzonych budynkach i kopali w poszukiwaniu ocalałych, wspomagani przez włoskich jeńców z literami KGF namalowanymi na czerwono na plecach — nazywano ich Badoglios. Stacja S-Bahn na Brückenallee była zrujnowana. Mieszkałem nieco dalej, na Flensburgerstrasse; moja kamienica cudownie ocalała, sto pięćdziesiąt metrów od niej były już tylko gruzy i ziejące pustką okien elewacje. Oczywiście winda nie działała; wszedłem na ósme piętro, sąsiedzi zamiatali klatkę schodową i często bez powodzenia usiłowali osadzić z powrotem wyrwane drzwi. Moje też wybuch wyszarpał z zawiasów, leżały w poprzek korytarza. Wewnątrz wszystko przysypane było grubą warstwą pokruszonego szkła i gipsu. Zauważyłem ślady butów i brak gramofonu, ale poza tym raczej nic nie zginęło. Zimny, ostry wiatr wpadał do środka przez okna. Spakowałem prędko walizkę i zszedłem dogadać się z sąsiadką, która od czasu do czasu przychodziła mi sprzątać, żeby zajęła się uporządkowaniem mieszkania. Dałem jej pieniądze na naprawę drzwi — najlepiej od razu, i okien — jak tylko stanie się to możliwe; obiecała, że skontaktuje się ze mną w SS-Haus, gdy lokum będzie się jako

tako nadawało do ponownego zamieszkania. Wyszedłem i zacząłem rozglądać się za hotelem: ponad wszystko marzyłem o kąpeli. Znów najbliżej miałem do hotelu Eden, gdzie zatrzymałem się kiedyś na dłuższy czas. Miałem szczęście, cała Budapesterstrasse była zrównana z ziemią, ale Eden nadal przyjmował gości. Recepcja przeżywała oblężenie, bogacze, którzy stracili dach nad głową, kłócili się z oficerami o pokoje. Powołałem się na swój stopień, odznaczenia i inwalidztwo, skłamałem, wyolbrzymiając stan zniszczeń w moim mieszkaniu, i administrator, który mnie rozpoznał, zaproponował łóżko, pod warunkiem że zgodzę się na współlokatora. Wcisnąłem banknot boyowi z mojego piętra i kazałem mu przynieść gorącej wody — wreszcie, koło dziesiątej, mogłem urządzić sobie kąpiel, raczej letnią niż ciepłą, ale i tak wspaniała. Woda natychmiast zrobiła się czarna, ale nie dbałem o to. Moczyłem się jeszcze, gdy do pokoju wprowadzono współlokatora. Przeprosił mnie uprzejmie przez drzwi łazienki i powiedział, że zaczeka na dole, aż będę gotów. Ubrałem się i zaraz po niego zszedłem: był to gruziński arystokrata, bardzo wytworny, który wydostał się z płonącego hotelu.

Wszyscy moi koledzy wpadli na pomysł umówienia się w SS-Haus. Spotkałem Piontka, niewzruszonego jak zwykle; Fräulein Prakse, która zdołała się wystroić, choć cała jej garderoba spłonęła; Walsera, radosnego, bo dzielnica, w której mieszkał, prawie nie ucierpiała; i Isenbecka, lekko wstrząśniętego, ponieważ jego stara sąsiadka zmarła na zawał tuż przy nim, podczas alarmu, w ciemności, a on nie był tego świadom. Weinrowski od kilku dni był już w Oranienburgu. Asbach przysłał krótką wiadomość: jego żona jest ranna, ale on, jeśli tylko będzie to możliwe, przyjdzie. Wysłałem Piontka, żeby zaproponował mu kilka dni urlopu, jeżeli będzie miał taką potrzebę; zresztą, niewielkie były szanse na szybki powrót do pracy. Puściłem Fräulein Prakse do domu, a sam, w towarzystwie Walsera i Isenbecka, udałem się do ministerstwa sprawdzić, czy coś jeszcze da się uratować. Ogień został opanowany, ale zachodnie skrzydło gmachu było zamknięte; jakiś strażak przeprowadził nas przez zgliszcza. Większa część ostatniego piętra spłonęła, strych również, z naszych biur ocalało jedno pomieszczenie z szafą na dokumenty — nie była spalona, ale doszczętnie zalana wodą ze strażackich sikawek. Przez wyrwę w ścianie widać było część zrujnowanego Tiergarten. Pochyliłem się i dostrzegłem, że Lehrter Bahnhof także ucierpiał, lecz gęsty dym spowijający całe miasto zasłaniał dalszy widok, tylko w oddali wyróżniały się ogniste linie płonących ulic. Zabraliśmy się z kolegami do przenoszenia ocalałych dokumentów, a także maszyn do pisania i telefonu. Była to

niełatwa robota, bo ogień w niektórych miejscach przepalił dach na wylot, a korytarze były zawałone gruzem, który należało wynieść. Gdy dołączył do nas Piontek, załadowaliśmy samochód i wysłałem wszystko do SS-Haus. Przyznano mi tam tymczasową szafę na dokumenty, i tyle. Brandt był nadal zbyt zajęty, by zwracać na mnie uwagę. Nie miałem nic więcej do roboty, więc odesłałem do domów Walsera i Isenbecka, i kazałem Piontkowi odwieźć się do hotelu Eden. Umówiłem się z nim, że przyjedzie po mnie następnego dnia rano: był sam, bez rodziny, mógł więc z powodzeniem nocować w garażu. Zszedłem do baru i zamówiłem koniak. Mój współlokator Gruzin, wystrojony w pilśniowy kapelusz i biały szal, grał na fortepianie Mozarta, w sposób niezwykle ostry. Gdy przerwał, zaprosiłem go na szklaneczkę i chwilę z nim pogawędziłem. Miał trudne do określenia powiązania z jedną z grup emigrantów, które na próżno kręciły się w biurach Auswärtiges Amt i SS. Odnosiłem niejasne wrażenie, że nazwisko Misza Kedia, które wymówił, jest mi skądś znane. Gdy dowiedział się, że byłem na Kaukazie, zapalał entuzjazmem (choć ja nigdy nie postawiłem nawet stopy po jego stronie gór), zamówił następną kolejkę, wznosił uroczysty, niekończący się toast, zmusił mnie, bym wypił do dna, i zaprosił od razu do siebie do Tyflisu, do siedziby swego rodu, gdy tylko nasze siły wyzwolą miasto. Tłum w barze powoli gęstniał. Około siódmej rozmowy zaczęły się rwać, ludzie coraz częściej zerkali na zegar nad kontuarem. Dziesięć minut później rozwyły się syreny i zaraz Flak, gwałtownie i blisko. Kierownik zapewnił nas, że bar pełni również funkcję schronu, schodzili się pozostali goście hotelu, wkrótce zrobiło się ciasno. Panowała dość radosna i ożywiona atmosfera: gdy zbliżały się pierwsze bomby, Gruzin znów usiadł do fortepianu i zaczął grać jazz. Kobiety w sukniach wieczorowych wstały, by zatańczyć, drżały ściany i żyrandole, kieliszki spadały z baru i roztrzaskiwały się, ledwo było słyszeć muzykę pośród wybuchów, ciśnienie powietrza stawało się nie do zniesienia, piłem, kobiety śmiały się histerycznie, jedna próbowała mnie pocałować i zaraz się rozełkała. Gdy nalot się skończył, kierownik postawił kolejkę wszystkim obecnym. Wyszedłem: trafili zoo, płonęły pawilony, ogień buzował wszędzie. Zapaliłem papierosa, żałując, że nie poszedłem obejrzeć zwierząt, gdy jeszcze był na to czas. Dostrzegłem wyrwę w murze: zbliżyłem się, ludzie biegali chaotycznie, niektórzy mieli strzelby, mówiono coś o lwach i tygrysach na wolności. Na ogród spadło kilka bomb zapalających i zza stosu cegieł widziałem, jak płoną galerie; duża indyjska świątynia była przebita na wylot. Wewnątrz, jak poinformował mnie jakiś przypadkowy przechodzień, znaleziono

zwłoki słoni, rozerwanych przez bomby, oraz nosorożca, bez żadnych ran, lecz nieżywego, może zdechł ze strachu. Za moimi plecami płonęły niemal wszystkie budynki Budapesterstrasse. Poszedłem pomóc strażakom; całymi godzinami zbierałem gruzy. Co pięć minut, na dźwięk gwizdka, roboty ustawały, by ratownicy mogli wsłuchać się w głuchoe wołania uwieczonych w ruinach ludzi, wyciągnięto sporo żywych, rannych, nawet całkiem zdrowych. Około północy wróciłem do Edenu. Fasada budynku była zniszczona, ale w budowlę nie trafiła bezpośrednio żadna bomba; w barze trwała impreza. Mój nowy gruziński przyjaciel zmusił mnie do wypicia kilku kieliszków, jeden po drugim. Pożyczony od Thomasa mundur był przepocony i brudny od sadzy, ale nie przeszkadzało to światowym kobietom flirtować ze mną; widać było, że niewiele z nich ma ochotę spędzić noc samotnie. Gruzini zajęli się mną, i to tak, że całkiem się upiłem: nazajutrz rano obudziłem się w swoim łóżku, nie pamiętając, jak się tam znalazłem, byłem bez kurtki i koszuli, ale za to w butach. Gruzini chrapał na sąsiednim łóżku. Oczyszczyłem się jako tako, założyłem własny mundur, a ten pożyczony od Thomasa oddałem do pralni; zostawiłem śpiącego współlokatora, przełknąłem ohydny kawę, wziąłem tabletkę od bólu głowy i wróciłem na Prinz-Albrechtstrasse.

Oficerowie Reichsführung wyglądali nieszczególnie: wielu z nich nie zmrużyło w nocy oka, byli tacy, którzy stracili w bombardowaniu mieszkania, a kilku — kogoś z rodziny. Więźniowie w pasiakach, pilnowani przez „SS-Totenkopf”, odgruzowywali hol i schody, przybijali deski, malowali ściany. Brandt polecił, bym pomógł kilku oficerom sporządzić prowizoryczny bilans strat dla Reichsführera, kontaktując się z władzami miejskimi. Zadanie było dość proste: każdy z nas wybierał jeden sektor — ofiary, budynki mieszkalne, budynki rządowe, infrastruktura, przemysł — i zwracał się do odpowiednich władz z prośbą o przekazanie danych liczbowych. Upchnięto mnie w biurze wyposażonym w telefon i książkę telefoniczną; kilka linii nadal działało — sprowadziłem Fräulein Prakse, która wytrzasnęła skądś nowy strój, żeby obdzwoniła szpitale. Nie chciałem, by Isenbeck deptał mi po piętach, dlatego wysłałem go z ocalałymi teczkami do Oranienburga, do jego szefa Weinrowskiego, i kazałem Piontkowi go odwiedzić. Walser nie przyszedł. Gdy Fräulein Prakse udało się połączyć z jakimś szpitalem, pytałem o liczbę nieżywych i rannych, którzy tam trafili. Kiedy sporządziła listę trzech lub czterech nieosiągalnych telefonicznie placówek, wysłałem szofera i ordynansa, by zebrali dane na miejscu. Koło południa przyszedł Asbach, wymęczony, widać było, że z dużym trudem

trzyma fason. Wziąłem go do mesy na kanapki z herbatą. Powoli, między jednym kęsem a drugim, opowiedział mi, co się stało: pierwszego wieczoru bomba spadła prosto na kamienicę, w której jego żona ukryła się z matką, budynek zawalił się na schron i tylko część stropu zdołała utrzymać ten ciężar. Teściowa Asbacha prawdopodobnie zginęła na miejscu albo zmarła zaraz potem. Żona została przysypana żywcem i udało się ją wydobyć spod gruzów dopiero na drugi dzień rano, bez fizycznych obrażeń, jeśli nie liczyć złamanej ręki, ale całkiem bez zmysłów; w nocy poroniła i nadal nie wróciła do formy psychicznej, na przemian gaworzyła jak niemowlę i płakała histerycznie. „Będę musiał pochować jej matkę sam, powiedział smutno Asbach, popijając herbatę małymi łykami. Wolałbym trochę poczekać, aż żona wróci do siebie, ale kostnice pękają w szwach i władze medyczne obawiają się epidemii. Podobno wszystkie ciała, po które nikt się nie zgłosi w ciągu dwudziestu czterech godzin, zostaną pogrzebane w mogiłach zbiorowych. To przerażające”. Próbowałem pocieszyć go, jak umiałem, ale, muszę przyznać, nie mam zbyt wielkiego talentu do tego typu rzeczy: niby mówiłem mu, że wszystko się ułoży, że jeszcze zazna małżeńskiego szczęścia, ale brzmiało to całkiem nieprzekonująco. Choć chyba i tak go nieco pocieszyło. Kazałem szoferowi z Reichsführung odwieźć go do domu i obiecałem, że znajdę furgonetkę na jutrzejszy pogrzeb.

Choć we wtorkowym nalocie wzięło udział o połowę mniej maszyn niż w poniedziałek, to właśnie on miał się okazać bardziej niszczycielski. Bardzo ucierpiały dzielnice robotnicze, zwłaszcza Wedding. Późnym popołudniem zebraliśmy wystarczające informacje, by stworzyć krótki raport: doliczyliśmy się jakichś 2000 zabitych, plus setek nie wydobytych jeszcze spod gruzów, 3000 spalonych lub zburzonych budynków, 175 000 poszkodowanych, z tego 100 000 zapewne opuściło już Berlin i osiadło w okolicznych wioskach lub innych niemieckich miastach. Około osiemnastej zwolniono wszystkich tych, których praca nie była konieczna. Ja zostałem nieco dłużej i byłem właśnie w drodze, odwożony przez dyżurnego szofera, gdy dał się słyszeć jęk syren. Postanowiłem nie jechać do Edenu: bar-schron nie budził mojego zaufania, wolałem też nie powtarzać pijaństwa z poprzedniej nocy. Rozkazałem szoferowi, by objechał zoo i zatrzymał się przy wielkim bunkrze. Przy drzwiach, których było o wiele za mało i były zbyt wąskie, kłębiły się tłumy. U stóp betonowej budowli zatrzymywały się samochody; przed nimi, na wyznaczonej połaci, stały w nieregularnych kręgach dziecięce spacerówki. Wewnątrz żołnierze i policjanci kierowali ruchem ludzi, wyszczekując polecenia; na każdym piętrze

tworzyły się zatory, nikt nie chciał wejść wyżej, kobiety krzyczały, a dzieci biegały w tłumie i bawiły się w wojnę. Skierowano nas na trzecie piętro, lecz ławki, ustawione w rzędach jak w kościele, były już zajęte, poszedłem oprzeć się o betonową ścianę. Szofer zniknął w tłumie. Chwilę później umieszczone na dachu działa przeciwlotnicze 88 mm otworzyły ogień: olbrzymia struktura wibrowała, chybotąca niczym okręt na pełnym morzu. Ludzie objali się o siebie nawzajem, krzyczeli albo jęczeli. Światła zostały przytłumione, lecz nie wyłączono ich. W kątach i w ciemnych zakamarkach spiralnych schodów, łączących kolejne poziomy schronu, cisnęły się przytulone pary nastolatków; niektóre z nich wyglądały nawet tak, jakby się kochały — słychać było pośród wybuchów jęki o innej tonacji niż lamenty przerażonych matron, starcy protestowali z oburzeniem, Schupo darli się, nakazywali ludziom siedzieć na miejscach. Chciałem zapalić, ale to było zakazane. Patrzyłem na kobietę siedzącą przede mną na ławce: pochylała głowę, widziałem tylko jej jasne włosy, wyjątkowo gęste, obcięte do ramion. Gdzieś blisko wybuchła bomba, bunkier zatrzęsł się i z sufitu posypał się betonowy pył. Młoda kobieta podniosła głowę i natychmiast ją rozpoznałem: to była ta, którą czasem rano spotykałem w tramwaju. Ona też mnie rozpoznała i słodki uśmiech rozświetlił jej twarz, gdy podawała mi białą dłoń: „Dobry wieczór. Martwiłam się o pana”. — „A dlaczegoż to?” Odgłos wystrzałów z Flaka i wybuchów zagłuszał nasze słowa, więc kucnąłem i pochyliłem się ku niej. „Nie był pan na pływalni w zeszłą niedzielę, powiedziała mi do ucha. Bałam się, że przytrafiło się panu coś złego”. Zdało mi się, że niedziela była częścią innego życia; a przecież minęły tylko trzy dni. „Byłem na wsi. Pływalnia wciąż istnieje?” Znowu się uśmiechnęła: „Nie wiem”. Kolejny, bardzo silny wybuch wstrząsnął budowlą, dziewczyna złapała mnie za rękę i mocno ścisnęła; gdy się uspokoiło, puściła mnie i przeprosiła. Nawet w tym żółtawym świetle pełnym drobinek kurzu dostrzegłem, że lekko się rumieni. „Przepraszam najmocniej, zagaiłem, ale jak się pani nazywa?” — „Helena, odpowiedziała. Helena Anders”. Także się przedstawiłem. Pracowała w biurze prasowym Auswärtiges Amt; jej biuro, tak jak większa część ministerstwa, zostało zburzone w poniedziałek wieczorem, ale dom jej rodziców na Alt Moabit, gdzie mieszkała, nadal stał. „W każdym razie stał jeszcze przed tym nalotem. A pan?” Roześmiałem się: „Miałem biura w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, ale spłonęły. Na razie pracuję w SS-Haus”. I tak rozmawialiśmy do końca alarmu. Przyszła pieszo do Charlottenburga, żeby pocieszyć poszkodowaną podczas bombardowania przyjaciółkę; syreny zaskoczyły ją w drodze

powrotnej i schroniła się tutaj, w bunkrze. „Nie sądziłam, że powrócą trzeciego wieczoru z rzędu”, powiedziała cicho. „Mówiąc szczerze, ja też nie, odparłem, ale cieszę się, że dało to nam okazję do ponownego spotkania”. Powiedziałem to z uprzejmości, ale uświadomiłem sobie, że nie chodziło tu wyłącznie o kurtuazję. Tym razem wyraźnie się zaczerwieniła, lecz ton jej głosu się nie zmienił, nadal był jasny i szczerzy: „Ja też. Nasz tramwaj raczej nie będzie jeździł przez pewien czas”. Gdy zapaliły się światła, wstała i otrzepała płaszcz. „Jeżeli nie ma pani nic przeciwko, powiedziałem, mógłbym panią podwieźć. Chyba że nie mam już samochodu, dorzuciłem ze śmiechem. Proszę nie odmawiać. Powinien być tu niedaleko”.

Znalazłem szofera, stał wściekły obok samochodu: pojazd nie miał szyb, cały jeden bok zmiażdżył inny samochód rzucony siłą wybuchu. Z dziecięcych wózków pozostała rozrzucona po placu sieczka. Zoo znów płonęło, dochodziły z niego straszliwe dźwięki, wycie, ryki, bulgoty zwierząt w agonii. „Biedne stworzenia, mamrotała Helena, nie wiedzą, co się dzieje”. Szofer myślał tylko o swoim samochodzie. Poszedłem poszukać kilku Schupo, którzy mogliby nam pomóc go odgruzować. Drzwiczki pasażera zacięły się; wpuściłem Helenę do tyłu, sam prześliznąłem się nad fotelem szofera. Jazda okazała się dość skomplikowana, musieliśmy zrobić objazd przez Tiergarten z powodu zasypanych gruzem ulic, z ulgą zauważyłem jednak, gdy przejeżdżaliśmy przez Flensburgerstrasse, że moja kamienica ocalała. Alt Moabit, z wyjątkiem spustoszeń wywołanych przez kilka zabłąkanych bomb, był praktycznie nietknięty — zostawiłem Helenę przed małym domem, w którym mieszkała. „Teraz, powiedziałem jej na pożegnanie, teraz wiem, gdzie pani szukać. Jeżeli pani pozwoli, przyjdę z wizytą, gdy zrobi się nieco spokojniej”. — „Byłoby mi bardzo miło”, odpowiedziała z pięknym, łagodnym uśmiechem. Wróciłem do hotelu Eden — zastałem na jego miejscu wypatroszoną elewację, trawioną przez płomienie. Trzy bomby przebiły dach, nic nie ocalało. Na szczęście schron przetrwał, goście hotelowi uszli z życiem, można ich było ewakuować. Mój gruziński współlokator pił koniak z gwinta w towarzystwie kilku innych pogorzalców; gdy tylko mnie dostrzegł, zmusił, bym wypił łyk. „Straciłem wszystko! Wszystko! Najbardziej żałuję butów. Cztery nowe pary!” — „Ma pan dokąd pójść?” Wzruszył ramionami: „Mam tu niedaleko przyjaciół. Na Rauchstrasse”. — „Chodźmy, odwiozę pana”. Dom, który wskazał mi Gruzin, nie miał już okien, ale wyglądał na zamieszkaną. Zaczekałem kilka minut, a on poszedł dowiedzieć się czegoś. Wrócił rozradowany: „Doskonale! Jadą do Marienbadu,

zabiorę się z nimi. Wstąpi pan napić się czegoś?”. Odmówiłem uprzejmie, ale on nalegał: „No, dalej. Strzemiennego”. Czułem się wypalony, wyczerpany. Życzyłem mu powodzenia i ruszyłem, nie oglądając się za siebie. W gmachu Staatspolizei jakiś Untersturmführer poinformował mnie, że Thomas znalazł schronienie u Schellenberga. Zjadłem coś, kazałem rozłożyć sobie łóżko w prowizorycznym dormitorium i zasnąłem.

Nazajutrz, we czwartek, wciąż zbierałem statystyki dla Brandta. Walser nadal się nie pojawiał, ale nie niepokoiłem się tym zbytnio. Zerwane linie telefoniczne zastępowała teraz drużyna Hitlerjugend, użyczona nam przez Goebbelsa. Posyłaliśmy ich, gdzie się dało, na rowerach lub pieszo, by przekazywali lub odbierali wiadomości i przesyłki. Mordercza praca służb miejskich zaczęła przynosić rezultaty: w niektórych dzielnicach pojawiała się woda, elektryczność także, oddawano do użytku niektóre odcinki linii tramwajowych i w miarę możliwości także U-Bahnu i S-Bahnu. Wiedzieliśmy też, że Goebbels zastanawia się nad częściową ewakuacją miasta. Wszędzie na ruinach wykwitwały kredowe napisy, ludzie szukali rodziców, przyjaciół, sąsiadów. Koło południa zarekwirowałem policyjną furgonetkę i pojechałem pomóc Asbachowi przy pochówku teściowej na cmentarzu Plotzensee, u boku męża, zmarłego cztery lata wcześniej na raka. Asbach czuł się chyba nieco lepiej: jego żona odzyskiwała zmysły, rozpoznała go, ale on ciągle jeszcze nie powiedział jej ani o matce, ani o stracie dziecka. Towarzyszyła nam Fräulein Praxa, udało jej się nawet zdobyć kwiaty; Asbach był wyraźnie poruszony. Oprócz nas przyszło jeszcze troje jego przyjaciół, w tym jedna para i pastor. Trumnę zbito z brzydkich, źle oheblowanych desek. Asbach powtarzał w kółko, że gdy tylko będzie miał taką możliwość, postara się o pozwolenie na ekshumację i wyprawi teściowej odpowiedni pogrzeb: nigdy się nie lubili, teściowa nie kryła pogardy dla jego munduru SS, ale jakkolwiek by było, to przecież matka żony, a Asbach kochał swoją małżonkę. Nie zazdrościłem mu sytuacji: samotność bywa czasem zaletą, zwłaszcza w czasie wojny. Odwiozłem go do szpitala wojskowego, gdzie leżała jego żona, i wróciłem do SS-Haus. Tamtego dnia nie było nalotu; wczesnym wieczorem rozległ się alarm, wywołując wybuch paniki, ale to były tylko samoloty rozpoznawcze, fotografowały zniszczenia. Po alarmie, który spędziłem w bunkrze Staatspolizei, Thomas zabrał mnie do restauracyjki, która już na nowo przyjmowała gości. Był w doskonałym humorze: Schellenberg załatwił mu od kogoś domek w Dahlem, eleganckiej dzielnicy koło Grunewaldu, a wkrótce miał odkupić małego kabrioleta marki Mercedes od wdowy po pewnym Hauptsturmführerze, zabitym

podczas pierwszego nalotu, która potrzebowała pieniędzy. „Na szczęście mój bank nie ucierpiał. To najważniejsze”. Skrzywiłem się. „Są chyba ważniejsze rzeczy”. — „Co, na przykład?” — „Nasze poświęcenie. Cierpienie tych wszystkich ludzi wokół i na froncie”. W Rosji sprawy przybrały już bardzo zły obrót: straciliśmy Kijów i wprawdzie udało nam się odbić Żytomierz, za to później straciliśmy Czerkasy, a w dniu, w którym polowałem na głuszce ze Speerem, w Równem ukraińscy powstańcy z UPA, nastawieni wrogo zarówno do Niemców, jak i do bolszewików, odstrzelili naszych samotnych żołnierzy jak króliki. „Zawsze ci to mówiłem, Max, bierzesz wszystko zbyt poważnie”. — „To kwestia *Weltanschauung*”, powiedziałem, unosząc kieliszek. Thomas zaśmiał się krótko i szyderczo. „*Weltanschauung* tu, *Weltanschauung* tam, jak mawiał Schnitzler. Wszyscy mają dziś jakiś *Weltanschauung*, każdy jeden piekarz czy hydraulik ma swój własny *Weltanschauung*, mój mechanik wystawia mi rachunki o 30% wyższe niż innym, ale i on ma swój *Weltanschauung*, ja też zresztą mam...” Zamilkł i wypił. Ja też wypilem. Było to wino bułgarskie, nieco cierpkie, ale w tych okolicznościach nie mogliśmy narzekać. „Powiem ci, co jest naprawdę ważne, odezwał się gniewnie Thomas. Służyć krajowi, umrzeć zań, jeśli trzeba, ale jednocześnie korzystać z życia, najlepiej, jak się potrafi. Pośmiertnie nadany ci Ritterkreutz pocieszy być może twoją starą matkę, ale dla ciebie nie będzie to miało znaczenia”. — „Moja matka nie żyje”, powiedziałem cicho. — „Wiem. Przepraszam”. Któregoś wieczoru, po kilku kieliszkach, opowiedziałem mu o śmierci matki, nie wdając się zbytnio w szczegóły; później nie wracaliśmy już do tego tematu. Thomas napił się jeszcze i znów wybuchł: „Wiesz, dlaczego nienawidzimy Żydów? Powiem ci. Nienawidzimy Żydów, gdyż jest to naród oszczędny i ostrożny, skąpy i chciwy, nie tylko pieniędzy i bezpieczeństwa, lecz także swoich tradycji, swej wiedzy i ksiąg, niezdolny dawać i wydawać, naród, który nie zna wojny. Naród, który umie gromadzić, nigdy marnotrawić. W Kijowie mówiłeś, że zabijanie Żydów to marnotrawstwo. No więc właśnie, marnotrawiąc ich życie, tak jak marnotrawi się ryż, sypiąc go na nowożeńców, nauczyliśmy ich oddawania, nauczyliśmy ich wojny. A dowodem, że to działa, że Żydzi zaczynają wyciągać wnioski z tej nauki, jest Warszawa, jest Treblinka, Sobibór, Białystok — to Żydzi, którzy stają się wojownikami, którzy stają się okrutni, którzy także stają się zabójcami. Uważam, że to coś pięknego. Stworzyliśmy sobie godnego wroga. Żółta gwiazda, uderzył się w pierś na wysokości serca, tam, gdzie przyszywa się gwiazdę, nabiera wartości. Jeśli Niemcy, zamiast lamentować, nie wezmą

się do roboty tak jak Żydzi, dostaną to, na co zasłużyli. Vae victis!”. Jednym haustem opróżnił kieliszek, patrzył niewidzącym wzrokiem. Zrozumiałem, że jest pijany. „Pójdę już”, powiedział. Zaproponowałem, że go odwiozę, ale odmówił: wziął służbowy samochód z garażu. Na ulicy, odgruzowanej tylko w połowie, uściśnął mi niedbale dłoń, trzasnął drzwiczkami i ruszył z kopyta. Pojechałem przespać się w Staatspolizei; było tam ciepło i przynajmniej naprawiono prysznic.

Następnego wieczoru znów był nalot, piąty i ostatni z tej serii. Szkody były straszliwe: centrum miasta zostało zrównane z ziemią, także spora część Wedding, doliczono się ponad 4000 zabitych i 400 000 pozbawionych dachu nad głową, runęło wiele fabryk i kilka gmachów ministerstw, komunikacja i transport publiczny nie działały całymi tygodniami. Ludzie mieszkali w budynkach bez okien i ogrzewania; spłonęła znaczna część zapasów węgla, przechowywanych w ogrodach na zimę. Dostanie chleba było niemożliwością, sklepy świeciły pustkami, NSV rozstawiło kuchnie polowe na zrujnowanych ulicach, serwując kapuśniak. W kompleksie gmachów Reichsführung i RSHA radziliśmy sobie lepiej: było co jeść i gdzie spać, tym, którzy wszystko stracili, zapewniono ubrania i mundury. Gdy Brandt mnie przyjął, zaproponowałem przeniesienie części mojej ekipy do Oranienburga, do lokali IKL, i zachowanie niewielkiego biura w Berlinie na działalność łączniczą. Spodobał mu się ten pomysł, ale chciał poznać zdanie Reichsführera, który to, jak mnie poinformował, zgodził się, żeby Speer zwiedził Mittelbau: miałem zająć się organizacją tego przedsięwzięcia. „Niech pan to zrobi tak, żeby Reichsminister był... usatysfakcjonowany”, uściślił. Miał dla mnie jeszcze jedną niespodziankę: awansowałem na Obersturmbannführera. Ucieszyło mnie to, lecz i zaskoczyło: „Czemu mam to przypisywać?”. — „Tak zdecydował Reichsführer. Pańskie funkcje nabrały już pewnego znaczenia i nadal nabierają. No właśnie, co pan myśli o reorganizacji Auschwitz?” Na początku miesiąca Obersturmbannführer Liebehenschel, zastępca Glücksa w IKL, zajął miejsce Hössa. Wtedy to Auschwitz podzielono na trzy odrębne obozy: Stammlager, kompleks Birkenau i Monowitz ze wszystkimi Nebenlager. Liebehenschel pozostał komendantem obozu I, a także Standortteste wszystkich trzech, co dawało mu prawo do kontroli pracy dwóch nowych komendantów, Hartjensteina i Hauptsturmführera Schwarza, dotąd Arbeitskommandoführera pod dowództwem Hössa. „Myślę, Herr Standartenführer, że reorganizacja administracji to świetna inicjatywa: obóz był zbyt rozległy i zarządzanie nim stało się niemożliwe. Jeśli zaś chodzi o

Obersturmbannführera Liebehenschela, to z tego, co widziałem, jest to dobry wybór, doskonale zrozumiał nowe priorytety. Muszę jednak przyznać, że w świetle powołania Obersturmbannführera Hössa na stanowisko w Inspektoracie KL niezbyt rozumiem politykę personalną tej organizacji. Darzę Obersturmbannführera Hössa niezmiernym szacunkiem, uważam, że jest świetnym żołnierzem, ale, jeżeli chce pan znać moje zdanie, powinien stać na czele regimentu Waffen-SS, na froncie. To nie jest administrator. Liebehenschel zajmował się większością bieżących spraw IKL. Nie ma co liczyć, że Höss będzie się interesował administracyjnymi szczegółami”. Brandt przyjrzał mi się przez szkła wielkich swoich okularów. „Dziękuję panu za tę szczerą opinię. Ale nie sądzę, że Reichsführer zgodziłby się z panem. Zresztą, nawet jeśli Obersturmbannführer Höss ma inne talenty niż Liebehenschel, to zawsze jest jeszcze Standartenführer Maurer”. Pokiwałem głową; Brandt podzielał obiegową opinię na temat Glücksa. Isenbeck, gdy spotkałem się z nim tydzień później, powtórzył mi to, co mówiono w Oranienburgu: wszyscy świetnie rozumieją, że czas Hössa w Auschwitz się skończył, wszyscy, prócz samego Hössa. Podobno Reichsführer osobiście poinformował go o przeniesieniu podczas wizyty w obozie, posługując się jako pretekstem — jak opowiadał Höss w Oranienburgu — audycją BBC o eksterminacjach. Jego awans na szefa D I pokazywał, że to całkiem możliwe. Lecz dlaczego obchodzono się z nim tak delikatnie? Thomas, gdy zadałem mu to pytanie, widział tylko jedno wyjaśnienie: Höss w latach dwudziestych siedział z Bormannem w więzieniu za zabójstwo w odwecie; musieli więc pozostać w bliskim kontakcie i Bormann chronił Hössa.

Jak tylko Reichsführer zaaprobował moją propozycję, przystąpiłem do reorganizacji biura. Cała jednostka zajmująca się badaniami, z Asbachem na czele, została przeniesiona do Oranienburga. Asbach chyba z ulgą opuszczał Berlin. Ja, wraz z Fräulein Prakszą i dwoma oficerami, wróciłem do dawnych lokali w SS-Haus. Walser nigdy się nie zjawił. Piontek, którego wysłałem wreszcie, by sprawdził, co się dzieje, zrelacjonował mi, że schron kamienicy Walsera zniszczyła bomba we wtorek wieczorem. Szacowano, że zginęły sto dwadzieścia trzy osoby, wszyscy mieszkańcy budynku, nikt nie przeżył, ale większości wydobytych spod gruzów zwłok nie dało się zidentyfikować. Aby mieć czyste sumienie, zgłosiłem jego zaginięcie: policja szukała go po szpitalach, ale miałem niewielką nadzieję, że znajdą go żywego. Piontek martwił się tym chyba bardzo. Thomas, po krótkim epizodzie *spleenu*, znów kipiał energią; teraz, gdy nasze biura sąsiadowały ze

sobą, widywałem go częściej. Nie powiedziałem mu o awansie, chciałem go zaskoczyć, czekałem na oficjalną notę, by zmienić galony i naszywki na kołnierzu. Gdy zjawiłem się w jego gabinecie, wybuchnął śmiechem, zaczął szukać czegoś na biurku, chwycił jakąś kartkę, potrząsnął nią i krzyknął: „Ach, nikczemniku. Myślałeś, że mnie dogonisz!”. Zrobił z kartki samolot i rzucił do mnie; samolocik stuknął dziobem o mój Krzyż Żelazny, złapałem go, rozwinąłem i przeczytałem, że Müller proponuje awansować Thomasa na stopień Standartenführera. „Możesz być pewien, że nie będzie odmowy. Ale, dodał wspaniałomyślnie, zanim przyjdzie oficjalne potwierdzenie, to ja będę ci stawiał kolacje”.

Mój awans niewiele obszedł także niewzruszoną Fräulein Prakę, choć nawet i ona nie mogła ukryć zdziwienia, gdy odebrawszy któregoś dnia telefon, usłyszała głos Speera. „Reichsminister do pana”, poinformowała mnie drżącym głosem, podając słuchawkę. Po ostatnim nalocie wysłałem swój nowy adres i numer telefonu. „Sturmbannführer?, zabrzmiał jego mocny, przyjemny głos. Co u pana? Dużo szkód?” — „Mój archiwista prawdopodobnie zginął, Herr Reichsminister, oprócz tego wszystko w porządku. A pan?” — „Przeprowadziłem się do siedziby tymczasowej i wysłałem rodzinę na wieś. I jak tam?” — „Reichsführer właśnie zgodził się na pańską wizytę w Mittelbau, Herr Reichsminister. Powierzono mi jej organizację. Przy najbliższej okazji skontaktuję się z pańską sekretarką, by ustalić datę”. Speer zalecił mi, bym w ważnych kwestiach zwracał się raczej do osobistej sekretarki aniżeli do któregoś z asystentów. „Świetnie, stwierdził. Do zobaczenia wkrótce”. Napisałem już do Mittelbau, by mieli czas przygotować wizytę. Zadzwoiłem do Obersturmbannführera Förschnera, komendanta Dory, by porozumieć się w różnych sprawach. „Niech pan posłucha, warknął zmęczonym głosem do słuchawki, zrobimy wszystko, co w naszej mocy”. — „Ja pana, Obersturmbannführer, nie proszę, żeby pan robił, co w pana mocy. Proszę, by instalacja dobrze się prezentowała podczas wizyty Reichsministra. Reichsführer osobiście wyraził takie żądanie. Zrozumiał mnie pan?” — „Dobrze, dobrze. Wydam dodatkowe rozkazy”.

Moje mieszkanie zostało jako tako odremontowane. Udało mi się w końcu znaleźć szyby do dwóch okien, resztę zaślepiono woskowaną tkaniną na plandeki. Moja sąsiadka nie tylko naprawiła drzwi, ale wytrzasnęła też skądś lampy oliwne na czas naprawy instalacji elektrycznej. Zamówiłem węgiel i gdy tylko napaliłem w dużym piecu kaflowym, zrobiło się naprawdę ciepło. Doszedłem do wniosku, że wynajem mieszkania na ostatnim piętrze to nie był najlepszy pomysł: miałem niesłychane szczęście, że

uszedłem z życiem podczas nalotów w tym tygodniu, ale gdyby się powtórzyły, a to na pewno nastąpi, może już mi się nie udać. W głębi duszy nie miałem ochoty się denerwować: mieszkanie nie było moje i miałem tu niewiele rzeczy osobistych — należało wobec tego zachować postawę pełną spokoju, jak Thomas. Kupiłem sobie tylko nowy gramofon i płyty z *Partitami* Bacha na fortepian oraz z ariami z oper Monteverdiego. Wieczorami, w ciepłym i archaicznym świetle lampy oliwnej, z kieliszkiem koniaku i papierosami pod ręką, rozkładałem się na sofie, słuchałem i zapominałem o całej reszcie.

A jednak pewna nowa myśl coraz częściej pojawiała się w mojej głowie. W niedzielę, po tygodniu bombardowań, około południa wziąłem samochód z garażu i udałem się do Heleny Anders. Było zimno, wilgotno, niebo nadal zasnuwały chmury, ale nie padało. Po drodze udało mi się kupić bukiet kwiatów od jakiejś staruchy, wprost na ulicy, przy stacji S-Bahn. Gdy dotarłem pod kamienicę, zdałem sobie sprawę, że nie znam numeru, pod którym mieszka. Nie znalazłem jej nazwiska na skrzynkach na listy. Z budynku wychodziła właśnie dość mocno zbudowana kobieta, stanęła, zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i rzuciła z silnym berlińskim akcentem: „Szuka pan kogoś?”. — „Fräulein Anders”. — „Anders? Nie ma tu żadnych Andersów”. Opisałem ją. — „Mówi pan o córce Winnefeldów. Ale jaka tam z niej Fräulein”. Pokazała mi mieszkanie — zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła mi starsza siwowłosa pani, marszcząc brwi. „Frau Winnefeld?” — „Tak”. Stuknąłem obcasami i pochyliłem głowę. „Moje uszanowanie, meine Dame. Przyszedłem zobaczyć się z pani córką”. Podałem jej kwiaty i przedstawiłem się. W przedpokoju stanęła Helena w szalu zarzuconym na ramiona, jej twarz pokryła się delikatnym rumieńcem: „Och!, uśmiechnęła się, to pan”. — „Przyszedłem spytać, czy idzie pani dziś popływać”. — „Pływalnia jest nadal otwarta?”, spytała. — „Niestety, nie”. Sprawdziłem to, zanim przyjechałem do niej: przypadkowa bomba z całą siłą uderzyła w sklepienie, a dozorca, który pilnował ruin, poinformował, że wzięwszy pod uwagę priorytety, nie ma co liczyć na otwarcie przed końcem wojny. „Ale znam inną”. — „Zatem z przyjemnością. Pójdę po rzecz”. Na dole pomogłem jej wsiąść do samochodu i ruszyłem. „Nie wiedziałem, że jest pani *Frau*”, odezwałem się po kilku chwilach milczenia. Spojrzała na mnie zamyślona: „Jestem wdową. Mój mąż zginął w Jugosławii w zeszłym roku, z rąk partyzantów. Byliśmy małżeństwem niespełna rok”. — „Przykro mi”. Patrzyła przez szybę. „Mnie także”, powiedziała. Odwróciła się do mnie: „Ale trzeba żyć,

prawda?”. Milczałem. „Hans, mój mąż, mówiła dalej, bardzo lubił wybrzeże Dalmacji. W listach pisał, że zamieszkamy tam po wojnie. Zna pan Dalmację?” — „Nie. Służyłem na Ukrainie i w Rosji. Ale nie chciałbym się tam przeprowadzić”. — „A gdzie chciałby pan mieszkać?” — „Prawdę mówiąc, nie wiem. Myślę, że nie w Berlinie. Nie wiem”. Opowiedziałem jej krótko o dzieciństwie we Francji. Sama była rodowitą berlinką: już jej dziadkowie mieszkali na Moabicy. Dotarliśmy na Prinz-Albrechtstrasse, zatrzymałem samochód przed numerem 8. „Ależ to siedziba Gestapo!”, krzyknęła przerażona. „No tak. Mają w podziemiach mały, ogrzewany basen”. Przyjrzała mi się: „Jest pan policjantem?”. „Skądże”. Pokazałem przez szybę dawny hotel Prinz-Albrecht, tuż obok: „Pracuję tutaj, w biurach Reichsführera. Jestem prawnikiem, zajmuję się kwestiami gospodarczymi”. To ją chyba uspokoiło. „Proszę się nie obawiać. Na pływalni łatwiej spotkać stenotypistki i sekretarki niż policjantów, oni mają co innego do roboty”. Istotnie, pływalnia była tak mała, że należało się zapisywać z wyprzedzeniem. Spotkaliśmy Thomasa, był już w kąpielówkach. „Ach! Ja panią znam!”, krzyknął, ucałowawszy z galanterią białą rękę Heleny. Jest pani przyjaciółką Liselotte i Miny Wehde”. Pokazałem jej drogę do damskiej szatni i poszedłem się przebrać, a Thomas uśmiechnął się do mnie szyderczo. Gdy wyszedłem, Thomas rozmawiał w wodzie z jakąś dziewczyną, ale Heleny jeszcze nie było. Zanurkowałem i przepłynąłem kilka długości. Helena wyszła z szatni. Nowocześnie skrojony kostium kąpielowy podkreślał jej kształty, pełne i smukłe jednocześnie; pod łagodnymi krągłościami widocznie odznaczały się mięśnie. Na twarzy, której nawet czepek nie zdołał odebrać urody, malowała się radość: „Prysznice z ciepłą wodą! Ależ luksus!”. Także zanurkowała, przepłynęła pod wodą połowę basenu i zabrała się do pokonywania kolejnych długości. Ja już się zmęczyłem; wyszedłem, założyłem szlafrok i usiadłem na jednym z rozstawionych wokół basenu krzeseł, żeby zapalić i patrzeć na pływającą Helenę. Thomas usiadł obok mnie, ociekał wodą. „Wreszcie się wzięłaś w garść!” — „Podoba ci się?” Plusk wody odbijał się echem od sklepienia hali. Helena zrobiła czterdzieści długości bez zatrzymania, kilometr. Podpłynęła, oparła się o brzeg basenu, jak wtedy, gdy ją pierwszy raz zobaczyłem, i uśmiechnęła się do mnie: „Nie pływa pan dużo”. — „To te papierosy. Brak mi tchu”. — „Szkoda”. Znowu uniosła ramię i zanurkowała, lecz tym razem wynurzyła się w tym samym miejscu i podciągnęła się na rękach zwinnym ruchem. Wyszła, wzięła ręcznik, wytarła twarz, usiadła obok nas i zdjęła czepek, roztrzepując wilgotne włosy. „A pan, rzuciła w stronę Thomasa, też się pan

zajmuje kwestiami gospodarczymi?” — „Nie, odpowiedział. Zostawiam to Maksowi. Jest dużo inteligentniejszy ode mnie”. — „On jest policjantem”, dorzuciłem. Thomas się skrzywił: „Powiedzmy, że działałam w służbach bezpieczeństwa”. — „Brr, wzdrygnęła się Helena. To musi być ponura robota”. — „Och, nie aż tak”. Skończyłem papierosa i znowu poszedłem trochę popływać. Helena zrobiła jeszcze dwadzieścia długości, Thomas flirtował z jedną ze stenotypistek. Skończyłem, opłukałem się pod prysznicem i przebrałem; pożegnałem się z Thomasem i zaprosiłem Helenę na herbatę. „Dokąd?” — „Dobre pytanie. Na Unter den Linden nie ma już nic. Ale coś znajdziemy”. W końcu zawiozłem ją do hotelu Esplanade na Bellevuestrasse: był trochę zniszczony, ale uniknął najgorszego — wewnątrz herbaciarni, pominąwszy deski w oknach, zamaskowane brokatowymi zasłonami, wyglądało tak jak przed wojną. „Piękne miejsce, szepnęła Helena. Nigdy tu jeszcze nie byłam”. — „Podobno mają świetne ciastka. I nie podają ersatzu”. Zamówiłem kawę, ona — herbatę; wzięliśmy też parę ciastek. Rzeczywiście były wyśmienite. Gdy zapaliłem papierosa, poprosiła mnie o jednego. „Pali pani?” — „Czasem”. Później rzekła w zamyśleniu: „Szkoda, że jest ta wojna. Wszystko mogło tak dobrze się układać”. — „Być może. Muszę się pani przyznać, że nie myślę o tym”. Spojrzała na mnie: „Proszę mi powiedzieć, ale szczerze: przegramy, prawda?”. — „Nie!, odpowiedziałem zaszokowany. No przecież, że nie”. Znowu spojrzała przed siebie niewidzącym wzrokiem i po raz ostatni zaciągnęła się papierosem. „Przegramy”, powtórzyła. Odwiozłem ją do domu. Przed drzwiami ścisnęła mi rękę z poważną miną: „Dziękuję, powiedziała. Było mi bardzo przyjemnie”. — „Mam nadzieję, że nie po raz ostatni”. — „Ja także. Do zobaczenia”. Patrzyłem, jak przemierza chodnik i znika wewnątrz budynku. Potem pojechałem do siebie, słuchać Monteverdiego.

Nie bardzo rozumiałem, o co mi chodzi z tą młodą kobietą, ale i nie zależało mi, żeby rozumieć. Podobała mi się jej delikatność — taka, o której myślałem, że istnieje tylko na obrazach Vermeera z Delft, delikatność, pod którą wyczuwałem wyraźnie giętką siłę stalowej brzytwy. To popołudnie sprawiło mi wielką przyjemność i na razie nie zastanawiałem się, co będzie dalej, nie chciałem o tym myśleć. Myśląc — czułem to — natychmiast dotarłbym do bolesnych kwestii i wymagań: po raz pierwszy w życiu nie miałem takiej potrzeby, z zadowoleniem pozwalałem się nieść nurtowi zdarzeń, tak jak muzyce Monteverdiego, niezależnie trzeźwej i jednocześnie pełnej emocji, a co dalej — się okaże. Przez cały kolejny tydzień, w chwilach przestoju w pracy albo wieczorem, w

domu, wracała myśl o jej poważnej twarzy czy o spokoju jej uśmiechu, myśl przyjacielska, czuła, która mnie nie przerażała.

Lecz przeszłość to coś, co, gdy już raz wbije kły w czyjeś ciało, nie odpuści. Jakiś tydzień po bombardowaniach do drzwi mojego gabinetu zapukała Fräulein Praxa. „Herr Obersturmbannführer? Są tu dwaj panowie z Kripo, życzą sobie zobaczyć się z panem”. Byłem właśnie pogrążony w lekturze wyjątkowo zagmatwanego dossier; odpowiedziałem rozdrażniony: „Więc niech zrobią, jak wszyscy, niech się umówią na spotkanie”. — „Tak jest, Herr Obersturmbannführer”. Zamknęła drzwi. Po minucie zapukała znowu: „Proszę wybaczyć, Herr Obersturmbannführer. Upierają się, twierdzą, że to w prywatnej sprawie. Mówią, że to dotyczy pańskiej matki”. Westchnąłem głęboko i zamknąłem teczkę: „No to niech wejdą”.

Dwaj mężczyźni, którzy wparowali do mojego gabinetu, to byli prawdziwi policjanci, nie tacy jak Thomas, który pełnił funkcję honorowo. Mieli na sobie długie szare płaszcze ze sztywnej, brzydkiej wełny, bez wątpienia z domieszką miazgi drzewnej, w rękach ściskali kapelusze. Zawahali się, po czym unieśli ramiona ze słowami „*Heil Hitler!*” Odpowiedziałem im i poprosiłem, by usiedli na kanapie. Przedstawili się: Kriminalkommissar Clemens i Kriminalkommissar Weser z Referatu V B 1 Einsatz / Przystępstwa zagrożone karą śmierci. „Otóż, odezwał się tytułem wstępu pierwszy, chyba Clemens, pracujemy na zlecenie V A 1, który zajmuje się współpracą międzynarodową. Otrzymali od policji francuskiej nakaz pomocy sądowej...” — „Przepraszam najmocniej, przerwałem mu zimno, mógłbym obejrzeć panów dokumenty?” Podali mi legitymacje oraz podpisany przez Regierungsrata Galzowa nakaz odpowiedzi na pytania przekazane przez prefekta regionu Alpes-Maritimes w ramach postępowania dotyczącego zabójstwa obywatela Moreau Aristide i jego małżonki Moreau Heloïse, *primo voto* Aue z domu C. „A więc prowadzicie śledztwo w sprawie śmierci mojej matki, powiedziałem, oddając im papiery. Co ma z nim wspólnego niemiecka policja? Zabójstwo miało miejsce we Francji”. — „Tak jak pan mówi, dokładnie tak”, powiedział drugi, prawdopodobnie Weser. Pierwszy wyjął w tym czasie z kieszeni notes i zaczął go kartkować. „To było podobno bardzo okrutne zabójstwo, powiedział. Pewnie jakiś szaleniec, sadysta. To musiał być dla pana wstrząs”. Mój ton pozostał zimny i twardy: „Kriminalkommissar, wiem, co

się stało. Moje osobiste reakcje nie powinny panów interesować. Czego panowie ode mnie oczekują?”. — „Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań”, powiedział Weser. — „Jako potencjalnemu świadkowi”, dorzucił Clemens. — „Świadkowi czego?”, zapytałem. Spojrzał mi prosto w oczy: „Widział się pan z nimi w tamtym czasie, nieprawdaż?”. Ja też nie spuszczałem z niego wzroku: „To prawda. Jesteście dobrze poinformowani. Byłem u nich z wizytą. Nie wiem dokładnie, kiedy zginęli, lecz musiało to się stać niedługo po moim wyjeździe”. Clemens zajrzał do notesu, pokazał coś Weserowi. Weser podjął rozmowę: „Marsylskie Gestapo twierdzi, że wydano panu przepustkę do strefy włoskiej w dniu 26 kwietnia. Jak długo przebywał pan u matki?”. — „Tylko jeden dzień”. — „Jest pan pewien?”, spytał Clemens. — „Tak mi się wydaje. Czemu pan pyta?” Weser znów zajrzał do notesu Clemensa: „Według informacji przesłanych przez francuską policję, jeden z żandarmów widział oficera SS opuszczającego Antibes w autokarze, rankiem, 29 kwietnia. W sektorze nie było zbyt wielu oficerów SS i raczej nie jeździli autokarami”. — „Możliwe, że spałem tam dwie noce. W tamtym czasie sporo podróżowałem. To ważne?” — „Być może. Na ciała natknął się 1 maja mleczarz. Nie były już pierwszej świeżości. Lekarz sądowy ocenił, że śmierć nastąpiła prawdopodobnie sześćdziesiąt lub osiemdziesiąt cztery godziny wcześniej, czyli między wieczorem dwudziestego ósmego a wieczorem dwudziestego dziewiątego”. — „Ze swej strony mogę panów zapewnić, że gdy wyjeżdżałem, oboje żyli”. — „A więc, stwierdził Clemens, jeżeli wyjechał pan dwudziestego dziewiątego rano, to zabito ich w ciągu dnia”. — „Całkiem możliwe. Nie zastanawiałem się nad tym”. — „W jaki sposób dowiedział się pan o ich śmierci?” — „Poinformowała mnie siostra”. — „Istotnie, powiedział Weser, ciągle nachylony tak, by widzieć zawartość notesu Clemensa, przybyła niemal natychmiast. Dokładnie — 2 maja. Wie pan, w jaki sposób dotarła do niej ta wiadomość?” — „Nie”. — „Spotkał się z nią pan od tamtego czasu?”, spytał Clemens — „Nie”. — „Gdzie się teraz znajduje?”, spytał Weser. — „Mieszka z mężem na Pomorzu. Mogę panom podać adres, ale nie wiem, czy są w domu. Jeżdżą często do Szwajcarii”. Weser wyjął notes z rąk Clemensa i coś zapisał. Clemens spytał: „Nie kontaktuje się pan z nią?” — „Niezbyt często”, odpowiedziałem. — „A matkę często pan widywał?”, spytał Weser. Mieli chyba w zwyczaju odzywać się naprzemiennie i ta gierka straszliwie mnie denerwowała. „Także nieczęsto”, odpowiedziałem najchłodniej, jak potrafiłem. — „Krótko mówiąc, podsumował Clemens, nie jest pan zbyt blisko z rodziną”. — „Meine Herren, już panom mówiłem, nie będę się

panom zwierzał z mych osobistych uczuć. Nie rozumiem, dlaczego obchodzą panów moje relacje z rodziną”. — „Gdy w grę wchodzi zabójstwo, Herr Obersturmbannführer, powiedział sentencjonalnie Weser, wszystko może obchodzić policję”. Naprawdę, przypominali parę gliniarzy z amerykańskich filmów. Prawdopodobnie specjalnie przybrali taką pozę. „Ten Herr Moreau był pańskim ojczymem, nieprawdaż?”, podjął Weser. — „Tak. Poślubił moją matkę w... dwudziestym dziewiątym, o ile pamiętam. Albo w dwudziestym ósmym”. — „W 1929, dokładnie tak”, powiedział Weser, zajrzawszy do notesu. — „Zna pan treść testamentu?”, spytał niespodziewanie Clemens. Pokręciłem głową: „Nie znam. Dlaczego?”. — „Herr Moreau nie był ubogi, powiedział Weser. Być może odziedziczy pan jakąś okrągłą sumkę”. — „Zdziwiłbym się. Ojczym i ja nie lubiliśmy się”. — „Całkiem możliwe, mówił dalej Clemens, ale on nie miał dzieci ani rodzeństwa. Gdyby nie pozostawił testamentu, pan i pańska siostra moglibyście wszystko podzielić między siebie”. — „Nigdy nie przyszło mi to do głowy, przyznałem szczerze. Ale, zamiast spekulować bezpodstawnie, proszę mi powiedzieć, czy znaleziono testament”. Weser kartkował notes: „Prawdę mówiąc, jeszcze nic na ten temat nie wiemy”. — „W każdym razie, oświadczyłem, nikt się ze mną w tej kwestii nie kontaktował”. Weser znów coś zapisał w notesie. „Następne pytanie, Herr Obersturmbannführer: w domu Herr Moreau było dwoje dzieci. Bracia bliźniacy. Żywi”. — „Widziałem te dzieci. Matka powiedziała mi, że to dzieci przyjaciółki. Wie pan, gdzie one teraz są?” — „Nie, warknął Clemens. Francuzi podobno też nie wiedzą”. — „Były świadkami zabójstwa?” — „Nigdy nie puściły pary z ust”, powiedział Weser. — „Całkiem możliwe, że coś widziały”, dorzucił Clemens. — „Ale nie chciały nic powiedzieć”, powtórzył Weser. — „Być może były w szoku”, wyjaśnił Clemens. — „Co się z nimi stało?”, spytałem. — „Właśnie, odrzekł Weser, to jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Pańska siostra wzięła je ze sobą”. — „Nie za bardzo rozumiemy dlaczego, powiedział Clemens. Ani w jaki sposób”. — „W dodatku wygląda to na działanie w wysokim stopniu nielegalne”, ocenił Weser. „W wysokim, powtórzył Clemens. Ale wtedy byli tam Włosi. Z nimi wszystko jest możliwe”. — „Tak, naprawdę wszystko, dołożył Weser. Oprócz prawidłowo przeprowadzonego śledztwa”. — „Tak samo zresztą rzecz się ma z Francuzami”, podjął Clemens. — „Tak, z nimi jest to samo, potwierdził Weser. Praca z nimi to żadna przyjemność”. — „Meine Herren, przerwałem im w końcu. Wszystko ładnie, pięknie, ale co ja mam z tym wspólnego?” Clemens i Weser spojrzeli po sobie.

„Widzicie panowie, jestem w tej chwili bardzo zajęty. Jeżeli nie mają panowie konkretnych pytań, myślę, że na tym możemy zakończyć dzisiejsze spotkanie?” Clemens pokiwał głową, Weser przerzucił kartki notesu, po czym oddał go Clemensowi. Wstał: „Proszę nam wybaczyć, Herr Obersturmbannführer”. — „Tak, powiedział Clemens, również wstając, proszę nam wybaczyć. Na razie to wszystko”. — „Tak, przejął pałeczkę Weser, to wszystko. Dziękujemy za współpracę”. Wyciągnąłem do nich dłonie: „Bardzo proszę. Gdyby mieli panowie więcej pytań, proszę o ponowny kontakt”. Wyjąłem z wizytownika dwa arkusiki i dałem im po jednym. „Dziękuję, powiedział Weser, chowając do kieszeni wizytówkę. Clemens najpierw się jej przyjrzał: *Specjalny przedstawiciel Reichsführera SS do spraw Arbeitseinsatz*, przeczytał. Co to jest?” — „Tajemnica państwowa, Kriminalkommissar”, odpowiedziałem. „Och. Bardzo przepraszam”. Zasalutowali obaj i skierowali się ku drzwiom. Clemens, o dobrą głowę wyższy od Wesera, otworzył je i wyszedł, Weser stanął w progu i obejrzał się na mnie: „Przepraszam, Herr Obersturmbannführer. Zapomniałem o jednym szczególe”. Odwrócił się: „Clemens! Notes”. Znowu przekartkował zeszytik. „Ach, no właśnie: gdy był pan z wizytą u matki, miał pan na sobie mundur czy ubranie cywilne?” — „Nie pamiętam już. A co? To ma jakieś znaczenie?” — „Zapewne nie ma. Obersturmführer z Marsylii, który wydał panu przepustkę, uważa, że był pan w cywilu”. — „Całkiem możliwe. Miałem urlop”. Pokiwał głową. „Dziękuję. Zadzwonimy do pana, jak będziemy mieć coś nowego. Proszę wybaczyć to najście. Następnym razem umówimy się na spotkanie”.

Ta wizyta pozostawiła mi jakby cierpki posmak w ustach. Czego chciały ode mnie te dwie kreatury? Byli wobec mnie agresywni, podejrzliwi. Pewnie, że ich okłamałem: ale gdybym im powiedział, że widziałem ciała, spowodowałoby to masę komplikacji. Nie odniosłem wrażenia, że podejrzewają mnie w tej kwestii. Ich podejrzliwość wydawała mi się nawykowa, bez wątplenia rodzaj zboczenia zawodowego. Uważałem, że pytania o spadek po Moreau były dalece nie na miejscu: miałem wrażenie, że sugerują, iż mógłbym mieć motyw, jakiś materialny interes — to przecież absurd. Czy to możliwe, że podejrzewali mnie o zabójstwo? Starłem się odtworzyć w myślach naszą rozmowę i dochodziłem do wniosku, że tak, to całkiem prawdopodobne. Uważałem, że to oburzające, ale tak zapewne pracował umysł zawodowego policjanta. Nurtowała mnie jeszcze jedna kwestia: dlaczego siostra zabrała bliźniaki? Jaki istniał między nimi związek? Byłem tym wszystkim, muszę przyznać, głęboko wstrząśnięty. Uważałem, że to niesprawiedliwe:

właśnie teraz, gdy moje życie wydawało się osiągać coś na kształt równowagi, poczucia normalności, gdy zaczęło przypominać życie innych ludzi, akurat teraz ci dwaj nierozgarnięci gliniarze muszą rozdrapywać stare rany, budzić niepokoje, przypominać pytania, na które nie ma odpowiedzi. Prawdę mówiąc, najbardziej logicznym posunięciem byłby list lub telefon do siostry, by spytać, kim są te cholerne bliźniaki, i jeszcze po to, by ustalić nasze wypowiedzi w tych kwestiach, w których uznałem za słuszne zatajenie części prawdy, w razie gdyby policjantom przyszło do głowy ją przesłuchać. Lecz, sam nie wiem czemu, nie zrobiłem tego od razu; nie, żeby coś mnie powstrzymywało, po prostu nie miałem ochoty się spieszyć. Zadzwoić — żadna trudność, mogłem to zrobić w każdej chwili, nic mnie nie nagliło.

Poza tym byłem bardzo zajęty. Moja ekipa w Oranienburgu, która pod kierownictwem Asbacha stale się rozwijała, regularnie wysyłała mi syntezy badań o zagranicznych robotnikach, *Ausländereinsatz*. Robotnicy byli podzieleni na liczne kategorie według kryteriów rasowych, podlegali różnym stopniom traktowania. Zaliczali się do nich także jeńcy wojenni z krajów zachodnich (z wyjątkiem sowieckich jeńców, osobnej kategorii, będącej całkowicie pod kontrolą OKW). Dzień po wizycie dwóch inspektorów zostałem wezwany przez Reichsführera, który interesował się tym tematem. Dość długo referowałem mu problem, ponieważ był złożony i rozległy: Reichsführer słuchał niemal bez słowa, nieodgadniony ukryty za małymi, stalowymi oprawkami okrągłych okularów. Jednocześnie miałem na głowie przygotowanie wizyty Speera w Mittelbau, więc pojechałem na Lichterfelde — od czasów nalotów złośliwi berlińczycy nazywali dzielnicę Trichterfelde, kraterową łąką — by poprosić Brigadeführera Kammlera, szefa Amtsgruppe C (Budownictwo) WVHA o objaśnienia na temat projektu. Kammler, mężczyzna suchy, nerwowy, dokładny, który pod potokiem słów i szybkich gestów krył niezłomną wolę, opowiedział mi — po raz pierwszy usłyszałem na ten temat coś więcej niż tylko plotki — o raketach A4, cudownej broni, która, jak twierdził, nieodwracalnie zmieni przebieg wojny, gdy tylko ruszy produkcja seryjna. Anglicy dostali przeciek o jej istnieniu i w sierpniu zbombardowali tajny ośrodek, gdzie trwały prace konstrukcyjne, w północnej części wyspy Usedom, na której odbyłem niegdyś rekonwalescencję. Trzy tygodnie później Reichsführer wystosował do Führera i Speera propozycję, by przenieść fabrykę pod ziemię i zagwarantować utrzymanie tajemnicy, zatrudniając do konstrukcji pocisków wyłącznie więźniów obozów koncentracyjnych.

Kammler sam wybrał lokalizację: podziemia w górach Harzu, używane dotąd przez Wehrmacht do magazynowania zapasów oleju opałowego. Powołano do życia spółkę do zarządzania projektem, Mittelwerke GmbH, pod kontrolą ministra Speera, jednak to na SS spoczywała odpowiedzialność za zagospodarowanie ośrodka i bezpieczeństwo. „Składanie pocisków już ruszyło, chociaż jeszcze nie zakończono budowy; Reichsminister powinien być usatysfakcjonowany”. — „Mam tylko nadzieję, że warunki pracy więźniów są właściwe, Herr Brigadeführer, odpowiedziałem. Wiem, że jest to przedmiot stałej troski Reichsministra”. — „Warunki są, jakie są, Obersturmbannführer. W końcu mamy wojnę. Ale mogę pana zapewnić, że Reichsminister nie będzie miał powodów do narzekania na wydajność. Fabryka pozostaje pod moją osobistą kontrolą, sam wybrałem komendanta, to bardzo skuteczny człowiek. RSHA też mi nie robi trudności: umieściłem tam swojego człowieka, doktora Bischoffa, który dba o bezpieczeństwo produkcji i zapobiega wszelkim próbom sabotażu. Jak na razie nie miałem kłopotów. Zresztą, dodał, przeprowadziłem inspekcję w kilku KL, wraz z podwładnymi Reiehsministra Speera w kwietniu i w maju; nie złożyli zbyt wielu zażaleń, a Mittelbau to coś więcej niż Auschwitz”.

Wizyta odbyła się w pewien grudniowy piątek. Panował ostry chłód. Speerowi towarzyszył ekspert z ministerstwa. Samolot specjalny ministra, heinkel, wylądował w Nordhausen, tam czekała na nas delegacja z obozu, z komendantem Förschnerem na czele, która dowiozła nas na miejsce. Droga, poprzecinana licznymi stanowiskami kontrolnymi SS, biegła wzdłuż południowych stoków Harzu. Förschner wyjaśnił, że cały masyw został ogłoszony strefą zakazaną, rozpoczęto realizację kolejnych podziemnych projektów bardziej na północ, w filialnych obozach Mittelbau. W samej Dorze północna część obu tuneli została przeznaczona na fabrykę budowy silników do samolotu junkers. Speer w milczeniu słuchał jego wyjaśnień. Droga dochodziła do rozległego placu z ubitej ziemi. Po jednej stronie stały rzędem baraki wartowników SS i komendantury. Naprzeciw rozwierało się wzmocnione wejście do pierwszego tunelu, zastawione stosami materiałów budowlanych i przykryte siatką maskującą, najeżone z wierzchu czubem równo posadzonych świerków. Weszliśmy do środka za Förschnerem i kilkoma inżynierami Mittelwerke. Drapał mnie w gardło gipsowy pył i cierpki dym z przemysłowych materiałów wybuchowych. Mieszały się z nimi inne nieokreślone zapachy, słodkie i mdlące, które przypominały mi moje pierwsze wizyty w obozach. Szliśmy, a *Häftlinge*, alarmowani przez Spiessa, który biegł przed delegacją, stawali na baczność i zdzierali

czapki z głów. Byli w większości nieludzko wychudzeni; ich głowy, nasadzone chybotliwie na żylaste szyje, przypominały szkaradne kule z doczepionymi wielkimi nosami i uszami, jak wyciętymi z kartonu, kule, w które wciśnięto po parze ogromnych, pustych oczu — te oczy nie chciały zatrzymać się na niczyjej twarzy. W ich pobliżu przykre zapachy, które wyczułem przy wejściu, przechodziły w ohydny fetor z brudnych ubrań, z ran, w ogóle z ciał. Kilku ludzi Speera pozieleniało i przycisnęło do twarzy chustki; Speer trzymał ręce splecione na plecach i obserwował wszystko surowy i spięty. Co dwadzieścia pięć metrów poprzeczne galerie łączyły oba główne tunele A i B: w pierwszej z nich ujrzelśmy rzędy czteropiętrowych prycz z nieheblowanego drewna, z których, pod gradem razów, zadawanych pałką przez podoficera SS, gramoliła się i ustawiała na baczność rojna horda obdartych więźniów, często wręcz nagich lub półnagich, albo z nogami poplamionymi gównem. Sklepienia z surowego betonu spływały wilgocią. Przed pryczami, w miejscu skrzyżowania z głównym tunelem, stały metalowe beczki, przecięte wzdłuż na pół i ułożone na bokach — to były latryny; wylewał się z nich lepki płyn, żółty, zielony, brązowy, śmierdzący. Jeden z asystentów Speera krzyknął: „Ależ to piekło Dantego!”; inny, trochę na uboczu, wymiotował przy ścianie. Czułem, że wraca znana mi fala mdłości, starałem się ją powstrzymać i oddychałem ze świstem, wciągając powietrze przez zęby, powoli. Speer odwrócił się do Förschnera: „Więźniowie tutaj mieszkają?”. „Tak, Herr Reichsminister”. „Nigdy nie wychodzą?” — „Nie, Herr Reichsminister”. Szliśmy dalej, a Förschner mówił Speerowi, że brakuje im wszystkiego, że nie jest w stanie zapewnić wymaganych warunków sanitarnych i że epidemie dziesiątkują więźniów. Pokazał nam nawet kilka trupów, zebranych w stosy przy wejściach do prostopadłych korytarzy, były nagie lub okryte jakąś nędzną płachtą, ludzkie szkielety obciążone brzydką skórą. W jednej z galerii-dormitoriów rozlewano zupę: Speer zapragnął jej spróbować. Przełknął jedną łyżkę i podał mi, żebym też spróbował; musiałem siłą powstrzymać się, żeby jej nie wypluć: gorzki, paskudny wywar. Jak gdyby ugotowali w nim dzikie zioła; nawet na dnie kotła nie było prawie nic gęstego. Przeszliśmy całą długość tunelu, aż do fabryki junkersów, brodząc w błocie i nieczystościach, oddychając z trudem, pośród tysięcy *Häftlinge*, ukazujących nam mechanicznie, jeden za drugim, twarze pozbawione wszelkiego wyrazu. Patrzyłem na oznakowanie: poza Niemcami, zwłaszcza «zielonymi», byli tu «czerwoni» z całej Europy, Francuzi, Belgowie, Włosi, Holendrzy, Czesi, Polacy, Rosjanie, a nawet Hiszpanie,

republikanie internowani we Francji po porażce (ale, rzecz jasna, nie było Żydów: w tamtym czasie wykorzystywanie żydowskich robotników było jeszcze w Niemczech zakazane). W poprzecznych korytarzach, gdzie nie było już dormitoriów, więźniowie, pilnowani przez cywilnych inżynierów, pracowali przy częściach i montażu rakiet; dalej, w ogłuszającym huku i w obłoku czarnego pyłu, istna armia mrówek drążyła nowe korytarze. Kamienie w wózkach wywozili inni więźniowie: pchali je w wagonikach po pośpiesznie ułożonych szynach. Po wyjściu Speer poinformował, że chce zobaczyć Revier, obozowy szpital. Był to jeden z najbardziej prowizorycznych obiektów z miejscami dla co najwyżej czterdziestu osób. Główny lekarz obozowy pokazał mi statystyki śmiertelności i zachorowalności: dyzenteria, tyfus i gruźlica siały najwięcej spustoszeń. Na zewnątrz, w obecności wszystkich członków delegacji, Speer wybuchł długo tłumionym, zjadliwym gniewem: „Obersturmbannführer Förchner! Ta fabryka to skandal! Nigdy nie widziałem niczego podobnego. Jak ludzie w takim stanie mogą dobrze pracować?!”. Förchner, obsypany gradem inwektyw, odruchowo stanął na baczność. „Herr Reichsminister, odpowiedział, jestem gotów poprawić warunki, ale nikt nie dostarcza mi środków. Nie można obarczać mnie za to odpowiedzialnością”. Speer był blady jak ściana. „Dobrze, warknął. W takim razie rozkazuję panu natychmiast zbudować obóz, tutaj, na zewnątrz, wyposażony w prysznice i sanitariaty. Proszę natychmiast przygotować mi dokumenty na przyznanie materiałów budowlanych, podpiszę je przed wyjazdem”. Förchner zaprowadził nas do baraków komendantury i wydał odpowiednie rozkazy. Wściekły Speer wdał się w dyskusję z adiutantami i inżynierami, a ja zaatakowałem Förchnera: „Specjalnie prosiłem pana, w imieniu Reichsführera, o dołożenie wszelkich starań, by obóz nadawał się do zwiedzania. To jest czyste *Schweinerei*”. Förchner nie dał się zbić z tropu: „Obersturmbannführer, wie pan tak samo dobrze jak ja, że rozkaz bez środków na jego wykonanie jest niewiele wart. Przykro mi, ale nie mam czarodziejskiej różdżki. Kazałem dziś rano wymyć korytarze, ale nic więcej nie mogłem zrobić. Jeżeli Reichsminister dostarczy nam materiały budowlane, to świetnie”. Podszedł do nas Speer. „Załatwię dodatkowe racje żywnościowe dla obozu”. Odwrócił się do inżyniera w cywilu, który stał tuż za nim: „Sawatsky, nie muszę chyba mówić, że więźniowie pozostający pod pańskim nadzorem będą mieli pierwszeństwo. Nie można wymagać wykonywania kompleksowego montażu od chorych i umierających”. Cywil pokiwał głową: „Oczywiście, Herr Reichsminister. Zwłaszcza ta rotacja staje się

trudna do opanowania. Tak często musimy ich wymieniać, że niemożliwością jest ich prawidłowe wyszkolenie”. Speer odwrócił się z powrotem do Förschnera: „Nie oznacza to, że ma pan pomijać robotników wyznaczonych do budowy galerii. Zwiększy pan także ich racje, w miarę możliwości. Porozmawiam o tym z Brigadeführerem Kammlerem”. — „*Zu Befehl*, Herr Reichsminister”, powiedział Förschner. Wyraz jego twarzy pozostał nieodgadniony; Sawatsky wyglądał na uszczęśliwionego. Na zewnątrz czekało na nas kilku ludzi Speera; zapisywali coś w notesach i chciwie wdychali zimne powietrze. Zadrzałem: zima rozgościła się na dobre.

W Berlinie Reichsführer zasypał mnie kolejnymi żadaniami. Złożyłem mu sprawozdanie z wizyty, którą odbyłem ze Speerem, skomentował je jednym zdaniem: „Reichsminister Speer powinien wiedzieć, czego chce”. Widywałem go teraz regularnie, dyskutowaliśmy o kwestiach dotyczących siły roboczej, chciał za wszelką cenę zwiększyć liczbę zdolnych do pracy robotników, by zaopatrywać w nich przemysł SS, przedsiębiorstwa prywatne i zwłaszcza nowe projekty budowy podziemnych fabryk, które chciał rozwijać Kammler. Gestapo aresztowało coraz częściej i więcej, lecz, z drugiej strony, wraz z nadejściem jesieni i później zimy śmiertelność, wyraźnie mniejsza w ciągu lata, znowu wzrosła, więc Reichsführer był niezadowolony. Jednakże gdy zaproponowałem mu szereg według mnie realistycznych rozwiązań, które zaplanowałem wraz z moją ekipą, nie zareagował, a konkretne rozwiązania, zastosowane przez Pohla i IKL, sprawiały wrażenie przypadkowych i nieprzemyślanych, bez związku z jakimkolwiek planem. Raz, przy okazji jakiejś uwagi Reichsführera, odważyłem się skrytykować wszelkie inicjatywy, które uważałem za arbitralne i niepowiązane ze sobą: „Pohl wie, co robi”, odciął się sucho. Krótco potem wezwał mnie Brandt i zmył mi głowę tonem pełnym kurtuazji, lecz surowym: „Proszę posłuchać, Obersturmbannführer, wykonuje pan świetną robotę, lecz muszę panu powiedzieć to, co już sto razy mówiłem Brigadeführerowi Ohlendorfowi: zamiast zanudzać Reichsführera negatywnymi i jałowymi krytykami, zamiast zadawać mu skomplikowane pytania, których i tak nie rozumie, lepiej by pan zrobił, pielęgnując swoje relacje z nim. Niech mu pan da w prezencie, sam nie wiem, jakiś średniowieczny traktat o zielarstwie, w ładnej oprawie, i niech pan z nim trochę porozmawia na ten temat. Będzie zachwycony, a pan będzie mógł łatwiej do niego dotrzeć, lepiej się z nim porozumieć. To bardzo panu pomoże. I, proszę

wybaczyć, ale gdy przedstawia pan swoje meldunki, jest pan chłodny i zarozumiały, to go dodatkowo irytuje. W ten sposób niczego pan nie osiągnie”. Mówił jeszcze chwilę w tym tonie: ja milczałem i zastanawiałem się — niewątpliwie miał rację. „I jeszcze taka rada: lepiej by było, gdyby się pan ożenił. Pańska postawa w tej kwestii głęboko martwi Reichsführera”. Zesztywniałem: „Herr Standartenführer, przedstawiłem już swoje racje Reichsführerowi. Jeżeli nie przyjmuje ich do wiadomości, sam powinien dać mi to do zrozumienia”. Pewna nieprzystojna myśl sprawiła, że się uśmiechnąłem. Brandt się nie uśmiechał, patrzył na mnie niczym sowa zza wielkich, okrągłych szkieł okularów. Ja widziałem w nich tylko własne, podwójne odbicie, nie mogłem dojrzeć jego oczu. „Nie ma pan racji, Obersturmbannführer. Nie ma pan racji. Ale cóż, pański wybór”.

Zachowanie Brandta uraziło mnie i było, moim zdaniem, zupełnie nieuzasadnione: nie miał prawa mieszać się w moje prywatne życie. A właśnie ono nabierało przyjemnych kolorów; dawno już nie miałem tylu rozrywek. W każdą niedzielę chodziłem na pływalnię z Heleną, czasem także z Thomasem i którąś z jego dziewczyn; szliśmy na herbatę albo na czekoladę, zabierałem Helenę do kina, jeżeli akurat grali coś ciekawego, albo na koncert Karajana czy Furtwänglera i na kolację, po czym odprowadzałem ją do domu. Widywaliśmy się też czasem w tygodniu: kilka dni po wizycie w Mittelbau zaprosiłem ją na naszą salę szermierki, w Prinz-Albrecht-Palais — oglądała potyczki, oklaskiwała pchnięcia, a następnie, w towarzystwie jej przyjaciółki Liselotte i Thomasa, który beczelnie z nią flirtował, poszliśmy do włoskiej restauracji. 19 grudnia byliśmy razem podczas potężnego ataku Anglików. W publicznym bunkrze, w którym się schroniliśmy, siedziała przy mnie bez słowa, przyciskając ramię do mojego ramienia i drżąc lekko przy każdej bliższej detonacji. Po nalocie zaprosiłem ją do Esplanade, jedynej otwartej restauracji, którą udało mi się znaleźć: siedziała naprzeciw mnie, ułożywszy na blacie długie białe ręce, i patrzyła na mnie w milczeniu pięknymi, głębokimi oczyma, wzrokiem uważnym, ciekawym, spokojnym. W takich chwilach myślałem sobie, że gdyby sprawy wyglądały inaczej, mógłbym poślubić tę kobietę, mieć z nią dzieci, tak jak to zrobiłem dużo później z inną kobietą, która nie dorastała jej do pięt. Oczywiście nie zrobiłbym tego, by się przypodobać Brandtowi czy Reichsführerowi, żeby wykonać jakąś powinność czy uczynić zadość konwenansom: byłaby to część życia, ta codzienna i znana wszystkim ludziom, prosta i naturalna. Ale moje życie weszło na inne tory i już było za późno. Ona też, gdy na mnie patrzyła, miała zapewne podobne myśli, albo myśli kobiece, inne od

moich, różniące się raczej barwą i tonem aniżeli treścią, trudne do odgadnięcia dla mężczyzny, nawet dla mnie. Mogłyby, na przykład, wyglądać tak: czy poszłabym do łóżka z tym mężczyzną, czy oddałabym się mu? Oddać się, sformułowanie na pozór dziwnie brzmiące; ale mężczyzna, który nie jest w stanie całkowicie uchwycić jego sensu, gdy da się spenetrować innemu mężczyźnie, zrozumie jego znaczenie. Zwykle te myśli nie budziły we mnie żalu, raczej delikatne poczucie goryczy. Jednak czasem, na ulicy, bez zastanowienia, naturalnym gestem, Helena brała mnie pod ramię i wtedy, tak, wtedy łapałem się na tym, że żałuję tego życia, które mogłoby się przytrafić, gdyby coś nie zostało zniszczone tak wcześnie. I nie chodziło tu wyłącznie o siostrę: to było dużo bardziej złożone, to był cały ciąg zdarzeń, marność ciała i pożądania, decyzje, które raz podjęte, obowiązują przez całe życie, w ogóle kierunek, który z wyboru nadajemy temu, co nazywamy, niesłusznie być może, swoim życiem.

Zaczął padać śnieg, mokry i nietrwały. Gdy wreszcie utrzymał się przez noc lub dwie, dodał ruinom miasta ulotnej, dziwnej urody, po czym stopniał i zmieszał się z gęstym błotem zalegającym na strzaskanych ulicach. Miałem wysokie oficerki i nie przejmowałem się błotem, wiedziałem, że ordynans wyczyści mi buty nazajutrz, ale Helena nosiła zwykłe trzewiki i gdy stawaliśmy nad szarym, gęstym rozlewiskiem stopniałego śniegu, szukałem deski, którą przerzucąłem przez kałuże, i trzymając Helenę za delikatną rękę, pomagałem jej przejść na drugą stronę; a gdy nawet to było niemożliwe, przenosiłem ją, lekką, na rękach. W wigilię Bożego Narodzenia Thomas wydał małe przyjęcie w niskiej, przysadzistej willi na Dahlem — jak zwykle, świetnie sobie poradził. Był Schellenberg z żoną oraz kilku innych oficerów; zaprosiłem Hohenegga, natomiast nie mogłem dotrzeć do Osnabruggego, prawdopodobnie był jeszcze w Polsce. Thomas chyba dostał, czego chciał od Liselotte, przyjaciółki Heleny, pocałowała go namiętnie na powitanie. Helena miała nową sukienkę — Bóg jeden wie, skąd wzięła materiał, ograniczenia były coraz surowsze — uśmiechała się uroczo, wyglądała na szczęśliwą. Wszyscy mężczyźni byli tym razem w cywilu. Ledwo dotarliśmy, zawyły syreny. Thomas uspokoił nas, że samoloty, które nadlatują znad Włoch, nie spuszczają nigdy pierwszych bomb wcześniej niż nad Schönebergiem i Tempelhof, a te z Anglii przelatują nad północną częścią Dahlem. Mimo to przygasiliśmy światła, a grube czarne zasłony maskowały okna. Zahuczało działo przeciwlotnicze, Thomas włączył płytę — szalony amerykański jazz — i porwał Liselotte do tańca. Helena piła białe wino i patrzyła na nich,

a gdy Thomas włączył coś spokojnego, poprosiła, żebym z nią zatańczył. Nad nami pomrukiwały eskadry; Flak szczekał bez końca, szyby drżały, prawie nie słyszeliśmy muzyki, a Helena tańczyła tak, jakbyśmy byli tylko we dwoje na sali balowej, przytulona do mnie, z dłonią schowaną w mej dłoni. Później tańczyła z Thomasem, ja natomiast wzniosłem toast z Hoheneggiem. Thomas miał rację: północną część dzielnicy ogarnęło potężne drżenie, bardziej tu odczuwalne niż słyszalne, ale blisko nas nie spadła żadna bomba. Spojrzałem na Schellenberga: przytył, sukcesy nie skłaniały go do umiarkowania. Dyskutował żartobliwie ze swoimi specjalistami o naszych włoskich porażkach. Z tego, co udało mi się zrozumieć z kilku uwag, które od czasu do czasu wymykały się Thomasowi, Schellenberg twierdził, że posiada klucz do przyszłości Niemiec. Był przekonany, że jeśli władze zaczną go słuchać i brać pod uwagę jego niepodważalne analizy, to będzie jeszcze można „uratować, co się da”. Jeżyłem się na sam dźwięk tego określenia — *uratować, co się da* — ale Schellenberg cieszył się podobno zaufaniem samego Reichsführera i zastanawiałem się, co już zdołał osiągnąć dzięki swym intrygom. Gdy odwołano alarm, Thomas próbował się dodzwonić do RSHA, ale linie były przerwane. „Ci skurwiele robią to specjalnie, żeby nam zatruć święta, powiedział mi. Ale my się nie damy”. Spojrzałem na Helenę: siedziała obok Liselotte, rozmawiały z ożywieniem. „Świetna dziewczyna, ocenił Thomas. Czemu się z nią nie ożenisz?” Uśmiechnąłem się: „Thomas, zajmij się lepiej swoimi sprawami”. Wzruszył ramionami: „Puść przynajmniej plotkę, że się zaręczyliście. Brandt od razu by się odczepił”. Wiedział o komentarzach Brandta, bo mu je powtórzyłem. „A ty?, zaatakowałem. Jesteś o rok starszy ode mnie. Ciebie nikt się nie czepia?” Roześmiał się: „Ja? Ja to co innego. Po pierwsze, powszechnie znana jest moja wrodzona niezdolność do utrzymania związku z dziewczyną dłużej niż miesiąc. A poza tym, i przede wszystkim, zniżył głos, zachowaj to dla siebie, wysłałem dwie do *Lebensbornu*. Podobno Reichsführer był zachwycony”. Poszedł włączyć następną jazzową płytę — pomyślałem, że pewnie zaopatrzył się w magazynach mienia skonfiskowanego przez Gestapo. Poszedłem za nim i znów poprosiłem Helenę do tańca. O północy Thomas zgasił wszystkie światła. Usłyszałem radosny pisk jakiejś dziewczyny, stłumiony śmiech. Helena stała blisko mnie: przez krótką chwilę czułem na twarzy jej słodki, ciepły oddech, a jej usta musnęły moje. Serce biło mi jak oszalałe. Gdy znów rozbłysło światło, oznajmiła, pewna siebie i spokojna: „Muszę wracać. Nie powiedziałam rodzicom, był alarm, pewnie się niepokoją”. Miałem samochód od Piontka. Pojechaliśmy w stronę

centrum przez Kurfurstendamm; po prawej czerwieniały pożary, wzniecone przez bomby. Zaczął padać śnieg. Kilka rakiet spadło na Tiergarten i Moabit, ale zniszczenia wydawały się dużo mniejsze w porównaniu z tymi, które przyniosły wielkie naloty miesiąc wcześniej. Gdy stanęliśmy przed jej kamienicą, chwyciła mnie za rękę i pospiesznie pocałowała w policzek: „Wesołych świąt! Do zobaczenia”. Wróciłem upić się na Dahlem i zakończyłem wieczór na wykładzinie, ustąpiwszy miejsca na kanapie jakiejś sekretarce, przygnębionej, bo Liselotte wypchnęła ją z sypialni pana domu.

Clemens i Weser stawili się u mnie kilka dni później, tym razem ustalwszy uprzednio termin spotkania z Fräulein Praksa, która wprowadziła ich do mojego biura, przewracając oczami. „Próbowaliśmy się skontaktować z pańską siostrą, powiedział zamiast wstępu Clemens, ten wyższy. Ale nie ma jej w domu”. — „To całkiem możliwe, odparłem. Jej mąż jest inwalidą. Siostra jeździ z nim często do Szwajcarii, towarzyszy mu podczas kuracji”. — „Zwróciliśmy się do ambasady w Bernie z prośbą o pomoc w odnalezieniu jej, odezwał się Weser złośliwie, kuląc wąskie ramiona. Bardzo byśmy chcieli z nią porozmawiać”. — „To aż takie ważne?”, spytałem. — „Ciagle ta pieprzona sprawa małych bliźniaków”, rzucił ochryple Clemens z mocnym berlińskim akcentem. — „Trudno nam ją zrozumieć”, dodał Weser chytrze. Clemens wyjął notes i przeczytał: „Policja francuska przeprowadziła dochodzenie”. — „Dość późno się za to wzięli”, przerwał Weser. — „Tak, ale lepiej późno niż wcale. Wygląda na to, że ci chłopcy mieszkali u pańskiej matki od co najmniej 1938 roku, od chwili pójścia do przedszkola. Pańska matka przedstawiała ich jako osierocone dzieci bratanka. Niektórzy sąsiedzi twierdzą nawet, że przyjechali tu wcześniej, jako niemowlęta, w 1936 albo 1937 roku”. — „To jednak dziwne, stwierdził kwaśno Weser. Nigdy wcześniej ich pan nie widział?” — „Nie, odparłem zimno. Nie ma w tym nic dziwnego. Nigdy nie jeździłem do matki”. — „Nigdy, warknął Clemens. Nigdy?” — „Nigdy”. — „Poza tamtym właśnie czasem, syknął Weser. Na kilka godzin przed jej okrutną śmiercią? Widzi pan, to jednak jest dziwne”. — „Meine Herren, odciąłem się, insynuacje panów są całkiem nie na miejscu. Nie wiem, gdzie się panowie uczyli zawodu, ale zachowanie panów jest w moim mniemaniu absurdalne. W dodatku nie mają panowie żadnego prawa, by prowadzić dochodzenie w mojej sprawie bez odpowiedniego rozkazu SS-Gericht”. — „To prawda, przyznał Clemens. Ale my nie prowadzimy dochodzenia w pańskiej sprawie. Na razie przesłuchujemy pana w charakterze świadka”. — „Tak, powtórzył Weser, w charakterze

świadka, to wszystko”. — „Trzeba przyznać, mówił dalej Clemens, że jest wiele rzeczy, których nie rozumiemy, a które chcielibyśmy zrozumieć”. — „Na przykład, ta historia z bliźniakami, dorzucił Weser. Załóżmy, że to rzeczywiście dzieci bratanka pańskiej matki...” — „Nie natrafiono na ślad rodzeństwa, ale załóżmy”, przerwał Clemens. — „A, no właśnie, może pan wie?”, spytał Weser. — „Co?” — „Czy pańska matka miała rodzeństwo?” — „Słyszałem coś o bracie, ale nigdy go nie widziałem. Wyjechaliśmy z Alzacji w 1918 roku, a później, z tego, co wiem, matka nigdy nie kontaktowała się z rodziną, która została we Francji”. — „Załóżmy więc, podjął Weser, że to są rzeczywiście dzieci bratanka. Nie znaleziono żadnego dokumentu, który mógłby o tym świadczyć, żadnych aktów urodzenia, niczego”. — „A pańska siostra, pastwił się Clemens, nie przedstawiła żadnego dokumentu, gdy ich zabierała ze sobą”. — Weser uśmiechał się przebiegle: „Dla nas oznacza to, że przepadają potencjalni świadkowie, bardzo ważni świadkowie”. — „Jak kamień w wodę, zrzędził Clemens. To niedopuszczalne, że francuska policja pozwoliła im tak się ulotnić”. — „Tak, przyznał Weser, patrząc na niego. Lecz co się stało, już się nie odstanie. Nie warto do tego wracać”. — Clemens nie przerywał sobie: „Zgoda, ale później to na nas spadają wszystkie kłopoty”. — „Krótko mówiąc, rzucił Weser w moją stronę, gdyby pan z nią rozmawiał, proszę powiedzieć, żeby się z nami skontaktowała. Siostra oczywiście”. Kiwnąłem głową. Chyba nie mieli nic więcej do powiedzenia, zakończyłem spotkanie. Nadal nie próbowałem kontaktować się z siostrą. Sprawa stawała się nagląca, bo gdyby do niej dotarli i gdyby jej zeznania przeczyły moim, wzmocniłoby to ich podejrzenia, może byliby nawet skłonni mnie oskarżyć, pomyślałem ze zgrozą. Ale gdzie jej szukać? Przyszło mi do głowy, że a nuż Thomas ma znajomych w Szwajcarii, mógłby zapytać Schellenberga. Poza tym martwiła mnie sprawa bliźniaków.

Trzy dni przed Nowym Rokiem spadł dość gęsty śnieg i tym razem nie stopniał. Zachęcony bożonarodzeniowym sukcesem Thomas postanowił znów wszystkich zaprosić: „Trzeba korzystać z tej chaty, zanim i ona spłonie”. Poprosiłem Helenę, by uprzedziła rodziców, że wróci późno, i spędziliśmy ten czas naprawdę radośnie. Na krótko przed północą całe towarzystwo zaopatrzyło się w szampana i bałtyckie ostrygi, po czym ruszyło pieszo w kierunku Grunewaldu. Pod drzewami leżał dziewiczy, czysty śnieg; niebo było bezchmurne, rozświetlone niemal pełnym księżycem, który oblewał białe połacie błękitną poświatą. Dotarliśmy na polankę i Thomas uroczyście otworzył szablą szampana —

specjalnie na tę okazję zdjął prawdziwą kawaleryjską broń ze ściany naszej zbrojowni — a co zreczniejsi zabrali się do rozłupywania ostryg: jest to czynność delikatna i niebezpieczna dla ludzi bez wprawy. O północy, zamiast fajerwerków, kanonierzy Luftwaffe odpalili wyrzutnie, wystrzelili race i puścili kilka salw z osiemdziesiątki ósemki. Tym razem Helena naprawdę mnie pocałowała, był to krótki, ale mocny i radosny pocałunek, a moje ciało zelektryzował ładunek lęku i przyjemności. To dziwne, myślałem, pijąc, by zatuszować wstrząs, ja, który sądziłem, że żadne doznanie nie jest mi obce, czuję się poruszony pocałunkiem kobiety. Ludzie wokół się śmiali, obrzucali śnieżkami i jedli ostrygi prosto z muszli. Hohenegg, w odwiecznej, nadgryzionej przez mole uszance nasadzonej na łysą, owalną głowę, okazał się najlepszym otwierającym. „Ostryga czy klatka piersiowa, to prawie żadna różnica”, śmiał się. Schellenberg rozciął sobie nasadę kciuka, stał teraz i pił szampana, a krew spokojnie kapała na śnieg i nikomu nie przyszło do głowy, by założyć mu opatrunek. I ja poweselałem, zacząłem biegać, rzucać śnieżne kule, a im więcej piliśmy, tym bardziej szalona stawała się zabawa: skakaliśmy sobie wzajemnie pod nogi, jak gracze w rugby, wsypywaliśmy śnieg za kołnierze — nasze płaszcze były przemoczone, ale nie czuliśmy zimna. Pchnąłem Helenę w miałki śnieg, potknąłem się i runąłem obok. Leżała na plecach, z rękami rozrzuconymi na boki i śmiała się; przy upadku odwinął się rąbek długiej spódnicy, a ja bezmyślnie położyłem rękę na jej kolanie, okrytym jedynie pończochą. Odwróciła ku mnie głowę i spojrzała, nie przestając się śmiać. Oderwałem rękę i pomogłem jej się podnieść. Wróciliśmy dopiero, gdy opróżnione zostały ostatnie butelki, trzeba było powstrzymać Schellenberga, który miał zamiar do nich strzelać. Szliśmy po śniegu, Helena trzymała mnie pod ramię. W domu Thomas uprzejmie odstąpił sypialnię i pokój gościnny zmęczonym dziewczynom, które pokładły się po trzy na jednym łóżku. Ja długo grałem w szachy i dyskutowałem o *Trójcy Świętej* Augustyna z Hoheneggim, który po przyjsciu wsadził głowę pod zimną wodę i pił już tylko herbatę. Tak zaczął się rok 1944.

Speer nie odezwał się do mnie od czasu wizyty w Mittelbau; na początku stycznia zadzwonił jednak z życzeniami pomyślnego roku i prośbą o przysługę. Jego ministerstwo zwróciło się do RSHA z wnioskiem o nieobejmowanie deportacją kilku Żydów z Amsterdamu, specjalistów od skupu metali, mających cenne kontakty w krajach neutralnych; RSHA odrzucił wniosek, powołując się na pogorszenie sytuacji w Holandii i

potrzebę wykazania się *specjalną surowością*. „To przecież śmieszne, mówił Speer głosem ciężkim ze zmęczenia. Jakie ryzyko mogą przedstawiać dla Niemiec trzej Żydzi, handlarze metalem? Ich usługi są dla nas w tej chwili cenne”. Poprosiłem, by przesłał mi kopię korespondencji, i obiecałem, że zrobię, co w mojej mocy. List odmowny RSHA był podpisany przez Mullera, ale nosił znamiona rozumowania charakterystycznego dla departamentu IV B 4a. Zatelefonowałem do Eichmanna i zacząłem od życzeń noworocznych. „Dzięki, Obersturmbannführer, odpowiedział, dziwacznie mieszając berliński i austriacki akcent. No i gratuluje awansu”. Wyłuszczyłem problem Speera. „Ja się tym nie zajmowałem, powiedział Eichmann. To musiał być Hauptsturmführer Moes, on jest od przypadków indywidualnych. No ale, oczywiście, miał rację. Wie pan, ile otrzymujemy zapytań tego rodzaju? Gdybyśmy się zgadzali za każdym razem, to już dawno zamknęlibyśmy ten interes, nie moglibyśmy tknąć żadnego Żyda”. — „Świetnie to rozumiem, Obersturmbannführer. Ale tym razem zapytanie pochodzi od ministra uzbrojenia i produkcji wojennej we własnej osobie”. — „No, no, pewnie mieli tam w Holandii jakiegoś nadgorliwca i krok po kroku sprawa dotarła do ministra. Ale to jest tylko i wyłącznie kwestia rywalizacji między departamentami. Nie, wie pan, nie możemy się na to zgodzić. W dodatku sytuacja w Holandii jest do bani. Całe grupy Żydów łążą na wolności, nie, nic tam nie jest w porządku”. Nalegałem jeszcze, ale Eichmann się uparł. „Nie. Jeśli się zgodzimy, to wie pan, znów będą gadać, że z wyjątkiem Führera nie ma już w Niemczech zagorzałych antysemitów. To niemożliwe”.

Co chciał przez to powiedzieć? Tak czy inaczej Eichmann nie mógł sam podjąć decyzji i wiedział o tym. „Dobra, niech pan to przyśle na piśmie”, wydusił wreszcie wbrew sobie. Postanowiłem napisać do Müllera, ale ten odpowiedział mi to samo: nie można robić wyjątków. Zastanawiałem się jeszcze, czy nie poprosić Reichsführera, ale w końcu doszedłem do wniosku, że ponownie skontaktuję się ze Speerem, by wy badać, do jakiego stopnia zależy mu na tych Żydach. W ministerstwie poinformowano mnie jednak, że Speer przebywa na zwolnieniu lekarskim. Dowiedziałem się, że był w Hohenlychen, w szpitalu SS, tam, gdzie leczono mnie po Stalingradzie. Kupiłem bukiet kwiatów i pojechałem do niego. Zajmował cały apartament w prywatnym skrzydle szpitala, wprowadził się tu wraz z osobistą sekretarką i kilkoma asystentami. Sekretarka powiedziała mi, że po świątecznej podróży do Laponii odezwało się u ministra dawne zapalenie kolana, jego stan się pogarszał, dr Gebhardt, słynny specjalista, twierdził, że jest

to reumatoidalne zapalenie stawu. Speer był w okropnym humorze: „Obersturmbannführer, to pan. Wszystkiego dobrego w Nowym Roku. I jak tam?”. Poinformowałem go, że RSHA podtrzymał swoje stanowisko; zasugerowałem, że być może gdyby sam się spotkał z Reichsführerem, mógłby mu szepnąć słówko. „Myślę, że Reichsführer ma teraz co innego na głowie, odpowiedział brutalnie. Ja zresztą też. Muszę stąd kierować całym ministerstwem, sam pan widzi. Skoro nie może pan sam rozwiązać tej sprawy, to niech pan o niej zapomni”. Zostałem jeszcze przez chwilę, po czym wyszedłem: czułem, że zawadzam.

Zresztą jego stan szybko się pogarszał; gdy zadzwoniłem kilka dni później, sekretarka przekazała mi, że nie odbiera telefonów. Dzwoniłem jeszcze kilka razy: był podobno w śpiączce, o krok od śmierci. Wydawało mi się dziwne, że zapalenie stawu kolanowego, nawet reumatoidalne, może doprowadzić człowieka do takiego stanu. Hohenegg, gdy mu o tym powiedziałem, nie potrafił wydać jednoznacznej opinii. „Ale jak wyzionie ducha i jeśli pozwolą mi zrobić sekcję, to powiem panu, na co chorował”. Zresztą ja też miałem co innego do roboty. Wieczorem, 30 stycznia, Anglicy zafundowali nam najgorszy „rajd” od listopada: znów z moich okien wyleciały szyby, oberwała się część balkonu. Na drugi dzień Brandt wezwał mnie do siebie i poinformował uprzejmie, że SS-Gericht poprosił Reichsführera o pozwolenie na przeprowadzenie śledztwa w sprawie zabójstwa mojej matki. Poczzerwieniałem i zerwałem się z krzesła: „Herr Standartenführer! Ta historia to potwarz zrodzona w chorych mózgach policjantów karierowiczów. Jestem gotów zgodzić się na śledztwo, by oczyścić się z wszelkich podejrzeń. Jednak w tym wypadku poproszę o urlop do czasu, kiedy zostanę uniewinniony. Nie do przyjęcia jest, by w osobistym sztabie Reichsführera pracował ktoś obciążony podejrzeniem o tak ohydny czyn”. — „Niechże się pan uspokoi, Obersturmbannführer. Nie podjęto jeszcze żadnej decyzji. Lepiej niech mi pan wszystko opowie”. Usiadłem i przedstawiłem mu wydarzenia, trzymając się wersji, którą podałem policjantom. „Oszałeli na punkcie mojej wizyty w Antibes. Prawdą jest, że przez długi czas utrzymywaliśmy z matką chłodne stosunki. Ale dobrze pan wie, jaką ranę odniosłem w Stalingradzie. Otarłem się o śmierć, a to daje do myślenia. Zdecydowałem zatem, że pewne sprawy powinienem uporządkować raz na zawsze. Niestety, ona zginęła, śmiercią tragiczną, niesłychaną”. — „I w jaki sposób, według pana, to się stało?” — „Nie mam pojęcia, Herr Standartenführer. Niedługo potem rozpocząłem pracę w sztabie

Reichsführera, nie wróciłem tam już. Siostra, która pojechała na pogrzeb, pisała w liście o terrorystach, o porachunkach; mój ojczym zaopatrywał Wehrmacht w liczne artykuły”. — „Niestety, jest to całkiem prawdopodobne. Takie rzeczy zdarzają się we Francji coraz częściej”. Zagryzł wargi i pochylił głowę, światło odbiło się w szklach jego okularów. „Sądzę, że Reichsführer będzie sobie życzył porozmawiać z panem, zanim podejmie ostateczną decyzję. Na razie proszę pozwolić, że zasugeruję panu złożenie wizyty sędziemu, który sformułował wniosek. To sędzia Baumann z trybunału SS i berlińskiej policji. Zaczny człowiek. Jeżeli naprawdę padł pan ofiarą czyjejś wyjątkowo złej woli, być może będzie pan mógł przekonać go o tym osobiście”.

Natychmiast umówiłem się na spotkanie z sędzią Baumannem. Przyjął mnie w swoim gabinecie w budynku sądu: był to niemłody już prawnik w stopniu Standartenführera, o kanciastej twarzy i krzywym nosie, z miną wojownika. Założyłem najlepszy mundur i wszystkie odznaczenia. Pozdrowiłem go, poprosił, żebym usiadł. „Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, Herr Richter”, powiedziałem. Pomyślałem, że lepiej będzie nazywać go „sędzią”, aniżeli zwracać się do niego, używając stopnia SS. — „Nie ma za co, Obersturmbannführer. To nic takiego”. Otworzył leżącą na biurku teczkę. „Poprosiłem o pańskie akta, mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał tego za złe”. — „Skądże, Herr Richter. Proszę mi pozwolić powiedzieć panu to, co chciałbym również przekazać Reichsführerowi: uważam te oskarżenia, które dotyczą mnie w sprawie tak osobistej, za coś ohydneho. Jestem gotów współpracować z panem i to przy użyciu wszelkich możliwych środków, by doprowadzić do całkowitego oczyszczenia mojej osoby z tych zarzutów”. Baumann chrząknął: „Rozumie pan chyba, że nie nakazałem jeszcze przeprowadzenia śledztwa. Nie mogę tego zrobić bez zgody Reichsführera. Dokumentacja, którą dysponuję, jest bardzo szczupła. Złożyłem wniosek na podstawie zapytania Kripo. Twierdzą, że posiadają materiał dowodowy, który śledczy mają zamiar poszerzyć”. — „Herr Richter, już dwa razy rozmawiałem z tymi śledczymi. Jedyne, co mogę powiedzieć o dowodach, które mi przedstawili, to tylko tyle, że były to nieuzasadnione i bezpodstawne insynuacje, jakaś — proszę wybaczyć — szalona konstrukcja powstała w ich umysłach”. — „To rzeczywiście możliwe, powiedział uprzejmie. Widzę tu, że skończył pan świetne studia. Gdyby kontynuował pan prawo, bylibyśmy dziś być może kolegami po fachu. Dobrze znam doktora Jenssena, pańskiego dawnego nauczyciela. Świetny prawnik”. Przerzucił zawartość teczki. „Przepraszam, że

pytam, ale czy pański ojciec nie walczył czasem we Freikorps Rossbach w Kurlandii? Pamiętam oficera o nazwisku Aue”. Powiedział imię. Serce zabiło mi gwałtownie. „Rzeczywiście, tak się nazywał mój ojciec, Herr Richter. Ale nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytanie. Ojciec zginął w 1921 roku i od tamtego czasu nie mam o nim żadnych wieści. Całkiem możliwe, że chodzi o tę samą osobę. Wie pan, co się z nim stało?” — „Niestety, nie. Straciłem go z oczu podczas odwrotu, w grudniu 1919 roku. Wtedy żył. Słyszałem też, że brał udział w puczu Kappa. Było tam wielu *Baltikumer*”. Zastanowił się chwilę. „Mógłby pan poszukać. Stowarzyszenie weteranów Freikorps istnieje do dziś”. — „Tak, Herr Richter. To świetny pomysł”. Znow chrząknął i poprawił się w fotelu. „No dobrze. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wróćmy do pańskiej sprawy. Co mógłby pan powiedzieć na ten temat?” Powtórzyłem to, co powiedziałem Brandtowi. „To przerażająca historia, powiedział, gdy skończyłem. To musiał być dla pana szok”. — „Oczywiście, Herr Richter. A jeszcze bardziej wstrząsnęły mną oskarżenia tych dwóch stróżów porządku publicznego, którzy, jestem pewien, nie spędzili ani jednego dnia na froncie, a ośmielają się znieważać oficera SS”. Baumann podrapał się po podbródku: „Mogę zrozumieć, jak bardzo to pana rani, Obersturmbannführer. Ale być może właśnie najlepszym rozwiązaniem byłoby całkowite wyjaśnienie tej sprawy”. — „Nie mam powodów do obaw, Herr Richter. Dostosuję się do decyzji Reichsführera”. — „Ma pan całkowitą rację”. Wstał i odprowadził mnie do drzwi. „Mam jeszcze kilka starych fotografii z Kurlandii. Mogę je przejrzeć, sprawdzić, czy nie zachowało się jakieś zdjęcie tego Aue”. — „Herr Richter, byłbym zachwycony”. Na korytarzu uściśnął mi rękę: „Proszę się nie martwić, Obersturmbannführer. *Heil Hitler!*”. Spotkanie z Reichsführerem odbyło się następnego dnia, było krótkie i decydujące. „Cóż to za absurdalna historia, Obersturmbannführer?” — „Chcę ze mnie zrobić zabójcę, mein Reichsführer. To byłoby śmieszne, gdyby nie było aż tak tragiczne”. Opisałem mu krótko okoliczności. Himmler szybko podjął decyzję: „Obersturmbannführer, dość dobrze już pana znam. Ma pan swoje wady. Jest pan, proszę wybaczyć, uparty i czasem drobiazgowy. Ale nie zauważyłem u pana najmniejszego przejawu ułomności moralnej. Z rasowego punktu widzenia jest pan doskonałym nordyckim okazem, może — może z niewielką domieszką krwi alpejskiej. A tylko przedstawiciele zdegenerowanych ras, Polacy, Cyganie, są zdolni do matkobójstwa. Albo najwyżej jakiś gorąckrwisty Włoch, podczas bójk, ale nie ktoś o chłodnej krwi. Nie, to śmieszne. Kripo brakuje rozeznania. Będę musiał dać instrukcje Gruppenführerowi

Nebemu, żeby przeszkolił swoich ludzi w zakresie analizy rasowej, zaoszczędzą dzięki temu sporo czasu. Oczywiście nie zgodzę się na dochodzenie. Jeszcze by tego brakowało”.

Baumann zatelefonował do mnie kilka dni później. Chyba jakoś w połowie lutego, bo pamiętam, że było to zaraz po masowym nalocie, kiedy bomba spadła na hotel Bristol podczas oficjalnego bankietu: pod gruzami zginęło około sześćdziesięciu osób, w tym kilku znanych generałów. Baumann wydawał się w dobrym humorze i ochoczo mi pogratulował: „Osobiście, usłyszałem w słuchawce, uważałem tę sprawę za absurd. Cieszę się, że Reichsführer to uciął. Ma pan kłopot z głową”. Znalazł jedną fotografię z podobizną tamtego Aue, ale niewyraźną i zamazaną; nie był nawet pewien, czy to rzeczywiście on, ale obiecał, że zrobi odbitkę i mi przyśle.

Tylko dwu osobom decyzja Reichsführera nie sprawiła radości, a byli to Clemens i Weser. Natknąłem się na nich pewnego dnia na ulicy, przed SS-Haus, stali z rękoma wbitymi w kieszenie płaszczy, kapelusze i ramiona mieli przyprószone śniegiem. „Kogo tu mamy, odezwałem się kpiąco, Flip i Flap. Cóż panów sprowadza?” Tym razem nie zasalutowali. Weser wyjaśnił: „Mieliśmy ochotę powiedzieć panu dobry wieczór, Obersturmbannführer. Lecz pańska sekretarka nie chciała umówić spotkania”. Uprzejmie zignorowałem pominięcie grzecznościowego *Herr*. „Całkiem słusznie, powiedziałem z wyższością. Myślę, że nie mamy sobie więcej nic do powiedzenia”. — „Otóż widzi pan, burknął Clemens — my akurat uważamy, że jest odwrotnie”. — „W takim razie, meine Herren, sugeruję, by zwrócili się panowie do sędziego Baumanna z prośbą o pozwolenie na rozmowę”. Weser potrząsnął głową: „Zrozumieliśmy już, Obersturmbannführer, że sędzia Baumann odmówi. Zrozumieliśmy, że jest pan, że tak powiem, nietykalny”. — „Ale jednak, podjął Clemens, a para z oddechu owiała jego grubą, płaską twarz, to nie jest normalne, Obersturmbannführer, dobrze pan o tym wie. Sprawiedliwości musi stać się zadość, mimo wszystko”. — „Całkowicie się z panami zgadzam. Tyle że wasze bezsensowne kalumnie nie mają nic wspólnego ze sprawiedliwością”. — „Kalumnie, Obersturmbannführer?, wyrzucił z siebie Weser, unosząc brwi. Kalumnie? Jest pan tego całkowicie pewien? Moim zdaniem, gdyby sędzia Baumann dokładniej przeczytał pańskie akta, byłby mniej pewien niż pan”. — „Taaa..., zgodził się Clemens. Powinien był, na przykład, zastanowić się nad ubraniami”. — „Nad ubraniami? O jakich ubraniach pan mówi?” — Odpowiedzi udzielił Weser: „O ubraniach, które francuska policja znalazła w wannie, w łazience na pierwszym piętrze. Ubrania cywilne...”. Odwrócił się do Clemensa:

„Notes”. Clemens wyjął notatnik z wewnętrznej kieszeni i mu podał. Weser przerzucił kilka kartek: „O, no właśnie: *ubrania uwalane krwią*. Uwalane. Tego słowa nie mogłem sobie przypomnieć”. — „To znaczy poplamione”, objaśnił Clemens. — „Obersturmbannführer wie, co to znaczy, Clemens, zgrzytnął Weser. Obersturmbannführer jest wykształcony. Ma duży zasób słów”. Na nowo pogрузzył się w lekturze notesu. „Ubrania cywilne uwalane krwią, wrzucone do wanny. Krew znajdowała się również na kaflach podłogowych, na ścianach, w umywalce, na ręcznikach. I na dole, w salonie i w korytarzu, wszędzie były krwawe ślady. Ślady butów, a jakże, znaleziono buty przy ubraniach, ale także ślady oficerek. Ciężkich oficerek”. — „Cóż, odpartem, wzruszając ramionami, zabójca zapewne przebrał się, zanim opuścił dom, aby nie zwracać na siebie uwagi”. — „Widzisz, Clemens, mówiłem ci, że Obersturmbannführer to inteligentny człowiek. Powinieneś mnie słuchać”. Odwrócił się do mnie i łypnął spod runda kapelusza. „Wszystkie te ubrania były produkcji niemieckiej, Obersturmbannführer”. Przerzucił jeszcze kilka kartek w notesie: *Dwuczęściowy brązowy garnitur wełniany, dobrej jakości, metka niemieckiego krawca. Biała koszula produkcji niemieckiej. Jedwabny krawat produkcji niemieckiej, jedna para bawełnianych skarpetek produkcji niemieckiej, slipy produkcji niemieckiej. Para trzewików miejskich z brązowej skóry, w rozmiarze 42, produkcji niemieckiej*. Podniósł na mnie wzrok: „Pański numer buta, Obersturmbannführer? Proszę wybaczyć, że pytam. Pański rozmiar garnituru?”. Uśmiechnąłem się: „Meine Herren, nie wiem, z jakiej dziury panowie wypełzli, ale radzę panom wrócić tam w te pędy. Nie ma już w Niemczech miejsca dla robactwa”. Clemens zmarszczył brwi: „No, no, Weser, ktoś tu nas obraża, nie?”. — „Tak. On nas obraża. On nam także grozi. W sumie masz chyba rację. On jest chyba dużo mniej inteligentny, niż na to wygląda, ten nasz Obersturmbannführer”. Weser przyłożył palec do runda kapelusza: „Miłego wieczoru, Obersturmbannführer. Kto wie, czy nie do zobaczenia”.

Patrzyłem, jak odchodzą w kłębach śniegu w stronę Zimmerstrasse. Przyszedł Thomas, byłem z nim umówiony. „Kto to?”, wskazał ruchem głowy dwie sylwetki. — „Upierdliwcy. Wariaci. Nie zamknąłbyś ich w obozie koncentracyjnym? Może by się uspokoili”. Wzruszył ramionami. „Jeśli masz prawdziwy powód, to się da zrobić. Zjemy coś?” Thomasa tak naprawdę niezbyt interesowały moje problemy, za to bardzo interesowały go problemy Speera. „Tam to dopiero się dzieje, powiedział mi w restauracji. W Organisation Todt także. Trudno się w tym rozeznać. Ale widać, że są tacy, którzy

uważają jego hospitalizację za dobrą okazję”. — „Okazję?” — „By go zastąpić. Speer narobił sobie wrogów. Bormann jest przeciwko niemu, Sauckel też, wszyscy Gauleiterzy oprócz Kaufmanna i może Hankego”. — „A Reichsführer?” — „Reichsführer dotąd go, można powiedzieć, wspierał. Ale to się może zmienić”. — „Przyznam ci się, że nie bardzo rozumiem, po co te wszystkie intrygi, rzekłem powoli. Wystarczy spojrzeć na liczby: bez Speera niechybnie przegralibyśmy wojnę. W tej chwili sytuacja jest naprawdę krytyczna. Całe Niemcy powinny zjednoczyć się w obliczu tego zagrożenia”. Thomas uśmiechnął się: „Pozostałeś idealistą. To dobrze! Ale większość Gauleiterów nie jest w stanie dostrzec niczego poza własnymi interesami albo interesami własnych *Gaue*”. — „No to, zamiast przeciwstawiać się wysiłkom, które Speer podejmuje w celu zwiększenia produkcji, niech sobie lepiej przypomną, że jeśli przegramy, to wszyscy, łącznie z nimi, skończą podobnie. To też można nazwać ich osobistym interesem, nieprawdaż?” — „Zapewne. Ale widzisz chyba, tu chodzi o coś jeszcze. Chodzi o kwestię wizji politycznej. Diagnoza Schellenberga i rozwiązania, które przewiduje, nie są przyjmowane przez wszystkich”. Tak oto doszliśmy do kluczowego punktu, pomyślałem. Zapaliłem papierosa. „A jaka jest diagnoza twojego przyjaciela Schellenberga? I jego rozwiązania?” Thomas rozejrzał się. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, zauważyłem, że jest lekko zaniepokojony. „Schellenberg uważa, że jeśli tak dalej pójdzie, to przegramy wojnę, niezależnie od przemysłowych wyczynów Speera. Uważa, że jedynym realnym rozwiązaniem jest oddzielny traktat pokojowy z państwami Zachodu”. — „A ty? Co o tym myślisz?” Zastanowił się: „To nie takie głupie. Ja zresztą też zaczynam być źle widziany w niektórych kręgach Staatspolizei w związku z tą historią. Schellenberg cieszy się zaufaniem Reichsführera, ale nie przekonał go jeszcze. A wielu innych, jak Müller i Kaltenbrunner, w ogóle się nie zgadza. Kaltenbrunner usiłuje się zbliżyć do Bormanna. Jeżeli mu się uda, będzie mógł przysporzyć Reichsführerowi kłopotów. Na tym poziomie Speer to problem drugorzędny”. — „Nie twierdzę, że Schellenberg ma rację. Ale reszta? Jakie widzi rozwiązania? Jeśli wziąć pod uwagę amerykański potencjał przemysłowy, cokolwiek zrobi Speer, czas działa na naszą niekorzyść”. — „Nie wiem, odparł niepewnie Thomas. Podejrzewam, że wierzą w cudowną broń. Widziałeś ją przecież. Co o niej sądzisz?” Wzruszyłem ramionami. „Sam nie wiem. Nie wiem, co jest warta”. Przyniesiono jedzenie, zmieniliśmy temat. Przy deserze Thomas uśmiechnął się przebiegle i nawiązał do Bormanna. „Wiesz, Kaltenbrunner zbiera materiały do teczki Bormanna.

Trochę mu pomagam”. — „Teczka Bormanna? Mówiłeś przed chwilą, że chce się do niego zbliżyć”. — „To nie ma żadnego związku. Bormann, ten to ma teczki na wszystkich, na Reichsführera, na Speera, na Kaltenbrunnera, może nawet i na ciebie”. Włożył do ust wykałaczkę i okręcał ją wokół języka. „Więc, chciałem ci opowiedzieć... Tylko między nami, tak? Ale naprawdę... więc, Kaltenbrunner przechwycił sporo listów Bormanna i jego żony. A w nich — same perełki. Istna antologia poezji miłosnej”. Pochylił się ku mnie z drwiącą miną. „Bormann łąził za pewną aktoreczką. Wiesz, że to temperamentny facet, pierwszy buhaj rozplodowy sekretarek Rzeszy. Schellenberg nazywa go *jebaką stenotypistek*. Nieważne, dopadł ją. Ale najlepsze, że napisał o tym żonie, córce Bucha, wiesz, szefa trybunału Partii. Ona ma z Bormannem dziewięć czy dziesięć bachorów, nie pamiętam. I odpowiedziała mu mniej więcej tak: To bardzo dobrze, nie gniewam się, nie jestem zazdrosna. Po czym zaproponowała, żeby przyprowadził dziewczynę do domu. Napisała też: *W związku z przerażającym spadkiem produkcji dzieci wywołanym wojną, wprowadzimy system macierzyństwa rotacyjnego, tak byś zawsze miał przynajmniej jedną kobietę gotową do użycia*”. Thomas przerwał na chwilę, a ja wybuchłem śmiechem: „Nie żartuj! Naprawdę tak napisała?”. — „Przysięgam. *Kobieta gotowa do użycia*. Wyobrażasz sobie?” Też się śmiał. „A Bormann? Znasz jego odpowiedź?”, spytałem. — „Och, pogratulował jej, a jakże. I poczęstował ideologiczną gadką. Nazwał ją bodajże *niewinnym dzieckiem narodowego socjalizmu*. Ale widać, że napisał tak, żeby jej sprawić przyjemność. Bormann nie wierzy w nic. Poza całkowitą eliminacją wszystkiego, co mogłoby stanąć między nim a Führerem”. Obrzuciłem go szyderczym spojrzeniem: „A ty? W co wierzysz?”. Nie byłem rozczarowany odpowiedzią. Thomas wyprostował się na siedzeniu i oświadczył: „Pozwól, że zacytuję fragment jednego z młodzieńczych pism naszego dostojnego ministra propagandy: *Nieważne, w co się wierzy; najważniejsze jest wierzyć*”. Uśmiechnąłem się: Thomas mnie wciąż zdumiewał. Powiedziałem mu to zresztą: „Thomas, zdumiewasz mnie”. — „No a co ty sobie myślisz? Mnie nie satysfakcjonuje gnicie w oficynach. Ja jestem prawdziwym narodowym socjalistą. Bormann też, na swój sposób. Co do twojego Speera, to nie byłbym pewien. Ma talent, lecz nie sądzę, by przesadnie troszczył się o reżim, któremu służy”. Znow się uśmiechnąłem na myśl o Schellenbergu. Thomas mówił dalej: „Im trudniejsza staje się sytuacja, tym bardziej powinniśmy liczyć na prawdziwych narodowych socjalistów. Niedługo wszystkie szczury rzucają się do ucieczki z okrętu. Zobaczysz”.

Tak, pod pokładem Rzeszy szczury biegały, piszczały, roiły się, gnane potężnym niepokojem. Od chwili odstąpienia Włochów pojawiły się napięcia pomiędzy nami a resztą sojuszników, sprawiając, że nasze stosunki pokryły się siateczką drobnych rys. Każdy na swój sposób zaczynał rozglądać się za drzwiami wyjściowymi i nie były to drzwi niemieckie. Schellenberg, jak twierdził Thomas, podejrzewał, że Rumuni negocjują z Sowietami w Sztokholmie. Jednak najgorętszym tematem rozmów byli Węgrzy. Siły rosyjskie zdobyły Łuck i Równe; było wiadomo, że jeśli Galicja dostanie się w ich ręce, to staną u wrót Węgier. Od ponad roku premier Kállay pilnie wypracowywał sobie w kręgach dyplomatycznych reputację kiepskiego przyjaciela Niemiec. Postawa Węgrów wobec kwestii żydowskiej też była problematyczna: nie dość, że nie mieli zamiaru wychodzić poza granice dyskryminacyjnego ustawodawstwa, zupełnie nieadekwatnego do zaistniałych okoliczności (węgierscy Żydzi zachowywali ważne stanowiska w przemyśle, a pół-Zydzi albo mężczyźni ożenieni z Żydówkami — nawet w rządzie), to jeszcze, nadal będąc w posiadaniu tak znacznych zasobów żydowskiej siły roboczej, w dużej mierze wykwalifikowanej, odrzucali wszystkie niemieckie wnioski o oddanie nam części tej siły do pracy na rzecz potrzeb wojennych. Już na początku lutego, podczas konferencji zrzeszających ekspertów z wielu departamentów zaczęły się dyskusje na ten temat; w niektórych uczestniczyłem osobiście, a czasem wysyłałem swoich specjalistów. RSHA zalecała wymianę rządu. Mój udział ograniczał się do badań na temat możliwego zatrudnienia węgierskich Żydów, na wypadek gdyby sytuacja korzystnie się rozwinęła. W związku z tym miałem serię konsultacji ze współpracownikami Speera. Niestety, ich stanowiska były często zadziwiająco sprzeczne i trudne do pogodzenia. Sam Speer pozostawał nieosiągalny; mówiono, że ma się bardzo źle. To mnie zbijało z tropu, odnosiłem bowiem wrażenie, że moje plany trafiają w próżnię, że gromadzę wyniki badań, które nie są więcej warte od jakiejś fikcji. Biuro wprawdzie się rozwijało — miałem teraz do dyspozycji trzech wyspecjalizowanych oficerów, a Brandt obiecał mi czwartego — odczuwałem jednak, że moja pozycja jest raczej niewygodna; wsparcie dla przeforsowania moich propozycji było niewielkie, zarówno ze strony RSHA (pomimo moich związków z SD), jak i WVHA, czasem tylko pomagał mi Maurer, jeśli miał w tym interes.

Z początkiem marca sprawy nabrały tempa, co nie znaczy, że coś się wyjaśniło. Speer, jak się dowiedziałem od Thomasa, który zadzwonił pod koniec lutego, został

odsunięty od sprawy i chociaż ciągle jeszcze przebywał w Hohenlychen, powoli przejmował stery swojego ministerstwa. Wraz z Feldmarschallem Milchem podjął decyzję o stworzeniu jägerstab, specjalnego sztabu, koordynującego produkcję myśliwców. Z jednej strony był to ważny krok w kierunku unifikacji ostatniego sektora produkcji wojennej, który wymykał się dotąd spod władzy jego ministerstwa, z drugiej zaś mnożyły się intrygi, opowiadano, że Göring przeciwstawił się utworzeniu Jägerstab, że Saur, zastępca Speera, nominowany na szefa sztabu, nie był tym, którego wybrałby minister, i tym podobne. Co więcej, ludzie z ministerstwa Speera dyskutowali teraz otwarcie o wydumany i nierealny pomysł: o przeniesieniu pod ziemię całej produkcji lotniczej, by uchronić ją przed atakami angielskich i amerykańskich bombowców. To wymagałoby drążenia setek tysięcy metrów kwadratowych podziemnych korytarzy. Opowiadano, że Kammler namiętnie popiera ten projekt i że jego biura kończą już przygotowanie niezbędnych badań: było jasne, że przy obecnym stanie rzeczy tylko SS jest zdolna do realizacji tak szalonej koncepcji. To jednak znacznie przekraczało możliwości siły roboczej, którą mieliśmy do dyspozycji. Należało dotrzeć do nowych źródeł, a w sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy — zwłaszcza że na mocy porozumienia pomiędzy Speerem a ministrem Bichelonnem obowiązywał zakaz przeprowadzania nowych naborów we Francji — pozostawały nam tylko Węgry. Rozwiązanie problemu węgierskiego stawało się w związku z tym coraz pilniejsze. Inżynierowie Speera i Kammlera bez żadnych skrupułów brali pod uwagę węgierskich Żydów w swoich obliczeniach i prognozach, choć nie podpisano jeszcze żadnego porozumienia z rządem Kallayego. W RSHA omawiano rozwiązania zastępcze: wiedziałem o tym niewiele, ale Thomas informował mnie czasem o postępach w planowaniu, abym mógł dostosować do nich moje badania. Schellenberg był głęboko wtajemniczony w te projekty. W lutym niejasna historia z przemytem dewiz do Szwajcarii przyczyniła się do zdymisjonowania admirała Canarisa. Cała Abwehra została wcielona do RSHA i w połączeniu z Amt VI stworzyła Amt Mil, pozostające pod kontrolą Schellenberga, który w ten sposób stanął na czele wszystkich służb wywiadu zagranicznego Rzeszy. Miał niewiele czasu, by wykorzystać tę pozycję: zawodowi oficerowie Abwehry nie darzyli SS sympatią i wcale nie było takie pewne, że będzie nad nimi sprawował kontrolę. W tym sensie Węgry mogły mu dać sposobność przetestowania możliwości jego nowego narzędzia. W kwestii siły roboczej zmiany polityczne otwierały nowe, znaczące perspektywy: optymiści mówili o czterystu tysiącach pracowników,

będących do dyspozycji od zaraz, w głównej mierze specjalistów i wykwalifikowanych robotników. Z punktu widzenia naszych potrzeb byłby to znaczny zastrzyk siły roboczej. Przewidywałem jednak, że jej wykorzystanie stanie się przedmiotem zajadłych sporów: słyszałem, jak wielu ekspertów wypowiada się w sposób trzeźwy i spokojny przeciwko pomysłom Kammlera i Saura, słyszałem ich oświadczenia, że koncepcja podziemnych fabryk, choć atrakcyjna, pozostaje złudna, gdyż nawet one nigdy nie będą w stanie odwrócić biegu wydarzeń; w dodatku wiązałyby się z tym niedopuszczalne straty siły roboczej, pracowników, którzy przydaliby się dużo bardziej, gdyby, uformowani w brygady, odbudowywali zbombardowane fabryki, wznosili mieszkania dla naszych robotników i dla poszkodowanych albo pomagali w decentralizacji niektórych ważnych gałęzi przemysłu. Twierdzono, że Speer jest tego samego zdania; ja, na razie, nie miałem do niego dostępu. Osobiście uważałem owe argumenty za dość sensowne, ale prawdę mówiąc, mnie ten problem nie dotyczył.

W gruncie rzeczy im większe zdobywałem rozeznanie w zawierusze intryg w świecie wyższych rządowych sfer, tym mniejszą miałem ochotę w nich uczestniczyć. Zanim osiągnąłem obecną pozycję, sądziłem, chyba dość naiwnie, że najważniejsze decyzje podejmowane są z uwagi na ideologiczną słuszność i racjonalność. Teraz dostrzegałem, że nawet jeśli po części była to prawda, to dochodziło jeszcze wiele innych czynników, jak biurokratyczne konflikty o pierwszeństwo, osobista ambicja niektórych, interesy własne. Oczywiście Führer nie mógł sam rozwiązać wszystkich tych kwestii, nie miał wpływu na to, jak osiągnano kompromisy — a i nawet to już funkcjonowało źle albo wcale. Thomas w tych sytuacjach czuł się jak ryba w wodzie, ja natomiast niezręcznie, i to nie tylko dlatego, że brakowało mi talentu do intryg. Zawsze sądziłem, że powinny się sprawdzić słowa Coventry Patmore'a: *The truth is great and shall prevail / When none cares whether it prevail or not*; byłem przekonany, iż narodowy socjalizm nie może być niczym innym, jak tylko wspólnym i w dobrej wierze przedsięwziętym poszukiwaniem tej prawdy. Było mi to tym bardziej potrzebne, że ze względu na okoliczności mojego burzliwego życia, podzielonego pomiędzy dwa kraje, znajdowałem się nieco na uboczu w stosunku do innych ludzi: ja także chciałem dołożyć swoją cegiełkę do wspólnej budowli, też chciałem czuć się częścią całości. Niestety, w naszym narodowosocjalistycznym państwie, a zwłaszcza poza kręgami SD, niewielu ludzi myślało tak jak ja. W tym sensie mogłem podziwiać brutalną szczerość Eichmanna: on miał swój pogląd na temat

narodowego socjalizmu, na temat własnego miejsca i zadania, trwał przy swoim, służył temu całym swym talentem i uporem — dopóki zwierzchnicy utwierdzali go w słuszności jego poglądu, dopóty był to dobry pogląd, a Eichmann pozostawał człowiekiem szczęśliwym, pewnym siebie, który twardą ręką rządził w swym departamencie. W żadnym razie nie mogłem tego samego powiedzieć o sobie. Być może moje nieszczęście polegało na tym, że obarczono mnie obowiązkami, które nijak się miały do mych naturalnych upodobań. Już w Rosji czułem się nie na miejscu, zdolny wykonywać to, co mi nakazano, lecz wycofany, gdy tylko należało wyjść z inicjatywą, bo choć przestudiowałem i opanowałem zleczone mi zadania o charakterze policyjnym, a później gospodarczym, to ciągle nie potrafiłem uchwycić owej głębokiej konieczności, jaka nimi kierowała, a więc nie znalazłem jeszcze drogi, którą mógłbym kroczyć z *precyzją i pewnością somnambulika*, jak Führer i tylu moich kolegów oraz towarzyszy, bardziej utalentowanych ode mnie. Czy istniała jakaś inna dziedzina, która odpowiadałaby mi bardziej, w której czułbym się lepiej? Możliwe, ale trudno to stwierdzić, bo nie miałem okazji spróbować, a w końcu liczy się to, co było, a nie to, co mogłoby być. Od samego początku nic nie toczyło się tak, jakbym chciał — to wiedziałem już dawno (i jednocześnie, jak mi się zdaje, nigdy nie zaakceptowałem tego fałszu i zła, co najwyżej w końcu zaakceptowałem fakt, że nie mogę niczego poprawić). Zmieniłem się, to prawda. Jako chłopak byłem przenikliwy, miałem sprecyzowane poglądy na świat, na to, co jest, a co mogłoby być, i na swoje własne miejsce w tym świecie; w swym młodzieńczym szaleństwie z całą arogancją uważałem, że tak już będzie zawsze, że postawa, którą wypracowałem sobie na podstawie dokonywanych analiz, nigdy się nie zmieni. Lecz nie pamiętałem albo nawet nie wiedziałem jeszcze, jaką siłę ma czas, czas i zmęczenie. I właśnie to — bardziej nawet niż moje niezdecydowanie, mój wstrząs ideologiczny, niezdolność do zajęcia jasnego stanowiska w kwestiach, którymi się zajmowałem — to właśnie mnie niszczyło, usuwało mi grunt spod nóg. Ten rodzaj zmęczenia nie ma końca, tylko śmierć może je przerwać, czuję je nadal, do dziś, zawsze już będzie trwało.

Nigdy nie rozmawiałem o tym z Heleną. Gdy spotykałem się z nią wieczorami lub w niedzielę, gawędziliśmy o bieżących wydarzeniach, o trudach życia codziennego, bombardowaniach albo o sztuce, literaturze czy filmie. Zdarzało się, że opowiadałem jej o swoim dzieciństwie, o życiu, jednakże nie o wszystkim, omijałem bolesne i trudne fakty. Czasem kusiło mnie, by mówić z nią całkiem szczerze, lecz coś mnie powstrzymywało.

Dlaczego? Nie wiem. Mógłbym stwierdzić: bałem się, że ją zaszokuję, urażę. To jednak nie było to. Znałem tę kobietę dość krótko, jednak wystarczająco dobrze, by móc przypuszczać, że potrafi słuchać, słuchać i nie osądzać (pisząc to, mam na myśli meandry życia osobistego; w tamtym czasie nie mogłem w żaden sposób przewidzieć, jaka byłaby jej reakcja, gdyby dowiedziała się wszystkiego na temat zasięgu i charakteru mojej pracy, ale mówienie o tym było tak czy inaczej wykluczone, przede wszystkim ze względu na obowiązek dochowania tajemnicy, ale także, jak sądzę, z uwagi na nieme porozumienie między nami, to również była kwestia swoistego „taktu”.) Co więc sprawiło, że słowa nie mogły przejść mi przez gardło, gdy pewnego wieczoru, po kolacji, w nagłym przypływie smutku, pojawiły się w mojej głowie? Strach, nie przed jej reakcją, ale raczej przed obnażeniem się? Albo może po prostu strach przed dopuszczeniem jej do siebie jeszcze bliżej, niż dopuściłem ją do tej pory, kto wie, czy nie wbrew własnej woli? Bo było jasne, że choć nasza relacja pozostawała relacją dobrych, lecz nowych przyjaciół, w niej powoli zaczynało kiełkować coś więcej, może myśl o łóżku, a może coś jeszcze innego. Czasem ogarniał mnie smutek, przytłaczała mnie niemożność podarowania jej czegokolwiek i przyjęcia tego, co ona mogłaby mi dać. Patrzyła na mnie długo i cierpliwie, tym spojrzeniem, które tak mnie poruszało, a ja rozmyślałem i okrucieństwo towarzyszyło każdej mojej myśli: nocą, gdy leżysz w łóżku, wyobrażasz mnie sobie, może dotykasz swojego ciała, piersi, gdy mnie sobie wyobrażasz, wsuwasz rękę między nogi, gdy mnie sobie wyobrażasz, może pogrążasz się w fantazjach o mnie, a ja, ja kocham tylko jedną osobę, tę spośród wszystkich, której nie mogę mieć, o której myśl nie daje mi spokoju i wymyka mi się z głowy tylko po to, by się wwiercić w kości, kocham tę, która zawsze stać będzie między światem a mną, zatem między tobą a mną, tę, której pocałunki będą zawsze lepsze od twoich, tę, której ślub sprawił, że teraz ja mógłbym poślubić ciebie tylko po to, by poczuć, co ona czuje w małżeństwie, kocham tę, której samo istnienie sprawia, że ty nigdy dla mnie nie zaistniejesz w pełni, a co do reszty, bo jest i reszta, to wolę, jak mnie pieprzą w dupę nieznanymi chłopcy, i wolę im zapłacić, jeśli trzeba, bo to mnie przybliży do niej, a jeszcze bardziej wolę strach i pustkę, i jałowość moich myśli, wolę je od słabości.

Projekt węgierski nabierał konkretnych kształtów i na początku marca wezwał mnie Reichsführer. Dzień wcześniej Amerykanie dokonali pierwszego dziennego nalotu na Berlin; to był niewielki „rajd”, około trzydziestu bombowców, i prasa Goebbelsa drwiła sobie z małych zniszczeń — z tym że bombowcom, po raz pierwszy, towarzyszyły

myśliwce o dużym zasięgu, była to nowa i przerażająca broń, nasze myśliwce zostały odparte, ponieśliśmy straty i tylko idiota nie domyśliłby się, że ten nalot to był zwykły test, w dodatku udany; od tej pory nie będzie wytchnienia, ani za dnia, ani nocą przy pełni księżyca — front jest teraz wszędzie i przez cały czas. Porażka naszej Luftwaffe, niezdolnej do skutecznej riposty, stała się faktem. Moją analizę potwierdziły suche i precyzyjne słowa Reichsführera: „Już wkrótce sytuacja na Węgrzech, poinformował mnie, nie wdając się w szczegóły, zacznie się szybko rozwijać. Führer jest zdecydowany interweniować, jeśli zajdzie taka konieczność. Pojawią się nowe okazje, trzeba je będzie niezwłocznie wykorzystać. Jedną z tych okazji dotyczy kwestii żydowskiej. W odpowiednim momencie Obergruppenführer Kaltenbrunner wyśle tam swoich ludzi. Będą wiedzieli, co mają robić, pan niech się w to nie miesza. Jednakże chcę, żeby pan z nimi jechał i bronił interesów Arbeitseinsatz. Gruppenführer Kammler (dostał promocję w styczniu) będzie potrzebował ludzi, mnóstwa ludzi. Anglosasi wprowadzają innowacje — wskazał palcem niebo — i powinniśmy reagować szybko. RSHA musi to wziąć pod uwagę. Wydałem odpowiednie instrukcje Obergruppenführerowi Kaltenbrunnerowi, ale chcę, żeby czuwał pan nad ich starannym wypełnieniem przez jego specjalistów. Żydowska siła robocza należy nam się teraz bardziej niż kiedykolwiek. Czy to jasne?” Tak, było jasne. Po spotkaniu Brandt objaśnił mi szczegóły: specjalną grupą interwencyjną będzie dowodził Eichmann, który dostanie wolną rękę, jeśli chodzi o uregulowanie tej kwestii. Jak tylko Węgrzy przyjmą zasady i zapewnią współpracę, zacznie się wysyłać Żydów do Auschwitz, które posłuży za centrum selekcji; tam wszyscy zdolni do pracy zostaną do niej skierowani, zależnie od potrzeb. Na każdym etapie należało maksymalizować liczbę potencjalnych pracowników.

W RSHA odbyła się kolejna tura konferencji przygotowawczych, dużo dokładniejszych niż te sprzed miesiąca; wkrótce nieznana była już tylko data. Zapanowało niemal namacalne podniecenie; po raz pierwszy od dawna zainteresowani oficerowie czuli, że podejmują jakąś inicjatywę. Kilkakrotnie spotkałem się z Eichmannem, na konferencjach i prywatnie. Zapewnił mnie, że instrukcje Reichsführera zostały doskonale zrozumiane. „Cieszę się, że to właśnie pan zajmuje się tym aspektem sprawy, powiedział, przygryzając wewnętrzną stronę lewego policzka. Z panem to jest, za pozwoleniem, robota. A nie mogę tego powiedzieć o pozostałych”. Tymczasem wszyscy myśleli o jednym: wojnie powietrznej. Dwa dni po pierwszym nalocie Amerykanie wypuścili ponad

800 bombowców, które chroniło około 650 nowych myśliwców. Uderzyli na Berlin w porze obiadu. Na szczęście dzięki brzydkiej pogodzie bombardowanie nie było precyzyjne i szkody okazały się ograniczone; ponadto nasze myśliwce i Flak zestrzeliły 80 wrogich samolotów, prawdziwy rekord. Cóż z tego, skoro nasze samoloty były ciężkie, niedostosowane do możliwości nowych mustangów i straciliśmy 66 maszyn? Istna katastrofa, zwłaszcza że pilotów, którzy zginęli, było jeszcze trudniej zastąpić niż samoloty. Niczym nie zniechęceni Amerykanie wracali przez kilka kolejnych dni; za każdym razem ludzie godzinami przesiadywali w schronach, wszelka praca ustała. Nocami Anglicy wysyłali swoje mosquito, które wprawdzie wyrządzały niewiele szkód, lecz zmuszały do ukrywania się w schronach, rujnowały odpoczynek, uniemożliwiały nabranie sił. Na szczęście straty w ludziach nadal były niższe niż te, które odnotowano w listopadzie: Goebbels podjął decyzję o ewakuacji znacznej części centrum i teraz większość urzędników przyjeżdżała co dzień do pracy z przedmieść; były to często wielogodzinne, wyczerpujące dojazdy. Wszystko to odbijało się na jakości pracy: w korespondencjach moich berlińskich specjalistów, którzy popadli w bezsenność, roiło się od błędów, musieli, na moje polecenie, przepisywać listy po trzy, a nawet pięć razy, zanim nadawały się do wysłania.

Któregoś wieczoru udałem się na przyjęcie do Gruppenführera Müllera. Zaproszenie przekazał mi Eichmann po jednym z alarmów, w biurze, w którym odbywała się tamtego dnia ważna konferencja na temat planowania. „W każdy czwartek, powiedział mi, Amtchef zaprasza do siebie kilku swoich specjalistów, żeby porozmawiać. Byłby zachwycony, gdyby i pan zechciał wziąć udział w takim spotkaniu”. Przyjąłem zaproszenie, choć musiałem w związku z tym odwołać zajęcia z szermierki: ledwo znałem Müllera, okazja przyjrzenia mu się z bliska była interesująca. Zajmował stojące nieco na uboczu mieszkanie służbowe, które oszczędziły bomby. Drzwi otworzyła mi bezbarwna kobieta w koczku, o blisko siebie osadzonych oczach; sądziłem, że mam do czynienia ze służącą, ale to była Frau Muller. Jedyna kobieta w tym towarzystwie. Sam Muller był w cywilu; nie odsalutował, tylko uściśnął mi dłoń. Rękę miał masywną, o grubych, topornych palcach. Jednak, nie licząc tej manifestacji poufałości, atmosfera była dużo mniej gemutlich niż kiedyś u Eichmanna. Eichmann też był w cywilu, choć większość oficerów, ja też, miała na sobie mundury. Muller, krępy mężczyzna o krótkawych nogach i kanciastej czaszce wieśniaka, był ubrany świetnie, z wyszukaną elegancją: miał

szydełkowany kardigan założony na jedwabną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Nalał mi koniaku i przedstawił mnie reszcie gości, niemal wyłącznie Gruppenleiterom albo referentom z Amt IV: zapamiętałem dwóch mężczyzn z IV D, którzy zajmowali się służbami Gestapo w krajach okupowanych, i niejakiego Regierungsrata Berndorffa, kierującego Schutzhaftreferat, Referatem Prewencji. Był tam też jakiś oficer Kripo oraz Litzenberg, kolega Thomasa. Sam Thomas, z dużą swobodą obnoszący nowe galony Standartenführera, dotarł nieco później, a Muller powitał go bardzo serdecznie. Rozmowy krążyły głównie wokół kwestii Węgier: RSHA zidentyfikował już węgierskie osobistości skłonne współpracować z Niemcami; pozostawało ważne pytanie, w jaki sposób Hitler zamierza obalić Kallaya. Muller wyłączał się czasem z dyskusji i wodził za gośćmi niespokojnym, rozbieganym, przenikliwym wzrokiem. Kiedy indziej wtrącał parę zdań, krótkich i zimnych, wypowiadał je z przeciągłym, bawarskim akcentem, maskując wrodzony chłód udawaną kordialnością. Rzadko tylko pozwalał sobie na więcej. Wdałem się w dyskusję z Thomasem i dr. Freyem, byłym funkcjonariuszem SD, który tak jak Thomas przeszedł do Staatspolizei, rozmawialiśmy o intelektualnych korzeniach narodowego socjalizmu. Frey zauważył, że sama nazwa ideologii nie jest najszcześniejsza, bo słowo „narodowy” odnosi się do tradycji z 1789 roku, którą narodowy socjalizm jako taki odrzuca. „Co zaproponowałby pan w zamian?”, spytałem. — „Uważam, że powinien to być *Völkisch*-socjalizm. To dużo dokładniejsza nazwa”. Dołączył do nas facet z Kripo: „Naśladując Möllera van der Brucka, moglibyśmy użyć nazwy imperial-socjalizm”. — „Hm, to już jest chyba bliskie odchyleniom Strassera, czyż nie?”, odpalił lekko zirytowany Frey. Właśnie wtedy zauważyłem Müllera: stał za nami, ściskając szklanekę w grubej łapie, i słuchał, mrugając oczyma. „Naprawdę, należałoby wepchnąć wszystkich intelektualistów do kopalni węgla i wysadzić w powietrze...”, rzucił skrzekliwym, srogim głosem. — „Gruppenführer ma absolutną rację, powiedział Thomas. Meine Herren, jesteście gorsi od Żydów. Bierzcie z niego przykład: czyny, nie słowa”. W jego oczach czały się wesołe chochliki. Müller pokiwał głową, Frey był wyraźnie zmieszany: „Jest oczywiste, że w naszym przypadku inicjatywę poprzedzały zawsze rozważania teoretyczne...”, bełkotał facet z Kripo. Zostawiłem ich i poszedłem do bufetu nałożyć sobie na talerz sałatki i trochę wędliny. Müller ruszył za mną. „A jak się miewa Reichsminister Speer?”, spytał. — „Prawdę mówiąc, nie wiem, Herr Gruppenführer. Nie miałem z nim kontaktu od początku ję choroby. Podobno czuje się lepiej”. — „Mówią, że niedługo wyjdzie”. —

„Możliwe. Byłoby dobrze. Jeżeli uda nam się zdobyć siłę roboczą na Węgrzech, bardzo szybko pojawią się nowe możliwości dla naszego przemysłu zbrojeniowego”. — „Być może, warknął Müller. Z tym że to będą głównie Żydzi, a Żydzi nie mają wstępu na terytorium Altreich”. Przełknąłem kielbaskę i odparłem: „Trzeba więc będzie zmienić tę zasadę. Wykorzystujemy w tej chwili wszystkie nasze możliwości. Bez tych Żydów nie będziemy mogli pójść dalej”. Zbliżył się do nas Eichman i przysłuchiwał się moim ostatnim słowom, popijając koniak. „Czy jest pan szczerze przekonany, wtrącił się, nie dając Müllerowi dojść do słowa, że o naszym zwycięstwie lub porażce zadecyduje kilka tysięcy Żydów? A jeżeli tak właśnie by było, to czy chciałby pan, żeby Niemcy zawdzięczali zwycięstwo Żydom?” Eichmann sporo wypił, zrobił się czerwony, oczy mu błyszczały; był wyraźnie dumny, mogąc wypowiedzieć takie słowa w obecności przełożonego. Słuchałem, dziobiąc widelcem krawędź kielbasy na talerzu, który trzymałem w dłoni. Zachowałem spokój, choć irytowały mnie te nedorzeczności. „Wie pan, Obersturmbannführer, odpowiedziałem obojętnym tonem, w 1941 roku mieliśmy najnowocześniejszą na świecie armię. Dziś cofnęliśmy się o około pół wieku. Cały nasz transport na froncie odbywa się przy użyciu koni pociągowych. Tymczasem Rosjanie jeżdżą amerykańskimi studebakerami. W Stanach Zjednoczonych miliony kobiet i mężczyzn konstruuje ciężarówki — dniami i nocami. Budują też okręty do ich transportu. Według naszych ekspertów produkują jeden statek towarowy dziennie. To dużo więcej, niż nasza marynarka wojenna byłaby w stanie zatopić, gdyby nie bała się wypływać w morze. W tej chwili prowadzimy wykrwawiającą wojnę. Z tym, że to nie nasi wrogowie się wykrwawiają. To, co się uda nam zniszczyć, zastępują natychmiast nowym, sto maszyn, które zestrzeliliśmy w tym tygodniu, też za chwilę zastąpią. Tymczasem my nie jesteśmy w stanie wyrównać naszych strat materialnych, no, powiedzmy, że czołgi jeszcze tak”. Eichmann się zaperzył: „Ależ z pana dziś defetysta!”. Müller obserwował nas w milczeniu, bez uśmiechu, zatrzymywał rozbiegane oczy to na jednym, to na drugim. „Nie jestem defetysta, odciąłem się. Jestem realistą. Wystarczy spojrzeć, jak się mają nasze interesy”. Jednak podpity Eichmann nie miał zamiaru myśleć logicznie: „Rozumuje pan jak kapitalista, materialista... Ta wojna nie jest kwestią interesów. Gdyby to była kwestia interesów, nigdy nie zaatakowalibyśmy Rosji”. Przystałem nadążać za tym, co mówił, chyba całkowicie zoczył z tematu, ale wciąż bełkotał, idąc znanym tylko sobie ciągiem urywanych przemyśleń. „Nie prowadzimy wojny po to, żeby każdy Niemiec miał w domu

lodówkę czy radio. Prowadzimy wojnę, by oczyścić Niemcy, by stworzyć Niemcy, w których chce się spędzić życie. Sądzi pan, że mój brat Helmut zginął za jakąś lodówkę? A pan, bił się pan w Stalingradzie za lodówkę?” Z uśmiechem wzruszyłem ramionami: był w takim stanie, że dyskusja z nim nie miała żadnego sensu. Müller położył mu rękę na ramieniu: „Eichmann, przyjacielu, ma pan rację”. Odwrócił się do mnie: „Oto, dlaczego nasz drogi Eichmann tak świetnie odnajduje się w swojej pracy: widzi sedno każdej sprawy. To czyni z niego świetnego specjalistę. Dlatego wysyłam go na Węgry: to nasz *Meister* od spraw żydowskich”. Słyszając te komplementy, Eichmann zarumienił się z radości; jeśli o mnie chodzi, to przeciwnie, wydał mi się raczej ograniczony. Nie zmienia to jednak faktu, że Müller miał rację: ten człowiek był naprawdę bardzo skuteczny. W sumie często właśnie ci ograniczeni bywają najskuteczniejsi. Müller mówił dalej: „Mam do pana tylko jedną uwagę, Eichmann, nie powinien pan myśleć wyłącznie o Żydach. Żydzi co prawda to jedni z naszych największych wrogów, ale kwestia żydowska jest w Europie niemal całkowicie rozwiązana. Jak uporamy się z nią na Węgrzech, zostanie bardzo niewielu Żydów. Należy pomyśleć o przyszłości. A my mamy bardzo wielu wrogów”. Mówił cicho, jego monotony głos, punktowany wiejskim akcentem, wypływał spod cienkich, ruchliwych warg. „Należy pomyśleć o tym, co zrobimy z Polakami. Eliminowanie Żydów przy jednoczesnym pozostawianiu Polaków przy życiu nie ma żadnego sensu. Także tutaj, w Niemczech. Podjęliśmy już pewne działania, ale trzeba doprowadzić je do końca. Potrzebne będzie także *Endlösung der Sozialfrage*, ostateczne rozwiązanie kwestii społecznej. Pozostało zbyt wielu kryminalistów, ludzi nieprzystosowanych, włóczęgów, Cyganów, alkoholików, prostytutek i homoseksualistów. Należy pomyśleć o gruźlikach, którzy zarażają zdrowych ludzi. O sercowcach, którzy przekazują potomstwu zepsutą krew i kosztują służby medyczne majątek: no, ich można przynajmniej wysterylizować. Trzeba się będzie zająć tym wszystkim, kategoria po kategorii. Wszyscy nasi prawomyślni Niemcy się sprzeciwiają, zawsze będą mieli ku temu swoje słuszne racje. Stalin jest w tym dobry: potrafi utrzymać posłuch i doprowadza swoje sprawy do końca”. Spojrzał na mnie: „Świetnie znam bolszewików. Od egzekucji zakładników w Monachium podczas Rewolucji. Zwalczałem ich przez czternaście lat, aż do Przejęcia Władzy, i nadal zwalczam. Ale, wie pan, poważam ich. To ludzie mający wrodzony zmysł organizacji, dyscypliny, którzy nie cofają się przed niczym. Można by się od nich uczyć. Nie uważa pan?”. Müller nie czekał na

odpowieź. Chwylił Eichmanna pod ramię i zaprowadził do niskiego stolika, na którym rozłożył szachownicę. Kończąc posiłek, obserwowałem z daleka ich grę. Eichmann grał nieźle, ale nie tak dobrze jak Müller — Müller, stwierdziłem, gra tak, jak pracuje, metodycznie, z uporem, brutalnie, w sposób zimny i przemyślany. Zagrali kilka partii, przyglądałem się im z przyjemnością. Eichmann próbował stosować sprytne, wykalkulowane kombinacje, ale Müller nigdy nie dawał się zapędzić w kozi róg, jego obrona była tak samo skuteczna, jak nie do odparcia były jego systematycznie przygotowywane ataki. I Müller zawsze wygrywał.

W następnym tygodniu zebrałem małą ekipę z myślą o *Einsatz* na Węgrzech. Wybrałem specjalistę, Obersturmführera Eliasa, kilku urzędników, ordynansów i asystentów do spraw administracyjnych; no i, ma się rozumieć, Piontka. Pozostawiłem biuro pod opieką Asbacha, wydając mu dokładne instrukcje. Na rozkaz Brandta pojechałem 17 marca do KL Mauthausen, gdzie powstawała Sondereinsatzgruppe Sipo i SD pod dowództwem Oberführera dr. Achamer-Pifradera, pełniącego wcześniej funkcję BdS-a Ostland. Eichmann już tam był, stał na czele własnego Sondereinsatzkommando. Stawiłem się przed Oberführerem dr. Geschke, oficerem odpowiedzialnym, który ulokował mnie i moją ekipę w jednym z baraków. Wyjeżdżając z Berlina, wiedziałem już, że węgierski regent, Horthy, spotkał się z Führerem w zamku Klessheim pod Salzburgiem. Od czasów wojny wydarzenia z Klessheim stały się znane: w konfrontacji z Hitlerem i von Ribbentropem, którzy z całym okrucieństwem pozostawili mu wybór pomiędzy stworzeniem nowego, proniemieckiego rządu a najazdem na jego kraj, Horthy — *admiral bez floty w kraju bez morza, regent królestwa bez króla* — postanowił, doszedłszy do siebie po zawale serca, nie dopuścić do najgorszego. Wtedy jednak nic nam o tym nie było wiadomo: Geschke i Achamer-Pifrader ograniczyli się do wezwania wyższych oficerów, wieczorem 18 marca, i poinformowania nas, że nazajutrz ruszamy do Budapesztu. Ma się rozumieć, od plotek aż huczało; wielu spodziewało się węgierskiego oporu na granicy, kazano nam włożyć polowe mundury i rozdano pistolety maszynowe. Wszyscy byli podekscytowani; dla wielu funkcjonariuszy Staatspolizei i SD była to pierwsza praca w terenie; nawet ja, po niemal roku spędzonym w Berlinie, po szarości biurokratycznej rutyny, wiecznie napiętej atmosfery pełnej podstępnych intryg, po zmęczeniu bombardowaniami, które musieliśmy biernie przeczekiwać, teraz sam poddałem się temu

ogólnemu podnieceniu. Wieczorem poszedłem napić się czegoś z Eichmannem, którego spotkałem, gdy stał pośród swoich oficerów, pusząc się w nowym mundurze *feldgrau*, skrojonym równie dobrze co mundur paradny. Znałem tylko część jego kolegów: wyjaśnił mi, że na potrzeby operacji sprowadził swoich najlepszych specjalistów z całej Europy, z Włoch, Chorwacji, z Łodzi, z Terezina. Przedstawił mnie swojemu przyjacielowi Hauptsturmführerowi Wislicenyemu, który był chrzestnym jego syna Dietera; był to obrzydliwie tłusty mężczyzna, łagodny i spokojny, przyjechał ze Słowacji. Panował radosny nastrój, piliśmy niewiele, wszyscy się niecierpliwni, nikt nie mógł usiedzieć na miejscu. Wróciłem do baraku, żeby się trochę przespać, mieliśmy ruszyć około północy, ale jakoś nie mogłem zasnąć. Myślałem o Helenie: pożegnałem się z nią dzień wcześniej, mówiąc, że nie wiem, kiedy wrócę do Berlina. Byłem dość oschły, nie wdawałem się w wyjaśnienia, nie składałem żadnych obietnic. Przystała na wszystko łagodnie, z powagą, bez widocznego niepokoju, choć przecież było jasne, że między nami zawiązała się pewna nić, cienka być może, lecz mocna, która nie rozwiąże się sama: to już była jakaś historia.

Chyba zdrzemnąłem się na chwilę. Piontek potrząsnął mną koło północy. Położyłem się w mundurze, mój ekwipunek był gotowy. Wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza, właśnie sprawdzano pojazdy, zjadłem kanapkę i wypilem kawę, którą przyniósł mi jeden z ordynansów, Fischer. Panował ostry chłód, jak zwykle pod koniec zimy, i z radością wdychałem czyste, górskie powietrze. Z oddali docierał do mnie warkot silników: Vorkommando, kierowane przez jednego z adiutantów Eichmanna, ruszało w drogę. Postanowiłem dołączyć do konwoju Sondereinsatzkommando, który liczył, oprócz Eichmanna i jego oficerów, ponad pięćdziesięciu żołnierzy, w większości Orpo oraz przedstawicieli SD i SP, a także kilku Waffen-SS. Konwój Geschkego i Achamer-Pifradera miał zamykać kolumnę. Gdy nasze dwa samochody były już gotowe, wysłałem je do strefy odjazdów i poszedłem pieszo poszukać Eichmanna. Miał na furażerze okulary czołgisty, a pod pachą trzymał PM Steyera: całość, w połączeniu z bryczesami, była dość śmieszna, Eichmann wyglądał, jakby się wystroił na bal przebierańców. „Obersturmbannführer, wykrzyknął na mój widok. Pańscy ludzie gotowi?” Pokazałem mu, że tak, i poszedłem do nich. W strefie zbiórki trwało zamieszanie, okrzyki i polecenia, jak zwykle w ostatniej chwili, zanim masa pojazdów ustawiła się w odpowiednim porządku. Eichmann wreszcie także się pojawił, w otoczeniu kilku swoich oficerów (był wśród nich Regierungsrat Hunsche, którego znałem z Berlina), i wydawszy kilka dodatkowych,

sprzecznych rozkazów, wsiadł do swojego schwimmwagena: było to coś w rodzaju terenowej amfibii, kierowanej przez żołnierza Waffen-SS — zastanawiałem się rozbawiony, czy Eichmann przewiduje, że mosty zostały wysadzone, czy też ma zamiar pokonać Dunaj w tej maszynie, ze swoim steyerem i swoim szoferem, i sam jeden rozgonić hordy Madziarów. Piontek, za kierownicą mojego samochodu, był jak zwykle ucieleśnieniem skromności i powagi. Wreszcie, w ostrym świetle obozowych reflektorów, przy warkocie silników, wzbudzając tumany kurzu, kolumna ruszyła. Usadziłem Eliasa i Fischera z tyłu, z bronią, którą nam rozdano, sam usiadłem z przodu, obok Piontka, a on przekręcił kluczyk w stacyjce. Niebo było bezchmurne, gwiazdy błyszcząły, ale nie dostrzegłem księżyca: zjeżdżając serpentyną w dół, widziałem wyraźnie u mych stóp połyskującą powierzchnię Dunaju. Konwój przejechał na prawy brzeg i ruszył w kierunku Wiednia. Jechaliśmy jeden za drugim, z przygaszonymi światłami w obawie przed atakiem wrogich myśliwców. Szybko zasnąłem. Od czasu do czasu budził mnie alarm, samochody musiały zatrzymać się i gasić światła, ale nikt nie wychodził na zewnątrz, czekaliśmy w ciemności. Nie było nalotu. Trwałem w urywanym półśnie i nawiedzały mnie rojenia, dziwne, żywe i ulotne, które pryskały jak bańki mydlane, gdy tylko budził mnie hałas czy dźwięk syreny. Około trzeciej, gdy minęliśmy Wiedeń od południa, otrząsnąłem się i wypilem kawę z termosu, przygotowaną przez Fischera. Wyszedł księżyc, wąły rogalik, rzucający błyski na rozległe wody Dunaju, który od czasu do czasu dostrzegaliśmy po lewej. Alarmy ciągle zmuszały nas do postojów, tworzyliśmy długą, nierówną linię samochodów, widoczną teraz dość dobrze w blasku księżyca. Na wschodzie różowiało niebo, stanowiąc tło dla wierzchołków Małych Karpat. Jeden z postojów miał miejsce w Neusiedler See, kilka kilometrów od węgierskiej granicy. Gruby Wisliceny przeszedł obok mojego samochodu i zapukał w szybę: „Niech pan weźmie rum, idziemy”. Rozdano nam po kilka miarek rumu na drogę, ale nie tknąłem go dotąd. Ruszyłem za Wislicenym, który chodził od samochodu do samochodu, każąc wysiadać kolejnym oficerom. Przed nami, na szczytach gór, spoczywała ciężka czerwona kula słońca, niebo było blade, promiennie-błękitne, podmalowane żółcią, bez jednej chmurki. Nasza grupka dotarła do schwimmwagena Eichmanna, bliżej czoła kolumny, stanęliśmy wokół i Wisliceny poprosił go, by wysiadł. Byli wśród nas oficerowie IV B 4, a także dowódcy odrębnych kompanii. Wisliceny podniósł piersiówkę, pogratulował Eichmannowi i wypił za jego zdrowie — Eichmann świętował tego dnia trzydzieste ósme

urodziny. Aż się zacinał z radości: „Meine Herren, jestem wzruszony, bardzo wzruszony. Dziś mija także siedem lat, odkąd zostałem oficerem SS. Nie mogłem wymarzyć sobie lepszego prezentu niż wasze towarzystwo”. Promieniał, zaczerwieniony, pił małymi łydkami, słuchając wiwatów.

Przejście przez granicę odbyło się bez problemów: na skraju drogi stali celnicy i żołnierze Honvédu i patrzyli na nasz przejazd, przybici i obojętni, nie zdradzając żadnych emocji. Zapowiadał się pogodny poranek. Kolumna zatrzymała się w jakiejś wiosce na śniadanie złożone z kawy, rumu, białego chleba i kupionego na miejscu węgierskiego wina. Ruszyliśmy dalej. Jechaliśmy teraz dużo wolniej, drogę blokowały niemieckie samochody, ciężarówki z żołnierzami i pojazdy opancerzone, musieliśmy ciągnąć się za nimi całymi kilometrami, czekając na możliwość wyprzedzenia. Nie wyglądało to na inwazję, wszystko odbywało się w spokoju i w porządku, na skrajach dróg zbierali się cywile, patrzyli, jak przejeżdżamy, niektórzy wykonywali nawet ku nam przyjazne gesty.

Po południu dotarliśmy do Budapesztu i zajęliśmy kwatery na prawym brzegu, za zamkiem, na Schwabenberg, gdzie SS zarekwirowała luksusowe hotele. Znalazłem się tymczasowo w apartamencie w Astorii, w którym stały dwa łóżka i trzy kanapy dla ośmiu żołnierzy. Na drugi dzień rano wyruszyłem na poszukiwanie informacji. Miasto roiło się od niemieckiego personelu, oficerów Wehrmachtu i Waffen-SS, dyplomatów z Auswärtiges Amt, funkcjonariuszy policji, inżynierów OT, ekonomistów z WVHA i agentów Abwehry o często zmieniających się nazwiskach. W całym tym zamieszaniu nie wiedziałem nawet, komu podlegam, poszedłem spotkać się z Geschkem, który poinformował mnie, że wyznaczono go na stanowisko BdS-a, ale że Reichsführer mianował także HSSPF Obergruppenführera Winkelmann, i że Winkelmann wszystko mi wyjaśni. Ale Winkelmann, zawodowy policjant, dość tłusty, o włosach przyciętych na jeża i wysuniętej szczęce, nie wiedział nawet o moim istnieniu. Wytłumaczył mi, że wbrew pozorom nie okupujemy Węgier, lecz przybyliśmy na zaproszenie Horthyego, by służyć węgierskim służbom naszą radą i wsparciem: nie licząc obecności HSSPF-a, BdS-a, BdO i całych związanych z nimi struktur, nie spełniamy żadnej funkcji wykonawczej, a węgierskie władze zachowują wszystkie prerogatywy i są suwerenne. Wszelkie poważne spory powinny być zgłaszane nowemu ambasadorowi, dr. Veesenmayerowi w stopniu honorowego SS-Brigadeführera lub jego kolegom z Auswärtiges Amt. Kaltenbrunner, z tego, co mówił Winkelmann, także znajdował się w Budapeszcie; przyjechał specjalnym

wagonem Veesenmayera, doczepionym do składu Horthyego podczas jego powrotu z Klessheim, i negocjował z namiestnikiem Dóme Sztójay, dawnym ambasadorem Węgier w Berlinie, utworzenie nowego rządu (Kallay, usunięty ze stanowiska premier, uciekł na placówkę do Turcji). Nie miałem żadnych powodów, by chodzić do Kaltenbrunnera, wpadłem raczej po to, by zapoznać się z niemiecką dyplomacją: Veesenmayer był zajęty, zostałem przyjęty przez jego *chargé d'affaires* Legationsrata Feinego, który odnotował moją misję, zasugerował, żebym poczekał, aż sytuacja się wyjaśni, i zalecił, bym pozostał z nimi w kontakcie. Burdel nie do opisanania.

W Astorii spotkałem się z Obersturmbannführerem Krumeyem, adiutantem Eichmanna. Zdążył już odbyć zebranie z szefami gminy żydowskiej i wyszedł z niego wielce usatysfakcjonowany. „Przynieśli ze sobą walizki, powiedział, śmiejąc się szczerze i głośno. Uspokoilem ich jednak i zapewniłem, że nikt nie zostanie aresztowany. Byli przerażeni *histerią skrajnej prawicy*. Obiecaliśmy im, że jeśli będą współpracować, to nic im się nie stanie, to ich przekonało”. Znow się roześmiał. „Myślą pewnie, że będziemy ich bronić przed Węgrami”. Żydzi mieli utworzyć radę starszych; żeby nie wzbudzać w nich lęku — popularny w Polsce termin *Judenrat* był tu na tyle dobrze znany, że budził grozę — rada została nazwana *Zentralrat*. W kolejnych dniach — podczas gdy członkowie nowej rady żydowskiej znosili do *Sondereinsatzkommando* materace i kołdry (sam zabrałem kilka do naszego apartamentu), a także, zależnie od żądań, maszyny do pisania, lustra, wodę kolońską, damską bieliznę i kilka ślicznych obrazków pędzla Watteau albo przynajmniej kogoś z jego szkoły — odbyłem z nimi, zwłaszcza z przewodniczącym gminy żydowskiej dr. Samuelem Sternem, serię konsultacji, żeby wyrobić sobie pogląd o dostępnych zasobach ludzkich. Żydzi, kobiety i mężczyźni, pracowali już w węgierskich fabrykach zbrojeniowych i Stern mógł przedstawić mi przybliżone dane. Natychmiast jednak pojawił się zasadniczy problem: wszyscy zdrowi żydowscy mężczyźni, bez zatrudnienia i w wieku produkcyjnym, zostali kilka lat temu zmobilizowani do Honvédu, do służby w batalionach roboczych na tyłach armii. To była prawda, przypomniałem sobie, że gdy byliśmy w Żytomierzu, który wtedy jeszcze pozostawał w rękach Węgrów, słyszałem o tych żydowskich batalionach, to rozjuszało moich towarzyszy z Sk 4a. „W żaden sposób nie mamy kontroli nad tymi batalionami. Proszę to omawiać z rządem”.

Kilka dni po utworzeniu rządu Sztójayego nowy gabinet, podczas jedynej, trwającej jedenaście godzin sesji legislacyjnej, ogłosił serię antyżydowskich ustaw, które węgierska

policja niezwłocznie zaczęła wprowadzać w życie. Rzadko widywałem się z Eichmannem, był wiecznie obstawiony ważnymi osobistościami albo chodził do Żydów — interesował się, jak twierdził Krumej, ich kulturą, kazał oprowadzać się po ich bibliotece, ich muzeum, po synagogach. Pod koniec miesiąca osobiście rozmawiał z członkami *Zentralratu*. Całe jego *Sondereinsatzkommando* przeniosło się do hotelu Majestic, ja zostałem w Astorii, gdzie przydzielono mi dwa dodatkowe pokoje na biura. Nie zostałem zaproszony na posiedzenie, ale spotkałem Eichmanna zaraz po nim: wyglądał na człowieka bardzo z siebie zadowolonego i zapewnił mnie, że Żydzi będą współpracować i dostosują się do niemieckich wymagań. Przedyskutowaliśmy kwestię robotników: nowe ustawy miały umożliwić Węgrom zwiększenie liczebności cywilnych batalionów roboczych — wszyscy urzędnicy, dziennikarze, notariusze, adwokaci, księgowi żydowscy, którzy tracą pracę, będą mogli zostać zmobilizowani. To rozbawiło Eichmanna: „Niech pan sobie wyobrazi, drogi Obersturmbannführer, żydowskich adwokatów kopiących rowy przeciwpancerne!” Jednak ciągle nie mieliśmy pojęcia, co zechcą nam dać. Eichmann, tak jak ja, obawiał się, że zrobią wszystko, by zostawić dla siebie to, co najlepsze. Jednakże Eichmann znalazł sobie sojusznika, funkcjonariusza z hrabstwa Budapeszt, dr. László Endrego, zatwardziałego antysemitę, którego miał nadzieję umieścić w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. „Należy się wystrzegać powtórki duńskiego błędu, rozumie pan, tłumaczył mi, podpierając głowę wielką, żylastą ręką i gryząc mały palec. Węgrzy muszą wszystko zrobić sami, muszą nam podać swoich Żydów na tacy”. SEk, przy wsparciu węgierskiej policji i sił BdS-a, już zatrzymywało pierwszych Żydów, którzy dopuszczali się pogwałcenia nowych zasad; w Kistarcsy, w okolicach miasta, powstał obóz przejściowy, strzeżony przez węgierską żandarmerię, gdzie internowano już ponad trzy tysiące osób. Sam także nie próżnowałem: za pośrednictwem placówki dyplomatycznej nawiązałem kontakt z ministerstwami przemysłu i rolnictwa, aby wy badać ich poglądy. Zapoznawałem się z nowymi ustawami, a pomagał mi w tym Herr von Adamovic, ekspert z placówki, mężczyzna życzliwy, inteligentny, lecz niemal całkowicie unieruchomiony przez lumbago i artretyzm. Cały czas pozostawałem w kontakcie z moim berlińskim biurem. Speer, który, tak się złożyło, świętował swoje urodziny tego samego dnia co Eichmann, wyszedł z Hohenlychen i udał się na rekonwalescencję do Merano we Włoszech. Kazałem wysłać mu telegram z życzeniami i kwiaty, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Poproszono mnie także o udział w konferencji na Śląsku, dotyczącej kwestii

żydowskiej, którą miał prowadzić dr Franz Six, mój pierwszy szef departamentu w SD. Pracował teraz w Auswärtiges Amt, ale od czasu do czasu pomagał w RSHA. Thomas również dostał zaproszenie, a także Eichmann i kilku jego specjalistów. Postarałem się, aby pojechać razem z nimi. Nasza grupa jechała pociągiem przez Pressburg, z przesiadką w Breslau na Hirschberg; konferencja miała miejsce w Krummhübel, znanym ośrodku narciarskim w śląskich Sudetach, którego sporą część zajmowały biura AA, w tym także gabinet Sixa, ewakuowane z Berlina z powodu bombardowań. Ulokowano nas w przepelnionym Gasthaus, bo nowe baraki, budowane przez AA, nie były jeszcze gotowe. Z radością spotkałem się z Thomasem, który dotarł tu nieco przed nami, i skorzystał z okazji, by pojeździć na nartach w towarzystwie młodych i ślicznych sekretarek albo asystentek; jedna z nich była z pochodzenia Rosjanką, przedstawił mi ją. Wszystkie zachowywały się tak, jakby miały tu bardzo mało pracy. Eichmann spotkał kolegów z całej Europy i puszył się przed nimi. Konferencja rozpoczęła się dzień po naszym przybyciu. Six otworzył debatę przemówieniem pod tytułem: „Zadania i cele operacji antyżydowskich za granicą”. Mówił o strukturze politycznej światowego judaizmu, oświadczył, że *żydostwo przestało odgrywać w Europie swoją dawną rolę polityczną i biologiczną*. Zrobił również interesującą dygresję o syjonizmie, w tamtych czasach jeszcze niezbyt dobrze znanym w naszych kręgach. Six uważał, że kwestia powrotu Żydów pozostających w Palestynie powinna być włączona w kwestię arabską, która po wojnie nabierze wagi, zwłaszcza jeśli Brytyjczycy opuszczą niektóre tereny swojego imperium. Po nim przemówił specjalista z Auswärtiges Amt, niejaki von Thadden, który wyłuszczył punkt widzenia swojego ministerstwa na *sytuację polityczną Żydów w Europie i postawę wobec działań antyżydowskich*. Thomas mówił o problemach bezpieczeństwa, które pojawiły się po żydowskich rewoltach rok wcześniej. Inni specjaliści i doradcy omawiali bieżącą sytuację w krajach, w których pełnili swoje funkcje. Jednakże gwoździem programu było wystąpienie Eichmanna. węgierska *Einsatz* chyba go zainspirowała i odmalował przed nami niemal kompletny obraz operacji antyżydowskich, wszystkich, które zostały przeprowadzone od samego początku. Szybko i pobieżnie omówił porażkę gettoizacji i skrytykował nieskuteczność i bałagan operacji w terenie: „Niezależnie od tego, jakie są nasze sukcesy, pozostają one sporadyczne, zbyt wielu Żydów ma ciągle możliwość ucieczki, dotarcia do lasu i zasilenia szeregów partyzantki, a to podkopuje morale żołnierzy”. Sukces za granicą zależał od dwóch czynników: mobilizacji lokalnych

władz i współpracy przewodniczących gmin żydowskich. „Aby stwierdzić, co się dzieje, gdy próbujemy zatrzymać Żydów sami, w krajach, w których dysponujemy niewystarczającą liczbą ludzi, wystarczy spojrzeć na Danię, która była totalną porażką, na południe Francji, gdzie uzyskaliśmy bardzo umiarkowane rezultaty, nawet po zajęciu naszej dawnej strefy włoskiej, no i na Włochy, gdzie ludność i Kościół ukrywają tysiące Żydów, których nie możemy znaleźć... Jeśli chodzi o *Judenräte*, to umożliwiają one znaczne oszczędności personelu i zaprzęgają samych Żydów do pracy nad własną destrukcją. Ma się rozumieć, ci Żydzi mają w tym swoje cele, wiążą z tym własne marzenia. Lecz marzenia Żydów nam także służą. Marzą o korupcji na ogromną skalę, proponują nam swoje pieniądze, swoje mienie. My bierzemy te pieniądze i to mienie i robimy, co do nas należy. Chcą wykorzystać sytuację gospodarczą, zapotrzebowanie Wehrmachtu i marzą o ochronie, jaką dawać mają świadectwa pracy, a my, my wykorzystujemy te marzenia na rzecz naszych zakładów zbrojeniowych, bierzemy ich jako siłę roboczą, niezbędną do budowy naszych podziemnych kompleksów, i przejmujemy też tych słabych i starych, i darmozjadów. Jednak zrozumcie także i to: eliminacja pierwszych stu tysięcy Żydów jest dużo łatwiejsza niż eliminacja ostatnich pięciu tysięcy. Przypomnijcie sobie, co się działo w Warszawie albo podczas innych buntów, o których opowiedział nam Standartenführer Hauser. Gdy Reichsführer wysłał mi raport o walkach w Warszawie, podkreślił, iż nie mógł uwierzyć, że Żydzi w getcie mogą się tak zacięć. A przecież nasz nieodżałowany *der Chef*, Obergruppenführer Heydrich, rozumiał to dużo wcześniej. Wiedział, że najsilniejsi, najwytrzymalsi, najbardziej uparci, najsprytniejsi Żydzi wywiną się z wszelkich selekcji i najtrudniej ich będzie wyplenić. A to właśnie oni, dokładnie oni, tworzą życiodajne źródło, dzięki któremu będzie się mógł odrodzić judaizm, tworzą *chorobową komórkę żydowskiej regeneracji*, jak mawiał nieboszczyk Obergruppenführer. Nasza walka to kontynuacja dzieła Kocha i Pasteura, musimy doprowadzić ją do końca...” Słowa te nagrodzono burzą oklasków. Czy Eichmann naprawdę w to wierzył? Po raz pierwszy w życiu słyszałem, jak mówi w ten sposób, i odniosłem wrażenie, że jest zachwycony, że daje się ponieść nowej roli, a ta zabawa tak bardzo mu się spodobała, że utożsamił się z nią całkowicie. Tak czy inaczej jego praktyczne komentarze wcale nie były głupie, widać było, że uważnie przeanalizował wszystkie dotychczasowe doświadczenia, by wyciągnąć z nich najważniejszą naukę. Podczas kolacji — Six, przez grzeczność, a także z uwagi na pamięć

o przeszłości zaprosił mnie i Thomasa na posiłek w wąskim gronie — komplementowałem przemówienie Eichmanna. Jednak Six, niezmiennie przygnębiony i pogrążony w depresji, wypowiedział się o nim raczej negatywnie: „Mało interesujące z intelektualnego punktu widzenia. To stosunkowo prosty człowiek, bez jakichś szczególnych talentów. Oczywiście, bywa imponujący i dysponuje pewnymi możliwościami w granicach swojej specjalizacji”. — „No właśnie, odparłem, to świetny oficer, pełen motywacji i w pewnym sensie uzdolniony. Moim zdaniem jeszcze daleko zajdzie”. — „Zdziwiłbym się, wtrącił oschle Thomas. Jest zbyt uparty. To buldog, sprawny wykonawca. Jednak pozbawiony wyobraźni. Nie potrafi reagować na wydarzenia wykraczające poza jego zakres działań, nie rozwija się. Zbudował swoją karierę na Żydach, na zagładzie Żydów, i w tej dziedzinie jest bardzo mocny. Ale jak tylko skończymy z Żydami — albo też, jeśli zmieni się sytuacja i zagłada Żydów przestanie być obowiązującym rozkazem — on nie będzie umiał się dostosować, zginie”.

Na drugi dzień kontynuowano konferencję, przemawiali pomniejsi. Eichmann nie został, miał robotę: „Muszę teraz jechać na inspekcję Auschwitz, później wracam do Budapesztu. Sporo się tam dzieje”. Ja wyjechałem 5 kwietnia. Na Węgrzech dowiedziałem się, że Führer wydał właśnie zgodę na użycie żydowskich robotników na terenie Rzeszy: sytuacja stała się więc jasna i ludzie Speera oraz pracownicy *Jägerstab* zgłaszali się do mnie z pytaniem, kiedy wyślemy im pierwsze transporty. Prosiłem o cierpliwość, szczegóły operacji nie były jeszcze dopracowane. Eichmann wrócił z Auschwitz wściekły, złorzeczył komendantom: „Kretyni, niezguły. Nic nie jest gotowe na przyjęcie nowych transportów!”. 9 kwietnia... ach, po jaką cholerę opowiadam o tym tak szczegółowo? Wykańcza mnie to i nudzi, was zresztą pewnie także. Ile już stron zapełniłem opisami tych nudnych biurokratycznych perypetii? Nie, nie mogę tak dłużej: pióro wypada mi z ręki, a właściwie długopis. Po co wracać do ponurej sprawy Węgier? Została szeroko udokumentowana w książkach przez historyków, których spojrzenie jest dużo bardziej spójne niż moje. W końcu ja odegrałem w niej tylko poślednią rolę. Zgoda, spotkałem niektórych jej znaczących uczestników, lecz niewiele mam do dodania, jeśli chodzi o ich wspomnienia. Grube intrygi, które nastąpiły później, zwłaszcza te pomiędzy Eichmannem, Becherem i Żydami, wszystkie te opowieści o wykupywaniu Żydów za pieniądze, za ciężarówki i inne rzeczy, tak, coś na ten temat wiedziałem, rozmawiałem o tym, spotkałem nawet kilku zainteresowanych Żydów. I Bechera też, niepokojącego mężczyznę, który

przyjechał na Węgry, by zakupić konie dla Waffen-SS, i szybko przejął, w imieniu Reichsführera, największą fabrykę zbrojeniową w kraju, Manfred-Weiss Werke, nie uprzedziwszy nikogo, ani Veesenmayera, ani Winkelmana, ani mnie. Wkrótce Himmler powierzył mu zadania, które albo się dublowały, albo były sprzeczne z moimi zadaniami i zadaniami Eichmanna, co stanowiło, w końcu to zrozumiałem, typową metodę Reichsführera, ale w terenie siało jedynie niezgodę i zamieszanie, nikt niczego z nikim nie uzgadniał, Winkelmann nie miał żadnego wpływu ani na Eichmanna, ani na Bechera, nie informowali go o niczym. I muszę przyznać, że sam wcale nie zachowywałem się lepiej, negocjowałem z Węgrami bez wiedzy Winkelmana, zwłaszcza z Ministerstwem Obrony, albo nawiązywałem kontakty za pośrednictwem generała Greiffenberga, *attaché* wojskowego Veesenmayera, żeby dowiedzieć się, czy Honvéd nie mógłby dla nas przeznaczyć kilku roboczych batalionów żydowskich, choćby w zamian za szczególne gwarancje czy przywileje, a Honvéd, ma się rozumieć, kategorycznie odmówił, pozostawiwszy nam jako potencjalnych robotników wyłącznie cywilów zebranych w brygady na początku miesiąca, tych, których udało się nam wydobyć z fabryk, i ich rodziny — krótko mówiąc, niskowartościowy potencjał ludzki — co stało się jedną z przyczyn, dla których uznano w końcu tę misję za totalną wpadkę. Jedną z przyczyn, lecz nie jedyną. Jeszcze o tym opowiem i opowiem też trochę o naszych pertraktacjach z Żydami, bo to także siłą rzeczy otarło się o zakres moich kompetencji, albo też, dokładniej, posłużyłem się, nie, próbowałem się posłużyć tymi pertraktacjami do własnych celów, z niewielkim sukcesem, skwapliwie to przyznaję, z wielu powodów, nie tylko z tego, o którym wspomniałem wyżej, w grę wchodziła także postawa Eichmanna, który stawał się coraz trudniejszy, Bechera również i WVHA, węgierskiej żandarmerii, wszyscy mieli w tym swój udział. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli ktoś życzyłby sobie przeanalizować powody, dla których operacja węgierska przyniosła tak marne rezultaty dla *Arbeitseinsatz*, a tego dotyczyły przecież główne moje zabiegi i troska, to powinien wziąć pod uwagę wszystkie te instytucje i wszystkich tych ludzi, którzy odgrywali jakąś rolę i którzy obrzucali się wzajemnie pretensjami; mnie też ganiono, nikt sobie nie odmawiał tej przyjemności, możecie mi wierzyć. Krótko mówiąc, panował tam burdel, prawdziwy rozgardiasz i właśnie przez to większość deportowanych Żydów poniosła śmierć, zmarli zagazowani, zanim ktokolwiek wysłał ich do pracy, ponieważ bardzo niewielu z tych, co docierali do Auschwitz, było zdolnych pracować; mieliśmy znaczne

straty, może nawet 70%, nikt nie jest pewien, i po wojnie to przez nie uważano — co jest zresztą zrozumiałe — że taki był właśnie cel operacji, zabicie tych Żydów, tych kobiet, tych starców, tych dzieci, pyzatyh i zdrowych, i nie rozumiano, dlaczego Niemcy, przegrywając wojnę (choć w tamtym czasie widmo klęski nie było jeszcze tak wyraźne, przynajmniej z niemieckiego punktu widzenia), ciągle uparcie masakrowali Żydów, mobilizowali znaczne zasoby, ludzkie i zwłaszcza transportowe, by eksterminować te kobiety i dzieci; a skoro tego nie rozumiano, złożono to na karb antysemitycznego szaleństwa Niemców, morderczego oblędu, który przecież był tak obcy mnie samemu i wielu innym funkcjonariuszom, bo priorytetem dla nas było znalezienie siły roboczej do naszych fabryk, kilkuset tysięcy robotników, dzięki którym, być może, odwrócilibyśmy bieg rzeczy: potrzebowaliśmy Żydów nie umarłych, lecz żywych, sprawnych, najlepiej płci męskiej. Tymczasem to właśnie Węgrzy chcieli zostawić sobie mężczyzn, a przynajmniej sporą ich część, od początku więc wszystko się sypało, no a później doszły warunki transportu, żałosne — Bóg jeden wie, ile kłótni odbyłem z Eichmannem na ten temat, zresztą on niezmiennie odpowiadał mi to samo: „Ja się tym nie zajmuję, to węgierska żandarmeria ładuje i zaopatruje pociągi, a nie my” — nie wspomnę już o uporze Hössa w Auschwitz (bo w tym czasie, być może na skutek raportu Eichmanna, Höss wrócił jako Standortälteste, zajmując miejsce Liebehenschela, który poszedł w odstawkę do Lublina), bo Höss nie chciał i nie potrafił zmieniać metod działania, ale o tym opowiem być może nieco dalej i bardziej szczegółowo — mówiąc krótko, niewielu z nas życzyło sobie tego, co się stało. No, ale stało się, powiecie — to prawda i prawdą jest również, że wysyłaliśmy wszystkich Żydów do Auschwitz, nie tylko tych, którzy byli w stanie pracować, lecz wszystkich, a więc wiedzieliśmy, że starzy i dzieci pójdą do gazu. I w ten sposób wracamy do wyjściowego pytania: skąd ten upór w oczyszczaniu Węgier z Żydów w warunkach, w jakich toczyła się wojna? Ja mogę tylko wysuwać hipotezy, bo nie to było moim osobistym celem, albo raczej — bo widzę, że nie jestem dokładny — wiem, dlaczego chciano deportować (wtedy nazywało się to *ewakuacją*) wszystkich Żydów z Węgier i natychmiast zabijać niezdolnych do pracy: działało się tak dlatego, że nasze władze, Führer i Reichsführer postanowili zabić wszystkich Żydów w Europie, to jasne, wiedzieliśmy o tym, tak jak wiedzieliśmy, że nawet ci, którzy będą przeznaczeni do pracy, też prędzej czy później umrą. A czemu tak się to działo — cóż, to pytanie, o którym sporo już tu mówiłem i na które nadal nie znalazłem odpowiedzi, ludzie w tamtych

czasach wierzyli w różne opowieści na temat Żydów, w teorię o zarazie, której dawali wiarę Reichsführer i Heydrich, tę samą, o której na konferencji w Krummhübel mówił Eichmann, choć dla Eichmanna, moim zdaniem, była to tylko pewna metafora; w tezę o powstaniach żydowskich, szpiegostwie i piątej kolumnie działającej na rzecz wroga, która była coraz bliżej — wszystkie te tezy zakłócały spokój sporej części pracowników RSHA i martwiły nawet mojego przyjaciela Thomasa, a także strach przed żydowską wszechpotęgą, w jaką niektórzy wierzyli jeszcze z pełnym przekonaniem, co zresztą zapoczątkowało serię komicznych nieporozumień, choćby tego na początku kwietnia w Budapeszcie, gdy musieliśmy eksmitować wielu Żydów, aby zwolniły się mieszkania, a Sipo zażądało utworzenia getta, na co Węgrzy się nie zgodzili, ponieważ obawiali się, że alianci będą bombardować tereny wokół, a samo getto zostawią w spokoju (Amerykanie rzucili już bomby na Budapeszt, w czasie gdy ja byłem w Krummhübel) i w związku z tym Węgrzy rozlokowali Żydów w pobliżu celów strategicznych, wojskowych i przemysłowych, co mocno zaniepokoiło niektórych naszych szefów, bo jeżeli Amerykanie pomimo to zbombardowałyby te cele, byłby to dowód na to, iż światowy judaizm nie jest aż tak silny, jak sądzono. Muszę dodać, gwoli sprawiedliwości, że Amerykanie rzeczywiście zbombardowali te cele, zabijając przy okazji wielu żydowskich cywilów, no, ale ja już od dawna nie wierzyłem we wszechpotęgę światowego judaizmu, bo jeśli istniała, to dlaczego tyle państw odmówiło przyjęcia Żydów w trzydziestym siódmym, trzydziestym ósmym, trzydziestym dziewiątym, gdy my chcieliśmy, by po prostu opuścili Niemcy, co było w gruncie rzeczy jedynym rozsądnym rozwiązaniem? Chcę tylko powiedzieć — wracając do pytania, które postawiłem wcześniej — że nawet jeśli, obiektywnie rzecz biorąc, nie ma wątpliwości co do ostatecznego celu, to nie ten cel miała na uwadze większość uczestników operacji, nie to było ich motywacją i nie to skłaniało ich do pracy z taką energią i zacięciem; motywacje były przeróżne i nawet Eichmannowi, jestem przekonany, było w gruncie rzeczy obojętne, czy Żydów zabijamy, czy nie, jedyne, co się dla niego liczyło, to chęć pokazania, na co go stać, dowartościowanie się oraz wykorzystanie nabytych umiejętności — resztę miał w dupie, zarówno przemysł, jak i komory gazowe, jedyne, czego nie miał w dupie, to strach, żeby nikt nie miał w dupie jego, i dlatego był taki oporny wobec negocjacji z Żydami (jeszcze do tego wrócę, to jednak ciekawe); z innymi było to samo, każdy miał swoje racje: węgierski aparat władzy, który nam pomagał, chciał, żeby Żydzi opuścili Węgry, ale nie wnikał, co się z nimi stanie

potem, a Speer, Kammler i *Jägerstab* chcieli pracowników i zajadle zmuszali SS, by ich dostarczało, ale nie interesowało ich, co się stanie z tymi, którzy nie mogą pracować. No i był jeszcze cały wachlarz motywacji praktycznych, na przykład ja koncentrowałem się wyłącznie na *Arbeitseinsatz*, choć nie było to wcale jedyne wyzwanie gospodarcze, o czym dowiedziałem się, spotkawszy eksperta z naszego Ministerstwa Żywności i Rolnictwa, młodego, bardzo inteligentnego człowieka, zafascynowanego swą pracą, który pewnego wieczoru, w starej budapeszteńskiej kawiarni, wyjaśnił mi żywieniowy aspekt całej sprawy: chodziło o to, że wraz ze stratą Ukrainy Niemcy stają wobec poważnego deficytu w zaopatrzeniu, zwłaszcza w pszenicę, i dlatego zwróciły się ku Węgrom, które są jej wielkim producentem — zresztą uważał to właśnie za główną przyczynę naszej pseudoinwazji: zabezpieczenie zapasów pszenicy; i tak w 1944 roku zażądaliśmy od Węgrów 450 000 ton pszenicy, o 360 000 ton więcej niż w 1942, czyli o 80%, ale przecież Węgrzy musieli skądś brać tę pszenicę, musieli przede wszystkim wyżywić własną populację, tylko że właśnie te 360 000 ton było ilością odpowiadającą racjom żywieniowym dla około miliona osób, nieco więcej niż całkowita liczba węgierskich Żydów, więc specjaliści z Ministerstwa Żywności widzieli w ewakuacji Żydów przez RSHA sposób na to, by Węgrzy mogli przekazać powstałą nadwyżkę Niemcom, pokrywając tym samym ich zapotrzebowanie, a jeśli chodzi o los ewakuowanych Żydów, to trzeba było w zasadzie karmić ich gdzie indziej albo zabić — to już nie obchodziło młodego specjalisty, w sumie sympatycznego, choć nieco oszołomionego swoimi liczbami — od tego były inne departamenty w ministerstwie, żywienie więźniów i pozostałych cudzoziemskich robotników w Niemczech to nie była jego sprawa, a ewakuacja Żydów stanowiła rozwiązanie jego problemu — co z tego, że jednocześnie stawała się problemem dla kogoś innego. I nie był w tym osamotniony, nie on jeden, wszyscy myśleli tak jak on, i ja byłem taki jak on, i wy na jego miejscu też byście tak postępowali.

Chociaż może, w gruncie rzeczy, wcale was to nie obchodzi. Może, zamiast moich chorych, niejasnych wynurzeń, wolelibyście anegdoty, pikantne historyjki. Sam już nie wiem. Chciałbym opowiadać historyjki, ale, jeśli już, to czerpiąc na chybił trafił z notatek i wspomnień. Mówiłem wam, męczę się, trzeba powoli myśleć o zakończeniu. Poza tym, gdybym miał opowiedzieć cały rok czterdziesty czwarty tak szczegółowo, jak robiłem to do tej pory to chyba nigdy bym nie skończył. Widzicie, myślę także o was, nie tylko o

sobie, w każdym razie trochę mam was na względzie, chociaż są pewne granice, nie zadaję sobie całego tego trudu dla waszej przyjemności, lecz przede wszystkim dla własnej higieny psychicznej — gdy się człowiek za bardzo naje, musi w pewnym momencie wywalić odpady, smród nie smród, nie zawsze jest wybór — wy zaś dysponujecie niekwestionowaną władzą: możecie w każdej chwili zamknąć książkę i wyrzucić ją do kosza, to wasza ostatnia deska ratunku, ja nie mam na to wpływu. Dlatego nie widzę powodów, by pisać „w rękawiczkach”. Przyznaję, jeżeli nawet zmienię trochę metodę, to wyłącznie ze względu na własne potrzeby — czy wam się to podoba, czy nie, kolejny przejaw mojego bezgranicznego egoizmu, niewątpliwie wynik złego wychowania. Może powinienem był robić coś innego, powiecie mi, tak, może powinienem robić coś innego, byłbym zachwycony, gdybym mógł zająć się muzyką, gdybym potrafił przeczytać dwie nuty i rozpoznać klucz wiolinowy ale cóż, już opowiedziałem o własnych ograniczeniach w tej materii; mógłbym także malować, czemu nie, to chyba całkiem przyjemne zajęcie, całkiem spokojne, tak się pograć w kształtach i kolorach, ale cóż zrobić, może w innym życiu, bo w tym nikt mi nigdy nie pozostawił wyboru, a jeśli już, to ograniczony; był margines działania, ale bardzo wąski, z winy ciężących na mnie wyroków losu. Tym oto sposobem znajdujemy się znów w punkcie wyjścia. Ale może wróćmy na Węgry.

O oficerach, którzy otaczali Eichmanna, niewiele mam do powiedzenia. Większość z nich to byli pokojowo nastawieni ludzie, porządni obywatele wykonujący to, co do nich należało, dumni i szczęśliwi posiadacze mundurów SS, lecz przy tym tchórzliwi, niezdolni do inicjatywy, wahający się wiecznie, „tak... ale...”, i pełni podziwu dla dowódcy, który w ich oczach był prawdziwym geniuszem. Jedynym, który nieco odstawał od tego towarzystwa, był Wisliceny. Prusak w moim wieku, który bardzo dobrze mówił po angielsku i świetnie znał historię — lubiłem wieczorami rozmawiać z nim o wojnie trzydziestoletniej, o zawierusze 1848 roku czy o upadku moralnym epoki wilhelmińskiej. Jego poglądy nie zawsze były oryginalne, ale miały mocne oparcie w lekturach i Wisliceny potrafił zgrabnie wplatać je w spójną wypowiedź, co jest najważniejszą zaletą dobrej dyskusji na tematy historyczne. Dawniej był zwierzchnikiem Eichmanna, w trzydziestym szóstym, o ile dobrze pamiętam, w każdym razie w epoce SD-Hauptamt, gdy sekcja do spraw żydowskich była jeszcze oznaczana jako Abteilung II12, jednak jego lenistwo i niedbalstwo sprawiły, że uczeń szybko go prześcignął, zresztą w najmniejszym

stopniu się tym nie przejął — pozostali bliskimi przyjaciółmi, Wisliceny był nadal jednym z zaufanych rodziny, nawet publicznie zwracali się do siebie po imieniu. (Nieco później chyba się poróżnili, nie wiem, z jakiego powodu. Wisliceny, świadek w Norymberdze, nakreślił obciążający portret dawnego towarzysza, co trwale wpłynęło na fatalny wizerunek Eichmanna tworzony przez historyków i pisarzy — niektórzy z nich utrzymywali nawet uparcie, że ów biedny Obersturmbannführer wydawał rozkazy Adolfowi Hitlerowi. Nie można potępiać Wislicenyego, bronił swojej skóry. Eichmann zapadł się pod ziemię, a w tamtym czasie nagminnie obciążano nieobecnych, choć akurat nieszczęsnemu Wislicenyemu się nie udało: skończył na stryczku w Pressburgu, słowackiej Bratysławie. Jakież solidny musiał być to sznur, by utrzymać jego ciężar). Inny powód, dla którego lubiłem Wislicenyego, to fakt, że nigdy nie tracił głowy, w przeciwieństwie do niektórych, zwłaszcza biurokratów z Berlina, którzy, wysłani w teren po raz pierwszy w życiu, poczuli nagle tak wielką władzę nad żydowskimi dygnitarzami, wykształconymi, nierzadko dwa razy starszymi od nich, że tracili wszelkie poczucie przyzwoitości. Niektórzy wyzywali Żydów w sposób najbardziej wulgarny z możliwych, inni ulegali pokusie i nadużywali swoich pozycji; wszyscy byli nieznośnie i według mnie zupełnie bez powodu arogancy. Pamiętam na przykład Hunschego, Regierungsrata, zawodowego funkcjonariusza, prawnika o mentalności rejenta, z rodzaju tych małych, szarych człowieczków, których nie dostrzegamy nigdy za ladami w bankach, gdzie cierpliwie skrobią piórem papiery i czekają na emeryturę, by móc spokojnie, w wełnianej kamizelce, zrobionej na drutach przez żonę, hodować holenderskie tulipany albo malować ołowiane żołnierzyki z epoki napoleońskiej i ustawiać je starannie w równiuteńkich szeregach, niczym wspomnienie zagubionego porządku młodości, przed gipsową makietą Bramy Brandenburskiej — sam już nie wiem, jakie marzenia nawiedzają ludzi tego typu. Tymczasem tam, w Budapeszcie, w groteskowym mundurze z bryczesami o nogawkach tworzących olbrzymie bufki, palił luksusowe papierosy, przyjmował żydowskich notabli, siedząc z nogami w brudnych butach ułożonych na welurowym fotelu, i bezwstydnie realizował każdą swoją najmniejszą fantazję. W pierwszych dniach, zaraz po przyjeździe, zażądał od Żydów fortepianu, uzasadniając bezczelnie: „Zawsze marzyłem o fortepianie”; wystraszeni Żydzi przywieźli mu osiem instrumentów, a Hunsche, na moich oczach, wbijając w dywan długie buty, udzielał im reprimendy głosem, który miał być ironiczny: „Ależ meine Herren! Nie mam zamiaru otwierać sklepu, chcę po prostu pograć na

fortepianie”. Fortepian! Niemcy wyją w huku spadających bomb, nasi żołnierze na froncie walczą i odmrażają sobie kończyny i palce, a szanowny Hauptsturmführer Regierungsrat dr Hunsche, który dotąd nosa nie wyściubił poza berlińskie biuro, potrzebuje fortepianu, bez wątpienia po to, by ukoić zszargane nerwy. Patrząc, jak przygotowuje rozkazy dla żołnierzy pracujących w obozach przejściowych — ewakuacje już się rozpoczęły — zastanawiałem się, czy mu przypadkiem nie staje pod stołem, gdy tak składa podpisy na papierach. Był to, i jestem pierwszy, który to przyznaje, marny przedstawiciel *Herrenvolk*, Narodu Panów, i jeśli oceniać Niemcy po ludziach tego typu, występujących, niestety, zbyt często, to tak, nie mogę zaprzeczyć, zasłużyliśmy na nasz los, na osąd historii, na naszą *dikè*.

A cóż mogę powiedzieć o samym Obersturmbannführerze Eichmannie? Nigdy jeszcze, odkąd go znałem, nie utożsamiał się aż tak ze swoją rolą. Gdy przyjmował Żydów, był z niego *Übermensch* w każdym calu, zdejmował okulary, przemawiał do nich tonem suchym, ostrym, lecz uprzejmym, kazał im siadać i tytułował ich „Meine Herren”, nazywał dr. Sterna „Herr Hofrat”, i nagle ni z tego, ni z owego wybuchał, rzucał przekleństwa, z rozmysłem, żeby ich zaszokować, a zaraz znów przybierał ten lodowaty, uprzejmy ton, którym, jak się zdawało, ich hipnotyzował. Nadzwyczaj dobrze radził sobie także z węgierskimi władzami, był jednocześnie serdeczny i uprzejmy, robił na nich wrażenie, zresztą zaprzyjaźnił się z kilkoma ich przedstawicielami, głównie z Laszló Endrem, który pokazał mu życie towarzyskie Budapesztu, życie, jakiego dotąd nie znał, i olśnił go, zapraszając do zamków i przedstawiając księżnym. Właśnie to — fakt, że wszyscy z przyjemnością wchodzili w tę grę, zarówno Węgrzy, jak i Żydzi — może być odpowiedzią na pytanie, dlaczego także Eichmann popadł w przesadę (choć nigdy nie dorównał Hunschemu w głupocie) i w końcu uwierzył, że rzeczywiście jest *der Meister*, Mistrzem. W gruncie rzeczy miał się za kondotiera, za drugiego von dem Bach-Zelewskiego, zapomniał o swej prawdziwej naturze, naturze biurokraty, utalentowanego, czy nawet bardzo utalentowanego w swojej wąskiej dziedzinie. I tylko gdy spotykaliśmy się sam na sam w jego biurze i gdy sobie trochę wypił, stawał się dawnym Eichmannem, tym, który biegał po gabinetach Staatspolizei, uniżonym, zaaferowanym, gnącym się w ukłonach przed każdym galonem ze stopniem wyższym niż jego własny, a jednocześnie zżeranym przez zawiść i ambicje, tym Eichmannem, który przed każdą akcją, przed podjęciem każdej decyzji zabezpieczał się pismami od Müllera albo Heydricha, albo

Kaltenbrunnera, i który trzymał w kufrze wszystkie te rozkazy, starannie posegregowane, Eichmannem, który byłby równie szczęśliwy — i wcale nie mniej skuteczny — kupując i transportując konie czy ciężarówki, gdyby takie było jego zadanie, niekoniecznie zaś koncentrując i ewakuując dziesiątki tysięcy istot ludzkich skazanych na śmierć. Gdy przyszedłem porozmawiać z nim prywatnie o *Arbeitseinsatz*, słuchał mnie, siedząc za pięknym biurkiem w luksusowym pokoju w hotelu Majestic, ze znudzoną miną, spięty, kompulsywnie bawił się okularami albo pstrykał automatycznym ołówkiem, klik-klak, klik-klak, i zanim odpowiedział, długo przekładał dokumenty pełne notatek i krótkich zapisków, zdmuchiwał z blatu kurz, by wreszcie, drapiąc się w nieco już wyłysiała głowę, rozpocząć któryś ze swych długich wywodów, tak zawiłych, że wkrótce sam się gubił. Na początku, gdy *Einsatz* została realnie wprowadzona, po tym, jak Węgrzy pod koniec kwietnia wydali zgodę na ewakuacje, Eichmann był niemal w euforii, kipiał energią; jednocześnie, i pogłębiło się to, gdy zaczęły się piętzyć trudności, stawał się coraz trudniejszy, nieustępliwy, nawet wobec mnie, choć przecież dość mnie lubił; wszędzie robił sobie wrogów. Winkelmann, który był jego zwierzchnikiem wyłącznie na papierze, nie lubił go wcale, i z tego, co widziałem, jeszcze najbardziej tolerował tego surowego, nieokrzesanego policjanta, który siedział w Eichmannie, jego wrodzony rozsądek austriackiego wieśniaka. Natomiast wywyższanie się, prawie impertynencja Eichmanna wyprowadzały Winkelmanna z równowagi, chociaż przejrzał go na wylot: „On ma mentalność podrzędnego urzędniczyny”, wyjaśnił mi kiedyś, gdy się z nim spotkałem, by poprosić o interwencję lub co najmniej wywarcie nacisku w sprawie polepszenia warunków transportu Żydów. „Bez reszty wykorzystuje swoją pozycję, nie zna żadnej moralnej czy umysłowej granicy w posługiwaniu się autorytetem. Nie ma także najmniejszych skrupułów w przekraczaniu swoich kompetencji, jeśli tylko uważa, że działa zgodnie z wolą tego, kto wydaje mu rozkazy i go kryje, tak jak to robią Gruppenführer Müller i Obergruppenführer Kaltenbrunner”. To bez wątpienia sprawiedliwa ocena, zwłaszcza że Winkelmann nie odmawiał Eichmannowi zdolności. Sam Eichmann nie mieszkał już wtedy w hotelu, lecz zajmował piękną, pożydowską willę przy ulicy Apostołów na Rózsadomb, dwupiętrowy dom z wieżyczką nad brzegiem Dunaju, stojący pośrodku wspaniałego sadu, oszpeconego, niestety, okopami, które wydrążono tam na wypadek nalotu. Wiódł pańskie życie i spędzał większość czasu z nowymi, węgierskimi przyjaciółmi. Ewakuacje zaczęły się już na dobre, strefa po strefie, według

bardzo precyzyjnego planu, i zewsząd spływały skargi: z *Jägerstab*, z biur Speera, od samego Saura, atakowano każdego, Himmlera, Pohla, Kaltenbrunnera, ale w końcu i tak wszystko trafiało do mnie i w rezultacie skończyło się katastrofą, prawdziwym skandalem: na budowy docierały wyłącznie młode, wątłe dziewczyny albo mężczyźni trzy ćwierci od śmierci, a przecież oni czekali na napływ zdrowych, krzepkich chwatów, nawykłych do pracy, więc się oburzali, nikt nie rozumiał, o co chodzi. Część odpowiedzialności, już o tym mówiłem, ponosił Honvéd, który, na przekór naszym obiekcjom, zazdrośnie strzegł swoich batalionów pracy. Ale pośród tych, których oddali nam jednak do dyspozycji, byli jacyś mężczyźni, którzy do niedawna wiedli zwyczajne życie, jedli do syta i cieszyli się dobrym zdrowiem. Niestety, warunki w miejscach zbiórek, gdzie Żydzi czekali czasem całymi dniami, nawet tygodniami na transport, niemal bez jedzenia, i sam transport, bydlęce wagony, ścisk, brak wody i żywności, jedno wiadro na odchody na wagon, te warunki ich wykańczały, rozprzestrzeniały się choroby, wielu umierało po drodze, a ci, którzy docierali, wyglądali fatalnie, tylko nieliczni przechodzili selekcję, a przedsiębiorstwa i budowy szybko odsyłały ich z powrotem, zwłaszcza placówki *Jägerstab*, które wrzeszczały, że dostają od nas dziewczynki niezdolne unieść kilof. Gdy przekazywałem te skargi Eichmannowi, to, jak już mówiłem, odrzucał je zimno, oświadczał, że on nie jest za to odpowiedzialny, że jedynie Węgrzy mogliby wpłynąć na zmianę tych warunków. Poszedłem więc do majora Bakyego, sekretarza stanu odpowiedzialnego za żandarmerię; Baky zgasił mnie jednym zdaniem: „Niech pan ich szybciej przejmuje”. I odesłał do podpułkownika Ferenczyego, oficera odpowiedzialnego za techniczny przebieg ewakuacji. Ten zgorzkniały, nieprzystępny człowiek przez ponad godzinę tłumaczył mi, że z wielką chęcią lepiej karmiłby Żydów, gdyby dostarczono mu żywność, i że z chęcią nie przeładowywałby wagonów, gdyby przysyłano mu więcej pociągów, no ale przecież jego misja nie polega na rozpieszczaniu Żydów, tylko na ich ewakuowaniu. Pojechałem z Wislicenym do jednego z tych „punktów zbiórki”, nie pamiętam dokładnie, gdzie to było, chyba w regionie Kaschau: był to trudny do zniesienia widok, Żydów umieszczono całymi rodzinami w cegielni pod gołym niebem, w wiosennym deszczu dzieci w krótkich spodenkach bawiły się w kałużach, apatyczni dorośli siedzieli na walizkach albo chodzili w tę i z powrotem. Uderzył mnie kontrast pomiędzy tymi Żydami a jedynymi, jakich dotąd naprawdę poznałem — Żydami z Galicji i z Ukrainy; ci tutaj byli dobrze wykształceni, mieszczenie, ale także dość liczni

rzemieślnicy i rolnicy, wyglądali schludnie i godnie, dzieci, umyte, uczesane, wystrojone na przekór okolicznościom, często nosiły narodowe zielone kostiumy z czarnymi obszyciami i małe furażerki. To wszystko czyniło tę scenę jeszcze bardziej przytłaczającą; gdyby nie żółte gwiazdy, mogliby to być z powodzeniem Niemiec albo chociaż Czechy wieśniacy, i to budziło we mnie straszne myśli, wyobrażałem sobie, jak gaz zabija tych czystych chłopców, te dziewczyny pełne dyskretnego uroku, patrzyłem na ciężarne kobiety i wyobrażałem je sobie w komorach gazowych, ich ręce na okrągłych brzuchach, zastanawiałem się przerażony, co dzieje się z płodem zagazowywanej kobiety, czy ginie od razu, z matką, czy też żyje jeszcze chwilę, uwięziony w martwej otoczce, w swoim dusznym raju, i zaraz napłynęły wspomnienia z Ukrainy — po raz pierwszy od dawna miałem chęć zwymiotować, zwymiotować własną bezsilność, smutek, całe bezużyteczne życie. Spotkałem tam, przypadkowo, dr. Grella, Legationsrata, którego Feine obarczył zadaniem identyfikacji „obcych” Żydów, zatrzymanych omyłkowo przez węgierską policję, zwłaszcza tych pochodzących z państw sojusznicznych lub neutralnych, i wydobywania ich z centrów przejściowych w celu ewentualnego odesłania do domu. Biedny Grell o „zakazanej gębie”, zniekształconej przez ranę na głowie i blizny po straszliwych poparzeniach, ten Grell, który przerażał dzieci, uciekające na jego widok z wrzaskiem, człapał po błocie od grupy do grupy w ociekającym wodą kapeluszu, i pytał uprzejmie, czy są tu posiadacze zagranicznych paszportów, sprawdzał dokumenty i nakazywał węgierskim żandarmom odstawiać niektórych Żydów na bok. Eichmann i jego koledzy nienawidzili go, oskarżali o pobłażliwość, o brak rozsądku, i prawdą było, że wielu węgierskich Żydów kupowało zagraniczne paszporty za kilka tysięcy pengó, zwłaszcza rumuńskie, te najłatwiej było zdobyć. Lecz Grell robił tylko to, co do niego należało, nie jemu było oceniać, który paszport został zdobyty legalnie, a który nie, a poza tym korupcja rumuńskich *attachés* była problemem władz Bukaresztu, nie naszym, skoro chcieli przyjąć czy też tolerować wszystkich tych Żydów, to cóż, tym gorzej dla nich. Znałem trochę Grella, w Budapeszcie chodziłem z nim czasem napić się lub zjeść kolację. Niemal wszyscy Niemcy ważniacy unikali go lub przed nim uciekali, nawet jego koledzy, przyczyną był prawdopodobnie straszliwy wygląd, jak również nękające go ciężkie i kłopotliwe napady depresji; mnie to tak bardzo nie przeszkadzało, być może dlatego, że jego rana w gruncie rzeczy przypominała moją, on też został postrzelony w głowę, z dużo gorszymi konsekwencjami niż w moim przypadku. Nie rozmawialiśmy o

okolicznościach, mieliśmy taką niepisaną umowę, ale gdy sobie popił, zwykł mawiać, że mi się udało, i miał rację, miałem niezwykle szczęście, iż moja twarz pozostała nienaruszona, głowa praktycznie także, natomiast on, gdy za dużo wypił, a często pił za dużo, wybuchał niesłychanym gniewem, graniczącym z atakiem epilepsji, mienił się na twarzy, zaczynał wrzeszczeć; któregoś razu, przy pomocy kelnera, musiałem go przytrzymać, by nie porozbijał zastawy; na drugi dzień przyszedł przeprosić, skruszony, zasmucony, a ja próbowałem go pocieszyć, dobrze go rozumiałem. Tam, w tym obozie przejściowym, podszedł do mnie, spojrzał na Wislicenego, którego także znał, i powiedział tylko: „Paskudna sprawa, co?”. Miał rację, ale były gorsze rzeczy. Próbowałem zrozumieć, co dzieje się podczas selekcji, więc pojechałem do Auschwitz. Dotarłem nocą, pociągiem relacji Wiedeń-Kraków. Na długo przed dworcem, po lewej, zaczynała się linia białych, świetlnych punktów; były to reflektory przy zasiekach Birkenau, zawieszane na pobielonych wapnem słupach, a za tą linią ciągnęła się ciemność, przepaść, z której wzywał ohydny fetor palonych ciał, przepływający falami przez wagon. Pasażerowie, głównie wojskowi i funkcjonariusze wracający na stanowiska, cisnęli się przy oknach, często razem z żonami. „Ładnie się palą”, rzekł jakiś cywil do małżonki. Na dworcu czekał na mnie Untersturmführer, który zarezerwował dla mnie pokój w Haus der Waffen-SS. Rano miałem spotkanie z Hössem. Na początku maja, po inspekcji Eichmanna, tak jak mówiłem, WVHA po raz kolejny zakłócił organizację Auschwitz. Liebehenschel, prawdopodobnie najlepszy komendant, jaki miał okazję zarządzać obozem, został zastąpiony przez nieudolnego Sturmbannführera Bara, byłego cukiernika, który przez pewien czas pracował jako adiutant Pohla; Hartjenstein w Birkenau oddał stanowisko byłemu komendantowi z Natzweiler, Hauptsturmführerowi Kramerowi; natomiast Höss, na czas operacji węgierskiej, miał nadzorować resztę. Dotarło do mnie, gdy z nim rozmawiałem, iż jest przekonany, że nominowano go jedynie na eksterminatora: choć czasem docierały tu dziennie cztery transporty, po trzy tysiące jednostek każdy, Höss nie wybudował ani jednego nowego baraku, a całą swoją wielką energię włożył w odnowienie krematoriów i w rozbudowę torów aż do Birkenau — z tego był szczególnie dumny — tak by rozładowywać wagony tuż przy komorach gazowych. Jak tylko przyjechał pierwszy transport, zaprezentował mi selekcję i wszystkie kolejne działania. Nowa rampa przechodziła pod wieżą strażniczą bramy Birkenau, po czym, w trzech odnogach, docierała do krematoriów. Na peronie z ubitej ziemi roił się wielki,

rozgadany tłum ludzi, wyglądali biedniej i ubrani byli bardziej pstrokato niż ci, których widziałem w punkcie zbiórki, to musieli być Żydzi z Transylwanii, kobiety i dziewczyny nosiły kolorowe chusty, mężczyźni w płaszczach mieli sumiaste wąsy i źle ogolone policzki. Panował względny porządek, długo przyglądałem się lekarzom, dokonującym selekcji (Wirthsa nie było), każdemu poświęcali sekundę, najwyżej trzy, reakcją na każdą wątpliwość było stanowcze *nie*. Odniosłem wrażenie, że odsyłają sporo kobiet, które, na moje oko, były całkiem sprawne; Höss, gdy zwróciłem mu na to uwagę, poinformował mnie, że takie dostał instrukcje, że baraki są przepełnione, nie ma gdzie trzymać ludzi, że przedsiębiorstwa grymaszą i nie przejmują Żydów wystarczająco szybko, że wszyscy siedzą na kupie, wracają epidemie, a ponieważ Węgry wysyłają ich każdego dnia, to on musi jakoś zwolnić miejsce, przeprowadził już kilka selekcji wśród więźniów, próbował również zlikwidować obóz cygański, ale napotkał trudności i przesunięto to na inny termin, poprosił o pozwolenie na opróżnienie obozu rodzinnego w Terezynie, ale nie dostał jeszcze odpowiedzi, więc na razie mógł wybierać wyłącznie najlepszych, zresztą, gdyby brał ich więcej, to i tak szybko marliby od chorób. Mówił spokojnie, wbijając błękitne, puste, nieobecne oczy w tłum na rampie. Byłem zdruzgotany, zrozumienie racji tego człowieka było jeszcze trudniejsze niż w przypadku Eichmanna. Uparł się, żeby mi pokazać narzędzia zagłady i wszystko mi objaśnić: zwiększył liczebność Sonderkommandos z 220 do 860 osób, jednak przecenił wydajność krematoriów. Kłopot sprawiało nie tyle gazowanie, ile piece, które były przeładowane i trzeba było kopać doły paleniskowe. Gdy przycisnęło się członków Sonderkommandos, to pracowali nieźle, palili średnio sześć tysięcy ciał dziennie, co i tak oznaczało, że niektórymi zwłokami zajmowano się dopiero na drugi dzień, w przypadkach zbyt dużego obłożenia. To było potworne: dym i płomień wydostające się z dołów, podsycane benzyną i tłuszczem z ciał, były widoczne z odległości wielu kilometrów. Spytałem go, czy nie jest to kłopotliwe: „Och, miejscowe władze Kreis są zaniepokojone, ale to nie mój problem”. Gdyby wierzyć w to, co mówi, nic nie było jego problemem. Rozdrażniony poprosiłem, by mi pokazał baraki. Nowy sektor, przewidywany od pewnego czasu na obóz przejściowy dla węgierskich Żydów, był nadal nieukończony: tysiące kobiet, wynędzniałych i chudych, choć były tu od niedawna, cisnęły się w długich, śmierdzących stajniach, dla wielu brakowało miejsca, więc spały na zewnątrz, w błocie; ponieważ zabrakło pasiaków, a nie pozwalano im zatrzymywać własnych ubrań, lecz zastępowano je

łachami pobranymi z „Kanady” — widziałem kobiety całkiem nagie albo ubrane wyłącznie w koszule, spod których wystawały żółte, pomarszczone nogi, niekiedy uwalane ekskrementami. Nic dziwnego, że *Jägerstab* miał pretensje! Höss rzucał niewyraźne oskarżenia na inne obozy, które, według niego, odsyłały transporty z powodu przepełnienia. Przez cały dzień przemierzałem obóz, sektor za sektorem, barak za barakiem; u mężczyzn też nie było lepiej. Przejrzałem rejestry — nikt, oczywiście, nie pomyślał o zastosowaniu elementarnej zasady wszelkiego składowania: „pierwszy dotarł, pierwszy wychodzi”; niektórzy więźniowie nie zostawali nawet doby w obozie przed wysłaniem w dalszą drogę, a inni siedzieli zadekowani przez trzy tygodnie, tracili zdrowie i często umierali, co tylko podnosiło poziom strat. Cóż z tego, skoro za każdym razem Höss, niewzruszony, znajdował gdzie indziej winnych. Jego rozumowanie, ukształtowane w latach przedwojennych, było całkowicie niedostosowane do tej roboty, to aż kłuło w oczy, choć nie należy potępiać wyłącznie jego, winni byli również ci, którzy go wysłali na miejsce Liebehenschela, a właśnie Liebehenschel, mimo że słabo go znałem, wyglądał na człowieka, który potrafiłby załatwić całą sprawę inaczej. Biegałem tak po obozie aż do wieczora. Padało kilka razy w ciągu dnia, krótkie, orzeźwiające wiosenne deszcze, które wprawdzie splukiwały kurz, ale też były dokuczliwe dla więźniów, przebywających na powietrzu. Wielu z nich skupiało się tylko na tym, by złapać choć parę kropli i zwilżyć usta. Cały tył obozu stał w płomieniach, dym spowijał spokojny las Birkenwald i snuł się jeszcze dalej. Pod wieczór niekończące się szeregi kobiet, dzieci i starców ciągnęły z rampy długą kolumną, pośród linii drutu kolczastego, do krematoriów III i IV i tam cierpliwie czekały pod brzozaami na swą kolej, a zachodzące słońce oświetlało wierzchołki Birkenwaldu, rozciągając bez końca cienie baraków stojących w szeregach, opromieniało ciemnoszare dymy żółtym, opalizującym blaskiem, jak na dziełach niderlandzkich mistrzów, rzucało łagodne refleksy na kałuże i zbiorniki z wodą, malowało na żywy, radosny pomarańcz cegły komendantury — nagle poczułem, że mam dość, zostawiłem Hössa i poszedłem do Haus, gdzie przez całą noc pisałem zjadliwy raport o niedostatkach w obozie. Za jednym zamachem napisałem jeszcze jeden, o węgierskiej stronie całej operacji, i zaślepiiony gniewem, nie wahałem się nazwać postawy Eichmanna *obstrukcjonizmem*. (Pertraktacje z węgierskimi Żydami trwały już dwa miesiące, oferta dotycząca ciężarówek musiała zostać złożona jakiś miesiąc wcześniej, ponieważ moja wizyta w Auschwitz miała miejsce na kilka dni przed desantem aliantów w Normandii.

Becher od dawna skarżył się na niechęć Eichmanna do współpracy — i jemu, i mnie wydawało się, że prowadzi te pertraktacje tylko *pro forma*). *Eichmanna zaślepia jego własna mentalność, mentalność logistyka, pisałem. Jest on niezdolny do zrozumienia i wzięcia pod uwagę w swych działaniach jakichkolwiek złożonych celów.* Wiem z pewnego źródła, że po tych raportach, które wysłałem Brandtowi dla Reichsführera i bezpośrednio do Pohla, ten ostatni wezwał Eichmanna do siedziby WVHA i w bezpośrednich, brutalnych słowach złął go za niedopuszczalną liczbę zmarłych i chorych; Eichmann, w swym zaślepieniu, odpowiedział tylko, że to są kompetencje Węgrów. Cóż można było zrobić wobec takiej inercji. Pograżałem się w depresji i mój organizm to odczuwał: spałem źle, snem mąconym niemiłymi marami, trzy, cztery razy każdej nocy budziło mnie pragnienie albo potrzeba wysikania się, co przepoczwarzało się w bezsenność; rano nękały mnie oślepiające migreny, które rujnowały na cały dzień koncentrację i zmuszały mnie niekiedy do przerywania pracy, wtedy kładłem się na godzinę z zimnym kompresem na czole. Jednak choć nie wiem, jak byłbym zmęczony, z trwogą oczekiwałem nadejścia nocy: bezsenne godziny, podczas których na próżno roztrząsałem swoje problemy, czy coraz straszliwsze sny — sam nie wiem, co przerażało mnie bardziej. Oto jeden z tych snów, który szczególnie mnie zafrapował. Rabin Bremy wyemigrował do Palestyny. Gdy usłyszał, że Niemcy zabijają Żydów, nie chciał w to uwierzyć. Stawił się w niemieckim konsulacie i zażądał wizy do Rzeszy, by osobiście sprawdzić plotkę. Ma się rozumieć, skończył źle. Tymczasem sceneria się zmieniała: ja, jako specjalista do spraw żydowskich, czekam na audiencję u Reichsführera, który pragnie dowiedzieć się o mnie pewnych rzeczy. Jestem dość zdenerwowany, ponieważ wiem, że jeśli moje odpowiedzi go nie zadowolą, to koniec ze mną. Wszystko dzieje się w wielkim, ponurym zamku. Spotykam się z Himmlerem w jakimś pomieszczeniu; podaje mi dłoń, to mały, spokojny człowieczek, całkiem niepozorny, ubrany w długi płaszcz, z nieśmiertelnym *pince-nez* o okrągłych szklach. Prowadzę go długim korytarzem, ściany zastawione są rzędami książek. To chyba moje książki, bo Reichsführer wygląda na zachwyconego biblioteką i mi gratuluje. I zaraz znów jesteśmy w jakimś pomieszczeniu, rozmawiamy o sprawach, o których on chce wiedzieć. Zdaje mi się, że później jesteśmy na zewnątrz, w samym środku płonącego miasta. Opuścił mnie strach przed Heinrichem Himmlerem, czuję się przy nim bezpiecznie, ale za to zaczynam bać się bomb, ognia. Ruszamy biegiem przez płonące podwórko jednej z kamienic. Reichsführer bierze mnie za rękę: „Proszę mi zaufać.

Cokolwiek się stanie, nie puszczę pana. Razem wyjdziemy z tego cało albo razem zginiemy”. Nie rozumiem, czemu chce chronić tego *Judenlein*, małego Żydka, którym jestem, ale ufam mu, wiem, że jest szczery, może nawet mógłbym poczuć miłość do tego dziwnego człowieka.

No ale mimo wszystko winien wam jestem opowieść o tych nieszczęsnych pertraktacjach. Nie uczestniczyłem w nich bezpośrednio: raz spotkałem Kastnera i Bechera, w chwili, gdy Becher negocjował jedno z tych prywatnych porozumień, które doprowadzały Eichmanna do szału. Ale żywo się nimi interesowałem, ponieważ jedną z propozycji było przechowanie pewnej liczby Żydów „w lodówce”, to znaczy wysłanie ich do pracy bez tranzytu przez Auschwitz, co bardzo by mi odpowiadało. Becher był synem biznesmena z najlepszej firmy w Hamburgu, kawalerzystą, który został oficerem w Reiter-SS i kilkakrotnie wyróżnił się na Wschodzie, zwłaszcza na początku 1943 roku na froncie dońskim, gdzie zdobył Złoty Krzyż Niemiecki; następnie zajmował ważne funkcje logistyczne w SS-Führungshauptamt, tak zwanym FHA, które nadzorowało całą Waffen-SS. Po tym, jak położył łapę na firmie Manfred-Weiss Werke — sam nigdy mi o tym nie powiedział, wyłącznie z książek wiem, jak to wyglądało i odnoszę wrażenie, że był to czysty przypadek — Reichsführer nakazał mu kontynuować negocjacje z Żydami i wydał mu instrukcje bardzo podobne do tych, które przekazał Eichmannowi. Prawdopodobnie tylko po to, by skłonić ich do rywalizacji. Becher mógł obiecać naprawdę wiele, cieszył się zaufaniem Reichsführera, ale w zasadzie nie był odpowiedzialny za sprawy żydowskie i nie mógł w tej kwestii podejmować żadnych bezpośrednich decyzji, podobnie jak ja. W historię tę wmieszani byli także inni ludzie, różnego kalibru: ekipa rzezimieszków Schellenberga, hałaśliwych, niezdyscyplinowanych, jedni z dawnego Amt VI, jak Höttl, który kazał nazywać się Klages, a później opublikował książkę pod jeszcze innym nazwiskiem, inni z Abwehry Canarisa, Gefrorener (*alias* dr Schmidt), Durts (*alias* Winniger), Laufer (*alias* Schröder), chociaż niewykluczone, że mieszam nazwiska i pseudonimy; był tam też ten wstrętny Paul Carl Schmidt, przysły Paul Carrell, o którym już wspominałem, jeśli nie mylę go z Gefrorenerem *alias* dr. Schmidtem, ale nie sądzę. Żydzi dawali wszystkim tym ludziom pieniądze i biżuterię, brali wszyscy, w imię służby albo dla siebie — tego nie wie nikt. Gefrorener i jego koledzy, którzy w marcu zamknęli Joela Branda w areszcie tymczasowym, by go „chronić” przed Eichmannem, zażądali od niego kilku tysięcy dolarów w zamian za przedstawienie go Wislicenemu. I Wisliceny,

Krumey i Hunsche dostali od niego dużo pieniędzy, zanim jeszcze ktokolwiek zaczął mówić o ciężarówkach. Ale ja nigdy nie spotkałem Joela Branda, to Eichmann z nim pertraktował, on szybko zresztą wyjechał do Stambułu i już nigdy nie wrócił. Widziałem jego żonę, tylko raz, byłem z Kastnerem w hotelu Majestic, dziewczyna w wyraźnym żydowskim typie, niezbyt piękna, ale z charakterem, to Kastner przedstawił mi ją jako żonę Branda. A pomysł z ciężarówkami — sam nie wiem, kto na to wpadł, Becher twierdził, że on, ale ja jestem przekonany, że to Schellenberg podsunął myśl Reichsführerowi, chociaż może naprawdę pomysł był Bechera, a Schellenberg go tylko dopracował, w każdym razie na początku kwietnia Reichsführer wezwał do Berlina Bechera i Eichmanna (opowiadał mi o tym Becher, nie Eichmann) i rozkazał Eichmannowi zmotoryzować 8. i 22. Dywizję Kawalerii SS, wykorzystując do tego ciężarówki przejęte od Żydów, około dziesięciu tysięcy sztuk. I to właśnie była ta słynna propozycja transakcji, którą nazwano „krew za towary” — dziesięć tysięcy ciężarówek wyposażonych na zimę za milion Żydów — z jej powodu wylano już całe litry atramentu, a wiele litrów jeszcze popłynie. Nic szczególnego nie mam do dodania ponad to, co już zostało powiedziane: pierwszoplanowi aktorzy, Becher, Eichmann, para Brandt i Kastner, przeżyli wojnę i byli świadkami w tej sprawie (tylko nieszczęsny Kastner został zamordowany w Tel Awiwie w 1957 roku, trzy lata przed zatrzymaniem Eichmanna, przez żydowskich ekstremistów, którzy ukarali go za „kolaborację” z nami, smutna ironia losu). Jedna z klauzul propozycji przedstawionej Żydom zawierała uwagę, że ciężarówki mogą być użyte wyłącznie na froncie wschodnim, przeciwko Sowieciom, w żadnym zaś wypadku przeciwko zachodnim mocarstwom, a same pojazdy, to oczywiste, mogą być przekazane wyłącznie przez Żydów amerykańskich. Jestem przekonany, że Eichmann potraktował tę propozycję dosłownie, zwłaszcza że komendant 22. dywizji, SS-Brigadeführer August Zehender, był jednym z jego bliskich przyjaciół: choć zapewne Eichmann wyobrażał sobie, że zmotoryzowanie dywizji jest rzeczywistym celem, i choć kręcił nosem na „odpuszczenie” tyłu Żydom, to przede wszystkim chciał pomóc przyjacielowi Zehenderowi. Tak jakby kilka ciężarówek mogło zmienić bieg wojny. Ile ciężarówek czy czołgów albo samolotów mógłby wyprodukować milion Żydów, gdybyśmy mieli go w obozach? Podejrzewam, że syjoniści, z Rudolfem Kastnerem na czele, natychmiast zrozumieli, że to tylko wabik, ale taki, który mógłby się przysłużyć również ich interesom, który dałby im więcej czasu. To byli trzeźwi ludzie, realiści, i na

pewno wiedzieli, podobnie zresztą jak Reichsführer, że nie tylko żaden wrogi kraj nie zgodzi się na dostawę dziesięciu tysięcy ciężarówek Niemcom, ale też żaden kraj, nawet w takim momencie, nie jest gotów na przyjęcie miliona Żydów. Jak dla mnie, owo zastrzeżenie, że ciężarówki nie mogą zostać użyte na Zachodzie, to była robota Schellenberga. On, z tego, co sugerował Thomas, widział tylko jedno rozwiązanie: zerwać zawarty wbrew naturze sojusz demokratów kapitalistów i stalinowców i grać do upadłego kartą *ostatniego bastionu Europy w walce z bolszewizmem*. Powojenna historia pokazała zresztą, że miał całkowitą słusność i że wyprzedzał własną epokę. Propozycja transakcji za ciężarówki mogła mieć kilka aspektów. Oczywiście, nigdy nic nie wiadomo, mógł się zdarzyć cud, Żydzi i alianci mogli zgodzić się na transakcję i wtedy z łatwością można się było posłużyć tymi ciężarówkami, żeby wywołać nieporozumienia między Rosjanami i Anglosasami, może nawet doprowadzić do rozłamu. Kto wie, czy nie o tym marzył Himmler, ale Schellenberg był zbyt twardym realistą, by pokładać nadzieje w takim scenariuszu. Jemu cała sprawa musiała wydawać się dużo prostsza, chodziło o wysłanie dyplomatycznego sygnału, za pośrednictwem Żydów, którzy zachowali jeszcze pewne wpływy, że Niemcy są gotowe o wszystkim dyskutować, o oddzielnym traktacie pokojowym, o zaprzestaniu programu eksterminacji, a następnie wystarczyło poczekać, jak zareagują Anglicy i Amerykanie, i powziąć dalsze kroki: taki próbny balon, krótko mówiąc. Anglosasi natychmiast tak właśnie to zinterpretowali, o czym świadczy ich reakcja: informacja o propozycji została ujawniona i opublikowana w ich gazetach. Jest również możliwe, iż Himmler sądził, że jeśli alianci odrzucą ofertę, będzie to oznaczało, że za nic mają los Żydów czy nawet że skrycie popierają nasze działania; w każdym razie to przerzucaloby część odpowiedzialności na nich, byliby *umoczeni* w sprawę, tak jak wcześniej zostali umoczeni przez Himmlera Gauleiterzy i inni reżimowi dygnitarze. Cokolwiek by to było, Schellenberg i Himmler nie opuścili Partii, a pertraktacje trwały do końca wojny, dobrze o tym wiadomo — stawką w nich byli ciągle Żydzi. Becherowi udało się nawet, dzięki interwencji Żydów, spotkać w Szwajcarii z McClellanem, człowiekiem Roosevelta, co było pogwałceniem przez Amerykanów uzgodnień z Teheranu, ale nam nie dało nic. Ja już wtedy od dawna nie miałem z tym nic wspólnego: od czasu do czasu docierały do mnie jakieś plotki, przynoszone przez Thomasa albo Eichmanna, i to wszystko. Nawet na Węgrzech, już o tym mówiłem, grałem drugorzędną rolę. Zainteresowałem się tymi negocjacjami zwłaszcza po wizycie w Auschwitz, w czasie

angielsko-amerykańskiego desantu, na początku czerwca. Mer Wiednia, SS-Brigadeführer (honorowy) Blaschke, zażądał, by Kaltenbrunner przysłał mu *Arbeitsjuden* do fabryk, gdzie dramatycznie brakowało pracowników; widziałem w tym dobrą okazję, by jednocześnie wpłynąć nieco na stan negocjacji Eichmanna — można było uważać tych wysłanych do Wiednia Żydów za „schowanych do lodówki” — i otrzymać siłę roboczą. Zaangażowałem się więc, by popchnąć negocjacje na ten właśnie tor. Akurat wtedy Becher przedstawił mnie Kastnerowi — robił wrażenie, zawsze nienagannie elegancki, pertraktował z nami jak z równymi, wyraźnie gardząc swoim własnym życiem, co zresztą dawało mu pewną siłę w rozmowach z nami: nie można go było zastraszyć (podejmowano takie próby, był kilkakrotnie zatrzymywany przez SP i przez Węgrów). Usiadł, nie czekając na zaproszenie Bechera, wyjął aromatyzowanego papierosa ze srebrnej papierošnicy i zapalił, nie pytając nas o pozwolenie i nie częstując. Eichmann twierdził, że jego chłód i ideologiczna dyscyplina robią na nim duże wrażenie i powtarzał, że gdyby Kastner był Niemcem, byłby świetnym oficerem Staatspolizei, co zapewne stanowiło według niego komplement najwspanialszy z możliwych. „Kastner myśli tak jak my, powiedział mi któregoś dnia. Ma na uwadze wyłącznie biologiczny potencjał swej rasy, jest gotów poświęcić wszystkich starców, by uratować młodych, silnych i płodne kobiety. Myśli o przyszłości swojej rasy. Powiedziałem mu: «Gdybym był Żydem, byłbym syjonistą, fanatycznym syjonistą, jak pan»,. Wiedeńska oferta zainteresowała Kastnera: był gotów przelać odpowiednią sumę w zamian za zagwarantowanie bezpieczeństwa wysłanym tam Żydom. Przekazałem to Eichmannowi, który wychodził ze skóry, bo Joel Brand zniknął i nie było żadnej odpowiedzi w sprawie ciężarówek. W tym samym czasie Becher negocjował własne umowy, ewakuował Żydów małymi grupkami, często przez Rumunię, za pieniądze, rzecz jasna, za złoto, za towary, Eichmann szalał z wściekłości, rozkazał nawet Kastnerowi, by więcej z Becherem nie rozmawiał; ma się rozumieć, Kastner nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, zresztą Becher pomógł mu w wywiezieniu rodziny. Eichmann, rozwścieczony do granic możliwości, zdradził mi, że Becher pokazał mu złoty naszyjnik; chciał go dać Reichsführerowi dla kochanki, sekretarki, której ten zrobił dziecko. „Becher ma Reichsführera w garści, nie wiem, co robić”, jęczał. Wreszcie układy zakończyły się pewnym sukcesem: Eichmann otrzymał 65 000 marek i lekko zjełczałą kawę, co uważał za zaliczkę na pięć milionów franków szwajcarskich, których żądał, a osiemnaście tysięcy młodych Żydów wyjechało pracować do Wiednia. Z dumą

doniosłem o tym Reichsführerowi, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Tak czy inaczej *Einsatz* dobiegała końca, choć my o tym jeszcze nie wiedzieliśmy. Horthy, widocznie przerażony audycjami BBC i amerykańskimi depezbami, przechwyconymi przez jego służby, wezwał Winkelmanna i zadał mu pytanie, co się dzieje z ewakuowanymi Żydami, którzy przecież pozostają obywatelami Węgier; Winkelmann, nie wiedząc, co odpowiedzieć, wezwał z kolei Eichmanna. Eichmann uważał ten epizod za wielce zabawny i opowiedział nam o tym pewnego wieczoru w barze hotelu Majestic; byli z nami Wisliceny i Krumej, a także Trenker, KdS Budapesztu, uprzejmy Austriak, przyjaciel Höttla. „Odpowiedziałem mu: wieziemy ich do pracy, opowiadał Eichmann ze śmiechem. O nic już więcej nie spytał”. Jednak Horthyego nie zadowolila ta wymijająca odpowiedź: 30 czerwca odroczył ewakuację z Budapesztu, która miała się rozpocząć nazajutrz, i kilka dni później całkowicie zakazał jej przeprowadzenia. Eichmannowi udało się jeszcze, pomimo zakazu, wyczyścić Kistarcsa i Szarvaskö, ale był to już tylko *honorowy* gest. Nadszedł koniec ewakuacji. Były jeszcze jakieś perypetie: Horthy wyrzucił Endrego i Bakyego, jednak, pod presją Niemiec, został zmuszony do przyjęcia ich z powrotem; jeszcze później, pod koniec sierpnia, zdjął ze stanowiska Sztójjaya i powołał na jego miejsce konserwatywnego generała Lakatosa. Ale mnie już tam wtedy dawno nie było: chory, wyczerpany wróciłem do Berlina i całkiem się załamalem. Eichmann i jego koledzy zdolali ewakuować czterysta tysięcy Żydów; spośród nich niecałe pięćdziesiąt tysięcy nadawało się do pracy w przemyśle (plus osiemnaście tysięcy wysłanych do Wiednia). Byłem zrozpaczony, przerażony tak wielką niekompetencją, obstrukcją i złą wolą. Zresztą Eichmann nie miał się wcale lepiej ode mnie. Po raz ostatni widziałem się z nim w jego gabinecie, na początku lipca, tuż przed wyjazdem: był zarazem podniecony i nękały go wątpliwości. „Węgry, Obersturmbannführer, to moje arcydzieło. Nawet jeśli na tym musimy poprzestać. Wie pan, ile już krajów oczyściłem z Żydów? Francja, Holandia, Belgia, Grecja, część Włoch, Chorwacja. No i Niemcy, ma się rozumieć, ale to było łatwe, zwykła techniczna kwestia transportu. Moją jedyną porażką jest Dania. Ale tu dałem Kastnerowi więcej Żydów, niż wypuściłem z rąk w Danii. Co to jest tysiąc Żydów? Pyłek. Teraz jestem pewien, że Żydzi już nigdy nie odzyskają dawnej siły. Tu wszystko potoczyło się wspaniale, Węgrzy podali nam Żydów jak cierpkie piwo, nie mogliśmy pracować wystarczająco szybko. Szkoda, że trzeba to było przerwać, może jeszcze da radę do tego wrócić”. Słuchałem w milczeniu. Nerwowe tiki deformowały jego twarz częściej

niż zwykle, pocierał nos, wykręcał szyję. Wbrew słowom pełnym pychy wyglądał na mocno przygnębionego. Niespodziewanie spytał mnie: „A ja w tym wszystkim? Co się ze mną stanie? Co się stanie z moją rodziną?”. Kilka dni wcześniej RSHA przechwycił audycję nowojorskiego radia, w której podano liczbę Żydów zamordowanych w Auschwitz, dość bliską prawdy. Eichmann musiał o tym wiedzieć, tak jak zapewne wiedział, że jego nazwisko figuruje na wszystkich listach naszych wrogów. „Chce pan znać moją szczerą opinię?”, zapytałem cicho. — „Tak, odrzekł Eichmann. Dobrze pan wie, że pomimo różnych sprzeczek zawsze szanowałem pańskie zdanie”. — „No cóż, jeśli przegramy wojnę, będzie po panu”. Podniósł głowę: „To akurat wiem. Nie liczę na to, że przeżyję. Jeśli nas zwyciężą, sam strzelę sobie w głowę, dumny, że wykonałem swoje zadanie wobec SS. Ale — jeśli nie przegramy?”. — „Jeśli nie przegramy, powiedziałem jeszcze ciszej, trzeba będzie się zmienić. Nie będzie pan mógł dalej działać w ten sposób. Powojenne Niemcy będą inne, wiele się zmieni, pojawią się nowe zadania. Będzie się pan musiał dostosować”. Eichmann się nie odezwał, a ja wyszedłem i wróciłem do Astorii. Męczyły mnie już nie tylko bezsenność i migreny, teraz doszły do tego fale silnej gorączki, które znikwały tak nagle, jak się pojawiały. Jednak tym, co ostatecznie mnie dobiło, była wizyta dwóch buldogów, Clemensa i Wesera, którzy bez uprzedzenia stawili się w moim hotelu. „Ależ, co panowie tutaj robią!”, wykrzyknąłem. — „Otóż, Obersturmbannführer, powiedział Weser, albo może Clemens, nie przypominam sobie, przyjechaliśmy z panem porozmawiać”. — „O czym tu rozmawiać?”, odrzekłem rozdrażniony. Sprawa jest zamknięta”. — „A właśnie, że nie”, oświadczył, z tego, co pamiętam, Clemens. Obaj zdjęli kapelusze i usiedli, nie pytawszy o pozwolenie. Clemens na rokokowym krzeselku, zbyt małym jak na jego gabaryty, Weser, wygodnie, na długiej sofie. „Nie jest pan podejrzany, niech będzie. Całkowicie to akceptujemy. Ale śledztwo w sprawie tych morderstw trwa. Nadal na przykład szukamy pańskiej siostry i bliźniaków”. — „Proszę sobie wyobrazić, Obersturmbannführer, że Francuzi przysłali nam etykietkę z ubrań, które znaleźli, przypomina pan sobie? W łazience. Dzięki temu dotarliśmy do znanego krawca, niejakiego Pfaba. Zamawiał pan już garnitury u Herr Pfaba, Obersturmbannführer?” Uśmiechnąłem się: „Oczywiście. To jeden z najlepszych krawców w Berlinie. Ale uprzedzam: jeżeli nadal będziecie mnie śledzić, zwrócę się do Reichsführera z prośbą o pozbawienie was stanowisk z powodu niesubordynacji”. — „Och!, wykrzyknął Weser. Nie musi nam pan grozić, Obersturmbannführer. Nic do pana

nie mamy. Chcielibyśmy tylko dalej przesłuchiwać pana w charakterze świadka”. — „Nie inaczej, rzucił Clemens grubym głosem. W charakterze świadka”. Podał notes Weserowi, ten przekartkował go i oddał, wskazując na jedną ze stron. Clemens przeczytał coś i oddał notes Weserowi. „Francuska policja, mruknął Weser, znalazła testament nieboszczyka Herr Moreau. Od razu uspokajam pana, nie jest pan wymieniony. Pańska siostra też nie. Herr Moreau zostawia wszystko, majątek, przedsiębiorstwa, dom, obu bliźniakom”. — „Ja i kolega, warknął Clemens, uważamy, że to dziwne”. — „Dokładnie tak, podjął Weser. W końcu, z tego, co zrozumieliśmy, to są dzieci wzięte pod opiekę, może z rodziny pańskiej matki, a może nie, ale na pewno nie z jego”. Wzruszyłem ramionami: „Mówiłem wam już, że Moreau i ja nie lubiliśmy się. Nie jestem zaskoczony, że niczego mi nie zostawił. W jego rodzinie nie było dzieci. Może po prostu poczuł, że ci bliźniacy są mu w jakiś sposób bliscy”. — „Założmy, rzucił Clemens. Założmy. Ale: chłopcy są być może świadkami zbrodni, dziedziczą spadek, znikają, i to z pomocą pańskiej siostry, która najprawdopodobniej wcale nie wróciła do Niemiec. A pan? Nie mógłby pan rzucić nieco światła na tę sprawę? Nawet jeśli nie ma pan z nią nic wspólnego”. — „Meine Herren, odparłem, odchrząknąwszy, powiedziałem wam wszystko, co wiem. Jeśli przyjechaliście do Budapesztu, żeby mnie o to spytać, to straciliście czas”. — „Och, wie pan, wyjaśnił przeciągle Weser, nigdy tak całkiem nie tracimy czasu. Zawsze znajdzie się coś pożytecznego. Poza tym lubimy z panem rozmawiać”. — „O tak, wypalił Clemens. Bardzo miło się rozmawia. Zresztą jeszcze będziemy mieli okazję”. — „Bo, wie pan, jak już się coś zaczyna, to trzeba dociągnąć to do końca”. — „Prawda, zgodził się Clemens. Inaczej to nie ma sensu”. Milczałem, patrzyłem na nich zimno i jednocześnie wypełniało mnie przerażenie, bo te fanfarony były przekonane o mojej winie i wiedziałem, że nie przestaną mnie nękać, musiałem coś z tym zrobić. Tylko co? Byłem zbyt załamany, by działać. Zadali mi jeszcze kilka pytań o siostrę i jej męża, odpowiedziałem nie-uważnie. Wstali i ruszyli do wyjścia. „Obersturmbannführer, odezwał się Clemens, już w kapeluszu, pogawędka z panem to prawdziwa przyjemność. Jest pan rozsądnym mężczyzną”. — „Mamy wielką nadzieję, że nie widzimy się po raz ostatni, dorzucił Weser. Wybiera się pan niedługo z powrotem do Berlina? Przeżyje pan szok: to już nie to samo miasto”.

Weser się nie mylił. Wróciłem do Berlina w drugim tygodniu lipca, by zdać raport z mojej działalności i czekać na kolejne instrukcje. Zostałem biura Reichsführera i RSHA mocno nadwerężone po marcowych i kwietniowych bombardowaniach. Prinz-Albrecht-Palais unicestwiły burzące bomby; budynek SS-Haus jeszcze stał, a właściwie tylko jego część, więc moje biuro znów musiało się przenieść do innej dobudówki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Całe skrzydło siedziby Staatspolizei spłonęło, wielkie szczeliny przecinały ściany, puste otwory okien zabito deskami; zdecentralizowano większość departamentów i sekcji, i rozlokowano je po przedmieściach, a nawet dalekich wioskach. *Haftlinge* nadal pracowali, odmalowywali korytarze i schody, wynosili gruz ze zrujnowanych gabinetów; wielu z nich zginęło podczas jednego z nalotów, na początku maja. Ci, co pozostali w mieście, mieli ciężkie życie. Prawie nie było bieżącej wody, żołnierze dostarczali dwa wiadra dziennie poszkodowanym rodzinom, nigdzie elektryczności, nigdzie gazu. Urzędnicy, którzy z wielkim trudem przedzierali się do pracy, owijali sobie twarze szalikami, chroniąc się w ten sposób przed wiecznym dymem pożarów. Kobiety, posłuszne patriotycznej propagandzie Goebbelsa, przestały nosić kapelusze i eleganckie ubrania; te, które odważyły się wyjść na ulicę w makijażu, łajano. Wielkie „rajdy” na kilkaset maszyn jakiś czas temu ustały, ale nadal atakowały mosquito — były to krótkie, nieprzewidywalne, wyczerpujące naloty. Zdołaliśmy wreszcie wystrzelić nasze pierwsze rakiety na Londyn, nie te Speera i Kammlera, ale małe rakiety Luftwaffe, które Goebbels nazwał V-1, czyli *Vergeltungswaffen*, „broń odwetowa”; nie wpłynęły jakoś znacząco na morale Anglików, jeszcze mniej na morale naszej ludności cywilnej — zbyt wielką rozpacz wywołały bombardowania w środkowych Niemczech i katastroficzne wieści z frontu, udany desant w Normandii, kapitulacja w Cherbourgu, utrata Monte Cassino i klęska w Sewastopolu pod koniec maja. Wehrmacht taił rzecz straszliwą: przerwanie linii naszej obrony na Białorusi przez Sowietów — niewielu o tym wiedziało, krążyły wprawdzie plotki, ale mało miały wspólnego z rzeczywistością, ja jednak wiedziałem wszystko, na przykład to, że w ciągu trzech tygodni Rosjanie dotarli do morza, że Grupa Armii Północ została odcięta nad Bałtykiem i że Grupa Armii Środek nie istniała już wcale. W tej przygnębiającej atmosferze Grothmann, adiutant Brandta, zgotował mi chłodne, niemal pogardliwe przyjęcie — wyglądał tak, jakby chciał mnie osobiście obwinić za marne wyniki węgierskiej *Einsatz*. Dałem mu się wygadać, byłem zbyt zniechęcony, by protestować. Sam Brandt przebywał w Rastenburgu z

Reichsführerem. Wśród moich kolegów panował popłoch, nikt nie wiedział, dokąd ma iść i co robić. Speer, odkąd zachorował, nigdy nie starał się ze mną skontaktować, ale nadal otrzymywałem kopie pełnych wściekłości listów do Reichsführera: od początku roku Gestapo zatrzymało, z powodu rozmaitych wykroczeń, ponad trzysta tysięcy osób, w tym dwieście tysięcy zagranicznych robotników, którzy mieli zwiększyć liczebność obozów; Speer oskarżał Himmlera o sabotowanie jego siły roboczej i groził, że się z tym zwróci do Führera. Inni nasi korespondenci gromadzili skargi i krytyki, zwłaszcza *Jägerstab*, którego członkowie twierdzili, że krzywdzi się ich rozmyślnie. Odpowiedzi na nasze listy i wnioski były niezmiennie obojętne. Ale nie dbałem o to, przebiegałem wzrokiem tę korespondencję, połowy nie rozumiałem. W stosie przesyłek, które na mnie czekały, znalazłem list od sędziego Baumanna: pospiesznie rozdarłem kopertę, wyjąłem z niej uprzejmy, zdawkowy liścik i fotografię. Była to reprodukcja starego zdjęcia, ziarnista, nieco zamazana, o bardzo skonstrastowanych tonach: przedstawiała mężczyzn na koniach, w śniegu, w niejednakowych mundurach, żelaznych hełmach, marynarskich kaszkietach, astrachańskich futrzanych czapach. Baumann narysował atramentem krzyżyk nad jednym z tych mężczyzn; maleńka, owalna twarz była zupełnie niewyraźna, nierozpoznawalna. Z tyłu napis: KURLANDIA, POD WOLMAREM 1919. Z uprzejmego liściku nie dowiedziałem się więcej.

Miałem szczęście: moje mieszkanie przetrwało. Znów była tam tylko jedna szyba, puste ramy sąsiadka jako tako zasłoniła deskami i plandeką, w salonie rozbiły się gabloty bufetu, popękał sufit i spadł żyrandol, w sypialni panował trwały zapach spalenizny; sąsiednie mieszkanie spłonęło, bomba zapalająca wpadła do niego przez okno. Ale dało się tutaj mieszkać i było nawet czysto: sąsiadka, Frau Zempke, posprzątała i kazała na nowo pobielić ściany, by zakryć ślady dymu, olejowe lampy, wypolerowane i wyczyszczone, stały rzędem na bufecie, w łazience tłoczyło się kilka bidonów z wodą i beczka. Otworzyłem drzwi balkonowe i wszystkie okna, które nie były zabite deskami, by do mieszkania wpadło nieco popołudniowego światła, po czym zszedłem podziękować Frau Zempke. Dałem jej pieniądze za fatygę — zapewne wolałaby węgierskie wędliny, ale ja znów nawet o tym nie pomyślałem — zaoferowałem jej też kartki żywnościowe, żeby miała z czego przygotowywać mi posiłki. Powiedziała, że kartki teraz na nic się nie dadzą, sklep, gdzie zarejestrowana była większość z nich, przestał istnieć, ale jeśli dam jej trochę więcej pieniędzy, to sobie poradzi. Poszedłem do siebie. Przysunąłem fotel do

otwartego balkonu, był spokojny i piękny letni wieczór, z połowy okolicznych budynków pozostały puste i nieme fasady albo stosy gruzów, i długo patrzyłem na ten apokaliptyczny pejzaż, park u stóp mojej kamienicy był cichy, wszystkie dzieci wysłano pewnie na wieś. Nawet nie włączyłem muzyki, chciałem nasycić się nieco tą łagodnością, tym spokojem. Frau Zempke przyniosła mi kielbasę, chleb, trochę zupy, przeprosiła, że nie udało jej się załatwić niczego więcej, ale mnie to wystarczyło, kupiłem piwo w barze Staatspolizei, jadłem i piłem z przyjemnością, poddając się złudzeniu, że oto znajduję się na wysepce, w zacisznej przystani na samym środku oceanu nieszczęścia. Po posiłku sprzątnąłem naczynia i nalałem sobie dużą szklanę podłego sznapsa, zapaliłem papierosa i usiadłem, macając kieszeń, by poczuć pod palcami kopertę Baumanna. Nie wyjąłem jej jednak od razu, obserwowałem grę wieczornego światła na ruinach, ruch długich, ukośnych promieni, które żółciły fasady i prześwietlały puste otwory okienne, podkreślając chaos spopielonych belek i rozsypanych ścian. W kilku mieszkaniach dostrzegłem ślady życia, które się tam kiedyś toczyło: ramkę z fotografią albo obraz, zawieszony na gwoździu, podartą tapetę, stół tkwiący w połowie nad przepaścią, przykryty obrusem w czerwono-białą kratkę; kolumna kaflowych pieców pięła się w górę, ciągle przytwierdzona do ścian, lecz nie dzieliły jej już sufity. Były takie miejsca, w których życie toczyło się nadal: widziałem pranie zawieszone w jakimś oknie albo na balkonie, doniczki z kwiatami, dym z rury od pieca. Słońce zachodziło szybko za zrujnowane budynki, rzucając ogromne, monstrualnie zniekształcone cienie. Oto, myślałem sobie, oto, do czego sprowadzono stolicę naszej tysiącletniej Rzeszy: cokolwiek się stanie, życia nam nie starczy, by ją odbudować. Ustawiłem obok siebie kilka olejowych lamp i nareszcie wyjąłem z kieszeni fotografię. Muszę przyznać, że zdjęcie mnie przerażało — choć przyglądałem mu się z całych sił, nie mogłem rozpoznać mężczyzny, którego twarz pod czapką rozmywała się w białą plamę, nie całkiem bezkształtną, można było odróżnić nos, usta, dwoje oczu, ale żadnych rysów, żadnych charakterystycznych cech, to mogła być twarz każdego, nie potrafiłem tego zrozumieć, popijałem sznapsa i nie mogłem zrozumieć, jak to możliwe, że patrząc na to złe, marnie wywołane zdjęcie nie umiem powiedzieć bez zastanowienia i bez wahania: tak, to jest mój ojciec, albo: nie, to nie jest mój ojciec — ta wątpliwość była nieznośna; dokończyłem alkohol, nalałem sobie drugą szklanę, ciągle patrzyłem na zdjęcie, grzebiąc w pamięci w poszukiwaniu okrucichów, które mógłbym ze sobą skleić, ułamków wspomnień o ojcu, o tym, jak wyglądał, ale było tak, jakby szczegóły wymykały

się, uciekając przed sobą nawzajem, biała plama na fotografii odpychała je jak magnes o takim samym ładunku, rozpraszała je, wyżerała. Nie miałem żadnego portretu ojca: jakiś czas po jego zniknięciu matka zniszczyła wszystkie. A teraz to rozmazane, nieuchwytnie zdjęcie rujnowało pozostałości moich wspomnień, zastępując żywą pamięć niewyraźną twarzą i mundurem. Zdjęty wściekłością podarłem fotografię na kilka kawałków i wyrzuciłem przez balkon. Opróżniłem szklanę, nalałem sobie kolejną. Pociłem się, pragnąłem wyjść ze skóry, zbyt ciasnej, by pomieścić cały mój gniew, całą rozpacz. Rozebrałem się i usiadłem nagi przy otwartym balkonie, nie zadałem sobie nawet trudu, żeby zgasić lampy. Tuląc jedną dłonią członek i jądra, jak się tuli rannego wróbelka, znalezionego na polu, drugą podnosiłem do ust szklanę za szklanką, papierosa za papierosem; chwyciłem pustą butelkę za szyjkę i rzuciłem daleko, w park, nie dbając o ewentualnych spacerowiczów. Chciałem dalej wyrzucać przedmioty z mieszkania, opróżnić je, wywalić wszystkie meble. Poszedłem ochlapać twarz wodą i podniósłszy lampkę spojrzałem na swoje odbicie w lustrze: byłem blady, rysy miałem rozmyte, zdawało mi się, że twarz spływa niczym wosk, rozgrzany gorącem mojej brzydoty i nienawiści, oczy błyszczały jak dwa czarne kamyki wciśnięte w odrażające, bezsensowne formy, nic tutaj nie trzymało się kupy. Zamachnąłem się i rzuciłem lampą w lustro — roztrzaskało się w drobny mak, olej rozprysł się i kilka gorących kropeł poparzyło mi ramię i szyję. Wróciłem do salonu i zwinąłem się w kłębek na kanapie. Trząsałem się, szcząkałem zębami. Nie wiem, skąd wziąłem siłę, by dowlec się do łóżka, zrobiłem to prawdopodobnie dlatego, że umierałem z zimna, owinałem się w koce, ale to nic nie dało. Skóra mi cierpła, dreszcze przebiegały przez plecy, skurcze ścisnęły kark, wyłem z bólu — wszystkie te odczucia zalewały mnie wielkimi falami jak brudna, mętna woda, za każdym razem myślałem, że już nie może być gorzej, lecz za chwilę przychodziła następna fala i niosła mnie w miejsce, gdzie poprzedni ból i poprzednie doznania wydawały mi się niemal żartem, dziecięcą przesadą. Czułem w ustach suchość, nie mogłem wyrwać języka z gliniastej skorupy, która go otaczała, ale wstać i napić się wody — to było coś, co przekraczało moje możliwości. Błądziłem długo po gęstych lasach maligny, nawiedzały mnie stare obsesje, oprócz dreszczy i skurczy przez moje sparaliżowane ciało przebiegało coś w rodzaju erotycznej gorączki, piekł mnie odbyt, miałem bolesne wzwody i jednocześnie nie mogłem zrobić żadnego gestu, by sobie ulżyć, było tak, jak gdybym masturbował się ręką pełną pokruszonego szkła, i poddawałem się

temu, tak jak całej reszcie doznań. Były chwile, w których te gwałtowne i sprzeczne prądy wtrącały mnie w sen, przeraźliwe obrazy nawiedzały mój umysł, byłem małym, nagim dzieckiem, srałem, kucając w śniegu, unosiłem głowę i widziałem otaczających mnie kawalerzystów o kamiennych twarzach, byli w płaszczach z epoki Wielkiej Wojny, ale zamiast strzelb trzymali długie włócznie i prowadzili niemy sąd nad moim nieznośnym zachowaniem, chciałem uciec, ale nie mogłem, otaczali mnie kręgiem, zalękniony taplałem się w gównie, brudziłem się, a jeden z kawalerzystów o zamazanych rysach odłączył się od reszty i szedł ku mnie. Lecz obraz czmychał, musiałem zanurzać się w te sny i w te wizje, i wynurzać się z nich, tak jak pływak w morzu przechodzi góra-dół, góra-dół przez granicę między wodą i powietrzem, wracałem raz po raz do siebie, do niepotrzebnego ciała, którego z chęcią bym się pozbył, jak się zdejmuje mokry płaszcz, i zaraz znów wpadałem w tamtą opowieść, niejasną i zagmatwaną, w której ścigała mnie zagraniczna policja, wpychała mnie do wozu, jadącego wysokim nabrzeżem albo sam nie wiem czym, była jakaś wioska, kamienne domy na stoku, a wokół — sosny i zarośla, może to była wioska w prowansalskiej krainie, i ja tego pragnąłem, domu w tej wiosce i spokoju, który mógłby mi dać... Po długich perypetiach moja sytuacja się rozwiązywała, groźni policjanci znikali, kupowałem najniżej położony dom w wiosce, z ogrodem, tarasem i lasem sosnowym wokół, och, idylliczny obrazek z Épinal, i już była noc, deszcz gwiazd lecących z nieba, meteoryty, które spalały się z różowym lub z czerwonym błyskiem i spadały powoli, pionowo, jak gasnące iskry sztucznych ogni, wielka, mieniąca się kurtyna — patrzyłem, pierwsze z tych kosmicznych pocisków dotykały ziemi, a gdzie spadły, tam wyrastały rośliny, pstre organizmy, czerwone, białe, plamiste, grube i tłuste jak niektóre wodorosty, szerzyły się i pięły ku niebu z szaloną prędkością, sięgały wysokości kilkuset metrów, wyrzucając obłoki nasion, które z kolei dawały początek podobnym roślinom, a te znów rozrastały się, pięły, niby pionowo, lecz miażdżąc wszystko wokół — drzewa, domy, pojazdy — swą niepowstrzymaną masą, a ja patrzyłem na to zdjęty przerażeniem. Gigantyczny roślinny mur wypełniał teraz pole mojego widzenia, ciągnął się we wszystkich kierunkach, rozumiałem, że to wydarzenie, które zrazu wydało mi się tak pełne spokoju, jest w rzeczywistości ostateczną katastrofą — te przybyłe z kosmosu organizmy zyskały na naszej ziemi, w naszej atmosferze, środowisko nieskończenie dla nich korzystne, że mnożą się z szaloną prędkością, zajmują całą wolną przestrzeń i miażdżą wszystko, co znalazło się pod nimi, na oślep, bez nienawiści, po

prostu siłą własnego pędu ku istnieniu i ku wzrostowi, nic nie było w stanie ich powstrzymać, w ciągu kilku dni ziemia mogła zniknąć pod nimi, wszystko, co było naszym życiem i naszą historią, naszą cywilizacją, miało zostać przekreślone przez te zachłanne rośliny — to było idiotyczne, nieszczęśliwy wypadek, ale nigdy nie mieliśmy czasu, żeby temu zaradzić, ludzkość była skazana na zagładę. Meteoryty spadały w snopach iskier, rośliny pchane szaloną wolą życia, rozpuszczone, pięły się ku niebu, jak gdyby pragnąc zapełnić całą atmosferę, tę, którą tak się upajały. Zrozumiałem, choć może nastąpiło to później, gdy wydobyłem się już na powierzchnię snu, że to jest sprawiedliwe, że takie jest prawo życia, że każdy organizm dąży do tego, by żyć i się rozmnożyć, i nie jest to żadna złośliwość, prątki Kocha, które zżarły płuca Pergolesiego i Purcella, Kafki i Czechowa, nie żywiły wobec nich żadnej niechęci, nie życzyły źle swym nosicielom, lecz, po prostu, na tym polegało prawo ich przeżycia i rozwoju — podobnie jak my zwalczamy te prątki lekarami, które wynajdujemy każdego dnia, bez nienawiści, tylko po to, byśmy sami mogli przeżyć. Całe nasze życie opiera się na śmierci innych stworzeń, które także pragnęłyby przeżyć, na śmierci zwierząt, które zjadamy, roślin też, owadów, które likwidujemy, tych naprawdę niebezpiecznych, jak skorpiony czy wszy, i tych uciążliwych, jak muchy, utrapienie człowieka — któż z nas nie zabił muchy, której irytujące bzyczenie przeszkadzało w lekturze — to nie okrucieństwo, to prawo naszego życia, jesteśmy silniejsi od innych istot i według własnej woli rządzymy ich życiem i ich śmiercią; krowy, kurczaki, kłosa pszenicy są na ziemi po to, by nam służyć — nic dziwnego, że tak się zachowujemy, że każda grupa ludzi pragnie zlikwidować tych, z którymi toczy bój o ziemię, wodę, powietrze. Czemu tak naprawdę mielibyśmy lepiej traktować Żyda niż krowę czy prątek Kocha, skoro nie musimy? Gdyby Żyd mógł, robiłby to samo z nami albo z innymi, aby zagwarantować sobie możliwość przeżycia. Takie panują zasady, permanentna wojna wszystkiego ze wszystkim. Wiem, że ta myśl nie jest oryginalna, że to właściwie banalne stwierdzenie rodem z biologicznego i społecznego darwinizmu, ale tamtej rozgorączkowanej nocy siła jej prawdziwości uderzyła mnie jak nigdy wcześniej i jak nigdy potem, pobudzona snem o ludzkości padającej ofiarą innych organizmów, których życiowa siła była jeszcze większa. Zrozumiałem, oczywiście, że reguła ta obowiązuje wszystkich, że jeśli inni okażą się silniejsi od nas, zrobią nam to, co my zrobiliśmy im, i że w obliczu tej siły kruche bariery, które ustawiają ludzie, usiłując nadać życiu społecznemu jakiś kierunek, że prawa, sprawiedliwość, moralność, etyka niewiele są

warte, że jakikolwiek strach, jakikolwiek silniejszy impuls mogą je zdmuchnąć niczym słomkę, lecz ci, którzy zrobili pierwszy krok, nie mają co się łudzić, że następnii, gdy przyjdzie ich kolej, będą przestrzegać sprawiedliwości i praw. Bałem się, bo przegrywaliśmy wojnę.

Zostawiłem otwarte okna, świt niespiesznie wpełzał do pokoju. Fale gorączki powoli wyrzucały mnie na brzeg, odzyskiwałem świadomość ciała, czułem mokre prześcieradła, które je oblepiały. Obudziła mnie gwałtowna potrzeba. Nie wiem, w jaki sposób zdołałem dowlec się do łazienki, usiąść na klozecie i się wypróżnić, rozwolnienie wydawało się nie mieć końca. Gdy skończyłem wreszcie, podtarłem się niedokładnie i chwyciłem brudną szklankę, w której trzymałem szczoteczkę do zębów, zanurzyłem w wiadrze, wyjąłem i piłem chciwie niedobłą wodę, która wydała mi się wodą z najczystszej źródła. Ale — wylać resztę z wiadra do miski klozetowej pełnej nieczystości (spłuczka nie działała już od dawna), nie, na to nie miałem siły. Wróciłem i owinąłem się w koce, trząłem się mocno, długo, wykończony wysiłkiem. Po pewnym czasie usłyszałem pukanie: to pewnie był Piontek, z którym zazwyczaj spotykałem się na ulicy, ale nie miałem siły wstać i mu otworzyć. Gorączka uderzała i cofała się, raz sucha i niemal słodka, innym razem jak ogień buzujący w moim ciele. Kilka razy zadzwonił telefon, każdy dzwonek wbijał mi się w bębniaki jak ostrze noża, a ja nie mogłem nic zrobić, ani podnieść słuchawki, ani odłączyć kabla. Pragnienie wróciło natychmiast i zaabsorbowało mnie, skupiłem uwagę kolejno i pokrótce na nękających mnie objawach, bez zaangażowania, jakby z zewnątrz. Wiedziałem, że jeśli nic nie zrobię, jeżeli nikt nie przyjdzie, to umrę, tu, na tym łóżku, w kałuży ekskrementów i moczu, bo niezdolny, by wstać, zacznę za chwilę robić pod siebie. Ale ta myśl nie przygnębiała mnie, nie wywoływała we mnie żalu ani strachu, nie czułem pogardy wobec tego, czym się stałem, i nie pragnąłem, żeby to się skończyło ani też, żeby trwało dalej. I gdy tak pogrążałem się w dywagacjach chorego umysłu, a światło słońca na dobre zalało już całe mieszkanie, otworzyły się drzwi i wszedł Piontek. Wziąłem go za kolejne przywidzenie i tylko uśmiechnąłem się głupkowato, gdy coś do mnie powiedział. Podeszedł do łóżka, dotknął mojego czoła, wymówił wyraźnie słowo „cholera” i zawołał Frau Zempke, która go pewnie tutaj wpuściła. „Niech mu pani przyniesie coś do picia”, polecił. Za chwilę usłyszałem, że rozmawia przez telefon. Wrócił: „Słyszysz mnie pan, Herr Obersturmbannführer?”. Pokazałem, że tak. „Zadzwoniłem do biura. Przyjdzie lekarz. A

może woli pan pojechać do szpitala?” Dałem znak, że nie. Wróciła Frau Zempke z bidonem pełnym wody; Piontek nalał trochę do szklanki, uniósł moją głowę i pomógł mi się napić. Połowa wyciekła mi na pierś i na pościel. „Jeszcze”, poprosiłem. Wypiłem tak kilka szklanek, to przywróciło mnie do życia. „Dzięki”, powiedziałem. Frau Zempke ruszyła zamykać okna. „Niech będą otwarte”, nakazałem. — „Zje pan coś?”, spytał Piontek. — „Nie”, odpowiedziałem i opadłem na mokrą poduszkę. Piontek otworzył szafę, wyjął czystą pościel, zmienił ją, zasłał łóżko. Sucha pościel była chłodna, lecz zbyt szorstka dla mojej przeczulonej skóry, nie mogłem znaleźć dogodnej pozycji. Nieco później przyszedł lekarz SS, jakiś Hauptsturmführer, nie znałem go. Obejrzał mnie od stóp do głów, obmacał, osłuchał — moją skórę parzył zimny metal stetoskopu — zmierzył temperaturę, oklepał klatkę piersiową. „Powinien pan jechać do szpitala”, oświadczył wreszcie. — „Nie chcę”, odpowiedziałem. Skrzywił się: „Ma pan kogoś, kto będzie się panem zajmował? Zrobię panu zastrzyk, ale musi pan zażywać tabletki, pić sok owocowy, bulion”. Piontek poszedł porozmawiać z Frau Zempke, która zeszła już do siebie, po czym wrócił z wiadomością, że ona mogłaby się tym zająć. Lekarz wyjaśnił, na co choruję, lecz albo nie zrozumiałem nic z tego, co mówił, albo natychmiast wyrzuciłem z głowy, bo nie pamiętam ani słowa diagnozy. Zrobił mi potwornie bolesny zastrzyk. „Wrócę jutro, poinformował. Jeśli gorączka nie spadnie, wezmę pana do szpitala”. — „Nie chcę iść do szpitala”, mamrotałem. — „Zapewniam pana, że mało mnie to obchodzi”, odrzekł stanowczo. I odszedł. Piontek chyba czuł się nieswojo: „No dobrze, Herr Obersturmbannführer, pójdę poszukać rzeczy potrzebnych Frau Zempke”. Pokiwałem głową i on także wyszedł. Po jakimś czasie zjawiała się Frau Zempke z miseczką bulionu, zmusiła mnie do przełknięcia kilku łyżek. Ciepła ciecz wylewała mi się z ust, płynęła po brodzie obsypanej szorstkim zarostem, Frau Zempke wycierała mnie cierpliwie i zaczynała od nowa. Potem dała mi wody. Lekarz pomógł mi się wysikać, ale znów łapały mnie kolki; po pobycie w Hohenlychen pozbyłem się w tej kwestii wszelkiego wstydu, poprosiłem Frau Zempke o pomoc i ta starsza kobieta udzieliła mi jej bez obrzydzenia, jak gdyby chodziło o małe dziecko. Wreszcie zostawiła mnie i zapadłem się w łóżko. Czułem się lekki, uspokojony, zastrzyk chyba dobrze mi zrobił, lecz utraciłem wszelką energię — zwalczanie oporu pościeli, żeby podnieść rękę, było ponad moje siły. Zobojętniałem na to, odpuściłem sobie, ze spokojem tonąłem w gorączce i delikatnym letnim słońcu, w błękitnie nieba, który wypełniał ramy otwartych okien, pusty i pogodny. W myślach naciągałem na

siebie nie tylko prześcieradła i koce, ale całe mieszkanie, owijałem nim ciało, było mi ciepło i bezpiecznie, jak w macicy, z której nigdy nie chciałem wychodzić, w ciemnym, cichym, rozciągliwym raju, kołysanym wyłącznie rytmem uderzeń serca i szumem płynącej krwi, olbrzymiej organicznej symfonii; to nie Frau Zempke mi była potrzebna, ale łożysko — pływałem we własnym pocie jak w wodach płodowych, marzyłem, by narodziny nie zdarzyły się nigdy. Ognisty miecz wygnał mnie z tego Edenu, a był to głos Thomasa: „No, no. Nie wyglądasz najlepiej”. On też uniósł mnie, pomógł mi się napić. „Powinieneś być w szpitalu”, stwierdził podobnie jak reszta. — „Nie chcę iść do szpitala”, powtórzyłem głupkowato, z uporem. Rozejrzał się, wyszedł na balkon, wrócił. „Co zrobisz w razie alarmu? Przecież nie zejdziesz do piwnicy”. — „Mam to gdzieś”. — „No, to chociaż przenieś się do mnie. Mieszkam teraz w Wannsee, miałbyś spokój. Moja pokojówka zajęłaby się tobą”. — „Nie”. Wzruszył ramionami: „Jak chcesz”. Znów musiałem się wysikać, skorzystałem z jego obecności, poprosiłem o przysługę. Coś tam jeszcze mówił, ale ja się nie odzywałem. W końcu wyszedł. Za jakiś czas zaczęła się wokół mnie krzątać Frau Zempke: poddawałem się jej gestom z ponurą obojętnością. Wieczorem w pokoju zjawiała się Helena. Przyniosła małą walizkę, postawiła ją przy drzwiach, potem powoli wyjęła szpilkę z kapelusza i nie spuszczać ze mnie wzroku, potrząsnęła gęstymi, jasnymi włosami. „Co pani tu, do cholery, robi?”, spytałem brutalnie. — „Thomas mi powiedział. Przyszłam zająć się panem”. — „Nie chcę, żeby ktoś się mną zajmował, warknąłem ze złością. Frau Zempke wystarczy”. — „Frau Zempke ma swoją rodzinę i nie może być tu bez przerwy. Zostanę z panem dopóty, dopóki nie poczuje się pan lepiej”. Patrzyłem na nią ze złością: „Niech się pani wynosi!”. Usiadła przy łóżku i chwyciła mnie za rękę; chciałem się wyrwać, ale nie miałem siły. „Jest pan rozpalony”. Wstała, zdjęła żakiet, powiesiła na oparciu krzesła, zmoczyła ręcznik w łazience i położyła mi go na czole. Podałem się temu w milczeniu. „Tak czy inaczej, powiedziała, nie mam zbyt wiele do roboty w biurze. Nie muszę się spieszyć. Ktoś powinien z panem zostać”. Nie odzywałem się. Zapadał zmierzch. Helena napiła mnie, usiłowała wcisnąć mi nieco zimnego bulionu, usiadła przy oknie i otworzyła książkę. Letnie niebo bledło, był wieczór. Patrzyłem na Helenę: była jak ktoś obcy. Od wyjazdu na Węgry, trzy miesiące wcześniej, nie miałem z nią kontaktu, nie napisałem ani jednego listu, zdawało mi się, że niemal o niej zapomniałem. Obserwowałem jej profil, delikatny, poważny, i mówiłem sobie, że jest piękny; lecz z tego piękna nie płynął dla mnie żaden pożytek, żaden sens. Wbiłem oczy w

sufit i trwałem tak przez pewien czas, byłem naprawdę zmęczony. W końcu, po jakiejś godzinie, odezwałem się, nie patrząc na nią: „Niech mi tu pani przyprowadzi Frau Zempke”. — „Po co?”, spytała, zamykając książkę. — „Potrzebuję czegoś”, odparłem. — „Czego? Jestem tu, żeby panu pomóc”. Przeniosłem na nią wzrok — spokój w jej brązowych oczach drażnił mnie i obrażał. — „Muszę się wysrać”, powiedziałem brutalnie. Ale sprowokowanie jej było chyba niemożliwością. „Proszę powiedzieć mi, co mam zrobić, rzekła spokojnie. Pomogę panu”. Wytłumaczyłem jej, nie dosadnie, ale też bez eufemizmów, i zrobiła wszystko jak należy. Myślałem z goryczą, że po raz pierwszy widzi mnie bez piżamy — pewnie nigdy nie wyobrażała sobie, że pierwszy raz nagiego ujrzy mnie właśnie w takich okolicznościach. Nie czułem wstydu, tylko obrzydzenie do siebie samego i to obrzydzenie przenosiło się na nią, na jej cierpliwość i czułość. Pragnąłem ją obrażać, onanizować się w jej obecności, żądać od niej sprośnych usług, ale to były tylko myśli, nawet by mi teraz nie stanął, nie byłem w stanie zrobić jakiegokolwiek gestu, który wymagałby ode mnie użycia choć niewielkiej siły. Zresztą gorączka znowu rosła, znów drżałem, znów się pociełem. „Zimno panu, zauważyła, gdy skończyła mnie podcierać. Chwileczkę”. Wyszła z mieszkania, po kilku minutach wróciła, niosąc koc, którym zaraz mnie przykryła. Skuliłem się, szcząkałem zębami, miałem wrażenie, że mój szkielet grzechocze niczym garść kostek do gry. Noc ciągle nie nadchodziła, niekończący się dzień trwał i trwał, doprowadzało mnie to do szału, choć przecież wiedziałem, że noc nie przyniesie mi odpoczynku ani ukojenia. Znów, bardzo delikatnie, namówiła mnie na wypicie kilku łyków. Ta delikatność wyprowadzała mnie z równowagi: czego ode mnie chce ta dziewczyna? Co ma na myśli, ofiarując mi swą uczynność i dobroć? Czy ma nadzieję, że w ten sposób do czegoś mnie przekona? Zajmuje się mną, jakbym był jej bratem, kochankiem albo mężem. Ale nie jest moją siostrą ani moją kobietą. Drżałem, wstrząsały mną fale gorączki, a ona wciąż ocierała mi czoło. Gdy zbliżała dłoń do moich ust, nie wiedziałem, czy mam ją gryźć, czy całować. A później wszystko załamało się na dobre. Naszły mnie wizje, nie wiem, sny czy myśli, te same, które nie dawały mi spokoju w pierwszych miesiącach roku, widziałem siebie, jak wiążę się z tą kobietą, jak sobie układam życie, opuszczam SS i wszystkie potworności, w których tkwiłem już od tylu lat, moje własne dziwactwa opadają ze mnie jak skóra z węża, gdy linieje, moje demony rozplywają się niczym letni obłok, a ja wchodzę w rzekę przeciętności. Jednak myśli te wcale mnie nie uspokajały, przeciwnie, budziły mój bunt: Co?! Zabić marzenia w zamian

za możliwość wkładania penisa w jej obrośniętą jasnym włosem pochwę, całowania rosnącego brzucha, w którym nosiłaby śliczne i zdrowe dzieci? Nawiedzały mnie obrazy ciężarnych kobiet, siedzących na walizkach w błocie Kaschau albo Munkacs, myślałem o ich sromach, wtulonych dyskretnie między uda, pod okrągłymi brzuchami, o tych sromach i brzuchach, które niosły do gazu, niczym medal za odwagę. Dzieci są zawsze w brzuchach kobiet, to jest najstraszniejsze. Skąd ten wstrętny przywilej? Dlaczego relacje między kobietą i mężczyzną muszą się zawsze sprowadzać do jednego, do zapłodnienia? Worek na ziarno, inkubator, mleczna krowa, oto kobieta namaszczona sakramentem ślubu. I choć moje obyczaje pozostawiają wiele do życzenia, są przynajmniej wolne od tego zepsucia. To być może paradoks, dostrzegam go teraz, gdy piszę, lecz wtedy, w przepastnych spiralach, w które zamienił się mój przegrzany umysł, idea ta wydawała mi się doskonale logiczna i spójna. Pragnąłem wstać, potrząsnąć Heleną, wyjaśnić jej wszystko, ale kto wie, czy przypadkiem nie śniłem tylko o tym pragnieniu, bo nie byłbym w stanie wykonać jakiegokolwiek gestu. Rano gorączka nieco spadła. Nie wiem, gdzie spała Helena, prawdopodobnie na kanapie, ale wiem, że co chwilę przychodziła, ocierała mi twarz i poila mnie. Ból wygnał ze mnie całą energię i leżałem tak, *połamany i bez sił*, och, słodkie wspomnienie z lat szkolnych. Moje oszalałe myśli nareszcie się rozpierzchnyły i została po nich już tylko głęboka gorycz, cierpkie pragnienie, by umrzeć szybko, by położyć kres cierpieniu. Wczesnym rankiem przyszedł Piontek, przyniósł kosz pomarańczy, niesłychany skarb w tamtych czasach w Niemczech. „To Herr Mandelbrod przysłał je do biura”, wyjaśnił. Helena wzięła dwie i zeszła do Frau Zempke, żeby je wycisnąć; wróciła, przy pomocy Piontka uniosła mnie na poduszkach i napoiła: piłem małymi łykami, sok pozostawiał w ustach dziwny, metaliczny posmak. Piontek porozmawiał chwilę z Heleną, niczego nie usłyszałem, po czym wyszedł. Przyszła Frau Zempke, z wypraną i wysuszoną wczorajszą pościelą, pomogła Helenie prześcielić łóżko, znów przemoczone nocnym potem. „Dobrze, że się pan poci, powiedziała. Wypoci pan gorączkę”. Było mi wszystko jedno, chciałem tylko odpocząć, ale nie była mi dana nawet chwila spokoju, przyszedł ten sam co wczoraj Hauptsturmführer i zbadał mnie z niechętną miną: „Wciąż nie chce pan iść do szpitala?”. — „Nie, nie, nie”. Przeszedł do salonu, porozmawiał chwilę z Heleną, i znów się pojawił: „Gorączka nieco spadła, powiedział. Zaleciłem pańskiej przyjaciółce, by regularnie mierzyła panu temperaturę — jeżeli znów wzrośnie powyżej czterdziestu jeden stopni, trzeba będzie pana zawieźć do szpitala.

Zrozumiano?”. Zrobił mi zastrzyk w pośladek, równie bolesny co wczorajszy. „Zostawiam jeszcze jedną dawkę, pańska przyjaciółka zrobi panu zastrzyk wieczorem, to obniży gorączkę na noc. Proszę postarać się coś zjeść”. Gdy wyszedł, Helena przyniosła bulion, wzięła kawałek chleba, pokruszyła go, rozmoczyła w cieczy i próbowała mnie namówić, bym to przełknął, lecz pokręciłem głową. Udało mi się jednak wypić nieco czystego bulionu. Tak jak po pierwszym zastrzyku czułem się spokojniejszy, lecz i wykończony, przenicowany. Nie opierałem się, gdy Helena cierpliwie umyła moje ciało gąbką i ciepłą wodą i gdy założyła mi piżamę, pożyczoną od Herr Zempke. Wybuchłem dopiero, gdy mnie przykryła i usiadła, żeby poczytać. „Dlaczego pani to robi?, rzuciłem ze złością. Czego pani ode mnie chce?” Zamknęła książkę i wbiła we mnie wielkie, spokojne oczy: „Niczego od pana nie chcę. Chcę tylko panu pomóc”. — „Dlaczego? Czego pani oczekuje?” — „Ależ niczego”. Wzruszyła lekko ramionami. „Przyszłam z przyjacielską pomocą, nic ponadto”. Stała tyłem do okna, z twarzą ukrytą w cieniu, wpatrywałem się w nią chciwie, ale niczego nie mogłem wyczytać. „Przyjacielską?, warknąłem. A co to za przyjaźń? Co pani o mnie wie? Parę razy poszliśmy gdzieś we dwoje, a teraz rządzi się pani u mnie, jak gdyby tu pani mieszkała”. Uśmiechnęła się: „Niech się pan tak nie unosi. Zmęczy się pan”. Ten jej uśmiech wyprowadził mnie z równowagi: „A co ty w ogóle wiesz o zmęczeniu? No? Co ty o nim wiesz?”. Uniosłem się na łokciach i wyczerpany upadłem w tył, z głową tuż przy ścianie. „Ty nie masz bladego pojęcia, ty nic nie wiesz o zmęczeniu, wiesz sobie ten swój żywot grzecznej niemieckiej dziewczynki, masz łuski na oczach, nic nie widzisz, chodzisz do roboty, szukasz nowego męża i nie dostrzegasz niczego, co się wokół ciebie dzieje”. Na jej twarzy nadal malował się spokój, nie zwróciła uwagi na brutalne „tykanie”, a ja się rozkręcałem, wrzeszczałem i pryskałem śliną: „Nic o mnie nie wiesz, nic o tym, co robię, nic o moim zmęczeniu, od trzech lat mordujemy ludzi, tak, to właśnie robimy, mordujemy, mordujemy Żydów, mordujemy Cyganów, Rosjan, Ukraińców, Polaków, chorych, starców, kobiety, młode kobiety, takie jak ty, i dzieci!”. Zaciśnęła zęby, ciągle milczała, ale ja już nie mogłem przestać: „A tych, których nie zabijamy, wysyłamy do pracy w naszych fabrykach, jak niewolników, to są właśnie, widzisz, kwestie ekonomiczne. Nie udawaj niewiniątka! Twoje ubrania, skąd są, jak myślisz? A pociski Flaka, które cię chronią przed samolotami wroga, skąd? Czołgi, które powstrzymują bolszewików na Wschodzie? Ilu niewolników przypłaciło śmiercią ich produkcję? Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?”. Nadal nie reagowała, a im dłużej tak

stała, cicho i spokojnie, tym większego dostawałem szału: „A może nie wiedziałaś? Tak? Jak każdy porządny Niemiec. Nikt nic nie wie, poza tymi, którzy odwalają brudną robotę. Gdzie się podzieli twoi żydowscy sąsiedzi na Moabicie? Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? Na Wschodzie? Wysłano ich do roboty na Wschodzie? Gdzie dokładnie? Gdyby sześć czy siedem milionów Żydów pracowało teraz na Wschodzie, to z łatwością wznosilibyśmy nowe miasta. Nie słuchasz BBC? Oni wiedzą! Wszyscy wiedzą, wsryscy prócz porządnym Niemców, którzy nie chcą nic wiedzieć”. Wściekałem się, musiałem być bardzo blady, a ona wyglądała, jakby słuchała uważnie, i nie ruszała się z miejsca. „A twój mąż w Jugosławii, no, jak myślisz, co on tam robił? W Waffen-SS? Bił się z partyzantami? W ogóle wiesz, co to jest walka z partyzantami? Partyzanci pojawiają się rzadko, więc niszczymy otoczenie, w którym żyją. Rozumiesz, co to znaczy? Wyobrażasz sobie swojego Hansa, jak morduje kobiety, a jeszcze wcześniej morduje ich dzieci, a później podpala dom z trupami w środku?” Zareagowała, po raz pierwszy: „Niech pan zamilknie! Nie ma pan prawa!”. — „A czemu nie miałbym prawa?, parsknąłem. Myślisz może, że jestem lepszy? Przychodzisz, żeby się mną opiekować, myślisz sobie, że jestem miłym człowiekiem, doktorem prawa, dżentelmenem w każdym calu, świetną partią? Mordujemy ludzi, rozumiesz, to właśnie robimy, wszyscy, twój mąż był mordercą, ja jestem mordercą, a ty, ty jesteś współniczką morderców, nosisz i zjadasz owoce naszego trudu”. Zbladła, ale na jej twarzy malował się tylko bezbrzeżny smutek: „Nieszczęśliwy z pana człowiek”. — „A czemuż to? Podoba mi się to, co robię. Awansuję. Ma się rozumieć, to nie będzie trwać wiecznie. Możemy próbować wybić wszystkich, ale są zbyt liczni, przegramy wojnę. Zamiast tracić czas na zabawę w pielęgniarkę, lepiej byś zrobiła, zabierając się stąd. Na twoim miejscu ruszyłbym na zachód. Jankesi są mniej napaleni od Ruskich. No, chyba że mają zapas kondomów: dzielne chłopaki boją się chorób. Ale może ty wolisz śmierdzącego Mongoła? O takim marzysz i śnisz?” Była biała jak ściana, lecz uśmiechnęła się na te słowa: „Bredzi pan. To gorączka, sam pan nie wie, co mówi”. Dyszałem, byłem wykończony. Poszła, zmoczyła kompres i wróciła, żeby obetrzeć mi czoło. „Gdybym kazał ci się rozebrać, rozebrałabyś się? Dla mnie? Zabawiać się sama ze sobą? Zrobić mi loda? Zrobiłabyś?” — „Niech się pan uspokoi, powiedziała, bo wzrośnie panu gorączka”. Nie, to nie miało sensu, ta dziewczyna była zbyt uparta. Zamknąłem oczy i skupiłem się na wodzie, która chłodziła moje czoło. Poprawiła poduszki, wygładziła koc.

Oddychałem ze świstem, znów miałem ochotę ją pobić, kopać po brzuchu, za jej bezwstydną, niedopuszczalną dobroć.

Wieczorem podeszła, by zrobić mi zastrzyk. Z trudem przewróciłem się na brzuch; gdy zsuwałem spodnie od piżamy, przez głowę przemknęło mi wspomnienie o kilku temperamentnych młodzieńcach, i rozpięzchnęło się, byłem zbyt zmęczony. Zawahała się, nigdy nie robiła zastrzyków, lecz w końcu wbiła igłę, ruchem zdecydowanym i pewnym. Miała wacik nasączony alkoholem, przytknęła go w miejsce po ukłuciu, rozczuliło mnie to, musiała kiedyś widzieć, jak robią to pielęgniarki. Leżąc na boku, zapadałem się w siebie, z termometrem, który wetknęła mi w odbył, żeby zmierzyć temperaturę, i nie zwracałem na nią uwagi, nie usiłowałem w żaden sposób jej prowokować. Miałem chyba nieco ponad czterdzieści stopni gorączki. Nadeszła noc, trzecia noc tej kamiennej wieczności, i znów błądziłem pośród zarośli i stromych brzegów wyobraźni. W środku nocy zacząłem się obficie pocić, mokra piżama kleiła się do skóry, byłem tego ledwo tylko świadom, pamiętam rękę Heleny na moim czole i na policzku, jak odgarniała wilgotne kosmyki włosów, jak muskała zarost. Opowiedziała mi potem, że zacząłem nagle głośno mówić, to ją wyrwało ze snu i przywiodło do mojego łóżka, strzępy zdań, raczej niespójne, zapewniła mnie, lecz nigdy nie chciała powtórzyć tego, co zrozumiała. Nie nalegałem, czułem, że tak jest lepiej. Następnego ranka gorączka spadła poniżej trzydziestu dziewięciu stopni. Gdy przyjechał Piontek, by sprawdzić, co słyhać, wysłałem go do biura po prawdziwą kawę, którą miałem w zapasie, dla Heleny. Lekarz zbadał mnie i pogratulował: „Najgorsze za panem, tak myślę. Ale to jeszcze nie koniec, musi pan nabrać sił”. Czułem się jak rozbitek, który po zacieklej, wyczerpującej walce z morzem opada wreszcie na piasek plaży: może uda mi się nie umrzeć. Lecz to jest złe porównanie, bo rozbitek pływa, walczy, by przeżyć, a ja nie zrobiłem niczego, biernie się poddałem i to po prostu śmierć mnie odrzuciła. Piłem chciwie sok z pomarańczy, który przyniosła Helena. Około południa podniosłem nieco głowę: Helena stała w drzwiach pomiędzy pokojem a salonem, oparta o framugę, z letnim szalem zarzuconym na ramiona, patrzyła na mnie nieuważnie, a w dłoni trzymała filiżankę parującej kawy. „Zazdroszczę pani tej kawy”, odezwałem się. — „Och! Proszę poczekać, pomogę panu”. — „Nie potrzeba”. Siedziałem jako tako, udało mi się wsunąć poduszkę pod plecy. „Proszę mi wybaczyć wczorajsze gadanie. Byłem wstrętny”. Skinęła lekko głową, napiła się kawy i zwróciła twarz w kierunku drzwi balkonowych. Po chwili znów na mnie spojrzała: „To, co pan

mówił... o zamordowanych. To prawda?”. — „Na pewno chce pani wiedzieć?” — „Tak”. Wbijała we mnie piękne oczy, zdało mi się, że dostrzegam w nich błysk obawy, ale była spokojna, opanowana. „Wszystko, co powiedziałem, to prawda”. — „Kobiety i dzieci też?” — „Tak”. Odwróciła głowę, przygryzła górną wargę; gdy znów zwróciła na mnie oczy, były pełne łez: „To smutne”, powiedziała. — „Tak. To straszliwie smutne”. Pomyślała chwilę, zanim się odezwała: „Wie pan, że będziemy musieli za to zapłacić?”. — „Tak. Jeśli przegramy wojnę, zemsta naszych wrogów będzie bezlitosna”. — „Nie o to mi chodzi. Nawet jeśli nie przegramy wojny i tak za to zapłacimy. Trzeba będzie zapłacić”. Znów się zawahała: „Współczuję panu”, skończyła rozmowę. Więcej nie mówiła na ten temat, robiła przy mnie wszystko, nawet najbardziej poniżające czynności. Lecz jej gesty nabrały jakby nieco innej jakości, stały się chłodniejsze, bardziej oficjalne. Gdy tylko stanąłem na nogi, poprosiłem, żeby wróciła do domu. Ociągała się, ale nalegałem: „Na pewno jest pani wykończona. Proszę iść odpocząć. Frau Zempke pomoże mi, jeśli będę czegoś potrzebował”. Zgodziła się wreszcie i spakowała swoje rzeczy do małej walizki. Zatelefonowałem po Pionka, żeby odwiózł ją do domu. „Zadzwońię do pani”, obiecałem. Gdy przyjechał Piontek, odprowadziłem ją do drzwi. „Dziękuję za opiekę”, powiedziałem, ściskając jej dłoń. Pokiwała głową, lecz się nie odezwała. „Do zobaczenia”, dorzuciłem zimno.

Przespałem następne dni. Nadal miałem gorączkę, trzydzieści osiem, czasem trzydzieści dziewięć stopni, ale piłem sok z pomarańczy i bulion na mięsie, jadłem chleb, trochę kurczaka. Nocami często ogłaszano alarmy, lecz nie zwracałem na nie uwagi (być może ogłaszano je także w ciągu tych trzech nocy, w których pogrążony byłem w malignie, ale nie wiem na pewno). To były małe naloty, garstka mosquito zrzucała bomby na chybił trafił, głównie na centrum administracyjne. Jednak któregoś wieczoru Frau Zempke i jej mąż zmusili mnie, bym zszedł do piwnicy, odziewszy mnie najpierw w szlafrok; tak mnie to wyczerpało, że po wszystkim trzeba mnie było wnosić na rękach. Kilka dni po odejściu Heleny Frau Zempke wtargnęła do mnie pod wieczór, czerwona, w papilotach i peniuarze: „Herr Obersturmbannführer! Herr Obersturmbannführer!”. Obudziła mnie, poczułem rozdrażnienie: „Co się dzieje, Frau Zempke?”. — „Usiłowano zabić Führera!” Jąkając się, powtórzyła mi, co usłyszała w radio: był zamach w kwaterze głównej Führera, w Prusach Wschodnich, nic mu się nie stało, przyjął Mussoliniego po południu i już wrócił do pracy. „No i?”, spytałem. — „No przecież to wstrętne!” — „Bez

wątpienia, odparłem oschle. Ale Führer żyje, z tego, co pani mówi, a to jest najważniejsze. Dziękuję pani”. Wróciłem do łóżka; odczekała chwilę, nieco zbита z tropu, po czym się wyniosła. Muszę przyznać, że nawet nie myślałem o tej nowinie, nie myślałem już o niczym. Kilka dni później odwiedził mnie Thomas. „Chyba się lepiej czujesz, co?” — „Trochę lepiej”. Wreszcie się ogoliłem, zaczynałem odzyskiwać ludzki wygląd, jednak trudno mi było połączyć myśli w spójny ciąg, pod naporem moich wysiłków rozbijały się na cząstki i zostawały mi tylko odpryski bez związku: Helena, Führer, moja praca, Mandelbrod, Clemens i Weser, gęsta gmatwanina. „Słyszałeś, co się stało?”, spytał Thomas. Siedział przy oknie i palił. — „Tak. Jak się czuje Führer?” — „Führer czuje się dobrze. Ale to było coś więcej niż próba zabójstwa. Wehrmacht, w każdym razie jego część, chciał dokonać zamachu stanu”. Jęknąłem zaskoczony, a Thomas opowiedział mi o szczegółach sprawy. „Początkowo sądzono, że to tylko spisek oficerów. Ale to promieniowało we wszystkich kierunkach: były kliki w Abwehrze, w Auswärtiges Amt, wśród starych arystokratów. Podobno nawet Nebe był w zмовie. Zniknął wczoraj, wcześniej próbował się zabezpieczyć, aresztując konspiratorów. To samo Fromm. Krótko mówiąc, niezły burdel. Reichsführer stanął na czele *Ersatzheer* zamiast Fromma. To jasne, że teraz SS ma do odegrania kluczową rolę”. Jego głos zdradzał napięcie, lecz mówił pewnie, z determinacją. „Co się stało w Auswärtiges Amt?”, spytałem. — „Masz na myśli swoją przyjaciółkę? Zatrzymaliśmy już sporo osób, w tym kilku jej przełożonych; na dniach powinniśmy aresztować von Trotta zu Solz. Ale nie wydaje mi się, że masz powody, by się o nią martwić”. — „Nie martwię się. Pytam, nic więcej. Zajmujesz się tym wszystkim?” Thomas potwierdził skinieniem głowy. „Kaltenbrunner stworzył specjalną komisję, żeby przeprowadzić śledztwo w sprawie siatki spiskowców. Zajmuje się tym Huppenkothen, ja będę jego adiutantem. Panzinger prawdopodobnie zastąpi Nebego w Kripo. I tak już zresztą zaczęliśmy reorganizację w Staatspolizei, to tylko przyspieszy całą sprawę”. — „A o co im chodziło, tym twoim konspiratorom?” — „To nie są moi konspiratorzy, syknął. I to zależy. Większość uważała widocznie, że bez Führera i Reichsführera Zachód zgodzi się na oddzielny traktat pokojowy. Chcieli rozbić SS. Chyba nie zdawali sobie sprawy, że to był tylko nowy *Dolchstoß*, pchnięcie sztyletem w plecy, jak w osiemnastym roku. Już to widzę, jak Niemcy idą za zdrajcami. Odnoszę wrażenie, że wielu z nich bujało nieco w obłokach: niektórzy sądzili nawet, że jak się rozplaszczą przed wrogiem, to będą mogli zatrzymać Alzację i Lotaryngię. I Tereny Wcielone, ma się

rozumieć. Marzyciele. Ale dostaniemy ich jak na dłoni: byli na tyle durni, zwłaszcza cywile, że niemal wszystko mieli na piśmie. Dotarliśmy do masy projektów, do list nazwisk ministrów do nowego rządu. Na jednej z nich umieścili nawet twojego przyjaciela Speera: powiem ci, że jemu teraz też grunt pali się pod nogami”. — „A kto miał stanąć na czele?” — „Beck. Ale nie żyje. Popęłnił samobójstwo. Fromm też natychmiast kazał rozstrzelać wielu facetów, żeby się zabezpieczyć”. Thomas wtajemniczył mnie w szczegóły nieudanego zamachu i puczu. „Naprawdę, niewiele brakowało. Nikt nigdy nie był jeszcze tak blisko. Musisz szybko wyzdrowieć: czeka nas sporo roboty”.

Ale ja wcale nie miałem ochoty zdrowieć tak od razu, wegetowałem z dużą przyjemnością. Wróciłem do słuchania muzyki. Powoli nabierałem sił, na nowo uczyłem się podstawowych gestów. Lekarz SS dał mi miesiąc zwolnienia na rekonwalescencję i miałem zamiar w pełni je wykorzystać, niezależnie od tego, co się stanie. Na początku sierpnia odwiedziła mnie Helena. Wciąż byłem słaby, ale mogłem chodzić, przyjąłem ją w piżamie i szlafroku, zrobiłem herbatę. Było nadzwyczaj gorąco, przez szeroko otwarte okno nie wpadał ani jeden podmuch wiatru. Helena była bardzo blada i zalekniona, nigdy jej takiej wcześniej nie widziałem. Spytała mnie o zdrowie; zobaczyłem, że płacze. „To straszne, powtarzała, to straszne”. Byłem zażenowany, nie wiedziałem, jak zareagować. Aresztowano kilku jej kolegów, ludzi, z którymi pracowała od lat. „To niemożliwe, to musi być jakaś pomyłka... Słyszałam, że pański przyjaciel Thomas zajmuje się śledztwem, nie mógłby pan z nim porozmawiać?” — „To nic nie da, powiedziałem łagodnie. Thomas robi, co do niego należy. Proszę się nie bać o przyjaciół. Być może tylko trzeba im będzie zadać kilka pytań. Jeśli są niewinni, wyjdą na wolność”. Przestała płakać, otarła łzy, ale jej twarz pozostała napięta. „Przepraszam, odparła. Ale jednak, nie dawała za wygraną, trzeba spróbować im pomóc, nie sądzi pan?” Pomimo zmęczenia zachowałem cierpliwość: „Heleno, musi pani zrozumieć, jakie tu teraz panują nastroje. Usiłowano zabić Führera, ci ludzie chcieli zdradzić Niemcy. Próbując interweniować, ściągnie tylko pani na siebie podejrzania. Nie ma takiej rzeczy, którą mogłaby pani zrobić. Wszystko w rękach Boga”. — „Chciał pan powiedzieć — w rękach Gestapo”, rzuciła w odruchu gniewu. Opamiętała się: „Proszę mi wybaczyć, jestem... jestem...” Dotknąłem jej ręki: „Wszystko będzie dobrze”. Piła herbatę, patrzyła na mnie. „A pan?, spytała. Wróci pan do swojej... pracy?” Spojrzałem przez okno na nieme ruiny, na blade, błękitne niebo zasnuwane wszechobecnym dymem. „Nie od razu. Muszę nabrać sił”. Trzymała filiżankę wysoko w dłoniach. „Co się

stanie?” Wzruszyłem ramionami: „Tak w ogóle? Będziemy nadal walczyć, będziemy nadal ginąć, aż pewnego dnia to się skończy i ci, którzy przeżyją, zrobią wszystko, żeby zapomnieć”. Pochyliła głowę: „Tęsknię za tym czasem, gdy chodziliśmy na pływalnię”, szepnęła. — „Jeśli ma pani ochotę, zaproponowałem, gdy się trochę lepiej poczuje, znów tam pójdziemy”. Teraz ona spojrzała przez okno: „Nie ma już pływalni w Berlinie”, odparła spokojnie.

Wychodząc, zatrzymała się w progu i jeszcze raz na mnie spojrzała. Chciałem coś powiedzieć, lecz położyła mi palec na ustach: „Proszę nic nie mówić”. Ten palec, trzymała go jeden moment za długo. Odwróciła się na pięcie i szybko zbiegła po schodach. Nie rozumiałem, o co jej chodziło, zachowywała się tak, jakby krążyła wokół czegoś, nie śmiejąc podejść bliżej ani się oddalić. Nie podobała mi się ta niejednoznaczność, wolałbym, żeby się szczerze zadeklarowała; wtedy mógłbym wybierać, powiedzieć nie albo powiedzieć tak i byłoby po sprawie. Miałem wrażenie, że ona sama nie wie. A to, o czym mówiłem jej w gorączce, niczego nie ułatwiało; żadna kąpiel, żadna pływalnia nie wystarczyłaby, żeby zmyć osad takich słów.

Wróciłem też do czytania. Nie byłbym jednak zdolny do czytania poważnych książek, literatury, czasem łapałem się na tym, że po dziesięć razy wracałem do jednego zdania, zanim zdawałem sobie sprawę, że go nie rozumiem. Postanowiłem odszukać na półkach marsjańskie przygody E.R. Burroughsa, które zabrałem ze strychu w domu Moreau i starannie schowałem, nie otworzywszy ich ani razu. Przeczytałem trzy książki jednym tchem; ku wielkiemu rozczarowaniu, nie odnalazłem nic z tamtych emocji, które wypełniały mnie kiedyś, podczas szczenięcej lektury, gdy zamknięty w toalecie lub zdekowany w łóżku na całe godziny zapominałem o bożym świecie i z rozkoszą błądziłem po meandrach tego barbarzyńskiego świata przenikniętego mglistym erotyzmem, pełnego wojowników i księżniczek, ubranych wyłącznie w broń i klejnoty, po barokowej gmatwaninie potworów i machin. Poczyniłem natomiast zaskakujące odkrycia, jakich istnienia olśniony chłopiec, którym byłem, nigdy by nie podejrzewał: otóż niektóre fragmenty tych fantastycznonaukowych powieści ukazały mi amerykańskiego prozaika jako jednego z nieznanых prekursorów myśli völkistowskiej. W moim pomieszaniu dostrzeżałem, że pod pewnymi myślami przemycił jeszcze inne idee; przypomniawszy

sobie porady Brandta, do których, z powodu natłoku zajęć, nie mogłem się wcześniej dostosować, kazałem przynieść maszynę do pisania i zredagowałem krótką rozprawkę dla Reichsführera, przedstawiając myśl Burroughsa jako ewentualną inspirację dla *dogłębnych reform społecznych, które SS będzie musiała przeprowadzić po wojnie*. I tak, proponując sposób na zwiększenie powojennej liczby urodzeń i skłonienie mężczyzn do ślubu w młodym wieku, posłużyłem się przykładem czerwonych Marsjan, którzy rekrutowali swoich przymusowych robotników nie tylko spośród kryminalistów i jeńców wojennych, lecz także spośród *zatwardziałych kawalerów, zbyt ubogich, by płacić podatek od celibatu, nałożony przez rząd czerwonych Marsjan*. Poświęciłem sporo miejsca na rozwinięcie idei podatku od celibatu, który, gdyby rzeczywiście został nałożony, obciążyłby mocno także moje własne dochody. Miałem w zanadrzu jeszcze bardziej radykalne propozycje dotyczące elity SS, która powinna brać przykład z zielonych Marsjan, olbrzymów wysokich na trzy metry, czteroramiennych, z wielkimi kłami: *Cała własność u Marsjan zielonych jest wspólna, prócz osobistej broni, ornamentów, jedwabi i futer w osobistych łóżkach... Kobiety i dzieci pochodzące od jednego mężczyzny można porównać do jednostki wojskowej, za którą jest on odpowiedzialny w zakresie szkolenia, dyscypliny i aprowizacji... Jego kobiety nie są w żadnym wypadku małżonkami... Ich związek to wyłącznie kwestia interesu wspólnoty i jest bez odniesienia do prawa naturalnej selekcji. Rada wodzów każdej wspólnoty kontroluje tę sprawę równie dokładnie, jak właściciel wyścigowego ogiera-reproduktora z Kentucky kontroluje naukową hodowlę jego progenitury, w celu ulepszenia cech całej rasy*. To zainspirowało mnie, by zaproponować stopniową reformę *Lebensbornu*. Prawdę mówiąc, sam sobie kopałem grób i coś we mnie śmiało się, gdy to pisałem, ale wydawało mi się to takie logiczne, tak mocno wpływające z naszego *Weltanschauung*; poza tym wiedziałem, że spodoba się Reichsführerowi. Fragmenty Burroughsa niejasno przypominały mi profetyczną utopię, którą wyłuszczył nam w Kijowie, w 1941 roku. Rzeczywiście, dziesięć dni po wysłaniu do niego rozprawki otrzymałem odpowiedź, osobiście przez niego podpisaną (do tej pory jego instrukcje podpisywał zazwyczaj Brandt, albo nawet Grothmann):

Mój drogi doktorze Aue!

Z prawdziwym, zainteresowaniem przeczytałem Pańską rozprawkę. Cieszę się, że czuje się Pan lepiej i że wykorzystuje Pan czas rekonwalescencji na przeprowadzenie

użytecznych badań. Nie wiedziałem, że interesują Pana te kwestie, tak ważne dla przyszłości naszej rasy. Zastanawiam się jednak, czy Niemcy, nawet po wojnie, będą gotowe na przyjęcie i realizację tak głębokich i potrzebnych idei. Pewne jest, że czeka nas mozolna praca nad umysłowością obywateli. Jakkolwiek będzie, gdy Pan wyzdrowieje, będę szczęśliwy, mogąc szczegółowo przedyskutować z Panem te projekty i porozmawiać na temat autora-wizjonera, którego Pan przytacza.

Heil Hitler!

Pański Heinrich Himmler

Zadowolony z siebie, zczekałem na wizytę Thomasa i pokazałem mu list oraz kopię rozprawki; ku mojemu zaskoczeniu potraktował mnie ostro: „Czy ty naprawdę myślisz, że to pora na taką dziecinadę?”. Zachowywał się tak, jakby stracił całe poczucie humoru. Zacząłem rozumieć, o co mu chodzi, gdy szczegółowo opowiedział mi o ostatnich aresztowaniach. Nawet ludzie z mojego najbliższego otoczenia byli w to wmieszani: dwóch moich kolegów z uniwersytetu i dawny profesor z Kilonii, Jessen, który w ostatnich latach widocznie zbliżył się z Goerdelerem. „Znaleźliśmy także dowody przeciwko Nebemu, ale on zniknął. Po prostu się rozplątał. Wiadomo, jeżeli ktokolwiek umie to robić, to właśnie on. Był chyba lekko stuknięty: w domu znaleziono film, zapis gazowania na Wschodzie, wyobrażasz go sobie, jak to ogląda wieczorami?” Rzadko widywałem tak zdenerwowanego Thomasa. Dałem mu alkoholu, częstowałem papierosami, ale niewiele z siebie wydusił; z tego, co zrozumiałem, Schellenberg miał kontakty z częścią opozycyjnych kręgów przed zamachem. Jednocześnie Thomas ostro krytykował konspiratorów: „Zabić Führera! Jak w ogóle mogli uważać to za dobre rozwiązanie? Gdyby próbowali odebrać mu dowództwo Wehrmachtu, zgoda, i tak jest chory. Można było nawet wziąć pod uwagę, sam nie wiem, wysłanie go na emeryturę, jeżeli rzeczywiście zaszłaby potrzeba, zostawić mu stanowisko prezydenta, a władzę przekazać Reichsführerowi... Schellenberg twierdzi, że Anglicy zgodziliby się na pertraktacje z Reichsführerem. Ale zabić Führera? To niedorzeczne, oni sobie nie zdawali sprawy... Przysięgali mu, a później próbowali go zabić”. To go chyba naprawdę gryzło; co do mnie, byłem zaszokowany myślą, że Schellenberg czy Reichsführer planowali odsunąć

Führera od władzy. Nie widziałem większej różnicy między tym a planem zabicia go, ale nie powiedziałem tego Thomasowi, był już i tak załamany.

Ohlendorf, którego spotkałem pod koniec miesiąca, gdy wreszcie zacząłem ruszać się z domu, był chyba tego samego zdania. Odniosłem wrażenie, że ten i tak zawsze ponury człowiek jest jeszcze bardziej przybity niż Thomas. Przyznał mi się, że w noc poprzedzającą egzekucję Jessena, z którym, mimo wszystko, pozostał związany, nie zmrużył oka. „Nie mogłem przestać myśleć o jego żonie i dzieciach. Spróbuję im pomóc, planuję oddawać im część swojej pensji”. Jednocześnie uważał, że Jessen zasługiwał na karę śmierci. Wiele lat temu, tłumaczył mi, nasz profesor zerwał z narodowym socjalizmem. Nadal się spotykali, dyskutowali, Jessen próbował nawet przyjąć do pracy byłego ucznia. Ohlendorf zgadzał się z nim w wielu punktach: „To jasne, ogólna korupcja w Partii, osłabienie formalnych praw, pluralistyczna anarchia w miejsce *Führerstaat*, to wszystko jest nie do przyjęcia. I te działania przeciwko Żydom, to całe *Endlösung*, to była pomyłka. Ale obalenie Führera i NSDAP to nie do pomyślenia. Należy oczyścić Partię, wywindować weteranów z frontu, którzy mają realistyczną wizję, kadry Hitlerjugend, jedynych idealistów, jacy nam jeszcze pozostali. To ci młodzi powinni dać Partii impuls po wojnie. Ale nie ma mowy o powrocie do przeszłości, do mieszczańskiego konserwatyizmu zawodowych żołnierzy i pruskich arystokratów. Ten gest skreślił ich raz na zawsze. Zresztą Naród dobrze to zrozumiał”. Tak właśnie było: wszystkie raporty SD jasno pokazywały, że zwykli ludzie i szeregowcy, pomimo zmartwień, zmęczenia, lęku, załamania, a nawet defetyzmu, byli oburzeni zdradą spiskowców. Wysilek wojenny i kampania „wyrzeczeń” znalazły ujście dla swojej energii. Goebbels, wreszcie uprawniony do ogłoszenia „wojny totalnej”, która tak bardzo leżała mu na sercu, robił wszystko, by ją pobudzić, choć nie było to wcale konieczne. W rzeczywistości sytuacja była coraz gorsza: Rosjanie odbili Galicję i przekroczyli swoją granicę z 1939 roku, padł Lublin i fala ta kończyła się dopiero na przedmieściach Warszawy, gdzie bolszewicy nie kryli się z oczekiwaniem, że stłumimy polskie powstanie, które wybuchło na początku miesiąca. „Daliśmy się wciągnąć w gierki Stalina, skomentował Ohlendorf. Trzeba by wytłumaczyć AK, że bolszewicy stanowią jeszcze większe zagrożenie niż my. Gdyby Polacy bili się po naszej stronie, to moglibyśmy jeszcze zatrzymać Rosjan. Ale Führer nie chce o tym słyszeć. A Bałkany padną za chwilę jak domek z kart”. Rzeczywiście, w Besarabii 6.

Armia, rekonstruowana pod dowództwem Frettera-Pico, dostawała tęgiego łupnia: drzwi do Rumunii stały otworem. Wszystko wskazywało na to, że tracimy też Francję — po otwarciu nowego frontu w Prowansji i po zdobyciu Paryża Anglosasi szykowali się na oczyszczenie reszty kraju, podczas gdy nasze zdziesiątkowane oddziały cofały się w stronę Renu. Ohlendorf nie krył pesymizmu: „Nowe rakiety są już prawie gotowe, tak twierdzi Kammler. Jest przekonany, że odwrócą bieg wojny. Osobiście nie wiem, jak miałyby to zrobić. Jedna rakietka niesie mniej materiałów wybuchowych od amerykańskiego B-17 i można jej użyć tylko raz”. W przeciwieństwie do Schellenberga, o którym nie chciał rozmawiać, nie miał planów ani konkretnych rozwiązań: mógł mówić wyłącznie o „ostatnim narodowosocjalistycznym zrywie, gigantycznej fali”, co brzmiało mi trochę jak retoryka Goebbelsa. Odniosłem wrażenie, że w duchu próbował pogodzić się z porażką. Ale nie sądzę, by wtedy był w stanie przyznać się do tego przed samym sobą.

Wydarzenia z 20 lipca odniosły jeszcze jeden skutek, mało ważny, ale dla mnie osobiście nieprzyjemny: w połowie sierpnia Gestapo aresztowało sędziego Baumanna z berlińskiego trybunału SS. Dość szybko dowiedziałem się o tym od Thomasa, ale nie od razu oceniłem konsekwencje. Na początku września wezwał mnie Brandt, który towarzyszył Reichsführerowi podczas inspekcji w Schleswig-Holstein. W okolicach Lubeki wsiadłem do specjalnego pociągu Himmlera. Brandt przywitał mnie wiadomością, że Reichsführer ma zamiar odznaczyć mnie Krzyżem Wojennym pierwszej klasy: „Niezależnie od tego, co pan sam o tym myśli, pańska akcja na Węgrzech była bardzo pozytywna. Reichsführer jest zadowolony. Dobre wrażenie zrobiła na nim również pańska ostatnia inicjatywa”. Następnie poinformował mnie, że Kripo poleciło następcy Baumanna ponownie przeanalizować moje akta; ten zaś napisał do Reichsführera: uważa, że materiał dowodowy stanowi wystarczającą podstawę do wszczęcia śledztwa. „Reichsführer nie zmienił zdania, ma do pana pełne zaufanie. Uważa jednak, że gdyby nie zgodził się na śledztwo, wyświadczyłby panu niedźwiedzią przysługę. Zaczynają krążyć plotki, sam pan pewnie wie. Lepiej, żeby miał pan możliwość obrony i udowodnienia własnej niewinności. W ten sposób raz na zawsze zamkniemy tę sprawę”. Zupełnie nie podobał mi się ten pomysł, zbyt dobrze już poznałem maniacki upór Clemensa i Wesera, nie miałem jednak wyboru. Po powrocie do Berlina sam stawiałem się w sądzie, u sędziego von Rabingena, narodowego socjalisty fanatyka, i przedstawiłem mu swoją wersję. Odpowiedział ostro, że akta zebrane przez Kripo zawierają niepokojące elementy,

koncentrował się zwłaszcza na zakrwawionych niemieckich ubraniach w moim rozmiarze, intrygowała go również sprawa bliźniaków, chciał ją koniecznie wyjaśnić. Kripo przesłuchało wreszcie moją siostrę, która wróciła na Pomorze: oddała bliźniaków do prywatnej placówki w Szwajcarii i utrzymywała, że są to osieroceni dalecy kuzyni, że przyszli na świat we Francji, a ich akty urodzenia zginęły podczas zawieruchy wojennej w 1940 roku. „To być może prawda, powiedział, marszcząc brwi, ale póki co, nie do sprawdzenia”.

Ta nieustanna podejrzliwość nie dawała mi spokoju. Przez kilka dni z trudem walczyłem z nawrotem choroby, siedziałem zamknięty w domu, pogrążony w czarnej rozpacz, doszło nawet do tego, że nie wpuściłem do środka Heleny, która przyszła z wizytą. Nocami Clemens i Weser jako ożywione marionetki, źle uszyte i brzydko pomalowane, skakali na złączonych stopach po moim śnie, wwiercali się w majaki, bzyczeli wokół mnie jak wstrętne, małe, szydercze owady. Czasem do tego chóru dołączała moja matka — zdjęty ogromnym lękiem skłonny byłem wierzyć, że te dwa pajace mają rację, że zwariowałem i rzeczywiście ją zabiłem. Ale nie byłem wariatem, czułem to, a cała sprawa to było potworne nieporozumienie. Gdy nieco się pozbierałem, wpadłem na pomysł, by nawiązać kontakt z Morgenem, niezłomnym sędzią, którego poznałem w Lublinie. Pracował w Oranienburgu. Natychmiast zaprosił mnie do siebie i serdecznie przyjął. Najpierw opowiedział mi o sobie: po Lublinie utworzył komisję w Auschwitz i oskarżył Grabnera, szefa Politische Abteilung, o popełnienie dwóch tysięcy nielegalnych zabójstw; Kaltenbrunner kazał wypuścić Grabnera; Morgen ponownie go aresztował i śledztwo było w toku, tak jak to w sprawie jego licznych współników i innych skorumpowanych podwładnych. Niestety, w styczniu wybuchł pożar i zniszczył barak, w którym komisja gromadziła wszystkie obciążające dowody oraz część akt, co znacznie komplikowało sprawę. Teraz, jak mi zdradził w sekrecie, miał na oku samego Hössa: „Mam pewność, że jest winien defraudacji państwowego mienia i zabójstw, ale trudno mi będzie to udowodnić, Höss ma wysoko postawionych protektorów. A pan? Słyszałem, że miał pan kłopoty”. Przedstawiłem mu swój przypadek. „Nie wystarczy, że pana podejrzewają, powiedział zamyślony. Muszą to jeszcze udowodnić. Osobiście wierzę w pańską niewinność: dobrze znam te najgorsze jednostki z SS i wiem, że pan jest inny. Tak czy inaczej, żeby pana oskarżyć, muszą udowodnić konkrety, że znajdował się tam pan w chwili zabójstwa, że te słynne ubrania należały do pana. Gdzie są te ubrania? Jeżeli zostały

we Francji, to zdaje mi się, że podejrzania nie mają żadnej racji bytu. Poza tym władze francuskie, które wystosowały prośbę o międzynarodową współpracę prawną, znajdują się w tej chwili pod kontrolą wrogiego mocarstwa: powinien pan zasięgnąć porady eksperta od prawa międzynarodowego i przemyśleć ten aspekt”. Wyszedłem ze spotkania nieco uspokojony: chorobliwy upór dwóch śledczych wtrącał mnie w paranoję, straciłem rozeznanie, gdzie jest prawda, gdzie fałsz, na szczęście zdroworozsądkowe podejście Morgena do kwestii prawnych pomogło mi odzyskać grunt pod nogami.

W sumie, jak to zwykle bywa, gdy w grę wchodzi wymiar sprawiedliwości, sprawa ciągnęła się jeszcze przez miesiąc. Nie będę tu szczegółowo opowiadał wszystkich perypetii. Miałem kilka konfrontacji z von Rabingenem i ze śledczymi, a siostra, na Pomorzu, musiała złożyć zeznania. Była nieufna, nigdy nie wyjawiała, że poinformowałem ją o morderstwie, utrzymywała, że przyszedł do niej telegram z Antibes, od współnika Moreau. Clemens i Weser z dziką wściekłością musieli przyznać, że nigdy nie widzieli owych ubrań: wszystkie posiadane przez nich informacje pochodziły z pism od francuskiej policji kryminalnej i miały niewielką wartość dowodową, zwłaszcza w tamtym momencie. Nie mówiąc już o tym, że ze względu na fakt, iż zabójstwo popełniono we Francji, wyłącznym skutkiem oskarżenia byłaby ekstradycja, która stała się niemożliwa — choć adwokat, zresztą bez cienia arogancji, zasugerował mi, że trybunał SS może mnie skazać na śmierć za pogwałcenie honoru, nie odnosząc się do cywilnego kodeksu karnego.

To wszystko zdawało się nie mieć wpływu na przychylność, jaką okazywał mi Reichsführer. Podczas jednego z błyskawicznych pobytów w Berlinie wezwał mnie do swojego pociągu — zaraz po ceremonii, na której otrzymałem nowe odznaczenie w towarzystwie około dziesięciu innych oficerów, w większości z Waffen-SS — i zaprosił do prywatnego gabinetu, by porozmawiać o rozprawce, której tezy uważał za słuszne, lecz wymagające dopracowania. „Na przykład taki Kościół katolicki. Jeżeli nałożymy podatek od celibatu, Kościół na pewno zacznie się domagać zwolnienia z niego kleru. I jeśli na to przystaniemy, zostanie to odebrane jako jego kolejne zwycięstwo, nowa demonstracja jego siły. Dlatego sądzę, że wstępnym warunkiem wszelkich pozytywnych zmian, zaraz po wojnie, będzie uregulowanie *Kirchenfrage*, kwestii obu Kościołów. I to radykalne, jeżeli zajdzie taka potrzeba: ci *Pfaffen*, ci ojczulkowie, są gorsi od Żydów. Nie uważa pan? Pod

tym względem całkowicie zgadzam się z Führerem: religia chrześcijańska to religia żydowska, stworzona przez żydowskiego rabina Szawła jako wehikuł, który miał wynieść judaizm na inny poziom, najniebezpieczniejszy, równy bolszewizmowi. Wyeliminowanie Żydów i pozostawienie chrześcijan to jak utknięcie w połowie drogi”. Słuchałem z powagą, sporządzałem notatki. Dopiero pod koniec spotkania Reichsführer nawiązał do mojej sprawy: „Nie znaleźli żadnego dowodu, zdaje mi się?”. — „Nie, mein Reichsführer. Nie ma żadnego”. — „I bardzo dobrze. Od początku wiedziałem, że to jakaś bzdura. No, ale zawsze lepiej, żeby się sami przekonali, nieprawdaż?” Odprowadził mnie do drzwi i gdy mu zasalutowałem, uścisnął mi dłoń: „Jestem bardzo zadowolony z pańskiej pracy, Obersturmbannführer. Przed panem świetlana przyszłość”.

Świetlana przyszłość? Przyszłość wydawała mi się codziennie ciemniejsza, zarówno moja, jak i całych Niemiec. Gdy odwracałem się za siebie, widziałem z przerażeniem tylko długi, mroczny korytarz, tunel, wiodący z samego dna przeszłości aż do chwili, w której znajdowałem się obecnie. Gdzie się podziały nieskończenie rozległe równiny, które otwierały się przed nami, gdy opuszczając czas dzieciństwa, wchodziliśmy w przyszłość z energią i ufnością? Wyglądało na to, że całą tę siłę wykorzystaliśmy wyłącznie na budowę własnego więzienia, a nawet szubienicy. Odkąd zachorowałem, nie spotykałem się z nikim, sport zostawiłem innym. Zazwyczaj jadłem samotnie, w domu, przy otwartych drzwiach balkonowych, delektując się łagodnym powietrzem późnego lata, widokiem ostatnich zielonych liści, które powoli, pośród ruin miasta, szykowały się, by roztoczyć ostatnią feerię barw. Od czasu do czasu wychodziłem gdzieś z Heleną, lecz nad naszymi spotkaniami ciążyło bolesne zakłopotanie; oboje, jak myślę, szukaliśmy czułości, tej intensywnej słodczy pierwszych miesięcy, która się ulotniła i nie wiedzieliśmy, jak ją odnaleźć, a jednocześnie próbowaliśmy udawać, że nic się nie zmieniło — to było dziwne. Nie rozumiałem, dlaczego upierała się, by pozostać w Berlinie: jej rodzice wyjechali do kuzyna w okolice Bade, lecz kiedy — szczerze, porzuciwszy niewyjaśnione okrucieństwo, z jakim traktowałem ją podczas choroby — namawiałem ją, by dołączyła do nich jak najszybciej, przedstawiała mi błahe preteksty, pracę, opiekę nad mieszkaniem. W przebłyskach świadomości mówiłem sobie, że zostaje z mojego powodu, i zastanawiałem się, czy przypadkiem przerażenie, jakie musiały wywołać w niej moje słowa, nie zachęciło jej, nie rozbudziło nadziei na *uratowanie* mnie przede mną samym — pomysł sam w sobie żałośnie śmieszny, lecz kto wie, co się roi w głowie kobiety? Musiało roić się w niej

jeszcze coś i czasem to dostrzegałem. Pewnego dnia, gdy szliśmy ulicą, jakiś samochód wjechał w kałużę tuż obok nas: woda trysnęła na spódnicę Heleny, brudząc ją aż do wysokości uda. Wybuchła niepoohamowanym, dziwnym śmiechem, niemal wyzywającym. „Z czego się pani tak śmieje, co w tym śmiesznego?” — „Pan, to pan, wykrztusiła między dwoma atakami. Pan nigdy nie dotknął mnie tak wysoko”. Nic nie odpowiedziałem, cóż mógłbym odpowiedzieć? Mógłbym dać jej do przeczytania, żeby ją ustawić do pionu, moją rozprawkę dla Reichsführera, czułem jednak, że nie zniechęciłoby jej ani to, ani szczerą informacją na temat mojej obyczajowości, taka już była, uparta: dokonała niemal przypadkowego wyboru i teraz trzymała się go twardo, jak gdyby sam wybór liczył się bardziej niż ten, który stanowi jego przedmiot. Czemu nie kazałem jej odejść? Nie wiem. Nie miałem zbyt wielu partnerów do rozmów. Thomas pracował po czternaście, szesnaście godzin na dobę, prawie go nie widywałem. Większość moich kolegów została *przeniesiona*. Hohenegg, jak się dowiedziałem, telefonując do OKW, został wysłany na front w lipcu i nadal był w Königsbergu, razem z częścią OKHG Środek. Z zawodowego punktu widzenia i pomimo wsparcia Reichsführera tkwiłem w martwym punkcie: Speer położył na mnie krzyżyk, straciłem kontakt z jego podwładnymi, a moje biuro, pozbawione wszelkich zleceń, służyło niemal wyłącznie za skrzynkę pocztową na skargi od licznych przedsiębiorstw, organizacji czy ministerstw. Od czasu do czasu Asbach albo inni członkowie ekipy podejmowali jakieś badania, rozsyłałem je na prawo i lewo; odpowiadano mi uprzejmie albo wcale. Jak bardzo znalazłem się na uboczu, w pełni zrozumiałem dopiero w dniu, w którym Herr Leland zaprosił mnie na herbatę. Było to w barze Adlonu, jednej z niewielu działających jeszcze dobrych restauracji, prawdziwej wieży Babel, rozbrzmiewającej dziesiątkami różnych języków, odniosłem wrażenie, że wszyscy członkowie obcych korpusów dyplomatycznych spotkali się właśnie tu. Znalazłem Herr Lelanda przy jednym ze stołów, trochę z boku. *Maître d'hôtel* precyzyjnym gestem nalał mi herbaty, a Leland czekał, aż odejdzie, żeby się do mnie odezwać. „Jak zdrowie?”, zainteresował się. — „Dobrze, mein Herr. Całkiem wyzdrowiałem”. — „A praca?” — „Całkiem dobrze, mein Herr. Reichsführer wygląda na zadowolonego. Niedawno dostałem odznaczenie”. Nie odzywał się, pił herbatę. „Natomiast od kilku miesięcy nie widziałem Reichsministra Speera”, ciągnąłem. Wykonał nagły ruch ręką: „To już nie ma znaczenia. Speer bardzo nas rozczarował. Teraz czekają nas inne zadania”. — „Jakie, mein Herr?” — „Pracujemy nad nimi”, powiedział powoli z

charakterystycznym akcentem. „A jak się ma doktor Mandelbrod, mein Herr?” Wbił we mnie zimne, surowe spojrzenie. Jak zwykle nie byłem w stanie odróżnić oka ze szkła od jego własnego. „Mandelbrod ma się dobrze. Ale muszę ci powiedzieć, że trochę się na tobie zawiódł”. Milczałem. Leland napił się herbaty i mówił dalej: „Muszę stwierdzić, że nie spełniłeś wszystkich naszych oczekiwań. Nie wykazałeś się zbyt dużą inicjatywą ostatnimi czasy. Nie popisałeś się skutecznością na Węgrzech”. — „Mein Herr... Robiłem wszystko, co w mojej mocy. A Reichsführer pogratulował mi mojej pracy. Ale między departamentami jest tak wielka rywalizacja, jedni hamują drugich...” Leland chyba w ogóle nie słuchał moich słów. „Mamy wrażenie, powiedział w końcu, że nie zrozumiałeś, czego od ciebie oczekujemy”. — „A czego panowie oczekują, mein Herr?” — „Więcej energii. Więcej kreatywności. Musisz szukać rozwiązań, a nie mnożyć przeszkody. Poza tym, pozwól, że ci to powiem, rozdrabniasz się. Reichsführer przekazał nam twoją ostatnią rozprawkę: zamiast tracić czas na dziecinadę, powinieneś myśleć o chwale Niemiec”. Czułem, jak płoną mi policzki, i z dużym wysiłkiem zapanowałem nad głosem: „O niczym innym nie myślę, mein Herr. Ale, jak pan wie, byłem bardzo chory. Mam też... inne problemy”. Dwa dni wcześniej odbyłem trudną rozmowę z von Rabingenem. Leland nie odezwał się, skinął tylko, pojawił się *maitre d'hôtel* i dolał mu herbaty. Przy barze siedział młody człowiek o ondulowanych włosach, w garniturze w kratkę, z muszką, i śmiał się zbyt głośno. Wystarczyło krótkie spojrzenie, od razu wiedziałem, kim jest: dawno już nie myślałem o tych sprawach. Leland odezwał się wreszcie: „Wiemy o twoich problemach. To niedopuszczalne, że zaszło to tak daleko. Potrzebowałeś zabić tę kobietę, niech będzie, ale mogłeś to chociaż zrobić porządnie”. Krew odpłynęła mi z twarzy: „Mein Herr..., wydusiłem tylko bezgłośnie. Ja jej nie zabiłem. To nie ja”. Patrzył na mnie spokojnie: „Niech ci będzie. Wiedz, że jest nam to całkowicie obojętne. Jeśli to zrobiłeś, miałeś do tego prawo, absolutne prawo. Jako dawni przyjaciele twojego ojca całkowicie to rozumiemy. Ale tym, do czego nie miałeś prawa, jest kompromitacja. To wyjątkowo zmniejsza twoją użyteczność dla nas”. Znow zacząłem protestować, przerwał mi jednym gestem. „Poczekajmy, zobaczymy, jak się to wszystko rozwinie. Mamy nadzieję, że się weźmiesz w garść”. Nie odezwałem się, podniósł palec. Pojawił się *maitre d'hôtel*, Leland szepnął mu parę słów i wstał. Ja również wstałem. „Do zobaczenia, rzekł monotonnym głosem. Gdybyś czegoś potrzebował, skontaktuj się z nami”. Wyszedł, nie uściskawszy mi dłoni, a za nim *maitre d'hôtel*. Nie tknąłem herbaty. Poszedłem do baru i zamówiłem

koniak, wypilem jednym haustem. Tuż obok zabrzmiał przyjemny, równy głos z silnym akcentem. „Pora chyba nieco zbyt wczesna na koniak. Ma pan ochotę na drugi?” Był to ten młody mężczyzna w muszce. Zgodziłem się; zamówił dwa koniaki i przedstawił się: Michaj I., trzeci sekretarz rumuńskiej placówki dyplomatycznej. „Jak się sprawy mają w SS?”, spytał, gdy trąciliśmy się kieliszkami. — „W SS? Dobrze? A jak tam korpus dyplomatyczny?” Wzruszył ramionami: „Nastroje raczej ponure. Zostali tylko, potoczył szerokim gestem po sali, ostatni Mohikanie. Nie możemy za bardzo urządzać koktajli z powodu restrykcji, więc schodzimy się tutaj, przynajmniej raz dziennie. Zresztą nie ma już rządu, który miałbym reprezentować”. Rumunia, wypowiedziawszy wojnę Niemcom pod koniec sierpnia, złożyła kapitulację przed Sowieciami. „To prawda. Co w takim razie reprezentuje pańska placówka?” — „W zasadzie Horia Simę. Ale to fikcja, Herr Sima sam się wystarczająco dobrze reprezentuje. Cokolwiek się stanie, znów pokazał kilka osób, wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji. Moi francuscy koledzy i bułgarscy też, zwłaszcza bułgarscy. Prawie wszyscy Finowie wyjechali. Z prawdziwych dyplomatów zostali tu tylko Szwajcarzy i Szwedzi”. Spojrzał na mnie z uśmiechem: „Niech pan przyjdzie do nas na kolację, przedstawię panu duchy reszty moich przyjaciół”.

W związkach, jak już mówiłem, zawsze starałem się unikać intelektualistów i mężczyzn z mojej klasy społecznej: tacy zawsze chcieli ze mną rozmawiać i mieli denerwującą skłonność do zakochiwania się. Dla Michaja zrobiłem wyjątek, ale nie ryzykowałem zbyt wiele, to był cynik, frywolny i amoralny. Miał domek w zachodniej części Charlottenburga, dałem się zaprosić pierwszego wieczoru, po kolacji, pod pretekstem ostatniego wspólnego kieliszka, i zostałem na noc. Pod ekscentrycznymi ciuszkami kryło się twarde i jędrne ciało atlety, prawdopodobnie spadek po chłopskich przodkach, ciemne, kędzierzawe, obfite owłosienie, cierpki zapach mężczyzny. Bawiło go, że uwiódł esesmana: „Wehrmacht czy Austwärtiges Amt to żadna sztuka”. Wracałem od czasu do czasu. Zdarzało mi się zachodzić do niego po kolacji zjedzonej z Heleną, wtedy brutalnie sobie z nim poczynałem, jak gdyby miało mi to wybić z głowy milczącą żądę mojej przyjaciółki albo moją własną ambiwalencję.

W październiku, zaraz po moich urodzinach, znów wysłano mnie na Węgry. Horthy został obalony po akcji von dem Bacha i Skorzenego, władzę przejęli strzałokrzyżowcy

Szálasiego. Kammler uporczywie domagał się siły roboczej dla swoich podziemnych fabryk i do budowy V-2, których pierwsze modele wystrzelono we wrześniu. Sowieckie oddziały szły w głąb Węgier z południa i panoszyły się na terytorium samej Rzeszy, w Prusach Wschodnich. Sonderkommando w Budapeszcie zostało rozwiązane we wrześniu, lecz Wisliceny nadal tam był, a i Eichmann szybko powrócił. I znów — totalna klapa. Węgrzy zgodzili się dać nam pięćdziesiąt tysięcy budapeszteńskich Żydów (już w listopadzie Szálasi upierał się, że ich tylko „wypożycza”), ale to my mielibyśmy ich przewieźć do Wiednia, do Kammlera, i na budowę *Ostwall*, Wału Wschodniego, a nie mieliśmy do dyspozycji żadnego transportu. Eichmann, najprawdopodobniej za zgodą Veesenmayera, zdecydował, że pójdą pieszo. Historia jest znana: wielu zmarło po drodze, a oficer odpowiedzialny za przyjęcie robotników, Obersturmbannführer Hóse, odesłał większość z tych, którzy dotarli, bo przecież nie mógł, jak powtarzał, zatrudnić kobiet do robót ziemnych. Nie mogłem na to zupełnie nic poradzić, nikt nie słuchał moich sugestii, ani Eichmann, ani Winkelmann, ani Veesenmayer, ani Węgrzy. Gdy Obergruppenführer Jüttner, szef Głównego Urzędu Dowodzenia SS, przyjechał do Budapesztu z Becherem, próbowałem interweniować u niego. Jüttner mijał w drodze idących Żydów, którzy padali jak muchy w błoto, w kałuże i w śnieg; oburzył go ten widok i rzeczywiście poszedł zaprotestować do Winkelmanna, lecz ten odesłał go do Eichmanna, nad którym nie miał żadnej kontroli, a Eichmann najzwyczajniej w świecie odmówił przyjęcia Jüttnera, wysłał tylko jednego ze swoich podwładnych, który arogancko odparł wszelkie zarzuty. Widać było, że Eichmann nie poczuwał się już do niczego, nikogo nie słuchał, no, może jeszcze tylko Müllera i Kaltenbrunnera, z tym że Kaltenbrunner nie słuchał już chyba nawet Reichsführera. Rozmawiałem o tym z Becherem, który miał w planach spotkanie z Himmlerem, poprosiłem go o interwencję, obiecał zrobić, co w jego mocy. Szálasi szybko zaczął się bać: Rosjanie szli naprzód. W połowie listopada zakazał wymarszów, choć nie wysłano jeszcze nawet trzydziestu tysięcy, kolejne bezsensowne marnotrawstwo, jeszcze jedno do kompletu. Chyba nikt już nie wiedział, co robi, albo raczej każdy robił wyłącznie to, co chciał, samopas, nie konsultując się z nikim, praca w takich warunkach stała się niemożliwa. Po raz ostatni spróbowałem interweniować u Speera, który w październiku przejął całkowitą kontrolę nad *Arbeitseinsatz*, w tym także nad sposobem użycia więźniów WVHA; wreszcie zgodził się mnie przyjąć, ale szybko odbębnił spotkanie, uznał je za bezsensowne. Fakt, nie miałem mu nic konkretnego do zaproponowania. Co się tyczy

Reichsführera, to nie rozumiałem za bardzo jego postawy. Pod koniec października rozkazał zaprzestać gazowania Żydów w Auschwitz, a pod koniec listopada, oświadczywszy, że kwestia żydowska została rozwiązana, nakazał zniszczenie wszelkich narzędzi eksterminacji w obozie. Jednocześnie w RSHA i w Personlicher Stab prowadzono ożywione dyskusje na temat utworzenia nowego obozu zagłady w Alteist-Hartel, w okolicy Mauthausen. Opowiadano także, że Reichsführer negocjuje z Żydami w Szwajcarii i Szwecji; Becher chyba coś wiedział, ale uchylał się od odpowiedzi, gdy prosiłem go o wyjaśnienia. Miałem też świadomość, że dopiął wreszcie swego i skłonił Reichsführera, by wezwał Eichmanna (to było później, w grudniu), ale o tym, co sobie wtedy powiedzieli, dowiedziałem się dopiero siedemnaście lat później, podczas procesu dzielnego Obersturmbannführera w Jerozolimie: Becher, wtedy już biznesmen i milioner z Bremy, podał w swoim zeznaniu, że spotkanie odbyło się w specjalnym pociągu Reichsführera w Schwarzwaldzie, w okolicach Trimberga, i że Reichsführer rozmawiał z Eichmannem *jednocześnie po dobroci i w gniewie*. Od tego czasu często cytuje się w książkach kilka zdań, które Reichsführer, według Bechera, rzucił upartemu podwładnemu: „Tak jak dotąd eksterminował pan Żydów, tak teraz, jeżeli tylko panu rozkażę, będzie pan dla nich jak niańka. Przypominam, że w trzydziestym trzecim to ja stworzyłem RSHA, a nie Gruppenführer Müller czy pan. Jeżeli nie może mnie pan usłuchać, proszę mi to powiedzieć!”. Całkiem możliwe, że to prawda. Ale na zeznania Bechera należy wziąć poprawkę; przypisywał sobie, na przykład, przerwanie przymusowych marszów z Budapesztu, twierdził, że Himmler wydał ten rozkaz pod jego wpływem, choć tak naprawdę wyszedł on od spanikowanych Węgrów — a także, co już zakrawa na bezczelność — wpływ na rozkaz zaprzestania *Endlösung*: jeżeli w ogóle ktokolwiek podpowiedział to Reichsführerowi, to na pewno nie ten chytry aferzysta (tylko, być może, Schellenberg).

Moja sprawa w sądzie szła własnym trybem. Sędzia von Rabingen wzywał mnie regularnie, by wyjaśnić ten czy inny aspekt. Od czasu do czasu spotykałem się z Michajem; Helena marniała w oczach, nie ze strachu, lecz z powodu tłumionych emocji. Gdy po powrocie z Węgier opowiedziałem jej o potwornościach w Nyíregyháza (3. Korpus Pancerny odbił miasto Rosjanom pod koniec października i natrafił na zgwałcone kobiety w każdym wieku, rodziców przybitych żywcem do drzwi nad zmasakrowanymi zwłokami dzieci — zrobili to Węgrzy, nie Niemcy), popatrzyła na mnie długo i spytała

łagodnie: „A w Rosji wyglądało to inaczej?”. Nie odpowiedziałem. Przyglądałem się jej nadgarstkom, nadzwyczaj szczupłym, wyłaniającym się z mankietów; pomyślałem, że z łatwością mógłbym ścisnąć je kciukiem i palcem wskazującym. „Wiem, że ich zemsta będzie straszliwa, odezwała się po chwili. Ale zasłużyliśmy na nią”. Na początku listopada moje mieszkanie, dotąd nietknięte, przestało istnieć podczas bombardowania: jedna z bomb przebiła dach i unicestwiła dwa najwyższe piętra; biedny Herr Zempke zmarł na zawał, wychodząc z na wpół zawałonej piwnicy. Na szczęście nabrałem zwyczaju trzymania części ubrań i bielizny w biurze. Michaj zaproponował, żebym zamieszkał u niego. Wolałem wprowadzić się do Wannsee, do Thomasa, który mieszkał tam od maja, od czasu, gdy spłonął jego dom na Dahlem. Prowadził szatański tryb życia, zawsze mógł liczyć na towarzystwo kilku opętańców z Amt VI, jednego lub dwóch kolegów z biura, Schellenberga i, oczywiście, dziewczyn. Schellenberg często prowadził prywatne rozmowy z Thomasem, mnie zaś wyraźnie okazywał nieufność. Pewnego dnia wróciłem trochę wcześniej i usłyszałem, że w salonie trwa ożywiona dyskusja, dotarły do mnie strzępy zdań, niechlujna i natarczywa intonacja Schellenberga: „Jeżeli ten Bernadotte się zgodzi...”. Ucichł, gdy tylko dostrzegł mnie na progu, zsalutował i odezwał się miło: „Aue, cieszę się, że pana widzę”. Nie podjął już przerwanej rozmowy z Thomasem. Gdy miałem dość wieczorków u mojego przyjaciela, dawałem się, od czasu do czasu, porywać Michajowi. Chodził na codzienne imprezy pożegnalne, wyprawiane przez dr. Kosaka, chorwackiego ambasadora, które odbywały się albo w placówce, albo w jego willi na Dahlem. Zjawiała się tu śmietanka korpusu dyplomatycznego i Auswärtiges Amt, obżerali się, upijali i obmacywali najładniejsze starletki UFA: Marię Milde, Ilse Werner, Marikę Röck. Około północy chór zaczynał śpiewać ludowe piosenki dalmatyńskie. Po zwyczajowym „rajdzie” mosquito przychodzili artylerzyści z pobliskiego chorwackiego stanowiska przeciwlotniczego, pili i grali jazz aż do świtu; był wśród nich oficer ocalały ze Stalingradu, pilnowałem się, żeby nie zdradzić mu, że też tam byłem, nie dałby mi spokoju. Te bachanalia przeradzały się czasem w orgię, pary gziły się po alkowach placówki, a sfrustrowani samotnicy wychodzili opróżniać pistolety do ogrodu. Pewnego wieczoru pijany kochałem się z Michajem w pokoju ambasadora, który chrapał na dole na kanapie; gdy skończyliśmy, rozochocony Michaj przyprowadził jakąś aktoreczkę i wziął ją na moich oczach, a ja kończyłem butelkę śliwownicy i medytowałem nad potrzebami ciała. Ta prózna, gorączkowa wesołość nie mogła trwać wiecznie. Pod koniec grudnia, gdy

Rosjanie zajęli Budapeszt, a nasza ostatnia ofensywa grzęzła w Ardenach, Reichsführer wysłał mnie na inspekcję ewakuacji obozu w Auschwitz.

Latem spóźniona, pospieszna ewakuacja KL Lublin przysporzyła nam wiele kłopotów: Sowieci zajęli nienaruszone instalacje i pełne magazyny — to była woda na młyn dla ich propagandy okrucieństwa. Od końca sierpnia ich siły stacjonowały nad Wisłą, lecz oczywiste było, że na tym się nie skończy. Należało podjąć odpowiednie działania. Za ewakuację obozów i podobozów kompleksu Auschwitz odpowiedzialny był Obergruppenführer Ernest Schmauser, HSSPF wojskowego dystryktu VIII, który obejmował Górny Śląsk; operacja, jak mi wyjaśnił Brandt, miała być przeprowadzona przez personel obozu. Moja rola polegała na zagwarantowaniu priorytetowego charakteru ewakuacji siły roboczej, nadającej się do użytku i w dobrym stanie — mieli być eksploatowani w głębi Rzeszy. Po moich węgierskich rozczarowaniach podszedłem do wszystkiego nieufnie: „Jaki będzie zakres mojej władzy?, spytałem Brandta. Czy będę miał możliwość wydawania niezbędnych rozkazów?”. Zignorował pytanie: „Obergruppenführer Schmauser posiada pełnię władzy. Jeżeli zauważy pan, że personel obozu nie współpracuje w wymaganym duchu, proszę mu o tym donieść, a on wyda odpowiednie rozkazy”. — „A jeśli będę miał kłopoty z Obergruppenführerem?” — „Nie będzie pan miał kłopotów z Obergruppenführerem. To doskonały narodowy socjalista. Zresztą będzie pan w stałym kontakcie z Reichsführerem lub ze mną”. Z doświadczenia wiedziałem, że to dość nikła gwarancja. Nie miałem jednak wyboru.

Możliwość wrogiego natarcia, zagrażającego obozowi koncentracyjnemu, została przywołana przez Reichsführera 17 czerwca 1944 roku, w instrukcji zatytułowanej *Fall-A*, „Plan A”, która, w sytuacji kryzysowej, dawała regionalnemu HSSPF-owi duży zakres władzy nad obozowym personelem. Gdyby więc Schmauser rozumiał konieczność utrzymania przy życiu jak największej liczby robotników, wszystko mogłoby się potoczyć jak trzeba. Pojechałem spotkać się z nim w jego kwaterze w Breslau. Był to mężczyzna starej daty, mógł mieć jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat, surowy i sztywny profesjonalista. Plan ewakuacji obozu, wyjaśnił mi, mieścił się w ogólnych ramach strategii odwrotu ARLZ: Auflockerung — Räumung — Lähmung — Zerstörung (Demontaż — Ewakuacja — Unieruchomienie — Destrukcja), sformułowanej pod koniec

1943 roku i zastosowanej „z takim sukcesem na Ukrainie i Białorusi, gdzie bolszewicy nie tylko nie znaleźli schronienia i żywności, ale w dodatku, w niektórych dystryktach, jak na przykład Nowogród, odzyskali wyłącznie jedną, potencjalnie użyteczną istotę ludzką”. Dystrykt VIII wydał rozkaz przeprowadzenia ARLZ 19 września. W ramach tej strategii ewakuowano już do *Altreich* 65 000 *Häftlinge*, w tym wszystkich więźniów polskich i radzieckich, mogących stanowić zagrożenie dla naszych tyłów w przypadku zbliżenia się wroga. Pozostało 67 000 więźniów, z czego 35 000 nadal pracowało w fabrykach na Górnym Śląsku i w sąsiednich regionach. Już w październiku Schmauser polecił swojemu oficerowi łącznikowemu, majorowi policji Boesenbergowi, zaplanowanie ostatecznej ewakuacji oraz dwóch ostatnich faz programu ARLZ. To z nim miałem porozmawiać o szczegółach, pamiętając, że Gauleiter Bracht, dzięki kompetencji Reichskommissara do spraw obrony *Gau*, mógł podjąć decyzję o wprowadzeniu tych planów w życie. „Sam pan rozumie, zakończył rozmowę Schmauser, wszyscy wiemy, jak ważne jest ratowanie zasobów roboczego potencjału, lecz dla nas i dla Reichsführera także najważniejsze pozostają kwestie bezpieczeństwa. Tak wielka masa wrogiej ludności wewnątrz naszych linii frontu to ogromne ryzyko, nawet jeśli jest to ludność nieuzbrojona. Sześćdziesiąt siedem tysięcy więźniów to prawie siedem dywizji: niech pan sobie wyobrazi siedem wrogich dywizji na wolności, na tyłach naszej armii podczas ofensywy! W październiku, być może się pan orientuje, mieliśmy bunt w Birkenau, wśród Żydów z Sonderkommando. Na szczęście opanowaliśmy to, ale straciliśmy ludzi, a jedno z krematoriów zostało wysadzone. Niech pan sobie wyobrazi: gdyby mogli połączyć swoje siły z polskimi partyzantami, którzy stale grasują wokół obozu, mogliby spowodować niezliczone szkody, umożliwić ucieczkę tysiącom więźniów! Od sierpnia Amerykanie bombardują fabrykę IG Farben, więźniowie wykorzystują to codziennie, próbują uciec. W przypadku ostatecznej ewakuacji, jeśli do niej dojdzie, będziemy musieli zrobić wszystko, żeby zapobiec podobnym sytuacjom. Trzeba się będzie mieć na baczności”. Dobrze rozumiałem ten punkt widzenia, lecz miałem poważne obawy co do praktycznych konsekwencji, które mogłyby z niego wynikać. Wypowiedź Boesenberga jakoś nie bardzo mnie uspokoiła. Na papierze jego plan był przygotowany bardzo starannie, wyrysowano nawet dokładne mapy dla każdej z dróg ewakuacyjnych; Boesenberg zajadłe krytykował Sturmbannführera Bära, który odmówił wszelkich wspólnych konsultacji przy opracowywaniu owego planu (po ostatniej reorganizacji administracyjnej pod koniec

listopada ten dawny cukiernik został komendantem połączonych obozów I i II, a także Standorttesterem trzech obozów i wszystkich Nebenlager). Bär, argumentując, że HSSPF nie ma nad obozem żadnej władzy, co z technicznego punktu widzenia było słuszne do czasu ogłoszenia *Fall-A*, zgodził się rozmawiać w tej sprawie wyłącznie z Amtsgruppe D. Ścisła i płynna współpraca odpowiedzialnych instancji w czasie ewakuacji nie zapowiadała się dobrze. Poza tym — mój niepokój wzrósł jeszcze po doświadczeniach października i listopada — plan Boesenberga przewidywał pieszą ewakuację obozu, więźniowie mieli przejść od pięćdziesięciu pięciu do sześćdziesięciu trzech kilometrów do pociągów czekających w Gleiwitz i Loslau. Plan był logiczny: sytuacja wojenna, którą brał pod uwagę, nie pozwalała w pełni wykorzystać dróg kolejowych w okolicach linii frontu; zresztą dramatycznie brakowało środków transportu (w całych Niemczech zostało już tylko około dwustu tysięcy wagonów, 70% strat w ciągu dwóch miesięcy). Należało również wziąć pod uwagę ewakuację niemieckich cywilów, w pierwszej kolejności, a następnie zagranicznych robotników i jeńców wojennych. 21 grudnia Gauleiter Bracht ogłosił całkowity *U-Plan / Treckplan* dla prowincji, wcielając wń plan Boesenberga, zgodnie z którym więźniowie KL mieli, ze względów bezpieczeństwa, pierwszeństwo, jeśli chodzi o przeprawę przez Odrę, najważniejsze gardło na drogach ewakuacji. Po raz kolejny na papierze wszystko wyglądało jak trzeba, ale wiedziałem, co może wyniknąć z przymusowego marszu w samym środku zimy, bez przygotowania, nie mówiąc już o tym, że węgierscy Żydzi stawali do marszu zdrowi, a tu mieliśmy do czynienia z *Häftlinge*, zmęczonymi, osłabionymi, źle odżywionymi i źle ubranymi, w sytuacji, która musiała wywołać panikę; ewakuacja nawet zaplanowana, mogła w każdej chwili przybrać nieoczekiwany obrót. Długo wypytywałem Boesenberga o tę kluczową sprawę: zapewnił mnie, że przed wymarszem zostaną rozdane ciepłe ubrania i dodatkowe koce i że na drogach będą rozstawione magazyny z zapasami żywności. Oświadczył, że nic lepszego nie może zrobić. Musiałem przyznać, że prawdopodobnie ma rację.

W Auschwitz spotkałem w komendanturze Sturmbannführera Krausa, oficera łącznikowego oddelegowanego przez Schmausera do Sonderkommando SD. Pracował w obozie na czele „biura łączności i przekazu”. Ten Kraus, młody oficer ze śladami ciężkich poparzeń na szyi i lewym uchu, uprzejmy i kompetentny, poinformował mnie, że odpowiada przede wszystkim za fazy „Unieruchomienie” i „Destrukcja” — musiał, między innymi, sprawdzić, czy instalacje eksterminacyjne i magazyny nie wpadną

nienaruszone w ręce Rosjan. Co się tyczy odpowiedzialności za wykonanie rozkazu ewakuacji, od chwili, gdy zostanie on wydany, to spoczywać ona będzie na Bärze. Ten ostatni przyjął mnie dość niegrzecznie, widocznie w jego oczach byłem tylko kolejnym biurokrata z zewnątrz, który zakłócał jego pracę. Zwróciłem uwagę na jego przenikliwe, pełne niepokoju spojrzenie, zadarty nos i usta — cienkie, lecz zadziwiająco zmysłowe; gęste, falowane włosy ułożył na brylantynie niczym berliński dandys. Wywarł na mnie wrażenie człowieka niezwykle pośepnego i ograniczonego, jeszcze bardziej niż Höss, który miał przynajmniej intuicję dawnego snajpera. Powołując się na swój stopień wojskowy, skrytykowałem go ostro za brak szczerej współpracy ze służbami HSSPF-a. Odpowiedział mi z niehamowaną arogancją, że Pohl w pełni popiera jego stanowisko. „Gdy *Fall-A* zostanie wprowadzony, przejdę pod rozkazy Obergruppenführera Schmausera. Do tego czasu zależę wyłącznie od Oranienburga. Nie ma pan prawa mi rozkazywać”. — „W chwili, gdy zostanie ogłoszony *Fall-A*, odgryzłem się wściekły, będzie za późno, by naprawić skutki pańskiej niekompetencji. Uprzedzam pana, że w raporcie do Reichsführera obciążę pana osobistą odpowiedzialnością za ewentualne nadmierne straty”. Moje groźby nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, słuchał mnie w milczeniu i nie krył pogardy.

Bär przydzielił mi biuro w komendanturze Birkenau, a ja sprowadziłem z Oranienburga Obersturmführera Eliasa i jednego z moich nowych podwładnych, Untersturmführera Dariusa. Zająłem kwatery w Haus der Waffen-SS. Dostałem ten sam pokój co podczas mojej pierwszej wizyty, półtora roku wcześniej. Pogoda była wstrętna, zimno, wilgotno, zmiennie. Całą okolicę zasypał śnieg — grubą warstwą, często pokrytą sadzą z kopalni i kominów, jak brudną, szarą koronką. W obozie śnieg był niemal czarny, ubity stopami tysięcy więźniów, zmieszany z zamrzniętym błotem. Gwałtowne zamiecie schodziły niespodziewanie z Beskidów, zasypywały cały obóz, przez dwadzieścia minut dusiły wszystko pod białym, roztrzepotany woalem i równie szybko ulatniały się, sprawiając, że wokół na krótko stawało się białe i nieskazitelne. Teraz w Birkenau dymił już tylko jeden komin, i to nieregularnie, komin krematorium W, które działało nadal, by likwidować ciała zmarłych w obozie więźniów. Krematorium III było zrujnowane od czasu październikowego buntu, a dwa inne, zgodnie z instrukcjami Himmlera, zostały częściowo rozebrane. Opuszczono nową strefę budowy i usunięto sporą część baraków, a

pusty, rozległy teren zasypał śnieg; problem przeludnienia rozwiązano za pomocą wstępnych ewakuacji. Gdy niebo się rozchmurzało, za geometrycznymi rzędami baraków pojawiała się niebieskawa linia Beskidów: obóz, przysypany śniegiem, wydawał się spokojny i cichy. Niemal codziennie jeździłem na inspekcję do różnych obozów filialnych, Günthergrube, Fürstergrube, Schechowitz, Neu Dachs, małych obozów w Gleiwitz, i sprawdzałem stan przygotowań. Długie, płaskie drogi były niemal całkiem wyludnione, z rzadka tylko pojawiały się na nich ciężarówki Wehrmachtu. Wracalem wieczorami, pod ciemnym niebem, które jak ciężka i szara masa, nabrzmiała śniegiem, spadała niczym prześcieradło na odległe wioski — a czasem pod niebem delikatnym, błękitnym i bladożółtym, upstrzonym kilkoma zaledwie obłokami w kolorze matowego fioletu, obrębionymi światłem zachodzącego słońca, które rzucało niebieskie cienie na leżący śnieg i lód bagien rozlanych po polskiej ziemi. Wieczorem, 31 grudnia, zorganizowano w Haus dyskretną imprezę dla oficerów będących tu przejazdem i kilku oficerów z obozu: śpiewaliśmy melancholijne kolędy, żołnierze pili leniwie i rozmawiali stłumionymi głosami. Wszyscy czuli, że to ostatni wojenny sylwester, że niewielkie są szanse, by Rzesza przetrwała do następnego roku. Spotkałem dr. Wirthsa, był w głębokiej depresji, wysłał rodzinę do Niemiec; poznałem też Untersturmführera Schurza, nowego szefa Politische Abteilung, który okazał mi dużo większe względy niż jego komendant. Długo rozmawiałem z Krausem, wiele lat służył w Rosji, aż do poważnej rany, którą odniósł pod Kurskiem — miał wiele szczęścia, że udało mu się wydostać z płonącego pojazdu opancerzonego. Po rekonwalescencji wysłano go do dystryktu SS Południowy Wschód, do Breslau, a w końcu wylądował w kwaterze głównej Schmausera. Ten oficer, który nosił te same imiona — Franz Xaver — co inny Kraus, znany dziewiętnastowieczny teolog katolicki, zrobił na mnie wrażenie człowieka poważnego, otwartego na opinie innych, lecz przepełnionego fanatyczną determinacją doprowadzenia misji do końca. Twierdził, że dobrze rozumie moje cele, zgadzał się, że żaden więzień nie powinien, naturalnie, wpaść w ręce Rosjan żywy — i uważał, że te dwa warunki się nie wykluczają. W zasadzie miał rację, ale ja ze swej strony niepokoiłem się — jak się przekonamy słusznie — że zbyt surowe rozkazy wzniesą brutalność wśród obozowych strażników, którymi, w tym szóstym roku wojny, były męty SS, żołnierze zbyt starzy i zbyt chorzy, by służyć na froncie, folksdojczce ledwo mówiący po niemiecku, weterani cierpiący na zaburzenia psychiczne, ale których uznano za zdolnych do pełnienia służby, alkoholicy,

narkomani i degeneraci na tyle sprytni, że udało im się uniknąć batalionu piechoty czy plutonu egzekucyjnego. Oficerowie byli często tyle samo warci co ich podwładni: wraz z przesadną ekspansją obozowego systemu w ostatnim roku WVHA zmuszony był rekrutować byle kogo, promować niekompetentnych podoficerów i przywracać do pracy oficerów odwołanych za ciężkie przewinienia albo takich, których nikt inny nie chciał. Hauptsturmführer Drescher, oficer, którego spotkałem tamtego wieczoru, utwierdził mnie w moim pesymizmie. Drescher kierował jednym z oddziałów komisji Morgena, nadal działającej w obozie, i widział mnie kiedyś w Lublinie, byłem z jego zwierzchnikiem. Tamtego wieczoru, w loży, nieco na uboczu sali restauracyjnej, otworzył się przede mną i dość szczerze opowiedział mi o prowadzonych śledztwach. Śledztwo w sprawie Hössa, będące na ukończeniu w październiku, nagle, w listopadzie, załamało się, pomimo zeznań jednej z więźniarek, austriackiej prostytutki, którą Höss uwiódł, a następnie próbował zabić, zamknąwszy w celi dyscyplinarnej Politische Abteilung. Po przeniesieniu do Oranienburga pod koniec 1943 roku Höss zostawił rodzinę w domu komendanta w Auschwitz, zmuszając kolejnych następców do szukania kwater gdzie indziej; przeprowadził ich dopiero w poprzednim miesiącu, prawdopodobnie z powodu rosyjskiego zagrożenia, a w obozie wiadomo było oficjalnie, że Frau Höss wywiozła mienie w czterech ciężarówkach załadowanych po brzegi. Drescher był chory z obrzydzenia, ale Morgen natrafił na mur protektorów Hössa. Śledztwa trwały, ale dotyczyły tylko pomniejszych płotek. Dołączył do nas Wirths, lecz Drescher nie przerywał sobie, nie zważając na obecność lekarza; widocznie nie mówił nic nowego. Wirths niepokoił się ewakuacją: pomimo planu Boesenberga ani w Stammlager, ani w Birkenau nie poczyniono żadnych kroków w kierunku przygotowania racji żywnościowych i ciepłych ubrań. Ja też się martwiłem.

A Rosjanie nie ruszali się z miejsca. Na Zachodzie nasi walczyli zażarcie (Amerykanie trzymali się mocno w Bastogne), przeszliśmy też do ofensywy w Budapeszcie, co tchnęło w nas trochę nadziei. Lecz ci, którzy umieli czytać między wierszami, wiedzieli już, że słynne rakiety V-2 okazały się nieskuteczne, nasza druga ofensywa w północnej Alzacji została natychmiast stłumiona i przeczuliśmy, że przegrana to tylko kwestia czasu. Na początku stycznia dałem Piontkowi dzień urlopu, by mógł ewakuować rodzinę z Tarnowitz, przynajmniej do Breslau; nie chciałem, żeby się

później o nią zamartwiał. Śnieg padał często, a gdy się przejaśniało, widać było ciężki, brudny dym hut, dominujący nad śląskim pejzażem, znak produkcji czołgów, amunicji i dział — trwało to do ostatniej chwili. I tak upłynęło dziesięć następnych dni, pełnych napiętego spokoju i biurokratycznej przepychania. Zdołałem wreszcie przekonać Bara do przygotowania specjalnych racji żywnościowych i rozdania ich więźniom w chwili wymarszu; powiedział mi, że ciepłe ubrania pobierzemy z „Kanady”, której magazyny, z powodu braku kolejnych transportów, były przepełnione. Jedna dobra wiadomość sprawiła, że moje napięcie nieco zelżało. Pewnego wieczoru, w Haus, do mojego stolika podszedł Drescher. Niósł dwa kieliszki koniaku i uśmiechał się pod wąsem: „Gratuluję, Herr Obersturmbannführer”, rzekł, podając mi jeden kieliszek i unosząc drugi. — „Bardzo dziękuję, ale czego?” — „Rozmawiałem dziś ze Sturmbannführerem Morgenem. Prosił, żeby panu przekazać, że umorzono śledztwo”. Poczułem tak wielką ulgę, że nie bardzo obszedł mnie fakt, iż Drescher wie o całej sprawie. A on mówił dalej: „Z powodu braku jakichkolwiek dowodów materialnych sędzia von Rabingen postanowił zamknąć wszczęte przeciwko panu dochodzenie. Von Rabingen powiedział Sturmbannführerowi, że nigdy jeszcze nie miał do czynienia z przypadkiem, w którym wszystko tak nie trzymałoby się kupy i opierało na tak nikłych przesłankach, i jeszcze, że Kripo wykonało okropną robotę. Był bliski stwierdzenia, że to wszystko to część intrygi przeciw panu”. Westchnąłem: „Zawsze to powtarzałem. Na szczęście Reichsführer nie stracił do mnie zaufania. Jeżeli jest tak, jak pan mówi, mój honor został oczyszczony”. — „Tak właśnie jest, przytaknął Drescher, kiwając głową. Sturmbannführer Morgen zdradził mi, że sędzia von Rabingen myśli o podjęciu czynności dyscyplinarnych przeciwko inspektorom, którzy się nad panem znęcali”. — „Byłbym zachwycony”. Informację potwierdził trzy dni później list od Brandta, z załączoną kopią pisma do Reichsführera, w którym von Rabingen oświadczał, że jest *w pełni przekonany o mojej niewinności*. W żadnym z listów nie było mowy o Clemensie i Weserze, ale to mi wystarczało.

Wreszcie, po krótkim odpoczynku, Sowieci ruszyli ze swoich przyczółków na Wiśle z ofensywą, której tak bardzo się obawialiśmy. Nasze szczupłe siły obronne zostały zmiażdżone. Rosjanie podczas przerwy zebrali niesłychaną siłę ognia: czołgi T-34 runęły naprzód w kolumnach przez polskie równiny i rozbijały nasze dywizje, imitując po mistrzowsku naszą własną taktykę z czterdziestego pierwszego roku; w wielu miejscach nasze oddziały zostały zaskoczone przez czołgi wroga, choć przebywały formalnie 100

kilometrów od linii frontu. 17 stycznia generalny gubernator Frank i jego administracja ewakuowali się z Krakowa, a z ruin Warszawy wycofywały się nasze ostatnie jednostki. Pierwsze sowieckie pojazdy opancerzone penetrowały już Śląsk, gdy Schmauser zdecydował się wprowadzić *Fall-A*. Ze swojej strony zrobiłem wszystko, co wydawało mi się możliwe: w naszych dwóch samochodach zgromadziłem zapas kanistrów z benzyną, kanapek i rumu, i zniszczyłem kopie moich raportów. Wieczorem, 17 stycznia, stawiałem się przed Barem wraz z resztą oficerów; oświadczył nam, że zgodnie z instrukcjami Schmausera wszyscy zdrowi więźniowie będą ewakuowani pieszo, począwszy od następnego poranka: dzisiejszy apel wieczorny będzie ostatnim apelem. Ewakuacja miała przebiegać zgodnie z planem. Każdy komendant kolumny miał za zadanie pilnować, by więźniowie nie uciekali i nie zostawali w tyle podczas marszu, każda taka próba miała być bezwzględnie karana; jednakże Bar odradzał strzelanie do więźniów podczas przemarszu przez wioski, by nie wzniecać paniki wśród miejscowej ludności. Głos zabrał jeden z komendantów kolumny w stopniu Obersturmführera: „Herr Sturmbannführer, czy ten rozkaz nie jest zbyt surowy? Jeżeli jakiś *Häftling* próbuje zbiec, normalne jest, że się do niego strzela. Ale jeśli, po prostu, jest zbyt słaby, by iść?” — „Wszyscy więźniowie, którzy idą pieszo, są określani jako zdolni do pracy i nie powinni mieć problemów z przejściem pięćdziesięciu kilometrów, odparł Bar. Chorzy i niedołążni zostaną w obozie. Jeżeli w kolumnie znajdują się chorzy, mają zostać wyeliminowani. To rozkaz”.

Tamtej nocy esesmani z obozu spali niewiele. Z Haus, stojącego tuż przy dworcu, patrzyłem na długie kolumny niemieckich cywilów, uciekające przed Rosjanami: przechodzili przez miasto i most na Sole i rzucali się szturmem na dworzec albo, z wielkim wysiłkiem, szli dalej na zachód. Esesmani pilnowali specjalnego pociągu, zarezerwowanego dla rodzin personelu obozowego; był już przepełniony, mężczyźni usiłowali wepchnąć pakunki między swoje żony i dzieci. Po kolacji pojechałem na inspekcję Stammlager i obozu Birkenau. Obszedłem kilka baraków: więźniowie próbowali spać, kapo poinformowali mnie, że nie rozdano jeszcze żadnych dodatkowych ubrań, lecz ja wciąż miałem nadzieję, że zrobią to rano, przed wymarszem. W alejach płonęły stosy dokumentów: nie mieściły się w piecach. W Birkenau dostrzegłem spore poruszenie w okolicach „Kanady”: w świetle reflektorów więźniowie ładowali na ciężarówki towar wszelkiego rodzaju. Untersturmführer, który nadzorował akcję, oświadczył, że wszystko zostanie przewiezione do KL Gross-Rosen. A przecież dobrze widziałem, że strażnicy SS

brali sobie, co chcieli, czasem nawet się z tym nie kryli. Ludzie krzyczeli, biegali gorączkowo, bez celu, czułem, że ogarnia ich wszystkich panika, że tracą poczucie umiaru i dyscypliny. Jak zwykle robiono wszystko na ostatnią chwilę, bo przecież szybsza reakcja byłaby oznaką defetyzmu; teraz Rosjanie byli o krok, a strażnicy Auschwitz wiedzieli, jaki los spotkał esesmanów złapanych w obozie w Lublinie, i tracili rozeznanie, co jest naprawdę ważne, a w głowie mieli tylko jedno — ucieczkę. Zniechęcony poszedłem spotkać się z Drescherem, w jego biurze w Stammlager. On też palił swoje dokumenty. „Widział pan, jak kradną?”, spytał, śmiejąc się pod wąsem. Wyjął z szuflady butelkę dobrego armaniaku: „Co pan na to? Pewien Untersturmführer, którego ścigam od czterech miesięcy i którego nigdy nie udało mi się złapać na gorącym uczynku, dał mi, gnojek, pożegnalny prezent. Oczywiście kradziony. Napije się pan ze mną?”. Nalał dwie miarki do szklanek na wodę: „Przykro mi, nie mam nic lepszego”. Uniósł szklanę, zrobiłem to samo. „No, powiedział, niech pan zaproponuje jakiś toast”. Nic nie przychodziło mi do głowy. Wzruszył ramionami: „Mnie też nic. Więc pijmy”. Armaniak był wyśmienity, dość mocny, aromatyczny. „Dokąd pan jedzie?”, spytałem. „Do Oranienburga, zdać raport. Wiozę ze sobą materiał, na podstawie którego będę mógł oskarżyć jeszcze jedenaście osób. A później wyślą mnie, gdzie zechcą”. Szykowałem się do wyjścia, podał mi butelkę: „Proszę, niech ją pan zatrzyma. Potrzebuje pan tego bardziej niż ja”. Wsunąłem ją do kieszeni płaszcza, ucisnąłem mu dłoń i wyszedłem. Wstąpiłem do HKB, szpitala dla więźniów, gdzie Wirths nadzorował ewakuację sprzętu medycznego. Powiedziałem mu o ciepłych ubraniach. „Magazyny są pełne, zapewnił mnie. Nie powinno być większych trudności z dystrybucją koców, butów, płaszczy”. Bär, którego zastałem około drugiej w nocy w komendanturze Birkenau przy planowaniu porządku wymarszu poszczególnych kolumn, był chyba innego zdania. „Magazynowane mienie stanowi własność Rzeszy. Nie otrzymałem żadnego rozkazu rozdawania go więźniom. Zostanie ono ewakuowane ciężarówkami lub koleją, gdy tylko zaistnieje taka możliwość”. Temperatura na zewnątrz wynosiła około dziesięciu stopni poniżej zera, aleje były zamrożone, śliskie. „W tych ubraniach pańscy więźniowie nie przeżyją. Wielu będzie szło praktycznie boso”. — „Ci, którzy mają przeżyć, przeżyją, oświadczył Bär. Innych nie potrzebujemy”. Coraz bardziej wściekły zszedłem do centrum komunikacji i zażądałem połączenia z Breslau, lecz Schmauser był nieosiągalny, Boesenberg także. Jeden z operatorów pokazał mi depezę Wehrmachtu: padła Częstochowa, rosyjskie oddziały stały u bram Krakowa. „Robi się

gorąco”, skomentował lakonicznie. Miałem zamiar wysłać teleks do Reichsführera, ale to nic by nie zmieniło. Pomyślałem, że lepiej zrobię, jak poszukam jutro Schmausera, z nadzieją, że będzie miał więcej rozsądku niż ten osioł Bär. Poczułem nagłe zmęczenie, wróciłem do Haus i położyłem się spać. Za oknem nadal sunęły kolumny cywilów, wymieszanych z żołnierzami Wehrmachtu, szli wymęczeni, okutani wieśniacy, ciągnąc na wozach ściśnięty dobytek i dzieci, pędząc przed sobą bydło.

Piątek mnie nie obudził, spałem do ósmej. Kuchnia pracowała nadal, zamówiłem omlet z kielbasą. Po śniadaniu wyszedłem. W Stammlager i Birkenau kolumny więźniów wychodziły poza teren obozu. *Häftlinge*, owinąwszy stopy we wszystko, co udało się im znaleźć, szli wolno, powłócząc nogami, otoczeni strażnikami SS i prowadzeni przez dobrze odżywionych i ciepło ubranych kapo. Wszyscy, którzy posiadali w obozie koce, wzięli je ze sobą i teraz zakładali na głowy, co upodabniało ich do Beduinów; nie mieli nic więcej. Gdy zapytałem o wyżywienie, dostałem odpowiedź, że rozdano im chleb i po kawałku kielbasy na trzy dni; nikt nie otrzymał rozkazu dotyczącego ubrań.

A jednak pierwszego dnia, pomimo lodu i mokrego śniegu, wszystko szło w miarę sprawnie. Obserwowałem kolumny więźniów opuszczających obóz, rozmawiałem z Krausem, nadrabiałem drogi, by sprawdzić, jak to wygląda dalej. Wszędzie widziałem nadużycia: strażnicy kazali pchać więźniom wozy ze swoim dobytkiem albo zmuszali ich do niesienia walizek. Na skraju drogi dostrzegałem gdzieś zwłoki leżące w śniegu, często z zakrwawioną głową — strażnicy wykonywali surowe rozkazy Bära. Lecz kolumny szły naprzód bez zamieszania, nie było prób buntu. Po południu zdołałem się skontaktować ze Schmauserem, by przedyskutować z nim kwestię ubrań. Nie dał mi dokończyć i wyśmiał moje obawy: „Nie można im dać cywilnych ubrań. To by zwiększało ryzyko ucieczki”. — „Więc dajmy im chociaż buty”. Zawahał się. „Niech się pan dogada z Bärem”, powiedział w końcu. Miał inne zmartwienia, dobrze to czułem, ale wolałbym otrzymać jasny rozkaz. Poszedłem odszukać Bära w Stammlager: „Obergruppenführer Schmauser rozkazał wydawać buty więźniom, którzy ich nie posiadają”. Bär wzruszył ramionami: „Tu nie mam już żadnych butów, wszystko zostało załadowane i wywiezione. Niech pan sprawdzi w Birkenau, u Schwarzhubera”. Dwie godziny zajęło mi odnalezienie tego oficera, Lagerführera Birkenau, akurat pojechał na inspekcję jednej z kolumn. „Świetnie. Zajmę się tym”, obiecał, gdy powtórzyłem mu rozkaz. Pod wieczór wrócili Elias i Darius, wysłałem ich na inspekcję ewakuacji Monowitz i kilku Nebenlager.

Wszystko przebiegało w jako takim porządku, z tym że już późnym popołudniem coraz liczniejsi, wyczerpani więźniowie stawali po drodze i nie bronili się przed strzałami strażników. Pojechałem z Piontkiem sprawdzić, jak przygotowano miejsca na nocny odpoczynek. Wbrew oficjalnym rozkazom Schmausera — obawiano się, że więźniowie skorzystają z ciemności, by zbiec — niektóre kolumny nadal posuwały się naprzód. Skrytykowałem oficerów, a oni odpowiedzieli mi, że nie dotarli jeszcze do wyznaczonych punktów, poza tym nie mogą przecież kazać więźniom spać na zewnątrz, na śniegu albo na lodzie. Tak czy inaczej punkty zbiórki, które obejrzelśmy, pozostawiały wiele do życzenia: jedna szopa czy szkoła musiały czasem pomieścić tysiąc więźniów; wielu spało na zewnątrz, przytuleni do siebie. Zażądałem, by rozpalono ogniska, ale nie było drewna, drzewa były wilgotne i brakowało narzędzi, by je ścinać; tam, gdzie udało się znaleźć deski czy stare skrzynki, wzniecano słaby ogień, który nie wytrzymał do świtu. Nie było w planach żadnej zupy, więźniowie musieli przeżyć na tym, co dostali w obozie; zapewniono mnie, że dalej czekają nowe racje żywnościowe. Większość kolumn nie przeszła nawet pięciu kilometrów; wiele znajdowało się jeszcze w opustoszałej strefie obozu. W tym tempie marsze mogły potrwać nawet dziesięć, dwanaście dni.

Wróciłem do Haus ubłocony, mokry, zmachany. Był tam Kraus, pił w towarzystwie kilku kolegów z SD. Przysiadł się do mnie: „Jak idzie?”, spytał. — „Niezbyt dobrze. Będą niepotrzebne straty. Bär mógłby się bardziej przyłożyć”. — „Bär ma to gdzieś. Wie pan, że został mianowany komendantem Mittelbau?” Uniosłem brwi: „Nie, nie wiedziałem. Kto będzie nadzorował zamknięcie obozu?” — „Ja. Dostałem już rozkaz utworzenia biura, gdy tylko skończy się ewakuacja, i kierowania rozwiązaniem administracyjnym obozu”. — „Gratulacje”, powiedziałem. — „Och, odparł, chyba pan nie myśli, że to mnie bawi. Szczerze mówiąc, wolałbym robić co innego”. — „A pańskie pilne prace?” — „Czekamy, aż obóz się opróżni. Wtedy zaczniemy”. — „Co zrobicie z więźniami, którzy zostaną?” Wzruszył ramionami z ironicznym uśmieszkiem: „A jak pan myśli? Obergruppenführer rozkazał ich zlikwidować. Nikt nie może wpaść żywy w ręce bolszewików”. — „Rozumiem”. Dopilem alkohol. „Cóż, odwagi. Nie zazdroszczę panu”.

Sprawy pogarszały się niepostrzeżenie. Nazajutrz rano wznowiono wymarsze z obozu, kolumny wychodziły główną bramą, strażnicy nadal stali na linii wartowni, panował porządek, ale po kilku kilometrach kolumny zaczynały się rozciągać, rwać, najślabi więźniowie zwalniali. Było coraz więcej trupów. Padał gęsty śnieg, ale nie było

zimno, ja w każdym razie nie marzłem, w Rosji przeżyłem dużo gorsze mrozy, no, ale ja byłem ciepło ubrany, jechałem ogrzewanym samochodem, a strażnicy, którzy musieli maszerować, mieli swetry, grube płaszcze i wysokie buty; *Häftlinge* byli na pewno skostniali. Strażników ogarniał coraz większy lęk, wrzeszczeli na więźniów, bili ich. Widziałem, jak jeden ze strażników skatował więźnia, który stanął, żeby się wypróżnić; udzieliłem mu reprimendy, po czym zażądałem od Untersturmführera, który dowodził kolumną, by go zawiesił w wykonywaniu obowiązków. Odpowiedział, że nie może sobie na to pozwolić, bo nie ma wystarczającej liczby ludzi. W wioskach polscy wieśniacy, którzy wyczekiwali Rosjan, patrzyli w milczeniu na sunących więźniów, krzyczeli coś do nich w swoim języku. Strażnicy brutalnie odganiaли tych, którzy próbowali podać chleb lub jakąś inną żywność; byli bardzo niespokojni, bo w wioskach — wszyscy o tym wiedzieli — rojło się od partyzantów, obawiali się więc ataków. Wieczorem, w miejscach zbiórki, które odwiedziłem, znowu nie było zupy ani chleba, a wielu więźniów dawno już zjadło swoje pierwsze racje. Pomyślałem, że jak tak dalej pójdzie, połowa, a nawet dwie trzecie każdej z kolumn padnie, zanim dotrze na miejsce. Rozkazałem Piontkowi, by zawiózł mnie do Breslau. Z powodu złej pogody i tłumów uchodźców dotarliśmy dopiero po północy. Schmauser już spał, a Boesenberg, jak mi powiedziano w Kwaterze Głównej, pojechał do Kattowitz, w pobliże frontu. Nieogolony oficer pokazał mi mapę operacji: pozycje Rosjan, jak wyjaśnił, były zaznaczone w przybliżeniu, bo posuwali się naprzód z taką prędkością, że aktualizacja map była niemożliwa. Co do naszych dywizji, zaznaczonych na mapie, to niektóre nie istniały już wcale, inne, według cząstkowych informacji, przemieszczały się w ruchomym kotle za rosyjskimi liniami, próbując połączyć się z siłami w odwrocie. Tarnowitz i Kraków padły po południu. Sowieci wdzierali się także na teren Prus Wschodnich i opowiadano, że dzieją się tam rzeczy jeszcze straszniejsze niż na Węgrzech. Katastrofa. A mimo to Schmauser, gdy przyjął mnie późnym rankiem, sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie. Opisałem mu sytuację i przedstawiłem swoje wymagania: żywność i drewno na opał w miejscach conocnych zbiórek oraz wozy do transportu wyczerpanych więźniów, których, zamiast eksterminować, można by wyleczyć i wykorzystać do pracy. — „Nie chodzi mi o chorych na tyfus czy na gruźlicę, Herr Obergruppenführer, tylko o tych, którzy źle znoszą zimno i głód”. — „Naszym żołnierzom też zimno, też są głodni, odciął się ze złością. Cywilom też zimno, też są głodni. Pan sobie chyba nie zdaje sprawy z sytuacji, Obersturmbannführer.

Mamy na drogach półtora miliona uchodźców. To dużo ważniejsze niż pańscy więźniowie”. — „Herr Obergruppenführer, ci więźniowie stanowią najważniejsze źródło siły roboczej dla Rzeszy. W zaistniałej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na stratę dwudziestu czy trzydziestu tysięcy ludzi”. — „Nie mogę udzielić panu żadnej pomocy materialnej”. — „W takim razie proszę wydać rozkaz, na mocy którego dowódcy kolumn będą mi posłuszni”. Poleciałem napisać na maszynie rozkaz w kilku egzemplarzach, dla Eliasa i Dariusa, i Schmauser podpisał mi go po południu; natychmiast ruszyłem z powrotem. Drogi były straszliwie zapchane, niekończące się kolumny uchodźców, pieszo i na wozach, pojedyncze ciężarówki Wehrmachtu, zabłąkani żołnierze. W wioskach kuchnie polowe NSV rozdawały zupę. Do Auschwitz dotarłem późno. Moi koledzy byli już na miejscu i spali. Bär, jak mnie poinformowano, opuścił obóz, zapewne definitywnie. Poszedłem zobaczyć się z Krausem, był u Schurza, szefa Politische Abteilung. Przyniosłem armaniak Dreschera i wypiliśmy go razem. Kraus zdradził mi, że rano kazał wysadzić budynki krematoriów I i II, a z IV czeka do ostatniej chwili. Rozpoczął też zalecaną eksterminację; kazał rozstrzelać dwieście Żydówek, pozostałych we Frauenlager w Birkenau. Niestety Springorum, przewodniczący prowincji Kattowitz, odesłał swoje Sonderkommando do pilniejszych prac i Krausowi zabrakło ludzi. Wszyscy zdrowi więźniowie opuścili obozy, lecz, jak twierdził, na terenie całego kompleksu pozostało ponad osiem tysięcy chorych lub zbyt słabych na marsz. Masakrowanie tych ludzi wydawało mi się, przy obecnym stanie rzeczy, czymś wyjątkowo głupim i bezużytecznym, ale Kraus otrzymał rozkazy, a to nie wchodziło w zakres moich kompetencji; miałem dość kłopotów z ewakuowanymi.

Cztery kolejne dni minęły mi na jeździe za kolumnami. Miałem wrażenie, że idę pod prąd w strumieniu błota: najpierw godzinami szukałem i gdy docierałem wreszcie do odpowiedniego oficera, pokazując mu rozkazy, ten „realizował” moje zalecenia, wykazując się złą wolą. Tu i ówdzie zdołałem zorganizować dystrybucję żywności (gdzie indziej też ją rozdawano, bez mojej interwencji); kazałem zabierać koce zmarłym i dawać je żywym; konfiskowałem wozy polskim wieśniakom i zbierałem na nie wyczerpanych więźniów. Lecz gdy na drugi dzień podjechałem pod te same kolumny, okazało się, że oficerowie kazali strzelać do wszystkich, którzy nie byli w stanie się podnieść, wozy były prawie puste. Nie patrzyłem na *Häftlinge*, nie obchodził mnie ich indywidualny los, tylko los zbiorowy, zresztą wszyscy byli do siebie podobni, szara masa, brudna, śmierdząca

pomimo chłodu, jednolita, w której dostrzegalne były wyłącznie pojedyncze detale, plakietki, łysa głowa, nagie stopy, kurtka inna niż pozostałe; z trudem odróżniałem mężczyzn od kobiet. Czasem, pod fałdą koca, dostrzegałem oczy, ale w tych oczach nie było żadnego spojrzenia, były puste, całkowicie wyżarte przez zmęczenie tym nieustającym marszem. Im dalej od Wisły, tym zimniej, tym więcej traciliśmy więźniów. Zdarzało się, że aby przepuścić Wehrmacht, kolumny godzinami czekały na poboczu albo szły na przełaj po ściętych lodem polach, z morderczym wysiłkiem pokonując niezliczone kanały i usypy, by wreszcie z powrotem znaleźć się na drodze. Podczas każdego odpoczynku spragnieni więźniowie rzucali się na kolana i lizali śnieg. Każda kolumna, nawet te, dla których załatwiłem wozy, była obstawiona grupą strażników — strzałem albo pałami dobijali tych, którzy upadli albo po prostu przystanęli na chwilę; oficerowie przrzucali na lokalne władze troskę o pogrzebanie ciał. Jak zwykle w takich sytuacjach budziło się w ludziach wrodzone okrucieństwo, a ich zabójcza gorliwość prowadziła do wykroczeń; młodzi oficerowie, równie przerażeni, mieli trudności z kontrolowaniem ich. Nie tylko szeregowcy tracili poczucie wszelkich granic. Drugiego czy trzeciego dnia pojechałem odszukać na drogach Eliasa i Dariusa; przeprowadzali inspekcję kolumny kierowanej w stronę Siemianowitz, która zboczyła z drogi z powodu szybkiego naporu Rosjan, nadchodzących nie tylko ze wschodu, lecz także z północy — dotarli już, według moich informacji, do Gross Strehlitz, całkiem niedaleko Blachstadt. Elias trzymał się blisko komendanta kolumny, młodego Oberscharführera, nerwowego i pobudzonego; gdy spytałem go o Dariusa, powiedział, że jest na tyłach kolumny i zajmuje się chorymi. Pojechałem sprawdzić, co robi. Dobijał więźniów strzałami z pistoletu. „Co pan robi, do jasnej cholery?” Zasalutował i odpowiedział niezmiernie: „Wypełniam pańskie rozkazy, Herr Obersturmbannführer. Starannie wybrałem chorych i słabych *Häftlinge* i kazałem załadować na wozy tych, którzy mają jeszcze szansę wyzdrowieć. Zlikwidowaliśmy tylko takich, którzy nie nadają się już do niczego”. — „Untersturmführer, warknąłem zimno, likwidacje to nie jest pańska sprawa. Pańskim obowiązkiem jest maksymalne ich ograniczenie. Zrozumiano?” Udzieliłem też reprimendy Eliasowi; w końcu to on odpowiadał za Dariusa.

Niektórzy dowódcy kolumn byli bardziej wyrozumiali, przyjmowali do wiadomości logikę i konieczność moich wyjaśnień. Ale przyznano im bardzo ograniczone środki i szefowali ludziom upartym, przestraszonym, o umysłach zdeformowanych przez lata

spędzone w obozie, niezdolnych do nagłej zmiany własnych metod; z powodu rozluźnienia, wynikającego z chaosu ewakuacji, odzywały się w nich dawne zboczenia, dawne odruchy. Każdy, tak to sobie wyobrażałem, miał powody, by zachowywać się brutalnie; Darius chciał bez wątpienia pokazać swą niezłomność i zdecydowanie żołnierzom, nierzadko dużo od niego starszym. Zresztą miałem co innego do roboty, niż analizować te motywacje, usiłowałem tylko, z największym trudem, zmusić ich, by stosowali się do moich rozkazów. Większość dowódców kolumn okazywała mi zwyczajną obojętność, jedno tylko było im w głowie: jak najdalej uciec od Rosjan, wraz z bydłem, które im powierzono, nie komplikując sobie przy tym zbytnio życia.

W ciągu tych czterech dni spałem, gdzie popadło: w oberżach, u sołtysów, raz u chłopca. 25 stycznia wiatr rozgonił chmury, niebo stało się jasne i czyste, lśniące — wróciłem do Auschwitz sprawdzić, co się tam dzieje. Na dworcu zastałem jednostkę baterii przeciwpancernej, złożoną głównie z Hitlerjugend wcielonych do Luftwaffe, dzieci szykujące się do ewakuacji. Ich Feldwebel, wywracając oczami, poinformował mnie matowym głosem, że Rosjanie stoją na drugim brzegu Wisły i że trwają walki w fabryce IG Farben. Pojechałem drogą w stronę Birkenau i ujrzałem, jak brzegiem idzie długa kolumna więźniów, otoczona grupą esesmanów, którzy strzelają w nią na chybił trafił; droga za nimi, aż do obozu, była usłana ciałami. Zatrzymałem się i zawołałem dowódcę, jednego z ludzi Krausa. „Co wy robicie?” — „Sturmbannführer rozkazał nam opróżnić sektory Iie i Iif i przeprowadzić więźniów do Stammlager”. — „To dlaczego w nich strzelacie?” Skrzywił się: „Żeby się tak nie wlekli”. — „Gdzie jest Sturmbannführer Kraus?”. — „W Stammlager”. Pomyślałem chwilę: „Lepiej dajcie sobie z tym spokój. Rosjanie będą tu za kilka godzin”. Zawahał się, wreszcie podjął decyzję; dał znak swoim ludziom i puścił się truchtem w stronę Auschwitz I, nie dbając więcej o *Häftlinge*. Spojrzałem na nich: nie ruszali się z miejsca, niektórzy też na mnie spoglądali, inni siadali. Patrzyłem na obóz Birkenau, który z tego brzegu widziałem w całości: sektor „Kanady” w głębi płonął, wyrzucając w niebo gruby słup czarnego dymu, przy którym niemal ginęła cienka strużka, snująca się z komina nadal czynnego Krematorium IV. Śnieg na dachach baraków skrzył się w słońcu. Obóz sprawiał wrażenie wymarłego, nie zamajaczył ani jeden kształt ludzki, nie licząc plam rozrzuconych w alejach, które były zapewne zwłokami; strażnice jeżyły się, puste, nie widać było żadnego ruchu. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem w drogę powrotną, pozostawiając więźniów na pastwę losu. W

Stammlager, gdzie dotarłem przed napotkanym Kommando, członkowie SD i Gestapo z Kattowitz biegali we wszystkich kierunkach, nerwowi i zaleknieni. Aleje obozu pełne były trupów przysypanych śniegiem, szczątków, stosów brudnych ubrań; czasem, w oddali, dostrzegałem jakiegoś Häftlinga, buszującego wśród zwłok lub przemykającego ukradkiem z budynku do budynku — każdy z nich na mój widok czym prędzej czmychał. Krausa zastałem w budynku komendantury, którego opustoszałe korytarze tonęły w papierach i teczkach; kończył butelkę sznapsa i palił papierosa. Usiadłem i też zapaliłem. „Słyszysz pan?”, spytał spokojnie. Na północy, na wschodzie rezonowały głucho ponure i monotonne detonacje rosyjskiej artylerii. „Pańscy ludzie sami już nie wiedzą, co robią”, oświadczyłem, nalewając sobie sznapsa. — „I co z tego, odparł. Ja niedługo jadę. A pan?” — „Ja pewnie też. Haus ciągle działa?” — „Nie. Wszyscy wyjechali wczoraj”. — „A pańscy ludzie?” — „Zostawię tu kilku, niech dokończą wysadzanie, dziś wieczorem albo jutro rano. Nasze oddziały powinny wytrzymać do tego czasu. Resztę odwiezę do Kattowitz. Wie pan, że Reichsführer został mianowany komendantem Grupy Armii?” — „Nie, odrzekłem zaskoczony, nie wiedziałem”. — „Wczoraj. Nazwano ją Grupą Armii Wisła, chociaż front jest już prawie na Odrze, a kto wie, czy nie dalej. Czerwoni dotarli też do Bałtyku. Prusy Wschodnie są odcięte od Rzeszy”. — „Rzeczywiście, zgodziłem się, niezbyt dobre nowiny. Może Reichsführer potrafi jakoś to opanować”. — „Zdziwiłbym się. Sądzę, że już po nas. No, ale będziemy się bić do końca”. Wlał resztkę alkoholu do swojej szklanki. „Przykro mi, powiedziałem, wypilem prawie cały armaniak”. — „Nie szkodzi”. Napił się i spojrzał na mnie: „Czemu się pan tak zawziął? Mówię o tych pańskich robotnikach. Naprawdę sądzi pan, że kilku Häftlinge zmieni coś w naszej sytuacji?”. Wzruszyłem ramionami i wypilem do dna. „Otrzymałem rozkazy, powiedziałem. A pan? Czemu tak się pan zawziął, żeby zlikwidować tych ludzi?” — „Ja też otrzymałem rozkazy. To są wrogowie Rzeszy i nie ma powodów, żeby wyszli stąd żywi, skoro nasi rodacy umierają. To powiedziawszy, kończę robotę. Nie ma czasu”. — „Tak czy inaczej, skomentowałem, wbijając wzrok w dno pustej szklanki, większość wytrzyma tylko kilka dni. Widział pan, w jakim są stanie”. Teraz on wypił do dna i wstał. „Chodźmy”. Na zewnątrz wydał żołnierzom kilka rozkazów, po czym odwrócił się do mnie i zsalutował: „*Adieu*, Herr Obersturmbannführer. Powodzenia”. — „Panu również”. Wsiadłem do samochodu i rozkazałem Piontkowi, by zawiózł mnie do Gleiwitz.

Pociągi odjeżdżały z Gleiwitz codziennie, począwszy od 19 stycznia, wywożąc więźniów stopniowo, w kolejności przybycia z najbliższych obozów. Wiedziałem, że pierwsze transporty jechały do Gross-Rosen, gdzie Bär zajął się przygotowaniem przyjęcia, lecz obóz w Gross-Rosen szybko się przepełnił i odmawiał przyjmowania kolejnych więźniów. Konwoje przejeżdżały teraz przez Protektorat, skąd kierowano je albo do Wiednia (do KL Mauthausen), albo w stronę Pragi, skąd rozdzielało się więźniów do rozmaitych KL w *Altreich*. Ładowano kolejny pociąg, gdy dotarłem do Gleiwitz. Ku mojemu wielkiemu przerażeniu wszystkie wagony były otwarte, pełne śniegu i lodu, zanim jeszcze zagoniono do nich pałami wyczerpanych więźniów. Wewnątrz — żadnej wody do picia, żadnego wiadra na odchody. Wypytałem więźniów: przyszli z Neu Dachs i nie dostali nic, odkąd wymaszerowali z obozu; niektórzy nie jedli od czterech dni. Patrzyłem przerażony na te kościste zjawy, owinięte w mokre, zamrożone koce, ściśnięte na stojąco w wagonie pełnym śniegu. Krzyknąłem do strażnika: „Kto tu dowodzi?”. Wzruszył ramionami, wściekły: „Nie wiem, Obersturmbannführer. My mamy tylko ładować”. Wszedłem do budynku dworca i spytałem zawiadowcę stacji, wysokiego chudzielca ze sterczącym wąsem, w okrągłych, profesorskich okularach: „Kto odpowiada za te pociągi?”. Wskazał na moje galony czerwoną chorągiewką, którą trzymał zwiniętą w jednej ręce: „Nie pan, Herr Offizier? W każdym razie zdaje mi się, że SS”. — „Ale kto dokładnie? Kto formuje konwoje? Kto użyczył wagonów?” — „W zasadzie, odrzekł, wsuwając chorągiewkę pod pachę, jeśli chodzi o wagony, to jest to Reichsbahndirektion z Kattowitz. Ale do tych tu *Sonderzüge*, wagonów specjalnych, przysłali nam Amtsrata”. Wyprowadził mnie poza teren dworca i pokazał barak, nieco niżej, przy torach. „Tam urzęduje”. Ruszyłem natychmiast, wszedłem bez pukania. Za biurkiem pełnym papierów siedział mężczyzna w cywilu, tłusty i nieogolony. Dwóch kolejarzy grzało się przy piecu. „To pan, Amtsrat Kattowitz?”, warknąłem. Podniósł głowę: „To ja, Amtsrat Kattowitz. Kehrling, do usług”. Z jego ust zionął trudny do wytrzymania smród sznapsa. Wskazałem na tory: „Pan odpowiada za to *Schweinerei*?”. — „O którym właściwie *Schweinerei* chce pan porozmawiać? Bo teraz mamy ich sporo”. Opanowałem się: „O pociągach, o otwartych wagonach dla *Häftlinge* z KL”. — „Ach, akurat o tym *Schweinerei*. Ale to nie ja, to pańscy koledzy. Ja koordynuję łączenie składów, nic więcej”. — „A więc to pan użyczył wagonów”. Pogrzebał w papierach. „Wyjaśnię panu. Niech pan siada, człowieku. Proszę bardzo. Te *Sonderzüge* zostały użyczone przez Generalbetriebsleitung Ost z

Berlina. Wagonów mamy szukać na miejscu, pośród dostępnego sprzętu. A, jak zapewne pan zauważył, machnął ręką w stronę torów, mamy tu teraz lekki burdel. Otwarte wagony to ostatnie, jakie nam zostały. Gauleiter zarekwirował wszystkie zamknięte na ewakuację cywilów albo dla Wehrmachtu. Jak się panu nie podoba, to niech je pan każe ponakrywać plandekami”. Wysłuchałem jego wyjaśnień, stojąc: „A gdzie niby mam znaleźć plandeki?”. — „Nie mój problem”. — „Moglibyście chociaż umyć te wagony!” — „Niech pan posłucha, człowieku, obecnie wysyłam dwadzieścia, dwadzieścia pięć specjalnych pociągów dziennie. Moi ludzie ledwo mają czas na sprzęganie wagonów”, westchnął. — „A aprowizacja?” — „Nie moja działka. Ale jeśli naprawdę to pana interesuje, to jest gdzieś Obersturmführer, który ma się tym, niby, zajmować”, wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami. W pobliżu pociągów zaczepiłem Oberwachtmeistra z Schupo: „Ach, tak, widziałem, wydawał tu rozkazy jakiś Obersturmführer. Powinien być w Sipo”. W biurze poinformowano mnie, że istotnie jest tu Obersturmführer z Auschwitz, który koordynuje ewakuację więźniów, ale teraz akurat wybrał się na obiad. Kazałem, żeby ktoś po niego poszedł. Gdy stawiał się przede mną, nadąsany, pokazałem mu rozkazy Schmausera i zasypałem go pretensjami o stan konwojów. Słuchał mnie, stojąc na baczność, czerwonyjak piwonia. Gdy skończyłem, odezwał się bełkotliwie: „Herr Obersturmbannführer, Herr Obersturmbannführer, to nie moja wina. Nie mam nic, żadnych środków. Reichsbahn odmawia wydania mi zamkniętych wagonów, nie ma aprowizacji, niczego. Bez przerwy odbieram telefony z pytaniami, czemu pociągi nie odjeżdżają szybciej. Robię, co mogę”. — „Co? W całym Gleiwitz nie ma zapasu żywności, który mógłby pan zarekwirować? Żadnych plandek? Łopat do oczyszczenia wagonów? Ci *Häftlinge* to źródło siły roboczej dla Rzeszy, Obersturmführer! Czy już nikt nie uczy oficerów, jak wykazywać się inicjatywą?” — „Herr Obersturmbannführer, nie wiem. Mogę się dowiedzieć”. Uniosłem brwi: „Więc niech pan idzie się dowiedzieć. Jutro chcę mieć tu odpowiednie konwoje. Zrozumiano?”. — „*Zu Befehl*, Herr Obersturmbannführer!” Zasalutował i wyszedł. Usiadłem i kazałem ordynansowi przynieść mi herbaty. Dmuchałem, by ją ochłodzić, gdy zjawił się jakiś Spiess: „Przepraszam, Herr Obersturmbannführer. Pan jest ze sztabu generalnego Reichsführera?” — „Tak”. — „Dwaj panowie z Kripo szukają Obersturmbannführera z Persönlicher Stab. To chyba pan?” Przeszedłem za nim do innego biura: Clemens opierał łokcie o blat stołu, Weser siedział na odchyłonym w tył i przypartym do ściany krześle, ręce trzymał w

kieszeniach. Uśmiechnąłem się i oparłem o futrynę drzwi, z filiżanką parującej herbaty w dłoni. „Proszę, proszę, odezwałem się, starzy przyjaciele. Jakież to dobre wiatry was tu sprowadzają?” Clemens wycelował we mnie grubym paluchem: „Pan, Aue. Szukamy pana”. Nadal z uśmiechem poklepałem się po pagonach: „Zapomniał pan, że mam stopień wojskowy, Kriminalkommissar?” — „W dupie mamy pański stopień, wymamrotał Clemens. Nie zasługuje pan na niego”. Po raz pierwszy odezwał się Weser: „Gdy otrzymał pan opinię sędziego von Rabingena, pomyślał pan pewnie, że koniec z tym. Tak było?”. — „Rzeczywiście, tak to zrozumiałem. O ile się nie mylę, wasze śledztwo uznano za bardzo nieudolne”. Clemens wzruszył ramionami: „Sami już nie wiemy, o co chodzi sędziom. Ale to nie znaczy, że mają rację”. — „Tak się nieszczęśliwie składa, powiedziałem rozbawiony, że jesteście na usługach wymiaru sprawiedliwości”. — „Właśnie, warknął Clemens, służymy sprawiedliwości. I jesteśmy w tym osamotnieni”. — „I żeby mi o tym powiedzieć, przyjechaliście aż na Śląsk? Pochlebia mi to”. — „Niezupełnie, rzekł Weser, stuknąwszy nogami krzesła o podłogę. Widzi pan, wpadliśmy na pewien pomysł”. — „Nadzwyczajne”, zakpiłem, podnosząc filiżankę do ust. — „Opowiem panu o nim, Aue. Pańska siostra zdradziła nam, że była w Berlinie niedługo przed morderstwem i że się z panem widziała. Że zatrzymała się w hotelu Kaiserhof. Tam, w Kaiserhof, świetnie znają Freiherra von Üxküll, to dobry klient, ma swoje zwyczaje. Jeden z pracowników recepcji przypomniał sobie, że kilka dni po jej wyjeździe przyszedł oficer SS, żeby wysłać telegram do Frau von Üxküll. Widzi pan, jak ktoś wysyła telegram z hotelu, to taką rzecz się notuje w rejestrze. Każdy telegram ma swój numer. A na poczcie przechowują kopie telegramów. Przez trzy lata, takie prawo”. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął kartkę, rozłożył ją. „Rozpoznaje pan to, Aue?” Nadal się uśmiechałem. „Sprawa jest zamknięta, meine Herren”. — „Skłamał pan, Aue!”, ryknął Clemens. — „Tak, nieładnie jest okłamywać policję”, przyznał Weser. Ze spokojem dokończyłem herbatę, skinąłem im uprzejmie głową, życzyłem miłego wieczoru i zamknąłem za sobą drzwi.

Na zewnątrz coraz mocniej szalała śnieżycą. Wróciłem na dworzec. Masa więźniów oczekiwała na odjazd, siedzieli na klepisku, w huku wystrzałów, w śniegu i w błocie. Próbowałem wpuścić ich do hali dworca, lecz poczekalnie były zajęte przez żołnierzy Wehrmachtu. Wykończony spałem w samochodzie z Piontkiem. Rankiem klepisko było puste, nie licząc kilku trupów, przysypanych śniegiem. Próbowałem odszukać

Obersturmführera, z którym rozmawiałem dzień wcześniej, żeby sprawdzić, czy zastosował się do moich instrukcji, lecz ogarnęło mnie potworne poczucie bezsensu tego wszystkiego i paraliżowało moje działania. W południe powziąłem decyzję. Rozkazałem Piontkowi pojechać po paliwo, następnie za pośrednictwem SP skontaktowałem się z Eliaszem i Dariusem. Wczesnym popołudniem ruszyłem do Berlina.

Z powodu walk robiliśmy znaczne objazdy, przez Ostrawę, potem Pragę i Drezno. Prowadziliśmy z Piontkiem na zmianę, zajęło nam to dwa dni. Dziesiątki kilometrów przed Berlinem musieliśmy torować sobie drogę pomiędzy tłumami uchodźców ze Wschodu, których Goebbels zmusił do obejścia miasta. Ze skrzydła gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w centrum, w którym mieściło się moje biuro, został tylko pusty pancierz. Zimny, wstrętny deszcz moczył przylepione do ruin połacie śniegu. Ulice były brudne i pełne błota. Dotarłem jakoś do Grothmanna, który poinformował mnie, że Brandt jest w Deutsch Krone, razem z Reichsführerem. Ruszyłem więc do Oranienburga, gdzie moje biuro nadal działało, jakby odcięte od świata. Asbach powiedział mi, że Fräulein Praxa została ranna podczas bombardowania, miała poważnie poparzone ramię i pierś, i że kazał ewakuować ją do szpitala we Frankonii. Elias i Dariusz wycofali się do Breslau po upadku Kattowitz i czekali na dalsze instrukcje: rozkazałem im wracać. Zabrałem się do rozparcelowywania korespondencji, której nikt nie tknął od wypadku Fräulein Praksy. Wśród oficjalnych pism znalazłem prywatny list: rozpoznałem pismo Heleny. *Drogi Maksie, pisała, na mój dom spadła bomba i muszę wyjechać z Berlina. Jestem zrozpaczona, nie wiem, gdzie Pan jest, Pańscy koledzy nie chcą mi nic powiedzieć. Jadę do rodziców do Bade. Proszę, niech pan do mnie napisze. Jeśli Pan zechce, wrócę do Berlina. Jeszcze nie wszystko stracone. Pańska Helena.* To brzmiało jak wyznanie, ale nie rozumiałem, co chciała powiedzieć przez: *Jeszcze nie wszystko stracone.* Odpisałem jej krótko na adres, który podała, tyle tylko, że już wróciłem i że na razie lepiej, żeby została w Bade.

Poświęciłem dwa dni na zredagowanie bardzo krytycznego raportu o ewakuacji. Rozmawiałem też osobiście z Pohlem, który zignorował moje argumenty: „Tak czy inaczej, oświadczył, nie mamy dla nich więcej miejsca, obozy są pełne”. W Berlinie widziałem się krótko z Thomasem: Schellenberg wyjechał, a on nie wydawał już przyjęć i

był w ponurym nastroju. Uważał, że skuteczność Reichsführera jako dowódcy Grupy Armii pozostawia wiele do życzenia; sądził niemalże, że ta nominacja to manewr Bormanna w celu zdyskredytowania Himmlera. Ale mnie nie obchodziły już te debilne gierki ponieważ. Wróciło złe samopoczucie, znów wymiotowałem, czułem mdłości na widok maszyny do pisania. Dowiedziałem się, że Morgen też jest w Oranienburgu, poszedłem do niego i opowiedziałem mu o niezrozumiałej zaciekłości dwóch funkcjonariuszy Kripo. „Rzeczywiście, powiedział zamyślony, to zadziwiające. Wygląda na to, że żywią do pana jakieś osobiste urazy. A przecież widziałem pańskie akta, nie ma tam niczego istotnego. Rozumiem, gdyby chodziło o wyrzutka, kogoś niewykształconego, z takimi nigdy nic nie wiadomo, no ale pan? Znam pana i dla mnie to absurd”. — „To może być niechęć klasowa, zasugerowałem. Tak, jakby chcieli mnie za wszelką cenę poniżyć”. — „Tak, to możliwe. Jest pan człowiekiem wykształconym, a wśród partyjnej masy panuje wiele uprzedzeń w stosunku do intelektualistów. Wie pan co, porozmawiam o tym z von Rabingenem. Poproszę, żeby wysłał im oficjalną naganę. Nie mają prawa prowadzić śledztwa wbrew decyzji sędziego”.

W południe z okazji dwunastej (i jak się okazało ostatniej) rocznicy Przejęcia Władzy nadano w radio przemówienie Führera. Słuchałem go niezbyt uważnie w mesie w Oranienburgu, nie pamiętam nawet, co mówił, pewnie znów o *zalewie azjatyckiego bolszewizmu* czy coś w tym rodzaju. Tym, co rzeczywiście mnie zafrapowało, była reakcja obecnych oficerów SS: tylko część z nich wstała, by wyprężyć ramię, gdy na koniec zagrano hymn narodowy. Jeszcze kilka miesięcy temu taka dezynwoltura uznana zostałaby za coś nie do przyjęcia i nie do wybaczenia. Tego samego dnia radziecki okręt podwodny storpedował u wybrzeży Danzig *Wilhelma Gustloff*a, klejnot flotyli organizacji „Kraft durch Freude” Roberta Leya, na którego pokładzie znajdowało się ponad osiem tysięcy ewakuowanych osób, z czego połowę stanowiły dzieci. Prawie nikt nie przeżył. Zanim na drugi dzień dotarłem do Berlina, Rosjanie doszli do Odry i bez trudu przeprawiali się przez nią, by zająć szeroki przyczółek między Kostschinem a Frankfurtem. Zwracałem prawie każdy posiłek, bałem się, że wróci gorączka.

Na początku lutego Amerykanie w biały dzień pojawili się nad Berlinem. Pomimo zakazów w mieście roiło się od posepnych, agresywnych uchodźców, którzy chronili się w ruinach i ogołacali magazyny i sklepy — policja nie nadażała interweniować. Wpadłem właśnie przejazdem do Staatspolizei, musiało być chwilę przed jedenastą. Skierowano

mnie, wraz z nielicznymi oficerami, który jeszcze tu pracowali, do schronu przeciwlotniczego usypanego w ogrodzie, na granicy zdewastowanego parku przy Prinz-Albrecht-Palais, z którego zresztą też została tylko pusta skorupa, bez dachu. Ten schron, nawet nie podziemny, był w zasadzie długim betonowym korytarzem, nie wydał mi się zbyt bezpieczny, ale nie miałem wyboru. Oprócz oficerów Gestapo wprowadzono tu kilku więźniów, nieogolonych, z łańcuchami u nóg, których wywleczono prawdopodobnie z sąsiednich cel: rozpoznałem kilku lipcowych konspiratorów, których fotografie oglądałem w gazetach i kronikach filmowych. „Rajd” był niestety gwałtowny, przysadzisty bunkier o ścianach ponadmetrowej grubości trząsł się na wszystkie strony jak lipa na wietrze. Zdawało mi się, że siedzę w oku cyklonu — w epicentrum wycia, czystego, dzikiego wycia rozszalałego świata. Ciśnienie eksplozji napierało na bębunki, nic już nie słyszałem, bałem się, że mi za chwilę pękną, tak bardzo bolały. Pragnąłem, by mnie zmiotło, zmiądzżyło, nie mogłem tego znieść. Więźniowie, którym zabroniono usiąść, leżeli na ziemi, pozwijani w kłębki. Nagle jakaś gigantyczna ręka uniosła mnie z siedzenia i rzuciła. Gdy otworzyłem oczy, unosiło się nade mną kilka twarzy. Chyba coś krzyczały, nie rozumiałem, o co im chodziło. Potrząsnąłem głową, lecz poczułem, że łapią mnie czyjeś dłonie i zmuszają, bym się położył. Po alarmie zostałem wyprowadzony na zewnątrz. Podtrzymał mnie Thomas. Niebo w samo południe było czarne od dymu, płomienie lizały okna gmachu Staatspolizei, drzewa w parku płonęły jak pochodnie, osunął się cały tył pałacu. Thomas zostawił mnie na resztkach strzaskanej ławki. Dotknąłem twarzy: krew płynęła mi po policzku. W uszach szumiało, ale rozróżniałem dźwięki. Wrócił Thomas: „Słyszysz mnie?”. Pokazałem, że tak; pomimo przeraźliwego bólu w uszach rozumiałem, co mówi. „Nie ruszaj się. Dostałeś”. Po pewnym czasie ułożono mnie w opłu. Na Askanischer Platz płonęły powgniatane samochody i ciężarówki. Anhalter Bahnhof wyglądał, jakby zgiął się wpół i tkwił w kłębach czarnego, cierpkiego dymu, Europa Haus i budynki wokół także płonęły. Żołnierze i pomocnicy o twarzach czarnych od sadzy bezskutecznie walczyli z ogniem. Zawieziono mnie na Kurfürstenstrasse, do biur Eichmanna, które ciągle jeszcze stały. Tam ułożono mnie na stole, pośród innych rannych. Przyszedł Hauptsturmführer, mój znajomy lekarz, którego nazwiska wciąż nie mogłem sobie przypomnieć: „Znowu pan”, stwierdził uprzejmie. Thomas wyjaśnił mu, że uderzyłem głową o ścianę bunkra i na około dwadzieścia minut straciłem przytomność. Lekarz kazał mi wystawić język i skierował wiązkę oślepiającego

światła prosto w moje oczy. „Doznał pan wstrząsu mózgu”, powiedział. Odwrócił się do Thomasa: „Zróbcie mu prześwietlenie czaszki. Jeśli nie ma pęknięcia, trzy tygodnie zwolnienia”. Napisał coś na kartce, podał Thomasowi i zniknął. Thomas zarządził: „Znajdę szpital, w którym cię prześwietlą. Jeżeli cię nie zatrzymają, jedź do mnie, odpocznij. Zajmę się Grothmannem”. Roześmiałem się: „A jeśli «u ciebie» już nie istnieje?”. Wzruszył ramionami: „To wróć tutaj”.

Nie miałem pęknięcia czaszki, a „u Thomasa” nadal istniało. Wrócił wieczorem i podał mi kartkę, podpisaną i podstemplowaną: „Twoje zwolnienie. Lepiej zrobisz, jak wyjedziesz z Berlina”. Bolała mnie głowa, siorbałem koniak rozcieńczony wodą mineralną. „Dokąd jechać?” — „Skąd mam wiedzieć. Może do twojej dziewczyny, do Bade?” — „Amerykanie mogą tam być przede mną”. — „Właśnie. Zabierz ją do Bawarii albo do Austrii. Znajdź jakiś hotelik, zrób sobie romantyczne wakacje. Na twoim miejscu skorzystałbym. Taka okazja może się długo nie powtórzyć”. Przekazał mi bilans nalotu: biura Staatspolizei nie nadawały się do użytku, dawna kancelaria była całkiem zniszczona, a nowa, ta Speera, mocno uszkodzona, nawet prywatne apartamenty Führera spłonęły. Bomba uderzyła w Trybunał Ludowy podczas procesu, sądzono generała von Schlabrendorffa, jednego z konspiratorów z OKHG Środek. Po nalocie znaleziono sędziego Freislera nieżywego, ściskającego w dłoni akta Schlabrendorffa, z głową zmiażdżoną, jak opowiadano, przez brązowe popiersie Führera, które królowało za nim, gdy wygłaszał płomienne oskarżycielskie mowy.

Wyjazd wydał mi się dobrym pomysłem, nie wiedziałem tylko — dokąd? Bade, romantyczne wakacje — tego w ogóle nie brałem pod uwagę. Thomas planował ewakuować swoich rodziców z przedmieść Wiednia, zaproponował, żebym pojechał tam zamiast niego i zawiózł ich na fermę jakiegoś kuzyna. „To ty masz rodziców?” Rzucił mi zdziwione spojrzenie: „Oczywiście. Każdy ma. A co?” Jednak opcja wiedeńska wydała mi się straszliwie trudna do zrealizowania, zważywszy na moją rekonwalescencję, i Thomas skwapliwie się ze mną zgodził. „Nie martw się. Poradzę sobie inaczej, to żaden kłopot. Jedź gdzieś odpocząć”. Ciągle nie miałem pomysłu; pomimo to kazałem, żeby Piontek przyjechał po mnie rano z kilkoma kanistrami paliwa. Tamtej nocy spałem mało, szumiało mi w głowie i w uszach, budził mnie rwący ból, wymiotowałem dwa razy, ale męczyło mnie jeszcze coś. Gdy przyjechał Piontek, wziąłem pismo ze zwolnieniem — niezbędne, by bez problemu przepuszczono mnie przez stanowiska kontrolne — butelkę koniaku i

cztery paczki papierosów, prezent od Thomasa, oraz torbę, a w niej kilka osobistych rzeczy i ubrania na zmianę. Nie zaproponowałem mu nawet kawy i dałem rozkaz do odjazdu. „Dokąd jedziemy, Herr Obersturmbannführer? — „Jedź drogą na Stettin”.

Powiedziałem to bezmyślnie, jestem pewien, ale w chwili, w której to mówiłem, wydało mi się oczywiste, że nie może być inaczej. Musieliśmy robić spore objazdy, żeby dotrzeć do autostrady. Piontek, który spędził noc w garażu, powiedział, że Moabit i Wedding zostały zrównane z ziemią i że całe hordy berlińczyków dołączają do tłumu uchodźców ze Wschodu. Na autostradzie ciągnęły się bez końca sznury wozów, większość ze sterzcącymi, białymi namiotami, stawianymi przez ludzi w nadziei na ochronę przed śniegiem i przenikliwym zimnem, było ich mnóstwo, wlokły się — nos konia przy tyle wozu — a Schupo i żandarmi polowi spychali je na prawo, robiąc miejsce dla konwojów wojskowych, jadących na front. Od czasu do czasu na niebie pojawiał się radziecki szturmowik, wtedy wybuchała panika, ludzie zeskakiwali i biegli na ośnieżone pola, a myśliwiec leciał wzdłuż kolumny i wypuszczał serie pocisków, które kosiły spóźnionych, roztrzaskiwały głowy i tułowia przerażonych koni, podpałały materace i wozy. Podczas jednego z takich ataków w nasz samochód uderzyło kilka odłamków, przedziurawiły drzwiczki i strzaskały szybę; na szczęście silnik pozostał cały, koniak też. Podałem butelkę Piontkowi, później sam pociągnąłem spory łyk z gwinta, i ruszyliśmy pośród wrzasków rannych i wycia przerażonych cywilów. W Stettinie przejechaliśmy przez Odrę, wczesne roztopy przyspieszyła Kriegsmarine przy użyciu dynamitu i lodołamaczy. Dalej, objechawszy jezioro Miedwie od północy, przejechaliśmy Stargard, okupowany przez Waffen-SS z czerwono-złoto-czarnymi plakietkami, ludzi Degrelle'a. Sunęliśmy autostradą na wschód, pilotowałem Piontka, śledząc mapę, bo sam nigdy nie byłem w tych okolicach. Wzdłuż zatłoczonych dróg ciągnęły się pagórkowate pola, pokryte śniegiem, delikatnym i czystym, krystalicznym, a dalej lasy brzozowe lub sosnowe — ponure i ciemne. Gdzieniedzie majaczyło samotne gospodarstwo: długie, przysadziste budynki, skulone pod strzechami i czapami śniegu. Małe wioski pełne domków z czerwonej cegły o szarych spadzistych dachach, każda z surowym, luterańskim kościołem, sprawiały wrażenie zadziwiająco spokojnych, mieszkańcy zajmowali się własnymi sprawami. Za Wangerin droga wiodła pośród wielkich jezior, szarych i zimnych, o zamarzniętych brzegach. Minęliśmy Dramburg i Falkenburg. W Tempelburgu, miasteczku położonym na brzegu jeziora Drawsko, kazałem Piontkowi zjechać z autostrady i ruszyć na północ, drogą

na Bad Polzin. Długa, prosta szosa wiodła najpierw pośród szerokich pól i iglastych lasów kryjących jeziora, a dalej wzdłuż wąskiego, obrośniętego drzewami przesmyku, który niczym ostrze noża rozdzielał jezioro Drawsko i mniejsze, Żerdno. W dole, długą wstęgą między jeziorami, wiła się wioska Alt Draheim, wypiętrzona wokół kanciastej, masywnej bryły z kamienia — ruin zamku. Północny brzeg Żerdna za wioską porastały lasy sosnowe. Zatrzymaliśmy się i spytałem o drogę wieśniaka, wskazał ją jednym gestem: trzeba było jechać jeszcze dwa kilometry, a potem skręcić w prawo. „Nie może pan przegapić zakrętu, powiedział. Jest tam szeroka aleja z brzoźami”. A jednak Piontek o mało jej nie minął. Aleja przecinała lasek i prowadziła dalej prosto przez piękne, puste pole, długa linia, wpuszczona między dwie wysokie zasłony nagich, bladych brzoź, tak spokojna pośród białej, dziewiczej równiny. Dom stał na końcu.

Aria

Dom był zamknięty. Kazałem Piontkowi zatrzymać się przy wjeździe na dziedziniec i podszedłem bliżej po dziewiczym, twardym śniegu. Powietrze było dziwnie łagodne. Wszystkie okiennice od frontu były zatrzaśnięte. Obszedłem dom, z tyłu znajdował się długi taras z balustradą i krętymi schodami prowadzącymi do ośnieżonego ogrodu, zrazu ciągnącego się płasko, później dość stromego. Dalej wznosił się las, smukłe sosny, pośród których migwały nieliczne buki. Tu też wszystko było zamknięte, nieme. Wróciłem do Piontka i kazałem mu zawieźć się do wsi, gdzie wskazano mi dom niejakiej Käthe, która pracowała w majątku jako kucharka i zajmowała się nim podczas nieobecności właścicieli. Na Käthe, mocnej wieśniaczce pod pięćdziesiątkę, bardzo jasnowłosej i bladej, mój mundur wywarł takie wrażenie, że bez gadania dała mi klucze. Siostra i jej mąż, poinformowała mnie, wyjechali przed Bożym Narodzeniem i od tamtego czasu nie dali znaku życia. Wróciłem z Piontkiem do domu. Majątek państwa von Üxküll był to śliczny osiemnastowieczny dworek z fasadą w kolorze rdzy i ochry, bardzo jaskrawy na tle całego tego śniegu, w zadziwiająco lekkim stylu barokowym, subtelnie asymetryczny, niemal fantazyjny, niespotykany w tych zimnych i surowych okolicach. Drzwi wejściowe i ramy okienne parteru zdobiły groteski, każda inna; enface postaci wyglądały, jakby były radośnie roześmiane, lecz wystarczyło spojrzeć na nie z boku, by stwierdzić, że rozchylają mocno wargi, rozciągając je obiema dłońmi. Nad ciężkimi drewnianymi drzwiami znajdował się kartusz z kwiatowym ornamentem, zdobiony wizerunkami muszkietów i instrumentów muzycznych, z datą 1713. W Berlinie von Üxküll opowiedział mi historię tego niemal francuskiego domu, który należał do jego matki, niejakiej von Recknagel. Przodek, który go wybudował, był hugenotem, osiadłym w Niemczech po odwołaniu edyktu nantejskiego. Był bogaty i zdołał zachować sporą część fortuny. Jako starzec poślubił dziewczynę, sierotę po pruskim szlachetce, która odziedziczyła te ziemie. Dom żony nie podobał mu się, kazał go zburzyć i wybudować ten. Małżonka jednakże była dewotką i uważała taki zbytek za skandaliczny: postawiła kaplicę oraz dobudówkę za domem, gdzie dokonała żywota, i którą z kolei mąż kazał zrównać z ziemią zaraz po jej śmierci. Kaplica stała tu nadal, nieco na uboczu, pod starymi dębami, prosta, surowa, z nagą fasadą z czerwonych cegieł i mocno zapadniętym, szarym, gontowym dachem. Obszedłem ją powoli, nie próbowałem otwierać. Piontek cały czas stał przy samochodzie, czekał, nic nie mówił. Wróciłem do niego, otworzyłem tylne drzwiczki, wziąłem torbę i

powiedziałem: „Zostanę kilka dni. Ty wracaj do Berlina. Zadzwoń albo wyślę telegram, żebyś po mnie przyjechał. Trafisz tu z powrotem? Gdyby ktoś pytał, mów, że nie wiesz, gdzie jestem”. Wykręcił, zawrócił i wjechał w długą brzozową aleję, podskakując na wybojach. Postawiłem torbę przed drzwiami. Ogarniałem wzrokiem zaśnieżony dziedziniec, patrzyłem, jak samochód Piontka sunie w górę alei. Poza liniami zostawionymi przez opony nie było żadnych śladów na śniegu, nikt tutaj nie przychodził. Oczekałem, aż dotrze do końca alei i wjedzie na drogę do Tempelburga, i otworzyłem drzwi.

Żelazny klucz, który dała mi Käthe, był duży i ciężki, lecz dobrze naoliwiony zamek nie stawiał oporu. Zawiasy też chyba nasmarowano, bo drzwi nie skrzypiały. Pchnąłem kilka okiennic, by oświetlić hol, i ujrzałem piękne schody z rzeźbionego drewna, długie biblioteczne regały, parkiet, wypolerowany przez czas, niewielkie rzeźby i gzymsy ze śladami wytartych złocień. Przekręciłem włącznik: rozjarzył się ozdobny żyrandol pośrodku sufitu. Zgasilem go i ruszyłem w górę po schodach, nie zadając sobie nawet trudu, by zamknąć drzwi czy zdjąć furażerkę, płaszcz, rękawiczki. Na piętrze przez długość całego domu ciągnął się korytarz z oknami. Otworzyłem jedno z nich, rozchyliłem okiennice i z powrotem zamknąłem okno. Następnie otwierałem kolejno drzwi: przy schodach był składzik, pokój służącej i następny korytarz, prowadzący do schodów kuchennych; naprzeciw okien — toaleta i dwie małe, zimne sypialnie. Za obitymi drzwiami w głębi korytarza krył się przestronny pokój, który zajmował większą część piętra. Włączyłem światło. Stało tam duże łóże z krętymi kolumnami, bez baldachimu i bez zasłon, wytarta sofa ze starej, spękanej skóry, szafa, sekretarzyk, toaletka z wysokim zwierciadłem i drugie zwierciadło, na nóżkach, naprzeciw łóża. Obok szafy były następne drzwi, a za nimi łazienka. Wszystko wskazywało na to, że to pokój siostry, był zimny i niczym nie pachniał. Rozglądałem się jeszcze przez chwilę, po czym wyszedłem i zamknąłem drzwi, nie rozchyliwszy okiennic. Hol na dole prowadził do przestronnego salonu, z długim stołem ze starego drewna i fortepianem; dalej było kilka dziennych pomieszczeń i kuchnia. Tu otworzyłem wszystkie okna i wyszedłem na chwilę, by popatrzeć z tarasu na lasy. W powietrzu czuć było wiosnę, niebo miało szary kolor, śnieg topniał i z miłym dla ucha chlupotem spływał z dachu na deski tarasu, a nieco dalej drażyły niewielkie studzienki w warstwie zalegającego pod murem lodu. Za kilka dni, pomyślałem, jeśli tylko się nie ochłodzi, zrobi się z tego błoto, to opóźni marsz Rosjan.

Spomiędzy sosen ciężko poderwał się kruk i kracząc, poleciał usiąść gdzieś dalej. Zamknąłem oszklone drzwi i wróciłem do holu. Drzwi wejściowe pozostały otwarte; wniósłem torbę i zamknąłem je. Za schodami były jeszcze jedne drzwi, podwójne, z lakierowanego drewna, ozdobione okrągłymi ornamentami. To musiały być apartamenty von Üxküll. Zawahałem się i wróciłem do salonu, obejrzałem meble, rzadkie, starannie dobrane bibeloty, duży kamienny kominek, fortepian. W kącie za fortepianem wisiał portret: stojący von Üxküll, jeszcze młody, nieco z profilu, lecz ze wzrokiem zwróconym ku widzowi, z gołą głową, w mundurze z okresu Wielkiej Wojny. Przyjrzałem mu się uważnie, zauważyłem medale, sygnet i zamszowe rękawice, które trzymał niedbale w dłoni. Ten portret budził we mnie pewien lęk, poczułem ścisk w żołądku, lecz musiałem przyznać, że był to niegdyś przystojny mężczyzna. Podeszedłem do fortepianu i podniosłem klapę. Przenosiłem wzrok z portretu na długi rząd klawiszy, później znowu na portret. Jednym palcem, nadal w rękawiczce, wcisnąłem klawisz. Nie wiedziałem nawet, co to była za nuta, niczego nie wiedziałem, i przed tym pięknym portretem Üxküll'a poczułem znów dawny żal. Mówiłem sobie: tak bardzo chciałbym umieć grać na fortepianie, tak bardzo chciałbym raz jeszcze usłyszeć Bacha, zanim umrę. Ale to były daremne żale, zamknąłem klapę i wyszedłem z salonu na taras. W szopie obok domu znalazłem zapas drewna, przyniosłem, obróciwszy kilka razy, grube polana do kominka oraz małe, porąbane już szczapy i złożyłem w koszu z grubej skóry. Zaniósłem też nieco drewna na górę i rozpałem w piecu w jednym z pokoików gościnnych, podsycając ogień starymi numerami „Völkische Beobachter” ze stosu w toalecie. Wreszcie rozebrałem się w holu głównym, zmieniłem oficerki na grube pantofle, które tam znalazłem, zaniósłem torbę na górę i rozpakowałem ją, postawiwszy na wąskim mosiężnym łóżku, bieliznę ułożyłem w szafie. Pokój urządzony był skromnie: funkcjonalne meble, konew i umywalka, tapeta z dyskretnym wzorem. Kafłowy piec szybko się rozgrzał. Zszedłem, wziąłem butelkę koniaku i zabrałem się do rozpalania ognia w kominku. Szło mi gorzej niż z piecem, ale w końcu się udało. Nalałem sobie szklankę koniaku, poszukałem popielniczki i usiadłem w wygodnym fotelu przy ogniu, rozpiąwszy kurtkę. Za oknem dzień chylił się łagodnie ku końcowi, a ja nie myślałem o niczym.

Nie wiem, czy mogę dużo opowiedzieć o tym, co działo się w tym pięknym, pustym domu. Spisałem już raz relację z tych wydarzeń i gdy ją tworzyłem, wydawała mi się prawdopodobna, zgodna z rzeczywistością, lecz w sumie jednak chyba nie odpowiadała

prawdzie. Czemu tak jest? Trudno powiedzieć. Nie, żeby moje wspomnienia się zatarły, przeciwnie — zachowałem je, liczne i bardzo cenne, lecz wiele z nich się miesza, a nawet sobie wzajemnie przeczy, są niepewne. Przez długi czas sądziłem, że moja siostra była tam, gdy przyjechałem, że czekała na mnie w ciemnej sukni na progu domu i miała długie, czarne, ciężkie włosy, a włosy te zlewały się z dzianiną grubego szala, którym otulała ramiona. Rozmawialiśmy, stojąc na śniegu, chciałem, żeby ze mną jechała, ale ona nie miała ochoty, nawet gdy powiedziałem, że czerwoni nadchodzą, że to kwestia tygodni czy dni, nie zgodziła się, twierdziła, że mąż pracuje, że komponuje po raz pierwszy od dawna i że nie mogą wyjechać teraz, więc postanowiłem zostać i odesłałem Piontka. Po południu piliśmy herbatę i rozmawialiśmy, opowiadałem jej o pracy i jeszcze o Helenie. Spytała, czy się z nią przespałem, czy ją kocham, a ja nie potrafiłem odpowiedzieć; spytała, czemu jej nie poślubię, a ja ciągle nie potrafiłem odpowiedzieć, w końcu spytała: „Czy to z mojego powodu nie spałeś z nią i jej nie poślubisz?”, a ja zawstydzony nie podnosiłem oczu, błędząc wzrokiem po geometrycznym wzorze na dywanie. Tak właśnie to pamiętałem, lecz podobno wyglądało to zupełnie inaczej — muszę teraz przyznać, że siostry i jej męża prawdopodobnie nie było, dlatego piszę wszystko od nowa i będę trzymał się jak najbliżej tego, co mogłoby zostać udowodnione. Käthe zjawiała się pod wieczór, przywiozła zapasy w małym wózku, zaprzęgniętym w osła, przygotowała mi posiłek. Gdy krzątała się w kuchni, ja zszedłem po wino do długiej, półkoliście sklepionej piwnicy, zakurzonej, wypełnionej przyjemnym zapachem wilgotnej ziemi. Leżakowały tu setki butelek, czasem bardzo starych, musiałem zdmuchiwać kurz, by odczytać napisy na nalepkach, niektóre zresztą były całkiem zapleśniałe. Bez żadnego skrupowania wybrałem najlepsze butelki, nie warto było zostawiać takich skarbów Ruskim, oni i tak doceniliby wyłącznie wódkę, znalazłem chateau margaux z 1900, wziąłem też chateau ausone z tego samego rocznika i trochę na chybił trafił jednego gravesa, haut-brion, rocznik 1923. Później zrozumiałem, że popełniłem błąd, 1923 to nie był dobry rocznik, lepiej bym zrobił, wybierając coś z 1921, dużo lepszego. Otworzyłem margaux, a Käthe podała posiłek; uzgodniłem z nią, że codziennie przyjedzie przyrządzić mi kolację, ale zostawi mnie samego przez resztę czasu. Do tych prostych i obfitych posiłków, zupy, mięsa, kartofli smażonych na tłuszczu, wino smakowało jeszcze lepiej. Usiadłem na końcu długiego stołu, nie na miejscu pana domu, lecz z boku, tyłem do kominka, w którym trzaskał ogień, tuż przy dużym kandelabrze, wyłączyłem oświetlenie elektryczne i jadłem

w złotym blasku świec, pochłaniałem metodycznie soczyste mięso i kartofle, piłem wino długimi łykami i było tak, jakby siostra siedziała naprzeciw, jak gdyby jadła spokojnie, uśmiechając się pięknym, nieuchwytnym uśmiechem — siedzieliśmy naprzeciw siebie, a jej mąż pomiędzy nami, u szczytu stołu, na wózku, i prowadziliśmy przyjacielską rozmowę, siostra mówiła głosem słodkim i jasnym, von Üxküll odzywał się kordialnie, ze zwyczajową sztywnością i surowością, których chyba nie potrafił się wyzbyć, lecz zachowując uprzejmość godną arystokraty z dziada pradziada, nigdy nie wprowadził mnie w zakłopotanie; w tym ciepłym, rozedrganym blasku dokładnie widziałem i słyszałem naszą konwersację, która zajmowała moje myśli, gdy jadłem i kończyłem butelkę wspaniałego bordeaux, aksamitnego i pełnego. Opisywałem von Üxküllowi zburzenie Berlina. „Nie wygląda pan na zaszokowanego”, pozwoliłem sobie w końcu zauważyć. — „To jest katastrofa, odpowiedział, ale nie niespodzianka. Wrogowie korzystają z naszych własnych metod, cóż w tym dziwnego. Zanim to wszystko się skończy, Niemcy do dna wypiją kielich goryczy”. Rozmowa zbiegła na temat zamachu z dwudziestego lipca. Wiedziałem od Thomasa, że maczało w tym palce wielu przyjaciół von Üxküll. „Od tamtego czasu Gestapo przeprowadziło czystki wśród sporej części pomorskiej arystokracji, skomentował zimno. Świetnie znałem ojca von Tresckowa, był to człowiek o wielkiej dyscyplinie moralnej, podobnie jak syn. I oczywiście von Stauffenberga, to daleki krewny mojej rodziny”. — „Jak to?” — „Jego matka jest z domu von Üxküll-Gyllenband, Karoline, moja daleka kuzynka”. Una słuchała w milczeniu. „Odnoszę wrażenie, że popiera pan ich czyn”, stwierdziłem. Jego odpowiedź pojawiła się, sama z siebie, w moim umyśle: „Darzę głębokim osobistym szacunkiem niektóre z tych osób, ale nie popieram ich próby z dwóch powodów. Po pierwsze, jest o wiele za późno. Powinni zrobić to w trzydziestym ósmym, w czasie kryzysu w Sudetach. Myśleli o tym i Beck tego chciał, ale Anglicy i Francuzi zaczęli się płaszczyć przed tym żalonym kapralem i to podcięło im skrzydła. A później zdemoralizowały ich i w końcu porwały sukcesy Hitlera, nawet Halder dał się omamić, a to bardzo inteligentny człowiek, choć zbyt dużo myśli. Inteligencja Becka to inteligencja honoru, musiał rozumieć, że było już za późno, ale nie wycofał się, bo chciał wesprzeć innych. Jednak nie popieram owej próby przede wszystkim dlatego, że Niemcy postanowiły pójść za tym człowiekiem. On chce za wszelką cenę mieć swój *Götterdämmerung*, okres upadku i rozkładu, a Niemcy muszą iść za nim aż do końca. Zabijanie go teraz tylko po to, by ratować, co się da, to byłoby oszustwo, znaczenie kart.

Powiedziałem panu, trzeba wypić ten kielich do dna. Tylko w ten sposób będzie można zacząć od nowa”. — „Jünger też tak uważa, odezwała się Una. Napisał do Berndta”. — „Tak, dał mi to do zrozumienia między wierszami. Krąży również jego esej na ten temat”. — „Spotkałem Jüngera na Kaukazie, powiedziałem, lecz nie miałem okazji z nim porozmawiać. Zresztą już sama chęć zabicia Führera to niedorzeczna zbrodnia. Być może nie ma wyjścia, ale zdradę uważam za nie do przyjęcia, zarówno dziś, jak i w 1938 roku. To jest odruch pańskiej klasy, skazanej na wyginięcie. Pod rządami bolszewików wcale nie będzie jej lepiej”. — „Bez wątpienia, przytaknął spokojnie von Üxküll. Powiedziałem panu: wszyscy poszli za Hitlerem, nawet junkrzy. Halder wierzył, że możemy pobić Rosjan. Tylko Ludendorff zrozumiał, lecz zbyt późno, i przeklął Hindenburga za to, że przekazał władzę Hitlerowi. Ja od początku nienawidziłem tego człowieka, ale nie uważam tego za rękojmię mojego odcięcia się od losu Niemiec”. — „Jeśli chodzi o pana i panu podobnych, proszę wybaczyć, że to mówię, ale wasz czas już minął”. — „Również wasz niedługo minie. Był zdecydowanie krótszy”. Patrzył na mnie bez ruchu, tak jak się patrzy na karalucha albo pająka, nie z obrzydzeniem, lecz z chłodną fascynacją entomologa. Wyobrażałem go sobie bardzo wyraźnie. Skończyłem margaux, byłem lekko wstawiony, otworzyłem saint-emilion, wymienilem kieliszki, i dałem spróbować wina von Üxküllowi. Spojrzał na etykietę. „Pamiętam tę butelkę. Przysłał mi ją pewien rzymski kardynał. Mieliśmy kiedyś długą dyskusję o roli Żydów. Zajadłe bronił katolickiego punktu widzenia, że należy ciemnić Żydów, lecz utrzymać ich przy życiu jako świadków prawdy Chrystusa — zawsze uważałem, że to absurdalna postawa. Myślę zresztą, że bronił go dla samej przyjemności dyskusji, to był jezuita”. Uśmiechnął się i zadał mi pytanie, chyba po to, żeby mnie rozdrażnić: „Podobno Kościół robił wam trudności, gdy chcieliście ewakuować Żydów z Rzymu?”. — „Podobno. Nie było mnie tam”. — „Nie tylko Kościół, wtrąciła Una. Pamiętasz, jak twój przyjaciel Karl-Friedrich mówił nam, że Włosi nie rozumieją za grosz kwestii żydowskiej?” — „Tak, to prawda, odrzekł von Üxküll. Mówił, że Włosi nie stosują nawet własnych praw rasowych, że chronią obcych Żydów przed Niemcami”. — „To prawda, powiedziałem, zbity z tropu. Mieliśmy z nimi pewne kłopoty w tej kwestii”. A oto, co odparła moja siostra: „To dowodzi, że są zdrowymi ludźmi. Kochają życie i jego wartość samą w sobie. Rozumiem ich — mają cudowny kraj, słońce, dobre jedzenie i piękne kobiety”. — „Nie tak jak w Niemczech”, rzucił lakonicznie von Üxküll. Wreszcie spróbowałem wina — miało aromat

palonych goździków i mniej wyczuwalny kawy, jego bukiet był bogatszy niż bukiet margaux, było delikatne, pełne i wyśmienite. Von Üxküll spojrzał na mnie: „Czy wiecie, czemu zabijacie Żydów? Wiecie to?”. Nie przestawał mnie prowokować przez całą tę dziwną rozmowę, ale ja nie odpowiadałem, delectowałem się winem. „Dlaczego Niemcy z taką zawziętością zabijają Żydów?” — „Myli się pan, sądząc, że chodzi tu wyłącznie o Żydów, odezwałem się spokojnie. Żydzi to jedna z kategorii wrogów. Niszczymy wszystkich naszych wrogów, niezależnie od tego, kim i gdzie są”. — „Tak, ale przyzna pan, że wobec Żydów jesteście szczególnie uparci”. — „Nie sędzę. Führer rzeczywiście ma osobiste powody, by nienawidzić Żydów. Ale my, w SD, nie darzymy nienawiścią nikogo, my tylko obiektywnie ścigamy wrogów. Wybory, których dokonujemy, są racjonalne”. — „Nie tak znów bardzo racjonalne. Dlaczego usunęliście chorych psychicznie i kaleki ze szpitali? Jakie zagrożenie przedstawiali ci nieszczęśnicy?” — „Darmozjady. Wie pan, ile milionów marek zaoszczędziliśmy w ten sposób? Nie mówiąc już o szpitalnych łóżkach, zwolnionych dla rannych na froncie”. — „Ja wiem, dlaczego zabiliśmy Żydów”, oświadczyła otulona ciepłym, złotym blaskiem Una, która dotąd przysłuchiwała się nam w milczeniu. Głos miała jasny i mocny, docierał do mnie wyraźnie, słuchałem, pijąc po skończonym posiłku. „Zabijając Żydów, powiedziała, chcieliśmy zabić samych siebie, zabić siedzącego w nas Żyda, zabić w nas każdy najmniejszy załączek myśli, że postępujemy jak Żydzi. Unicestwić tego brzuchatego burżuja, który liczy pieniądze i trwa w pogoni za honorami i marzeniem o władzy, władzy zbudowanej na podobieństwo tej, jaką posiadał Napoleon III, albo władzy bankiera — chcieliśmy zabić burżujską moralność, ciasną i bezpieczną, zabić gospodarkę, zabić posłuszeństwo, poddaństwo *Knechta*, zabić wszystkie te piękne niemieckie cnoty. Bo nigdy nie zrozumieliśmy, że cechy, które przypisujemy Żydom, nazywając je prostactwem, gnuśnością, sknerstwem, chciwością, żądzą dominacji i złośliwością z niskich pobudek, są cechami z gruntu niemieckimi i że jeśli Żydzi wykazują się nimi, to tylko dlatego, że marzyli, by przypominać Niemców, być Niemcami, ponieważ naśladują nas niewolniczo, jak obraz wszystkiego, co w Wielkiej Burżuazji dobre i piękne, jak Złotego Cielca, tych, którzy uciekają przed surowością pustyni i Prawa. Albo może po prostu udawali, może przyjęli te cechy niemalże z uprzejmości, jako sposób okazania sympatii, żeby nie zdradzić, jak bardzo są od nas inni. A my, przeciwnie — nasz niemiecki sen to być jak Żydzi, czyści, niezłomni, wierni Prawu, różni od wszystkich i pod

opieką Boga. A tak naprawdę to jedni i drudzy się mylą — i Niemcy, i Żydzi. Bo jeśli Żyd, w naszych czasach, cokolwiek jeszcze znaczy, to znaczy: Inny. Inny i Inaczej — pojęcia zapewne niemożliwe, ale bez wątpienia niezbędne”. Opróżniła kieliszek do dna. „Przyjaciele Berndta wszystko zrozumieli opacznie. Mówili, że masakra Żydów nie ma większego znaczenia, że zabijając Hitlera, będą mogli obciążyć tą zbrodnią jego, Himmlera, SS, kilku chorych zabójców, ciebie. Ale oni są za to odpowiedzialni na równi z tobą, bo także są Niemcami i także biorą udział w wojnie o zwycięstwo takich, a nie innych Niemiec. A najgorsze, że jeśli Żydzi przeżyją, jeśli Niemcy się pogrążą, a Żydzi przetrwają, to zapomną o znaczeniu słowa «Żyd» i bardziej niż dotąd zapragną być Niemcami”. Piłem, a ona mówiła, szybko, jasnym głosem, wino uderzało mi do głowy. I nagle pojawiła się w mojej pamięci wizja z Zeughaus, Führer ubrany na modłę żydowską, w rabinowym szalu modlitewnym, obwieszony rytualnymi przedmiotami ze skóry, występujący przed szeroką publicznością — przypomniałem sobie, że nikt tego nie widział, *oprócz mnie*, i wszystko nagle i gwałtownie przyszło, Una i jej mąż, i nasza rozmowa — zostałem sam pośród resztek posiłku i butelek nadzwyczajnego wina, pijany, nażarty, gość, którego nikt nie zapraszał.

Tamtej nocy źle spałem w przymałym łóżku. Za dużo wypilem, kręciło mi się w głowie, cierpiałem z powodu niedawnego uderzenia. Nie zamknąłem okiennic i blask księżyca sączył się delikatnie do pokoju, wyobrażałem sobie, że tak samo sączy się do pokoju w głębi korytarza, prześlizguje się po ciele mojej śpiącej siostry, nagiej, okrytej lekko prześcieradłem — pragnąłem być tym blaskiem, tą nieuchwytną delikatnością, lecz jednocześnie mój umysł wściekał się, zgrzytliwe mędrkowanie, którym popisywałem się podczas kolacji, dzwoniło mi w głowie jak rozszalałe dźwięki cerkiewnych dzwonów na Wielkanoc i rujnowało spokój, w którym chciałem się zanurzyć. Wreszcie mocno zasnąłem, ale złe samopoczucie trwało, malowało moje sny na straszliwe kolory. W ciemnym pokoju widziałem kobietę w długiej, białej sukni, chyba ślubnej, nie mogłem rozpoznać jej rysów, ale wszystko wskazywało na to, że to siostra, leżała skulona na wykładzinie, miotana konwulsjami i niekontrolowanymi napadami biegunki. Czarne gówno przesiąkało przez tkaninę sukni, pod spodem musiało już być go pełno. Von Üxküll, który ją tam znalazł, wyszedł na korytarz (chodził!), aby tonem nieznoszącym sprzeciwu zawołać windziarza albo boyę hotelowego (a więc to hotel, błysnęło mi, pewnie ich noc poślubna). Wróciwszy do pokoju, von Üxküll rozkazał boyowi podnieść ją pod

ramiona, sam chwycił za stopy i zanieśli ją do łazienki, rozebrali i umyli. Robił to w sposób chłodny, skuteczny, chyba nie zwracał uwagi na ohydny fetor, który mnie chwycił za gardło, z dużym wysiłkiem powstrzymywałem obrzydzenie i coraz większe mdłości (ale gdzie ja byłem w tym śnie, w którym miejscu?).

Wstałem wcześniej i przemierzyłem dom, pusty i cichy. W kuchni znalazłem chleb, masło, miód i kawę; zjadłem. Poszedłem do salonu, obejrzałem książki w bibliotece. Sporo tomów w języku niemieckim, lecz również pozycje angielskie, włoskie, rosyjskie; po zastanowieniu, odczuwając nagłą przyjemność, wybrałem *Szkolę serca*, którą znalazłem po francusku. Usiadłem przy oknie i czytałem przez kilka godzin, unosząc od czasu do czasu głowę, by popatrzeć na las i szare niebo. Koło południa przyrządziłem omlet na boczku i zjadłem go przy starym drewnianym stole w kącie kuchni, co rusz dolewając sobie piwa, które piłem małymi łykami. Zrobiłem kawę, wypaliłem papierosa i postanowiłem pójść na spacer. Włożyłem oficerski płaszcz, lecz go nie zapiąłem: nadal było ciepło, ale śnieg nie topniał, twardniał raczej i zamieniał się w skorupę. Przeciąłem ogród i wszedłem do lasu. Sosny rosły tu niezbyt gęsto, były bardzo wysokie, strzelały w górę, by tam połączyć korony niczym szerokie, osadzone na kolumnach sklepienie. Gdzieś leżały jeszcze płaty śniegu, ziemia była naga i twarda, zasypana suchymi igłami, które chrzęściły przy każdym kroku. Wstąpiłem na prostą piaszczystą drogę prowadzącą pomiędzy sosnami. W ziemi odcisnięte były ślady kół wozów; na poboczu, tu i tam, leżały w równych stosach rozłupane pnie. Droga kończyła się nad siwą rzeką, szeroką na jakieś dziesięć metrów; na drugim brzegu widać było zaorane pole, czarne bruzdy cięły śnieg aż do bukowego lasu. Skręciłem w prawo i wszedłem między drzewa, podążając za prądem delikatnie szemrzącej rzeki. Idąc, wyobrażałem sobie, że Una idzie ze mną. Miała na sobie wełnianą spódnicę i męską skórzaną marynarkę, wysokie buty i swój szeroki szydełkowy szal. Widziałem, jak maszeruje przodem, pewnym, spokojnym krokiem, syciłem oczy widokiem gry mięśni jej ud, pośladków, jej dumnie wyprostowanych pleców. Nie mogłem wyobrazić sobie nic szlachetniejszego, piękniejszego, prawdziwszego. Dalej dęby i buki przeplatały się z sosnami, podłoże stało się bagienne, usłane opadłymi liśćmi, które nasiąkły wodą, wystarczyło postawić na nich stopę, a już grzęzła w błocie, lekko stwardniałym od zimna. Lecz już za moment grunt wznosił się nieco wyżej i marsz znów sprawiał przyjemność. Tu rosły już niemal tylko sosny, smukłe i proste jak strzały: młody las, zasadzony po wycince. I wreszcie polana,

gęsto porośnięta trawą, zimna, niemal bez śniegu, górująca nad nieruchomymi wodami jeziora. Po prawej stronie dostrzegłem kilka domków, drogę, groblę obrosniętą świerkami i brzoźami. Wiedziałem, że rzeka nazywa się Drawa, że łączy to jezioro z jeziorem Drawsko i płynie dalej w stronę Krössin-See, gdzie znajdowała się szkoła SS, w okolicach Falkenburga. Patrzyłem na szarą powierzchnię jeziora: wokół roztaczał się ten sam uporządkowany krajobraz — czarna ziemia i las. Szedłem brzegiem aż do wioski. Przywołał mnie jakiś wieśniak pracujący w ogrodzie, zamieniłem z nim parę słów; był niespokojny, bał się Rosjan, nie mogłem podać mu dokładnych informacji, lecz wiedziałem, że jego strach jest uzasadniony. Ruszyłem drogą, skręciłem w prawo i wspiąłem się powoli po długim zboczu między jeziorami. Było wysokie i zasłaniało wody. Na grzbiecie grobli wdrapałem się na szczyt i przedarłem między drzewami, odpychając gałęzie, aż do miejsca, w którym z wysoka widać całe jezioro tworzące w oddali wielkie, nieregularne rozlewiska. Nieruchome wody i czarne lasy na drugim brzegu nadawały krajobrazowi uroczysty, tajemniczy charakter, było to niczym królestwo poza życiem, a mimo to ciągle jeszcze poza śmiercią — kraina pomiędzy. Zapaliłem papierosa i spojrzałem na jezioro. Pojawiła się w mej pamięci rozmowa, przeprowadzona w dzieciństwie, lub raczej we wczesnej młodości: siostra opowiedziała mi pewnego dnia stary pomorski mit, legendę o Winecie, pięknym i rozpustnym mieście pochłoniętym przez Bałtyk — podobno rybacy do dziś słyszą jego dzwony, ich dźwięk niesie się po wodzie w południe. Umiejscawiano je czasem w okolicach Kolbergu. To wielkie, bardzo bogate miasto, opowiadała z dziecięcą powagą Una, zostało unicestwione z powodu nieumiarkowanej pożądlivosti jednej kobiety, córki króla. Wielu marynarzy i rycerzy przybywało tu, aby pić i ucztować, piękni, silni mężczyźni, pełni życia. Każdego wieczoru córka króla wychodziła do miasta w przebraniu, wstępowała do oberży, do najbardziej zaplutyh spelunek i wybierała jednego mężczyznę. Prowadziła go ze sobą do pałacu i kochała się z nim przez całą noc; nad ranem mężczyzna umierał z wyczerpania. Żaden, nawet najsilniejszy, nie był w stanie sprostać jej nienasyconej żądzy. Kazała rzucać trupa do morza, do zatoki, wstrząsanej sztormami. Wieczne niezaspokojenie tylko wzmagало jej pożądanie. Widziano ją, jak chodzi po plaży, śpiewając Morzu, z którym też chciała się kochać. Bo tylko Morze, śpiewała, jest wystarczająco wielkie, wystarczająco silne, by ją zaspokoić. Pewnej nocy, gdy już nie mogła wytrzymać, wyszła z pałacu, pozostawiwszy w łóżku trupa ostatniego kochanka. Był sztorm, morze biczowało mury strzegące miasta.

Dziewczyna poszła na molo i otworzyła wielką bramę z brązu, którą postawił tam jej ojciec. Morze wtargnęło do miasta, wzięło księżniczkę i uczyniło swoją żoną, i zatopiło miasto, przyjmując je jak swoje, niczym wiano. Gdy Una zakończyła tę opowieść, zwróciłem jej uwagę, że nie różni się ona od celtyckiej, tej o mieście Ys. „Być może, odparła tonem pełnym wyższości. Ale jest piękniejsza”. — „Jeżeli dobrze zrozumiałem, chodzi w niej o to, że nie można pogodzić istnienia miasta z nienasyconym pożądaniem kobiet”. — „Rzekłabym raczej: niezmierzonej rozkoszy kobiet. Ale to, o czym mówisz, to moralność mężczyzn. Ja myślę, że umiarkowanie i moralność zostały wymyślone przez mężczyzn, by zrekompensować niedosyt ich własnej rozkoszy. Bo mężczyźni od dawna wiedzą, że ich rozkosz nigdy nie będzie się równać z rozkoszą, którą my odczuwamy — to inny wymiar”.

W drodze powrotnej czułem się jak pusta muszla, jak automat. Myślałem o obrzydliwym śnie, który nawiedził mnie w nocy, próbowałem wyobrazić sobie siostrę z nogami oblepionymi płynnym, lepkim kałem i tamten przeraźliwie słodki smród. Nogi wychudzonych kobiet, ewakuowanych z Auschwitz, skulonych pod kocami, też były umazane gównem, ich nogi podobne do kijów; kobiety, które stawały, żeby się wypróżnić, były zabijane, musiały srać, idąc, jak konie. Una pokryta gównem byłaby jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej świetlista, bo to upodlenie by jej nie dotknęło, nie byłoby w stanie jej dotknąć. Wtuliłbym się między jej skalane nogi niczym zagubiony noworodek głodny mleka i miłości. Te myśli zawróciły mi w głowie, nie mogłem ich przegonić, oddychałem z trudem i nie rozumiałem, dlaczego ogarnęły mnie tak brutalnie. W domu błądziłem bez celu po korytarzach i pokojach, otwierałem i zamykałem drzwi na chybił trafił. Chciałem zajrzeć do pokoiów von Üxküll, lecz zrezygnowałem w ostatniej chwili, z ręką na klamce, powstrzymany niespodziewanym zażenowaniem, podobnym do tego, które odczuwałem, gdy jako dziecko wślizgiwałem się do gabinetu ojca pod jego nieobecność, by dotykać książek i bawić się kolekcją motyli. Wróciłem na piętro i wszedłem do pokoju Uny. Prędko otworzyłem okiennice, roztrzaskając je z trzaskiem. Z okien rozciągał się z jednej strony widok na dziedziniec, z drugiej zaś — na taras, ogród i las, zza którego wyłaniał się fragment jeziora. Usiadłem przy toalecie u stóp łóżka, twarzą do zwierciadła. Patrzyłem na widocznego w tafli mężczyznę, zgnuśniałego, zmęczonego, ponurego faceta, o twarzy nabrzmiałej niechęcią. Nie poznawałem go, to nie mogłem być ja, ale jednak — tak. Wyprostowałem się, uniosłem głowę, niewiele to zmieniło.

Wyobraziłem sobie Unę stojącą przed tym zwierciadłem, nagą albo w sukience, na pewno widziała, jak bajecznie jest piękna — jakież miała szczęście, mogąc tak na siebie patrzeć, przyglądać się z bliska cudnemu ciału. A może wcale nie, może nie dostrzegала swojej urody, może uroda była niewidoczna dla jej oczu, może nie widziała szalonej niezwykłości, skandalu tych piersi i tego sromu, tego czegoś między nogami, czego nie można ot tak, zobaczyć, co kryje zazdrośnie całą swą wspaniałość, może czuła tylko ciężar i powolne przekwitanie, i lekki smutek pomieszany ze słodkim poczuciem poufałego porozumienia, nigdy zaś cierpkość pożądania pełnego paniki: „Spójrz, tam *niczego* nie ma”. Wstałem, oddychając z trudem, poszedłem spojrzeć przez okno na las. Ciepło, wywołane długim marszem, opadło, pokój wydał mi się lodowaty, było mi zimno. Odwróciłem się do sekretarzyka, stojącego pod ścianą pomiędzy dwoma oknami wychodzącymi na ogród, i nie myśląc wiele, spróbowałem go otworzyć. Był zamknięty na klucz. Zszedłem, rozejrzałem się po kuchni za dużym nożem, chwyciłem z kosza cienką szczapkę, wziąłem też butelkę koniaku i kieliszek i wróciłem na górę. W pokoju nalałem sobie alkoholu, upiłem nieco i zabrałem się do rozpalania w małym, cementowanym piecu w rogu. Gdy ogień się rozbuchał, rozwaliłem nożem zamek w sekretarzyku. Łatwo puścił. Usiadłem, postawiłem blisko kieliszek z koniakiem i przeszukałem szuflady. Było tam mnóstwo różnych przedmiotów i papierów, klejnoty, kilka egzotycznych muszli, skamieliny, korespondencja dotycząca interesów, którą przebiegałem nieuważnie wzrokiem, listy ze Szwajcarii zaadresowane do Uny, pełne zwłaszcza rozważań psychologicznych, przeplatanych błahymi plotkami, i tak dalej. W jednej z szuflad trafiłem na stos zapisanych ręcznie arkusików, ściśniętych w skórzanej teczce: brudnopisy listów do mnie, których nigdy nie wysłała. Z bijącym sercem opróżniłem blat biurka, wepchnąłem do szuflad to, co na nim stało, i rozłożyłem listy jak wachlarz kart do gry. Przebiegłem po wszystkich palcami i wyciągnąłem jeden, przypadkowy, jak mi się wydawało, ale bez wątplenia nie był to przypadek, ten list datowany był 28 kwietnia 1944 roku i zaczynał się tak: *Drogi Maksie, dziś mija rok od śmierci mamy. Nigdy nie napisałeś mi, nigdy nie powiedziałeś, co się stało, nigdy niczego nie wyjaśniłeś...* Tu list się urywał, przejrzałem szybko jeszcze kilka, wszystkie wyglądały na niedokończone. Wypiłem więc nieco koniaku i opowiedziałem wszystko siostrze, dokładnie tak, jak napisałem to tutaj, niczego nie ominąwszy. To zajęło sporo czasu; gdy skończyłem, w pokoju zapadał zmrok. Chwyciłem inny list i wstałem, żeby przeczytać przy oknie. Było w nim dużo o naszym

ojcu i przeczytałem go od początku do końca, ze spieczonymi ustami, zgięty wpół z trwogi. Una pisała, że moja niechęć do matki, powodowana uczuciem do ojca, była niesprawiedliwa, że matka miała przez niego ciężkie życie, przez ten niewytłumaczalny chłód, częstą nieobecność i w końcu niewyjaśnione odejście. Pytała, czy ja go sobie w ogóle przypominam. Rzeczywiście, pamiętałem niewiele, jego zapach, pot, pamiętałem, jak rzucaliśmy się na niego, atakując, gdy czytał na kanapie, i to, jak przytulał nas, śmiejąc się na całe gardło. Raz, gdy kaszlałem, dał mi do połknięcia lekarstwo, które natychmiast zwymiotowałem na dywan. Umierałem ze wstydu, ze strachu, że się rozzłości, ale on był bardzo miły, pocieszył mnie i wyczyścił dywan. Czytałem list dalej, Una pisała, że jej mąż poznał naszego ojca w Kurlandii, że ojciec — zgadzało się to z tym, co mówił sędzia Baumann — dowodził jednym z Freikorps. Von Üxküll kierował inną jednostką, ale dobrze go znał. *Berndt mówił, że to było zwierzę spuszczone z łańcucha*, pisała Una. *Człowiek bez wiary, bez ograniczeń. Kazał krzyżować zgwałcone kobiety na drzewach, osobiście wrzucał żywe dzieci do płonących stodół, przekazywał złapanych wrogów swoim ludziom, rozszalałym bestiom, i śmiał się, i pił, patrząc na ich, męki. Dowodził w sposób uparty, tępy, nie słuchał nikogo. Całe skrzydło, którego zadaniem była obrona Mitau, padło z powodu jego arogancji, przyspieszając odwrót armii. Wiem, że mi nie uwierzysz*, dodawała, *ale taka jest prawda, myśl sobie o tym, co chcesz*. Przerażony i wściekły zmiąłem list, o mało go nie rozdarłem, lecz się powstrzymałem. Rzuciłem go na blat sekretarzyka i przemierzyłem pokój kilkoma susami, chciałem wyjść, wróciłem, wahałem się, przygnieciony kaskadą sprzecznych uczuć, wreszcie napiłem się koniaku, to uspokoiło mnie nieco, chwyciłem butelkę i zszedłem pić dalej do salonu.

Przyszła Käthe i przyrządzała posiłek, wchodziła do kuchni i wychodziła, nie miałem ochoty na jej towarzystwo. Wróciłem do holu i otworzyłem drzwi apartamentów von Üxküll. Były to dwa piękne pomieszczenia, gabinet do pracy i sypialnia, urządzone ze smakiem: stare i ciężkie meble z ciemnego drewna, orientalne kobierce, proste przedmioty z metalu, łazienka wyposażona w specjalne sprzęty, prawdopodobnie dostosowana do potrzeb paralityka. Patrząc na to wszystko, doznałem znów uczucia silnego zażenowania i jednocześnie ignorowałem to. Przechadzałem się po gabinecie — żaden przedmiot nie stał na wielkim, masywnym biurku, przy którym nie było krzesła; na półkach leżały wyłącznie partytury kompozytorów wszelkiej maści, sklasyfikowane według krajów i okresów, a z boku niewielki stosik nut w okładkach, jego własnych

kompozycji. Otworzyłem jedną i przyglądałem się seriom nut, była to dla mnie abstrakcja, nie umiałem ich czytać. W Berlinie von Üxküll wspominał o dziele, które planował, o fudze lub, jak sam to nazywał, suicie złożonej z seryjnych wariacji w formie fugi. „Nie wiem jeszcze, czy to, o czym myślę, jest rzeczywiście możliwe”, powiedział wtedy. Skrzywił się, gdy spytałem o temat: „To nie jest muzyka romantyczna. Nie ma tematu. To po prostu etiuda”. — „Czemu ją pan poświęci?”, spytałem więc. — „Niczemu. Dobrze pan wie, że moje dzieła nie są grane w Niemczech. Prawdopodobnie nigdy nie usłyszę jego wykonania”. — „Więc po co pan komponuje?” A on się uśmiechnął, szerokim, radosnym uśmiechem: „Żeby załatwić to, nim umrę”.

Pośród partytur znalazłem, ma się rozumieć, Rameau, Couperina, Fouqueraya, Balbastre'a. Wziąłem kilka z regału i przejrzałem je, rzucając okiem na znajome tytuły. Był tam *Gavotte à six doubles* Rameau — gdy patrzyłem na kartę z nutami, muzyka przysłała do mnie natychmiast, toczyła się w mojej głowie, jasna, prędką, krystaliczną, jak galop rasowego konia po rosyjskiej zimowej równinie, tak lekkiego, że kopytami ledwo tylko muskał śnieg, pozostawiając na nim prawie niewidoczne ślady. Lecz cóż z tego, że wpatrywałem się w pięciolinie, skoro nie mogłem powiązać tych czarownych treli z wyrysowanymi na niej znaczkami. Von Üxküll, pod koniec obiadu w Berlinie, wrócił do Rameau. „Ma pan rację, że lubi pan tę muzykę, powiedział. To jasna, suwerenna muzyka. Nigdy nie wyrzeka się elegancji, lecz pozostaje pełna niespodzianek, a nawet pułapek, jest ludyczna, wesoła, powstała z tej radosnej umiejętności, która nie lekceważy ani matematyki, ani życia”. Bronił także Mozarta, w zadziwiający sposób: „Długo go nie doceniałem. Gdy byłem młody, miałem go za zdolnego hedonistę pozbawionego głębi. Ale oceniałem go być może przez pryzmat własnego purytanizmu. Starzejąc się, zacząłem wierzyć, że jego poczucie istnienia było prawdopodobnie równie wielkie co Nietzschego, że jego muzyka wydaje się prosta dlatego tylko, iż życie, w sumie, jest dość proste. Lecz nie mam jeszcze ostatecznego zdania na ten temat, muszę go jeszcze trochę posłuchać”.

Käthe wyszła, a ja zabrałem się do jedzenia, opróżniając przy tym, nadal ceremonialnie, jedną ze wspaniałych butelek von Üxküll'a. Dom zaczął wydawać mi się znajomy i przytulny, Käthe napaliła w kominku, w jadalni panowało przyjemne ciepło, czułem spokój, byłem w komitywie z tym wszystkim: z ogniem i dobrym winem, i nawet portretem męża siostry, zawieszonym nad fortepianem, na którym nie umiałem grać. Lecz to uczucie nie trwało długo. Po posiłku sprzątnąłem ze stołu, nalałem sobie miarę

koniaku, usiadłem przy kominku i próbowałem czytać Flauberta, ale nie mogłem. Czaiło się we mnie zbyt wiele stłumionych emocji. Miałem wzwód, wpadłem na pomysł, żeby się rozebrać i zwiedzać nago ten wielki dom, ciemny i zimny, i cichy, przestrzeń rozległą i wolną, a przy tym pełną sekretów, podobnie jak dom Moreau, gdy byliśmy dziećmi. A za tą myślą przyszła następna, jej ciemny sobowtór, myśl o podzielonej na kwartały i strzeżonej przestrzeni obozów: zbieranina baraków, harmider zbiorowych latryn — nie było takiego miejsca, w którym, samemu lub we dwoje, można było pozwolić sobie na chwilę bycia człowiekiem. Rozmawiałem o tym raz z Hóssem, oświadczył, że na przekór wszelkim zakazom i środkom zaradczym życie seksualne więźniów nadal istnieje, i to nie tylko kapo ze swoimi Pipel czy lesbijki między sobą, ale mężczyźni z kobietami — mężczyźni przekupywali strażników, by przyprowadzili im kochanki, albo wślizgiwali się do Frauenlager razem z komando roboczym, ryzykując życie za możliwość szybkiego wstrząsu, otarcia się dwóch wychudzonych miednic, krótkiego kontaktu ciał, zawoszonych i ogolonych. Zrobił na mnie silne wrażenie ten niemożliwy erotyzm, którego przeznaczeniem była śmierć pod podkutymi butami strażników, czysta odwrotność — w swej beznadziei — wolnego, promiennego, nieokiełzanego erotyzmu bogaczy, lecz który może również krył w sobie podstępna i upartą prawdę, że każda szczerza miłość jest nieuchronnie zwrócona ku śmierci i w swym pożądaniu nie zważa na nędzę ciał. Bo człowiek wziął nagie fakty, bez konsekwencji dane każdej seksualnej istocie, po czym uczynił z nich nieograniczony zbiór fantazji, mętny i głęboki, erotyzm, który bardziej niż cokolwiek innego odróżnia nas od zwierząt; podobnie człowiek postąpił z ideą śmierci, a co ciekawe, ów zbiór nie ma nazwy (kto wie, czy nie można by nazwać go *tanatyzmem*): i to właśnie te fantazje, te gry powtarzanych do znudzenia obsesji, a nie miłość sama w sobie — to one są nieokiełznanym motorem naszego apetytu na życie, na wiedzę, powodem naszego wewnętrznego rozdarcia. Cały czas trzymałem *Szkołę serca*, spoczywała zapomniana na moich kolanach, stykając się delikatnie z członkiem, pozwoliłem szalonym myślom tłuc się po mojej głowie, a uszy wypełniał mi lękliwy odgłos bicia serca.

Rankiem byłem spokojniejszy. Znów próbowałem czytać w salonie, posiliwszy się nieco chlebem i kawą, lecz moje myśli wciąż odpływały, odklejały się od przygód Fryderyka i pani Arnoux, uchodziły. Pytałem sam siebie: po co w ogóle tu przyjechałeś? Czego właściwie chcesz? Zaczekać, aż Una wróci? Zaczekać, aż jakiś Rusek poderżnie ci

gardło? Popęlić samobójstwo? Przyszła mi na myśl Helena. Ona i siostra, pomyślałem, to dwie kobiety, nie licząc kilku pielęgniarek, które widziały mnie nago. Co zobaczyła, co pomyślała na ten widok? Co takiego zobaczyła we mnie, czego ja nie widziałem, i czego moja siostra, od dawna, nie chciała już widzieć? Myślałem o ciele Heleny, które tak często widywałem obleczone w kostium kąpielowy, była szczuplejsza i bardziej jędrna od siostry, miała mniejsze piersi. Obie miały podobnie białą skórę, ale o ile biel stanowiła kontrast dla czarnych i gęstych włosów u mojej siostry, o tyle u Heleny włoski na ciele były delikatne i jasne, jak te na głowie. Jej łono też musiało być delikatne i jasne, lecz o tym nie chciałem myśleć. Nagłe obrzydzenie chwyciło mnie za gardło. Mówiłem sobie: miłość umarła, jedyna miłość umarła. Nie powinienem był tu przyjeżdżać, trzeba się zbierać, wracać do Berlina. Ale nie chciałem tam wracać, chciałem zostać. Po jakimś czasie wstałem i wyszedłem. Znow się puściłem przez las, dotarłem do starego mostu na Drawie i przeszedłem po nim. Tu krzewy były gęstsze, ciemniejsze, można było chodzić wyłącznie po drogach leśników i drwali, wystające gałęzie drzew szarpały moje ubrania. Dalej wznosiła się niewielka samotna górką, z której zapewne widać było całą okolicę, ale nie miałem ochoty się tam wspinać, łąziłem bez celu, być może w kółko, aż wreszcie odnalazłem rzekę i wróciłem do domu. Käthe czekała na mnie i wyszła z kuchni na moje spotkanie. „Są tu Herr Busse, Herr Gast i paru innych. Czekają na dziedzicu. Dałam im sznapsa”. Busse był gospodarzem von Üxküllą. „Czego ode mnie chcą?”, spytałem. — „Chcieliby porozmawiać”. Przeszedłem przez dom i znalazłem się na dziedzińcu. Wieśniacy siedzieli na furze zaprzęzonej w konia, czy raczej szkapę, która skubała wystające spod śniegu źdźbła trawy. Widząc mnie, zrzucili derki i zeskoczyli na ziemię. Jeden z nich, rumiany mężczyzna o siwych włosach i czarnym jeszcze wąsie, podszedł i lekko się ku mnie pochylił. „Dzień dobry Herr Obersturmbannführer. Käthe powiedziała nam, że jest pan bratem pani”. Mówił tonem uprzejmym, lecz pełnym wahania, starannie dobierał słowa. „Tak właśnie jest”, odrzekłem. — „Wie pan, gdzie teraz są Freiherr i pani? Wie pan, co zamierzają?” — „Nie. Myślałem, że zastanę ich tutaj. Nie wiem, gdzie są. Może w Szwajcarii”. — „No, bo trzeba będzie się niedługo stąd zabierać, Herr Obersturmbannführer. Nie można już zbyt długo czekać. Czerwoni atakują Stargard, otoczyli Arnswalde. Ludzie się boją. Kreisleiter mówi, że oni tu nigdy nie dotrą, ale my mu nie wierzymy”. Był zażenowany, miętosił kapelusz w dłoniach. „Herr Busse, powiedziałem, rozumiem waszą troskę. Musicie myśleć o rodzinach. Jeżeli uważacie, że

powinniście wyjechać, jedźcie. Nikt was nie zatrzymuje”. Rozchmurzył się nieco. „Dziękuję, Herr Obersturmbannführer. No, bo się martwiliśmy, bo dom taki pusty”. Zawahał się. „Jeśli pan chce, mogę dać panu wóz i konia. Pomożemy, jak będzie pan chciał załadować meble. Wywieziemy, schowamy w bezpiecznym miejscu”. — „Dziękuję, Herr Busse. Pomyślę o tym. Wyślę po was Käthe, jeśli się zdecyduje”.

Mężczyźni wsiedli z powrotem na wóz i odjechali wolno brzozową aleją. Słowa Bussego nie wywarły na mnie żadnego wrażenia, nie potrafiłem myśleć o przybyciu Rosjan jak o czymś konkretnym, bliskim. Nie ruszyłem się z miejsca, stałem tak, oparty o futrynę szerokich drzwi i paliłem papierosa, patrząc, jak fura znika w głębi alei. Później, po południu, przyszli dwaj inni mężczyźni. Mieli na sobie niebieskie kurtki z surowego płótna, długie buty z ćwiekami, a w rękach trzymali czapki; od razu zorientowałem się, że są to dwaj Francuzi, robotnicy z obozu pracy przymusowej, o których opowiadała Käthe, pracowali w polu i zajmowali się gospodarstwem von Üxküll. Oni i Käthe to były ostatnie osoby z personelu, które tu jeszcze pozostały: wszystkich mężczyzn powołano do wojska, ogrodnik był w Volkssturmie, pokojówka pojechała do rodziców ewakuowanych do Meklemburgii. Nie wiedziałem, gdzie mieszkało tych dwóch, może u Bussego. Z marszu odezwałem się do nich po francusku. Starszy, Henri, był krępy, przysadzistym wieśniakiem koło czterdziestki, pochodził z Luberonu, znał Antibes; drugi urodził się chyba w jakimś mieście na prowincji i wyglądał jeszcze młodo. Oni też się niepokoiли, przyszli powiedzieć, że chcą wyjechać, wszyscy wyjeżdżali. „Rozumie pan, *monsieur l'officier*, bolszewików wcale nie kochamy bardziej od was. To dzikusy, nie wiadomo, czego się po nich spodziewać”. — „Jeśli Herr Busse wyjedzie, powiedziałem, będziecie mogli wyjechać z nim. Nie zatrzymuję was”. Widziałem, jak im ulżyło. „*Merci, monsieur l'officier*. Wyrazy szacunku dla barona i dla Madame, gdy ich pan spotka”.

Kiedy ich spotkam? Ta myśl wydała mi się niemal śmieszna; zarazem nie byłem w stanie zaakceptować możliwości, że mógłbym już nigdy nie zobaczyć siostry: to było po prostu *nie do pomyślenia*. Wieczorem odesłałem Käthe nieco wcześniej i sam sobie podałem do stołu, po raz trzeci jadłem samotnie kolację w tej wielkiej jadalni oświetlonej blaskiem świec, w podniosłym nastroju, a jedząc i pijąc, oddawałem się natrętnej fantasmagorii, obłąkanej wizji doskonałej koprofagicznej samowystarczalności. Wyobrażałem sobie, że jestem zamknięty w tym dworku sam na sam z Uną, odcięty od świata, na zawsze. Co wieczór zakładaliśmy najlepsze stroje, ja — garnitur i jedwabną

koszulę, ona — piękną, obcisłą suknię z rozcięciem na plecach, ozdobioną ciężką, niemal prymitywną biżuterią ze srebra, i zasiadaliśmy do eleganckiej kolacji przy stole przykrytym koronkowym obrusem, z kryształowymi kielichami, sztucami zdobnymi w nasze herby, talerzami z sewrskiej porcelany, kandelabrami z masywnego srebra, najeżonymi długimi, białymi świecami; w kielichach — nasz własny mocz, na talerzach — piękne kupy, blade i zwarte, które jedliśmy spokojnie, małymi srebrnymi łyżeczkami. Wycieraliśmy usta batystowymi chusteczkami z monogramem, piliśmy, a po skończonym posiłku sami szliśmy do kuchni, by umyć naczynia. W ten sposób byliśmy samowystarczalni, nie było po nas strat ani śladów, wszystko pozostawało czyste. Ta szalona wizja napełniała mnie do końca posiłku głuchym lękiem. Po kolacji poszedłem na górę, do pokoju Uny, żeby się napić koniaku i zapalić. Butelka była niemal pusta. Popatrzyłem na sekretarzyk, znów był zamknięty, nie opuszczały mnie złe przecucia, nie wiedziałem, co robić, ale za żadne skarby nie chciałem go otwierać. Otworzyłem szafę i przejrzałem suknie siostry, obwąchując je mocno, żeby zanurzyć się w zapachy. Wybrałem jedną, piękną wieczorową suknię z cienkiej tkaniny, czarno-szarą ze srebrną nicią. Stercząc przed dużym zwierciadłem, trzymałem udrapowaną suknię przy ciele i z wielką powagą zakreśliłem kilka kobiecych gestów. Jednak natychmiast się przestraszyłem i odwiesiłem suknię, pełen obrzydzenia i wstydu: w co ja się zabawiam? Moje ciało nie jest jej ciałem i nigdy nie będzie. Jednocześnie nie mogłem się powstrzymać, musiałbym natychmiast opuścić dom, a ja nie mogłem opuścić domu. Więc znów usiadłem na kanapie i skończyłem koniak, zmuszając się, by pomyśleć o tych skrawkach listów, które czytałem, o zagadkach bez końca i bez rozwiązania, o odejściu ojca, śmierci matki. Wstałem, poszedłem po listy i usiadłem, by znów przeczytać kilka. Siostra próbowała zadawać mi pytania, chciała wiedzieć, jak mogłem spać, podczas gdy ktoś zabijał mi matkę, i co poczułem na widok jej zwłok, o czym rozmawialiśmy dzień wcześniej. Nie mogłem odpowiedzieć na niemal żadne z tych pytań. W jednym z listów pisała o wizycie Clemensa i Wesera: intuicyjnie skłamała im, nie powiedziała, że widziałem zwłoki, ale chciała wiedzieć, czemu ja skłamałem, i co tak naprawdę zapamiętałem. Co zapamiętałem? Nie wiem już nawet, czy to było wspomnienie. Jako dziecko pewnego dnia wchodziłem na szare stopnie wielkiego mauzoleum albo pomnika zagubionego w lesie — dziś jeszcze, gdy to piszę, wyraźnie to widzę. Liście były czerwone, musiał to być koniec jesieni, drzewa zasłaniały niebo. Gruba warstwa opadłych

liści, czerwonych, pomarańczowych, brunatnych, złotych, pokrywała schody, grzęzłem po same uda, a stopnie były tak wysokie, że musiałem pomagać sobie rękoma, by wdrapać się na kolejny. W moim wspomnieniu ta scena łączy się z uczuciem przygnębienia — ciążyły mi rozpalone barwy liści i torowałem sobie drogę na tych schodach dla olbrzymów pośród wysuszonej, kruchej masy, bałem się, myślałem, że zaraz całkiem się w niej pograżę i zniknę. Lata całe sądziłem, że ten obraz to wspomnienie snu, obraz z dziecięcego snu, który we mnie pozostał. Lecz pewnego dnia, w Kilonii, gdy wróciłem tam na studia, trafiłem przypadkowo na ten ziggurat, niewielki granitowy pomnik ku czci umarłych; obszedłem go, schody nie były wyższe niż gdzie indziej, ale to było to miejsce, ono istniało. Oczywiście za pierwszym razem musiałem być bardzo mały i dlatego stopnie wydawały mi się tak wysokie, lecz tym, co naprawdę mną wstrząsnęło, był fakt, że po tylu latach coś, co zawsze umiejscawiałem w świecie snów, okazało się rzeczą realną i materialną. Podobnie było ze wszystkim, o czym starała się napisać mi Una w swych niedokończonych listach. Owe nieustanne myśli miały ostre krawędzie, objąłem się o nie dziko, korytarzami zimnego, przytłaczającego domu płynął strumień krwawych strzępów moich uczuć, potrzeba było młodej i zdrowej pokojówki, żeby wszystko splukała czystą wodą, ale tu już nie było pokojówki. Włożyłem listy do sekretarzyka i zostawiwszy w sypialni siostry szklanekę i pustą butelkę, poszedłem się położyć do pokoju obok. Lecz gdy tylko wyciągnąłem się na łóżku, znowu zaczęły napływać myśli, obsceniczne, perwersyjne. Wstałem i w migotliwym blasku kontemplowałem swoje nagie ciało w lustrze na drzwiach szafy. Dotykałem płaskiego brzucha, sztywnego członka, pośladków. Opuszkami palców muskałem krótkie włoski na karku. Zdmuchnąłem świecę i znów się położyłem. Myśli nie chciały mnie zostawić, wychodziły z kątów pokoju jak wściekłe psy i rzucały się, by mnie gryźć i rozpalać. Una i ja wymienialiśmy się ubraniami, nie miałem na sobie niczego prócz pończoch i zakładałem właśnie jej długą suknię, podczas gdy ona wbijała się w mój mundur i zbierała włosy, by schować je pod czapkę; następnie sadzała mnie przy toalecie i robiła mi staranny makijaż, zaczesawszy moje włosy do tyłu, nakładała mi szminkę na usta, tusz na rzęsy, puder na policzki, skrapiała szyję perfumami i lakierowała paznokcie, a gdy skończyła, brutalnie zamienialiśmy się rolami, zakładała fallusa wyrzeźbionego w hebanie i brała mnie jak mężczyzna, przed swoim dużym zwierciadłem, które beznamytnie odbijało obraz naszych ciał splątanych niczym węże; natłuszczała fallusa cold-creamem, od cierpkiego zapachu kręciło mnie w nosie, a ona

wykorzystywała mnie, jakbym był kobietą, aż do chwili, gdy zatarły się wszelkie różnice i powiedziałem jej: „Jestem twoją siostrą, a ty moim bratem”, a ona: „Jesteś moją siostrą, a ja twoim bratem”.

Te oszałamiające obrazy całymi dniami podgryzały mnie jak pobudzone szczeniaki. Sam tak się miałem do tych myśli, jak się mają do siebie dwa magnesy, którym jakaś tajemnicza siła bez przerwy zmienia ładunki: przyciąganie — ładunki zmieniały się — następowało odpychanie — na moment zaledwie — i znów zachodziła zmiana, znów przyciągałem je do siebie, a wszystko odbywało się szybko i sprawiało, że krążyłem wokół nich, a one wokół mnie, te myśli i ja, wzajemnie, zachowując stały dystans — nie mogliśmy się do siebie ani zbliżyć, ani oddalić. Na zewnątrz topniał śnieg, ziemia robiła się błotnista. Pewnego dnia przyszła Käthe i oznajmiła, że wyjeżdża; oficjalnie ewakuacja była zakazana, ale ona miała kuzynkę w Dolnej Saksonii i jechała zamieszkać u niej. Przyszedł też Busse i ponowił ofertę: właśnie wcielono go do Volkssturmu, ale chciał wysłać rodzinę gdzieś dalej, zanim będzie za późno. Prosił, żebym się z nim rozliczył w imieniu von Üxküll, lecz odmówiłem, przepędziłem go i kazałem wywieźć, wraz z rodziną, dwóch francuskich robotników. Gdy szedłem pospacerować wzdłuż drogi, dostrzegałem niewielkie zaledwie poruszenie; przewidujący mieszkańcy Alt Draheim przygotowywali się do ucieczki dyskretnie; opróżniali spiżarnie i sprzedawali mi tanio zapasy żywności. We wsi panował spokój, tylko od czasu do czasu słychać było warkot samolotu, wysoko na niebie. Aż któregoś dnia — byłem właśnie na piętrze — w aleję wjechał samochód. Ukryty za zasłoną, patrzyłem przez okno, jak sunął w stronę domu; gdy był już całkiem blisko, rozpoznałem tablicę Kripo. Pobiegłem do swojej sypialni, wyjąłem z kabury broń służbową, którą trzymałem w torbie i niewiele myśląc, zbiegłem po kuchennych schodach, przez drzwi w kuchni rzuciłem się w stronę lasu za tarasem. Ściskając nerwowo pistolet, okrążyłem biegiem część ogrodu, trzymając się w bezpiecznej odległości od linii drzew i podkradłem się do płataniny krzaków, by stamtąd obserwować dom. Widziałem cień człowieka, widziałem, jak wychodzi przez oszklone drzwi, przemierza taras, staje przy balustradzie i obserwuje ogród, z rękoma wbitymi w kieszenie płaszcza. „Aue!, krzyknął dwukrotnie, Aue!” To był Weser, bez trudu go rozpoznałem. W drzwiach zamajaczyła wysoka sylwetka Clemensa. Weser po raz trzeci wyszczekał moje nazwisko tonem nieznoszącym sprzeciwu, a następnie odwrócił się i wszedł do domu za Clemensem. Czekałem. Po dłuższej chwili dostrzegłem ich cienie tańczące za oknami

pokoju siostry. Ogarnęła mnie szalona wściekłość, krew uderzyła mi do głowy, gdy odbezpieczałem pistolet, gotów biec do domu i zastrzelić bez litości te dwa złośliwe dogi; z trudem się powstrzymałem, by nie ruszyć z miejsca, drżałem i zaciskałem z wysiłku palce na kolbie pistoletu. Wreszcie usłyszałem warkot silnika. Oczekałem jeszcze chwilę i wróciłem do domu, zachowując czujność na wypadek, gdyby zastawili na mnie zasadzkę. Samochód odjechał, dom był pusty. W moim pokoju wszystko leżało na swoim miejscu; sekretarzyk w pokoju Uny był wprawdzie zamknięty, lecz ze środka znikły brudnopisy listów. Przygnębiony usiadłem na krześle, złożony zapomniany pistolet na kolanach. Czegóż szukały te wściekłe, uparte bestie, głuche na wszelkie argumenty? Próbowałem zastanowić się nad zawartością listów, ale nie mogłem ujarzmić rozbieganych myśli. Wiedziałem, że są dowodem mojej obecności w Antibes w chwili zabójstwa. To jednak nie miało już żadnego znaczenia. A bliźniacy? Czy było w nich coś o bliźniakach? Z wielkim wysiłkiem starałem się sobie to przypomnieć, wydawało mi się, że nie, że nie było tam niczego o bliźniakach, a przecież, z całą oczywistością, była to jedyna sprawa, na jakiej zależało siostrze, bardziej niż na losie naszej matki. Kim były dla niej te dwa dzieciaki? Wstałem, położyłem pistolet na stoliku i zmusiłem się, by na nowo przeszukać sekretarzyk, tym razem powoli i metodycznie, tak jak zapewne zrobili to Clemens i Weser. W końcu natrafiłem w małej szufladce, której dotąd nie zauważyłem, na fotografię dwóch malców, nagich i uśmiechniętych, na tle morza, prawdopodobnie w okolicach Antibes. Tak, powiedziałem do siebie, przyglądając się zdjęciu, to całkiem możliwe, to muszą być jej dzieci. Lecz w takim razie, kto jest ojcem? Na pewno nie von Üxküll. Próbowałem wyobrazić sobie siostrę w ciąży, podtrzymującą rękoma napęczniały brzuch, siostrę rodzącą, rozkraczoną, wyjąca — to było niemożliwe. Nie, jeżeli rodziła, to pewnie ją rozcięli, wyjęli dzieci z brzucha, nie mogło być inaczej. Myślałem o lęku przed tym, co rośnie w jej wnętrzu. „Zawsze się bałam”, powiedziała mi kiedyś, dawno, dawno temu. Gdzie to było? Już nie wiem. Mówiła o nieustającym strachu kobiet, starym przyjacielem, trwającym przy nich cały czas. Strach przed comiesięcznym krwawieniem, strach, że coś może wtargnąć do ich wnętrza, przed męską penetracją, bo mężczyźni tak często bywają egoistyczni i brutalni, strach przed siłą przyciągania, od której ciało, piersi opadają w dół. Podobny musiał być strach przed ciążą. Coś rośnie, rośnie w brzuchu, obce ciało wewnątrz, które się porusza i odbiera ci całą siłę — wiadomo, że to musi wyjść, nawet jeśli cię przy tym zabije, coś straszego. Choć sam byłem z tyloma mężczyznami,

to nie mogłem tego ogarnąć, niczego nie mogłem zrozumieć z nedorzecznego strachu kobiet. Po narodzinach dzieci musi być jeszcze gorzej, bo to jest początek permanentnego strachu, przerażenia, które szarpie cię dzień i noc, i którego koniec jest twoim końcem albo ich końcem. Stawał mi przed oczami obraz tamtych matek — one przytulały dzieci, gdy je rozstrzeliwano, widziałem węgierskie Żydówki, przycupnięte na walizkach, ciężarne kobiety, dziewczyny oczekujące na pociąg i na komory gazowe u kresu podróży — to musiało być to, co u nich widziałem, to, od czego nigdy nie umiałem się uwolnić i czego nigdy nie umiałem wyrazić: strach, nie ten widzialny i wyraźny strach przed żandarmami, przed Niemcami, przed nami, lecz niemy strach, który w nich mieszkał, w kruchości ich ciał i sromów wtulonych między uda, tej kruchości, którą mieliśmy zgładzić, nigdy jej nie ujrzawszy.

Było niemal ciepło. Wyniosłem krzesło na taras i siedziałem tam godzinami, czytając lub nasłuchując, jak śnieg topnieje w pochyłym ogrodzie, patrzyłem, jak wyłaniają się spod niego przycięte żywopłoty i na nowo dominują nad przestrzenią. Czytałem Flauberta, a czasem, gdy chwilowo nużył mnie *ruchomy chodnik* prozy, brałem wiersze przełożone ze starofrancuskiego, które budziły we mnie niekiedy śmiech pełen zaskoczenia: *J'ai une amie, ne sais qui c'est, /Jamais ne la vis, par ma foi*. Ogarnęło mnie radosne złudzenie, że oto znajduję się na bezludnej wyspie, odciętej od świata; gdybym, tak jak to bywa w baśniach, mógł otoczyć majątek zaklętym, niewidzialnym murem, to zostałbym tutaj na zawsze, oczekując powrotu siostry, niemal szczęśliwy, chociaż trolle i bolszewicy zalewałiby ziemię wokół. Jak późnośredniowiecznych książąt-trubadurów, tak i mnie myśl o miłości do kobiety zamkniętej w dalekim zamku (albo helweckim sanatorium) zadowalałaby całkowicie. Przepelniony błogą radością wyobrażałem ją sobie, siedzącą, jak ja, na tarasie, twarzą do wysokich gór, nie do lasu, samą (niech mąż się kuruje), czytającą zabrane z biblioteki książki, podobne do tych, które sam czytałem; świeże, górskie powietrze pewnie szczypie jej usta, może otuliła się kocem, żeby czytać. Ale co z tego, skoro pod kocem było jej ciało, z całym swoim ciężarem i swą obecnością. Gdy byliśmy dziećmi, nasze drobne ciała zderzały się ze sobą, rozbijały się o siebie z furją i były jak dwie klatki z kości i skóry, broniące naszych uczuć przed bezpośrednim zetknięciem. Nie rozumieliśmy jeszcze wtedy, jak mocno miłość żyje w ciałach, ukrywa się w najbardziej sekretnych fałdkach, w ich zmęczeniu, w ich ciąży. Wyobrażałem sobie dokładnie ciało czytającej Uny, wpasowane w krzesło, odgadywałem krzywiznę

kręgosłupa, karku, ciężar nogi założonej na nogę, niemal niedostłyszalny dźwięk oddechu — sama myśl o pocie pod jej pachami napełniała mnie zachwytem i wpadałem w stan uniesienia, który odrzucał istnienie mojego własnego ciała i czynił ze mnie czystą percepcję, napiętą do granic wytrzymałości. Ale takie chwile nie mogły trwać wiecznie: krople wody spływały powoli z drzew, a tam, w Szwajcarii, Una wstawiała, odrzucała koc i wracała do sal sanatorium, pozostawiając mnie na pastwę chimer, moich mrocznych chimer, które, gdy z kolei ja wchodziłem do jej domu, wypełniały jego wnętrze, rozlażyły się po pomieszczeniach, w których przebywałem, które omijałem lub pragnąłem omijać, lecz nie potrafiłem, tak jak jej sypialnię. Wreszcie odważyłem się otworzyć drzwi do jej łazienki. Był to duży damski pokój kąpielowy, z długą porcelanową wanną, bidetem i sedesem w głębi. Dotykałem flakoników perfum, przyjrzałem się z goryczą swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką. Tak jak w jej pokoju, tu, w łazience, nie było czuć żadnego zapachu, na próżno wdychałem głęboko powietrze — wyjechała zbyt dawno, a Käthe porządnie wysprzątała. Gdy przytykałem nos do perfumowanych mydeł albo otwierałem flakoniki wód toaletowych, wtedy tak, wtedy czułem wspaniałe, głęboko kobiece zapachy, ale to nie były jej zapachy, nawet prześcieradła kąpielowe niczym nie pachniały. Wyszedłem z łazienki i wróciłem do łóżka, żeby na próżno próbować wychwycić ten zapach, lecz niestety, Käthe założyła czystą pościel, białą, szorstką, świeżą. Nawet majtki nie miały zapachu — tych kilka par z czarnej koronki, starannie wypranych, które pozostały w szufladach. I tylko gdy wsuwałem głowę głęboko do szafy między suknie, udawało mi się cokolwiek poczuć: daleki, trudny do określenia zapach, od którego pulsowały mi skronie, a krew głucho szumiała w uszach. Wieczorem, przy blasku świecy (elektryczność była odcięta od kilku dni) zagrzałem na piecu kuchennym dwa wiadra wody, zaniósłem na górę i wlałem do wanny siostry. To był niemal wrzątek, musiałem założyć rękawice, by utrzymać rozgrzane pałaki. Dolałem kilka cebrzyków zimnej wody, zanurzając raz po raz rękę, by sprawdzić temperaturę, i wsypałem płatki, z których powstała wonna piana. Piłem teraz tutejszą śliwowicę, znalazłem cały pękaty gąsior w kuchni, tu na górę wziąłem trochę w butelce, a do tego szklanekę i popielniczkę, i ustawiłem wszystko na niewielkiej srebrnej tacy, którą umieściłem na bidecie. Zanim zanurzyłem się w wodzie, spuściłem wzrok i obejrzałem swoje ciało, bladą skórę, której blask świec, wetkniętych w kandelabr u stóp wanny, nadawał lekko złotawy odcień. To ciało nie podobało mi się zbytnio, ale przecież jak mógłbym go nie wielbić? Wszedłem do

wody, myśląc o kremowym odcieniu skóry siostry, samotnej i nagiej tam, w wykafelkowanej łazience w Szwajcarii, o wielkich, niebieskich żyłach, wijących się pod skórą. Od dziecka nie widziałem jej nagiego ciała, w Zurychu przestraszyłem się i zgasilem światło, lecz mogłem wyobrazić je sobie w najdrobniejszym szczególe: piersi — ciężkie, dojrzałe, jędrne, solidne biodra, piękny, zaokrąglony brzuch, który ginał w czarnym i gęstym trójkacie kędziorów, przecięty być może grubą, pionową blizną, od pępka do łona. Napilem się śliwowicy i wsunąłem w objęcia ciepłej wody, oparłszy głowę o mały stolik tuż przy świeczniku, z brodą ledwie wynurzoną ponad grubą warstwę piany — tak zapewne unosiła się na wodzie pogodna twarz mojej siostry, a jej długie włosy zebrane były pewnie w ciężki kok, przebity srebrną szpilką. Wizja tego ciała rozciągniętego w wodzie z lekko rozsuniętymi nogami przywiodła mi na myśl legendę o splotzeniu Rezosa. Jego matka, Muza, nie pamiętam która, chyba Kalliope, gdy była jeszcze dziewicą, odpowiadając na wyzwanie Tamyrisa, udała się na popis muzyków; aby tam dotrzeć, musiała przepłynąć przez rzekę Strymon. Chłodne wiry Strymonu wślizgnęły się do wnętrza Muzy i poczęła. Czy siostra, myślałem z gorczyzą, też poczęła samotnie w spienionej kąpielu? Po mnie na pewno miała mężczyzn, wielu mężczyzn; ponieważ w ogóle mnie zdradziła, sądziłem, że było ich naprawdę wielu, cała armia, pewnie również codziennie zdradzała męża — impotentą, ze wszystkim, co się ruszało. Wyobrażałem sobie, jak dosiada mężczyzn, tu, w tej łazience, chłopaka z fermy, ogrodnika, mleczarza, francuskiego robotnika. Musiała o tym wiedzieć cała okolica, ale nikt nic nie mówił, przez szacunek do von Üxküll. Zresztą von Üxküll akurat nie dbał o to, siedział w apartamentach, przyczajony jak pająk, i marzył o swojej abstrakcyjnej muzyce, która wynosiła go daleko poza kalekie ciało. A siostra nie dbała o to, co myślą i mówią sąsiedzi, byleby tylko wchodzili na górę. Prosiła, żeby wnosili wodę, pomagali rozpiąć sukienkę; a oni, oni robili to niezgrabnie, czerwienili się, plątały im się grube, stwardniałe od pracy paluchy, musiała im pomagać. Wielu miało wzwód już przy wejściu, widać było przez spodnie; nie wiedzieli, co robić, musiała wszystko im mówić. Głaskali jej plecy, piersi, a później pierdoliła ich w swojej sypialni. Pachnieli ziemią, brudem, potem, tanim tytoniem, pewnie lubiła to do szaleństwa. Ich członki, gdy wyluskiwała je ze spodni, by ssać, śmierdziały moczem. A gdy kończyli, odsyłała ich, uprzejmie, lecz bez uśmiechu. Nie myła się, spała w tej woni jak dziecko. Tak, jej życie pod moją nieobecność było tyle samo warte co moje — oboje, jedno bez drugiego, umieliśmy wyłącznie skupiać

się na własnych ciałach, na ich możliwościach, nieskończonych i jednocześnie tak niewielkich. Kąpiel powoli stygła, ale nie wychodziłem, ogrzewałem się lichym ogniem myśli, odnajdowałem nedorzeczne ukojenie w tych mrzonkach, nawet najbardziej plugawych, szukałem ucieczki w fantazjach, jak dzieciak pod kołdrą, bo choć były okrutne i wstrętne, pozostawały lepsze od nieznośnej goryczy wszystkiego co wokół. Wreszcie wylazłem z wanny. Nie wytarłem się, przełknąłem szklanę śliwownicy i owinąłem się w jeden z dużych ręczników frotte, które tam leżały. Zapaliłem papierosa i nie zadając sobie trudu, by się ubrać, stanąłem, by go wypalić przy jednym z okien wychodzących na dziedziniec — horyzont zdołała blada linia, przechodząc powoli od różu do bieli, szarości, a na koniec granatu, który zlewał się z nocnym niebem. Skończyłem papierosa, wypięłem jeszcze szklanę i położyłem się w łóżu z baldachimem, naciągnąwszy na siebie krochmalone prześcieradło i ciężkie koce. Rozłożyłem kończyny, przekręciłem się na brzuch, wcisnąłem głowę w miękkie poduszki i leżałem tak, jak ona kładła się po kąpieli przez tyle lat. Dobrze wiedziałem, że narastają we mnie wszystkie rozedrgane i sprzeczne uczucia, niczym czarna woda albo wysoki dźwięk, który grozi, że zagłuszy wszystkie inne dźwięki, rozum, ostrożność, a nawet rozsądne pożądanie. Wsunąłem dłoń między uda i powiedziałem sobie: Gdybym to jej tak włożył rękę, nie wytrzymałaby, a jednocześnie ta myśl budziła mój sprzeciw, nie chciałem, żeby mnie brała tak, jakby brała chłopaka z fermy, ot, żeby się zaspokoić, chciałem, by mnie pożądała naprawdę, jak ja jej pożaądałem, chciałem, żeby kochała mnie, jak ja ją kochałem. Wreszcie zapadłem w sen, pełen dzikich, rozproszonych marzeń, z których nie pamiętam nic, poza ciemnym śladem zdania, wypowiedzianego pogodnym głosem Uny: „Jesteś dla kobiet mężczyzną bardzo trudnym do zniesienia”.

Docierałem niepostrzeżenie do stanu, w którym coraz trudniej było mi panować nad zdradliwym strumieniem, niespójnymi falami, które mnie opływały. Łaziłem bez celu po domu, przez godzinę muskałem opuszkami wypolerowane ornamenty z drewna, zdobiące drzwi apartamentów von Üxküll, schodziłem ze świecą do piwnicy, by tam rozkładać się na gołym klepisku, wilgotnym i zimnym, i wdychać z rozkoszą zapachy — tajemne, zamknięte, archaiczne zapachy podziemi. Z niemal policyjną precyzją obejrzałem dwa ascetyczne pokoje służby domowej i jej ubikację, kucaną toaletę turecką o żłobionych, starannie wypolerowanych podstawach na stopy, oddalonych od siebie na dobrą odległość, tak, by było dość miejsca na wydaliny z trzewi kobiet, które wyobrażałem sobie jako silne,

białe i dobrze zbudowane, podobne do Käthe. Nie myślałem już o przeszłości, wcale już nie kusilo mnie, by się odwrócić i spojrzeć na Eurydykę, wbijałem nieruchomy wzrok w to, co przede mną, w terażniejszość nie do przyjęcia, która bez końca rozdrabniała się na niezliczoną ilość zapełniających ją przedmiotów, i wiedziałem, i ufałem w to bezgranicznie, że ona idzie za mną krok w krok, niczym cień. Gdy otworzyłem szuflady, żeby pogrzebać w jej bieliźnie, jej ręce przemykały delikatnie pod moimi, rozkładały, pieściły te zbytkowne dessous z czarnej, bardzo cienkiej koronki; nie musiałem się odwracać, by widzieć, jak siedzi na kanapie i naciąga jedwabną pończochę, ozdobioną w połowie uda szeroką taśmą z koronki, na gładką i grubą białą skórę, lekko wklęsłą w miejscach pomiędzy ścięgnami, albo przenosi ręce do tyłu, by zapiąć biustonosz, w który szybkim gestem wpasowywała piersi, jedną po drugiej. Wykonywała przede mną te gesty, codzienne gesty, bez skrepowania, bez fałszywego wstydu, bez ekshibicjonizmu, dokładnie tak, jak zapewne wykonywała je w samotności, nie machinalnie, ale z uwagą, odczuwając przy tym dużą przyjemność, bo jeśli nosiła koronkową bieliznę, to nie robiła tego dla męża ani dla kochanków na jedną noc, ani dla mnie, lecz dla siebie samej, dla własnej przyjemności, po to, by czuć koronkę i jedwab na skórze, by kontemplować tak podkreśloną urodę w dużym zwierciadle, by patrzeć na siebie dokładnie tak, jak ja teraz na siebie patrzyłem albo chciałem patrzeć: nie okiem narcystycznym, ani nie krytycznym, doszukującym się wad, lecz takim, które desperacko pragnie ogarnąć nieuchwytną rzeczywistość tego, co widzi — okiem malarza, niech wam będzie, ale nie jestem malarzem, nie bardziej niż muzykiem. I gdyby w rzeczywistości stała tak przede mną, niemal naga, patrzyłbym na nią podobnym wzrokiem, dodatkowo jeszcze wyostrzonym pożądaniem, widziałbym konsystencję jej skóry, układ porów, małe, brunatne punkciki pieprzyków, rozsianych przypadkiem, jak nienazwane jeszcze konstelacje, szerokie strumienie żył oplatających jej łokieć, które suną w długich odnogach w dół przedramienia i grubiejają na wierzchu nadgarstka i na grzbiecie dłoni, aż wreszcie nikną skanalizowane, w palcach, dokładnie tak, jak w moich męskich dłoniach. Nasze ciała są identyczne, chciałem jej wytłumaczyć: czyż mężczyźni nie są pozostałościami po kobietach? Bo przecież każdy męski płód, zanim się przekształci, jest płodem żeńskim i męskie ciała na zawsze zachowują po tym ślad: niepotrzebne sutki — piersi, które nie urosły, linia, która dzieli mosznę i biegnie krocem aż do odbytu, znacząc miejsce zrośnięcia się sromu, zamykając w sobie jajniki, które zeszyły i przekształciły się w jądra, gdzie nastąpił przerost

łechtaczki. W rzeczywistości brakowało mi tylko jednego, by stać się kobietą jak ona, prawdziwą kobietą — tego a, charakteryzującego wszystkie żeńskie końcówki, niesłychanego prawa, by mówić i pisać: „Jestem naga, jestem kochana, jestem pożądana”. To właśnie owo a sprawia, że kobiety są tak straszliwie kobiece — cierpiałem niezmiernie, że mnie go pozbawiono, była to dla mnie wielka strata, jeszcze mniej zrozumiała niż utrata pochwy u zarania istnienia.

Od czasu do czasu wewnętrzne burze nieco cichły, wtedy wracałem do książki, pograżałem się spokojnie w lekturze Flauberta, siedząc twarzą do lasu i niskiego, szarego nieba. Lecz nieuchronnie nadchodziła ta chwila, gdy zapominałem o książce na kolanach, a twarz oblewała się rumieńcem. Żeby więc zyskać na czasie, wracałem do jednego ze starych francuskich poetów, którego kondycja nie była chyba dużo lepsza od mojej: *Ne sais quand je suis endormi / Ni quand veille, si l'on ne me le dit*. Siostra miała stare wydanie Tristana Thomasa, które kartkowałem do chwili, gdy ujrzałem z przerażeniem niemal tak samo przenikliwym jak wtedy, gdy śnią się koszmary, że zakreśliła ołówkiem następujące wersy:

Quand fait que faire ne désire

Pur sun buen qu'il ne peut aveir

Encontre desir fait voleir.

Po raz kolejny poczułem, jak smukła, niematerialna ręka siostry wsuwa się pod moje ramię, wyciągnięta ku mnie ze szwajcarskiego wygnania, lub też z całkiem bliska, tuż za mną, i delikatnie kładzie palec na słowach przed moimi oczyma, na tej nie znoszącej sprzeciwu sentencji, której nie mogłem przyjąć, którą odrzucałem z całym nędznym zacięciem, na jakie jeszcze było mnie stać.

I tak powoli przechodziłem w długie *stretto* bez końca, gdzie każda odpowiedź pojawiała się, zanim jeszcze przebrzmiał temat, lecz *cancrizan*, czyli wstecz, rakiem. Z ostatnich dni spędzonych w tym domu pamiętam tylko odpryski obrazów, bez powiązania i bez sensu, pomieszane, lecz ożywione niewzruszoną logiką marzenia sennego, czysty wyraz, lub raczej niezdarny bełkot pożądania. Co noc spałem teraz w jej łóżku bez zapachu, rozłożony szeroko na brzuchu albo skulony na boku, z głową opróżnioną z

wszelkich myśli. Nie pozostał w tym łóżku żaden ślad po niej, ani jednego włosa, nawet zdjąłem prześcieradło, żeby obadać materac, w nadziei, że znajdę chociaż plamkę krwi, ale materac był równie czysty jak pościel. Postanowiłem więc sam go zbrukać, kucnąłem z mocno rozłożonymi nogami, a niematerialne ciało siostry otworzyło się pode mną, z głową zwróconą lekko na bok, z odgarniętymi włosami, odkrywającymi małe ucho, krągłe i cienkie, które tak kochałem — opadłem we własną wydzielinę i zasnąłem natychmiast, z umazanym brzuchem. Chciałem posiąść łóżko, ale to łóżko posiadało mnie, nie wypuszczało mnie z objęć. Chimery wszelkiej maści przychodziły i wtulały się w mój sen, próbowałem je stamtąd przegonić, bo chciałem śnić tylko o siostrze, ale były uparte, wracały najmniej spodziewaną drogą, jak tamte małe, bezwstydné dzikuski w Stalingradzie — otworzyłem oczy i jedna z nich przylgnęła do mnie, odwróciła się plecami i tarła tyłkiem o mój brzuch, wcisnąłem w nią członek, a ona tkwiła na nim i poruszała się delikatnie, a po wszystkim nie wypuściła mnie z dupy — tak zasnęliśmy, wpassowani jedno w drugie. Gdy się obudziliśmy, wsunęła mi rękę między uda i tarła moją mosznę, było to dość bolesne, na nowo twardniałem w niej, z ręką na kości napiętego dziewczęcego biodra, po czym przewracałem ją na brzuch i robiłem to, co przedtem, a ona szarpała pościel małymi piąstkami i poruszała się bez jednego jęku. Nie zostawiała mnie nigdy w spokoju. Wtedy też naszło mnie inne uczucie, nieoczekiwane, coś jakby pomieszanie słodyczy i rozpaczy. Tak, teraz to sobie dobrze przypominam, była jasnowłosa, pełna słodyczy i rozpaczy. Nie wiem, do czego doszło między nami. Tamten obraz, obraz dziewczynki śpiącej z fiutem kochanka w dupie, jej nie dotyczy. Na pewno nie była to Helena, bo gdzieś tam jawi mi się, że jej ojciec był wysoko postawionym policjantem, który nie pochwalał wyboru córki i traktował mnie chłodno, poza tym przecież, w przypadku Heleny, moja ręka nie zawędrowała nigdy powyżej jej kolana, a tu sprawy się miały najwyraźniej nieco inaczej. Jasnowłosa dziewczyna też była w łożu, choć nie powinna się tam znaleźć. Zadręczałem się tym, lecz w końcu zdołałem zepchnąć wszystkie chimery, przynajmniej pod kręte kolumny baldachimu, i przyprowadzić za rękę siostrę, położyć ją pośrodku łóżka; napałem na nią całym ciężarem, mój nagi brzuch dotknął blizny na jej brzuchu, uderzałem w nią, nadaremno i z narastającą wściekłością, aż wreszcie nastąpiło wielkie rozwarcie, jak gdyby tym razem to moje ciało przeciął skalpel chirurga: wnętrzności rozlały się na nią, a dziura, przez którą wyszły dzieci, otworzyła się sama z siebie i wszystko spłynęło do środka. Leżałem na niej tak, jak się leży na śniegu,

ale ciągle byłem ubrany — ściągnąłem więc skórę, zostawiłem nagie kości w objęciach białego i zimnego śniegu jej ciała, i ciało zasklepiło się nade mną.

Promień zachodzącego słońca przebił się przez chmury i uderzył w ścianę sypialni, w sekretarzyk, w bok szafy, nogi łóżka. Wstałem, poszedłem się wysikać, i zszedłem do kuchni. Odkroiłem kilka kromek dobrego, szarego, wiejskiego chleba, posmarowałem masłem, obłożyłem wielkimi plasterami szynki. Znalazłem korniszony, pasztet, jaja na twardo i ułożyłem wszystko na tacy, a do tego nakrycie, dwa kieliszki i butelka niezłego burgunda, *vosne-romanée*, chyba dobrze pamiętam. Wróciłem do sypialni i postawiłem tacę na łóżku. Usiadłem bokiem i patrzyłem na otwierającą się przede mną pustą przestrzeń prześcieradła, na drugim brzegu tacy. Powoli materializowała się tam siostra i była zadziwiająco cielesna. Spała na boku, skulona; piersi, a nawet brzuch opadały pod własnym ciężarem ku dołowi, a skóra na wypukłym, kanciastym biodrze była napięta. To nie jej ciało, lecz ona sama spała wtulona w to ciało. Niewielka strużka żywoczerwonej krwi wypływała spomiędzy jej ud, lecz nie plamiła prześcieradła, a całe to ciężkawe człowieczeństwo było dla mnie jak palik wbity między oczy, nie oślepiało mnie, lecz, przeciwnie, otwierało moje trzecie oko, „oko szyszynkowe”, które wszczepił mi do głowy radziecki snajper. Odkorkowałem butelkę, wdychałem głęboko upajający zapach, nalałem wino do dwóch kieliszków. Wypiłem i rzuciłem się najedzenie. Czułem potworny głód, pożarłem wszystko, co było na tacy, i opróżniłem butelkę. Dzień miał się już ku końcowi, pokój mroczył. Zdjąłem tacę z łóżka, zapaliłem świece i przyniosłem papierosy, paliłem je, leżąc na plecach, postawiwszy popielniczkę na brzuchu. Nade mną rozległo się frenetyczne bzyczenie. Nie ruszając się, powiodłem wzrokiem po suficie i zobaczyłem muchę. Pająk, który przed chwilą był przy niej, krył się teraz w załamaniu gzymsu. Mucha tkwiła w sieci, rzucała się, bzyząc, chciała się z niej wyrwać, na próżno. I właśnie w tym momencie jakiś podmuch musnął mój członek, niematerialny palec, koniuszek języka; natychmiast zaczął rosnać i stawać. Odłożyłem popielniczkę i wyobraziłem sobie jej ciało — położyła się na mnie, uniosła, żeby się na mnie nabić, czułem w dłoniach ciężar jej piersi, gęste włosy opadały zasłoną wokół mojej głowy, tworząc ramę dla twarzy, rozświetlonej szerokim, promiennym uśmiechem, który mówił mi: „Przyszedłeś na świat w jednym tylko celu, aby mnie pierdolić”. Mucha nadal bzyczała, lecz w coraz większych odstępach, zaczynała nagle i nagle urywać. Czułem w swoich dłoniach podstawę kręgosłupa siostry, tuż nad nerkami, jej usta nade mną szeptały: „Och, Boże, och, Boże”.

Po wszystkim znów popatrzyłem na muchę. Była cicha, nieruchoma, trucizna złamała ją wreszcie. Czekałem, aż wróci pająk. Później chyba zasnąłem. Obudziło mnie oszalałe bzyczenie, otworzyłem oczy i spojrzałem. Pająk był blisko trzepoczącej się muchy. Wahał się, podchodził i się cofał, wreszcie wrócił do kryjówki. Mucha znów przestała się rzucać. Próbowałem wyobrazić sobie jej nieme przerażenie, strach odbity w siatkowatych oczach. Pająk wychodził od czasu do czasu, obmacywał ofiarę odnóżem, osnuwał kolejną warstwą kokonu i wracał, a ja obserwowałem tę niekończącą się agonię do chwili, w której pająk, po wielu godzinach, zaciągnął wreszcie martwą lub oszołomioną muchę za swój gzyms, by tam ją spokojnie skonsumować.

Gdy wstał dzień, włożyłem buty, by nie ubrudzić sobie stóp, i wciąż nagi ruszyłem na obchód zimnego i mrocznego domu. Dom rozprzestrzeniał się wokół mojego naelektryzowanego ciała o skórze białej i najeżonej przez chłód, równie wrażliwej na całej swojej powierzchni co sztywny penis i piekący odbył. To było jak zaproszenie do najgorszych wykroczeń, do zabaw najbardziej chorych i wyuzdanych, a ponieważ jej ciepłe i ciepłe ciało, którego pożądałem, nie było mi dostępne, poczynałem sobie z całym domem, jakbym poczynał sobie z nią, kochałem się z domem siostry. Wchodziłem wszędzie, kładłem się do łóżek, rozkładałem na stołach i dywanach, ocierałem się tyłkiem o kanty mebli, onanizowałem w fotelach albo w zamkniętych szafach pośród ubrań śmierdzących kurzem i naftaliną. Wtargnąłem w ten sposób nawet do von Üxküll, zrazu z uczuciem dziecięcego triumfu i zaraz — poniżenia. Poniżenie w tej czy innej postaci, poczucie szalonej daremności gestów nie opuszczały mnie, lecz to poniżenie i ta daremność także mi służyły, korzystałem z nich ze złą radością, bez ograniczeń.

Te rozproszone myśli, to frenetyczne wyczerpywanie sił zastąpiły poczucie czasu. Wschody i zachody słońca były wyłącznie wyznacznikami rytmu, tak jak głód, pragnienie i potrzeby fizjologiczne, jak sen, który spadał na mnie w dowolnym momencie, by mnie pochłonać, przywrócić mi siły i rzucić na łaskę nędzy własnego ciała. Niekiedy zakładałem coś na siebie i szedłem na spacer. Było niemal ciepło, opuszczone pola nad Drawą stały się ciężkie, tłuste, pulchna gleba lepiała mi się do stóp i zmuszała, żebym obchodził pola. W lesie jeden podmuch wiatru wystarczył, żeby mnie podniecić, spuszczałem spodnie, podkasywałem koszulę i kładłem się na ziemi, twardej i zimnej, przysypanej sosnowym igliwem, które kłuło mnie w tyłek. W gęstym lesie za mostem na Drawie rozebrałem się całkiem do naga, zostawiłem tylko buty, i zacząłem biec, jak

wtedy, gdy byłem dzieckiem, i przedzierałem się przez gałęzie, które drapały mi skórę. W końcu stanąłem przy drzewie, odwróciłem się, obejmując wyciągniętymi do tyłu rękami pień, i powoli tarłem odbytem o korę. Lecz to mnie nie zaspokajało. Pewnego dnia znalazłem leżące drzewo, powalone przez wichurę, ze złamaną gałęzią w górnej części pnia, przyciąłem tę gałąź scyzorykiem, zdarłem korę i wypolerowałem drewno, zaokrąglając starannie czubek. Następnie, obficie zmoczywszy gałąź śliną, stanąłem w rozkroku nad pniem i opierając się na rękach, powoli wbiłem ją w siebie, aż po nasadę. Sprawilo mi to niewymowną rozkosz i cały czas, z zamkniętymi oczami, zapomniawszy o penisie, wyobrażałem sobie siostrę, jak robi to samo, jak, niczym wyuzdana driada, na moich oczach kocha się z drzewami ze swojego lasu, a pochwa i odbyty są dla niej źródłem rozkoszy nieskończenie bardziej szalonej niż moja. Orgazm przyszedł w wielkich, nieregularnych spazmach, wyrwałem z siebie wypolerowaną gałąź, upadłem na bok i w tył na inną, suchą, która rozorała mi głęboko plecy, sprawiając ból, mocny i słodki, leżałem na niej przez kilka chwil, gniotąc ją ciężkim, omdlałym ciałem. Wreszcie przekręciłem się na bok, krew płynęła swobodnie z rany, a suche liście i igły kleiły mi się do palców; wstałem, nogi drżały mi z rozkoszy, zacząłem biec między drzewami. Nieco dalej las stawał się wilgotny, lekka mgła nawilżała ziemię, plamy mchu porastały bardziej suche miejsca — poślizgnąłem się w błocie i dysząc, upadłem na bok. Po lesie niósł się echem wrzask myszołowa. Wstałem i zszedłem na brzeg Drawy, zdjąłem buty i zanurzyłem się w wodzie tak lodowatej, że zatykało mi dech w piersiach, by spłukać z siebie błoto i krew, która płynęła nadal, a gdy wyszedłem, mieszała się z zimną wodą, ciekąc strużkami po plecach. Wysuszyłem się i poczułem się rześko, podmuchy powietrza owiewające moją skórę były ciepłe i łagodne. Miałem ochotę naciąć gałęzi, zbudować szałas, wyłożony mchem, i spędzić w nim noc; było jednak jeszcze zbyt zimno, poza tym nie było Izoldy, z którą mógłbym spędzić noc, nie było Marka, który wypędziłby nas z zamku. Robiłem więc wszystko, by zabłądzić w lesie, najpierw z dziecięcą radością, później niemal z rozpaczą, bo okazało się to niemożliwe, zawsze trafiałem na ścieżkę albo na pole, wszystkie drogi prowadziły mnie w znane miejsca, niezależnie od kierunku, który wybierałem.

Nie miałem najmniejszego pojęcia o jakichkolwiek wydarzeniach, nie wiedziałem, co się wokół dzieje. Nie było radia, nikt nie przychodził. Jakoś docierało do mnie, że na południu, podczas gdy ja pogrążam się w cierpkim szaleństwie własnej niemocy, kończy

się życie wielu ludzi, tak jak wcześniej skończyło się życie innych, ale było mi to obojętne. Nie potrafiłem powiedzieć, czy Rosjanie znajdują się dwadzieścia czy sto kilometrów ode mnie, ale i to obchodziło mnie chyba jeszcze mniej, nawet o tym nie myślałem, to wszystko toczyło się dla mnie w całkiem innym niż mój czasie, nie mówiąc już o przestrzeni, i jeśli ten czas miał się kiedyś spotkać z moim, to cóż, przekonałbym się, który ustąpi. Jednak pomimo tej obojętności bezbronny lęk tryskał z mojego ciała, wypływał z niego, jak krople stopniałego śniegu, kapiące z gałęzi na gałąź, na igły poniżej. Ten lęk żarł mnie cichaczem. Jak zwierzę, przeczesujące zębami sierść w poszukiwaniu źródła bólu, jak dziecko, uparte i wściekłe wobec stawiających opór zabawek, tak ja próbowałem nazwać swoje cierpienie. Piłem, opróżniałem po kilka butelek wina lub szklanek śliwownicy, a potem waliłem się na łóżko i rozrzucałem szeroko kończyny. Krążyło tu zimne, wilgotne powietrze. Ze smutkiem patrzyłem na swe odbicie w zwierciadle, na zaczerwieniony, zmęczony członek, zwisający pośród owłosienia, i mówiłem sobie, że bardzo się zmienił i że nawet gdyby ona tu była, nie byłoby tak jak przedtem. W wieku jedenastu, dwunastu lat nasze narządy były maleńkie, było tak, jakby to nie my, lecz nasze szkielety zderzały się ze sobą w świetle zachodzącego słońca; teraz obrośliśmy w tłuszcz, a do tego straszliwe rany, jakich doznaliśmy: ją z całą pewnością wypatroszono, a ja miałem długą dziurę w czaszce, bliznę zwiniętą w rulon, tunel w martwym mięsie. Pochwa i odbył to też otwory, lecz wewnątrz jest żywe ciało, mają pewną fakturę, to nie to samo co prawdziwa dziura. Czym więc jest dziura, pustka? Tym, co zostaje w głowie, gdy myśl ośmiela się szukać ucieczki, oderwać od ciała, jak gdyby ciała nie było, jak gdyby można było myśleć, nie mając ciała, jak gdyby najbardziej abstrakcyjna myśl, ta o prawie moralnym nad głową jak niebo gwiazdziste, na przykład, nie łączyła się z rytmem oddechu, pulsowaniem krwi w żyłach, chrupotem chrząstek. Prawdą jest, że gdy bawiłem się z Uną w dzieciństwie i później, gdy nauczyłem się używać w określonych celach chłopców, którzy mnie chcieli, byłem młody i nie rozumiałem jeszcze specyficznego ciężaru ciała, nie wiedziałem, do czego zobowiązuje miłosny handel, czemu poświęca, na co skazuje. Pojęcie wieku nic dla mnie nie znaczyło, nawet później, w Zurychu. Teraz zacząłem się temu lepiej przyglądać, przeczuwałem, co może oznaczać życie w ciele, nawet w ciele kobiety o ciężkich piersiach, ciele zmuszonym siadać na sedesie lub kucać, by oddać mocz, ciele, któremu trzeba rozciąć nożem brzuch, by wyjąć z niego dzieci. Z chęcią rozłożyłbym to ciało przed sobą, na

sofie, z udami otwartymi jak stronicie książki, z wąską taśmą koronki ukrywającą bulwę sromu i od góry początek grubej blizny, a po bokach wierzchy ścięgien, wklęsłości, w których pragnąłem złożyć usta i trwać tak, podczas gdy moje dwa palce delikatnie i powoli odsuwałyby tkaninę: „Patrz, patrz, jakie to białe. Pomyśl, pomyśl, jak czarno jest pod spodem”. Szaleńczo pożądałem zobaczyć ten srom, wtulony pomiędzy dwa wzgórki białego, pełnego ciała, podany na tacy jej ud, i przejechać językiem po niemal suchej szczelinie, z dołu do góry, lekko, tylko raz. Chciałem też patrzeć, jak to piękne ciało sika, pochylone do przodu na klozecie, z łokciami wspartymi na kolanach, i słuchać, jak mocz tryska do wody; chciałem jeszcze, by usta nachyliły się, gdy skończy, ujęły mój nadal miękki członek, by nos obwąchiwał moje owłosienie, wklęsłość między moszną a udem, linię bioder, żeby upajał się moim ostrym, kwaśnym zapachem, zapachem mężczyzny, który sam tak dobrze znałem. Paliło mnie pragnienie, by położyć to ciało w łóżku i rozewrzeć mu uda, wsunąć nos w wilgotny srom niczym maciora wwiercająca się ryjem w skupisko czarnych trufli, a później przekreślić je na brzuch i rękoma rozsunąć jego pośladki, by napawać się fioletową rozetą odbytu, mrugającego delikatnie jak oko, i przytknąć do niej nos, i wąchać. Śniłem, że wciskam twarz w kręcone włosy pod pachą tego ciała, czuję na policzku ciężar piersi, że oplatom nogi wokół jednej z jego nóg, a moja ręka spoczywa lekko na jego ramieniu. A gdy po przebudzeniu leżałbym, całkiem zaabsorbowany tym ciałem pode mną, ona spojrzałaby na mnie z niewyraźnym uśmiechem, jeszcze mocniej rozłożyłaby nogi i kołysałaby mnie na sobie w powolnym, podziemnym rytmie, w rytmie starodawnej mszy Josquina, i oddalilibyśmy się powoli od brzegu, unoszeni przez ciała jak przez morze, ciepłe, rozległe, zasolone, a jej głos brzmiałby cicho tuż przy moim uchu, jasno i wyraźnie: „Bóg stworzył mnie do miłości”.

Znów robiło się zimno, spadło trochę śniegu, taras, dziedziniec, ogród oprószył biały puch. Zostało mi już niewiele jedzenia, skończyłem chleb, postanowiłem sam go upiec z mąki Käthe, nie za bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać, lecz w książce kucharskiej znalazłem przepis i upiekłem kilka bochenków, rwałem je na kawałki i jadłem, ciepłe, zaraz po wyjęciu z pieca, zagryzając surową cebulą, od której dostawałem wstrętne oddechu. Skończyły się jajka i szynka, za to w piwnicy znalazłem całe skrzynki małych zielonych jabłek z zeszłego lata, mączystych, lecz słodkich, chrupałem je całymi dniami, zapijając małymi łykami śliwownicy. Zapas wina w podziemiu był nie do wyczerpania. Zostały jeszcze pasztety, więc jadłem na kolację pasztet, boczek smażony na

patelni z cebulą, a do tego piłem najlepsze francuskie wina. Nocą znów padał śnieg, gwałtownie wiało, północny wiatr złowrogo obijał się o dom, szarpał źle zamocowane okiennice i miótnął śniegiem w szyby. Drewna mi jednak nie brakowało, piec mruczał cicho, było ciepło w tym pokoju, gdzie rozparłem się, nagi w ciemności rozświetlonej śniegiem, jak gdybym chciał wystawić ciało na bicze burzy. Nazajutrz znowu śnieżyło, wiatr ucichł i płatki padały teraz prosto w dół, grube i gęste, pokrywając drzewa i ziemię. Jakiś kształt w ogrodzie przywiódł mi na myśl zwłoki spoczywające w śniegach Stalingradu — widziałem je wyraźnie, sine wargi, brunatna skóra obsypana zarostem, zwłoki zdziwione, zaskoczone, zaszokowane śmiercią, lecz spokojne, niemal pełne ulgi, zupełne przeciwieństwo zwłok Moreau, skąpanych we krwi na dywanie, zwłok matki o skręconym karku, rozciągniętych na łóżku — wstrętne, nieznośne obrazy, nie mogłem ich powstrzymać pomimo wysiłku, i by je przepędzić, wchodziłem w myślach po schodach, prowadzących na strych w domu Moreau, kryłem się tam i wbijałem w kąt, czekałem, aż przyjdzie siostra, znajdzie i pocieszy mnie, jej smutnego rycerza z rozbitą głową.

Tamtego wieczoru wziąłem długą, ciepłą kąpiel. Postawiłem jedną stopę, potem drugą, na stoliku, i płuczac maszynkę w wodzie z wanny, ogoliłem sobie jedną, potem drugą nogę, bardzo starannie. Następnie wygoliłem pachy. Żyletka ślizgała się po twardych włosach umazanych kremem, które spadały poskręcanymi kłębami na spienioną wodę. Wstałem, zmieniłem żyletkę, oparłem stopę o brzeg wanny i zgoliłem włosy łonowe. Robiłem to z uwagą, zwłaszcza w trudno dostępnych miejscach, między nogami a tyłkiem, niestety wystarczył jeden fałszywy ruch i zaciałem się pod moszną, tam, gdzie skóra jest wyjątkowo wrażliwa. Trzy krople krwi kapnęły, jedna po drugiej, na białą pianę. Przemylem ranę wodą kolońską, trochę piekło, lecz przyniosło ulgę. Po całej wannie pływały kłaki i piana z kremu do golenia, chwyciłem wiadro zimnej wody i opłukałem się, dostałem gęziej skórki, moszna się skurczyła. Wyszedłem z wanny i spojrzałem na swoje odbicie: to straszliwie nagie ciało wydało mi się obce, przypominało bardziej ciało paryskiego Apollona z cytrą niż moje. Oparłem się o taflę lustra, bardzo mocno, zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie siebie, jak golę łono siostry, powoli, delikatnie, odciągając dwoma palcami fałdy skóry, by jej nie zaciąć, a później odwracam ją i każę jej pochylić się do przodu, i golę kręcone włosy wokół odbytu. Dalej wyobrażałem sobie, jak pociera policzkiem o moją nagą, zwarzoną zimnem skórę, łaskocze skurczone jądra, małe jak u chłopca, i liże koniuszek obrzezanego członka, krótkimi, drażniącymi ruchami

języka: „Chyba wolałam go, gdy był *taki* duży”, pokazuje ze śmiechem, rozstawiając kciuk i wskazujący na długość kilku centymetrów, a ja prostuję się i patrzę na jej nagi srom, uwypuklony pomiędzy nogami, nabrzmiały, długa blizna nie styka się z nim całkiem, jak to sobie zawsze wyobrażałem, lecz wyciąga się ku niemu, to jest srom mojej młodszej siostry bliźniaczki i na jego widok zalewam się łzami.

Położyłem się w łóżku, głaskałem swoje dziecięce narządy, tak teraz dziwne w dotyku, przekręciłem się na brzuch, pieściłem pośladki, delikatnie dotknąłem odbytu. Cały wysiłek włożyłem w wyobrażenie sobie, że to są pośladki siostry, ugniatałem je, wymierzałem klapsy. Śmiała się. Nadal ją klepałem, na płask, elastyczna skóra tyłka trzaskała pod moją dłoń, a ona, przyciskając, tak jak ja, piersi i twarz do prześcieradła, śmiała się szalonym, niepoohamowanym śmiechem. Gdy przerwałem, pośladki były czerwone, nie wiem, czy moje były czerwone naprawdę, bo w takiej pozycji nie mogłem bić mocno, lecz w tej niewidzialnej, rozgrywającej się w mojej głowie scenie właśnie takie były — widziałem wypukły, wygolony srom pomiędzy nimi, ciągle jeszcze biały i różowy, zwróciłem jej ciało ku dużemu stojącemu zwierciadłu i powiedziałem jej: „Patrz”, a ona, nadal się śmiejąc, odwracała głowę, by widzieć, a to, co ujrziała, sprawiło, że przestała się śmiać — zaparło jej dech w piersiach, tak jak i mnie zaparło. Uczepiony własnych myśli, unurzany w tej ciemnej i pustej przestrzeni, zamieszkaną wyłącznie przez nasze ciała, wolno wyciągnąłem ku niej rękę i wsunąłem palec w szparę, która otworzyła się jak źle zabliźniona rana. Przesunąłem się za jej plecy i zamiast pozostać na kolanach, kucnąłem tak, by widzieć to, co się dzieje między nogami, i żeby ona też mogła to widzieć. Przyciskając jedną rękę do jej odsłoniętego karku — położyła głowę na łóżku i patrzyła w przestrzeń pomiędzy nogami — drugą ręką złapałem członek i wepchnąłem go między jej wargi sromowe; odwróciwszy głowę, mogłem wyraźnie widzieć w lustrze, jak mój członek wsuwa się w jej dziecięcą pochwę, a gdy patrzyłem prosto — widziałem jej wykręconą twarz, nabiegłą krwią i brzydką. „Przestań, przestań, jęczała, nie tak się to robi”, więc pchnąłem ją do przodu i jej ciało znów rozpląszczyło się na łóżku, przygniotłem je swoim, i tak ją wziąłem, złożywszy dwie ręce na jej smukłym karku, dyszała, a rozkosz uchodziła ze mnie z rykiem. Oderwałem się od niej i przetoczyłem przez łóżko, a ona, ona płakała jak dziewczynka: „Nie tak się to robi”, wtedy ja też się rozplakałem i dotknąłem jej policzka: „Więc jak się to robi?”, a ona wtuliła się we mnie, całowała twarz, oczy, włosy: „Nie płacz, nie płacz, pokażę ci”, uspokoiła się, ja też się

uspokoilem, siedziała na mnie okrakiem, brzuchem i gładkim sromem tarła o mój brzuch, prostowała się, przykuciała, rozsiadała się na moich biodrach, z uniesionymi kolanami, ze sromem tak nabrzmiałym, jak gdyby był obcym, dekoracyjnym elementem przylepionym do jej ciała, przyłożyła mi go do brzucha, znów tarła nim i się otwierała, wypłynęła z niej sperma zmieszana z jej własną wydzieliną, rozmazała to na mnie, górując nade mną, całując mój brzuch sromem jak ustami, uniosłem się, złapałem ją za kark i wsparłszy się na niej, pocałowałem w usta, jej pośladki napierały teraz na mój twardniejący członek, pchnęła mnie w tył i przycisnąwszy jedną rękę do mojej piersi, ciągle kucając, prowadziła członek drugą ręką, aż w końcu nabiła się na niego. „O, tak, powtarzała, tak”. Poruszała się w tył i w przód, podrygami, zamknęła oczy, a ja, ja patrzyłem na jej ciało i szukałem dawnego, płaskiego ciała pod krągłością piersi i bioder, ogłupiały, jakby ogłuszony. Suchy i nerwowy orgazm, niemal bez spermy, rozdarł mnie jak nóż rybę, ona nadal płynęła nade mną, jej srom był jak otwarta muszla, a prosta blizna, która przecinała brzuch, stanowiła jego przedłużenie, wszystko to razem tworzyło jedną wielką szparę, którą mój penis otwierał aż do pępka.

W nocy padał śnieg, lecz ja nadal błądziłem w tej przestrzeni bez granic, gdzie królowała moja myśl, tworząc i unicestwiając kształty z absolutną swobodą, myśl, która jednakowoż objęła się bez przerwy niczym obłądne wahadło o granice ciała, mojego, rzeczywistego, materialnego, i jej, wyobrażanego, więc niewyczerpanego — za każdym razem bardziej pustoszałem, byłem coraz mocniej rozgorączkowany i zrozpaczony. Siedząc nago na łóżku, wykończony, piłem śliwovicę i paliłem, przenosiłem spojrzenie z zewnątrz, z zaczerwienionych kolan, z długich, żylastych rąk, z członka skulonego u dołu lekko wzdętego brzucha, do wewnątrz, gdzie błądziłem nim po jej uśpionym ciele ułożonym na brzuchu, z głową zwróconą w moją stronę, z wyciągniętymi nogami, jak dziewczynka. Rozgarnąłem delikatnie jej włosy i odkryłem kark, piękny, mocny kark, a wtedy moja myśl wróciła, jak wcześniej, po południu, do ściśniętej szyi matki, tej, która nosiła nas dwoje w swoim brzuchu, pieściłem kark siostry — usiłowałem, z powagą i zaangażowaniem, wyobrazić sobie siebie, jak skręcam kark matce, lecz to było niemożliwe, obraz się nie zjawiał, nie było we mnie ani śladu takiego obrazu, uparcie nie chciał wyświetlić się w zwierciadle, które obserwowałem wewnątrz siebie, to lustro nie odbijało niczego, było puste, nawet wtedy, gdy położyłem obie ręce na włosach siostry i powiedziałem: „O, moje ręce na karku siostry. O, moje ręce na szyi matki”. Nie, nic, nie

było niczego. Wstrząsany dreszczami położyłem się, niczym pies myśliwski, w nogach łóżka. Po długiej chwili otworzyłem oczy. Leżała w całej swej okazałości, z ręką na brzuchu, z rozchyłonymi nogami. Jej srom znajdował się tuż przy mojej twarzy. Małe wargi wystawały lekko poza blade, obrzmiałe wnętrze. Ten srom patrzył, śledził mnie jak głowa Gorgony, jak nieruchomy Cyklop, którego jedyne oko nigdy nie mruga. Owo nieme spojrzenie przeszło mnie powoli aż do szpiku. Mój oddech przyspieszył i wyciągnąłem rękę, by je zasłonić: nie widziałem go, ale ono nadal mnie przeszywało i obnażało (choć przecież byłem już nagi). Gdyby tak mógł mi chociaż jeszcze stanąć, pomyślałem, posłużyłbym się fiutem jak palem rozgrzanym w ogniu i oślepiłbym tego Polifema, który brał mnie za Nikoga. Lecz mój członek pozostał nieruchomy, byłem jak osłupiały. Wyciągnąłem ramię i zagłębiłem wyprężony środkowy palec w przerośniętym oku. Biodra lekko się poruszyły, lecz nic się więcej nie stało. Nie przebiłem oka, przeciwnie, otworzyłem je szerzej, uwalniając spojrzenie, które kryło się głęboko. Wtedy wpadłem na pomysł: wyjąłem palec i wsparłszy się na przedramionach, przywarłem czołem do sromu, przyciskając swoją bliznę do dziury. Teraz ja patrzyłem do wewnątrz, prześwietlając głębiny tamtego ciała moim trzecim, promieniującym okiem, a w tym czasie jej jedyne oko promieniowało na mnie — oślepialiśmy się nawzajem; bez jednego ruchu doprowadziłem się do rozkoszy w przeogromnym rozbłysku białego światła, a ona krzyczała: „Co ty robisz, co robisz?”. Śmiałem się na całe gardło, sperma ciągle tryskała mi z członka wielkimi strumieniami, uradowany gryzłem jej srom, jakbym chciał go pożreć — moje oczy otworzyły się wreszcie i rozjaśniły, widziały wszystko.

Rankiem świat otuliła gęsta mgła: z pokoju nie widziałem ani brzozonej alei, ani lasu, ani nawet balustrady na tarasie. Otworzyłem okno, dobiegł mnie znajomy dźwięk kropli kapiących z dachu oraz pisk myszołowa, gdzieś daleko, z lasu. Zszedłem boso na parter i stanąłem na tarasie. Śnieg na płytkach był zimny, od świeżego powietrza miałem gęsią skórę, oparłem się o kamienną balustradę. Gdy się odwróciłem, nie widziałem nawet fasady domu, przedłużenie balustrady nikło we mgle, miałem wrażenie, że pływam, odcięty od wszystkiego. Zwrócił moją uwagę jakiś kształt pod śniegiem w ogrodzie, może ten, który zauważyłem dzień wcześniej. Wychyliłem się, by wyraźniej go dojrzeć, był dość mocno zasnuty mgłą, i znów przyszły mi na myśl zwłoki, lecz tym razem zwłoki tej młodej dziewczyny, powieszanej w Charkowie, leżące w śniegu w ogrodzie botanicznym, z piersią ogryzioną przez psy. Miałem dreszcze, piekła mnie skóra, zimno czyniło ją

skrajnie wrażliwą, mój nagi, ogolony członek, powietrze, oblepiająca mgła, dawały mi niezwykle poczucie obnażenia, obnażenia absolutnego, niemal pierwotnego. Kształt się rozplątał, to pewnie była jakaś fałda terenu, zapomniałem o nim i napałem ciałem na balustradę, palcami przebiegałem po skórze. Prawie nie zauważyłem chwili, w której ręka zaczęła masować członek, tak mało to doznanie różniło się od reszty doznań, które powoli zsuwały ze mnie tłuszcz, odrywały mięśnie, wreszcie rozkruszyły kości — zostało ze mnie coś nienazwanego, jakieś odbicie, które robiło sobie dobrze, coś identycznego, a jednak niezupełnie, coś zagubionego w swoich przeciwieństwach. Orgazm odrzucił mnie w tył jak wystrzał, padłem na płytki przysypane śniegiem, i nie podnosiłem się, zmartwiały, drżący na całym ciele. Zdawało mi się, że widzę kształt, krążący we mgle tuż obok, kształt kobiety, słyszałem wycie, dobiegało z daleka, lecz to zapewne ja wyłem, a jednocześnie wiedziałem, że wszystko odbywa się w ciszy, że ani jeden dźwięk z moich ust nie rozdziera szarego poranka. Kształt odlepił się od mgły, podplątał, położył się na mnie. Zimno śniegu przesywało moje kości. „To my, rzuciłem szeptem w labirynt małego, okrągłego ucha. To my”. Lecz kształt pozostał niemy i wiedziałem, że to jestem ciągle ja, tylko ja. Wstałem i wszedłem do domu, drżałem, tarzałem się po dywanie, żeby wyschnąć, oddychałem ciężko. Później zszedłem do piwnicy. Wyciągałem butelki na chybił trafił i dmuchałem na nie, by odczytać nalepki, od kłębow kurzu kręciło mnie w nosie. Zimny i wilgotny zapach piwnicy wwierał mi się w nozdrza, czułem pod podeszwami stóp zimno, tę niemal śliską wilgoć klepiska. Wybrałem jedną butelkę i otworzyłem korkociągiem zawieszonym na sznurku, piłem z gwinta, wino spływało mi z ust na brodę i pierś, znów miałem wzwód — tamten kształt stał teraz za regałami i chwiał się lekko, wyciągnąłem ku niemu butelkę, ale się nie poruszył, więc położyłem się na klepisku, a wtedy on zbliżył się i ukucnął nade mną, nadal piłem z butelki, a on sobie ze mną poczynał, jak chciał, wypłułem nań strumień wina, lecz to go nie zraziło, kołysał się rytmicznie w przód i w tył. Każdy kolejny mój orgazm był coraz bardziej gorzki, cierpki, kwaśny; mikroskopijne, odrastające włoski drażniły mi łono i członek, który natychmiast po wszystkim opadał, a pod czerwoną, pomarszczoną skórą wykwitwały grube zielone żyły i siateczka fioletowych — mniejszych. A jednak nie zaznałem odpoczynku, przemierzałem truchtem cały wielki dom, pokoje, łazienki, i podniecałem się czym się tylko dało, choć bez orgazmów, już nie byłem do nich zdolny. Bawiłem się w chowanego, wiedząc, że nikt mnie nie będzie szukał, sam już nie wiedziałem, co robię, szedłem za impulsami ogłupiałego ciała, umysł

miałem jasny i przejrzysty, lecz ciało, ciało brnęło w swą mętność i słabość, im bardziej nad nim pracowałem, tym mniej mi służyło za przewodnika, tym większą stawało się przeszkodą, przeklinałem i kluczyłem we mgle swojego ciała, drażniąc je i podniecając, lecz było to zimne podniecenie, niemal odarte z seksu. Dopuszczałem się wszelkich infantylnie obscenicznych czynności: w pokoju służącej klęknąłem na wąskim łóżku i wepchnąłem sobie świecę w odbył, zapaliłem ją z trudem i poruszałem nią, a duże krople ciepłego, płynnego wosku kapały mi na pośladki i na spód jąder, pojękiwałem, przyciskając twarz do żelaznego wezgłowia; srałem, kucając w tureckiej toalecie w ciemnej norze służących; nie podtarłem się, lecz onanizowałem, stojąc na kuchennych schodach, trąc o barierkę ufajdanym tyłkiem, a smród atakował mój nos i mieszał mi w głowie; rozkosz o mało nie zrzuciła mnie w dół, w ostatniej chwili przytrzymałem się ze śmiechem i obejrzałem ślady gówna na drewnie — wytarłem je starannie koronkową serwetką z pokoju gościnnego. Szczękałem zębami, z trudem znosiłem własny dotyk, śmiałem się jak szalony, wreszcie zasnąłem wyciągnięty na podłodze w przedpokoju. Po przebudzeniu poczułem wilczy głód, pożarłem wszystko, co mi wpadło w ręce, i wypilem butelkę wina. Za oknem mgła osnuwała świat, chyba nie było jeszcze późno, ale za nic nie mogłem odgadnąć, która godzina. Otworzyłem strych: był ciemny, zakurzony, przesycony zapachem piżma, moje stopy zostawiały duże ślady w kurzu. Wziąłem skórzane paski, oplotłem nimi belkę i zacząłem pokazywać kształtowi, który dyskretnie podążał za mną, jak się wieszałem w lesie, gdy byłem małym chłopcem. Ucisk szyi wywołał nowy wzwód, to wyprowadzało mnie z równowagi — żeby się nie udusić, musiałem odpychać się od podłogi czubkami palców. Onanizowałem się bardzo szybko, masując tylko oślinioną żołądź, sperma trysnęła przez całą szerokość strychu, kilka kropel zaledwie, lecz wyrzuconych z niebywałą siłą, poddałem się rozkoszy całym swym ciężarem, i gdyby kształt mnie nie podtrzymał, zawisłbym na dobre. Wreszcie odwiązałem się i opadłem w kurz. Kształt, na czworakach, obwąchiwał mój opadły członek jak wygłodniałe zwierzątko, podniósł nogę, żeby zaprezentować mi srom, lecz uchylał się od moich rąk, gdy je ku niemu wyciągałem. Nie stawał mi dostatecznie szybko, jak na jego potrzeby, więc poddusił mnie jednym z pasków; gdy członek w końcu porządnie się wyprężył, kształt rozluźnił uścisk, związał mi nogi przy stopach i rzucił się na mnie. „Teraz ty, powiedział kształt. Teraz ty mnie duś”. Chwyciłem go rękoma za szyję i wcisnąłem oba kciuki, a on uniósł nogi i postawiwszy stopy na podłodze, kołysał się na moim obolałym

członku. Oddech wydostawał się spomiędzy jego warg z ciekim świstem; mocniej zacisnąłem ręce, jego twarz puchła, zrobiła się karmazynowa, ohydna, ciało pozostało białe, ale twarz była czerwona jak surowe mięso, język wyłaził zza zębów, kształt nie mógł już nawet charczeć, a w chwili rozkoszy wbił mi paznokcie w nadgarstki, wysikał się pod siebie, a ja się rozwyłem, bełkotałem, straciłem wszelką kontrolę, biłem głową w podłogę i łkałem — nie z obrzydzenia, że się na mnie zeszczął ten kobiecy kształt, który nie chciał pozostać kształtem siostry — to nie było to, tylko że widząc, jak duszony kształt osiąga rozkosz i sika, widziałem wisielców z Charkowa, którzy, z pętlą zaciśniętą na szyi, wypróżniali się na głowy przechodniów, widziałem dziewczynę, którą pewnego zimowego dnia powiesiliśmy w parku Szewczenki, młodą i zdrową, promieniejącą życiem — czy czuła rozkosz, gdy ją wieszaliśmy i gdy robiła pod siebie, gdy próbowała walczyć i wierzgała, podduszona, czy czuła rozkosz, a może nigdy jej nie poczuła, była bardzo młoda, czy zaznała tego, zanim ją powiesiliśmy, jak można było powiesić tę dziewczynę. Łkałem bez końca, wstrząśnięty wspomnieniem, moją Matkę Boską Śnieżną — to nie były wyrzuty sumienia, nie miałem wyrzutów, nie czułem się winny, nie myślałem, że wszystko mogło lub powinno potoczyć się inaczej, po prostu wiedziałem, co to znaczy powiesić dziewczynę, powiesiliśmy ją tak, jak rzeźnik podrzyna gardło wołu, beznamiętnie, bo tak trzeba było, bo zrobiła coś złego i musiała zapłacić życiem, takie były reguły gry, naszej gry, bo dziewczyna, którą powiesiliśmy, nie była wieprzem czy wołem zabijanym bezmyślnie na mięso do jedzenia, to była młoda kobieta, która wcześniej była dziewczynką, kto wie, może szczęśliwą, i właśnie wchodziła w życie, w życie pełne morderców, którym nie zdołała umknąć, dziewczyna, w pewnym sensie taka jak moja siostra, czyjaś siostra, być może, tak jak ja sam byłem czyjś bratem — nie miało nazwy takie okrucieństwo, rujnowało wszystko, niezależnie od obiektywnej konieczności; jeżeli byliśmy zdolni to zrobić, tak po prostu powiesić młodą dziewczynę, to byliśmy zdolni do wszystkiego, niczego już nie można było być pewnym, moja siostra mogła jednego dnia sikać radośnie do klozetu, a drugiego opróżniać się, wisząc na stryczku, do czego to podobne — dlatego płakałem, nie rozumiałem już niczego, i chciałem być sam, by móc niczego nie rozumieć.

Obudziłem się w łóżku Uny. Nadal byłem nagi, ale ciało miałem czyste, a nogi nieskrępowane. W jaki sposób tutaj dotarłem? Nie pamiętałem niczego. Piec wygasł i było

mi zimno. Wypowiedziałem cicho, jak idiota, imię siostry: „Una, Una”. Cisza zmroziła mnie i zadrzałem, być może spowodował to chłód. Wstałem: na zewnątrz było jasno, niebo zachmurzone, świat tonął w pięknym świetle, mgły opadły — spojrzałem na las, na drzewa o gałęziach obciążonych śniegiem. Przyszło mi na myśl kilka absurdalnych wersów, stara pieśń Wilhelma Trubadura, lekko stukniętego księcia Akwitanii:

Ferai un vers de rien du tout:

Ni de moi, ni des autres gens,

Ni de l'amour ni la jeunesse,

Ni de rien autre.

Wyprostowałem się i ruszyłem w kierunku kąta, w którym leżał stos skłębionych ubrań, włożyłem spodnie i naciągnąłem szelki na nagie ramiona. Przechodząc obok zwierciadła w pokoju, spojrzałem na swoje odbicie: szeroki czerwony ślad przecinał moją szyję. Zszedłem do kuchni; zjadłem jabłko, wypilem nieco wina z otwartej butelki. Nie było już chleba. Wyszedłem na taras; nadal było zimno, roztarłem ramiona. Bolał mnie podrażniony członek, wełna spodni jątrzyła otarcia. Popatrzyłem na palce, na przedramiona, zabawiałem się próbą podcięcia paznokciem grubych niebieskich żył na nadgarstku. Paznokcie miałem brudne, ten u lewego kciuka był złamany. Po drugiej stronie domu, gdzieś na dziedzińcu krakały ptaki. Powietrze było rześkie, ostre, śnieg na ziemi stopniał nieco, a następnie stwardniał, ślady moich stóp i ciała na tarasie pozostały dobrze widoczne. Podeszedłem do balustrady i wychyliłem się. Na śniegu w ogrodzie leżało ciało kobiety, półnagie, w rozchyłonym szlafroku, nieruchome, z przekręconą głową, z oczami otwartymi ku niebu. Koniuszek języka spoczywał delikatnie w kąciku zsiniałych warg; pomiędzy nogami majaczył młody zarost, pewnie nadal uparcie rósł. Wstrzymałem oddech — to ciało na śniegu wyglądało dokładnie tak jak ciało dziewczyny z Charkowa. Zrozumiałem, że zwłoki tamtej dziewczyny, skręcony kark, sterczący podbródek, zmarznięte, ogryzione piersi, były ślepym odbiciem niejednego obrazu, jak kiedyś myślałem, lecz dwóch: osoby stojącej na tarasie i drugiej, na dole, leżącej na śniegu. Myślicie pewnie: ach, nareszcie koniec tej historii. Lecz nie, ona wciąż trwa.

Giga

Thomas zastał mnie siedzącego na krześle na brzegu tarasu. Patrzyłem na las, na niebo, małymi łykami piłem z butelki śliwovice. Nadzwyczaj wysoka balustrada zasłaniała mi widok na ogród, lecz myśl o tym, co tam zobaczyłem, rujnowała mi niespiesznie umysł. Od tamtego czasu musiał minąć dzień lub dwa, nie pytajcie mnie, jak je spędziłem. Thomas obszedł dom z boku — nic nie słyszałem, ani warkotu silnika, ani wołania. Podałem mu butelkę: „Chwała i braterstwo. Pij”. Byłem chyba lekko wstawiony. Thomas rozejrzał się, upił trochę, ale nie oddał mi butelki. „Co ty wyprawiasz?”, spytał wreszcie. Uśmiechnąłem się do niego głupkowato. Przyjrzał się fasadzie domu. „Sam jesteś?” — „Tak sędzę”. Podeszedł bliżej, popatrzył na mnie, powtórzył: „Co ty wyprawiasz? Twoje zwolnienie skończyło się tydzień temu. Grothmann wściekły, gada, że cię postawi przed radą wojenną za dezercję. Teraz takie rady trwają pięć minut”. Wzruszyłem ramionami i wyciągnąłem dłoń ku butelce, którą nadal trzymał. Odsunął ją. „A ty?, spytałem. Co tu robisz?” — „Piontek powiedział mi, gdzie jesteś. On mnie tu przywiózł. Przyjechałem po ciebie”. — „Więc trzeba jechać?”, powiedziałem ze smutkiem. — „Tak. Idź się ubrać”. Wstałem, wszedłem na piętro. W sypialni Uny zamiast się ubierać, usiadłem na skórzanej sofie i zapaliłem papierosa. Myślałem o niej, choć z trudem, a myśli miałem zadziwiająco jałowe i puste. Z zamyślenia wyrwał mnie głos Thomasa na schodach: „Pospiesz się! Kurwa!”. Ubrałem się, wciągałem ubrania byle jak, lecz na swój sposób przemyślnie, bo było zimno: ciepła bielizna, wełniane skarpetki, pulower z golfem, a na to biurowy mundur. *Szkoła serca* leżała na sekretarzyku, wsunąłem tom do kieszeni kurtki. Następnie zabrałem się do otwierania okien i zatraskiwania okiennic. W drzwiach stanął Thomas: „Co ty do diabła robisz?”. — „Nie widzisz, zamykam. Przecież nie zostawimy otwartego domu”. Wtedy nie wytrzymał: „Ty chyba sobie nie zdajesz sprawy z tego, co się dzieje. Rusczy atakują na całej długości frontu już od tygodnia. Mogą się tu zjawić w każdej chwili!”. Bez ceregieli chwycił mnie pod ramię. „No, dalej, chodź”! W wielkim holu uwolniłem się szybko z jego uścisku i pobiegłem po klucz od drzwi wejściowych. Włożyłem płaszcz i czapkę. Wychodząc, starannie zamknąłem drzwi na klucz. Na dziedzińcu Piontek czyścił reflektor opla. Wyprężył się, zasalutował mi i wsiedliśmy do samochodu, Thomas obok Piontka, ja z tyłu. Wjechaliśmy w długą i wyboistą aleję; między jednym wstrząsem a drugim Thomas spytał Piontka: „Myślisz, że możemy wracać przez Tempelburg?”. — „Nie wiem, Herr Standartenführer.

Wygląda na to, że tam spokój, możemy spróbować”. Na głównej drodze Piontek skręcił w lewo. W Alt Draheim kilka rodzin ładowało jeszcze wozy, zaprzężone w niewielkie koniki, często hodowane na Pomorzu. Samochód objechał stary fort i zaczął piąć się po długim zboczu grobli. Na jej wierzchołku wyrósł czołg, niski i przysadzisty. „Kurwa!, wrzasnął Thomas. T-34!” Na szczęście Piontek już przyhamował i wrzucił wsteczny. Czołg zniżył lufę i wystrzelił w naszą stronę, jednak nie mógł wycelować tak nisko, pocisk przeleciał nad nami; wybuchł obok drogi, u wjazdu do wioski. Pojazd przesunął się ze zgrzytem gąsienic, żeby strzelić niżej, Piontek wycofał prędko samochód w poprzek drogi i pełnym gazem ruszył w kierunku wsi; drugi pocisk uderzył dość blisko, poszła nam szyba po lewej stronie; objechaliśmy fort i byliśmy bezpieczni. Miejscowi usłyszeli detonacje, biegali chaotycznie. Przejechaliśmy przez wieś, nie zatrzymując się, i znów odbiliśmy na północ. „No przecież nie mogli już zająć Tempelburga!, pieklił się Thomas. Byliśmy tam dwie godziny temu!” — „Może otoczyli go od strony pół”, zasugerował Piontek. Thomas spojrział na mapę: „Dobra, jedziemy do Bad Polzin. Tam się czegoś dowiemy. Nawet jeśli Stargard padł, zawsze możemy jechać na Schivelbein-Naugard i dotrzeć do Stettina”. Nie zwracałem zbytniej uwagi na to, co mówi, oglądałem krajobrazy przez otwór po rozbitej szybie, z którego wydłubałem ostatnie kawałki szkła. Wysokie, rozłożyste topole rosły wzdłuż długiej, prostej drogi, a za nimi były ośnieżone, ciche pola, szare niebo, kilka ptaków, samotne gospodarstwa, zamknięte i nieme. Kilka kilometrów dalej, w Klaushagen, małej wiosce, skromnej, smutnej i pełnej godności, drogę między niewielkim jeziorem a lasem zamykała blokada Volkssturmu w cywilu, tylko z opaskami. Zzerani niepokojem wieśniacy domagali się od nas jakichś wieści: Thomas poradził im, by zabierali rodziny i jechali do Polzina, ale oni się wahali, podkręcali wąsy, klepali stare pukawki i dwa panzerfausty, które im powierzono. Niektórzy poprzyczepiali do kapot medale z Wielkiej Wojny. Schupo w butelkowiezielonych mundurach, którzy ich pilnowali, wcale nie wyglądali na spokojniejszych, mówili do nich powoli i o niczym, jak radni miejscy, niemal uroczyści w swym lęku.

Przy wjeździe do Bad Polzin obrona sprawiała wrażenie lepiej zorganizowanej. Drogi pilnowali żołnierze Waffen-SS, a jedno działo PAK, ustawione na wzniesieniu, zabezpieczało najbliższą okolicę. Thomas wysiadł z samochodu, żeby porozmawiać z Untersturmführerem, który dowodził sekcją, ale on nic nie wiedział i odesłał nas do swojego przełożonego, do stanowiska dowodzenia znajdującego się w starym zamku. Na

ulicach tłoczyły się samochody i wozy, czuć było napięcie, matki krzyczały na dzieci, mężczyźni ciągnęli brutalnie lejce koni, strofowali francuskich przymusowych robotników, którzy ładowali materace i torby z żywnością. Poszedłem z Thomasem do stanowiska dowodzenia, stanąłem za jego plecami i słuchałem. Obersturmführer wiedział niewiele więcej; jego jednostka została przyłączona do X korpusu SS, przysłano go tu na czele jednej kompanii, miał bronić linii. Myślał, że Rosjanie dotrą z południa albo ze wschodu: 2. Armia wokół Danzig i Gotenhafen była już odcięta od Rzeszy, Rosjanie przedostali się nad Bałtyk, przerywając linię Neustettin-Köslin, to było niemal pewne — ale podejrzewał, że niektóre drogi na zachód są jeszcze wolne. Pojechaliśmy drogą na Schivelbein. Była to ubita szosa, długie wozy uchodźców zajmowały cały jeden pas, sunął nieprzerwany strumień, ten sam smutny spektakl, co miesiąc wcześniej na autostradzie łączącej Stettin z Berlinem. Niemiecki Wschód pustoszał powoli, w rytmie końskich kopyt. Było niewiele wojskowych pojazdów, lecz sporo żołnierzy, z bronią i bez, szło samotnie pomiędzy cywilami, *Rückkämpfer*, szukających swoich dawnych jednostek lub możliwości dołączenia do nowych. Było zimno, przez wybitą szybę samochodu wpadał silny wiatr, miotając mokrym śniegiem. Piontek wyprzedzał wozy z wyciem klaksonu, piesi, konie, bydło blokujące drogę, wszyscy wolno schodzili na bok. Jechaliśmy wzdłuż pól, a później droga znów zagłębiła się w sosnowy las. Wozy przed nami zatrzymały się, panowało zamieszanie, usłyszałem straszliwy, niezrozumiały huk, ludzie krzyczeli i biegli w stronę lasu. „Ruski!”, wydarł się Piontek. — „Wyłazić, wyłazić!”, rozkazał Thomas. Wysiadłem z lewej strony, za Piontkiem, dwieście metrów przed nami jechał czołg, sunął w naszym kierunku, miażdżąc po drodze wozy, konie, spóźnionych uciekinierów. Przerażony pobiegłem co sił w nogach z Piontkiem i cywilami i ukryłem się w lesie; Thomas ruszył pod prąd kolumny i schował się po drugiej stronie. Wozy pękały jak zapalki pod gąsienicami czołgu; konie cięte na pół żelaznym zgrzytem zdychały, rżąc przeraźliwie. Czołg zaczepił o przód naszego opla, odepchnął go, zmiażdżył i w potwornym huku gnieczonego metalu odrzucił na dno rowu. Samochód spoczął na boku. Tuż przed sobą ujrzałem żołnierza wychylającego się z czołgu, Azjatę o płaskiej twarzy, czarnej od oleju silnikowego; pod skórzanym kaskiem czołgisty miał małe kobiece okulary o sześciokątnych różowych szklach, w jednej ręce trzymał wielki karabin maszynowy z okrągłym magazynkiem, a w drugiej letnią parasolkę ozdobioną gipiurą, którą oparł sobie na ramieniu. Wsparty o wieżyczkę siedział na lufie okrakiem, jak na

wierzchowcu, znosząc podrygiwania czołgu z łatwością rycerza Scyty, ujeżdżającego ostrogami małego, nerwowego konia. Za pierwszym jechały dwa następne czołgi, z materacami i fragmentami tapicerki przyczepionymi do boków, i dobijały gąsienicami rannych, którzy rżęzili pośród zniszczeń. Ich przejazd trwał najwyżej dziesięć sekund, sunęły dalej drogą na Polzin, pozostawiwszy za sobą, pomiędzy bruzdami, szeroki pas strzaskanego drewna, krwi i miazgi ciał w kałużach końskich wnętrzności. Na śniegu, po obu stronach drogi, czerwieniały długie smugi, pozostawione przez rannych, którzy próbowali doczołgać się do kryjówki; gdzieś tam wił się z bólu jakiś człowiek bez nóg i wrzeszczał, na drodze leżały torsy bez głów, ramiona wystające z czerwonej, ohydnej mazi. Drżałem na całym ciele, Piontek musiał mi pomóc dojść do drogi. Ludzie wokół mnie wyli, gestykulowali, inni stali nieruchomo, w szoku, dzieci krzyczały piskliwie, bez końca. Thomas zjawił się przy mnie natychmiast, pogrzebał w samochodzie i wyjął mapę oraz małą torbę. „Dalej będziemy musieli iść pieszo”, stwierdził. Zrobiłem niepewny gest: „A ludzie...?”. — „Muszą sobie poradzić, uciał. Nic nie możemy zrobić. Chodź”. Przeprowadził mnie przez drogę, Piontek szedł za nami. Starłem się nie stąpać po ludzkich szczątkach, ale nie miałem jak obejść krwi, moje buty zostawiały w śniegu długie czerwone ślady. Pod drzewami Thomas rozłożył mapę. „Piontek, rozkazał, idź przeszukać wozy, znajdź nam coś do jedzenia”. I pochylił się nad mapą. Gdy wrócił Piontek, niosąc kilka produktów ściśniętych w powłoczce na poduszkę, Thomas pokazał nam drogę. To była stara mapa Pomorza o dużej skali, zaznaczono na niej drogi i wioski, i więcej nic. „Skoro Ruscy nadjechali stąd, to znaczy, że zajęli Schivelbein. Najprawdopodobniej jada teraz na Kolberg. Pójdziemy na północ, spróbujemy dotrzeć do Belgard. Jeżeli nasi tam jeszcze są, to świetnie, jeżeli nie, będziemy wiedzieć wcześniej. Powinniśmy mieć spokój, omijając drogi; skoro jechali tak szybko, to ich piechota musi być daleko w tyle”. Pokazał mi na mapie wioskę, Gross Rambin: „Tam są tory kolejowe. Jeżeli nie dotarli tam Ruscy, to może na coś trafimy”.

Przeszliśmy szybko przez las i ruszyliśmy polami. Śnieg topniał na zaoranej ziemi, grzęźliśmy w niej aż po łydki. Pomiedzy każdą calizną biegły rowy, wypełnione wodą i oddzielone ogrodzeniem z drutu kolczastego, niskim, lecz trudnym do przebycia. Następnie weszliśmy na wąskie ścieżki — również były błotniste, ale szło się dużo łatwiej, schodziliśmy z nich na obrzeżach wiosek. Męczyło mnie to, na szczęście powietrze było świeże, a pola puste i spokojne; na drogach szliśmy równym krokiem,

Thomas i ja wyglądaliśmy dość żałośnie w służbowych czarnych mundurach z nogami uwalanymi błotem, Piontek niósł prowiant; jedyną bronią, jaką mieliśmy, były dwa służbowe pistolety luger parabellum. Pod wieczór dotarliśmy do Rambina. Po prawej stronie płynęła rzeczka, zatrzymaliśmy się na odpoczynek w wąskim lesie bukowo-jesionowym. Znow zaczął padać śnieg, wilgotny i lepki, wiatr miótł nim w nasze twarze. Po lewej, w niewielkiej odległości, widać było tory kolejowe i pierwsze zabudowania. „Poczekamy do zmroku”, zarządził Thomas. Oparłem się plecami o drzewo i podłożyłem pod tyłek poły płaszcza, a Piontek rozdał nam jajka na twardo i kiełbasę. „Nie znalazłem chleba”, powiedział ze smutkiem. Thomas wyjął z torby małą butelkę śliwowicy, tę, którą mi zabrał, i dał każdemu po łyku. Niebo ciemniało, wracała zawieja. Byłem zmęczony, zasnąłem pod drzewem. Gdy Thomas mnie obudził, mój płaszcz był cały w śniegu, a ja byłem zeszywniały z zimna. Nie świecił księżyc, ze wsi też nie docierało tu żadne światło. Szliśmy skrajem lasu aż do torów, a później gęsiego, w ciemności, wzdłuż nasypu. Thomas wyjął pistolet, zrobiłem to samo, nie bardzo wiedząc, jak się zachowam, gdy ktoś rzeczywiście nas zaskoczy. Nasze kroki chrzęściły na ośnieżonym żwirze nasypu. Po prawej stronie torów zamajaczyły pierwsze domy nad brzegiem dużego stawu, ciemne i ciche; mała stacja u wjazdu do wioski była zamknięta na klucz; trzymaliśmy się torów i tak przeszliśmy przez wioskę. Nasyp był śliski, żwir obsuwał się spod nóg, ale zbyt duże rozstawienie belek uniemożliwiało normalny marsz po torach; wreszcie, jeden za drugim, zeszliśmy z nasypu i maszerowaliśmy dalej po dziewiczym śniegu. W pewnym momencie tory wchodziły w wielki sosnowy las. Poczułem znowu zmęczenie, szliśmy tak od wielu godzin, nie myślałem o niczym, głowę miałem opróżnioną z wszelkich myśli i obrazów, cały wysiłek wkładałem w marsz. Oddychałem ciężko — oprócz skrzypienia kroków na mokrym śniegu był to jeden z niewielu dźwięków, które słyszałem, lecz bardzo natrętny. Po kilku godzinach nad wierzchołkami sosen wstał księżyc, nie całkiem jeszcze w pełni, i prześwietlał drzewa, rzucając na śnieg strzępy białego blasku. Po pewnym czasie dotarliśmy na skraj lasu. Ponad wielką polaną, kilka kilometrów od nas, na niebie tańczyło żółte światło i słychać było szcęk donośnych, głuchych detonacji. Księżyc oświetlał śnieg na polanie, widziałem czarną linię torów, krzaki, małe, porzrzucone zagajniki. „Muszą się bić gdzieś w okolicach Belgard, powiedział Thomas. Prześpijmy się. Jeżeli teraz podejdziemy, nasi mogą nas zastrzelić”. Spanie w śniegu wcale mi się nie

uśmiechało; z pomocą Piontka zebrałem kilka suchych gałęzi, ułożyłem sobie legowisko, zwinąłem się w kłębek i zasnąłem.

Obudziło mnie mocne uderzenie w cholewę buta. Było jeszcze ciemno. Wokół nas majaczyło kilka kształtów, dostrzegłem błysk stali karabinów. Ktoś gwałtownie zaszeptał: „*Deutsche? Deutsche?*”. Usiadłem na legowisku i kształt się cofnął: „Przepraszam, Herr Offizier”, odezwał się cicho, z silnym obcym akcentem. Wstałem, Thomas także. „Jesteście niemieckimi żołnierzami?”, spytał, również szeptem. „*Jawohl, Herr Offizier*”. Moje oczy przyzwyczajały się do ciemności — na płaszczach żołnierzy dostrzegłem insygnia SS i biało-niebiesko-czerwone emblematy. „Jestem SS-Obersturmbannführerem”, powiedziałem po francusku. Usłyszałem inny głos: „Słyszałeś, Roger, on mówi po francusku!”. Pierwszy żołnierz odpowiedział mi: „Proszę wybaczyć, Herr Obersturmbannführer. Nie widzieliśmy dobrze w tych ciemnościach. Wzięliśmy was za dezerterów”. — „Jesteśmy z SD, wyjaśnił Thomas, także po francusku, z austriackim akcentem. Zostaliśmy odcięci przez Rosjan i próbujemy dotrzeć do naszych linii. A wy?” „Oberschutz Lanquenoy, 3. kompania, 1. sekcja, *zu Befehl*, Herr Standartenführer. Jesteśmy z dywizją «Charlemagne». Odłączyliśmy się od naszego pułku”. Było ich około dziesięciu. Lanquenoy, który wyglądał na ich przywódcę, w kilku słowach opisał nam sytuację: kilka godzin wcześniej dostali rozkaz opuszczenia pozycji i wycofania się na południe. Większa część pułku, do której próbowali dotrzeć, musiała znajdować się bardziej na wschód, gdzieś nad rzeką Parsętą. „Dowodzi Oberführer Puaud. W Belgard są jeszcze jacyś faceci z Wehrmachtu, ale tam jest teraz gorąco”. — „Czemu nie idziecie na północ?, spytał oschle Thomas. W kierunku Kolberga?” — „Nie wiemy, Herr Standartenführer, powiedział Lanquenoy. Nic nie wiemy. Rusczy są wszędzie”. — „Droga jest chyba odcięta”, odezwał się ktoś. — „Nasze oddziały nadal trzymają Körlin?”, spytał Thomas. — „Nie wiadomo”. — „Nadal trzymamy Kolberg?” — „Nie wiadomo, Herr Standartenführer. Nic nie wiadomo”. Thomas poprosił o latarkę i kazał, żeby Lanquenoy i jakiś drugi żołnierz pokazali mu na mapie teren. „Spróbujemy dotrzeć do Körlina od północy, a jak się nie uda, to chociaż do Kolberga, oznajmił w końcu Thomas. Chcecie iść z nami? W małej grupie będziemy mogli przedostać się przez radzieckie linie, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Chyba nie zajmują wyłącznie dróg, zapewne też kilka wiosek”. — „Nie żebyśmy nie chcieli, Herr Standartenführer. Chcielibyśmy, tak myślę. Ale musimy dołączyć do kumpli”. — „Wasza sprawa”. Thomas dostał od nich broń i amunicję, którą

powierzył Piontkowi. Niebo powoli jaśniało, gęsta mgła zalegała we wklęsłościach równiny, ciągnąc się ku rzece. Francuscy żołnierze zasalutowali nam i odeszli w stronę lasu. Thomas powiedział mi: „Wykorzystamy tę mgłę i obejdziemy Belgard, szybko. Na drugim brzegu Parsęty, pomiędzy zakolem rzeki a drogą, jest las. Dojdziemy nim do Körlina. Potem zobaczymy”. Nic nie mówiłem, nie czułem w sobie jakiegokolwiek woli. Szliśmy z powrotem wzdłuż torów. Wybuchy, gdzieś przed nami i po naszej prawej, rezonowały w otaczającej mgle. W miejscach skrzyżowania torów z drogą kryliśmy się, odczekiwaliśmy kilka minut i przebiegaliśmy ją szybko. Czasem słyszeliśmy metaliczny szczęk upręży, kufrów, gruchot menażek, we mgle mijali nas żołnierze, a my trwaliliśmy nieruchomo, staliśmy na czatach, czekając, aż się oddalą, nigdy nie sprawdzaliśmy, czy to są nasi. Na południu, za naszymi plecami, także zaczęły rozbrzmiewać kanonady; na północy odgłosy stawały się coraz wyraźniejsze, ale były to rzadkie serie i wystrzały, tylko kilka wybuchów, walki zapewne dobiegały końca. Gdy dochodziliśmy do Parsęty, zerwał się wiatr i zaczął rozganiać mgłę. Oddaliliśmy się od torów i ukryliśmy się w trzcinie, żeby poobserwować teren. Stalowy most kolejowy został wysadzony i leżał teraz, powyginany, w burych, mętnych wodach rzeki. Obserwowaliśmy go przez około kwadrans, mgła już niemal całkiem opadła, na szarym niebie lśniło zimne słońce; za nami, nieco z prawej strony, płonął Belgard. Zrujnowanego mostu chyba nikt nie pilnował. „Jak będziemy uważać, to przejdziemy po przesłach”, szepnął Thomas. Wstał, za nim Piontek, trzymając w pogotowiu pistolet maszynowy Francuzów. Z brzegu przejście wydawało się łatwe, lecz w rzeczywistości belki okazały się zdradliwe, wilgotne i śliskie. Musieliśmy się ucześcić zewnętrznej części mostu, tuż nad lustrem wody. Thomas i Piontek przeszli bez trudu. Kilka metrów od brzegu mój wzrok przyciągnął refleks, jaki rzucałem na wodę — był rozproszony, zdeformowany przez ruch powierzchni. Pochyliłem się, żeby go lepiej widzieć, źle postawiłem stopę i wpadłem mu na spotkanie. Byłem opatulony w ciężki płaszcz i przez chwilę trwałem pogrążony w zimnej wodzie. Moja dłoń trafiła na metalowy pręt, złapałem się go i wydostałem się na powierzchnię; Piontek wrócił i wywlóknął mnie za rękę na brzeg, leżałem tam, ociekający, kaszlący, wściekły. Thomas się śmiał, a ten śmiech tylko wzmacniał mój gniew. Czapka, którą przed przeprawą wsunąłem za pas, ocalała. Musiałem zdjąć buty i wylać z nich wodę, a Piontek pomógł mi jako tako wykręcić płaszcz. „Pospieszcie się, szeptał ciągle rozbawiony Thomas. Nie możemy tu zostać”. Obmacałem kieszenie, natrafiłem ręką na książkę, którą wziąłem ze sobą, a

później o niej zapomniałem. Serce ścisnęło mi się na widok przemoczonych, pozwijanych stronic. Ale cóż było robić, Thomas mnie poganiał, schowałem książkę do kieszeni, zarzuciłem na ramiona mokry płaszcz i ruszyłem w drogę.

Zimno przenikało mokre ubranie, miałem dreszcze, na szczęście szliśmy dość szybko, to mnie trochę rozgrzało. Za nami skwierczało w ogniu miasto, gęsty dym czernił szarość nieba i zasłaniał słońce. Przez pewien czas nękało nas kilka wygłodniałych, oszalałych psów, chwytaly nas zębami za pięty i szczekały wściekle — Piontek musiał uciąć kij i rozdać im parę razów, żeby uciekły. Ziemia przy rzece była bagienna, śnieg stopniał i tylko kilka jego plam wskazywało na suche miejsca. Grzęziliśmy po kostki. Wzdłuż Parsęty ciągnęła się porośnięta trawą i przysypana śniegiem grobla. Po prawej, u stóp wału, bagna gęstniały, a dalej zaczynały się lasy, też o bagiennym podłożu; wkrótce stanęliśmy uwięzieni na grobli, ale nie widzieliśmy nikogo, ani Niemców, ani Rosjan. Zauważyłem, że byli tu już przed nami inni, którzy próbowali się przedostać: w różnych miejscach, w lesie, ze stopą czy ramieniem zaplątanym bezwładnie w krzaki, albo głową w dół na zboczu grobli, leżały trupy żołnierzy i cywilów, którzy dotarli tutaj, by zginąć. Niebo rozjaśniło się, a blade, późnozimowe słońce rozświetliło nieco szarość. Po grobli szło się łatwo, szybko posuwaliśmy się naprzód, Belgard już zniknął nam z oczu. Na brunatnych wodach Parsęty pływały kaczki, jedne zielonogłowe, inne czarno-białe, poderwały się gwałtownie na nasz widok— skarżąc się głośno, nosowo, odleciały i osiadły dalej. Naprzeciw nas, za rzeką, rozciągał się duży sosnowy las, bardzo wysoki i ciemny; po prawej, za małym przecinającym groblę strumykiem, rosły głównie brzozy i nieliczne dęby. Dosłyszałem odległy warkot: nad nami, bardzo wysoko na seledynowym niebie, krążył samotny samolot. Thomas zaniepokoił się na widok maszyny i pociągnął nas w stronę małego kanału; przebyliśmy go po zwałonym pniu i ukryliśmy się pod drzewami, tam, gdzie ład nikił pod wodą. Przeszliśmy przez łączkę porośniętą długą, mocną trawą, przemoczoną i przygniecioną do ziemi. Za nią rozlewały się stawy; stał tam mały, zamknięty na kłódkę szałas myśliwski, też do połowy zanurzony w wodzie. Śnieg całkiem stopniał. Przemykanie się pod drzewami niczemu nie służyło, buty grzęzły w wodzie i błocie, mokra ziemia pokryta była zgniłymi liśćmi, pod którymi kryły się głębokie trzęsawiska. Odwagi dodawały nam wyłaniające się gdzieś tam małe wysepki suchej ziemi. Jednak po pewnym czasie wędrówka stała się zupełnie niemożliwa, drzewa rosły na niewielkich łachach gruntu lub zwyczajnie w wodzie, jęzory ładu pomiędzy kolejnymi

rozlewiskami też były zalane, brodziliśmy z wielkim trudem, musieliśmy zrezygnować i wrócić na groblę. Wreszcie otworzyła się na pola, wilgotne i pokryte mokrym śniegiem, ale do przejścia. Dalej znowu był las sosen na ścinę, strzelistych, prostych i wysokich, o czerwonych pniach. Słońce prześwietlało przestrzeń między drzewami, rozrzucało słoneczne plamy po czarnej, niemal nagiej ziemi, usianej plackami śniegu albo zielonego, zimnego mchu. Ścięte, porzucone pnie i połamane gałęzie zagradzały przejście pomiędzy drzewami. Okazało się jednak, że jeszcze większą sztuką jest chodzenie po czarnym, rozjechanym kołami wozów błocie na wijącej się przez laszek drodze drwali. Traciłem dech, w dodatku byłem głodny i Thomas zgodził się wreszcie na krótką przerwę. Moje ubranie prawie całkiem wyschło od ciepła, które wydzielałem podczas marszu; zdjąłem kurtkę, buty i spodnie, rozłożyłem je, płaszcz też, na słońcu, na sosnowych polanach, ociosanych w kanciaste kłocę, które ktoś ustawił porządnie na poboczu. Rozłożyłem Flauberta, żeby wysuszyć pozwijane kartki. Sam wdrapałem się na sąsiedni kłoc, w długiej biełźnie musiałem wyglądać groteskowo; po kilku minutach zrobiło mi się zimno i Thomas ze śmiechem pożyczył mi swój płaszcz. Piontek rozdał żywność, zjadłem. Byłem zmordowany, jedyne, na co miałem ochotę, to położyć się na płaszczu w słabym blasku słońca i zasnąć. Niestety, Thomas chciał, żebyśmy dziś dotarli do Körlina, myślał nawet o Kolbergu. Założyłem wilgotne ubranie, wsadziłem do kieszeni Flauberta i ruszyłem za nim. Po chwili naszym oczom ukazała się niewielka osada, wtulona w zakole rzeki. Obserwowaliśmy ją przez pewien czas, trzeba było nadrobić sporo drogi, żeby ją obejść; słyszałem szczekanie psów, rzenie koni i przeciągłe ryki, jakie wydają z siebie długo nie dobrane krowy z przepełnionymi wymionami. I nic więcej. Thomas postanowił, że tam pójdziemy. Były to przestronne, stare rozpadające się gospodarskie budynki z cegły, o szerokich dachach kryjących duże strychy; drzwi były wyważone, na drodze zalegały powywracane wozy, połamane meble, podarta pościel. Zdarzało się, że musieliśmy przejść nad podziurawionym kulami trupem rolnika albo staruchy. Po uliczkach hulała dziwaczna śnieżycy: kłęby puchu z pierzyn i rozprutych materacy niesione przez wiatr. Thomas wysłał Pionka na poszukiwanie jedzenia w domach i czekając, tłumaczył mi napis, nabazgrany pospiesznie po rosyjsku na tabliczce zawieszanej na szyi przywiązanego wysoko na dębie wieśniaka, z którego rozoranego brzucha wylewały się wnętrzności, po części już rozwleczone przez psy: **MIAŁEŚ DOM, KROWY I KONSERWY. PO JAKĄ CHOLERĘ PRZYŁAZIŁEŚ DO NAS, PRIDUROK?** Od smrodu flaków dostawałem

mdłości, poczułem pragnienie i napiłem się z czynnej jeszcze pompy przy studni. Wrócił Piontek: znalazł boczek, cebulę, jabłka, kilka konserw — wypchaliśmy nimi kieszenie; był blady, szczękał zębami, nie chciał powiedzieć, co zobaczył w domu, przenosił złękniiony wzrok z rozprutego chłopca na psy, które zbliżały się, warcząc, w kłębach pierza. Uciekliśmy z osady co sił w nogach. Za nią rozciągały się duże pagórkowate pola, bladożółte lub beżowe, przysypane suchym śniegiem. Droga prowadziła obok małego strumyka, pięła się na wzniesienie i dalej, przez opustoszałe, pełne niskich budynków gospodarstwo pod lasem. Następnie schodziła z powrotem do Parsęty. Szliśmy wzdłuż dość wysokiego brzegu, po drugiej stronie także rósł las. Drogę zagroził nam strumień, musieliśmy zdjąć buty i skarpetki i przejść go w bród, a woda była lodowata, napiłem się i opryskałem sobie szyję, zanim ruszyliśmy dalej. I znów ciągnęły się ośnieżone pola, z widocznym daleko po prawej skrajem lasu na wzgórku; pośrodku pustkowiec wznosiła się szara drewniana wieżyczka myśliwska, polowało się z niej na kaczki, albo może strzelało do wron w okresie zniw. Thomas chciał iść na skróty, przez pola; las przed nami schodził aż do samej rzeki, lecz nie było łatwo oddalić się od drogi, gleba była zdradliwa, musieliśmy pokonać kolczaste zasieki, więc cofnęliśmy się ku rzece i dotarliśmy do niej po pewnym czasie. Na wodzie pływały dwa łabędzie, nasza obecność w żaden sposób nie zakłóciła ich spokoju; zatrzymały się przy wysepce, wyprężyły, wyciągnęły powolnym, łagodnym ruchem długie szyje i zaczęły czyścić pióra. Dalej znowu były lasy. Rosły tu głównie sosny, młode drzewa — był to starannie utrzymany las do wycinki, widny i przestronny. Po ścieżkach szło się dużo łatwiej. Dwukrotnie odgłos naszych kroków spłoszył małe daniele, widzieliśmy, jak skaczą między drzewami. Thomas prowadził nas rozmaitymi ścieżkami pod wysokim, cichym sklepieniem koron, systematycznie trafialiśmy na nić Parsęty, naszego przewodnika. Jedna z dróg wiodła przez lasek dębowy, niezbyt wysoki, splątana i szarą gęstwinę odrośli i nagich gałęzi. Ziemia pod śniegiem usłana była suchymi, brunatnymi liśćmi. Gdy dopadało mnie pragnienie, schodziłem nad Parsętę, niestety woda przy brzegu często była stojąca. Zbliżaliśmy się do Körlina, nogi miałem ciężkie, bolały mnie plecy — a przecież akurat tutejsze drogi były jeszcze stosunkowo mało uciążliwe.

W Körlinie trwały zaciekle walki. Ukryci na skraju lasu obserwowaliśmy, jak rozstawione na wznoszącej się drodze radzieckie czołgi torpedują nieprzerwanie niemieckie pozycje. Wokół czołgów biegali żołnierze piechoty i kładli się w rowach. Było

mnóstwo trupów, brunatne plamy rozlewały się po śniegu i czarniawej ziemi. Ostrożnie wycofaliśmy się w głąb lasu. Z wysokości dostrzegliśmy nietknięty kamienny mostek na Parsęcie; wróciliśmy tam, przeprawiliśmy się po nim na drugą stronę i ukryci w lasku bukowym przekradliśmy się do drogi na Plathe. W tym lesie też było mnóstwo ciał żołnierzy, rosyjskich i niemieckich, pewnie bili się zażarcie; ci w niemieckich mundurach mieli w większości francuskie emblematy. Teraz panował tu spokój. Przeszukaliśmy ich kieszenie i znaleźliśmy kilka użytecznych przedmiotów: scyzoryki, kompas, suszoną rybę w chlebaku jakiegoś Rosjanina. Wyżej, na drodze, jechały radzieckie pojazdy opancerzone, z całą pewnością na Körlin. Thomas postanowił, że poczekamy do zmroku i spróbujemy przedostać się do szosy na Kolberg, by sprawdzić, czy miasto jest w rękach Rosjan, czy w naszych. Usiadłem za krzakiem, plecami do drogi, schrupałem cebulę, popiłem śliwowicą i wyjąłem z kieszeni *Szkolę serca* w zdeformowanej i napuchniętej skórzanej okładce, delikatnie rozkleiłem kilka kartek i zacząłem czytać. Szybko dałem się ponieść długiemu, szerokiemu strumieniowi prozy, już nie słyszałem szczęku gąsienic, warkotu silników, dziwacznych, rosyjskich okrzyków: „*Dawaj! Dawaj!*”, ani niedalekich wybuchów; lekturę zakłócały mi wyłącznie pozwijane i posklejane kartki. Zmierzch zmusił mnie do zamknięcia i schowania książki. Przespałem się trochę. Piontek także spał, Thomas czuwał, patrzył na las. Obudziłem się przysypany gęstym, suchym śniegiem; padał obficie, wielkimi płatkami, które wirowały pomiędzy drzewami, zanim opadły na ziemię. Po drodze z rzadka przejeżdżał czołg z zapalonymi reflektorami, światło wierciło w ścianie śniegu długie tunele; poza tym panował spokój. Podeszliśmy do drogi i odczekaliśmy jakiś czas. Przejechały dwa czołgi, za nimi ciężarówka, studebaker z wybitą czerwoną gwiazdą; natychmiast gdy znikły, przebiegliśmy na drugą stronę szosy i wpadliśmy do lasu. Kilka kilometrów dalej musieliśmy powtórzyć wyczyn na małej drodze w kierunku pobliskiego miasteczka Gross-Jestin; tam też tłoczyły się czołgi i samochody. Gęsty śnieg krył nas, gdy przemykaliśmy się polami, nie było wiatru, padał więc niemal pionowo, wygłuszając wszelkie dźwięki, odgłosy wybuchów, silników, krzyki. Od czasu do czasu docierał do nas metaliczny szczęk albo strzępy rozmów prowadzonych po rosyjsku, wtedy prędko padaliśmy na ziemię w rowach lub za krzakami; raz przed samym nosem przejechał nam patrol, jednak nikt nas nie zauważył. I znów drogę zagroziła nam Parsęta. Szosa na Kolberg była po drugiej stronie; szliśmy wzdłuż brzegu na północ, aż wreszcie Thomas znalazł jakąś łódkę ukrytą w trzcinach. Nie było wiosel,

Piontek uciął długie gałęzie, odpychaliśmy się nimi i przeprawa przebiegła bez większych trudności. Na szosie panował duży ruch w obie strony: radzieckie pojazdy opancerzone i ciężarówki jeździły na włączonych światłach, jak na autostradzie. Długa kolumna czołgów sunęła w kierunku Kolberga, to był magiczny spektakl, każda maszyna ozdobiona koronkową firanką, wielkie białe płachty, zaczepione o lufy i wieżyczki, łopotały po bokach — w kłębach rozświetlonego reflektorami śniegu ciemne hałaśliwe maszyny nabierały niemal powietrznej lekkości, wyglądały, jakby płynęły ponad drogą, poprzez gęste płatki, które zlewały się z bielą firan. Wycofaliśmy się cicho i zagłębili w las. „Przeprawimy się z powrotem przez Parsętę, zabrzmiał cicho napięty głos Thomasa, bezcielesny w ciemnościach i w śnieżycy. Kolberg możemy sobie darować. Będziemy chyba musieli maszerować aż do Odry”. Łódka znikła, musieliśmy iść dość długo, zanim natrafiliśmy na odcinek rzeki, który dało się przejść w bród, oznaczony palikami i czymś w rodzaju kładki rozciągniętej pod powierzchnią wody, do której przyczepił się za stopę trup francuskiego Waffen-SS i unosił się na wodzie twarzą w dół. Zimna woda podeszła nam do ud, trzymałem książkę w ręku, by uchronić ją przed następną kąpielą; grube płatki śniegu opadały na wodę i natychmiast znikły. Zdjęliśmy buty, ale spodnie mieliśmy zmoczone przez całą noc i jeszcze rankiem, gdy wszyscy trzej, nie stawiając nikogo na warcie, zasnęliśmy w małym szałasie leśniczego w głębi lasu. Szliśmy już prawie od trzydziestu sześciu godzin, padaliśmy z wyczerpania, a czekała nas jeszcze długa wędrówka.

Poruszaliśmy się nocą, za dnia kryliśmy się po lasach; spałem wtedy albo czytałem Flauberta, mało rozmawiałem z towarzyszami. Sączył się ze mnie bezsilny gniew, nie rozumiałem, czemu opuściłem dom pod Alt Draheim, miałem sobie za złe, że dałem się stamtąd wyprowadzić po to, by błądzić teraz jak dzikus po lasach, zamiast spokojnie sobie siedzieć w dworku. Zarost obsypywał nam twarze, mundury sztywniały od błota, a pokryte twardą tkaniną nogi łapały skurcze. Odżywialiśmy się fatalnie, tym tylko, co udało nam się znaleźć w opuszczonych gospodarstwach, albo tym, co zgubiły po drodze konwoje uchodźców; nie, żeby grymasił, ale nienawidziłem surowego boczku, tłuszcz długo po zjedzeniu oblepiał wnętrze ust, nigdy nie było chleba, by nim zagryźć. Było nam wiecznie zimno i nie paliliśmy ognisk. A jednak — lubiłem owe spokojne i pełne powagi pola, przyjazną ciszę lasów brzozowych i starodrzewów, szare, lekko tylko niepokojone

wiatrem niebo, stłumione skrzywienie ostatniego śniegu. Teren wymarły, pustynny: puste pola i puste gospodarstwa. Katastrofa wojny wszędzie odcisnęła swe piętno. Wszystkie miejscowości, większe i mniejsze, które obchodziliśmy z daleka, nocą, były zajęte przez Rosjan; z okolic dobiegały nas w ciemnościach pijackie śpiewy żołnierzy i serie strzałów w powietrze. Czasem w tych wioskach byli jeszcze Niemcy, rozróżnialiśmy ich przerażone, choć pełne cierpliwości głosy pośród rosyjskich okrzyków i przekleństw, ale wrzaski też nie były rzadkie, zwłaszcza wrzaski kobiet. To mimo wszystko było lepsze od wiosek pogorzeliisk, do których pchał nas głód. Tam po ulicach niósł się smród zdechłego bydła, domy wydzierały oprócz odoru spalenizny fetor ścierwa, nie dało się uniknąć widoku poskręcanych zwłok kobiecych, często obnażonych, nawet staruszek i kilkuletnich dziewczynek, z zakrwawionymi krociami. Las również nie sprzyjał ucieczce przed widokiem zabitych; na skrzyżowaniach dróg do olbrzymich gałęzi wiekowych dębów uczepione były grona wisielców, najczęściej członków Volkssturmu, martwe worki, ofiary nadgorliwych żandarmów polowych. Zwłoki były też rozsiane po łąkach: raz natknęliśmy się na nagiego młodzieńca leżącego w śniegu z jedną nogą zgiętą, emanował tym samym spokojem co wisielec z dwunastej karty Tarota, był przerażająco dziwny. Zwłoki zalegały też w leśnych białych stawach, przechodziliśmy obok, powstrzymując pragnienie. W owych lasach i puszczech spotykaliśmy również żywych, chorych z przerażenia cywilów, niezdolnych udzielić nam jakiegokolwiek informacji, żołnierzy, samotnych albo w małych grupach, którzy tak jak my próbowali przemknąć się przez radzieckie linie. Nieważne, Waffen-SS czy Wehrmacht, nigdy nie chcieli pozostać z nami; pewnie obawiali się, by nie złapano ich w towarzystwie wysokich stopniem esesmanów. To dało do myślenia Thomasowi i zmusił mnie, bym tak jak on zniszczył książeczkę wojskową i dokumenty i zerwał z munduru wszystkie odznaki, na wypadek, gdybyśmy wpadli w ręce Rosjan; ze strachu przed żandarmami polowymi podjął dość irracjonalną decyzję: mieliśmy pozostać w naszych eleganckich czarnych mundurach, niezbyt pasujących do wiejskiej okolicy. To on o wszystkim decydował, ja przyjmowałem to bezmyślnie, szedłem za nim, zamknięty na wszystko, prócz tego, co samo staowało mi przed oczyma podczas kolejnych, powolnych etapów marszu.

Dużo gorzej się działo, gdy coś rzeczywiście budziło moją reakcję. Drugiej nocy po Körlinie, tuż przed świtem, weszliśmy na teren jakiejś osady — kilka gospodarstw, a pośrodku dworek. Nieco na uboczu stał ceglany kościół, przyklepiony do spiczastej

dzwonnicy i pokryty gontowym szarym dachem; drzwi były otwarte, z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki organowej. Piontek pobiegł już przeszukiwać kuchnie; wszedłem do kościoła, za mną Thomas. Przy ołtarzu jakiś starzec grał *Sztukę fugi*, o ile się nie mylę, trzeci kontrapunkt, z tym pięknym basowym pomrukiem, który na organach uzyskuje się wciskając pedał. Podeszedłem bliżej, usiadłem w ławce i słuchałem. Stary człowiek dokończył fragment i odwrócił się do mnie: miał monokl i siwy, starannie przystrzyżony wąsik, ubrany był w mundur Oberstleutnanta z poprzedniej wojny, miał krzyż na szyi. „Mogą zniszczyć wszystko, odezwał się spokojnie, ale nie to. Nie ma takiej możliwości, to pozostanie na zawsze, będzie trwało nawet wtedy, gdy przestanę grać”. Nie odpowiedziałem, a on zaczął grać następny kontrapunkt. Thomas ciągle stał. Ja też wstałem. Słuchałem. Muzyka była przepiękna, organy nie miały wielkiej mocy, lecz dźwięki dobrze rezonowały w tym małym, rodzinnym kościółku, linie kontrapunktu krzyżowały się, igrały, tańczyły ze sobą. Jednak zamiast mnie uspokoić, muzyka tylko podżegała moją wściekłość, to było nie do zniesienia. Nie myślałem o niczym, w głowie nie miałem nic oprócz muzyki i czarnego ciśnienia wściekłości. Chciałem krzyknąć, żeby przestał, ale odczekałem do końca fragmentu, a stary natychmiast rozpoczął kolejny, piąty. Długie, arystokratyczne palce biegały po klawiszach, ciągnęły lub odpychały rejestry. Gdy zamknął je gwałtownie i zakończył fugę, wyjąłem pistolet i strzeliłem mu w głowę. Opadł w przód, na klawiaturę, otwierając połowę miechów — rozległo się przykre, niezestrojone wycie. Schowałem pistolet, podeszedłem bliżej i pociągnąłem go do tyłu za kołnierz; hałas ustał, teraz słychać było już tylko, jak krople krwi kapią z jego głowy na posadzkę. „Tobie już kompletnie odbiło!, syknął Thomas. Co cię napadło?!” Spojrzałem na niego zimno, byłem blady, lecz mój urywany głos nie drżał: „To z winy tych zepsutych junkrów Niemcy przegrywają wojnę. Pada narodowy socjalizm, a ci tutaj grają Bacha. To powinno być zakazane”. Thomas wbijał wzrok w moją twarz, nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie wzruszył ramionami: „Właściwie to może i masz rację. Ale nie rób tego więcej. Chodźmy”. Piontek czekał na placu, przestraszył się wystrzału i trzymał w pogotowiu pistolet maszynowy. zaproponowałem, żebyśmy się przespali w dworku, w prawdziwych łóżkach z pościelą, lecz Thomas, jak myślę, był na mnie zły i zdecydował, że pójdziemy spać do lasu — chyba tylko po to, żeby mnie zdenerwować. Starłem się już nie wpadać w gniew, poza tym to był przecież mój przyjaciel; posłuchałem i poszedłem za nim bez protestów.

Pogoda była zmienna, nagle się ociepliło; gdy tylko ustał chłód, natychmiast zrobiło się gorąco, pocilem się obficie pod płaszczem, tłusta gleba pól kleiła mi się do stóp. Trzymaliśmy się na północ od drogi na Plathe; niepostrzeżenie, skupieni na omijaniu zbyt otwartych przestrzeni i trzymaniu się blisko lasów, odbiliśmy jeszcze bardziej na północ. Zdawało nam się, że przeprawimy się przez Regę w okolicach Greifenberga, a tymczasem dotarliśmy pod Treptow, mniej niż dziesięć kilometrów od morza. Według mapy Thomasa na terenie pomiędzy Treptowem a ujściem cały lewy brzeg Regi był bagnisty; za to nad morzem rozciągał się wielki las, którym bezpiecznie mogliśmy dostać się do Horsta albo Rewahla. Gdyby te uzdrowiska znajdowały się jeszcze w rękach Niemców, moglibyśmy przekroczyć linie, jeżeli nie, mieliśmy wrócić w głąb lądu. Tamtej nocy przeszliśmy na drugą stronę torów łączących Treptow z Kolbergiem i dalej drogę na Depp, czekając ponad godzinę, aż skończy się przemarsz radzieckiej kolumny. Minąwszy drogę, szliśmy praktycznie po odkrytym terenie, ale nie było tam żadnej wioski, posuwaliśmy się wąskimi, samotnymi ścieżkami w zakolu Regi, coraz bliżej rzeki. Naprzeciw nas, w ciemności, coraz wyraźniej majaczył las, czarny wysoki mur przed jasnym fortem nocy. Już czuliśmy zapach morza. Nie widzieliśmy jednak żadnej możliwości przeprawy przez rzekę, która rozszerzała się w kierunku ujścia. Zamiast zawrócić, ruszyliśmy w stronę Depp. Obeszliśmy miasteczko, gdzie spali, pili i śpiewali Rosjanie, zeszliśmy ku plaży, tam, gdzie stał sprzęt uzdrowski. Na leżaku spał radziecki wartownik i Thomas ogłuszył go metalową nogą plażowego parasola; odgłos uderzeń fal o brzeg stłumił wszelkie inne dźwięki. Piontek rozwalił łańcuch, którym przywiązane były rowery wodne. Na Bałtyku wiał lodowaty wiatr z zachodu na wschód, wzdłuż wybrzeża, czarne wody były mocno wzburzone. Przeciągnęliśmy rower wodny po piasku aż do ujścia rzeki; tam było spokojniej, więc zwodowałem go, ogarnięty nagłą radością; pedałując, przypominałem sobie letnie miesiące spędzone na plaży w Antibes albo Juan-les-Pins, gdy razem z siostrą błagaliśmy Moreau, by wypożyczył dla nas rower wodny, i wypływaliśmy sami w morze, tak daleko, jak tylko mogły dowieźć nas nasze małe nogi, a później, szczęśliwi, dryfowaliśmy w promieniach słońca. Przepłynęliśmy rzekę dość szybko, Thomas i ja pedałowaliśmy z całej siły, a Piontek, leżąc pomiędzy nami, obserwował brzeg z bronią w pogotowiu; na drugim brzegu niemal z żalem zostawiłem nasz pojazd. Zaraz zaczynał się las: niskie, przysadziste drzewa rozmaitych gatunków, powykręcane

wiatrem, szarpiącym bezustannie to długie, ponure wybrzeże. Niełatwo iść przez taki las: niewiele ścieżek, małe samosiejki, zwłaszcza brzozy, zarastają ziemię między drzewami i trzeba sobie między nimi torować drogę. Las ciągnął się aż do piaszczystej plaży i górował nad powierzchnią morza, granicząc z wysokimi wydmami, które osiadając pod siłą podmuchów, cofały się między drzewa i zasypywały je do połowy pni. Za tą barierą grzmiały bez końca fale niewidocznego morza. Szliśmy do świtu; w dalszej części lasu rosły głównie sosny, posuwaliśmy się szybciej. Gdy niebo się rozjaśniło, Thomas wspiął się na szczyt wydmy, by popatrzeć na plażę. Zrobiłem to samo. Nieprzerwana linia szczątków i trupów ciągnęła się po zimnym i bladym piasku, wraki samochodów, porzucone działa artyleryjskie, przewrócone, rozłupane wozy. Ciała leżały tam, gdzie ludzie upadli, na piasku albo z głowami w wodzie, do połowy przykryte białą pianą, a jeszcze inne unosiły się na powierzchni szarpane przez fale. Woda morska sprawiała wrażenie ciężkiej, niemal brudnej w porównaniu z beżowym, jasnym piaskiem plaży, była ołowiana, szarzielona, twarda i smutna. Wielkie mewy latały tuż nad piaskiem i szybowały wysoko nad srogą topielą, walcząc chwilę z wiatrem, niczym zawieszzone, a potem ulatywały, machnąwszy raz precyzyjnie skrzydłami. Zbiegliśmy z wydmy, by pospiesznie przeszukać kilka wraków w nadziei na znalezienie żywności. Pośród zamordowanych na plaży byli żołnierze, kobiety, małe dzieci. Niewiele jednak znaleźliśmy jadalnych rzeczy i szybko wycofaliśmy się do lasu. Gdy tylko oddaliliśmy się od plaży, otulił mnie spokój drzew i jedynie gdzieś w tyle głowy rezonował mi huk fal i wiatru. Chciałem spać na grzbiecie wydmy, kusił mnie twardy i zimny piasek, lecz Thomas obawiał się patroli, zaciągnął mnie w głąb lasu. Przespałem kilka godzin na sosnowych igłach, a później do wieczora czytałem zdeformowaną książkę, oszukując głód wyśmienitymi opisami bankietów burżuazyjnej monarchii. Wreszcie Thomas dał sygnał do wymarszu. Po dwóch godzinach dotarliśmy do skraju lasu — łuku górującego nad małym jeziorem, odgrodzonym od Bałtyku tamą z szarego piasku, na której stały opuszczone, ładne nadmorskie wille, schodząca ku morzu i ku długiej, łagodnej plaży usianej szczątkami. Przekradaliśmy się od domu do domu, obserwując drogi i plażę. Nieco dalej był Horst: dawna miejscowość uzdrowiskowa, swego czasu bardzo popularna, lecz od kilku lat przeznaczona dla inwalidów i rekonwalescentów. Na plaży wyrósł stos wraków i ciał, ślad po wielkiej bitwie. W oddali dostrzegaliśmy światła, słyszeliśmy odgłos silników — to musieli być Rosjanie. Byliśmy już za jeziorkiem; według mapy

znajdowaliśmy się jakieś dwadzieścia, dwadzieścia dwa kilometry od wyspy Wollin. W jednym z domów znaleźliśmy rannego niemieckiego żołnierza, miał brzuch pełen odłamków szrapnela. Leżał skulony na schodach, ale zawołał, gdy tylko usłyszał nasze szepty. Thomas i Piontek przenieśli go na wypatroszoną kanapę, zatykając mu usta, żeby nie krzyczał; chciał pić, Thomas zmoczył kawałek tkaniny i kilka razy przycisnął mu do warg. Człowiek ten leżał tak już od kilku dni i słowa, które wyrzucał z siebie pośród ciężkich oddechów, były niemal niesłyszalne. Resztki dywizji, w których służyło kilka tysięcy cywilów, uformowały załom w Horscie, Rewahlu i Hoffie; on dotarł tu wraz z niedobitkami swojego pułku z Dramburga. Próbowali siłą przebić się na wyspę Wollin. Rosjanie zajmowali klify nad plażą i strzelali metodycznie w zdesperowaną masę, która sunęła tuż pod nimi. „Strzelali jak do gołębi”. Został ranny niemal natychmiast i towarzysze go opuścili. W ciągu dnia na plaży roiło się od Rosjan, którzy okradali trupy. Wiedział, że mają Kammin i prawdopodobnie kontrolują wybrzeże w Hoffie. „Region jest na pewno naszpikowany patrolami, wywnioskował Thomas. Czerwoni przyłazą po tych, którzy przeżyli przerwanie linii obrony”. Mężczyzna mamrotał i jęczał, pocił się; chciał wody, ale nie dawaliśmy mu, rozwyłby się z bólu, nie mogliśmy też dać mu papierosów, sami nie mieliśmy. Zanim odeszliśmy, poprosił o pistolet — dałem mu swój i reszkę śliwownicy w butelce. Obiecał, że zaczeka, aż będziemy daleko, i dopiero strzeli. Ruszyliśmy z powrotem na południe: za Gross Justinem i Zitzmarem były lasy. Ruch na drogach nie ustawał, amerykańskie jeepy i studebakery z radzieckimi gwiazdami, motory, znów pojazdy opancerzone; pojawiły się piesze patrole złożone z pięciu albo sześciu ludzi i trzeba było mocno wyteżać uwagę, by ich uniknąć. Dziesięć kilometrów od wybrzeża, na polach i w lasach znów leżał śnieg. Szliśmy w kierunku Gülzowa na zachód od Greifenberga; dalej, wyjaśnił Thomas, spróbujemy przepłynąć się przez Odrę w okolicy Gollnowa. Przed świtem znaleźliśmy odpowiedni las i szałas, lecz były w nim ślady stóp, oddaliliśmy się więc od drogi, spaliliśmy pod świerkami na polanie, zawinięci w płaszcze, na śniegu.

Obudziłem się otoczony dziećmi. Tworzyły wokół nas duże koło, dziesiątki dzieciaków, patrzyły w milczeniu. Były w łachmanach, brudne, rozczochrane; wiele z nich miało na sobie strzępy niemieckich mundurów, bluzę, hełm, niechlujnie skrojony płaszcz. Jedne ścisnęły w rękach narzędzia rolnicze: motyki, grabie, łopaty, inne miały strzelby i karabiny maszynowe, druciane albo wycięte z drewna i kartonu. Ich spojrzenia były

twarde i groźne. Większość mogła mieć najwyżej jakieś dwanaście, trzynaście lat, niektóre nie miały z pewnością sześciu; za chłopcami stały dziewczynki. Podnieśliśmy się i Thomas grzecznie się przywitał. Największy z nich, jasnowłosy, wychudzony chłopiec w oficerskim płaszczu o czerwonych wyłogach, nałożonym na kurtkę czołgisty dał krok naprzód i szczechnął: „Kto wy?”. Mówił po niemiecku, z mocnym akcentem folksdojczy, z Rusi, a kto wie, czy nawet nie z Banatu. „Jesteśmy niemieckimi oficerami, odpowiedział spokojnie Thomas. A wy?” — „Kampfgruppe Adam. Ja jestem Adam, Generalmajor Adam, ja im rozkazuję”. Piontek parsknął śmiechem. „Jesteśmy z SS”, powiedział Thomas. — „Gdzie wasze oznaczenia?”, warknął chłopak. Jesteście dezerterami!” Piontek przestał się śmiać. Thomas nie dał się zbić z tropu, stanął z rękoma założonymi na plecach i rzekł: „Nie jesteśmy dezerterami. Musieliśmy zerwać nasze oznaczenia, w obawie, że wpadniemy w ręce bolszewików”. — „Herr Standartenführer!, krzyknął Piontek, po co pan dyskutuje z tymi gówniarzami? Nie widzi pan, że są nienormalni? Trzeba im puścić serię!” — „Zamknij się, Piontek”, odrzekł Thomas. Ja się nie odzywałem, nieruchomy, obłąkany wzrok tych dzieci budził we mnie przerażenie. „Nie, no, ja im zaraz pokażę!”, wrzasnął Piontek, ściągając z pleców pistolet maszynowy. Wtedy chłopiec w oficerskim płaszczu dał znak i na Piontka ruszyło pół tuzina dzieci, waliły w niego narzędziami, tarzały po ziemi, jakiś chłopiec uniósł motykę i wbił mu ją w policzek, pogruchotał zęby, a jedno oko wygniótł z oczodołu. Piontek wył; cios pałką rozłupał mu czoło, Piontek zamilkł. Dzieci przestały bić dopiero wtedy, gdy głowa na śniegu zamieniła się w krwawą miazgę. Stałem skamieniały, zdjęty strachem nie do opanowania. Thomasowi nie drgnął nawet mięsień. Gdy dzieci oderwały się od trupa, największy chłopak znów krzyknął: „Jesteście dezerterami i powiesimy was jak zdrajców!”. — „Nie jesteśmy dezerterami, powtórzył zimno Thomas. Wypełniamy misję specjalną od Führera za radzieckimi liniami, a wy zabiliście naszego kierowcę”. — „Gdzie macie papiery, żeby to udowodnić?”, nalegał chłopiec. — „Zniszczyliśmy je. Gdyby złapali nas czerwoni, domyśliliby się, kim jesteśmy, poddaliby nas torturom i kazali mówić”. — „Udowodnijcie mi!” — „Odeskortujcie nas do niemieckich linii, sami zobaczycie”. — „Mamy co innego do roboty niż eskortowanie dezerterów, syknął dzieciak. Połączę się z przełożonymi”. — „Jak pan chce”, powiedział spokojnie Thomas. Z grupy wystąpił chłopiec mniej więcej ośmioletni, z pudłem na ramieniu. Była to drewniana skrzynka po amunicji z rosyjskimi napisami, do dna miała przykręcone śrubki i przybite gwoździami pokolorowane krążki z

kartonu. Z boku zwisała puszka po konserwie, połączona ze skrzynką drutem, w powietrzu dyndał przywiązany na rzemieniach długi metalowy pręt; chłopiec miał na szyi prawdziwe słuchawki czołgisty. Nasunął je starannie na uszy, położył skrzynkę na kolanach, poruszył kartonowymi krążkami, podłubał coś przy śrubkach, przyłożył puszkę do ust i zawołał: „Kampfgruppe Adam do Kwatery! Kampfgruppe Adam do Kwatery!! Odbiór!”. Powtórzył to kilkakrotnie, po czym oswobodził uszy ze zbyt dużych słuchawek. „Mam połączenie, Herr Generalmajor, oświadczył smukłemu blondynkowi. Co mówić?” Chłopiec odwrócił się do Thomasa: „Nazwisko i stopień!”. — „SS-Standartenführer Hauser przy Sicherheitspolizei”. Chłopiec odwrócił się z powrotem do małego z radiostacją: „Spytaj, czy potwierdzają misję Standartenführera Hausera z Sipo”. Mały powtórzył pytanie do puszki i odczekał. Następnie oznajmił: „Nic nie wiedzą, Herr Generalmajor”. — „Nic w tym dziwnego, powiedział Thomas z nieprawdopodobnym spokojem. Odpowiadamy bezpośrednio przed Führerem. Pozwólcie mi się połączyć z Berlinem, a on potwierdzi wam to osobiście”. — „Osobiście?”, spytał chłopiec-dowódca z dziwnym błyskiem w oczach. — „Osobiście”, powtórzył Thomas. Stałem jak skamieniały. Mroziła mnie zuchwałość Thomasa. Na znak dany przez jasnowłosego chłopca mały ściągnął słuchawki i podał je Thomasowi razem z puszką. „Niech pan mówi. Niech pan powie «odbiór» na koniec każdego zdania”. Thomas zbliżył słuchawki do ucha i chwycił puszkę. Zawołał do puszki: „Berlin, Berlin. Hauser do Berlina, odbiór”. Powtórzył to kilkakrotnie i wreszcie: „Standartenführer Hauser z misji specjalnej, do raportu. Proszę o rozmowę z Führerem. Odbiór... Tak, zaczekam. Odbiór”. Dzieciaki otoczyły nas i nie spuszczały z niego wzroku. Podbródek chłopaka, który kazał się nazywać Adamem, lekko drżał. A Thomas wyprężył się, stuknął obcasami i krzyknął do puszki: „*Heil Hitler!* Standartenführer Hauser z Geheime Staatspolizei do raportu, mein Führer. Odbiór”. Zrobił pauzę i mówił dalej: „Obersturmbannführer Aue i ja wracamy z misji specjalnej, mein Führer! Spotkaliśmy po drodze Kampfgruppe Adam i prosimy o potwierdzenie naszej misji i naszej tożsamości. Odbiór”. Znów zrobił pauzę, a potem powiedział: *Jawohl, mein Führer. Sieg Heil!*”. Podał słuchawki i skrzynkę chłopcu w oficerskim płaszczu: „Chce z panem rozmawiać, Herr Generalmajor”. — „To Führer?”, zapytał zduszonym głosem. — „Tak. Proszę się nie bać. To dobry człowiek”. Chłopiec powoli odebrał od niego słuchawki, przycisnął je do uszu, wyprężył się, wyrzucił ramię w górę i krzyknął do puszki: „*Heil Hitler!* Generalmajor Adam *zu Befehl*, mein Führer. Odbiór!”. I za chwilę:

Jawohl, mein Führer! Jawohl! Jawohl! Sieg Heil!”. Gdy zdjął słuchawki, by oddać je małemu, miał wilgotne oczy. „To był Führer, powiedział uroczyście. Potwierdza waszą tożsamość i waszą misję. Przykro mi, że tak wyszło z kierowcą, ale wykonał nieszczęśliwy ruch, a my nie mogliśmy wiedzieć. Moja Kampfgruppe jest do waszej dyspozycji. Czego potrzebujecie?” — „Musimy dostać się cali i zdrowi do naszych linii, by przekazać tajne wiadomości o wielkim znaczeniu dla Rzeszy. Możecie nam pomóc?” Chłopiec odszedł na bok z kilkoma innymi i zaczął się z nimi naradzać. Wrócił: „Przybyliśmy tu, by rozbić skupisko sił bolszewickich. Ale możemy odprowadzić was do Odry. Na południu jest las, przejdziemy pod samym nosem tych nieokrzeszańców. Pomożemy wam”.

I tak ruszyliśmy w drogę z hordą dzieciaków w łachmanach, porzuciwszy ciało biednego Pionka. Thomas wziął jego pistolet maszynowy, ja niosłem odtąd torbę z jedzeniem. Grupa składała się w sumie z prawie siedemdziesięciorga dzieci, w tym około dziesięciu dziewczynek. Większość, jak udało nam się po drodze wywnioskować, to byli folksdojcz, sieroty, niektóre pochodziły z okolic Zamościa, a nawet z Galicji, część przywędrowała z Odessy, od miesięcy włóczyły się tak po radzieckich liniach, żywiąc się tym, co udawało im się znaleźć, przygarniając kolejne dzieci, bezlitośnie zabijając Rosjan i samotnych Niemców (wszystkich ich uważali za dezertów). Tak jak wcześniej my, dzieci szły nocą, odpoczywały za dnia, ukryte w lasach. Maszerowały naprzód w wojskowym porządku, na przedzie zwiadowcy, a dalej reszta oddziału, dziewczynki pośrodku. Dwa razy widzieliśmy, jak masakrują grupki śpiących Rosjan; pierwszy raz było łatwo, pijani żołnierze trzeźwieli w jakimś gospodarstwie, dzieci podcięły im gardła i posiekały ich, gdy spali. Drugi raz jeden z dzieciaków rozbił kamieniem głowę wartownika, a reszta rzuciła się na tych, którzy chrapali wokół ogniska, przy zepsutej ciężarówce. Co ciekawe, nigdy nie zabierały im broni: „Nasza własna, niemiecka broń jest lepsza”, wytłumaczył nam chłopiec, który nimi dowodził i który kazał mówić na siebie Adam. Widzieliśmy też, jak atakują patrol, z niesłychanym sprytem i dzikością. Zwiadowcy zauważyli małą jednostkę; większa część grupy wycofała się w las, a około dwudziestu chłopców szło drogą w kierunku Rosjan, zebrząc: „*Ruski! Dawaj chleb! Chleb!*”. Rosjanie nie bali się, pozwolili im podejść, niektórzy śmiali się nawet i wyciągali chleb z torby. Dzieci otoczyły ich i ruszyły do ataku, uzbrojone w narzędzia i noże, to była bezładna jatka, widziałem, jak siedmioletni malec wdrapał się na plecy żołnierza i wbił mu

w oko gruby gwóźdź. Dwaj żołnierze jakoś zdołali uraczyć ich przed śmiercią seriami z karabinów: troje dzieci zginęło na miejscu, pięcioro było rannych. Po walce te, które przeżyły, całe we krwi, przyciągnęły w jedno miejsce małych rannych, którzy płakali i wyli z bólu. Adam zsalutował i osobiście dobił nożem tych, którzy dostali w brzuch albo w nogi; dwójkę pozostałych powierzono dziewczynkom, a Thomas i ja próbowaliśmy jako tako oczyścić ich rany i obwiązać kawałkami koszuli. Między sobą dzieci zachowywały się niemal równie brutalnie jak wobec dorosłych. Obserwowanie ich stanowiło naszą rozrywkę podczas przerw w marszu: Adamowi usługiwały do posiłków starsze dziewczynki, później zaciągał je do lasu. Reszta tłukła się o kawałek chleba albo kiełbasy, najmniejsi musieli biegać i szybko wykradać coś z chlebaków, starsi radzili sobie za pomocą kopniaków, a nawet ciosów łopata. Po jedzeniu dwóch albo trzech chłopców chwyciła za włosy jedną dziewczynkę, rzucali ją na ziemię i gwałcili na oczach reszty, gryząc ją w szyję jak koty. Chłopcy brandzlowali się bezwstydnie, patrząc na nich; inni bili tego, który akurat leżał na dziewczynce, wpychali się bokiem, żeby zająć jego miejsce, mała wyrywała się, chłopcy chwytali ją i powalali na ziemię jednym kopniakiem w brzuch, a wszystko pośród krzyków i piskliwego wycia; kilka dojrzewających dziewczynek wyglądało już zresztą tak, jakby były w ciąży. Te sceny mocno szarpały moje nerwy, z trudem znosiłem zdegenerowane towarzystwo. Niektóre dzieciaki, zwłaszcza te starsze, prawie nie mówiły po niemiecku. Choć prawdopodobnie aż do zeszłego roku wszystkie chodziły do szkoły, odnosiłem wrażenie, że nie pozostał w nich żaden ślad edukacji, poza niezachwianym przekonaniem, że należą do lepszej rasy, żyły jak prymitywne plemię albo stado, współpracowały sprawnie, gdy musiały kogoś zabić bądź zdobyć jedzenie, a później kłóciły się piekielnie o łup. Autorytet Adama, który był z nich fizycznie największy, wydawał się nie do obalenia; raz zobaczyłem, jak wali o pień drzewa aż do krwi głową chłopca, który zbyt wolno wypełnił jego polecenie. Być może, pomyślałem, on każe zabijać wszystkich dorosłych, których spotyka, żeby samemu być najstarszym na świecie.

Wędrówka w towarzystwie dzieci trwała kilka nocy. Stopniowo ogarniało mnie poczucie, że tracę panowanie nad sobą, że muszę wykonać olbrzymi wewnętrzny wysiłek, by samemu ich nie zacząć bić. Thomas zachowywał olimpijski spokój, sprawdzał przebieg wędrówki na mapie i na kompasie, dyskutował z Adamem na temat kierunku marszu. Przed Gollnowem musieliśmy przejść na drugą stronę torów prowadzących do Kammina,

a następnie, w małych, zwartych grupkach, przebiec przez drogę. Za nią był już tylko ogromny bór, gęsty, pusty, lecz niebezpieczny z powodu patroli, które, na szczęście, nie zbaczały z dróg. Znów natykaliśmy się na niemieckich żołnierzy, idących, pojedynczo lub w grupach, tak jak i my, w kierunku Odry. Thomas powstrzymywał Adama przed zabijaniem samotnych żołnierzy; dwóch, w tym belgijski esesman, przyłączyło się do nas, reszta szła w swoją stronę, samotnie próbowali szczęścia. Za następną drogą las przechodził w bagno, zbliżaliśmy się do Odry; na południu, według mapy, bagna docierały do jednego z jej dopływów, do Iny. Przeprawa stawała się coraz trudniejsza, zapadaliśmy się po kolana, czasem po pas, dzieci o mało nie potopiły się w trzęsawiskach. Teraz było już całkiem ciepło, nawet w lesie stopniał śnieg, pozbyłem się wreszcie płaszcza, ciężkiego i wiecznie mokrego. Adam zdecydował, że odeskortuje nas do Odry w towarzystwie uszczuplonego oddziału i zostawił część grupy, dziewczynki i najmłodsze dzieci, pod opieką dwóch rannych, na jezorze suchego łądu. Przeprawa przez ponure bagna zajęła nam większą część nocy; czasem musieliśmy znacznie nadrabiać drogi, na szczęście kompas Thomasa służył nam za przewodnika. Wreszcie wyłoniła się Odra, czarna i połyskująca w świetle księżyca. Między nami a niemieckim brzegiem ciągnęła się linia podłużnych wysepek. Nigdzie nie znaleźliśmy łódki. „Trudno, zawyrokował Thomas, przepłyniemy w pław”. — „Nie umiem pływać”, wyznał Belg. Był to Walończyk, dobrze znał Lipperta na Kaukazie i opowiedział mi o jego śmierci w Nowej Budzie. „Pomogę ci”, powiedziałem. Thomas odwrócił się do Adama: „Nie chcecie przepłynąć z nami? Dotrzeć do Niemiec?”. — „Nie, powiedział chłopiec. Mamy własną misję”. Zdjęliśmy buty, wsunęliśmy je za paski, czapkę wcisnąłem pod bluzę; Thomas i niemiecki żołnierz o imieniu Fritz zatrzymali pistolety na wypadek, gdyby wyspa nie okazała się bezludna. W tym miejscu rzeka miała zwykle jakieś trzysta metrów szerokości, ale wezbrała na wiosnę, a prąd był wartki; Belg, którego trzymałem za podbródek, płynąc na plecach, spowalniał mnie, szybko porwał mnie prąd i o mało nie minąłem wyspy; gdy tylko poczułem grunt pod nogami, puściłem żołnierza i ciągnąłem go za kołnierz do chwili, w której mógł sam iść w wodzie. Na brzegu dopadło mnie zmęczenie i musiałem usiąść na chwilę. Na przybrzeżnych bagnach zaległa cisza, dzieci już nie było; wysepka, do której dopłynęliśmy, była zadrzewiona i tu też nie słyszałem niczego oprócz szumu wody. Belg poszedł szukać Thomasa i niemieckiego żołnierza, którzy dobili nieco powyżej, i gdy wrócił, powiedział mi, że wyspa wygląda na bezludną. Gdy już mogłem wstać, ruszyłem

przez las razem z nim. Brzeg po drugiej stronie też był cichy i ciemny. Ale na plaży stał słup pomalowany na czerwono i biało, oznaczenie telefonu polowego, i ten telefon tam był, ukryty pod plandeką, a jego kabel niął pod wodą. Thomas chwycił za słuchawkę i zadzwonił. „Dobry wieczór, odezwał się, jesteście niemieckimi wojskowymi”. Podał nasze nazwiska i stopnie. I zaraz: „Świetnie”. Odłożył słuchawkę, wyprostował się i spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem: „Każą nam stanąć w szeregu i rozłożyć ramiona”. Ledwo mieliśmy czas, żeby się ustawić — na niemieckim brzegu zapalił się silny reflektor i ktoś skierował go na nas. Staliśmy tak przez kilka minut. „Dobrze pomyślany ten ich system”, skomentował Thomas. W ciemności dało się słyszeć warkot silnika. Gumowy ponton był coraz bliżej i wreszcie przybił do brzegu tuż przy nas; trzech żołnierzy oglądało nas w milczeniu, z bronią w pogotowiu, aż wreszcie upewnili się, że rzeczywiście jesteście Niemcami; wciąż bez słowa wpuścili nas na ponton i ruszyliśmy chybotliwie przez czarne wody.

Na brzegu, w ciemności, czekali żandarmi polowi. Duże metalowe ryngrafy błyszczały w świetle księżyca. Zaprowadzono nas do bunkra, do Hauptmanna policji, który zażądał od nas papierów; żaden ich nie miał. „W takim razie, powiedział oficer, wyślę was pod eskortą do Stettina. Przykro mi, ale usiłują się tu przekradać różne typy”. Gdy czekaliśmy, dał nam papierosy, a Thomas spokojnie z nim sobie gawędził: „Wiele macie takich przepraw?”. — „Dziesięć do piętnastu w ciągu nocy. W całym naszym sektorze, całe tuziny. Kiedyś zjawilo się naraz dwustu żołnierzy, jeszcze uzbrojonych. Większość dociera tutaj ze względu na bagna, tu jest mniej radzieckich patroli, jak sami mogliście stwierdzić”. „Sprytny pomysł z tym telefonem”. — „Dziękuję. Wody wezbrały i kilku żołnierzu utonęło, próbując przepłynąć rzekę wplaw. Telefon oszczędza nam niemiłych niespodzianek... taką przynajmniej mamy nadzieję, dodał z uśmiechem. Podobno Rosjanie mają ze sobą zdrajców”. Tuż przed świtem kazano nam wsiąść do ciężarówki wraz z trzema innymi *Rückkämpfer* i uzbrojoną eskortą żandarmów polowych. Przeprawiliśmy się przez rzekę w okolicy Pölitz, ale miasto stało w ogniu radzieckiej artylerii i nasza ciężarówka mocno nadrobiła drogi, zanim dotarła do Stettina. Tam też spadały pociski, budynki płonęły radośnie; po ulicach, które obserwowałem ze skrzyni na ciężarówce, chodzili niemal wyłącznie żołnierze. Zawieziono nas do stanowiska dowodzenia Wehrmachtu, gdzie natychmiast odłączono nas od żołnierzy. Zaraz zostaliśmy przesłuchani przez surowego majora, do którego szybko dołączył

przedstawiciel Gestapo w cywilu. Dałem się wygadać Thomasowi, szczegółowo opowiedział naszą historię; sam odzywałem się tylko wtedy, gdy ktoś bezpośrednio zwracał się do mnie z pytaniem. Thomas zasugerował, a człowiek z Gestapo po pewnym czasie się zgodził, żeby zatelefonować do Berlina. Huppenkothen, przełożony Thomasa, był nieobecny, ale udało nam się połączyć z jednym z jego zastępców, który natychmiast nas rozpoznał. W jednej chwili zmieniło się zachowanie majora i gestapowca, zaczęli zwracać się do nas, używając naszych stopni, i poczęstowali sznapssem. Funkcjonariusz Gestapo wyszedł, obiecując, że znajdzie jakiś transport do Berlina; tymczasem major dał nam papierosy i posadził na ławce w korytarzu. Paliliśmy w milczeniu; praktycznie od początku wędrówki nie mieliśmy papierosa w ustach, dym uderzał nam do głów. Na kalendarzu w biurze majora widniała data 21 marca, eskapada trwała siedemnaście dni i potwierdzał to nasz wygląd: śmierdziliśmy, byliśmy zarośnięci, błoto oblepiało podarte mundury. Jednak nie my pierwsi dotarliśmy tu w takim stanie i chyba nikogo to nie szokowało. Thomas siedział wyprostowany, z nogą założoną na nogę, i wyglądał na bardzo zadowolonego; za to ja rozłożyłem się na krześle, a nogi wyciągnąłem i rozstawiłem szeroko, w pozie niezbyt godnej wojskowego; jakiś zaaferowany Oberst, który mijał nas z teczką pod pachą, rzucił mi lekceważące spojrzenie. Rozpoznałem go natychmiast, wstałem jednym susem i ciepło go pozdrowiłem. To był Osnabrugge, ten, co wysadzał mosty. Potrzebował kilku chwil, żeby skojarzyć, kim jestem, wytrzeszczył oczy: „Obersturmbannführer! Jak pan wygląda...”. Opowiedziałem mu pokrótce naszą przygodę. „A pan? Wysadza pan teraz niemieckie mosty?” Posmutniał. „Niestety, tak. Dwa dni temu wysadziłem most w Stettinie, gdy ewakuowaliśmy Altdamm i Finkenwalde. Coś strasznego, na moście było pełno wisielców, uciekinierów złapanych przez żandarmerię polową. Trzech wisiało jeszcze po eksplozji, zaraz przy wjeździe na most, sine trupy. Ale, wziął się w garść i mówił dalej, nie wszystko zniszczyliśmy. Odra przed Stettinem rozgałęzia się na pięć odnóg i zdecydowaliśmy, że wysadzimy tylko ostatni most. To pozostawia większą szansę na odbudowę”. — „Jest dobrze, uznałem, myśli pan o przyszłości, to się nazywa morale!” I tu musieliśmy się rozstać — kilka przyczółków, bardziej na południe, było jeszcze w naszych rękach i Osnabrugge musiał jechać na inspekcję przygotowań do wyburzenia. Po pewnym czasie wrócił miejscowy gestapowiec i polecił nam wsiąść do samochodu z oficerem SS, który też musiał jechać do Berlina, a nasz smród chyba mu nie przeszkadzał. Spektakl na autostradzie był jeszcze straszliwszy

niż ten, który widziałem w lutym: nieprzerwany strumień zdziczałych uchodźców, wyczerpanych i wymęczonych żołnierzy, ciężarówki pełne rannych, niedobitki. Niemal natychmiast zasnąłem, musieli obudzić mnie na czas ataku szturmowika, zasnąłem ponownie, gdy tylko znalazłem się w samochodzie.

W Berlinie robili nam pewne trudności, gdy zaczęliśmy się usprawiedliwiać, choć i tak mniejsze, niż się spodziewałem; zwykłych żołnierzy wieszano lub rozstrzeliwano, gdy pojawił się chociaż cień podejrzenia, bez ceregieli. Thomas nie umył się nawet ani nie ogolił, tylko od razu stawiał u Kaltenbrunera, który miał teraz siedzibę na Kurfürstenstrasse, w dawnych lokalach Eichmanna, w jednym z ostatnich należących do RSHA budynków, które jeszcze jako tako się trzymały. Ponieważ nie wiedziałem, przed kim ja mam się stawić — nawet Grothmann opuścił Berlin — poszedłem z nim. Ustaliliśmy w miarę prawdopodobną wersję wydarzeń: wykorzystałem zwolnienie na próbę ewakuacji siostry i jej męża, a radziecka ofensywa zaskoczyła mnie i Thomasa, który przyjechał mi pomóc. Thomas zresztą był na tyle przewidujący, że zaopatrzył się przed wyjazdem w pisemny rozkaz Huppenkothena. Kaltenbrunner wysłuchał nas w milczeniu i odesłał bez komentarza, informując mnie, że Reichsführer, który dzień wcześniej zrzekł się dowództwa Grupy Armii Wisła, przebywa w Hohenlychen. Szybko złożyłem raport ze śmierci Piontka, lecz dano mi do wypełnienia formularz, żebym uzasadnił utratę pojazdu. Wieczorem pojechaliśmy do Thomasa, do Wannsee: dom stał nietknięty, ale nie było ani prądu, ani ciepłej wody i musieliśmy zadowolić się pospieszną toaletą w zimnej oraz pobieżnym ogoleniem, a potem poszliśmy spać. Na drugi dzień rano, ubrany w czysty mundur, pojechałem do Hohenlychen i stawiałem się u Brandta. Jak tylko mnie zobaczył, natychmiast rozkazał mi się umyć, ostrzyć i wrócić, gdy odzyskam odpowiedni wygląd. W szpitalu były prysznice, spędziłem niemal godzinę pod ciepłym strumieniem, delektując się; następnie poszedłem do fryzjera i przy okazji kazałem się ogolić w ciepłej wodzie i spryskać wodą kolońską. Niemal rzeński wróciłem do Brandta. Z surową miną wysłuchał mojej opowieści, zganił mnie oschle za to, że przez własną nieostrożność naraziłem Rzeszę na utratę kilku tygodni mojej pracy, i poinformował, że przez ten czas uznano mnie za zaginionego — moje biuro zostało rozwiązane, koledzy przydzieleni do innych zadań, sprawy zaś zarchiwizowano. Na razie Reichsführer nie potrzebował moich usług, więc Brandt rozkazał mi wrócić do Berlina, by oddać się do

dyspozycji Kaltenbrunnera. Po rozmowie weszła jego sekretarka, dała mi prywatną korespondencję, którą przekazał jej Asbach podczas likwidacji biura w Oranienburgu: były tam głównie faktury, słówko od Ohlendorfa na temat rany, którą odniosłem w lutym, i list od Heleny, którego nie otworzyłem, tylko wsunąłem do kieszeni. Wróciłem do Berlina. Na Kurfiirstenstrasse panował chaos: w budynku znajdowała się zarówno kwatera główna RS HA, jak i Staatspolizei, pracowało tam również wielu przedstawicieli SD; brakowało więc miejsca, ludzie nie bardzo wiedzieli, co robić, włóczyli się po korytarzach bez celu, starając się dodać sobie rezonu. Kaltenbrunner mógł mnie przyjąć dopiero wieczorem, usiadłem więc w kącie na krześle i wróciłem do lektury *Szkoły serca*, która jeszcze bardziej ucierpiała podczas przeprawy przez Odrę, ale zależało mi, by ją dokończyć. Kaltenbrunner wezwał mnie tuż przed ostatnim spotkaniem Fryderyka z panią Arnoux; to było frustrujące. Już mógłby poczekać, tym bardziej że nie miał pojęcia, co ze mną zrobić. Wreszcie, niemal na zasadzie przypadku, mianował mnie oficerem łącznikowym z OKW. Oto na czym polegała moja praca: trzy razy dziennie miałem zgłaszać się na Bendlerstrasse i przynosić stamtąd depesze dotyczące sytuacji na froncie; przez resztę czasu mogłem spokojnie bujać w obłokach. Szybko skończyłem Flauberta i znalazłem inne książki. Mogłem też spacerować, lecz tego nie polecano. Miasto było w strasznym stanie. Zewsząd ziały puste okna, regularnie rozlegały się ogłuszające trzaski lecących na ziemię fragmentów budowli. Ekipy na ulicach niestrudzenie sprzątały gruz, zsypywały go w oddalone od siebie stosy, tak by między nimi, zygzakiem, mogły jeździć samochody, jednak często i te stosy także się rozpadały, trzeba więc było wszystko zaczynać od nowa. Wiosenne powietrze było cierpkie, przesycone czarnym dymem i pyłem ceglany, który zgrzytał między zębami. Ostatni duży nalot miał miejsce trzy dni przed naszym powrotem. Z tej okazji Luftwaffe użyła nowej broni, urządzeń o zadziwiająco szybkim czasie reakcji, które zadały przeciwnikowi pewne straty; od tamtego czasu zdarzały się tylko ostrzegawcze ataki mosquito. Pierwsza niedziela po naszym powrocie była jednocześnie pierwszym pięknym wiosennym dniem w roku 1945: drzewa w Tiergarten wypuściły pąki, na zwałach gruzów kiełkowała trawa, zieleń się ogrody. Nie mieliśmy zbyt wielu okazji, by się tym nacieszyć. Od czasu utraty terytoriów na Wschodzie racje żywnościowe zmniejszono do minimum: nawet dobre restauracje nie miały wiele do zaproponowania. Personel ministerstw wysyłano, by wzmacniał Wehrmacht, ale ponieważ większość kartotek uległa zniszczeniu, a urzędy pocztowe nie

działały, ludzie najczęściej siedzieli beczynnie i czekali na wezwanie. Na Kurfürstenstrasse powołano do życia biuro, które wydawało fałszywe dokumenty Wehrmachtu i innych organizacji osobistościom RSHA, uznanym za *zagrożone*. Thomas zamówił sobie kilka kompletów, każdy inny, i pokazywał mi je ze śmiechem: inżynier Kruppa, Hauptmann Wehrmachtu, funkcjonariusz Ministerstwa Rolnictwa. Chciał, żebym zrobił to samo, ale ja ciągle odkładałem decyzję; kazałem za to wyrobić sobie nową książeczkę wojskową i legitymację SD, w miejsce tych, które zniszczyłem na Pomorzu. Od czasu do czasu widywałem Eichmanna — nadal się tutaj kręcił, prawie zupełnie załamany. Był bardzo nerwowy, wiedział, że jeśli wpadnie w łapy wroga, to koniec, zastanawiał się, co dalej będzie. Wysłał rodzinę w bezpieczne miejsce i chciał do niej dołączyć; któregoś dnia zobaczyłem go na korytarzu, dyskutował ostro, zapewne na ten temat, z Blobelem, który także plątał się bezproduktywnie, nagminnie pijany, zaczepny, zły. Kilka dni wcześniej Eichmann był u Reichsführera w Hohenlychen, wrócił z tego spotkania pogrążony w rozpacz. Zaprosił mnie do swojego biura na sznapsa, chciał, żebym go wysłuchał, zachował chyba wobec mnie pewien szacunek i traktował mnie jak powiernika — nie mogłem zrozumieć, skąd to się brało. Piłem w milczeniu i pozwoliłem mu się wygadać. „Nie rozumiem, skarżył się, wsuwając okulary głębiej na nos, Reichsführer powiedział mi: «Eichmann, gdybym miał zaczynać wszystko od początku, zorganizowałbym obozy koncentracyjne tak, jak to robią Brytyjczycy». Tak mi powiedział. I dodał: «Popełniłem błąd». Co to miało znaczyć? Nie rozumiem. A pan? Rozumie pan? Może chodzi o to, że obozy mogły być, no nie wiem, bardziej eleganckie, estetyczne, czyste?”

Ja również nie rozumiałem, o co chodziło Reichsführerowi, ale było mi to, prawdę mówiąc, obojętne. Wiedziałem od Thomasa, który natychmiast rzucił się w wir ulubionych intryg, że Himmler, namawiany przez Schellenberga i swojego fińskiego masażystę Kerstena, nie ustaje w wykonywaniu gestów — szczerze mówiąc, dość bezładnych — w kierunku Anglosasów: „Schellenbergowi udało się wydusić z niego takie słowa: «Bronię tronu, co nie musi wcale znaczyć, że na nim siedzę». To duży postęp”, tłumaczył Thomas. — „Nie wątpię. Powiedz mi, Thomas, dlaczego zostałeś w Berlinie?” Rosjanie zatrzymali się na Odrze, ale wiadomo było, że to tylko kwestia czasu. Thomas uśmiechnął się: „Schellenberg poprosił, żebym został. Żebym miał oko na Kaltenbrunnera i zwłaszcza Müllera. Dziwnie się zachowują”. Wszyscy z Himmlerem na czele

zachowywali się dziwnie: Schellenberg, Kammler, który zdołał wreszcie uzyskać osobisty dostęp do Führera i słuchał już tylko wyłącznie Reichsführera; opowiadano, że Speer przemierza Zagłębie Ruhry i próbuje, w obliczu coraz bliższego amerykańskiego zagrożenia, odwoływać niszczycielskie rozkazy Führera. Obywatele stracili wszelką nadzieję, a propaganda Goebbelsa niczego nie ułatwiała: w ramach pocieszenia obiecywała, że Führer, *dając wyraz swej wielkiej mądrości*, szykuje, w razie ostatecznej klęski, lekką śmierć, śmierć przez zagazowanie, dla niemieckiego ludu. Brzmiało to rzeczywiście bardzo „zachęcająco”, złośliwi powtarzali: „Kto to jest tchórz? To berlińczyk, który jedzie na front”. W drugim tygodniu kwietnia orkiestra filharmonii dała ostatni koncert. Program, okropny, był całkowicie w guście tamtego okresu — ostatnia aria *Brunhildy*, oczywiście *Götterdämmerung*, a na koniec *Symfonia romantyczna* Brucknera — ale mimo wszystko poszedłem. Lodowata sala pozostała nietknięta, żyrandole jarzyły się wszystkimi żarówkami, zauważyłem z daleka Speera z admirałem Dönitzem, siedzieli w łoży honorowej; przy wyjściu umundurowani chłopcy z Hitlerjugend z koszykami w dłoniach rozdawali publiczności kapsułki z cyjankiem. Miałem ochotę połknąć jedną na miejscu, na złość. Flaubert, byłem tego pewien, udusiłby się na widok tego popisu głupoty. Owe ostentacyjne demonstracje pesymizmu przeplatane były ekstatycznymi wybuchami optymistycznej radości; w dniu koncertu umarł Roosevelt, a Goebbels, myląc Trumana z Piotrem III, rzucił nazajutrz hasło: *Caryca nie żyje*. Żołnierze opowiadali, że widzieli twarz „wuja Fritza” w obłokach, i obiecywano decydującą kontrofensywę zakończoną zwycięstwem na urodziny naszego Führera, 20 kwietnia. Thomas, choć nie odcinał się od tych manewrów, nie tracił głowy; udało mu się wywieźć rodziców do Tyrolu, w okolice Innsbrucka, w strefę, która miała się dostać pod okupację amerykańską: „Zajął się tym Kaltenbrunner. Przy pomocy wiedeńskiego Gestapo”. A gdy okazałem pewne zdziwienie, dodał: „Kaltenbrunner to wyrozumiął człowiek. Sam ma rodzinę, wie, co to znaczy”. Thomas znów wpadł w wir życia towarzyskiego i ciągał mnie z imprezy na imprezę. Piłem, żeby się znieczulić, a on opowiadał, koloryzując, rozbawionym paniąkom o naszej pomorskiej wędrówce. Imprezy odbywały się co wieczór, wszędzie, niemal wszyscy mieli za nic „rajdy” mosquito i zalecenia propagandy. Bunkier na Wilhelmplatz przerobiono na nocny klub, bardzo wesoły: wino, alkohol, markowe cygara, luksusowe przystawki; lokal odwiedzały wyższe kadry OKW, SS i RSHA, cywile ze śmietanki towarzyskiej i arystokracji, a także

aktorki i świetnie ubrane, pełne kokieterii dziewczyny. Niemal wszystkie wieczory spędzaliśmy w Adlonie, uroczysty i spokojny *maître d'hôtel* przyjmował nas we fraku i prowadził do oświetlonej sali restauracyjnej, gdzie elegancy kelnerzy podawali nam fioletowe plastry kalarepy na srebrnych talerzach. Bar w piwnicy był wiecznie przepełniony, tam zaszywali się ostatni dyplomaci, Włosi, Japończycy, Węgrzy i Francuzi. Pewnego wieczoru natknąłem się na Michaja w białym garniturze i jedwabnej kanarkowożółtej koszuli. „Nadal w Berlinie?”, uśmiechnął się. Dawno cię nie widziałem”. Podrywał mnie ostentacyjnie na oczach kilku osób. Chwyciłem go za ramię i ścisnąwszy bardzo mocno, odciągnąłem na bok: „Przestań”, syknąłem. — „Co przestać?”, spytał z uśmiechem. Ten zarozumiały, wystudiowany uśmiech doprowadził mnie do szału. „Chodź”, powiedziałem i pchnąłem go prosto w stronę toalety. Było to przestronne białe pomieszczenie wyłożone kafelkami, o masywnych umywalkach i pisuarach, bardzo jasno oświetlone. Sprawdziłem kabiny: były puste. Zamknąłem drzwi na zasuwkę. Michaj patrzył na mnie z uśmiechem, wsunąwszy jedną rękę w kieszeń białej marynarki; stał przy umywalkach z dużymi mosiężnymi kranami. Podeszedł bliżej, ciągle z tym łakomym uśmiechem. Gdy podniósł głowę, żeby mnie pocałować, zdjąłem czapkę i uderzyłem go mocno czołem w twarz. Rozkwaśłem mu nos, trysnęła krew, Michaj zawył i upadł na podłogę. Stałem nad nim w rozkroku, nadal z czapką w rękę, i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Miałem krew na czole, ale kołnierzyk i mundur nie były ubrudzone. Oplukałem starannie twarz i nałożyłem czapkę. Michaj, na podłodze, zwijał się z bólu, trzymał za nos i jęczał żałośnie: „Czemu to zrobiłeś?”. Wymacał ręką dół moich spodni. Odsunąłem nogę i rozejrzałem się po pomieszczeniu. W kącie, w wiadrze z hartowanego metalu tkwiła szczotka do podłogi. Chwyciłem ją, przyłożyłem trzonek do szyi Michaja, w poprzek, i stanąłem na nim; ustawiłem stopy po obu stronach jego szyi i wprawiłem trzonek w lekkie kołysanie. Twarz Michaja pode mną mieniała się, była kolejno czerwona, purpurowa i fioletowa; jego szczeka konwulsyjnie drżała, wytrzeszczone oczy patrzyły na mnie z przerażeniem, paznokciami drapał moje buty; słyszałem, jak za moimi plecami jego stopy uderzają o kafle. Chciał coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jego ust, z których zwisał nabrzmiąły język. Wypróżnił się z mokrym pluskiem i pomieszczenie wypełniło się smrodem gówna; nogi po raz ostatni uderzyły o podłogę i opadły. Zszedłem ze szczotki, odłożyłem ją, poklepałem policzek Michaja czubkiem buta. Jego głowa bezwładnie przekręciła się na bok i wróciła na miejsce. Wziąłem go pod

pachy, zaciągnąłem do jednej z kabin i posadziłem na klozecie, ustawivszy porządnie stopy. Zasuwki w tych kabinach były zawieszane na śrubie: podtrzymując haczyk scyzorykiem, mogłem pociągnąć drzwi tak, by zasuwka opadła i zamknęła kabinę od środka. Na kafelki spłynęło nieco krwi; starłem to szczotką, którą następnie splukałem, wyczyściłem trzonek chusteczką i włożyłem szczotkę do wiadra, tam, skąd ją wziąłem. W końcu wyszedłem. Stałem przy barze i napiłem się. Ludzie wchodzili do toalety i wychodzili, nikt chyba niczego nie zauważył. Podszedł znajomy, spytał: „Widziałeś Michaja?”. Rozejrzałem się: „Nie, musi gdzieś tu być”. Dopilem alkohol i poszedłem pogadać z Thomasem. Około pierwszej w nocy zrobiło się zamieszanie: znaleziono ciało. Dyplomaci wydawali przerażone okrzyki, przyjechała policja, przesłuchiwała nas — tak jak reszta powiedziałem, że niczego nie widziałem. Nigdy więcej nie słyszałem już o tej historii. Zaczęła się radziecka ofensywa: 16 kwietnia w nocy zaatakowali wzgórze Seelow, przedproże miasta. Było pochmurno, padało. Spędziłem dzień i część nocy, nosząc depesze z Bendlerstrasse na Kurfürstenstrasse, trasa była krótka, lecz skomplikowana z powodu nalotów szturmowików. Około północy, na Bendlerstrasse spotkałem Osnabruggego: był rozbity, zgaszony. „Chcą wysadzić wszystkie mosty w mieście”. Prawie płakał. „No cóż, rzekłem na to, skoro wróg się zbliża, to chyba normalne, nie?” — „Pan sobie nie zdaje sprawy, co to oznacza! W Berlinie jest dziewięćset pięćdziesiąt mostów. Jeśli je wysadzą, miasto umrze! Na zawsze. Żadnego zaopatrzenia, żadnego przemysłu. Gorzej, przez te mosty przechodzą wszystkie przewody elektryczne, wszystkie rury wodno-kanalizacyjne. Wyobraża sobie pan? Epidemie, ludzi umierających z głodu w ruinach?” Wzruszyłem ramionami: „Nie możemy tak po prostu oddać miasta Rosjanom”. — „Ale to nie jest powód, by wszystko demolować! Można dokonać wyboru, zburzyć wyłącznie mosty połączone z głównymi drogami”. Otarł czoło. „Ja w każdym razie powiem panu jedno, rozstrzelajcie mnie, jeśli chcecie, ale to jest ostatni raz. Gdy skończy się całe to szaleństwo, przestanie obchodzić mnie, dla kogo pracuję, chcę budować. Chyba będą odbudowywać, prawda?” — „Oczywiście. Potrafiłby pan jeszcze wybudować most?” — „Bez wątpienia, bez wątpienia”, powtórzył, odchodząc i kręcąc głową. Jeszcze tej samej nocy zastałem Thomasa w domu w Wannsee. Nie spał, siedział w salonie sam, w koszuli, i pił. „No i jak?”, spytał. — „Nadal bronimy reduty Seelow. Ale na południu ich czołgi przekraczają Nysę”. Skrzywił się: „Tak. Zresztą i tak już wszystko *kaputt*”. Zdjąłem zmoczoną czapkę i płaszcz, nalałem sobie alkoholu. „A więc to już

naprawdę jest koniec?” — „Koniec”, potwierdził Thomas. — „I znów klęska?” — „Tak, klęska, znowu”. — „A co potem?” — „Potem? Zobaczymy. Niemcy nie znikną z mapy, czy tego chce, czy nie chce Herr Morgenthau. Zawiązany wbrew naturze sojusz naszych wrogów doczeka zwycięstwa, ale nie przetrwa długo. Mocarstwa zachodnie będą potrzebować bastionu obrony przed bolszewizmem. Daję im najwyżej trzy lata”. Piłem, słuchałem. „Nie o to mi chodzi”, powiedziałem po chwili. — „Ach. Chodzi ci o nas?” — „Tak, o nas. Będziemy musieli ponieść odpowiedzialność”. — „Czemu nie wyrobiłeś sobie papierów?” — „Nie wiem. Nie bardzo w to wierzę. Co byśmy zrobili z tymi papierami? Prędzej czy później i tak nas znajdą. A wtedy — stryczek albo Syberia”. Thomas zakręcił alkoholem w kieliszku: „Na pewno trzeba będzie wyjechać na pewien czas. Przeczekać gdzieś pod gruszą, aż wszystko się uspokoi. Później będziemy mogli wrócić. Nowe Niemcy, nieważne jakie, będą potrzebować talentów”. — „Wyjechać? Dokąd? I jak?” Spojrzał na mnie z uśmiechem: „Sądziś, że nie pomyśleliśmy o tym? Są organizacje w Holandii, w Szwajcarii, są ludzie gotowi nam pomóc, z przekonania lub dla zysku. Najlepsze punkty mamy we Włoszech. W Rzymie. Kościół nie opuści swych owieczek w potrzebie”. Uniósł kieliszek, jak gdyby chciał wznieść toast, i wypił. „Schellenberg, Wolff też zresztą mają to zagwarantowane. Oczywiście, nie będzie łatwo. Końcówki gry wymagają zawsze największej finezji”. — „A później?” — „Zobaczymy. Ameryka Południowa, słońce, pampa, co o tym sądziś? Chyba że wolisz piramidy. Anglicy się zmyją, a tam będą potrzebować specjalistów”. Dolałem sobie i wypilem: „A jeśli Berlin zostanie otoczony? Jak wyjedziesz? Zostaniesz tu?” — „Tak, zostanę. Kaltenbrunner i Müller ciągle sprawiają nam kłopoty. Naprawdę nie działają rozsądnie. Ale myślę o tym. Chodź, zobacz”. Zaprowadził mnie do swojej sypialni, otworzył szafę i wyjął z niej ubrania, które rozłożył na łóżku. „Popatrz”. Był to zwykły ubiór roboczy z niebieskiego płótna, uwalany olejem i smarem. „Spójrz na naszywki”. Spojrzałem: to były ubrania francuskie. „Mam też buty, beret, opaskę, wszystko. I dokumenty. Zobacz”. Pokazał mi papiery: należały do francuskiego robotnika obozu pracy przymusowej. „Oczywiście, we Francji nie przeszłoby to tak łatwo, ale Ruskim wystarczy. Nawet jeśli trafię na oficera mówiącego po francusku, niewielkie są szanse, że zwróci uwagę na mój akcent. Zawsze mogę powiedzieć, że jestem z Alzacji”. — „Niegłupie, przyznałem. Skąd to wytrzasnąłeś?” Postukał palcem w brzeg kieliszka i uśmiechnął się: „Sądziś, że dzisiaj w Berlinie ktoś liczy zagranicznych robotników? Jeden mniej, jeden więcej...”. Wypił.

„Powinieneś o tym pomyśleć. Z twoim francuskim mógłbyś się dostać nawet do Paryża”. Zeszliśmy do salonu. Nalał mi i stuknęliśmy się kieliszkami. „To będzie ryzykowne, powiedział ze śmiechem. Ale co nie jest? Ze Stalingradu udało nam się wydostać. Po prostu trzeba być sprytnym. Wiesz, że niektórzy faceci z Gestapo próbują zaopatrzyć się w gwiazdy i żydowskie papiery?” Znow się zaśmiał. „Mają trudności. Nie zostało tego zbyt dużo na rynku”.

Przespałem się i wczesnym rankiem wróciłem na Bendlerstrasse. Niebo było bezchmurne, pełne szturmowików. Następnego dnia pogoda zrobiła się jeszcze piękniejsza, pośród ruin rozkwitały ogrody. Nie widziałem się z Thomasem, wplątał się w jakąś historię między Wolffem a Kaltenbrunnerem, czy coś w tym rodzaju, Wolff przyjechał z Włoch, żeby przedyskutować możliwości kapitulacji, Kaltenbrunner pogniewał się i chciał go aresztować, czy nawet powiesić, i jak zwykle wszystko skończyło się u Führera, który puścił Wolffa wolno. Gdy spotkałem nareszcie Thomasa, w dniu upadku Seelow, był wściekły, wygadywał na Kaltenbrunnera, na jego głupotę i ograniczony umysł. Sam też zupełnie nie rozumiałem, w co pogrywa Kaltenbrunner, w czym mogła mu pomóc wolta przeciw Reichsführerowi, intrygi z Bormannem, manewry, by stać się nowym faworytem Führera. Kaltenbrunner nie był idiotą, musiał wiedzieć, lepiej niż ktokolwiek inny, że gra dobiega końca, ale zamiast wypracowywać sobie pozycję na przyszłość, rozdrabniał się na jałowe i mało znaczące sprzeczki, trwał w ułudzie ekstremizmu, choć nie miałby odwagi — i było to oczywiste dla wszystkich, którzy go znali — podtrzymywać takiej postawy konsekwentnie, do samego końca. Zresztą nie jeden Kaltenbrunner tracił poczucie umiaru. W całym Berlinie pojawiały się Sperrkommandos, oddziały zaporowe, skupiające członków SD i policji, żandarmerii polowej, organizacji partyjnych i wymierzające doraźną sprawiedliwość tym, którzy, bardziej rozsądni niż oni sami, chcieli po prostu żyć, czasem nawet takim, którzy nie mieli z tym nic wspólnego i tylko przez przypadek znaleźli się w nieodpowiednim miejscu. Mali fanatycy z „Leibstandarte” wynosili z piwnic rannych żołnierzy i dokonywali egzekucji. Każde miejsce, w którym dało się powiesić człowieka — latarnie, drzewa, mosty, nadziemne tory S-Bahnu — dekorowali zmęczeni weterani Wehrmachtu, świeżo powołani cywile, szesnastoletnie dzieciaki — wszyscy mieli sine twarze i takie same tabliczki na szyjach: JESTEM TU, BO BEZ ROZKAZU OPUŚCIŁEM SWOJE STANOWISKO. Berlińczycy byli kompletnie zrezygnowani: „Wolę wierzyć w zwycięstwo, niż zawisnąć”.

Sam też miałem kłopot z tymi dzikusami, ponieważ dużo się poruszałem, a oni wiecznie sprawdzali moje papiery, więc postanowiłem, że wezmę sobie do ochrony uzbrojoną eskortę. Jednocześnie trochę mi było żal tych ludzi, pijanych wściekłością i żółcią, zżeranych bezsilną nienawiścią, którą kierowali na swoich, nie mogąc kierować na wrogów, jak wilki dotknięte wścieklizną, pożerające się wzajemnie. Pewnego ranka nie stawił się na Kurfurstenstrasse młody Obersturmführer Staatspolizei, Gersbach; cóż z tego, że nie było dla niego roboty, skoro jego nieobecność została zauważona; policjanci znaleźli go w mieszkaniu, był pijany w trupa. Müller zaczekał, aż wytrzeźwieje, a następnie kazał ubić go kulą w kark na oczach oficerów zebranych na podwórzu. Ciało nieszczęśnika rzucono na asfalt, a młody esesman histerycznie opróżnił weń cały magazynek swojego pistoletu.

Wiadomości, które prznosiłem kilka razy dziennie, rzadko były dobre. Z każdym dniem Sowietci byli coraz bliżej, wtargnęli już do Lichtenberga i Pankow, zdobyli Weissensee. Uchodźcy przemierzali miasto w długich kolumnach, wielu z nich, przypadkowych, wieszano jak dezerterów. Bombardowania radzieckiej artylerii przyniosły kolejne ofiary: od dnia urodzin Führera miasto znajdowało się w zasięgu rosyjskich dział. To był piękny dzień, ciepły, słoneczny piątek, zapach bzów wypełniał opustoszałe ogrody. Gdzieś, na ruinach, tkwiły flagi ze swastyką i wielkie tablice z napisami, których ironia, miałem nadzieję, była niezamierzona, jak na przykład ta, dominująca nad zburzonym Lutzowplatz: **DZIEKUJEMY NASZEMU FÜHREROWI ZA WSZYSTKO. DR GOEBBELS.** Amerykanie puścili jeden ze swoich masowych nalotów, ponad tysiąc maszyn w ciągu dwóch godzin, a za nimi mosquito; gdy odleciały, pałeczkę przejęła radziecka artyleria. Były to bez wątpienia śliczne fajerwerki, lecz niewiele doceniło ich urodę, zwłaszcza po naszej stronie. Goebbels próbował nakazać dystrybucję dodatkowych racji żywnościowych w imieniu Führera, ale i to okazało się klapą: wielu cywilów, którzy stali w kolejce, padło ofiarą artylerii. Na drugi dzień, pomimo rześkiego deszczu, pocisk spadł na kolejkę stojącą przed dużym sklepem Karstadt, Hermannplatz był pełen zakrwawionych trupów, strzępów powyrywanych kończyn, widziałem dzieci, które wrzeszcząc, szarpały nieruchome ciała matek. W niedzielę świeciło wspaniałe wiosenne słońce, później przyszły ulewy, po których nad mokrymi gruzami i nad ruinami znowu rozbłysło słońce. Śpiewały ptaki, wszędzie kwitły tulipany i bzy, jabłonie, śliwy i wiśnie, a w Tiergarten — rododendrony. Jednak upojne zapachy kwiatów nie były w stanie

zamaskować smrodu zgnilizny i spieczonej cegły unoszącego się nad ulicami. Niebo zasnuwał ciężki, stojący dym; podczas deszczu gęstniał bardziej, chwycił ludzi za gardło. Na ulicach, pomimo ataków artylerii, panował ruch i ożywienie: na barykadach przeciwczołgowych bawiły się dzieci w papierowych hełmach, machały mieczami z drewna, siedząc na zaporach; mijalem starsze panie, które pchały dziecięce wózki pełne cegieł, a później, gdy szedłem Tiergarten w kierunku bunkra przy zoo, żołnierzy, pędzących przed sobą stado porykujących krów. Wieczorem znów się rozpadało; Rosjanie czcili urodziny Lenina brutalnym i rozszalałym ostrzałem artyleryjskim.

Służby publiczne kolejno przestawały działać, personel się ewakuował. Generał Reynmann, komendant miasta, na dzień przed własnym zwolnieniem rozdał wyższym kadrom NSDAP dwa tysiące przepustek, upoważniających do opuszczenia Berlina. Ci, którzy mieli mniej szczęścia, zawsze mogli zapłacić za prawo do wyjazdu: oficer Gestapo z Kurfürstenstrasse poinformował mnie, że komplet przepisowych papierów kosztuje jakieś 80 000 reichsmarek. U-Bahn działał do dwudziestego trzeciego kwietnia, S-Bahn do dwudziestego piątego, telefony międzymiastowe do dwudziestego szóstego (opowiadano, że Rosjanie zdołali połączyć się z biurem Goebbelsa z Siemensstadt). Kaltenbrunner wyjechał do Austrii zaraz po urodzinach Führera, ale Müller został i nadal pracowałem jako jego łącznik. Częściej jeździłem przez Tiergarten, ponieważ ulice na południe od Bandlerstrasse, od strony Landwehrkanal, były zablokowane. Wielokrotne eksplozje roztrzaskały statuy władców Prus i Brandenburgii na Neue Siegesallee, głowa i członki Hohenzollerna leżały na ulicy, kawałki białego marmuru lśniły nocą w świetle księżyca. W OKW, gdzie znajdowała się teraz siedziba komendanta miasta (Reynmanna zastąpił niejaki Käther, a dwa dni później Käther został zdymisjonowany i jego miejsce zajął Weidling), często musiałem czekać godzinami, zanim przekazano mi informację, zwykle niepełną. Żeby nie przeszkadzać, siedziałem z szoferem w samochodzie, pod betonowym okapem w podwórzu, i patrzyłem, jak biegają przede mną mocno pobudzeni, nieprzytomni oficerowie, wykończeni żołnierze, którzy grzebali się, by nie wrócić zbyt szybko na front, głodni chwały chłopcy z Hitlerjugend, którzy przyszli zebrać o panzerfausty, zdezorientowani ludzie z Volkssturmu, czekający na rozkazy. Któregoś wieczoru, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu papierosa, natrafiłem na list od Heleny — schowałem go w Hohenlychen i zapomniałem o nim. Rozdarłem kopertę i przeczytałem list, paląc papierosa. To było wyznanie, krótkie i bezpośrednie: pisała, że nie rozumie mojego

zachowania i nie stara się go zrozumieć, że chce tylko wiedzieć, czy mam zamiar do niej przyjechać i czy planuję się z nią ożenić. Poruszyła mnie uczciwość i szczerść tego listu, ale było za późno, wrzuciłem zmiętą kartkę do kałuży przez opuszczoną szybę samochodu.

Imadło się zaciskało. Adlon zamknął podwoje; moją jedyną rozrywką było teraz picie sznapsa na Kurfürstenstrasse albo w Wannsee z Thomasem, który ze śmiechem donosił mi o nowych perypetiach. Müller szukał wtyczki, wrogiego agenta, który podobno grasował w otoczeniu jednego z dygnitarzy SS. Schellenberg węszył spisek przeciwko Himmlerowi i Thomas musiał śledzić rozwój afery. Sytuacja robiła się isticie wodewilowa: Speer, który stracił zaufanie Führera, wrócił, prześlizgnąwszy się swoim aeroplanem pośród szturmowików, wylądował na osi wschód-zachód i poszedł odzyskiwać *łaskę*; Göring w związku ze zbyt pospieszną antycypacją śmierci swojego pana i mistrza, został pozbawiony wszelkich funkcji i umieszczony w areszcie w Bawarii. Najskromniejsi, von Ribbentrop i wojskowi, siedzieli cicho albo ewakuowali się w kierunku, z którego nadchodzili Amerykanie; niezliczeni kandydaci na samobójców dopieszczali swoje sceny finałowe. Nasi żołnierze nadal sumiennie dawali się zabijać, batalion Francuzów z „Charlemagne” znalazł sposób, by 24 kwietnia dostać się do Berlina i wzmocnić dywizję „Nordland”, a centrum administracyjnego Rzeszy bronili niemal wyłącznie Finowie, Estończycy, Holendrzy i jakieś francuskie łobuzy. Gdzie indziej starano się zachować zimną krew: opowiadano, że w drodze jest silna armia, która ocali Berlin i wyrzuci Rosjan za Odrę, ale moi rozmówcy z Bendlerstrasse pozostawali doskonale niejednoznaczni, gdy była mowa o pozycji i postępach dywizji, a zapowiadana ofensywa Wencka materializowała się z takim samym trudem, jak ofensywa Waffen-SS Steinera kilka dni wcześniej. Jeśli o mnie chodzi to, prawdę mówiąc, *Götterdämmerung* nie bardzo mnie kusił, miałem ochotę zaszyć się zupełnie gdzie indziej i spokojnie pomyśleć nad swoją sytuacją. Nie, żebym bał się śmierci, możecie mi wierzyć, nie miałem zbyt wielu powodów, by trwać przy życiu, ale myśl, że mogę zostać zabity w ten sposób, trochę przypadkiem, przez pocisk czy zbłąkaną kulę, bardzo mi się nie podobała, wolałbym usiąść i patrzeć na to, co się działo, niż pozwolić się porwać, ot tak, temu czarnemu nurtowi. Jednakże taki wybór nie był mi dany, musiałem tkwić na posterunku, jak wszyscy, a ponieważ wymagano ode mnie przy tym lojalności, zbierałem i przekazywałem niepotrzebne informacje, które służyły chyba tylko jednemu — żeby mnie

trzymać w Berlinie. Wróg zaś miał w głębokim poważaniu całe to zamieszanie i parł naprzód.

Wkrótce trzeba było ewakuować Kurfürstenstrasse. Oficerów, którzy zostali, rozesłano w różne miejsca, Müller wycofał się do swojej awaryjnej kwatery w krypcie Dreifaltigkeitskirche na Mauerstrasse. Bandlerstrasse znajdowała się teraz praktycznie na linii frontu, łączność była znacznie utrudniona: aby dotrzeć do gmachu, musiałem jechać pośród gruzów aż do skraju Tiergarten i dalej iść pieszo; za przewodników po ruinach i piwnicach służyły mi *Kellerkinder*, małe, brudne sieroty, które znały tu każdy kąt. Huk bombardowań był czymś żywym, był jak różnokształtny i niezmordowany atak na słuch; lecz gdy zapadała potężna cisza podczas przerw, było jeszcze gorzej. Całe połacie miasta stały w gigantycznym, fosforowym ogniu, który zasysał powietrze i wywoływał silne wichury, a te z kolei podsycaly płomienie. Ulewne deszcze, gwałtowne i krótkie, zdołały czasem ugasić kilka pożarów, ale za to smród spalenizny był po nich silniejszy. Na osi wschód-zachód próbowały ciągle, choć z rzadka, lądować samoloty; dwanaście Ju-52 z kadetami SS na pokładach zostało zestrzelonych przy podchodzeniu do lądowania, jeden po drugim. Armia Wencka, według informacji, które mi łaskawie przekazywano, rozplynęła się w powietrzu gdzieś na południe od Poczdamu. 27 kwietnia było bardzo zimno i po radzieckim szturmie na Potsdamer Platz, odpartym przez „Leibstandarte AH”, mieliśmy kilka godzin spokoju. Gdy wróciłem do kościoła na Mauerstrasse, by przekazać sprawozdanie Müllerowi, poinformowano mnie, że znajduje się on w jednym ze skrzydeł Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i że powinienem go tam odnaleźć. Trafiłem na Müllera w wielkiej, praktycznie nieumeblowanej sali o ścianach przeżartych wilgocią, był w towarzystwie Thomasa i około trzydziestu oficerów SD i Staatspolizei. Kazał nam zaczekać jeszcze pół godziny, choć przez ten czas dołączyło tylko pięciu ludzi (w sumie wezwał około pięćdziesięciu). Na czas krótkiego przemówienia ustawiono nas w szeregach w pozycji spoczynkowej; dzień wcześniej, po telefonicznej rozmowie z Obergruppenführerem Kaltenbrunnerem, Führer podjął decyzję o uhonorowaniu RSHA za służbę i niezłomną lojalność. Kazał udekorować Złotym Krzyżem Niemieckim dziesięciu oficerów, którzy jeszcze pozostali w Berlinie i którzy szczególnie wyróżnili się podczas wojny. Listę przygotował Kaltenbrunner: ci, którzy nie usłyszą nazwisk, mają się nie czuć zawiedzeni, honor spłynie również na nich. Następnie Müller odczytał listę, sam

znajdował się na jej czele. Nie byłem zaskoczony, słysząc nazwisko Thomasa; lecz, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, Müller wymienił także moje nazwisko, na przedostatnim miejscu. Cóż takiego zrobiłem, że mnie dostrzeżono? Nie można powiedzieć, że cieszyłem się poważaniem Kaltenbrunnera, co to, to nie. Thomas mrugnął do mnie porozumiewawczo z drugiego końca sali; chwilę później zbieraliśmy się w grupy, żeby jechać do kancelarii. W samochodzie Thomas wyjaśnił mi, o co chodzi: pośród tych, których można było jeszcze znaleźć w Berlinie, byłem, tak jak on sam, jednym z niewielu, którzy służyli na froncie, i to przesądziło sprawę. Przejazd do kancelarii wzdłuż Wilhelmstrasse był teraz utrudniony, przebito rury kanalizacyjne, ulica była zalana, w wodzie pływały trupy i falowały lekko, gdy samochody przejeżdżały obok; musieliśmy dokończyć drogę pieszo, brodziliśmy po kolana. Müller wprowadził nas w ruiny Auswartiges Amt: stamtąd podziemny tunel prowadził do bunkra Führera. W tunelu także było pełno wody, brodziliśmy po kostki. Wejścia do bunkra pilnowali ludzie z Waffen-SS i „Leibstandarte”. Wpuścili nas, ale zabrali broń. Przeprowadzono nas przez pierwszy bunkier i krętymi, spływającymi wodą schodami zeszliśmy do drugiego, jeszcze głębszego. Brnęliśmy w strumieniu płynącym z Auswartiges Amt, który, u dołu schodów, docierał już do czerwonych dywanów rozłożonych w szerokim korytarzu. Tam usadzono nas wzdłuż ściany na drewnianych szkolnych krzeselkach. Tuż przy nas generał Wehrmachtu krzychał do innego, z naramiennikami Generalobersta: „Niedługo wszyscy się tu potopimy!”. Generaloberst usiłował go uspokoić i zapewniał, że pompa w drodze. W całym bunkrze ohydnie śmierdziało uryną pomieszaną z wilgotnym zaduchem, potem, mokrą wełną i środkiem dezynfekcyjnym, którym próbowano zamaskować ten odór. Czekaliśmy dobrą chwilę; cały czas kręcili się oficerowie, z głośnym pluskiem przemierzali nasiąknięte wodą dywany i znikali w jednej z sal w głębi korytarza albo szli na górę po krętych schodach; po pomieszczeniu niósł się nieprzerwanie warkot generatora Diesla. Minęło nas dwóch młodych, eleganckich oficerów, dyskutując zawzięcie, a zza ich pleców wyskoczył niespodziewanie mój stary przyjaciel, doktor Hohenegg. Jednym susem wstałem i rozłożyłem ramiona, podniecony, że widzę go w takich okolicznościach. Chwycił mnie za rękę i zaprowadził do pomieszczenia, gdzie kilku ludzi z Waffen-SS grało w karty lub spało na piętrowych łózkach. „Przysłano mnie tu jako przybocznego lekarza Führera”, poinformował żalobnym tonem. Jego głowa była już całkiem łysa i lśniła od potu w świetle żółtawej żarówki. „Jak on się czuje?” — „Och, niezbyt dobrze.

Ale ja się nim nie zajmuję, powierzono mi dzieci naszego ministra propagandy. Są w pierwszym bunkrze”, dodał, wskazując palcem na sufit. Rozejrzał się i podjął cicho: „To trochę taka strata czasu: gdy tylko widzę się sam na sam z ich matką, przysięga mi na wszelkie świętości, że je otruje i sama popełni samobójstwo. Biedne dzieciaki niczego nie podejrzewają, są urocze, serce mnie boli, powiem panu. Ale nasz kulawy Mefistofeles podjął twardą decyzję o utworzeniu warty honorowej, by towarzyszyć mistrzowi w wyprawie do piekła. Tym lepiej dla niego”. — „Więc już do tego doszło?” — „Nie ma wątpliwości. Gruby Bormann, któremu ten pomysł zupełnie się nie podoba, próbował wyprawić *jego samego* na tamten świat, ale odmówił. Moim skromnym zdaniem to nie potrwa długo”. — „A pan, drogi doktorze?”, spytałem z uśmiechem. Naprawdę cieszyłem się, że go spotkałem. „Ja? *Carpe diem*, jak mawiają angielscy *public school boys*. Wieczorem robimy imprezę. Na górze, w kancelarii, żeby jemu nie przeszkadzać. Niech pan przyjdzie, jeśli pan może. Będzie mnóstwo młodych, napalonych dziewic, które wolą oddać cnotę Niemcowi, bez względu na urodę, niż kudłatemu, śmierdzącemu Kałmukowi”. Poklepał się kilka razy po okrągłym brzuchu: „W moim wieku nie odrzuca się podobnych ofert, jego brwi komicznie podjechały do góry na jajowatej czaszce, później zobaczymy”. — „Doktorze, powiedziałem uroczystym tonem, jest pan mądrzejszy ode mnie”. — „Ani przez chwilę w to nie wątpiłem, Obersturmbannführer. Jednak nie mam pańskiego niedorzecznego szczęścia”. — „W każdym razie, proszę mi wierzyć, jestem zachwycony, że pana spotkałem”. — „Ja również, ja również”. Wyszliśmy już na korytarz. „Niech pan przyjdzie, jeśli pan może!”, rzucił i poczłapał dalej na krótkich nogach.

Po niedługim czasie wprowadzono nas do sali w głębi korytarza. Sami odsunęliśmy stoły pełne kart i ustawiliśmy się przy ścianie, zapadając się w wilgotną wykładzinę. Dwaj generałowie, którzy niedawno kłócili się o wodę, stanęli przed drzwiami naprzeciw nas; adiutant rozkładał pudełka z orderami na jednym ze stołów. Wreszcie w otwartych drzwiach stanął Führer. Wszyscy jednocześnie wyprężyliśmy się i wyrzuciliśmy ramiona w przód, wrzeszcząc pozdrowienie. W odpowiedzi Führer też próbował unieść ramię, ale za bardzo drżało. Podszedł niepewnym krokiem, urywanym i chybotliwym. Z pomieszczenia za jego plecami wyszedł Bormann wbity w brązowy mundur. Nigdy jeszcze nie widziałem Führera z tak bliska. Miał na sobie zwykły szary mundur i czapkę; jego twarz była żółta, pełna niechęci, opuchnięta, oczy najpierw długo trwały nieruchome,

bez życia, a potem nagle zaczynały gwałtownie mrugać; kropla śliny perliła się w kącie jego ust. Gdy się chwiał, Bormann wyciągał owłosioną łapę i podtrzymywał go za łokieć. Führer oparł się o róg stołu i wygłosił krótkie, dość niespójne przemówienie, coś o Fryderyku Wielkim, wiecznej chwale i Żydach. Ruszył w kierunku Mullera. Bormann sunął za nim jak cień, adiutant, tuż obok, trzymał otwarte pudełeczko z orderem. Führer powoli wziął odznaczenie w palce i umieścił, nie wpinając, na prawej kieszeni Mullera, uściśnął mu dłoń, nazywając „swoim dobrym Mullerem, wiernym Mullerem”, i poklepał go po ramieniu. Nie poruszyłem głową, obserwowałem kątem oka. Ceremonia powtórzyła się przy kolejnym: Muller wyszczeakał nazwisko i stopień, a Führer udekorował. Następny w kolejce był Thomas. Im bliżej podchodził Führer — stałem niemal na końcu szeregu — tym mocniej skupiałem się na jego nosie. Nigdy przedtem nie zauważyłem, jak bardzo jest to nos szeroki i jak nieproporcjonalny. Z profilu widać to było wyraźnie, bo wąsik nie rozpraszał uwagi: gruba nasada, płaskie nozdrza, niewielkie załamane chrząstki i uniesiony koniuszek; był to najwyraźniej nos słowiański lub bojski, może nawet trochę mongolsko-ostyjski. Nie wiem, czemu zafascynował mnie ten szczegół, uważałem go za niemal skandaliczny. Führer był coraz bliżej, a ja nadal go obserwowałem. Wreszcie stanął przede mną. Zauważyłem ze zdziwieniem, że jego czapka ledwo dosięga mi oczu, a ja wcale nie jestem wysoki. Wymamrotał jakiś komplement i po omacku odszukał order. Jego kwaśny, cuchnący oddech wyprowadził mnie z równowagi: tego było już za wiele. Pochyliłem się więc i ugryzłem go w bulwiasty nos, mocno, do krwi. Nawet dziś nie byłbym w stanie powiedzieć wam, dlaczego to zrobiłem: po prostu nie mogłem się powstrzymać. Führer wydał z siebie cienki kwik i odskoczył do tyłu w ramiona Bormanna. Przez chwilę nikt się nie ruszył. I nagle skoczyło na mnie z pięściami kilku mężczyzn. Pobili mnie, rzucili na ziemię; skulony na mokrej wykładzinie starałem się bronić najlepiej, jak mogłem, przed kopniakami. Ludzie krzyczeli, Führer jęczał. Wreszcie postawiono mnie na nogi. Czapka upadła mi na ziemię, chciałem chociaż poprawić krawat, ale oni trzymali mnie mocno pod ręce. Bormann pchał Führera w kierunku jego pokoju i krzychał: „Rozstrzelać go!”. Thomas stał na uboczu i patrzył na mnie z miną pełną rozczarowania i szyderczą zarazem. Zaciągnięto mnie do drzwi w głębi sali. Wtedy zabrzmiał gruby, twardy głos Müllera: „Zaczekajcie. Chcę go najpierw przesłuchać. Zaprowadźcie go do krypty”.

Tak, dobrze wiem, że Trevor-Roper nie napisał ani słowa o tym epizodzie, ani Bullock, ani żaden inny historyk, który zajmował się ostatnimi dniami Führera. Jednak, zapewniam was, to się wydarzyło. Milczenie kronikarzy jest zresztą zrozumiałe. Müller zniknął, zabity albo wydany Rosjanom kilka dni później; Bormann zapewne stracił życie, próbując uciec z Berlina; ci dwaj generałowie to byli przypuszczalnie Krebs i Burgdorf, którzy popełnili samobójstwo; adiutant też pewnie zginął. Nie wiem, co się stało z oficerami RSHA, świadkami incydentu, lecz można łatwo się domyślić, biorąc pod uwagę ich stan, że ci, którzy przeżyli wojnę, niekoniecznie chwalili się, że odznaczył ich sam Führer na trzy dni przed swoją śmiercią. Jest więc całkiem możliwe, że ten mało znaczący wypadek umknął uwagi śledczych (choć być może w rosyjskich archiwach znajduje się gdzieś jego ślad?). Wywleczono mnie na powierzchnię długimi schodami, prowadzącymi do ogrodów kancelarii. Wspaniały gmach był zrujnowany, zmiażdżony przez bomby, za to w powietrzu unosił się piękny zapach jaśminu i hiacyntów. Wepchnięto mnie brutalnie do samochodu i zawieziono do kościoła, całkiem blisko; tam sprowadzono mnie do bunkra i bez ceregieli wtrącono do betonowego lochu, pustego i wilgotnego. Na podłodze kwitły kałuże, kapało ze ścian — wraz z trzaśnięciem ciężkich, metalowych drzwi pograżyłem się w absolutnej, macicznej ciemności: na próżno wytrzeszczałem oczy, nie przebijał się tu nawet jeden promień. Siedziałem długie godziny, byłem mokry, czułem chłód. Wreszcie po mnie przyszli. Przywiązano mnie do krzesła, mrugałem, światło sprawiało mi ból; przesłuchiwał mnie sam Müller. Bili mnie pałką po żebrach, ramionach i rękach, Müller walił mnie wielką pięścią wieśniaka. Próbowałem wyjaśniać, że mój nierozważny gest nie ma żadnego znaczenia, że nie był zaplanowany, że była to po prostu chwilowa utrata zmysłów, ale Müller nie wierzył mi, węszył w tym długo obmyślany spisek, chciał, żebym wymienił nazwiska współników. Mogłem sobie protestować do woli, nie odpuszczał: Müller, jak już się zawziął, potrafił być uparty. W końcu wtrącono mnie z powrotem do celi i leżałem w kałuży, czekając, aż ustanie ból po ciosach. Chyba zasnąłem z głową do połowy zanurzoną w wodzie. Obudziłem się zziębnięty, łapały mnie skurcze; otworzyły się drzwi i ktoś pchnął ku mnie uderzeniem kolby jakiegoś mężczyznę. Miałem czas, by dostrzec mundur oficera SS, bez orderów i bez oznaczeń. Facet pomstował w ciemności, w bawarskim dialekcie: „Nie ma tu ani jednego suchego miejsca?”. — „Proszę spróbować przy ścianie”, szepnąłem uprzejmie. — „A ty, to kto?”, rzucił opryskliwe, tonem zdradzającym mimo wszystko pewne obycie. „Ja? Jestem Obersturmbannführer doktor

Aue z SD. A pan?” Głos uspokoił się: „Proszę wybaczyć, Obersturmbannführer. Jestem Gruppenführer Fegelein. Ex-Gruppenführer Fegelein”, dodał z wyraźną ironią. Znałem to nazwisko: zastąpił Wolffa na stanowisku oficera łącznikowego pomiędzy Reichsführerem a Führerem; wcześniej dowodził dywizją kawalerii SS w Rosji, tropił partyzantów i Żydów na bagnach Prypeci. W Reichsführung uważano go za ambitnego, wesołego, pyszałkowego przystojniaka. Oparłem się na łokciach: „Co pana tutaj sprowadza, Herr ex-Gruppenführer?”. — „Och, nieporozumienie. Trochę wypilem, siedziałem w domu z dziewczyną; te narwańce z bunkra myślały, że chcę zdezerterować. Założę się, że to kolejna sprawka Bormanna. Oni tam wszyscy poszaleli, te ich historie z Walhallą, dziękuję, nie dla mnie. Ale to się powinno wyjaśnić, szwagierka mi to załatwi”. Nie wiedziałem, o kim mówi, ale nie odezwałem się. Zrozumiałem dopiero po latach, po lekturze Trevor-Ropera: Fegelein poślubił siostrę Ewy Braun, o której istnieniu, tak jak praktycznie wszyscy, w ogóle wtedy nie wiedziałem. To na wskroś dyplomatyczne małżeństwo niewiele mu jednak pomogło: Fegelein, pomimo koneksji, uroku osobistego i talentów krasomówczych, został stracony następnego wieczoru w ogrodach kancelarii (o tym też dowiedziałem się dużo później). „A pan, Obersturmbannführer?”, spytał Fegelein. Opowiedziałem mu swoją niemiłą przygodę. „Ach!, krzyknął. Niezły pomysł. To dlatego są w podłych nastrojach. Myślałem, że Müller urwie mi głowę. Brutal”. — „Pana też bił?” — „Tak. Wymyślił sobie, że dziewczyna, z którą byłem, to angielski szpieg. Nie wiem, co go tak nagle ugryzło”. — „Rzeczywiście, powiedziałem przypomniawszy sobie słowa Thomasa: Gruppenführer Müller szuka wtyczki, szpiega”. — „Całkiem możliwe, wymamrotał. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego”. — „Przepraszam, przerwałem, wie pan może, która godzina?” — „Dokładnie nie wiem. Pewnie dwunasta, pierwsza w nocy?” — „Więc może się prześpijmy”, zasugerowałem spokojnie. — „Wolałbym własne łóżko”, rzędził Fegelein. — „Dobrze pana rozumiem”. Podczołgałem się na podłogę przy ścianie i zdrzemnąłem się; tyłek miałem nadal w wodzie, ale lepiej tyłek niż głowę. Spało mi się słodko i miałem przyjemne sny; porzuciłem je z żalem, obudzony gradem kopniaków w zębra. „Wstawać!”, darł się ktoś. Podniosłem się z trudem. Fegelein siedział przy drzwiach, oplótszy ramionami kolana; gdy wychodziłem, uśmiechnął się nieśmiało i pozdrowił mnie ruchem ręki. Zaprowadzono mnie do kościoła: czekało tam dwóch mężczyzn w cywilu, byli to policjanci, jeden z nich trzymał rewolwer; byli z nimi także esesmani w mundurach. Policjant z rewolwerem chwycił mnie za ramię, wywłókł na ulicę

i wepchnął do opla; reszta także wsiadła. „Dokąd jedziemy?”, spytałem policjanta, który wpychał mi między żebra lufę rewolweru. „Zamknij ryj!”, szczechnął. Samochód ruszył, wjechał w Mauerstrasse, przejechał około stu metrów. Usłyszałem wysoki świst — olbrzymia eksplozja uniosła pojazd i odrzuciła go na bok. Policjant pode mną chyba strzelił: pamiętam, iż zdawało mi się, że jego strzał zabił jednego z żołnierzy siedzących z przodu. Drugi policjant, cały we krwi, opadł na mnie bezwładnie. Kopiąc na oślep i rozpychając się łokciami, wygramoliłem się z przewróconego samochodu przez tylną szybę — trochę się po drodze pociąłem. Tuż przy mnie spadały pociski, wyrzucając w powietrze fontanny cegieł i ziemi. Byłem ogłuszony, dzwoniło mi w uszach. Rzuciłem się na chodnik i trwałem tak, ogłupiały, długą chwilę. Za mną osunął się policjant i ciężko przetoczył się na moje nogi. Wymacałem cegłę i uderzyłem go w głowę. Tarzaliśmy się w gruzach, pokryci czerwonym ceglany pyłem i błotem; uderzałem z całych sił, lecz nie jest łatwo ogłuszyć człowieka cegłą, zwłaszcza gdy jest to cegła spalona. Przy trzecim albo czwartym uderzeniu rozsypała się w pył w moich rękach. Szukałem następnej lub jakiegoś kamienia, ale wtedy tamten przekręcił się i zaczął mnie dusić. Przewracał nade mną oczami szaleńca, z czoła płynęła mu krew i znaczyła mokre ścieżki w czerwonym pyłe, który pokrywał jego twarz. Wreszcie natrafiłem ręką na kamień brukowy i uderzyłem z dołu do góry, po łuku. Policjant opadł na mnie. Zdjąłem go z siebie i waliłem kamieniem po głowie do chwili, w której pękła czaszka i wylało się z niej mózgowie, pomieszane z pyłem i włosami. Wstałem, ciągle jeszcze ogłuszony. Szukałem oczyma rewolweru, ale pewnie został w samochodzie, którego koło nadal kręciło się w powietrzu. Tamci trzej wewnątrz chyba nie żyli. Na razie pociski nie spadały. Z trudem ruszyłem biegiem po Mauerstrasse.

Musiałem się ukryć. Miałem wokół same ministerstwa i oficjalne budynki, niemal wszystkie zrujnowane. Skręciłem w Leipzigerstrasse i wszedłem na klatkę schodową budynku mieszkalnego. Przed moimi oczyma huśtały się stopy, nagie albo w skarpetkach, obracały się powoli. Uniosłem głowę: kilka osób, w tym także kobiety i dzieci, zwisało z balustrady schodów z opuszczonymi bezwładnie ramionami. Znalazłem wejście do piwnicy, otworzyłem drzwi: uderzyła mnie fala smrodu zgnilizny, gówna i wymiocin, piwnica była pełna wody i napuchniętych trupów. Zamknąłem drzwi i postanowiłem wejść na piętro: minąłem pierwsze półpiętro, urwane schody otwierały się donikąd. Zbiegłem i wyszedłem, nie oglądając się na wisielców. Padał lekki deszcz, wybuchy grzmiały ze

wszystkich stron. Przede mną otwierało się zejście do metra, stacja Stadtmitte na linii C. Podbiegłem i rzuciłem się w dół po schodach. Przeskoczyłem przez bramki i dalej schodziłem w ciemność, trzymając się ręką ściany. Kafelki były wilgotne, woda tryskała z sufitu i płynęła po sklepieniu. Z peronu dobiegały hałasy i zduszone głosy. Był pełen ciał, nie mogłem rozróżnić martwych od śpiących, śpiących od leżących, potykałem się o nie, słyszałem wołania, płacz i pojękiwania dzieci. Na peronie stał wagon metra z wybitymi szybami, oświetlony drżącymi płomieniami świec; wewnątrz stali na baczność żołnierze z Waffen-SS z francuskimi emblematami, a wysoki Brigadeführer w czarnym skórzanym płaszczu, odwrócony do mnie plecami, uroczyście przyznawał odznaczenia. Nie chciałem im przeszkadzać, przeszedłem cicho obok i skoczyłem na tory, lądując w zimnej wodzie, która sięgała mi do łudek. Chciałem iść na północ, lecz straciłem orientację; próbowałem przypomnieć sobie kierunki składów, z czasów, w których jeździłem tym metrem, ale nie wiedziałem nawet, na którym jestem peronie, wszystko mi się pomieszało. Po jednej stronie, w tunelu, majaczyło małe światełko: tam poszedłem, posuwałem się z trudem w wodzie, która zalała szyny, potykałem się o niewidzialne przeszkody. Na samym końcu dotarłem do ustawionych w rzędzie kilku składów metra, także oświetlonych świecami — był to prowizoryczny szpital, wypełniony rannymi, którzy krzyczeli, klęli, jęczeli. Szedłem wzdłuż wagonów, nikt nie zwracał na mnie uwagi, poruszałem się po omacku, prowadziła mnie ściana. Woda wzbierała, teraz sięgała mi do połowy łudek. Zatrzymałem się i włożyłem do niej rękę; zdało mi się, że wyczuwałem lekki nurt, płynący w moją stronę. Ruszyłem dalej. O nogi obity mi się zwłoki, niesione przez wodę. Prawie nie czułem zziębniętych stóp. Zdawało mi się, że przed sobą widzę jakiś płomyczek, słyszę inne odgłosy niż plusk wody. Doszedłem wreszcie do stacji oświetlonej jedną tylko świeczką. Woda sięgała mi już do kolan. Tu też byli ludzie. Zawołałem: „Przepraszam, co to za stacja?”. — „Kochstrasse”, odpowiedział ktoś dość uprzejmie. Pomyliłem zatem kierunki, szedłem w stronę radzieckich linii. Zawróciłem i znów pograżyłem się w tunelu prowadzącym do Stadtmitte. Przed sobą widziałem światełka szpitala w metrze. Na torach, obok ostatniego wagonu, majaczyły dwie ludzkie sylwetki, jedna dość wysoka, druga niższa. Błysnęła latarka, oślepiła mnie; gdy zasłaniałem sobie oczy, zabrzmiał znajomy głos: „Cześć, Aue. Jak leci?”. — „Dobrze trafiłeś, usłyszałem sekundę później słabszy głos. Właśnie cię szukaliśmy”. Błysnęła druga latarka i postaci podeszły bliżej. Cofnąłem się, rozchlapując wodę. „Chcieliśmy z tobą porozmawiać, powiedział Clemens. O twojej

mamie”. — „Ach, meine Herren!, zakrzyknąłem. Uważacie, że to dobry moment?” — „Zawsze jest dobry moment na rozmowę o ważnych rzeczach”, powiedział szorstkim i cienkim głosem Weser. Znów się cofnąłem, lecz natrafiłem na ścianę; lodowata woda przenikała beton i mroziła mi ramiona. „Czego jeszcze ode mnie chcecie?, zaskomlałem. Moja sprawa jest od dawna umorzona”. — „Przez skorumpowanych, nieuczciwych sędziów!”, rzucił Clemens. — „Dotąd udawało ci się ujść cało dzięki intrygom, powiedział Weser. Ale teraz koniec”. — „Nie wydaje się wam, że decyzje w tej sprawie powinny należeć do Reichsführera lub do Obergruppenführera Breithaupta?” Ten drugi był szefem SS-Gericht. — „Breithaupt zginął kilka dni temu w wypadku samochodowym, powiedział flegmatycznie Clemens. No a Reichsführer jest daleko”. — „Nie, dodał Weser, teraz zostaliśmy już naprawdę tylko my i ty”. — „Czego więc chcecie?” — „Chcemy sprawiedliwości”, odparł zimno Clemens. Podeszli już bardzo blisko i obstawili mnie, celując w moją twarz wiązkami światła z latarek; zauważyłem, że w dłoniach ściskają pistolety automatyczne.

„Posłuchajcie, wybełkotałem, to wszystko to gruba pomyłka. Jestem niewinny”. — „Niewinny?, przerwał mi oschle Weser. Zaraz się okaże”. — „Opowiemy ci, jak to było”, zaczął Clemens. Oślepiało mnie ostre, surowe światło latarek, a gruby głos Clemensa zdawał się z niego emanować. „Wsiadłeś w nocny pociąg relacji Paryż-Marsylia. W Marsylii, 26 kwietnia, załatwiłeś sobie przepustkę do strefy włoskiej. Na drugi dzień udałeś się do Antibes. Tam stawiałeś się w domu i przyjęto cię jak syna, jak prawdziwego syna, którym jesteś. Wieczorem zjedliście rodzinną kolację, a później poszedłeś spać, spałeś w jednym z pokoi na górze, obok pokoju bliźniaków i naprzeciw sypialni Herr Moreau i twojej matki. Później był dwudziesty ósmy”. — „No proszę, przerwał Weser, dziś też jest 28 kwietnia. Cóż za zbieg okoliczności”. — „Meine Herren, rzuciłem nieco zuchwale, bredzicie”. — „Zamknij pysk!, ryknął Clemens. Słuchaj dalej. Nie wiadomo, co robiłeś w ciągu dnia. Wiadomo, że rąbałeś drewno, że zostawiłeś siekierę w kuchni, zamiast odłożyć ją do szopy. Poszedłeś przejść się po mieście i kupiłeś bilet powrotny. Miałeś cywilne ubranie, nie rzucałeś się w oczy. A potem wróciłeś”. Weser przejął pałeczkę: „Później następują zdarzenia, co do których nie mamy pewności. Być może rozmawiałeś z Herr Moreau, z matką. Może zamieniliście słówko. Nie ma pewności. Nie ma też pewności co do godziny. Wiemy jedno: znalazłeś się sam na sam z Herr Moreau; więc wzięłeś z kuchni siekierę, stamtąd, gdzie ją zostawiłeś, wróciłeś do salonu i zabiłeś

go”. — „Jesteśmy nawet skłonni uwierzyć, że nie planowałeś tego, gdy zostawiałeś siekierę, podjął Clemens, że zostawiłeś ją przez przypadek, że nie zrobiłeś tego z premedytacją, że tak się po prostu stało. Ale jak już zacząłeś, to delikatny nie byłeś”. Dalej mówi Weser: „To jest pewne. Musiał być zaskoczony, gdy wbiłeś mu siekierę w mostek. Weszła w kość z trzaskiem miazdżonego drewna, a on upadł, gulgocząc, usta miał pełne krwi, siekiera upadła razem z nim. Postawiłeś stopę na jego ramieniu, zaparłeś się i wyrwałeś siekierę, i znów uderzyłeś, jednak źle obliczyłeś kąt i odbiła się, złamała mu tylko kilka żeber. Więc cofnąłeś się, lepiej wycelowawszy i wbiłeś mu ostrze w gardło. Przeszło przez jabłko Adama — usłyszałeś trzask, gdy rozcinało kręgosłup. On uniósł się po raz ostatni i chlusnął strumieniem czarnej krwi na ciebie, z szyi też mu tryskała krew i zalała cię całego, a później, na twoich oczach jego oczy zaszły mgłą, wykrwawił się przez na wpół przeciętą szyję, patrzyłeś, jak gasną jego oczy, były jak oczy barana, któremu podrzyna się gardło na łące”. — „Meine Herren, powiedziałem z mocą, jesteście kompletnie obłąkani”. Mówił Clemens: „Nie wiemy, czy bliźniacy to widzieli. Za to na pewno widzieli, jak idziesz na górę. Zostawiłeś ciało i siekierę i wszedłeś na piętro, cały we krwi”. — „Nie wiadomo, czemu ich nie zabiłeś, powiedział Weser. Mógłbyś z łatwością. Ale nie zrobiłeś tego. Może nie chciałeś, może chciałeś, ale było już za późno, bo uciekli. Może chciałeś, ale zmieniłeś zdanie. Może wiedziałeś już, że to dzieci twojej siostry”. — „Wpadliśmy tam do niej, na Pomorze, drugi raz, warknął Clemens. Znaleźliśmy listy, dokumenty. Bardzo ciekawe rzeczy, między innymi papiery malców. Ale wtedy już wiedzieliśmy, kim są”. Roześmiałem się krótko i histerycznie. „Byłem tam, wicie. Byłem w lesie, widziałem was”. — „Prawdę mówiąc, powiedział niewzruszony Weser, domyślaliśmy się. Ale nie chcieliśmy się upierać. Stwierdziliśmy, że i tak któregoś dnia cię znajdziemy. I widzisz, rzeczywiście, znaleźliśmy cię”. — „Wróćmy do naszej opowieści, rzekł Clemens. Wszedłeś, cały we krwi. Matka czekała na ciebie, stała albo u szczytu schodów, albo przed drzwiami pokoju. Miała na sobie koszulę nocną, twoja stara matka. Mówiła do ciebie, patrzyła ci w oczy. Nie wiadomo, co ci powiedziała. Bliźniacy wszystko słyszeli, ale nie opowiedzieli. Pewnie mówiła o tym, jak to nosiła cię w brzuchu, jak karmiła piersią, jak podcierała cię i myła, gdy twój ojciec łajdaczył się Bóg wie gdzie. Może nawet pokazała ci pierś”. — „Mało prawdopodobne, prychnąłem gorzkim śmiechem. Byłem uczulony na jej mleko, nigdy jej nie ssałem”. — „Twoja strata, rzucił Clemens, nie mrugnawszy okiem. Może pogłaskała cię pieszczotliwie po podbródku,

nazwała swoim dzieckiem. Ale ciebie to nie wzruszyło: byłeś jej winien miłość, ale w głowie miałeś tylko nienawiść. Zamknąłeś oczy, nie mogłeś już dłużej znieść tego spojrzenia, chwyciłeś ją za szyję i ścisnąłeś”. — „Zwariowaliście!, zawyłem. Opowiadacie jakieś bzdury!” — „Nie takie całkiem bzdury, odparł posepnie Weser. Oczywiście, to tylko rekonstrukcja. Ale zupełnie wierna faktom”. — „Po wszystkim, mówił dalej Clemens spokojnym basem, poszedłeś do łazienki i się rozebrałeś. Wrzuciłeś ubrania do wanny, umyłeś się, splukałeś całą krew, i nagi wróciłeś do swojego pokoju”. — „No i tu trudno powiedzieć, stwierdził Weser. Może oddawałeś się perwersyjnym czynnościom, a może po prostu zasnąłeś. O świcie wstałeś, założyłeś mundur, wyszedłeś. Jechałeś autobusem, następnie pociągiem, wróciłeś do Paryża i zaraz do Berlina. 30 kwietnia wysłałeś telegram do siostry. Pojechała do Antibes, pochowała matkę i jej męża, i jak najszybciej wyjechała, zabierając chłopców. Może się domyślała”. — „Posłuchajcie, wybełkotałem. Postradaliście zmysły. Sędziowie orzekli, że nie ma żadnych dowodów. Czemu miałbym to zrobić? Jaki niby jest motyw? Zawsze musi być motyw”. — „Nie wiadomo, powiedział spokojnie Weser. Lecz, prawdę mówiąc, jest nam to obojętne. Może chciałeś forszę Moreau. Może jesteś maniakiem seksualnym. Może rana pomieszała ci w głowie. Może to była po prostu stara rodzinna nienawiść, która tak często się zdarza, może chciałeś wykorzystać fakt, że jest wojna i po cichu wyrównać rachunki, sądząc, że pośród tylu morderstw nikt nie dostrzeże tego. A może zwyczajnie oszalałeś”. — „Ale czego wy tak naprawdę chcecie?” — „Mówiliśmy ci, mruknął Clemens: chcemy sprawiedliwości”. — „Miasto płonie!, krzychałem. Nie ma już trybunału! Wszyscy sędziowie zginęli albo wyjechali! Jak mnie osądzicie?!” — „Już cię osądziliśmy, powiedział Weser tak cicho, że usłyszałem szum wody. Uznaliśmy cię winnym”. — „Wy?, parsknąłem. Wy jesteście gliniarzami. Nie macie prawa mnie sądzić”. — „Ze względu na okoliczności, zahuczał gruby głos Clemensa, daliśmy sobie takie prawo”. — „A więc, powiedziałem smutno, nawet jeśli macie rację, nie jesteście więcej warci ode mnie”.

I wtedy usłyszałem nieprawdopodobny hałas od strony Kochstrasse. Ludzie wrzeszczeli, biegali, powodując ogromny chłupot. Minął nas jakiś mężczyzna z krzykiem: „Rosjanie! Rosjanie w tunelu!”. — „Kurwa!”, bluzgnął Clemens. Razem z Weserem skierowali latarki w stronę stacji: niemieccy żołnierze wycofywali się, strzelając na chybił trafił, w głębi błyskały płomienie z luf karabinów maszynowych, świstały kule, trzaskały o ściany albo spadały z miękkim pluskiem. Ludzie krzyczeli, wpadali do wody. W świetle

latarek Clemens i Weser podnieśli ze spokojem pistolety i raz po razie strzelali do wroga. Cały tunel rozbrzmiewał krzykami, strzałami, pluskiem. Z naprzeciwka ripostowały seriami karabiny maszynowe. Clemens i Weser chcieli wyłączyć latarki — i w tym momencie dostrzegłem, jak Weser dostaje kulę w podbródek, sztywnieje, pada w tył jak długi z wielkim rozbryzgiem. Clemens wrzasnął: „Weser! Kurwa!”, ale latarka już nie świeciła, a ja, wstrzymując oddech, zszedłem pod wodę. Bardziej idąc wzdłuż szyn, niż płynąc, kierowałem się w stronę wagonów szpitala w metrze. Gdy wynurzyłem głowę, kule świstały mi przy uszach, pacjenci bełkotali w panice, słyszałem francuskie słowa, krótkie rozkazy. „Nie strzelajcie, chłopaki!”, wrzasnąłem po francusku. Czyjaś ręka chwyciła mnie za kołnierz i pociągnęła, ociekającego wodą, w stronę peronu. „Z kraju jesteś?”, rzucił czyjś prostacki głos. Oddychałem z trudem, kaszlałem, nałykałem się wody. „Nie, nie, Niemiec”, wydusiłem. Facet wystrzelił serię tuż obok mojej głowy i ogłuszył mnie dokładnie w chwili, w której rozległ się głos Clemensa: „Aue! Skurwielu! Dopadnę cię!”. Wydostałem się na peron; rozpychając rękoma i łokciami spanikowanych uchodźców, dopadłem schodów i wbiegłem na nie, pokonując po cztery stopnie naraz.

Ulica była wyludniona, nie licząc trzech cudzoziemskich esesmanów, galopujących w kierunku Zimmerstrasse z ciężką bronią maszynową i panzerfaustami. Nie zwracali uwagi na mnie ani na innych cywilów, którzy wydostali się z wejścia U-Bahnu. Ruszyłem biegiem w przeciwnym kierunku, pędziłem Friedrichstrasse na północ, pośród płonących kamienic, trupów, zniszczonych samochodów. Dotarłem na Unter den Linden. Z rozoranej kanalizacji tryskała wielka fontanna wody, oblewając ciała i ruiny. Na rogu zauważyłem dwóch zarośniętych starców, zachowywali się tak, jakby nie zwracali najmniejszej uwagi na trzask pocisków z moździerza i ciężkiej artylerii. Jeden z nich miał na ramieniu opaskę, jaką noszą ślepcy, drugi go prowadził. „Dokąd idziecie”, spytałem, dysząc. — „Nie wiemy”, powiedział ślepiec. „A skąd przychodzicie”, spytałem jeszcze. — „Tego też nie wiemy”. Usiedli na skrzynce pośród ruin i stosów gruzu. Ślepiec wsparł się na lasce. Ten drugi patrzył dookoła oczami szaleńca, szarpiąc rękaw towarzysza. Odwróciłem się i ruszyłem dalej. Aleja, przynajmniej tam, gdzie sięgał mój wzrok, była całkiem pusta. Naprzeciw stał budynek, w którym mieściły się biura dr. Mandelbroda i Herr Lelanda. Był poorany kulami, ale nie zburzony. Jedno skrzydło drzwi wejściowych wisiało na zawiasie, pchnąłem je ramieniem i wszedłem do holu zasypanego płytkami z marmuru i gzymsami opadłymi ze ścian. Obozowali tu żołnierze: dostrzegłem ślady ogniska, puste puszki,

zaschnięty kał. Teraz jednak hol był pusty. Pchnąłem drzwi na schody awaryjne i wbiegłem. Na ostatnim piętrze schody wychodziły na korytarz prowadzący do pięknej sali recepcji, poprzedzającej biuro Mandelbroda. Siedziały tu dwie amazonki, jedna na sofie, druga na fotelu, jedna miała głowę przechyloną na bok, a druga do tyłu, oczy obu były otwarte, a cienkie strużki krwi płynęły z ich skroni i z kącików ust; każda trzymała w dłoni automatyczny pistolet o perłowej kolbie. Trzecia dziewczyna leżała w podwójnych, miękko obitych drzwiach. Ścięty przerażeniem zacząłem przyglądać im się z bliska, przysuwałem twarz do ich twarzy, bez dotykania. Były świetnie ubrane, miały włosy ściągnięte do tyłu, przezroczysty błyszczak lśnił na pełnych wargach, tusz ciągle jeszcze podkreślał korony długich czarnych rzęs wokół pustych oczu, paznokcie na kolbach pistoletów były starannie przycięte i polakierowane. Ani jeden oddech nie poruszył ich piersi pod uprasowaną tkaniną kostiumów. Na próżno obserwowałem ładne twarze, nie byłem zdolny ich rozpoznać, odróżnić Hilde od Helgi czy od Hedwig, a przecież to nie były trojaczki. Dałem krok ponad tą, która leżała w drzwiach, i wszedłem do biura. Trzy inne dziewczyny leżały martwe na kanapie i na wykładzinie; Mandelbrod i Leland znajdowali się w głębi, przy wielkiej, strzaskanej szybie, a przy nich cała góra walizek i skórzanych teczek. Na zewnątrz, tuż za nimi, huczał ogień, nie zwracali najmniejszej uwagi na kłęby dymu, wdzierające się do pomieszczenia. Podeszedłem do nich, spojrzałem na bagaże, spytałem: „Wybieracie się w podróż?”. Mandelbrod trzymał na kolanach kota i głaskał go. W fałdach tłuszczu zalewających rysy jego twarzy dostrzegłem lekki uśmiech: „Dokładnie tak, odparł pięknym głosem. Chciałbyś pojechać z nami?”. Przeliczyłem głośno teczki i walizki: „Dziewiętnaście, powiedziałem, nieźle. Daleko jedziecie?”. — „Na początek do Moskwy, powiedział Mandelbrod. Potem się zobaczy”. Leland, ubrany w długi granatowy płaszcz przeciwdeszczowy, siedział na małym krzeselku obok Mandelbroda. Palił papierosa, na kolanach trzymał szklaną popielniczkę; patrzył na mnie bez słowa. „Rozumiem, powiedziałem. I naprawdę myślicie, że będziecie mogli to wszystko ze sobą zabrać?” — „Och, oczywiście, uśmiechnął się Mandelbrod. To już załatwione. Czekamy tylko, aż po nas przyjdą”. — „Rosjanie? Wiedziecie, że nasi nadal bronią dzielnicę”. — „Wiemy, odezwał się Leland, wydychając długi kłęb dymu. Sowieci powiedzieli nam, że będą tu prawdopodobnie jutro”. — „Świetnie wykształcony pułkownik, dodał Mandelbrod. Powiedział, żebyśmy się nie przejmowali, że osobiście się nami zajmie. Bo, widzisz, my mamy jeszcze dużo do zrobienia”. — „A dziewczyny?”

spytałem, machnąwszy ręką w stronę ciał. — „Ach, biedaczki, nie chciały jechać z nami. Tak się przywiązały do matki ojczyzny. Nie chciały zrozumieć, że istnieją jeszcze ważniejsze wartości”. — „Führer poniósł klęskę, wyrecytował zimno Leland. Ale wojna ontologiczna, którą rozpętał, jeszcze nie jest skończona. Któż inny od Stalina mógłby dokończyć to dzieło?” — „Gdy zaproponowaliśmy im nasze usługi, wyszeptał słodko Mandelbrod, głaszcząc kota, natychmiast okazali wielkie zainteresowanie. Wiedzą, że po wojnie będą potrzebować ludzi takich jak my, że nie będą mogli pozwolić zachodnim potęgom na zebranie śmietanki. Jeżeli pojedziesz z nami, gwarantuję ci dobre stanowisko na bardzo korzystnych warunkach”. — „Nadal będziesz robił to, co tak dobrze potrafisz robić”, powiedział Leland. — „Jesteście szaleńcami!, wykrzyknąłem. Wszyscy jesteście szaleńcami! Wszyscy oszaleli w tym mieście!” I już cofałem się do drzwi, mijając wdzięcznie upozowane ciała dziewczyn. „Wszyscy, oprócz mnie!”, wrzasnąłem i uciekłem. W drzwiach dopadły mnie ostatnie słowa Lelanda: „Jeżeli zmienisz zdanie, zgłoś się do nas!”.

Unter den Linden była nadal pusta; gdzieś tam jakiś pocisk trafił w fasadę albo w stos gruzu. W uszach brzmiała mi ciągle seria tamtego Francuza. Zacząłem biec w stronę Bramy Brandenburskiej. Za wszelką cenę musiałem wydostać się z miasta, które było teraz monstrualną pułapką. Miałem nieaktualne informacje, z poprzedniego dnia, ale wiedziałem, że jedyne, co mogę jeszcze zrobić, to przejść przez Tiergarten, a później przez linię wschód-zachód aż do Adolf Hitler Platz; dalej miałem się zastanowić. Dzień wcześniej miasto nie było jeszcze otoczone, Hitlerjugend bronili mostu na rzece Havel, Wannsee też pozostawało w naszych rękach. Jeżeli uda mi się dotrzeć do Thomasa, myślałem, będę uratowany. Pariser Platz przed Bramą był w niezłym stanie, zawałony przewracanymi, posiekanymi, spalonymi pojazdami; zwęglone trupy w karetkach miały na kończynach bransolety z opatrunków paryskich. Usłyszałem mocny pomruk: przejeżdżał za mną radziecki pojazd opancerzony, miażdżąc trupy na swojej drodze, na nim stało kilku żołnierzy Waffen-SS, gdzieś ich dorwali. Pojazd zatrzymał się tuż obok mnie, strzelił, po czym odjechał z chrzęstem gąsienic; jeden z żołnierzy spojrzał na mnie obojętnie. Pojazd skręcił w prawo w Wilhelmstrasse i znikł. Nieco dalej, na Unter den Linden, pośród latarni i kikutów usadzonych w rzędach krzewów, dostrzegłem poprzez dym ludzką sylwetkę, mężczyznę w cywilu, w kapeluszu. Ruszyłem pędem i lawirując

wśród przeszkód, przebiegłem przez Bramę czarną od dymu, podziurawioną od kul i odłamków.

Za nią rozciągał się Tiergarten. Zszedłem z drogi i zanurkowałem między drzewa. Nie licząc pomruków pocisków z moździerza i odległych wybuchów, park był całkiem cichy. *Nebelkrähe*, kruki, których szorstkie krakanie niosło się zawsze przez Tiergarten, teraz odleciały, uciekły przed nieustającym bombardowaniem w bezpieczniejsze miejsce: na niebie nie ma Sperrkommando, nie ma latającego trybunału wojskowego dla ptaków. Nawet nie wiedzą, jakie mają szczęście. Między drzewami leżały trupy, a wzdłuż alei kołysali się ponurzy wisielcy. Zaczęło znów padać, lekki deszczyk, przez który przebijało się jeszcze słońce. Krzewy na klombach zakwitły, zapach róż mieszał się ze smrodem trupów. Od czasu do czasu odwracałem się, zdawało mi się, że widzę pomiędzy drzewami jakąś postać, że za mną idzie. Martwy żołnierz ścisnął w dłoni swojego schmeissera; wziąłem go i wycelowałem w tę postać, nacisnąłem spust, ale broń się zacięła i wściekły odrzuciłem ją w krzaki. Uważałem, by nie oddalić się zbyt daleko od głównej drogi, jednak po tamtej stronie dostrzegłem jakiś ruch, jakieś pojazdy, więc wchodziłem coraz głębiej w park. Po mojej prawej zza drzew wyłaniała się kolumna Zwycięstwa, ciągle ukryta w zabezpieczających skrzyniach, i nadal, uparcie, stojąca. Drogę przecięło mi kilka rozlewisk: zamiast zbliżyć się do jezdni, postanowiłem obejść je w kierunku kanału, tam, gdzie kiedyś, dawno temu, włóczyłem się po nocach w poszukiwaniu przyjemności. Zaplanowałem, że stamtąd przedostanę się przez zoo i ukryję w Charlottenburgu. Przeszedłem nad kanałem mostem, na którym pewnego wieczoru miałem dziwną sprzeczkę z Hansem P. Mur zoo był strzaskany w kilku miejscach, wgramoliłem się na gruzy. Od strony wielkiego schronu słyszałem mocne strzały z lekkich działek i serie z karabinów maszynowych.

Ta część zoo była całkowicie zalana: bomby rozpruły „Dom Morski”, z porozbijanych akwariów na całą okolicę rozlały się hektolitry wody, po alejkach zaś rozproszyły się martwe ryby, langusty, krokodyle, meduzy i dyszący delfin, który, leżąc na boku, przyglądał mi się niespokojnym okiem. Brodziłem, byle naprzód, obszedłem Wyspę Babuinów, na której młode czepiały się mikroskopijnymi rączkami do brzuchów oszalałych ze strachu matek, krążyłem pośród papug i martwych małp, przeszedłem obok żyrafy, której szyja zwieszała się bezwładnie z ogrodzenia, obok zakrwawionych niedźwiedzi. Wszedłem do na wpół zburzonego budynku; w wielkiej klatce siedział

nieżywy, olbrzymi czarny goryl z bagnietem wbitym w pierś. Rzeka czarnej krwi płynęła między kratami i mieszała się z wodą w kałużach. Ten goryl miał zdziwioną, zaskoczoną minę; jego pomarszczona twarz, otwarte oczy, ogromne łapy wydały mi się przerażająco ludzkie, tak jakby zaraz miał się do mnie odezwać. Za budynkiem był szeroki, zadaszony staw; pływał w nim martwy hipopotam, miał wbity w grzbiet stabilizator pocisku z moździerza. Drugi hipopotam zalegał na platformie, był podziurawiony przez odłamki i zdychał pośród wielkich, ciężkich westchnień. Woda, która wylewała się ze stawu, moczyła ubrania dwóch leżących tu żołnierzy, trzeci spoczywał oparty o klatkę, miał mętne oczy, a na jego kolanach leżał karabin maszynowy. Chciałem ruszyć dalej, lecz usłyszałem strzępy rosyjskich rozmów, zmieszane z rykiem oszalałego słonia. Schowałem się za krzewem i nadrobiłem drogi, by obejść klatki przez coś w rodzaju małego mostu. Clemens zagroził mi drogę, stanąwszy w wodzie na krańcu kładki, z miękkiego kapelusza spływała deszczówka, a w rękę trzymał automat. Uniosłem ręce, jak w filmach. „Nieźle się musiałem nabiegać, dyszał Clemens. Weser nie żyje. Ale ja cię dopadłem”. — „Kriminalkommissar Clemens, syknąłem zdyszany od biegu, niech pan nie będzie śmieszny. Rosjanie są sto metrów stąd. Usłyszą pański strzał”. — „Powiniennem utopić cię w basenie, łajdaku, bluznął, zaszyć cię w worku i utopić. Ale nie mam czasu”. — „Nawet nie jest pan ogolony, Kriminalkommissar Clemens, wrzasnąłem, a chce pan wymierzać sprawiedliwość!” Zaśmiał się grubiańsko i oschle. Huknął strzał, kapelusz zleciał Clemensowi na twarz, a on zwałił się jak głaz na mostek i wpadł głową w kałużę. Zza klatki wychylił się Thomas z karabinem w rękach i z zachwyconym uśmiechem na ustach. „Jak zwykle zjawiam się na czas”. Rzucił okiem na masywne ciało Clemensa. „Czego od ciebie chciał ten facet?” — „To był jeden z tych dwóch gliniarzy. Chciał mnie zabić”. — „Wytrwały chłop. Ciągle jeszcze chodzi o tamtą historię?” — „Tak. Nie wiem, coś im odbiło”. — „Ty sam też raczej nie popisałeś się mądrością, powiedział surowo. Wszędzie cię szukają. Müller wpadł w furję”. Wzruszyłem ramionami i rozejrzałem się. Już nie padało, słońce przebijało się przez chmury, lśniły w nim mokre liście drzew i rozlewiska w alejach. Znów usłyszałem strzępy rosyjskich rozmów, musieli być całkiem niedaleko, gdzieś za zagrodą małp. Słoń zaryczał. Thomas oparł karabin o balustradę kładki, kucnął przy ciele Clemensa, schował do kieszeni jego automat, przeszukał kieszenie. Stałem za nim i rozejrzałem się, wokół nie było nikogo. Thomas odwrócił się do mnie, wymachując grubym plikiem reichsmarek: „Patrz, powiedział z uśmiechem. Niezły kąsek z tego

twojego gliniarza”. Wsunął banknoty do kieszeni i dalej grzebał. Tuż obok niego dostrzegłem gruby żelazny pręt, który wybuch wyrwał z pobliskiej klatki. Podniosłem go, zważyłem w dłoniach i z całej siły uderzyłem Thomasa w kark. Usłyszałem chrupnięcie kręgow, padł do przodu jak rażony gromem, w poprzek zwłok Clemensa. Odrzuciłem pręt i popatrzyłem na trupy. Odwróciłem Thomasa, nadal miał otwarte oczy, i rozpiąłem mu bluzę. Rozpiąłem też moją, zrobiłem szybką podmianę, i znów przekręciłem go na brzuch. Przejrzałem kieszenie: obok automatu i banknotów Clemensa były tam jeszcze dokumenty Thomasa, papiery francuskiego robotnika obozu pracy przymusowej, i papierosy. Klucze od domu znalazłem w kieszeni spodni; moje własne dokumenty oddałem mu z kurtką.

Rosjanie odeszli gdzieś dalej. Alejką truchtał ku mnie mały słoń, za nim trzy szympany i ocelot. Zwierzęta ominęły ciała i przedostały się przez kładkę, nie zwalniając, a mnie zostawiły samego. Miałem gorączkę, umysł rozpadał mi się na kawałki. Lecz ciągle jeszcze dokładnie pamiętam te dwa ciała leżące jedno na drugim w kałuży, na kładce, i oddalające się zwierzęta. Byłem smutny, choć nie bardzo wiedziałem, z jakiego powodu. Poczulem nagle cały ciężar przeszłości, ból życia i uporczywej pamięci, byłem sam, a za towarzystwo służył mi zdychający hipopotam, kilka strusi i trupy, byłem sam z czasem, smutkiem i trudem wspomnień, z okrucieństwem własnej egzystencji i śmierci, która wciąż nie nadchodziła. Łaskawe wpadły na mój trop.

dodatek

SŁOWNICZEK WYBRANYCH NAZW I POJEĆ

Ic/AO — oznaczenie trzeciego oficera sztabowego (głównego oficera wywiadowczego) w *Armeeoberkommando*, czyli dowództwie jednej z niemieckich armii. Do jego zadań należało prowadzenie i koordynowanie przedsięwzięć z zakresu wywiadu wojskowego własnej jednostki wojskowej. Oficerowie o takich kompetencjach, określane jako *Ic*, funkcjonowali także w innych niemieckich strukturach dowódczych, np. w komendanturach polowych (*Ortskommandantur*), gdzie podlegali bezpośrednio komendantom polowym (*Ortskommandant*).

AA (Auswärtiges Amt) — Urząd Spraw Zagranicznych; nazwa ministerstwa spraw zagranicznych III Rzeszy, w latach 1938-1945 kierowanego przez Joachima von Ribbentropa.

abtransportiert (niem.: odtransportowany) — jedno z określeń wykorzystywanych przez nazistów do opisu realizowanego przez siebie programu eksterminacji ludności żydowskiej. Zazwyczaj oznaczało wyekspediowanie grupy Żydów transportem kolejowym do obozu zagłady.

allgemeine Lösung (niem.: ogólne, powszechne rozwiązanie) — jeden z eufemizmów, wykorzystywanych przez nazistów na określenie założeń planu eksterminacji narodu żydowskiego. Stosowany zamiennie m.in. z: *völlige Lösung* (niem.: całkowite rozwiązanie), *Sonderbehandlung* (niem.: specjalne traktowanie) oraz *durchgeschleust* (niem.: przeprowadzenie [przez obóz zagłady]).

Allgemeine-SS (niem.: Ogólna SS) — jeden z trzech pionów organizacyjnych *Schutzstaffel der NSDAP* (obok *SS-Toterikopfverbände* oraz *SS-Verfügungstruppe* — późniejszych *Waffen-SS*) pełniący funkcję zaplecza polityczno-wychowawczego tej formacji. Utworzony w sierpniu 1934 r. w wyniku reorganizacji SS, funkcjonował w oparciu o zasadę przynależności terytorialnej. W końcu lat 30. XX wieku liczył 485 tysięcy

członków. Po wybuchu wojny rola *Allgemeine-SS* została ograniczona, ponieważ większość działaczy powołano do Wehrmachtu lub formacji militarnych SS. W 1945 r. Ogólna SS liczyła około 48 tysięcy członków. **Amt** — niem.: urząd, departament; Ämter (lm).

Amt I — I Urząd (departament) Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RSHA). Początkowo zajmował się prowadzeniem całości spraw organizacyjno-administracyjnych RSHA, od marca 1941 r. jego zadania ograniczono zasadniczo do zagadnień personalnych. Kolejnymi szefami byli: Werner Best (1939-1940), Bruno Streckenbach (1940-1942), Erwin Schultz (1943-1944) oraz Erich Ehrlinger (1944-1945).

Amt III — III Urząd (departament) Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RSHA). Utworzony na bazie jednego z oddziałów nazistowskiej Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*; SD), był określany jako *SD-Inland* i pełnił w okresie II wojny światowej rolę cywilnego wywiadu wewnętrznego III Rzeszy. Kierowany przez Ottona Ohlendorfa, od marca 1941 r. dzielił się na cztery główne oddziały zajmujące się ochroną „porządku prawnego”, sprawami społecznymi oraz nadzorowaniem życia kulturalnego i gospodarczego III Rzeszy.

Amtchef — szef jednego z urzędów (departamentów) w strukturach administracyjnych III Rzeszy, np. w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RSHA).

AOK (Armeeoberkommando) — dowództwo jednej z niemieckich armii (w znaczeniu: zVwiązku operacyjnego składającego się z kilku korpusów lub dywizji).

Arbeitseinsatz — 1) nazwa realizowanego podczas II wojny światowej nazistowskiego programu wykorzystania w niemieckiej gospodarce ludności podbitych krajów europejskich w charakterze niewolniczej siły roboczej. Do pracy w przemyśle i rolnictwie III Rzeszy zostało wywiezionych od 7 do 11 milionów osób, głównie obywatele krajów

Europy Wschodniej. Do niewolniczej pracy na rzecz niemieckiej gospodarki zmuszani byli również jeńcy wojenni, więźniowie obozów koncentracyjnych (*Häftlinge*) oraz dyskryminowane grupy narodowościowe (Żydzi, Romowie) lub religijne (świadkowie Jehowy). Od marca 1942 r. realizację tego programu koordynował generalny pełnomocnik Rzeszy do spraw zatrudnienia (*Generalbevollmächtigter für den Arbeitseinsatz*; GBA) Fritz Sauckel; 2) nazwa II departamentu w zarządzie nazistowskich obozów koncentracyjnych (*Konzentrationslager*; KL), czyli Inspektoracie Obozów Koncentracyjnych (*Inspektion der Konzentrationslager*; IKL). Departament ten koordynował całokształt przedsięwzięć mających na celu wykorzystanie niewolniczej pracy więźniów obozów koncentracyjnych; 3) nazwa II wydziałów w terenowych niemieckich Urzędach Pracy (*Arbeitsamt*), które na podległym sobie obszarze zajmowały się organizowaniem transportów „siły roboczej”; 4) nazwa sekcji Ula (tzw. Biur Zatrudnienia) w Oddziałach III — więźniarskich (*Schutzhaftlagerführung*), wchodzących w skład kierownictwa obozów koncentracyjnych, a także nazwa komórek organizacyjnych w komendanturach niemieckich obozów jenieckich. Biura te, kierowane przez urzędników posługujących się tytułem *Arbeitseinsatzführera*, zajmowały się organizacją pracy przymusowej dla więźniów i jeńców wojennych zarówno na terenie obozów, jak i poza nim, zawieraniem umów z przedsiębiorstwami i opracowywaniem norm pracy dla więźniów lub jeńców wojennych.

Arbeitsjuden (niem.: Żydzi pracujący) — żydowscy więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych (*Konzentrationslager*, KL), pracujący w tzw. komandach obozowych (*Sonderkommando*), czyli zorganizowanych grupach roboczych, wykonujących różne czynności w samym obozie lub poza jego obszarem.

Ausländereinsatz (niem.: wykorzystanie obcokrajowców) — nazwa stosowanej na masową skalę nazistowskiej polityki zmuszania ludności podbitych krajów do niewolniczej pracy na rzecz gospodarki III Rzeszy (*Arbeitseinsatz*). Według oficjalnych danych latem 1944 r. w różnych gałęziach niemieckiej gospodarki wykorzystywano około 7,6 miliona pozbawionych wolności cywilów oraz jeńców wojennych.

Ausrottung (niem.: wytepienie) — pojęcie wykorzystywane przez nazistów na określenie programu masowej eksterminacji podbitych narodów. Odnosiło się ono w szczególności do programu zagłady Żydów („wytepienia wszystkich Żydów” — *Ausrottung aller Juden*).

Baltikumer — potoczne określenie weteranów niemieckich oddziałów wojskowych, prowadzących w 1919 r. na terenie państw nadbałtyckich (głównie Łotwy) działania wojenne przeciwko Armii Czerwonej. Słowem *Baltikumer* określano między innymi członków jednego z walczących na tym terenie *Freikorpsów* dowodzonego przez znanego asa niemieckiego lotnictwa Rudolfa Bertholda. W późniejszym okresie część żołnierzy tego *Freikorpsu* wzięła udział w nieudanym, prawicowym zamachu stanu, tzw. puczu Kappa (marzec 1920 r.).

BdS (Befehlshaber der Sipo und des SD) (Befehlshaber der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienst) — w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RSHA) stanowisko (wyższego) dowódcy policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*; *Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*; *SD*) na jednym z obszarów okupowanych przez III Rzeszę (np. na obszarze Generalnego Gubernatorstwa; GG). Dowódcy ci pełnili funkcję zwierzchników terenowych dowódców *Sipo* i *SD*, określanych jako *Kommandeur der Sipo und des SD* (KdS). W GG funkcję BdS-a pełnili kolejno: Bruno Streckenbach (1939-1941), Karl Eberhard Schöngarth (1941-1943) oraz Walther Bierkamp (1943-1945). Na obszarach w granicach III Rzeszy odpowiednikami BdS byli wyżsi dowódcy posługujący się tytułem *Inspekteur der Sipo und des SD* (IdS).

Blockälteste (niem.: blokowy) — jeden z więźniów funkcyjnych w niemieckich obozach koncentracyjnych (*Konzentrationslager*; KL). Do jego głównych zadań należało utrzymywanie porządku w podległym mu bloku, czyli baraku mieszkalnym więźniów.

DAW (Deutsche Ausrüstungswerke der SS) — Niemieckie Zakłady Wyposażenia SS; przedsiębiorstwo przemysłowe założone w maju 1939 r. z inicjatywy dowództwa SS (*Schutzstaffel der NSDAP*). W okresie II wojny światowej firma funkcjonowała głównie

dzięki wykorzystywaniu niewolniczej pracy (*Arbeitseinsatz*) tysiące więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (*Konzentrationslager*; KL).

Dulag (Durchgangslager) — obóz przejściowy. W systemie represji III Rzeszy obozy przejściowe pełniły funkcję punktów etapowych dla jeńców wojennych (*Durchgangslager für Kriegsgefangene*), cywilnych przesiedleńców, zakładników oraz więźniów (*Häftlinge*), a także Żydów transportowanych do obozów koncentracyjnych (*Durchgangs- und Sammellager*). Niekiedy w *Dulagach* dokonywano również wstępnej selekcji osadzonych tam osób. Najbardziej znanym w Polsce obozem tego typu był *Dulag 121 Pruszków*, przez który jesienią 1944 r. przewinęła się znaczna część ocalałej z Powstania Warszawskiego ludności stolicy.

durchgeschleust (niem.: przeprowadzenie [przez obóz zagłady]) — zwrot używany przez nazistów na określenie działań, mających na celu eksterminację Żydów. Zastosowany m.in. w opracowanym w styczniu 1943 r. tzw. raporcie Richarda Korherra (inspektora ds. statystyki przy *Reichsführerze-SS*), podsumowującym dotychczasowe rezultaty realizacji programu *Endlösung der Judenfrage* (ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej). Określenie to zastąpiło używane wcześniej pojęcie *Sonderbehandlung* (niem.: specjalne traktowanie), które z czasem stało się powszechnie znanym synonimem zagłady narodu żydowskiego.

Einsatzgruppen (niem.: grupy operacyjne) — działające głównie w okresie II wojny światowej niemieckie jednostki policyjne, tworzone z inicjatywy Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RSHA) i składające się z funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*; *Sipo*) oraz Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*; SD). Pierwsze jednostki tego typu podjęły działalność w okresie *Anschlussu* Austrii (marzec 1938 r.), włączenia do Rzeszy tzw. obszaru Sudetów (październik 1938 r.) oraz wkroczenia wojsk niemieckich do Pragi (marzec 1939 r.). Z chwilą ataku Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r. do działań na zajętych przez Wehrmacht terenach II Rzeczypospolitej przystąpiło osiem *Einsatzgruppen*, które wzięły udział m.in. w planowej akcji likwidacji polskiego elementu przywódczego, głównie w Wielkopolsce, na Pomorzu Gdańskim i Górnym Śląsku (operacja „Tannenberg”). Później

jednostki tego typu działały też na zapleczu wojsk niemieckich zajmujących Norwegię, Belgię, Holandię i Jugosławię. Grupy operacyjne odegrały szczególnie istotną rolę po ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 r. W ślad za jednostkami Wehrmachtu w głąb ZSRR posuwały się wówczas cztery *Einsatzgruppen*, oznaczone literami „A” (operowała głównie na obszarze Litwy, Łotwy i Estonii), „B” (działała na terenie Białorusi), „C” (obszarem jej działania była północna i środkowa Ukraina) oraz „D” (prowadząca swoje operacje na terenie południowej Ukrainy, Besarabii i Krymu). Każda z grup operacyjnych liczyła od 600 do 1000 funkcjonariuszy i podzielona była na mniejsze oddziały (tzw. *Teilkommando*), określane jako *Sonderkommando* oraz *Einsatzkommando*. Grupy operacyjne działające na zapleczu frontu wschodniego liczyły ok. 3 tysięcy osób. Głównym ich celem była fizyczna likwidacja sowieckich działaczy komunistycznych, oficerów politycznych Armii Czerwonej oraz Żydów. Szacuje się, że członkowie grup operacyjnych doprowadzili do wymordowania ok. 1,5 miliona osób. W 1948 r. przed Amerykańskim Trybunałem Wojskowym stanęło 22 wysokich funkcjonariuszy *Einsatzgruppen* z Ottonem Ohlendorfem (byłym dowódcą grupy operacyjnej „D”) na czele. W procesie tym (zwanym potocznie „procesem *Einsatzgruppen*”) wszystkich oskarżonych uznano za winnych, a 14 z nich skazano na karę śmierci.

Einzelaktion (niem.: akcja indywidualna) — wyrażenie stosowane w armii niemieckiej podczas II wojny światowej na określenie samowolnych mordów dokonywanych przez żołnierzy Wehrmachtu na Żydach. Jakkolwiek działania takie wpisywały się w ogólną politykę eksterminacji ludności żydowskiej prowadzoną w tym okresie przez III Rzeszę to jednak traktowano je jako przejaw niesubordynacji i karano.

Ek 5 — oznaczenie tzw. *Einsatzkommando 5*, jednego z oddziałów operacyjnych hitlerowskiej policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei; Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst; SD*), stanowiącego jedną z części składowych (*Teilkommando*), liczącej ogółem około 700 funkcjonariuszy policyjnej grupy operacyjnej C (*Einsatzgruppe „C”*), aktywnej w drugiej połowie 1941 r. na obszarze działania dawnej niemieckiej *Heeresgruppe C* (Grupy Armii C określanej wówczas jako *Heeresgruppe „Süd”*, czyli Grupa Armii Południe), tj. na terenie Ukrainy. Oddział funkcjonował do stycznia 1942 r.

Ek 5 (stacjonująca m.in. we Lwowie i Kijowie) dopuszczała się zbrodni na mieszkańcach zajętych terenów, m.in. prowadziła eksterminację ludności żydowskiej (szacuje się, że wymordowała ona co najmniej 46 tysięcy osób).

Endsieg (niem.: ostateczne zwycięstwo) — skrót od *Endgültiger Sieg*. Hasło propagandowe z okresu I wojny światowej, zapożyczone i wykorzystane przez Adolfa Hitlera w książce *Mein Kampf* (1925), w której pisał m.in. o „ostatecznym zwycięstwie” nad Żydami. Po dojściu Hitlera do władzy (1933) idea ta stała się ważnym elementem doktryny nazistowskiej. W okresie II wojny światowej hasło to było wykorzystywane na szeroką skalę w propagandzie III Rzeszy w celu podtrzymania woli walki w niemieckim społeczeństwie.

Entdeutschung (niem.: odniemczanie) — pojęcie wykorzystywane w okresie dwudziestolecia międzywojennego w propagandzie Republiki Weimarskiej na określenie działań podejmowanych rzekomo przez rząd polski, a mających na celu ograniczenie znaczenia żywiołu niemieckiego na należących do II Rzeczypospolitej terenach dawnego zaboru pruskiego (Wielkopolska i Pomorze Gdańskie). Określenie to, rozpropagowane głównie przez niemieckiego polityka Hermanna Rauschninga w pracy *Die Entdeutschung Westpreußens und Posens* (1930), zostało następnie przejęte przez propagandę nazistowską. W szerszym zakresie oznaczało wszelkie działania, których celem było osłabienie narodu niemieckiego.

Entpolonisierung (niem.: depolonizacja) — część planu przekształceń narodowościowych ogłoszonego przez szefa policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei; Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst; SD*) Reinharda Heydricha w listopadzie 1939 r. pod nazwą „planu depolonizacji i odżydzenia niemieckich prowincji wschodnich” (*Entpolonisierung und Entjudung der deutschen Ostprovinzen*). Pierwszym etapem realizacji planu miało być przeprowadzenie, do końca 1939 r., deportacji około 80 tysięcy Polaków z terenów II Rzeczypospolitej wcielonych do Rzeszy (głównie z Wielkopolski, określanej jako *Reichsgau Wartheland* lub potocznie *Warthegau* — Kraj Warty) do Generalnego Gubernatorstwa. Polityka depolonizacji, realizowana także w latach następnych, miała być, według nazistów, rewanżem za prześladowania mniejszości

niemieckiej (*Entdeutschung*) podejmowane rzekomo przez władze polskie w okresie dwudziestolecia międzywojennego.

entsprechend behandelt (niem.: odpowiednio potraktowany) — jedno z określeń stosowanych przez nazistów przy opisie programu zagłady Żydów. Określenie użyte przez szefa policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei; Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst; SD*) Reinharda Heydricha (*entsprechend behandelt werden müssen*) 20 stycznia 1942 r. podczas konferencji przedstawicieli ministerstw III Rzeszy oraz SS (*Schutzstaffel der NSDAP*) w Wannsee, na której podjęto decyzję o przystąpieniu do realizacji polityki masowego ludobójstwa Żydów na terenach okupowanych przez Niemcy.

Ersatzheer — niemiecka Armia Rezerwowa podczas II wojny światowej. Utworzona w końcu sierpnia 1939 r., składała się z dywizji rezerwowych i ćwiczebnych stacjonujących na terytorium Rzeszy. Na początku II wojny światowej liczyła blisko 1 milion żołnierzy, zaś w grudniu 1944 r. osiągnęła liczebność ponad 2,5 miliona żołnierzy. Jej pierwszym dowódcą był Friedrich Fromm. Jednym z przewidywanych zadań *Ersatzheer* miało być podjęcie działań pacyfikacyjnych w wypadku załamania się ładu publicznego lub buntu przebywającej na terytorium Niemiec wielomilionowej rzeszy robotników przymusowych (operacja Walkiria). Latem 1944 r. grupa oficerów Wehrmachtu, skupiona wokół szefa sztabu Armii Rezerwowej Ciasa Schenka von Stauffenberga, usiłowała bezskutecznie wykorzystać założenia tej operacji do przejęcia władzy w Niemczech po likwidacji Hitlera. Po niepowodzeniu zamachu z 20 lipca na dowództwo *Ersatzheer* spadły represje. Obok Stauffenberga uwięziono a następnie stracono m.in. F. Fromma, mimo iż nie był on wtajemniczony w szczegóły spisku, a po jego niepowodzeniu uczestniczył aktywnie w tropieniu organizatorów zamachu. Od lipca 1944 r. do końca wojny funkcję dowódcy Armii Rezerwowej pełnił wysokiej rangi oficer SS (*Schutzstaffel der NSDAP*) Hans Jüttner (od stycznia 1943 r. kierownik Głównego Urzędu Dowodzenia SS; *SS-Führungshauptamt*).

Executivmassnamen (niem.: środki wykonawcze) — jeden z eufemizmów wykorzystywanych w nazistowskim żargonie urzędowym na określenie metod masowej eksterminacji ludności żydowskiej.

Freikorps — korpus ochotniczy, jednostka wojskowa w Niemczech po I wojnie światowej. Jego trzon stanowili byli oficerowie i podoficerowie zawodowi, którzy po zakończeniu działań wojennych i podpisaniu traktatu wersalskiego znaleźli się poza okrojona liczebnie niemiecką armią (*Reichswehra*). Pod koniec 1919 r. istniało około 100 takich jednostek, w których służyło blisko 400 tys. żołnierzy. *Freikorpsy* stanowiły teren silnych wpływów ugrupowań oraz środowisk antydemokratycznych i prawicowych, m.in. w marcu 1920 r. część oficerów i żołnierzy z tej formacji udzieliło poparcia nieudanemu antyrepublikańskiemu przewrotowi, zwanemu puczem Kappa. W 1923 r. jednostki te zostały w większości rozwiązane, a niewielką część służących w nich oficerów i żołnierzy wcielono do *Reichswehry*.

Fremdkörper (niem.: ciało obce) — określenie używane w propagandzie nazistowskiej w odniesieniu do „niearyjskich” członków społeczeństwa III Rzeszy, w szczególności do Żydów.

Freundeskreis der Reichsführer-SS — Koło Przyjaciół *Reichsführera-SS*; ukształtowane w 1932 r. w otoczeniu Heinricha Himmlera środowisko niemieckich przemysłowców wspierających finansowo prowadzone w III Rzeszy „badania” rasowe. Łącznie w skład tego środowiska wchodziło co najmniej 50 prominentnych przedstawicieli biznesu oraz wysokich urzędników III Rzeszy. W latach 1935-1944 Koło przekazywało *Reichsführerowi-SS* około 1 miliona marek rocznie.

Führerstaat (niem.: państwo wodzowskie) — pojęcie stosowane w propagandzie nazistowskiej na określenie modelu ustrojowego III Rzeszy.

Führervernichtungsbefehl (Führerbefehl) (niem.: rozkaz Führera dotyczący zagłady [Żydów]) — domniemany rozkaz Adolfa Hitlera, który zapoczątkował realizację

nazistowskiego programu ludobójstwa narodu żydowskiego. Kwestia jego wydania stanowi od lat przedmiot sporów historycznych. Jak dotąd nie znaleziono przekonujących dowodów materialnych potwierdzających jego istnienie. W efekcie wiciu badaczy stoi na stanowisku, iż rozkaz taki nigdy nie został sformułowany w formie pisemnej.

„Führerworte haben Gesetzeskraft“ (niem.: „Słowa Führera miały siłę prawa”) — fragment zeznań Adolfa Eichmanna, złożonych w 1961 r. przed izraelskim sądem w trakcie opisywania przez niego okoliczności podjęcia przez przywódców III Rzeszy decyzji o *Endlösung der Judenfrage* (niem.: ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej).

Gau — okręg, jednostka administracyjna NSDAP na terenie III Rzeszy, na której czele siat *Gauleiter*. Początkowo terytorium państwa niemieckiego dzieliło się na 33 okręgi, później tworzono je również na terenach podbitych i wcielonych do Rzeszy (tam określano je *Reichsgau*); w połowie 1943 r. istniały już 43 *Gaue*. Ich nazwa, wprowadzona po raz pierwszy w statucie NSDAP z maja 1926 r., nawiązywała do średniowiecznych terytoriów administracyjnych funkcjonujących w różnych krajach Europy Zachodniej. *Gau* dzielił się na mniejsze struktury terytorialne: powiaty (*Kreise*), gminy (*Ortsgruppen*), komórki (*Zelle*) oraz tzw. bloki (*Blocks*) skupiające około 40-60 położonych w sąsiedztwie gospodarstw domowych.

Gauleiter — wysoki funkcjonariusz NSDAP, stojący na czele struktury terenowej partii nazistowskiej zwanej okręgiem (*Gau*). Mianowany przez Hitlera, był mu bezpośrednio podległy. Formalnie funkcja *Gauleitera* był funkcją partyjną (polityczną), faktycznie jednak od połowy lat 30. XX wieku sprawujący ją funkcjonariusze stanowili na podległym sobie obszarze główny ośrodek władzy, któremu podporządkowano terenowe struktury administracji państwowej.

Geheimnisträger — osoba związana tajemnicą służbową; dysponent informacji niejawnych. Określenie używane między innymi w stosunku do wykonawców lub świadków niemieckiej polityki masowego ludobójstwa.

Genickschuss (niem.: strzał w potylicę) — jedna ze stosowanych w niemieckich obozach koncentracyjnych (*Konzentrationslager*, KL) metod eksterminacji więźniów.

Gestapo (Geheime Staatspolizei) — Tajna Policja Państwowa, utworzona w 1933 r. policja polityczna, początkowo działająca jedynie na terenie Prus, a od 1936 r. na terenie całej III Rzeszy. Powołana jako instytucja państwowa, od 1934 r. była faktycznie kontrolowana przez SS (*Schutzstaffel der NSDAP*). W 1935 r. na czele *Gestapo* stanął Reinhard Heydrich, a w roku następnym instytucja ta weszła, razem z Policją Kryminalną (*Kriminalpolizei*; *Kripo*), w skład nowo utworzonej policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*; *Sipo*). W 1939 r. włączona do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RSHA) jako jej IV Departament, którym kierował Heinrich Müller. W 1944 r. w *Gestapo* pracowało ok. 30 tys. funkcjonariuszy. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał *Gestapo* za organizację zbrodniczą.

GFP (Geheime Feldpolizei) — niemiecka tajna policja polowa, w okresie II wojny światowej podporządkowana Wehrmachtowi. Jej głównym zadaniem była walka z partyzantką, szpiegostwem i innymi działaniami wymierzonymi w niemieckie siły zbrojne na terenach okupowanych. Zwalczała też przejawy demoralizacji w Wehrmachcie, m.in. ścigała dezertersów. Podstawową jednostką organizacyjną GFP była grupa (*GFP-Gruppe*) licząca zazwyczaj około 50 osób, a na terenach Związku Sowieckiego — 95 osób. Pierwszą *GFP-Gruppe* powołano w sierpniu 1939 r. Na przełomie 1942 i 1943 r. na różnych terenach okupowanych przez III Rzeszę funkcjonowały 83 takie jednostki. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał, że funkcjonariusze GFP popełniali „na wielką skalę” zarówno zbrodnie wojenne, jak i zbrodnie przeciwko ludzkości.

Goldfasanen (niem.: bażanty złociste) — ironiczne określenie aktywistów NSDAP, nawiązujące do charakterystycznego jasnobrunatnego koloru noszonych przez nich mundurów oraz złotych odznak funkcyjnych, kojarzących się z kolorem upierzenia bażanta złocistego.

Grossraum (niem.: wielka przestrzeń) — wykorzystywana przez nazistów koncepcja ekspansji terytorialnej, której celem miałyby być stworzenie przestrzeni życiowej (*Lebensraum*) dla narodu niemieckiego. Wywodziła się z teorii geopolitycznej wybitnego dziewiętnastowiecznego niemieckiego geografa Friedricha Ratzela, według której zasięg terytorialny danego państwa oraz zdolność do dalszej ekspansji stanowią czynniki decydujące o jego sile i żywotności. W pierwszej połowie XX wieku rozwijana i modyfikowana m.in. przez Karla Haushofera, którego koncepcja podziału świata na cztery panregiony pod hegemonią Niemiec, Rosji, Japonii i USA wywarła silny wpływ na decyzje polityczne Adolfa Hitlera.

Häftling (Häftlinge, Im) — więzień niemieckiego obozu koncentracyjnego (*Konzentrationslager*; KL).

Hauptamt SS-Gericht — Główny Urząd Sądownictwa SS, jeden z najważniejszych urzędów *Schutzstaffel der NSDAP*, podległy bezpośrednio *Reichsführerowi-SS* Heinrichowi Himmlerowi. Funkcjonował w latach 1939-1945, nadzorując m.in. funkcjonowanie 38 regionalnych sądów SS i policji (*SS-Gericht*) działających na terenie III Rzeszy.

Hauptkommando — komenda główna (dowództwo naczelne) jednej z formacji (albo organizacji) wojskowych lub policyjnych.

Heimat (niem.: kraj rodzinny, strony rodzinne) — niedookreślony terytorialnie obszar lub miejsce o istotnym znaczeniu emocjonalnym dla osoby używającej tego pojęcia. W XIX wieku określenie to wywarło istotny wpływ na kształtowanie się nowoczesnego niemieckiego patriotyzmu. W trywialnej, sprowadzonej do prymitywnego nacjonalizmu formie idea *Heimatu* była szeroko wykorzystywana w okresie III Rzeszy w propagandzie nazistowskiej.

Heimatschuss (niem.: strzał do domu) — w niemieckim żargonie wojskowym lekkie zranienie (postrzał) dające prawo do pobytu w szpitalu lub rekonwalescencji w miejscu zamieszkania.

Herrenvolk (niem.: naród panów) — w ideologii nazistowskiej określenie narodu niemieckiego, rzekomo predestynowanego do sprawowania władzy nad innymi narodami. Stosowane często zamiennie z określeniem *Herrenrasse* (niem.: rasa panów).

HSSPF (Höhere SS- und Polizeiführer) — wyższy dowódca SS i policji. Tytuł wysokiego rangą urzędnika dowodzącego przed i w czasie II wojny światowej dużymi jednostkami policyjnymi na obszarach kontrolowanych przez III Rzeszę. Za pośrednictwem podległego sobie sztabu dowódca ten kierował działalnością niemal wszystkich rodzajów służb policyjnych, w szczególności policji porządkowej (*Ordnungspolizei; Orpo*), Tajnej Policji Państwowej (*Geheime Staatspolizei; Gestapo*), *SS-Totenkopfverbände* (oddziałów strzegących obozów koncentracyjnych), Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst; SD*), a nawet niektórych jednostek *Waffen-SS*. W okresie II wojny światowej tytuł wyższego dowódcy SS i policji przysługiwał zaledwie 17 osobom — w okupowanym Generalnym Gubernatorstwie funkcję taką piastowali początkowo Friedrich Wilhelm Krüger, a następnie Wilhelm Koppe. W terenie urzędnikom tym podlegali funkcjonariusze posługujący się tytułem dowódcy SS i policji (*SS- und Polizeiführer, SSPF*).

IdS (Inspekteur der Sipo und des SD) (*Inspekteur der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienst*) — inspektor policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei; Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst; SD*). W Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt; RSHA*) stanowisko wyższego dowódcy *Sipo* i *SD* na terenie jednego z dużych okręgów policyjnych w granicach III Rzeszy. Dowódcy ci pełnili funkcję zwierzchników terenowych dowódców *Sipo* i *SD*, określanych jako *Kommandeur der Sipo und des SD* (KdS). Na obszarach okupowanych przez III Rzeszę odpowiednikami IdS byli wyżsi dowódcy, posługujący się tytułem *Befehlshaber der Sipo und des SD* (BdS).

IKL (Inspektion der Konzentrationslager) — Inspektorat Obozów Koncentracyjnych, zarząd nazistowskich obozów koncentracyjnych (*Konzentrationslager*; KL), utworzony w 1934 r. w oparciu o zarząd istniejącego od marca 1933 r. obozu w Dachau. Na czele Inspektoratu stali: były komendant obozu w Dachau Theodor Eicke (1934-1939), a następnie Richard Glücks. Kontrolowany przez SS (*Schutzstaffel der NSDAP*) IKL został w marcu 1942 r. włączony w skład Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS (*SS-Wirtschafts- und Verwaltungshauptamt*; WVHA) jako tzw. Grupa Urzędów D (*Amtsgruppe D; Konzentrationslagerwesen*). Jako jeden z pionów organizacyjnych *WVHA* *Amtsgruppe D* nadzorowała funkcjonowanie całości niemieckiego systemu obozów koncentracyjnych. Dzielila się na cztery departamenty, z których szczególną rolę odgrywał departament II (*Arbeitseinsatz*), zajmujący się organizacją niewolniczej pracy więźniów obozów koncentracyjnych.

Kampfzeit (niem.: czas walki) — używana w hitlerowskiej mitologii nazwa okresu w dziejach ruchu nazistowskiego obejmująca lata 1919-1933, czyli czternasto-lecie poprzedzające objęcie przez Hitlera władzy w Niemczech.

KdO (Kommandeur der Ordnungspolizei) — terenowy dowódca niemieckiej policji porządkowej (*Ordnungspolizei*; *Orpo*). Na przykład w Generalnym Gubernatorstwie dowodził jednostkami *Orpo* na terenie dystryktu. Podlegał wyższemu funkcjonariuszowi policji, nazywanemu na terenie Rzeszy *Inspekteur der Ordnungspolizei* (IdO), a na terenach okupowanych — *Befehlshaber der Ordnungspolizei* (BdO).

KdS (Kommandeur der Sipo und des SD) (*Kommandeur der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienst*) — terenowy dowódca policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*; *Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*; *SD*) w strukturze Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RS HA). Sprawował zwierzchnictwo nad jednostkami *Sipo* i *SD* funkcjonującymi na określonym obszarze. Dowódcy ci podlegali inspektorom policji bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa (*Inspekteur der Sipo und des SD*; IdS), na terenach okupowanych przez III Rzeszę nazywani (wyższymi) dowódcami policji bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa (*Befehlshaber der Sipo und des SD*; BdS).

KL (Konzentrationslager) — niemiecki obóz koncentracyjny. Pierwsze obozy w III Rzeszy utworzono jeszcze w 1933 r. — we wrześniu 1939 r. w 26 dużych obozach koncentracyjnych przebywało ponad 21 tysięcy więźniów (*Häftlinge*). Gwałtowna rozbudowa systemu obozowego hitlerowskich Niemiec nastąpiła w okresie II wojny światowej: w połowie 1944 r. ponad półmilionowa rzesza więźniów, pilnowana przez około 40 tysięcy esesmanów, została umieszczona w 20 dużych obozach koncentracyjnych i podporządkowanych im 165 obozach pracy. Ponadto w skład tego systemu wchodziły obozy pełniące funkcję miejsc (ośrodków) masowej zagłady (m.in. KL Lublin, zwany potocznie obozem na Majdanku, Bełżec, Sobibór oraz największy z nich: KL Auschwitz II-Birkenau w Oświęcimiu). Łącznie do obozów koncentracyjnych i ośrodków masowej zagłady trafiło około 9 milionów osób, spośród których zginęło około 7,2 miliona. Nadzór nad funkcjonowaniem całości niemieckiego systemu obozowego sprawował, kontrolowany przez SS, Inspektorat Obozów Koncentracyjnych (*Inspektion der Konzentrationslager*; IKL). Początkowo niemieckie obozy koncentracyjne pełniły głównie funkcję represyjno-eksterminacyjną, jednak w okresie II wojny światowej stały się także ważnym elementem w niemieckim systemie pracy niewolniczej, zwłaszcza po włączeniu w marcu 1942 r. IKL w skład Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS (*SS-Wirtschafts- und Verwaltungshauptamt*; WVHA). Decyzje dotyczące funkcjonowania poszczególnych obozów znajdowały się w rękach ich komendantów (*Lagerführerów*), którym podlegał obozowy aparat administracyjny składający się z pięciu lub sześciu oddziałów. Do najważniejszych należał Oddział II „polityczny” (*Politische Abteilung*) oraz Oddział III „więźniarski” (*Schutzhaftlagerführung*), na którego czele stał funkcjonariusz obozowy zwany *Schutzhaftlagerführerem*. W skład Oddziału III wchodziło tzw. Biuro Zatrudnienia (*Arbeitseinsatz*) zajmujące się organizacją niewolniczej pracy więźniów.

Kommissarbefehl — potoczna nazwa Wytycznych w sprawie traktowania komisarzy politycznych” (*Richtlinien für die Behandlung politischer Kommissare*), z 6 czerwca 1941 r., wydanych w formie rozkazu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu do dowódców niemieckich armii i flot *Luftwaffe* przygotowujących się do ataku na Związek Sowiecki. Rozkaz nakazywał natychmiastowe rozstrzeliwanie pojmanych do niewoli sowieckich komisarzy politycznych służących w Armii Czerwonej.

Kommissstiefel — podkute buty wojskowe używane przez Wehrmacht w czasie II wojny światowej.

Kreis — terenowa jednostka organizacyjna NSDAP, odpowiednik powiatu. Lider partii nazistowskiej na tym terenie (*Kreisleiter*) podlegał bezpośrednio *Gauleiterowi* (przywódcy NSDAP na terenie okręgu, *Gau*), a jednocześnie sam nadzorował działalność gminnych struktur partyjnych (*Ortsgruppen*). W połowie 1939 r. teren Rzeszy był podzielony na 813 jednostek terytorialnych określanych jako *Kreise*.

Kripo (Kriminalpolizei) — niemiecka policja kryminalna, zajmująca się walką z przestępczością pospolitą. W 1936 r., wskutek starań *Reichsjührera-SS* Heinricha Himmlera scentralizowana, podporządkowana SS, a następnie włączona wraz z Tajną Policją Państwową (*Geheime Staatspolizei; Gestapo*) w skład policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei; Sipo*). W 1939 r., po formalnej likwidacji *Sipo*, weszła w skład Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt; RSHA*) jako jej V Urząd (departament; *Amt*). Do 1944 r. na czele *Kripo* stał Artur Nebe, a następnie bezpośrednio szef RSHA Ernst Kaltenbrunner.

Kristallnacht (niem.: noc kryształowa) — pogromy ludności żydowskiej w Niemczech przeprowadzone w nocy z 9 na 10 listopada 1938 r. Ich nazwa nawiązywała do szkła z rozbijanych przez tłum witryn sklepów żydowskich. Zorganizowane przez nazistów na fali antysemitycznej hysterii, która ogarnęła społeczeństwo III Rzeszy po zastrzeleniu przez szesnastoletniego Żyda polskiego pochodzenia, Herschela Grynszpana, radcy ambasady niemieckiej w Paryżu Ernsta vom Ratha (7 listopada 1938 r.). Podczas pogromów zginęło 91 osób, zniszczono 267 synagog, zdewastowano 7,5 tysiąca sklepów, a ok. 20-30 tysięcy osób osadzono w obozach koncentracyjnych. *Kristallnacht* stała się początkiem nowego etapu prześladowań ludności żydowskiej w III Rzeszy.

Kulturabteilung (niem.: oddział kulturalny) — w KL Auschwitz nazwa wchodzącego w skład aparatu administracyjnego podległego komendantowi obozu Oddziału VI, zajmującego się organizacją szkolenia ideologicznego i życia „kulturalnego” obozowej

załogi. Na czele oddziału stał funkcjonariusz posługujący się tytułem *Leiter*. W latach 1941-1945 funkcję tę pełnił Kurt Knittel.

Landser — w języku niemieckim potoczne określenie szeregowego żołnierza.

Lebensborn (niem.: źródło życia) — niemieckie stowarzyszenie, oficjalnie deklarujące realizację celów opiekuńczo-charytatywnych, założone w 1936 r. z inicjatywy kierownictwa SS. Organizacji tej patronował osobiście *Reichsßhrrer-SS* Heinrich Himmler. Jej rzeczywiste zadania wynikały z nazistowskich koncepcji rasowych i były ukierunkowane na działania zmierzające do zwiększenia liczebności populacji charakteryzującej się rzekomymi cechami „nordyckimi”. Zgodnie ze swym statutem *Lebensborn* miał koncentrować się głównie na udzielaniu pomocy „wartościowym rasowo” rodzinom wielodzietnym oraz samotnym matkom, a także na pośrednictwie w zakresie polityki adopcyjnej. W rzeczywistości działacze tego stowarzyszenia dopuszczali się (zwłaszcza na terenach podbitych przez III Rzeszę) licznych przestępstw polegających głównie na odbieraniu dzieci o cechach „nordyckich” prawowitym rodzicom, reedukowaniu ich w specjalnych ośrodkach, a następnie przekazywaniu do adopcji rodzinom funkcjonariuszy SS. Całkowitą liczbę takich przypadków szacuje się na co najmniej kilkadziesiąt tysięcy. *Lebensborn* istniał do 1945 r. Trybunał Denazyfikacyjny w Monachium uznał jego działalność za zbrodniczą.

Leiter (niem.: naczelnik, przewodnik, lider) — **1)** nazwa wysokiej funkcji urzędniczej w administracji niemieckiej. Przysługiwała zazwyczaj osobom kierującym oddziałami lub departamentami niemieckich urzędów centralnych (np. *Leiter der Kulturabteilung im Auswärtigen Amt*); **2)** nazwa funkcji partyjnej w NSDAE Przysługiwała liderowi organizacji terenowej partii nazistowskiej (np. *Gauleiter, Kreisleiter, Ortsgruppenleiter, Zellenleiter, Blockleiter*), a także wąskiej grupie działaczy wchodzących w skład ścisłego kierownictwa NSDAP (*Reichsleiter*); **3)** funkcyjny oficer SS w sztabach *Einsatzgruppen* oraz dowództwach wchodzących w skład tych grup *Teilkommandos*; **4)** w niemieckich obozach koncentracyjnych tytuł przysługujący kierownikom Oddziałów II (*Politische Abteilung*) i VI (*Kulturabteilung*), a także niektórym innym funkcjonariuszom SS, m.in. kierownikom krematoriów (*Leiter Krematorien*).

LSSAH (Leibstandarte-SS Adolf Hitler) — nazwa najbardziej elitarnej jednostki bojowej *Waffen-SS*. Jednostka została utworzona na bazie powstałego w 1933 r. niewielkiego oddziału straży przybocznej Hitlera (*SS-Stabswache Berlin*), systematycznie rozbudowywanego do siły pułku (połowa lat 30.), brygady (1940 r.); dywizji grenadierów pancernych (*SS-Panzer-Grenadier-Division LSSAH*; 1942 r.) i wreszcie dywizji pancerniej (*1. SS-Panzer-Division Leibstandarte-SS Adolf Hitler*, październik 1943 r.) w sile ok. 20 tysięcy żołnierzy oraz 160 czołgów. Kilkakrotnie rozbijana w walkach i odtwarzana na zapleczu działań wojennych, LSSAH walczyła na różnych frontach II wojny światowej, m.in. w Polsce, Holandii, Francji, Jugosławii, Grecji, Związku Sowieckim, Normandii, podczas ofensywy w Ardenach, na Węgrzech oraz w Austrii. Podczas walki żołnierze dopuszczali się zbrodni na jeńcach wojennych i cywilach.

Militärbefehlshaber — niemiecki dowódca jednego z okupacyjnych okręgów wojskowych skupiający w swoim ręku pełnię władzy na podległym sobie terenie. W okresie II wojny światowej istniało pięć takich okręgów okupacyjnych: *Belgien und Nordfrankreich* (Belgia i północna Francja), *Frankreich* (Francja), *Saloniki-Ägäis* (Saloniki-Morze Egejskie), *Serbien* (Serbia) i *Südgriechenland* (południowa Grecja).

Mischlinge (niem.: mieszańcy) — jedna z kategorii „rasowych” w III Rzeszy, wyodrębniona przez nazistów na podstawie przepisów tzw. ustaw norymberskich z września 1935 r. Za „mischlingów” uznano obywateli niemieckich, którzy posiadali jednego lub dwóch żydowskich przodków w II pokoleniu (dziadków). Pierwszą z tych kategorii określano jako mieszańców I stopnia, zaś drugą — mieszańców II stopnia. W 1939 r. na terenie Niemiec przebywało ponad 110 tysięcy osób zaliczonych do obu kategorii „mischlingów”.

Nebenlager — podobóz, filia głównego obozu koncentracyjnego (*Konzentrationslager*, KL). Na przykład KL Auschwitz dysponował łącznie 44 podobozami, z których 28 pełniło funkcję tzw. podobozów przemysłowych. Najczęściej podobozy te były usytuowane w pobliżu fabryk, hut i kopalni, których zarządy, w porozumieniu z komendą obozu, wykorzystywały więźniów do pracy niewolniczej (*Arbeitseinsatz*).

NSKK (Nationalsozialistisches Kraftfahrkorps) — Narodowo-Socjalistyczny Korpus Motorowy; utworzona w 1931 r. organizacja paramilitarna NSDAP, pełniąca początkowo funkcję oddziałów zmotoryzowanych *Sturmabteilung* (SA). Od 1934 r. działała samodzielnie. Do podstawowych zadań Korpusu należało prowadzenie szkoleń poborowych przeznaczonych do służby w pancernych i zmotoryzowanych jednostkach wojskowych. W połowie lat 30. XX wieku organizacja liczyła około 10 tysięcy członków. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze potępił działalność NSKK, jednak nie uznał go za organizację przestępczą.

NSV (Nationalsozialistische Volkswohlfahrt) — Narodowosocjalistyczna Ludowa Opieka Społeczna; niemiecka organizacja charytatywna, od 1931 r. działająca w Berlinie, od maja 1933 r. na terenie całego kraju. W krótkim czasie wchłonęła lub opanowała inne stowarzyszenia zajmujące się opieką społeczną, stając się jedną z najbardziej masowych organizacji społecznych w III Rzeszy. W 1939 r. skupiała w swoich szeregach 12,5 miliona członków. Początkowo jej głównym kierunkiem działania była pomoc ofiarom przedłużającego się kryzysu gospodarczego: osobom bezrobotnym i znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej. Później NSV zajmowała się również opieką nad matką i dzieckiem, prowadzeniem przedszkoli, pomocą młodzieży, współpracą z Niemieckim Związkiem Kobiet, zwalczaniem gruźlicy, upowszechnianiem opieki stomatologicznej, pomocą bezdomnym oraz rozbudową sieci kuchni dla ubogich.

OKHG (Oberkommando der Heeresgruppe) — dowództwo niemieckiej grupy armii (związku operacyjnego składającego się z kilku armii).

Orpo (Ordnungspolizei) — działająca w latach 1936-1945 niemiecka policja porządkowa, od koloru mundurów nazywana potocznie „zieloną policją”. Formacją tą kierował Kurt Dalwege. Podporządkowana SS, dzieliła się na szereg wyspecjalizowanych formacji policyjnych, m.in.: *Schutzpolizei* (*Schupo*; policja miejska), *Gendarmerie* (żandarmeria, zwana też policją wiejską), *Bahnschutzpolizei* (policja kolejowa), *Feuerschutzpolizei* (zawodowa straż pożarna — w strukturach *Orpo* od 1938 r.), *Postschutz* (policja pocztowa, zajmująca się ochroną placówek pocztowych oraz sieci telefonicznej i telegraficznej), *Wasserschutzpolizei* (policja wodna), *Verwaltungspolizei*

(policja administracyjna, której zadaniem była kontrola przestrzegania różnego rodzaju rozporządzeń administracyjnych, m.in. w zakresie budownictwa, opieki zdrowotnej oraz handlu), *Werkschutzpolizei* (wchodząca w skład *Orpo* formacja paramilitarna zajmująca się ochroną zakładów przemysłowych) i inne.

Ortskommandant — komendant polowy (placu, garnizonu, miasta), niemiecki oficer stojący na czele komendantury polowej (*Ortskommandantur*), pełniącej w miejscowościach zajętych przez Wehrmacht funkcję lokalnej okupacyjnej administracji wojskowej.

Ostministerium — potoczna nazwa utworzonego w czerwcu 1941 r. Ministerstwa Rzeszy dla okupowanych Obszarów Wschodnich (*Reichsministerium für die besetzten Ostgebiete*). Ministerstwem, którego kompetencje rozciągały się na terytoria krajów nadbałtyckich, północno-wschodniej Polski oraz na zajęte przez Wehrmacht obszary Związku Sowieckiego, kierował Alfred Rosenberg.

OT (Organisation Todt) — wyspecjalizowana paramilitarna organizacja techniczna w III Rzeszy, utworzona w 1938 r. z inicjatywy inżyniera i działacza nazistowskiego Fritza Todta (od marca 1940 r. ministra Rzeszy do spraw uzbrojenia i amunicji). Jej głównym zadaniem była realizacja wielkich inwestycji militarnych, m.in. umocnień na Linii Zygfryda, Wale Atlantyckim i Linii Gustawa. Uczestniczyła także w pracach nad rozbudową niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Pod koniec wojny w jej szeregach służyło około 340 tysięcy osób. OT na szeroką skalę korzystała również z pracy niewolniczej w ramach programu *Arbeitseinsatz*; szacuje się, że na rzecz Organizacji Todta pracowało 1,4 miliona jeńców wojennych i więźniów obozów koncentracyjnych (*Häftlinge*). Po śmierci jej założyciela, w wypadku lotniczym w 1942 r., nowym zwierzchnikiem OT został Albert Speer.

OUN (Orhanizacija Ukrajnińskich Nacionalistiw) — Organizacja Ukraińskich Nacionalistów, skrajnie nacjonalistyczna ukraińska organizacja polityczna, powołana do życia w 1929 r., w celu walki o utworzenie „niezależnego, zjednoczonego państwa narodu ukraińskiego”. W okresie międzywojennym działała nielegalnie głównie na terenie Polski

południowo-wschodniej, posługując się terrorem i dywersją. W okresie II wojny światowej w Organizacji nastąpił rozłam na dwie zwalczające się frakcje, na których czele stali: Stepan Bandera (OUN-B; tzw. banderowcy) oraz Andrij Melnyk (OUN-M; tzw. melnykowcy). Obie frakcje zabiegały intensywnie, choć bez powodzenia, o zdobycie poparcia III Rzeszy dla programu odbudowy niezależnego państwa ukraińskiego. Szczególnie daleko w kolaboracji z hitlerowcami posunęła się frakcja Melnyka, angażując się w 1943 r. w organizację ukraińskiej 14. Dywizji Grenadierów SS (potocznie nazywanej dywizją S5 *Galizien-Hatyczyna*), rozbitej w lipcu 1944 r. Po zakończeniu II wojny światowej OUN aż do lat 50. XX wieku kierowała działaniami ukraińskiego podziemia zbrojnego (tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii) na terenie sowieckiej Ukrainy oraz południowo-wschodniej Polski.

Parteiführer (niem.: przywódca partyjny, lider partii) — w NSDAP tytuł przysługujący Adolfowi Hitlerowi od 1921 r. (w 1934 r. zmieniony na *Führer und Reichskanzler* — wódz i kanclerz Rzeszy). W potocznym znaczeniu określenia *Parteiführer* używano także w odniesieniu do liderów innych ugrupowań politycznych lub lokalnych przywódców NSDAP.

Parteigenosse (niem.: towarzysz partyjny, członek partii) — w III Rzeszy oficjalny zwrot na określenie członka NSDAP, stosowany np. w korespondencji partyjnej.

Politische Abteilung (niem.: oddział polityczny) — nazwa Oddziału II wchodzącego w skład aparatu administracyjnego podległego komendantowi niemieckiego obozu koncentracyjnego. Jego pracownicy zajmowali się m.in. rejestracją nowo przybyłych więźniów (*Häftlinge*), przeprowadzali procedury zwolnienia lub przeniesienia więźniów do innego obozu, badali przypadki śmierci lub uciezek osadzonych, prowadzili przesłuchania oraz obozową kartotekę. Na czele oddziału stał funkcjonariusz posługujący się tytułem *Leiter*. Z reguły był to urzędnik Tajnej Policji Państwowej (*Geheime Staatspolizei; Gestapo*) lub Policji Kryminalnej (*Kriminalpolizei; Kripo*), dlatego też potocznie strukturę tę nazywano *Lager-Gestapo*. Na przykład w KL Auschwitz *Politische Abteilung* kierowali: Maximilian Grabner, a następnie Hans Schurz.

Rassenschande (niem.: pohańbienie rasy) — pojęcie wykorzystywane w propagandzie nazistowskiej, a także przestępstwo karne w świetle uchwalonej we wrześniu 1935 r. *Ustawy o ochronie niemieckiej krwi i czci* (jednej z tzw. ustaw norymberskich). Pojęcie to oznaczało niedozwolone zawieranie przez „osoby krwi niemieckiej” związków małżeńskich lub utrzymywanie stosunków intymnych z Żydami, za co groziła w III Rzeszy kara pozbawienia wolności. W latach 1935-1943 za „pohańbienie rasy” skazano w Niemczech 2211 osób.

Reichsführer-SS — od 1925 r. tytuł, od 1934 r. najwyższy stopień w SS. W latach 1929-1945 przysługiwał wyłącznie Heinrichowi Himmlerowi. W ostatnich dniach wojny Hitler podjął decyzję o pozbawieniu Himmlera piastowanych przez niego stanowisk, a do stopnia *Reichsführera-SS* awansował *Gauleitern* Dolnego Śląska Karla Hanke.

RSHA (ReichsSicherheitshauptamt) — Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, instytucja koordynująca działalność policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei; Sipo*) i wywiadu politycznego hitlerowskich Niemiec. Utworzony we wrześniu 1939 r. rozkazem *Reichsführem-SS* Heinricha Himmlera, RSHA kierował działaniami różnych formacji policyjnych, w tym Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst; SD*), Tajnej Policji Państwowej (*Geheime Staatspolizei; Gestapo*) i Policji Kryminalnej (*Kriminalpolizei; Kripo*). Składał się z siedmiu departamentów, zwanych urzędami (*Amt*): I (personalny), II (budżet, administracja, organizacja), III (*SD-Inland* — wywiad wewnętrzny, obsadzony przez część funkcjonariuszy SD), IV („Inwigilacja i walka z przeciwnikami” — obsadzony przez funkcjonariuszy *Gestapo*), V („walka z kryminalistami” — kierowany przez funkcjonariuszy *Kripo*), VI (*SD-Ausland* — obsadzony przez część funkcjonariuszy SD) oraz VII (walka ideologiczna — kontrolowany przez część funkcjonariuszy SD). Na czele poszczególnych departamentów stali urzędnicy państwowi posługujący się tytułem *Amtchef*. Całością prac RSHA kierowali kolejno Reinhard Heydrich (1939-1942), Bruno Streckenbach (1942-1943) oraz Ernst Kaltenbrunner (1943-1945). Istnienie tej instytucji było utrzymywane w ścisłej tajemnicy, a jej szefowie używali oficjalnie tytułu: szef policji bezpieczeństwa i SD. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał RSHA za organizację zbrodniczą.

Rückkämpfer (niem.: niedobitki, maruderzy) — żołnierze z rozbitych jednostek Wehrmachtu usiłujący uniknąć niewoli i dołączyć do głównych sił armii niemieckiej. Określenie stosowane m.in. w odniesieniu do żołnierzy z oddziałów *Heeresgruppe „Mitte”* (Grupy Armii Środek) rozbitych na Białorusi w trakcie przeprowadzonej latem 1944 r. przez Armię Czerwoną tzw. operacji Bagration.

RuSHA (Rasse- und Siedlungshauptamt der SS) — Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS. Jeden z głównych urzędów SS, podległy bezpośrednio *Reichsführerowi-SS* Heinrichowi Himmlerowi. Utworzony w styczniu 1935 r. na bazie wcześniejszej, istniejącej od 1931 r., struktury organizacyjnej. Zajmował się głównie sprawami kontroli „czystości rasowej” funkcjonariuszy SS i ich rodzin, a także zagadnieniami związanymi z programem niemieckiego osadnictwa na podbitych przez III Rzeszę terenach wschodnich.

Schutzhaftreferat — potoczne określenie komórki organizacyjnej w strukturach niemieckiej Tajnej Policji Państwowej (*Geheime Staatspolizei; Gestapo*), podejmującej decyzje o tzw. areszcie ochronnym (*Schutzhaft*) „wobec osób, które przejawiają wrogie postawy i poprzez swoje zachowanie zagrażają bezpieczeństwu narodu i Państwa”. Decyzje takie podejmowano w trybie administracyjnym na podstawie stale rozszerzanych przepisów *Dekretu o ochronie Narodu i Państwa* z lutego 1933 r. Osoby, wobec których zastosowano decyzję o areszcie ochronnym, umieszczano w obozach koncentracyjnych. W okresie II wojny światowej komórką nadzorującą stosowanie na wielką skalę tej procedury represyjnej była sekcja 2 (*Schutzhaftangelegenheiten*) Wydziału C (*Karteiwesen*) w Urzędzie (departamencie; *Amt*) IV (*Gestapo*) Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt; RSHA*). Sekcją tą, oznaczoną jako „IV C 2”, kierował Emil Berndorff.

Schupo (Schutzpolizei) — niemiecka policja miejska, wchodząca w skład niemieckiej policji porządkowej (*Ordnungspolizei; Orpo*). Działała zarówno w dużych miastach (*Schutzpolizei des Reiches*), jak i w mniejszych miasteczkach (*Schutzpolizei der Gemeinden*).

SD (Sicherheitsdienst) — Służba Bezpieczeństwa, wywiad polityczny partii nazistowskiej, utworzony w 1931 r. w strukturach SS przez Reinharda Heydricha. W 1939 r. podporządkowana Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RSHA), w którym jej funkcjonariusze obsadzili departamenty: III, VI i VII. Kierownictwo SD przez dłuższy czas rywalizowało z dowództwem wywiadu wojskowego (*Abwehry*), a w 1944 r. zdołało przejąć zwierzchnictwo nad wieloma jego komórkami organizacyjnymi. Funkcję szefa SD pełnili: Reinhard Heydrich (do maja 1942 r.), a następnie Ernst Kaltenbrunner. W procesie norymberskim Służba Bezpieczeństwa została uznana za organizację zbrodniczą.

SEk (Sondereinsatzkommando) (niem.: oddział do zadań specjalnych) — nazwa oddziałów policyjnych składających się z funkcjonariuszy niemieckiej policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*; *Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*; SD), wyspecjalizowanych w realizacji założeń polityki masowej zagłady ludności żydowskiej na terenach okupowanych przez III Rzeszę. Najbardziej znanym oddziałem tego typu było dowodzone osobiście przez Adolfa Eichmanna *Sondereinsatzkommando Ungarn*, które w marcu 1944 r. przystąpiło do akcji eksterminacji węgierskich Żydów. W jej wyniku od maja do lipca 1944 r. wywieziono do obozów koncentracyjnych (głównie KL Auschwitz) ponad 430 tysięcy osób, z których zdecydowaną większość później wymordowano.

Sk (Sonderkommando) (niem.: oddział specjalny) — **1)** zorganizowana grupa więźniów wykorzystywana w niemieckich obozach zagłady do prac związanych z procesem masowej eksterminacji lub też do zacierania po nim śladów (np. do wynoszenia ciał z komór gazowych, wrywania ofiarom złotych zębów oraz palenia zwłok). Członkami tych jednostek byli zazwyczaj więźniowie narodowości żydowskiej, potocznie określani jako *Arbeitsjuden* (niem.: Żydzi pracujący); **2)** zorganizowana grupa funkcjonariuszy niemieckiej policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*; *Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*; SD) w sile kompanii. Obok jednostek zwanych Einsatzkommandami (*Einsatzkommandos*) grupy te stanowiły część składową powołanych przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*; RSHA) formacji policyjnych w sile

batalionu (tzw. *Einsatzgruppen*), przeznaczonych do realizacji nazistowskiej polityki ludobójstwa na terenach podbitych przez III Rzeszę.

Sonderbehandlung (niem.: specjalne traktowanie) — eufemistyczne określenie stosowane przez nazistów podczas II wojny światowej na oznaczenie prowadzonej przez nich polityki masowego ludobójstwa. Po raz pierwszy użyte w okólniku szefa policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei; Sipo*) i Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst; SD*) Reinharda Heydricha do wszystkich urzędów policji państwowej z 20 września 1939 r. Pojęcie to było używane zamiennie z takimi określeniami, jak: *allgemeine Lösung* (niem.: powszechne rozwiązanie), *völlige Lösung* (niem.: całkowite rozwiązanie), *Endlösung* (niem.: ostateczne rozwiązanie), *Deportation* (niem.: deportacja), *Evakuierung* (niem.: ewakuacja), a z czasem także *durchgeschleust* (niem.: przeprowadzenie [przez obóz zagłady]).

SP, Sipo (Sicherheitspolizei) — policja bezpieczeństwa, jedna z państwowych formacji politycznych, utworzona w 1936 r. na bazie Policji Kryminalnej (*Kriminalpolizei; Kripo*) oraz Tajnej Policji Państwowej (*Geheime Staatspolizei; Gestapo*). Jej utworzenie miało związek z podejmowanymi przez *Reichsführera-SS* Heinricha Himmlera staraniami mającymi na celu podporządkowanie kierownictwu NSDAP całości formacji policyjnych III Rzeszy. Wkrótce po utworzeniu zwierzchnictwo nad *Sipo* objął szef Służby Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst; SD*) — Reinhard Heydrich. Od 1936 r. poza *Sipo* pozostawała tzw. policja porządkowa (*Ordnungspolizei; Orpo*). W 1939 r. *Sipo* formalnie przestała istnieć, a oba jej człony (*Gestapo* i *Kripo*) włączono do struktur Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt; RS HA*).

Sperrkommando — oddział zaporowy, specjalna jednostka policyjna, wykorzystywana do zwalczania defetyzmu i demoralizacji na bezpośrednim zapleczu frontu. Do jej zadań należało m.in. stosowanie doraźnych represji wobec osób nawołujących do zaprzestania walki oraz dezertersów z jednostek liniowych Wehrmachtu. Oddziały te były wykorzystywane przez nazistów do podtrzymywania dyscypliny w niemieckim społeczeństwie zwłaszcza w ostatnich tygodniach II wojny światowej.

Spieß — potoczne określenie podoficera starszego („głównego sierżanta”) piastującego w Wehrmachcie wprowadzoną w 1938 r. funkcję *Hauptfeldwebel* (szefa kompanii).

SS (Schutzstaffel der NSDAP) — Sztafeta Ochronna (Szwadron Ochronny) NSDAP, utworzona w 1925 r. bojówka partii nazistowskiej pełniąca funkcję osobistej ochrony Adolfa Hitlera. Od 1929 r. dowodzona przez Heinricha Himmlera, posługującego się stopniem *Reichsführera-SS*. Członkowie SS odegrali istotną rolę w likwidacji wewnętrznej opozycji w NSDAP podczas tzw. nocy długich noży (30 czerwca 1934 r.). W drugiej połowie lat 30. znaczenie SS szybko wzrosło, gwałtownie następowała również rozbudowa trzech zasadniczych pionów tej formacji: *Allgemeine-SS* (Ogólna SS — pion pełniący rolę zaplecza polityczno-wychowawczego SS), *SS-Totenkopfverbände* (tzw. Oddziały Trupich Główek, jednostki pełniące służbę w obozach koncentracyjnych; *Konzentrationslager*; KL) oraz *SS-Verfügungstruppen* (Oddziały Dyspozycyjne SS) — od 1940 r. *Waffen-SS* (wojska SS). Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał SS za organizację zbrodniczą.

SS-Aufseherin (SS-Aufseherinnen, Im) — funkcjonariuszka SS, pełniąca w latach 1938-1945 różne funkcje nadzorcze w niemieckich obozach koncentracyjnych.

SS-FHA (SS-Führungshauptamt) — Główny Urząd Dowodzenia SS, utworzona w sierpniu 1940 r. instytucja koordynująca działalność różnych struktur organizacyjnych składających się na szeroko pojętą formację SS (*Schutzstaffel der NSDAP*). Tworzyły go cztery „grupy urzędów” (*Amtsgruppe*), w skład których wchodziło 16 urzędów (*Amt*) oraz 13 inspektoratów. *Amtsgruppe A* zajmowała się sprawami organizacyjnymi, personalnymi i logistyką, *Amtsgruppe B* nadzorowała system szkolnictwa wojskowego SS, *Amtsgruppe C* koordynowała prace inspektoratów poszczególnych rodzajów broni (piechoty, kawalerii, artylerii, saperów itp.), natomiast *Amtsgruppe D* pełniła rolę kierownictwa służby zdrowia *Waffen-SS* (oddziałów wojskowych SS). Do stycznia 1943 r. SS-FHA kierował *Reichsführer-SS* Heinrich Himmler, później jego miejsce zajął Hans Jüttner.

SSPF (SS- und Polizeiführer) — dowódca SS i policji. Tytuł przysługujący urzędnikowi dowodzącemu przed i w czasie II wojny światowej jednostkami policyjnymi na obszarach

kontrolowanych przez III Rzeszę. Służbowo podlegał funkcjonariuszom piastującym stanowiska wyższego dowódcy SS i policji (*Höhere SS- und Polizeiführer*, HSSPF).

SSPHA (SS-Personalhauptamt) — Główny Urząd Personalny SS, jeden z najważniejszych urzędów podległych bezpośrednio *Reichsführerowi-SS* Heinrichowi Himmlerowi. Na jego czele do kwietnia 1942 r. stał Walter Schmitt, a następnie Maximilian von Herff.

Stammlager — 1) (*Stalag; Stammlager für kriegsgefangene Mannschaften und Unteroffiziere*) w czasie II wojny światowej niemiecki obóz jeniecki dla szeregowców i podoficerów wojsk lądowych państw koalicji antyhitlerowskiej. Szeregowcy i podoficerowie sił powietrznych osadzani byli obozach, określanych jako *Stalag Luft* (*Stammlager für kriegsgefangene Luftwaffenangehörige*), natomiast marynarze marynarki wojennej trafiali do obozów nazywanych *Marlag* (*Merinekriegsgefangenenlager für Marineangehörige*). **2)** obóz macierzysty, główny obóz w określonym kompleksie niemieckich obozów koncentracyjnych. Na przykład w kompleksie obozowym Auschwitz funkcję obozu macierzystego pełnił KL Auschwitz I.

Standortälteste — dowódca garnizonu (np. garnizonu wojskowego lub garnizonu SS w obozie koncentracyjnym).

Teilkommando — pododdział, najmniejsza jednostka organizacyjna wchodząca w skład powołanych przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt; RSHA*) policyjnych grup operacyjnych (tzw. *Einsatzgruppen*). Pojęciem *Teilkommandos* określano zarówno jednostki policyjne w sile kompanii, zwane *Sonderkommandos* lub *Einsatzkommandos*, jak też wydzielone z nich mniejsze zespoły funkcjonariuszy (*Vorkommando*). Na czele takich pododdziałów stali policyjni urzędnicy posługujący się tytułem *Teilkommandoführer*.

Teilkommandoführer — dowódca pododdziału zwanego *Teiikommando*, składającego się z funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei; Sipo*) oraz Służby

Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*; SD) i wchodzącego w skład niemieckich policyjnych grup operacyjnych (*Einsatzgruppen*), powołanych do realizacji nazistowskiej polityki ludobójstwa na terenach podbitych przez III Rzeszę.

Untermensch (niem.: podczłowiek) — określenie stosowane w propagandzie nazistowskiej w odniesieniu do „niearyjskich” grup etnicznych uznanych za upośledzone, a także w stosunku do środowisk i grup w społeczeństwie niemieckim, które nie spełniały hitlerowskich standardów dotyczących „ochrony jakości niemieckiej rasy”. W pierwszym wypadku terminu tego używano głównie wobec Żydów, Romów oraz przedstawicieli narodów słowiańskich (przede wszystkim Polaków i Rosjan), w drugim zaś — m.in. wobec niepełnosprawnych fizycznie lub umysłowo, przedstawicieli mniejszości seksualnych oraz świadków Jehowy.

Vernichtung durch Arbeit (niem.: wyniszczenie przez pracę) — jedna z podstawowych zasad funkcjonowania niemieckich obozów koncentracyjnych w okresie II wojny światowej. Na jej podstawie więźniowie (*Häftlinge*) byli zmuszani do wykonywania pracy niewolniczej na rzecz gospodarki III Rzeszy aż do całkowitego wycieńczenia organizmu. Osoby, które utraciły zdolność do dalszej pracy, a więc stawały się bezproduktywne z punktu widzenia administracji obozowej, były eksterminowane.

Vertrauensmann (V-Mann; Im V-Männer) — tajny współpracownik policji politycznej lub służb wywiadowczych III Rzeszy, niekiedy określany także mianem *Vertrauensperson* (*V-Person*).

Verwaltungsführer — 1) oficer SS pełniący funkcję kierownika Oddziału IV (*Verwaltung*) w niemieckim obozie koncentracyjnym, kierownik gospodarczy lub administracyjny obozu. Zajmował się zarządzaniem majątkiem obozowym i należącym do więźniów, zaopatrzeniem w żywność i odzież, sprawami finansowymi itp.; 2) oficer gospodarczy SS (kwatermistrz) w sztabach policyjnych „grup operacyjnych” (*Einsatzgruppen*) i dowództwach pododdziałów (*Teilkommandos*) wchodzących w skład tych grup.

Verwertung (niem.: ekonomiczne wykorzystanie, spożytkowanie) — w nazistowskim żargonie urzędniczym określenie takich działań, jak wyrywanie złotychębów lub obcinanie włosów ofiarom ludobójstwa w niemieckich obozach koncentracyjnych (ośrodkach masowej zagłady). Czynności te (wykonywane zazwyczaj przez odpowiednie *Sonderkommando* obozowe) były rezultatem zbrodniczego dążenia nazistów do maksymalizacji zysków ekonomicznych, osiąganych w trakcie realizacji programu masowej eksterminacji.

Volksgemeinschaft (niem.: wspólnota narodowa) —w propagandzie hitlerowskiej określenie używane w odniesieniu do idei wspólnoty narodu niemieckiego definiowanego w kontekście nazistowskich „kryteriów rasowych”. W latach 1933-1945 lansowana przez hitlerowców idea narodu niemieckiego jako społecznego, politycznego i kulturowego monolitu znajdowała swoje odzwierciedlenie w kulturze i sztuce III Rzeszy, była również ważnym elementem nazistowskiego programu wychowania młodzieży.

Volkssturm — niemiecka formacja pospolitego ruszenia powołana do życia dekretem Adolfa Hitlera z września 1944 r. Pomysłodawcą był ówczesny szef sztabu niemieckiego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (*Oberkommando des Heeres*; OKH) gen. Heinz Guderian. Do jej szeregów zamierzano wcielać mężczyzn w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat, którzy nie zostali jeszcze powołani do Wehrmachtu. Za tworzenie *Volksstunnu* miały odpowiadać terenowe władze NSDAP. Docelowo formacja ta miała liczyć około 6 milionów żołnierzy zorganizowanych w ponad 6700 batalionów. W rzeczywistości udało się utworzyć 700 batalionów. Ze względu na słabe wyszkolenie i niedostateczne zaopatrzenie w broń jednostki *Volksstunnu* nie wpłynęły w istotnym stopniu na przebieg walk w ostatnich miesiącach wojny.

völlige Lösung (niem.: całkowite rozwiązanie) — jeden z eufemizmów wykorzystywanych przez nazistów na określenie założeń planu masowej eksterminacji narodu żydowskiego. Stosowany zamiennie z takimi określeniami, jak m.in.: *allgemeine Lösung* (niem.: ogólne, powszechne rozwiązanie), *Sonderbehandlung* (niem.: specjalne traktowanie) oraz *durchgeschleust* (niem.: przeprowadzenie [przez obóz zagłady]).

Vorkommando — oddział rozpoznawczy, specjalna jednostka policyjna działająca w strukturach niemieckich *Einsatzgruppen*, operujących na zajętych przez Wehrmacht terenach Związku Sowieckiego w okresie II wojny światowej. Najbardziej znaną formacją tego typu było *Vorkommando Moskau*, działające w strukturach *Einsatzgruppe B* w ramach niemieckiej *Heeresgruppe B* (Grupy Armii B znanej później jako *Heeresgruppe „Mitte”*, Grupa Armii Środek), tj. na Białorusi oraz Smoleńszczyźnie w kierunku na Moskwę. Głównym zadaniem *Vorkommando Moskau* miało być wkroczenie do zajętej przez Wehrmacht stolicy Związku Sowieckiego i przeprowadzenie tam pierwszych działań represyjnych. W związku z załamaniem się ofensywy niemieckiej na kierunku moskiewskim, jednostka założyła kwaterę główną w Smoleńsku, uczestnicząc w niemieckich operacjach eksterminacyjnych na tamtym terenie. Szacuje się, że jej członkowie zamordowali blisko 4700 osób. W czerwcu 1942 r. jednostka została przemianowana na *Sonderkommando 7c*, a w grudniu 1943 r. włączona do *Sonderkommando 76*.

Waffen-SS — wojska SS, utworzone w 1940 r. na bazie istniejących wcześniej tzw. oddziałów dyspozycyjnych SS (*SS-Verfügungstruppen*). Walczyły na różnych frontach II wojny światowej obok jednostek Wehrmachtu, zachowały jednak własną, niezależną od wojskowej, strukturę organizacyjną. Podporządkowane *Reichsführerowi-SS* Heinrichowi Himmlerowi, miały stanowić formację elitarną bazującą na zaciągu ochotniczym prowadzonym w środowiskach zdeklarowanych zwolenników ideologii nazistowskiej, przede wszystkim w terenowych strukturach *Allgemeine-SS*. Konieczność stałej rozbudowy organizacyjnej oraz uzupełniania strat bojowych spowodowała, że w trakcie przedłużających się działań wojennych zasady naboru do tych jednostek zostały złagodzone. W końcowym okresie wojny w skład wojsk SS wchodziło 38 dywizji (jedną z najsłynniejszych była *Leibstandarte-SS Adolf Hitler*; LSSAH) liczących łącznie około 900 tys. żołnierzy, z czego około 200 tys. stanowili ochotnicy-obcokrajowcy. Wojska SS zostały przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznane za organizację zbrodniczą.

Wandervögel (niem.: wędrowne ptaki) — niemiecki ruch młodzieżowy, zainicjowany w 1896 r. w Berlinie. Powstał w dużej mierze jako wyraz sprzeciwu części młodego

pokolenia wobec konserwatywnych reguł rządzących społeczeństwem kajzerowskich Niemiec. Odwoływał się do romantycznie pojmowanego niemieckiego patriotyzmu ponad podziałami politycznymi. Propagując kult natury oraz aktywności fizycznej, chętnie wykorzystywał formy działania charakterystyczne dla skautingu. Razem z pokrewnymi środowiskami tworzył tzw. Niemiecki Ruch Młodzieży (*Die deutsche Jugendbewegung*). Po I wojnie światowej część działaczy *Wandervögel* zaangażowała się w działalność partii nazistowskiej. Mimo to po dojściu Hitlera do władzy dalsza działalność ruchu, podobnie jak innych środowisk skupionych w Niemieckim Ruchu Młodzieży, została zakazana.

Wehrmacht — siły zbrojne III Rzeszy. Podjęta w marcu 1935 r. decyzja o ich utworzeniu stanowiła naruszenie podpisanego przez Niemcy w 1919 r. traktatu wersalskiego. Składały się z wojsk lądowych (*Heer*), lotnictwa (*Luftwaffe*) oraz marynarki wojennej (*Kriegsmarine*). Do lutego 1938 r. funkcję Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych pełnił minister wojny feldmarszałek Werner von Blomberg, a następnie stanowisko to objął Adolf Hitler, któremu podległ aparat nowo utworzonego Dowództwa Sił Zbrojnych (*Oberkommando der Wehrmacht*; OKW) na czele z generałem (od lipca 1940 r. feldmarszałkiem) Wilhelmem Keitlem jako szefem OKW oraz generałem Alfredem Jodlern, jego najbliższym współpracownikiem. W czasie II wojny światowej OKW pełniło funkcję centrum dowodzenia niemieckimi siłami zbrojnymi. W tym czasie podlegały mu dowództwa trzech rodzajów wojsk: lądowych (*Oberkommando des Heeres*; OKH — dowódca feldmarszałek Walther von Brauchitsch, a następnie osobiście Adolf Hitler), sił powietrznych (*Oberkommando der Luftwaffe*; O KL — dowódca marszałek Rzeszy Hermann Göring) oraz marynarki wojennej (*Oberkommando der Marine*; O KM — dowódca admirał wielki Erich Raeder, a następnie admirał wielki Karl Dönitz). W okresie II wojny światowej liczebność niemieckich sił zbrojnych wzrosła z blisko 4 mln żołnierzy w 1939 r. do 11 mln w 1944 r. W tym czasie przez szeregi Wehrmachtu przewinęło się około 17 mln żołnierzy, z których zginęło 4,7 mln.

Weltanschauung (niem.: światopogląd) — pojęcie filozoficzne oznaczające ugruntowany zbiór sądów i przekonań dotyczących różnych aspektów rzeczywistości. Termin ten występował w pracach wielu niemieckich filozofów, m.in. Friedricha Schleiermachera, Georga Wilhelma Hegla oraz Wilhelma Diltheya. W III Rzeszy pojęcie *Weltanschauung*

było wykorzystywane przez propagandę hitlerowską do uzasadnienia i intelektualnej nobilitacji założeń ideologii nazistowskiej.

Wohnsitzverlegung (niem.: zmiana miejsca pobytu) — stosowane przez nazistów eufemistyczne określenie deportacji, w szczególności przemieszczeń ludności żydowskiej do gett lub wywózek do obozów koncentracyjnych (ośrodków masowej zagłady).

WVHA (SS-Wirtschafts- und Verwaltungshauptamt) — Główny Urząd Gospodarczo-Administracyjny SS. Utworzony na początku 1942 r., zajmował się administracją całości majątku znajdującego się w posiadaniu SS. Przez cały okres istnienia Urzędem kierował Oswald Pohl. W marcu 1942 r. w skład WVHA został włączony, jako tzw. Grupa Urzędów D (*Amtsgruppe D; Konzentrationslagerwesen*), zarząd niemieckich obozów koncentracyjnych (*Inspektion der Konzentrationlager; IKL*), odpowiadający za całokształt panujących w nich nieludzkich warunków bytowych. W końcowym okresie wojny Urząd należał do najważniejszych struktur organizacyjnych SS. Po wojnie część wysokich urzędników WVHA została skazana w tzw. czwartym procesie norymberskim, a samego O. Pohla stracono w 1951 r.

opracował Zdzisław Zblewski

Tabela stopni SS, wojsk lądowych Wehrmachtu i Ordnungspolizei (stan z 1942 r.)

SS	Wojska lądowe Wehrmachtu	Ordnungspolizei (policja porządkowa)	Polski odpowiednik
MARSZAŁKOWIE			
—	Reichmarschall	—	<i>Brak odpowiednika</i>
Reichsführer-SS	Generalfeldmarschall	—	Marszałek Polski
GENERALOWIE			
SS-Oberstgruppenführer	Generaloberst	Generaloberst der Polizei	Generał
SS-Obergruppenführer	General der Infanterie, Kavallerie, Artillerie, Panzertruppen, Pioniere, Nachrichtentruppen, Gebirgstruppen	General der Polizei	Generał broni
SS-Gruppenführer	Generalleutnant	Generalleutnant der Polizei	Generał dywizji
SS-Brigadeführer	Generalmajor	Generalmajor der Polizei	Generał brygady
SS-Oberführer	—	—	<i>Brak odpowiednika</i>
OFICEROWIE			
SS-Standartenführer	Oberst	Oberst der Polizei	Pułkownik
SS-Obersturmbannführer	Oberstleutnant	Oberstleutnant der Polizei	Podpułkownik
SS-Sturmbannführer	Major	Major der Polizei	Major
SS-Hauptsturmführer	Hauptmann	Hauptmann der Polizei	Kapitan
SS-Obersturmführer	Oberleutnant	Oberleutnant der Polizei	Porucznik
SS-Untersturmführer	Leutnant	Leutnant der Polizei	Podporucznik
PODOFICEROWIE			
SS-Sturmscharführer	Stabsfeldwebel	Meister	Starszy sierżant sztabowy
SS-Stabsscharführer (tylko w Waffen-SS)	Hauptfeldwebel	—	<i>Brak odpowiednika</i>
SS-Hauptscharführer	Oberfeldwebel	Hauptwachtmeister	Sierżant sztabowy
SS-Oberscharführer	Feldwebel	Revierwachtmeister (w Schutzpolizei) Bezirkswachtmeister (w Gendarmerie) Zugwachtmeister (w oddziałach zwartych)	Starszy sierżant
SS-Scharführer	Unterfelwebel	Oberwachtmeister	Sierżant
SS-Unterscharführer	Unteroffizier	Wachtmeister	Plutonowy
SZEREGOWI			
—	Stabsgefreiter	—	Starszy kapral
SS-Rottenführer	Obergefreiter	Rottwachtmeister	Kapral
SS-Sturmmann	Gefreiter	Unterswachtmeister	Starszy szeregowy
SS-Oberschütze (tylko w Waffen-SS)	Oberschütze	Anwärter	Szeregowy (po 6 miesiącach służby)
SS-Mann	Schütze	Anwärter	Szeregowy